

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Henryk Sienkiewicz**

# POTOP

**Tom I**

**Tower Press 2000**

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## Wstęp

Był na Żmudzi ród możny Billewiczów, od Mendoga się wywodzący, wielce skoligacony i w całym Rosieńskim nad wszystkie inne szanowany. Do urzędów wielkich nigdy Billewiczowie nie doszli, co najwyżej powiatowe piastując, ale na polu Marsa niepożyte krajowi oddali usługi, za które różnymi czasami hojnie bywali nagradzani. Gniazdo ich rodzinne, istniejące do dziś, zwało się także Billewicze, ale prócz nich posiadali wiele innych majątności i w okolicy Rosień, i dalej ku Krakinowu, wedle Laudy, Szoi, Niewiaży – aż hen, jeszcze za Poniewieżem. Potem rozpadli się na kilka domów, których członkowie potracili się z oczu. Zjeżdżali się wszyscy wówczas tylko gdy w Rosienicach, na równinie zwanej Stany, odbywał się popis pospolitego ruszenia żmudzkiego. Częściowo spotykali się także pod chorągwiami litewskiego komputu i na sejmikach, a że byli zamożni, wpływowi, więc liczyć się z nimi musieli sami nawet wszechpotężni na Litwie i Żmudzi Radziwiłłowie.

Za panowania Jana Kazimierza patriarchą wszystkich Billewiczów był Herakliusz Billewicz, pułkownik lekkiego znaku, podkomorzy upicki. Ten nie mieszkał w gnieździe rodzinnym, które dzierżył pod owe czasy Tomasz, miecznik rosieński; zaś do Herakliusza należały Wodokty, Lubicz i Mitruny, leżące w pobliżu Laudy, naokół, jakby morzem, ziemiami drobnej szlachty oblane.

Prócz Billewiczów bowiem kilka było tylko większych domów w okolicy, jako Sołłohuby, Montwiłłowie, Schyillingowie, Koryznowie, Sicińscy (choć i drobnej braci tychże nazwisko nie brakło), zresztą całe porzecze Laudy usiane było gęsto tak zwanymi „okolicami” albo mówiąc zwyczajnie: zaściankami zamieszkałymi przez sławną i głośną w dziejach Żmudzi szlachtę laudańską.

W innych okolicach kraju rody brały nazwę od zaścianków albo zaścianki od rodów, jako bywało na Podlasiu; tam zaś, wzdłuż laudańskiego porzecza, było inaczej. Tam mieszkali w Morezach Stakjanowie, których swego czasu Batory osadził za męstwo okazane pod Pskowem. W Wołmontowiczach na dobrej glebie roili się Butrymowie, najdłuższe chłopcy z całej Laudy, słynni z małomówności i ciężkiej ręki, którzy czasy sejmików, zjazdów lub wojen murem w milczeniu iść zwykli. Ziemie w Drożejkanach i Mozgach uprawiali liczni Domaszewiczowie, słynni myśliwi; ci puszcza Zieloną aż do Wiłkomierza tropem niedźwiedzim chadzali. Gasztowtowie siedzieli na Pacunelach; panny ich słynęły pięknnością, tak iż w końcu wszystkie gładkie dziewczęta w okolicy Krakinowa, Poniewieża i Upity pacunelkami nazywano. Sołłohubowie Mali byli bogaci w konie i bydło wyborne, na leśnych pastwiskach hodowane; zaś Gościewiczze w Goszczunach smołę w lasach pędzili, od którego zajęcia zwano ich Gościewiczami Czarnymi albo dymnymi.

Było i więcej zaścianków, było i więcej rodów. Wielu z nich nazwy istnieją jeszcze, ale po większej części i zaścianki nie leżą tak, jak leżały, i ludzie innymi w nich imionami się wołają. Przyszły wojny, nieszczęścia, pożary, odbudowywano się nie zawsze na dawnych pogorzeliśkach, słowem: zmieniło się wiele. Ale czasu swego kwitnęła jeszcze stara Lauda w pierwotnym bycie i szlachta laudańska do największej doszła wziętości, gdyż przed niewielą laty, czyniąc pod Łojowem przeciw zbuntowanemu kozactwu, wielką się sławą pod wodzą Janusza Radziwiłła okryła.

Służyli zaś wszyscy laudańscy w chorągwi starego Herakliusza Billewicza; więc bogatsi jako towarzysze na dwa konie, ubożsi na jednego, najubożsi z pocztowych. W ogóle szlachta to była wojenna i w zawodzie rycerskim szczególnie rozmiłowana. Natomiast na tych sprawach, które zwykle materią sejmików stanowiły, mniej się znali. Wiedzieli, że król jest w Warszawie, Radziwiłł i pan Hlebowicz, starosta na Żmudzi, a pan Billewicz w Wodoktach na Laudzie. To im wystarczyło, i głosowali tak, jak ich pan Billewicz nauczył, w przekonaniu, że on tego chce, czego i pan Hlebowicz, ten znów z Radziwiłłem idzie w ordynku, Radziwiłł jest ręką królewską na Litwie i Żmudzi, król zaś małżonkiem Rzeczypospolitej i ojcem rzeszy szlacheckiej.

Pan Billewicz był zresztą więcej przyjacielem niż klientem potężnych oligarchów na Birzach – i to wielce cenionym, bo na każde zawołanie miał tysiąc głosów i tysiąc szabel laudańskich, a szabel

w rękach Stakjanów, Butrymów, Domaszkwiczów lub Gasztowtów nie lekceważył jaszce w tym czasie nikt na świecie. Później dopiero. Później dopiero zmieniło się wszystko, właśnie wówczas, gdy pana Herakliusza Billewicza nie stało.

Nie stało zaś tego ojca i dobrodzieja szlachty laudańskiej w roku 1654. Rozpaliła się wówczas wzdłuż całej wschodniej ściany Rzeczypospolitej straszna wojna. Pan Billewicz już na nią nie poszedł, bo nie pozwolił mu na to wiek i głupota, ale laudańscy poszli. Owóż, gdy przyszła wieść, że Radziwiłł pobity został pod Szklowem, a laudańska chorągiew w ataku na najemną piechotę francuska prawie w pień wycięta – stary pułkownik, rażony apopleksją, duszę oddał.

Wieść tę przywiózł niejaki pan Michał Wołodyjowski, młody, ale bardzo wsławiony żołnierz, którego w zastępstwie pana Herakliusza laudańskim z ramienia Radziwiłła przewodził. Resztki ich przybyły także do zagród ojczystych, znękane, pogłębione, zgłodzone i śladem całego wojska na hetmana wielkiego narzekające, że ufny w grozę swego imienia, w urok zwycięzcy, z małą siłą na dziesięćkroć liczniejszą potęgą się rzucił, a przez to pogrzył wojsko, kraj cały.

Lecz wśród ogólnych narzekań ani jeden głos nie podniósł się przeciw młodemu pułkownikowi, panu Jerzemu Michałowi Wołodyjowskiemu. Owszem, ci, co uszli z pogromu, wysławiali go pod niebiosami, cuda opowiadając o jego doświadczeniach wojskowych i czynach. I jedyną to było pociechą dla laudańskich niedobitków wspominać o przewagach, których pod przewodnictwem pana Wołodyjowskiego dokonali: jako w ataku przebili się, niby przez dym, przez pierwsze kupy pośledniejszego żołnierza; jak potem na francuskich najemników wpadłszy cały regiment najprzedniejszy w puch na szablach roznieśli, gdy czym pan Wołodyjowski własną ręką ściał tegoż regimentu oberszta; jako koniec, otoczeni i w cztery ognie wzięci, salwowali się po desperacku z zamętu, gęstym trupem padając i nieprzyjaciela łamiąc.

Słuchali z żalem, ale i dumą owych opowiadań ci z laudańskich. Którzy, wojskowo w kompucie litewskim nie służąc, obowiązani byli tylko w pospolitym ruszeniu stawiać. Spodziewano się też powszechnie, że pospolite ruszenie, ostateczna kraju obrona, wkrótce zostanie zwołane. Była już z góry umowa, że w takim razie pan Wołodyjowski zostanie obrany laudańskim rotmistrzem, bo choć się do miejscowego obywatelstwa nie liczył, nie było odeń między miejscowym obywatelstwem sławniejszego. Niedobitkowie mówili jeszcze o nim, że samego hetmana z toni wyrwał. Toteż cała Lauda na rękę go prawie nosiła, a okolica wydzierzała okolicy. Kłócili się zwłaszcza Butrymi, Domaszewicze i Gasztowtowie, u których ma zostać najdłużej gościem. On zaś sobie ową bitną szlachtę upodobał, że gdy okruchy wojsk radziwiłłowskich ciągnęły do Birż, by tam jako tako po klęsce przyjść do sprawy – on z innymi nie odszedł, a jeżdżąc z zaścianku do zaścianku, w Pacunelach u Gasztowtów wreszcie stałą rezydencję założył, u pana Pakosza Gasztowta, który nad wszystkimi w Pacunelach miał zwierzchność.

Co prawda, nie mógłby był pan Wołodyjowski żadną miarą Birż jechać, gdyż zachorował obłożnie: naprzód przyszły nań złe gorączki, potem od kontuzji, którą był pod Cybichowem jeszcze otrzymał, odjęto mu prawą rękę. Trzy panny Pakoszówny, słynne z urody pacunelki, wzięły go w czułą opiekę i poprzysięgły tak sławnego kawalera do pierwotnego zdrowia doprowadzić, szlachta zaś, kto żyw był, zajęła się pogrzebem dawnego swego wodza, pana Herakliusza Billewicza.

Po pogrzebie otwarto testament nieboszczyka, z którego pokazało się, iż stały pułkownik dziedziczką całej fortuny, z wyjątkiem wsi Lubicza, uczynił wnuczkę swą Aleksandrę Billewiczównę, łowczankę upicką, opiekę zaś nad nią, dopóki by za męża nie poszła, powierzył całej szlachcie laudańskiej.

„...Którzy, jako mnie życzliwymi byli (głosił testament) i miłością za miłość płacili, niechże i sierocie tak będą, a w tych czasach zepsucia i przewrotności, gdy przed swawolą i złością ludzką nikt bezpieczeń ani próżen bojaźni być nie może – niechaj sieroty przez pamięć moją od przygody strzegą.

Baczyc także mają, aby fortuny w bezpieczeństwie zażywała z wyjątkiem wsi Lubicza, którą panu Kmicicowi, młodemu chorążemu orszańskiemu, dąmam, daruję i zapisuję, aby w tym przeszkody jakiej nie miał. Kto by zaś się tej przychylności mojej dla W-nego Andrzeja Kmicica dziwował

albo w tym krzywdę wnuczki mojej urodzonej Aleksandry upatrywał, wiedzieć ma i powinien, iżem od ojca urodzonego Jędrzeja Kmicica jeszcze z młodych lat, aż do dnia śmierci, przyjaźni i zgoła braterskiego afektu doznawał. Z którym wojny odprawowałem i życie mi po wielokroć ratowałem, a gdy złość i *invidia* panów Sicińskich wydrzeć mi fortunę chciały – i do niej mi dopomógł. Tedy ja, Herakliusz Billewicz, podkomorzy upicki, a razem grzesznik niegodny, przed srogim sądem bożym dziś stojący, przed czterema laty (żyj jeszcze i nogami po nizinie ziemskiej chodząc) do pana Kmicica ojca, miecznika orszańskiego, się udałem, aby wdzięczność i przyjaźń stateczną ślubować. Tamże za wspólną zgodą postanowiliśmy obyczajem dawnym szlacheckim i chrześcijańskim, że dzieci nasze, a mianowicie syn jego Andrzej z wnuczką moją Aleksandra, łowczanką, stadło uczynić maja, aby z nich potomstwo na chwałę bożą i pożytek Rzeczypospolitej wyrosło. Czego sobie najmocniej życzę i wnuczkę moją do posłuszeństwa tu wypisanej woli obowiązując, chybaby pan chorąży orszański (czego Bóg nie daj) szpetnymi uczynkami sławę swą splamił i bezecnym był ogłoszony. A jeśliby substancję swą rodzinną utracił, co przy tamtej ścianie wedle Orszy łącznie zdarzyć się może, tedy go ma pod błogosławieństwem za męża mieć, choćby też i od Lubicza odpadł, nic na to nie zważać.

Wszelako, jeśliby za szczególną łaską Boga wnuczka moja chciała na chwałę Jego panieństwo swe ofiarować i zakonny habit przywdziać, tedy wolno jej to uczynić, albowiem chwała boża przed ludzką iść powinna...”

W taki to sposób rozporządził fortuną i wnuczką pan Herakliusz Billewicz, czemu nikt się za bardzo nie dziwił. Panna Aleksandra z dawna wiedziała, co ją czeka, i szlachta z dawna o przyjaźni między Billewiczem a Kmicicami słyszała – zresztą umysły w czasach klęski czym innym były zajęte, tak że wkrótce i o testamencie mówić przestano.

Mówiono tylko o Kmicicach nieustannie we dworze w Wodoktach, a raczej o panu Andrzeju, bo stary miecznik nie żył już także. Młodszy pod Szklowem z własną chorągiewką i orszańskimi wolarzami stawał. Później zniknął z oczu, ale nie przypuszczano żeby zginął, gdyż śmierć tak znacznego kawalera pewnie by nie uszła niepostrzeżenie. Familianci to bowiem byli w Orszańskiem Kmicice i panowie znacznych fortun, ale tamte strony płomień wojny zniszczył. Powiaty i ziemie całe zmieniały się w głuche pola, kruszyły się fortuny, ginęli ludzie. Po złamaniu Radziwiłła nikt już silniejszego oporu nie dawał. Gosiewski, hetman polny, sił nie miał; koronni hetmanowie wraz z wojskami na Ukrainie ostatkiem wojsk walczyli i wspomóc go nie mogli, również jak i Rzeczpospolita, przez wojny kozackie wyczerpana. Fala zalewała kraj coraz dalej, gdzieniegdzie tylko o warowne mury się odbijając, ale i mury padały jedne za drugimi, jak upadł Smoleńsk. Województwo smoleńskie, w którym leżały fortuny Kmiciców, uważano za stracone. W powszechnym zamieszaniu, w powszechnej trwodze rozproszyli się ludzie jak liście wichrem rozegnane i nikt nie wiedział, co się z młodym chorążym orszańskim stało.

Ale do starostwa żmudzkiego wojna jeszcze nie doszła, ochłonęła z wolna szlachta laudańska po klęsce szkłowskiej. „Okolice” poczęły zjeżdżać i naradzać tak o rzeczy publicznej, jak o sprawach prywatnych. Butrymowie, najskorsi do boju, przebąkiwali, że trzeba będzie na *congressus* pospolitego ruszenia do Rosień jechać, a potem do Gosiewskiego, by pomścić szkłowską przegraną; Domaszewicze Myśliwi poczęli się zapuszczać lasami, Puszcza Rogowską, aż po zastępy nieprzyjacielskie, wieści z powrotem przywożąc; Gościewicze Dymni w dymach mięso na przyszlą wyprawę wędzili. W sprawach prywatnych postanowiono bywałych i doświadczonych ludzi na odszukanie pana Andrzeja Kmicica posłać.

Składali owe rady starsi laudańscy pod przewodem Pakosza Gasztowta i Kasjana Butryma, dwóch patriarchów okolicznych – wszystka zaś szlachta, której ufność, jaką w niej położył zmarły pan Billewicz, wielce pochlebiła, poprzysięgła sobie wiernie stać przy literze testamentu i pannę Aleksandrę prawie rodzicielską opieką otoczyć. Toteż gdy czasu wojny, nawet w stronach, do których wojna nie doszła, zrywały się niesnaski i zawichrzenia, na brzegach Laudy wszystko pozostało spokojnie. Żadnych dyferencji nie podniesiono, nie było żadnego worywania się w granice majątności młodej dziedziczki; nie poprzesyrywano kopców, nie wycięto cechowanych sosen na

rubieżach lasów, nie zajęchano pastwisk. Owszem, wspomagano zasobną samą przez się dziewczkę, czym która okolica” mogła. Więc Stakjanowie nadrzeczni dosyłali ryby solonej, z Wołmontowicz od mrukliwych Butrymów przychodziły zboża, siano od Gasztowtów, zwierzyzna od Domaszewiczów Myśliwych, smoła i dziegieć od Gościewiczów Dymnych. O pannie Aleksandrze nikt w zaściankach nie mówił, jak „nasza panna”, a piękne pacunelki wyglądały pana Kmicica bogdaj tak samo niecierpliwie jak ona.

Tymczasem przyszły wici zwołujące szlachtę – więc poczęto ruszać na Laudzie. Kto z pacholęcia wyrósł na męża, kogo nie pochylił wiek, ten na koń siadać musiał. Jan Kazimierz przybył go Grodna i tam miejsce jeneralnego zbioru naznaczył. Tam też ciągnięto. Ruszyli w milczeniu pierwszy Butrymowie, za nimi inni, a Gasztowtowie na ostatku, jak zawsze czynili, bo im od pacunelk żal było odjeżdżać. Szlachta z innych stron kraju w małej tylko stawiała się liczbie i kraj pozostał bez obrony, a Lauda pobożna stanęła w całości.

Pan Wołodyjowski nie ruszył, bo nie mógł jeszcze ręką władać, więc właśnie jakoby wojski między pacunelkami pozostał. Opustoszały „okolice” i jeno starcy z białogłowami zasiadali wieczorem przy ogniskach. Cicho było w Poniewieżu i Upicie – czekano wszędy na nowiny.

Panna Aleksandra również zamknęła się w Wodoktach, nikogo prócz sług i swych opiekunów laudańskich nie widując.

## ROZDZIAŁ I

Przyszedł nowy rok 1655. Styczeń był mroźny, ale suchy; zima tęga przykryła Żmudź świętą grubym na łokieć, białym kozuchem; lasy gięły się i łamały pod obfitą okiścią, śnieg olśniewał oczy w dzień przy słońcu, a nocą przy księżycu migotały jakoby iskry niknące po stężalej od mrozu powierzchni; ziwerz zbliżał się do mieszkań ludzkich, a ubogie, szare ptactwo stukalo dziobami do szyb szedzia i śnieżnymi kwiatami okrytych.

Pewnego wieczora siedziała panna Aleksandra w izbie czeladnej wraz z dziewczętami dworskimi. Dawny to był zwyczaj Billewiczów, że gdy gości nie było, to z czeladzią spędzali wieczory śpiewając pieśni pobożne i przykładem swym prostactwo budując. Tak też czyniła i panna Aleksandra, a to tym łacniej, że między jej dziewczętami dworskimi same były prawie szlachcianki, sieroty bardzo ubogie. Te robotę wszelką, choćby najgrubszą, spełniały i przy paniach służebnymi były, a w zamian za to ćwiczyły się w obyczajności, lepszego doznając od prostych dziewczek traktowania. Były jednak między nimi i chłopki, mową głównie się różniące, bo wiele z nich po polsku nie umiało.

Panna Aleksandra wraz z krewną swą panną Kulwiecówną siedziały pośrodku, a dziewczęta po bokach na ławach; wszystkie kądziel przędły. Na potężnym kominie ze zwieszonym okapem paliły się kłody sosnowe i karpy, to przygasając, to znów strzelając jasnym, wielkim płomieniem lub skrami, w miarę jak stojący wedle komina wyrostek przyrzuczał drobniejszych brzeźniaków i łuczywa. Gdy płomień strzelił jaśniej, widać było ciemne drewniane ściany ogromnej izby z nadzwyczaj niskim, belkowanym sufitem. U belek wisiały na niciach różnokolorowe gwiazdki uczynione z opłatków, kręcące się w ciepłe, a zza belek wyglądały młotki czesanego lnu, zwieszające się na obie strony jakby tureckie zdobyczne buńczuki. Cały niemal pułap był nim założony. Po ścianach ciemnych błyszcząły jakoby gwiazdy statki cynowe, większe i mniejsze, stojące lub poopierane na długich półkach dębowych.

W głębi, przy drzwiach, kudłaty Żmudzin huczał gwałtownie żarnami mruczając pod nosem pieśń monotonną, panna Aleksandra przesuwiała w milczeniu paciorki różańca, prządki przędły, nic jedna do drugiej nie mówiąc.

Światło płomienia padało na ich młode, rumiane twarze, one zaś z rękoma wzniesionymi ku kądzielom, lewą podszczypując len miękki, prawą kręcąc wrzeciona, przędły gorliwie jakby na wyścigi, surowymi spojrzzeniami panny Kulwiecówny podniecane. Czasem też spoglądały na się bystrymi oczkami, a czasem na pannę Aleksandrę, jakby w oczekiwaniu, rychłoli Żmudzinowi mleć zakaze i pieśń pobożną rozpocznie; ale z robotą nie ustawały i przędły, przędły; wiły się nici, warczały wrzeciona, migotały druty w ręku panny Kulwiecówny, a kudłaty Żmudzin w żarna huczał.

Chwilami jednak przerywał robotę, widocznie coś się w żarnach psuło, bo jednocześnie rozlegał się jego gniewny głos:

– Padłas!

Panna Aleksandra podnosiła głowę, jakby rozbudzona ciszą, która następowała po okrzykach Żmudzina; wówczas płomień oświecał jej białą twarz i poważne, błękitne oczy, patrzące spod brwi czarnych.

Była to urodziwa panna o płowych włosach, bladawej cerze i delikatnych rysach. Miała piękność białego kwiatu. Żałobna suknia dodawała jej powagi. Siedząc przed tym kominem była tak w myślach pogrążona jak w śnie; zapewne nad dolą własną rozmyślała, gdyż losy jej były w zawieszeniu.

Testament przeznaczał ją na żonę człowieka, którego nie widziała od lat dziesięciu, a że dobiegała dopiero dwudziestu, więc pozostało jej tylko niejasne wspomnienie dziecinne jakiegoś burzli-



wego wyrostka, który za czasu swego pobytu z ojcem w Wodoktach więcej z rusznicą po bagnach latał, niż na nią patrzył.

„Gdzie on jest i jaki on jest teraz?” – oto pytania, które cisnęły się na myśl poważnej pannie.

Znała go w prawdzie jeszcze z opowiadań nieboszczyka podkomorzego, który na cztery lata przed śmiercią przedsięwziął był daleką i trudną podróż do Orszy. Otóż, wedle tych opowiadań, miał to być „wielkiej fantazji kawaler, choć gorączka okrutny”. Po owym układzie o małżeństwo dzieci, zawartym między starym Billewiczem a Kmicicem ojcem, miał ów kawaler przyjechać zaraz do Wodoktów akomodować się pannie; tymczasem wybuchła wielka wojna i kawaler zamiast do panny pociągnął na pola beresteckie. Tam postrzelon, leczył się w domu; potem ojca schorzałego i bliskiego śmierci pilnował; potem znów była wojna – i tak zeszły owe cztery lata. Teraz od śmierci starego pułkownika upłynął już kawał czasu, a o Kmicicu słuch przepadł.

Miała tedy o czym myśleć panna Aleksandra, a może tęskniła do nieznanego. W sercu czystym, właśnie dlatego że jeszcze miłości nie zaznała, nosiła wielką gotowość do kochania. Iskry tylko trzeba było, żeby na tym ognisku rozpałił się płomień spokojny, ale jasny, równy, silny i jak znicz litewski niegasnący.

Więc niepokój ogarnął ją, czasem luby, a czasem przykry, i dusza jej ciągle zadawała sobie pytania, na które nie było odpowiedzi, a raczej dopiero miała nadejść z pól dalekich. Więc pierwsze pytanie było: zali on z dobrej woli ją zaślubi i gotowością na jej gotowość do kochania odpowie? W owych czasach układy rodzicielskie o małżeństwo dzieci bywały rzeczą zwykłą, a dzieci, choćby po śmierci rodziców, związane pod błogosławieństwem, dotrzymywały najczęściej układu. W samym więc zaswataniu jej nie widziała panienska nic nadzwyczajnego, ale że dobra wola nie zawsze z obowiązkiem chodzi w parze, więc i ta troska obciążyła płową główkę panny: „Czy on mnie pokocha?” I potem już stado myśli opadło ją, jak stado ptastwa opada drzewa samotnie na rozległych polach stojące: „Ktoś ty jest? jakiś jest? żyw chodzisz po świecie? czy może już gdzieś tam poległeś?... Dalekoś ty? czy blisko?...” Otwarte serce panny, jak drzwi otwarte na przyjęcie miłego gościa, mimo woli wołało ku dalekim stronom., ku lasom i polom śnieżnym, nocą przykrytym: „Bywaj, junaku! bo nie masz nic gorszego na świecie nad oczekiwanie!”

Wtem, jakby odpowiedź wołaniu, z zewnątrz, właśnie z owych śnieżnych dalekości nocą pokrytych, doszedł głos dzwonka.

Panna drgnęła, lecz oprzytomniawszy wnet przypomniała sobie, że to Pacunelów przysłano każdego prawie wieczora do apteczki po leki dla młodego pułkownika; myśl tę potwierdziła panna Kulwiewówna mówiąc:

– To od Gasztowtów po driakiew.

Nieregularny głos dzwonka targanego przy dyszlu brzmiał coraz wyraźniej; na koniec ucichł nagle, widocznie sanki zatrzymały się przed domem.

– Obacz, kto przyjechał – rzekła panna Kulwiewówna do obracającego żarna Żmudzina.

Żmudzin wyszedł z czeladnej, lecz po małej chwili pojawił się z powrotem i biorąc znów za drąg od żaren rzekł z flegmą:

– Panas Kmitas.

– A słowo stało się ciałem! – wykrzyknęła panna Kulwiewówna.

Przędki zerwały się na równe nogi; kądziele i wrzeciona pospadały na ziemię.

Panna Aleksandra wstała także; serce jej biło jak młotem, na twarz występowały rumieńce, a po nich bladość; ale odwróciła się umyślnie od komina, żeby wzruszenia nie okazać.

Wtem we drzwiach pojawiła się wyniosła jakaś postać w sztubie i czapce futrzanej na głowie. Młody mężczyzna postąpił na środek izby i poznawszy, że znajduje się w czeladnej, spytał dźwięcznym głosem, nie zdejmując czapki:

– Hej! a gdzie to wasza panna?

– Jestem – odpowiedziała dość pewnym głosem Billewiczówna.

Usłyszawszy to przybyły zdjął czapkę, rzucił ją na ziemię i skłoniwszy się rzekł:

– Jam jest Andrzej Kmicic.

Oczy panny Aleksandry spoczęły błyskawicą na twarzy Kmicica, a potem znów wbiły się w ziemię; przez ten czas jednak zdołała panienka dojrzeć płową jak żyto, mocno podgoloną czuprynę, smagłą cerę, siwe oczy bystro przed się patrzące, ciemny wąs i twarz młodą, orlikowatą, a wesołą i junacką.

On zaś w bok ujął lewą rękę, prawą do wąsa podniósł i tak mówił:

– Jeszczem w Lubiczu nie był, jeno tu ptakiem śpieszyłem do nóg panny łowczanki się pokłonić. Prosto z obozu mnie tu wiatr przywiał, daj Boże, szczęśliwy.

– Waćpan wiedziałeś o śmierci dziadziusia podkomorzego? – spytała panna.

– Nie wiedziałem, alem go łzami rzewnymi oplakał, dobrodzieja mojego, gdym się o jego zgonie od owych szaraczków dowiedział, którzy z tych stron do mnie przybyli. Szczery to był przyjaciel, nieledwie brat mego nieboszczyka rodzica. Pewnie waćpannie wiadomo dobrze, że przed czterema laty aż po Orszę do nas przybył. Wtedy mi to waćpannę obiecał i konterfekt pokazał, do którego po nocach wzdychałem. Byłbym tu wcześniej przyjechał, ale wojna nie matka: ze śmiercią jeno ludzi swata.

– To waćpan jeszcze swojego Lubicza nie widział?

– Czas na to będzie. Tu pierwsze służby i droższy legat, który naprzód chciałbym odziedziczyć. Jeno mi się waćpanna tak od komina odwracasz, żem dotąd i w oczy spojrzeć nie mógł. Ot! tak! Odwróć się waćpanna, a ja od komina zajdę! – ot – tak!

To rzekłszy śmiały żołnierz chwycił nie spodziewającą się takiego postępku Oleńkę za rękę i ku ognisku odwrócił, tak nią jak frygą zakrećwiwszy.

Ona zaś mieszała się jeszcze bardziej i nakrywszy oczy długimi rzęsami stała tak światłem i własną pięknnością zawstydzona. Kmicic puścił ją wreszcie i uderzył po kontuszu.

– Jak mi Bóg miły, rarytet! Dam na sto mszy po moim dobrodzieju, że mi cię zapisał. Kiedy ślub?

– Jeszcze nieprędki, jeszczem nie waćpana – odrzekła Oleńka.

– Ale będziesz, choćym ten dom miał podpalić! Na Boga! myślałem, że konterfekt pochlebiony, ale to, widzę, malarz wysoko mierzył, a chybił. Sto bizunów takiemu – i piece mu malować, nie one specjały, którymi oczy pasę. Miłoś to taki legat dostać, niech mnie kule biją!

– Dobrze nieboszczyk dziadzius mi powiadał, żeś waćpan gorączka.

– Tacy u nas wszyscy w Smoleńskim, nie jak wasi Żmudzini. Raz, dwa! – i musi być, jak chcemy, a nie, to śmierć!

Oleńka uśmiechnęła się i rzekła już pewniejszym głosem podnosząc na kawalera oczy:

– Ej! to chyba Tatarzy u was mieszkają?

– Wszystko jedno! a waćpanna moją jesteś z woli rodziców i po sercu.

– Po sercu, to jeszcze nie wiem.

– Niechbyś nie była, to bym się nożem pchnął!

– Śmiejący się to waćpan mówisz... ależ my to jeszcze w czeladnej!...Proszę do komnat. Po długiej drodze pewnie się i wieczera przygodzi – proszę!

Tu Oleńka zwróciła się do panny Kulwiecówny:

– Ciotuchna pójdzie z nami?

Młody chorąży spojrział bystro:

– Ciotuchna? – spytał – jaka ciotuchna?

– Moja, panna Kulwiecówna.

– A to i moja – odparł zabierając się do rąk całowania. – Dla Boga! toż ja mam w chorągwi towarzysza, który się zwie Kulwiec-Hippocentaurus. Czy nie krewniak, proszę?

– To z tych samych! – odrzekła dygając stara panna.

– Dobry chłop, a wicher jak i ja! – dodał Kmicic.

Tymczasem wyrostek ukazał się ze światłem, więc przeszli do sieni, gdzie pan Andrzej szubę z siebie zrzucił, a potem na drugą stronę, do komnat gościnnych.

Zaraz po ich odejściu prządki zbiły się w ciasną gromadkę i nuż jedna przez drugą gadać a uwagi czynić. Strojny młodzian podobał się im bardzo, więc i nie szczędziły mu słów, wzajemnie się w pochwałach przesadzając.

– Luna od niego bije – mówiła jedna. – Kiedy wszedł, myślałam, że królewicz.

– A oczy ma jak ryś, aż nimi kłuje – odrzekła druga. – Takiemu się nie przeciw!

– Najgorzej się przeciwiać! – odpowiedziała trzecia.

– Panną jak wrzecionem okręcił! Ale już to znać, że mu się udała bardzo, bo i komuż by się ona nie udała?

– Ale i on nie gorszy, nie bój się! Żeby ci się taki zdarzył, poszłabyś i do Olszy, choć to podobno na końcu świata.

– Szczęśliwa panna!

– Bogatym zawsze lepiej na świecie. Ej, ej! złóż to, nie rycerz!

– Mówiły pacunelki, że i ten rotmistrz, którego jest w Pacunelach, u starego Pakosza, piękny kawaler.

– Nie widziałam ja go, ale gdzie jemu do pana Kmicica! Już takiego chyba na świecie nie ma!

– Padł! – zawołał nagle Żmudzin, któremu znów się coś w żarnach popsuło.

– A nie pójdziesz, ty kudłaty, ze swoimi wymysłami! Dajże już spokój, bo się i dosłyszeć nie można!... Tak, tak! trudno lepszego niż pan Kmicic na całym świecie znaleźć! Pewnie i w Kiejdanach takiego nie ma!

– Taki to się i przyśni!

– Niechby się choć przyśnił...

W taki to sposób rozprawiły ze sobą szlachcianki w czeladnej. Tymczasem nakrywano co ducha w izbie stołowej, a w gościnnej siedział panna Aleksandra sam na sam z Kmicicem, bo ciotka Kulwiecówna poszła krzątać się wedle wieczerzy.

Pan Andrzej nie zdejmował wzroku z Oleńki i oczy iskrzyły mu się coraz bardziej, na koniec rzekł:

– Są ludzie, którym majątność nad wszystko milsza, inni za zdobyczą na wojnie gonią, inni się w koniach kochają, ale ja bym waćpanny za żadne skarby nie odda! Dalibóg, im więcej patrzę, tym większa ochota do żeniaczki, żeby choć i jutro! Już tę brew to chyba waćpanna korkiem przypalonym malujesz?

– Słyszałam, że tak płoche czynią, ale jam nie taka.

– A oczy jakoby z nieba! Od konfuzji słów mnie brakuje.

– Nie bardzoś waćpan skonfundowany, gdy tak obcesem na mnie nastajesz, aż mnie i dziwno.

– To też obyczaj nasz smoleński: do niewiast czy w ogień iść śmiało. Musisz królowo, do tego przywyknąć, bo tak zawsze będzie.

– Musisz waćpan odwyknąć, bo nie może tak być.

– Może się i poddam, niech mnie usieką! Wierz, waćpanna, nie wierz, ale rad bym ci nieba przychylić! Dla ciebie, mój królu, gotówem się i obyczajów innych uczyć, bo wiem to do siebie, żem żołnierz prostak i w obozie więcej bywałem niżli na pokojach dworskich.

– Ejże, nic to nie szkodzi, bo i mój dziadzius żołnierzem był, ale dziękuję za dobrą chęć! – odrzekła Oleńka i oczy jej spojrzały tak słodko na pana Andrzeja, że mu od razu serce jak воск stopniało i odrzekł:

– Waćpanna mnie na nitce będziesz wodzić!

– Oj, niepodobny waćpan do takich, których na nitce wodzą! Najtrudniej to z niestatecznymi.

Kmicic ukazał białe, jakoby wilcze, żeby w uśmiechu.

– Jak to? – rzekł – małoż to ojcowie nałamali na mnie różg w konwencie, abym do statku przyszedł i różne piękna maksymy spamiętał, przewodniczki żywota...

– A którażeś najlepiej spamiętał?

– „Kiedy kochasz, padaj do nóg” – ot tak!

To rzekłszy pan Kmicic już był na kolanach, panienska zaś wołała chowając nogi pod stołek:

– Dla Boga! tego w konwencie nie uczynili! Daj waćpan spokój, bo się rozgniewam...i ciotka zaraz przyjdzie...

On zaś, klęcząc ciągle, podniósł głowę w górę i w oczy jej patrzył.

– A niech i cała chorągiew ciotek nadciągnie, nie zaprę się ochoty!

– Wstańże pan.

– Już wstaję.

– Siadaj waćpan.

– Już siedzę.

– Zdrajca z waćpana, Judasz!

– A nieprawda, bo jak całuję, to szczerze!... Chcesz się przekonać!

– Ani się waćpan waż!

Panna Aleksandra śmiała się jednak, a od niego aż łuna biła młodości i wesołości. Nozdrza mu latały jak młodemu żrebcowi szlachetnej krwi.

– Aj! aj! – mówił – co to za oczki, jakie liczko! Ratujcież mnie, wszyscy święci, bo nie usiedzę!

– Nie trzeba wszystkich świętych wzywać. Siedziałeś waćpan cztery lata, aniś tu zajrzał, to siedź i teraz!

– Ba! Znałem jeno konterfekt. Każe tego malarza w smołę, a potem w pierze wsadzić i po rynku w Upicie biczem pędzać. Już powiem wszystkim szczerze: chcesz waćpanna, to przebacz! – nie, to szyję utnij! Myślałem sobie tedy na ów konterfekt poglądając: gładka, gadzina, bo gładka, ale gładkich nie brak na świecie – mam czas! Ojciec nieboszczyk napędzał, żeby to jechać, a ja zawsze jedno: Mam czas! Żeniaczka nie przepadnie! Panny na wojnę nie chodzą i nie giną. Nie przeciwielem się wszystkim woli ojcowskiej, Bóg mi świadek, ale chciałem wpierw wojny zażyć, jakoż na własnej skórze praktykowałem. Teraz dopiero poznaję, że byłem głupi, bo mogłem i żeniaty na wojnę iść, a tu mnie delicje czekały. Chwała Bogu, że całkiem mnie nie usiekli. Pozwól waćpanna rączki ucałować.

– Lepiej nie pozwolę.

– Tedy nie będę pytał. U nas w Orszańskim mówią: „Proś, a nie dają, to sam weź!”

Tu pan Andrzej przypiął się do rączki panienki i całować ją począł, a panienka nie wzbraniała się zanadto, żeby nieżyczliwości nie okazać.

Wtem weszła panna Kulwiecówna i widząc, co się dzieje, podniosła oczy do góry. Nie zdała jej się ta konfidenca, ale nie śmiała strofować, natomiast zaprosiła na wieczerzę.

Poszli tedy oboje, wzięwszy się pod ręce jakby rodzeństwo, do jadalnej izby, w której stał stół nakryty, a na nim wszelkich potraw obficie, zwłaszcza wędlin wybornych, i omszały gąsiorek wina moc dającego. Dobrze było ze sobą młodym, raźni i wesoło. Panna już była po wieczerzy, więc tylko pan Kmicic zasiadł i jeść począł z tą samą żywością, z jaką przedtem rozmawiał.

Oleńka spoglądała nań z boku, rada, że je i pije, potem zaś, gdy nasycił pierwszy głód, zaczęła wypytywać:

– To waćpan nie spod Orszy jedziesz?

– Bo ja wiem skąd?!... Dziś tu bywałem, jutro tam! Takem pod nieprzyjaciela podchodził jako wilk pod owce i co tam można było urwać, tom urywał.

– A żeś się to waćpan ważył takiej potędze oponować, przed którą sam hetman wielki musiał ustąpić?

– Żem się ważył? Jam na wszystko gotów, taka już we mnie natura!

– Mówił to i nieboszczyk dziadzius... Szczęście, żeś waćpan nie zginął.

– Ej! nakrywali mnie czapką i ręką jako ptaka w gnieździe, ale co nakryli, tom uskoczył i gdzie indziej ukąsił. Naprzykrzyłem się tak, że cena na moją głowę... Wyborny ten półgęsek!

– W imię Ojca i Syna! – zawołała z nieudanym przerażeniem Oleńka spoglądając jednocześnie z uwielbieniem na tego młodziana, który razem mówił o cenie na swoją głowę i półgęsku.

– Chybaś miał waćpan potęgę wielką do obrony?

– Miałem dwieście swoich dragoników, bardzo przednich, ale mi się w miesiąc wykruszyli. Po-tem z wolentarzami chodziłem, których zbierałem, gdzieś mógł, nie przebredzając. Dobrzy pa-chołkowie do bitwy, ale łotry na łotrami! Ci, co nie poginęli, prędzej później pójdą wronom na fry-kasy...

To rzekłszy pan Andrzej znów się rozśmiał, wychylił kielich wina i dodał:

– Takich drapichrustów jeszcze waćpanna w życiu nie widziała. Niech mi kat świeci! Oficyje-rowie – wszystko szlachta z naszych szlachta z naszych stron, familianci, godni ludzie, ale prawie na każdym jest kondemnatka. Siedzą teraz w Lubiczu, bo co miałem innego z nimi zrobić?

– To waćpan całą chorągwią do nas przyciągnął?...

– Tak jest. Nieprzyjaciel zamknął się w miastach, bo zima okrutna! Moi ludzie też się zdarli jako miotły od ciągłego zamiatania, więc mi książę wojewoda hiberny w Poniewieżu naznaczył. Dali-bóg, dobrze to zasłużony odpoczynek!

– Jedz waćpan, proszę.

– Ja bym dla waćpanny i truciznę zjadł!... Zostawiłem tedy część mojej hołoty w Poniewieżu, część w Upicie, a godniejszych kompanów do Lubiczam w gościnę zaprosił... Ci przyjadą waćpan-nie czołem bić.

– A gdzież waćpana laudańscy ludzie znaleźli?

– Oni mnie znaleźli, gdy i tak już do Poniewieża na hiberny szedł. Byłbym bez nich tu przy-ciągnął.

– Pij no waćpan...

Ja bym dla waćpanny i truciznę wypił...

– Ale o śmierci dziadziusia i o testamencie to laudańscy dopiero waćpanu powiedzieli?

– A, o śmierci to oni. Panie, świeć nad duszą mego dobrodzieja! Czy to waćpanna wysłałaś do mnie tych ludzi?

– Tego sobie waćpan nie myśl. O żalobie myślałam, o modlitwie, więcej o niczym...

– Oni też to samo mówili... Ho! Harde jakieś szaraki!... Chciałem im dać nagrodę za fatygę, to jeszcze się na mnie zachnęli i nuż przymawiać, że to może orszańska szlachta munsztułuki bierze, ale laudańska nie! Bardzo mi szpetnie przymawiali! Co ja słysząc myślę sobie tak: nie chcecie pie-niędzy, każę wam dać po sto bizunów.

Na to panna Aleksandra chwyciła się za głowę. – Jezus Maria! i waćpan to uczynił?

Kmicic spojrział zdziwiony.

– Nie przestraszaj się waćpanna. Nie uczyniłem, choć się dusza zawsze we mnie na takich szla-chetków przewraca, którzy równymi nam się być mienią. Alem sobie pomyślał: okrzyczą mnie niewinnie w okolicy za gwałtownika i jeszcze przed waćpanną obmówią.

– Wielkie to szczęście! – rzekła oddychając głęboko Oleńka – bo inaczej na oczy bym waćpana widzieć nie mogła.

– A to jakim sposobem?

– Mała to szlachta, ale starożytna i sławna. Dziaduś nieboszczyk zawsze się w nich kochał i na wojnę z nimi chodził. Wiek życia razem przesłużyli, a czasu pokoju w dom ich przyjmował. Stara to domu naszego przyjaźń, którą waćpan szanować musisz. Masz przecie serce i nie popsujesz tej świętej zgody, w której żyliśmy dotąd!

– To ja o niczym nie wiedziałem! niech mnie usieką, jeśli wiedział! A przyznaję, że ta bosa szlachetczyzna jakoś mi nie idzie do głowy. U nas: kto chłop, to chłop, a szlachta wszystko fami-lianci, którzy po dwóch na jedną kobyłę nie siadają... Dalibóg, że takim szerepetkom nic do Kmicic-ów ani do Billewiczów, jak piskorzom nic do szczuk, choć i to, i to ryba.

– Dziaduś powiadał, że substancja nic nie stanowi, jeno krew i poczciwość, a to poczciwi ludzie, inaczej by ich dziaduś opiekunami moimi nie czynił.

Pan Andrzej zdumiał się i otworzył szeroko oczy.

– Ich? opiekunami waćpanny dziaduś uczynił? wszystką szlachtę laudańską?...

– Tak jest. Waćpan się nie marszcz, bo nieboszczyka wola święta. Dziwno mi to, że wysłańcy tego waćpanu nie powiedzieli?

– Byłbym ich... Ale nie może to być! Przecie tu jest kilkanaście zaścianków... wszyscyż to oni nad waćpanną sejmują? Zali i nade mną będą sejmikować, czym po ich myśli, czy nie?... Ej! nie żartuj no waćpanna, bo się we mnie krew burzy!

– Panie Andrzeju, ja nie żartuję... świętą i szczerą prawdę mówię. Nie będą oni sejmikowali nad waćpanem; ale jeśli im ojcem za przykładem dziadusia będziesz, jeśli ich nie odepchniesz, pychy nie okażesz, to nie tylko ich, ale i mnie za serce ujmiesz. Będę razem z nimi waćpanu dziękowała, całe życie... całe życie, panie Andrzeju...

Głos jej brzmiał jak prośba pieściwa, ale on nie rozmarszczał brwi i chmurny był. Gniewem wprawdzie nie wybuchnął, choć chwilami przelatowały mu jakby błyskawice po twarzy, ale odrzekł z wyniosłością i dumą:

– Tegom się nie spodziewałem! Szanuję wolę nieboszczyka i tak myślę, że pan podkomorzy mógł ten drobiazg szlachecki do czasu mego przybycia opiekunami waćpanny uczynić, ale gdym tu już raz nogą stanął, nikt inny prócz mnie opiekunem nie będzie. Nie tylko owe szaraki, ale i sami Radziwiłłowie birzańscy nie tu do opieki nie mają!

Parna Aleksandra spoważniała i odrzekła po krótkiej chwili milczenia:

– Żle waćpan czynisz, że się dumą unosisz. Kondycje dziada nieboszczyka albo trzeba wszystkie przyjąć, albo wszystkie odrzucić – rady innej nie widzę. Laudańscy nie będą się przykrzyć ani też narzucać, bo to godni ludzie i spokojni. Tego waćpan nie przypuszczaj, żeby oni ci ciężcy byli. Gdyby tu jakieś niesnaski powstały, tedyby mogli słowo rzec, ale tak mniemam, że wszystko pójdzie zgodnie i spokojnie, a wtedy taka to będzie opieka, jakby jej nie było...

On .pomilczał jeszcze chwilę, potem ręką kiwnął i rzekł:

– Prawdać to, że ślub wszystko zakończy. Nie ma się o co spierać, niech jeno siedzą spokojnie i nie wtrącają się do mnie, bo dalibóg, nie dam sobie w wąsy dmuchać; zresztą, mniejsza o nich! Przyzwól waćpanna na ślub prędki, to będzie najlepiej!

– Nie wypada teraz o tym mówić w czasie żałoby...

– Aj! a długo będę musiał czekać?

– Sam dziaduś napisał, żeby nie dłużej jak pół roku.

– Wyschnę do tego czasu jak trzaska. Ale się już nie gniewajmy. Jużeś waćpanna tak zaczęła na mnie surowie spoglądać jak na winowajcę. Bogdajże cię, mój królu złoty! Com ja winien; kiedy natura we mnie taka: gdy mnie gniew na kogo uchwyci, to bym go rozdarł, a gdy przejdzie, to bym zszuł!

– Strach z takim żyć – odrzekła już weselej Oleńka.

– No! zdrowie waćpanny! Dobrze to wino, a u mnie szabla i wino to grunt. Jaki tam strach ze mną żyć! Waćpanna to mnie usidlisz swoimi oczami i w niewolnika obrócisz, mnie, którym nikogo nad sobą znosić nie chciał. Ot, i teraz! wolałem z chorągiewką na własną rękę chodzić niż panom hetmanom się kłaniać... Mój królu złoty! jeślić się co we mnie nie spodoba, to i przebac, bom się manier pod harmatami uczył, nie we fraucymerach – w zgiełku żołnierskim, nie przy lutni. U nas tam niespokojna strona, szabli z ręki nie popuść. Toteż, choć tam i kondemnatka jaka na kim cięży, choć go i wyrokami ścigają – nic to! Ludzie go szanują, byle fantazję miał kawalerską. *Exemplum*: moi kompanionowie, którzy gdzie indziej dawno by w wieżach siedzieli... swoją drogą godni kawalerowie! Nawet białogłowy u nas w butach i przy szabli chodzą i partiom hetmanią, jako pani Kokosińska, stryjna mego porucznika, czyniła, która teraz kawalerską śmiercią poległa, a synowiec pod moją komendą za nią się mścił, choć jej za życia nie kochał. Gdzie nam dworności się uczyć, choćby największym familiantom? Ale to rozumiemy: wojna – to stawać, sejmik – to gardłować, a mało języka – to dalejże szablą! Ot, co jest! takiego mnie nieboszczyk podkomorzy poznał i takiego dla waćpanny wybrał!

– Jam zawsze za wolą dziadusia szła chętnie odparła spuszczać oczy panienka.

– A dajże jeszcze rączyny ucałować, moja słodka dziewczyno! Dalibóg, okrutnieś mi do serca przypadła. Tak mnie sentyment rozebrał, że nie wiem, jak do owego Lubicza trafię, którego jeszcze nie widział.

– Dam waćpanu przewodnika.

– Ej, obejdzcie się. Już ja przywykłem tłuc się po nocach. Mam pacholka z Poniewieża, który powinien drogę znać. A tam mnie Kokosiński z kompanami czeka... wielcy to familianci u nas Kokosińscy, którzy się Pypką pieczętują... Tego niewinnie bezecnym ogłoszono za to, że panu Orpi-szewskiemu dom spalił i dziewczkę porwał, a ludzi wyciął... Godny towarzysz!... Dajże jeszcze rączyny. Czas, widzę, jechać!

Wtem północ poczęła bić z wolna na wielkim gdańskim zegarze w jadalnej izbie stojącym.

– Dla Boga! czas! czas! – zawołał Kmicic. – Nic tu już nie wskóram! Miłujeszże mnie choć na obwinięcie palca?

– Kiedy indziej odpowiem. Przecie będziesz mnie waćpan odwiedzał?

– Co dzień! chybaby się ziemia pode mną rozpadła. Niech mnie usieką!...

To rzekłszy Kmicic wstał i wyszli oboje do sieni. Sanki czekały już przed gankiem, więc ubrał się w szubę i żegnać ją począł prosząc, by do komnat wróciła, bo z ganku zimno leci.

– Dobranoc, królowo miła – mówił – śpij smaczno, bo ja to chyba oka nie zmrużę o twojej gładości rozmyślając!

– Byleś waćpan czego szpetnego nie upatrzył. Ale lepiej dam waćpanu człowieka z kagankiem, bo to i wilków pod Wołmontowiczami nie brak.

– A cóż to ja koza, żebym się wilków miał bać? Wilk żołnierzowi przyjaciel, bo często się z jego ręki pożywi. Wzięło się też i bandolecik do sanek. Dobra-noc, najmiłsza, dobranoc!

– Z Bogiem!

To rzekłszy Oleńka cofnęła się, a pan Kmicic ruszył ku gankowi. Ale po drodze, w szparze uchylonych

drzwi do czeladnej, dojrzał kilka par oczu dziewcząt, które spać się nie pokładły, aby go ujrzeć raz jeszcze. Tym posłał pan Jędrzej żołnierskim obyczajem całusa od ust ręką i wyszedł. Po chwili zabręczał dzwonek i jał brzęczeć zrazu głośno, potem coraz bardziej mdlejącym dźwiękiem, coraz słabiej, wreszcie ustał.

Cicho się zrobiło w Wodoktach, aż ta cisza zdziwiła pannę Aleksandrę; w uszach jej jeszcze brzmiały słowa pana Andrzeja, słyszała jeszcze jego śmiech szczery, wesoły, w oczach stała bujna postać młodzieńca, a teraz, po tej burzy słów, śmiechu i wesołości, takie dziwne nastąpiło milczenie. Paniątka nadstawiła uszu, czy nie dosłyszysz jeszcze choć tego dzwonka od sanek. Ale nie! już on tam dzwonił gdzieś w lasach, pod Wołmontowiczami. Więc mocna tęsknota ogarnęła dziewczynę – i nigdy nie czuła się tak samotną na świecie.

Z wolna wzięwszy świecę, przeszła do izby sypialnej i klękała do pacierzy. Zaczynała je z pięć razy, nim wszystkie z należytą powagą odmówiła. Ale potem jej myśli jakby na skrzydłach pognały do tych sanek i do tej postaci w nich siedzącej... Bór z jednej strony, bór z drugiej, w środku szeroka droga, a on sobie jedzie... pan Andrzej! Tu Oleńce wydało się, że widzi jak na jawie płową czuprynę, siwe oczy i śmiejące się usta, w których błyszcząły białe jak u młodego psiaka zęby. Trudno bowiem miała przed sobą zapierać poważna panna, że jej się okrutnie podobał ów rozhukany kawaler. Zaniepokoił ją trochę, trochę przestraszył, ale jakże pociągnął zarazem właśnie tą fantazją, tą wesołą swobodą i szczerością. Aż się wstydziała, że jej się podobał nawet ze swojej pychy, kiedy to na

wzmiankę o opiekunach głowę jakby turecki dzianet podniósł i mówił: „Sami nawet Radziwiłłowie birzańscy nic tu do opieki nie mają...” – To nie niewieściuch, to mąż prawdziwy! – mówiła sobie panna. – Żołnierz jest, jakich dziaduś najwięcej miłował... Bo i warto!

Tak rozmyślała paniątka – i to ją ogarniała błogość niczym nie zmacona, to niepokój, ale i ten niepokój był jakiś luby. Potem zaczęła się rozbierać, gdy drzwi skrzypnęły i weszła ciotka Kulwiecówna ze świecą w rękę.

– Strasznieście długo siedzieli! – rzekła. – Nie chciałam młodym przeszkadzać, żebyście się sami pierwszym razem nagadali. Grzeczny wydaje się kawaler. A tobie jak się udał?

Panna Aleksandra zrazu nic nie odpowiedziała, jeno bosymi już nóżkami przybiegła do ciotki, zarzuciła jej ręce na szyję, a złożony swą jasną głowę na jej piersiach rzekła pieszczotliwym głosem:

– Ciotuchna, aj, ciotuchna!

– Oho! – mruknęła stara panna podnosząc w górę oczy i świecę.



## ROZDZIAŁ II

We dworze w Lubiczu; gdy przedeń pan Andrzej zajechał, okna gorzały i gwar dochodził aż na podwórze. Czeladź usłyszawszy dzwonek wypadła przed sień, by pana witać, bo wiadano od kompanionów, że przyjedzie. Witano go zatem pokornie, całując po rękach i podejmując pod nogi. Stary wódarz Znikis stał w sieni z chlebem i solą i bił pokłony czołem; wszyscy poglądali z niepokojem i ciekawością, jak też przyszedł pan wygląda. On zaś kieskę z talarami na tacę rzucił i o towarzyszków pytał, zdziwiony, że żaden naprzeciw jego gospodarskiej mości nie wyszedł.

Ale oni nie mogli wyjść, bo już ze trzy godziny byli za stołem, zabawiając się kielichami, i może nawet nie zauważyli brzęczenia dzwonek za oknem. Gdy jednak wszedł do izby, ze wszystkich piersi wyrwał się gromki okrzyk: „*Haeres! haeres* przyjechał!” – i wszyscy kompanionowie zerwawszy się z miejsc poczęli iść do niego z kielichami. On zaś wziął się pod boki i śmiał się poznawszy, jako sobie już dali rady w jego domu i zdążyli podpisać, nim przyjechał. Śmiał się coraz mocniej, widząc, że przewracają zydle po drodze i słańają się, i idą z powagą pijacką. Przed innymi szedł olbrzymi pan Jaromir Kokosiński, Pypką się pieczętujący, żołnierz i burda sławny, ze straszną blizną przez czoło, oko i policzek, z jednym wąsem krótszym, drugim dłuższym, porucznik i przyjaciel pana Kmicica, „godny kompanion”, skazany na utratę czci i gardła w Smoleńskiem za porwanie panny, zabójstwo i podpalenie. Jego to teraz osłaniała przed karą wojna i protekcja pana Kmicica, który był mu rówieśnikiem, i fortuny ich w Orszańskiem, póki swojej pan Jaromir nie przehulał, leżały o miedzę. Szedł on tedy teraz trzymając w obu rękach roztruchanik, uszniak. dębniakiem wypełniony. Za nim szedł pan Ranicki, herbu Suche Komnaty, rodem z województwa mściławskiego, z którego był banitem za zabójstwo dwóch szlachty posesjonatów. Jednego w pojedynku usiekł, drugiego bez boju z rusznicy zastrzelił. Mienia nie posiadał, choć znaczne ziemie po ojcach odziedziczył. Wojna go także przed katem chroniła. Zawadiaka to był, w ręcznym spotkaniu niezrównany. Trzeci z kolei szedł Rekuć-Leliwa, na którym krew nie ciężyla, chyba nieprzyjacielska. Fortunę on za to w kości przegrał i przepił – od trzech lat przy panu Kmicicu się wieszał. Z nim szedł czwarty, pan Uhlik, także Smoleńszczanin, za rozpędzenie trybunatu bezecnym ogłoszony i na gardło skazany. Pan Kmicic go ochraniał, gdyż na czekaniu pięknie grywał. Był prócz nich i pan Kulwiec-Hippocentaurus, wzrostem Kokosińskiemu równy, siłą jeszcze go przewyższający – i Zend, kawalkator, który zwierza i wszelkie ptactwo udawać umiał, człowiek niepewnego pochodzenia, choć się szlachcicem kurlandzkim powiadał; będąc bez fortuny, konie Kmicicowe ujeżdżał, za co lafę pobierał.

Ci tedy otoczyli śmiejącego się pana Andrzeja; Kokosiński podniósł uszniak do góry i zaintonował:

Wypijże z nami, gospodarzu miły,  
gospodarzu miły!  
Byś pić mógł z nami aż do mogiły,  
aż do mogiły!

Inni powtórzyli chórem, po czym pan Kokosiński wręczył Kmicicowi uszniak, a jemu samemu podał zaraz inny puchar pan Zend.

Kmicic podniósł w górę roztruchan i zakrzyknął:

– Zdrowie mojej dziewczyny!

– *Vivat! Vivat!* – krzyknęły wszystkie głosy, aż szyby poczęły drżeć w ołowianych oprawach.

– *Vivat!* Przejdzie żałoba, będzie weselisko!

Pytania poczęły się sypać:

– A jakoż wygląda? Hej! Jędrus! bardzo gładka? Czy taka, jak sobie imaginowałeś? Jestli druga taka w Orszańskim?

– W Orszańskim? – zawołał Kmicic. – Kominy przy niej naszymi orszańskimi pannami zatykać!... Do stu piorunów! nie masz takiej drugiej na świecie!

– Tegośmy dla cię chcieli! – odpowiedział pan Ranicki. – Ano, kiedy wesele?

– Jak się żałoba skończy.

– Furda żałoba! Dzieci się czarne nie rodzą, jeno białe!

– Jak będzie wesele, to nie będzie żałoby. Ostro, Jędrusiu!

– Ostro, Jędrusiu! – poczęli wołać wszyscy razem. – Już tam chorążętom orszańskim tęskno z nieba na ziemię! – krzyknął Kokosiński.

– Nie daj czekać niebożętom!

– Mości panowie! – rzekł cienkim głosem Rekuć-Leliwa – popijem się na weselu jak nieboskie stworzenia!

– Moi mili barankowie – odpowiedział Kmicic pofolgujcie mi albo lepiej mówiąc: idźcie do stu diabłów, niechże się po moim domu obejrzą!

– Na nic to! – odparł Uhlik. – Jutro oględziny, a teraz pospołu do stołu; jeszcze tam parę gąsiorków z pełnymi brzuchami stoi.

– My tu już za ciebie oględziny odprawili. Złote jabłko ten Lubicz! – rzekł Ranicki.

– Stajnia dobra! – wykrzyknął Zend -jest dwa bachmaty, dwa husarskie przednie, para żmudzi-  
nów i para kałmuków, i wszystkiego po parze jak oczu w głowie. Stadninę jutro obejrzym.

Tu Zend zarżał jak koń, a oni się dziwili, że tak doskonale udaje, i śmieli się.

– Takież tu porządki? – spytał uradowany Kmicic.

– I piwniczka jako się patrzy – zapiszczał Rekuć – ankary smoliste i gąsiory spleśniałe jakoby chorągwie w ordynku stoją.

– To chwała Bogu! siadajmy do stołu! – Do stołu! do stołu!

Ale zaledwie siedli i ponalewali kielichy, gdy Ranicki znów zerwał się.

– Zdrowie podkomorzego Billewicza!

– Głupi! – odparł Kmicic. – Jakże to? Nieboszczyka zdrowie pijesz?

– Głupi! – powtórzyli inni. – Zdrowie gospoilarskie!

– Wasze zdrowie!...

– By nam się w tych komnatach dobrze działo! Kmicic rzucił mimo woli okiem po izbie jadalnej i ujrzał na poczerniałej ze starości modrzewiowej ścianie rząd oczu surowych w siebie utkwionych. Oczy te patrzyły ze starych portretów billewiczowskich wiszących nisko, na dwa łokcie od ziemi; bo i ściana była niska. Nad obrazami długim, jednostajnym szeregiem wisały czaszki żubrów, jeleni, łosie, w koronach z rogów, niektóre już szerniałe, widocznie bardzo stare, inne połyskujące białością. Wszystkie cztery ściany były nimi ubrane.

– Łowy tu muszą być przednie, bo widzę i zwierza dostatek! – rzekł Kmicic.

– Jutro zaraz pojedziem albo pojutrze. Trzeba i okolicę poznać – odparł Kokosiński. – Szczęśliwyś ty, Jędrusiu, że masz gdzie głowę przytulić!

– Nie tak jak my! – jęknął Ranicki.

– Wypijmy na pocieszenie! – rzekł Rekuć.

– Nie! nie na pocieszenie! – odpowiedział Kulwiec-Hi.pocentaurus – ale jeszcze raz za zdrowie Jędrusia, naszego rotmistrza kochanego! On to, moi mości panowie, przytulił nas tu w swoim Lubiczu, nas, biednych exulów, bez dachu nad głową.

– Słusznie mów! – zawołało kilka głosów. Nie taki głupi Kulwiec, jak się wydaje.

– Ciężka nasza dola! – pisał Rekuć. – W tobie cała nadzieja, że nas za wrota, sierot biednych, nie wygonisz.

– Dajcie spokój! – mówił Kmicic – co moje, to i wasze!

Na to powstali wszyscy ze swych miejsc i poczęli go w ramiona brać. Łzy rozczulenia płynęły po tych twarzach srogich i pijackich.

– W tobie cała nadzieja, Jędrusiu! – wołał Kokosiński – choć na grochowinach pozwól się przespać, nie wyganiaj!

– Dajcie spokój! – powtarzał Kmicic.

– Nie wyganiaj! i tak nas wygnali, nas, szlachtę i familiantów! – wołał załośnie Uhlik.

– Do stu kaduków! Któż was wygania? jedzcie, pijcie, śpijcie, czego, u diabła, chcecie?

– Nie przecz, Jędrusiu – mówił Ranicki, na którego twarz wystąpiły cętki jak na skórze rysia nie przecz, Jędrusiu, przepadliśmy z kretesem...

Tu się zaciął, przyłożył palec do czoła, jakby głowę wysiłał, i nagle rzekł spojrzawszy baraniami oczyma na obecnych:

– Chyba, że się fortuna odmieni!

A wszyscy zawrzaśli zaraz chórem:

– Co się nie ma odmienić!

– Jeszcze za swoje zapłacimy. – I do fortun dojdziem.

– I do godności!

– Bóg niewinnym błogosławi. Dobra nasza, mości panowie!

– Zdrowie wasze! – zawołał Kmicic.

– Święte twoje słowa, Jędrusiu! – odparł Kokosiński nadstawiając mu swe pucołowate policzki.

Bogdaj nam się lepiej działo!

Zdrowia zaczęły krążyć, czupryny dymić. Gadali wszyscy jeden przez drugiego, a każdy siebie tylko słuchał, z wyjątkiem pana Rekucia, bo ten głowę spuścił na piersi i drzemał. Po chwili Kokosiński jął śpiewać: „Len mędlila na mędlicy!” – co widząc pan Uhlik dobył z zanadrza czekanika i nuż wtórować, a pan Ranicki, wielki fechtmistrz, fechtował się gołą ręką z niewidzialnym przeciwnikiem, powtarzając półgłosem:

– Ty tak, ja tak! ty tniesz, ja mach! raz! dwa! trzy! – szach!

Olbrzymi Kulwicz-Hippocentaurus wytrzeszczał oczy i przypatrywał się pilnie czas jakiś Ranickiemu, na koniec kiwnął ręką i rzekł:

– Kiep z ciebie! Machaj zdrów, a tak i Kmicicowi na szable nie dotrzymasz.

– Bo jemu nikt nie dotrzyma; ale ty się spróbuj! – I ze mną na pistolety nie wygrasz.

– O dukat strzał!

– O dukat! A gdzie i do czego?

Ranicki powlókł wzrokiem naokoło, na koniec wykrzyknął ukazując na czaszki:

– Między rogi! o dukat!

– O co? – spytał Kmicic.

– Między rogi! o dwa dukaty! o trzy! Dawajcie pistolety!

– Zgoda! – krzyknął pan Andrzej. – Niech idzie o trzy. Zend! po pistolety!

Poczeli krzyczeć wszyscy coraz głośniej i targować się ze sobą; tymczasem Zend wyszedł do sieni i po małej chwili wrócił z pistoletami, workiem kul i rogiem z prochem.

Ranicki chwycił za pistolet. – Nabity? – spytał.

– Nabity!

– O trzy! cztery! pięć dukatów! – wrzeszczał pijany Kmicic.

– Cicho! Chybisz, chybisz!

– Utrafię, patrzcie!... at! do tej czaszki, między rogi... raz, dwa!...

Wszyscy zwrócili uwagę na potężną czaszkę łosia wiszącą wprost Ranickiego; on zaś wyciągnął rękę. Pistolet chwiał mu się w dłoni.

– Trzy! – wykrzyknął Kmicic.

Strzał huknął, izba napełniła się dymem prochowym.

– Chybił, chybił! ot, gdzie dziura! – wołał Kmicic ukazując ręką na ciemną ścianę, z której kula odłupała wiór jaśniejszy.

– Do dwóch razy sztuka!

– Nie!... dawaj mnie! – wołał Kulwicz.

W tej chwili wpadła na odgłos strzału przerażona czeladź.

– Precz! precz! – krzyknął Kmicic. – Raz! dwa! trzy!...

Znów huknął strzał, tym razem drzazgi posypały się z kości.

– A. dajcie i nam pistolety! – zakrzyknęli wszyscy naraz.

I zerwawszy się poczęli grzmocić pięściami po karkach pacholców, chcąc ich do pośpiechu zachęcić. Nim upłynął kwadrans, cała izba grzmiała wy strzałami. Dym przesłonił światło świec i postacie strzelających. Hukom wystrzałów towarzyszył głos Zenda, który krakał jak kruk, kwilił jak sokół, wył jak wilk, ryczał jak tur. Co chwila przerywał mu świst kul; drzazgi leciały z czaszek, wióry ze ścian i z ram portretów; w zamieszaniu postrzelano i Billewiczów, a Ranicki wpadłszy w furję siekł ich szablą.

Zdumiona i wylękła czeladź stała jakby w obłąkaniu, poglądając wytrzeszczonymi oczyma na tę zabawę, która do napadu tatarskiego była podobna. Psy poczęły wyć i szczekać. Cały dom zerwał się na nogi. Na podwórzu zebrały się kupki ludzi. Dziewki dworskie biegly pod okna i przykładając twarze do szyb, płaszcząc nosy spoglądały, co się dzieje we środku.

Dojrzał je na koniec pan Zend; świstnął tak przeraźliwie, że aż w uszach wszystkim zadzwoniło, i krzyknął:

– Mości panowie! sikorki pod oknami! sikorki! – Sikorki! sikorki!

– Dalej w płasy! – wrzeszczały niesforne głosy. Pijana czereda skoczyła przez sień na ganek. Mróz nie otrzeźwił głów dymiących. Dziewczęta krzycząc wniebogłosy rozbiegły się po całym podwórzu; oni zaś gonili je i każdą schwytaną odprowadzali do izby. Po chwili poczęły się płasy wśród dymu, złamków kości, wiórów, wokół stołu, na którym porozlewane wino utworzyło całe jeziora.

Tak to bawili się w Lubiczu pan Kmicic i jego dzika kompania.

## ROZDZIAŁ III

Przez następne dni kilka codziennie bywał pan Andrzej w Wodoktach i co dzień wracał więcej rozkochany, i coraz bardziej podziwiał swoją Oleńkę. Przed kompanionami też ją pod niebiosa wychwalał, aż pewnego dnia rzekł im:

– Moi mili barankowie, pojedziecie dziś czołem bić, potem zaś umówiliśmy się z dziewczyną, że do Mitrunów wszyscy wyruszymy, aby sanny w lasach zażyć i tę trzecią majątność obaczyć. Ona też nas tam podejmować będzie gościnnie, a wy się przystojnie zachowajcie, bo na bigos posiekam, któren by jej w czymkolwiek uchybił...

Kawalerowie chętnie skoczyli się ubierać i wkrótce cztery pary sani wiozło ochoczą młodzież do Wodoktów. Pan Kmicic siedział w pierwszych, bardzo ozdobnych, kształt niedźwiedzia srebrzystego mających. Ciągnęło je trzy kałmuki zdobywcze w pstrą uprząż przybrane, we wstążki i pióra pawie, wedle mody w Smoleńskim, którą od dalszych sąsiadów Smoleńszczanie przejęli. Powoził pacholek siedzący w szyi niedźwiedziej. Pan Andrzej, przybrany w zieloną aksamitną bekieszę spinaną na złote pętlice a podbitą sobolami i w soboli kołpaczek z czaplím wichrem, wesół był, ochoczy i tak mówił do siedzącego obok pana Kokosińskiego:

– Słuchaj, Kokoszko! Podswawoliliśmy pono przez te wieczory nad miarę, a zwłaszcza pierwszego, gdy się to czaszkom i portretom dostało. Ba, dziewczęta były jeszcze gorsze. Zawsze diabeł Zenda podnieci, a potem na kim się skrupi? – na mnie! Boję się, żeby ludzie nie rozgadali, bo tu chodzi o moją reputację.

– Powieśże się na twojej reputacji, bo na nic innego niezdatna, tak jak i nasze.

– A kto temu winien, jeśli nie wy? Pamiętaj, Kokoszko, że to i w Orszańskim mieli mnie przez was za niespokojnego ducha, i języki na mnie ostrzyli jako noże na osełce.

– A kto pana Tumgrata na mrozie przy koniu prowadził? Kto owego koroniarza usiekl, któren się pytał, czy w Orszańskim już na dwóch nogach chodzą, czyli jeszcze na czterech? Kto panów Wyzińskich, ojca i syna, poszczerbił? Kto sejmik ostatni rozpędził?

– Sejmik rozpędziłem w Orszańskim, nie gdzie indziej, to domowa rzecz. Pan Tumgrat odpuścił mi umierając, a co do reszty, to nie wymawiaj, gdyż pojedynk najniewinniejszemu się zdarzy.

– Jam ci też wszystkich nie wymienił, o inkwizycjach wojskowych także nie wspomniałem, których dwie cię w obozie czeka.

– Nie mnie, ale was, bom ja tyle jeno winien, żem wam obywatelów rabować dozwolił. Ale mniejsza z tym. Stulże pysk, Kokoszko, i nie powiadaj o niczym słowa Oleńce, ani o pojedynkach, ani zwłaszcza o owym strzelaniu do portretów i o dziewczętach. Gdyby się wydało, na was winę złożę. Czeladzi już wspomniałem i dziewczkom, że niechby które słowem wspomniało, każę pasy drzeć.

– Każ się podkuć, Jędrusiu, kiedy się tak dziewczyny boisz. Inny ty byłeś w Orszańskim. Widzę to już, widzę, że będziesz na pasku chodził, a to na nic! Któryś filozof starożytny powiada: „Jak nie ty Kachnę, to Kachna ciebie!” Dałeś się już we wszystkim usidlić.

– Głupiś, Kokoszko! A co do Oleńki, będziesz i ty z nogi na nogę przestępował, jak ją zobaczysz, bo białogłowy z tak grzecznym umysłem drugiej nie znaleźć. Co dobre, to ona wraz pochwali, a co złe, tego zganić nie omieszka, bo wedle cnoty sądzi i w niej ma gotową miarę. Tak ją już nieboszczyk podkomorzy wychował. Zechcesz przed nią fantazję kawalerską okazać i pochwalisz się, żeś prawo zdeptał, to ci potem jeszcze wstyd: bo zaraz rzeknie, że zacny obywatel tego czynić nie powinien, gdyż to jest przeciw ojczyźnie... Tak ona rzeknie, a tobie jakby kto w pysk dał i aż ci dziwno, żeś wprzódy sam tego nie rozumiał... Tfu! wstyd! warcholiliśmy się okrutnie, a teraz trzeba przed cnotą i niewinnością oczami świecić... Najgorsze były te dziewczęta!...

– Wcale nie były najgorsze. Słyszałem, że tu po zaściankach szlachcianki jako krew z mlekiem i podobno zgoła nieoporne.

– Kto ci to powiadał? – spytał żywo Kmicic.

– Kto powiadał? Kto, jeśli nie Zend! Wczoraj dzianeta dereszowatego próbując pojechał do Wołmontowicz; przejechał jeno drogą, ale widział siła sikorek, bo z nieszpórów wracały. „Myślałem – powiada – że z kania zlecę, tak chędogie i gładkie.” A co na którą spojrział, to mu zaraz wszystkie zęby pokazała. I nie dziw! Co tęższe chłopcy między szlachtą to do Rosień poszli, a sikorkom przykrzy się samym.

Kmicic trącił kułakiem w bok towarzysza:

– Pojedziemy, Kokoszko, kiedy wieczorem, niby zbłądziwszy – co?

– A twoja reputacja?

– O, do diabła! Stulże gębę! Jedźcie sami, kiedy tak; albo lepiej zaniechajcie i wy! Nie obeszkło by się bez hałasów, a z tutejszą szlachtą chcę zgodnie żyć, bo ich opiekunami Oleńki nieboszczyk podkomorzy wyznaczył.

– Mówiłeś o tym, alem nie chciał wierzyć. Skąd mu taka konfidencja z szarakami?

– Bo na wojnę z nimi chadzał, i to słyszałem jeszcze w Orszy, jak mawiał, że cnotliwa krew w tych laudańskich. Ale żeby ci prawdę, Kokoszko, powiedzieć, to i mnie zrazu dziwno było, bo to tak, jakoby ich stróżami nade mną uczynił.

– Musisz się im akomodować i do wiehciów w butach kłaniać.

– Wpierw ich powietrze wydusi. Cicho bądź, bo mi gniewno! Oni to będą mi się kłaniali i służyli. Chorągiew to gotowa na każde zawołanie.

– Już tam kto inny będzie tej chorągwi rotmistrzował. Powiada Zend, że tu jest jakiś pułkownik między nimi... Zapomniałem przezwiska... Wołodyjowski czy kto? On pod Szklowem im przywodził. Dobrze podobno stawali, ale ich tam i wyczesano!

– Słyszałem ja o jakimś Wołodyjowskim, sławnym żołnierzu... Ale oto Wodokty już widać.

– Hej, dobrze tu ludziom na tej Żmudzi, bo wszędy okrutne porządki. Stary musiał być zawołany gospodarz... I dwór, widzę, jak się patrzy. Ich tu rzadziej nieprzyjacieli pali, to się i budować mogą.

– Myślę, że o tej swawoli w Lubiczu nie może ona jeszcze wiedzieć – rzekł jakby do siebie samego Kmicic.

Po czym zwrócił się do towarzysza:

– Moja Kokoszko, zapowiadam tobie, a ty powtórz jeszcze raz innym, że tu musicie się przystojnie zachować, a niech który sobie w czymkolwiek pofolguje, jak mi Bóg miły, na sieczkę potnę.

– No! ależ cię osiodłali!

– Osiodłali, nie osiodłali – tobie zasię!

– Nie patrz mi na Kasie, bo ci do niej zasię – rzekł flegmatycznie Kokosiński.

– Pal z bata! – krzyknął na woźnicę Kmicic. Pacholek, stojący w szyi srebrzystego niedźwiedzia, zakręcił batem i wystrzelił bardzo sprawnie, inni woźnice poszli za jego przykładem i zajęli wśród trzaskania, rażno, wesoło, jakoby kulig.

Wysiadłszy z sanek weszli naprzód do sieni, ogromnej jak spichrz, nie bielonej, a stąd prowadził pan Kmicic do jadalnej izby, przybranej jak w Lubiczu w czaszki pobitych zwierząt. Tu się zatrzymali poglądając pilnie i ciekawe na drzwi do sąsiedniej komnaty, z której wyjść miała panna Aleksandra. Tymczasem, mając widocznie w pamięci ostrzeżenie pana Kmicica, rozmawiali ze sobą tak cicho jak w kościele.

– Tyś chłop mowny – szeptał pan Uhlik do Kokosińskiego – ty ją powitasz od nas wszystkich.

– Układałem sobie przez drogę – odrzekł pan Kokosiński – ale nie wiem, czyli będzie dość gładko, ba mi Jędrus do konceptu przeszkadzał.

– Byle z fantazją! co ma być, niech będzie! Ot, idzie już!...

Panna Aleksandra weszła rzeczywiście i zatrzymała się trochę u proga, jakby zdziwiona tak liczną kompanią, a i pan Kmicic stał przez chwilę jak wryty od podziwu nad jej urodą, bo ją dotąd tylko wieczorami widywał, a przy dniu wydawała się jeszcze piękniejsza. Oczy jej miały barwę

chabru, czarna brew nad nimi odbijała od białego czoła jak heban, a płowy włos lśnił się jakby korona na głowie królowej. I patrzyła śmiało, oczu nie spuszcżając, jako pani w swoim domu gości przyjmująca, z jasną twarzą, odbijającą jeszcze jaśniej od czarnej jubki obramowanej gronostajami. Tak poważnej i wyniosłej panny nie widzieli jeszcze ci zabijakowie, przywykli do innego pokroju niewiast, toteż stali szeregiem, jakoby na popisie chorągwi, i szurgając nogami kłaniali się także szeregiem, a pan Kmicic sunął naprzód i ucałowawszy kilkanaście razy rękę panienci rzekł:

– Otom ci przywiózł, mój klejnocie, komilitonów moich, z którymi ostatnią wojnę odbywałem.

– Honor to dla mnie niemały – odrzekła Billewiczówna – przyjmować w domu tak godnych kawalerów, o których cnotcie i wybornych obyczajach już od pana chorążego słyszałam.

To powiedziawszy uchwyciła się koniuszkami palców za suknię i podnosząc ją nieco, dygnęła z nadzwyczajną p(r) wagą, a pan Kmicic wargi przygryzł, ale jednocześnie aż pokraśniał, że tak jego dziewczyna mówiła śmiało.

Godni kawalerowie, szurgając wciąż nogami, tręcali, jednocześnie pana Kokosińskiego.

– Hajda! wystąp!

Pan Kokosiński posunął się krok naprzód, chrząk nął i tak rozpoczął:

– Jaśnie wielmożna panno podkomorzanko... – Łowczanko – poprawił Kmicic.

– Jaśnie wielmożna panno łowczanko, a nam wielce miłościwa dobrodziejko! – powtórzył zmieszany pan Jaromir – wybacż waćpanna, jeżeli się w godności pomylił...

– Niewinna to omyłka – odrzekła panna Aleksandra – i nic ona tak wymownemu kawalerowi nie ujmie...

– Jaśnie wielmożna panno łowczanko dobrodziko, a nam wielce miłościwa pani!... Nie wiem, co mi w imieniu całego Orszańskiego więcej wysławiać przystoi, czy nadzwyczajną waćpanny dobrodziki urodę i cnotę, czy niewypowiedzianą szczęśliwość rotmistrza i komilitona naszego, pana Kmicica, bo chociażbym się wzbil pod obłoki, chociażbym samych obłoków dosięgnął... samych, mówię, obłoków...

– A zleżę już raz z tych obłoków! – zakrzyknął Kmicic.

Na to kawalerowie parsknęli jednym ogromnym śmiechem i nagle, wspomniawszy na przykaz Kmicica, chwycili się rękoma za wąsy.

Pan Kokosiński zmieszał się do najwyższego stopnia, zaczerwienił się i rzekł:

– Witajcieże sami, poganie, kiedy mnie konfundujecie!

Wtem panna Aleksandra ujęła się znowu koniuszkami palców za suknię.

– Nie sprostałabym ja waćpanom w wymowie rzekła – ale to wiem, że niegodna tych hołdów, które mi w imieniu całego Orszańskiego składacie.

I znowu dygnęła z nadzwyczajną powagą, a orszańskim zabijakom jakoś nieswojsko było wobec tej dwornej panny. Starali się pokazać jako ludzie grzeczni i nie szło im w ład. Więc poczęli ciągnąć się za wąsy, mruzczyć, kłaść ręce na szable, aż Kmicic rzekł:

– Przyjechaliśmy tu niby kuligiem w tej myśli, żeby waćpannę zabrać i do Mitrunów przez lasy przewieźć, jako wczoraj była ugoda. Sanna okrutna, a i pogodę Bóg zdarzył mroźną.

– Jużem ja ciotkę Kulwecównę do Mitrunów wysłała, żeby nam posiłek przyrzadziła. A teraz maluczko waćpanowie poczekacie, jeno się nieco cieplej przyodzieje.

To rzekłszy zawróciła się i wyszła, a Kmicic skoczył do towarzyszy.

– A co, mili barankowie? nie księżna?... A co, Kokoszko? to mnie, mówiłeś, osiodłała, a czemu to jako żak przed nią stałeś?... Gdzieś taką widział?

– Nie trzeba mi było w gębę dmuchać, choć nie neguję, że się do takiej osoby mówić nie spodziewałem.

– Nieboszczyk podkomorzy – rzekł Kmicic więcej z nią w Kiejdanach na dworze księcia wojewody albo u państwa Hlebowiczów przesiadywał niż w domu, i tam to tych górnych manier nabrała. A uroda – co?... Pary jeszcze nie umiecie z gęby puścić!

– Pokazaliśmy się jak kpy! – rzekł ze złością Ranicki – ale największy kiep Kokosiński!

– O zdrajco! Mnieś to łokciem pchał – trzeba ci było samemu ze swoją cętkowaną gębą wystąpić!

– Zgodą, barankowie, zgodą! – rzekł Kmicic. Dziwić się wam wolno, ale nie kłócić.

– Ja bym za nią w ogień skoczył! – zawołał Rekuć. – Zetnij, Jędrusiu, ale tego nie zaprę!

Kmicic jednak nie myślał ścinać, owszem, kontent był, węża pokręcał i triumfalnie na towarzyszyów poglądał. Tymczasem weszła panna Aleksandra ubrana już w kuni kołpaczek, pod którym jasna jej twarz wydawała się jeszcze jaśniejszą. Wyszli na ganek.

– To tymi saniami pojedziem? – pytała panienka ukazując na srebrzystego niedźwiedzia – jeszcze też słusznieszych sani w życiu nie widziała.

– Nie wiem, kto tam nimi przedtem jeździł, bo zdobyczne. Teraz my we dwoje będziemy jeździli, i bardzo się nadadzą, gdyż i u mnie w herbie panna na niedźwiedziu się prezentuje. Są inni Kmicicowie, którzy się Chorągwiami pieczętują, ale ci idą od Filona Kmity Czarnobyłskiego, a ten zaś znów nie był z tego domu, z którego wielcy Kmitowie się wywodzili.

– A onego niedźwiadka kiedyżeś waćpan zdobył? – A teraz, w tej już wojnie. My biedni exules, którzyśmy od fortun odpadli, to jeno mamy, co wojna łupem da. A żem tej pani wiernie służył, więc i nagrodziła.

– Dałby Bóg szczęśliwszą, bo ta jednego nagrodzi, a całej ojczyźnie miłej łzy wyciska.

– Bóg to odmieni i hetmani.

To mówiąc Kmicic otulał panienkę fartuchem od sani, pięknym, z białego sukna i białymi wilkami podszytym; potem sam siadł, krzyknął na woźnicę: „Ruszaj!” – i konie zerwały się z miejsca do biegu.

Zimne powietrze pędem uderzyło o ich twarze; więc zaniemówili i słyhać było tylko świst zmarzłego śniegu pod płozami, parskanie koni, tętent i krzyk woźnicy.

Wreszcie pan Andrzej pochylił się ku Oleńce:

– Dobrze waćpannie?

– Dobrze – odrzekła podnosząc zarękawek i przytulając go do ust, by pęd powietrza zatamować. Sanie gnały jak wichur. Dzień był jasny, mroźny.

Śnieg migotał, jakby kto nań iskry sypał; z białych dachów chat podobnych do kup śnieżnych strzelały wysokimi kolumnami dymy różowe. Stada wron polatywały przed saniami wśród bezlistnych drzew przydrożnych z krakaniem donośnym.

O dwie staje za Wodoktami wpadli na szeroką drogę, w ciemny bór, który stał głuchy, sędziwy i cichy, jakby spał pod obfitą okiścią. Drzewa, migotając w oczach, zdawały się uciekać gdzieś w tył za sanie, a oni lecieli coraz prędzej i prędzej, jak gdyby rumaki skrzydła miały. Od takiej jazdy głowa się zawraca i upojenie ogarnia, więc ogarnęło i pannę Aleksandrę. Przechyliwszy się w tył, zamknęła oczy, całkiem pędowi się oddając. Poczwała słodką niemoc i zdało jej się, że ten bojarzyn orszański porwał ją i pędzi wichrem, a ona, mdlejąca, nie ma siły się oprzeć ani krzyknąć... I lecą, lecą coraz szybciej... Oleńka czuje, że obejmują ją jakieś ręce... czuje wreszcie na wargach jakoby pieczęć rozpaloną i palącą... oczy się jej nie chcą odemknąć, jakoby w śnie. I lecą – lecą! Senną pannę zbudził dopiero głos pytający:

– Miłujeszże mnie? Otworzyła oczy:

– Jako duszę własną!

– A ja na śmierć i żywot!

Znowu soboli kołpak Kmicica pochylił się nad kunim Oleńki. Sama teraz nie wiedziała, co ją upaja więcej: pocałunki czy ta jazda zaczarowana?

I lecieli dalej, a ciągle borem, borem! Drzewa uciekały w tył całymi pułkami. Śnieg szumiał, konie parskwały, a oni byli szczęśliwi.

– Chciałbym do końca świata tak jechać! – zawołał Kmicic.

– Co my czynimy? to grzech! – szepnęła Oleńka.

– Jaki tam grzech! Daj jeszcze grzeszyć.

– Już nie można. Mitruny już niedaleko.



– Daleko czy blisko – wszystko jedno!

I Kmicic podniósł się w saniach, wyciągnął ręce do góry i począł krzyczeć, jakoby w pełnej piersi radości nie mógł pomieścić:

– Hej – ha! hej – ha!

– Hej, a hop! hop! ha! – odezwali się towarzysze z tylnych sani.

– Czego waćpanowie tak pokrzykujecie? – pytała panna.

– A ot tak! z radości! A zakrzyknij no i waćpanna!

– Hej – ha! – rozległ się dźwięczny, cieniutki głosik.

– Mojaż ty królowo! Do nóg ci padnę!

– Kompania się będą śmieli.

Po upojeniu ogarnęła ich wesołość szumna, szalona, jako i jazda była szalona. Kmicic począł śpiewać:

Patrzy dziewczyna, patrzy ze dworu,

Na bujne pola!

„Matus! rycerze idą od boru,

Oj, mojaż doła!”

„Córuś, nie patrzaj – rączkami oczy

Zatknij białymi,

Bo ci serduszko z piersi wyskoczy

Na wojnę z nimi!”

– Kto waćpana wyuczył tak wdzięcznych pieśni? – pytała panna Aleksandra.

– Wojna, Oleńko. W obozie my to sobie z tęskności śpiewali.

Dalszą rozmowę przerwało gwałtowne wołanie z tylnych sani:

– Stój! stój! hej tam – stój!

Pan Andrzej odwrócił się gniewny i zdziwiony, skąd towarzyszom przyszło do głowy wołać na nich i wstrzymywać, gdy wtem o kilkadziesiąt kroków za saniami dojrzał jeźdźca zbliżającego się co koń wyskoczy.

– Na Boga! to mój wachmistrz Soroka; coś się musiało tam stać! – rzekł pan Andrzej.

Tymczasem wachmistrz zbliżywszy się osadził konia tak, że ten aż przysiadł na zadzie, i począł mówić zdyszonym głosem:

– Panie rotmistrzu!... – Co tam, Soroka?

– Upita się pali; biją się!

– Jezus Maria! – zakrzyknęła Oleńka.

– Nie bój się waćpanna... Kto się bije?

– Żołnierze z mieszczanami. W rynku pożar! Mieszczanie się zasiekli i po prezydium do Poniewieża posiali, a jam tu skoczył do waszej miłości. Ledwie tchu mogę złapać...

Przez czas tej rozmowy sanie idące z tyłu nadjechały; Kokosiński, Ranicki, Kulwiec-Hippocentaurus, Uhlik, Rekuć i Zend wyskoczywszy na śnieg otoczyli kołem rozmawiających.

– O co poszło? – pytał Kmicic.

– Mieszczanie nie chcieli obroków dawać ani koniom, ani ludziom, że to asygnacji nie było; żołnierze poczęli gwałtem brać. Oblegliśmy burmistrza i tych, którzy się w rynku zatarasowali. Poczęto ognia dawać i zapaliliśmy dwa domy; teraz gwałt okrutny i we dzwony biją...

Oczy Kmicica poczęły świecić gniewem.

– To i nam trzeba na ratunek! – zakrzyknął Kokosiński,

– Wojsko łyczkowie oprymują! – wołał Ranicki, któremu plamy czerwone, białe i ciemne całą twarz zaraz pokryły. – Szach, szach! mości panowie!

Zend zaśmiał się zupełnie tak, jak śmieje się puszczyk, aż się konie zestrasyły, a Rekuć podniósł oczy w górę i piszczał:

– Bij! kto w Boga wierzy! z dymem łyków!  
– Milczeć! – huknął Kmicic, aż las odegrzmiał, a stojący najbliżej Zend zatoczył się jak pijany. Nic tam po was! nie potrzeba tam siekaniny! Siadać wszyscy w dwoje sani, mnie jedne zostawić i jechać do Lubicza! Tam czekać, chyba bym przysłał po sukurs.  
– Jak to? – zaoponował Ranicki.  
Ale pan Andrzej położył mu rękę pod szyję i tylko oczyma straszniej jeszcze zaświecił.  
– Ni pary z gęby! – rzekł groźnie.  
Umilkli; widać się go bali, chociaż tak zwykle byli z nim poufale.  
– Wracaj, Oleńko, do Wodoktów – rzekł Kmicic – albo jedź po ciotkę Kulwiecównę do Mitrunów. Ot! i kulig się nie udał. Wiedziałem, że oni tam spokojnie nie usiedzą... Ale zaraz tam będzie spokojniej, jeno łbów kilka zleci. Bądź waćpanna zdrowa i spokojna, pilno mi będzie z powrotem...  
To rzekłszy ucałował jej rękę i otulił w wilczurę; potem siadł do innych sani i zakrzyknął na woźnicę:  
– Do Upity!

## ROZDZIAŁ IV

Upłynęło kilka dni, a Kmicic nie wracał, ale za tydzień do Wodoktów przyjechało trzech szlachty laudańskiej na zwiady do panienki. Przyjechał więc Pakosz Gasztowt z Pacunelów, ten, który gościł u siebie pana Wołodyjowskiego, patriarcha zaścianka, słynny z bobactw i sześciu córek z tych trzy były za trzema Butrymami, a dostały każda po sto bitych talarów wiana prócz wyprawy i inwentarzy. Drugi przyjechał Kasjan Butrym, najstarszy człowiek na Laudzie, dobrze Batorego pamiętający, z nim zięć Pakosza, Józwa Butrym. Ten, choć w sile wieku, nie miał bowiem więcej jak lat pięćdziesiąt, a na popis pospolitego ruszenia do Rosień nie poszedł, albowiem w wojnach kozackich kula armatnia stopę mu urwała. Zwano go także z tego powodu kuternogą albo Józwą Beznogim. Był to straszliwy szlachcic, siły niedźwiedziej i wielkiego rozumu, ale surowy, zgryźliwy, ostro ludzi sądzący. Z tego powodu obawiano się go nieco w okolicach, bo przebaczać ani sobie, ani innym nie umiał. Bywał także niebezpieczny, gdy podpiał, ale zdarzało mu się to rzadko.

Ci tedy przyjechali do panny, która przyjęła ich wdzięcznie, choć od razu domyśliła się, że na zwiady przyjeżdżają i usłyszeć coś od niej o panu Kmicicu pragną.

– Bo my do niego chcemy jechać z pokłonem, ale to podobno jeszcze z Upity nie wrócił – mówi Pakosz – tak do ciebie przyjechali pytać, kochanieńka, kiedy można?

– Myślę, że tylko co go nie widać – odrzekła panna. – Rad on wam, opiekunowie, będzie z całej duszy, bo siła dobrego słyszał o was, i dawniej o dziadusia, i teraz ode mnie.

– Byle nas nie chciał przyjąć, jak Domaszewiczó przyjął, gdy do niego z wieścią o śmierci pułkownik przyjechali! – mruknął ponuro Józwa.

Panna dosłyszała i odparła zaraz żywo:

– Wy o to nie bądźcie krzywi. Może i nie dość petycznie ich przyjął, ale już tu swoją omyłkę wyzna. Trzeba też pamiętać, że z wojny szedł, na której tyl trudów i zmartwień przeżył! Żołnierzo- wi się nie dziwić, choć i na kogo fuknie, bo to u nich humory jak szable ostre.

Pakosz Gasztowt, który z całym światem zawsze chciał być w zgodzie, kiwnął ręką i rzekł:

– My też się i nie dziwili! Dzik na dzika fuknie, jak go z nagłą zobaczy, czemu by człek na człeka nie miał fuknąć! My pojedziem po staremu do Lubicza pokłonić się panu Kmicicowi, aby z nami żył, na wojnę i do puszczy chodził jako nieboszczyk pan podkomorzy.

Tak już powiedz, kochanieńka: udał ci się czy nie uda#? – pytał Kasjan Butrym. – Taż to nasza powinność pytać!...

– Bóg wam zapłać za troskliwość. Zaczny to kawaler pan Kmicic, a choćbym też co przeciw upatrzyła, nie godziłoby mi się o tym mówić.

– Aleś nic nie upatrzyła, duszo ty nasza najmilejsza?

– Nic! Zresztą nikt go tu nie ma prawa sądzić, a broń Boże nieufność okazać! Bogu lepiej dziękujmy!

– Co tu zawczasu dziękować?! Jak będzie za co, to i dziękować, a nie, to nie dziękować – odpowiedział posępny Józwa, który jako prawdziwy Żmudzian bardzo był ostrożny i przewidujący.

– A o ślubie wy mówili? – pytał znów Kasjan.

Oleńka spuściła oczy.

– Pan Kmicic chce jak najprędzej...

– Ot, co! jeszcze by nie kciał... – mruknął Józwa – chybaby głupi! A któryż to niedźwiedź nie kce miodu z barci? Ale po co się spieszyć? czy to nie lepiej zobaczyć, co zacz człowiek jest? Ojczy Kasjanie, taż już powiedzcie, co macie na języku, nie drzemcie jako zając o południu pod skibą!

– Jać nie drzemię, jeno sobie w głowę patrzę, co by rzec – odpowiedział staruszek. – Pan Jezus powiedział tak: Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie! My też panu Kmicicowi zła nie życzym, aby i on nam nie życzył, co daj Boże, amen!

– Byle był po naszej myśli! – dodał Józwa.

Billewiczówna zmarszczyła swe sobole brwi i rzekła z pewną wyniosłością:

– Pamiętajcie, asanowie, że nie służę mamy przyjmować. On tu panem będzie, i jego wola ma być, nie nasza. On i w opiece musi waćpanów zastąpić.

– To znaczy, żeby my się już nie wtrącali? – pytał Józwa.

– To znaczy, żebyście mu przyjaciółmi byli, jako on chce być wam przyjacielem. Przecie on tu własnego dobra strzeże, którym każdy wedle upodobania rządzi. Zali nie prawda, ojczu Pakoszu?

– Święta prawda! – odrzekł pacunelski staruszek.

A Józwa znów zwrócił się do starego Butryma:

– Nie drzemcie, ojczu Kasjanie!

– Jać nie drzemię, jeno w głowę patrzę. – To mówcie, co widzicie.

– Co widzę? ot, co widzę... Familiant to jest pan Kmicic, z wielkiej krwi, a my chudopachołki! Żołnierz przy tym sławny; sam on jeden oponował się nieprzyjacielowi, gdy wszyscy ręce opuścili. Daj Boże takich jak najwięcej. Ale kompanię ma nicpotem!... Panie sąsiedzie Pakoszu, cóżeście to od Domaszewiczów słyszeli? – że to wszystko ludzie bezecni, przeciw którym infamie są i kondemnaty, i protesta, i inkwizycje. Katowskie to syny! Ciężcy byli nieprzyjacielowi, ale i obywatelstwu ciężcy. Palili, rabowali, gwałty czynili! ot, co jest! Żeby to tam kogo usiekli albo zajechali, to się i zacnym zdarza, ale oni podobno zgoła tatarskim procederem żyli i dawno by im po wieżach gnić przyszło, gdyby nie protekcja pana Kmicica, któren jest możny pan! Ten ich miłuje i osłania, i przy nim się wieszają jak latem bąki przy koniu. A teraz tu przyjechali i już wszystkim wiadomo, co zasz są. Toż pierwszego dnia w Lubiczu z bandoletów palili – i do kogo? – do wizerunków nieboszczyków Billewiczów, na co pan Kmicic nie powinien był pozwolić, bo to jego dobrodzieje.

Oleńka zatkła oczy rękoma. – Nie może być! nie może być!

– Może, bo było! Dobrodziei pozwolił postrzelać, z którymi w pokrewieństwo miał wejść! A potem dziewczki dworskie powciągali do izby dla rozpusty!...

Tfu! obraza boska! Tego u nas nie bywało!... Pierwszego dnia zaczęli od strzelania i rozpusty! Pierwszego dnia!...

Tu stary Kasjan rozgniewał się i począł stukać kijem w podłogę; na twarz Oleńki biły ciemne rumieńce, a Józwa ozwał się:

– A to wojsko pana Kmicicowe, które w Upicie zostało, to lepsze? Jacy oficjerowie, takie i wojsko! Panu Sołłohubowi bydło zrabowali jacyś ludzie, mówią, że pana Kmicica; chłopów mejszagsolskich, którzy smołę wieźli, na gościńcu pobili. Kto? Też oni. Pan Sołłohub pojechał do pana Hlebowicza po sprawiedliwość, a teraz znów w Upicie gwałt! Wszystko to przeciw Bogu! Spokojnie tu bywało jak nigdzie, a teraz choć rusznicę na noc nabijaj i strażuj a czemu? bo pan Kmicic z kompanią przyjechał!

– Ojczu Józwa! nie mówcie tak! nie mówcie! – zawołała Oleńka.

– A jak mam mówić? Jeśli pan Kmicic nie winien, to po co takich ludzi trzyma, po co z takimi żyje? Wielmożna panna mu powiedz, żeby on ich przepędził albo katu oddał, bo inaczej nie będzie spokoju. A słychana to rzecz strzelać do wizerunków i rozpustę jawnie płodzić? Toż cała okolica jeno o tym gada!

– Co ja mam czynić? – pytali Oleńka. – Może to i źli ludzie, ale on z nimi wojnę odprawiał. Zali wypędzi ich na moją prośbę?

– Jeśli nie wypędzi – mruknął z cicha Józwa to sam taki!

Wtem w pannie poczęła się krew burzyć przeciw tym towarzyszom, zabijakom i kosterom.

– Zresztą, niech tak będzie! Musi ich wypędzić! Niech wybiera mnie albo ich! Jeśli to prawda, co mówicie, a dziś jeszcze będę wiedziała, czy prawda, to im tego nie daruję, ani strzelania, ani rozpusty. Jam sama jedna i słaba sierota, ich kupa zbrojna, aleć się nie ulęknę...

– My ci pomogę! – rzekł Józwa.

– Dla Boga! – mówiła Oleńka unosząc się coraz bardziej – niech sobie czynią, co chcą, ale nie tu, w Lubiczu... Niech będą, jacy chcą, ich to rzecz, ich szyje odpowiedzą, ale niech pana Kmicica nie podmawiają... do rozpusty... Wstyd! hańba!... Myślałam, że to żołnierze niezgrabni, a to, widzę,

zdrajcy niegodni, którzy i siebie, i jego plamą. Tak jest! źle im z oczu patrzyło, ale ja, głupia, nie poznałam się na tym. Dobrze! dziękuję wam, ojcowie, żeście mi oczy na tych judaszów otworzyli... Wiem, co mi czynić przystoi.

– To! to! to! – rzekł stary Kasjan. – Cnota przez cię mówi, a my ci pomożem.

– Wy pana Kmicica nie winujcie, bo choćby co i przeciw stateczności uczynił, to młody jest, a oni go kuszą, oni podmawiają, oni zachęcają do rozpusty przykładem i hańbę na jego imię ściągają! Tak jest! pókim żywa, nie będzie tego długo!

Gniew wzbierał coraz więcej w sercu Oleńki i zawziętość przeciw towarzyszom para Kmicica wzrastała, jak wzrasta ból w ranie świeżo zadanej. Bo też zraniono w niej okrutnie i miłość własną kobiecą, i tę ufność, z jaką całe czyste uczucie oddała panu Andrzejowi. Wstyd jej było za niego i za siebie, a ów gniew i wstyd wewnętrzny szukał przede wszystkim winnych.

Szlachta zaś rada była, widząc swoją pułkownikównę tak groźną i do stanowczej wojny warchołów orszańskich wyzywającą.

Ona zaś mówiła dalej z roziskrzonym wzrokiem:

– Tak jest! oni winni i muszą pójść precz, nie tylko z Lubicza, ale z całej okolicy.

– My też pana Kmicica nie winujem, serceż ty nasze – mówił stary Kasjan. – My wiemy, że to oni go kuszą. Nie ze złością my tu i jadem przeciw niemu przyjechali, jeno z zalem, że zbytników przy sobie trzyma. Toż i wiadomo, że młody, głupi. I pan starosta Hlebowicz za młodu był głupi, a teraz nami wszystkimi rządzi.

– A pies? – mówił wzruszonym głosem pacunelski łagodny staruszek. – Pójdiesz z młodym w pole, a on, dumny, zamiast za zwierzem iść, to ci koło nóg, padło, swawoli i za poły cię ciąga.

Oleńka chciała coś mówić, ale nagle zalała się łzami.

– Nie płacz! – rzekł Józwa Butrym.

– Nie płacz, nie płacz!... – powtarzali dwaj starcy.

I tak ją pocieszali, ale nie mogli pocieszyć. Po ich odjeździe została troska, niepokój i jakby uraza i do nich, i do pana Andrzeja. Dumną pannę bolało coraz głębiej to, że trzeba było go bronić, usprawiedliwiać i tłumaczyć. A ta kompania! Drobne ręce panny zaciskały się na myśl o nich. W oczach jej stawały jakby na jawie twarze pana Kokosińskiego, Uhlika, Zenda, Kulwieca-Hippocentaury i innych – i dostrzegła w nich, czego pierwej nie widziała: że były to bezczelne twarze, na których błazeństwo, rozpusta i zbrodnia wycisnęły pospołu swe pieczęcie. Obce Oleńce uczucie nienawiści poczęło ją opanowywać jak parzący ogień.

Lecz w tej rozterce wzrastała zarazem z każdą chwilą uraza i do pana Kmicica.

– Wstyd! sromota! – szeptała do się dziewczyna zbladłymi ustami. – Co wieczora wracał ode mnie do dziewczek czeladnych!...

I czuła się sama upokorzona. Nieznośne brzemień tamowało jej oddech w piersiach.

Mroczyło się na dworze. Panna Aleksandra chodziła po izbie pospiesznym krokiem i w duszy wrzało jej ciągle. Nie była to natura zdolna znosić prześladowania losu i nie bronić się im. Rycerska krew krążyła w tej dziewczynie. Chciałaby natychmiast rozpocząć walkę z tą zgrają złych duchów – natychmiast! Ale co jej pozostaje!... Nic! jeno łzy i prośba, by pan Andrzej rozpedził na cztery wiatry tych hańbiących kompanionów. A jeśli tego uczynić nie zechce?...

– Jeśli nie zechce...

I nie śmiała jeszcze myśleć o tym.

Rozmyślenia panienki przerwał pacholek, któren wniósł naręcz jałowcowych drewek do kominika i rzuciwszy je wedle trzonu, począł wygarniać węgle spod starego popiołu. Nagłe postanowienie przyszło do głowy Oleńce.

– Kostek! – rzekła – sidziesz mi zaraz na koń i pojedziesz do Lubicza. Jeśli pan już wrócił, proś, żeby tu przyjechał, a jeśli go nie masz, to niech włódarz, stary Znikis, siada z tobą i wraz do mnie przybywa – a żywo!

Chłopak rzucił szczypek smolnych na węgle, przysypał je pniakami suchego jałowcu i skoczył ku drzwiom.

Jasne płomienie poczęły huczeć i strzelać w kominie. Oleńce stało się zaraz nieco lżej na duszy. „Może to Pan Bóg jeszcze odmieni! – pomyślała sobie. – A może to i nie tak źle było, jak opiekunowie mówili... Obaczmy!”

I po chwili przeszła do czeladnej siedzieć odwiecznym obyczajem billewiczowskim ze służbą, prządek' pilnować, pieśni pobożne śpiewać.

Po dwóch godzinach wszedł zmarznięty Kostek.

– Znikis jest w sieni! – rzekł. – Pana nie masz jeszcze w Lubiczu.

Panna zerwała się żywo. Włódarz w sieni schylił się jej do nóg.

– A jak tobie zdrowie, jasna dziewczeczko?... Bóg daj najlepsze! T! Przeszli do izby stołowej; Znikis stanął przy drzwiach.

– Co u was słyhać? – pytała panienka. Chłop kiwnął ręką.

– At! pana nie ma...

– To wiem, że jest w Upicie. Ale w domu co się dzieje?

– At!...

– Słuchaj, Znikis, mów śmieje, włos ci z głowy nie spadnie. Mówią, że pan dobry, jeno kompania swawolniki?

– Żeby to, jasna panieńka, swawolniki!

– Mów szczerze.

– Kiedy, panieńka, mnie nie wolno... ja się boja... Mnie zakazali.

– Kto zakazał?

– Pan...

– Tak?! – rzekła panna.

Nastała chwila milczenia. Ona chodziła spieszenie po pokoju, ze ściśniętymi ustami i namarszczoną brwią, on śledził za nią oczyma.

Nagle stanęła przed nim.

– Czyj ty jesteś?

– A billewiczowski. Jać z Wodoktów, nie z Lubicza.

– Nie wrócisz więcej do Lubicza... tu zostaniesz. Teraz rozkazuję ci gadać wszystko, co wiesz!

Chłop, jak stał w progu, tak rzucił się na kolana.

– Panieńka jasna, ja tam nie kcę wracać, tam sądny dzień!... To, panieńka, zbóje i zbereźniki, tam człek dnia i godziny niepewny.

Billewiczówna zakręciła się w miejscu, jakby strzałą ubodzona. Pobladła bardzo, ale spytała spokojnie;

– Prawdali to, że strzelali w izbie do wizerunków?

– Jak nie strzelali! I dziewczki ciągali po komnatach, i co dzień ta sama rozpusta. We wsi płacz, we dworze Sodoma i Gomora! Woły idą na stół, barany na stół!... Ludzie w ucisku... Stajennego wczoraj niewinnie rozszczepili.

– I stajennego rozszczepili?...

– A jakże! A najgorzej dziewczętom się krzywda dzieje. Już im dworskich nie dość i po wsi łowią...

Nastała znowu chwila milczenia. Gorące rumieńce wystąpiły na twarz panny i nie znikwały już więcej.

– Kiedy się tam pana spodziewają z powrotem?...

– Oni, panieńka, nie wiedzą, jeno słyshałem, jak mówili między sobą, że trzeba jutro całej kompanii do Upity ruszyć. Kazali, żeby konie były gotowe. Mają tu wstąpić i panieńki o czeladź prosić i o prochy, że tam :nogą być potrzebne.

– Mają tu wstąpić?... to dobrze. Idź teraz, Znikis, do kuchni. Już nie wrócisz do Lubicza.

– Ażeby tobie Bóg dał zdrowie i szczęście!...

Panna Aleksandra wiedziała, co chciała, ale też wiedziała, jak jej należy postąpić.

Nazajutrz była niedziela. Rankiem, nim panie z Wodoktów wyjechały do kościoła, przybyli panowie: Kokosiński, Uhlik, Kulwiec-Hippocentaurus, Ranicki, Rękuć i Zend, a za nimi czeladź lubicka, zbrojno i konno, postanowili bowiem kawalerowie iść w pomoc panu Kmicicowi do Upity.

Panna wyszła przeciw nim spokojna i wyniosła, zupełnie inna od tej, która ich witała po raz pierwszy przed kilku dniami; ledwie głową kiwnęła w odpowiedzi na uniżone ich ukłony, ale oni myśleli, że to nieobecność pana Kmicica czyni ją tak ostrożną, i nie poznali się na niczym.

Zaraz tedy wystąpił pan Jarosz Kokosiński, śmielszy już jak za pierwszym razem, i rzekł:

– Jaśnie wielmożna panno łowczanko dobrodziko! My tu po drodze do Upity wstępujemy, aby waćpannie dobrodzice do stópek upaść i o auxilia prosić: jako o prochy, strzelby, i żebyś waćpanna czeladzi swej na koń sieć kazała i z nami jechać. Weźmiemy szturmem Upitę i łyżkom trochę krwi upuścimy.

– Dziwi mnie – odrzekła Billewiczówna – że waćpanowie do Upity jedziecie, gdyż sama słyszałam, jak pan Kmicic wam spokojnie w Lubiczu siedzieć przykazał, a tak myślę, że jemu przystoi rozkazywać, a waszmościom słuchać, jako podkomendnym.

Kawalerowie usłyszawszy te słowa spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Zend wysunął wargi, jak gdyby chciał po ptasiemu zagwizdać, Kokosiński począł się głaskać szeroką dłonią po głowie.

– Jako żywo! – rzekł – myślałby kto, że waćpanna do ciurów pana Kmicica mówisz. Prawda jest, żeśmy mieli w domu siedzieć, ale gdy czwarty dzień idzie, a Jędrusia nie ma, przyszedliśmy do takowej konwikcji, że się tam mógł znaczny jakiś tumult uczynić, w którym i nasze szable się przygodzą.

– Pan Kmicic nie na bitwę pojechał, jeno żołnierzy swawolników karać, co by się łatwo i waćpanom przytrafić mogło, gdybyście przeciw rozkazowi wystąpili. Zresztą prędzej by się tam tumult i siekanina przy was mogła zdarzyć.

– Trudno nam z waćpanną deliberować. Prosim tylko o prochy i ludzi.

– Ludzi i prochów nie dam, słyszysz mnie waćpan!

– Czy ja dobrze słyszę? – rzekł Kokosiński. Jak to waćpanna nie dasz? Kmicicowi, Jędrusiowi, na ratunek będziesz waćpanna żałować? Wolisz, żeby go co złego spotkało?

– Co go może najgorszego spotkać, to waćpanów kompania!

Tu oczy dziewczyny poczęły ciskać błyskawice i podniósłszy głowę postąpiła kilka kroków ku zabijakom, a oni cofali się przed nią w zdumieniu.

– Zdrajcy! – rzekła – wy to go jak złe duchy do grzechu kusicie, wy go namawiacie! Ale znam już was, waszą rozpustę, wasze bezecne uczynki. Prawo was ściga, ludzie się od was odwracają, a ohyda na kogo pada? – na niego – przez was, banitów i infamisów!

– Hej! na rany boskie, towarzysze! słyszycie? zakrzyknął Kokosiński. – Hej! co to jest? zali nie śpimy, towarzysze?

Billewiczówna postąpiła krok jeszcze i ukazując ręką na drzwi:

– Precz stąd! – rzekła.

Warchołowie pobledli trupio i żaden z nich nie zdobył się na słowo odpowiedzi. Jeno zęby ich poczęły zgrzytać, ręce drgać ku rękojeściom, a oczy ciskać złe błyskawice.. Ale po chwili dusze w nich upadły z trwogi. Toż ten dom był pod opieką potężnego Kmicica, toż ta zuchwała panna była jego narzeczoną.

Więc zgryźli w milczeniu gniew, a ona ciągle stała z roziskrzonym okiem, ukazująca palcem na drzwi.

Na koniec pan Kokosiński rzekł przerywanym wściekłością głosem:

– Kiedy nas tu tak wdzięcznie przyjęto... to... nie pozostaje nam nic innego... jak pokłonić się... polity- , cznej gospodyni i pójść... dziękując za gościnę...

To rzekłszy skłonił się czapką z umyślną uniżonością aż do ziemi, a za nim kłaniali się i inni i wychodzili kolejno. Gdy drzwi zamknęły się za ostatnim, Oleńka upadła, wyczerpana, na krzesło, dychnąc ciężko, bo nie miała tyle sił, ile odwagi.

Oni zaś zgromadzili się na radę przed gankiem, naokół koni, ale żaden nie chciał pierwszy przemówić. Wreszcie Kokosiński rzekł:

– Cóż, mili barankowie?

– A cóż?

– Dobrze wam?

– A tobie dobrze?

– Ej, żeby nie Kmicic! ej, żeby nie Kmicic! rzekł Ranicki zacierając konwulsyjnie ręce – pohulalibyśmy tu z panienką po naszymu!...

– Idź, zadrzyj z Kmicicem! – zapiszczał Rekuć. Stań mu!

Ranickiego twarz, jak skóra rysia, cała była już pokryta piętnami.

– I jemu stanę, i tobie, warchole, gdzie chcesz!

– A to i dobrze! – rzekł Rekuć.

Obaj porwali się do szabel, ale olbrzymi Kulwiec – Hippocentaurus wtoczył się pomiędzy nich.

– Na tę pięść! – rzekł potrząsając jakoby boch nem chleba – na tę pięść! – powtórzył – pierwsze mu, który szablę wyciągnie, łeb roztrzaskam!

To rzekłszy poglądał to na jednego, to na drugiego, jakby pytając niemo, który pierwszy zechce popróbować; ale oni, tak zagadnięci, uspokoili się zaraz.

– Kulwiec ma rację! – rzekł Kokosiński. – Moi mili barankowie, potrzeba nam teraz zgody więcej niż kiedykolwiek... Ja bym radził ruszać co prędzej do Kmicica, żeby zaś ona go prędzej nie obaczyła, bo opisałaby nas jak diabłów. Dobrze, że tam żaden na nią nie warknął, choć mnie samemu świerzbiały ręce i język... Ruszajmy do Kmicica. Ma ona go na nas podbechtać, to lepiej my go wpierw podbechtajmy. Nie daj Bóg, aby nas opuścił. Zaraz by tu obławę na nas, jak na wilków, uczyniono.

– Furda! – rzekł Ranicki. – Nic nam nie uczynią. Teraz wojna; mało to ludzi po świecie bez dachu i chleba się włóczy? Zbierzem sobie partię, towarzysze mili, i niech nas wszystkie trybunały ścigają! Daj rękę, Rekuć, odpuszczam ci!

– Byłbym ci uszy obciął – zapiszczał Rekuć – ale już pogódźmy się! wspólna nas konfuzja spotkała.

– Kazać pójść precz takim jak my kawalerom! – rzekł Kokosiński.

– I mnie, w którym senatorska krew płynie! – dodał Ranicki.

– Ludziom godnym! familiantom! – Żołnierzom zasłużonym!

– I exulom!

– Sierotom niewinnym!

– Mam buty wyporkiem podszyte, ale już mi nogi marzną – rzekł Kulwiec. – Co będziemy jak dziady pod tym domem stali, nie wyniosą nam tu piwa grzanego! Nic tu po nas! Siadajmy i jedźmy. Czeladź lepiej odesłać, bo co po nich bez strzelb i broni, a sami jedźmy.

– Do Upity!

– Do Jędrusia, przyjaciela zacnego! Przed nim się poskarżym.

– Bylebyśmy go nie minęli.

– Na koń, towarzysze! na koń!

Siedli i ruszyli stępą, gniew i wstyd przeżuając. Za bramą Ranicki, którego złość trzymała jeszcze jak za gardło, odwrócił się i pogroził pięścią dworowi.

– Ej, krwi mi! ej, krwi!

– Niechby się tylko z Kmicicem pokłócili! – rzekł Kokosiński – przyjechalibyśmy tu jeszcze z hubką.

– Może to być.

– Boże nam pomóż! – dodał Uhlik.



– Pogańska córka, cieciorka zaciekla!...

Tak klnąc i sierdząc się na pannę, a czasem na siebie samych warcząc, dojechali do lasu. Ledwie minęli pierwsze drzewa, ogromne stado wron zawichrzyło się nad ich głowami. Zend począł zaraz krakać przeraźliwie; tysiące głosów odpowiedziało mu s góry. Stado zniżyło się tak, że aż konie poczęły się lękać szumu skrzydeł..

– Stul gębę! – krzyknął na Zenda Ranicki. Jeszcze nieszczęście wykraczesz! Kraczą nad nami te wrońska, jakby nad padliną...

Ale inni śmieli się, więc Zend krakał ciągle. Wrony; zniżyły się coraz bardziej i tak jechali jak wśród burzy. Głupi! nie umieli odgadnąć złej wróżby.

Za lasem ukazały się już Wołmontowicze, ku którym kawalerowie ruszyli rysią, bo mróz był srogi: i zmarzli bardzo, a do Upity było dość jeszcze daleko.: Ale w samej wsi musieli zwolnić. Na szerokiej drodze zaścianku pełno było ludzi, jako zwyczajnie przy niedzieli. Butrymowie i Butrymówny wracali piechotą i saniami z Mitrunów, z odpustu. Szlachta poglądała ciekawie na nieznanych jeźdźców, w pół się domyśla jąc, co to za jedni. Młode szlachcianki słyszały już o rozpuszcie w Lubiczu i o sławnych jawnogrzesznikach, których pan Kmicic przyprowadził, więc przy patrywały im się jeszcze ciekawiej. Oni zaś jechali dumnie, w pięknych postawach żołnierskich, w zdobycznych aksamitnych ferezjach, w kołpakach rysich i na dzielnych koniach. Znać było jednak, że to żołnierze zawołani: miny rześiste i harde, prawe ręce wparte w boki, głowy podniesione. Nie ustępowali też nikomu jadąc szeregiem i pokrzykując od czasu da czasu: „Z drogi!” Jaki taki z Butrymów spojrział posepnie spode łba, ale ustąpił; oni zaś gwarzyli między sobą o zaścianku.

– Uważcie, mości panowie – mówił Kokosiński – jakie tu chłopcy rosłe; jeden w drugiego jak tur, a każdy wilkiem patrzy.

– Żeby nie ten wzrost i żeby nie szablika, można by ich wziąć za chamów – rzekł Uhlik.

– Obaczcie no te szablice! czyste powyrki, jak mi Bóg miły! – zauważył Ranicki. – Chciałbym się z którym poprobować!

Tu pan Ranicki począł gołą dłonią szermować.

– On by tak, ja bym tak! On by tak, ja bym tak – i szach!

– Łatwo sobie możesz owo *gaudium* uczynić zauważył Rekuć. – Z nimi nie trzeba wiele.

– Wolałbym się ja z tymi oto dziewczętami poprobować! – rzekł nagle Zend.

– Świece, nie panny! – wykrzyknął z zapalem Rekuć.

– Co waść mówisz: – świece? – sosny! A pyski u każdej jakoby krokoszem malowane.

– Ciężko i na szkapie usiedzieć na taki widok!

Tak rozmawiając wyjechali z zaścianka i znów ruszyli rysią. Po pół godziny drogi przybyli do karczmy zwanej Doły, która leżała na pół drogi między Wołmontowiczami i Mitrunami. Butrymi i Butrymówny zatrzymywali się w niej zwykle, idąc i wracając z kościoła, aby odpocząć i rozgrzać się w czasie mrozów. Toteż przed zajazdem spostrzegli kawalerowie kilkanaście sani wysłanych grochowinami i tyleż koni posiadłanych.

– Napijmy się gorzałki, bo zimno! – rzekł Kokosiński.

– Nie zawadzi! – odparł chór jednogłośny.

Zsiedli z koni, zostawili je u słupów, a sami weszli do szynkowej izby, ogromnej i ciemnej. Zastali tu moc ludzi. Szlachta, siedząc na ławach lub stojąc gromadkami przed szynkwasem, popijała piwo grzane, a niektórzy krupniczek warzony z masła, miodu, wódki i korzeni. Sami to byli Butrymowie, chłopcy duże, ponure i tak małowówne, że w izbie prawie nie słyhać było gwaru. Wszyscy ubrani w szare kapoty z samodziału albo rosieńskiego pakłaku, podbite baranami, w pasy skórzane, przy szablach w czarnych żelaznych pochwach; przez tę jednostajność ubioru czynili pozór wojska. Ale byli to po części ludzie starzy, od lat sześćdziesięciu, lub wyrostkowie, do dwudziestu. Ci dla omlotów zimowych w domach zostali; reszta, mężczyźni w sile wieku, ruszyli do Rosień.

Ujrawszy orszańskich kawalerów odsunęli się trochę od szynkwasu i poczęli im się przypatrywać. Piękny moderunek żołnierski podobał się tej wojowniczej szlachcie; czasem też który słowo puścił. „To z Lubicza?” – „Tak, pana Kmicicowa kompania!” „To ci?” – „A jakże!”

Kawalerowie pili gorzałkę, ale krupniczek zbyt pachniał. Zwiertzył go pierwszy Kokosiński i kazał dać. Obsiedli tedy stół, a gdy przyniesiono dymiący saganek, poczęli pić spoglądając na izbę, na szlachtę i przymrużając oczy, bo w izbie było ciemnowo. Okna śnieg zasnął, a długi, niski otwór gruby, w której palił się ogień, pozasłaniały całkiem jakieś figury plecami ku izbie odwrócone.

Kiedy już krupnik począł krążyć w żyłach kawalerów, roznosząc po ich ciałach ciepło przyjemne, ożywiły im się zaraz humory, strapione po przyjęciu w Wodoktach, i Zend począł nagle krakać jak wrona, tak dokładnie, że wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

Kawalerowie śmieli się, szlachta poczęła się zbliżać, rozweselona, zwłaszcza młodszy, potężni wyrostkowie o szerokich barach i puciołowatych policzkach. Siedzące przy grubie przed ogniem postacie odwróciły się ku izbie i Rekuć pierwszy dostrzegł, iż były to niewiasty.

A Zend zamknął oczy i krakał, krakał – nagle przestał, i po chwili obecni usłyszeli głos dusznego przez psy zajęcia; zajęć becząc w ostatniej agonii, co-raz słabiej, ciszej, potem zawrzaskała rozpaczliwie i zamilkł na wieki – a na jego miejscu rogacz odezwał się potężnie, jak z rykowiska.

Butrymowie stali zdumieni, chociaż Zend już przestał. Spodziewali się jeszcze co usłyszeć, ale tymczasem usłyszeli tylko piskliwy głos Rekuć:

- Sikorki siedzą wedle grubego!
- A prawda! – rzekł Kokosiński przysłaniając oczy ręką.
- Jako żywo! – przywodził Uhlik – jeno w izbie tak ciemno, że nie mógł rozemnieć.
- Ciekaw jestem, co one tu robią?
- Może na tańce przychodzą.
- A poczekajcie, spytam! – rzekł Kokosiński.

I podniósłszy głos pytał:

- Miłe niewiasty, a cóże tam czynicie wedle grubego?
- Nogi grzejem! – ozwały się cienkie głosy.

Wówczas kawalerowie wstali i zbliżyli się do ogniska. Siedziało przy nim na długiej ławie z dziesięć niewiast, starszych i młodszych, trzymających bosc nogi na kłocu leżącym wedle ognia. Z drugiej strony kłoca suszyły się przemokłe od śniegu buty.

- To waćpanny nogi grzejecie? – pytał Kokosiński.
- Bo zmarzły.
- Bardzo grzeczne nóżki! – zapiszczał Rekuć pochylając się ku kłocowi.
- At! odczep się waszmość! – rzekła jedna z szlachcianek.
- Rad bym ja się przyczepić, nie odczepić, ile że mam sposób pewny, lepszy od ognia na zmarzłe nóżki, którego sposób jest następujący: jeno potaćnować z ochotą, a zamrós pójdzie precz!
- Kiedy potaćnować, to potaćnować! – rzekł pan Uhlik. – Nie potrzeba ni skrzypków, ni basetli, bo ja wam zagram na czekaniu.

I wydobywszy ze skórzanej pochewki, wiszącej przy szabli, nieodstępny instrument, grać począł, a kawalerowie sunęli w podrygach do dziewcząt i nuż je ściągać z ławy. One niby się broniły, ale więcej krzykiem niż rękoma, bo naprawdę nie były bardzo od tego. Może i szlachta rozochociłaby się z kolei, bo przeciw potaćnowaniu w niedzielę, po mszy i w zapusty, nikt by bardzo nie protestował, ale reputacja „kompanii” była już zbyt znana w Wołmontowiczach, więc pierwszy olbrzymi Józwa Butrym, ten, który stopy nie miał, wstał z ławy i zbliżywszy się do Kulwieca-Hippocentaury, chwycił go za pierś, zatrzymał i rzekł ponuro:

- Jeśli się waszmości chce tańca, to może ze mną?
- Kulwiec-Hippocentaurus oczy przymrużył i począł wąsami ruszać gwałtownie.
- Wolę z dziewczyną – odrzekł – a z waścią to chyba potem...
- Wtem podbiegł Ranicki z twarzą już pocętkowaną plamami, bo już burdę poczuł.
- Coś za jeden, zawałidrogo? – pytał chwytając za szablę.

Uhlik przestał grać, a Kokosiński zakrzyknął:

– Hej, towarzysze! do kupy! do kupy!

Ale już za Józwą sypnęli się Butrymowie; starcy potężni i wyrostki ogromne; poczęli się tedy także skupiać pomrukując jak niedźwiedzie.

– Czego chcecie? guzów szukacie? – pytał Koko,siński.

– At! co gadać! poszli precz! – rzekł z flegmą Józwa.

Na to Ranicki, któremu chodziło o to, aby czasem nie obyło się bez bójki, uderzył Józwę rękojeścią w piersi, aż się rozległo w całej izbie, i krzyknął: .

– Bij!

Rapiery zabłyśły, rozległ się wrzask niewiast, szcęk szabel i zgiełk, i zamieszanie. Wtem olbrzymi Józwa wycofał się z potyczki, porwał stojącą. wedle stołu z gruba ciosaną ławę i podniósłszy ją jakby. leciuchną deseczkę zakrzyknął:

– Rum! rum!

Kurz wstał z podłogi i przesłonił walczących, jeno w zamęcie jęki poczęły się odzywać...

## ROZDZIAŁ V

Tegoż samego dnia wieczorem przyjechał pan Kmicic do Wodoktów na czele stu kilkunastu ludzi, których ze sobą z Upity przyprowadził, żeby ich do Kiejdan hetmanowi wielkiemu odesłać, sam uznał bowiem, że w tak małym miasteczku nie masz dla większej liczby ludzi pomieszczenia i że po ogłodzeniu mieszczan żołnierz musi się uciekać do gwałtów, zwłaszcza taki żołnierz, którego tylko strachem przed dowódcą w karności może być utrzymany. Dość bowiem było spojrzeć na wolentarzy pana Kmicica, żeby dojść do przekonania, iż gorszego gatunku ludzi trudno było w całej Rzeczypospolitej znaleźć: I Kmicic nie mógł mieć innych. Po pobiciu hetmana wielkiego nieprzyjaciel zalał cały kraj. Resztki wojsk regularnych litewskiego komputu cofnęły się na pewien czas do Birz i Kiejdan, aby tam przyjść do sprawy. Szlachta smoleńska, witebska, połocka, mściławska i mińska albo pociągnęła za wojskiem, albo chroniła się w województwach jeszcze nie zajętych.

Ludzie śmielszego ducha między szlachtą zbierali się do Grodna, do pana podskarbiego Gosiewskiego, tam bowiem naznaczały punkt zborny uniwersały królewskie zwołujące pospolite ruszenie. Niestety! mało było takich, którzy usłuchali uniwersałów, ci zaś nawet, co poszli za głosem obowiązku, ściągali się tak opieszale, że tymczasem naprawdę nikt oporu nie dawał prócz pana Kmicica, którego czynił to na własną rękę, pobudzany więcej fantazją rycerską niż patriotyzmem. Łatwo jednak zrozumieć, że w braku wojsk regularnych i szlachty – brał ludzi, jakich mógł znaleźć, więc takich, których obowiązek do hetmanów nie ciągnął i którzy nie mieli nic do stracenia. Nagarnęło się tedy do niego zawalidrogów bez dachu i domu, ludzi niskiego stanu, zbiegłej z wojska czeladzi, zdziczałych borowych, pachółków miejskich lub łotrzyków prawem ściganych. Ci pod chorągwią spodziewali się znaleźć ochronę, a przy tym łupami się pożywić. W żelaznych rękach Kmicicowych zmienili się oni w śmiałych żołnierzy, śmiałych aż do szaleństwa, i gdyby sam Kmicic był statecznym człowiekiem, mogli byli znaczne Rzeczypospolitej oddać przysługi. Ale Kmicic był sam swawolnikiem, w którym dusza kipiała ustawicznie; zresztą skąd miał brać prowiant i broń, i konie, gdy jako wolentarz, nie posiadający nawet listów zapowiednich, nie mógł ze skarbu Rzeczypospolitej żadnej spodziewać się pomocy. Brał więc gwałtem, często na nieprzyjacielu, często i na swoich. Oporu nie znosił i za najmniejszą karał srodze.

W ustawicznych podjazdach, walkach i napadach zdziczał, przyzwyczaił się do krwi przelewu tak, że nie lada co mogło poruszyć w nim, dobre zresztą z natury, serce. Zakochał się w ludziach gotowych na wszystko i niepohamowanych. Imię jego zasłynęło wkrótce złowrogo. Mniejsze oddziały nieprzyjacielskie nie śmiały się wychylać z miast i obozów w stronach, w których straszliwy partyzant grasował. Ale i miejscowe obywatelstwo, zniszczone przez wojnę, bało się jego ludzi mało mniej niż nieprzyjaciół. Zwłaszcza gdzie oko Kmicica osobiście nie spoczywało nad nimi, gdzie komendę brali jego oficerowie: Kokosiński, Uhlik, Kulwicz, Zend, a szczególnie najdzikszy i najokrutniejszy, lubo z wysokiej krwi pochodzący, Ranicki – tam zawsze można było pytać: obrońcyli to czy napastnicy? Kmicic karał czasem i swoich ludzi, gdy mu nie pod humor co przyszło, bez miłosierdzia; ale częściej stawał po ich stronie nie dbając na prawa, na łyż i życie ludzkie.

Kompanionowie prócz Rekucia, na którym krewniewinna nie ciążyła, jeszcze podmawiali młodego wodza, by coraz bardziej cugłów swej bujnej naturze popuszczał.

Takie to było Kmicicowe wojsko.

Teraz właśnie zabrał on swą hołotę z Upity, by ją do Kiejdan odesłać. Gdy się tedy zatrzymali przed dworem w Wodoktach, panna Aleksandra aż przeraziła się ujrawszy ich przez okno, tak byli do hajdamaków podobni. Każdy inaczej zbrojny: jedni w hełmach pobranych na nieprzyjacielu, drudzy w czapkach kozackich, w kapuzach, w kapturach, niektórzy w wypłowiałych ferezjach, inni w kozuchach, z rusznicami, spisami, łukami i berdyszami, na chudych, poszerszeniałych koniach ubranych w rzędziki polskie, moskiewskie, tureckie. Uspokoila się dopiero Oleńka, gdy pan

Andrzej, hoży i wesoły jak zawsze, wpadł do izby i zaraz z niezmierną żywością do rąk jej przypadł.

Ona zaś, choć poprzednio postanowiła przyjąć go z powagą i zimno, jednak nie mogła zapanaować nad radością, którą jej sprawiło jego przybycie. Przy tym może i chytryść niewieścia grała w tym pewną rolę, bo trzeba było powiedzieć panu Andrzejowi o wypędzeniu za drzwi kompanii, więc chciała go sobie przebiegła dziewczyna naprzód zjednać. A zresztą, tak ją witał szczerze, z taką miłością, że resztki urazy stopniały jak śnieg przy płomieniu.

„Miłuj mnie! nie masz wątpliwości!” – pomyślała. A on mówił:

– Jużem się tak stęsknił, że całą Upitę chciałem spalić, byle do ciebie jak najprędzej lecieć. Niechże ich tam mróz ściśnie tych łyków!

– Jam też była niespokojna, żeby tam do bitwy nie przyszło. Chwała Bogu, żeś waćpan przyjechał.

– I! co za bitwa! Żołnierze poczęli trochę łyczków tarmosić...

– Aleś to waćpan uspokoił?

– Zaraz ci powiem wszystko, jak się zdarzyło, mój klejnocie, jeno sobie usiądę trochę, bom się strudził.

Ej! ciepłoż tu, ej! miło w tych Wodoktach, jako właśnie w rajach. Rad by tu człowiek po wiek siedział i w one śliczne oczy patrzył, i nigdy nie wyjeżdżał... Ale napić się czego ciepłego także by nie zawadziło, bo na dworze mróz okrutny.

– Zaraz każę waćpanu wina z jajami zgrzać i sama przyniosę.

– A dajże i moim wisielcom jaką baryłczynę gorzałki i każ ich do obory puścić, żeby się jeno od paru bydłowego nieco rozgrzeli. Tołuby mają wiatrem podszyte i srodze pokostnieli.

– Niczego im nie pożałuję, bo to waćpańscy żołnierze.

To rzekłszy uśmiechnęła się tak, aż Kmicicowi w oczach pojaśniało, i wysunęła się jak kotka cicho, by w czeladnej wszystko zarządzić.

Kmicic chodził po izbie i po czuprynie się głaskał, to węża młodego pokręcał namyślając się: jak jej opowiedzieć, co się w Upicie zdarzyło.

– Trzeba szczerą prawdę wyznać – mrucał pod nosem – nie ma rady, choćby kompania miała się śmiać, że mnie tu już na pasku wodzą...

I znów chodził, i znów czuprynę na czoło nagarniał, wreszcie zniecierpliwiał się, że dziewczyna długo nie wraca.

Tymczasem pacholik wniósł światło, pokłonił się w pas i wyszedł, a potem zaraz weszła wdzięczna gospośnia niosąc sama w obu rękach błyszczącą cynową tacę, na niej garnuszek, z którego wychodziła wonna para zagrzanego węgrzyna, i pucharek rżnięty ze szkła, z herbem Kmiciców. Stary Billewicz dostał go w swoim czasie od ojca pana Andrzeja, gdy u niego w gościnie bawił.

Pan Andrzej, ujrawszy gospośnię, poskoczył ku niej.

– Hej! – zawołał – rączyny obiedwie zajęte, nie wymkniesz mi się!

I przechylił się przez tacę, a ona cofała swą jasną główkę bronioną tylko przez opar wychodzący z garnuszka.

– Zdrajca! dajże waćpan spokój, bo upuszczę polewkę...

Ale on się groźby nie uląkł, po czym zakrzyknął:

– Jak Bóg w niebie, od takich delicyj rozum może się pomieszać!

– Waćpanu dawno już się pomieszał... Siadaj, siadaj!

Usiadł posłusznie, ona zaś naalała mu polewki w pucharek.

– Mówże teraz, jakieś to w Upicie winnych sądził?

– W Upicie? Jako Salomon!

– To i chwała Bogu!... Na sercu mi to, żeby wszyscy w okolicy mieli waćpana za statecznego i sprawiedliwego człowieka. Jakże to tedy było?

Kmicic pociągnął dobrze polewki, odetchnął i rzekł: – Muszę opowiadać od początku. Było tak: Upominali się łyczkowie z burmistrzem o asygnację na prowianty od hetmana wielkiego albo od

pana podskarbiego. „Waćpanowie (mówili żołnierzom) jesteście wolentarzami i eksakcji nie możecie czynić. Kwatery dajem z łaski, a prowianty damy wtedy, gdy się okaże, że nas zapłacą.”

– Mieli słuszość czy nie mieli?

– Słuszość wedle prawa mieli, ale żołnierze mieli szable, a po staremu, kto ma szablę, ten ma zawsze lepszą rację. Powiadają tedy łyczkom: „Zaraz my tu na waszej skórze wypiszemy asygnacje!” I wnet stał się tumult. Burmistrz z łyczkami zatarasowali się w ulicy, a moi ich dobywali; nie obeszło się bez strzelaniny. Zapalili niebożęta żołnierze dla postrachu parę stodół, kilku też łyczków uspokoili...

– Jak to uspokoili?

– Kto weźmie szablą po łbie, to i spokojny jak trusia:

– Dla Boga! toż to zabójstwo!

– Właściem na to przyjechał. Żołnierze zaraz do mnie z narzekaniem i skargami na opresję, w jakiej żyją, że to ich niewinnie prześladowają. „Brzuchy mamy puste – mówili – co nam czynić?” Kazałem burmistrzowi, by się stawił. Namyslał się długo, ale wreszcie przyszedł z trzema innymi. Kiedy to nie zaczęły płakać: „Niechby już i asygnacji nie dawali – prawią – ale czemu biją, czemu miasto pała? Jeść i pić bylibyśmy dali za dobre słowo, ale oni chcieli słoniny, miódów, specjałów, a my sami, ubodzy ludzie, tego nie mamy. Prawem się będziem bronić, a wasza mość przed sądem za swoich żołnierzów odpowiesz.”

– Bóg waćpana będzie błogosławił – zawołała Oleńka – jeśliś sprawiedliwość, jako się godzi, uczynił!

– Jeśliś uczynił?...

Tu pan Andrzej skrzywił się jak student, który ma się do winy przyznać, i czuprynę począł ręką na czoło nagarniać.

– Mój królu! – zawołał wreszcie żalonym głosem – mój klejnocie!... nie gniewaj się na mnie...

– Cóżes znów waćpan uczynił? – pytała niespokojnie Oleńka.

– Kazałem dać po sto batożków burmistrzowi i radnym! – wyrecytował jednym tchem pan Andrzej. Oleńka nie odrzekła nic, jeno ręce wsparła na ko-

lanach, głowę spuściła na piersi i pogrążyła się w milczeniu.

– Zetnij szyję! – wołał Kmicic – ale nie gniewaj się!... Jeszczem wszystkiego nie wyznał...

– Jeszcze? – jęknęła panna.

– Bo to oni potem posłali do Poniewieża o pomoc. Przyszło sto głupich pacholków z oficjierami. Tych przepłoszyłem, a oficjierów... na Boga, nie gniewaj się!... kazałem gołych pognać kańczugami po śniegu, tak jakem raz panu Tumgratowi w Orszańskim uczynił...

Billewiczówna podniosła głowę; surowe jej oczy pałały gniewem, a purpura wystąpiła na policzki. – Waćpan nie masz wstydu i sumienia! – rzekła. Kmicic spojrział zdziwiony, zamilkł na chwilę, po czym spytał zmienionym głosem:

– Prawdęli mówisz czy udajesz?

– Prawdę mówię, że hajdamaki godny to uczynek, nie kawalera!... Prawdę mówię, bo mi reputacja waćpana na sercu leży, bo mi wstyd, żeś ledwie przyjechał, już cię całe obywatelstwo ma za gwałtownika i palcami ukazuje!...

– Co mi tam wasze obywatelstwo! Dziesięciu chałup jeden pies strzeże i jeszcze niewiele ma roboty.

– Ale nie masz infamii na tych chudopacholkach, nie masz hańby na niczym imieniu. Nikogo tu sądy ścigać nie będą prócz waćpana!

– Ej, niechże cię o to głowa nie boli. Każdy sobie pan w naszej Rzeczypospolitej, kto jeno ma szablę w garści i lada jaką partię zebrać potrafi. Co mi uczynią? kogo ja się tu boję?

– Jeśli waćpan nikogo się nie boisz, to wiedz o tym, że ja się boję gniewu bożego... i łez ludzkich się boję, i krzywd! A hańbą z nikim dzielić się nie chcę; chociażem niewiasta słaba, przecie mi miła cześć imienia może więcej niż niejednemu, który się kawalerem powiada.

– Na Boga! nie groźże mi rekużą, bo mnie jeszcze nie znasz...

– O, wierzę, że i mój dziad waćpana nie znał!

Oczy Kmicica poczęły skry sypać, ale i w niej się rozigrała krew billewiczowska.

– Rzucaj się waćpan, zgrzytaj! – mówiła śmiało dalej – jać się nie ulękę, chociażem sama, a wać masz całą chorągiew rozbójników pod sobą; niewinność moja mnie broni!... -Myślisz, że nie wiem, iżeście w Lubiczu wizerunki postrzelali i że dziewczęta na rozpustę ciągacie?... Wać to mnie nie znasz, jeśli myślisz, że zmilczę pokornie. Chcę poczciwości od waćpana i tego wymagać żaden mi testament nie zabroni... Owszem, wola mego dziada jest, żebym tylko poczciwego żoną była...

Kmicic widocznie zawstydził się tych sprawek lubickich, bo spuściwszy głowę spytał cichszym już głosem:

– Kto ci o owym strzelaniu mówił?

– Wszystka szlachta z okolicy o tym mówi.

– Zapłacę ja tym szarakom, zdrajcom, za życzliwość! – odparł posepnie Kmicic. – Ale to stało się po pijanemu... w kompanii... jako że żołnierze pohamować się w ochocie nie umieją. A co do dziewcząt, to jam ich nie ciągał.

– Wiem, że to owi bezwstydnicy, owi zbóje do wszystkiego waćpana podmawiają...

– To nie zbóje, to moi oficjerowie...

– Jam tym waćpana oficjerom kazała pójść precz z mego domu!

Oleńka spodziewała się wybuchu, tymczasem z największym zdziwieniem spostrzegła, że wiadomość o wypędzeniu kompanionów żadnego na Kmicicu nie uczyniła wrażenia, a nawet, przeciwnie, zdawała mu się humor poprawiać.

– Kazałaś im pójść precz? – spytał. – Tak jest.

– A oni poszli? – Tak jest.

– Dalibóg, kawalerska w tobie fantazja! Okrutnie mi się to podoba, bo niebezpieczna rzecz z takimi ludźmi zdrzeć. Niejeden już ciężko za to zapłacił. Ale i oni znają mores przed Kmicicem!... Widzisz! wynieśli się pokornie jak barankowie – widzisz! a czemu? bo się mnie boją!

Tu pan Andrzej spojrzął chępliwie na Oleńkę i wąsa począł pokręcać; ją zaś rozgniewała do reszty ta zmienność humoru i ta niewczesna chępliwność, więc rzekła wyniośle i z naciskiem:

– Waćpan musisz wybrać między mną i nimi, nie może inaczej być!

Kmicic zdawał się nie spostrzegać tej stanowczości, z jaką Oleńka mówiła, i odpowiedział nie-  
dbale, prawie wesoło:

– A po co mnie wybierać, kiedy ja i ciebie mam, i ich mam! Waćpanna możesz sobie w Wodoktach czynić, coć się podoba; ale jeżeli moi kompanionowie żadnej tu krzywdy ani swawoli się nie dopuścili, to za cóż mam ich wyganiać? Waćpanna tego nie rozumiesz; co to jest służyć pod jedną chorągwią i wojnę razem odbywać... Żadne krewieństwo tak nie związuje jak wspólna służba. Wiedz o tym, że oni mało tysięcy razy ratowali mi życie, ja im takoz; a że teraz są bez dachu, że ich prawo ściga, to tym bardziej muszę im dać przytułek. Szlachta to przecie wszystko i familianci .za wyjątkiem Zenda, któren jest niepewnego pochodzenia, ale takiego kawalkatora nie masz w całej Rzeczypospolitej. Prócz tego, gdybyś go waćpanna słyszała, jak zwierza i ptactwo wszelakie udaje, sama byś go polubiła.

Tu pan Andrzej rozśmiał się, jakby żaden gniew, żadne nieporozumienie nie miało nigdy miejsca między nimi, a ona aż załamała ręce widząc, jak z rąk jej się wymyka ta wichrowata natura. Wszystko to, co mówiła mu o opinii ludzkiej, o potrzebie statku, o niesławie, ześlizgiwało się po nim jak tępy grot po pancerzu. Nie rozbudzone sumienie tego żołnierza nie umiało odczuć jej oburzenia na każdą niesprawiedliwość, na każdą bezecną swawolę. Jakże tu do niego trafić, jak przemówić?

– Niech się dzieje wola boża! – rzekła wreszcie. – Skoro się mnie waćpan wyrzekasz, to idźże swoją drogą! Bóg zostanie nad sierotą!

– Ja się ciebie wyrzekam? – pytał Kmicic z największym zdumieniem.

– Tak jest! jeśli nie słowy, to uczynkami; jeśli nie ty mnie, to ja ciebie... Bo nie pójdę za człowieka, na którym ciężą łzy ludzkie i krew ludzka, którego palcami wytykają, banitem, rozbójnikiem zowią i za zdrajcę mają!

– Za jakiego zdrajcę?... Nie przywodźże mnie do szaleństwa, abym zaś czego nie uczynił, czego bym potem żałował. Niechże we mnie piorun zaraz trzaśnie, niech mnie czarci dziś obłuszcza, jeśli ja zdrajca, ja, którym przy ojczyźnie wtedy stawał, kiedy wszyscy ręce opuścili!

– Waćpan przy niej stajesz, a czynisz to, co i nieprzyjacieli, bo ją depcesz, bo ludzi w niej katuszujesz, bo na prawa boskie i ludzkie nie dbasz. Nie! choćby mi się i serce rozdarło, nie chcę cię mieć takiego, nie chcę!...

– Nie gadaj mi o rekuzie, bo się wścieknę! Ratujcież mnie, anieli! Nie zechcesz mnie po dobrej woli, to cię i tak wezmę, choćby tu wszystka hołota z zaścianków, choćby sami Radziwiłłowie, sam król i wszyscy diabli rogami przystępu bronili, choćbym miał duszę czartu zaprzedać...

– Nie wzywaj złych duchów, bo cię usłyszą! zakrzyknęła Oleńka wyciągając przed siebie ręce.

– Czego ode mnie chcesz?

– Bądź uczciwy!...

Umilkli oboje i nastąpiła cisza. Słychać było tylko sapanie pana Andrzeja. Ostatnie słowa Oleńki przedarły jednak pancerz pokrywający jego sumienie. Czuł się upokorzony. Nie wiedział, co jej odrzec, jak się bronić. Potem zaczął chodzić szybkimi krokami po izbie; ona siedziała nieruchomie. Zawisła nad nimi niezgoda, rozjątrzenie i żal. Było im ze sobą ciężko, i to długie milczenie stawało im się coraz nieznośniejsze.

– Bądź zdrowa! – rzekł nagle Kmicic.

– Jedź waćpan i niech cię Bóg natchnie inaczej! – odrzekła Oleńka.

– Pojadę! Gorzki mi był twój napitek, gorzki chleb! Żółcią i octem mnie tu napojono!

– A waćpan to myślisz, żeś mnie słodyczą napoił? – odrzekła głosem, w którym drgały łzy.

– Bądź zdrowa!

– Bądź zdrow...

Kmicic postąpił ku drzwiom, nagle zwrócił się i poskoczywszy ku niej, chwycił ją za obie ręce:

– Na rany Chrystusa! Czy ty chcesz, żebym trupem w drodze z konia spadł?

Wówczas Oleńka wybuchnęła płaczem; on objął ją i trzymał w ramionach całą dygocącą, potwarzając przez zaciśnięte zęby:

– Bijże mnie, kto w Boga wierzy! Bij, nie żałuj!

Na koniec wybuchnął:

– Nie płacz, Oleńka! Dla Boga, nie płacz! Com ci winien? Uczynię wszystko, co chcesz. Tamtych wyprawię... w Upicie załagodzę... będę żył inaczej... bo cię miłuję... Dla Boga! serce mi się rozpuknie... uczynię wszystko, jeno nie płacz... i miłuj mnie jeszcze...

Tak on ją uspokajał i pieścił; ona zaś wyplakawszy się rzekła:

– Jedź już waćpan. Bóg zgodę między nami uczyni. Ja nie mam urazy, jeno ból w sercu...

Księżyc wytoczył się już wysoko nad białe pola, gdy pan Andrzej ruszył z powrotem do Lubicza, a za nim poślalali żołnierze rozciągnąwszy się węzłem po szerokim gościńcu. Jechali nie przez Wołmontowice, ale krótszą drogą, bo mróz popętał bagna i można było po nich przejeżdżać bezpiecznie.

Wachmistrz Soroka przybliżył się do pana Andrzeja.

– Panie rotmistrzu – spytał – a gdzie nam stanąć w Lubiczu?

– Ruszaj precz! – odpowiedział Kmicic.

I jechał na przedzie nic do nikogo nie mówiąc. W sercu nurtował mu żal, chwilami gniew, ale przede wszystkim złość na samego siebie. Pierwsza to była noc w jego życiu, w której czynił rachunek sumienia, i rachunek ten ciążył mu gorzej od najcięższego pancerza. Oto przyjechał w te strony z nadszarpniętą reputacją i cóż uczynił, aby ją poprawić? Pierwszego dnia pozwolił na strzelanie i rozpustę w Lubiczu i zmyślił, że do niej nie należał, bo należał; potem pozwalał każdego dnia. Dalej: żołnierze skrzywdzili mieszczan, a on tej krzywdy dopełnił. Gorzej! rzucił się na



prezydium poniewieskie, pobił ludzi, puścił gołych oficerów na śniegi... Uczynią mu proces przegra. Skażą go na utratę majątku, czci, może i gardła. A przecie nie będzie mógł, jak dawniej, zebrawszy partię zbrojnej hołoty drwić sobie z praw, bo zamierza się ożenić, osiąść w Wodoktach, służyć nie na własną rękę, ale w kompucie; tam prawo go znajdzie i dosięgnie. Prócz tego, choćby mu uszło bezkarnie, jest coś szpetnego w tych postępach, jest coś niegodnego rycerza. Może swawola da się załagodzić, ale pamięć jej zostanie i w sercach ludzkich, i w jego własnym sumieniu, i w sercu Oleńki... Tu, gdy wspomniał, że ona jednak nie odepchnęła go jeszcze, że wyjeżdżając czytała w jej oczach przebaczenie, wydała mu się tak dobrą jak anieli niebiescy. I ot! brała go ochota wrócić nie jutro, ale zaraz, wrócić co koń wyskoczy i paść jej do nóg, i prosić o zapomnienie, i całować te słodkie oczy, które łzami zrosiły dziś jego twarz.

Chciało mu się samemu ryknąć płaczem i czuł, że tak miłuje tę dziewczynę, jak nigdy w życiu nikogo nie miłował. „Na Pannę Najświętszą! – myślał w duszy – uczynię, co ona zechce; opatrę kompanów suto i wyprawię na kraj świata, bo prawda jest, że oni mnie do złego podniecają.”

Tu przyszło mu do głowy, że przybywszy do Lubicza zastanie ich najpewniej pijanych albo z dziewczętami i chwyciła go taka złość, że chciało mu się szablą uderzyć na kogokolwiek, choćby na tych żołnierzy, których prowadził, i siec ich bez miłosierdzia.

– Dam ja im! – mrucał targając wąs – jeszcze mnie takim nie widzieli, jak zobaczą...

Tu zaczął konia z szaleństwa ostrogami bóść i za trzęzłą targać i szarpać, aż rumak rozhukał się, a Soroka widząc to mrucał do żołnierzy:

– Rotmistrz się zbiesił. Nie daj Bóg mu pod rękę wpaść...

Jakoż pan Andrzej biesił się rzeczywiście. Naokół był wielki spokój. Księżyc świecił pogodnie; niebo iskrzyło się tysiącami gwiazd, najmniejszy wiatr nie poruszał gałęzi na drzewach – jeno w sercu rycerza wrzała burza. Droga do Lubicza wydała mu się tak długa jak nigdy. Jakaś nie znana dotąd trwoga zaczęła nań nadlatywać z mroku, z głębin leśnych i z pól zalanych zielonawym światłem księżyca. Wreszcie zmęczenie ogarnęło pana Andrzeja, gdyż zresztą, co prawda, całą zeszłą noc spędził w Upicie na pijatyce i hulance. Ale chciał trudni się zabić, otrząsnąć się z niepokoju szybką jazdą, zwrócił się więc do żołnierzy i zakomenderował:

– W konie!...

Pomknął jak strzała, a za nim cały oddział. I w tych lasach, i na pustych polach lecieli jak ów orszak piekielny rycerzy krzyżackich, o których lud powiada na Żmudzi, że czasami, wśród jasnych nocy miesięcznych, zjawiają się i pędzą przez powietrze zwiastując wojnę i klęski nadzwyczajne. Tętent leciał przed nimi i za nimi; z koni zaczęła para buchać i dopiero gdy śniegiem pokryte dachy lubickie ukazały się na zawrocie, zwolnili biegu.

Kołowrot zastali otwarty szeroko. Kmicica zdziwiło, że gdy podwórzec zaroił się ludźmi i końmi, nikt nie wyszedł zobaczyć ani spytać, co są za jedni. Spodziewał się zastać okna błyszczące od światła, usłyszeć głos Uhlikowego czekanika, skrzypków albo wesołe okrzyki biesiady; tymczasem w dwóch tylko oknach izby jadalnej migotało niepewne światełko, zresztą było ciemno, cicho, głucho. Wachmistrz Soroka zeskoczył pierwszy z konia, by podtrzymać strzemień rotmistrzowi.

– Iść spać! – rzekł Kmicic. – Kto się zmieści w czeladnej, niech śpi w czeladnej, a inni w stajniach. Konie wstawić do obór, stodół i przynieść im siana z odryny.

– Słucham! – odpowiedział wachmistrz.

Kmicic zlął z konia. Drzwi od sieni były otwarte na rozcież, a sień wyiębiona.

– Hej tam! jest tam kto? – wołał Kmicic.

Nikt się nie ozwał.

– Hej tam! – powtórzył głośniej.

Milczenie.

– Popili się... – mruknął pan Andrzej.

I ogarnęła go taka wściekłość, że począł zębami zgrzytać. Jadąc wstrząsał się z gniewu na myśl, że zastanie pijatykę i rozpustę, teraz ta cisza drażniła go jeszcze bardziej.

Wszedł do izby jadalnej. Na ogromnym stole palił się kaganek łożowy czerwonym, dymiącym światłem. Pęd powietrza, które wpadło z sieni, chwiało płomieniem tak, iż przez chwilę nie mógł pan Andrzej nic dojrzeć. Dopiero gdy migotanie uspokoiło się, dojrzał szereg postaci leżących równo pod ścianą.

– Popili się na umor czy co? – mruknął niespokojnie.

Następnie zbliżył się niecierpliwie do pierwszej postaci z brzegu. Twarzy jej nie mógł widzieć, bo była pogrążona w cieniu, ale po białym skórzanym pasie i po białej pochwie na czekanik poznał pana Uhlika i począł go trącać bez ceremonii nogą.

– Wstawajcie, tacy synowie! wstawajcie!...

Ale pan Uhlik leżał nieruchomy, z rękoma opadłymi bezwładnie po bokach ciała, a za nim leżeli inni; żaden nie ziewnął, nie drgnął, nie przebudził się, nie mruknął. W tejże chwili pan Kmicic spostrzegł, że wszyscy leżą na wznak, w jednakowej pozycji, i jakieś straszne przeczucie chwyciło go za serce.

Poskoczywszy do stołu porwał drżącą ręką kaganek i przysunął go ku twarzom leżących.

Włosy powstały mu na głowie, tak straszny widok uderzył jego oczy... Uhlika wyłącznie mógł poznać po białym pasie, bo twarz i głowa przedstawiała jedną bezkształtną masę, krwawą, ohydną, bez oczu, nosa i ust – tylko wąsy ogromne sterczały z tej okropnej kałuży. Pan Kmicic świecił dalej... Drugi z kolei leżał Zend z wyszczerzonymi zębami i wyszłymi na wierzch oczyma, w których zeszkliło się przedśmiertne przerażenie. Trzeci z kolei, Ranicki, oczy miał przymknięte, a po całej twarzy cętki białe, krwawe i ciemne. Pan Kmicic świecił dalej... Czwarty leżał pan Kokosiński, najmilszy Kmicicowi ze wszystkich towarzyszków, bo dawny sąsiad bliski. Ten zdawał się spać spokojnie, jeno z boku, w szyi, widać mu było dużą ranę, zapewne sztychem zadaną. Piąty z kolei leżał olbrzymi pan Kulwiec-Hippocentaurus z żupanem podartym na piersiach i posiekaną gęstymi razami twarzą. Pan Kmicic przybliżał kaganek do każdej twarzy, a gdy wreszcie szóstemu, Rekućciowi, w oczy zaświecił, zdało mu się, że powieki nieszczęsnego zadrgały trochę od blasku.

Więc postawił na ziemi kaganek i zaczął wstrząsać z lekka rannym.

– Rekuć, Rekuć! – wołał – to ja, Kmicic!...

Za powiekami poczęła drgać i twarz, oczy i usta otwierały się i zamykały na przemian.

– To ja! – rzekł Kmicic.

Oczy Rekućcia otworzyły się na chwilę zupełnie poznał twarz przyjaciela i jęknął z cicha:

– Jędrus!... księdza!...

– Kto was pobił?! – krzyczał Kmicic chwytając się za włosy.

– Bu-try-my... – ozwał się głos tak cichy, że ledwie dosłyszalny.

Po czym Rekuć wyprężył się, zeszywniał, otwarte oczy stanęły mu w ślup – i skonał.

Kmicic poszedł w milczeniu do stołu, postawił na nim kaganek – sam siadł na krześle i począł rękoma wodzić po twarzy jak człowiek, który, ze snu się zbudziwszy, sam nie wie, czy już się rozbudził, czy widzi jeszcze senne obrazy przed oczyma.

Następnie znów spojrzął na leżące w mroku ciała. Zimny pot wystąpił mu na czoło, włosy zjeżyły się na głowie i nagle krzyknął tak strasznie, że aż szyby zadrgały w oknach:

– Bywaj, kto żyw! bywaj!

Żołnierze, którzy roztasowywali się w czeladnej, posłyszeli ów krzyk i pędem wpadli do izby. Kmicic ukazał im ręką na leżące pod ścianą trupy.

– Pobici! pobici! – powtarzał chrapliwym głosem.

Oni rzucili się patrzeć; niektórzy nadbiegli z łuczywem i poczęli w oczy świecić nieboszczykom. Po pierwszej chwili zdumienia wszczął się gwar i zamieszanie. Przylecieli i ci, którzy już się byli pokładli w stajniach i oborach: Dom cały zajaśniał światłem, zaroił się ludźmi, a wśród tego zamętu, nawoływań, pytań jedni tylko pobici leżeli pod ścianą równo i cicho, obojętni na wszystko i – przeciw swej naturze – spokojni. Dusze z nich wyszły, a ciała nie mogły rozbudzić ani surmy do bitwy, ani brzęk kielichów do uczty.

Tymczasem w gwarze żołnierskim coraz bardziej przemagały okrzyki groźby i wściekłości. Kmicic, który dotąd był jakby nieprzytomny, zerwał się nagle i zakrzyknął:

– Na koń!...

Ruszyło się, co żyło, ku drzwiom. Nie upłynęło i pół godziny, już stu przeszło jeźdźców leciało na złamanie karku po szerokiej, śnieżnej drodze, a na ich czele leciał pan Andrzej, jakby go zły duch opętał, bez czapki, z gołą szablą w ręku. W ciszy nocnej rozlegały się dzikie okrzyki:

– Bij! morduj!...

Księżyc dosięgnął właśnie najwyższej wysokości w swej drodze niebieskiej, gdy nagle blask jego począł się mieszać i zlewać z różowym światłem wychodzącym jakby spod ziemi; stopniowo niebo czerwieniało coraz bardziej, rzekłbyś, od zorzy wstającej, aż wreszcie krwawa czerwona luna oblała całą okolicę. Jedno morze ognia szalało nad olbrzymim zaściankiem Butrymów, a dziki żołnierz Kmicicowy, wśród dymu, pożogi i skier buchających słupami do góry, mordował w pień przerażoną i ośleplą z trwogi ludność...

Zerwali się ze snu mieszkańcy pobliskich zaścianków. Większe i mniejsze gromady Gościewiczów Dymnych, Stakjanów, Gasztowtów i Domaszewiczów zbierały się na drogach, przed domami, i poglądając w stronę pożaru podawały sobie z ust do ust trwożliwe wieści: „Chyba nieprzyjaciel wtargnął i pali Butrymów... To niezwyuczajny pożar!”

Huk rusznic dochodzący od czasu do czasu z oddali potwierdzał te przypuszczenia.

– Pójdźmy na pomoc! – wołali śmielsi – nie dajmy braciom ginąć...

A gdy tak mówili starsi, już młodsi, którzy dla omłotów zimowych nie poszli do Rosień, siadali na koń. W Krakinowie i w Upicie poczęto bić w dzwony po kościołach.

W Wodoktach ciche pukanie do drzwi zbudziło pannę Aleksandrę.

– Oleńko! wstawaj! – wołała panna Franciszka Kulwiewcówna.

– Niech ciotuchna wejdzie! – Co tam się dzieje?

– Wołmontowicze się palą!

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!

– Strzały aż tu słyhać, tam bitwa! Boże, zmiłuj się nad nami!

Oleńka krzyknęła strasznie, po czym wyskoczyła z łóżka i poczęła spieszenie szaty narzucać. Ciało jej dygotało jak we febrze. Ona jedna domyśliła się od razu, co to za nieprzyjaciel napadł nieszczęsnych Butrymów.

Po chwili wpadły rozbudzone niewiasty z całego domu z płaczem i szlochaniem. Oleńka rzuciła się na kolana przed obrazem, one poszły za jej przykładem i wszystkie poczęły odmawiać głośno litanie za konających.

Były zaledwie w połowie, gdy gwałtowne kołatanie wstrząsnęło drzwiami od sieni. Niewiasty zerwały się na równe nogi, okrzyk trwogi wyrwał się im z piersi:

– Nie otwierać! nie otwierać!

Kołatanie ozwało się z podwójną siłą, rzekłbyś: drzwi wyskoczą z zawias. Tymczasem między zgromadzone niewiasty wpadł pacholik Kostek.

– Panieńka! – wołał – jakiś człek stuka; otwierać czy nie?

– Samli jest?

– Sam.

– Idź, otwórz!

Pacholek skoczył, ona zaś chwyciwszy świecę przeszła do izby jadalnej, za nią panna Franciszka i wszystkie prządki.

Zaledwie zdołała postawić świecę na stole, gdy w sieni dał się słyszeć szcęk żelaznej zawory, skrzypienie otwieranych drzwi i przed oczyma niewiast ukazał się pan Kmicic, straszny, czarny od dymu, krwawy, zadyszany i z obłąkaniem w oczach.

– Koń mi pod lasem padł! – krzyknął – ścigają mnie!...

Panna Aleksandra utkwiała weń oczy: – Wać spaliłeś Wołmontowicze?

– Ja!... Ja!...

Chciał coś dalej mówić, gdy wtem od strony drogi i lasu doszedł odgłos okrzyków i tętent koni, który zbliżał się z nadzwyczajną szybkością.

– Diabli po mą duszę!... dobrze! – krzyknął jakby w gorączce Kmicic.

Panna Aleksandra w tejsze chwili zwróciła się do prządek:

– Jeśli będą pytać, powiedzcie, że nie masz tu nikogo, a teraz do czeladnej i ze światłem tu przyjsć!... Po czym do Kmicica:

– Waść tam! – rzekła ukazując na przyległą izbę. I prawie przemocą wepchnąwszy go przez otwarte drzwi, zamknęła je natychmiast.

Tymczasem zbrojni ludzie zapelnili podwórzec i w mgnieniu oka Butrymi, Gościewicz, Domaszewicz i inni wpadli do domu. Ujrawszy pannę wstrzymali się w izbie jadalnej – ona zaś stojąc ze świecą w ręku zamykała sobą drogę do dalszych drzwi.

– Ludzie! co się dzieje? czego tu chcecie? – pytała nie mrużąc oczu przed groźnymi spojrzeniami i złowrogim blaskiem gołych szabel.

– Kmicic spalił Wołmontowicze! – krzyknęła chórem szlachta. – Pomordował mężów, niewiasty, dzieci! Kmicic to uczynił!...

– My ludzi jego wybili! – rozległ się głos Butryma Józwy – a teraz jego głowy chcemy!...

– Jego głowy! krwi! Rozsiekać zbójcę!

– Gońcie go! – zawołała panna. – Czegóż tu stoicie? gońcie!

– Zali nie tu się schronił? My konia pod lasem znaleźli...

– Nie tu! Dom był zawarty! Szukajcie w stajniach i oborach.

– W las uszedł! – zawołał jakiś szlachcic. – Hejże, panowie bracia!

– Milczeć! – huknął potężnym głosem Józwa Butry m. Po czym zbliżył się do panny.

– Panno! – rzekł. – Nie ukrywaj go!... To człek przeklęty!

Oleńka podniosła obie ręce nad głowę. – Przeklinam go wraz z wami!...

– Amen! – krzyknęła szlachta. – Do zabudowań i w las! Odnajdziem go! Hajże na zbója!

– Hajże! Hajże!

Szczęk szabel i stapanie rozległo się na nowo. Szlachta wypadła przed ganek i siadała co prędzej na koń. Część jej szukała jeszcze czas jakiś w zabudowaniach, w stajniach, oborach, w odrynie – potem głosy poczęły się oddalać w stronę lasu.

Panna Aleksandra nasłuchiwała, dopóki zupełnie nie znikły, po czym zapukała gorączkowo do drzwi komnaty, w której ukryła pana Andrzeja.

– Nie ma już nikogo! wychodź waść!

Pan Kmicic wytoczył się z izby jak pijany.

– Oleńka!... – zaczął.

Ona wstrząsnęła rozpuszczonymi włosami, które pokrywały niby płaszczem jej plecy.

– Nie chcę cię widzieć, znać! Bierz konia i uchodź stąd!...

– Oleńka! – jęknął Kmicic wyciągając ręce.

– Krew na waćpana rękę jako na Kainowym! krzyknęła odskakując jakby na widok węża. – Precz, na wieki!...

## ROZDZIAŁ VI

Dzień wstał blady i oświecił kupę gruzów w Wołmontowiczach, zgliszcza domów, zabudowań gospodarskich, popalone lub pocięte mieczami trupy ludzkie i końskie. W popiołach, wśród dogasających węgla, gromadki wybladłych ludzi szukały ciał nieboszczyków lub ostatnich mienia. Był to dzień żalości i klęski dla całej Laudy. Rojna szlachta odniosła wprawdzie zwycięstwo nad oddziałem Kmicica, ale ciężkie i krwawe. Prócz Butrymów, których padło najwięcej, nie było zaciągnięcia, w którym by wdowy nie oplakiwały mężów, rodzice synów lub dzieci ojców. Tym trudniej przyszło laudańskim pokonać napastników, że co najętsi mężowie byli nieobecni, jeno starcy lub młodzieńcy w zaraniu młodości brali udział w walce. Jednakże z Kmicicowych ludzi nie ocalał żaden. Jedni dali gardła w Wołmontowiczach, broniąc się tak zaciekle, iż ranni jeszcze walczyli, innych wyłowiono następnego dnia po lasach i wybito bez litości. Sam Kmicic jak w wodę wpadł. Gubiono się w przypuszczeniach, co się z nim stało? Niektórzy twierdzili, że się zasiał w Lubiczu, ale zaraz okazało się to nieprawdą; więc przypuszczano, że się dostał do puszczy Zielonki, a stamtąd do Rogowskiej, gdzie chyba jedni Domaszewicze mogli go wysledzić. Wielu twierdziło też, że do Chowańskiego zbiegnie i nieprzyjaciół naprowadzi, ale były to co najmniej obawy przedwczesne.

Tymczasem niedobitki Butrymów pociągnęły do Wodoktów i stanęły tam jakby obozem. Dom pełen był niewiast i dzieci. Co się nie zmieściło, poszło do Mitrunów, które panna Aleksandra całe pogorzelncom oddała. Prócz tego około stu zbrojnych ludzi, którzy się zmieniali kolejno, stanęło w Wodoktach dla obrony; spodziewano się bowiem, że pan Kmicic nie da za wygraną i lada dzień o pannę zbrojno może się pokusić. Przysłały i znaczniejsze w okolicy domy, jako Schyillingowie, Sołłohuby i inni, kozaczków nadwornych i hajduków. Wodokty wyglądały jakby miasto spodziewające się oblężenia. A zaś między zbrojnymi ludźmi, między szlachtą, między gromadami niewiast chodziła żalobna panna Aleksandra, blada, bolesna, słuchając ludzkiego płaczu i ludzkich przekleństw na pana Kmicica, które jakby mieczami przeszywały jej serce, bo przecież ona byka pośrednią przyczyną wszelkich nieszczęść. Dla niej to przybył w te okolice ów mąż szalony, który zburzył ich spokój i krwawą pamięć po sobie zostawił, prawa podeptał, ludzi pobił, wsie jak bisurmanin nawiedził ogniem i mieczem. Aż dziw było, że jeden człowiek mógł tyle złego w tak krótkim przeciągu czasu uczynić, i to człowiek ani zły zupełnie, ani zupełnie zepsuty. Jeśli kto, to panna Aleksandra, która najbliżej go poznała, wiedziała o tym najlepiej. Była cała przepaść między samym panem Kmicicem a jego uczynkami. Ale właśnie dlatego, jakież ból sprawiała pannie Aleksandrze myśl, że ten człowiek, którego pokochała całym pierwszym impetem młodego serca, mógł być inny; że miał w sobie takie przymioty, które mogły go uczynić wzorem rycerza, kawalera, sąsiada; że mógł zyskać zamiast wzgardy – podziw i miłość ludzką, zamiast przekleństw – błogosławieństwa.

Więc chwilami zdawało się pannie, że to jakieś nieszczęście, jakaś siła wielka a nieczysta popchnęła go do tych wszystkich gwałtów, które spełnił, a wówczas chwycił ją żal prawdziwie niezmierny nad tym nieszczęśliwym i niewygasła miłość nurtowała na nowo w sercu, podsycana świeżym wspomnieniem jego postaci rycerskiej, słów, zaklęć, kochania.

Tymczasem sto protestów oblatowano przeciw niemu w grodzie, sto procesów mu groziło, a pan starosta Hlebowicz wysłał pachołków do chwytania przestępcy.

Prawo musiało go potępić.

Jednakże od wyroków do ich wykonania było jeszcze daleko, bo bezład wzrastał coraz bardziej w Rzeczypospolitej. Wojna straszliwa zawisła nad krajem i zbliżała się krwawymi krokami ku Żmudzi. Potężny Radziwiłł birżański, który sam jeden mógł prawo zbrojną ręką poprzeć, zbyt był sprawami publicznymi zajęty, a jeszcze bardziej pogrążony w wielkich zamysłach dotyczących domu własnego, który chciał wynieść nad wszystkie inne w kraju, choćby kosztem dobra publicznego.

Inni też magnaci więcej o sobie niż o Rzeczypospolitej myśleli. Pękały już bowiem od czasów wojny kozackiej wszystkie spojenia w potężnej budowie tej Rzeczypospolitej.

Kraj ludny, bogaty, pełen dzielnego rycerstwa stawał się łupem postronnych, a natomiast samowola i swawola podnosiły coraz bardziej głowę i mogły urągać prawu – byle siłę czuły za sobą.

Uciśnieni przeciw uciskającym najlepszą i niemal jedyną we własnych szablach mogli znaleźć obronę; więc też i Lauda cała, protestując się przeciw Kmicicowi w grodach, długo jeszcze nie zsiadała z konia, gotowa przemoc przemocą odeprzeć.

Ale upłynął miesiąc, a o Kmicicu nie było wieści. Ludzie jęli lżej oddychać. Moźniejsza szlachta odwołała zbrojną czeladź, którą na strażę do Wodoktów była wysłała. Drobniejszej braci tęskno było do robót i wczasów po zaściankach, więc także poczęli się z wolna rozjeżdżać. A gdy wojenne humory uspokajały się w miarę, jak czas płynął, coraz większa przychodziła owej ubogiej szlachcie ochota prawem nieobecnego nękać i w trybunałach swoich krzywd dochodzić. Bo choć samego Kmicica nie mogły wyroki osiągnąć, pozostał przecie Lubicz, wielka i piękna majątność, gotowa za poniesione szkody nagroda i zapłata. Ochotę do procesów podtrzymywała przy tym w laudańskiej braci bardzo gorliwie panna Aleksandra. Dwakroć zjeżdżali się do niej na narady starsi laudańscy, a ona w owych naradach nie tylko brała udział, ale przewodniczyła im, zadziwiając wszystkich zgoła nie niewieścim umysłem i sądem tak trafnym, iż mógł jej go niejeden palestrant pozazdrościć. Chcieli tedy starsi laudańscy Lubicz zbrojno zająć i Butrymom go oddać, ale „panienka” odradziła stanowczo.

– Nie płaćcie gwałtem za gwałt – mówiła – bo i wasza sprawa zła będzie; niechaj cała niewinność stanie po waszej stronie. On, człowiek możny i skoligacony, znajdzie i w trybunałach popleczników, a gdy najmniejszy pozór dacie, możecie nową krzywdę ponieść. Niechże wasza racja będzie tak jasna, aby każdy sąd, choćby z braci jego złożony, nie mógł inaczej, jeno na waszą stronę przysądzić. Mówcie Butrymom, by ani statków, ani bydła nie brali i całkiem Lubicz w spokoju zostawili. Co im potrzeba, to im z Mitrunów dam, gdzie więcej jest wszelkiego dobra, niż kiedykolwiek było w Wołmontowiczach. A jeśliby pan Kmicic na powrót się tu zjawił, niechże i jego zostawią w spokoju, póki wyroków nie będzie, ani niech na jego zdrowie nie godzą. Pomnijcie, że póty tylko, póki on żyw, macie na kim krzywd waszych poszukiwać.

Tak mówiła mądra panna ze statecznym umysłem, a oni sławili jej mądrość nie zważając, że odwłoka może wyjść także i na korzyść pana Andrzeja, a przynajmniej, że mu życie zabezpiecza. Może też i chciała Oleńka to życie niefortunne przed nagłą przygodą zabezpieczyć? Ale szlachta usłuchała jej, bo przywykła z dawnych, przedawnych czasów wszystko; co wychodzi z ust billewiczowskich, za ewangelię uważać; i Lubicz pozostał nietknięty – i pan Andrzej, gdyby się był zjawił, mógłby być do czasu spokojnie w Lubiczu osiadł.

Lecz on się nie zjawił. Natomiast w półtora miesiąca później przyszedł do panienki posłaniec z listem, jakiś obcy człowiek, nikomu nie znany. List był od Kmicica, pisany w następujące słowa:

„Sercem ukochana, najdroższa, nieodżałowana Oleńko! Wszelkiemu to jest przyrodzone stworzeniu, a zwłaszcza człowiekowi, choćby i najlichszemu, że za krzywdy swoje mścić się musi, a kto by mu co złego uczynił, tedy on mu tym samym rad płaci. A że ja wyciąłem tę hardą szlachtę, to Bóg widzi, iż nie stało się to z żadnego okrucieństwa, ale dlatego, że towarzyszków moich – wbrew prawom boskim i ludzkim – bez uwagi na ich młodość i wysokie urodzenie, tak nielitościwą śmiercią pomordowali, jaka by ich nigdzie, nawet u Kozaków lub Tatarów, spotkać nie mogła. Nie będę też zaprzeczał, że i gniew mnie prawie nadludzki opanował, ale któż będzie się dziwił gniewowi, który w krwi przyjacielskiej rozlanej początek bierze? Duchy to śp. Kokosińskiego, Raniachiego, Uhlika, Rekucia, Kulwieca i Zenda, w kwiecie wieku i sławy niewinnie posieczonych, uzbroiły ramię moje wtedy właśnie, gdy – świadczę się Bogiem! o zgodzie jeno i przyjaźni ze wszystką szlachtą laudańską zamyślał, chcąc żywot mój całe odmienić, wedle słodkich rad twoich. Słuchając skarg przeciw mnie nie odrzucaj i mojej obrony i osądź sprawiedliwie. Żal mnie teraz tych ludzi w zaścianku, bo może i niewinnym się dostało, ale żołnierz, mszcząc się krwi bratniej, niewinnych od winnych odróżnić nie umie i nikogo nie respektuje. Bogdajby się to nie stało, co mi

w twoich oczach zaszkodzić mogło. Za cudze grzechy i winy, za gniew sprawiedliwy najcięższa dla mnie pokuta, bo straciwszy ciebie, w desperacji sypiam i w desperacji się budzę, nie mogąc ciebie ani kochania zapomnieć. Niechże mnie, nieszczęsnego, trybunały osądzą, niech sejmy wyroki potwierdzą, niech włożą mnie do trąby, do infamii, niech ziemia rozstąpi się mi pod nogami – wszystko zniosę, wszystko przecierpię, jeno ty, na Boga! nie wyrzucaj mnie z serca. Uczynię wszystko, co zechcą, oddam Lubicz, oddam po ewakuacji nieprzyjacielskiej i majątności orszańskie; mam ruble zdobyczne w lasach zakopane, i te niech biorą, byleś mi rzekła, że mi wiary dotrzymasz, jako ci dziad nieboszczyk z tamtego świata nakazuje. Ocaliłaś mi życie, ocalże i duszę moją, daj krzywdy nagrodzić, pozwól żywot na lepsze odmienić, bo już to widzę, że gdy ty mnie opuścisz, to mnie Pan Bóg opuści i desperacja popchnie mnie do gorszych jeszcze uczynków...”

Ile tam głosów litosnych podniosło się w duszy Oleńki na obronę pana Andrzeja, któż zgadnie, któż wypisać potrafi! Miłość jako nasionko leśne z wiatrem szybko leci, ale gdy drzewem w sercu wyrośnie, to chyba razem z sercem wyrwać ją można. Billewiczówna była z tych, co sercem uczciwym mocno kochają, więc łzami oblała ten list Kmiciców. Ale nie mogła przecie za pierwszym słowem o wszystkim zapomnieć, wszystko przebaczyć. Skrucha Kmicica była zapewne szczerą, ale dusza pozostała dziką i natura niepohamowana pewno nie zmieniła się tak przez owe wypadki, aby o przyszłości można było myśleć bez trwogi. Nie słów, ale uczynków trzeba było na przyszłość ze strony pana Andrzeja. Zresztą, jakże to mogła powiedzieć człowiekowi, który okrwawił całą okolicę, którego imienia nikt po obu brzegach Laudy nie wymawiał bez przekleństwa: „Przybywaj, za trupy, pożogę, krew i łzy ludzkie oddaję ci swą miłość i swoją rękę.”

Więc odpisała mu inaczej:

„Jakom waćpanu rzekła, że nie chcę cię znać i widzieć, tak wytrwam w tym, choćby mi się serce miało rozedrzyć. Krzywd takich, jakie tu waćpan ludziom wyrządziłeś, nie płaci się ni majątnością, ni pieniędzmi, bo umarłych wskrzesić nie można. Nie majątność też waćpan utraciłeś, ale sławę. Niechże ci ta szlachta, któraś popalił i pomordował, przebaczy, to ci i ja przebaczę; niech ona cię przyjmie, to i ja przyjmę; niech ona pierwsza za tobą się wstawi, tedy jej orędownictwa wysłucham. A jako się to nigdy stać nie może, tak i waćpan szukaj gdzie indziej szczęścia, najpierw zaś boskiego, nie ludzkiego, przebaczenia, bo ci boskie potrzebniejsze...”

Panna Aleksandra polala łzami każde słowo listu, potem przypieczętowała go billewiczowskim sygnetem i sama wyniosła go posłańcowi.

- Skąd jesteś? – pytała obrzucając wzrokiem tę dziwną postać pół-chłopa, pół-sługi.
- Z lasu, panoczka. – A gdzie twój pan?
- Tego mnie nie wolno powiedzieć... Ale on stąd daleko; ja pięć dni jechał i szkapę zmordował.
- Masz talara! – rzekła Oleńka. – A twój pan nie w chorobie?
- Zdrowy on junak jak tur.
- A nie w głodzie? nie w ubóstwie?
- On bogaty pan.
- Idź z Bogiem.
- Kłaniam do nóg.
- Powiedz panu... czekaj... powiedz panu... niech go Bóg wspomaga...

Chłop odszedł – i znowu zaczęły płynąć dni, tygodnie bez wieści o Kmicicu; przychodziły za to publiczne, jedna od drugiej nieszczęśliwsze, – Wojska Chowańskiego coraz szerzej zalewały Rzeczpospolitą. Nie licząc ziem ukraińskich, w samym Wielkim Księstwie województwa: połockie, smoleńskie, witebskie, mściśławskie, mińskie i nowogrodzkie, były zajęte; jeno część wileńskiego, brzesko-litewskie, trockie i starostwo żmudzkie oddychały jeszcze wolną pierśią, ale i te z dnia na dzień spodziewały się gość ci.

Na ostatni, widać, szczebel niemocy zesłała Rzeczpospolita, gdy nie mogła dać oporu tym właśnie siłom, które lekceważono aż dotąd i z którymi zawsze rozprawiano się zwycięsko. Prawda, że siły te wspomagał nieugaszony i odradzający się ciągle bunt Chmielnickiego, prawdziwa hydra stugłowa; pomimo jednak buntu, pomimo wyczerpania sił w poprzednich wojnach, i statyści, i

wojownicy uręczali, że samo tylko Wielkie Księstwo mogło i było w stanie nie tylko napór odeprzeć, ale jeszcze chorągwie swe zwycięsko poza własne granice przenieść. Na nieszczęście, niezgoda wewnętrzna stawała owej możliwości na przeszkodzie, paraliżując usiłowania tych nawet obywateli, którzy życie i imię w ofierze nieść byli gotowi.

Tymczasem w ziemiach jeszcze nie zajętych chroniły się tysiące zbiegów, tak ze szlachty, jak ludu prostego. Miasta, miasteczka i wsie na Żmudzi pełne były ludzi przywiezionych klęskami wojny do nędzy i rozpacz. Miejskowa ludność nie mogła ani pomieścić wszystkich, ani dać im dostatecznego pożywienia – więc nieraz marli z głodu, mianowicie ludzie niskiego stanu; nieraz przemocą brali to, czego im odmawiano, stąd zamieszki, bitwy i rozboje stawały się coraz częstsze.

Zima była nadzwyczajna w swej surowości. Przyszedł wreszcie kwiecień, a śniegi leżały grubo nie tylko w lasach, ale i na polach. Gdy zesłoroczne zapasy wyczerpały się, a nowych jeszcze nie było, począł grasować głód, brat wojny, i rozpościerał swe panowanie coraz szerzej. Wyjechawszy z domu nietrudno było spotkać trupy ludzkie leżące po polach, przy drogach, skostniałe, ogryzione przez wilki, które, rozmnożywszy się nadzwyczajnie, całymi stadami podchodziły pod wsie i zaścianki. Wycie ich mieszało się z wołaniem ludzkim o litość; po lasach bowiem, po polach i tuż koło wsi licznych połyskiwały nocami ogniska, przy których nędzarze rozgrzewali przemarzłe członki, a gdy kto przejeżdżał, tedy biegli za nim prosząc o grosz, o chleb, o miłosierdzie, jęcząc, przeklinając i grożąc zarazem. Strach zabobonny zdjął umysły ludzkie. Wielu mówiło, że te wojny tak niepomyślnie i te nieszczęścia dotąd niebywałe do imienia królewskiego są przywiązane. Tłumaczono chętnie, że litery: J. C. R., wybite na pieniążkach, znaczą nie tylko Joannes Casimirus Rex, ale i Initium Calamitatis Regni. A jeśli w prowincjach jeszcze przez wojnę nie zajętych powstawał taki przestrah i bezład, łatwo się domyślić, co działo się w tych, które już deptała ognista stopa wojny. Cała Rzeczpospolita była rozprzężona, targana przez partie, chora i w gorączce, jak człowiek przed śmiercią. Przepowiadano także nowe wojny zewnętrzne i domowe. Jakoż powodów nie brakło. Różne potężne w Rzeczypospolitej domy, ogarnięte wichrem niezgody, poglądały na się jakby nieprzyjacielskie państwa, a za nimi całe ziemie i powiaty tworzyły przeciwne obozy. Tak właśnie było na Litwie, gdzie waśń sroga między Januszem Radziwiłłem, hetmanem wielkim, a Gosiewskim, hetmanem polnym, a zarazem podskarbisem Wielkiego Księstwa Litewskiego, prawie w otwartą zmieniła się wojnę. Po stronie podskarbisiego stanęli możni Sapiehowie, którym od dawna była solą w oku potęga radziwiłłowskiego domu. Tych stronnicy ciężkim' zaiste wielkiego hetmana obarczali zarzutami: iż pragnąc tylko sławy dla siebie, wojsko pod Szklowem wytracił i kraj na łup wydał; że więcej niż szczęścia Rzeczypospolitej pożądał dla swego domu prawa zasiadania w sejmach cesarstwa niemieckiego; że nawet o udzielnej koronie zamyślał, że katolików prześladował..

I przychodziło nieraz już do bitew między partyzantami stron obu, niby bez wiedzy patronów, patronowie zaś słali na się skargi do Warszawy, waśń ich odbijała się i na sejmach – na miejscu zaś rozpręgała swawolę i zapewniała bezkarność, bo taki Kmicic pewny mógł być opieki jednego z tych potentatów, skoro by po jego stronie przeciw drugiemu stanął.

A tymczasem nieprzyjaciel siedł naprzód, gdzieniegdzie się tylko o zamki odbijając, zresztą swobodnie i bez oporu.

W takich okolicznościach wszyscy w laudańskiej stronie musieli żyć w czujności i pod bronią, zwłaszcza że hetmanów nie było w pobliżu, obaj bowiem ucierali się z wojskami nieprzyjacielskimi, niewiele wprawdzie wskórać mogąc, ale przynajmniej podjazdami je szarpiąc i przystęp do wolnych jeszcze województw tamując. Osobno i Paweł Sapieha odpór dawał i sławę zyskiwał. Janusz Radziwiłł, wojownik wsławiony, którego imię samo aż do szklowskiej przegranej groźne było nieprzyjacielowi, odniósł nawet kilka znaczniejszych korzyści. Gosiewski to bił się, to układami próbował napór wstrzymać; obaj wodzowie ścigali wojska z leż zimowych i skąd mogli, wiedząc, że z wiosną wojna rozgorzeje na nowo. Ale wojsk było mało, skarb pusty, a pospolite ruszenie z województw już zajętych ścigać się nie mogło, bo je nieprzyjaciel hamował. „Trzeba było o tym przed szklowską potrzebą pomyśleć – mówili gosiewszczycy – teraz za późno.” I istotnie było



za późno. Koronne wojska przyjść z pomocą nie mogły, bo wszystkie były na Ukrainie i w ciężkiej pracy przeciw Chmielnickiemu, Szeremetowi i Buturlinowi.

Wieści tylko o walkach bohaterskich, dochodzące z Ukrainy, o miastach zdobytych, o pochodach niebywałych krzepiły nieco upadłe serca i do obrony zachęcały. Brzmiały też głośnie sławą imiona hetmanów koronnych, a obok nich imię pana Stefana Czarnieckiego coraz się częściej na ustach ludzkich zjawiało, ale sława za wojska ani za pomoc starczyć nie mogła, więc hetmani litewscy ustępowali z wolna, nie przestając kłócić się ze sobą po drodze.

Wreszcie Radziwiłł stanął na Żmudzi. Wraz z nim powrócił chwilowy spokój w stronie laudańskiej. Jeni kalwini, ośmieleni bliskością swego naczelnika, podnosili po miastach głowy, krzywdy czyniąc i na kościoły napadając, ale za to przywódcy rozmaitych watah wolentarskich i partyj nie wiadomo czyich, którzy pod barwą Radziwiłła, Gosiewskiego lub Sapiehów kraj niszczyli, pokryli się w lasy, rozpuścili swych łotrzyków – i ludzie spokojni lżej odetchnęli.

A ponieważ od zwątpienia łatwe jest przejście do nadziei, więc z nagłą lepszy duch zapanował na Lau dzie. Panna Aleksandra siedziała spokojnie w Wodoktach. Pan Wołodyjowski, który wciąż mieszkał w Pacunelach, a teraz właśnie z wolna do zdrowia powracać począł, rozpuszczał wieści, że król na wiosnę przyjdzie z zaciężnymi chorągwiami, po czym wnet cała wojna inny obrót weźmie. Pokrzepiona szlachta zaczęła wychodzić z pługami w pola. Śniegi też potajały i na brzezinie ukazały się pierwsze pędy. Lauda rozlała szeroko. Pogodniejsze niebo jaśniało nad okolicą. Lepszy duch wstępował w ludzi.

Wtem zaszedł wypadek, który znów zamącił laudańską ciszę, ręce oderwał od lemieszów i nie pozwolił szablom pokryć się rdzą czerwoną.

## ROZDZIAŁ VII

Pan Wołodyjowski, sławny i stary żołnierz, choć człowiek młody, siedział, jako się rzekło, w Pacunelach u Pakosza Gasztowta, patriarchy pacunelskiego, którego miał reputację najbogatszego szlachcica między wszystką drobną bracią laudańską. Jakoż trzy córki, które były za Butrymami, wyposażył hojnie dobrym srebrem, dawszy każdej po talarów sto prócz inwentarzy i wyprawy tak pięknej, że i niejedna szlachcianka familiantka lepszej nie miała. Inne trzy córki były w domu pannami i te pilnowały pana Wołodyjowskiego, któremu ręka to przychodziła do zdrowia, to martwiała znowu, gdy zdarzyły się słoty na świecie. Wszyscy laudańscy zajmowali się wielce tą ręką, bo ją widzieli przy robocie pod Szklówem i Sepielowem, i ogólne było mniemanie, że lepszej trudno było znaleźć na całej Litwie. Otaczano też młodego pułkownika we wszystkich okolicach czcią nadzwyczajną. Gasztowtowie, Domaszewicze, Gościewiczze i Stakjanowie, a za nimi inni dosyłali wiernie do Pacunelów ryby, grzyby i zwierzynę, i siano dla koni, i smołę do kałamaszek, aby rycerzowi i jego czeladzi na niczym nie zbywało. Ilekroć czuł się słabszym, jeździli na wyścigi po cyrulika do Poniewieża – słowem, wszyscy przesadzali się w usługach.

Panu Wołodyjowskiemu tak też było dobrze, że choć w Kiejdanach mógł mieć i wygody lepsze, i medyka sławnego na zawołanie, przecie w Pacunelach siedział, a stary Gasztowt rad go podejmował i prawie prochy przed nim zdmuchiwał, bo podnosiło to nadzwyczajnie jego znaczenie w całej Laudzie, iż tak znamienitego ma gościa, którego by i samemu Radziwiłłowi honoru mógł przymnożyć.

Po pobiciu i wpędzeniu Kmicica poszła rozmiłowana w pana Wołodyjowskim szlachta po rozum do głowy i uczyniła projekt ożenienia go z panną Aleksandrą. „Co będziem dla niej męża po świecie szukać! – mówili starzy na umyślnej sesji, na której oną sprawę roztrząsano. – Gdy tamten zdrajca bezecnymi uczynkami tak się splamił, iż jeśli jest żyw, katu oddany być powinien, tedy i panna musiała go już z serca wyrzucić, bo tak było i w testamencie, w osobnej klauzuli przewidziane. Niechże pan Wołodyjowski się z nią żeni. Jako opiekunowie, możemy na to pozwolić, a tak i ona zacnego kawalera, i my sąsiada i wodza dostaniem.”

Gdy zdanie to jednogłośnie zawotowane zostało, pojechali starsi naprzód do pana Wołodyjowskiego, którego niewiele myśląc na wszystko się zgodził, a potem do „panienki”, która jeszcze mniej myśląc, stanowczo się sprzeciwiła. „Lubiczem – rzekła – jeden tylko nieboszczyk miał prawo rozrządzać i majątność nie prędzej może być panu Kmicicowi odjęta, aż sądy na utratę gardła go skazą, a co się tyczy mego zamążpójścia, nawet o tym nie wspominajcie. Za dużo mam w sobie boleści, żebym o czymś podobnym myśleć mogła... Tamtego z serca wyrzuciłam, a tego, choćby był najgodniejszy, nie przywożcie, bo wcale do niego nie wyjdę.”

Nie było co rzec na tak stanowczą odmowę i szlachta wróciła do domów wielce zmartwiona: mniej zmartwił się pan Wołodyjowski, a najmniej młode Gasztowtówny: Terka, Maryśka i Zonia. Rosły to były dziewczęta i rumiane, miały włosy jak len, oczy jak niezabudki, a plecy szerokie. Pacunelki w ogóle słynęły z piękności; gdy szły kupą do kościoła, rzekłbyś: kwiaty na łące! A te trzy były między pacunelkami najpiękniejsze; do tego stary Gasztowt i na edukację nie żałował. Organista z Mitrunów nauczył je sztuki czytania, pieśni kościelnych, a najstarszą, Terkę, i gry na lutni. Mając dobre serca, tkliwie opiekowały się panem Wołodyjowskim, jedna starając się ubiec drugą w czujności i staraniach. O Maryśce mówiono, że zakochana w młodym rycerzu; wszelako nie było w tej gadaninie całej prawdy, gdyż wszystkie trzy, nie ona jedna, były na zabój zakochane. On też lubił je bez miary, szczególnie Maryškę i i onię, bo Terka na zdradliwość męską zbytnio miała zwyczaj narzekać.

Nieraz, bywało, długimi wieczorami zimowymi stary Gasztowt podpiwszy krupniczką spać idzie, a one z panem Wołodyjowskim siedzą wedle konina; nieufna Terka kądziel przedzie, słodka Marysia darcie kwapiu się zabawia, a Zonia nici z wrzecion na motki nawija. Lecz gdy pan Wo-

łodyjowski zaczął opowiadać o wojnach, które przeżył, albo o dziwacznych, które widział w różnych magnackich dworach, to robota ustanie, dziewczęta w niego jak w tęczę patrzą i coraz to któraś wykrzyknie z podziwu: „Ach! ja nie żyję na świecie! Kochaniec wy moi!” – a druga odpowie: „Cała noc oka nie zmruję!”

Pan Wołodyjowski zaś, w miarę jak do zdrowia przychodził i szablą już chwilami zupełnie swobodnie zaczął władać, coraz był weselszy i coraz chętniej opowiadał. Pewnego tedy wieczora zasiedli, jako zwykle po wieczerzy, przed okapem, spod którego rażne światło padało na całą ciemną izbę, ale zrazu zaczęli się przekomarzać. Chciały dziewczęta opowiadania, a pan Wołodyjowski prosił Terkę, żeby mu też coś zaśpiewała przy lutni.

– Sam waszmość zaśpiewaj! – odpowiedziała odpychając instrument, który jej pan Wołodyjowski podawał – ja mam robota. Bywając po świecie musiałeś się różnych pieśni wyuczyć.

– Pewnie, że się wyuczył. Ale już dziś niech tak będzie: ja zaśpiewam naprzód, a waćpanna po mnie. Robota nie przepadnie. Żeby tak białogłowa jaka prosiła, pewnie byś się nie przeciwiała, a mężczyźni zawsze oporna.

– Bo warto.

– Zali i mną tak waćpanna pogardzasz? – At, gdzie tam! Śpiewaj już wasza mość.

Pan Wołodyjowski zabrzdąkał w lutnię, nastroił pocieszoną minę i zaintonował fałszywym głosem:

*Przyjechałem w takie miejsce,  
Gdzie mnie żadna panna niej-chce!...*

– O, to niesprawiedliwie! – przerwała Marysia zarumieniwszy się jak malina.

– To jest żołnierska piosenka – rzekł pan Wołodyjowski – którąśmy śpiewali na hibernach, chcąc, żeby się jaka dobra dusza nad nami uzaliła.

– Ja bym się pierwsza uzaliła.

– Dziękuję waćpannie. Kiedy tak, to nie mam f co dłużej śpiewać i lutnię w godniejsze ręce oddaję. Terka tym razem nie odepchnęła instrumentu, bo

ją poruszyła pieśń pana Wołodyjowskiego, w której istotnie było więcej chytrych niż prawdy, więc uderzyła zaraz w struny i złożony buzię „w ciupo” zaczęła śpiewać:

*Nie kodź do lasu czypać bzu  
Z nie wierz kłopcju jako psu!  
Bo każdy kłopiec ma w sobie jad,  
Kiedy cię kocha, powiedz mu: „at!”*

Pan Wołodyjowski tak się rozweselił, że aż się za boki uchwycił z radości i zakrzyknął:

– Wszyscyż to chłopcy zdrajcy? A wojskowi, moja dobrodziko?

Panna Terka silniej zesnurowała buzię i odśpiewała z podwójną energią:

*Jeszcze gorsze psy, jeszcze gorsze psy!*

– Nie uważaj, wasza mość, na Terkę, ona zawsze taka! – rzekła Marysia.

– Jak nie mam uważać – rzecze pan Wołodyjowski – gdy całemu stanowi wojskowemu tak szpetnie przymówiła, że ze wstydu nie wiem, gdzie oczy podziać.

– Wasza mość chcesz, żebym śpiewała, a potem sobie ze mnie dworujesz i wyśmiewasz – odpowiedziała nadąsana Terka.

– Nie napadam ja na śpiewanie, jeno na sens dla wojskowych okrutny – odparł rycerz. – Co do śpiewania, muszę przyznać, że i w Warszawie tak wybornych gorgów nie słyszał. Waćpannę tyl-

ko w pluderki przybrać, a mogłabyś u Świętego Jana śpiewać, którego kościół jest katedralny i królestwo mają w nim swój ganeczek.

– A czemuż by to ją w pluderki trzeba ubierać? spytała najmłodsza, Zonia, zaciekawiona wzmianką o Warszawie i o królestwie.

– Bo tam w chórze białogłowy nie śpiewają, jeno mężczyźni i młode chłopcy: jedni grubymi głosami, jak żaden tur nie zaryczy; inni cienko, że i na skrzypcach cienie nie można. Słyszałem ich wielokroć, gdyśmy z naszym wielkim i nieodżałowanym wojewodą ruskim na elekcję terażniejszego pana naszego miłościwego przyjechali. Cuda to prawdziwe, aż dusza z człowieka ucieka! Siła tam muzykantów: jest Forster, sławny subtelnymi gorgami, i Kapuła, i Dżan Batysta, i Elert, przedni do lutni, i Marek, i Milczewski grzecznie komponujący. Ci wszyscy, kiedy to razem w kościele hukną, to jakobyś chóry serafińskie na jawie słyszał.

– Ot, to i pewno! jako żywo! – rzekła składając ręce Marysia.

– A króla wasza mość często widywał? – pytała Zonia.

– Tak z nim gadałem jak z waćpanną. Po beresteckiej potrzebie za głowę mię ścisnął. Mężny to pan i tak miłościwy, że kto go raz ujrzał, musi go pokochać.

– My go i nie widziawszy kochamy!... A koronę zali zawsze ma. na głowie?

– Zaś by tam co dnia w koronie chadzał! żelaznej by na to trzeba głowy. Korona sobie w kościele wypoczywa, od czego i powaga jej rośnie, a król jegomość kapelusz czarny nosi, brylantami zdobiony, od których światłość na cały zamek bije...

– Powiadają, że zamek królewski to nawet i od kiejdańskiego wspanialszy?

– Od kiejdańskiego? Fraszka przy nim kiejdański! Srogi to budynek, cały murowany, że drzewa i nie upatrzysz. Naokoło są dwa rzędy pokojów, jeden od drugiego zacniejszy. W nich to waćpanny ujrzycie rozmaite wojny i wiktorie, pędzlem na ścianach wyobrażone, jako to: sprawy Zygmunta III i Władysława; napatrzeć się temu nie można, bo wszystko jakoby żywe; dziw, że się nie rusza i że ci, co się biją, krzyku nie czynią. Ale już tego nikt udać nie potrafi, choćby najlepszy malarz. Niektóre zaś komnaty całe od złota; krzesła i ławy bisiorem albo lamą kryte, stoły z marmuru i alabastru, a co sepetów, puzder, zegarów, w dzień i w nocy czas pokazujących, tego by na wołowej skórze nie spisać. Dopieroż król z królową po onych komnatkach chodzą i dostatkiem się cieszą; a wieczorem mają teatrum kwoli większej jeszcze rozrywki...

– Cóż to takiego teatrum?

– Jakzeby to waćpannom powiedzieć... To jest takie miejsce, gdzie komedie grają i skoki włoskie misterne wyprawują. Komnata to tak wielka, jak niejeden kościół, cała w zacne kolumny. Po jednej stronie siedzą ci, co chcą się dziwować, a po drugiej stronie kunszty są ustawione. Te podnoszą się i schodzą na dół; inne śrubami w rozmaite obracają się strony; raz okazują ciemność z chmurami, znów przyjemną światłość; na wierzchu niebo ze słońcem albo z gwiazdami, spodem ujrzysz czasem piekło okropne...

– O Jezu! – zawołały pacunelki.

– ...z diabłami. Czasem morze niezmierne, na nim okręty i syreny. Jedne personsy spuszcza się z nieba, inne wychodzą z ziemi.

– Jeno bym piekła widzieć nie chciała! – zakrzyknęła Zonia – i dziwno mi to, że ludzie na tak okropny widok nie puciekają.

– Nie tylko nie uciekają, ale jeszcze przyklepują od uciechy – odrzekł pan Wołodyjowski – bo to wszystko udane, nie prawdziwe, i przeżegnawszy, nie znika. Nie masz w tym sprawy złego ducha, jeno ludzka przemyślność. Nawet i biskupi tam z królestwem przychodzą, i rozmaici dygnitarze, którzy potem razem z królem przed spaniem do uczyty siadają. – A z rana i w dzień co czynią?

– To zależy od humorów. Rano wstawszy, łaźni zażywają. Jest tam taka komnata, w której nie masz podłogi, jeno cynowy dół jako srebro błyszczący, a w tym dole woda.

– Woda w komnacie... słyszałyście?

– Tak jest... i przybywa jej albo ubywa, wedle woli; może też być ciepła albo zgoła zimna, bo tam są rury z kuraskami, taką i owaką niosące. Pokręcisz waćpanna kuraskiem, aż tu się leje, że i

plywać można w komnacie jako w jeziorze... Żaden król nie ma takiego zamku jak nasz pan miłościwy, to wiadoma rzecz, i posłowie zagraniczni toż samo powiadają; żaden też nad tak zacnym narodem nie panuje, bo choć są różne grzeczne nacje na świecie, przecie Bóg naszą szczególnie w miłosierdziu swoim przyozdobił.

– Szczęśliwy nasz król! – westchnęła Terka.

– Pewnie, że byłby on szczęśliwy, gdyby nie sprawy publiczne, gdyby nie, wojny niefortunne, które Rzeczpospolitą gnębią za grzechy i niezgodę naszą. Wszystko to na barkach królewskich, i wymówki mu jeszcze za nasze winy na sejmach czynią. A co on winien, że go słuchać nie chcą?... Ciężkie czasy nadeszły na ojczyznę i tak ciężkie, jakich jeszcze nie bywało. Najlichszy nieprzyjaciel już nas lekceważy, nas, którzyśmy z cesarzem tureckim szczęśliwie do niedawna wojowali. Tak to Bóg pychę karze. Chwałaż

Mu, że mi już ręka chodzi dobrze w zawiasiech... bo czas, wielki czas, za miłą ojczyznę się upomnieć i w pole ruszyć. Grzech w takich terminach próżnować.

– Jeno waćpan o wyjeździe nie wspominaj.

– Trudno ma być inaczej. Dobrze mi tu między waćpankami, ale im mi lepiej, tym mi gorzej. Niech tam mądrzy na sejmach racje dają, a żołnierzowi tęskno w pole. Póki życia, póty służby. Po śmierci Bóg, który w serca patrzy, najlepiej takich nagrodzi, co nie dla promocji, ale z afektu dla ojczyzny służą... a podobno coraz mniej takich i dlatego przyszła na nas czarna godzina.

Oczy Marysi poczęły wilgotnieć, aż w końcu łzami wezbrały, które wypłynęły na rumiane jagody.

– Waćpan pójdziesz i zapomnisz, a my tu już chyba poschniemy. Któż nas tu będzie bronił od napastników?

– Pojadę, ale wdzięczność zachowam. Rzadko tak uczciwych ludzi jak w Pacunelach!... Waćpanny zawsze się tego Kmicica boicie?

– Pewnie, że się boimy. Dzieci nim tu matki straszą jak wilkołakiem.

– Nie wróci on już, a choćby i wrócił, nie będzie miał ze sobą tych swawolników, którzy, miarkując z tego, co ludzie mówią, gorsi byli od niego. Szkoda to nawet jest, że tak dobry żołnierz tak się splamił i sławę, i majątność utracił.

– I pannę.

– I pannę. Siła o niej dobrego powiadają.

– Po całych dniach ona, nieboga, teraz jeno płacze i płacze...

– Hm! – rzekł pan Wołodyjowski – przecie nie po Kmicicu płacze?

– Kto to wie! – rzekła Marysia.

– To tym gorzej dla niej, bo on już nie wróci; pan hetman odesłał część laudańskich do domu, to i siły teraz są. Bez sądu byśmy go zaraz rozsiekali. Musi on o tym wiedzieć, że laudańscy wrócili, i ani nosa nie pokaże.

– Mają podobno nasi znowu ruszyć – rzekła Terka – bo jeno na krótko dostali do domu pozwolenie.

– E! – rzecze pan Wołodyjowski – hetman rozpuścił ich, bo pieniędzy w skarbie nie masz. Desperacja prawdziwa! Gdy ludzie najpotrzebniejsi, to trzeba ich odsyłać... Ale już dobranoc waćpanom, czas spać. A niech się tam której pan Kmicic z mieczem ognistym nie przyśni...

To rzekłszy pan Wołodyjowski wstał z ławy i zabierał się do odejścia, ale zaledwie uczynił krok ku alkierzowi, kiedy nagle uczynił się hałas w sieni i głos jakiś począł krzyczeć za drzwiami przeraźliwie:

– Hej tam! na miłosierdzie boskie! otwórzcie prędzej, prędzej!...

Dziewczęta przeraziły się okropnie; pan Wołodyjowski skoczył po szablę do alkierza, ale nie zdołał jeszcze z nią wrócić, gdy Terka odsunęła i do izby wpadł nieznany człek, który rzucił się do nóg rycerza.

– Ratunku, jaśnie pułkownik!... panna porwana!...

– Jaka panna?

- W Wodoktach...
- Kmicic! – wykrzyknął pan Wołodyjowski.
- Kmicic! – zawołały dziewczęta.
- Kmicic! – powtórzył posłaniec.
- Ktoś ty jest? – pytał pan Wołodyjowski.
- Włódarz z Wodoktów.
- My jego znamy! – rzekła Terka – on driakiew dla waszej mości woził.

Wtem zza pieca wylazł rozespany stary Gasztowt, a we drzwiach ukazało się dwóch czeladników pana Wołodyjowskiego, których hałas zwabił do izby.

– Konie siodłać! – krzyknął pan Wołodyjowski. – Jeden niech do Butrymów rusza, drugi konia mnie podaje!

– U Butrymów ja już był – rzekł włódarz – bo tam najbliżej. Oni mnie do waszej miłości przysłali.

– Kiedy panna porwana? – pytał Wołodyjowski. – Dopiero co... Tam jeszcze czeladź rzną... ja konia dopadł.

Stary Gasztowt przetarł oczy.

- Co? panna porwana?
- Tak jest... Kmicic ją porwał! – rzekł pan Wołodyjowski
- Jedziem z pomocą!

To rzekłszy zwrócił się do posłańca:

- Ruszaj do Domaszewiczów – rzekł – niech z rusznicami przybywają!
- Nuże i wy, kozy! – krzyknął nagle stary na córki. – Nuże, kozy! ruszać na wieś, budzić szlachtę, niech się szabel imają! Pannę porwał Kmicic... co?... Boże odpuść! zbój, warchoł... co?
- Pójdźmy i my budzić – rzekł Wołodyjowski – będzie prędzej. Chodź wasze! Konie, słyszę, już są.

Jakoż po chwili siedli na koń, z nimi dwóch czeladników: Ogarek i Syruć. Wszyscy puścili się drogą między chatami zaścianku, bijąc we drzwi, w okna i krzycząc wniebogłosy:

– Do szabel! do szabel! Panna w Wodoktach porwana! Kmicic w okolicy!...

Słyszając te wołania jaki taki wypadał z chaty patrzeć, co się dzieje, a zrozumiawszy, o co rzecz idzie, poczynął sam wrzeszczeć: „Kmicic w okolicy! Panna porwana!” – i tak wrzeszcząc ruszał na łeb na szyję ku zabudowaniom konia kulbaczyć albo do chaty szabliska po ścianie w ciemności macać. Coraz więcej głosów powtarzało: „Kmicic w okolicy!” – ruch czynił się w zaścianku, światła poczęły błyskać, rozległ się płacz kobiet, szczekanie psów. Na koniec, szlachta wysypała się na drogę, po części konno, a w części pieszo. Nad gromadą głów ludzkich połyskiwały w cieniu szable, piki, rohatyny, a nawet i widły żelazne.

Pan Wołodyjowski rzucił okiem na oddział, wnet rozesał kilkunastu w różne strony, a sam z resztą ruszył naprzód.

Jezdni szli na czele, piesi za nimi, 1 ciągnęli ku Wołmontowiczom, by się z Butrymami połączyć. Godzina była dziesiąta z wieczora, noc jasna, lubo księżyc jeszcze nie zeszedł. Ci ze szlachty, których świeżo z wojny hetman wielki odesłał, zaraz zwarli się w szeregi; inni, mianowicie piesi, szli mniej sprawnie, czyniąc brzęk bronią, gawędząc i ziewając głośno, a chwilami klnąc wrażego Kmicica, który ich słodkiego wczasu pozbawił; tak doszli aż pod Wołmontowicze, przed którymi wysunął się ku nim zbrojny oddział.

- Stój! kto jedzie? – poczęły wołać głosy z owego oddziału.
- Gasztowtowie!
- My Butrymi, Domaszewicze już są.
- Kto u was dowodzi? – pytał pan Wołodyjowski.
- Józwa Beznogi, do usług pana pułkownika.
- Macie wieści?
- Do Lubicza ją porwał. Przeszli bagnami, by przez Wołmontowicze nie przechodzić.

– Do Lubicza? – pytał ze zdziwieniem pan Wołodyjowski. – Cóż on się tam myśli bronić? Przecie Lubicz nie forteca?

– W siłę, widać, ufa. Ludzi przy nim ze dwieście! Pewnie też dostatki chce z Lubicza zabrać; wozy mają ze sobą i koni luźnych kupę. Musiał nie wiedzieć o powrocie naszym z wojska, bo śmiało sobie poczyną.

– Dobra nasza! – rzekł pan Wołodyjowski. – To nam się nie wymknie. Strzelby ile u was?

– U nas, Butrymów, sztuk ze trzydzieści, u Domaszewiczów dwa razy tyle.

– Dobrze. Niech pięćdziesiąt ludzi ze strzelbami ruszy pod waszecią bronić przepraw na bagnach żywo! Reszta pójdzie ze mną. O siekierach pamiętać!

– Wedle rozkazu!

Uczył się ruch; mały oddział ruszył truchtem ku bagnetom pod Józwą Beznogim.

Tymczasem nadjechało kilkunastu Butrymów rozesłanych poprzednio do innej szlachty.

– Gościewiczów nie widać? – pytał pan Wołodyjowski.

– A! to wasza mość pan pułkownik!... Chwała Bogu! – zawołali nowo przybyli. --- Gościewicz idą już... słychać ich. przez las. Wasza mość wie, że do Lubicza ją porwał?

– Wiem. Niedaleko z nią zajędzie.

Rzeczywiście Kmicic nie obliczył jednego niebezpieczeństwa swej zuchwałej wyprawy; oto nie wiedział, że znaczne siły szlachty przybyły właśnie do domów. Sądził, że zaścianki są puste, jak było za czasów jego pierwszego pobytu w Lubiczu; tymczasem teraz, licząc z Gościewiczami, bez Stakjanów, którzy nie mogli przybyć na czas, pan Wołodyjowski mógł wyprowadzić przeciw niemu około trzystu szabel i to ludzi przywykłych do boju i wyćwiczonych.

Jakoż coraz więcej szlachty nadciągało do Wołmontowicz. Przyszli wreszcie i Gościewicz, za którymi się dotąd oglądano. Pan Wołodyjowski sprawił oddział i aż mu serce rosło na widok wprawy i łatwości, z jaką stanęli w ordynku. Na pierwszy rzut oka poznać było można, że to żołnierze, nie zwyczajna niesforna szlachta. Pan Wołodyjowski ucieszył się jeszcze i dlatego, bo sobie pomyślał, że wkrótce dalej ją poprowadzi.

Poszli tedy rysią ku Lubiczowi owym borem, przez który Kmicic dawniej codziennie przelatywał. Było już dobrze po północy. Księżyc wypłynął wreszcie na niebo i oświecił las, drogę i ciągnących wojowników, rozłamał blade promienie na ostrzach pik, odbijał się w szablach błyszczących. Szlachta gwarzyła z cicha o nadzwyczajnym zdarzeniu, które ich wyrwało z pościeli.

– Chodzili tu rozmaici ludzie – mówił jeden z Domaszewiczów. – Myśleliśmy, że to zbiegowie, a to pewnie byli .jego szpiegi.

– A jakże. Co dzień też obce dziady zachodziły do Wodoktów niby po jałmużnę – odrzekł drugi.

– Co to za żołnierz przy Kmicicu?

– Czeladź z Wodoktów mówią, że Kozacy. Pewnie się Kmicic z Chowańskim albo z Zołtareńką zwąchał. Dotąd był zbójem, teraz zdrajca to już oczywisty.

– Jakżeby to on mógł Kozaków aż tu przyprowadzić?

– Z tak wielką watahą niełatwo się przemknąć. Toć pierwsza lepsza nasza chorągiew byłaby go zatrzymała po drodze.

– Po pierwsze, mógł lasami iść, a po drugie, małych to panów z dworskimi Kozakami się uwija? Kto ich tam odróżni od nieprzyjaciół! jeśli ich pytano, to się nadwornymi semenami powiadali.

– Będzie on się bronił – mówił jeden z Gościewiczów – bo człek jest mężny i rezolutny, ale nasz pułkownik da sobie z nim rady.

– Butrymowie też sobie zaprzysięgli, że choćby mieli jeden na drugim paść, już on im nie ujdzie stąd żywy. Oni na niego najzawziętsi.

– Ba! a jak go usieczem, to na kim będą swoich krzywd dochodzić? Lepiej by było żywcem go pojmać i sprawiedliwości oddać.

– Co tam teraz o sądach myśleć, kiedy wszyscy głowy potracili! Czy waszmościom wiadomo, co lu dzie mówią, że i od Szwedów może przyjść wojna?

– Niechże Bóg zachowa!... Moskiewska potencja i Chmielnicki! Szwedów tylko brak, a już by ostatni termin na Rzeczpospolitą przyszedł.

Wtem pan Wołodyjowski, jadący na przodzie, odwrócił się i rzekł:

– Cicho tam, waszmościowie!

Szlachta umilkła, bo Lubicz już było widać. Po kwadransie drogi przysunęli się o niecałą staję ode dworu. Wszystkie okna były oświecone; jasność biła aż na podwórze, na którym pełno było zbrojnych ludzi i koni. Nigdzie żadnych straży, żadnych ostrożności – widocznie pan Kmicic ufał aż nadto swym siłom. Zbliżywszy się jeszcze więcej, pan Wołodyjowski za jednym rzutem oka poznał Kozaków, z którymi tyle się nawojował jeszcze za życia wielkiego Jeremiego, a później pod Radziwiłłem, więc mruknął z cicha sam do siebie:

– Jeśli to są obcy Kozacy, to ten warchoł przebrał miarę!

I patrzył dalej, zatrzymawszy cały oddział. Na podwórzu krzątania była okrutna. Jedni Kozacy świecili pochodniami, inni biegali na wszystkie strony, wychodzili z domu i wchodzili na powrót, wynosili rzeczy, pakowali toboły na wozy; inni wyprowadzali konie ze stajen, bydło z obór; krzyki, nawoływania i rozkazy krzyżowały się na wszystkie strony. Blask pochodni oświecał jakoby przeprowadzkę świętojańską dzierżawcy do nowego majątku.

Krzysztof Domaszewicz, starszy między Domaszewiczami, przysunął się do pana Wołodyjowskiego.

– Wasza mość! – rzekł – cały Lubicz chcą zapakować na wozy.

– Nie wywiozą – odparł pan Wołodyjowski nie tylko Lubicza, ale i skóry własnej. Nie poznaję jednak Kmicica, który jest żołnierz doświadczony. Ani jednej straży!

– Bo potęgę ma wielką; widzi mi się, będzie nad trzysta ludzi. Żebyśmy byli z wojska nie wrócili, mógłby w biały dzień przejść z wozami przez wszystkie zaścianki.

– Dobrze! – odrzekł pan Wołodyjowski. – Wszak to do dworu ta jedna droga prowadzi?

– Ta jedna, bo z tyłu stawy i bagna.

– To dobrze... Z koni, waszmościowie!

Posłuszna rozkazowi szlachta wnet zeskoczyła z kulbak; następnie szeregi piesze zwały się w długą linię i poczęły otaczać dom wraz z zabudowaniami.

Pan Wołodyjowski z głównym oddziałem zbliżył się wprost do kołowrotu.

– Czekać komendy! – rzekł z cicha. – Nie strzelać przed rozkazem!

Kilkadziesiąt zaledwie kroków dzieliło szlachtę od kołowrotu, gdy spostrzeżono ich wreszcie z podwórca. Kilkunastu ludzi skoczyło razem do płotów i przechyliło się przez nie, pilnie wpatrując się w ciemność, a groźne głosy wołać poczęły:

– Hej, a szto za lude?

– *Alt!* – zakrzyknął pan Wołodyjowski. – Ognia!

Wystrzały ze wszystkich rusznic, jakie miała szlachta, huknęły naraz; ale jeszcze echo ich nie odbiło się o zabudowania, gdy znów rozległ się głos pana Wołodyjowskiego:

– Biegiem!

– Bij, zabij! – odkrzyknęli laudańscy rzucając się naprzód jak potok.

Kozacy odpowiedzieli strzałami, lecz nie mieli już czasu nabić powtórnie. Hurma szlachty przypadła do kołowrotu, który wnet runął pod parciem zbrojnych mężów. Walka zawrzała na podwórzu, wśród wozów, koni, tobołów. Naprzód szli murem potężni Butrymowie, najsroźsi w ręcznym spotkaniu i najzacieklejsi przeciw panu Kmicicowi. Szli, jak stado odyńców idzie przez młode krze leśne, łamiąc, depcząc, niweczając i tnąc zapamiętałe; za nimi walili Domaszewicze i Gościewicz.

Kmicicowi bronili się mężnie zza wozów i pak; poczęto też strzelać ze wszystkich okien domu i z dachu, ale rzadko, bo pochodnie, zdeptane, zagasły i trudno było swoich od nieprzyjaciół odróżnić. Po chwili wyparto kozactwo z podwórza ku domowi i stajniom; rozległy się krzyki o litość. Szlachta triumfowała.



Ale gdy została sama na podwórzu, wnet ożywił się ogień z domu. Wszystkie okna zjeżyły się rurami muszkietów i grad kul począł sypać się na podwórze. Największa część Kozaków schroniła się do domu.

– Pod dwór! do drzwi! – zawołał pan Wołodyjowski.

Rzeczywiście, pod samymi ścianami strzały szkodzić nie mogły ani z okien, ani z dachu. Położenie jednak oblegających było trudne. O szturmie do okien niepodobna im było pomyśleć, bo tam przywitałby ich ogień w same twarze: kazał więc pan Wołodyjowski drzwi rąbać.

Ale i to nie szło łatwo, były to bowiem raczej wrzeciędzie niż drzwi, zbudowane z dębowych krzyżniaków nabijanych raz przy razie olbrzymimi gwoździami, na których potężnych łbach szczybiły się siekiery nie mogąc drzewa zachwycić. Najsilniejsze chłopcy parli od czasu do czasu ramionami – i to próżno! Drzwi miały z tyłu żelazne sztaby, a oprócz tego podparto je od wewnątrz drągami. Butrymowie jednak rąbali z wściekłością. Do drzwi kuchennych i wiodących ze skarbczyka szturmowali Domaszewicze i Gościewicze.

Po godzinie próżnych usiłowań zmienili się ludzie przy siekierach. Niektóre krzyżniaki wypadły, ale na ich miejsce ukazały się rury muszkietów. Huknęły znów strzały. Dwóch Butrymów padło na ziemię z przestrzeloną piersią. Inni, zamiast się zmieszać, rąbali tym zacieklej.

Z rozkazu pana Wołodyjowskiego pozatykano otwory kłębami uczynionymi z kapot. W tymże czasie nowe okrzyki ozwały się od strony drogi, to Stakjanowie przybywali na pomoc braci, a za nimi zbrojni chłopcy z Wodoktów.

Przybycie tych nowych posiłków strwożyło widocznie obleżonych, bo wnet jakiś głos począł wołać gromko za drzwiami:

– Stój tam! nie rąb! słuchaj... Stój, do stu diabłów!... rozmówmy się.

Wołodyjowski kazał przerwać robotę i spytał:

– Kto mówi?

– Chorąży orszański, Kmicic! – brzmiała odpowiedź. – A z kim mówi?

– Pułkownik Michał Jerzy Wołodyjowski.

– Czołem! – ozwał się głos zza drzwi.

– Nie czas na powitania... Czego waść chcesz?

– Mnie by słuszniej zapytać: czego waść chcesz? Nie znasz mnie, ja ciebie... czemu mnie napaadasz?

– Zdrajco! – zakrzyknął pan Michał. – Ze mną są ludzie laudańscy, którzy z wojny wrócili, i ci mają z tobą obrachunki za rozbój i za krew niewinnie przelaną, i za tę pannę, którąś teraz porwał! A wiesz, co to jest raptus puellae? Musisz tu gardło dać!

Nastąpiła chwila milczenia.

– Nie nazwałbyś mnie drugi raz zdrajcą – rzekł znów Kmicic – gdyby nie te drzwi, które nas dzielą.

– To je otwórz... tego ci nie bronię!

– Pierwej jeszcze niejednego kondela laudańskiego nogami się nakryje. Nie weźmiecie mnie żywym!

– To cię zdechłego za łeb wywleczem. Wszystko nam jedno!

– Słuchaj waść dobrze i zakonotuj, co powiem. Jeśli nas nie poniechacie, mam tu baryłkę prochu i loncik już tlejący; dom wysadzę, wszystkich, co tu są, i siebie... tak mi dopomóż Bóg! Chodźcie mnie teraz brać!

Tym razem nastąpiła jeszcze dłuższa chwila milczenia. Pan Wołodyjowski szukał na próżno odpowiedzi. Szlachta poczęła spoglądać po sobie przerażona. Tyle było dzikiej energii w słowach Kmicica, że w groźbę uwierzyli wszyscy. Całe zwycięstwo mogło być jedną iskrą w proch rozwiane i Billewiczówna stracona na wieki.

– Dla Boga! – mruknął któryś z Butrymów to szalony człek! On to gotów uczynić.

Nagle panu Wołodyjowskiemu przysła szczęśliwa, jak mu się zdawało, myśl do głowy.

– Jest inny sposób! – zakrzyknął. – Wychodź ze mną, zdrajco, na szable! Położysz mnie, to odjedziesz wolno!

Przez jakiś czas nie było odpowiedzi. Serca laudańskich były niespokojnie.

– Na szable? – spytał wreszcie Kmicic. – Może to być!

– Jeśli tchórz nie oblatuje, to i będzie!

– Parol kawalerski, że odjadę wolno?

– Parol...

– Nie może być! – krzyknęło kilka głosów między Butrymami.

– Cicho waściowie, do stu diabłów! – huknął pan Wołodyjowski – a nie, to niech siebie i was prochem wysadza.

Butrymowie zamilkli, po chwili jeden z nich rzekł:

– Będzie tak, jak wasza mość chce...

– A cóż tam? – pytał szydyczko Kmicic. – Szaraczki się zgadzają?

– I zaprzysięgną na mieczach, jeżeli waść chcesz.

– Niech przysięgają!

– Kupą tu, waszmościowie, kupą! – wołał pan Wołodyjowski na szlachtę stojącą pod ścianami i otaczającą cały dom.

Po chwili wszyscy zebrali się pod głównymi drzwiami i wnet wieść, że Kmicic chce się prochami wysadzić, rozniosła się na wszystkie strony. Stali tedy jak w kamienie zmienieni ze zgrozy; tymczasem pan Wołodyjowski podniósł głos i mówił wśród ciszy grobowej:

– Wszystkich tu obecnych waszmościów biorę na świadki, zem pana Kmicica, chorążego orszańskiego, wyzwał na bitwę samowtór i to mu przyrzekłem, iż jeśli mnie położy, odjedzie wolno, nie doznając w tym od waszmościów przeszkody, co mu na rękojeściach zaprzysięć musicie na Boga Najwyższego i święty Krzyż...

– Poczekajcie jeno! – zawołał Kmicic – wolno ze wszystkimi ludźmi odjadę i pannę ze sobą zabiorę.

– Panna tu zostanie – odparł pan Wołodyjowski – a ludzie w jasyr do szlachty pójdą.

– Nie może być!

– To się prochami wysadzaj! Już my jej odżałowali, a co do ludzi, to się ich spytaj, co wołają...

Nastąpiła znów cisza.

– Niechże tak będzie – rzekł po chwili Kmicic.

Nie dziś ją porwę, to za miesiąc. Nie skryjecie jej ni pod ziemią! Przysięgajcie!

– Przysięgajcie! – powtórzył pan Wołodyjowski.

– Przysięgamy na Boga Najwyższego i święty Krzyż. Amen!

– No, wychodź, wychodź waść! – rzekł pan Michał.

– Pilno waszmości na tamten świat? – Dobrze, dobrze! jeno prędzej.

Sztaby żelazne, trzymające drzwi od wewnątrz, poczęły szczekać.

Pan Wołodyjowski usunął się w tył, a za nim szlachta, by miejsce uczynić. Wnet drzwi otworzyły się i ukazał się w nich pan Andrzej, rosły, smukły jak topola. Brzask już był na świecie i pierwsze blade światelka dnia padły na jego twarz hardą, rycerską a młodą. Stanąwszy we drzwiach spojrział śmiało na czeredę szlachty i rzekł:

– Zaufałem waszmościom... Bóg wie, czym dobrze uczynił, ale mniejsza z tym!... Który tu pan Wołodyjowski?

Mały pułkownik wysunął się naprzód.

– Jam jest – odrzekł.

– Ho! nie na wielkoluda waszmość wyglądasz – rzekł Kmicic czyniąc przymówkę do wzrostu rycerza. – Spodziewałem się zacniejszą figurę znaleźć, choć ci to muszę przyznać, żeś widać żołnierz doświadczony.

– Nie mogę tego waści przyznać, boś straży zaniedbał. Jeśliś taki do szabli jak do komendy, to i nie będę miał roboty.

– Gdzie staniemy? – spytał żywo Kmicic.

– Tu... podwórzec równy jak stół.

– Zgoda! gotuj się na śmierć!

– Takiś waśc pewien?

– Widać, żeś w Orszańskim nie bywał, skoro o tym wątpisz... Nie tytkom pewien, \_ ale i żał mi waćpana, bom o tobie jako o sławnym żołnierzu słyszał. Dlatego ostatni raz mówię: zaniechaj mnie! Nie znamy się... po co mamy sobie w drogę wchodzić? Czemu na mnie nastajesz?... Dziewka testamentem mi przynależy, jako i ta majątność, i Bóg widzi, sweż o tylko dochodzę... Prawda jest, żeś szlachtę w Wołnontowiczach wysiekł, ale niechże Bóg sądzi, kto tu pierwaj został skrzywdzony. Swawolnicy byli moi oficjerowie czy nie swawolnicy, mniejsza z tym, dośc że tu nikomu zła nie uczynili, a wybito ich do nogi jako psów wściekłych za to, że z dziewczętami w karczmie chcieli potaćńczyć. Niechże będzie krew za Krew! Potem mi i żołnierzy wysieczono. Na rany boskie zaprzysięgnę, żeś tu bez złych chęci w te trony przyjechał, a jakże mnie tu przyjęto?... Ale niech będzie krzywda za krzywdę. Jeszcze swego dolożę, szkody nagrodzę... po sąsiedzku. Lepiej wołę tak jak inaczej...

– A jacyż to ludzie z waćpanem teraz przyszli? Skądże wzięlesz tych pomocników? – pytał pan Wołodyjowski.

– Skąd wzięłem, to wzięłem. Nie przeciw ojczyźnie ich zaciągnąłem, ale by prywaty swojej dochodzić.

– Takiś to?... Więc dla prywaty z nieprzyjacielem się połączyłeś? A czymże mu za onę usługę zapłacisz, jeśli nie zdradą?... Nie, bratku, nie przeszkadzałbym ja ci układać się z tą szlachtą, ale wezwać nieprzyjaciela w pomoc – inna rzecz. Nie wykręcisz się sianem. Stawaj no teraz, stawaj, bo wiem, że cię tchórz oblatuje, choć się za orszańskiego mistrza podajesz.

– Chcialesz! – rzekł Kmicic stając w pozycji.

Ale pan Wołodyjowski nie spieszył się i nie wydobywając jeszcze szabli, obejrzał się naokoło po niebie. Świtało już. Na wschodzie pierwsza złota i błękitna wstążka rozciągnęła się świetlistym pasmem, na podwórzu jednak dośc było jeszcze ciemno, zwłaszcza zaś przed domem mrok panował zupełny.

– Dobrze się dzień zaczyna – rzekł pan Wołodyjowski – ale słońce nieprędko jeszcze wejdzie. Może waśc życzysz, żeby nam poświecili?

– Wszystko mi jedno.

– Mości panowie! – zawołał pan Wołodyjowski zwracając się do szlachty – a skoczyc no po wiechetki i po łuczywo, będzie nam jaśniej w tym orszańskim tańcu.

Szlachta, której żartobliwy ton młodego pułkownika dziwnie dodawał otuchy, kopnęła się raźnie ku kuchni; niektórzy poczęli zbierać podeptane w czasie bitwy pochodnie i po niejakiem czasie blisko pięćdziesiąt czerwonych płomieni zamigotało w bladym mroku porannym. Pan Wołodyjowski ukazał je szablą Kmicicowi.

– Patrz waśc, istny kondukt!

A Kmicic odparł od razu:

– Pułkownika chowają, to i pompa być musi!

– Srogi smok z waści!...

Tymczasem szlachta zatoczyła w milczeniu krąg naokół rycerzy; wszyscy podnieśli zapalone drzazgi w górę, za nimi umieścili się inni, ciekawi i niespokojni; w środku przeciwnicy mierzyli się oczyma. Cisza uczyniła się okrutna, jeno węgielki spalone obsuwały się z szelestem na ziemię. Pan Wołodyjowski wesół był jak szczygieł w pogodny ranek.

– Zaczynaj waśc! – rzekł Kmicic.

Pierwszy szcęk ozwał się echem w sercach wszystkich patrzających; pan Wołodyjowski przyciął jakby z niechcenia, pan Kmicic odbił i przyciął z kolei, pan Wołodyjowski znów odbił. Suchy szcęk stawał się coraz szybszy. Wszyscy dech wstrzymali. Kmicic atakował z furją, pan Wołodyjowski zaś lewą rękę w tył założył i stał spokojnie, niedbale czyniąc ruchy bardzo małe, prawie nieznaczne; zdawało się, że chciał siebie tylko osłonić, a zarazem oszczędzić przeciwnika – czasem cofnął się o mały krok w tył, czasem postąpił naprzód – widocznie badał biegłość Kmicica. Tamten

rozgrzewał się, ten był chłodny jak mistrz próbujący ucznia i coraz spokojniejszy; wreszcie, ku wielkiemu zdumieniu szlachty, przemówił:

– Pogawędzimy – rzekł – nie będzie nam się czas dłużył... Aha! to to orszańska metoda?..., wi-  
dać,

tam sami musicie groch młócić, bo waćpan machasz jak cepem... Okrutnie się zmachasz. Zaliś  
to naprawdę w Orszańskim najlepszy?... Ten cios jeno u pacholków trybunalskich w modzie...  
Ten kurlandzki... dobrze się nim od psów odpędzać. Uważaj waćpan na koniec szabli... Nie wygi-  
naj tak dłoni, bo patrz, co się stanie... Podnieś!...

Ostatnie słowo wymówił pan Wołodyjowski dobitnie, jednocześnie zatoczył półkole, dłoń i sza-  
blę pociągnął ku sobie i nim patrzący zrozumieli, co znaczy: „podnieś!” – już szabla Kmicica, jak  
wywleczona igła, z nitki, furknęła nad głową pana Wołodyjowskiego i upadła mu za plecami; on  
zaś rzekł:

– To się nazywa: wyłuskiwać szablę.

Kmicic stał błądy, z obłąkanymi oczyma, chwiejący się, zdumiony nie mniej od szlachty laudań-  
skiej; mały pułkownik zaś usunął się w bok i ukazawszy na leżącą na ziemi szerpentykę powtórzył  
po raz drugi: – Podnieś!

Przez chwilę zdawało się, że Kmicic rzuci się na niego z gołymi rękoma... Już, już byk gotów  
do skoku, już pan Wołodyjowski, przysunawszy rękojeść do piersi, nadstawił ostrze, ale pan Kmi-  
cic rzucił się na szablę i wpadł z nią znów na straszliwego przeciwnika.

Szmery głośne poczęły się zrywać w kole patrzących i koło ścieśniało się coraz bardziej, a za  
nim uformowało się drugie, trzecie. Kozacy Kmicicowi utykali głowy między ramiona szlachty,  
jakby całe życie w najlepszej z nią żyli zgodzie. Mimowolne okrzyki wyrwały się z ust widzów;  
czasem rozlegał się wybuch niepohamowanego, nerwowego śmiechu, poznali wszyscy mistrza nad  
mistrzami.

Ten zaś bawił się okrutnie, jak kot z myszą – i pozornie coraz niedbalej robił szablą. Lewą rękę  
wysunął zza pleców i wsunął w kieszeń hajdawerów. Kmicic pienieł się, rzeził, na koniec chrapliwe  
słowa wyszły mu z gardzieli przez zaciśnięte usta:

– Kończ... waść!... wstydu... oszczędź!...

– Dobrze! – rzekł Wołodyjowski.

Dał się słyszeć świst krótki, straszny, potem stłumiony krzyk... jednocześnie Kmicic rozłożył rę-  
ce. szabla wypadła mu z nich na ziemię... i runął twarzą do nóg pułkownika...

– Żyje! – rzekł Wołodyjowski – nie padł na wznak!

I zagiąwszy połą Kmicicowego żupana począł nią ocierać szablę.

Zawrzała szlachta jednym głosem, w tych zaś krzykach brzmiało coraz wyraźniej:

– Dobić zdrajcę... dobić!... rozsiekać!

I kilku Butrymów biegło z dobytymi szablami. Nagle stało się coś dziwnego; oto, rzekłbyś:  
mały pan Wołodyjowski urósł w oczach – szabla najbliższego Butryma wyleciała mu z ręki śladem  
Kmicicowej, jakby ją wicher porwał – pan Wołodyjowski zaś krzyknął z iskrzącymi oczyma:

– Wara!... wara!... Teraz on mój, nie wasz!... Precz!...

Umilkli wszyscy bojąc się gniewu męża, on zaś rzekł:

– Nie potrzeba mi tu jatek!... Waszmościowie szlachtą będąc powinniście rozumieć kawalerski  
obyczaj, aby rannego nie dobijać. Nieprzyjacielowi nawet tego się nie czyni, a cóż dopiero prze-  
ciwnikowi w pojedynku zwyciężonemu.

– On zdrajca! – mruknął któryś z Butrymów. – Takiego godzi się bić.

– Jeśli on zdrajca, tedy panu hetmanowi oddany być powinien, aby karę poniósł i stanął za przy-  
kład innym. Zresztą, jakom wam rzekł: mój on teraz, nie wasz. Jeśli wyżyje, to wam wolno będzie  
krzywd waszych przed sądem dochodzić i z żywego lepszą mieć będziecie satysfakcję niż z umar-  
łego. A kto tu umie rany opatrywać?

– Krzych Domaszewicz. On z dawna wszystkich na Laudzie opatruje.

– Niechże go zaraz opatrzy, potem na łoże go przenieść, a ja pójdę tę nieszczęsną pannę pocieszyć.

To rzekłszy pan Wołodyjowski zasunął szabelkę do pochwy i wszedł przez porąbane drzwi do domu. Szlachta poczęła łowić i wiązać rapcami ludzi Kmicicowych, którzy odtąd mieli orać rolę w zaściankach. Poddawali się też bez oporu; ledwo kilkunastu wypadłszy przez tylne okna domu skoczyło ku stawom, ale tam wpadli w ręce czekających Stakjanów. Jednocześnie szlachta wzięła się do rabunku wozów, na których łup znalazł się dość obfity; niektórzy radzili zrabować i dom, ale bano się pana Wołodyjowskiego, a może obecność w domu Billewiczówny wstrzymywała zuchwalszych. Swoich poległych, między którymi było trzech Butrymów i dwóch Domaszewiczów, złożyła szlachta na wozy, aby ich po chrześcijańsku pochować, dla zabitych Kmicicowych kazano kopać chłopom rów za ogrodem.

Pan Wołodyjowski zaś szukając panny przetrząsnął cały dom i znalazł ją dopiero w skarbczyku położonym w rogu, do którego prowadziły maleńkie, a ciężkie drzwi z izby sypialnej. Była to mała komnatka o wąskich grubo kratowanych oknach, zbudowana w kwadrat z murów tak potężnych, że pan Wołodyjowski poznał natychmiast, iż choćby Kmicic był wysadził dom prochem, ta izba byłaby ocalała z pewnością. To dało mu lepsze o Kmicicu mniemanie. Panna siedziała na skrzyni niedaleko drzwi, z głową spuszczoną, z twarzą prawie zasłoniętą włosami, i całkiem nie podniosła jej słysząc wchodzącego rycerza. Myślała zapewne, że to sam Kmicic lub kto z jego ludzi. Pan Wołodyjowski stanął we drzwiach, zdjął czapkę, chrząknął raz i drugi, a widząc, iż i to nie pomaga, ozwał się:

– Mościa panno... wolna jesteś!...

Wówczas spod narzuconych włosów spojrzwały na rycerza oczy błękitne, a potem wychyliła się z nich twarz śliczna, choć blada i jakby nieprzytomna. Pan Wołodyjowski spodziewał się podziękowań, wybuchu radości, tymczasem panna siedziała nieruchomie i tylko patrzyła nań błędnie; więc rycerz ozwał się po raz drugi:

– Przyjdź waćpanna do siebie, Bóg wejrzał na niewinność... Jesteś wolna i możesz wracać do Rodoktów.

Tym razem w spojrzeniu Billewiczówny więcej było przytomności. Powstawszy ze skrzyni strząsnęła w tył włosy i spytała:

– Kto waćpan jesteś?

– Michał Wołodyjowski, pułkownik dragoński wojewody wileńskiego.

– Słyszałam bitwę... strzały?... Mów waćpan...

– Tak jest. My to przyszli waćpannie na ratunek...

Billewiczówna oprzytomniała zupełnie.

– Dziękuję waści! – rzekła pospiesznie cichym głosem, w którym przebijał się śmiertelny niepokój. – A z tamtym co się stało?...

– Z Kmicicem? Nie bój się waćpanna: leży bez duszy na podwórzu... i jam to, nie chwaląc się, sprawił.

Wołodyjowski wyrzekł to z pewną chełpliwością, ale jeśli spodziewał się podziwu, to zawiódł się srodze. Billewiczówna nie odrzekła ani słowa, natomiast zachwiała się na nogach i rękoma zaczęła szukać oparcia za sobą, na koniec siadła ciężko na tejże samej skrzyni, z której przed chwilą się podniosła.

Rycerz poskoczył ku niej żywo.

– Co waćpannie jest?

– Nic... nic... Czekaj waść... pozwól... To pan Kmicic zabity?...

– Co mnie pan Kmicic! – przerwał Wołodyjowski – tu o waćpannę chodzi!

Wówczas siły jej nagle wróciły, bo się podniosła znowu i spojrzawszy mu wprost w oczy, wykrzyknęła z gniewem, zniecierpliwieniem i rozpaczą:

– Na Boga żywego, odpowiadaj! zabity?...

– Pan Kmicic ranny – odpowiedział zdumiony pan Wołodyjowski.

– Żyje?...

– Żyje.

– Dobrze! Dziękuję waści...

I chwiejnym jeszcze krokiem skierowała się ku drzwiom. Wołodyjowski stał przez chwilę ruszając mocno wąsikami i kręcąc głową; następnie mruknął sam do siebie:

– Zali mi ona dziękuje za to, że Kmicic ranny, czy za to, że żyje?

I wyszedł za nią. Zastał ją w przyległej izbie sypialnej, stojącą pośrodku, jakby skamieniałą. Czterech szlachty wносиło właśnie Kmicica; dwóch pierwszych, postępując bokiem, ukazało się we drzwiach, a między ich rękoma zwieszała się ku ziemi blada głowa pana Andrzeja, z zamkniętymi oczyma i soplami czarnej krwi we włosach.

– Wolno tam! – mówił idący za nimi Krzych Domaszewicz – wolno przez próg. Niech mu tam który głowę podtrzyma. Wolno!...

– A czym będziem trzymać, kiedy ręce zajęte odpowiedzieli idący w przędzie.

W tej chwili panna Aleksandra zbliżyła się ku nim, blada tak jak i Kmicic, i podłożyła mu obie ręce pod martwą głowę.

– To panienka!... – rzekł Krzych Domaszewicz.

– To ja... ostrożnie!... – odrzekła cichym głosem. Pan Wołodyjowski patrzył i wąsikami srodze ruszał.

Tymczasem złożono Kmicica na łożu. Krzych Domaszewicz począł obmywać mu głowę wodą, potem przyłożył przygotowany poprzednio plaster do rany i rzekł:

– Teraz jeno niech leży spokojnie... Ej, żelazna to głowa, że od takiego ciosu na dwoje nie pękła. Może i będzie zdrów, bo młody. Ale tego dostał...

Następnie zwrócił się do Oleńki:

– Daj panienka ręce umyć... Ot, tu jest woda. Miłosierne w tobie serce, żeś dla tego człeka nie bała się pokrwać.

Tak mówiąc wycierał jej dłonie chustą, a ona bladła i mieniała się w oczach. Wołodyjowski znów poskoczył ku niej.

– Nic tu po waćpannie! Okazałaś chrześcijańskie miłosierdzie nad nieprzyjacielem... wracaj do domu. I podał jej ramię; ale ona nawet nie spojrzała na

niego, natomiast zwróciwszy się do Krzycha Domaszewicza rzekła:

– Panie Krzysztofie, wyprowadź mnie!

Wyszli oboje, a i pan Wołodyjowski za nimi. Na podwórzu szlachta poczęła krzykać na jej widok wiwatować, a ona szła blada, chwiejąca się, z zaciśniętymi ustami i ogniem w oczach.

– Niech żyje nasza panna! Niech żyje nasz pułkownik! – wołały potężne głosy.

W godzinę później wracał pan Wołodyjowski na czele laudańskich ku zaściankom. Słońce już weszło, ranek na świecie był radosny, prawdziwie wiosenny. laudańscy clapali kupą bezładną po gościńcu, gważąc o wypadkach ubiegłej nocy i sławiąc pod niebiosa pana Wołodyjowskiego, a on jechał zamyślony milczący. Z myśli nie schodziły mu te oczy patrzą

ce• spoza rozpuszczonych włosów, ta postać wysmukła wspaniała, choć zgięta smutkiem i bólem.

– Dziw, jak cudna! – mruczał sam do siebie -asina księżniczka... Hm! ocaliłem jej cnotę, a pewnie i życie, bo choćby prochy nie wysadziły skarbczyka, byłaby z samego strachu umarła... Powinna być wdzięczna... Ale kto tam białogłową wyrozumie... Patrzyła na mnie jak na pacholika, nie wiem, czy z dumy jakowejś, czy z konfuzji...

## ROZDZIAŁ VIII

Te myśli spać mu nie dały następnej nocy. Przez kilka dni ciągle jeszcze rozmyślał o pannie Aleksandrze i poznał, że mu głęboko w serce zapadła. Przecie to szlachta laudańska chciała go z nią zenić! Ona wprawdzie zrekurowała go bez namysłu, ale wtedy ani go znała, ani widziała. Teraz zupełnie co innego. On ją wyrwał po kawalersku z rąk gwałtownika, narażając się na kule i szable; po prostu zdobył ją jak fortecę... Czyjaż ona, jeśli nie jego? Możliwi mu czegokolwiek odmówić, choćby i ręki? Nuż by popróbował? Nuż by z wdzięczności narodził się w niej afekt, jak się to często na świecie zdarza, że ocalona panna zaraz rękę i serce zbawcy oddaje! Gdyby zresztą nawet nie czuła dla niego zrazu afektu, to tym bardziej należy mu się o to postarać.

„A jeśli ona tamtego jeszcze pamięta i miłuje?”

– Nie może być! – powtórzył sobie pan Wołodyjowski – gdyby go nie odpałiła, to by jej gwałtem nie brał.

Okazała wprawdzie nad nim miłosierdzie niezwykajne, ale niewieścia to rzecz litować się nad rannymi, choćby nieprzyjaciółmi.

Młoda jest, bez opieki, czas jej za mąż. Do klasztoru widocznie nie ma wokacji, bo już by poszła. Było czasu dość. Tak gładką pannę ustawicznie będą rozmaici kawalerowie turbowali: jedni dla majątku, drudzy dla urody, trzeci dla zacności krwi. Ejże, miła jej będzie mieć taką obronę, której skuteczność własnymi oczyma oglądać mogła.

– A i tobie czas się ustatkować, Michałku! – mówił do siebie pan Wołodyjowski. – Młodyś jeszcze, ale lata prędko biegną. Fortuny się nie dosłużyysz, chyba więcej ran w skórze. A bałamuctwom koniec będzie.

Tu panu Wołodyjowskiemu przesunął się przez pamięć cały szereg panien, do których już wzdychał «•••» życiu. Były między nimi i bardzo urodziwe, i z wielkiej krwi idące, ale miłszej nie było i zacniejszej, i godniejszej. Toż ten ród i tę pannę ludzie sławili w całej okolicy i z oczu jej patrzyła taka uczciwość, że nie daj Panie Boże nikomu gorszej żony.

Czuł pan Wołodyjowski, że mu się trafia gratka, jaka się drugi raz może nie trafić, a to tym bardziej, że pannie taką niepospolitą usługę oddał.

– Co tu zwłóczyć! – mówił sobie. – Czego lepszego się doczekam? Trzeba tentować.

Ba! ale tu wojna za pasem. Ręka zdrowa. Wstyd rycerzowi w zaloty chodzić, gdy ojczyzna ręce wyciąga i ratunku prosi. Pan Michał miał zacne serce żołnierskie i choć od pacholęcia prawie służył, choć we wszystkich wojnach, jakie za jego czasów były, udział brał – wiedział przecie, co ojczyźnie winien, i o spoczynku nie myślał.

Ale właśnie dlatego, że nie dla zysków, zasług, chlebów, jeno z duszy całej ojczyźnie służył i sumienie miał pod tym względem czyste, czuł swoją wartość i to dodawało mu otuchy.

„Inni się warcholili, a jam się bił – myślał sobie. Pan Bóg żołnierzykowi nagrodzi i teraz mu dopomoże.”

Poznał jednak, że skoro nie było czasu na zaloty trzeba było prędko działać i wszystko od razu n hazard wystawić: pojechać, oświadczyć się z miejsc i albo po przyspieszonych zapowiedziach ślub wzięść albo zjeść arbuza.

– Jadłem nieraz, zjem i teraz! – mruczał pan, Wołodyjowski ruszając żółtymi wąsikami. – Co mi szkodzi!

Była jednak pewna strona w tym nagłym postanowieniu, która mu się nie podobała. Oto zadawał sobie pytanie: czy jadąc z oświadczeniem tak zaraz po uratowaniu panny, nie będzie podobny do natrętnego wierzyciela, który chce, by mu jak najprędzej i z lichwą dług spłacono?

– Może to i nie będzie po kawalersku?

Ba! ale za cóż żądać wdzięczności, jeśli nie za usługę? A jeśli ów pośpiech nie pójdzie po sercu pannie, jeśli się nań skrzywi, to jej przecie można powiedzieć: „Mościa panno, rok bym w zaloty jeździł i w ślepki ci patrzył, alem żołnierz, a tam trąby na wojnę grają!”

– Tak i pojedę! – mówił sobie pan Wołodyjowski. Lecz po chwili znowu inna myśl przyszła mu do głowy. A jeśli ona odpowie: „Idźże waćpan na wojnę, mości żołnierzu, a po wojnie będziesz rok do mnie jeździł i w ślepki mi patrzył, bo ja człowiekowi, którego nie znam, duszy i ciała od razu nie oddam.”

Wtedy wszystko przepadnie.

Że przepadnie, czuł to pan Wołodyjowski doskonale; bo pominąwszy pannę, którą przez ten czas inny wziąć może, nie był pan Wołodyjowski pewny własnej stałości. Sumienie mu to mówiło, że w nim samym afekt zapalał się, bywało, tak jak słońca, ale i gasł jak słońca.

Wtedy wszystko przepadnie!... I kołatajże się dalej, żołnierzu-tułacz, z obozu do obozu, z bitwy na bitwę, bez dachu na świecie, bez duszy żywej bliskiej. Rozglądaj się po wojnie na cztery strony świata, nie wiedząc, gdzie głowę poza cekhauzem złożyć!

Ostatecznie pan Wołodyjowski nie wiedział, co czynić.

Ciasno mu się jakoś uczyniło w pacunelskim dworku i duszno, więc wziął czapkę, by wyjść trochę na drogę i słońca majowego zażyć. W progu natknął się na jednego z ludzi Kmicicowych w niewolę wziętych, którego staremu Pakoszowi przypadł w udziale. Kozak grzał się na słońcu i na bandurze brzdąkał.

– A co ty tu robisz? – pytał pan Wołodyjowski.

– Hraju, pane – odpowiedział Kozak podnosząc wynędzniałą twarz.

– Skąd ty jesteś? – pytał dalej pan Michał, kontent, że ma jakąś w rozmyślaniach przerwę.

– Z daleka, pane, spod Zwiahła.

– Czemużeś to nie umknął jako reszta twoich towarzyszków? O, tacy synowie! Darowała was szlachta życiem w Lubiczu, by mieć robociznę, a wyście zaraz poumykali, ledwie z was łyka zdjęto.

– Ja nie ucieknę. Tu zdechnę jak sobaka.

– Takżeś tu sobie upodobał?

– Komu lepiej na polu, to umyka, a mnie tu lepiej. Ja miał nogę przestrzeloną, a tu mnie ją obwinęła szlachcianka, starego córka, i dobre słowo rzekła. Takiej ja krasawicy na oczy nie widział... Na co mnie odchodzić?

– Któraż ci tak dogodziła?

– Marysia.

– I ty już ostaniesz?

– Jeśli zdechnę, to i wyniosą, a nie, to ostanę.

– Zali myślisz u Pakosza córkę wysłużyć?

– Ne znaju, pane.

– Pierwej by takiemu hołyszowi śmierć dał niż córkę.

– U mnie czerwonce w lesie zakopane: dwie garści.

– Z rozboju?

– Z rozboju, pane.

– Choćbyś i garniec miał, toś chłop, a Pakosz szlachcic.

– Ja z bojarów putnych.

– Jeśliś ty z bojarów putnych; toś gorzej niż chłop, boś zdrajca. Jakże to mogłeś nieprzyjacielowi służyć?

– Ja mu i nie służył.

– A skądże was pan Kmicic brał?

– Z gościńca. Ja służył u pana hetmana polnego, ale potem chorągiew rozlazła się, bo nie było co jeść. Do domu nie miałem po co wracać, bo spalony. Inni na gościńcu poszli rozbijać, tak i ja z nimi poszedł.



Pan Wołodyjowski zdziwił się mocno, gdyż aż dotąd sądził, że pan Kmicic napadł Oleńkę z siłami pożyczonymi u nieprzyjaciela.

– To pan Kmicic nie od Trubeckiego was dostał? – Było między nami najwięcej takich, co przedtem u Trubeckiego i Chowańskiego służyli, ale tak i od nich zbiegli na gościńce.

– I dlaczego wy za panem Kmicicem poszli?

– Bo on sławny ataman. Nam mówili, że na kogo on krzyknie, żeby za nim szedł, to jakby mu talarów w mieszek nasypał. Dlatego my poszli. No, Bóg nie poszczęścił!

Pan Wołodyjowski począł głową kręcić i rozmyślać, że jednak tego Kmicica zanadto uczerniono: potem spojrzął na wybladłego bojarzynka i znów głową pokręcił.

– Także ty ją miłujesz?

– Oj! tak, pane!

Pan Wołodyjowski odszedł, a odchodząc pomyślał sobie: „Ot! rezolutny człowiek. Ten sobie głowy nie łamał: pokochał i zostaje. Tacy najlepsi... Jeśli naprawdę on z putnych bojarów, toć to tenże gatunek co i zaściankowa szlachta. Jak swoje czerwonce wygrzebie, może mu star y Marysię odda. A czemu? Bo w palce nie stukał, jeno się zawzjął, że ją dostanie. Zawezmę się i ja!”

Tak rozmyślając szedł pan Wołodyjowski drogą po słońcu, czasem stawał i w ziemię oczy wbiął lub je w niebo podnosił; to znów szedł dalej, aż nagle ujrzał lecące po niebie stadko dzikich kaczek.

Wówczas począł sobie z nich wróżyć: jechać, nie jechać?... Wypadło mu, żeby jechać.

– Pojadę, nie może inaczej być!

To rzekłszy zawrócił do domu; ale po drodze wstąpił jeszcze do stajenki, przed którą dwóch czeladniczków jego w kości grało.

– Syruc – rzekł pan Wołodyjowski – a grzywa u Basiora zapleciona?

– Zapleciona, panie pułkowniku!

Pan Wołodyjowski wszedł do stajni. Basior odezwał mu się od drabinki; rycerz zbliżył się, poklepał go po boku, następnie jął liczyć warkocze na karku.

– Jechać... nie jechać... jechać!...

Wróżba wypadła znów pomyślnie.

– Konie siodłać i samym się przybrać ucziwie! zakomenderował pan Wołodyjowski.

Za czym prędko już poszedł do domu i począł się stroić. Wdział buty wysokie, rajtarskie, żółte, z klapkami na podbiciu i złożonymi ostrogami, a mundur nowy, czerwony; do tego rapierek w stalowej pochwie, przedni, z gardą złotem przerabianą; do tego półpancerzyk z jasnej stali pokrywający tylko wierzchnią część piersi pod szyję; miał i kołpaczek rysia z pięknym piórem czaplina, ale że ten do polskiego, tylko ubioru pasował, więc go zostawił w skrzyni, a na głowę wdział hełm szwedzki z czólenkiem i wy-, szedł przed ganek.

– Gdzie to wasza miłość jedzie? – pytał go stary Pakosz siedzący na przyzbie.

– Gdzie jadę? Słuszna, abym tej tam waszej panny o zdrowie spytał, bo za grubianina by mnie wziąć mogła.

– Od waszej miłości aż luna bije. Kiep kaźden gil! Już by chyba panna oczu nie miała, żeby się zaraz nie zakochała...

W tem nadbiegły dwie młodsze panny Pakoszówny wracające z południowego udoju, każda ze skopkiem w ręku. Ujrzawszy pana Wołodyjowskiego stanęły jak wryte ze zdziwienia.

– Król, nie król? – rzekła Zonia. .

– Wasza miłość jak na wesele! – dodała Maryśka.

– Może z tego i wesele być – zaśmiał się stary Pakosz – bo do panny naszej jedzie.

Nim stary skończył, napełniony skopek wyleciał z rąk Marysi i struga mleka połała się aż pod nogi pana Wołodyjowskiego.

– Uważaj na to, co trzymasz! – rzekł gniewliwie Pakosz – ot, koza!

Marysia nie odrzekła nic, podniosła skopek i odeszła cicho.

Pan Wołodyjowski siadł na koń, za nim uszykowało się dwóch jego czeladników i ruszyli trójką ku Wodoktom. Dzień był piękny. Słońce majowe grało na napierśniku i hełmie pana Wołodyjowskiego tak, iż gdy z daleka migotał między wierzbami, zdawało się, że to drugie słońce posuwa się drogą.

– Ciekaw jestem, czy będę wracał z pierścionkiem czy harbuzem? – rzekł do siebie rycerz.

Co wasza miłość mówi? – spytał pacholek Syruc.

– Głupiś.

Pacholek ściągnął na powrót w tył konia, a pan Wołodyjowski mówił dalej:

– Całe szczęście, że to nie pierwszyna.

Ta myśl dodawała mu nadzwyczajnej otuchy.

Gdy przybyli do Wodoktów, panna Aleksandra nie poznała go w pierwszej chwili, aż jej musiał nazwisko swoje powtórzyć. Wówczas powitała go uprzejmie, ale poważnie i z pewnym przymusem; on zaś wcale zręcznie się przedstawił, bo choć żołnierz, nie dworak, długo jednak na różnych dworach przebywał i między ludźmi się ocierał. Skłonił się jej więc ze czcią wielką i rękę na sercu położywszy, tak mówił:

– Przybyłem tu o zdrowie waćpanny dobrodziejki się wywiedzieć, czyli od strachu jakiego szwanku nie poniosło, co powinien bym był na drugi dzień uczynić, ale nie chciałem się naprzykrzać.

– Bardzo to pięknie ze strony waszmości, że ocaliwszy mnie z takiej toni, jeszcze mnie w pamięci zachował... Siadaj waszmość, boś mi wdzięcznym gościem.

– Moja mościa panno! – odpowiedział pan Michał. – Gdybym ja o waćpannie zapomniał, tedy nie byłbym godny tej łaski, jaką Bóg na mnie zesłał pozwalając mi tak godną personę sekundować.

– Nie! Jam to winna Bogu dziękować naprzód, a waszmości zaraz potem...

– Kiedy tak, to już dziękujemy oboje, bo ja o nic więcej Go nie proszę, jeno żebym i nadal mógł bronić waćpanny, ile razy będzie potrzeba.

To rzekłszy pan Wołodyjowski ruszył woskowanymi wąsikami, które mu wyżej nosa sterczały – bo kontent był z siebie, że od razu wszedł in medias res i swój sentyment jakoby na stole położył. Ona zaś siedziała zmieszana i milcząca, ale tak piękna jak dzień wiosenny. Słabe rumieńce wystąpiły jej na policzki, a oczy nakryła długimi rzęsami, od których pałały cienie na jagody.

„Dobry znak ta konfuzja” – pomyślał pan Wołodyjowski.

I odchrząknąwszy mówił dalej:

– Waćpanna wiesz, żem ja po jej dziadku laudańskimi ludźmi dowodził?

– Wiem – odpowiedziała Oleńka – dziaduś nieboszczyk sam na ostatnią wyprawę iść nie mógł, ale okrutnie był rad słysząc, komu księżę wojewoda wileński tę chorągiew oddał, i mówił, że zna waćpana i reputacji jako sławnego żołnierza.

– Także to o mnie mówił?

– Sama słyszałam, jak waści pod niebiosa wynosił, a potem laudańscy ludzie to samo po wyprawie czynili.

– Prosty ja żołnierz, niegodzien, żeby mnie wynoszono nie tylko pod niebiosa, ale i wyżej od innych. Wszelako rad jestem, żem dla waćpanny niezupełnie: obcy, bo już nie pomyślisz, że ci nie znany i niepewny gość razem z deszczem ostatnim z chmur upadł. Milej to zawsze wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Siła ludzi się włóczy, którzy się familiantami powiadają i w godności stroją, a Bóg wie kim są, może często i nie szlachtą.

Pan Wołodyjowski umyślnie tak nakierował rozmowę, aby osobie mógł powiedzieć, co zacz jest, jakoż Oleńka zaraz odrzekła:

– Waćpana o to nikt nie posądzi, bo i tu na Litwie jest szlachta tego samego imienia.

– Ale ci się Ozoria pieczętują, a jam jest Korczak Wołodyjowski i my się z Węgier wywodzimy, od pewnego dworzanina Attyli, któren dworzanin, ścigany

Będąc od nieprzyjaciół, ślub Najświętszej Pannie uczynił, iż się z pogańskiej wiary na katolicką nawróci, jeśli z żywotem ujdzie. Tej obietnicy potem dotrzymał, gdy trzy rzeki szczęśliwie przebył, te same właśnie które w herbie nosimy.

– To waćpan nie z tych stron rodem?

– Nie, mościa panno. Ja z Ukrainy, z ruskich Wołodyjowskich, i do tej pory mam tam wioszczyne, którą teraz nieprzyjacieli zajął, ale ja wojskowo od młodu służyć, mniej dbając o substancję niż o despekta ojczyźnie przez postronnych czynione. Służyłem od najmłodszych lat u wojewody ruskiego, naszego nieopłakanego księcia Jeremiasza, z którym też wszystkie wojny odprawowałem. Byłem i pod Machnowką, i pod Konstantynowem, i zbaraskie z innymi wytrzymywałem głody, a po beresteckiej sam nasz pan miłościwy za głowę mnie ścisnął. Bóg mi świadek, mościa panno, że nie przyjechałem się tu chwalić, ale chcę, byś waćpanna wiedziała, że nie łuszczybochenek żaden, którego krzykiem nadrabia, a krwi żałuje, jeno że mi życie w uczciwej służbie zbiegło, w której się trochę sławy uszczknęło, a sumienia niczym nie zbrudziło. Tak mi Panie Boże dopomóż! A oprócz tego mogą to i godni ludzie poświadczyć!

– Żeby to wszyscy byli do waćpana podobni! – westchnęła panna.

– Waćpannie pewnie na myśli stoi ów gwałtownik, który na nią bezbożną rękę śmiał podnieść?

Panna Aleksandra wbiła oczy w podłogę i nie odrzekła ani słowa.

– Ma on za swoje – mówił dalej pan Wołodyjowski – choć mi mówiono, że zdrów będzie, to jednak od kary się nie wywinie. Wszyscy zacni ludzie go potępili, i aż nadto, bo powiadają, że się z nieprzyjacielem związał, aby od niego posiłki otrzymać, co jest nieprawda, gdyż ci ludzie, z którymi waćpanną napadł, wcale nie od nieprzyjaciela pochodzą, jeno z gościńca nazbierani.

– Skąd to waćpan wiesz? – spytała żywo panna podnosząc na pana Wołodyjowskiego swoje niebieskie oczy.

– Od samych tych ludzi. Dziwny to człowiek ów Kmicic, bo gdym mu sam zdradę przed pojedynkiem zadał, tedy nie zaprzeczył, chociaż niesłusznie go posądziłem. Pycha widać w nim diabelska.

– I waćpan to mówisz wszędy, że on nie zdrajca? – Nie mówiłem, bom sam nie wiedział, ale teraz będę mówił. Toć nie godzi się choćby na największego wroga takiego oszczerstwa rzucać.

Oczy panny Aleksandry spoczęły po raz wtóry na małym rycerzu z wyrazem sympatii i wdzięczności.

– Z waćpana tak zacny człowiek, tak zacny, jak rzadko!...

Pan Wołodyjowski zaczął raz po raz ruszać wąsikami z ukontentowania.

„Do rzeczy, Michałku! Do rzeczy, Michałku!” rzekł do siebie w myśli.

Po czym głośno do panny:

– Więcej waćpannie powiem!... Sposób pana Kmicica ganię, ale nie dziwię mu się, że się dobija o waćpanną, przy której by sama Wenus za dziewczkę służyć mogła. Desperacja to go popchnęła do złego uczynku i pewnie raz jeszcze go popchnie, jeśli mu się sposobność nadarzy. Jakże to przy tak nadzwyczajnej urodzie sama i bez opieki zostaniesz? Więcej jest takich Kmiciców na świecie, więcej zapałów wzbudzisz, na więcej przygód cnotę swą narazisz. Bóg mi zesłał łaskę, iżem mógł cię uwolnić, ale już mnie trąby Gradywa wołają... Któż nad tobą będzie czuwał?... Moja mościa panno! posądzają żołnierzy o płochość, aleć niesłusznie. T u mnie serce nie ze skały, i obojętne na tyle wybornych wdzięków zostać nie mogło...

Tu pan Wołodyjowski upadł na oba kolana przed Oleńką.

– Moja mościa panno! – mówił klęcząc. – Dziedziczyłem chorągiew po twoim dziadku, dozwólże mi i wnuczkę odziedziczyć. Zdaj mnie opiekę nad sobą, dozwól pokosztować słodkości wzajemnego afektu, weź mnie za stałego opiekuna, a będziesz i spokojna, i bezpieczna, bo choć odjadę na wojnę, samo imię bronić cię będzie.

Panna zerwała się z krzesła i słuchała ze zdumieniem pana Wołodyjowskiego, a on tak jeszcze mówił dalej:

– Ubogim żołnierz, alem szlachcic i człek uczciwy, i na to ci przysięgam, że ni na mojej tarczy, ni na moim sumieniu najmniejszej plamy nie znajdziesz. Grzeszę może pośpiechem, ale i to wyrozumiej, bo mnie ojczyzna woła, której dla ciebie nawet nie odstąpię... Nie pocieszyszże mnie? nie dodasz otuchy? nie rzekniesz dobrego słowa?

– Waćpan żądasz ode mnie niepodobieństwa... Na Boga! Nie może to być! – odpowiedziała ze strachem Oleńka.

– Od twojej woli zależy...

– Właśnie dlatego wręcz waćpanu odpowiadam: nie!

Tu panna zmarszczyła brwi.

– Mości panie! winnam ci wiele, nie zapieram. Żądaj, czego chcesz, wszystkom oddać gotowa, prócz ręki.

Pan Wołodyjowski wstał.

– Waćpanna mnie nie chcesz? he?

– Nie mogę!

– I to ostatnie słowo waćpanny?

– Ostatnie i nieodwołalne.

– A może jeno pośpiech się waćpannie nie podoba? Dajże mnie nadzieję!

– Nie mogę, nie mogę...

– Nie masz tedy tu dla mnie szczęścia, jako go i gdzie indziej nie było! Moja mościa panno, nie ofiarujże mi zapłaty za usługę, bom nie po nią przyjechał, a żem ręki prosił, to nie za zapłatę, jeno po dobrej woli. Gdybyś mi rzekła, że ją oddajesz, bo musisz, to także bym nie przyjął. Jak nie ma woli, to nie ma i doli. Wzgardziłaś mną... bodaj ci się nikt gorszy nie trafił. Wychodzę z tego domu, jak i wszedłem... jeno że nie wrócę więcej. Za nic mnie tu mają. Niech i tak będzie. Bądźże szczęśliwa, choćby z tym samym Kmicicem, boś może właśnie o to gniewna, żem między was szablę włożył. Kiedy on ci lepszy, toś ty istotnie nie dla mnie.

Oleńka chwyciła się rękoma za skronie i powtórzyła kilkakrotnie:

– Boże, Boże, Boże!

Ale ta jej boleść nie przejednała pana Wołodyjowskiego, który skłoniwszy się wyszedł zły i gniewny; po czym zaraz siadł na koń i odjechał.

– Noga moja więcej tam nie postoi – rzekł głośno.

Pachołek Syruć, jadący z tyłu, przysunął się zaraz. – Co wasza mość mówi?

– Głupiś! – odpowiedział pan Wołodyjowski.

– To już mnie wasza mość powiedział, jakeśmy w tamtą stronę jechali.

Nastało milczenie; po czym pan Michał znów mrużyć począł:

– Niewdzięcznością mnie tam nakarmiono... Wzgardą za afekt zapłacono... Przyjdzie chyba do śmierci w kawalerstwie służyć. Tak już napisano... Jechałże sęk taki los!... Co rusz, to rekuza... Nie masz sprawiedliwości na tym świecie!... Co ona sobie przeciw mnie upatrzyła?

Tu pan Wołodyjowski zmarszczył brwi i począł silnie pracować głową; nagle uderzył się dłonią po nodze.

– Wiem już! – zakrzyknął – ona tamtego jeszcze miłuje... nie może inaczej być.

Ale ta uwaga nie rozjaśniła mu twarzy.

„Tym ci gorzej dla mnie – pomyślał po chwili bo jeśli ona go po tym wszystkim jeszcze miłuje, to i nie przestanie go miłować. Co miał uczynić najgorzszego, to już uczynił. Na wojnę ruszy, sławy nabędzie, reputację poprawi... I nie przystoi mu w tym przeszkadzać... raczej trzeba dopomóc, bo to dla ojczyzny korzyść... Ot, co jest! żołnierz on dobry... Ale czym ją tak skaptował? kto zgadnie... Inni mają już takowe szczęście, że byle na niewiastę spojrzal, ta i w ogień za nim gotowa... Żeby tak wiedzieć, czym się to dzieje, albo jakowego inkluza dostać, może by i człowiek co wskórał. Zasługą do niczego z białogłową nie dojdiesz! Dobrze powiadał pan Zagłoba, że liszka a niewiasta to najzdradliwsze stworzenia na świecie. A taki żal mi, że wszystko przepadło! Okrutnie to gładka podwika i cnotliwa, jak powiadają. Ambitne to widać jak lichy... Kto to wie, czy ona za

niego pójdzie, chociaż go miłuje, bo ją ciężko zawiódł i obraził... Przecie on mógł spokojnie do niej dojść, a wołał się warcholić... Gotowa się całkiem wyrzec i zamażpójścia, i dzieci... Mnie ciężko, ale i jej, niebodze, może jeszcze ciężej...”

Tu pan Wołodyjowski rozczulił się nad dolą Oleńki i począł głową kręcić, ustami cmokać, wreszcie rzekł:

– Niech jej tam Bóg sekunduje! Nie mam do niej urazy! Nie pierwsza to dla mnie rekuza, a dla niej pierwsza boleść. Niebożatko ledwie zipie od trosków, jeschcem jej oczy wykłuł tym Kmicicem i do reszty zółcią napoił. Nie godziło mi się tego czynić i naprawić wypada. Bodaj mnie kule biły, bom po grubiańsku postąpił. Napiszę do niej list, żeby odpuściła, a potem w czym będę mógł, to i pomogę.

Dalsze rozmyślania pana Wołodyjowskiego przerwał pacholek Syruć, który przysunawszy się znów rzekł:

– Proszę waszej mości, toż to tam na górze pan Charłamp z kimś drugim jedzie.

– Gdzie?

– A ot, tam!

– Prawda, że dwóch jeźdźców widać, ale pan Charłamp został się przy księciu wojewodzie wileńskim. Po czymże ty go z tak daleka poznajesz?

– A po bułance. Dyc ją całe wojsko zna.

– Jako żywo, że konia widać bułanego... Ale może być inny.

– Kiedy ja i chód jej poznaję... Już to pan Charłamp z pewnością.

Popędzili obaj konie, a jadący naprzeciw uczynili toż samo i wkrótce pan Wołodyjowski poznał, że to istotnie pan Charłamp nadjeżdża.

Był to porucznik piatyhorskiej chorągwi litewskiego komputu, dawny znajomy pana Wołodyjowskiego, stary żołnierz i dobry. Niegdyś wadzili się mocno z małym rycerzem, ale potem, służąc razem i wojny odbywając, polubili się wzajemnie. Pan Wołodyjowski poskoczył tedy żywo i otworzywszy ręce wołał:

– Jakże się miewasz, Nosaczu?! Skądżeś się tu wziął?

Towarzysz, który istotnie na przezwisko Nosacza zasługiwał, bo nos miał potężny, wpadł w objęcia pułkownika i witali się radośnie; po czym odsapnąwszy rzekł:

– Do ciebiem umyślnie przyjechał z ekspedycją i z pieniędzmi.

– Z ekspedycją i z pieniędzmi? A od kogo?

– Od księcia wojewody wileńskiego, naszego hetmana. Przysyła ci list zapowiedni, abyś zaraz zaczął zaciąg czynić, i drugi dla pana Kmicica, który też się ma w tej okolicy znajdować.

– I dla pana Kmicica?... Jakże to we dwóch będziemy w jednej okolicy zaciągali?

– On ma jechać do Troków, a ty masz zostać w to j okolicy.

– Skądżeś to wiedział, gdzie mnie szukać?

– Sam pan hetman pilnie o ciebie wypytywał, aż mu ludzie tutejsi, którzy tam jeszcze służą, powiedzieli, gdzie cię znaleźć, i ja jechałem na pewno... W wielkich tam zawsze jesteś faworach!... Słyszałem księcia naszego pana, jak sam mówił, że nie spodziewał się po wojewodzie ruskim niczego odziedziczyć, a tymczasem największego rycerza odziedziczył.

– Dałby mu Bóg i szczęście wojenne odziedziczyć... Wielki to dla mnie honor, że mam zaciąg czynić, i zaraz się do tego wezmę... Ludzi wojennych tu nie brak, byle było za co ich na nogi postawić. A pieniędzy siła przywiozłeś?

– Jak przyjedziesz do Pacunelów, to policzysz.

– Toś i do Pacunelów już trafił? Strzeż się jeno, bo tam ładnych dziewcząt jak maku w ogrodzie.

– Dlatego to i pobyt ci tam smakował!... Czekałże, mam i drugi list, prywatny, hetmana do ciebie.

– To dawaj!

Pan Charłamp wyjął pismo z małą pieczęcią radziwiłłowską, a pan Wołodyjowski otworzył i zaczął czytać:

„Mości panie pułkowniku Wołodyjowski!

Znając szczerą Waćpana służenia ojczyźnie intencję posyłam Ci list zapowiedni, abyś zaciąg czynił, i nie tak, jako się zwyczajnie czyni, ale z pilnością wielką, bo periculum in mora. Chceszli nas uradować, to niechże chorągiew na koniec lipca, najdalej na pół sierpnia będzie już na nogach i do pochodu gotowa. Kłopotliwo nam to, skąd Waszmość koni dobrych weźmiesz, zwłaszcza że i pieniędzy posyłamy skąpo, gdyż więcej na panu podskar bim, po staremu nam nieprzyjaznym, nie mogliśmy wydebić. Połowę z tych pieniędzy panu Kmicicowi J. M. P. oddaj, dla którego pan Charłamp także list zapowiedni wiezie. Spodziewamy się po nim, iż gorliwie nam w tym usłuży. Ale że uszu naszych doszła wieść o jego swawolach w Upickiem, tedy najlepiej Waćpan list dla niego przeznaczony od Charłampa odbierz i sam uznaj, czy mu go oddać. Jeślibyś uważał zbyt nie na nim gravamina, hańbę czyniące, tedy nie oddawaj! obawiamy się bowiem, aby nieprzyjaciele nasi, jako pan podskarbi i pan wojewoda witebski, krzyków nie podnieśli, że podobne funkcje niegodnym osobom powierzamy. Gdybyś jednak, uznawszy, że tam nic wielkiego nie ma, list oddał, niechże się Kmicic stara największą w służbie usilnością winy swe zmazać, a na żadne terminy w sądach nie staje, bo on do naszej, hetmańskiej, należy inkwizycji i my go sądzić będziemy, nikt inny, ale po funkcji spełnionej. Polecenie to nasze uważaj W. Mość zarazem za dowód zaufania, jakie w rozumie i wiernych służbach W. Mości pokładamy.

Janusz Radziwiłł,  
książę na Birzach i Dubinkach,  
wojewoda wileński.”

– Okrutnie się tam pan hetman o konie dla ciebie troszczy – rzekł pan Charłamp, gdy mały rycerz skończył czytać.

– Pewnie, że o konie będzie trudno – odpowiedział pan Wołodyjowski. – Tutejszej małej szlachty siła stanie na pierwszy odgłos, ale oni jeno mierzyny żmudzkie mają, nie bardzo do służby zdadne. Na dobrą sprawę, trzeba by im wszystkim dać inne.

– To dobre konie, znam ja je z dawna, okrutnie wytrwale i zwrotne.

– Ba! – rzekł pan Wołodyjowski – ale urody małe?, a lud tutejszy rosły. Jak ci na takich koniach w szyku staną, to rzekłbyś: chorągiew na psach siedzi. Ot, kłopot!... Wezmę ja się gorliwie do roboty, bo i samemu mi pilno. Zostawże mnie list zapowiedni do Kmicica, jako pan hetman nakazuje, sam mu go oddam. Bardzo mu w porę przyszedł.

– A czemu?

– Bo tu tatarską modą sobie poczynął i panny w jasyr brał. Tyle nad nim procesów i terminów, ile ma włosów na głowie. Nie masz tygodnia, jak się z nim w szable biłem.

– E! – rzekł Charłamp – jeśliś ty się z nim w szable bił, to on teraz leży.

– Ale już się ma lepiej. Za jaki tydzień, dwa zdrów będzie. Co tam słyhać *de publacis*?

– Żle, po staremu... Pan podskarbi Gosiewski zatt,-`ze z naszym księciem w emulacji, a jak hetmani niezgodni, to i sprawy ładem nie idą. Przecie trochęmy się poprawili, i tak myślę, że byle zgody, to sobie z tym nieprzyjacielem rady damy. Bóg pozwoli, że szcze na ich karkach pojedziemy aż do ich państwa. Wszystkiemu winien pan podskarbi!

– A inni powiadają, że właśnie hetman wielki.

– To zdrajcy. Wojewoda witebski to tak powiada bo oni się z dawna z panem podskar bim powąchali.

– Wojewoda witebski zacny obywatel.

– Zali i ty po sapieżyńskiej stronie przeciw Radziwiłłom stoisz?

– Ja stoję po stronie ojczyzny, po której wszyscy stać powinni. W tym to i zło, że się nawet i żołnierze na strony dzielim, zamiast bić. A że Sapieha zacny obywatel, to bym i przy samym księciu powiedział, chociaż pod nim służę.

– Próbowali ludzie godni zgodę czynić, ale to na nic! – rzekł Charłamp. – Okrutnie teraz posłańcy od króla do naszego księcia latają... Mówią, że coś się tam nowego na świecie kluje. Spodzie-

waliśmy się pospolitego ruszenia z królem jegomością – nie przyszło! Powiadają, że gdzie indziej może być potrzebne.

– Chyba na Ukrainę.

– Bo ja wiem? Jeno raz Brochwicz porucznik powiadał, co na własne uszy słyszał. Przyjechał od króla Tyzenhauz do naszego hetmana i coś tam, zamknawszy się, długo ze sobą gadali, czego Brochwicz nie mógł uławić, ale gdy wychodzili, tedy na własne uszy, powtarzam, słyszał, jak pan hetman mówił: „Z tego może być nowa wojna.” Okrutnieśmy tam wszyscy w głowę zachodzili, co to mogło znaczyć.

– Pewnie się przesłyszał! Z kimże by nowa wojna? Cesarz lepiej nam teraz życzy niż naszym nieprzyjaciołom, jako że wypada mu za politycznym narodem się ujmować. Ze Szwedem rozejm jeszcze nie wyszedł i do sześciu lat nie wyjdzie, a Tatarowie nam na Ukrainie pomagają, czego by bez woli Turczyna nie czynili.

– Nie mogliśmy też i my niczego dociec!

– Bo i nic nie było. Ale ja chwałę Boga, że mam nową robotę. Już mi się i tęskno czyniło za wojną.

– To ty chcesz sam list zapowiedni Kmicicowi zawieźć?

– Przeciem ci mówił, że pan hetman tak nakazuje. Wypadnie mi Kmicica odwiedzić, jako kawalerski jest zwyczaj, a mając list będę miał lepsze jeszcze zamówienie. Czy mu list oddam, to inna rzecz; namyślę się, bo to woli mojej zostawiono.

– Mnie to i na rękę, ile że mi w drogę pilno. Mam i trzecie zapowiednie pismo do pana Stankiewicza; potem do Kiejdan kazano mi jechać, armatę, która tam przyjdzie, odebrać; potem do Birż, obaczyć, czy wszystko gotowe w zamku do obrony.

– I do Birż?

– Tak jest.

– To mi i dziwno. Żadnych nowych wiktoryj nieprzyjacieli nie otrzymał, więc mu i do Birż, na kurlandzką granicę, daleko. A że, jako widzę, nowe chorągwie stawia na nogi, więc będzie komu bronić na-: wet i tych krajów, które już pod moc nieprzyjacielską; wpadły. Kurlandczycy przecie o wojnie z nami nie myślą. Dobrzy to żołnierze, ale ich mało, i sam tylko Radziwiłł mógłby ich jedną ręką przydusić.

– I mnie to dziwno – odpowiedział Charłamp tym bardziej że mi także pośpiech zalecono i tuką dano instrukcję, iżbym jeśli co znajdę nie w porządku, zaraz księciu Bogusławowi dawał znać, ktróry Petersona inżyniera ma przysłać.

– Co by to mogło być?! Oby się tylko na jaką wojnę domową nie zanosilo. Niechże nas Bóg od tego strzeże! Już jak tam tylko ksiązę Bogusław do roboty wchodzi, to diabłu będzie z tego uciecha.

– Nie mów na niego nic. To mężny pan!

– Nie neguję ja mu męstwa, ale więcej w nim Niemca czyli jakowegoś Francuza niż Polaka... I o Rzeczpospolitą zgoła nie dba, jeno o dom radziwiłłowski, żeby to go jak najwyżej wynieść, a wszystkich innych poniżyć. On to i w księciu wojewodzie wileńskim, naszym hetmanie, pychę podnieca, której mu i bez tego nie brak, i owe kłótnie z Sapiehami i Gosiewskim jego to sadzenia drzewa i frukta.

– Wielki z ciebie, jak widzę, statysta. Powinieneś się, Michałku, co prędzej ożenić, żeby taki rozum nie przepadł.

Wołodajowski spojrział przeciągle na towarzysza.

– Ożenić?... Hę?

– Jużci! A może ty tu gdzie w konkury jeździsz, boś, widzę, strojny jak na paradę.

– Dałbyś spokój!

– Ej, przyznaj się...

– Każdy niech swoje arbuzy zjada, a ty o cudze nie pytaj, boś też niejednego dostał. Właśnie też czas teraz o ożenku myśleć, gdy mam zaciąg na głowie.

– A będziesz na lipiec gotowy?

– Na koniec lipca będę, choćbym miał konie spod ziemi wykopać. Bogu dziękuję, że mi ta robota przyszła, bo inaczej byłaby mnie melankolia zjadła.

Jakoż wieści od hetmana i widoki pracy ciężkiej wielką sprawiły panu Wołodyjowskiemu ulgę, i nim dojechali do Pacunelów, prawie nie myślał już o konfuzji, jaka go przed godziną spotkała. Wieść o liście zapowiednim szybko się rozleciała po całym zaścianku. Przyszła zaraz szlachta pytać, czy prawda, a gdy pan Wołodyjowski potwierdził, wielkie to uczyniło wrażenie. Ochota była powszechna, lubo turbowali się niektórzy, że to w końcu lipca, przed żniwami, trzeba będzie wyruszyć. Pan Wołodyjowski rozesłał też gońców i do innych okolic, i do Upity, i do znaczniejszych domów szlacheckich. Wieczorem przyjechało kilkunastu Butrymów, Stakjanów i Domaszewiczów.

Dopieroż poczęto się zachęcać wzajem i coraz większą okazywać ochotę, i odgrażać się na nieprzyjaciół, i zwycięstwa sobie obiecywać. Jedni tylko Butrymowie milczeli, ale im tego za złe nie brano, bo wiadomo było, że jak jeden człowiek staną. Nazajutrz zawrzało we wszystkich zaściankach jak w ulach. Ludzie nie gadali już o panu Kmicicu ni o pannie Aleksandrze, tylko o przyszłej wyprawie. Pan Wołodyjowski z serca także odpuścił Oleńce rekuzę pocieszając się przy tym myślą, że to nieostatnia, jako i afekt nieostatni. Tymczasem namyślał się trochę, co ma z listem dla Kmicica uczynić.



## ROZDZIAŁ IX

Zaczęły się tedy dla pana Wołodyjowskiego czasy ciężkiej pracy, rozpisywania listów i rozjazdów. Następnego tygodnia przeniósł się już na rezydencję do '. Upity i tam zaciąg rozpoczął. Sympała się do niego szlachta chętnie, większa i mniejsza, bo sławę miał głośną. Szczególniej jednak szli laudańscy, którym w konie trzeba było obmyślać. Kręcił się też pan Wołodyjowski jak w ukropie, ale że był obrotny i trudownie żałował, szło mu dość sporo. W tymże czasie odwiedził i pana Kmicica w Lubiczu, który znacznie już do zdrowia przyszedł, i chociaż z łoża jeszcze nie wstawał, wiadomo już było, że zdrow będzie. Wido- cznie, o ile pan Wołodyjowski miał szablę ciętą, o tyle rękę lekką.

Poznał go pan Kmicic natychmiast i przy bladł trochę na jego widok. Ręką nawet mimo woli do szabli wiszącej nad łożem sięgnął, ale ochłonawszy, widząc uśmiech na twarzy gościa, wyciągnął ku niemu wyciągnął dłoń i rzekł:

– Dziękuję waszmości za odwiedzinę. Godna to takiego kawalera polityka.

– Przyjechałem spytać, czy waść urazy do mnie nie chowasz? – spytał pan Michał.

– Urazy nie chowam, bo mnie nie lada kto zwyciężył, ale gracz pierwszej wody. Ledwie żem się wylizal!

– A jakże zdrowie waszmościne?

– Waćpanu dziw pewno, żem spod jego ręki żyw wyszedł? Sam też sobie przyznaję, że niemała to sztuka.

Tu pan Kmicic uśmiechnął się.

– No, niestracona sprawa. Dokończysz mnie, kiedy zechcesz!

– Wcałe nie w tym zamiarze tu przyjechałem...

– Chybaś waszmość diabeł – przerwał Kmicic – albo masz inkluza. Bóg widzi, daleko mi teraz do samochwalstwa, bo z tamtego świata wracam, alem to sobie przed spotkaniem waćpana zawsze myślał: jeżelim nie pierwszy w Rzeczypospolitej na szable, tom drugi. Tymczasem niesłychana rzecz! Toż ja bym pierwszego cięcia nie odbił, gdybyś waćpan chciał. Powiedz mi, gdzie się tak wyuczyl?

– Miało się trocha przyrodzonych zdolności – odrzekł pan Michał – i ojciec od małego wkładał, którego nieraz mi mówił: „Dał ci Bóg nikczemną postać, jeśli się ludzie nie będą ciebie bali, to się będą z ciebie śmieli.” Potem też u wojewody ruskiego w chorągwi służąc douczyłem się reszty. Było tam kilku mężów, którzy śmiało mogli mi stawić czoło.

– Aza mogli być tacy?

– Mogli, bo byli. Był pan Podbipięta. Litwin, wielki familiant, który w Zbarażu poległ... Panie świeć nad jego duszą!... człek tak olbrzymiej siły, że mu się niepodobna było zastawić, bo mógł przeciąć zastawę i przeciwnika. Potem był jeszcze i Skrzetuski. przyjaciół mój serdeczny i konfident, o którym waść musiałeś słyszeć.

– Jakże! On to ze Zbaraża wyszedł i przez Kozaków się przedarł. Kto o nim nie słyszał!... To waść z takiej sfory?! i zbarańczyk?... Czołem! czołem! Czekażże!... przecie i ja o waćpanu u wojewody wileńskiego słyszałem. Wszak waszmości Michał na imię?

– Właściwie to ja jestem Jerzy Michał, ale że święty Jerzy smoka tylko roztratował, a święty Michał całemu komunikowi niebieskiemu przewody: i tyle już nad piekielnymi chorągwiami odniósł wiktoryj, przeto jego wołę mieć za patrona.

– Pewnie, że Jerzemu nie równać się z Michałem. Toś to waćpan ten sam Wołodyjowski, o którym powiadano, że Bohuna usiekł?

– Jam jest.

– No, od takiego nie żal po łbie dostać. Dałby Bóg, żebyśmy przyjaciółmi mogli zostać. Waćpan to mnie wprawdzie zdracją okrzyknął, aleś się w tym pomylił.

To rzekłszy pan Kmicic ściągnął brwi, jakby go rana na nowo zaboląła.

– Przyznaję, zem się pomylił – odrzekł pan Wołodyjowski – ale nie od waćpana o tym dopiero się dowiaduję, bo mi to już ludzie twoi powiadali. I wiedz waszmość o tym, że inaczej nie byłbym tu przyjeżdżał.

– Już ostrzyli, bo ostrzyli tu na mnie języki! – mówił z goryczą Kmicic. – Niech będzie, co chce. Niejedna jest kreska na mnie, przyznaję, ale też i w tej okolicy ludzie niewdzięcznie mnie przyjęli...

– Waść sobie najwięcej zaszkodziłeś tym spaleniem Wołmontowicz i ostatnim raptem.

– Toteż mnie procesami gnębią. Leżą już u mnie terminy do sądów. Choremu przyjść do zdrowia nie dadzą. Spaliłem Wołmontowicze, prawda, i ludzi coś się wysiekło; niechże mnie jednak Bóg sędzi, jeśli to ze swawoli uczynił. Tej samej nocy, przed spale:ziem, ślub sobie zrobiłem: żyć ze wszystkimi w zgodzie, zjednać sobie owych tutejszych szaraczków, załagodzić nawet łyczków w Upicie, bo tam istotnie podswawoliłem. Wracam tedy do dom i cóż zastaję? Oto moich kompanionów porzniętych jak woły, leżących pod ścianą! Gdym się dowiedział, że to Butrymowie uczynili, wtedy diabeł we mnie wstąpił... i zemściłem się srogo... Czy waść uwierzy, za co ich porznięto?... Sam się o tym później dowiedziałem od jednego z Butrymów, którego w lasach napadłem: oto za to, że potańcować w karczmie z szlachciankami chcieli... Kto by się nie mścił?

– Mój mości panie! – odpowiedział Wołodyjowski – prawda, że za ostro postąpiono z waćpana kompanami, ale czy to ich szlachta pobiła? Nie! Pobiła ich dawniejsza reputacja, jaką tu ze sobą gotową przywieźli, bo żeby tak grzecznym jakim żołnierzom zachciało się potańcować, pewnie by ich za to nie sieczono.

– Niebożęta! – mówił Kmicic idąc za swoją myślą – gdym teraz oto w gorączce leżał, co wieczora wchodzili tymi oto drzwiami z tamtej izby... Widziałem ich koło łoża, jako na jawie, sinych, zbitych, a ciągle jęczeli: „Jędrus! daj na mszę za nasze dusze, bo męki cierpimy!” To mówię waści, włosy mi na głowie powstawały, bo i siarką od nich w izbie pachniało... Na mszę już tlałem, oby im to co pomogło!

Nastała chwila milczenia.

– A co do raptu – mówił dalej Kmicic – waćpanu o tym nikt nie mógł powiedzieć, że ona ocaliła mi wprawdzie życie, gdy mnie szlachta ściagała, ale potem kazała iść precz i nie pokazywać się na oczy. Co mi wówczas pozostało?!

– Zawsze to tatarski był sposób.

– Chyba waćpan nie wiesz, co jest afekt i do jakiej desperacji człowiek przyjść może, gdy to, co najwięcej umiłował, utraci.

– Ja nie wiem, co jest afekt? – zakrzyknął z oburzeniem pan Wołodyjowski. – Od czasu jak szablę począłem nosić, zawsze byłem zakochany... Prawda, że się *subiectum* zmieniało, bo nigdy mi wzajemnością nie wyplacono. Gdyby nie to, nie byłoby wierniejszego nade mnie Troiła.

– Taki tam i afekt, gdy się *subiectum* zmienia! – rzekł Kmicic.

– Tedy waści powiem co innego, na co własnymi oczyma patrzyłem. Oto pierwszego czasu chmielniczyny Bohun, ten sam, który dziś po Chmielnickim największą cieszy się między kozactwam powagą, porwał Skrzetuskiemu umiłowaną nad wszystko dziewczkę, kniaziównę Kurcewiczównę. To był dopiero afekt! Całe wojsko płakało widząc Skrzetuskiego desperację, bo mu broda w dwudziestym którymś roku życia zbielała, a on, zgadnij waść, co uczynił?

– Skąd mam wiedzieć!

– Oto, że ojczyzna była w potrzebie, w poniżeniu, że okrutny Chmielnicki tryumfował, więc on wcale nie poszedł dziewczki szukać. Boleść Bogu ofiarował i bił się we wszystkich bitwach pod księciem Jeremim, aż pod Zbarażem tak nadzwyczajną chwałą się okrył, że dziś imię jego wszyscy ze czcią powtarzają. Przyłóżże waćpan teraz jego uczynek do swojego i poznaj różnicę.

Kmicic milczał i gryzł wąsy, Wołodyjowski mówił dalej:

– Toteż Skrzetuskiego Bóg wynagrodził i dziewczkę mu oddał. Zaraz po Zbarażu się pobrali i już troje dzieci spłodzili, chociaż on służyć nie przstał. A waszmość zamieszki czyniąc pomagałeś tym

samym nieprzyjacielowi i małoś żywota nie utracił, nie mówiąc o tym, że przed paru dniami mogłeś pannę na zawsze utracić.

– Jakim sposobem? – rzekł siadając na łóżku Kmicic – co się z nią działo?

– Nic się z nią nie działo, jeno znalazł się mąż, którego ją o rękę prosił i za żonę chciał pojąć.

Kmicic pobladł bardzo, zapadnięte jego oczy poczęły ciskać płomienie. Chciał wstać, zerwał się nawet na chwilę i zakrzyknął:

– Kto był ten wraży syn? Na żywy Bóg, mów waszmość!

– Ja – rzekł pan Wołodyjowski.

– Waćpan? waćpan? – pytał ze zdumieniem Kmicic. – Jak to?...

– Tak jest.

– Zdrajco! nie ujdzie ci to!... I ona?... na żywy Bóg, mów już wszystko!..., ona cię przyjęła?...

– Odpaliła z miejsca i bez namysłu.

Nastąpiła chwila milczenia. Kmicic oddychał ciężko i oczyma wpijał się w Wołodyjowskiego, ten zaś rzekł; – Czemu to mnie zdrajcą nazywasz? Zalim ci brat albo swat? Zalim ci wiarę złamał? Zwyciężyłem cię w równym boju i mogłem czynić, co mi się podobało. – Po staremu jeden by z nas to krwią zapieczętował. Nie szablą, to z rusznicy bym waćpana ustrzelił i niechby mnie diabli potem wzięli.

– Chybabyś mnie z rusznicy zastrzelił, bo gdyby mnie nie była odpaliła, to bym i pojedynku drugiego nie przyjął. Po co miałbym się bić? A wiesz, czemu mnie odpaliła?

– Czemu? – powtórzył jak echo Kmicic.

– Bo ciebie miłuje.

Było to więcej, niż słabe siły chorego znieść mogły. Głowa Kmicica opadła na poduszki, na czoło wystąpił mu pot obfity i leżał czas jakiś w milczeniu.

– Okrutnie mi słabo – rzekł po chwili. – Skądże... to waść wiesz, że ona... mnie miłuje?

– Bo mam oczy i patrzę, bo mam rozum i miarkuję; teraz zwłaszcza, gdym rekuzę dostał, zaraz mi się w głowie rozjaśniło. Naprzód tedy, gdym po pojedynku przyszedł jej powiedzieć, że jest wolna, bom waćpana usiekł, wnet ją zamroczyło i zamiast wdzięczność mi okazać, całkiem mnie spostonowała; po wtóre: gdy cię tu Domaszewicze dźwigali, to ci głowę jako matka unosiła; a po trzecie, że gdym się jej oświadczył, tak mnie przyjęła, jakoby mi kto w pysk dał. Jeśli te racje waćpanu nie wystarczają, to chyba dlatego, żeś przez rozum zacięty i na umyśle szwankujesz.

– Gdyby to była prawda! – odrzekł słabym głosem Kmicic – tedy... różne mi tu maści na rany przykładają... ale nie byłoby lepszego balsamu od słów waszmości.

– Zdrajcaże ci to taki balsam przykładają?

– Przebac już waść. W głowie mi się takie szczęście nie mieści, żeby ona mnie jeszcze chciała.

– Powiedziałem, że waćpana miłuje, nie powiedziałem, że cię zechce... To wcale co innego.

– Jeśli mnie nie zechce, to sobie ten łeb o ścianę rozbiję. Nie może inaczej być.

– Mogłoby być, gdybyś waćpan miał szczerą intencję zmazania win. Teraz wojna, możesz iść, możesz posługi znaczne miłej ojczyźnie oddać, męstwem się wślawić, reputację połatać. Któż to jest bez grzechu? Kto nie ma win na sumieniu? Każdy ma... Ale do pokuty i poprawy każdemu otwarta droga. Waść grzeszyłeś swawolą, to jej odtąd unikaj; grzeszyłeś przeciw ojczyźnie, zamieszki w czasie wojennym czyniąc, to ją teraz ratuj; czyniłeś krzywdy ludziom, to je nagródź... O! droga dla waszmości lepsza i pewniejsza niż rozbijanie sobie łba.

Kmicic patrzył uważnie na Wołodyjowskiego, potem rzekł:

– Waćpan mówisz jak mój szczerzy przyjaciel.

– Nie jestem waćpanu przyjacielem, ale po prawdzie nie jestem i nieprzyjacielem, a tej panny mnie żal, chociaż mnie odpaliła, bom jej też słowo ostre niesłusznie rzekł na odjeźdźnym. Od rekuzy się nie powieszę, nie pierwszizna mi, a uraz nie zwykłem chować. Jeśli więc waćpana na dobrą drogę namówię, to będzie także moja względem ojczyzny zasługa, boś żołnierz dobry i doświadczony.

– Zali mnie czas jeszcze na tę drogę wracać? Tyle terminów na mnie czeka! Z łoża trzeba do sądu zaraz... Chybabym stąd uciekał, a tego nie chcę. Tyle terminów! A co sprawa, to i wyrok pewny na potępienie.

– Ot, tu jest na to lekarstwo! – rzekł pan Wołodyjowski wydobywając list zapowiedni.

– List zapowiedni! – wykrzyknął Kmicic – dla kogo?

– Dla waćpana. A teraz wiedz, że mając funkcję wojskową, nie potrzebujesz do żadnych sądów stawać, bo do hetmańskiej inkwizycji należysz; słuchaj zaś, co książę wojewoda mi pisze.

Tu pan Wołodyjowski odczytał Kmicicowi prywatny list Radziwiłła, odetchnął, ruszył wąsikami i rzekł:

– Owóż, jak waćpan widzisz, ode mnie zależy: albo ci list zapowiedni oddać, albo go schować. Niepewność, trwoga i nadzieja odbiły się na twarzy Kmicica.

– A waćpan co uczynisz? – pytał cichym głosem.

– A ja waszmości list oddaję – rzekł pan Wołodyjowski.

Kmicic nic zrazu nie odrzekł, głowę opuścił na poduszki i patrzył czas jakiś w pułap. Nagle oczy poczęły mu wilgotnieć i goście nieznanymi w tych oczach, łzy, zawisły na rzęsach.

– Niechże mnie końmi rozerwą! – rzekł wreszcie – niech mnie ze skóry obłuszcza, jeśli ja widział zacniejszego człowieka od waszmości... Jeżeliś przeze mnie rekuzę dostał, jeśli mnie Oleńka jeszcze, jako powiadasz, miłuje, inny tym bardziej by się mścił, tym głębiej mnie pogrążył... A waszmość mi rękę podajesz i jako z grobu mnie wyciągasz!

– Bo nie chcę dla prywaty ojczyzny miłej poświęcać, której waszmość znaczne jeszcze posługi możesz oddać. Ale to waszmości powiem, że gdybyś był owych Kozaków od Trubeckiego albo Chowańskiego pożyczył, tedybym list zatrzymał. Całe to szczęście, żeś tego nie uczynił!

– Przykład, przykład z waćpana innym brać! – odrzekł Kmicic. – Dajże mi rękę, Bóg mi pozwoli czym dobrym się waszmości wypłacić, boś mnie na śmierć i życie zobowiązał.

– To i dobrze, potem o tym! A teraz... uszy waszmość do góry! Nie potrzeba ci do żadnych sądów stawać, jeno do roboty się brać. Zasłużysz się ojczyźnie, to ci i ta szlachta odpuści, bo to ludzie na honor ojczyzny bardzo czuli... Możesz jeszcze winy zmazać, reputację odzyskać i w sławie jako w słońcu chodzić, a już tam znam jedną pannę, która ci nagrodę za życia obmyśli.

– E! – zakrzyknął z uniesieniem Kmicic – co ja tu będę w łożu gnić, gdy nieprzyjaciół ojczyznę depte. Hej! jest tam który? Sam tu! pacholek, buty podawaj!... Sam tu!... Niechże mnie piorun w tych betach ustrzeli, jeśli będę dłużej w nich parciał!

Uśmiechnął się na to z zadowoleniem pan Wołodyjowski i rzekł:

– Duch w waści od ciała silniejszy, bo ciało jeszcze ci nie dopisze.

To rzekłszy począł żegnać się, a Kmicic nie puszczał, dziękował i winem chciał traktować.

Jakoż dobrze już miało się ku wieczorowi, gdy mały rycerz opuścił Lubicz i do Wodoktów podążył.

– Najlepiej ją za ostre słowa nagrodzę – mówił sam do siebie – gdy jej powiem, że Kmicic nie tylko z łoża, ale i z niesławy powstaje... Nie do szczętu to jeszcze zepsuty człowiek, jeno gorączka wielki. Okrutnie ją tym pocieszę i tak myślę, że mnie teraz lepiej przyjmie niż wtedy, kiedym jej samego siebie ofiarował...

Tu westchnął poczciwy pan Michał i mruknął:

– Żeby to wiedzieć, czy jest jaka na świecie i dla mnie przeznaczona?

Wśród podobnych rozmyślań dojechał do Wodoktów. Kudłaty Żmudzin wybiegł do kołowrotu, ale nie spieszył się otwierać, jeno rzekł:

– Dziedziczki nie ma w domu.

– To wyjechała?

– A wyjechała.

– Gdzie?

– Kto ją wie!

– A kiedy wróci?

- Kto ją wie!
- Gadajże po ludzku! Nie mówiła, kiedy wróci? – Bogdaj wcale nie wróci, bo z wozami wyjechała i z tobołami. Z tego miarkuję, że daleko i na długo.
- Tak? – mruknął pan Michał. – Ot, com najlepszego sprawił!...

## ROZDZIAŁ X

Zwyczajnie, gdy cieplejsze promienie słońca poczynają przedzierać się przez zimową chmur oponę i gdy pierwsze pędy ukazują się na drzewach, a zielona ruń zbóż kielkuje na wilgotnych polach, wstępuje i lepsza nadzieja w serca ludzkie. Ale wiosna 1655 roku nie przyniosła zwykłej pociechy dla strapionych w Rzeczypospolitej ludzi. Cała jej wschodnia granica, od północy aż po Dzikie Pola na południu, była opasana jakby wstęgą ognistą i wiosenne ulewy nie mogły pogasić pożaru, owszem, wstęga owa stawała się coraz szerszą i coraz rozleglejsze zajmowała kraje. A oprócz tego na niebie pojawiły się znaki złej wróżby zwiastujące większe jeszcze klęski i nieszczęścia. Raz wraz z chmur przelatujących niebiosa tworzyły się jakoby wieże wysokie, jakoby flanki forteczne, które następnie zawały się z łoskotem. Pioruny biły w ziemię, jeszcze śniegiem pokrytą, lasy sosnowe żółkły, a gałęzie drzew skręcały się w dziwne, chorobliwe kształty; zwierzęta i ptaki padały od jakiejś nieznannej choroby. Na koniec dostrzeżono i na słońcu plamy niezwykajne, mające kształt ręki jabłko trzymającej, serca przebitego i krzyża. Umysły trwożyły się coraz bardziej, a zakonnicy gubili się w dociekaniach, co by owe znaki mogły znaczyć. Dziwna jakaś niespokojność ogarniała wszystkie serca.

Przepowiadano nowe wojny i nagle, Bóg wie skąd, złowroga wieść poczęła krążyć z ust do ust po wsiach i miastach, że od strony Szwedów zbliżała się nawałnica. Na pozór nie zdawało się potwierdzać tej wieści, gdyż rozejm ze Szwecją zawarty miał jeszcze na sześć lat siłę, a jednak mówiono o niebezpieczeństwie wojny i na sejmie, który król Jan Kazimierz złożył 19 maja w Warszawie.

Coraz więcej niespokojnych oczu zwracało się ku Wielkopolsce, na którą burza najpierw mogła się zwalić. Leszczyński, wojewoda łęczycki, i Naruszewicz, pisarz polny litewski, wyjechali w poselstwie do Szwecji; ale wyjazd ich, zamiast uspokoić strwożonych, rozniecił większy jeszcze niepokój.

„Legacja ta wojną pachnie” – pisał Janusz Radziwiłł.

– Gdyby nawałnica nie groziła z tamtej strony, cóż by ich wysyłano? – mówili inni. – Wszakże ledwie wrócił ze Sztokholmu poprzedni poseł Kanazył; ale widać to jasno, że nic nie sprawił, skoro zaraz po nim tak poważnych wysłano senatorów.

Wszelako rozsądniejsi ludzie nie wierzyli jeszcze w możliwość wojny.

– Żadnej – twierdzili – Rzeczpospolita nie dała przyczyny, a rozejm trwa w całej sile. Jakżeby to podeptano przysięgi, zgwałcono najświętsze umowy i napadnięto po zbójceku bezpiecznego sąsiada? Szwecja przy tym pamięta jeszcze rany polską szablą zadane pod Kircholmem, Puckiem i Trzcianą! Wszakże to i Gustaw Adolf, który w całej Europie nie znalazł przeciwnika, uległ kilkakroć panu Koniecpolskiemu. Nie będą Szwedzi tak wielkiej sławy wojennej, w świecie nabytej, na niepewny hazard wystawiać z przeciwnikiem, któremu nigdy w polu dostać nie mogli. Prawda, że i wojnę wyczerpaną, i osłabioną jest Rzeczpospolita; ale z samych Prus i samej Wielkopolski, która w wojnach ostatnich wcale nie ucierpiała, wystarczy ten głodny naród przepędzić i za morza do bezpłodnych skał odeprzeć. Nie będzie wojny!

Na to odpowiadali znów trwożliwi, że jeszcze przed sejmem warszawskim radzono już z namowy króla na sejmiku w Grodnie o obronie pasów granicznych wielkopolskich, że rozpisywano podatki i żołnierza, czego by przecie nie czyniono, gdyby niebezpieczeństwo nie było bliskie.

I tak chwiały się umysły pomiędzy obawą a nadzieją, ciężka niepewność przygniatała dusze ludzkie, gdy nagle położył jej koniec uniwersał Bogusława Leszczyńskiego, generała wielkopolskiego, zwołującego pospolite ruszenie szlachty województw poznańskiego i kaliskiego dla obrony granic od grożącej nawały szwedzkiej...

Wszelka wątpliwość znikła. Okrzyk: „Wojna!” – rozległ się po całej Wielkopolsce i wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej.

Była to nie tylko wojna, ale nowa wojna. Chmielnicki, wspomagany przez Buturlina, srożył się na południu i wschodzie; Chowański i Trubecki na północy i wschodzie, Szwed zbliżał się z zachodu! Ognista wstęga zmieniała się w koło ogniste.

Kraj był jak obóz obleżony.

A w obozie źle się działo. Jeden już zdrajca, Radziejowski, uciekł z niego i był w namiocie napastników. On to prowadził ich na łup gotowy, on wskazywał słabe strony, on miał kusić załogę. A oprócz tego nie brakło ni niechęci, ni zawiści; nie brakło magnatów między sobą zwaśnionych lub za odmówione urzędy na króla krzywych i w każdej chwili sprawę publiczną dla swej prywaty poświęcić gotowych; nie brakło dysydentów pragnących triumf swój choćby na grobie ojczyzny uświęcić; a jeszcze więcej było swawolników i ospałych, i leniwych, i w sobie samych, we własnych wczasach i dostatkach zakochanych.

Jednakże zasobna i wojną dotąd nie potępiona kraina wielkopolska nie żałowała przynajmniej pieniędzy na obronę. Miasta i wsie szlacheckie dostarczyły piechotnego żołnierza tyle, ile go rozpisano, i zanim szlachta ruszyła własnymi osobami do obozu, ciągnęły już tam pstre pułki łanowej piechoty pod wodzą rotmistrzów przez sejmik wyznaczonych z ludzi w rzemiośle wojennym doświadczonych.

Wiódł więc pan Stanisław Dębiński łanowców poznańskich; pan Władysław Włostowski kościańskich, a pan Golc, sławny żołnierz i inżynier, waleckich. Nad kaliskimi chłopcy dzierżył rotmistrzowską buławę pan. Stanisław Skrzetuski, z rodu dzielnych wojowników, stryjeczny Jana, słynnego zbarażczyka. Pan Kacper Żychliński prowadził konińskich młynarzy i sołtysów. Spod Pyzdrów ciągnął pan Stanisław Jaraczewski, który młodość w cudzoziemskich wojskach spędził; spod Kcyni pan Piotr Skoraszewski, a pan Kwilecki spod Nakła. Nikt jednak w doświadczeniu wojennym nie mógł wyrównać panu Władysławowi Koraszewskiemu, którego głosu nawet sam generał wielkopolski i wojewodowie słuchali.

W trzech miejscach: pod Piłą, Ujściem i Wielaniem, zalegli rotmistrzowie pasy nadnoteckie czekając na przybycie szlachty na pospolite ruszenie zwołanej. Piechurowie sypali szańce od rana do wieczora, ustawicznie oglądając się za siebie, czy pożądana konnica nie nadciąga.

Tymczasem nadjechał pierwszy z dygnitarzy, pan Andrzej Grudziński, wojewoda kaliski, i stanął w domu burmistrza z licznym poczem sług przybranych w białe i bękitne barwy. Spodziewał się, że wnet osoczy go szlachta kaliska, gdy jednak nikt się nie zjawiał, posłał po rotmistrza, pana Stanisława Skrzetuskiego, zajętego sypaniem szaneczek nad rzeką.

– A gdzie to moi ludzie? – pytał po pierwszych powitaniach rotmistrza, którego znał od dziecka.

– Jacy, ludzie? – rzekł pan Skrzetuski.

– A pospolite ruszenie kaliskie?

Półpogardliwy, półbolesny uśmiech pojawił się na czerniawej twarzy żołnierza.

– Jaśnie wielmożny wojewodo! – rzekł – przecie to czas strzyży owiec, a za źle umytą wełnę nie chcą w Gdańsku płacić. Każdy teraz jegomość nad stawem przy myciu albo nad wagą stoi, słusznie mniemając, że Szwedzi nie uciekną.

– Jakże to? – odparł zafrasowany wojewoda nie masz jeszcze nikogo?

– Żywego ducha prócz piechoty łanowej... A potem żniwa bliskie. Dobry gospodarz z domu nie wyjeżdża w takim czasie!

– Co mi waćpan prawisz?

– A Szwedzi nie uciekną, jeno jeszcze bliżej przyjdą – powtórzył rotmistrz.

Dziobata twarz wojewody poczerwieniała nagle.

– Co mi Szwedzi!... Ale to dla mnie wstyd wobec innych panów będzie, gdy sam się tu jako palec ostane

Skrzetuski znów się uśmiechnął.

– Wasza miłość pozwoli sobie powiedzieć rzekł – że Szwedzi tu rzecz główna, a wstyd potem. Zresztą nie będzie go, bo nie tylko kaliskiej, ale i żadnej innej szlachty jeszcze nie ma.

– Powariowali! – rzekł pan Grudziński.

- Nie, jeno tego pewni, że jeśli oni nie zechcą do Szwedów, to Szwedzi nie omieszkają do nich.
- Czekaj waść! – rzekł wojewoda.

I klasnąwszy na pacholka kazał sobie podać inkaustu piór i papieru – następnie usiadł i począł pisać.

Po upływie pół godziny zasypał kartę, uderzył po niej ręką i rzekł:

– Posyłam jeszcze wezwanie, by się najpóźniej *pro die 27 praesentis* stawili, i tak myślę, że przynajmniej w tym ostatnim terminie zechcą non deesse patriae. A teraz powiedz mi waćpan: macieli jakie wieści o nieprzyjacielu?

– Mamy. Wittenberg wojska swoje pod Damą na łęgach musztruje.

– Siła ich?

– Jedni mówią, że siedmnaście tysięcy, drudzy, że więcej.

– Hm! to nas i tyle nie będzie. Jak waść sądzisz; zdołamy się oprzeć?

– Jeśli się szlachta nie stawi, to i nie ma o czym mówić...

– Stawi się, co się nie ma stawić! Wiadoma to rzecz, że pospolite ruszenie zawsze marudzi. Ale ze szlachtą damy sobie radę?

– Nie damy – rzekł chłodno Skrzetuski. – Jaśnie wielmożny wojewodo, toż my wcale żołnierzy nie mamy.

– Jak to: nie mamy żołnierzy?

– Wasza miłość wie tak dobrze jak ja, że co jest wojska, to wszystko na Ukrainie. Nie przysłano nam tu ani dwóch chorągwi, choć Bóg jeden wie teraz, która burza groźniejsza.

– Ale piechota, ale pospolite ruszenie?

– Na dwudziestu chłopów ledwie jeden wojnę w;\_ dział, a na dziesięciu jeden wie, jak rusznicę trzymać. Po pierwszej wojnie będą z nich dobrzy żołnierze, ale nie teraz. A co do pospolitego ruszenia, spytaj wasza miłość każdego, kto się choć trochę na wojnie zna, czy pospolite ruszenie może dotrzymać regularnym wojskom, jeszcze takim jak szwedzkie, weteranom z całej luterskiej wojny i do zwycięstw przywykłym.

– Także to waść wysoko Szwedów nad swoich wynosisz?

– Nie wynoszę ja ich nad swoich, bo gdyby tu było z piętnaście tysięcy takich ludzi, jacy pod Zbarażem byli, kwarcianych i jazdy, tedybym się ich nie bał, ale z naszymi, daj Boże, abyśmy coś znacniejszego wskórać mogli.

Wojewoda położył ręce na kolanach i spojrział bystro wprost w oczy Skrzetuskiemu, jakby chciał w nich jakąś ukrytą myśl wyczytać.

– Tedy po co my tu przyszli? Czy waćpan nie myślisz, że lepiej się poddać?

Zapłonął na to pan Stanisław i odrzekł:

– Jeśli mi taka myśl w głowie powstała, każże mnie wasza miłość na pal wbić. Na pytanie, czy wierzę w wiktoryę, odpowiadam jako żołnierz: nie wierzę! – ale po cośmy tu przyszli, to inna materia, na którą jako obywatel odpowiadam: po to, abyśmy nieprzyjacielowi wstręt pierwszy dali, abyśmy zatrzymawszy go na sobie, pozwolili reszcie kraju opatrzeć się i wystąpić, abyśmy ciałami naszymi wstrzymali najazd póty, póki jeden na drugim nie padniem!

– Chwalebna to intencja waszmości – odpowiedział chłodno wojewoda – ale łatwiej wam, żołnierzom, o śmierci mówić niż nam, na których cała odpowiedzialność za tyle krwi szlacheckiej darmo przelanej spadnie.

– Po to i ma szlachta krew, aby ją przelewała.

– Tak to, tak! Wszyscy gotowiśmy polec, bo zresztą to najłatwiejsza rzecz. Wszelako obowiązek każe nam, których Opatrzność naczelnikami uczyniła, nie samej tylko chwały szukać, ale i za pożytkiem się oglądać. Wojna już tak jak zaczęta, to prawda, ale przecie Carolus Gustavus pana naszego krewny i musi mieć na to wzgląd. Dlatego należy i paktowania popróbować, bo czasem więcej słowem można wskórać niżli orężem.

– To do mnie nie należy! – odrzekł sucho pan Stanisław.



Wojewodzie w tejże chwili widocznie toż samo na myśl przyszło, bo skinął głową i pożegnał rotmistrza. Skrzetuski jednakże do połowy tylko miał słu

sność w tym, co mówił o opieszałości szlachty na pospolite ruszenie powołanej. Prawdą istotnie bowiem było, że do ukończenia strzyży owiec mało kto ściągnął do obozu między Piłą a Ujściem; ale pod 27 czerwca, to jest na termin w ponownym wezwaniu oznaczony, zaczęto zjeżdżać się dość licznie.

Codziennie tumany kurzu, podnoszące się z powodu suchej i stałej pogody, zwiastowały zbliżanie się coraz nowych zastępów. I jechała szlachta szumnie, konno i koleśno, z pocztami sług, z kredensami, z wozami i obfitością na nich wygod wszelkich, a obciążona tak bronią, iż niejeden za trzech wszelakiego dźwigał oręża, począwszy od kopij, rusznic, bandoletów, szabel, koncerzy i zarzuconych już w owym czasie młotków husarskich do rozbijania zbroi służących. Starzy praktycy zaraz po tym uzbrojeniu poznawali ludzi nieobytych z wojną i niedoświadczonych.

Ze wszystkiej bo wiem szlachty zamieszkującej obszary Rzeczypospolitej wielkopolska właśnie najmniej była wojownicza. Tatarzy, Turcy i Kozacy nie deptali nigdy tych okolic, które od czasów krzyżackich zapomniano niemal, jak wygląda wojna w kraju. Kto ze szlachty wielkopolskiej czuł w sobie bojową ochotę, ten się zaciągał do komputu wojsk koronnych i tam stawał tak dobrze jak każdy inny; ale ci natomiast, którzy w domach woleli siedzieć, na prawdziwych się też domatorów zmienili, kochających się w dostatkach, we wczasach, na zawołanych gospodarzy zasy. pujących swą wełną i zwłaszcza swoim zbożem rynek miast pruskich.

Teraz więc, gdy burza szwedzka oderwała ich od spokojnych zajęć, zdawało im się, że na wojnę nie można się zanadto bronią najeżyć ani zapasami zaopatrzyć, ani za wielu wziąć pachołków, którzy by ciała i sprzętów pana strzegli.

Dziwni to byli żołnierze, z którymi rotmistrzowie niełatwo do sprawy przyjść mogli. Stawał na przykład towarzysz z kopią na dziewiętnaście stóp długi i w pancerzu na piersiach, ale w słomianym kapeluszu „dla chłodu” na głowie; inny w czasie musztry na gorąco narzekał, inny ziewał, jadł lub pił, inny pachołka wołał, a wszyscy w szeregu nie pocztywali za rzecz zdrożną gawędzić tak głośno, że rozkazów oficerów nikt dosłyszeć nie mógł. I trudno było dyscyplinę wprowadzać, bo się o nią bracia urażała, mocno, jako godności obywatelskiej przeciwną. Ogłaszano wprawdzie „artykuły”, ale ich słuchać nie chciano.

Kulą żelazną u nóg tego wojska był nieprzeliczony zastęp wozów, koni zapaśnych i pociągowych, była przeznaczona na spyżę, a zwłaszcza sług pilnujących namiotów, sprzętów, jagieł, krup i bigosów, a wszczynających z lada powodu kłótnie i zamieszanie.

Przeciw takiemu to wojsku zbliżał się od strony Szczecina i nadodrzańskich łągów Arwid Wittenberg, stary wódz, któremu młodość na wojnie trzydziestoletniej zbiegła, prowadząc siedmnaście tysięcy weteranów, w żelazną dyscyplinę ujętych.

Z jednej strony stał bezładny obóz polski, do zbiegowiska jarmarcznego podobny, hałaśliwy, pełen dysput, rozpraw nad rozporządzeniami wodzów i niezadowolenia, złożony z poczciwych wieśniaków na oczekaniu w piechotę zmienionych i z jegomościów prosto od strzyży owiec odebranych; z drugiej, maszerowały groźne, milczące czworoboki, na jedno skinienie wodzów rozciągające się z regularnością m...-chin w linie i półkola; zwierające się w kliny i trójkąty tak sprawne jak miecz w ręku szermierza; najeżone rurami muszkietów i włóczni, prawdziwi ludzie wojny, zimni, spokojni, istni rzemieślnicy, którzy do mistrzostwa doszli w rzemiośle. Któż z ludzi doświadczonych mógł wątpić, jaki będzie rezultat spotkania i na czyją stronę musi paść zwycięstwo?

Jednakże szlachty ściągało się coraz więcej a przedtem jeszcze poczęli się zjeżdżać dygnitarze wielkopolscy i innych prowincji, z pocztami przybocznych wojsk i sług. Wkrótce po panu Grudzińskim zjechał do Piły potężny wojewoda poznański, pan Krzysztof Opaliński. Trzystu hajduków przybranych w żółte z czerwonym barwy i uzbrojonych w muszkiety szło przed wojewodzińską kareta; tłum dworzan, szlachty otaczał jego dostojną osobę; za nimi w szyku bojowym ciągnął oddział rajtarów w takiej barwy jak i hajducki przybranych; a sam wojewoda jechał w karecie mając

przy sobie błazna, Stacha Ostrożkę, którego obowiązkiem było posepnego pana przez drogę rozweselać.

Wjazd tak znamienitego dygnitarza dodał wszystkim serca i otuchy; tym bowiem, którzy spoglądali na monarszy niemal majestat wojewody, na tę twarz wspaniałą, w której spod wysokiego jak sklepienie czoła świeciły oczy rozumne i surowe, na senatorską powagę całej postawy, zaledwie w głowie mogło się pomieścić, by jakiś niefortunny los mógł przypaść w udziale takiej potędze.

Ludziom przywykłym do czci dla urzędu i osoby wydawało się, że i sami Szwedzi nie będą chyba śmieli wznieść świętokradzkiej ręki na takiego magnata. Owszem, ci, którym trwożliwsze serce biło w piersiach, uczyli się zaraz bezpieczniejsi pod jego skrzydłami. Witano więc go radośnie i gorąco; okrzyki brzmiały wzdłuż ulicy, którą orszak posuwał się z wolna ku domowi burmistrza, a głowy chyliły się przed wojewodą, widnym jak na dłoni przez szyby pozłocistej karety. Na owe ukłony odpowiadał wraz z wojewodą Ostrożka, z taką godnością i powagą, jakby wyłącznie jemu były składane.

Zaledwie kurz opadł po przejeździe wojewody poznańskiego, gdy gońcy nadbiegli z oznajmieniem, że jedzie stryjeczny jego brat, wojewoda podlaski Piotr Opaliński ze swym szwagrem, panem Jakubem Rozdrażewskim, wojewodą inowrocławskim. Ci przywiedli każdy po sto pięćdziesiąt ludzi zbrojnych prócz dworzan i sług. Potem nie mijał dzień, by ktoś z dygnitarzy nie zjechał: jako pan Sędziwój Czarnkowski, szwagier Krzysztofa, a sam kasztelan poznański, za czym Stanisław Pogorzelski, kasztelan kaliski; Maksymilian Miaskowski, kasztelan krzywiński, i Paweł Gębicki, pan międzyrzecki. Miasteczko napełniło się tak dalece ludźmi, że domów zbrakło na pomieszczenie samych tylko dworzan. Przyległe łąki upstrzyły się namiotami pospolitego ruszenia. Rzekłbyś, że wszystkie ptactwo różnobarwne zleciało się do Piły z całej Rzeczypospolitej.

Migotały barwy czerwone, zielone, niebieskie, błękitne, białe na katankach, żupanach, kubrakach i kontuszach, bo pominąwszy pospolite ruszenie, w którym co szlachcic, to inny strój nosił – pominąwszy służbę pańską – i piechota każdego powiatu w inne przybraną była kolory.

Nadjechali i bazarnicy, którzy nie mogąc się w rynku pomieścić wybudowali rząd szop wedle miasteczka. Sprzedawano w nich przybory wojskowe o;1 szat do broni i jadła. Połowe garkuchnie dymiły przez dzień i noc roznosząc w dymach zapach bigosów, jagieł, pieczeni – w innych sprzedawano trunki. Przed szopami rojła się szlachta, zbrojna nie tylko w miecze, ale i w łyżki, jedząc, popijając i rozprawiając to o nieprzyjacielu, którego jeszcze nie było widać, to o nadjeżdżających dygnitarzach, którym nie żałowano przymówek.

Między grupami szlachty chodził Ostrożka przybrany w odzież zeszytą z pstrych gałganków, z berłem zdobnym dzwonekami i miną z głupia frant. Gdzie się pokazał, otaczano go wnet kołem, on zaś podlewał oliwy do ognia, pomagał obmawiać dygnitarzy i zadawał zagadki, nad którymi szlachta tym bardziej brała się za boki, im bardziej były zjadliwe.

Nie szczędzono w nich nikogo.

Pewnego popołudnia nadszedł przed bazy sam wojewoda poznański i wmieszał się między szlachtę rozmawiając łaskawie z tym, z owym lub ze wszystkimi i skarżąc się trochę na króla, że wobec zbliżającego się nieprzyjaciela nie przysłał ani jednej chorągwi kwarcianej.

– Nie myślą o nas, mości panowie – mówił i bez pomocy nas zostawiają. Powiadają w Warszawie, że na Ukrainie i tak wojska za mało i że hetmani nie mogą sobie dać rady z Chmielnickim. Ha, trudno! Milsza widać Ukraina jak Wielkopolska... W niełasce jesteśmy, mości panowie, w niełasce! Jako na jatki nas tu wydali.

– A kto winien? – pytał pan Szlichtyng, sędzia wschowski.

– Kto wszystkim nieszczęściom Rzeczypospolitej winien? – odparł wojewoda – jużci nie my, bracia szlachta, którzy ją piersiami naszymi zasłaniamy.

Słuchającej go szlachcie pochlebiło to wielce, że „hrabia na Bninie i Opalenicy” sam się na równi z nią stawia i do braterstwa się przyznaje, więc zaraz pan Koszucki odpowiedział:

– Jaśnie wielmożny wojewodo! Gdyby tam więcej takich konsyliarzów było przy majestacie, jak wasza miłość, pewnie by tu nas na rzeź nie wydano... Aleć tam podobno ci rządzą, co się niżej kłaniają.

– Dziękuję, panie bracie, za dobre słowo!... Wina tego, kto złych doradców słucha. Wolności to tam nasze solą w oku stoją. Im więcej szlachty wyginie, tym absolutum dominium będzie do przeprowadzenia łatwiejsze.

– Zali po to mamy ginąć, aby dzieci nasze w niewoli jęczały?

Wojewoda nic nie odrzekł, a szlachta poczęła spoglądać po sobie i zdumiewać się.

– Więc to tak? – wołały liczne głosy. – Więc po to nas tu pod nóż wysłano? A wiernym! Nie od dziś to o *absolutum dominium* mówią!... Ale skoro na to idzie, to i my potrafimy o naszych głowach pomyśleć!

– I o naszych dzieciach!

– I o naszych fortunach, które nieprzyjaciel *igne et ferro* będzie pustoszył.

Wojewoda milczał.

W dziwny sposób ten wódz dodawał ducha swym żołnierzom.

– Król to wszystkiemu winien! – wołano coraz liczniej.

– A pamiętacie waćpanowie dzieje Jana Olbrachta? – spytał wojewoda.

– „Za króla Olbrachta wyginęła szlachta!” Zdrada, panowie bracia!

– Król, król zdrajca! – zakrzyknął jakiś śmiały głos.

Wojewoda milczał.

Wtem Ostrożka, stojący przy boku wojewody, uderzył się kilkakroć rękoma po udach i zapał jak kogut tak przeraźliwie, że wszystkie oczy zwróciły się na niego.

Następnie zakrzyknął:

– Mości panowie! bracia, serdeńka! posłuchajcie mojej zagadki!

Z prawdziwą zmiennością marcowej pogody oburzenie pospolitaków zmieniło się w jednej chwili w ciekawość i chęć usłyszenia jakiegoś nowego dowcipu błazna.

– Słuchamy! słuchamy! – ozwało się kilkanaście głosów.

Błazen począł mrugać oczyma jak małpa i recytować piskliwym głosem:

Po bracie się pocieszył koroną i żoną,  
Lecz pozwolił, by sławę z bratem pogrzebiono;  
Podkanclerza wypędził – i z tego dziś słynie,  
Że sam jest podkanclerzem... przy podkanclerzynie.

– Król! król! jako żywo! Jan Kazimierz! – poczęto wołać ze wszystkich stron.

I śmiech ogromny jak grzmot rozległ się w zgromadzeniu.

– Niech go kule biją, jak to misternie ułożył! – wołała szlachta.

Wojewoda śmiał się z innymi; następnie, gdy uciszyło się nieco, rzekł poważniej:

– I za tę to sprawę my musimy teraz krwią i głowami nakładać... Ot, do czego doszło!... Ale masz; błaznie, dukata za dobrą zagadkę.

– Krzysztofku! Krzychu najmilszy! – odrzekł Ostrożka – czemu to na innych napadasz, że trefnisiów trzymają, kiedy sam nie tylko mnie trzymasz. ale osobno za zagadki dopłacasz?... Dajże mnie jeszcze dukata, to ci powiem drugą zagadkę.

– Taką samą dobrą?

– Jeno dłuższą.. Daj naprzód dukata.

– Masz!

Błazen znów wstrząsnął rękoma jak kogut skrzy dłami, znów zapał i zakrzyknął:

– Mości panowie, słuchajcie! Kto to taki?

Na prywatę narzekał, udawał Katona,  
Od szabli wolał pióro z gęsiego agona;  
Po zdrajcy chciał spuścizny, a gdy jej nie dostał,  
Wnet *totam Rempublicam* astrym rytmem schłostał.  
Bodajby szablę kochał, mniej byłaby biedy,  
Bo się satyr na pewno nie ulęką Szwedy.  
On zaś, ledwie wojennych skosztował kłopotów,  
Już za zdrajcy przykładem króla zdradzić gotów.

Wszyscy obecni odgadli tak dobrze tę zagadkę, jak i poprzednią. Dwa czy trzy zduszone w tejże chwili śmiechy ozwały się w zgromadzeniu, po czym zapadła cisza głęboka.

Wojewoda stał się czerwony i tym bardziej się zmieszał, że wszystkie oczy były w niego utkwione, a błazen spoglądał to na jednego szlachcica, to na drugiego, wreszcie ozwał się:

– Niktże z waszmościów nie odgaduje, kto to taki? A gdy milczenie było jedyną odpowiedzią, wówczas Ostrożka zwrócił się z najbardziej niebezpieczną miną do wojewody:

– A ty, Krzychu, zali także nie wiesz, o jakim to hultaju była mowa?... Nie wiesz? to płąć dukata!

– Masz! – odrzekł wojewoda.

– Bóg ci zapłać!... Powiedz no mi, Krzychu: nie starałeś się ty przypadkiem o podkanclerstwo po Radziejowskim?

– Nie pora na krotofile! – odparł Krzysztof Opaliński.

I skłoniwszy się czapką wszystkim obecnym:

– Czołem waszmościom!... Pora mi na radę wojenną.

– Na radę familijną, chciałeś, Krzychu, powiedzieć – dodał Ostrożka – bo tam wszyscy krewni radzić będziecie, jak by dać drapaka.

Po czym zwrócił się do szlachty i naśladując wojewodę w ukłonie, dodał:

– A waćpanom w to graj!

I oddalili się obaj; ale ledwie uszli kilkanaście kroków, jeden ogromny wybuch śmiechu obił się o uszy wojewody i brzmiał jeszcze długo, zanim utonął w ogólnym gwarze obozu.

Rada wojenna istotnie miała miejsce i wojewoda poznański na niej prezydował. Była to szczególna rada! Brali w niej udział sami tacy dygnitarze, którzy się na wojnie nie znali. Bo magnaci wielkopolscy nie szli i nie mogli iść za przykładem owych „królewiat” litewskich lub ukraińskich żyjących w ustawicznym ogniu jak salamandry.

Tam co wojewoda lub kasztelan to był wódz, któremu pancerz wygniatał na ciele nigdy nie schodzące czerwone pręgi, któremu młodość zbiegała na stepach lub w lasach od wschodniej strony, wśród zasadzek, walk, gonitew, w obozach lub taborach. Tu byli to dygnitarze pilnujący urzędów, a choć w chwilach potrzeby chodzili i oni na pospolite ruszenie, jednakże nigdy nie zajmowali naczelnych w czasie wojen stanowisk. Głęboki spokój uśpił wojowniczego ducha i potomków tych rycerzy, którym niegdyś żelazne hufce krzyżackie nie mogły dotrzymać pola, zmienił w statystów, uczonych i literatów. Dopiero twarda szkoła szwedzka nauczyła ich, czego zapomnieli.

Ale tymczasem zgromadzeni na radę dygnitarze spoglądali na się niepewnymi oczyma i każdy bał się pierwszy odezwać, czekając, co powie „Agamemnon”, wojewoda poznański.

„Agamemnon” zaś sam nie znał się po prostu na niczym i mowę swoją rozpoczął znów od narzekań na niewdzięczność i ospałość królewską, na lekkie serce, z jakim całą Wielkopolskę i ich pod miecz wydano. Ale za to jakże był wymowny; jakże wspaniałą czynił postać, prawdziwie rzymskiego senatora godną: głowę przy mówieniu trzymał wzniesioną, czarne jego oczy ciskały błyskawice, usta pioruny, a siwiejąca broda trzęsła się z uniesienia, gdy przysze kłęski ojczyzny malował.

– W czymże bowiem ojczyzna cierpi? – mówił jeżeli nie w synach swoich... a my tu najpierw ucierpimy. Po naszych to ziemiach, po naszych prywatnych fortunach, zasługami i krwią przodków

zdobytch, przejdzie naprzód noga tych nieprzyjaciół, którzy jako burza zbliżają się ku nam od morza. I za co my cierpimy? Za co zajmą nasze trzody, wydepczą zboża, popalą wsie pracą naszą zbudowane? Czy myśmy krzywdzili Radziejowskiego, który, niesłusznie osądzony i jako zbrodniarz ścigany, obcej protekcji szukać musiał? Nie!... Czy my nastajemy, aby ten próżny tytuł króla szwedzkiego, który już tyle krwi kosztował, był w podpisie naszego Jana Kazimierza zachowany? Nie!... Dwie wojny palą się na dwóch granicach – trzebaż było wywołać i trzecią?... Kto winien, niech go Róg, niech go ojczyzna sądzi!... My umyjmy ręce, bośmy niewinni tej krwi, która będzie przelaną...

I tak dalej piorunował wojewoda; ale gdy przyszło do właściwej materii, nie umiał rady pożądaną udzielić.

Posłano tedy po rotmistrzów łanową piechotę dowodzących, a szczególnie po pana Władysława Skoraszewskiego, którego był nie tylko rycerz sławny i niezrównany, ale stary praktyk wojenny znający wojnę jak pacierz. Rad jego istotni nawet wodzowie nieraz słuchali; tym więc skwapliwiej pożądanego udzielił.

Pan Skoraszewski radził tedy założyć trzy obozy: pod Piłą, Wieleniem i Ujściem, tak blisko, aby w razie napadu mogły sobie wzajem przychodzić z pomocą; a oprócz tego całą nadrzeczną przestrzeń, łukiem obozów objętą, obsypać szańcami, które by nad przepławami panowały.

– Gdy się już okaże – mówił pan Skoraszewski w którym miejscu nieprzyjaciół będzie przeprawy tentował, tedy się tam ze wszystkich trzech obozów w kupę zbierzemy, aby mu dać wstręt należyty. Ja jaś, za zezwoleniem jaśnie wielmożnych mości panów, pójdę z małym pocztem do Czaplina. Stracona to pozycja i w czas się z niej cofnę, ale tam najpierw dowiem się o nieprzyjaciół i jaśnie wielmożnym panom dam znać o nim.

Wszyscy zgodzili się na ową radę i poczęto nieco żwawiej krzątać się w obozie. Szlachty zjechało się wreszcie do piętnastu tysięcy. Łanowi sypali szańce na przestrzeni sześciu mil.

Ujście, główną pozycję, zajął ze swymi ludźmi pan wojewoda poznański. Część rycerstwa została w Wieleniu, część w Pile, a pan Władysław Skoraszewski odjechał do Czaplina, by stamtąd dawać baczenie na nieprzyjaciół.

Rozpoczął się lipiec; dni były ciągle pogodne i gorące. Słońce dopiekało na równinach tak mocno, iż szlachta chroniła się po lasach, między drzewami, pod których cieniem niektórzy kazali rozbijać swe namioty. Tam też wyprawiano uczty gwarne i hałaśliwe, a jeszcze więcej hałasu czyniła służba, zwłaszcza przy pławieniu i pojeniu koni, których po kilka tysięcy naraz pędzono trzy razy dziennie do Noteci i Głdy, kłócąc się i bijąc o najlepszy przystęp do brzegu.

Duch jednak, pomimo iż sam wojewoda poznański działał raczej w ten sposób, aby go osłabić, był z początku dobry.

Gdyby Wittenberg był nadszedł w pierwszych dniach lipca, byłby prawdopodobnie napotkał mocny opór, który w miarę rozgrzewania się ludzi w boju mógłby się zmienić w niezwalczoną zaciekłość, jak tego często bywały przykłady. Bo przecie w żyłach tych ludzi, jakkolwiek odwykłych od wojny, płynęła krew rycerska.

Kto wie, czy drugi Jeremi Wiśniowiecki nie zmieniłby Ujścia w drugi Zbaraż i nie zapisał w tych okopach nowej świetnej karty rycerskiej. Ale właśnie wojewoda poznański, na nieszczęście, mógł tylko pisać, nie walczyć.

Wittenberg, człowiek nie tylko wojnę znający, ale i ludzi, może umyślnie się nie spieszył. Doświadczenie długoletnie uczyło go, iż nowo zaciężny żołnierz najniebezpieczniejszy jest w pierwszej chwili zapału i że częstokroć nie męstwa mu brak, ale żołnierskiej cierpliwości, którą tylko praktyka wyrabia. Potrafi on nieraz uderzyć jak nawałnica na najstarsze pułki i przejść po ich trupach. Jest to żelazo, które póki czerwone, drga, żyje, sypie iskry, pali, niszczy, a gdy wystygnie, jest tylko martwą bryłą.

Jakoż gdy ubiegł tydzień i drugi, a zaczynał się trzeci, długa beczynność poczęła ciężać pospolitemu ruszeniu. Upały były coraz większe. Szlachta nie chciała wychodzić na musztry tłumacząc

się tym, że „konie, cięte przez bąki, nie chcą ustać na miejscu, a jako że w błotnistej okolicy od komarów wytrzymać nie można...”

Czeladź wszczyniała coraz większe kłótnie o miejsca cieniste, o które i między panami przychodziło do szabel. Jaki taki, skręciwszy wieczorem do wody, wyjeżdżał chyłkiem z obozu, aby nie wrócić więcej.

Nie brakło i z góry złego przykładu. Pan Skoraszewski dał właśnie znać z Czaplinka, że Szwedzi już niedaleko, gdy na radzie wojennej uwolniono do domu pana Zygmunta z Grudnej Grudzińskiego, starościca średzkiego, o co stryj Andrzej, pan wojewoda kaliski, wielce nastawał.

– Jeśli ja mam tu głowę złożyć i gardło dać mówić – niechże synowiec po mnie pamięć i sławę odziedziczy, by zasługa moja nie przepadła.

Tu począł roztkliwiać się nad młodym wiekiem i niewinnością synowca oraz wynosić jego hojność, z jaką sto piechoty bardzo porządnej dla Rzeczypospolitej na ten termin wystawił. I rada wojenna zgodziła się na prośby stryja.

Z rana 16 lipca wyjeżdżał pan starościc w kilkanaście sług otwarcie z obozu do domu, w wigilię niemal oblężenia i bitwy. Tłumy szlachty przeprowadzały go wśród szyderskich okrzyków aż za obóz, a tłumom tym przywodził Ostrożka, który krzyczał z daleka za odjeżdżającym:

– Mości panie starościcu, daję ci do herbu i nazwiska przydomek: Deest!

– *Vivat* Deest-Grudziński! – krzyczała szlachta. – A nie płacz za stryjcem! – wołał dalej Ostrożka – równy on ma z tobą kontempt dla Szwedów i niech się jeno pokażą, pewnie się plecami do nich obróci!

Młodemu magnatowi krew biła do twarzy, ale udawał, że obelg nie słyszy, jeno konia bódł ostrogami i tłumy rozpierał, by jak najprędzej znaleźć się poza obozem i swymi prześladowcami, którzy w końcu, bez uwagi na ród i godność odjeżdżającego, poczęli rzucać grudkami ziemi i krzyczeć:

– Masz grudkę, Grudziński! A ho! a huzia! hoc! hoc! szarak! kot!

Uczył się taki tumult, że aż wojewoda poznański nadbiegł z kilku rotmistrzami uspokajać i tłumaczyć, że starościc tylko na tydzień, dla bardzo pilnych spraw, wziął permisję.

Jednakże zły przykład podziałał – i tego samego dnia znalazło się kilkuset szlachty, którzy nie chcieli być gorszymi od pana starościca, lubo wymykali się i mniejszą asystencją i ciszej. Pan Stanisław Skrzetuski, rotmistrz kaliski, a stryjeczny słynnego zbarażczyka Jana, włosy rwał na głowie, bo i jego łanowcy, idąc za przykładem „towarzystwa”, poczęli „wyciekać” z obozu. Złożono znów radę wojenną, w której tłumy szlacheckie koniecznie chciały wziąć udział. Nastąpiła noc burzliwa, pełna krzyków, swarów. Podejrzywano się wzajemnie o zamiar ucieczki. Okrzyki: „Albo wszyscy, albo nikt” – przelatywały z ust do ust.

Co chwila zrywały się wieści, że wojewodowie uchodzą – i powstawał taki rozruch, że wojewodowie musieli się ukazywać po kilkakroć wzburzonym tłumom. Kilkanaście tysięcy ludzi stało do świtania na koniach, wojewoda poznański zaś jeździł między nimi z odkrytą głową, podobien do senatora rzymskiego, i powtarzał co chwila wielkie słowa:

– Mości panowie! z wami żyć i umierać°. Przyjmowano go w niektórych miejscach wiwatami, w innych brzmiały szyderskie okrzyki. On zaś ledwie uciszył tłumy, wracał na radę spracowany, zachrypły, upojony wielkością własnych słów i przekonany, że tej nocy niepożyte ojczyźnie oddał usługi.

Ale na radzie mniejsze miał słowa na ustach, bo się za brodę i za chochoł targał z rozpaczony powtarzając: – Radźcie waszmościowie, jeśli umiecie... Ja umygam ręce od tego, co się stanie, bo z takim żołnierzem niepodobna się bronić.

– Jaśnie wielmożny wojewodo! – odpowiadał pan Stanisław Skrzetuski. – Sam nieprzyjaciół powściągnie tę swawolę i te rozruchy. Niech jeno armaty zagrają, niech przyjdzie do obrony, oblężenia, ta sama szlachta w sprawie własnego gardła musi u wałów służyć, nie w obozie się warcholnić. Tak już nieraz bywało!

– Z czym się bronić? Armat nie mamy, jeno na– sze wiwatówki, dobre do pukania w czasie uczt.

– Pod Zbarażem Chmielnicki miał siedmdziesiąt dział, a księżę Jeremi jeno kilkanaście oktav i granatników.

– Ale miał wojsko, nie pospolitaków; swoje chorągwie, w świecie sławne, nie ichmościów od strzyży owiec. Z takach to on ichmościów żołnierzy uczynił.

– Posłać po pana Władysława Skoraszewskiego – rzekł pan Sędziwój Czarnkowski, kasztelan poznański. – Uczynić go obożnym. On ma mir u szlachty i m ryzie utrzymać ją potrafi.

– Posłać po Skoraszewskiego! Po co on ma w Drahimiu czy w Czaplunku siedzieć! – powtórzył pan Jęgrzej Grudziński, wojewoda kaliski.

– Tak jest! to najlepsza rada! – zawołały inne głosy. I wysłano gońca po pana Władysława Skoraszewskiego – innych postanowień na radzie nie powzięto, natomiast mówiono i narzekano wiele na króla, królowę, na brak wojska i opuszczenie.

Ranek następny nie przyniósł ni pociechy, ni uspo– , kojenia. Owszem, bezład stał się jeszcze większy. ?toś puścił nagle wieść, że różnowiercy, mianowicie kalwini, sprzyjają Szwedom i gotowi są przy pierwszej sposobności przejść do nieprzyjaciół. Co więcej, ? wieści tej nie zaprzeczyli ani pan Szlichtyng, ani panowie Kurnatowscy, Edmund i Jacek, również kalwini, ale ludzie szczerze ojczyźnie oddani. Sami owszem potwierdzili, że różnowiercy tworzą osobne koio i zmawiają się ze sobą pod wodzą znanego warchoła i okrutnika pana Reja, który za młodu służąc w Niemczech jako ochotnik po stronie luterskiej, wielkim był Szwedom przyjacielem. Zaledwie tedy te podejrzenia rozbiegły się między szlachtą, natychmiast kilkanaście tysięcy szabel zabłysło i prawdziwa burza rozpętała się w obozie.

– Zdrajców karmimy! źmije karmimy, gotowe łąsać łono rodzicielki! – wołała szlachta.

– Dawajcie ich sam!

– W pień ich!... Zdrada najzaraźliwsza, mości panowie!... Wyrwać kąkol, bo inaczej zginiemy wszyscy!

Wojewodowie i rotmistrze znów musieli uspokajać, ale przyszło im to jeszcze trudniej niż dnia poprzedniego. Sami zresztą byli przekonani, że pan Rej gotów najotwarciej zdradzić ojczyznę, bo to był człowiek zupełnie scudzoziemczony i prócz mowy nie miał w sobie nic polskiego. Uchwalono też wysłać go z obozu, co zaraz uspokoiło nieco wzburzonych. Jednakże długo jeszcze zrywały się okrzyki:

– Dawajcie ich sam! Zdrada! zdrada!

Dziwne usposobienie zapanowało w końcu w obozie. Jedni upadli na duchu i pograżyli się w smutku, Ci chodzili w milczeniu błędnymi krokami wzdłuż wałów, puszczając trwożliwy i posepny wzrok na równiny, którymi miał nadciągnąć nieprzyjaciel, lub udzielali sobie szepcąc coraz gorszych nowin.

Innych opanowała szalona, desperacka jakaś wesołość i gotowość na śmierć. Wskutek tej gotowości wyprawiano uczty i pijatyki, by wesoło ostatnich dni życia użyć. Niektórzy też myśleli o zbawieniu i czas spędzali na modlitwach. Nikt tylko w całym tym ludzkim tłumie nie myślał o zwycięstwie, jakby ono wcale było niepodobnym, a jednak nieprzyjaciel nie miał sił przewyższających: miał więcej dział i wojska lepiej ćwiczone, i wodza, który wojnę rozumiał.

A gdy tak z jednej strony obóz polski wrzał, huczał, ucztował, wzburzał się, uciszał jak morze wichrem smagane, gdy pospolite ruszenie sejmikowało niby w czasie elekcji króla – z drugiej strony, po roztoczystych, zielonych łągach nadodrzańskich, posuwały się spokojnie zastępy szwedzkie.

Szła więc naprzód brygada gwardii królewskiej; wiódł ją Benedykt Horn, groźny żołnierz, którego imię ze strachem w Niemczech powtarzano; lud doborny, rosły, ubrany w grzebieniaste hełmy z czółnami zachodzącymi na uszy, w żółte skórzane kaftany, zbrojny w rapiery i w muszkiety, zimny i uparty w boju, i na każde skinienie wodza gotowy.

Karol Schedding, Niemiec, wiódł następną brygadę westgotlandzką, złożoną z dwóch pułków piechoty i jednego ciężkiej rajtarii przybranej w pancerze bez naramienników; połowa piechurów miała muszkiety, druga włócznie; przy początku bitwy muszkietnicy stawali w czele, a w razie ataku jazdy cofali się za włóczników, którzy utkwivszy jeden koniec włóczni w ziemię, drugi nadsta-

wiali przeciw pędzącym koniom. Pod Trzcianą, za czasów Zygmunta III, jedna chorągiew husarii rozniosła na szablach i kopytach też samą westgotlandzką brygadę, w której obecnie służyli przeważnie Niemcy.

Dwie brygady smalandzkie wiódł Irwin zwany Bezrękim, bo był prawicę w swoim czasie, broniąc chorągwi, utracił – za to w lewej miał taką siłę, że jednym zamachem odcinał łeb konia; był to żołnierz ponury, kochający tylko wojnę i rozlew krwi, surowy i dla siebie, i dla żołnierzy. Gdy inni „kapitanowie” wyrobili się w ustawicznej wojnie na ludzi rzemiosła, wojnę dla wojny kochających, on pozostał zawsze tym samym fanatykiem i mordował ludzi śpiewając psalmy pobożne.

Brygada westmanlandzka szła pod Drakenborgiem, a helsingerska, złożona ze strzelców w świecie sławnych, pod Gustawem Oxenstierną, krewnym sławnego kanclerza, młodym żołnierzem wielkie rokującym nadzieje. Nad ostgotlandzką pułkownikował Fersen, a nerikską i wermlandzką sprawował sam Wittenberg, który zarazem był naczelnym wodzem całej armii.

Siedmdziesiąt dwa dział wytlaczało bruzdy po wilgotnych łągach, a wszystkich żołnierzy było 17 tysięcy, groźnych łupieżników całych Niemiec, a w boju tak sprawnych, że zwłaszcza z piechotą zaledwie królewskie francuskie gwardie mogły się porównać. Za pułkami ciągnęły wozy i namioty, a pułki szły w szyku, w każdej chwili do boju gotowe.

Las włóczył sterczał nad masą głów, hełmów i kapeluszy, a między tym lasem płynęły ku polskiej granicy wielkie chorągwie błękitne z białymi krzyżami w pośrodku.

Z każdym dniem zmniejszała się odległość dzieląca dwa wojska.

Na koniec, w dniu 21 lipca, w lesie pod wsią Heinrichsdorfem ujrzały zastępy szwedzkie po raz pierwszy słupek graniczny polski. Na ten widok całe wojsko uczyniło okrzyk ogromny, zagrzmiały trąby, kotły i bębny i rozwinęły się wszystkie chorągwie. Wittenberg wyjechał naprzód w asystencji świętego sztabu, a wszystkie pułki przechodziły przed nim prezentując broń, jazda z dobytymi rapierami, działa z zapalonymi lontami. Godzina była południowa, pogoda przepyszna. Powietrze leśne pachniało żywicą.

Szara, zalana promieniami słońca droga, którą przechodziły szwedzkie chorągwie, wybiegając z heinrichsdorfskiego lasu, gubiła się na widnokręgu. Gdy idące nią wojska przeszły wreszcie las, wzrok ich odkrył krainę wesołą, uśmiechniętą, połyskującą żółtawymi łanami zbóż wszelakich, miejscami usianą dąbrowami, miejscami zieloną od łąk. Tu i owdzie z kęp drzew, za dąbrowami, hen! daleko, podnosiły się dymy ku niebu; na potrawach widniały pasące się trzody. Tam gdzie na łąkach przeświecała woda rozlana szeroko, chodziły spokojnie bociany.

Jakaś cisza i słodycz rozlana była wszędzie po tej ziemi mlekiem i miodem płynącej. I zdawała się rozciągać coraz szerzej i otwierać ramiona przed wojskami, jakby nie najeźdźców witała, ale gości z Bogiem przybywających.

Na ten widok nowy okrzyk wyrwał się z piersi wszystkich żołdaków, mianowicie rodowitych Szwedów przywykłych do nagiej, biednej i dzikiej przyrody w kraju ojczystym. Serca łupieskiego a ubogiego ludu wezbrały pragnieniem zagarnięcia tych skarbów i dostatków, które wpadały im pod oczy. Zapał ogarnął szeregi.

Ale spodziewali się ci żołdacy zahartowani w ogniu trzydziestoletniej wojny, że nie przyjdzie im to łatwo, boć tę ziemię zbożną zamieszkiwał lud rojny a rycerski, który umiał jej bronić, Żyła jeszcze w Szwecji pamięć straszliwego pogromu pod Kircholmem, gdzie trzy tysiące jazdy pod Chodkiewiczem starło na proch ośmnaście tysięcy najbitniejszego szwedzkiego wojska. W chatach Westgotlandu, Smalandu do Dalekarlii opowiadano o tych rycerzach skrzydlatych jak o wielkoludach z sagi. Świeższa była jeszcze pamięć walk za Gustawa Adolfa, bo nie wymarli ludzie, którzy brali w nich udział. Wszakże ów orzeł skandynawski, zanim przeleciał całe Niemcy, po dwakroć połał szpony na zastępach Koniecpolskiego.

Więc z radością łączyła się w sercach szwedzkich i pewna obawa, której nie był próżen sam wódz naczelnny, Wittenberg. Patrzył on na przechodzące pułki piechoty i rajtarii takim okiem, jakim pasterz patrzy na swą trzodę; następnie zwrócił się do otyłego człowieka przybranego w kapelusz z piórem i jasną perukę spadającą na ramiona.



– Wasza miłość upewniasz mnie – rzekł – że z tymi siłami można złamać wojska stojące pod Ujściem?

Człowiek w jasnej peruce uśmiechnął się i rzekł: – Wasza miłość zupełnie może polegać na mych słowach, za które głową ręczyć gotowym. Gdyby pod Ujściem były wojska regularne i którykolwiek z hetmanów, tedybym pierwszy radził nie kwapić się i poczekać, aż jego królewska mość z całą armią nadciągnie; ale przeciw pospolitemu ruszeniu i tym panom wielkopolskim siły nasze aż nadto wystarczą.

– A nie przyśląże im jakowych posiłków?

– Posiłków nie przyślą z dwóch powodów: po pierwsze, dlatego że wojska wszystkie, których w ogóle jest niewiele, zajęte są na Litwie i na Ukrainie; po wtóre, że w Warszawie ani król Jan Kazimierz, ani panowie kanclerze, ani senat do tej pory nie chcą wierzyć, aby jego królewska mość Karol Gustaw, wbrew rozejmowi i mimo ostatnich poselstw, mimo gotowości do ustępstw, naprawdę rozpoczynał wojnę. Ufają, że pokój jeszcze w ostatnie j chwili będzie uczyniony... cha! cha!

Tu otyły człowiek zdjął kapelusz, otarł z potu czerwoną twarz i dodał:

– Trubecki i Dołgoruki na Litwie, Chmielnicki na Ukrainie, a my wchodzimy do Wielkopolski... Oto do czego doprowadziły rządy Jana Kazimierza!

Wittenberg spojrział na niego dziwnym wzrokiem i zapytał:

– A wasza miłość radujesz się tą myślą?

– A ja raduję się tą myślą, bo moje krzywdy i moja niewinność będą pomszczone; a oprócz tego widz już jak na dłoni, że szabla waszej miłości i moje rady włożą tę nową, najpiękniejszą w świecie koronę na głowę Karola Gustawa.

Wittenberg zapuścił wzrok w dal, objął nim lasy, dąbrowy, łągi i łani zbożne i po chwili rzekł:

– Tak jest! piękny to kraj i żyzny... Wasza miłość możesz też być pewien, że po wojnie jego królewska mość nikomu innemu wielkorządtwa tu nie powierzy.

Otyły człowiek zdjął znów kapelusz.

– I ja też nie chcę innego mieć pana – dodaj wznosząc oczy ku niebu.

Niebo było jasne i pogodne, żaden piorun nie spadł i nie skruszył na proch zdrajcy, który swój kraj, jęczący już pod dwoma wojnami i wyczerpany, wydawał na tej granicy w moc nieprzyjaciela.

Człowiek bowiem rozmawiający z Wittenbergiem był to Hieronim Radziejowski, były podkanclerzy koronny, obecnie Szwedom przeciw ojczyźnie zaprzędany.

Stali czas jakiś w milczeniu; tymczasem ostatnie dwie brygady, nerikska i wermlandzka, przeszły granicę, za nimi poczęły się wtaczać działa, trąby ciągle jeszcze grały, a huk kotłów i warczenie bębnow głośny kroki żołnierzy i napełniało las złowrogimi echemi. Wreszcie ruszył i sztab. Radziejowski jechał koło Wittenberga.

– Oxenstierny nie widać – rzekł Wittenberg boję się, czy go jaka przygoda nie spotkała. Nie wiem, jeżeli to dobra była rada posyłać go jako trębacza z listami pod Ujście.

– Dobra – odparł Radziejowski – bo obóz zlustroje, wodzów zobaczy i wyrozumie, co tam myśla, a tego by lada ciura nie uczynił.

– A jeżeli go poznają?

– Jeden pan Rej go tam zna, a on nasz. Zresztą, choćby go poznali, nie uczynią mu nic złego, jeszcze na drogę opatrzą i nagrodzą... Znam ja Polaków i wiem, że gotowi na wszystko, byle się przed obcymi jako polityczny naród pokazać. Cała usilność nasza w tym, aby nas obcy chwalili. O Oxenstiernę możesz być wasza miłość spokojny, bo włos mu z głowy nie spadnie. Nie widać go, bo i czas był na powrót za krótki.

– A jak wasza miłość sądzisz: sprawią nasze listy jaki skutek?

Radziejowski rozśmiał się.

– Jeśli pozwolisz mi wasza miłość być prorokiem, to przepowiem, co się stanie. Pan wojewoda poznański polityczny to człek i uczony, więc nam bardzo politycznie i bardzo grzecznie odpisze; ale że lubi za Rzymianina uchodzić, tedy jego odpowiedź okrutnie będzie rzymska; powie naprzód,

że woli ostatnią kroplę krwi wylać niż poddać się, że śmierć lepsza od niesławy, a miłość, jaką żywi dla ojczyzny, nakazuje mu paść na granicy.

Radziejowski począł się śmiać jeszcze głośniejsze, surowa twarz Wittenberga rozjaśniła się także.

– Wasza miłość nie sądzisz, aby on był gotów tak uczynić, jak pisze? – pytał.

– On? – odrzekł Radziejowski. – Prawda, że żywi miłość do ojczyzny, ale inkaustem, a że niezbyt to posilna potrawa, więc i jego miłość chudsza nawet od jego błazna, który mu pomaga rytmy układać. Jestem pewny, że po onej rzymskiej odmowie nastąpią życzenia zdrowia, pomyślności, polecenie się służbom, a na koniec prośba, byśmy dobra jego i krewnych oszczędzali, za co znów będzie żywił dla nas wdzięczność – wraz ze wszystkimi swymi krewnymi.

– A jakież będzie w ostatku skutek naszych listów? – Że zwątlą ducha do ostatka, że panowie senatorowie rozpoczną z nami układy i że całą Wielkopolskę, bodaj po kilku wystrzałach na wiatr, zajmiemy.

– Obyś wasza miłość był prawdziwym prorokiem...

– Pewien jestem, że tak będzie, bo znam tych ludzi, mam też przyjaciół i stronników w całym kraju i wiem, jak sobie poczynać... A że niczego nie omieszkam, ręczy za to krzywda, która mnie od Jana Kazimierza spotkała, i miłość dla Karola Gustawa. Czulsi u nas teraz ludzie na własne fortuny niż na całość Rzeczypospolitej. Wszystkie te ziemie, po których teraz iść będziem, to fortuny Opalińskich, Czarnkowskich, Grudzińskich, a że oni to właśnie stoją pod Ujściem, więc też i mięksi będą przy układach. Co do szlachty, byle jej wolność sejmikowania zaręczyć, pójdzie i ona śladem panów wojewodów.

– Wasza miłość niepożyte swoją znajomością kraju i ludzi oddajesz jego królewskiej mości usługi, które nie mogą być bez równie znamienitej nagrody. Z tego, co od waszej miłości słyszę, wnioskuję, że mogę tę ziemię jako naszą uważać.

– Możesz wasza miłość! możesz! możesz! – powtórzył skwapliwie po kilkakroć Radziejowski.

– A więc zajmuję ją w imieniu jego królewskiej mości Karola Gustawa – odparł poważnie Wittenberg.

Gdy tak szwedzkie wojska poczęły deptać za He „richsdorfexn ziemię wielkopolską, poprzednio jeszcze, bo w dniu 18 lipca, przybył do obozu polskiego trębacz szwedzki z listami do wojewodów od Radziejowskiego i Wittenberga.

Pan Władysław Skoraszewski sam poprowadził do wojewody poznańskiego, a szlachta z pospolitego ruszenia gapiła się ciekawie na „pierwszego Szweda”, podziwiając jego dzielną postawę, twarz męską żółty wąs, zaczesany w końcach do góry w szeroką szczotkę, i minę prawdziwie pańską. Tłumy przeprowadzały go do wojewody, znajomi zwoływali się nawzajem, pokazywano go palcami, śmiano się trochę z butów, zakończonych ogromną kolistą cholewą, i z długiego, prostego rapiera, który różnem przeżywa; „; wiszącego na pendencie, suto srebrem haftowanym Szwed zaś rzucał także ciekawie oczyma spod szerokiego kapelusza, jakby chciał obóz zlustrować i siły przeliczyć, to znów przypatrywał się tłumom szlachty, której wschodni ubiór widocznie był dla niego nowością.

Na koniec wprowadzono go do wojewody, u którego zgromadzeni byli wszyscy dygnitarze znajdujący się w obozie.

Wnet przeczytano listy i rozpoczęła się narada, trębacza zaś polecił pan wojewoda swym dworzanom, aby uczęstowano go po żołniersku; od dworzan odebrała go szlachta i podziwiając go ciągle jako osobliwość, poczęła z nim pić na umór.

Pan Skoraszewski przypatrywał mu się również pilnie, ale z tego powodu, iż podejrzewał, że to jakiś oficer za trębacza przebrany; poszedł nawet z tą myślą wieczorem do pana wojewody; ten jednakże odrzekł, iż to jest wszystko jedno, i aresztować go nie pozwolił.

– Choćby to był i sam Wittenberg – rzekł – jako poseł tu przybył i bezpiecznie odjechać powinien... Jeszcze mu każę dać dziesięć dukatów na drogę.

Trębacz tymczasem gawędził łamaną niemczyzną z tymi ze szlachty, którzy ten język przez stosunki z miastami pruskimi rozumieli, i opowiadał im o zwycięstwach przez Wittenberga w różnych

krajach odniesionych, o siłach, jakie ku Ujściu idą, a zwłaszcza o działach nie znanej dotąd doskonałości, którym nie masz sposobu się opierać. Stropiła się tym też szlachta niemało i różne przesadzane wieści poczęły wnet krążyć po obozie.

Tej nocy prawie nikt nie spał w całym Ujściu, bo najprzód, koło północy, nadeszli ci ludzie, którzy dotychczas w osobnych stali obozach pod Piłą i Wieleniem. Dygnitarze radzili nad odpowiedzią do białego dnia, a szlachcie czas schodził na opowiadaniach o potędze szwedzkiej.

Z pewną gorączkową ciekawością wypytywano trębacza o wodzów, wojsko, broń, sposób walczenia i podawano sobie z ust do ust każdą jego odpowiedź. Bliskość szwedzkich zastępów dodawała niezwykłego interesu wszelkim szczegółom; które nie były tego rodzaju, aby mogły dodać otuchy.

O świtaniu nadjechał pan Stanisław Skrzetuski z wieścią, że Szwedzi przyciągnęli już pod Wałcz, o jeden dzień marszu od polskiego obozu. Powstała natychmiast sroga krętanina; większość koni wraz ze służbą była na paszy na łąkach, więc posyłano po nie na gwałt. Powiaty siadały na koń i stawały chorągwiami. Chwila przed bitwą bywa dla niewyćwiczonego żołnierza najstraszniejszą; więc zanim rotmistrze zdołali wprowadzić jaki taki porządek, przez długi czas panowało przerażające zamieszanie.

Nie słychać było ni komendy, ni trąbek, tylko głosy wołające ze wszystkich stron: „Janie! Pietrze! Onufry! bywaj!... Żeby cię zabito! dawaj konie!... Gdzie moja służba!... Janie! Pietrze!” Gdyby w takiej chwili rozległ się jeden strzał działowy, zamieszanie łatwo by w popłoch zmieniło się mogło.

Z wolna jednak powiaty stawały w ordynku. Przyrodzone usposobienie szlachty do wojny zastąpiło poniekąd brak doświadczenia i około południa przedstawiał już obóz dość imponujący widok. Piechota stała przy wałach, podobna do kwiatów w swych różnobarwnych kabatach; dymy unosiły się z zapalonych lontów, a na zewnątrz wałów, pod zasłoną dział; łągi i równina zaroily się powiatowymi chorągwiami jazdy w szyku stojącej, na dzielnych koniach, których rzenie budziło echa w pobliskich lasach i napełniało serca zapalem wojennym.

Tymczasem wojewoda poznański wyprawił trębacza z odpowiedzią na listy, brzmiącą mniej więcej tak, jak przepowiadał Radziejowski, a zatem polityczną zarazem i rzymską; po czym postanowił wysłać podjazd na północny brzeg Noteci dla pochwycenia nieprzyjacielskiego języka.

Piotr Opaliński, wojewoda podlaski, stryjeczny wojewody poznańskiego, miał ruszyć własną osobą z podjazdem wraz ze swymi dragonami, których sto pięćdziesiąt pod Ujście przyprowadził, a oprócz tego polecono panom rotmistrzom, Skoraszewskiemu Władysławowi i Skrzetuskiemu, wezwać ochotnika ze szlachty do pospolitego ruszenia należącej, aby i ona zajrzała już przecie w oczy nieprzyjacielowi.

Jeździli tedy obaj przed szeregami czyniąc rozkosz oczom swym moderunkiem i postawą; pan Stanisław, czarny jak żuk na podobieństwo wszystkich Skrzetuskich, z twarzą męską, groźną i ozdobioną długą ukośną blizną od cięcia miecza pozostałą, z kruczą, rozwianą na wiatr brodą; pan Władysław, tłustawy, z długimi jasnymi wąsami, z odwiniętą wargą dolną i oczyma w czerwonych obwódkach, łagodny i pocziwy, mniej przypominał Marsa, ale niemniej była to szczerą duszą żołnierską, jak salamandra w ogniu się kochająca, rycerz znający wojnę jak swoje dziesięć palców i odwagi nieporównanej. Obaj przejeżdżając szeregi wyciągnięte w długą linię powtarzali co chwila:

– A nuże, mości panowie, kto na ochotnika pod Szweda? Kto rad prochu powąchać? Nuże, mości panowie, na ochotnika!

I tak przejechali już spory kawale – bez skutku, bo z szeregów nie wysuwał się nikt. Jeden oglądał się na drugiego. Byli tacy, którzy mieli ochotę, i nie strach przed Szwedami, ale nieśmiałość wobec swoich ich wstrzymywała. Niejeden trącał sąsiada łokciem i mówił: „Pójdiesz ty, to i ja pójdę.”

Rotmistrze poczynali się niecierpliwić, aż nagle, gdy przyjechali przed powiat gnieźnieński, jakiś człowiek pstro ubrany wyskoczył na kucu nie z szeregu, ale z za szeregu i krzyknął:

– Mości panowie pospolitaki, ja zostaję ochotnikiem, a wy błaznami!

- Ostrożka! Ostrożka! – zawołała szlachta.
- Taki dobry szlachcic jak i każdy! – odpowiedział błazen.
- Tfu! do stu diabłów! – zawołał pan Rosiński, podsedek – dość błazeństw! idę ja!
- I ja!... i ja! – zawołały liczne głosy.
- Raz mnie matka rodziła, raz mi śmierć!
- Znajdą się tacy dobrzy jak i ty!
- Każdemu wolno! Niech się tu nikt nad drugich nie wynosi.

I jak poprzednio nikt nie stawał, tak teraz poczęła się sypać szlachta ze wszystkich powiatów prześcigać końmi, zawadzać jedni o drugich i kłócić naprędce. Stało w mgnieniu oka z pięćset koni, a jeszcze ciągle wyjeżdżano z szeregów. Pan Skoraszewski począł się śmiać swoim szczerem, pocziwym śmiechem i wołać:

- Dosyć, mości panowie, dosyć! Nie możemy iść wszyscy!
- Po czym obaj ze Skrzetuskim sprawili ludzi i ruszyli naprzód.

Pan wojewoda podlaski połączył się z nimi przy wyjściu z obozu. Widziano ich jak na dłoni, przeprawiających się przez Noteć – po czym zamigotali jeszcze kilkakrotnie na skrętach drogi i znikli z oczu.

Po upływie pół godziny pan wojewoda poznański kazał rozjeżdżać ludziom do namiotów, uznał bowiem, że niepodobna ich trzymać w szeregach, gdy nieprzyjaciel jeszcze o dzień drogi odległy. Porozstawiano jednak liczne stráže; nie pozwolono wyganiać koni na paszę: wydano rozkaz, że za pierwszym cichym zatrąbieniem przez munsztuk wszyscy mają siadać na koń i stawać w gotowości.

Skończyło się oczekiwanie, niepewność, skończyły się zaraz swary, kłótnie; owszem: bliskość nieprzyjaciela, jak przepowiadał pan Skrzetuski, podniosła ducha. Pierwsza szczęśliwa bitwa mogła go nawet podnieść bardzo wysoko, i wieczorem zdarzył się wypadek, który zdawał się być nową szczęśliwą wróżbą.

Słońce właśnie zachodziło oświecając ogromnym, rażącym oczy blaskiem Noteć i zanotekie bory, gdy po drugiej stronie rzeki ujrzano naprzód tuman kurzu, a potem poruszających się w tumanie ludzi. Wyległo, co żyło, na wały, patrzeć, co to za goście; wtem od straży nadbiegł dragon z chorągwi pana Grudzińskiego dając znać, że podjazd wraca.

– Podjazd wraca!... wracają szczęśliwie!... Nie z jedli ich Szwedzi! – powtarzano z ust do ust w obozie.

Oni tymczasem w jasnych kłębach kurzu zbliżali się coraz bardziej, idąc wolno, następnie przebrali się przez Noteć.

Szlachta przypatrywała im się z rękoma nad oczami, bo blask czynił się coraz większy i całe powietrze przesycone było złotym i purpurowym światłem.

- Hej! coś ich kupa większa, niż wyjechała! rzekł pan Szlichtyng.

– Jeńców chyba prowadzą, jak mnie Bóg miły! – zakrzyknął jakiś szlachcic, widocznie tchórzem podszy ty, który oczom swoim wierzyć nie chciał.

- Jeńców prowadzą! jeńców prowadzą!...

Oni tymczasem zbliżyli się już tak, że twarze można było rozróżnić. Na przedzie jechał pan Skoraszewski kiwając swym zwyczajem głową i gawędząc wesoło ze Skrzetuskim, za nimi duży oddział konny otaczał kilkudziesięciu piechurów przybranych w koliste kapelusze. Byli to istotnie jeńcy szwedzcy.

Na ten widok nie wytrzymała szlachta i puściła się naprzeciw wśród okrzyków:

- *Vivat* Skoraszewski! *Vivat* Skrzetuski!

Gęste tłumy otoczyły wnet cały oddział. Jedni patrzyli na jeńców, drudzy wypytywali się: „Jak to było?” – inni wygrażali Szwedom.

– A hu! A co?! Dobrze wam tak, psiajuchy!... Z Polakami zachciało się wam wojować? Macie teraz Polaków!

- Dawajcie ich sam!... Na szable ich!... Bigosować!...

– Ha, szoldry! ha, pludraki! popróbowaliście polskich szabel?!  
– Mości panowie, nie krzyczcie jak wyrostki, bo jeńcy pomyślą, że wam wojna pierwszyczna! – rzekł I pan Skoraszewski. – Zwyczajna to rzecz, że się jeńców w czasie wojny bierze.

Ochotnicy, którzy należeli do podjazdu, spoglądali z dumą na szlachtę, która zarzucała ich pytaniami:

– Jakże to? Łatwo się wam dali? Czy musieliście się zapocić? Dobrze się biją?

– Dobrzy pacholkiwie – odparł pan Rosiński i bronili się znacznie, ale przecie nie z żelaza. Szabla się ich ima.

– Tak i nie mogli wam się oprzeć, co?

– Impetu nie mogli wytrzymać.

– Mości panowie, słyszycie, co mówią: impetu nie mogli wytrzymać!... A co?... Impet to grunt!...

– Pamiętajcie, byłe z impetem!.. Najlepszy to sposób na Szweda!

Gdyby tej szlachcie kazano w tej chwili skoczyć na nieprzyjaciela, niechybnie nie zabrakłoby jej impetu, ale tymczasem nieprzyjaciela nie było widać natomiast dobrze już w noc rozległ się głos trąbki przed forpocztami. Przybywał drugi trębacz z listem od Wittenberga wzywającym szlachtę do poddania się. Tłumy dowiedziawszy się o tym chciały posłańca rozsiekąć, ale wojewodowie wzięli list do deliberacji, choć treść jego była bezczelna.

Generał szwedzki oświadczał, że Karol Gustaw przysyła swe wojska krewnemu Janowi Kazimierzowi jako posiłki przeciw Kozakom, że zatem Wielkopolanie powinni się poddać bez oporu. Pan Grudziński czytając to pismo nie mógł wstrzymać oburzenia i pięścią w stół uderzył, ale wojewoda poznański wnet uspokoił go pytaniem:

– Wierzysz waszmość w zwycięstwo?... Ile dni mozem się bronić?... Chceszli wziąć odpowiedzialność za tyle krwi szlacheckiej, która jutro może być przelaną?...

Po dłuższej naradzie postanowiono nie odpowiadać i czekać, co się stanie. Nie czekano już długo. W sobotę, dnia 24 lipca, straż dały znać, że całe wojsko szwedzkie ukazało się naprzeciw Piły. W obozie zawrzało jak w ulu wilią wyroju.

Szlachta siadała na koń, wojewodowie przebiegali szeregi, wydając sprzeczne rozkazy, aż dopiero pan Władysław wziął wszystko w ręce i przyprowadziwszy do porządku wyjechał na czele kilkuset ochotników, by popróbować harców za rzeką i ludzi z widokiem nieprzyjaciół oswoić.

Szła z nim jazda dość ochotnie, bo harce składały się zwykle z szeregu walk prowadzonych niewielkimi kupami lub pojedynczo, a takich walk ćwiczona «= sztuce robienia szablą szlachta nie lękała się wcale. Wyszli więc za rzekę i stanęli w obliczu nieprzyjaciela, który zbliżał się coraz bardziej i czerniał długą linią na horyzoncie jakoby bór świeżo z ziemi wyrosły. Rozwijały się więc pułki konne, piesze, ogarniając coraz szerszą przestrzeń.

Szlachta spodziewała się, że lada chwila sypną się ku niej harcownicy, rajтары, ale tymczasem nie było ich widać. Natomiast na wzgórzach odległych o kilkaset kroków zatrzymały się niewielkie kupki, w któ

rych widać było ludzi i konie, i poczęty kręcić się na miejscu, co ujrawszy pan Skoraszewski zakomenderował bez zwłoki:

– Lewo – w tył!

Ale jeszcze nie przebrzmiał głos komendy, gdy na wzgórkach wykwitły długie białe smugi dymu i niby ptastwo jakieś przeleciało ze świstem między szlachtą, potem huk wstrząsnął powietrzem, a jednocześnie rozległy się krzyki i jęki kilku rannych.

– Stój! – krzyknął pan Władysław.

Ptastwo przeleciało po raz drugi i trzeci – i znów świstowi zawtórowały jęki. Szlachta nie usłuchała komendy naczelnika, owszem, ustępowała coraz szybciej, krzycząc i pomocy niebieskiej wzywając – następnie oddział rozproszył się w mgnieniu oka po równinie i ruszył skokiem ku obozowi. Pan Skoraszewski klął – nic nie pomogło.

Zegnawszy tak łatwo harcowników Wittenberg posuwał się dalej, aż wreszcie stanął naprzeciw Ujścia, wprost przed szańcami bronionymi przez szlachtę kaliską. Polskie armaty poczęły grać w tejże chwili, ale zrazu nie odpowiadano na owe salwy ze strony szwedzkiej. Dymy układały się spokojnie w jasnym powietrzu w długie pasma rozciągające się między wojskami, a przez luki między nimi widziała szlachta pułki szwedzkie, piechoty i jazdy, rozwijające się ze straszliwym spokojem, jak gdyby pewne zwycięstwa.

Na wzgórzach, zataczano armaty, podsypywano szańczyki, słowem, nieprzyjaciel szykował się nie zwracając najmniejszej uwagi na kule, które nie dolatując do niego obsypywały jeno piaskiem i ziemią pracujących przy szańczykach.

Wyprowadził jeszcze pan Stanisław Skrzetuski dwie chorągwie kaliszanów, chcąc śmiałym atakiem zmieszać Szwedów, ale nie poszli ochotnie; oddział rozciągnął się zaraz w bezładną kupę, bo gdy odważniejsi parli konie naprzód, tchórzliwsi wstrzymywali je umyślnie. Dwa pułki rajtarii wysłanej przez Wittenberga po krótkiej walce spędziły z pola szlachtę i gnały pod obóz.

Tymczasem zapadł mrok i zakończył bezkrwawą walkę.

Strzelano jednak z dział aż do nocy, po czym strzały umilkły, ale w obozie polskim podniosła się taka wrzawa, że słyhać ją było na drugim brzegu Noteci. Powstała ona naprzód z tego powodu, że kilkaset pospolitaków próbowało wymknąć się w ciemnościach z obozu. Inni, spostrzegłszy to, poczęli grozić i nie puszczać. Brano się do szabel. Słowa: „Albo wszyscy, albo nikt” – znowu przelatywały z ust do ust. Lecz z każdą chwilą stawało się prawdopodobniejszym, że ujdą wszyscy. Wybuchło wielkie niezadowolenie z wodzów: „Wysłano nas z gołymi brzuchami przeciw armatom!” – wołali pospolitacy.

Oburzano się również i na Wittenberga, że nie szanując zwyczajów wojennych, przeciw harcownikom nie harcowników wysyła, ale z armat ognia do nich niespodzianie każe dawać. „Każdy poczyna sobie, jak mu lepiej – mówiono – ale świńskiego to narodu obyczaj czołem do czoła nie stanąć.” Inni rozpaczali otwarcie. „Wykurzą nas stąd jak jaźwca z ja:ny” – mówili desperaci. „Obóz źle zatoczony, szańce źle usypane, miejsce do obrony niestosowne.” Od czasu do czasu odzywały się głosy: „Panowie bracia! ratujcie się!” A inne wołały: „Zdrada! zdrada!”

Była to noc straszna: zamieszanie i rozprzężenie wzrastało z każdą chwilą; rozkazów nikt nie słuchał. Wojewodowie potracili głowy i nie próbowali nawet przywrócić ładu. Niedoleństwo ich i niedoleństwo pospolitego ruszenia okazywało się jasno jak na dłoni. Wittenberg mógłby był tej nocy wzięść wstępnym bojem obóz z największą łatwością.

Nastał świt.

Dzień czynił się blady, chmurny i oświecił chaotyczne zbiorowisko ludzi upadłych na duchu, lamentujących, w znacznej części pijanych, gotowszych na hańbę niż na walkę. Na domiar złego Szwedzi przeprawili się nocą pod Dzieńbowem na drugą stronę Noteci i otoczyli obóz polski.

Z tej strony nie było prawie wcale szańców i nie było zza czego się bronić. Należało otoczyć się wałem bez straty chwili czasu. Skoraszewski i Skrzetuski zaklinali, by to uczyniono, ale nikt już nie chciał o niczym wiedzieć.

Wodzowie i szlachta mieli na ustach jedno słowo: „paktować!” Wysłano parlamentarzy. W odpowiedzi przybył z obozu szwedzkiego świetny orszak, na czele którego jechali: Radziejowski i generał Wirtz, obaj z zielonymi gałęziami w ręku.

Jechali ku domowi, w którym stał wojewoda poznański, ale po drodze zatrzymywał się Radziejowski wśród tłumów szlachty, kłaniał się gałęzią i kapeluszem, uśmiechał się, witał znajomych i mówił donośnym głosem:

– Mości panowie, bracia najmiłsi! Nie trwóście się! Nie jako wrogowie tu przybywamy. Od was samych zależy, by kropla krwi więcej nie była wytoczona.. Jeśli chcecie zamiast tyrana, który nastaje na wolności wasze, który o dominium absolutum zamysła, który ojczyznę do ostatniej zguby przywiódł, jeśli chcecie, powtarzam, pana dobrego, wspaniałego, wojownika tak niezmiernej sławy, że na samo imię jego pierzchną wszyscy nieprzyjaciele Rzeczypospolitej to oddajcie się w protekcję najjaśniejszemu Karolowi Gustawowi... Mości panowie, bracia najmiłsi! Oto wiozę ze

sobą poręczenie wszelkich swobód waszych, waszej wolności, religii. Od was samych ocalenie wasze zależy... Mości panowie! Najjaśniejszy król szwedzki podejmuje się przytłumić rebelię kozacką, zakończyć wojnę litewską, i on jeden to uczynić potrafi. Ulitujcie się nad ojczyzną nieszczęsną, jeśli nad sobą nie macie litości...

Tu głos zdrajcy zadrgał, jakoby łzami przyduszony. Słuchała szlachta w zdumieniu, gdzieniegdzie rzadkie głosy zakrzyknęły: „*Vivat Radziejowski, nasz podkanclerzy!*” – a on przejeżdżał dalej i znów się kłaniał nowym tłumom, i znów słyhać było jego tubalny głos: „Mości panowie, bracia najmilsi!” Na koniec obaj z Wirtzem i całym orszakiem znikli w domu wojewody poznańskiego.

Szlachta stłoczyła się przed domem tak ciasno, że po głowach można by było przejechać, bo czuła to i rozumiała, że tam, w tym domu, toczy się sprawa nie tylko o nią, ale o całą ojczyznę. Wyszli słudzy wojewodzińscy w szkarłatnych barwach i poczęli zapraszać poważniejszych „personatów” do środka. Ci weszli skwapliwie, za nimi wdarło się kilku mniejszych, a reszta stała pod drzwiami, tłoczyła się do okien, przykładła uszy nawet do ścian.

Milczenie panowało w tłumach głębokie. Stojący bliżej okien słyszeli od czasu do czasu gwar donośnych głosów wydobywających się z wnętrza izby, jakoby echa kłótni, dysput, sporów... Godzina upływała za godziną – końca tej naradzie nie było.

Nagle drzwi wchodowe otworzyły się z trzaskiem i wypadł z nich pan Władysław Skoraszewski. Obecni cofnęli się w przerażeniu.

Ten człowiek, zwykle tak spokojny i łagodny, o którym mówiono, że rany mogły się goić pod jego ręką, wyglądał teraz strasznie. Oczy miał czerwone, wzrok obłąkany, odzież rozchełstaną na piersiach; obu rękoma trzymał się za czuprynę i tak wpadłszy jak piorun między szlachtę krzyczał przeraźliwym: głosem:

– Zdrada! morderstwo! hańba! Jesteśmy Szwecją już, nie Polską! Matkę tam mordują w tym domu!

I począł ryczeć okropnym, spazmatycznym płaczem i rwać włosy jak człowiek, który rozum traci. Grobowe milczenie panowało dokoła. Straszne jakieś uczucie ogarnęło wszystkie serca.

Skoraszewski zaś zerwał się nagle, począł biegać między szlachtą i wołać głosem najwyższej rozpacz: – Do broni! do broni, kto w Boga wierzy! Do broni! do broni!

Wówczas jakieś szmery poczęły przelatywać po tłumach, jakieś szeptu chwilowe, nagłe, urwane, jak pierwsze uderzenia wiatru przed burzą. Wahały się serca, wahały umysły, a w tej rozterce powszechnej uczuć tragiczny głos wołał ciągle:

– Do broni! do broni!

Wkrótce zawtórowały mu dwa inne: pana Piotra Skoraszewskiego i pana Skrzetuskiego – za nimi nadbiegł i Kłodziński, dzielny rotmistrz powiatu poznańskiego.

Coraz większe koło szlachty poczęło ich otaczać. Czynił się naokoło szmer groźny, płomienie przebiegały twarze i strzelały z oczu, trzaskano szablami. Władysław Skoraszewski opanował pierwsze uniesienie i począł mówić ukazując na dom, w którym odbywała się narada:

– Słyszycie, mości panowie, oni tam ojczyznę zaprzędają jak judasze i hańbią! Wiedźcie, że już nie należym do Polski. Mało im było wydać w ręce nieprzyjaciela was wszystkich, obóz, wojsko, działa. Bogdaj ich zabito! – oni jeszcze podpisali w swoim i waszym imieniu, że wyrzekamy się związku z ojczyzną, wyrzekamy się pana, że cała kraina, grody warowne i my wszyscy będziemy po wieczne czasy do Szwecji należeć. Że się wojsko poddaje, to bywa; ale kto ma prawo ojczyzny i pana się wyrzekać?! Kto ma prawo prowincję odrywać, z obcymi się łączyć, do innego narodu przechodzić, krwi własnej się wyrzekać?! Mości panowie, to hańba, zdrada, morderstwo, parrycydium!... Ratujcie ojczyznę, panowie bracia! Na imię Boga! kto szlachcic, kto cnotliwy, ratunku dla matki! życie dajmy, krew wylejmy! Nie chcemy być Szwedami! nie chcemy, nie chcemy!... Bogdaj się nie rodził, kto krwi teraz poskapi!... Ratujmy matkę!

– Zdrada! – krzyknęło już kilkadziesiąt głosów. – Zdrada! rozsiekać!

– Do nas, kto cnotliwy! – krzyczał Skrzetuski.

– Na Szweda! na śmierć! – dodał Kłodziński.

I poszli dalej w obóz krzycząc: „Do nas! do kupy! zdrada!” – a za nimi ruszyło już kilkuset szlachty z gołymi szablami.

Ale większość niezmierna została na miejscu, a i z tych, co poszli, jaki taki spostrzegłszy, że ich niewiedze, poczynął się oglądać i przyzostawać.

A tymczasem drzwi radnego domu otworzyły sil znowu i ukazał się w nich pan wojewoda poznański, Krzysztof Opaliński, mając po prawej stronie generała Wirtza, po lewej Radziejowskiego. Za nimi szli: Andrzej Karol Grudziński, wojewoda kaliski, Maksymilian Miaskowski, kasztelan krzywiński, Paweł Gębicki, kasztelan międzyrzecki, i Andrzej Słupecki:

Krzysztof Opaliński trzymał w ręku zwój pergaminowy ze zwieszającymi się pieczęciami; głowę miał podniesioną, ale twarz bladą, a wzrok niepewny, choć widocznie silił się na wesołość. Ogarnął oczyma tłumy i wśród ciszy śmiertelnej począł mówić dobitnym, lubo nieco zachrypłym głosem:

– Mości panowie! W dniu dzisiejszym poddaliśmy się pod protekcję najjaśniejszego króla szwedzkiego, *Vivat Carolus Gustavus rex!*

Cisza odpowiedziała wojewodzie; nagle zabrzmiał jakiś pojedynczy głos:

– *Veto!*

Wojewoda powlókł oczyma w kierunku tego głosu i odrzekł:

– Nie sejmik tu, więc i veto nie na miejscu. A kto chce wetować, niechże idzie na armaty szwedzkie ku nam wymierzone, które w godzinę z całego obozu jedno rumowisko uczynić mogą.

Tu umilkł, a po chwili spytał:

– Kto mówił: *veto*?

Nikt się nie ozwał.

Wojewoda znów zabrał głos i mówił jeszcze dobitniej:

– Wszelkie wolności szlachty i duchowieństwa będą zachowane, podatki nie będą powiększone, a i wybierane będą w tenże sam sposób, jak poprzednio... Nikt nie będzie cierpiał krzywd ani grabieży; wojska jego królewskiej mości nie mają prawa do konsystencji w dobrach szlacheckich ani do innej egzakcji niż taka, z jakiej komputowe polskie chorągwie ko- rzystały...

Tu umilkł i słuchał chciwie szmeru szlacheckiego, jakby chciał wyrozumieć jego znaczenie, po czym skinął ręką:

– Prócz tego mam słowo i obietnicę generała Wittenberga, daną w imieniu jego królewskiej mości, iż jeśli cały kraj pójdzie za naszym zbawiennym przykładem, wojska szwedzkie wnet ruszą na Litwę i Ukrainę i nie wprzód ustaną wojować, aż wszystkie ziemie i wszystkie zamki będą Rzeczypospolitej powrócone: *Vivat Carolus Gustavus rex!*

– *Vivat Carolus Gustavus rex!* – zawołało kilkaset głosów.

– *Vivat Carolus Gustavus rex!* – brzmiało coraz donośniej w całym obozie.

Tu na oczach wszystkich wojewoda poznański zwrócił się do Radziejowskiego i uściskał go serdecznie, po czym uściskał Wirtza; po czym wszyscy poczęli się ściskać ze sobą. Szlachta poszła za przykładem dygnitarzy i radość stała się powszechną. Wiwatowano już tak, że aż echa rozbrzmiewały w całej okolicy. Ale wojewoda poznański poprosił jeszcze miłościwą brać o chwilę ciszy i rzekł serdecznym tonem:

– Mości panowie! Generał Wittenberg prosi nas dziś na ucztę do swego obozu, abyśmy przy kielichach sojusz braterski z mężnym narodem zawarli.

– *Vivat Wittenberg! vivat! vivat! vivat!*

– A potem, mości panowie – dodał wojewoda rozjedziem się do domów i przy bożej pomocy rozpoczniemy żniwa z tą myślą, żeśmy w dniu dzisiejszym ojczyznę ocalili.

– Potomne wieki oddadzą nam sprawiedliwość rzekł Radziejowski.

– Amen! – dokończył wojewoda poznański.

Wtem spostrzegł, że oczy mnóstwa szlachty patrzą i przypatrują się czemuś wyżej, ponad jego głowę.



Odwrócił się i ujrzał swego błazna, który wspinając się na palce i trzymając się jedną ręką za odrzwia pisał węglem na ścianie radnego domu, tuż nad drzwiami:

*„Mane-Tekel-Fares.”*

Na świecie niebo pokryło się chmurami i zbierało się na burzę.

## ROZDZIAŁ XI

We wsi Burzec, położonej w ziemi łukowskiej, na pograniczu województwa podlaskiego, a należącej podówczas do państwa Skrzetuskich, w sadzie między dworem a stawem siedział na ławie stary człowiek, a przy nogach jego bawiło się dwóch chłopaków: jeden pięcioletni, drugi czteroletni, czarnych i opalonych jak Cyganiątka, a rumianych i zdrowych. Stary człek również czerstwo jeszcze wyglądał jak tur. Wiek nie zgarbił szerokich jego ramion; z oczu, a raczej z oka, bo jedno miał bielmem przykryte, patrzyło mu zdrowie i dobry humor; brodę miał białą, ale minę gęstą i twarz czerwoną, zdobną na czole w szeroką bliznę, przez którą było widać kość czaszki.

Oba chłopaki chwyciwszy za uszy od cholewy jego buta ciągnęły je w przeciwne strony, a on patrzył na staw oświecony blaskami słonecznymi, w którym ryby rzucały się gęsto, łamiąc gładką powierzchnię toni.

– Ryby tańczą – mrucał sam do siebie. – Nie bójcie się, będziecie wy jeszcze lepiej tańcowały po spuszczeniu albo gdy was kucharka będzie nożem skrobała. Po czym zwrócił się do chłopaków:

– Odczepcie się, basalyki, od cholewy, bo jak który ucho urwie, to i ja mu urwę. Co za baki uprzykrzone! Idźcie kulki przewracać po trawie i dajcie mi spokój! Longinkowi się nie dziwię, bo młodszy, ale Jaremką powinien mieć już rozum. Wezmę którego utrapieńca i w staw wrzucę!

Ale stary widocznie okrutnie był zawojowany przez chłopaków, bo żaden z nich nie uląkł się groźby; natomiast starszy, Jaremką, począł go jeszcze silniej ciągnąć za cholewę, tupać nogami i powtarzać:

– Żeby dziadzio był Bohunem i porwał Longinka!

– Odczep się, ty żuku, mówię ci, ty smyku, ty gomółko!

– Żeby dziadzio był Bohunem!

– Dam ja ci Bohuna, poczkaaj, jeno matki zawołam! \_

Jaremką spojrział na drzwi wychodzące z domu na ogród, ale ujrzawszy, że zamknięte, i nie widząc nigdzie matki powtórzył po raz trzeci, wysuwając buzię naprzód:

– Żeby dziadzio był Bohunem!

– Zamęczą mnie te knoty, nie może inaczej być... Dobrze; będę Bohunem, ale raz jeden tylko. Skaranie boże! Pamiętaj, żebyś się więcej nie naprzykrzał.

To rzekłszy stary stęknął trochę, podniósł się z ławki, nagie porwał małego Longinka i wydając dzikie okrzyki począł go unosić w kierunku stawu.

Longinek jednak miał dzielnego obrońcę w osobie Jaremką, który w takich razach nie nazywał się Jaremką; ale panem Michałem Wołodyjowskim, rotmistrzem dragońskim.

Pan Michał tedy, zbrojny w patyk lipowy zastępujący w nagłym razie szablę, puścił się z impetem za otyłym Bohunem, dognał go wkrótce i począł siekać po nogach bez miłosierdzia.

Longinek, grający rolę mamy, wrzeszczał, Bohun wrzeszczał, Jaremką-Wołodyjowski wrzeszczał; ale męstwo. w końcu przemogło i Bohun, upuściwszy swą ofiarę, począł zmykać z powrotem pod lipę, na koniec dopadłszy ławki padł na nią sapiąc straszliwie i powtarzając:

– Ha, basalyki!... Cud będzie, jeśli się nie zatknę...

Lecz nie tu był jeszcze koniec jego męki, 'gdyż w chwilę później stanął przed nim Jaremką, zarumieniony, z rozwianą czupryną i rozdętymi nozdrzami, podobny do małego czupurnego jastrząbka, i jął powtarzać z większą jeszcze niż poprzednio energią:

– Żeby dziadzio był Bohunem!

Po wielu naleganiach i uroczystym przyrzeczeniu złożonym przez obydwóch chłopaków, że tym razem będzie to na pewno ostatni raz, historia powtórzyła się znowu z całą dokładnością; po czym już siedli we trzech na ławie i Jaremką począł nalegać:

– Dziadziu! powiedzieć, kto był najmężniejszy!

– Ty, ty! – odrzekł staruszek.

– I wyrosnę na rycerza?

– Pewnie, że wyrośniesz, bo dobra w tobie krew żołnierska. Daj ci Boże, żebyś był do ojca podobny, bo przy męstwie mniej byłbyś uprzykrzony... Rozumiesz?

– Powiedzieć: ilu tata zabił?

– Mało sto razy mówiłem! Prędeż byście liście na tej lipie policzyli niż tych wszystkich nieprzyjaciół, którycheśmy obaj z waszym ojcem zgładzili. Gdybym miał tyle włosów na głowie, ilum sam położył, balwierze w Łukowskim porobiliby fortuny -nic, tylko na podgalaniu mi czupryny. Szelmą jestem, jeśli żel...

Tu pan Zagłoba – on to był bowiem – spostrzegł, iż nie wypada mu ani zaklinać się, ani przeklinać wobec chłopaków, więc chociaż z braku innych słuchaczy lubił i dzieciom opowiadać o swych dawniejszych przewagach, zamilkł tym razem, zwłaszcza że ryby w stawie poczęły się rzucać z podwójną siłą.

– Trzeba będzie powiedzieć ogrodnickowi rzekł – aby więcierze na noc zastawił; siła zacnych ryb przy samym brzegu się tłucze.

Wtem drzwi domu wychodzące na ogród otworzyły się i ukazała się w nich kobieta, piękna jak południowe słońce, wysoka, tęga, czarnowłosa, z ciemnymi rumieńcami na twarzy i oczyma jak aksamit. Trzeci chłopak, trzylatek, czarny jak kulka agatu, trzymał się za jej suknię, a ona nakrywszy oczy ręką poczęła patrzeć w kierunku lipy.

Była to pani Helena Skrzetuska z domu kniaziów Bułhów-Kurcewiczów.

Ujrawszy pana Zagłobę z Jaremką i Longinkiem pod lipą posunęła się kilka kroków ku fosie wypełnionej wodą i zawołała:

– A bywajcie no, chłopcy! Pewnie tam dziadusiowi dokuczacie?

– Co mają dokuczać! Wcale się tu przystojnie zachowali – odpowiedział pan Zagłoba.

Chłopaki skoczyły ku matce, a ona rzekła:

– Co tatuś woli dziś pić, dębniaczek czyli miód?

– Świnina była na obiad, to miód będzie grzeczniejszy.

– Zaraz przyślę. Ale niech jeno tatuś nie drzemie na powietrzu, bo febra pewna.

– Dziś ciepło i wiatru nie ma. A gdzie to Jan, córuchno?

– Poszedł do stodoły.

Pani Skrzetuska mówiła panu Zagłobie: ojczcie, a on jej: córuchno, choć wcale nie byli krewni. Jej rodzina mieszkała na Zadnieprzu, w dawnym państwie wiśniowieckim, a co do niego, Bóg jeden wiedział, skąd był rodem, gdyż sam rozmaicie o tym powiadał. Ale za czasów, gdy jeszcze była panną, Zagłoba znamienite jej oddał usługi i ze straszliwych niebezpieczeństw ratował, więc też oboje z mężem czcili go jako ojca i w całej okolicy niezmiernie był od wszystkich szanowany, tak dla obrotnego rozumu, jak i dla nadzwyczajnego męstwa, którego liczne w różnych wojnach, a mianowicie w kozackich, dał dowody.

Imię jego głośnie byto w całej Rzeczypospolitej sam król kochał się w jego opowiadaniach i dowcipie, a w ogóle więcej o nim mówiono niż nawet o panu Skrzetuskim, chociaż pan Skrzetuski przedarł się w swoim czasie z oblężonego Zbaraża przez wszystkie wojska kozackie.

W chwilę po odejściu pani Skrzetuskiej pacholik przyniósł pod lipę ęsiorek i szklanicę. Pan Zagłoba nalał, następnie zamknął oczy i począł próbować pilnie.

– Wiedział Pan Bóg, dlaczego pszczoły stworzył! – mruknął pod nosem.

I jał popijać z wolna, oddychając przy tym głęboko i spoglądając na staw i za staw, hen, na czarne i sine bory ciągnące się, jak okiem dojrzyć, po drugim brzegu. Godzina była druga po południu, a niebo bez chmurki. Kwiat lipowy sphywał bez szelestu na ziemię, a na lipie między liśćmi śpiewała cała kapela pszczoł, które wnet poczęły siadać na zrąbku szklanicy i zgarniać słodki płyn kosmatymi nóżkami.

Nad wielkim stawem, z trzciny odległych, przesłoniętych mgłą oddalenia, podnosiły się czasem stada kaczek, cyranek lub dzikich gęsi i szybowały w błękitnym przezroczu, podobne do czarnych krzyżyków; czasem klucz żurawi zaczerpnął wysoko na niebie, grając donośnym krzykiem –

zresztą cicho było naokoło i spokojnie, i słoneczno, i wesoło, jak to bywa w pierwszych dniach sierpnia, gdy zboża już dojrzały, a słońce sypie jakoby złoto na ziemię.

Oczy starego człowieka to podnosiły się ku niebu w ścigając stada ptactwa, to znowu ginęły w oddali, ale coraz senniejsze, w miarę jak miodu w gąsiorku ubywało, i powieki ciążyły mu coraz bardziej – pszczoły śpiewały na różne tony swą piosenkę jakoby umyślnie do poobiedniej drzemki.

– Tak, tak, dał Pan Bóg piękny czas na żniwa mruknął pan Zagłoba. – I siano dobrze zebrane, i żniwa duchem pójdą... Tak, tak...

Tu przymknął oczy, po czym otworzył je znowu na chwilę, mruknął jeszcze: „Zmęczyły mnie dzieciśka...” – i usnął na dobre.

Spał dość długo, ale po pewnym czasie zbudził go ~ . lekki powiew chłodniejszego powietrza oraz rozmowa i kroki dwóch mężów zbliżających się szybko pod lipę. Jeden z nich był to pan Jan Skrzetuski, słynny zbarańczyk, który od miesiąca wróciwszy od hetmanów z Ukrainy bawił w domu, lecząc się z febry upartej; drugiego nie znał pan Zagłoba, chociaż wzrostem, postawą i nawet rysami twarzy wielce był do Jana podobny.

– Przedstawiam wam, ojcaszku – rzekł Jan stryjecznego mego, pana Stanisława Skrzetuskiego ze Skrzetuszewa, rotmistrza kaliskiego.

– Waszmość pan tak do Jana podobny – odparł Zagłoba mrugając oczyma i strząsając resztki snu z powiek – że gdzie bym waszmości spotkał, zaraz bym powiedział: „Skrzetuski!” Hej, co za gość w domu!

– Miło mi zabrać znajomość z waćpanem dobrodziejem – odparł Stanisław – tym bardziej że imię znane mi było dobrze, bo je rycerstwo w całej Rzeczypospolitej ze czcią powtarza i za przykład podaje.

– Nie chwając się, robiło się, co mogło, póki się siłę czuło w kościach. Jeszcze i teraz rad by człek wojny pokosztował, bo consuetudo altera natura. Ale czemu to waćpanowie tak strapieni jesteście, aż Janowi oblicze pobladło?

– Stanisław straszne przywiózł wieści – odrzekł Jan. – Szwedzi weszli do Wielkopolski i już ją całkiem zajęli.

Pan Zagłoba zerwał się z ławy, jakby mu czterdzieści lat ubyło, otworzył szeroko oczy i począł mimo woli macać się po boku jakby szukając szabli.

– Jak to? – rzekł – jak to: całą ją zajęli?

– Bo ją wojewoda poznański i inni wydali pod Ujściem w ręce nieprzyjaciela – odparł Stanisław Skrzetuski.

– Dla Boga!... Co waćpan mówisz!... Poddali się?!... – Nie tylko się poddali, ale podpisali ugodę, w której wyrzekli się króla i Rzeczypospolitej... Odtąd tam ma już być Szwecja, nie Polska.

– Na miłosierdzie boskie!... Na rany Ukrzyżowanego!... To się chyba świat kończy?... Co ja słyszę?... Jeszcześmy wczoraj z Janem mówili o tej groźbie od Szweda, bo były wieści, że idą, ale obaj byliśmy pewni, że to się na niczym skończy, a co najwięcej na wyrzeczeniu się tytułu króla szwedzkiego przez naszego pana, Jana Kazimierza.

– A tymczasem zaczęło się od utraty prowincji, a skończy się Bóg wie na czym.

– Przestań waćpan, bo mnie krew zaleje!... Jakże?... I waćpan był pod Ujściem?... i waćpan patrzył na to wszystko własnymi oczyma?!... Toż to po prostu zdrada była najzaraźliwsza, w dziejach niesłychana!

– I byłem, i patrzyłem, a czy to była zdrada, sam waszmość, gdy wszystko usłyszysz, osądzisz. Staliśmy pod Ujściem, pospolite ruszenie i piechota łanowa, razem z piętnaście tysięcy ludzi, i zalegaliśmy pasy nad Notecią *ab incursione hostili*. Prawda, że wojska było mało, a waszmość, jako doświadczony żołnierz, wiesz najlepiej, czy pospolite ruszenie może je zastąpić, a tym bardziej wielkopolskie, gdzie szlachta znacznie od wojny odwykła. Jednakże, gdyby się wódz był znalazł, można było po staremu dać wstręt nieprzyjacielowi i przynajmniej zatrzymać go, póki by Rzeczpospolita jakich posiłków nie obmyśliła. Ale ledwie się Wittenberg pokazał, zaczęto zaraz paktować,

nim się kropla krwi polała. Potem przyjechał Radziejowski i swymi namowami sprawił to, co mówiłem, to jest i nieszczęście, i hańbę, jakiej przykładowo dotąd nie było.

– Jakże? nikt się nie opierał?... Nikt nie protestował? Nikt zdrady na oczy tym szelmom nie wyrzucił?... Wszyscyż się na zdradę ojczyzny i pana zgodzili?...

– Ginie cnota, a z nią i Rzeczpospolita, bo prawie wszyscy się zgodzili... Ja, dwóch panów Skoraszewskich, pan Ciświcki i pan Kłodziński czyniliśmy, cośmy mogli, aby ducha między szlachtą do oporu pobudzić. Pan Władysław Skoraszewski mało nie oszalał; lataliśmy po obozie od powiatu do powiatu, i Bóg widzi, nie było tych zaklęć, których byśmy nie użyli. Ale cóż to pomogło, gdy większość wołała jechać z łyżkami na bankiet, który im Wittenberg obiecał, niż z szablami na bitwę. Widząc to cnotliwsi rozjechali się na wszystkie strony – jedni do domów, drudzy do Warszawy. Panowie Skoraszewscy ruszyli właśnie do Warszawy i pierwsi wiadomość królowi przywiezła, a ja, nie mając żony ni dzieci, tu przyjechałem do brata w tej myśli, że się przecie razem na nieprzyjaciela wybierzemy. Szczęściem, żem waszmościów w domu zastał!

– To waszmość prosto spod Ujścia?

– Prosto. Tylem tylko po drodze wypoczywał, ile było trzeba dla koni, a i to jeden mi padł ze zmęczenia. Szwedzi muszą już być w Poznaniu i stamtąd prędko się po całym kraju rozleją.

Tu umilkli wszyscy. Jan siedział z dłońmi opartymi na kolanach, oczy wbił w ziemię i zamyślił się ponuro, pan Stanisław wzdychał, a pan Zagłoba, nie ochłonawszy jeszcze, spoglądał osłupiałym wzrokiem to na jednego, to na drugiego.

– Złe to są znaki – rzekł w końcu pośepnie Jan. – Dawniej na dziesięć zwycięstw przychodziła jedna klęska i świat dziwiliśmy męstwem. Dziś przychodzą nie tylko klęski, ale i zdrady – nie tylko pojedynczych osób, ale całych prowincji. Niech Bóg zmiłuje się nad ojczyznę!...

– Dla Boga – rzekł Zagłoba – widziałem na świecie dużo, słyszę, rozumiem, a jeszcze mi się wierzyć nie chce.

– Co myślisz czynić, Janie? – rzekł Stanisław.

– Pewnie, że w domu nie ostanę, chociaż mnie zimno jeszcze trzęsie. Żonę i dzieci trzeba będzie gdzie bezpiecznie umieścić. Pan Stabrowski, mój krewny, jest łowczym królewskim w Puszczy Białowieskiej i w Białowieży mieszka. Choćby cała Rzeczpospolita wpadła w moc nieprzyjaciół, to przecie tam nie trafią. Jutro zaraz żonę i dzieci wyślę

– I nie będzie to zbyt ostrożność – odrzekł Stanisław – bo choć z Wielkopolski tutaj daleko, kto wie, czy płomień wkrótce i tych stron nie ogarnie.

– Trzeba będzie szlachcie dać znać – rzekł Jan ażeby się kupili i o obronie myśleli, bo tu jeszcze nikt o niczym nie wie.

Tu zwrócił się do pana Zagłoby:

– A wy, ojczy, pójdziecie z nami, czyli też Helenie zechcecie do puszczy towarzyszyć?

– Ja? – odpowiedział pan Zagłoba – czy pójdę? chybaby mi nogi korzenie w ziemię puściły, wtedy bym nie poszedł, a i to jeszcze prosiłbym kogo, żeby mnie wykarczował. Tak mi się chce szwedzkiego mięsa znowu pokosztować jak wilkowi baraniny! Ha! szelmy, pludraki, pończoszni-ki!... Pchły im po łydkach inkursję czynią, więc nogi ich swędzą i przez to w domu usiedzieć nie mogą, jeno do cudzych krajów leżą... Znam ja ich, takich synów, bom jeszcze pod panem Koniecpolskim przeciw nim czynił – a chcecie waszmościowie wiedzieć, kto wziął w jasyr Gustawa Adolfa, to się nieboszczyka pana Koniecpolskiego spytajcie. Nic więcej nie powiem! Znam ja ich, ale i oni mnie znają... Nie może być inaczej, tylko się, szelmy, zwiedzieli, że Zagłoba się zestarzał. Tak? Poczekajcie! zobaczycie go jeszcze!... Panie! Panie wszechmogący! czemuś to tak tę nieszczęsną Rzeczpospolitą rozgrodził, że wszystkie świnię sąsiedzkie włożą do niej teraz i trzy najlepsze prowincje już spyskały! Ot, co jest! Ba! ale któż temu winien, jeśli nie zdrajcy? Nie wiedziała zaraza, kogo brać, i zacnych ludzi pobrała, a zdrajców zostawiła. Dajże Boże jeszcze raz powietrze na pana wojewodę poznańskiego i na kaliskiego, a zwłaszcza na Radziejowskiego z całą rodziną. A jeśli chcesz więcej obywatelów piekła przysporzyć, to pošlij wszystkich tych, którzy onę kapitulację

pod Ujściem podpisali. Zestarzał się Zagłoba? zestarzał? Zobaczycie! Janie! radźmy pędzej; co czynić, bo już bym chciał na końskim grzbiecie siedzieć!

– Pewnie, że trzeba radzić, gdzie iść. Na Ukrainę do hetmanów ciężko się przedostać, bo ich tam nieprzyjaciel odciął od Rzeczypospolitej i tylko do Krymu mają wolną drogę. Szczęście, że teraz Tatarzy po naszej stronie. Wedle mojej głowy, trzeba nam będzie do króla do Warszawy ruszyć, pana kochanego bronić!

– Byle był na to czas – odrzekł Stanisław. Król jegomość musi tam na gwałt zbierać chorągwie i wprzód nim przyjdziemy, na nieprzyjaciela pociągnie, a może i spotkanie już nastąpi.

– I to być może.

– Jedźmy tedy ku Warszawie, byle spiesznie rzekł Zagłoba. – Posłuchajcie, waćpanowie... Prawda, że nasze imiona groźne są nieprzyjacielowi, ale przecie we trzech niewiele wskóramy, więc ja bym radził tak: Skrzyknijmy szlachty na ochotnika, ile się da, żeby tak choć z chorągiewką panu przyprowadzić! Łatwo ich do tego namówimy, bo i tak muszą ruszyć, gdy przyjdą wici na pospolite ruszenie, więc im to wszystko jedno – a powiemy, że kto przed wiciami dobrowolnie stanie, miłą panu rzecz uczyni. Z większą siłą więcej można będzie sprawić, i przyjmą nas z otwartymi rękoma.

– Nie dziw się waszmość moim słowom – rzekł pan Stanisław – ale po tym, com widział, takiego do pospolitego ruszenia nabrałem wstrętu, że wolę sam iść niżeli z tłumem ludzi wojny nie znających.

– To waszmość nie znasz tutejszej szlachty. Tu jednego takiego nie upatrzysz, któren by w wojsku nie służywał. Wszystko ludzie doświadczeni i dobrzy żołnierze.

– Chyba że tak.

– Zaś miałoby być inaczej? Ale poczekajcie no! Jan to już wie, że gdy raz pocznę głową robić, to mi sposobów nie brak. Dlatego w wielkiej żyłem konfidencji z wojewodą ruskim, księciem Jeremim. Niech Jan zaświadczy, ile razy ten największy w świecie wojownik szedł za moją radą i zawsze na tym wygrał.

– Mówcie no, ojczu, co chcecie powiedzieć, bo czasu szkoda – rzekł Jan.

– Co chciałem powiedzieć? Oto, co chciałem powiedzieć: nie ten broni ojczyzny i króla, kto się króla za poły trzyma, ale ten, kto nieprzyjaciela bije; a bije ten najlepiej, kto pod wielkim wojownikiem służy. Po co mamy na niepewne do Warszawy chodzić, kiedy król jegomość właśnie może już do Krakowa, do Lwowa albo na Litwę wyjechać; ja waszmościom radzę, abyśmy bez zwłoki udali się pod chorągwie hetmana wielkiego litewskiego, księcia Janusza Radziwiłła. Szczery to pan i wojenny. Chociaż go o pychę pomawiają, pewnie nie będzie on przed Szwedami kapitulował. To przynajmniej wódz i hetman, jak się należy. Ciasno tam będzie, prawda, bo z dwoma nieprzyjaciółmi robotą; ale za to pana Michała Wołodyjowskiego zobaczymy, który w kompucie litewskim służy, i znów po staremu do kupy się zbierzem jako za dawnych czasów. Jeśli niedobrze radzę, niechże mnie pierwszy Szwed za rapcie w jasyr poprowadzi.

– A kto wie? a kto wie? – odrzekł żywo Jan. Może tak będzie najlepiej.

– I jeszcze Halszkę z dziećmi po drodze odprowadzimy, bo właśnie przez puszcę przyjdzie nam jechać...

– I w wojsku, nie między pospolitakami, będziem służyli – dodał Stanisław.

– I będziem się bić, nie sejmikować ani kury po wsiach i twarogi wyjadać.

– Waszmość to, widzę, nie tylko w wojnie, ale i w radzie prym możesz trzymać – rzekł pan Stanisław.

– Co? ha?

– Istotnie, istotnie! – rzekł Jan. – Najlepsza to rada. Po staremu, kupą z Michałem pójdziemy. Poznasz, Stanisławie, największego żołnierza w Rzeczypospolitej i przyjaciela mego szczerego, brata. Pójdźmy teraz do Halszki powiedzieć jej, żeby się też w drogę szykowała.

– Aza wie ona już o wojnie? – zapytał pan Zagłoba.

– Wie, wie, bo przy niej najpierwej Stanisław opowiadał. Cała we łzach, nieboga... Ale gdym jej rzekł, że trzeba iść, zaraz mi powiedziała: „Idź!”

– Chciałbym jutro już ruszyć! – zakrzyknął Zagłoba.

– Toteż wyruszmy jutro, i to do dnia – rzekł Jan. – Ty, Stanisławie, musisz być fatigatus wielce po drodze, ale do jutra wywczasujesz się, jak będziesz mógł. Ja dziś jeszcze konie wysłę z pewnymi ludźmi do Białej, do Łosic, do Drohiczyna i do Bielska, żeby wszędzie świeże były na przeprawkę. A za Bielskiem puszcza tuż. Wozy z zapasami wyjdą także dzisiaj! Żal z kochanego kąta ruszać w świat, ale wola boska! Tym się pocieszam, że o żonę i dziatki będę bezpieczny, bo puszcza najlepsza to w świecie forteca. Chodźcie, waszmościowie, do domu, bo czas się ekspedycją zająć.

Poszli. Pan Stanisław, zdrożony wielce, ledwie się posiliwszy i napiwszy, zaraz spać poszedł, a pan Jan z panem Zagłobą zakrzętnęli się około wyprawy. I że ład był u pana Jana wielki, więc wozy i ludzie ruszyli tegoż jeszcze wieczora na noc, a nazajutrz w dzień pociągnęła za nimi kolaska, w której siedziała Helena z dziećmi i jedna stara panna, rezydentka. Pan Stanisław, pan Jan wraz z pięcioma pachółkami jechali konno koło kolaski. Cały orszak posuwał się żywo, bo po miastach świeże konie czekały.

Tak jadąc i nie wypoczywając nawet nocami, piątego dnia dojechali do Bielska, a szóstego pograżyli się już w puszcę od strony Hajnowszczyzny.

Objęły ich wraz mroki olbrzymiego boru, który podówczas kilkadziesiąt mil kwadratowych okrywał, łącząc się z jednej strony pasmem nieprzerwanym aż hen, z puszcą Zielonką i Rogowską, z drugiej z pruskimi borami.

Żaden najeźdnik nie deptał nigdy nogą tych ciemnych głębin, w których człek nieobeznany mógł zabłądzić i błąkać się wkoło, aż póki nie padł z wysilenia lub nie poszedł na łup drapieżnym zwierzętom. Nocami odzywały się tu ryki żubrów i niedźwiedzi wraz z wyciem wilków i beczaniem chrapliwym rysiów. Niepewne drogi wiodły wśród gęstwy lub gołoborza obok zwałów, wykrotów, bagien i straszliwych śpią.. cych jeziorzek do rozrzuconych wsi budników, smolarzy i osaczników, którzy częstokroć przez całe życie nie wychylali się z puszczy. Do Białowieży tylko samej prowadził szerszy gościniec przezywany Suchą Drogą, którą królowie jeździli na łowy. Tędy też od strony Bielska i Hajnowszczyzny jechali Skrzetuscy.

Pan Stabrowski, łowczy królewski, stary samotnik i kawaler, siedzący ustawicznie jak żubr w puszczy, przyjął ich z otwartymi rękami; dzieci zaś mało nie zdusił w pocałunkach. Żył bowiem tylko z osacznikami, szlacheckiej twarzy nie widując, chyba wtedy, gdy dwór zjechał na łowy.

On to zawiadował całym gospodarstwem myśliwskim i wszystkimi smolarniami puszczy. Wielce się strapił wieścią o wojnie, o której się dopiero z ust pana Skrzetuskiego dowiedział.

Częstokroć bowiem tak bywało, że w Rzeczypospolitej paliła się wojna, umierał król, a do puszczy wieść o tym nawet nie dochodziła; dopiero pan łowczy przywoził nowiny, gdy od pana podskarbiego litewskiego wracał, któremu raz do roku rachunki z puszczańskiego gospodarstwa obowiązany był składać.

– Nudno tu będzie, bo nudno! – mówił pan Stabrowski do Heleny – ale przepiecznie, jak by nigdzie na świecie nie było. Żaden nieprzyjaciel nie przedrze się przez te ściany, a choćby i próbował, to by mu osacznicy wszystkich ludzi w lot wystrzelali. Łatwiej Rzeczpospolitą całą zawojsować – czego Boże nie daj! – niż puszcę. Dwadzieścia lat już tu żyję, a i ja jej nie znam, bo są miejsca, gdzie dostąpić nie można i gdzie zwierz tylko mieszka, a może i złe duchy mają swoje stacje, do których się przed głosami dzwonów kościelnych chronią. Ale my żyjemy po bożemu, bo we wsi jest kaplica, do której ksiądz z Bielska raz na rok zjeżdża. Będzie wam tu jak w niebie, jeśli nuda nie dokuczy. Za to drzew na opał nie zbraknie...

Pan Jan rad był z całej duszy, że takie schronisko dla żony wynalazł; ale próżno go pan Stabrowski zatrzymywał i ugaszczał.

Przenocowawszy tylko, ruszyli rycerze nazajutrz świtaniem na wskrós puszczy w dalszą drogę, prowadzeni w labiryncie leśnym przez przewodników, których pan łowczy dostarczył.

## ROZDZIAŁ XII

Gdy pan Jan Skrzetuski ze stryjecznym Stanisławem i panem Zagłobą po uciążliwej drodze z puszczy przybyli wreszcie do Upity, pan Michał Wołodyjowski mało nie oszalał z radości, zwłaszcza że dawno już nie miał o nich żadnej wieści, o Janie zaś myślał, że znajduje się z chorągwią królewską, której porucznikował, na Ukrainie u hetmanów.

Brał ich też z kolei w ramiona i wyściskawszy, znowu ścisnął i ręce zacierał; a gdy mu powieździeli, że pod Radziwiłłem chcą służyć, uradował się jeszcze bardziej na myśl, że nieprędko się rozłączą.

– Chwała Bogu, że do kupy się zbieramy, starzy zbarażczykowie – mówił. – Człowiek i do wojny większą ma ochotę, gdy czuje konfidentów koło siebie.

– To była moja myśl – rzekł pan Zagłoba – bo oni do króla chcieli lecieć... Ale ja powiedziałem: A czemu to nie mamy sobie z panem Michałem starych czasów przypomnieć? Jeśli nam Bóg tak poszczęści, jak z Kozakami i Tatarami szczęścił, to niejednego Szweda wkrótce mieć będziem na sumieniu.

– Bóg waści natchnął tą myślą! – rzekł pan Michał.

– Ale to mi dziwno – rzekł Jan – żeście o Ujściu i o wojnie już wiedzieli. Stanisław ostatnim końskim tchem do mnie przyjechał, a my tak samo tu jechali myśląc, że pierwsi będziem nieszczęście zwiastować.

– Musiała przez Żydów wieść tutaj przyjść rzekł Zagłoba – bo oni zawsze wszystko najpierwsi wiedzą i taka między nimi korespondencja, że jak któren rano kichnie w Wielkopolsce, to już wieczorem mówią mu na Żmudzi i na Ukrainie: „Na zdrowie!”

– Nie wiem, jak to było, ale od dwóch dni wiemy – rzekł pan Michał – i konsternacja tu okrutna... Pierwszego dnia jeszcześmy nie bardzo wierzyli, ale drugiego już nikt nie negował... Co więcej wam powiem: jeszcze wojny nie było, a rzekłbyś, ptaki o niej śpiewały w powietrzu, bo wszyscy naraz i bez powodu poczęli o niej gadać. Nasz ksiązę wojewoda musiał się też jej spodziewać i coś przed innymi wiedzieć, bo się kręcił jak mucha w ukropie i w ostatnich czasach do Kiejdan przyleciał. Zaciągi od dwóch miesięcy z jego rozkazu czyniono. Zaciągałem ja, Stankiewicz i niejaki Kmicic, chorąży orszański, któren jako słyszałem, już gotowiuską chorągiew do Kiejdan odprowadził. Ten się najpierw z nas wszystkich uwinął...

– Znaszże ty, Michale, dobrze księcia wojewodę wileńskiego? – pytał Jan.

– Jak go nie mam znać, kiedym całą wojnę terażniejszą pod jego komendą odbywał.

– Co wiesz o jego zamysłach? Zacny to pan?

– Wojownik jest doskonały; kto wie, czy po śmierci księcia Jeremiego w Rzeczypospolitej nie największy... Pobili go, prawda, teraz, ale miał sześć tysięcy wojska na ośmdziesiąt... Pan podskarbi i pan wojewoda witebski okrutnie go za to potępiają mówiąc, iż przez pychę to z tak małą siłą się porwał na ową niezmierną potęgę, ażeby się z nimi wiktoria nie dzielić. Bóg raczy wiedzieć, jak było... Ale stawał mężnie i sam życia nie szczędził... A ja, którem na wszystko patrzył, tyle tylko powiem, iż gdyby miał dosyć wojska i pieniędzy, noga nieprzyjacielska by z tego kraju nie uszła. Tak myślę, że szczerze on się teraz weźmie do Szwedów i pewno ich tu nie będziem czekać, ale do Inflant ruszymy.

– Z czegoż to suponujesz?

– Z dwóch powodów: raz, że ksiązę będzie chciał reputację swą, nieco po cybichowskiej bitwie zachwianą, poprawić, a po wtóre, że wojnę kocha...

– Tak jest – rzekł Zagłoba – znam ja go z dawna, bośmy razem w szkołach byli i pensa za niego odrabiałem. Zawsze się kochał w wojnie i dlatego lubił ze mną lepiej niż z innymi kompanię trzymać, bom ja także wołał konia i dzidkę niż łacinę.



– Z pewnością, że to nie wojewoda poznański, z pewnością, że to zgoła inny człowiek – rzekł pan Stanisław Skrzetuski.

Wołodyjowski począł go wypytywać o wszystko, co się pod Ujściem zdarzyło, i za czuprynę się targał słuchając opowiadania; wreszcie, gdy pan Stanisław skończył, rzekł:

– Masz waszmość słuszność! Nasz Radziwiłł do takich rzeczy niezdolny. Pyszny on jak diabeł i zdaje mu się, że w całym świecie większego rodu od radziwiłłowskiego nie ma, prawda! Oporu on nie znosi, prawda – i na pana podskarbiego Gosiewskiego, zacnego człeka, o to zagniewan że ten nie skacze, jak mu Radziwiłły zagrają. Na króla jegomości także krzyw, że mu buławy wielkiej litewskiej dość prędko nie dał... Wszystko to prawda, jak i to, że woli w bezecnych błędach kalwińskich żyć niż do prawdziwej wiary się nawrócić; że katolików, gdzie może, ciśnie; że zbory heretykom stawia... Ale za to przysięgnę, że wolałby ostatnią kroplę swojej pysznej krwi wytoczyć niż taką kapitulację, jak pod Ujściem, podpisać... Będziem mieli wojny w bród, bo nie skryba, ale wojownik będzie nam hetmanił.

– W to mi graj! – rzekł Zagłoba. – Niczego więcej nie chcemy. Pan Opaliński skryba, i zaraz się pokazało, do czego zdalny... Najpodlejszy to gatunek ludzi! Każdy z nich niech jeno pióro z kupra gęsi wyciągnie, to zaraz myśli, że wszystkie rozумы pojadł... i taki syn innym przymawia, a jak przyjdzie do szabli, to go nie masz. Sam za młodu rytmy układałem, żaby białogłowskie serca kaptować, i byłbym pana Kochanowskiego w kozi róg z jego fraszkami zapędził, ale potem żołnierska natura wzięła górę.

– Przy tym jeszcze i to wam powiem – rzekł Wołodyjowski – że skoro się tu szlachta ruszy, to się kupa ludzi zbierze, byle pieniędzy nie zabrakło, bo to rzecz najważniejsza.

– Na Boga, nie chcę pospolitaków! – zakrzyknął pan Stanisław. – Jan i jegomość pan Zagłoba znają już mój sentyment, a waszmości powiem, że wolę być ciurą w regularnej chorągwi niż hetmanem nad całym pospolitym ruszeniem.

– Tutejszy lud mężny – odrzekł pan Wołodyjowski – i bardzo sprawny. Mam tego przykład z mego zaciągu. Nie mogłem pomieścić wszystkich, którzy się garnęli, a między tymi, których przyjąłem, nie masz i jednego takiego, co by poprzednio nie służył. Pokażę wamciom tę chorągiewkę i upewniam, że gdybyście nie wiedzieli ode mnie, to byście nie poznali; że to nie starzy żołnierze. Każdy bity i kuty w ogniu jak stara podkowa, a w szyku stoją jako triarii rzymscy. Nie pójdzie z nimi tak łatwo Szwedom jak pod Ujściem z Wielkopolanami.

– Mam nadzieję, że to Bóg wszystko jeszcze odmieni – rzekł Skrzetuski. – Mówią, że Szwedzi dobrzy pacholankowie, ale przecie nigdy nie mogli naszym wojskom komputowym wytrzymać. Biliśmy ich zawsze – to już wypróbowana rzecz – biliśmy ich nawet wtedy, gdy im przywodził największy wojownik, jakiego kiedykolwiek mieli.

– Co prawda, to okrutnie ciekawy, co też umieją – odpowiedział pan Wołodyjowski – i gdyby nie to, że dwie inne wojny jednocześnie ojczyznę gnębią, wcale bym się o tę szwedzką nie rozgniewał. Próbowaliśmy i Turków, i Tatarów, i Kozaków, i Bóg wie nie kogo – godzi się teraz Szwedów popróbować. W Koronie z tym tylko może być kłopot, że wszystkie wojska z 'hetmanami na Ukrainie zajęte. Ale tu, widzę już co się stanie. Oto książe wojewoda dotychczasową wojnę panu podskarbiemu Gosiewskiemu, hetmanowi polnemu, zostawi, a sam się Szwedami szczerze zajmie. Ciężko będzie, prawda! Wszelako miejmy nadzieję, że Pan Bóg pomoże.

– Jedźmy tedy nie mieszkając do Kiejdan! rzekł pan Stanisław.

– Dostałem też rozkaz, żeby chorągiew mieć w pogotowiu; a samemu się w trzech dniach w Kiejdanach stawić – odpowiedział pan Michał. – Ale muszę te'z wamciom ten ostatni rozkaz pokazać, bo już z niego znacznie, że tam książe wojewoda myśli o Szwedach.

To rzekłszy pan Wołodyjowski otworzył kluczem sepecik stojący pod oknem na ławie, wydobyl z niego papier złożony na dwoje i rozwinawszy począł czytać:

„Mości panie Wołodyjowski, pułkowniku!

Z wielką radością odczytaliśmy raport Waszmości, że chorągiew już na nogach i w każdej chwili może w pochód ruszyć. Trzymaj ją Waćpan w czujności i pogotowiu, bo przychodzą tak

ciężkie czasy, jakich jeszcze nie bywało, sam zaś przybywaj jak najspieszniej do Kiejdan, gdzie go niecierpliwie oczekiwać będziemy. Gdyby Waszmości dochodziły jakie wieści tym nie wierz, aż wszystko z naszych ust usłyszysz. Postąpimy tak, jak nam Bóg i sumienie nakazuje, bez uwagi na to, co złość i nieżyczliwość ludzka może na nas wymyślić. Ale zarazem cieszymy się, iż nadchodzą takie terminy, w których pokaże się dowodnie, kto jest szczerym i prawdziwym przyjacielem radziwiłłowskiego domu i kto nawet *in rebus adversis* służyć mu gotów. Kmicic, Niewiarowski i Stankiewicz przyprowadzili tu już swoje chorągwie; waszmościna niech w Upicie zostanie, bo tam może być potrzebna, a może przyjdzie wam ruszyć na Podlasie pod komendą brata mojego stryjecznego, jaśnie oświeconego księcia Bogusława, koniuszego litewskiego, który tam znaczną partię naszych sił ma pod sobą. O tym wszystkim dowiesz się dokładnie z ust naszych, tymczasem zaś polecamy wierności waszej pilne rozkazów spełnienie i oczekujemy cię w Kiejdanach.

Janusz Radziwiłł,

książę na Birzach i Dubinkach,

wojewoda wileński, hetman w. litewski.”

– Tak jest! widoczna już z tego listu nowa wojna! – rzekł Zagłoba.

– A że książę pisze, iż postąpi, jak mu Bóg i sumienie nakazuje, to znaczy, że będzie bił Szweda dodał pan Stanisław.

– Dziwno mi tylko to – rzekł Jan Skrzetuski że pisze o wierności dla radziwiłłowskiego domu, nie ., dla ojczyzny, która więcej od Radziwiłłów znaczy i pilniejszego ratunku potrzebuje.

– To taka ich pańska maniera – odparł Wołodyjowski – choć i mnie się to zaraz nie spodobało, boć i ja ojczyźnie, nie Radziwiłłom służę.

– A kiedyś ten list odebrał? – pytał Jan.

– Dziś rano i właśnie po południu chciałem ruszyć. Wy się przez ten wieczór wywczasujecie po podróży, a ja jutro pewnie wrócę i zaraz z chorągwią ruszymy, gdzie nam każą.

– Może na Podlasie? – rzekł Zagłoba.

– Do księcia koniuszego! – powtórzył pan Stanisław.

– Książę koniuszy Bogusław także teraz w Kiejdanach – odparł Wołodyjowski. – Ciekawa to persona i pilnie mu się przypatrujcie. Wojownik wielki i rycerz jeszcze większy, ale nie masz w nim za grosz Polaka. Z cudzoziemska się nosi i po niemiecku albo zgoła po francusku gada, jakoby kto orzechy gryzł, której mowy godzinę możesz słuchać i nic nie wyrozumiesz.

– Książę Bogusław pod Beresteczkiem pięknie sobie poczynił – rzekł Zagłoba – i poczet piękny niemieckiej piechoty wystawił.

– Ci, co go bliżej znają, nie bardzo go chwala – mówił dalej Wołodyjowski – bo się jeno w Niemczech i Francuzach kocha, co nie może inaczej być, gdyż się z Niemkini rodzi, elektorówny brandenburskiej, za którą ojciec jego nieboszczyk nie tylko że wiana żadnego nie wziął, ale jak to widać – u tych książątek chuda fara, jeszcze dopłacić musiał. Ale Radziwiłłom chodzi o to, by w Rzeszy Niemieckiej, której są książętami, suffragia mieli, i dlatego radzi z Niemcami się łączyć. Powiadał mi o tym pan Sakowicz, dawny sługa księcia Bogusława, któremu ten starostwo oszmiańskie puścił. On i pan Niewiarowski, pułkownik, bywali z księciem Bogusławem za granicą po różnych zamorskich krajach i zawsze mu za świadków do pojedynków służywali.

– Tyleż to on pojedynków odbywał? – pytał Zagłoba.

– Ile ma włosów na głowie! Różnych on tam książąt i grafów zagranicznych, francuskich i niemieckich, siła poszczerbił, bo to, mówią, człek bardzo zapalczywy a mężny i o lada słowo na pole wyzywa.

Pan Stanisław Skrzetuski rozbudził się z zamyślenia i rzekł:

– Słyszałem i ja u księcia Bogusławie, bo to od nas do elektora niedaleko, u którego on ciągle przesiaduje. Pamiętam i to jeszcze, co ojciec wspominał, że jak się rodzic księcia Bogusława z elektorówną żenił, to ludzie sarkali, że tak wielki dom jak radziwiłłowski z obcymi się łączy, ale bogdajże lepiej się stało, gdyż teraz elektor, jako radziwiłłowski koligat, tym życzliwszy powinien być Rzeczypospolitej, a od niego teraz siła zależy. To, co waszmość powiadasz, że u nich chuda

fara, to tak nie jest. Pewnie, że gdyby kto Radziwiłłów wszystkich sprzedał, to by za nich elektora z całym księstwem kupił, ale dzisiejszy ; kurfirst Fryderyk Wilhelm zebrał już niemało grosza i ma dwadzieścia tysięcy wojska bardzo porządnego, z którym śmiało mógłby się Szwedom zastawić, co jako lennik Rzeczypospolitej powinien uczynić, jeśli Boga ma w sercu i pamięta wszystkie dobrodziejstwa, które Rzeczpospolita jego domowi świadczyła.

– Zali on to uczyni? – pytał Jan.

– Czarna byłaby to niewdzięczność i wiarołomstwo z jego strony, gdyby inaczej postąpił! – odparł Stanisław.

– Ciężko to na wdzięczność cudzą liczyć, a zwłaszcza na heretycką – rzekł pan Zagłoba. – Pamiętam jeszcze wyrostkiem tego waszego kurfirsta, zawsze to mruczył, rzekłbyś: ciągle słuchał, co mu diabeł do ucha szepce. Powiedziałem mu to w oczy, gdyśmy z panem Koniecpolskim nieboszczykiem w Prusach byli. Taki on luter, jak i król szwedzki. Daj Boże, żeby się jeszcze ze sobą przeciw Rzeczypospolitej nie sprzymierzyli...

– Wiesz co, Michale? – rzekł nagle Jan. – Nie będę dziś wypoczywał, ale pojedę z tobą do Kiejdan. Teraz nocami lepiej jechać, bo we dnie upał, a pilno mi już wyjść z niepewności. Na wypoczynek będzie czas, bo pewnie książe jutro jeszcze nie ruszy.

– Tym bardziej że chorągiew kazał w Upicie zatrzymać – odrzekł pan Michał.

– Dobrze mówicie! – zawołał pan Zagłoba – pojedę i ja!

– To jedźmy wszyscy razem – dodał Stanisław.

– Akurat na jutro rano będziemy w Kiejdanach – rzekł pan Wołodyjowski – a w drodze i na kulbakach można się słodko przedzierać.

We dwie godzin później, podjadłszy i podpiwszy nieco; ruszyli rycerze w podróż i jeszcze przed zachodem słońca stanęli w Krakinowie.

Przez drogę opowiadał im pan Michał o okolicy, o sławnej szlachcie laudańskiej, o Kmicicu i o wszystkim, co się od pewnego czasu zdarzyło. Przyznał się i do afektu swego dla panny Billewiczówny, nieszczęśliwego jak zwykle.

– Cała rzecz, że wojna bliska – mówił – bo inaczej srodze bym się martwił, gdyż czasem myślę, że takie to już moje nieszczęście i że chyba przyjdzie mi i umrzeć w kawalerskim stanie.

– Nie stanie ci się krzywda – rzekł pan Zagłoba – bo zacny to jest stan i Bogu miły. Umyśliłem też trwać w nim do końca życia. Czasem i żal, że nie będzie komu sławy i imienia przekazać, bo chociaż miłuję dzieci Jana jak swoje, wszelako Skrzetuscy to nie Zagłobowie.

– O niecnoto! – rzekł Wołodyjowski. – Takeś się waćpan wcześniej z tym postanowieniem wybrał, jak wilk, który ślubował owiec nie dusić, gdy mu wszystkie zęby wypadły.

– A nieprawda! – rzekł Zagłoba. – Nie tak to dawno, panie Michale, jakżeśmy ze sobą na elekcji w Warszawie byli. Za kimże się wszystkie podwiki oglądały, jeśli nie za mną?... Pamiętasz, jakżeś to narzekał, że na ciebie żadna i nie spojrzy? Ale jeśli taką masz ochotę do stanu małżeńskiego, to się nie martw. Przyjdzie i twoja kolej. Na nic tu szukanie i właśnie wtedy znajdziesz, kiedy nie będziesz szukał. Teraz czasy wojenne i siła zacnych kawalerów co rok ginie. Niech jeno jeszcze i ta szwedzka wojna potrwa, to dziewczki do reszty stanieją i będziemy je na tuziny na jarmarkach kupowali.

– Może i mnie zginąć przyjdzie – rzekł pan Michał. – Dość mam tego kołatania się po świecie. Nigdy waściom tego nie zdołam wypowiedzieć, jak zacna jest i urodziwa panna ta Billewiczówna. Byłby ją człowiek miłował i hołubił jakby co najlepszego... Nie! musieli diabli przynieść tego Kmicica... Chyba on jej coś zadał, nie może inaczej być, bo gdyby nie to, pewnie by mnie nie przepędziła. Ot, patrzcie! Właśnie tam zza górki Wodokty widać, ale w domu nie masz nikogo, bo ona pojechała Bóg wie gdzie...

Moje to byłoby schronisko; niechbym był tu żywota dokonał... Niedźwiedź ma swój barłóg, wilk swoją jamę, a ja, ot! jeno tę szkapę i tę kulbakę, na której siedzę...

– To widzę, że cię jak cierń zakłuła? – rzekł pan Zagłoba.

– Pewnie, że jak sobie wspomnę albo, mimo przejeżdżając, Wodokty zobaczę, to mi jeszcze żal... Chciałem klin klinem wybić i pojechałem do pana Schyllinga, który ma córkę bardzo urodziwą. Raz ją w drodze z daleka widziałem i okrutnie mi w oko wpadła. Pojechałem tedy – i cóż waćpaństwo powiecie? ojcam w domu nie zastał, a panna Kachna myślała, że to nie pan Wołodyjowski, tylko pacholek pana Wołodyjowskiego przyjechał... Takem ten afront wziął do serca, że tam więcej nie pokazał.

Zagłoba począł się śmiać.

– Bodajże cię, panie Michale! Gała rzecz w tym, żebyś znalazł żonę tak nikczemnej urody, jak sam jesteś. A gdzie się to ona bestyjka podziała, co to przy księżnie Wiśniowieckiej respektową była, z którą to nieboszczyk pan Podbipięta – Panie, świeć nad jego duszą – miał się żenić? Ta miała urodę w sam raz dla ciebie, bo istna to była pestka, choć jej się oczy okrutnie świeciły.

– To Anusia Borzobohata-Krasieńska – rzekł pan Jan Skrzetuski. – Wszyscyśmy się w niej swe-go czasu kochali i Michał także. Bóg raczy wiedzieć, co się z nią teraz dzieje.

– Żeby ją tak odszukać a pocieszyć! – rzekł pan Michał. – Jakaście ją wspomnieli, aż mi się ciepło koło serca uczyniło. Najzacniejsza to była dziewczka. Bóg by mi dał ją spotkać!... Ej, dobre to były dawne łubniańskie czasy, ale się już nigdy nie wrócą. Nie będzie też już chyba nigdy takiego wodza, jak był nasz książę Jeremi. Człowiek wiedział, że po każdym spotkaniu wiktoria nastąpi. Radziwił wielki wojownik, ale nie taki, i już nie z tym sercem mu się służy, bo on i tego ojcowskiego afektu dla żołnierzy nie ma, i do konfidencji nie dopuszcza, mając się za jakowegoś monarchę, choć przecie Wiśniowieccy nie gorsi byli od Radziwiłłów.

– Mniejsza z tym – rzekł Jan Skrzetuski. – w jego rękę teraz zbawienie ojczyzny, a że gotów za nią życie oddać, niech mu Bóg błogosławi.

Tak to rozmawiali rycerze jadąc wśród nocy i to dawne sprawy wspominali, to mówili o terażniejszych ciężkich czasach, w których trzy wojny naraz zwały się na Rzeczpospolitą.

Później zabrali się do pacierzy wieczornych i do odaiawiania litanii, a gdy ją skończyli, sen ich zmorzył i zaczęli drzemać i kiwać się na kulbakach.

Noc była pogodna, ciepła, gwiazdy migotały tysiącami na niebie; oni, jadąc noga za nogą, spali smaczno, aż dopiero, gdy poczęło świtać, zbudził się pierwszy pan Michał.

– Mości panowie, otwórzcie oczy, Kiejdany już widać! – zakrzyknął.

– Co? he? – rzekł Zagłoba. – Kiejdany? gdzie?

– A ot, tam! Wieże widać.

– Zaczne jakieś miasto – rzekł Stanisław Skrzetuski.

– Bardzo zaczne – odpowiedział Wołodyjowski i po dniu jeszcze lepiej się waszmościowie o tym przekonacie.

– Wszakże to dziedzictwo księcia wojewody?

– Tak jest. Przedtem było Kisków, od których je ojciec terażniejszego księcia otrzymał w posagu za Anną Kiszczanką, córką wojewodzica witebskiego. W całej Żmudzi nie masz tak Porządnego miasta, bo Radziwiłłowie Żydów nie puszczają, chyba za osobnym pozwoleniem. Miody tu sławne.

Zagłoba przetarł oczy.

– A to jacyś grzeczni ludzie tu mieszkają. Co to za okrutną budowlę widać tam na podniesieniu?

– To zamek świeżo zbudowany, już za panowania Janusza.

– Obbronny?,

– Nie, ale rezydencja wspaniała. Nie czyniono go warownym, bo nieprzyjaciel nigdy nie zacho-dził w te strony od czasów krzyżackich. Ten spiczasty szczyt, który tam w środku miasta widzicie, to od kościoła farnego. Krzyżacy go wznieśli jeszcze za czasów pogańskich, później był kalwinom oddany, ale go ksiądz Kobyliński znowu dla katolików wyprocesował od księcia Krzysztofa.

– To i chwała Bogu!

Tak rozmawiając dojechali bliżej do pierwszych domków przedmieścia.

Tymczasem stawało się coraz jaśniej na świecie i słońce poczynało wschodzić. Rycerze przyglądali się z ciekawością nie znanemu miastu, a pan Wołodyjowski dalej opowiadał:

– To jest ulica Żydowska, w której mieszkają ci z Żydów, którzy mają pozwolenie. Jadąc tędy, dostaniesz się aż na rynek. Oho! już ludzie budzą się i po– czynają z domów wychodzić. Patrzcie! siła koni przed kuźniami i czeladź nie w barwach radziwiłowskich. Musi być jakiś zjazd w Kiejdanach. Pełno tu zawsze szlachty i panów, a czasem aż z obcych krajów przyjeżdżają, bo to jest stolica heretyków ze wszystkiej Żmudzi, którzy tu pod osłoną Radziwiłłów bezpiecznie swoje gusta i praktyki zabobonne odprawiają. Ot, i rynek! Uważcie, waszmościowie, jaki zegar na ratuszu! Lepszego ponoś i w Gdańsku nie masz. A to, co bierzecie za kościół o czterech wieżach, to jest zbór helwecki, w którym co niedziela Bogu bluźnią a tamto kościół luterski. Myślicie zaś, że tu mieszczanie Polacy albo Litwini – wcale nie! Sami Niemcy i Szkoci, a Szkotów najwięcej! Piechota z nich bardzo przednia, szczególnie berdyszami sieką okrutnie. Ma też książę jegomość regiment jeden szkocki z samych ochotników kiejdańskich. Hej! co wozów z łuba na rynku! Pewnie zjazd jakiś. Gospody żadnej nie masz w tym mieście, jeno znajomi do znajomych jeżdżą, a szlachta do zamku, w którym są oficyny długie na kilkadziesiąt łokci, tylko dla gości przeznaczone. Tam podejmują uczciwie każdego, choćby i przez rok, na koszt księcia pana, a są tacy, którzy całe życie siedzą.

– Dziwno mi to, że piorun tego zboru helweckiego nie zapalił? – rzekł Zagłoba.

– Jakbyś waś wiedział, że się to zdarzyło. W środku, między czterema wieżami, była kopuła jako czapka, w którą kiedyś jak trzasło, tak się nic z niej nie zostało. Tu, w podziemiach, leży ojciec księcia koniuszego Bogusława, Janusz, ten, który do rokoszu przeciw Zygmunтови III należał. Własny hajduk mu czaszkę rozplątał, i tak zginął marnie, jak i żył grzesznie.

– A to co za rozległa budowla, do szopy murowanej podobna? – pytał Jan.

– To jest piapiernia od księcia założona, a tu obok drukarnia, w której się księgi heretyckie drukują.

– Tfe! – rzekł Zagłoba – zaraza na to miasto, gdzie człowiek innego powietrza jak heretyckie do brzucha nie wciąga. Lucyper mógłby tu tak dobrze panować jak i Radziwiłł.

– Mości panie! – odpowiedział Wołodzyjowski nie bluźń Radziwiłłowi, bo może wkrótce ojczyzna zbawienie będzie mu winna...

I dalej jechali w milczeniu, poglądając na miasto i dziwiąc się jego porządkom, bo ulice całkiem były brukowane kamieniami, co w owych czasach za osobliwość uchodziło.

Przejechawszy rynek i ulicę Zamkową ujrzeli na podniesieniu wspaniałą rezydencję, świeżo przez księcia Janusza wzniesioną, nieobronną istotnie, ale ogromem nie tylko pałace, lecz i zamki przewyższającą. Gmach stał na wywyższeniu i patrzył na miasto, jakoby u stóp jego leżące. Z obu stron głównego korpusu biegły dwa skrzydła niższe, załamując się pod kątami prostymi i tworząc olbrzymi dziedziniec zamknięty od przodu kratą żelazną, nabijaną długimi kolcami. W środku kraty wznosiła się potężna brama murowana, na niej herby radziwiłowskie i herb miasta Kiejdan, przedstawiający nogę orlą ze skrzydłem czarnym w złotym polu, a u nogi podkowę o trzech krzyżach, czerwoną. Nisko w bramie był odwach i trabanci szkoccy straż tam trzymali, dla parady, nie dla obrony przeznaczoną.

Godzina była ranna, ale na dziedzińcu ruch już panował, albowiem przed głównym korpusem musztro-. wał się pułk dragonów przybrany w błękitne kolety i szwedzkie helmy. Długi ich szereg stał właśnie nie– ruchomie z gołymi rapierami w ręku, oficer zaś przejeżdżając przed frontem mówił coś do żołnierzy. Naokoło szeregu i dalej pod ścianami mnóstwo czeladzi w rozmaitych barwach gapiło się na dragonów czyniąc, sobie wzajem rozmaite uwagi i spostrzeżenia.

– Jak mi Bóg miły! – rzekł pan Michał – toż to pan Charłamp pułk musztruje.

– Jak to? – zawołał Zagłoba – tenże to sam, z którym miałeś się pojedyńkować w czasie elekcji w Lipkowie?

– Tenże sam. Ale my od tego czasu w dobrej ko-mitywie żyjemy.

– A prawda! – rzekł pan Zagłoba – poznaję go po nosie, który mu spod hełmu sterczy. Dobrze, że przyłbice wyszły z mody, bo ten rycerz nie mógłby żadnej zamknąć; ale on i tak osobnej zbroi na nos potrzebuje.

Tymczasem pan Charłamp spostrzegłszy Wołodyjowskiego puścił się ku niemu rysią.

– Jak się miewasz, Michałku? – zawołał. – Dobrze, żeś przyjechał!

– Lepiej, że ciebie pierwszego spotykam. Oto jest pan Zagłoba, któregoś w Lipkowie poznał, ba, przedtem jeszcze w Siennicy, a to panowie Skrzetuscy: Jan, rotmistrz królewskiej husarskiej chorągwi, zbarańczyk...

– Na Boga! toż ja największego w Polsce rycerza widzę! – zakrzyknął Charłamp. – Czołem, czołem!

– A to Stanisław, rotmistrz kaliski – mówił dalej pan Wołodyjowski – który spod Ujścia wprost jedzie.

– Spod Ujścia?... Na okrutną tedy hańbę waćpan patrzyłeś... Wiemy już, co się tam stało.

– Właśnie dlatego, że się tam to stało, ja tu przyjechałem w tej nadziei, że tu nic podobnego się nie stanie.

– Możesz waszmość być pewien. Radziwiłł ta nie Opaliński.

– Toż samo wczoraj mówiliśmy w Upicie.

– Witam waszmościów najradośniej imieniem własnym i książęcym. Rad książę wojewoda będzie, gdy takich rycerzy zobaczy, bo mu ich bardzo potrzeba. Chodźcieże do mnie, do cekhauzu, gdzie jest moja kwatera. Pewnie zechcecie się przebrać i posilić, a ja będę wam też towarzyszył, bom już musztrę skończył.

To rzekłszy pan Charłamp skoczył znów do szeregu i zakomenderował krótkim, donośnym głosem:

– Lewo! zwrot – w tył!

Kopyta zadźwięczały po bruku. Szereg rozłamał się na dwoje, połowy rozłamały się znowu, aż wreszcie sformowały się czwórki, które wolnym krokiem poczęły oddalać się w stronę cekhauzu.

– Dobrzy żołnierze – rzekł Skrzetuski patrząc okiem znawcy na mechaniczne ruchy dragonów.

– Sama to drobna szlachta i bojarzynkowie putni w tej broni służą – odparł Wołodyjowski.

– O Boże! zaraz znać, że to nie pospolitaki! – zawołał pan Stanisław.

– Ale że to Charłamp im porucznikuje? – pytał Zagłoba. – Czyli się mylę, ale pamiętam, że on w piatyhorskiej chorągwi służył i srebrną pętelkę nosił na ramieniu?

– Tak jest – rzekł Wołodyjowski. – Ale już z parę lat, jak pułkiem dragońskim dowodzi. Stary to żołnierz i kuty.

Tymczasem Charłamp odesławszy dragonów zbliżył się do naszych rycerzy.

– Proszę waszmościów za mną... Ot, tam cekhauz za pałacem.

W pół godziny później siedzieli już w pięciu nad misą piwa grzanego, dobrze zabelonego śmietaną, i rozmawiali o nowej wojnie.

– A u was tu co słyhać? – pytał Wołodyjowski.

– U nas słyhać co dzień co innego, bo się ludzie gubią w domysłach i coraz to inne nowiny puszczają – odparł Charłamp. – A naprawdę to jeden książę wie, co się stanie. Waży on coś w umyśle, bo choć symuluje wesołość i na ludzi tak łaskaw, jak nigdy, to przecie okrutnie zamyślony. Po nocach, powiadają, nie sypia, jeno po wszystkich komnatach ciężkim krokiem chodzi i sam ze sobą głośno gada, a we dnie przez całe godziny naradza się z Harasimowiczem.

– Cóż to za Harasimowicz? – spytał Wołodyjowski.

– To gubernator z Zabłudowa, z Podlasia; niewielka figura i tak wygląda, jakby diabła za pazuchą hodował; ale księcia pana poufny i podobno wszystkie jego arkana znający. Wedle mojej głowy, to okrutna i mściwa wojna ze Szwedem z tych narad wyniknie, do której wojny wszyscy wzdychamy. Tymczasem listy tu latają: od księcia kurlandzkiego, od Chowańskiego i od elektora. Są tacy, którzy powiadają, że książę z Moskwą paktuje, by ją do ligi przeciw Szwedowi wciągnąć; inni, że przeciwnie; ale zdaje się, że z nikim ligi nie będzie, jeno wojna, jak rzekłem, z tymi i z owymi. Wojsk coraz więcej przychodzi, rozpisują listy do szlachty co najwierniejszej dla radziwiłłowskiego domu, aby się zjeżdżała. Wszędy pełno zbrojnego luda... Ej, mości panowie! na kim

się skrupi, na tym się zmiele, ale ręce będziem mieć po łokcie czerwone, bo jak Radziwiłł raz ruszy w pole, to nie będzie żartował.

– Oj, to! oj, to! – rzekł Zagłoba zacierając dłonie. – Przyschło już niemało krwi szwedzkiej na moich rękach i jeszcze niemało przyschnie... Niewielu już tych starych żołnierzy żyje, którzy mnie pod Puckiem i pod Trzcianą pamiętają; ale ci, którzy dotąd żyją, nigdy nie zapomną.

– A księżę Bogusław tu jest? – pytał Wołodyjowski.

– A jakże. Prócz tego dziś spodziewamy się jakichś wielkich gości, bo pokoje górne wyprzątają, a wieczorem ma być bankiet w zamku. Wątpię, Michale, czy się dziś do księcia dostaniesz.

– Samże on mnie na dziś wezwał.

– To nic, ale okrutnie zajęty... Przy tym... nie wiem; czy mogę waszmościom o tym mówić... wszelako za godzinę i tak wszyscy o tym wiedzieć będą... więc powiem... Tu się nadzwyczajne jakieś rzeczy dzieją...

– Co takiego? co takiego? – pytał Zagłoba.

– Owóż trzeba waćpanom wiedzieć, że przed dwoma dniami przyjechał tu pan Judycki, kawaler maltański, o którym musieliście słyszeć.

– A jakże – rzekł Jan – wielki to rycerz!

– Zaraz zaś po nim nadjechał i pan hetman polny Gosiewski. Dziwiliśmy się wielce, bo wiadoma rzecz, w jakiej emulacji i nieprzyjaźni pan hetman polny żyje z naszym księciem. Niektórzy tedy cieszyli się, że zgoda nastąpiła między panami, i mówili, że to ją właśnie inkursja szwedzka sprowadziła. Sam tak myślałem; tymczasem wczoraj zamknęli się we trzech na naradę; pozamykali wszystkie drzwi, nikt nic nie mógł słyszeć; o czym radzili; jeno pan Krepsztuł, któren wartę za drzwiami trzymał, mówił nam, że okrutnie głośno rozprawiali, a zwłaszcza hetman polny. Później sam księżę odprowadził ich do komnat sypialnych, a w nocy, imainujcie sobie (tu pan Charłamp zniżył głos), wartę każdemu przy drzwiach postawili:

Pan Wołodyjowski aż się zerwał z miejsca.

– Na Boga! nie może być!

– A przecież tak jest... Przy jednych i przy drugich drzwiach Szkoci z rusznicami stoją i mają rozkaz pod gardłem nikogo nie wpuszczać i nie wypuszczać...

Rycerze spoglądali na się w zdumieniu, a pan Charłamp nie mniej był zdumiony własnymi słowami i patrzył na nich wytrzeszczając oczy, jakoby czekał od nich wyjaśnienia zagadki.

– To się znaczy, że pan podskarbi w areszt wzięty?... Hetman wielki aresztował polnego? – mówi Zagłoba – co to jest?

– Albo ja wiem. I Judycki, taki rycerz!

– Musieli przecie oficerowie księżęcy mówić ze so-bą o tym, zgadywać powody... Nicześ nie słyszał? – Pytałem jeszcze wczoraj w nocy Harasimowicza...

– I cóż waćpanu powiedział? – pytał Zagłoba.

– Nic nie chciał mówić, jeno palec na gębie poło” i rzekł: „To zdrajcy!”

– Jak to zdrajcy?... jak. to zdrajcy? – wołał biorąc się za głowę Wołodyjowski. – Ani pan podskarbi Gosiewski nie zdrajca, ani pan Judycki nie zdrajca Toż ich cała Rzeczpospolita zna jako zacnych ludzi i ojczyznę kochających.

– Dziś nikomu nie można wierzyć – odparł posep– nie Stanisław Skrzetuski. – Albo to Krzysztof Opa– liński nie uchodził za Katona? Alboż nie wyrze innym przywar, występków, prywaty?... A gdy przy– szło co do czego, pierwszy zdradził, i nie własną tylko osobę, ale całą prowincję do zdrady pociągnął.

– Ależ ja za pana podskarbiego i za pana Judy– ckiego głowę daję! – wołał Wołodyjowski.

– Nie dawaj, Michałku, głowy za nikogo – o rzekł Zagłoba. – Jużci, nie bez kozery ich aresztowano. Musieli w jakieś konszachty wchodzić, nie mo– że inaczej być... Jak to? księżę gotuje się na wojnę okrutną i każda pomoc mu miła... Kogoż więc może w takiej chwili w areszt brać, jeśli nie tych, co mu do` wojny przeszkadzają?... Co jeśli tak jest, jeśli ci dwaj panowie istotnie przeszkadzali, to chwała Bogu, że ich uprzedzono. Warci w podziemiu siedzieć... Ha! szelmy!... W takiej

chwili praktyki czynić, z nieprzyjacielem się znosić, na ojczyznę nastawać, wielkiemu wojownikowi w imprezie przeszkadzać! Na Matkę Najświętszą, mało i tego, co ich spotkało!

– Dziwy to są, takie dziwy, że w głowie się nie chcą pomieścić – rzekł Charłamp – bo już pominąwszy, że to tak wielcy dygnitarze, aresztowano ich bez sądu, bez sejmu, bez woli Rzeczypospolitej całej, czego i sam król nie ma prawa czynić.

– Jako żywo! – zakrzyknął pan Michał.

– Widać księżę jegomość rzymskie chce u nas zaprowadzić zwyczaje – rzekł Stanisław Skrzetuski – i dyktatorem w czasie wojny zostać.

– A niech będzie i dyktatorem, byle Szwedów bił – odpowiedział Zagłoba. – Ja pierwszy *votum* za tym daję, aby mu dyktatura została powierzona.

Jan Skrzetuski zamyślił się i rzekł po chwili:

– Byle nie chciał zostać protektorem jako ów Angielczyk Kromwel, któren na pana własnego nie wahał się świętokradzkiej ręki podnieść.

– Ba, Kromwel! Kromwel heretyk! – zakrzyknął Zagłoba.

– A księżę wojewoda? – spytał poważnie pan Jan Skrzetuski.

Na to umilkli wszyscy i ze strachem przez chwilę patrzyli w przyszłość ciemną, tylko pan Charłamp nasrożył się zaraz i rzekł:

– Służyłem pod księciem wojewodą z młodych lat, choć małym młodszy od niego, bo naprzód, młodzikiem jeszcze, był moim – rotmistrzem, potem hetmanem polnym, a dziś jest wielkim. Znam go lepiej od waćpanów, a zarazem czczę i miłuję, dlatego proszę, nie równajcie go z Kromwelem, abym zaś nie musiał wam na to powiedzieć czegoś, czego mi, jako gospodarzowi w tej izbie, mówić nie wypada...

Tu pan Charłamp począł okrutnie wąsiskami ruszać i trochę spode łba spoglądać na pana Jana Skrzetuskiego, co widząc pan Wołodyjowski utkwiał znów w pana Charłampa wzrok zimny i bystry, jakby mu chciał rzec:

– Warknij no tylko!

Wąsał pomiarkował się zatem natychmiast, bo pana Michała miał w nadzwyczajnej estymie, a zresztą niebezpiecznie było się z nim gniewać, więc mówił dalej tonem daleko już łagodniejszym:

– Kalwin księżę jest, ale przecie wiary prawdziwej dla błędów nie porzucił, jeno się w nich urodził. Nigdy on nie zostanie ani Kromwelem, ani Radziejowskim, ani Opalińskim, choćby Kiejdany miały się w ziemię zapaść. Nie taka to krew, nie taki to ród!

– Jeśli jest diabłem i ma rogi na głowie – rzekł pan Zagłoba – to tym lepiej, bo będzie miał czym Szwedów bóć.

– Ale że pan Gosiewski i pan kawaler Judycki aresztowani?... no, no! – mówił kręcąc głową Wołodyjowski. – Nie bardzo księżę na swych gości, którzy mu zaufali, łaskaw.

– Co mówisz, Michale! – odparł Charłamp. Tak łaskaw, jak nigdy w życiu nie był... Ojciec to teraz prawdziwy dla rycerstwa. Pamiętasz, jak to dawniej miał wiecznie kozła na czole, a w gębie jedno słowo: „służba!” Większy strach brał zbliżyć się do jego majestatu niż do królewskiego – a dziś każdego dnia między porucznikami i towarzystwem chodzi, a rozmawia, a każdego pyta o rodzinę, o dzieci, o fortunę i po nazwisku każdemu mówi, a rozpytuje, czy się komu w służbie krzywda nie dzieje. On, który pomiędzy największymi panami nie chce mieć równych, wczoraj – nie! onegdaj! – chodził pod rękę z młodym Kmicicem, ażeśmy wszyscy oczom wierzyć nie chcieli, bo choć wielki to ród Kmicica, ale to całkiem młodziak i podobno siła grawaminów na nim ciąży, o czym ty wiesz najlepiej.

– Wiem, wiem – rzekł Wołodyjowski. – To Kmicic dawno tu jest?

– Teraz go nie ma, bo wczoraj pojechał do Czejkiszek po regiment piechoty, który tam stoi. Nikt teraz nie: jest w takich faworach u księcia, jak Kmicic. Gdy odjeżdżał, księżę spoglądał za nim przez chwałę; a potem rzekł: „Do wszystkiego ten to człowiek . i gotów samego diabła za ogon przytrzymać, gdy mu każe!” Słyszeliśmy to na własne uszy. Prawda, że -taką chorągiew Kmicic przyprowadził, jakiej drugiej w całym wojsku nie masz. Ludzie i konie jak smoki:



– Nie. ma co i gadać, dzielny to żołnierz i naprawdę gotów na wszystko! – odrzekł pan Michał.

– Cudów ponoć dokazywał w ostatniej wojnie, aż cenę na jego głowę nałożono, bo wolentarzami dowodził i na własną rękę wojował.

Dalszą rozmowę przerwało wejście nowej postaci. Był to: szlachcic lat około czterdziestu, mały, suchy, ruchliwy, wijący się jak piskorz, z drobną twarzą, cienkimi wargami, porośniętymi rzadkim wąsem, i trochę kosymi oczyma. Ubrany był tylko w żupan drelichowy. z tak długimi rękawami, że zupełnie pokrywały mu dłonie. Wszedłszy zgiął się we dwoje, potem wyprostował się nagle jakby sprężyną podrzucony, potem: znów schylił się w niskim ukłonie, zakręcił głową; jakby ją wydobywał spod własnej pachy, i zaczął mówić szybko, głosem przypominającym skrzywienie. zardzewiałej chorągiewki:

– Czołem, panie Charłamp, czołem, ach! czołem, panie pułkowniku, najniższy sługa!

– Czołem, panie Harasimowicz – odrzekł Charłamp. – A czego to waść życzysz?

– Bóg dał gości, znamienitych gości! Przyszedłem służb; ofiarować i o godność spytać.

– Zali do ciebie przyjechali, panie Harasimowicz?

– Pewnie, że nie do mnie, bom tego i niegodzien... Ale:że to marszałka nieobecnego zastępuję, więc przyszedłem powitać; nisko powitać!

– Daleko waćpanu do marszałka – odrzekł Charłamp . – bo marszałek jest personat i posesjonat, a waćpan sobie, z przeproszeniem, podstarości zabłudowski.

– Sługa sług radziwiłowskich! Tak jest, panie Charłamp. Nie zapieram, Boże mnie chroń... Ale księżę dowiedziawszy się o gościach przysłał mnie pytać, co za jedni, więc waść odpowiesz, panie Charłamp, odpowiesz zaraz, choćbym był nawet hajdukiem, nie tylko podstarościem zabłudowskim.

– Nawet i małpie bym odpowiedział, gdyby do mnie z rozkazem przysła – rzekł nosacz. – Słuchaj więc waść i zakonotuj sobie nazwiska, jeśli ci głowy nie staje, aby spamiętać. To jest pan Skrzetuski, ów zbarańczyk, i jego stryjeczny, Stanisław.

– Wielki Boże, co słyszę! – zakrzyknął Harasimowicz.

– To pan Zagłoba.

– Wielki Boże! co słyszę!...

– Jeśli się waćpan tak skonfundował usłyszawszy moje nazwisko – rzekł Zagłoba – zrozum, jak nieprzyjaciele w polu muszą się konfundować.

– A to pan pułkownik Wołodyjowski – dokończył Charłamp.

– I to głośna szabla, a przy tym radziwiłowska rzekł z ukłonem Harasimowicz. – Księciu panu głowa pęka od roboty, ale przecie dla takich rycerzy znajdzie czas, niezawodnie znajdzie... Tymczasem, czym można służyć waszmościom? Cały zamek na usługi miłych gości i piwniczka także.

– Słyszeliśmy o sławnych miodach kiejdańskich – rzekł pospiesznie Zagłoba.

– A tak! – odrzekł Harasimawicz – sławne miody w Kiejdanach, sławne! Zaraz tu przyślę do wyboru. Mam nadzieję, że waszmościowie dobrodzieje dłużej tu zabawicie.

– Po to my tu i przyjechali, żeby od boku księcia wojewody nie odstępować – rzekł pan Stanisław.

– Chwalebna intencja waszmościów, tym chwalebniejsza, że takie ciężkie czasy idą.

To rzekłszy Harasimowicz skurczył się i stał się tak mały, jakby go łokieć ubyło.

– Co słyhać? – pytał pan Charłamp. – Są jakie nowiny?

– Księżę oka całą noc nie zmrzył, bo przyjechało dwóch posłańców. Żle słyhać i coraz gorzej. Carolus Gustavus już wszedł za Wittenbergiem do Rzeczypospolitej; Poznań już zajęty, cała Wielkopolska zajęta, Mazowsze wkrótce będzie zajęte; Szwedzi już są w Łowiczą, tuż pod Warszawą. Nasz król uciekł z Warszawy, którą bez obrony zostawił. Dziś, jutro Szwedzi do niej wejdą. Mówią, że i bitwę znaczną przegrał, że do Krakowa chce umykać, a stamtąd do cudzych krajów, o pomoc prosić. Żle, mości panowie dobrodzieje! Choć są tacy, którzy mówią, że to dobrze; bo Szwedzi żadnych gwałtów nie czynią, umów święcie dochowują, podatków nie wybierają, wolności obserwują, w wierze przeszkody nie czynią. Dlatego to wszyscy chętnie przyjmują protekcję

Karola Gustawa... Zawinił bo nasz pan, Jan Kazimierz, srodze zawinił... Przepadło już wszystko dla niego, przepadło!... Płakać się chce, ale przepadło, przepadło!

– Czego się waćpan, u diabła, tak wijesz jak piskorz, gdy go w garnek kładą! – huknął Zagłoba i o nieszczęściu mówisz, jakbyś był z niego rad?

Harasimowicz udał, że nie słyszy, i wzniosłszy oczy w górę, powtórzył jeszcze kilkakrotnie:

– Przepadło wszystko, na wieki przepadło!... Trzem wojnam nie oprze się Rzeczpospolita... Przepadło!... Wola boska!... Wola boska!... Jeden nasz książę może Litwę ocalić...

Złowrogie słowa jeszcze nie przebrzmiały, gdy Harasimowicz zniknął tak szybko za drzwiami, jakby się w ziemię zapadł, a rycerze siedzieli posepnie, brzemieniem strasznych wieści przygniecenii.

– Zwariować przyjdzie! – zakrzyknął wreszcie Wołodyjowski.

– Słusznie waćpan mówisz – rzekł Stanisław. Dajże Boże wojnę, wojnę jak najprędzej, w której człowiek w domysłach się nie gubi, duszy w desperację nie podaje, jeno się bije.

– Przyjdzie żałować pierwszych czasów Chmielnickiego: – rzekł Zagłoba – bo wtedy były kłęski, ale zdrajców przynajmniej nie było.

– Takie straszne trzy wojny, gdy po prawdzie na jedną sił nam brak! – rzekł Stanisław.

– Nam nie sił brak, jeno ducha. Niecnotą ginie ojczyzna. Daj Bóg, abyśmy się tu czego lepszego doczekali – mówił posepnie pan Jan.

– Nie odetchnę, aż w polu – rzekł Stanisław.

– Żeby to już prędzej tego księcia zobaczyć! – zakrzyknął Zagłoba.

Życzenia jego sprawdziły się niebawem, gdyż po godzanie czasu przyszedł znów pan Harasimowicz z niższymi jeszcze ukłonami i z oznajmieniem, że książę pilno żąda widzieć ichmościów.

Porwali się tedy zaraz, bo już byli przybrani, i poszli. Harasimowicz wyprowadziwszy ich z cekhauzu poprowadził przez dziedziniec, na którym pełno było już wojskowych i szlachty. W niektórych miejscach rozprawiano tłumnie, widocznie nad tymi samymi nowinami, które rycerzom przyniósł podstarości zabłudowski. Na wszystkich twarzach malował się żywy niepokój i jakieś oczekiwanie gorączkowe. Pojedyncze grupy oficerów i szlachty słuchały mówców, którzy, stojąc pośrodku, gestykulowali gwałtownie. Po drodze słyhać było słowa: „Wilno się pali! Wilno spalone!... Ni śladu, ni popiołu! Warszawa wzięta!... Nieprawda, jeszcze nie wzięta!... Szwedzi już w Małopoisce! Sieradzanie opór dadzą!... Nie dadzą! pójdą śladem Wielkopolanów! Zdrada! Nieszczęście! O Boże, Boże! Nie wiadomo, gdzie ręce i szablę wetknąć!”

Takie to słowa, jedne od drugich straszniejsze, odbijały się o uszy rycerzy, a oni szli przeciskając się za Harasimowiczem z trudnością przez wojskowych i szlachtę. Miejscami znajomi witali pana Wołodyjowskiego: „Jak się masz, Michale? Złe z nami! Giniemy! Czołem, mości pułkowniku! A co to za gości prowadzisz do księcia?” – Pan Michał nie odpowiadał chcąc zwłoki uniknąć i tak doszli aż do głównego korpusu zamkowego, w którym janczarowie książęcy, przybrani w kolczugi i olbrzymie białe czapki; straż trzymali.

W sieni i na głównych schodach, obstawionych pomarańczowymi drzewami, ścisł był jeszcze większy niż na podwórzu. Rozprawiano tu o aresztowaniu: Gosiewskiego i kawalera Judyckiego, bo rzecz już się była wydała i poruszyła do najwyższego stopnia, umysły. Zdumiewano się, gubiono w przypuszczeniach, oburzano się lub chwalono książęcą przezorność; wszyscy zaś spodziewali się usłyszeć wyjaśnienie zagadki z ust samego księcia, dlatego rzeka głów płynęła po szerokich schodach na górę, do sali audiencjonalnej, w której w tej chwili książę przyjmował pułkowników i znakomitszą szlachtę. Trabanci rozstawieni wzdłuż kamiennych poręczy pilnowali, aby nie było zbyt wielkiego tłoku, powtarzając co chwila: „Z wolna, mości panowie! z wolna!” – a tłum posuwał się lub zatrzymywał chwilami, gdy trabant zagradzał drogę halabardą, aby idący naprzód mieli czas wejść do sali.

Na koniec lazurowe sklepienia sali zabłyły przez otwarte drzwi i nasi znajomi weszli. Wzrok ich padł naprzód na wzniesienie ustawione w głębi sali zajęte przez świetny orszak rycerstwa i panów w pysznych, różnobarwnych strojach. Na przedzie stało puste krzesło, wysunięte więcej od

innych, z wysokim tylnym oparciem zakończonym złoconą mitrą książęcą, spod której spływał na dół amarantowy aksamit obramowany gronostajami.

Książca nie było jeszcze w sali, ale Harasimowicz, wiodąc ciągle za sobą rycerzy, przecisnął się przez zebraną szlachtę aż do małych drzwi ukrytych w ścianie obok wzniesienia; tam kazał się im zatrzymać, a sam zniknął za drzwiami.

Po chwili wrócił z doniesieniem, że książę prosi.

Dwaj Skrzetuscy z Zagłobą i Wołodyjowskim weszli teraz do niewielkiej komnatki, bardzo widnej, obitej skórą wytłaczaną w złociste kwiaty, i zatrzymali się widząc w głębi, za stołem pokrytym papierami, dwóch ludzi pilną zajętych rozmową. Jeden z nich, młody jeszcze, przybrany w strój cudzoziemski i perukę o długich lokach spadających na ramiona, szeptał coś do ucha starszego towarzysza, ten zaś słuchał ze zmarszczoną brwią i kiwał od czasu do czasu głową, tak zajęty przedmiotem rozmowy, że nie zwrócił zrazu uwagi na przybyłych.

Był to człowiek czterdziestokilkoletni, postaci olbrzymiej i barczysty. Ubrany był w strój szkarłatny polski, spięty pod szyją kosztownymi agrafami. Twarz miał ogromną, o rysach, z których biła pycha, powaga i potęga. Była to gniewliwa, lwia twarz wojownika i władcy zarazem. Długie, zwieszające się w dół wąsy nadawały jej wyraz posepny i cała w swej potędze i ogromie była jakby wykuta wielkimi uderzeniami młota z marmuru. Brwi miał w tej chwili zmarszczone z powodu natężonej uwagi, ale zgadłeś łatwo, że gdy je zmarszczy gniew, wówczas biada tym ludziom, tym wojskom, na których gromy owego gniewu spadną.

Było coś tak wielkiego w tej postaci, że patrzącym na nią rycerzom wydawało się, iż nie tylko owa komnata, ale i cały zamek dla niej za ciasny; jakoż nie myliło ich pierwsze wrażenie, albowiem siedział przed nimi Janusz Radziwiłł, książę na Birżach i Dubinkach, wojewoda wileński i hetman wielki litewski, pan tak potężny i dumny, że mu było w całej niezmiernej fortunie, we wszystkich godnościach, ba! nawet na Żmudzi i w Litwie za ciasno.

Młodszy jego towarzysz, w długiej peruce i w cudzoziemskim stroju, był to książę Bogusław, stryjeczny Janusza, koniuszy Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Przez chwilę szeptał on jeszcze coś do ucha hetmana, na koniec rzekł głośno:

– Zostawiam więc swój podpis na dokumencie i wyjeżdżam.

– Skoro nie może być inaczej, to jedź wasza książęca mość – rzekł Janusz – choć wolałbym, żebyś został, bo nie wiadomo, co się stać może.

– Wasza książęca mość obmyśliłeś wszystko jak należy, zaś tam pilniej trzeba w sprawy wejrzeć, a zatem Bogu waszą książęcą mość polecam.

– Niech Bóg ma w opiece cały nasz dom i chwały mu przyczyni.

– *Adieu, mon frère.*

– *Adieu.*

Dwaj książęta podali sobie ręce, po czym koniuszy wyszedł śpiesznie, a hetman wielki zwrócił się do przybyłych.

– Wybaczcie, waszmościowie, że pozwoliłem czekać – rzekł niskim, powolnym głosem – ale teraz i uwaga, i czas rozerwane na wszystkie strony. Słyszałem już nazwiska waszmościów i ucieszyłem się z duszy, że Bóg w takich chwilach zsyła mi takich rycerzy. Siadajcież, mili goście. Który z waszmościów jest pan Jan Skrzetuski?

– Jam jest, do usług waszej książęcej mości rzekł Jan.

– To waszmość jesteście starostą... bogdajże cię... zapomniałem...

– Żadnym starostą nie jestem – odrzekł Jan.

– Jak to? – rzekł książę marszcząc swe potężne brwi – waści nie dali starostwa za to, coś pod Zbarażem uczynił?

– Nigdy o to nie zabiegał.

– Bo ci powinni byli dać bez starania. Jak to? Co waćpan mówisz? Niczymć nie nagrodzono? Zapomniano zgoła? To mi i dziwno. Ale ba! źle mówię, nie powinno to nikogo dziwić, bo teraz tacy tylko otrzymują nagrody, którzy mają grzbiet wierzbowy, łatwo się gnący. Waszmość nie je-

steś starostą, proszę!... Niechże Bogu będą dzięki, żeś tu przyjechał, bo tu nie mamy tak krótkiej pamięci i żadna zasługa nie pozostanie bez nagrody – jako i twoja, mości pułkowniku Wołodyjowski.

– Na nic jeszcze nie zasłużyłem...

– Zostaw to mnie, a tymczasem weź ten dokument, w Rosieniach już roborowany, którym-ci Dydkiemie w dożywocie puszcza. Niezły to kawał ziemi i sto pługów wychodzi w nim co wiosną orać. Weźże i to, bo nie mogę dać więcej, a powiedz panu Skrzetuskiemu, że Radziwiłł nie zapomina swych przyjaciół ani tych, którzy ojczyźnie pod jego wodzą oddali usługi.

– Wasza książęca mość... – wyjąkał zmieszany pan Michał.

– Nie mów nic i wybaczej, że tak mało, ale powiedz, powiedz ichmościom, że nie zginie, kto swoją fortunę na zło i na dobro z radziwiłłowską połączy, Nie jestem królem, ale – gdybym nim był – Bóg mi świadek, że nie zapomnielibym nigdy takiego Jana Skrzetuskiego ani takiego Zagłoby...

– To ja! – rzekł Zagłoba wysuwając się rażno naprzód, bo już go to niecierpliwić zaczynało, że nie było o nim dotąd wzmianki.

– Zgaduję, że to waszmość, gdyż mi powiadano, żeś człek w lata podeszły.

– Do szkół z dostojnym rodzicem waszej książęcej mości chodziłem, a jako rycerska w nim była od dzieciństwa inklinacja, przeto mnie do poufałości przypuszczał, bo i ja wolałem dzidkę od łaciny.

Panu Stanisławowi Skrzetuskiemu, który Zagłobę mniej znał, dziwno to było słyszeć, gdyż wczorajszego jeszcze dnia Zagłoba mówił w Upicie, że nie z nieboszczykiem księciem Krzysztofem, ale z samym Januszem do szkół chodził, co było niepodobne, bo książę Janusz znacznie był młodszy.

– No, proszę – rzekł książę – to waćpan z Litwy rodem?

– Z Litwy! – odrzekł bez zająknięcia pan Zagłoba.

– To zgaduję, żeś i waszmość żadnej nagrody nie otrzymał, bo my, Litwini, już przywykli do tego, że nas niewdzięcznością karmią... Dla Boga! gdybym waszmościom to dał, co im się słusznie należy, tedyby dla mnie samego nic nie zostało. Ale taki to los! My niesiem krew, życie, fortuny i nikt nam za to głową nie kiwnie. Ha? trudno? jakie ziarno sieją, taki plon będą zbierali... Tak każe Bóg i sprawiedliwość... Waćpanże to usiekłeś przesławnego Burląja i ściągnęś trzy głowy pod Zbarażem?

– Burląja ja usiekłem, wasza książęca mość rzekł Zagłoba – bo powiadali, że z nim się żaden człowiek mierzyć nie może, więc chciałem pokazać młodszym, że męstwo nie całkiem jeszcze wygasło w Rzeczypospolitej... A co do trzech głów, mogło 'się to w gęstwie bitwy przytrafić... ale pod Zbarażem uczynił to kto inny.

Książę zamilkł na chwilę, po czym odezwał się znowu:

– Zali nie bolesna waszmościom ta wzgarda; jaką wam zapłacono?

– Co czynić, wasza książęca mość, choć człowiekowi i markotno! – odparł Zagłoba.

– Pocieszcie się, bo się to musi zmienić... Już za to, żeście tu przyjechali, dłużnikiem waszym jestem, a chociażem nie król, przecie się u mnie na obietnicach nie kończy.

– Wasza książęca mość – rzekł na to żywo i trochę dumnie pan Skrzetuski – nie po nagrody i fortuny my tu przyjechali... Jeno że nieprzyjaciel n szedł ojczyznę, więc chcemy jej zdrowiem naszym iść w pomoc pod wodzą tak wsławionego wojownika. Brat mój, Stanisław, patrzył pod Ujściem na bojażń; nieład, hańbę i zdradę, a w końcu na triumf nieprzyjaciela. Tu pod wielkim wodzem i wiernym obrońcą ojczyzny i majestatu służyć będziemy. Tu nie wiktorie, nie triumfy, ale klęski i śmierć czekają na wieprzyjaciół... Ot, dlaczego służby nasze waszej książęcej mości przybyliśmy ofiarować. My, żołnierze, bić się chcemy, i pilno nam do boju.

– Jeśli taka wasza chęć, tedy i w niej będziecie mieli ukontentowanie – odparł książę poważnie. Nie będziecie długo czekali, choć naprzód na innego nieprzyjaciela ruszymy, bo nam popioły wileńskie pomścić trzeba. Dziś, jutro ruszymy w tamtą stronę i da Bóg, z nawiązką krzywdy zapła-

cim... Nie zatrzymuję dłużej waszmościów, bo i wy wypoczynku potrzebujecie, i mnie robota pali. A przyjdźcieże wieczorem na pokoje, może się i jaka słuszna zabawa przed pochodem zdarzy, bo siła białogłów pod nasze skrzydła do Kiejdan się przed wojną zjechało. Mości pułkownika Wołodyjowski, podejmujże drogich gości jakoby w domu własnym i pamiętajcie, że co moje, to i wasze!... Panie Harasimowicz, powiedz tam w sali zebranych panom braciom, że nie wyjdę, bo czasu nie mam, a dziś wieczór dowiedzą się wszystkiego, co chcą wiedzieć... Bądźcie waszmościowie zdrowi i bądźcie Radziwiłłowi przyjaciółmi, gdyż mu siła teraz na tym zależy.

To rzekłszy ów potężny i dumny pan począł podawać z kolei rękę panu Zagłobie, dwom Skrzetuskim, Wołodyjowskiemu i Charłampowi, jakby sobie równym. Posępne oblicze rozjaśniło mu się serdecznym i łaskawym uśmiechem i owa nieprzystępność, otaczająca go zwykle jakoby ciemną chmurą, znikła zupełnie.

– To wódz! to wojownik! – mówił Stanisław, gdy z powrotem przeciskali się przez tłum szlachty zebrany w sali audiencjonalnej.

– W ogień bym za niego poszedł! – zawołał Zagłoba. – Uważaliście, jak wszystkie moje przewagi na pamięć umie?... Ciepło będzie Szwedom, gdy ten lew zaryczy, a ja mu zawtóruję. Nie masz takiego drugiego pana w Rzeczypospolitej, a z dawnych jeden tylko ksiązę Jeremi, a drugi pan Konięcpolski ojciec mogli z nim wejść w paragon. To nie lada kasztelanina, co to pierwszy z rodu na senatorskim krześle zasiadł i hajdawerów jeszcze sobie na nim nie wytarł, a już nosa zadziera i szlachtę młodszą bracią nazywa, i swój konterfekt zaraz każe malować, aby nawet jedząc miał swoje senatorstwo przed sobą, gdy się go za sobą dopatrzeć nie może... Panie Michale, doszedłeś do fortuny!... Już tak widać jest, że kto się o Radziwiłła otrze, ten sobie wytarty kubrak zaraz ozłoci. Łatwiej tu, widzę, o promocję niż u nas o kwartę gniłek. Wsadzisz rękę w wodę z zamkniętymi oczami i już szczupaka dzierzysz. To mi pan z panów! Szczęść ci Boże, panie Michale. Skonfundowałeś się jak panna po ślubie; ale to nic!... Jakże się to twoje dożywocie nazywa? Dudkowo czy jak?... Pogańskie nazwy w tej krainie. Jak orzechami o ścianę rzucisz, to właśnie imię wioski albo szlachcica uczynisz. Ale byle intrata była dobra, to nie żal i jezór sobie wystrzepić.

– Skonfundowałem się okrutnie, przyznaję – rzecze pan Michał – bo to, co waćpan mówisz, że tu tak o promocję łatwo, to nieprawda. Nieraz ja słyszałem starych żołnierzy pomawiających księcia o awarycję, a teraz zaczynają się niespodzianie łaski sypać jedna za drugą.

– Zatknijże sobie ten dokument za pas, uczyni to dla mnie... A jeżeli ktoś jeszcze będzie na niewdzięczność księżęcą narzekał, to go zza pasa wyciągnij i daj mu nim w pysk. Lepszego argumentu nie znajdziesz.

– Jedno widzę jasno, że ksiązę sobie ludzi kaptuje – rzekł Jan Skrzetuski – i że chyba jakieś zamiary tworzy, do których mu pomoc potrzebna.

– Alboż to nie słyszał o tych zamiarach? – odrzekł. Zagłoba. – Alboż to nie powiedział, że mamy iść popioły wileńskie pomścić?... Powiadali na niego, że Wilno zrabował, a on chce pokazać, że nie tylko cudzego nie potrzebuje, ale i swoje gotów jeszcze oddać... Piękna to ambicja, panie Janie. Daj nam Boże więcej takich senatorów!

Tak rozmawiając znaleźli się znowu na dziedzińcu zamkowym, na który wjeżdżały co chwila to oddziały konnych wojsk, to gromady zbrojnej szlachty, to kolaski wiozące personatów okolicznych z żonami i dziećmi. Postrzegłszy to pan Michał pociągnął wszystkich ze sobą do bramy, aby się wjeżdżającym przyparywać.

– Kto wie, panie Michale, dziś twój fortunny dzień... Może tu i żona dla ciebie pomiędzy tymi szlachciankami jedzie – rzekł pan Zagłoba. – Obacz! ot, jakaś kolaska odkryta się tu zbliża, a w niej coś białego siedzi...

– Nie panna to jeszcze jedzie, ale ten, który mi może ślub z nią dać – odrzekł bystrooki pan Wołodyjowski – gdyż z daleka poznaję, że to ksiądz biskup Parczewski nadjeżdża z księdzem Białozorem, archidiaconem wileńskim.

– Zali oni księcia, choć kalwina, odwiedzają?

Cóż mają czynić? Gdy tego potrzeba dla praw publicznych, muszą ze sobą politykować.

– Ej, rojno też tu! ej, gwarno! – rzekł z radością pan Zagłoba. = Człowiek już zardzewiał na wsi jak stary klucz w zamku... Tu się lepsze czasy przypomną. Szelmą jestem, jeżeli dzisiaj do jakiej dziewczki-gładyszki w zaloty się nie puszczę!

Dalsze słowa pana Zagłoby przerwali żołnierze trzymający straż w bramie, którzy, wypadłszy z odwachu, stanęli w dwa szeregi na przyjęcie księdza biskupa; on zaś przejechał czyniąc krzyż ręką na obie strony, błogosławiąc żołnierzy i zebraną w pobliżu szlachtę.

– Polityczny to pan, książę – rzekł Zagłoba – że tak księdza biskupa honoruje, chociaż sam zwierzchności kościelnej nie uznaje. Dałby Bóg, żeby to był pierwszy krok do nawrócenia.

– E! nie będzie z tego nic. Niemal o to starali czyniła pierwsza jego żona i nic nie wskórała, 'aż umarła ze zmartwienia... Ale czemu to Szkoty z warty nie schodzą? Widać, znowu ktoś godny będzie przejeżdżał.

Jakoż w dalekości ukazał się cały orszak zbrojnych żołnierzy.

– To dragony Ganchofa, poznaję – rzekł Wołodyjowski – ale jakieś karety w środku idą!

Wtem bębny poczęły warczeć.

– Oho! to, widać, ktoś większy od księdza biskupa zmudzkiego! – zawołał Zagłoba.

– Czekaj waść, już są.

– Dwie karety w pośrodku.

– Tak jest. W pierwszej to pan Korf, wojewoda wendeński.

– Jakże! – zakrzyknął Jan – to znajomy ze Zbaraża....

Jakoż wojewoda poznał ich, a najpierwej Wołodyjowskiego, którego widocznie częściej widywał; więc przejeżdżając wychylił się z kolaski i zakrzyknął:

– Witam waszmościów, starzy towarzysze!... Ot, gości wieziem!

W drugiej karecie, z herbami księcia Janusza, zaprzężonej w cztery białe ogiery, siedziało dwóch panów wspaniałej postaci, ubranych z cudzoziemska, w kapelusze o szerokich koliskach, spod których jasne pukle Peruk spływały im aż na ramiona, na koronkowe szerokie kołnierze. Jeden, bardzo otyły, nosił spiczastą płową brodę i wąsy rozstrzępione na końcach i podniesione do góry; drugi, młodszy, ubrany całkiem czarno, mniej rycerską miał postawę, ale może wyższy jeszcze urząd, gdyż na szyi błyszczał mu złoty łańcuch zakończony jakimś orderem. Obaj widocznie byli cudzoziemcami, spoglądali bowiem ciekawie na zamek, na ludzi i na ubiory.

– Co za diabły? – pytał Zagłoba.

– Nie znam ich, nigdy nie widziałem! – odrzekł Wołodyjowski.

Wtem karoca przejechała i poczęła okrążyć dziedziniec; by zajechać przed główny korpus zamkowy, dragoni: zaś zatrzymali się przed bramą.

Wołodyjowski poznał dowodzącego nimi oficera.

– Tokarzewicz! – zakrzyknął – a bywaj no waszmość!

– Czołem, mości pułkowniku!

– A jakich to szóldrów wieziecie? – To Szwedzi.

– Szwedzi?

– Tak jest, i znaczni ludzie. Ten gruby to hrabia Loewenhaupt, a ów cieńszy to Benedykt Shitte baron von Duderhoff.

– Duderhoff? – rzekł Zagłoba.

– A czego oni tutaj chcą? – pytał pan Wołodyjowski.

– Bóg ich wie! – odpowiedział oficer. – My ich' od Birz eskortujem. Pewnie paktować z naszym księciem przyjechali, bo tam w Birzach słyszeliśmy, że książę wielkie wojsko zbiera i że ma Inflanty najeżdżać.

– Ha, szelmy, tchórz was oblatuje! – wołał Zagłoba. – To Wielkopolskę najeżdżacie, króla rugujecie, a tu kłaniacie się Radziwiłłowi, by was w In- v flanty nie polechtał. Poczekajcie! będziecie zmykać do waszych Duderhoffów, aż wam pończochy opadną! , Zaraz my tu z wami podunderujemy. Niech żyje Radziwiłł!

– Niech żyje! – powtórzyła stojąca przy bramie szlachta.

– *Defensor patriae!* obrońca nasz! Na Szweda, mości panowie! na Szweda!

Uczyniło się koło. Coraz więcej szlachty zbierało się z dziedzińca, co widząc Zagłoba skoczył na wystający cokół bramy i począł wołać:

– Mości panowie, słuchajcie! Kto mnie nie zna, temu powiem, zem jest stary zbarańczyk, który Burlaja, największego hetmana po Chmielnickim, tą oto starą ręką usiekł; kto zaś nie słyszał o Zagłobie, ten, widać, czasu pierwszej kozackiej wojny groch łuszczył, kury macał albo cieleta pasał, czego po tak zacnych kawalerach się nie spodziewam.

– Wielki to rycerz! – ozwały się liczne głosy. Nie masz w Rzeczypospolitej większego!... Słuchajcie!

– Słuchajcie, mości panowie! Starym kościom chciało się wypoczynku; lepiej by mi było po piekarniach się wylegać, twaróg ze śmietaną jadać, po sadach chodzić i jabłka zbierać albo, ręce w tył założywszy, nad żniwakami stać lub dziewczki po łopatkach poklepywać. Pewnie i nieprzyjaciel byłby mnie dla własnego dobra ostawił w spokoju, bo i Szwedzi, i Kozacy wiedzą, że mam rękę przyciężką, i dałby Bóg, aby moje imię tak było znane waćpanom, jak *hostibus* jest znane.

– A co to za kur tak górnje pieje? – spytał nagle jakiś głos.

– Nie przerywaj! bodaj cię zabito! – wołali inni. Lecz Zagłoba dosłyszał.

– Wybaczcie, waćpanowie, temu kogutkowi! – zakrzyknął – bo on jeszcze nie wie, z której strony ogon, a z której głowa.

Szlachta wybuchnęła ogromnym śmiechem, a zmieszany preopinant cofał się prędzej poza tłum, aby ujść szyderstw, które poczęły się sypać na jego głowę.

– Wracam do materii! – mówił Zagłoba. — Owóż, *repeto*, należałby mi się wypoczynek, ale że ojczyzna w paroksyzmie, że nieprzyjaciel depce naszą ziemię, przetom tu jest, mości panowie, aby razem z wami oponować się *hostibus* w imię tej matki, która nas wszystkich wykarmiła. Kto przy niej dziś nie stanie, kto jej na ratunek nie pobieży, ten nie syn, ale pasierb, ten niegodzien jej miłości. Ja, stary, idę, niech się dzieje wola boża, a jeśli zginąć przyjdzie, tedy ostatnim tchem będę wołał: „Na Szweda! panowie bracia! na Szweda!...” Poprzysięgnijmy sobie, że nie prędzej j popuścimy szable z dłoni, aż ich z ojczyzny wyżeniem!...

– My i bez przysięg na to gotowi! – zawołały liczne głosy. – Pójdziem, gdzie nas nasz hetman książę poprowadzi; zajedziem, gdzie potrzeba.

– Mości panowie bracia!... Widzieliście, jako dwóch pludraków przyjechało w złocistej karecie. Wiedzą oni, że nie z Radziwiłłem to igrac. Będą za nim po komnatach chodzić i w łokcie go całować, by im dał pokój. Ale książę, mości panowie, od którego z narady wracam, upewnił mnie imieniem całej Litwy, że nic z paktów, nic z pergaminów, jeno wojna i wojna!

– Wojna! wojna! – powtórzyły jak echa głosy słuchaczy.

– Lecz że i wódz – mówił dalej Zagłoba – tym śmielej sobie poczyna, im swoich żołnierzy pewniejszy, okażmy tedy, mości panowie, nasze sentymenta. A nuże! Pójdźmy pod pańskie okna zakrzyknąć: „Hajże na Szweda!” Za mną, mości panowie!

To, rzekłszy zeskoczył z cokołu i ruszył naprzód, a tłum za nim, i tak przyszli pod same okna czyniąc gwar coraz większy, który w końcu zlał się w jeden olbrzymi okrzyk:

– Na Szweda! na Szweda!

Po chwili wypadł z sieni pan Korf, wojewoda wendeński, zmieszany bardzo, za nim Ganchof, pułkownik rajtarów książęcych, i obaj poczęli hamować szlachtę, uciszać, prosić, żeby się rozeszła.

– Na. Boga! – mówił pan Korf – tam na górze aż szyby drżą, a waćpanowie ani wiecie, jakeście się nie w porę-z waszymi okrzykami wybrali. Jakże to możecie postom zniewagi czynić, przykład niekarność dawać! Kto was do tego pobudził?

– Ja! – odrzekł Zagłoba. – Powiedz wasza miłość księciu panu w imieniu nas wszystkich, że go prosimy, aby był twardy, bo do ostatniej kropli krwi gotowiśmy przy nim wytrwać.

– Dziękuję waszmościom w imieniu pana hetmana, dziękuję waszmościom, ale już się rozejdźcie. Rozwagi, mości panowie! Na żywy Bóg, rozwagi, bo ojczyznę do reszty pograżycie! Niedźwiedzią przysługę ojczyźnie oddaje, kto dziś posłów znieważa.

– Co nam do posłów! Chcemy się bić, nie paktować!  
– Cieszy mnie animusz waszmościów! Przyjdzie na to pora niedługo, bogdajże i bardzo prędko. Wypocznijcie teraz przed wyprawą. Pora na gorzałkę i przekąskę! Żle się bić o pustym brzuchu.

– Prawda, jako żywo! – zawołał pierwszy pan Zagłoba:

– Prawda, w sedno utrafił. Skoro książę zna nasze sentymta, to nie mamy tu co robić!

I tłum począł się rozpraszać, największy zaś płynął do oficyn, w których liczne stoły były już zastawione. Pan Zagłoba szedł na czele – pan Korf zaś wraz z pułkownikiem Ganchofem udali się do księcia, który siedział na naradzie z posłami szwedzkimi, z księdzem biskupem Parczewskim, z księdzem Białozorem, z panem Adamem Komorowskim i z panem Aleksandrem Mierzejewskim, dworzaninem króla Jana Kazimierza, czasowo bawiącym w Kiejdanach.

– Kto tam był sprawcą tej wrzawy? – pytał książę, z którego lwiej twarzy gniew jeszcze nie ustąpił.

– To ów szlachcic świeżo przybyły, sławny pan Zagłoba! – odpowiedział wojewoda wendeński.

– Mężny to rycerz – odparł książę – ale za wcześnie mi się rządzić poczyna.

To rzekłszy skinął na pułkownika Ganchofa i począł mu coś szeptać do ucha.

Pan Zagłoba tymczasem, rad z siebie, szedł do sal dolnych uroczystym krokiem, mając przy sobie panów Skrzetuskich i pana Wołodyjowskiego, do których mówił z cicha:

– A co, *amici*? ledwem się pokazał, jużem afekt w tej szlachcie ku ojczyźnie rozbudził. Łatwiejże teraz księciu odprawić z niczym posłów, bo się na nasze suffragia potrzebuje tylko powołać. Nie będzie to, jak myślę, bez nagrody, choć najwięcej mi o honor chodzi. Czegożeś tak stanął, panie Michale, jak skamieniały i oczy utkwieś w oną kolaskę przy bramie?

– To ona! – rzekł ruszając wąsikami pan Michał. — Na Boga żywego, ona sama?

– Kto. taki?

– Billewiczówna...

– Ta, która ci dała rekuzę?

– Tak jest. Patrzcie, waszmościowie, patrzcie! Nie zmarnieźcie tu człeku od żalości?

– A poczekajcie no! – rzekł Zagłoba – trzeba się przyjrzyć.

Kolaska tymczasem, zatoczywszy koło, zbliżyła się do rozmawiających. Siedział w niej okazały szlachcic z siwiejącym wąsem, a obok niego panna Aleksandra, piękna jak zawsze, spokojna i poważna.

Pan Michał utkwiał w nią wzrok rozżalony i skłonił się nisko kapeluszem, ale ona nie dostrzegła go w tłumie. Zagłoba zaś rzekł spoglądając na jej delikatne, szlachetne rysy:

– Pańskie to jakieś dziecko, panie Michale, i za misterna dla żołnierza. Przyznaję, że gładka, ale ja wolę takie, co to i zrazu nie poznasz: armata czy białogłowa?

– Nie wiesz waszmość, kto to przyjechał? – spytał pan Michał stojącego obok szlachcica.

– Jakże nie wiem?! – odparł szlachcic — to pan Tomasz Billewicz, miecznik rosieński. Wszyscy go tu znają, bo to dawny radziwiłłowski sługa i przyjaciel.



## ROZDZIAŁ XIII

Książę nie pokazał się tego dnia szlachcie aż do wieczora, obiadował bowiem z posłami i kilku dygnitarzami, z którymi poprzednio naradę był składał. Przyszły jednak rozkazy do pułkowników, żeby nadworne pułki radziwiłłowskie, a zwłaszcza regimenty piechoty pod cudzoziemskimi oficerami, stały w pogotowiu. W powietrzu pachniało prochem. Zamek, lubo nieobronny, otoczony był wojskiem, jak gdyby pod jego murami miano bitwę stoczyć. Spodziewano się pochodu najpóźniej na jutrzejszy ranek i były tego widome oznaki, niezliczona bowiem czeladź książęca zajęta była ładowaniem na wozy broni, kosztownych sprzętów i książęcego skarbcza.

Harasimowicz opowiadał szlachcie, że wozy pójdą do Tykocina na Podlasie, bo niebezpiecznie by było, aby skarbiec zostawał w nieobronnym kiejdańskim zamku. Przygotowywano i rekwizyta wojenne, które miały iść za wojskiem.

Rozeszły się wieści, że hetman polny Gosiewski dlatego został aresztowany, że nie chciał połączyć swych chorągwi, stojących w Trokach, z radziwiłłowskimi, przeto na jawną zgubę całą wyprawę wystawiał. Zresztą przygotowania do pochodu, ruch wojsk, turkot armat wytaczanych z zamkowego arsenału i ów rozgardiasz towarzyszący zawsze pierwszym chwilom wojennych wypraw odwrócił uwagę w inną stronę i kazał zapomnieć rycerstwu o aresztowaniu pana Gosiewskiego i kawalera Judyckiego.

Obiadująca w olbrzymich dolnych salach oficyn szlachta o niczym nie rozprawiała, jeno o wojnie, o pożarze Wilna, które już dziesięć dni gorzało, coraz sroższym pałac się pożarem, o wieściach z Warszawy, o postęпах Szwedów i o Szwedach samych, przeciw którym, jako przeciw wiarołomcom, napadającym sąsiada wbrew traktatowi, mającemu jeszcze na sześć lat siłę, burzyły się serca, umysły i wzrastała w duszach zawziętość. Wieści o szybkich postęпах, o kapitulacji Ujścia, zalaniu Wielkopolski wraz ze wszystkimi miastami, o grożącym najściu Mazowsza i nieuniknionym wzięciu Warszawy nie tylko nie budziły trwogi, ale przeciwnie, podniecały odwagę i ochotę do boju. Działo się to dlatego, że jasne już były dla wszystkich przyczyny tego szwedzkiego powodzenia. Oto dotychczas nie zetknęli się jeszcze ani razu z wojskiem ani z wodzem prawdziwym. Radziwiłł był pierwszym wojownikiem z rzemiosła, z którym mieli się zmierzyć, a który tymczasem wbudzał absolutną ufność w swe zdolności wojenne w zebranej szlachcie, zwłaszcza że i pułkownicy jego zaręczali, iż pobiją Szwedów w otwartym polu.

– Nie może być inaczej! – mówił pan Michał Stankiewicz, stary i doświadczony żołnierz. – Pamiętam wojny dawniejsze i wiem, że bronili się zawsze w zamkach, w warownych obozach, zza szańczyków; nigdy nie śmieli stawić się nam w otwartym polu, bo się jazdy okrutnie bali, a gdzie dufając w siłę wystąpili, tam słusznie otrzymali ćwiczenie. Nie wiktoria to dała w ich ręce Wielkopolskę, ale zdrada i pospolitego ruszenia niedołęstwo.

– Tak jest! – rzecze pan Zagłoba. – Mdły to naród, bo ziemia tam okrutnie nieurodzajna i chleba nie mają, bo jeno szyszki sosnowe miela, z takiej to mąki podpłomyki czyniąc, które żywicą śmierdzą. Inni nad morzem chodzą i co tylko fala wyrzuci, to żrą, jeszcze się z sobą o owe specjały bijąc. Hołota tam okrutna, dlatego nie masz narodu na cudze łapczywszego, bo nawet Tatarzy końskiego mięsa ad libitum mają, a oni czasem po roku mięsa nie widują i ciągle głodem przymierają, chyba że połów ryb zdarzy się obfity.

Tu Zagłoba zwrócił się do pana Stankiewicza:

– A waszmość to kiedy ze Szwedami się zapoznał?

– Pod księciem Krzysztofem, ojcem terazniejszego pana hetmana.

– A ja pod panem Koniecpolskim, ojcem dzisiejszego chorążego. Srodześmy kilkakroć Gustawa Adolfa w Prusach porazili i jeńców niemałośmy nabrali; tamem ich na wylot przeznał i wszelkie ich sposoby. Nacudowali się nad nimi nasi chłopcy niemało, bo trzeba waszmościom wiedzieć, że Szwedzi, jako to naród ustawicznie w wodzie brodzący i z morza największe ciągnący intraty, nur-

kowie są exquisitissimi. Tośmy się im popisywać kazali – i co waszmościowie na to powiecie: rzucisz szelmę w jedną przerębę, to on ci drugą wypłynie i jeszcze śledzia żywego w pysku trzyma...

– Na Boga, co waszmość mówisz?!

– Niech tu trupem padnę, jeśli tego mało sto razy na własne oczy nie widział i innych dziwnych ich obyczajów. Pamiętam i to, że tak się na pruskim chlebie spaśli, iż potem wracać nie chcieli. Słusznie jegomość pan Stankiewicz mówi, że nietędy z nich żołnierze. Piechotę mają jaką taką, ale jazdę, Boże się pożał, bo koni w ich ojczyźnie nie masz i z młodu nie mogą do jazdy nawyknąć.

– Podobnoć najpierw nie na nich pójdziemy -mówił pan Szczyt – jeno za Wilno pomścić?

– Tak jest. Sam to księciu radziłem, gdy się pytał, co w tej materii myślę – odparł Zagłoba. – Ale skończywszy z jednymi, pójdziemy wnet na drugich. Muszą się tam ci posełkowie pocić.

– Politycznie ich przyjmują – rzekł pan Załęski – ale nic, chudziątka, nie wskórają, a najlepszy dowód – rozkazy wojsku dane.

– Miły Boże, miły Boże! – mówił pan Twarkowski, sędzia rosieński – jak to wraz z niebezpieczeństwami ochoty przybywa... Jużśmy mało nie zdesperowali, z jednym nieprzyjacielem do czynienia mając, a teraz nam na obydwóch.

– Nie może być inaczej = odparł Stankiewicz. Nieraz to bywa, że się pozwolisz bić póty, póki ci cierpliwości nie zbraknie, a potem, ni stąd, ni zowąd, znajdzie się i wigor, i fantazja. Małośmy to ucierpieli, mało przenieśli?!... Spuszczaliśmy się na króla i pospolite ruszenie koronne, na własne siły nie licząc, aż wreszcie mamy wóz i przewóz: trzeba albo obydwóch bić, albo zginąć z kretemsem...

– Bóg nam pomoże! Dostyc tego zwlekania!

– Sztych nam do gardła przyłożyli!

– Przyłożymy im i my! Pokażemy koroniarczykom, jacy to tu żołnierze! Nie będzie u nas Ujścia, jaki Bóg w niebie!

I w miarę kielichów rozgrzewały się czupryny i rosły humory wojenne. Tak nad brzegiem przepaści ostatni wysiłek częstokroć o ocaleniu stanowi. Zrozumiały to te tłumy żołnierzy i owa szlachta, którą tak niedawno jeszcze Jan Kazimierz do Grodna wzywał przez rozpaczliwe uniwersały na pospolite ruszenie. Teraz wszystkie serca, wszystkie umysły zwrócone były ku Radziwiłłowi; wszystkie usta powtarzały to groźne imię, z którym do niedawna zawsze zwycięstwo szło w parze. Jakoż od niego tylko zależało zebrać rozproszone, poruszyć uśpione siły kraju i stanąć na czele potęgi dostatecznej do pomyślnego rozstrzygnięcia obydwóch wojen.

Po obiedzie wzywano do księcia kolejno pułkowników: Mirskiego, który w pancerniej hetmańskiej charągwi porucznikował, a po nim Stankiewicza, Ganchofa, Charłampa, Wołodyjowskiego i Sołłohuba. Zdziwili się trochę starzy żołnierze, że ich pojedynczo, nie wspólnie, na naradę zapraszają; ale miłe to było zdziwienie, każdy bowiem odchodził z jakąś nagrodą, z jakimś widocznym dowodem książęcego faworu; w zamian zaś żądał tylko książę wierności i ufności, które i tak wszyscy z duszy serca mu ofiarowali. Wypytywał się też pan hetman troskliwie, czy pan Kmicieć nie wrócił, i kazał sobie dać znać, gdy wróci.

Jakoż wrócił, ale dopiero późnym wieczorem, gdy już sale były oświetlone i goście poczęli się zbierać. W cekhauzie, dokąd przyszedł się przebrać, zastał pana Wołodyjowskiego i poznał się z resztą kompanii.

– Okrutniem rad, że waszmości widzę i sławnych przyjaciół – rzekł wstrząsając ręką małego rycerza. – Jakobym brata zobaczył! Możesz w to waszmość wierzyć, bo ja symulować nie umiem. Prawda, żeś mnie szpetnie przez łeb przejechał, aleś mnie potem na nogi postawił, czego do śmierci nie zapomnę. Przy wszystkich to mówię, że gdyby nie waszmość, to bym się teraz za kratą kołatał. Bodaj się tacy ludzie na kamieniu rodzili. Kto inaczej myśli, ten kiep, i niech mnie diabeł porwie, jeśli mu uszów nie obetnę

– Daj waść pokój.

– W ogień za waćpanem pójde, bodajem przepadł! Wychodź, kto nie wierzy!

Tu pan Andrzej począł toczyć wyzywającym wzrokiem po oficerach, ale nikt nie zaprzeczył, bo zresztą wszyscy lubili i szanowali pana Michała; jeno Zagłoba rzekł:

– Siarczysty jakiś żołnierz, daj go katu! Widzi mi się, że srodze polubię waćpana za ten afekt do pana Michała, bo mnie się dopiero spytać, ile on wart.

– Więcej niż my wszyscy! – odrzekł Kmicic ze zwykłą sobie porywcznością.

Po czym spojrział na panów Skrzetuskich, na Zagłobę i dodał:

– Przepraszam waszmościów, nie chcę nikomu ubliżyć, bo wiem, żeście cnotliwi ludzie i wielcy rycerze... Nie gniewajcie się, bo ja bym z serca chciał na przyjaźń waćpaństwa zasłużyć.

– Nic nie szkodzi – rzekł Jan Skrzetuski – co w sercu, to w gębie.

– Daj no waćpan pyska! – rzekł pan Zagłoba.

– Nie mnie dwa razy taką rzecz powtarzać!

I padli sobie w objęcia. Po czym pan Kmicic zakrzyknął:

– Musimy dziś podpić, nie może być inaczej!

– Nie mnie dwa razy taką rzecz powtarzać! rzekł jak echo Zagłoba.

– Wymkniemy się wcześniej do cekhauzu, a o napitkach pomyślę.

Pan Michał począł ruszać mocno wąsikami.

„Nie będziesz ty się miał ochoty wymykać — po-myślał sobie w duchu, spoglądając na Kmicica – jeno zobaczysz, kto tam na pokojach dzisiaj będzie...”

I już usta otwierał, aby powiedzieć Kmicicowi, że pan miecznik rosieński z Oleńką przyjechali do Kiejdan, ale zrobiło mu się jakoś mdło na sercu, więc zwrócił rozmowę.

– A waścina chorągiew gdzie jest? – pytał.

– Tu. Gotowiuśka! Był u mnie Harasimowicz i przyniósł mi rozkaz od księcia, by o północy ludzie byli na koniach. Pytałem go, czy to mamy wszyscy ruszać, powiedział: nie!... Nie rozumiem, co to znaczy. Z innych oficerów jedni mają ten sam rozkaz, inni nie mają. Ale piechota cudzoziemska wszystka otrzymała.

– Może część wojsk dziś pójdzie na noc, część jutro – rzekł Jan Skrzetuski.

– W każdym razie ja tu z waszmościami podpisę, a chorągiew niech sobie rusza... Potem w godzinę ją dogonię.

W tej chwili wpadł Harasimowicz.

– Jaśnie wielmożny chorąży orszański! – wołał kłaniając się we drzwiach.

– A co? czy się pali? jestem! – rzekł Kmicic.

– Do księcia pana! do księcia pana!

– Zaraz, jeno szaty zawdzieję. Chłopię! kontusz i pas, bo zetnę!

Pachołek w mig podał resztę ubioru i w kilka minut później pan Kmicic, strojny jak na wesele, ruszył do księcia. Łuna od niego biła, tak wydał się urodziwy. Żupan miał z lamy srebrnej, dierzgany w rzuty gwieździste, od których szedł blask na całą postać, a zapięty wielkim szafirem pod szyją. Na to kontusz z błękitnego aksamitu, pas biały, ceny niezmiernej, tak subtelny, że przez pierścień można go było przewlec. Srebrzysta szabla usiana szafirami zwieszała się u pasa na jedwabnych rapciach, za pas zaś zatknął i buzdygan rotmistrzowski, mający powagę osoby oznaczać. Dziwnie zdołał ten strój młodego rycerza i piękniejszego męża trudno by było w całym tym niezmiernym tłumie zebranych w Kiejdanach znaleźć.

Pan Michał westchnął patrząc na niego i gdy Kmicic zniknął za drzwiami cekhauzu, rzekł do pana Zagłoby:

– Z takim przy białogłowie ani rady!

– Ujmij mi jeno trzydzieści lat! – rzekł Zagłoba.

Książę już był także ubrany, gdy wszedł Kmicic, i właśnie szatny w towarzystwie dwóch Murzynów wyszedł był z komnaty. Zostali sam na sam.

– Daj ci Boże zdrowie, żeś pospieszył! – rzekł książę.

– Do usług waszej książęcej mości.

– A chorągiew?

– Wedle rozkazu  
 – Pewni też to ludzie?  
 – W ogień, do piekła pójda!  
 – To dobrze! Takich Ludzi mi potrzeba... i takich jak ty na wszystko gotowych... Ciagle to powtarzam, że na nikogo więcej niż na ciebie nie liczę.  
 – Wasza książęca mość! nie mogą się moje zasługi równać z zasługami starych żołnierzy, ale jeśli mamy na nieprzyjaciół ojczyzny ruszyć, tedy Bóg widzi, nie pozostanę w tyle.  
 – Nie ujmuję ja starym zasług – rzekł książę chociaż... mogą przyjść takie pericula, tak ciężkie terminy, że i najwierniejsi się zachwieją.  
 – Niech ten zginie marnie, kto od osoby waszej książęcej mości w niebezpieczeństwie odstąpi!  
 Książę spojrział bystro w twarz Kmicica.  
 – A ty... nie odstąpisz?...  
 Młody rycerz zapłonał.  
 – Wasza książęca mość!...  
 – Co chcesz mówić?  
 – Wypowiadałem się waszej książęcej mości ze wszystkich grzechów moich, i taka ich kupa, że jeno ojcowskiemu sercu waszej książęcej mości zawdzięczam przebaczenie... Ale w tych wszystkich grzechach jednego nie masz: niewdzięczności.  
 – Ani wiarołomstwa... Wypowiadałeś się przede mną jak przed ojcem, a jam ci nie tylko jak ojciec przebaczył, alem cię pokochał jak syna... którego Bóg mi nie dał i dlatego ciężko mi nieraz na świecie. Bądźże mi przyjacielem!  
 To rzekłszy książę wyciągnął rękę, a młody rycerz uchwycił ją i bez wahania do ust przycisnął. Milczeli obaj przez długą chwilę; nagle książę utkwiał oczy w oczach Kmicica i rzekł:  
 – Billewiczówna tu jest!  
 Kmicic pobladł i począł jąkać coś niezrozumiale.  
 – Umyślniem po nią posłał, żeby się ta niezgoda między wami skończyła. Zobaczysz ją zaraz, bo jej żaloba po dziadzie już wyszła. Dziś także, choć Bóg widzi, że głowa pękała mi od roboty, mówiłem z panem miecznikiem rosieńskim.  
 Kmicic porwał się za głowę.  
 – Czym ja się waszej książęcej mości odpłacę? Czym ja odpłacę?...  
 – Powiedziałem wyraźnie panu miecznikowi, że taka moja wola, abyście się najprędzej pobrali, i nie będzie ci przeciwny. Przykazałem mu też, aby dziewczkę z wolna do tego przygotował. Mamy czas. Od ciebie wszystko zależy, a ja szczęśliwy będę, jeśli cię nagroda z rąk moich dojdzie i daj Boże doczekać, wiele innych, boś ty powinien pójść wysoko. Grzeszyłeś, boś młody, aleś już sławę na polu zdobył niepoślednią... i wszyscy młodzi gotowi wszędy iść za tobą. Dla Boga, powinieneś pójść wysoko! Nie dla takiego to rodu, jak twój, urzędy powiatowe... Zali wiesz, żeś ty Kiszaków krewny, a z Kiszczanki ja się rodzę... Trzeba ci jeno statku, na co ożenek najlepsza rzecz. Bierżże ona dziewczynę, kiedy ci do serca przypadła, i pamiętaj, kto ci ją daje.  
 – Wasza książęca mość, ja chyba oszaleję!... Życie, krew moja do waszej książęcej mości należą!... Co mam czynić, aby się wywdzięczyc? co? Mów wasza książęca mość! rozkazuj!  
 – Dobrem za dobro mi odpłać... Miej wiarę we mnie, miej ufność, że co uczynię, to dla dobra publicznego uczynię. Nie odstępuj mnie, gdy będziesz widział zdradę i odstępstwo innych, gdy się złość wzmoże, gdy mnie samego...  
 Tu książę urwał nagle.  
 – Przysięgam! – rzekł z zapałem Kmicic – i parol kawalerski daję do ostatniego tchnienia stać przy osobie waszej książęcej mości, mego wodza, ojca i dobnodzieja!  
 To rzekłszy Kmicic spojrział oczyma pełnymi ognia na księcia i aż strwożył się zmianą, która nagle zaszła w jego twarzy. Twarz ta była czerwona, żyły na niej nabrały, krople potu gęsto osiadły na wyniosłym czole, a oczy rzucały blask niezwykły.  
 – Co waszej książęcej mości jest? – pytał niespokojnie rycerz.

– Nic, nic!...

Radziwiłł wstał, ruszył spieszonym krokiem do klęcznika i zerwawszy z niego krucyfiks począł mówić gwałtownym, przytłumionym głosem:

– Na ten krzyż przysięgnij, że mnie nie opuścisz do śmierci!...

Mimo całej gotowości i zapału Kmicic spoglądał przez chwilę na niego ze zdumieniem.

– Na tę mękę Chrystusa... przysięgnij!... – nalegał hetman.

– Na tę mękę Chrystusa... przysięgam! – rzekł Kmicic kładąc palce na krucyfiksie.

– Amen! – dodał uroczystym głosem książę.

Echo wysokiej komnaty powtórzyło gdzieś pod sklepieniem: „Amen”, i nastąpiła długa cisza. Słychać było tylko oddech potężnej radziwiłłowskiej piersi. Kmicic nie odrywał od hetmana zdumionych oczu.

– Teraz jużes mój... – rzekł wreszcie książę.

– Zawszem do waszej książęcej mości należał odparł skwapliwie młody rycerz – ale racz mi wasza książęca mość powiedzieć, racz mnie objaśnić, co się dzieje? Dlaczego wasza książęca mość wątpieł o tym? Czyli grozi co dostojnej osobie? Aza zdrada jaka, jakowe machinacje zostały odkryte?

– Zbliża się czas próby – rzekł ponuro książę a co do nieprzyjaciół, nie wieszli to, że pan Gosiewski, pan Judycki i pan wojewoda witebski radzi by mnie na dno przepaści pogrążyć? Tak jest! Wzmaga się nieprzyjaciel domu mego, szerzy się zdrada i grozą klęski publiczne. Dlatego mówię: zbliża się czas próby...

Kmicic zamilkł, ale ostatnie słowa księcia nie rozproszyły ciemności, jakie obsiadły jego umysł, i próżno pytał sam siebie, co może grozić w tej chwili potężnemu Radziwiłłowi? Wszakże stał na czele większych sił niż kiedykolwiek. W samych Kiejdanach i w okolicy stało tyle wojska, że gdyby był książę miał podobną potęgę, zanim pod Szklów ruszył, los całej Wojny wypadłby niezawodnie inaczej.

Gosiewski i Judycki byli mu wprawdzie niechętni, ale obydwóch miał w ręku i pod wartą, a co do wojewody witebskiego, zbyt to był cnotliwy człowiek, zbyt dobry obywatel, aby w przeddzień nowej -wyprawy przeciw nieprzyjaciółom można się było obawiać z jego strony jakichkolwiek przeszkód i machinacji.

– Bóg widzi, nic nie rozumiem! – zakrzyknął Kmicic nie umiejący w ogóle utrzymać swoich myśli. – Dziś jeszcze zrozumiesz wszystko – odparł spokojnie Radziwiłł. – A teraz pójdźmy do sali.

I wzięwszy pod rękę młodego pułkownika skierował się z nim ku drzwiom.

Przeszli kilka komnat. Z daleka, z olbrzymiej sali, dochodziły dźwięki kapeli, której przewodził Francuz sprowadzony umyślnie przez księcia Bogusława. Grano też menueta, którego wówczas na dworze francuskim tańcowywano. Łagodne tony mieszały się z gwarem licznych głosów ludzkich. Książę Radziwiłł zatrzymał się i słuchał.

– Daj Boże – rzekł po chwili – aby ci wszyscy goście, których pod dach przyjmuję, nie przeszli jutro do moich nieprzyjaciół.

– Mości książę – odparł Kmicic – mam nadzieję, że nie masz między nimi szwedzkich stronników...

Radziwiłł drgnął i wstrzymał się nagle.

– Co ty chcesz powiedzieć?

– Nic, mości książę, jeno, że tam zacni żołnierze się weselą.

– Chodźmy... Czas pokaże i Bóg osądzi, kto zacny... Chodźmy!

Przy samych drzwiach stało dwunastu paziów, cudnych chłopiąt przybranych w pióra i aksamity. Ujrawszy hetmana sformowali się w dwa szeregi, książę zaś zbliżywszy się pytał:

– Jej książęca mość weszła już na salę?

– Tak jest, mości książę! – odpowiedzieli chłopcy

– A ichmościowie posłowie?

- Są także.
- Otwieraj!

Obie potowy drzwi rozwarły się w mgnieniu oka, potok światła lunął przez nie i oświecił olbrzymią postać hetmana, który mając za sobą pana Kmicica i paziów wszedł na podniesienie, na którym krzesła dla przedniejszych gości były zastawione.

Wnet ruch uczynił się w sali, wszystkie oczy zwróciły się na księcia, potem jeden okrzyk wyrwał się z setek piersi rycerskich.

- Niech żyje Radziwiłł! Niech żyje! Niech nam hetmani! Niech żyje!

Książę kłaniał się głową i ręką, następnie jał witać gości zebranych na estradzie, którzy podnieśli się w chwili, gdy wchodził. Byli tam między znakomitszymi, oprócz samej księżnej, dwaj posłowie szwedzcy, poseł moskiewski, pan wojewoda wendeński, ksiądz biskup Parczewski, ksiądz Białozor, pan Komorowski, pan Mierzejewski, pan Hlebowicz, starosta żmudzki., . szwagier hetmański, jeden młody Pac, oberszt Ganchof, pułkownik Mirski, Weissenhoff, poseł księcia kurlandzkiego, i kilka pań z otoczenia księżnej.

Pan hetman, jako przystało na gościnnego gospodarza, począł powitania od posłów, z którymi kilkanaście słów uprzejmych zamienił, po czym witał innych, a skończywszy zasiadł na krześle z gronostajowym baldachimem i spoglądał na salę, w której jeszcze brzmiały okrzyki:

- Niech żyje!... Niech nam hetmani!... Niech żyje!...

Kmicic, ukryty za baldachimem, patrzył również na tłumy. Wzrok jego przeskakiwał z twarzy na twarz, szukając wśród nich ukochanych rysów tej, która w tej chwili zajmowała całą duszę i serce rycerza. Serce biło mu jak młotem...

„Ona tu jest! Za chwilę ją ujrzę, przemówię do niej!” – powtarzał sobie w myśli... I szukał, szukał coraz chciwiej, coraz niespokojniej. Ot, tam! ponad piórami wachlarza widać jakieś brwi czarne, białe czoło i jasne włosy. To ona!

Kmicic dech wstrzymuje, jakby w obawie, żeby nie spłoszyć zjawiska, ale tymczasem poruszają się pióra, twarz się odsłania – nie! to nie Oleńka, to nie ta miła i najmilejsza. Wzrok leci dalej, obejmuje wdzięczne postacie, ślizga się po piórach, atlasach, rozkwitłych jak kwiaty twarzach, i ludzi się co chwila. Nie ona i nie ona! Aż wreszcie, hen! w głębi, wedle framugi okna, zamajaczyło coś białego i rycerzowi pociemniało w oczach – to Oleńka, to ta miła i najmilejsza...

Kapela poczyna grać na nowo, tłumy przechodzą, kręcą się damy, migocą strojni kawalerowie, a on, jak ślepy i głuchy, nic nie widzi, tylko ją, i patrzy tak chciwie, jakby ją pierwszy raz widział. Niby to ta sama Oleńka z Wodoktów, a inna. W tej ogromnej sali i w tym tłumie wydaje się jakaś mniejsza i twarzyczkę ma drobniejszą, rzekłbyś: dziecianną. Ot! wziąłbyś całą na ręce i przytulił! A przecie znowu ta sama, choć inna: też same to rysy, te słodkie usta, takżeż rzęsy, cień rzucające na policzki, i to czoło jasne, spokojne, kochane... Tu wspomnienia jak błyskawice poczynają się przesuwac przez głowę pana Andrzeja: owa czeladna w Wodoktach, gdzie ją ujrzał po raz pierwszy, i te ciche komnatki, w których przesiadywali razem. Co za słodycz, choćby tylko wspominać!... A ta sanna do Mitrunów, podczas której on ją całował!... Potem już ludzie poczęli ich rozdzielać i burzyć ją przeciw niemu.

„A! żeby to pioruny zatrzasły! – zakrzyknął w duszy pan Kmicic. – Co ja miałem i com ja utracił! Jaka ona była bliska, a jaka teraz daleka!”

Siedzi oto z dala, jak obca, ani wie, że on tu jest. I gniew, ale zarazem żal niezmierny pochwycił pana Andrzeja, żal, dla którego innych słów nie znalazł, jeno wykrzyk w duszy, który przez usta nie przeszedł:

- „Ej, ty! Oleńka! ej, ty!...”

Nieraz pan Andrzej wściekał się na siebie za swoje dawne postęпки, że miewał ochotę kazać się ludziom własnym rozciągnąć i sto bizunów wyliczyć, ale nigdy nie wpadł w taki gniew jak teraz, gdy ją znów ujrzał po długim niewidzeniu, cudniejszą jeszcze niż zwykle, cudniejszą nawet, niż sobie wyobrażał. W tej chwili chciałby się pastwić nad sobą, ale że był między ludźmi, w dostoj-

nym towarzystwie, więc tylko zęby zaciskał i jakoby chcąc sobie umyślnie jeszcze większy ból zadać, powtarzał w duchu:

„Dobrze ci tak, kpie! Dobrze ci!”

Tymczasem dźwięki kapeli umilkły znowu i zamiast nich usłyszał pan Andrzej głos hetmana:

– Chodź za mną!

Kmicic zbudził się jakby ze snu.

Książę zeszedł ze wzniesienia i wmieszał się między gości. Na twarzy miał uśmiech łagodny i dobrotliwy, który zdawał się jeszcze podnosić majestat jego postaci. Był to ten sam wspaniały pan, który czasu swego przyjmując królową Marię Ludwikę w Nieporęcie dziwił, zdumiewał i gasił dworaków francuskich nie tylko przepychem, ale i dwornością swych obyczajów; ten sam, o którym z takim uwielbieniem pisał Jan Laboureur w relacji ze swej podróży. Teraz więc zatrzymywał się co chwila przy poważniejszych matronach, przy zacniejszej szlachcie i pułkownikach, mając dla każdego z gości jakieś łaskawe słowo, dziwiąc obecnych swą pamięcią i jednając w mgnieniu oka wszystkie serca. Oczy obecnych biegały za nim, gdzie się tylko poruszył, on zaś z wolna zbliżył się do pana miecznika rosieńskiego Billewicza i rzekł:

– Dziękuję ci, stary przyjacielu, żeś przybył, chociaż miałbym się prawo i gniewać. Nie o sto mil Billewicze od Kiejdan, a z ciebie rara avis pod moim dachem.

– Wasza książęca mość – odpowiedział pan miecznik kłaniając się nisko – krzywdę ojczyźnie czyni, kto waszej książęcej mości czas zabiera.

– A ja już myślałem się zemścić i najechać cię w Billewiczach, a przecie myślę, że przyjąłbyś wdzięcznie starego kompana obozowego?

Słyszając to pan miecznik aż zarumieniał się ze szczęścia, a książę mówił dalej:

– Jeno czasu, czasu zawsze nie staje!... Ale jak krewniaczkę, wnuczkę nieboszczyka pana Herakliusza, będziesz za mąż wydawał, to już na weselisko koniecznie zjadę, bom wam to obydwom powinien.

– Dajże Boże dziewce jak najprędzej! – zawołał pan miecznik.

– Tymczasem przedstawiam ci pana Kmicica, chorążego orszańskiego, z tych Kmiciców, co to Kiszkom, a przez Kiszków i Radziwiłom krewni. Musiałeś to nazwisko od Herakliusza słyszeć, bo on Kmiciców jak braci kochał...

– Czołem, czołem! – powtórzył pan miecznik, któremu . zaimponowała nieco wielkość rodu młodego kawalera głoszona przez samego Radziwiłła.

– Witam pana miecznika dobrodzieja i służbie się jego polecam – rzekł śmiało i nie bez pewnej dumy pan Andrzej. – Pan pułkownik Herakliusz był mi ojcem i dobrodziejem, a choć się później popsowała jego robota, to jednak nie przestałem miłować wszystkich Billewiczów, jakoby własna moja krew w nich płynęła.

– Szczególnie – rzekł książę kładąc poufale rękę na ramieniu młodzieńca – nie przestał miłować jedne Billewiczówny, z czym mi się dawno zwierzył.

– I każdemu do oczu to powtórzę! – rzekł zapalczywie Kmicic.

– Powoli, powoli! – odpowiedział książę. – To, widzisz mości mieczniku, z siarki i ognia jest kawaler, przez co i nabroił trochę; ale że młody i pod moją szczególniejszą jest protekcją, przeto tuszę, że jak we dwóch zacniem błagać, tak i otrzymamy zdjęcie kondemnaty przed onym wdzięcznym trybunałem.

– Wasza książęca mość uczyni, co zechce! – odrzekł pan miecznik. – Nieszczęsna dziewczka musi zakrzyknąć jak ona kapłanka pogańska Aleksandrowi: „Któż ci się oprze!”

– A my jako ów Macedończyk, poprzestaniem na tej wróżbie – mówił śmiejąc się książę. – Ale dość tego! Prowadźże nas teraz do swej krewniaczki, bo i ja rad ją obaczę. Niechże się naprawi ta robota pana Herakliusza, która się popsowała.

– Służę waszej książęcej mości!... Tam oto dziewczyna siedzi pod opieką pani Wojniłłowiczowej, naszej krewnej. Jeno błagam o przebaczenie, jeśli się skonfunduje, bom też jeszcze nie miał czasu jej ostrzec.

Przewidywania pana miecznika były słuszne. Na szczęście Oleńka nie w tej dopiero chwili ujrziała pana Andrzeja przy boku hetmańskim, więc mogła nieco przyjść do siebie, ale na razie o mało nie opuściła jej przytomność. Pobladła jak płótno, nogi zadrżały pod nią i patrzyła tak na młodego rycerza, jakby patrzyła na ducha zjawiającego się z tamtego świata. I długo oczom nie chciała wierzyć. Toż ona sobie wyobrażała, że ów nieszczęśnik albo tuła się gdzieś po lasach, bez dachu nad głową, opuszczony od wszystkich, ścigany jak dziki zwierz przez sprawiedliwość; albo zamknięty w wieży, spogląda rozpaczliwym wzrokiem przez żelazną kratę na wesoły świat boży. Bóg jeden wiedział, jak straszny nieraz żal gryzł jej serce i oczy za tym straceńcem; Bóg jeden mógł policzyć łzy, które w samotności nad jego losem, tak okrutnym, choć tak zasłużonym, wylała – a tymczasem on znalazł się w Kiejdanach, wolny, przy boku hetmańskim, dumny i strojny w lamy i aksamity, z pułkownikowskim buzdyanem za pasem, ze wzniesionym czołem, z rozkazującą hardą twarzą junacką i sam hetman wielki, sam Radziwiłł, kładł mu rękę poufale na ramieniu. Dziwne a sprzeczne uczucia splotyły się naraz w sercu dziewczyny; więc jakaś wielka ulga, jakby jej kto brzemię zdjął z ramion; więc jakiś żal, że tyle litości i zmartwienia poszło na próżno; więc i ten zawód, jakiego doznaje każda uczciwa dusza na widok bezkarności zupełnej za ciężkie grzechy i występki; więc i radość, i poczucie własnej niemocy, i graniczący z przestachem podziw dla tego junaka, który po. trafił z takiej toni wypłynąć.

Tymczasem ksiązę, miecznik i Kmicic skończyli rozmowę i poczęli się zbliżać. Dziewczyna nakryła oczy powiekami i podniosła tak ramiona jak ptak skrzydła, kiedy chce głowę między nimi ukryć. Była zupełnie pewna, że idą ku niej. Nie patrząc widziała ich, czuła, że są bliżej i bliżej, że już nadchodzą, że zatrzymali się. Tak była tego pewna, że nie podnosząc powiek wstała nagle i złożyła głęboki ukłon księciu.

On zaś istotnie stał już przed nią i przemówił:

– Na mękę Pańską!... Teraz się młodemu nie dziwię, bo cudnie to kwiecie rozkwitło... Witam cię, moja panienko, witam z całego serca i duszy kochaną wnuczkę mojego Billewicza. Poznajeszże mnie?

– Poznaje, wasza ksiązęca mość! – odrzekła dziewczyna.

– A ja bym cię nie poznał, bom cię jeszcze młodką nierozkwitłą ostatni raz widział, nie w tej ozdobie, w jakiej teraz chodzisz... Podnieś no jeno one firanki z oczu... Dla Boga! szczęśliwy nurek, który taką perłę wyłowi; nieszczęsny, który ją miał i stracił!... Owóz stoi tu przed tobą taki desperat w osobie teko kawalera. Poznajeszże i jego?

– Poznaje – szepnęła Oleńka nie podnosząc oczu.

– Wielki to grzesznik i do spowiedzi ci go przy prowadzam... Zadaj mu pokutę, jaką chcesz, ale rozgrzeszenia nie odmawiaj, żeby go desperacja do cięższych jeszcze grzechów nie przywiodła.

Tu ksiązę zwrócił się do pana miecznika i do pani Wojniłłowiczowej:

– Zostawmy młodych, mościwi państwo, bo nie wypada przy spowiedzi asystować, a mnie i moja wiara tego zakazuje.

Po chwili pan Andrzej i Oleńka zostali sami.

Serce jej tłukło się w piersi jak w gołębiu, nad którym jastrząb zawisnął, a i on był wzruszony. Opuściła go zwykła śmiałość, porywczność i pewność siebie. Przez długi czas milczeli oboje.

Nareszcie on pierwszy ozwał się niskim, przytłumionym głosem:

– Nie spodziewałaś się mnie widzieć, Oleńka?

– Nie – szepnęła dziewczyna.

– Na Boga! gdyby tu Tatar stanął koło ciebie, mniej byś była trwożna. Nie bójże się! Patrz, ilu tu ludzi. Żadna krzywda nie spotka cię ode mnie. A choćbyśmy sami byli, nie miałabyś się czego bać, bom sobie zaprzysiągł szanować cię. Miejsze ufność we mnie!

Na chwilę podniosła oczy i spojrzała na niego.

– Skąd mam mieć ufność?

– Prawda, grzeszyłem; ale to już minęło i nie powtórzy się więcej... Gdy po owym pojedynku z Wołodyjowskim na łożu leżał bliski śmierci, wtędym sobie powiedział: nie będziesz jej brał



przemocą, szablą, ogniem, jeno zacnymi uczynkami na nią zasłużysz i przebaczenie wyjednasz!... Toż i w niej serce nie z kamienia i zawziętość jej przeminie; ujrzy poprawę, to wybaczy!... Więcem sobie zaprzysiągł poprawę i dotrzymam... Zaraz mnie też Bóg pobłogosławił, bo przyjechał Wołodyjowski i przywiózł mi list zapowiedni. Mógł go nie dać, a dał; zacny człowiek! Przez to już i do sądów nie potrzebowałem stawać, bom pod hetmańską inkwizycję przeszedł. Wypowiadałem się księciu ze wszystkich grzechów jako ojcu; on zaś nie tylko przebaczył, ale obiecał wszystko załagodzić i bronić mnie od nieżyczliwości ludzkiej. Niech mu Bóg błogosławi... Nie będę banitem, Oleńka, z ludźmi się pojednam, sławę odzyszczę, ojczyźnie się zasłużę, krzywdy naprawię... Oleńka! A ty co na to?!... Nie rzeknieszże mi dobrego słowa?

I począł patrzeć na nią pilnie, i ręce składać, jakby się do niej modlił.

– Mogeż ja wierzyć? – odrzekła dziewczyna.

– Możesz, jak mi Bóg miły, powinnaś! – odparł Kmicic. – Patrzaj, że w to uwierzyli i księżę hetman, i pan Wołodyjowski. Toć wszystkie postęпки moje im znane, a uwierzyli... Widzisz!... Czemu byś to ty jedna miała mi nie ufać?

– Bom łyzy ludzkie widziała z powodu waćpana wylewane... Bom groby widziała, jeszcze trawą nie porosłe...

– To i porosną, a one łyzy sam obetrę.

– Naprzód to waćpan uczyni.

– Daj mi jeno nadzieję, że jak uczynię, to i ciebie odzyszczę... Dobrze ci mówić: „Naprzód to uczyni...” A nuż ja uczynię, a ty za innego przez ten czas pójdziesz? Boże ratuj! Boże uchwaj od takiej rzeczy, bo chybabym oszalał. Na imię boskie błagam cię, Oleńka, dajże mi pewność; że cię nie utracę, zanim z tamtą waszą szlachtą do zgody przyjdę. Pamiętasz? samaś m4 to napisała, a ja on list chowam i jak mi bardzo na duszy ciężko, to go sobie odczytuję. Niczego więcej nie chcę, tylko mi jeszcze powtórz, że czekać będziesz, że za innego nie pójdziesz!...

– Waćpan wiesz, że mi wedle testamentu uczynić tego nie wolno. Jeno do klasztoru mogę się schronić.

– O, to byś mnie uczęstowała! Przez Bóg żywy, daj sobie pokój z klasztorem, bo mnie mrowie na samą myśl przechodzi. Dajże pokój, Oleńka, a nie, to ci tu przy wszystkich do nóg padnę i będę błagał, abyś tego nie czyniła. Pana Wołodyjowskiego odmówiłaś, wiem, bo sam mi o tym powiadał. On to mnie zachęcał, abym cię dobrymi uczynkami zdobył... Ale na co by się ta zdało, gdybyś miała do zakonu wstępować? powiesz mi, że cnotę dla cnoty trzeba praktykować... a ja ci odpowiem, że miłuję cię jak desperat i nie chcę o niczym więcej wiedzieć. Kiedyś wyjechała z Wodoktów, ledwiem z łoża powstał, jużem cię szukać zaczął. Stawiałem chorągiew na nogi, każdą chwilę miałem zajęta, nie miałem czasu strawy zjeść, nocy przespać, a przeciera szukania nie zaniechał. Tak już przyszło na mnie, że mi bez ciebie ani życia, ani spokoju! Tak się już uczepiło! Nic, tylko wzdychaniami żyłem. Dowiedziałem się wreszcie, żeś u pana miecznika w Billewiczach. To, powiadam ci, pasowałem się z myślami jakoby z niedźwiedziem: jechać, nie jechać?... Alem nie śmiał jechać, żeby mnie zółcią nie napojono. Powiedziałem sobie wreszcie: nie uczyniłem jeszcze nic dobrego... nie pojadę... Aż księżę, ojciec mój kochany, ulitował się nade mną i posłał prosić was do Kiejdan, abym choć oczy swoim kochaniem mógł napełnić... ile że na wojnę ruszamy. Nie żądam, abyś jutro zaraz za mnie szła... Ale bogdaj słowo dobre od ciebie usłyszę, bogdaj się zapewnię, będzie mi lżej... Mojaż ty duszo jedyna... Nie chcę zginać, ale w bitwie każdemu się to może przytrafić, bo przecie nie będę się za innych chował... więc mi powinnaś odpuścić, jako się umierającemu odpuszcza.

– Niech waćpana Bóg ochrania i wyprowadzi odparła dziewczyna miękkim głosem, po którym zaraz poznał pan Andrzej, że słowa jego wywarły skutek.

– Moje ty złoto szczerze! Dziękując i za to. A nie pójdziesz do klasztoru?

– Jeszcze nie pojde.

– Bodajże ci Bóg błogosławił!

I jak na wiosnę śniegi tają, tak między nimi poczęła topnieć nieufność i czuli się bliżsi sobie niż przed chwilą. Serca mieli lżejsze, w oczach im pojaśniało. A przecież ona nic nie obiecała i on miał ten rozum, że niczego na razie nie żądał. Ale czuła to sama, że jej nie wolno, że nie godzi się zamykać mu drogi do poprawy, o której mówił tak szczerze. O jego szczerości nie wątpiła już ani na chwilę, bo to nie był człowiek, który by coś udawać umiał. Lecz główny powód, dla którego nie odtrąciła go na nowo, dla którego zostawiła mu nadzieję, był ten, że w głębi serca kochała jeszcze tego junaka. Miłość tę przywalała góra goryczy, rozczarowania i boleści, ale miłość żyła, gotowa zawsze wierzyć i przebaczać bez końca.

„On lepszy od swoich uczynków – myślała dziewczyna – i nie ma już tych, którzy go do występków popychali; mógłby się chyba z desperacji czego znowu dopuścić, niechże nie desperuje nigdy.”

I poczciwe serce uradowało się własnym przebaczeniem. Na jagody Oleńki wystąpiły rumieńce tak świeże jak róża pod ranną rosą; oczy miały blask słodki a żywy, i rzekłbyś: jasność biła od nich na salę. Przechodzili ludzie i dziwili się cudnej parze, bo też takich dwojga paniątek trudno było ze świecą znaleźć w całej tej sali, w której przecież zebrany był kwiat szlachty i szlachcianek.

Oboje przy tym, jak gdyby się umówili, jednakowo byli ubrani, gdyż i ona miała suknię ze srebrnej lamy, spiętą szafirem, i błękitny z aksamitu weneckiego kontusik. „Chyba brat i siostra!” – mówili ci, którzy ich nie znali, ale inni zaraz na to czynili uwagę: „Nie może być, bo mu się oczy nadto do niej jarzą.”

Tymczasem w sali marszałek dał znać, że czas do stołu siadać, i zaraz uczynił się ruch niezwykajny. Hrabia Loewenhaupt, cały w koronkach, szedł naprzód pod rękę z księżną, której powłokę płaszcz niosło dwóch paziów prześlicznych; za nim baron Shitte prowadził panią Hlebowiczową, tuż szedł ksiądz biskup Parczewski z księdzem Białozorem, obaj jakby czymś zmartwieni i zasepieni.

Książę Janusz, który w pochodzie ustępował pierwszeństwa gościom, ale za stołem brał obok księżnej miejsce najwyższe, wiódł panią Korfową, wojewodzinę wendeńską, bawiącą już od tygodnia w Kiejdanach. I tak sunął cały szereg par jako wąż stubarwny i rozwijał się, i mienił. Kmicic wiódł Oleńkę, która leciuchno wsparła ramię na jego ramieniu, on zaś spoglądał bokiem na jej delikatną twarz, szczęśliwy, jako pochodnia pałający, największy magnat między tymi magnatami, bo największego skarbu bliski.

Tak idąc posuwisto przy dźwiękach kapeli weszli do sali jadalnej, która wyglądała jak cały gmach osobny. Stół zastawiony był w podkowę, na trzysta osób, i giał się pod srebrem i złotem. Książę Janusz, jako część majestatu królewskiego w sobie mający i tytu królom pokrewny, wziął obok księżnej miejsce najwyższe, a wszyscy przechodząc mimo kłaniali się nisko i zasiadali wedle godności.

Lecz widocznie, jak zdawało się obecnym, pamiętał hetman, że to ostatnia uczta przed straszną wojną, w której się losy olbrzymich państw rozstrzygną, bo nie miał w twarzy spokoju. Udawał uśmiech i wesołość, a tak wyglądał, jakby paliła go gorączka. Czasami widoczna chmura osiadała mu na groźnym czole i siedzący bliżej mogli dostrzec, że czoło to było gęsto kroplami potu okryte; czasem wzrok jego biegał szybko po zebranych twarzach i zatrzymywał się badawczo na obliczach różnych pułkowników; to znów marszczył nagle łwie brwi, jakby go boleści przeszywały lub jakby ta czy owa twarz budziła w nim gniew. I dziwna rzecz, że dygnitarze siedzący obok księcia, jako: posłowie, ksiądz biskup Parczewski, ksiądz Białozór, pan Komorowski, pan Mierzejewski, pan Hlebowicz, pan wojewoda wendeński i inni, również byli roztargnieni i niespokojni. Dwa ramiona olbrzymiej podkowy brzmiały już wesołą rozmową i zwykłym gwarem przy ucztach, szczyt jej milczał posepnie lub szeptał rzadkie słowa, lub zamieniał roztargnione i jakoby trwożne spojrzenia.

Ale nie było w tym nic dziwnego, bo niżej siedzieli pułkownicy i rycerze, którym bliska wojna co najwięcej śmiercią groziła. Łatwiejże polec w wojnie niż dźwigać odpowiedzialność za nią na ramionach. Nie zatroszczy się dusza żołnierska, gdy odkupiwszy krwią grzechy leci z pola ku niebu

– ten tylko schyla ciężko głowę, ten rozprawia w duszy z Bogiem i sumieniem, kto w wilię dnia stanowczego nie wie, jaki puchar poda jutro ojczyźnie do wypicia.

Tak też i tłumaczono sobie na niższych końcach niePokój księcia.

– Zawsze on taki przed każdą wojną, że z własną duszą gada – mówił stary pułkownik Stankiewicz do Zagłoby – ale im posepniejszy, tym gorzej dla nieprzyjaciół, bo w dzień bitwy będzie wesół z pewnością.

– Toć i lew przed walką pomrukuje – odparł Zagłoba – żeby w sobie tym większą abominację przeciw nieprzyjacielowi zbudzić, co zaś do wielkich wojowników, każdy ma swój obyczaj. Hannibal podobno kości rzucał, Scipio Africanus rytmy recytował, pan Koniecpolski, ojciec, o biało-głowach zawsze rozmawiał, a ja rad snu przed bitwą przez jaką godzinę zażywam, chociaż i od kielicha z dobrymi przyjaciółmi nie stronię.

– Obaczcie, waćpanowie, że to i ksiądz biskup Parczewski blady jak karta papieru! – rzekł Stanisław Skrzetuski.

– Bo za kalwińskim stołem siedzi i snadnie coś nieczystego w potrawach połknąć może – wyjaśnił cichym głosem Zagłoba. – Do trunków, powiadają starzy ludzie, nie ma licha przystępu, i te wszędy pić możesz, ale jadła, a szczególnież zupy, trzeba się wystrzegać. Tak było i w Krymie za czasów, gdym tam w niewoli siedział. Tatarscy mułlowie, czyli księża, umieli baraninę z czosnkiem tak przyrządzać, że kto pokosztował, zaraz od wiary gotów był odstąpić i ich szelmowskiego proroka przyjąć.

Tu Zagłoba zniżył głos jeszcze bardziej:

– Nie na kontempt księciu panu to mówię, ale radzę waćpanom jadło przeżegnać, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Co zaś waćpan mówisz!... Kto się Bogu polecił przed jedzeniem, temu się nic nie stanie; u nas w Wielkopolsce lutrów i kalwinów co niemiara, ale nie słyszałem o tym, żeby mieli jadło czarować.

– U was w Wielkopolsce lutrów co niemiara, toteż się ze Szwedami zaraz powąchali – odrzekł Zagłoba – i teraz w komitywie z nimi chodzą. Ja bym na miejscu księcia i tych tam oto posłów psami wyszczuł, nie specjałami kiszki im nadziewał. Patrzcie no na tego Loewenhaupta. Tak żre, jakby za miesiąc mili go na jarmark na postronku za nogę uwiązanego pognać. Jeszcze dla żony i dla dzieci w kieszenie bakaliów natka... Zapomniałem, jak się ten drugi zamorek nazywa Bodajże cię...

– Spytaj, ociec, Michała – rzekł Jan Skrzetuski. Pan Michał siedział niedaleko, ale nic nie słyszał, nic nie widział, bo siedział między dwoma pannami; po lewej ręce miał pannę Elżbietę Sielawską, godną pannę, lat koło czterdziestu, a po prawej Oleńkę Billewiczównę, za którą siedział Kmicic. Panna Elżbieta trzęsła głową, przybraną w pióra, nad małym rycerzem i opowiadała mu coś bardzo żywo, on zaś spoglądał na nią od czasu do czasu osowiałym wzrokiem, odpowiadał co chwila: „Tak, mościa panno, jako żywo!”, i nie rozumiał ani słowa, bo cała jego uwaga była właśnie po drugiej stronie. Uchem łowił szmer słów Oleńki, chrzęst jej lamowej sukni i wąsikami tak z żalu ruszał, jakby chciał nimi pannę Elżbietę odstraszyć.

„Ej, cudnaż to dziewczyna!... Ej, gładyszka to! mówił sobie w duszy. – Wejrzyjże, Boże, na moją nędzę, bo już nie masz większego sieroty nade mnie. Dusza aż piszczy we mnie, żeby to mieć swoją niewiastę kochaną, a co na którą spojrzę, to już tam inny żołnierz kwaterą stoi. Gdzież ja się, nieszczęsny tułacz, podzieję?...”

– A po wojnie co waćpan myślisz czynić? – spytała nagle panna Elżbieta Sielawska złożywszy buzię „w ciup” i wachlując się mocno.

– Do zakonu pójść! – odparł opryskliwie mały rycerz.

– A kto tam o zakonie przy uczcie wspomina? zawołał wesoło Kmicic przechylając się przez Oleńkę. – Hej! to pan Wołodyjowski!

– Waści to nie w głowie? A wierzę! – rzekł pan Michał.

Wtem słodki głos Oleńki zabrzmiał mu w uszach:

– Bo i waćpanu nie trzeba o tym myśleć. Bóg ci da żonę po sercu, kochaną i zacną, jako sam jesteś zacny.

Pocziwy pan Michał zaraz rozczulił się:

– Żeby mi kto na fletni grał, nie byłoby mi mile j słuchać!

Gwar coraz wzmagający się przy stole przerwał dalszą rozmowę, bo też już i do kielichów przyszło, Humory ożywiały się coraz bardziej. Pułkownicy dysputowali o przyszłej wojnie, marszcząc brwi i ciskając ogniste spojrzenia.

Pan Zagłoba opowiadał na cały stół o oblężeniu Zbaraża, a słuchaczom aż krew biła na twarze, a w sercach rósł zapał i odwaga. Zdawać się mogło, że duch nieśmiertelnego „Jaremy” nadleciał do tej sali i tchnieniem bohaterskim napełnił dusze żołnierzy.

– To był wódz! – rzekł znamienity pułkownik Mirski, który całą husarią radziwiłłowską dowodził. – Raz go tylko widziałem i w chwili śmierci będę jeszcze pamiętał.

– Jowisz z piorunami w rękę! – zakrzyknął stary Stankiewicz. – Nie przyszłoby do tego, gdyby żył!...

– Ba! przecie on za Romnami lasy rąbać kazał, by sobie gościniec do nieprzyjaciół otworzyć.

- Jego to przyczyną stała się berestecka wiktoria.

– I w najcięższej chwili Bóg go zabrał...

– Bóg go zabrał – powtórzył podniesionym głosem pan Skrzetuski – ale testament po nim został dla przyszłych wodzów, dygnitarzy i całej Rzeczypospolitej: oto żeby z żadnym nieprzyjacielem nie paktować, ale wszystkich bić!...

– Nie paktować! Bić! – powtórzyło kilkanaście silnych głosów. – Bić, bić!

W sali upał stał się wielki i burzył krew w wojownikach, więc poczęły padać spojrzenia jak błyskawice, a podgolone łby dymiły.

– Nasz książę, nasz hetman będzie tego testamentu egzekutorem! – rzekł Mirski.

Wtem olbrzymi zegar, umieszczony w chórze sali, począł bić północ, a jednocześnie wstrząsły się mury zadźwięczały żałośnie szyby i huk wystrzału wiwatowego rozległ się na dziedzińcu.

Rozmowy umilkły, nastąpiła cisza.

Nagle u szczytu stołu poczęto wołać:

Książ biskup Parczewski zemdłał! Wody!

Uczyńło się zamieszanie. Niektórzy zerwali się z siedzeń, by się lepiej przyjrzeć, co zaszło. Biskup nie zemdłał, ale osłabł bardzo, aż marszałek podtrzymywał go na krześle za ramiona, podczas gdy pani wojewodzina wendeńska pryskała mu wodą na twarz.

W tej chwili drugi wystrzał działowy wstrząsnął szybami, za nim trzeci, czwarty...

– *Vivat Rzeczpospolita! pereant hostes* – zakrzyknął Zagłoba.

Lecz dalsze wystrzały zgłuszyły jego mowę. Szlachta poczęła je liczyć:

– Dziesięć, jedenaście, dwanaście...

Szyby za każdym razem odpowiadały jękiem żalnym. Płomienie świec chwiały się od wstrząśnięć.

– Trzyście! czternaście!... Książ biskup huku niezwyčajny. Popsuł przez swój strach zabawę, bo i książę się zatroskał. Patrzcie, mości panowie, jaki odęty siedzi... Piętnaście, szesnaście... Hej, wał jakby w bitwie! Dziewiętnaście, dwadzieścia!

– Cicho tam! książę chce przemówić! – poczęto wołać naraz w różnych końcach stołu.

– Książę chce przemówić!

Uciszyło się zupełnie i wszystkich oczy zwróciły się na Radziwiłła, który stał, podobny do olbrzyma, z kielichem w ręku. Lecz cóż za widok uderzył oczy uczujących!...

Twarc księcia była w tej chwili po prostu straszna, bo nie blada, ale sina i wykrzywiona jak konwulsją uśmiechem, który książę usiłował na usta przywołać. Oddech jego, zwykle krótki, stał się jeszcze krótszy, szeroka pierś wzdymała się pod złotogłowiem, a oczy nakrył do połowy powiekami i zgroza jakaś była w tej potężnej twarzy, i lodowatość, jakie bywają w krzepnących rysach w chwili skonu.

– Co jest księciu? co tu się dzieje? – szeptano naokół niespokojnie.

I złowrogie przecucie ścisnęło wszystkie serca; trwożliwe oczekiwanie osiadło na obliczach.

On tymczasem mówić począł krótkim, przerywanym przez astmę głosem:

– Mości panowie!... Wielu spomiędzy was... zdziwi... albo zgoła przestraszy ten toast... ale... kto mi ufa i wierzy... kto prawdziwie chce dobra ojczyzny... kto wiernym mojemu domu przyjacielem... ten go wzniesie ochotnie... i powtórzy za mną:

– *Vivat Carolus Gustavus rex...* od dziś... od dziś dnia łaskawie nam panujący!

– *Vivat!* – powtórzyli dwaj posłowie Loewenhaupt i Shitte oraz kilkunastu oficerów cudzoziemskiego autoramentu.

Lecz w sali zapanowało głucho milczenie. Pułkownicy i szlachta spoglądali na siebie przerażonym wzrokiem, jakby pytając się wzajem, czy księżę zmysłów nie utracił. Kilka głosów ozwało się wreszcie w różnych miejscach stołu:

– Czy my dobrze słyszym? Co to jest? Potem znów nastąpiła cisza.

Zgroza niewypowiedziana w połączeniu ze zdumieniem odbiła się na twarzach i oczy wszystkich znów zwróciły się na Radziwiłła, a on stał ciągle i oddychał głęboko, rzekłbyś: niezmierny jakiś ciężar zrzucił z piersi. Barwa wracała mu z wolna na twarz; następnie zwrócił się do pana Komorowskiego i rzekł:

– Czas promulgować ugodę, którąśmy dziś podpisali, aby ichmościowie wiedzieli, czego się mają trzymać. Czytaj wasza miłość!

Komorowski wstał, rozwinął leżący przed sobą pergamin i począł czytać straszną ugodę rozpoczynając się od słów:

„Nie mogąc lepiej i dogodniej postąpić w najburzliwszym terażniejszym rzeczy stanie, po utraceniu wszelkiej nadziei na pomoc najjaśniejszego króla, my, panowie i stany Wielkiego Księstwa Litewskiego, koniecznością zmuszeni, poddajemy się pod protekcję najjaśniejszego króla szwedzkiego na tych warunkach:

1) Łącznie wojować przeciw wspólnym nieprzyjaciołom, wyjąwszy króla i Koronę Polską.

2) Wielkie Księstwo Litewskie nie będzie do Szwecji wcielone, lecz z nią takim sposobem połączone, jak dotąd z Koroną Polską, to jest, aby naród narodowi, senat senatowi, a rycerstwo rycerstwu we wszystkim było równe.

3) Wolność głosu na sejmach nikomu nie ma być bronioną.

4) Wolność religii ma być nienaruszona...”

I tak dalej czytał pan Komorowski wśród ciszy i zgrozy, aż gdy doszedł do ustępu: „...Akt ów stwierdzamy podpisami naszymi za nas i potomków naszych, przyrzekamy i warujemy” – szmer uczynił się w sali, jakby pierwsze tchnienie burzy wstrząsnęło borem. Lecz nim burza wybuchła, siwy jak gołąb pułkownik Stankiewicz zabrał głos i począł błagać:

– Mości księżę! Uszom własnym wierzyć nie chcemy! Na rany Chrystusa! także to ma pójść wniwecz dzieło Władysławowe i Zygmunta Augusta? Zali można, zali godzi się braci odstępować, ojczyzny odstępować i z nieprzyjacielem unię zawierać? Mości księżę, wspomnij na imię, które nosisz, na zasługi, które ojczyźnie oddałeś, na sławę niepokalaną dotąd rodu twego i zedrzyj, i podepcz ten dokument haniebny! Wiem, że nie w swoim imieniu tylko proszę; ale w imieniu wszystkich tu obecnych wojskowych i szlachty. Toż i nam prawo służy o losie naszym stanować. Mości księżę! nie czyn tego, czas jeszcze!... Zmiłuj się rad sobą, zmiłuj się nad nami, zmiłuj się nad Rzeczpospolitą!

– Nie czyn tego! Zmiłuj się, zmiłuj! – ozwały się setne głosy.

I wszyscy pułkownicy zerwali się z miejsc swoich, i szli ku niemu, a sędziwy Stankiewicz klęknął na środku sali, między dwoma ramionami stołu, i coraz potężniej brzmiało naokoło:

– Nie czyn tego! Zmiłuj się nad nami!

Radziwiłł podniósł swoją potężną głowę i błyskawice gniewu poczęły przelatywać mu po czole; nagle wybuchnął:

– Waszmościomże to przystoi pierwszym dawać przykład niekarność? Wojskowymże to przystoi wodza, hetmana odstępować i protestację zanosić? Wy to chcecie być moim sumieniem? Wy chcecie uczyć mnie, jak dla dobra ojczyzny postąpić należy? Nie sejmik to i nie na wota was tu wezwano, a przed Bogiem ja biorę odpowiedzialność!

I dłonią uderzył się w pierś szeroką poglądając iskrzącym wzrokiem na żołnierzy, a po chwili zakrzyknął:

– Kto nie ze mną, ten przeciw mnie! Znałem was, wiedziałem, co będzie!... A wy wiedźcie, że miecz wisi nad waszymi głowami!...

– Mości księżę! hetmanie nasz! – błagał stary Stankiewicz – zmiłuj się nad sobą i nad nami!

Lecz dalsze jego słowa przerwał Stanisław Skrzetuski, który, porwawszy się obu rękoma za włosy, począł wołać rozpaczliwym głosem:

– Nie błagajcie go, to na nic! On tego smoka od dawna w sercu hodował!... Biada ci, Rzeczpospolito! Biada nam wszystkim!

– Dwóch dygnitarzy na dwóch krańcach Rzeczypospolitej zaprzeda je ojczyznę! – ozwał się Jan.. Przekleństwo temu domowi, hańba i gniew boży!

Słyszając to pan Zagłoba otrząsnął się ze zdumienia i wybuchnął:

– Pytajcie się go, jakie korupcje wziął od Szweda? Ile mu wyliczono? Co mu jeszcze obiecano? Mości panowie, oto Judasz Iskariota! Bodajeś konał w rozpacz! bodaj ród twój wygaś! bodaj diabeł duszę z ciebie wyłócił... zdrajco! zdrajco! po trzykroć zdrajco!

Wtem Stankiewicz w uniesieniu rozpaczycy wyciągnął pułkownikowską buławę zza pasa i cisnął ją z trzaskiem do nóg księcia. Drugi cisnął Mirski, trzeci Józefowicz, czwarty Hoszczyc, piąty, blade jak trup pan Wołodyjowski, szósty Oskierko – i toczyły się po podłodze buławy, a jednocześnie w tej lwiej jaskini, lwu do oczu, coraz więcej ust powtarzało straszliwy wyraz:

– Zdrajca!... zdrajca!...

Wszystka krew napłynęła do głowy dumnemu magnatowi; zsiniał, rzekłbyś: za chwilę zwali się trupem pod stół.

– Ganchof i Kmicic do mnie!.. – ryknął straszliwym głosem.

W tej chwili czworo podwoi wiodących do sali rozwarło się naraz z łoskotem i oddziały szkockiej piechoty wkroczyły groźne, milczące, z muszkietami w rękę. Od głównych drzwi wiódł je Ganchof.

– Stój! – krzyknął księżę.

Po czym zwrócił się do pułkowników:

– Kto za mną, niech przejdzie na prawą stronę sąli!

– Ja żołnierz, hetmanowi służę!... Bóg niech mnie sędzi!... – rzekł Charłamp przechodząc na prawą stronę.

– I ja! – dodał Mieszko. – Nie mój będzie grzech!

– Protestowałem jako obywatel, jako żołnierz słuchać muszę – dodał trzeci, Niewiarowski, który chociaż poprzednio buławę rzucił, teraz widocznie uląkł się Radziwiłła.

Za nimi przeszło kilku innych i spora wiązka szlachty; lecz Mirski, najwyższy godnością, i Stankiewicz, najstarszy wiekiem, i Hoszczyc, i Wołodyjowski, i Oskierko pozostali na miejscu, a z nimi dwóch Skrzetuskich, pan Zagłoba i ogromna większość tak towarzyszków rozmaitych poważnych i lekkich chorągwi, jak i szlachty.

Szkocka piechota otoczyła ich murem.

Kmicic od pierwszej chwili, w której księżę wznosił toast na cześć Karola Gustawa, zerwał się wraz ze wszystkimi z miejsca, oczy postawił w słup i stał jak skamieniały, powtarzając zbladłymi wargami:

– Boże!... Boże!... Boże!... com ja uczynił?...

Wtem głos cichy, ale dla jego ucha wyraźny, zaszeptał blisko:

– Panie Andrzeju!...

On chwycił się nagle rękoma za włosy:

– Przeklątnym na wieki!... Bogdaj mnie ziemia pożarła!...

Na twarz Billewiczówny wystąpiły płomienie, a oczy jak gwiazdy jasne utkwiała w Kmicicu:

– Hańba tym, którzy przy hetmanie stają!... Wybieraj!... Boże wszechmogący!... Co waćpan czynisz?!... Wybieraj!...

– Jezu! Jezu! – zakrzyknął Kmicic.

Tymczasem sala rozległa się okrzykami, inni właśnie rzucali buławy pod nogi księcia, ale Kmicic nie przyłączył się do nich; nie ruszył się i wówczas, gdy księżę zakrzyknął: „Ganchof i Kmicic do mnie!” ani gdy piechota szkocka weszła już do sali – i stał targany boleścią i rozpaczą, z obłąkanym wzrokiem, z zsiniałymi ustami.

Nagle zwrócił się do Billewiczówny i wyciągnął do niej rękę:

– Oleńka!... Oleńka!... – powtórzył z jękiem żalnym, jak dziecko, które krzywdę spotyka.

Lecz ona cofnęła się ze wstrętem w twarzy i zgrozą. – Precz... zdrajco! – odpowiedziała dobitnie.

W tej chwili Ganchof skomenderował: „Naprzód!” – i oddział Szkotów otaczający więźniów ruszył ku drzwiom.

Kmicic począł iść za nimi jak nieprzytomny, nie wiedząc, dokąd i po co idzie.

Uczta była skończona...

## ROZDZIAŁ XIV

Tej samej jeszcze nocy ksiązę długo naradzał się z panem Korfem, wojewodą wendeńskim, i z posłami szwedzkimi. Rezultat ogłoszenia umowy zawiódł jego oczekiwania i odsłonił mu groźną przyszłość. Umyślnie chciał ksiązę, by promulgacja nastąpiła w czasie uczy, gdy umysły są podniecone, ochocze i do wszelkiej zgody skłonne. Spodziewał się w każdym razie oporu, ale liczył i na stronników, tymczasem energia protestu przeszła jego oczekiwania. Prócz kilkudziesięciu szlachty kalwinów i garści oficerów obcego pochodzenia, którzy, jako cudzoziemcy, nie mogli mieć w tej sprawie głosu – wszyscy oświadczyli się przeciw układowi z Karolem Gustawem, a raczej z feldmarszałkiem jego i szwagrem, Pontusem de la Gardie, zawartemu.

Książę kazał wprawdzie aresztować oporną starszysznę wojskową, ale cóż z tego? Co na to rzeźną chorągwie komputowe?... Czy się o swoich pułkowników nie upomną? Czy się nie zbuntują i nie będą chciały siłą ich odbić?

A w takim razie cóż zostanie dumnemu księciu prócz kilku regimentów dragońskich i cudzoziemskiej piechoty?

Potem... pozostaje jeszcze cały kraj, wszystka zbrojna szlachta – i Sapieha, wojewoda witebski, groźny przeciwnik radziwiłłowskiego domu, gotów na wojnę z całym światem w imię całości Rzeczypospolitej. Owi pułkownicy, którym nie można przecie szyi poucinać, owe chorągwie polskie, pójdą do niego i Sapieha stanie na czele wszystkich sił kraju, a ksiązę Radziwiłł ujrzy się bez wojska, bez stronników, bez znaczenia... Cóż wówczas się stanie?...

Były to pytania straszne, bo i położenie było straszne. Książę rozumiał dobrze, że wówczas i umowa, nad którą w skrytości tyle pracował, siłą rzeczy straci wszelkie znaczenie, a wówczas i Szwedzi lekceważyć będą albo nawet mścić się za doznany zawód, Wszakże oddał im swe Birże w zakład wierności, ale przez to tym więcej się osłabił.

Karol Gustaw gotów był sypać obu rękoma nagrody i zaszczyty dla potężnego Radziwiłła – słabym i opuszczonym od wszystkich wzgardzi. A jeśli odmienna szczęścia kolej ześle zwycięstwo Janowi Kazimierzowi, wówczas ostatnia zguba nastanie dla tego pana, który dziś jeszcze rano nie miał równego sobie w całej Rzeczypospolitej.

Po odjeździe posłów i wojewody wendeńskiego ksiązę chwycił brzemienne troskami czoła w obie dłonie i począł chodzić szybkimi krokami po komnacie... Z zewnątrz dochodziły głosy wartowników szkockich i turkot odjeżdżających kolasek szlacheckich. Odjeżdżały tak szybko jakoś i pospiesznie, jakby zaraza padła na wspaniały kiejdański zamek. Straszliwy niepokój targał duszę Radziwiłła.

Zdawało mu się chwilami, że prócz niego jest jeszcze ktoś i chodzi za nim, i szeptem mu do ucha: „Opuszczenie, ubóstwo, a do tego hańba...” Wszakże on, wojewoda wileński i hetman wielki, już był zdeptyany i upokorzony! Kto by przypuszczał wczoraj, że w całej Koronie i Litwie, ba! w całym świecie, znajdzie się człowiek, który by śmiał zakrzyknąć mu do oczu: „Zdrajca!” A przecie on tego wysłuchał i żyw dotąd, i ci, którzy ów wyraz wymówili, żywi także. Może, gdyby wszedł do owej sali, w której odbywała się ucza, usłyszałby jeszcze, jak echo wśród gzymsów i pod sklepieniami powtarza: „Zdrajca! zdrajca!”

I gniew szalony, wściekły chwycił chwilami za pierś oligarchy. Nozdrza jego rozdymały się, oczy ciskały błyskawice, żyły występowały na czole. Kto tu śmie stawiać opór jego woli?... Rozszalała myśl stawiała mu przed oczy obraz kar i mąk dla buntowników, którzy ośmielili się nie iść jak pies za jego nogami. I widział krew ich ściekającą z katowskich toporów, słyszał chrupot kości, łamanych kałem, i kapał się, i lubował, i nasycił krwawymi widziadłami.

Lecz gdy trzeźwiejsza rozważa przypomniła mu, że za tymi buntownikami stoi wojsko, że nie można bezkarnie łbów im poskręcać, wówczas niepokój nieznośny, piekielny wracał i napełniał jego duszę, a ktoś znów poczynął szeptać mu do ucha:



„Opuszczenie, ubóstwo, sąd i hańba...”

Jakże to? Więc Radziwiłłowi nawet nie wolno stanowić o losie kraju? utrzymać go przy Janie Kazimierzu lub dać Karolowi Gustawowi? dać, przekazać, darować, komu zechce?

Magnat spojrział ze zdumieniem przed siebie.

Więc cóż są Radziwiłłowie? więc czymże byli wczoraj? co mawiono powszechnie na Litwie?... Zali to w czystko było złudzeniem? Zali przy hetmanie wielkim nie stanie książę Bogusław ze swoimi pułkami, za nim wuj elektor brandenburski, a za wszystkimi trzema Karol Gustaw, król szwedzki, z całą zwycięską potęgą, przed którą niedawno jeszcze drżały Niemcy jak długie i szerokie? Toż i ta Rzeczpospolita Polska wyciąga ku nowemu panu ręce, i ona poddaje się na samą wieść o zbliżaniu się północnego lwa. Któż stawi opór tej sile niepohamowanej?

Z jednej strony król szwedzki, elektor brandenburski, Radziwiłłowie, w potrzebie i Chmielnicki z całą Potęgą, i gospodar wołoski, i Rakoczy siedmiogrodzki; pół niemal Europy! – z drugiej pan wojewoda witebski z panem Mirskim, z panem Stankiewiczem, z ową trójką szlachty przybyłej spod Łukowa i z kilku zbuntowanymi chorągwiami!... Co to jest? – żarty? krotofila?...

Tu nagle książę zaczął się śmiać głośno:

– Przez Lucypera i cały sejm piekielny, chyba oszalał!... Niech i wszyscy pójdą do wojewody witebskiego!

Po chwili jednak twarz jego zasepiła się znowu:

– Ci potężni tylko potężnych do spółki przypuszczają, Radziwiłł rzucający Litwę pod szwedzkie nogi będzie pożądanym... Radziwiłł wzywający pomocy przeciw Litwie będzie lekceważony.

Co czynić?

Oficerowie cudzoziemscy wytrwają przy nim, ale siły ich niedostateczne, i jeśli polskie chorągwie przejdą do wojewody witebskiego, wtedy on będzie miał losy kraju w ręku. Zresztą każdy z tych oficerów spełni wprawdzie rozkazy, ale nie poślubi sprawy radziwiłłowskiej całą duszą, nie odda się jej z zapalem, nie tylko jako żołnierz, lecz jako stronnik.

Tu koniecznie trzeba mieć nie cudzoziemców, ale ludzi swoich, którzy by mogli pociągnąć innych nazwiskiem, męstwem, sławą, zuchwałym przykładem, gotowością na wszystko... Trzeba mieć w kraju stronników, choćby dla pozorów.

Któż zaś z tych swoich opowiedział się przy księciu? Charłamp, stary, zużyty żołnierz, dobry do służby i do niczego więcej; Niewiarowski, nie lubiany w wojsku i bez wpływu; za nimi kilku innych mniejszego jeszcze znaczenia. Nikt z innych, nikt z takich, za którym by poszło wojsko, nikt z takich, który by mógł być propagatorem sprawy.

Pozostawał Kmicic, młody, przedsiębiorczy, zuchwały, okryty wielką sławą rycerską, noszący znamienite nazwisko, stojący na czele potężnej chorągwi, częścią własnym kosztem wystawionej, człowiek jakby stworzony na wodza wszystkich zuchwałych i niespokojnych duchów na Litwie, a przy tym pełen zapału. Gdyby on chwycił się sprawy radziwiłłowskiej, to chwyciłby się jej z wiarą, jaką daje młodość, szedłby za swym hetmanem na ślepo i apostołowałby w jego imieniu, a taki apostoł znaczy więcej niż całe pułki, niż całe regimenty cudzoziemców. Swą wiarę potrafiłby wlać w serca młodego rycerstwa, pociągnąć je za sobą i wypełnić ludźmi radziwiłłowski obóz.

Lecz i on zawahał się widocznie. Nie rzucił wprawdzie swej buławy pod nogi hetmana, ale nie stanął przy nim w pierwszej chwili.

„Na nikogo nie można liczyć, nikogo nie można być pewnym – pomyślał posepnie książę. – Wszyscy oni przejdą do wojewody witebskiego i nikt nie zechce się ze mną podzielić...”

– Hańbą! – poszepnęło sumienie.

– Litwą! – odpowiedziała z drugiej strony pycha. W komnacie pociemniało, bo na knotach świec osiadły grzyby, jeno przez okna wpływało srebrne światło księżycy. Radziwiłł wpatrzył się w te blaski i zamyślił się głęboko.

Z wolna poczęło się coś macić w tych blaskach, wstawały jakieś postacie i coraz ich było więcej, aż w końcu ujrzał książę jakoby wojska idące ku sobie z górnych szlaków szeroką księżycową drogą. Idą pułki pancerne, husarskie i lekkie petyhorskie, las chorągwi płynie nad nimi, a na czele

jedzie jakiś człowiek bez hełmu na głowie, widocznie triumfator wracający po wojnie zwycięskiej. Cisza naokoło, a ksiązę słyszy wyraźnie głos wojska i ludu: „Vivat defensor patriae! vivat defensor patriae!” Wojska zbliżają się coraz więcej; już twarz wodza można rozpoznać. Buławę trzyma w rękę; z liczby buńczuków można poznać, że to hetman wielki.

– W imię Ojca i Syna! – woła ksiązę – to Sapieha, to wojewoda witebski! A gdzie ja jestem? i co mnie przeznaczono?

– Hańbę! – szepce sumienie. – Litwę! – odpowiada pycha.

Książę zaklasnął w dłonie; czuwający w przyległej komnacie Harasimowicz ukazał się natychmiast we drzwiach i zgiął się we dwoje.

– Światła! – rzekł ksiązę.

Harasimowicz poobjaśniał knoty od świec, po czym wyszedł i po chwili wrócił ze świecznikiem w rękę.

– Wasza książęca mość! – rzekł – czas na spoczynek, już drugie kury piały!

– Nie chcę! – rzekł ksiązę. – Zdrzemnąłem się i zmore mnie dusiła. Co tam nowego?

– Jakiś szlachcic przywiózł list z Nieświeża od księcia krajczego, ale nie śmiałem wchodzić nie przyzwany.

– Dawaj co prędzej list!

Harasimowicz podał zapieczętowane pismo, ksiązę otworzył i począł czytać, co następuje:

„Niech Waszą Książęcą Mość Bóg broni i powstrzyma od takowych zamysłów, które wieczną hańbę i zniszczenie domowi naszemu przynieść mogą. Za sam takowy zamiar nie o panowaniu, ale ó włościennicy myśleć. Mnie też wielkość naszego domu na sercu leży, a najlepszy dowód w staraniach, jakie w Wiedniu czyniłem, abyśmy suffragia w sejmach Rzeszy mieć mogli. Ale ojczyzny ani. pana swojego za żadne nagrody i potęgę ziemską nie zdradzę, abym zaś po takiej siejbie zniwa hańby za życia i potępienia po śmierci nie zebrał. Wejrzyj Wasza Ks. Mość na zasługi przodków i na sławę niepokalaną i opamiętaj się, na miłosierdzie boskie, póki czas po temu służy. Nieprzyjaciół oblega mnie w Nieświeżu i nie wiem, zali to pismo dojdzie rąk Waszej Ks. Mości; ale chociaż każda chwila zgubą mi grozi, nie o ocalenie Boga proszę, jeno aby Waszą Ks. Mość od tych zamysłów powstrzymał i na drogę cnoty naprowadził. Choćby się już co złego uczyniło, jeszcze recedere wolno i prędką poprawą zgładzić grzechy potrzeba. A ode mnie nie spodziewajcie się pomocy, bo to z' góry oświadczam, że bez względu na związek krwi ja siły swoje z panem podskarbinem i z wojewodą witebskim połączę i oręż mój sto razy prędzej przeciw Waszej Ks. Mości zwrócę, zanimbym do tej haniebnej zdrady miał dobrowolnie przyłożyć ręki. Bogu Waszą Książęcą Mość polecam.

Michał Kazimierz Radziwiłł,  
Książę na Nieświeżu i Ołyce,  
Krajczy W. Ks. Litewskiego.”

Hetman skończywszy list opuścił go na kolana i począł kiwać głową z bolesnym na twarzy uśmiechem.

– I ten mnie opuszcza, własna krew mnie się wypiera za to, że chciałem dom nasz nie znanym dotąd blaskiem przyozdobić!... Ha! trudno! Pozostaje Bogusław, i ten mnie nie opuści... Z nami elektor i Carolus Gustavus, a kto nie chce siać, ten i zbierać nie będzie...

– Hańby! – szepnęło sumienie.

– Wasza książęca mość raczy dać odpowiedź? – pytał Harasimowicz.

– Nie będzie odpowiedzi.

– Mógł odejść i pokojowych przysłać?

– Czekaj... Czy warty pilno rozstawione?

– Tak jest.

– Ordynanse do chorągwi rozesłane?

– Tak jest.

– Co robi Kmicic?

– Łbem o ścianę bił i krzyczał o potępieniu. Wił się jak piskorz. Chciał uciekać za Billewiczami, warty go nie puściły. Porwał się do szabli, musiano go związać. Teraz leży spokojnie.

– Miecznik rosieński wyjechał?

– Nie było rozkazu, żeby go wstrzymać.

– Zapomniałem! – rzekł książę. – Otwórz okna, bo duszno i astma mnie dusi. Charłampowi powiedz, żeby do Upity po chorągiew ruszał i zaraz ją tu sprowadził. Pieniędzy mu dać, niech pierwszą ćwierć ludziom zapłaci i podochoć im pozwoli... Powiedz mu, że Dydkiemie w dożywocie po Wołodyjowskim weźmie. Astma mnie dusi... Czekaj!

– Wedle rozkazu waszej książęcej mości.

– Co robi Kmicic?

– Jako rzekłem waszej książęcej mości, leży spokojnie.

– Prawda! mówiłeś... Każ go tu przysłać. Potrzebuję z nim mówić. Więzy każ mu zdjąć.

– Wasza książęca mość, to człowiek szalony...

– Nie bój się, ruszaj!

Harasimowicz wyszedł; książę zaś wyjął z weneckiego biurka pudełko z pistoletami, otworzył je i położył sobie pod ręką, na stole, przy którym usiadł.

Po kwadransie czasu wszedł Kmicic wprowadzony przez czterech trabantów szkockich. Książę kazał odejść żołnierzom. Zostali sam na sam.

Zdawało się, że nie ma ani jednej kropli krwi w twarzy junaka, tak była blada; oczy tylko świeciły mu gorączkowo, ale zresztą był spokojny, zrezygnowany, lubo zdawał się być pogrążony w bezgranicznej rozpacz.

Przez chwilę milczeli obaj. Przemówił pierwszy książę:

– Przysiągłeś na krucyfiksie, że nie opuścisz mnie! – Potępiony będę, gdy tej przysięgi nie dotrzymam; potępiony będę, gdy jej dotrzymam! – rzekł Kmicic. – Wszystko mi jedno!

– Choćbym cię do złego prowadził, nie ty będziesz odpowiadał.

– Przed miesiącem groziły mi sądy i kary za zabójstwa... dziś wydaje mi się, że w onczas był niewinny jak dziecko!

– Nim wyjdiesz z tej komnaty, będziesz się czuł rozgrzeszony ze wszystkich swych win dawniejszych – rzekł książę.

Nagle zmieniwszy ton spytał z pewną poufałą dobroduszością:

– Co też sądzisz, co ja powinienem być uczynić wobec dwóch nieprzyjaciół, stokroć potężniejszych, przeciwko którym obronić tego kraju nie mogłem?

– Zginać! – odpowiedział szorstko Kmicic.

– Zazdrościć wam, żołnierzom, którym wolno tak łatwo zrzucić gniojące brzemie. Zginać! Kto śmierci w oczy patrzył i nie boi się jej, temu nic prostszego w świecie. Was głowa nie boli o to i żadnemu na myśl nie przyjdzie, że gdybym ja teraz wojnę zacieklą rozniecił i nie zawarłszy układu zginał, tedyby mień na kamieniu z tego kraju nie pozostał. Nie daj Bóg, aby się to stało, bo i w niebie nie znalazłaby dusza moja spoczynku. O, terque quaterque beati, którzy możecie zginać!... Zali to myślisz, że i mnie żywot już nie ciąży, że niegłodny wiekuistego snu i odpocznienia? Ale trzeba kielich zółci i goryczy wychylić do dna. Trzeba ratować ten nieszczęśliwy kraj i dla jego ratunku pod nowym ugiąć się ciężarem. Niech zazdrośni posądzają mnie o pychę, niech mówią, że ojczyznę zdradzam dlatego, aby siebie wynieść – Bóg mnie widzi, Bóg sądzi, czy pragnę tego wyniesienia i czybym się nie rzekł, gdyby inaczej być mogło... Znajdźcie wy, którzy mnie odstępujecie, środek ratunku; wskażcie drogę wy, którzyście mnie zdrajcą mianowali, a dziś jeszcze podreć ten dokument i wszystkie chorągwie ze snu rozbudzę, aby na nieprzyjaciela ruszyć.

Kmicic milczał.

– No! czemu milczysz? – zawołał podniesionym głosem Radziwiłł – czynię cię na moim miejscu hetmanem wielkim i wojewodą wileńskim, a ty nie giń, bo to nie sztuka, ale ratuj kraj: broń województw zajętych, pomścij popioły Wilna, broń Żmudzi przeciw szwedzkiemu najściu, ba!

broń całej Rzeczypospolitej, wyżeń z granic wszystkich nieprzyjaciół!... Porwij się samotrzeć na tysiące i nie giń!... i nie giń, bo ci nie wolno, ale ratuj kraj!...

– Nie jestem hetmanem i wojewodą wileńskim odparł Kmicic – i co do mnie nie należy, to nie moja głowa... Ale jeśli chodzi o to, by się porwać samotrzeć na tysiące, to się porwę!

– Słuchaj tedy, żołnierzu: skoro nie twoja głowa ma ratować kraj, to zostaw to mojej i ufaj!

– Nie mogę! – rzekł ze ściśniętymi zębami Kmicic.

Radziwiłł potrząsnął głową:

– Nie liczyłem na tamtych, spodziewałem się tego, co się stało, ale się na tobie zawiódł. Nie przerywaj i słuchaj... Postawiłem cię na nogi, uwolniłem od sądu i od kary, przygarnąłem do serca jak syna. Czy wiesz dlaczego? Bom myślał, że masz duszę śmiałą, do wielkich przedsięwzięć gotową. Potrzebowałem takich ludzi, tego nie ukrywam. Nie było koło mnie nikogo, kto by śmiał w słońce spojrzeć nieulekłym okiem... „Byli ludzie małego ducha i małej fantazji. Takim nie ukazuj nigdy innej drogi, jak ta, po której oni sami i ich ojcowie chodzić zwykli, bo cię zakraczą, że ich na manowce prowadzisz. A przecie gdzie, jeżeli nie do przepaści, doszliśmy wszyscy owymi starymi drogami? Co się dzieje z tą Rzeczpospolitą, która niegdyś światu przegrzać mogła?

Tu książę głowę wziął w ręce i powtórzył po trzykroć:

– Boże! Boże! Boże!...

Po chwili tak mówił dalej:

– Nadeszły czasy gniewu bożego, czasy takich klęsk i takiego upadku, że zwykłymi sposobami już nam się nie podnieść z tej choroby, a gdy ja chcę użyć nowych, jedynie salutem przynieść mogących, tedy mnie opuszczają nawet ci, na których gotowość liczyłem, którzy powinni mi byli ufać, którzy mi ufność na krucyfiksie zaprzysięgli... Przez krew i rany Chrystusa! Zali ty myślisz, że ja na wieki poddałem się pod protekcję Karola Gustawa, że ja ten kraj naprawdę myślę ze Szwecją połączyć, że ten układ, za który zdracą mnie okrzyknięto, dłużej jak rok trwać będzie?... Czegoż to spoglądasz zdumionymi oczyma?... Więcej się jeszcze zdumiejesz, gdy wszystkiego wysłuchasz... Więcej się przerażisz, bo tu stanie się coś takiego, czego nikt się nie domyśla, nikt nie przypuszcza, czego umysł zwyczajnego człowieka objąć nie zdoła. Ale mówię ci, nie drzyj, bo w tym zbawienie tego kraju, nie cofaj się, bo gdy nikogo nie znajdę do pomocy, tedy może zginę, ale ze mną zginie Rzeczpospolita i wy wszyscy – na wieki! Ja jeden uratować ją mogę, ale na to muszę zgnieść i zdeptać wszystkie przeszkody. Biada temu, kto mi się oprze, bo sam Bóg go przeze mnie zetrze, czy to będzie pan wojewoda witebski, czy pan podskarbi Gosiewski, czy wojsko, czy szlachta oporna. Chcę ratować ojczyznę, i wszystkie drogi, wszystkie sposoby do tego mi dobre... Rzym w chwilach klęski mianował dyktatorów – takiej, ba! większej, trwalszej władzy mi potrzeba... Nie pycha mnie do niej ciągnie kto się czuje na siłach, niech ją za mnie bierze! Ale gdy nie ma nikogo, ja ją wezmę, chyba mi te mury pierwej upadną na głowę!...

To rzekłszy książę wyciągnął obie ręce do góry, jakby naprawdę chciał podeprzeć walące się sklepienie i było w nim coś tak olbrzymiego, że Kmicic otworzył szeroko oczy i patrzył nań, jakby go nigdy dotąd nie widział – a na koniec spytał zmienionym i głosem:

– Dokąd wasza książęca mość dążysz?... Czego chcesz?...

– Chcę... korony! – zakrzyknął Radziwiłł.

– Jezus Maria!...

Nastąpiła chwila głuchej ciszy - jeno puszczyk na wieży zamkowej począł się śmiać przeraźliwie.

– Słuchaj – rzekł książę – czas powiedzieć ci wszystko... Rzeczpospolita ginie... i zginąć musi. Nie masz dla niej na ziemi ratunku. Chodzi o to, by naprzód ten kraj, tę naszą ojczyznę bliższą, ocalić z rozbicia... a potem... potem wszystko odrodzić z popiołów, jako się feniks odradza... Ja to uczynię... i tę koronę, której chcę, włożę jako ciężar na głowę, by z onej wielkiej mogiły żywot nowy wyprowadzić... Nie drzyj! Ziemia się nie rozpada, wszystko stoi na dawnym miejscu, jeno czasy nowe przychodzą... Oddałem ten kraj Szwedom, aby ich orężem drugiego nieprzyjaciela pohamować, wyżenać go z granic, odzyskać, co stracone, i w jego własnej stolicy mieczem traktat wymusić... Słyszysz ty mnie? Ale w onej skalistej, głodnej Szwecji nie masz dość ludzi, dość sił,

dość szabel, aby tę niezmierną Rzeczpospolitą zagarnąć. Mogą zwyciężyć raz i drugi nasze wojsko; utrzymać nas w posłuszeństwie nie zdołają... Gdyby każdym dziesięciu ludziom tutejszym dodać za strażnika jednego Szweda, jeszcze by dla wielu dziesiątków strażników nie stało... I Karol Gustaw wie o tym dobrze, i nie chce, i nie może zagarnąć całej Rzeczy–pospolitej... Zajmie Prusy Królewskie, część Wielkopolski co najwięcej – i tym się będzie kontentował. Ale aby owymi nabytkami mógł na przyszłe czasy bezpiecznie władać, musi sojusz Korony z nami rozerwać, bo inaczej nie osiedlałby się w tamtych prowincjach. Cóż się więc stanie z tym krajem? Komu go oddadzą? Oto, jeśli ja odrzucę tę koronę, którą mi Bóg i fortuna na głowę kładą, tedy oddadzą go temu, kto go w tej chwili istotnie opanował... Lecz Karol Gustaw nierad tego czynić, by sąsiedzkiej potęgi zbyt nie utuczyć i groźnego sobie nieprzyjaciela nie stworzyć. Chyba, że ja koronę odrzucę, wówczas musi tak być... Zali więc mam prawo ją odrzucać? Zali mogę pozwolić, aby stało się to, co ostatnią zgubą grozi? Po raz dziesiąty i setny pytam: gdzie inny środek ratunku? Niech się więc dzieje wola boża! Biorę ten ciężar na ramiona. Szwedzi są za mną, elektor, nasz krewny, pomoc przyrzeka. Uwolnię kraj od wojny! Od zwycięstw i rozszerzenia 'granic rozpocznę panowanie domu mego. Zakwitnie spokój i pomyślność, ogień nie będzie palił wsi i miast. Tak będzie i tak być musi... Tak mi dopomóż Bóg i święty Krzyż bo czuję w sobie siłę i moc z nieba mi daną, bo chcę szczęścia tej krainy, bo nie tu jeszcze koniec moich zamysłów... I na te światła niebieskie przysięgam, na te drgające gwiazdy, że niech jeno siła i zdrowia mi starczy, a cały ten gmach walący się dzisiaj odbuduję na nowo i potężniejszym niż dotąd go uczynię.

Ogień bił ze źrenic i oczu księcia i całą jego postać otaczał jakiś blask niezwykły.

– Wasza książęca mość! – zakrzyknął Kmicic umysł objąć tego nie może, głowa pęka, oczy boją się patrzeć przed siebie!

– Potem – mówił dalej Radziwiłł, jakby idąc za dalszym biegiem własnych myśli – potem... Jana Kazimierza nie pozbawią Szwedzi państwa ni panowania, ale go w Mazowszu i Małopolsce zostawią. Bóg mu nie dał potomstwa. Potem przyjdzie elekcja... Kogóż na tron wybiorą, jeśli chcą dalszy sojusz z Litwą utrzymać? Kiedyż to tamta Korona doszła do potęgi i zgniotła moc krzyżacką? Oto gdy na jej tronie zasiadł Władysław Jagiełło. I teraz tak będzie... Polacy nie mogą kogo innego na tron powołać, jeno tego, kto tu będzie panował. Nie mogą i nie uczynią tego, bo zginą, bo im między Niemcami i Turczynem powietrza w piersi nie stanie, gdy i tak rak kozacki pierś tę toczy! Nie mogą! Ślepy, kto tego nie widzi;” głupi, kto tego nie rozumie! A wówczas obie krainy znowu się połączą i zleją się w jedną potęgę w domu moim! Wówczas obaczmy, czy oni królikowie skandynawscy ostoją się przy dzisiejszych pruskich i wielkopolskich nabytkach. Wówczas powiem im: „quos ego!”, i tą stopą wychudłe zebra im przycisnę, i stworzę taką potęgę, jakiej świat nie widział, o jakiej dzieje nie pisały, a może do Konstantynopola krzyż, miecz i ogień poniesiem i grozić będziem nieprzyjaciołom, spokojni wewnątrz! Wielki Boże, który obracasz gwiazd kręgi, dajże mi ocalić tę nieszczęsną krainę na chwałę Twoją i całego chrześcijaństwa, dajże mi ludzi; którzy by zrozumieli myśl moją i do zbawienia chcieli rękę przyłożyć. Otom jest!...

Tu książę rozłożył ręce i oczy podniósł do góry:

– Ty mnie widzisz! Ty mnie sądzisz!...

– Mości książę! Mości książę! – zawołał Kmicic.

– Idź! opuść mnie! rzuć mi buzdygan pod nogi! złam przysięgę! przezwij zdrajcą!... Niech w tej koronie cierniowej, którą mi na głowę włożono, żadnego ciernia nie zbraknie! Zgubcie kraj, pograżcie go w Przepaść, odtrąćcie rękę, która go zbawić może, i na sąd boży idźcie... Tam niechaj nas rozsądzą...

Kmicic rzucił się na kolana przed Radziwiłłem.

– Mości książę! ja z tobą do śmierci! ojciec ojczyzny! zbawco!

Radziwiłł złożył mu obie ręce na głowie i znów nastąpiła chwila milczenia. Jeno puszczyk śmiał się ciągle na wieży.

– Wszystko otrzymasz, czegoś pragnął i pożywał -.. rzekł uroczyście książę. – Nic cię nie minie, a więcej spotka, niż ci ojciec i matka życzyli... Wstań, przyszły hetmanie wielki i wojewodo wileński!...

Na niebie poczęło świtać.

## ROZDZIAŁ XV

Pan Zagłoba mocno już miał w głowie, gdy po trzykroć rzucił straszemu hetmanowi w oczy słowo: „zdrajca!” Owóz w godzinę później, gdy wino wyparowało mu z łysiny i gdy znalazł się wraz z oboma Skrzetuskimi i panem Michałem w kiejdańskim zamkowym podziemiu, poznał poniewczasie, na jaki hazard wystawił szyję własną i towarzyszków, i zafrasował się wielce.

– A co teraz będzie? – pytał poglądając osowiałym wzrokiem na małego rycerza, w którym szczególniejszą w ciężkich razach pokładał ufność.

– Niech diabli porwą życie! Wszystko mi jedno! – odpowiedział Wołodyjowski.

– Dożyjemy takich czasów i takiej hańby, jakiej świat i ta korona dotąd nie widziała! – rzekł Jan Skrzetuski.

– Żebyśmy aby dożyli – odpowiedział Zagłoba – moglibyśmy dobrym przykładem cnotę w innych restaurować... Ale czy dożyjemy? To grunt...

– Straszna rzecz, wiarę przechodząca! – mówił Stanisław Skrzetuski. – Gdzie się coś podobnego działo? Ratujcie mnie, mości panowie, bo czuję, że mi się w głowie miesza... Dwie wojny, trzecia kozacka... a do tego zdrada jak zaraza: Radziejowski, Opaliński, Grudziński, Radziwiłł. Nie może być inaczejkoniec świata nastaje i dzień sądu! Niechże się ziemia rozstąpi pod naszymi nogami. Jak mi Bóg miły, zmysły tracę!

I założywszy ręce na tył głowy począł chodzić wzdłuż i wszerz piwnicy jako dziki zwierz po klatce.

– Zaczniemy pacierze czy co? – rzekł wreszcie. Boże miłosierny, ratuj!

– Uspokój się waćpan! – rzekł Zagłoba – tu nie czas desperować!

Pan Stanisław nagle zęby ścisnął, wściekłość go porwała.

– Bodaj cię zabito! – krzyknął na Zagłobę – twój to pomysł: jazda do tego zdrajcy! Bodaj was obu pomsta dosięgła!

– Opamiętaj się, Stanisławie! – rzekł surowo Jan. – Tego, co się siało, nikt nie mógł przewidywać... Cierp, bo nie ty jeden cierpisz, a to wiedz, że nasze miejsce tu, a nie gdzie indziej... Boże miłosierny! zmiłuj się nie nad nami, ale nad tą ojczyzną nieszczęsną!

Stanisław nic nie odpowiedział, jeno dłonie łamał, aż w stawach trzeszczało.

Umilkli. Jenó pan Michał gwizdał po desperacku przez zęby i zdawał się być obojętny na wszystko, co się koło niego działo, choć w gruncie rzeczy cierpiał podwójnie, bo naprzód, nad nieszczęściem ojczyzny, a po wtóre, iż hetmanowi posłuszeństwo złamał. Dla tego żołnierza do szpiku kości była to okropna rzecz: Wolałby zginać tysiąc razy.

– Nie gwizdź, panie Michale! – rzekł do niego Zagłoba.

– Wszystko mi jedno!

– Jakże to? Żaden z was nie pomyśli, czy nie ma jakowego środka ratunku? A przecie warto nad tym dowcip wysilić! Zali mamy gnić w tej piwnicy, gdy każda ręka ojczyźnie potrzebna? Gdy jeden cnotliwy musi za dziesięciu zdrajców wystarczyć?!!

– Ojciec ma słuszność! – rzekł Jan Skrzetuski.

– Ty jeden nie ogłupiałeś od boleści. Jak suponujesz? Co ten zdrajca myśli z nami uczynić? Na gardle nas przecie nie ukarze?

Pan Wołodyjowski wybuchnął nagle desperackim śmiechem.

– A to dlaczego? ciekawym!... Zali nie przy nim inkwizycja? Zali nie przy nim miecz? Chyba nie znacie Radziwiłła?

– Co tam prawisz! Jakież to mu prawo przysługuje?...

– Nade mną – hetmańskie, a nad wami – gwałt!

– Za który musiałby odpowiadać...

– Przed kim? Przed królem szwedzkim?

- A to pięknie mnie pocieszasz! Nie ma co mówić!
- Ja też nie myślę waści pocieszać.

Umilkli i przez jakiś czas słyszeć było tylko miarowe kroki piechurów szkockich za drzwiami piwnicy.

- Nie ma co! – rzekł Zagłoba – tu trzeba fortelu zażyć.

Nikt mu nie odpowiedział, więc po jakimś czasie znów mówić zaczął:

– Nie chce się w to wierzyć, abyśmy mieli być na gardle skazani. Żeby za każde słowo w przędkości i po pijanemu wymówione szyję ucinąć, tedyby ani jeden szlachcic w tej Rzeczypospolitej z głową nie chodził. *A neminem captivabimus?* Czy to furda?

- Masz waść przykład na sobie i na nas! – rzekł Stanisław Skrzetuski.

– Bo to się stało z przędkości, ale wierzę w to mocno, że się książkę zreflektuje. My, obcy ludzie, żadnym sposobem pod jego jurysdykcję nie podchodzimy. Musi na opinię zważać i od gwałtów nie może poczynać, aby sobie szlachty nie narażać. Jako żywo! za wielka nas kupa, aby wszystkim głowy postrącać. Nad oficyjrami ma prawo, temu nie mogę negować, ale tak myślę, że się na woj-sko będzie oglądał, które pewnie o swoich nie omieszka się upomnieć... A gdzie twoja chorągiew, panie Michale?

- W Upicie!

– Powiedz mi jeno, jestżeś pewny, że twoi ludzie wiernie przy tobie staną?

– Skąd mam wiedzieć? Miłują mnie dosyć, ale wiedzą, że hetman nade mną.

Zagłoba zamyślił się na chwilę.

– Dajże mnie do nich ordynans, aby mnie we wszystkim słuchali jako ciebie samego, jeśli się wśród nich ukazę.

.– Waćpanu się zdaje, żeś już wolny!

– Nie wadzi nic. Bywało się w gorszych opałach i Bóg ratował. Daj ordynans dla mnie i dla obydwóch panów Skrzetuskich. Kto pierwszy się wymknie, ten zaraz do chorągwi ruszy i innym ją na ratunek przyprowadzi.

– Co waść bredzisz! Szkoda czasu na gadanie! Kto się tu wymknie! Na czym zresztą dam rozkaz? Masz waść papier, inkaust, pióra? Waść głowę tracisz.

– Desperacja! – rzekł Zagłoba. – Dajże mnie choć swój pierścień!

– Masz waćpan i daj mnie pokój! – rzekł pan Michał.

Pan Zagłoba wziął pierścień, wsadził go na mały palec i począł chodzić w zamyśleniu.

Tymczasem dymny kaganek zagaś i ogarnęła ich ciemność zupełna; tylko przez kraty wysokiego okna widać było parę gwiazd migocących na pogodnym niebie. Oczy Zagłoby nie schodziły z tej kraty.

– Gdyby nieboszczyk Podbipięta żył i był z nami – mruknął stary – byłby wyszarpnął kratę i w godzinę obaczylibyśmy się za Kiejdanami.

– A podsadzisz mnie do okna? – rzekł nagle Jan Skrzetuski.

Zagłoba z panem Stanisławem ustawili się pod ścianą, po chwili Jan stanął na ich ramionach.

– Trzeszczy! jak mi Bóg miły trzeszczy! – zawołał Zagłoba.

– Co ojciec mówisz! – odpowiedział Jan – jeschcem nie zaczął ciągnąć.

– Wleźcie we dwóch z bratankiem, już was tam jakoś udźwignę... Nieraz żałowałem pana Michała, że taki misterny, a teraz żałuję, że jeschce nie misterniejszy, bo mógłby się jako serpens prześliznąć.

Lecz Jan zeskoczył z ramion.

– Szkoci stoją z tamtej strony! – rzekł.

– Bodaj się w słupty soli zmienili jako żona Loto-wa. Ciemno tu, choć w pysk daj. Niedługo świtać pocznie. Myślę, że nam jakoweś alimenta przyniosą, bo tego i lutrzy nie czynią, żeby jeńców mieli głodem morzyć. Może też Bóg zesze na hetmana upamięta-nie. W nocy nieraz sumienie się w człeku budzi i diabli grzeszników inkomoduują. Zali to może być, aby do tej piwnicy jedno było wejście? Po dniu obejrzym. Głowa mi jakoś cięży i żadnego fortelu wymyślić nie mogę – ju-



tro Bóg dowcipowi pomoże, a teraz pocznijmy pacierze mówić, mości panowie, i polećmy się Najświętszej Pannie w tym heretyckim więzieniu.

Jakoż po chwili zaczęli odmawiać pacierze i litanie do Matki Boskiej, po czym obaj Skrzetuscy i Wołodyjowski umilkli mając pełne piersi nieszczęścia, Zagłoba zaś pomrukiwał z cicha:

– Nie może inaczej być – mruzczał – tylko jutro pewnie powiedzą nam: *aut, aut!* – bądźcie z Radziwiłłem, a przebaczę wam wszystko, jeszcze nagrodzę! Tak? Dobrze! Będę z Radziwiłłem! Jeno zobaczymy, kto kogo oszuka. To do więzienia szlachtę pakujecie, na wiek i na zasługi nie macie względu? dobrze! Komu szkoda, temu płacz! Głupi będzie pod spodem, a mądry na wierzchu. Przyrzeknę, co chcecie, ale tego, czego wam dotrzymam, na załatwienie butów nie starczy. Jeśli wy ojczyźnie nie dotrzymujecie, to cnotliwy ten, kto wam nie dotrzyma. Ale to pewna, że przychodzi ostatnia zguba na Rzeczpospolitą, skoro najprzedniejsi jej dygnitarze z nieprzyjacielem się łączą... Tego w świecie jeszcze nie bywało i pewnie, że mentem można stracić. Zali jest w piekle dosyć mąk na takowych zdrajców? Czego takiemu Radziwiłłowi brakło? Małoż mu ta ojczyzna wyświadczyła, że ją jako Judasz zaprzedał, i to właśnie w czasie największych klęsk, w czasie trzech wojen?... Słuszny, słuszny gniew twój, Boże, daj jeno karę najprędzej! Niechże tak będzie! Amen! Byle się stąd jak najprędzej na wolność wydostać – narobię ja ci partyzantów, mości hetmaniel! Poznasz, jako to fructa zdrady smakują. Będiesz ty mnie jeszcze za przyjaciela uważał, ale jeśli lepszych przyjaciół nie znajdziesz, to nie poluj nigdy na niedźwiedzia, chyba ci skóra nie miła...

Tak to rozprawiał ze sobą pan Zagłoba. Tymczasem upłynęła jedna i druga godzina, a w końcu zaczęło świtać. Szare blaski wpadające przez kratę rozpraszały z wolna ciemność panującą w piwnicy i wydobyły z niej posępne postacie rycerskie siedzące pod ścianami. Wołodyjowski i dwaj Skrzetuscy drzemali ze znużenia, ale gdy rozwidniło się lepiej, z poiwórca zamkowego doleciały odgłosy kroków żołnierskich, chrzęst broni, tętent kopyt i dźwięk trąb przy bramie. Rycerze zerwali się na równe nogi.

– Poczyzna nam się dzień niezbyt pomyślnie! szekł Jan.

– Daj Boże, żeby się skończył pomyślniej – odpowiedział Zagłoba. – Wiecie, waćpanowie, com w nocy obmyślił? Oto pewnie poczęstują nas darowaniem żywota, jeżeli służbę u Radziwiłła przyjmą i jeszcze w zdradzie pomagają zechcemy; my zaś powinniśmy się na to zgodzić, aby z wolności skorzystał i za ojczyznę stanął.

– Niechże mnie Bóg broni, abym miał zdradę podpisywać – odparł Jan – bo choćbym potem zdrajcy odstąpił, już by moje nazwisko na hańbę moim dzieciom między zdrajcami pozostało. Nie uczynię ja tego, wolę umrzeć.

– Ani ja! – rzekł Stanisław.

– A ja z góry was uprzedzam, że uczynię. Na fortel fortel, a potem będzie, co Bóg da. Nikt nie pomyśli, że to z dobrej woli albo szczerze uczynił. Niech tego smoka Radziwiłła diabli wezmą! Zobaczymy jeszcze, czyje będzie na wierzchu.

Dalszą rozmowę przerwały krzyki dochodzące z po–dwórza. Słysząc w nich było złowrogie akcenta gnie–wu i wzburzenia. Jednocześnie rozlegały się pojedyn–cze głosy komendy i echa kroków całych tłumów, i ciężki hurkot, jakoby przetaczanych dział.

– Co tam się dzieje? – pytał Zagłoba. – Dalibóg, może to jakaś pomoc dla nas.

– Pewnie, że niezwykajne to hałasy – odrzekł Wołodyjowski. – A podsadźcie no mnie do okna, bo ja najprędzej rozeznam, co to jest...

Jan Skrzetuski wziął go pod boki i podniósł jak dziecko do góry, pan Michał chwycił się kraty i począł pilnie wyglądać na podwórzec.

– Jest coś, jest! – rzekł nagle żywo – widzę węgierską nadworną chorągiew piechoty, którą Oskierko dowodził. Okrutnie go miłowali, a on także pod aresztem; pewnie się o niego dopominają. Dalibóg stoją w szyku bojowym. Porucznik Stachowicz jest z nimi, to przyjaciel Oskierki.

W tej chwili krzyki jeszcze się wzmożyły.

– Ganchof przed nich przyjechał... Mówi coś ze Stachowiczem... A jaki krzyk!... Widzę, moi panowie, Staehowicz z dwoma oficerami odchodzą od chorągwi. Idą pewnie do hetmana w deputacji. Jak mi Bóg miły, bunt szerzy się w wojsku. Armaty naprzeciw Węgrom zatoczone i regiment szkocki także w szyku bojowym. Towarzystwo spod polskich chorągwi zbiera się przy Węgrach. Bez nich nie mieliby tej śmiałości, bo w piechocie dyscyplina okrutna...

– Na Boga! – krzyknął Zagłoba. – W tym nasze zbawienie!... Panie Michale, a siła też polskich chorągwi?... Bo że te się zbuntują, to zbuntują.

– Husarska Stankiewiczza i pancerna Marskiego stoją o dwa dni drogi od Kiejdan – odpowiedział Wołodyjowski. – Gdyby tu były, nie śmiano by ich aresztować. Czekażże waść... Jest dragonia Charłampa, jeden regiment, Mielezki drugi; te stoją przy księciu... Niewiarowski opowiedział się także przy księciu, ale jego pułk daleko... Dwa regimenty szkockie...

– To cztery przy księciu.

– I artyleria pod panem Korfem: dwa regimenty.

– Oj! coś dużo!

– I Kmicicowa chorągiew, okrutnie okryta... sześćset ludzi.

– A Kmicic po której stronie? -. Nie wiem.

– Nie widzieliście go? Rzucił wczoraj buławę czy nie rzucił?

– Nie wiemy.

– Kto tedy przeciw księciu? jakie chorągwie?

– Naprzód widocznie ci Węgrzyni. Ludzi dwieście. Potem kupa luźnego towarzystwa spod buławy Mirskiego i Stankiewiczza. Szlachty trochę... i Kmicic, ale ten niepewny.

– Bodaj go!... Na miłość boską... Mało!... Mało!...

– Ci Węgrzyni za dwa pułki staną. Stary żołnierz i wyćwiczony! Czekażcie no... Lonty zapalają u armat, na bitwę się zanosi...

Skrzetusczy milczeli, Zagłoba kręcił się jak w gorączce.

– Bijże zdrajców! Bij psu bratów! Ej, Kmicic! Kmicic! Wszystko od niego zależy. Śmiałyż to żołnierz?

– Jak diabeł... Gotów na wszystko.

– Nie może być inaczej, tylko on po naszej stronie stanie.

– Bunt w wojsku! Ot, do czego hetman doprowadził! – zakrzyknął Wołodyjowski.

– Kto tu buntownik? Wojsko czy hetman, który się przeciwko własnemu panu zbuntował? – pytał Zagłoba.

– Bóg to osądzi. Czekażcie. Znowu tam jakiś ruch. Część dragonii Charłampowej staje przy Węgrach. Sama dobra szlachta w tym regimencie służy. Słyszycie, jak krzyczą?

– Pułkowników! Pułkowników! – wołały groźne głosy z podwórca.

– Panie Michale! na rany boskie, krzyknij im, żeby posłali po twoją chorągiew i po towarzystwo pancerne i husarskie.

– Cicho waść!

Zagłoba sam począł krzyczeć:

– A posłajcie po resztę polskich chorągwi i pień zdrajców!

– Cicho, waść!

Nagle, nie na podwórzu, ale na tyłach zamku zabrzmiała krótka urwana salwa muszkietów...

– Jezus Maria! – krzyknął Wołodyjowski.

– Panie Michale, co to jest?

– Rozstrzelali niezawodnie Stachowicza i dwóch oficerów, którzy poszli w deputacji – mówił gorączkowo Wołodyjowski. – Nie może inaczej być!

– Męko Pana naszego! Tedy żadnej klemencji nie można się spodziewać.

Huk wystrzałów zgłuszył dalszą rozmowę. Pan Michał chwycił konwulsyjnie za kratę i przycisnął do niej czoło, ale przez chwilę nic nie mógł dojrzeć prócz nóg szkockich piechurów ustawionych tuż za oknem. Salwy muszkietów stały się coraz gęstsze, na koniec ozwały się i armaty. Su-

che uderzenia kul o ścianę nad piwnicą słycać było doskonale jakoby uderzenia gradu. Zamek trząsał się w posadach.

– Michale, zeskocz, zginiesz tam! – zawołał Jan.

– Za nic. Kule idą wyżej, a z armat właśnie w przeciwną stronę. Za nic nie zejde.

I pan Wołodyjowski, chwyciwszy jeszcze silniej za kratę, wciągnął się cały we wgłębienie okna, gdzie już nie potrzebował ramion Skrzetuskiego do podpory. W piwnicy uczyniło się wprawdzie ciemno, okienko było małe i pan Michał choć szczupły prze– słońił je całkowicie, ale natomiast towarzysze pozostali na dole mieli każdej minuty świeże wiadomości z pola bitwy.

– Widzę teraz! – krzyknął pan Michał. grzynie o ścianę się wsparli, stamtąd strzelają... Ha!... bałem się, żeby się w kąć nie zatoczyli, bo armaty by ich w mig zniszczyły. Sprawny żołnierz! Jak mi Bóg iły! Bez oficerów wie, co trzeba. Dym znowu! Nie widzę nic.

Strzały poczęły słabnąć.

– Boże miłosierny! nie odkładaj kary! – wołał Zagłoba.

– A co, Michale? – pytał Skrzetuski.

– Szkoci idą do ataku.

– Pioruny siarczyste! że musimy tu siedzieć! – zakrzyknął Stanisław.

– Już są! Halabardnicy! Węgrzym na szable ich biorą! Ach! Boże! że nie możecie widzieć! Co za żołnierze!

– I ze sobą się biją, zamiast z nieprzyjacielem.

– Węgrzyni górą! Szkoci od lewego cofają się. Jak Boga kocham! Dragoni Mielezki przechodzą na ich stronę!... Szkoci we dwóch ogniach. Korf nie może z dział razić, bo i Szkotów by psował. Widzę już i Ganchofowe mundury między Węgrami. Idą do ataku na bramę. Chcą się wydość stąd. Idą jak burza! Wszystko łamią!

– He? Jak to? Wolałbym, żeby zamek zdobyli krzyknął Zagłoba.

– Nic to! Jutro powróca z chorągwiami Mirskiego i Stankiewicza... Hej! Charłamp zginął!... Nie! Wstaje, ranny... Już, już są przy bramie. Co to jest? Chyba i szkocka straż w bramie przechodzi do Węgrów, bo otwierają wrzeczadze.. Kurz się kłębi z tamtej strony. Kmicica widzę! Kmicic! Kmicic z jazdą wali przez bramę!

– Po czyjej stronie? Po czyjej stronie? – krzyczał Zagłoba.

Przez chwilę pan Michał nie dał odpowiedzi, ale przez małą chwilkę; zgiełk, szcęk broni i krzyki rozległy się tymczasem ze zdwojoną siłą.

– Już po nich! – krzyknął przeraźliwie Wołodyjowski.

– Po kim? Po kim?

– Po Węgrach! Jazda rozbiła ich, tratuje, siecze! Banderia w Kmicicowym ręku!... Koniec, koniec!

To rzekłszy pan Michał zesunął się z framugi okienka i wpadł w ramiona Jana Skrzetuskiego.

– Bijcieże mnie – wołał – bijcie, bo ja tego człowieka miałem pod szablą i żywym go puściłem; ja odwozłem mu list zapowiedni! Przeze mnie zaciągnął tę chorągiew, z którą teraz przeciw ojczyźnie będzie walczył. Wiedział, kogo zaciągał, psubratów, wisielców, zbójów, rakarzy takich, jaki sam. Bogdajem go raz jeszcze z szablą spotkał. Boże! przedłuż mi życie na pohybel tego zdrajcy, bo przysięgam, że więcej z rąk moich nie wyjdzie...

Tymczasem krzyki i tętent kopyt i salwy wystrzałów brzmiały jeszcze z całą siłą; ale stopniowo poczęły słabnąć i w godzinę później cisza zapanowała na kiejdańskim zamku, przerywana tylko miarowymi krokami patrolów szkockich i odgłosami komendy.

– Panie Michale! wyjrzyj no jeszcze, co się stało – błagał Zagłoba.

– Po co? – odpowiedział mały rycerz. – Kto wojskowy, ten zgadnie, co się stało. Zresztą widziałem ich rozbitych... Kmicic tu triumfuje!

– Bogdaj go końmi szarpano, warchoła, piekielnika! Bogdaj mu przyszło haremu u Tatarów pilnować!

## ROZDZIAŁ XVI

Pan Michał miał słuszość! Kmicic triumfował. Węgrzy i część dragonów Mielezki oraz Charłampa, która połączyła się z nimi, zalegli gęstym trupem kiejdańskie dziedzińce. Zaledwie kilkudziesięciu wymknęło się i rozproszyło w okolicach zamku i miasta, gdzie ich ścigała jazda. Wyłowiono jeszcze wielu, inni nie oparli się zapewne aż w obozie Pawła Sapie

hy wojewody witebskiego, któremu pierwsi musieli przynieść straszną wieść o zdradzie hetmana wielkiego o przejściu jego do Szwedów, o uwięzieniu pułkowników i oporze chorągwi polskich.

Tymczasem Kmicic, cały okryty krwią i kurzawą, stawił się z węgierską banderą w ręku przed Radziwiłłem, który przyjął go z otwartymi rękoma. Ale pana Andrzeja nie upoiło zwycięstwo. Owszem, chmurny był i zły, jakby przeciw sercu postąpił.

– Wasza książęca mość! – rzekł – nie chcę słuchać pochwał i wołałbym sto razy z nieprzyjacielem ojczyzny walczyć niż z żołnierzami, którzy by się jej przydać mogli. Człeku się zdaje, że sam sobie krwi upuścił.

– A czyjaż wina, jeśli nie tych buntowników? odparł książę. – Wołałbym i ja ich pod Wilno poprowadzić, i tak miałem uczynić... Oni zaś woleli przeciw zwierzchności się porwać. Co się stało, to się nie odstanie. Trzeba było i trzeba będzie dać przykład.

– Co wasza książęca mość myślisz robić z jeńcami?

– Co dziesiątemu kula w łeb. Resztę pomieszać z innymi pułkami. Pojedziesz dziś do chorągwi Mirskiego i Stankiewicza, zawieszysz im rozkaz mój, by do pochodu byli gotowi. Czynię cię regimentarzem nad tymi dwiema chorągwiami i nad trzecią Wołodyjowskiego. Namiestnicy mają ci podlegać i we wszystkim słuchać. Chciałem do tej chorągwi Charłampa naprzód posłać, ale on do niczego... Rozmyśliłem się.

– A w razie oporu? Bo to u Wołodyjowskiego laudańscy ludzie, którzy okrutnie mnie nienawidzą.

– Ogłosisz, że Mirski, Stankiewicz i Wołodyjowski natychmiast będą rozstrzelani.

– Tedy oni mogą pójść zbrojnie na Kiejdany, aby ich odbić. U Mirskiego wszystko znaczna szlachta służy.

– Weźmiesz ze sobą regiment piechoty szkockiej i regiment niemieckiej. Naprzód otoczysz ich, potem ogłosisz rozkaz.

– Jak wola waszej książęcej mości!

Radziwiłł wsparł dłonie na kolanach i zamyślił się.

– Mirskiego i Stankiewicza rozstrzelałbym chętnie, gdyby nie to, że oni nie tylko w swoich chorągwiach, ale w całym wojsku, ba, w całym kraju mir mają... Boję się wrzawy i otwartego buntu, którego przykład mieliśmy już przed oczyma... Szczęściem, dzięki tobie, dobrą dostali naukę i dwa razy pomyśli każda chorągiew, nim się na nas porwie. Trzeba tylko szybko działać, aby oporni nie przeszli do pana wojewody witebskiego.

– Wasza książęca mość mówiłeś tylko o Mirskim i Stankiewicz, a nie wspomniałeś o Wołodyjowskim i Oskierce.

– Oskierkę muszę także oszczędzić, bo to człek znaczny i szeroko spokrewniony; ale Wołodyjowski z Rusi pochodzi i nie ma tu relacji. Dzielny to żołnierz, prawda! Liczyłem też na niego... Tym ci gorzej, że się zawiódł. Gdyby diabeł nie był przyniósł tych przybłędów, jego przyjaciół, może inaczej by postąpił; ale po tym, co się stało, czeka go kula w łeb, jak również tych dwóch Skrzetuskich i tego trzeciego byka, który pierwszy zaczął ryczeć: „zdrajca! zdrajca!”

Pan Andrzej zerwał się, jakby go żelazem przypieczono.

– Wasza książęca mość! Żołnierze mówią, że Wołodyjowski życie waszej książęcej mości pod Cybichowem uratował.

– Spełnił swoją powinność i za to Dydkiemie mu w dożywocie chciałem puścić... Teraz mię zdradził i za to każe go rozstrzelać.

Oczy Kmicica zaiskrzyły się, a nozdrza poczęły latać.

– Wasza książęca mość! Nie może to być!

– Jak to nie może być? – spytał Radziwiłł marszcząc brwi.

– Błagam waszą książęcą mość — mówił w uniesieniu Kmicic — aby Wołodyjowskiemu włos z głowy nie spadł. Wasza książęca mość mi przebaczy...; błagam!... Wołodyjowski mógł mi nie oddać zapowiedniego listu, boś go wasza książęca mość na jego ręce przysłał i do woli mu zostawił. A oddał!... Wyrwał mnie z toni... Przez to przeszedłem pod wasze j książęcej mości inkwizycję... Nie wahał się mnie ratować, chociaż o tę samą pannę tentował... Winienem mu wdzięczność i za przysiągłem sobie, że mu się wypłacę!.. Wasza książęca mość uczyni to dla mnie, aby ni jego, ni jego przyjaciół żadna nie dosięgła kara. Włos im nie ma spaść z głowy i na Boga! nie spadnie, pókim ja żyw!... Błagam waszą książęcą mość!

Pan Andrzej prosił i ręce składał, ale w słowach jego brzmiały mimo woli akcenta gniewu i groźby i oburzenia. Niepohamowana natura brała górę. I stanął nad Radziwiłłem z twarzą podobną do głowy rozdrażnionego drapieżnego ptaka, z roziskrzonymi oczami. Hetman zaś miał również burzę w obliczu. Przed jego żelazną wolą i despotyzmem gięło się dotychczas wszystko na Litwie i Rusi — nikt nigdy nie śmiał mu się sprzeciwić, nikt prosić o łaskę dla raz skazanych, a teraz Kmicic prosił tylko pozornie --w rzeczywistości żądał. I położenie było takie, że prawie niepodobna było mu odmówić.

Despota zaraz na początku zawodu zdrajcy poczuł, że nieraz przyjdzie mu ulegać despotyzmowi ludzi i okoliczności, że będzie zależnym od własnych stron-ników daleko mniejszego znaczenia, że ten Kmicic- którego chciał zmienić w wiernego psa, będzie raczej chowanym wilkiem, który rozdrażniony gotów chwycić zębami za rękę pana.

Wszystko to wzburzyło dumną krew radziwiłłowską. Postanowił się opierać, bo i wrodzona straszna mściwość pchała go do oporu.

– Wołodyjowski i tamci trzej muszą dać gardła! . rzekł podniesionym głosem.

Lecz było to dorzucić prochu do ognia.

– Gdybym był Węgrów nie rozbił,” nie oni daliby gardła! – zakrzyknął Kmicic.

– Jakże to? Już mi wymawiasz swoje usługi? – pytał groźnie hetman.

– Wasza książęca mość! – rzekł porywczym głosem pan Andrzej – nie wymawiam... Proszę... Błagam... Ale to się nie stanie. Ci ludzie na całą Polskę sławni... Nie może być! Nie może być!... Nie będę Judaszem dla Wołodyjowskiego. Pójdę za waszą książęcą mość w ogień, ale nie odma-wiaj mi tej łaski...

– A jeśli odmówię?

– Tedy mnie każ wasza książęca mość rozstrzelać!... Nie chcę żyć!... Niech mnie pioruny zatrza-sną!... Niech mie diabli żywcem do piekła wezmą!

– Opamiętaj się, nieszczęsny, przed kim to mówisz?

– Wasza książęca mość nie przyprowadzaj mnie do desperacji!

– Do prośby mogłem nakłonić ucha, na groźby nie będę zważał.

– Ja proszę... Błagam!...

Tu pan Andrzej rzucił się na kolana.

– Pozwól mi wasza książęca mość sercem, nie z musu sobie służyć, bo inaczej zwariuję!

Radziwiłł nie odrzekł nic. Kmicic klęczał, bladeść i rumieńce przelatywały mu jak błyskawice przez twarz. Widocznym było, że jeszcze chwila, a wybuchnie w straszliwy sposób.

– Wstań! – rzekł Radziwiłł.

Pan Andrzej wstał.

– Umiesz bronić przyjaciół – rzekł książę – mam próbę, że i mnie będziesz umiał bronić i nie odstąpisz nigdy. Jenó Bóg cię stworzył z saletry, nie z mięsa, i bacz, abyś nie spłonął. Nie mogę ci

niczego odmówić. Słuchajże mnie: Stankiewicza, Mirskiego i Oskierkę chcę Szwedom do Birż odesłać; niechże Skrze

tuscy dwaj i Wołodyjowski idą z nimi. Głów im tam nie pourywają, a że czas wojny w spokoju posiadzą, to lepiej.

– Dziękuję waszej książęcej mości, ojcu mojemu! – zakrzyknął pan Andrzej.

– Powoli... – rzekł książę. – Uszanowałem twoją przysięgę aż nadto, teraz ty uszanuj moją... Temu staremu szlachcicowi... zapomniałem, jak mu na przewisko... temu ryczącemu diabłu, który tu ze Skrzetuskimi przybył, zapisałem śmierć w duszy. On to pierwszy nazwał mnie zdrajcą, on o wzięcie korupcji posądził, on podniecił innych, bo może nie przyszłoby do tego oporu, gdyby nie jego zuchwalstwo! (Tu książę uderzył pięścią w stół.) Pierwej śmierci, pierwej końca świata bym się spodziewał, niż żeby kto mnie, Radziwiłłowi, śmiał do oczu zakrzyknąć: „Zdrajca!” Do oczu wobec ludzi! Nie ma takiej śmierci, nie ma takich mąk, których by dość było za taką zbrodnię. Nie prosz mnie o niego, bo to na nic.

Ale pan Andrzej niełatwo się zrażał, gdy sobie coś przedsięwziął. Jeno nie gniewał się już ani wybuchał. Owszem, chwyciwszy na nowo rękę hetmańską, począł okrywać ją pocałunkami i prosić tak serdecznie, jak tylko sam umiał.

– Żadnym powrozem ani łańcuchem nie przywiązałbyś wasza książęca mość tak serca mego, jak tą łaską. Ale nie czyni jej w połowie ni w części, jeno całą. Wasza książęca mość! Co ten szlachcic wczoraj mówił, to myśleli wszyscy. Ja sam to samo myślałem, pókiś mi wasza książęca mość oczu nie otworzył... Niech mnie ogień spali, jeśli tego nie myślał... Człek temu nie winien, że głupi. Ten szlachcic był do tego pijany i co miał na sercu, to i zakrzyknął. Myślał, że w obronie ojczyzny występuje, a trudnoż kogo karać za sentyment dla ojczyzny. Wiedział, że gardło naraża, a dlatego zakrzyknął, co miał w gębie i sercu. Ni on mnie grzeje, ni ziębi, ale to panu Wołodyjowskiemu jako brat albo zgoła ojciec. Już by też desperował po nim bez miary, a ja tego nie chcę. Taka już we mnie natura, że jak komu dobra życzę, to du-szę bym za niego oddał. Żeby mnie kto oszczędził, a przyjaciela mi zabił, niechby go diabeł za taką łaskę porwał. Wasza książęca mość! Ojciec mój, dobrodzieju, łaskawco, uczyniże całą łaskę, daruj mi tego szlachcica, a ja ci wszystką krew moją daruję, choćby jutro, dziś, zaraz!

Radziwiłł zagryzł wąsy.

– Zapisałem mu wczoraj śmierć w duszy.

– Co hetman i wojewoda wileński zapisał, to wielki książę litewski, a daj Boże, w przyszłości król polski, jako łaskawy monarcha, przekreślić może...

Pan Andrzej mówił szczerze, co czuł i myślał, ale gdyby był najrzęczniejszym dworakiem, nie mógłby potężniejszego argumentu na obronę swych przyjaciół znaleźć. Dumna twarz magnata rozjaśniła się i oczy przymknął, jakby lubując się dźwiękiem tych tytułów, których jeszcze nie posiadał. Po chwili rzekł:

– Takeś mnie zagadł, że niczego nie mogę ci odmówić. Pójdą wszyscy do Birż. Niechże tam odpokutują u Szwedów za winy, a potem, gdy się to stanie, coś rzekł, żądaj nowej dla nich łaski.

– Jako żywo, że zażadam, daj Boże najprędzej! odrzekł Kmicic.

– Idźże teraz, zanieś im dobrą nowinę!

– Nowina dobra dla mnie, nie dla nich, bo oni pewnie nie przyjmą jej z wdzięcznością, zwłaszcza że się nie spodziewali tego, co im groziło. Nie pójdę, wasza książęca mość, bo to tak by wyglądało, jakbym się im chciał zaraz z moją instancją chwalić.

– Czyńże, jak chcesz. Ale kiedy tak, to czasu nie trać i ruszaj po chorągwie Mirskiego i Stankiewicza, bo zaraz potem czeka cię inna ekspedycja, od której pewnie nie będziesz się wybiegał.

– Jaka, wasza książęca mość?

– Pojedziesz zaprosić ode mnie pana Billewicza, miecznika rosieńskiego, aby razem z krewniaczką do mnie, do Kiejdan, przyjechał i tu na czas wojny osiadł. Rozumiesz?

Kmicic zmieszał się.

– On tego uczynić nie zechce... Z wielką furią Kiejdany opuścił.

– Spodziewam się, że go furia już opuściła; w każdym razie weźmiesz ludzi ze sobą i jeżeli nie zechcą po dobrej woli tu przybyć, to ich wsadzisz w kolaskę, otoczysz dragonami i przywieziesz. Szlachcic miękki był jak wosk; gdym z nim gadał, płonił się jak panna i kłaniał do ziemi; ale i on zląkł się imienia szwedzkiego jak diabeł święconej wody i odjechał. Potrzebuję go tu mieć i dla siebie, i dla ciebie. Mam nadzieję, że jeszcze ulepię z tego wosku taką świecę, jaką zechcę, i komu zechcę, ją zapalę. Tym lepiej będzie, jeśli się tak stanie... Ale jeśli nie, tedy będę miał zakładnika. Billewiczowie dużo mogą na Żmudzi, bo prawie ze wszystką szlachtą spokrewnieni. Gdy jednego, i to najstarszego, dostanę w ręce, inni dwa

I razy pomyślą, nim coś przeciw mnie przedsięwzją. A przecie to za nimi i za tą twoją dziewczyną stoi całe mrowie laudańskie, które gdyby poszło do obozu pana wojewody witebskiego, pewnie by ich z otwartymi rękoma przyjął... Ważna to jest rzecz, tak ważna, że się namyślam, czy nie od Billewiczów poczynać.

– W chorągwi Wołodyjowskiego sami laudańscy ludzie.

– Opiekunowie twojej dziewczki. Kiedy tak, pocznijże od tego, by ją tu sprowadzić. Tylko że słuchaj: ja podejmuję się pana miecznika na naszą wiarę nawrócić, ale dziewczkę to sobie już ty sam kaptuj, jak umiesz. Gdy ja miecznika nawrócę, on ci pomoże dziewczkę nawracać. Zgodzi się, to wyprawię wam nie mieszkając wesele... Nie zgodzi się, bierz ją i tak. Jak będzie po harapie, to będzie po wszystkim... Z niewiastami najlepszy to sposób. Popłacze, podesperuje, gdy ją do ołtarza powłoką, ale na drugi dzień pomyśli, że nie taki diabeł straszny, jak go malują, a trzeciego będzie rada. Jakżeście się wczoraj rozstali?

– Jakoby mi w pysk dała!

– Cóż rzekła?

– Nazwała mnie zdrajcą... Mało mnie paraliż nie trzasł.

– Taką to zaciekła? Jak będziesz jej mężem, po wiedzy jej, że niewiastom kądziel lepiej przystoi niż sprawy publiczne, i trzymaj ją krótko.

– Wasza książęca mość jej nie zna. U niej wszystko zaraz: cnota albo niecnota, i wedle tego sądzi; a rozumu niejeden mąż mógłby jej pozazdrościć. Nim się człowiek obejrzy, ona już w sedno utrafi.

– Utrafiła ci też w serce... Staraj się także ją utrafić.

– Bóg by to dał, wasza książęca mość. Raz już brałem ją zbrojną ręką, alem sobie potem przyrzekł, że więcej tego nie uczynię... I co mi wasza książęca mość mówi, żeby ją choćby gwałtem do ołtarza prowadzić, to mi nie idzie po sercu, bom sobie i jej przyrzekł, że gwałtu więcej nie użyję... Cała nadzieja, że wasza książęca mość wyperswadowe panu miecznikowi, iż nie tylko zdrajcami nie jesteśmy, ale zbawienia ojczyzny chcemy... Gdy on się przekona, to i ją przekona, a wtenczas inaczej będzie na mnie patrzyła. Teraz do Billewicza pojedę i sprowadzę ich tu oboje, bo mi strach, żeby się ona do zakonu gdzie nie schroniła... Ale powiem waszej książęcej mości szczerą prawdę, że choć wielkie to szczęście dla mnie patrzeć na tę dziewczynę, wołałbym na całą potęgę szwedzką uderzyć niż przed nią teraz stanąć, bo ona nie zna moich cnotliwych chęci i za zdrajcę mnie poczytuje.

– Jeżeli chcesz, to tam kogo innego wyszłę, Charłampa albo Mielezkę.

– Nie! Pojadę lepiej sam... Charłamp zresztą ranny.

– To i lepiej... Charłampa chciałem wczoraj wysłać do chorągwi Wołodyjowskiego, by nad nimi komendę objął, a w potrzebie do posłuszeństwa zmusił: ale to człek niezgrabny i pokazało się, że własnych ludzi nie umie utrzymać. Nic mi po nim. Jedźże naprzód po miecznika i dziewczynę, a potem do tamtych chorągwi. W ostatnim razie nie szczędź krwi, bo trzeba pokazać Szwedom, że mamy siłę i nie ulękniemy się buntu. Pułkowników zaraz pod eskortą odeszłę; spodziewam się, że Pontus de la Gardie poczyta to za dowód szczerości mojej... Mielezko ich odprowadzi. Ciężko z początku idzie! Ciężko! Już widzę, że z pół Litwy stanie przeciw mnie.

– Nic to, wasza książęca mość! Kto ma czyste sumienie, ten się nikogo nie ulęknie.

– Myślałem, że przynajmniej Radziwiłłowie staną wszyscy po mojej stronie, tymczasem, patrz, co mi pisze książę krajczy z Nieświeża.

Tu hetman podał Kmicicowi list Kazimierza Michała.

Kmicic przebiegł oczyma pismo.

– Żebym nie znał intencji waszej książęcej mości, myślałbym, że ma rację i że najcnotliwszy to w świecie pan. Boże, daj mu wszystko dobre!... Mówię, co myślę.

– Jedź już! – rzekł z pewną niecierpliwością hetman.



## ROZDZIAŁ XVII

Kmicic jednak nie wyruszył ani tego dnia, ani następnego, bo groźne wieści poczęły nadchodzić zewsząd do Kiejdan. Oto pod wieczór przybiegł goniec z doniesieniem, że chorągwie Mirskiego i Stankiewicza same ruszają ku rezydencji hetmańskiej, gotowe zbrojną ręką upomnieć się o swych pułkowników, że wzburzenie panuje między nimi straszne i że towarzystwo wysłało deputacje do wszystkich chorągwi stojących w pobliżu Kiejdan i dalej, aż na Podlasie do Zabłudowa, z doniesieniem o zdradzie hetmańskiej i wezwaniem, by się łączyły w kupę dla obrony ojczyzny. Łatwo było przy tym przewidzieć, że mnóstwo szlachty zleci się do zbuntowanych chorągwi i wytworzy poważną siłę, przeciwko której trudno się będzie opierać w nieobronnych Kiejdanach, zwłaszcza że nie na wszystkie pułki, które książę Radzwiłł miał pod ręką, można było liczyć z pewnością.

Zmieniło to wyrachowania i wszystkie plany hetmańskie, ale zamiast osłabić w nim ducha, zdawało się go jeszcze podniecać. Postanowił sam na czele wiernych szkockich regimentów, rajtarii i artylerii wyruszyć przeciw buntownikom i zdeptać ogień w zarodku. Wiedział, że żołnierze bez pułkowników są tylko tłuszcą niesformą, która rozproszy się przed grozą samego imienia hetmańskiego.

Postanowił też nie szczędzić krwi i przerazić przykładem całe wojsko, wszystką szlachtę, ba! całą Litwę, aby nie śmiała drgnąć nawet pod żelazną jego ręką. Miało się spełnić wszystko, co zamierzył, i spełnić się własnymi jego siłami.

Tegoż dnia jeszcze wyjechało kilku oficerów cudzoziemskich do Prus czynić tam nowe zaciągi, a Kiejdany wrzały zbrojnym ludem. Regimenta szkockie, rajtaria cudzoziemska, dragoni Mielezki i Charłampa i „lud ognisty” pana Korfa gotowały się do wyprawy. Hajducy książęcy, czeladź, mieszczenie z Kiejdan mieli wzmocnić siły książęce, a na koniec postanowiono przyspieszyć wysłanie uwięzionych pułkowników do Birż, gdzie bezpieczniej było ich trzymać niżeli w otwartych Kiejdanach. Książę spodziewał się słusznie, że wysłanie do tej odległej fortecy, w której wedle układu musiała już stać załoga szwedzka, zniweczy nadzieję uwolnienia ich w umysłach zbuntowanych żołnierzy i pozbawi sam bunt wszelkiej podstawy.

Pan Zagłoba, Skrzetuscy i Wołodyjowski mieli dzielić losy innych.

Wieczór już był, gdy do piwnicy, w której siedzieli, wszedł oficer z latarnią w rękę i rzekł:

- Zbierajcie się, waszmościowie, iść ze mną.
- Dokąd? – pytał niespokojnym głosem pan Zagłoba.
- To się pokaże... Prędzej! prędzej!
- Idziemy.

Wyszli. Na korytarzu otoczyli ich żołnierze szkoccy zbrojni w muszkiety. Zagłoba coraz był niespokojniejszy.

– Przecie na śmierć by nas nie prowadzili bez księdza, bez spowiedzi? – szepnął do ucha Wołodyjowskiego.

Po czym zwrócił się do oficera: – Jakże godność, proszę?

- A waści co do mojej godności?
- Bo mam wielu krewnych na Litwie i miło wiedzieć, z kim się ma do czynienia.
- Nie pora sobie świadczyć, ale kiep ten, kto się swego nazwiska wstydzi... Jestem Roch Kowalski, jeśli waćpan chcesz wiedzieć.

– Zacna to rodzina! Mężowie dobrzy żołnierze, niewiasty cnotliwe. Moja babka była Kowalska, ale osierociła mnie, nimem na świat przyszedł... A waćpan z Wieruszów czyli z Korabiów Kowalskich?

– Co mnie tu waść będziesz po nocy indagował!

– Boś mi pewno krewniak, gdyż i struktura w nas jednaka. Grube masz waćpan kości i bary zupełnie jak moje, a ja właśnie po babce urodę odziedziczyłem.

– No, to się w drodze wywieziemy... Mamy czas! – W drodze? – rzekł Zagłoba.  
I wielki ciężar spadł mu z piersi. Odsapnął jak miech i zaraz nabrał fantazji.

– Panie Michale – szepnął – nie mówiłem ci, że nam szyi nie utną?

Tymczasem wyszli na dziedziniec zamkowy. Noc już zapadła zupełna. Tu i owdzie tylko płonęły czerwone pochodnie lub migotały latarki rzucając niepewne blaski na grupy żołnierzy konnych i pieszych rozmaitej broni. Cały dziedziniec zatłoczony był wojskiem. Gotowano się widocznie do pochodu, bo wszędy znać było ruch wielki. Tu i owdzie w ciemnościach majaczyły włócznie i rury muszkietów, kopyta końskie szczękały po bruku; pojedynczy jeźdźcy przebiegali pomiędzy chorągwiami; zapewne byli to oficerowie rozwożący rozkazy.

Kowalski zatrzymał konwój i więźniów przed ogromnym wozem drabiniastym zaprzężonym w cztery konie.

– Siadajcie, waszmościowie! – rzekł.

– Tu już ktoś siedzi – rzekł gramoląc się Zagłoba. – A nasze łuby?

– Łuby są pod słomą – odrzekł Kowalski – pręcrvej! prędzej!

– A kto tu siedzi? – pytał Zagłoba wpatrując się w ciemne postacie wyciągnięte na słomie.

– Mirski, Stankiewicz, Oskierko! – ozwały się głosy.

– Wołodyjowski, Jan Skrzetuski, Stanisław Skrzetuski, Zagłoba! – odpowiedzieli nasi rycerze.

– Czołem! czołem!

– Czołem! W zacnej kompanii pojedziem. A gdzie nas wiozą, nie wiecie waszmościowie?

– Jedzicie waszmościowie do Birż! – rzekł Kowalski.

To powiedziawszy dał rozkaz. Konwój pięćdziesięciu dragonów otoczył wóz i ruszyli.

Więźniowie poczęli rozmawiać z cicha.

– Szwedom nas wydadzą! – rzekł Mirski. – Tegom się spodziewał.

– Wolę siedzieć między nieprzyjaciołmi niż między zdrajcami! – odpowiedział Stankiewicz.

– A ja bym wolał kulą w łeb! – zawołał Wołodyjowski – niż siedzieć z założonymi rękami w czasie takiej wojny nieszczęsnej.

– Nie bluźń, panie Michale – odpowiedział Zagłoba – bo z woza, byle pora sposobna przyszła, możesz dać nura, z Birż także, a z kulą we łbie ciężko uciekać. Ale ja wiedziałem z góry, że się na to ten zdrajca nie ośmieli.

– Radziwiłł by się nie miał na co ośmielić! rzekł Mirski. – Widać, żeś waśc z daleka przyjechał i że Tego nie znasz. Komu on zemstę poprzysięże, ten jakoby był już w grobie; a nie pamiętam przykładu, żeby komu najmniejszą krzywdę odpuścić.

– A tak i nie śmiał na mnie podnieść ręki! – odpowiedział Zagłoba. – Kto wie, czy nie mnie i waszmościowie szyje zawdzięczacie.

– A to jakim sposobem?

– Bo mnie chan krymski okrutnie miłuje za to, że spisek na jego szyję odkrył, gdym w niewoli w Krymie siedział. A i nasz pan miłościwy Joannes Casimirus także się we mnie kocha. Nie chciał, taki syn, Radziwiłł, z dwoma potentatami zadzierać, gdyż i na Litwie mogliby go dosięgnąć.

– I! Co waćpan gadasz! Nienawidzi on króla, jak diabeł święconej wody, i jeszcze by był na waści zawziętszy, gdyby wiedział, żeś królowi konfident odpowiedział Stankiewicz.

– A ja tak myślę – rzekł Oskierko – że nie chciał hetman sam naszą krwią się mazać; żeby odium na siebie nie ściągnąć, ale przysiągłbym, że ten oficer wiezie rozkaz do Szwedów w Birżach, żeby nas natychmiast rozstrzelali.

– Oj! – rzekł Zagłoba.

Umilkli na chwilę; tymczasem wóz wtoczył się już na rynek kiejdański. Miasto spało, w oknach nie było światła, jeno psy przed domami ujadły zapalczywie na przeciągający orszak.

– Wszystko jedno! – rzekł Zagłoba. – Zawsześtny zyskali na czasie, może i przypadek nam posłużyć, a może i fortel jaki przyjsć do głowy.

Tu zwrócił się do starych pułkowników:

– Waszmościowie mało mnie znacie, ale spytajcie się moich towarzyszków, w jakich bywałem opałach, a dlatego się zawdy wy dostał na pole. Powiedźcie no mnie, co to za oficer, którego nad konwojem ma komendę? Zależy mu nie można wyperswadować, żeby się zdrajcy nie trzymał, jeno przy ojczyźnie stanął i z nami się połączył?

– To Roch Kowalski z Korabiów Kowalskich odrzekł Oskierko. – Ja go znam. Tak samo mógłbyś waszmość jego koniowi perswadować, bo dalibóg, nie wiem, który głupszy.

– A że to zrobili go oficerem?

– On u Meleszki w dragonach chorągiew nosi, do czego rozumu nie potrzeba. A zrobili go oficerem, bo się księciu z pięści podobał, gdyż podkowy łamie i z chowanymi niedźwiedziami wół się bierze, a takiego jeszcze nie znalazł, którego by nie rozciągnął.

– Także to z niego osiłek?

– Że osiłek, to osiłek, a przy tym, żeby mu zwierzchnik powiedział: rozwal łbem ścianę – to bez chwili namysłu zaczęłyby zaraz w nią trykać. Przykazano mu, by nas do Birż odwiózł, to i odwiezie, choćby się ziemia zapaść miała.

– Proszę! – rzekł Zagłoba, który z wielką uwagą słuchał tej rozmowy – rezolutny to jednak chłop!

– Bo u niego rezolutność z głupotą jedno stanowi. Zresztą, jak ma czas, a nie je, to śpi. Zadziwiająca rzecz, której byście waćpanowie nie uwierzyli: przecie on raz czterdzieści ośm godzin w cekhauzie przespał i ziewał jeszcze, gdy go z tapczana ściągnęli.

– Okrutnie mi się ten oficer podoba – rzekł Zagxoba – bo zawsze lubię wiedzieć, z kim mam sprawę.

To rzekłszy zwrócił się do Kowalskiego.

– A przybliź no się waćpan! – zawołał protekcyjnym tonem.

– Czego? – pytał Kowalski zwracając konia. – Nie masz no gorzałki?

– Mam. – Dawaj!

– Jak to: „dawaj”?

– Bo widzisz, mości Kowalski, żeby to było nie wolno, to byś miał rozkaz nie dawać, a że nie masz rozkazu, więc dawaj.

– He? – rzekł zdumiony pan Roch – jako żywo! a cóż to mi – mus?

– Mus nie mus, ale ci wolno, a godzi się krewnego wspomóc i starszego, którego gdyby się był z waćpaną matką ożenił, mógłby jak nie być twoim ojcem.

– Jakiś mi tam waćpan krewny!

– Bo są podwójni Kowalscy. Jedni się Wieruszową pieczętują, na której kozielek w tarczy jest wymaginowany z podniesioną zadnią nogą, a drudzy Kowalscy mają za klejnot Korab, na którym przodek ich Kowalski z Anglii przez morze do Polski przyjechał, i ci są moi krewni, a to przez babkę, i dlatego, że ja także Korabiem się pieczętuję.

– Dla Boga! toś waćpan naprawdę mój krewniak!

– Alboś Korab?

– Korab.

– Moja krew, jak mi Bóg miły! – zawołał Zagłoba. – Dobrze, żeśmy się spotkali, bo ja tu w rzeczy samej na Litwę do Kowalskich przyjechałem, a chociażem w opresji, a ty na koniu i na wolności, chętnie bym cię wziął w ramiona, bo co swój, to swój.

– Cóż ja waćpanu poradzę? Kazali cię odwieźć do Birż, to odwiozę... Krew krwią, a służba służbą.

– Mów mi: wuju! – rzekł Zagłoba.

– Masz wuj gorzałki! – rzekł pan Roch. – To mi wolno.

Zagłoba przyjął chętnie manierkę i napił się do woli. Po chwili miłe ciepło poczęło mu się rozlewać po wszystkich członkach, w głowie uczyniło mu się jasno, a i umysł stał się jasny.

– Zleż no z konia – rzekł do pana Rocha i przysiądź się trochę na wóz, pogawędzimy, bo chciałbym, żebyś mi co o rodzinie opowiedział. Szanuję ja służbę, ale to ci przecie wolno.

Kowalski przez chwilę nie odpowiadał.

– Nie było zakazu – rzekł wreszcie.

I wkrótce potem siedział już na wozie koło pana Zagłoby, a raczej rozciągnął się na słomie, którą wóz był wyładowany.

Pan Zagłoba uściskał go serdecznie.

– Jakże się miewa twój stary?... bodajże cię!... zapomniałem, jak mu na imię.

– Też Roch.

– I słusznie, i słusznie. Roch spłodził Rocha... To jest wedle przykazania. Powinieneś swego syna także Rochem nazwać, aby każdy dudek miał swój czubek. A żonaty jesteś?

– Pewnie, że żonaty! Ja jestem Kowalski, a to jest pani Kowalska, innej nie chcę.

To rzekłszy młody oficer podniósł do oczu panu Zagłobie głównię ciężkiej dragońskiej szabli i powtórzył:

– Innej nie chcę!

– Słusznie! – rzekł Zagłoba. – Okrutnie mi się podobasz, Rochu, synu Rocha. Żołnierz najlepiej akomodowany, gdy nie ma innej żony jak taka; i to ci jeszcze powiem, że prędzej ona po tobie niż ty po niej owdowiejesz. Szkoda jeno, że młodych Rochów mieć z nią nie będziesz, bo widzę, żeś bystry kawaler i szkoda by było, gdyby taki ród miał zaginać.

– O wa! – rzekł Kowalski. – Jest nas sześciu braci.

– I wszystko Rochy?

– Jakbyś wuj wiedział, że każdego, jeśli nie na pierwsze; to na drugie ma Roch, bo to nasz szczególniejszy patron.

– A napijmy się no jeszcze! – A dobrze.

Zagłoba znów przechylił manierkę, ale nie wypił całej, jeno oddał ją oficerowi i rzekł:

– Do dna, do dna!

– Szkoda, że cię nie mogę widzieć! – mówił dalej. – Noc tak ciemna, choć w pysk daj. Własnych palców byś nie poznał. Słuchaj no, mości Rochu, a gdzie to te wojsko miało wychodzić z Kiejdan, gdyśmy wyjeżdżali?

– A na buntowników.

– Bóg najwyższy wie, kto tu buntownik: czy ty, czy oni?

– Ja buntownik? Jakże to? Co mnie mój hetman każe, to czynię.

– Ale hetman nie czyni tego, co mu król jegomość każe, bo pewnie mu nie kazał ze Szwedami się łączyć. Nie wolałżebyś to Szwedów bić niż mnie, krewnego, w ręce im wydawać?

– Może bym i wolał, ale co. rozkaz, to słuch!

– I pani Kowalska by wolała. Znam ja ją. Między nami mówiąc: hetman się przeciw królowi i ojczyźnie zbuntował. Nie powtarzaj tego nikomu, ale tak jest. I wy, co mu służycie, także się buntujecie.

– Tego mnie się słuchać nie godzi. Hetman ma swoją zwierzchność, a ja mam swoją, właśnie hetmańską, i Bóg by mnie skarał, gdybym się jej przeciwiał. Niestychana to rzecz!

– Zacnie mówisz... Ale uważ no, Rochu: gdybyś tak wpadł w ręce onych buntowników, to i ja bym był wolny, i nie twoja by była wina, bo nec Hercules contra plures!... Nie wiem, gdzie się tam te chorągwie znajdują, ale ty musisz wiedzieć... i widzisz, moglibyśmy trochę ku nim nawrócić.

– Jakże to?

– A żebyś tak umyślnie ku nim zjechał? Nie byłoby twojej winy, jeśliby nas odbili. Nie miałbyś mnie na sumieniu... a mieć krewniaka na sumieniu, wierzaj mi, straszny to ciężar!

– At! co wuj gadasz! Dalibóg, zleżę z woza i na konia siędę. Nie ja będę miał wuja na sumieniu, jeno pan hetman. Pókim żyw, nie będzie z tego nic!

– Nie, to nie! – rzekł Zagłoba. – Wolę to, że szczerze mówisz, chociaż pierwiej byłem twym wujem niż Radziwiłł twoim hetmanem. A czy ty wiesz, Rochu, co to jest wuj?

– Wuj – to wuj.

– Bardzoś to roztropnie wykalkulował, ale prze cie, gdzie ojca nie ma, tam, Pismo mówi: wuja słuchał będziesz. Jest to jakby rodzicielska władza, której grzech, Rochu, się sprzeciwić... Bo nawet i to zauważ, że kto się ożeni, ten snadnie ojcem być może; ale w wuju płynie ta sama krew, co w matce. Nie jestem ci wprawdzie bratem twej matki, ale moja babka musiała być ciotką twej babki; więc poznaj to, że powaga kilku pokoleń we mnie spoczywa, bo jako wszyscy na tym świecie jesteśmy śmiertelni, tedy władza z jednych na drugich przechodzi i ani hetmańska, ani królewska nie może jej negować, ani nikogo zmuszać, żeby się oponował. Co prawda, to święte! Mali hetman wielki, czy też, dajmy na to, polny prawo nakazać, nie już szlachcicowi i towarzyszewi, ale lada jakiemu ciurze, żeby się na ojca, matkę, na dziada albo na starą ociemniałą babkę porywał? Odpowiedz na to, Rochu! Mali prawo?

– Hę? – spytał sennym głosem Kowalski.

– Na starą ociemniałą babkę! – powtórzył pan Zagłoba. – Kto by się wonceś chciał żenić i dzieci płodzić albo się wnuków doczekać?... Odpowiedz i na to, Rochu!

– Ja jestem Kowalski, a to pani Kowalska – mówił coraz sennie oficer.

– Kiedy chcesz, niech i tak będzie! – odpowiedział Zagłoba. – Lepiej to nawet, że nie będziesz miał dzieci, bo mniej kpów będzie po świecie grasowało..Nieprawda, Rochu?

Zagłoba nadstawił ucho, ale nie usłyszał już żadnej odpowiedzi.

– Rochu! Rochu! – zawołał z cicha.

Pan Roch spał jak zabity.

– Śpisz?... – mruknął Zagłoba. – Czekałże, zdejmę ci ten żelazny garnek z głowy, bo ci niewygodnie. Opończa dusi cię pod szyją, jeszcze by cię krew załała. Co bym był za krewniak, żebym cię nie miał ratować.

Tu ręce pana Zagłoby poczęły poruszać się z lekka koło głowy i szyi Kowalskiego. Na wozie spali wszyscy głębokim snem, żołnierze kiwali się także na kulbakach, inni, jadący w przedzie, podśpiewywali z cicha, wypatrując zarazem pilno drogi, bo noc, choć niedźdzysta, była bardzo ciemna.

Jednakże po jakimś czasie żołnierz prowadzący tuż za wozem konia ujrzał w ciemnościach opończę i jasny hełm swego oficera. Kowalski nie zatrzymując wozu zsunął się i kiwnął, by mu podano rumaka.

Po chwili siedział już na nim.

– Panie komendancie, a gdzie staniemy na popas? – pytał wachmistrz zbliżywszy się ku niemu.

Pan Roch nie odpowiedział ani słowa i ruszył naprzód, minął z wolna jadących na przedzie i znikł w ciemnościach.

Nagle do uszu dragonów doszedł tętent szybkiego biegu konia.

– Skokiem komendant ruszył! – mówili między sobą. – Pewnie chce obaczyć, czy jakiej karczmy nie ma blisko. Czas by już koniom popasać, czas!

Tymczasem upłynęło pół godziny, godzina, dwie, a pan Kowalski ciągle, widać, jechał naprzód, bo go nie było jakoś widać. Konie znużyły się bardzo, zwłaszcza przy wozie, i poczęły się wlec wolno. Gwiazdy schodziły z nieba.

– Skocz no który do komendanta – rzekł wachmistrz – powiedz mu, że szkapę ledwie nogi ciągną, a wozowe ustały.

Jeden z żołnierzy wyruszył naprzód, ale po godzinie wrócił sam.

– Komendanta ani śladu, ani popiołu – rzekł. Musiał z milę naprzód wyjechać.

Żołnierze poczęli mrużyć z nieukontentowaniem.

– Dobrze mu, bo się przez dzień wyspał i teraz na wozie – a ty się, człeku, kołacz po nocy ostatnim tchem końskim i swoim.

– Toć tu karczma o dwie staje – mówił ten sam żołnierz, który jeździł naprzód – myślałem, że go tam znajdę, ale gdzie tam!... Słuchałem, czy konia nie usłyszę... Nic nie słyhać, diabli wiedzą, gdzie zajechał.

– Staniem tam i tak! – rzekł wachmistrz. Trzeba szkapom wytchnąć.

Jakoż zatrzymali wóz przed karczemką. Żołnierze pozłazili z koni i jedni poszli kołatać do drzwi, drudzy odpasywali wiązki siana wiszące za kulbakami, aby konie choć z rąk pokarmić.

Jeńcy na wozie rozbudzili się, gdy ruch wozu ustał – A gdzie to jedziemy? – pytał stary pan Stankiewicz.

– Po nocy nie mogę rozeznąć – odparł Wołodyjowski – zwłaszcza że nie na Upitę jedziemy.

– Wszakże to do Birż na Upitę z Kiejdan się jedzie? – spytał Jan Skrzetuski.

– Tak jest. Ale w Upicie stoi moja chorągiew, o którą księżę, widać, obawiał się, by nie oponowała, więc kazał inną drogą jechać. Zaraz za Kiejdanami w5-kręciliśmy do Dalnowa i Kroków, stamtąd pojedziemy pewnie na Bejsagołę i Szawle. Trochę to z drogi, ale przez to Upita i Poniewież zostaną na prawo. Po drodze nie ma tam żadnych chorągwi, bo wszystkie, co były, ściągnięto ku Kiejdanom, aby je mieć pod ręką.

– A pan Zagłoba – rzekł Stanisław Skrzetuski śpi smaczno i chrapie, zamiast o fortelach myśleć; jak to sobie obiecywał.

– Niech śpi... Zmorzyła go, widać, rozmowa z tym głupim komendantem, do którego krewieństwa się przyznawał. Widać chciał go sobie skaptować, ale to na nic. Kto dla ojczyzny Radziwiłła nie opuścił, ten go pewnie dla dalekiego krewnego nie opuści.

– Zali oni naprawdę są krewni? – zapytał Oskierko.

– Oni? Tacy oni krewni jak ja z waćpanem – odpowiedział Wołodyjowski – gdyż co pan Zagłoba mówił o wspólności klejnotu, to i to nieprawda, bo ja wiem dobrze, że jego klejnot woła się Wczele.

– A gdzie to pan Kowalski?

– Musi być przy ludziach albo w karczmie.

– Chciałbym go prosić, by mi pozwolił na konia którego żołnierskiego sięść – mówił Mirski – bo mi kości zdrętwiały.

– Na to się pewnie nie zgodzi – odparł Stankiewicz – bo noc ciemna, łatwo by szkapie ostrogi dać i czmychnąć. Kto by tam i dogonił!

– Dam mu kawalerski parol, że nie będę ucieczki tentował, zresztą już i świtać zapewne zacnie.

– Żołnierzu! a gdzie to komendant? – pytał Wołodyjowski stojącego w pobliżu dragona.

– A kto jego wie?

– Jak to: kto jego wie? Kiedy ci mówię, żebyś go zawołał, to go zawołaj.

– Kiedy my sami nie wiemy, panie pułkowniku, gdzie on jest – odrzekł dragon. – Jak zlął z wozu i ruszył naprzód, tak do tej pory nie wrócił.

– Powiedźże mu, jak wróci, że chcemy z nim mówić.

– Wedle woli pana pułkownika! – odrzekł żołnierz.

Jeńcy umilkli.

Od czasu do czasu tylko głośnie poziewanie rozlegało się na, wozie; obok konie chrupotały siano. Żołnierze koło wozu, wsparci na kulbakach, drzemali. Inni gwarzyli z cicha lub posilali się, czym kto miał, bo pokazało się, że karczemka była opuszczona i że nikt w niej nie mieszkał.

Już też i noc poczęła blednąć. Na wschodniej stronie ciemne tło nieba poszarzało nieco, gwiazdy gasły z wolna i świeciły migotliwym, niepewnym światłem. A za tym i dach karczemki posiwiał, drzewa przy niej rosnące jęły się bramować srebrem. Konie i ludzie zdawali się wynurzać z cienia. Po chwili już i twarze można było rozeznąć, i żółtą barwę opończy. Hełmy poczęły odbijać blask poranny.

Pan Wołodyjowski roztworzył ręce i przeciągnął się ziewając przy tym od ucha do ucha, po czym spojrzął na uśpionego pana Zagłobę; nagle rzucił się w tył i zakrzyknął:

– Niechże go kule biją! Na Boga! mości panowie! patrzcie!

– Co się stało? – pytali pułkownicy otwierając oczy.

– Patrzcie! patrzcie! – wołał Wołodyjowski ukazując palcem uśpioną postać.

Jeńcy zwrócili wzrok we wskazanym kierunku i zdumienie odbiło się na wszystkich twarzach: pod burką i w czapce pana Zagłoby spał snem sprawiedliwego pan Roch Kowalski, Zagłoby zaś nie było na wozie.

– Umknął, jak mi Bóg miły! – mówił zdumiony Mirski oglądając się na wszystkie strony, jakby oczom własnym jeszcze nie wierzył.

– To kuty frant! Niech go kaduk! – zakrzyknął Stankiewicz.

– Zdjął hełm i żółtą opończę z tego kpa i umknął na jego własnym koniu!

– Jako w wodę wpadł!

– A zapowiedział, że się fortelem wydostanie.

– Tyle go będą widzieli!

– Mości panowie! – mówił z uniesieniem Wołodujowski – nie znacie jeszcze tego człeka, a ja już wam dziś przysięgnę, że on i nas jeszcze wydostanie. Nie wiem jak, kiedy, jakim sposobem, ale przysięgnę!

– Dalibóg! oczom się wierzyć nie chce – mówił Stanisław Skrzetuski.

Wtem żołnierze spostrzegli, co się stało. Uczynił się między nimi gwar. Jedni przez drugich biegli do wozu i wybałuszali oczy na widok swego komendanta przybranego w wielbłądzią burkę, w rysy kołpaczek i uśpionego głęboko.

Wachmistrz począł go szarpać bez ceremonii.

– Panie komendancie! panie komendancie!

– Ja jestem Kowalski... a to pani Kowalska airuczał pan Roch.

– Panie komendancie, więzień uciekł!

Kowalski siadł na wozie i otworzył oczy.

– Czego?...

– Więzień uciekł, ten gruby szlachcic, który z panem komendantem rozmawiał!

Oficer oprzytomniał.

– Nie może być! – zakrzyknął przerażonym głosem. – Jak to?! Co się stało? Jakim sposobem uciekł?

– W hełmie i w opończy pana 'komendanta; żołnierze go nie poznali, noc była ciemna.

– Gdzie mój koń? – krzyknął Kowalski.

– Nie ma konia. Ów szlachcic właśnie na nim uciekł.

– Na moim koniu?

– Tak jest!

Kowalski wziął się za głowę.

– Jezusie Nazareński! Królu żydowski!..

Po chwili krzyknął:

– Dawajcie tego psiawiare, tego takiego syna, który mu konia podał!

– Panie komendancie! Żołnierz nic nie winien. Noc była ciemna, choć w pysk daj, a on zdjął waszej mości hełm i opończę. Przejeżdżał tuż koło mnie i jam nie poznał. Żeby wasza mość nie była siadała na wóz, nie mógłby on tego dokazać.

– Bijże mnie! bijże mnie! – wołał nieszczęśliwy oficer.

– Co czynić, wasza mość?

– Bij go! łapaj!

– To się na nic nie zdało. On na koniu waszej mości, a to najlepszy koń. Nasze zdrożone okrutnie, on zaś o pierwszych kurach umknął. Nie zgonim!

– Szukaj wiatru w polu! – rzekł Stankiewicz.

Kowalski zwrócił się ku więźniom z wściekłością.

– Waszmościowie pomogliście mu do ucieczki! Ja waściom!...

Tu złożył olbrzymie pięści i począł zbliżać się ku nim.

Wtem Mirski rzekł groźnie:

– Nie krzycz waść i bacz, że do starszych od siebie mówisz!

Pan Roch drgnął i mimo woli wyprostował się, bo rzeczywiście jego powaga wobec takiego Mirskiego była żadna i wszyscy owi jeńcy przenosili go o głowę godnością i znaczeniem.

Stankiewicz dodał:

– Gdzie aspanu kazali nas wieźć, to wieź, ale głosu nie podnoś, bo jutro możesz iść pod komendę każdego z nas.

Pan Roch wytrzeszczał oczy i milczał.

– Nie ma co, panie Rochu, podrwileś głową rzekł Oskierko. – To, co mówisz, żeśmy mu pomogli; to głupstwo, bo naprzód, spaliśmy jako i ty, a po wtóre, każdy by pierwaj sobie pomógł niż innemu.. Ale aspan podrwileś głową! Niczyjej tu winy nie ma,, jeno twoja. Pierwszy kazałbym cię rozstrzelać za to,, bo żeby oficer rozsypiał się jako borsuk, a więźniowi pozwolił uciec w swoim własnym hełmie i opończy,! ba, na swoim własnym koniu, toż to niesłychana; rzecz, która się od początku świata nie zdarzyła!

– Stary lis wyprowadził młodego w pole! – rzekł Mirski.

– Jezus Maria! toć ja i szabli nie mam! – krzyknął Kowalski.

– Albo się jemu szabla nie przyda? – mówił, uśmiechając się Stankiewicz. – Słusznie pan Oskierko mówi: podrwileś głową, kawalerze. Pistoleciska też;: musiałeś mieć w olstrach?

– A były!... – rzekł, jak nieprzytomny, Kowalski.

Nagle porwał się obu rękoma za głowę.

– I list księcia pana do komendanta birżańskiego! Co ja, nieszczęsny, teraz uczynię?!... Zginałem na wieki!... Bogdaj mi kula w łeb!...

– To cię nie minie! – rzekł poważnie Mirski. Jakże to nas będziesz teraz do Birż wiózł?... Co się stanie, jeśli ty powiesz, że nas jako więźniów przy-wozisz, a my, starsi godnością, powiemy, że to ty, masz być do lochu wrzucon? Komu, myślisz, dadzą, wiarę?... Zali mniemasz, że komendant szwedzki zatrzyma nas dlatego tylko, że go pan Kowalski będzie o to prosił? Prędzej nam zawierzy i ciebie w podziemiu zamknie.

– Zginałem! zginałem! – jęczał Kowalski.

– Głupstwo! – rzekł Wołodyjowski.

– Co robić, panie komendancie? – pytał wachmistrz.

– Ruszaj do wszystkich diabłów! – krzyknął Kowalski. – Zali ja wiem, co robić?... gdzie jechać?... Bodaj cię pioruny zabiły!

– Jedź, jedź do Birż!... obaczysz – rzekł Mirski.

– Zawracaj do Kiejdan!... – krzyknął Kowalski.

– Jeśli cię tam pod murem nie postawią i nie rozstrzelają, to niech mnie szczecina pokryje! – rzekł Oskierko. – Jakże to przed obliczem hetmańskim staniesz?! Tfu! Hańba cię czeka i kula w łeb, nic więcej!

– Bom nic więcej niewart! – zakrzyknął nieszczęśliwy młodzian.

– Głupstwo, panie Rochu! My jedni możemy cię ratować – mówił Oskierko. – Znasz, żeśmy z hetmanem gotowi byli iść na kraniec świata i zginąć. Więcej mieliśmy zasług, większą szarżę od ciebie. Wylewaliśmy nieraz krew za ojczyznę i zawsze chętnie ją wylejem; ale hetman zdradził ojczyznę, wydał ten kraj w ręce nieprzyjaciół, sprzymierzył się z nimi przeciw miłociwemu panu naszemu, któremuśmy wierność zaprzysięgli. Zali to myślisz, że żołnierzom jak my łatwo przyszło wypowiedzieć obojętność zwierzchności, postąpić przeciw dyscyplinie, hetmanowi własnemu się oponować? Ale kto dziś z hetmanem, ten przeciw ojczyźnie! Kto dziś z hetmanem, ten przeciw majestatowi! Kto dziś z hetmanem, ten zdrajca króla i Rzeczypospolitej!... Dlatego to rzuciliśmy buławy pod nogi hetmańskie, bo cnota i obowiązek, i wiara, i honor tak nakazywały. I któż to uczynił? – zali ja jeden? Nie! i pan Mirski, i pan Stankiewicz, najlepsi żołnierze, najcnotliwsi ludzie!... Kto przy nim został? – warchoły!... A ty czemu nie idziesz śladem lepszych od ciebie i mądrzejszych, i starszych? Chcesz hańbę ściągnąć na własne imię? zdrajcą być ogłoszony?... Wejdz w siebie, zapytaj sumienia, co ci czynić należy: czy przy Radziwille zdrajcy – zdrajcą zostać, czyli iść z nami, którzy ostatni dech chcemy za ojczyznę puścić, ostatnią kroplę krwi za nią wylać?... Bodaj-



by ziemia nas pożarła, nimeśmy hetmanowi obediencję wypowiedzieli... Ale bogdajby dusze nasze z piekła nie wyrzwały, jeżelibyśmy króla i ojczyznę dla prywaty Radziwiłła mieli zdradzić!...

Mowa ta wielkie na panu Rochu zdawała się czynić wrażenie. Oczy wytrzeszczył, usta otworzył i po chwili rzekł:

– Czego waszmościowie ode mnie chcecie?

– Byś z nami razem poszedł do wojewody witebskiego, który przy ojczyźnie będzie się oponował.

– Ba! kiedy ja mam rozkaz do Birż waszmościów odwieźć.

– Gadajże z nim! – rzekł Mirski.

– Toteż chcemy, byś nie usłuchał rozkazu!... byś hetmana opuścił i z nami poszedł, zrozumże! – rzekł zniecierpliwiony Oskierko.

– Mówcie sobie, wasze moście, co chcecie, a z tego nie będzie nic... Ja żołnierz! co by ja był wart, gdybym hetmana opuścił. Nie mój rozum, tylko jego; nie moja wola, tylko jego. Jak on zgrzeszy, to on będzie i za mnie, i za siebie odpowiadał, a moja psia powinność jego słuchać!... Ja tam prosty człowiek, cze o ręką nie zrobię, tego i głową... Ale to wiem, że słuchać powinien, i kwita.

– Róbże, co chcesz! – zakrzyknął Mirski.

– Już to mój grzech – mówił dalej Roch – że ja do Kiejdan kazałem nawracać, bo mnie kazali do Birż jechać... Jenó żem zgłupiał przez tego szlachcica, który choć krewny, a taką rzecz mi uczynił, której by i obcy nie uczynił... Żeby to nie krewny! – ale krewny! Boga on w sercu nie miał, że i szkapę mi zabrał, i łaski księżęcej mnie pozbawił, i karę na szyję sprowadził. Taki to krewny! A waszmościowie do Birż pojedziecie, niech potem będzie, co chce!

– Szkoda czasu, panie Oskierko – rzekł Wołodyjowski.

– A zawracać do Birż, kondle! – krzyknął na dragonów Kowalski.

I zawrócili znów do Birż. Pan Roch kazał jednemu z dragonów siąść na wóz, sam zaś usadowił się na jego koniu i jechał tuż przy więźniach, powtarzając jeszcze przez pewien czas:

– Krewny – i żeby taką rzecz uczynić! Więźniowie, słysząc to, chociaż niepewni swego losu i zmartwieni ciężko, nie mogli przecie wstrzymać śmiechu, aż na koniec pan Wołodyjowski rzekł:

– Pociesze się waćpan, mości Kowalski, bo nie takich jak ty na hak ów mąż prowadził... Samego Chmielnickiego on chytrą przewyższył i już co do fortelów, nikt nie może iść z nim w paragon.

Kowalski nie odrzekł nic, jenó odjechał trochę od wozu bojąc się szyderstw. Wstydził się zresztą i więźniów, i własnych żołnierzy, i tak był strapiony, że aż żal było na niego patrzeć.

Tymczasem pułkownicy rozmawiali o panu Zagłobie i jego cudownej ucieczce.

– Zadziwiająca to jest rzecz w istocie – mówił pan Wołodyjowski – że nie masz w świecie takowych terminów, z których by ten człowiek nie potrafił się salwować. Gdzie męstwem i siłą nie poradzi, tam się fortem wykręci. Inni tracą fantazję, gdy im śmierć nad szyją zawisnie, albo polecają się Bogu czekając, co się stanie; a on zaraz poczyna głową pracować i zawsze coś wymyśli. Mężny on w potrzebie bywa jako Achilles, ale woli Ulissesa iść śladem.

– Nie chciałbym ja jego pilnować, choćby go łańcuchami spętano – rzekł Stankiewicz – bo to nic, że ucieknie, ale jeszcze na śmiech i na konfuzję człeka narazi.

– A jakże! – rzekł pan Michał. – Będzie on też Kowalskiego do końca życia wyśmiewał, a niech Bóg broni dotrzeć na jego język, bo ostrzejszego w całej Rzeczypospolitej nie ma... A gdy jeszcze zacznie, jako ma zwyczaj, koloryzować rzecz swoją, tedy od śmiechu ludzie pękają...

– Ale w potrzebie, mówisz waćpan, że i szablą potrafi się zastawić? – pytał Stankiewicz.

– Jakże! Toż on na oczach całego wojska usiekł pod Zbarazem Burląją.

– Nie! dalibóg! – zakrzyknął Stankiewicz – takiego jeszcze nie widziałem!

– Wielką on już nam przysługę oddał swoją ucieczką – mówił Oskierko – bo listy hetmańskie zabrał, a kto wie, co tam w nich było przeciw nam napisano... Nie wierzę ja w to, iżby komendant szwedzki w Birżach miał dać ucho nam, nie Kowalskiemu. 'tego nie będzie, gdyż my przyjedziem

jako więźniowie, a on jako dowodzący konwojem... Ale że tam nie będą wiedzieli, co z nami zrobić, to rzecz pewna. W każdym razie głów nam nie pucinają, a to grunt.

– Ja też tak tylko mówiłem – odpowiedział Mirski – aby Kowalskiego do reszty skonfundować... Ale co waszmość mówi, że nam głów nie pucinają, to dalibóg, niewielka pociecha. Wszystko się tak składa, że lepiej nie żyć, bo to już pewno, że teraz jeszcze jedna wojna, i to domowa, wybuchnie, a to już będzie ostatnia zguba. Po co ja, stary, mam na te rzeczy patrzeć?

– Albo ja, który inne czasy pamiętam! – rzekł Stankiewicz.

– Tegoście waszmościowie nie powinni mówić, bo miłosierdzie boskie większe od ludzi; jej złości, a Jego ęka wszechmocna może nas z toni wyrwać właśnie wtedy, kiedy się najmniej będziemy spodziewali.

– Święte słowa waćpana – rzekł Jan Skrzetuski. – I nam, ludziom spod chorągwi księcia nieboszczyka Jeremiego, ciężko żyć teraz, bośmy do zwycięstw przywykli, a przecie chce się jeszcze ojczyźnie posłużyć, byle Pan Bóg dał wreszcie wodza, nie zdrajcę, ale takiego, któremu by człowiek mógł całym sercem i całą duszą zaufać.

– Oj, prawda, prawda! – rzekł pan Wołodyjowski. – Człek by się bił dzień i noc.

– A to ja waściom powiem, iż to największa desperacja – rzekł Mirski – bo przez to każdy jako by w ciemności brodzi i sam siebie pyta: co czynić?... i niepewność go dusi jako zmora. Nie wiem, jak tam waszmościów, ale mnie i duszny niepokój targa... I gdy pomyślę, że to ja buławę pod nogi hetmanowi rzuciłem, żem do oporu i buntu był przyczyną, to mi resztki siwizny na łbie ze strachu stają. Tak jest!... Ale co czynić wobec jawnej zdrady? Szczęśliwi, którzy podobny ch pytań nie potrzebowali sobie zadawać i responsu w duszy szukać!

– Wodza, wodza daj nam. Panie miłosierny! mówił Stankiewicz wznosząc oczy ku niebu.

– Mówią, że wojewoda witebski okrutnie zacny pan? – pytał Stanisław Skrzetuski.

– Tak jest! – odparł Mirski. – Ale on buławy ni wielkiej, ni polnej nie ma, i zanim go król jegomość godnością hetmańską nie przyozdobi, może tylko na własną rękę poczynać. Nie pójdzie on do Szwedów ani gdzie indziej, to pewna!

– Pan Gosiewski, hetman polny, w niewoli u Radziwiłła.

– Bo on też zacny człowiek – odparł Oskierko. Jak mnie wieść o tym doszła, ażem zmartwił i zaraz przeczynałem coś złego.

Pan Michał zamyślił się i po chwili rzekł:

– Byłem raz w Warszawie i poszedłem na królewskie pokoje, a pan nasz miłościwy, jako się w żołnierzach kocha i że to chwalił mnie po potrzebie beresteckiej, tak tedy poznał mnie od razu i kazał przyjść na obiad. Na onym obiedzie widziałem także pana Czarnieckiego, bo właściwie dla niego była uczta. Podochocił tedy sobie król jegomość i począł pana Czarnieckiego za głowę ścisnąć, a w końcu rzekł: „Choćby takie czasy przyszły, żeby mnie wszyscy opuścili, ty mi wiary dochowasz!” Na własne uszy słyszałem, jakoby proroczym duchem wymówione. Pan Czarniecki od afektu prawie mówić nie mógł, jeno powtarzał: „Do ostatniego tchu! do ostatniego tchu!” A wówczas król jegomość zapłakał...

– Kto wie, czy nie prorocze to były słowa, bo czasy klęski już nadeszły! – rzekł Mirski.

– Pan Czarniecki wielki żołnierz! – odparł Stankiewicz. – Nie masz już takiej gęby w Rzeczypospolitej, która by jego imienia nie powtarzała.

– Powiadają – mówił Skrzetuski – że Tatarowie, którzy pana Rewerę Potockiego przeciw Chmielnickiemu posiłkują, tak się w panu Czarnieckim kochają, iż nie chcą iść tam, gdzie jego nie ma.

– Szczerza to prawda – rzekł Oskierko. – Słyszałem, jak to w Kiejdanach przy księciu hetmanie powiadano; wszyscyśmy wówczas pana Czarnieckiego okrutnie sławili, a księciu było to nie w smak, bo się zmarszczył i rzekł: „Jest obożnym koronnym, ale tak samo mógłby być u mnie w Tykocinie podstarościm.”

– *Invidia* widać go już kąsała.

– Wiadoma to rzecz, że występki znieść światła cnoty nie może.

Tak to rozmawiali uwięzieni pułkownicy; po czym znów rozmowa zwróciła się na pana Zagłobę. Pan Michał Wołodyjowski zaręczał, że mogą się od niego pomocy spodziewać, bo to nie taki człowiek, żeby miał przyjaciół w nieszczęściu opuszczać.

– Pewien jestem – mówił – że on do Upity uciekł, gdzie moich ludzi znajdzie, jeżeli ich jeszcze nie rozbito lub do Kiejdan przemocą nie ściągnięto. Z nimi na ratunek sam wyruszy, chyba by nie chcieli iść, czego się po nich nie spodziewam, bo w chorągwi laudańskich ludzi najwięcej, a ci mnie miłują.

– Ale to i radziwiłłowscy dawni klienci? – zauważył Mirski.

– Prawda, wszelako jak się o wydaniu Litwy Szwedom dowiedzą, o uwięzieniu pana hetmana polnego, pana kawalera Judyckiego, waszmościów i mnie, okrutnie to ich serca od Radziwiłła odwróci. To uczciwa szlachta, a już tam pan Zagłoba niczego nie zaniedba, aby sadzami hetmana odmalować, i lepiej to potrafi niż każdy z nas.

– Ba! – rzekł Stanisław Skrzetuski – a my tymczasem w Birzach staniemy.

– To nie może być, bo my kołujem, by Upitę ominąć, a z Upity prosta droga, jakoby kto sierpem cisnął. Choćby ruszyli dniem później, dwoma nawet, to jeszcze by mogli być w Birzach przed nami i drogę nam zastąpić. Toż my do Szawłów teraz dopiero jedziem i stamtąd będziemy do Birż prostować, a trzeba waćpanu wiedzieć, iż z Upity do Birż bliżej niż z Szawłów.

– Jako żywo, że bliżej i droga lepsza, bo gościniec! – rzekł Mirski.

– Ot, macie. A my jeszcze nie w Szawlach.

Jakoż dopiero pod wieczór ujrzeli górę zwaną Sałtuwes-Kałas, pod którą wznoszą się Szawle. Po drodze zauważyli, że już niepokój panował we wszystkich wsiach i miasteczkach, które przyszło im przejeżdżać. Widocznie wieść o przejściu hetmana do Szwedów rozbiegła się już po całej Żmudzi. Gdzieniegdzie wypytywano żołnierzy, czy prawda, że kraj ma być przez Szwedów zajęty; gdzieniegdzie widziano masy chłopstwa opuszczającego wsie z żonami, dziećmi i dobytkiem i dążącego w głąbie lasów, którymi cały kraj obficie był pokryty. Miejscami postawa chłopstwa była niemal groźna, widocznie bowiem brano dragonów za Szwedów. Po zaściankach szlacheckich wypytywano ich wprost, kto są i gdzie jadą, a gdy Kowalski, zamiast odpowiadać, kazał ustępować z drogi, przychodziło do hałasów i odgrózek, tak dalece, że zaledwie nastawione do strzału muszkiety mogły otworzyć przejście.

Wielka droga idąca z Kowna na Szawle do Mitawy pokryta była wozami i kolaskami, w których jechały żony i dzieci szlacheckie, pragnące schronić się przed wojną w posiadłościach kurlandzkich. W samych Szawlach, które stanowiły ekonomię królewską, nie było, to żadnych chorągwi hetmańskich prywatnych ani komputowych; tu natomiast uwięzieni pułkownicy ujrzeli po raz pierwszy oddział szwedzki złożony z dwudziestu pięciu rajtarów, który jako podjazd z Birż wyjechał. Tłumy Żydów i mieszczaństwa gapiły się w rynku na nieznanych ludzi, a i pułkownicy pooglądali na nich z ciekawością, a zwłaszcza pan Wołodyjowski, który nigdy dotąd Szwedów nie widział; obejmował więc ich chciwie łakomymi oczyma, jakimi wilk patrzy na stado owiec, i wąsikami przy tym ruszał.

Pan Kowalski porozumiał się z oficerem, oznajmił się, kto jest, dokąd jedzie, kogo prowadzi, i zażądał, by oficer przyłączył swoich ludzi do jego dragonów dla większego bezpieczeństwa w podróży. Ale oficer odpowiedział, że ma rozkaz jak najdalej w głąb kraju dotrzeć, aby się o jego stanie przekonać, że przeto nie może do Birż wracać; natomiast upewnił, iż droga wszędzie bezpieczna, bo małe oddziały wysłane z Birż przebiegają kraj we wszystkich kierunkach, niektóre zaś aż do Kiejdan są ekspediowane. Wypocząwszy tedy dobrze aż do północy i konie, wielce zdrożone, popasłszy ruszył pan Roch wraz ze swymi więźniami w dalszą drogę, skręcając z Szawel na wschód przez Johaniszkiele i Poswót ku Birzom, aby dostać się na prosty gościniec idący z Upity i Poniewieża.

– Jeśli pan Zagłoba przyjdzie nam na ratunek rzekł o świtaniu Wołodyjowski – to na tym gościńcu najłatwiej mu będzie drogę zastąpić, bo z Upity już mógł nadażyć.

– Może on tam gdzie czyha! – rzekł Stanisław Skrzetuski.

– Miałem nadzieję, pókim Szwedów nie zobaczył – odpowiedział Stankiewicz – ale teraz już mi się wydaje, że nie masz dla nas rady...

– Głowa Zagłoby w tym, żeby ich ominąć albo okpić, a on to potrafi.

– Jeno że kraju nie zna...

– Ale ludzie laudańscy znają, bo pieńkę i wańczos, i smołę aż do Rygi wożą, a w mojej chorągwi takich nie brak.

– Muszą już Szwedzi koło Birż wszystkie miasteczka zajmować.

– Piękni żołnierze – ci, którycheśmy w Szawlach widzieli, trzeba przyznać – mówił mały rycerz chłop w chłopa na schwał!... Uważaliście przy tym, jakie konie mają spaseł?

– To inflanckie konie, nader silne – rzekł Mirski. – I nasze towarzystwo husarskie i pancerne w Inflanciech szuka koni, bo to u nas szkapiny drobne. ,

– Gadaj mi wać o szwedzkiej piechocie! – wtrącił Stankiewicz. – Jazda, choć wspaniałą czyni postać, mniej cnotliwa. Bywało, że jak nasza chorągiew, a zwłaszcza z poważnego znaku, runie na tych rajtarów, to i dwóch pacierzy nie wytrzymają.

– Waszmościowie jużście ich kosztowali za dawnych czasów – odrzekł mały rycerz – a ja jeno muszę ślinę lykać. -To mówię waćpaństwu, gdym ich teraz w Szawlach ujrział i te ich żółte brody jako kądziele, aż mi mrówki zaczęły po palcach chodzić. Ej, radaż by dusza do raję, a tu siedz na wozie i zdycha j!...

Pułkownicy umilkli, ale widocznie nie sam tylko pan Wołodyjowski płonał tak przyjaznymi dla Szwedów uczuciami, bo wkrótce uszu więźniów doszła następująca rozmowa dragonów otaczających wóz:

– Widzieliście tych psiawiarów pogańskich? mówił jeden żołnierz – mieliśmy się z nimi bić, a teraz będziem im konie czyścili...

– Żeby to najjaśniejsze pioruny zatrzaśły! – mruknął drugi dragon.

– Cicho bądź! będzie cię Szwed miotłą po łbie w stajni moresu uczył!

– Albo ja jego.

– Głupiś! Nie tacy jak ty chcieli się na nich porwać, i masz, co się stało!

– Największych rycerzy im odwozimy jakoby psu , w gardło. Będą się nad nimi, żydowskie ich macie, znęcać.

– Bez Żyda się z takim szoldrą nie rozmówisz. Toż i komendant zaraz w Szawlach po Żyda musiał postać.

– Żeby ich mór pobił!

Tu pierwszy żołnierz zniżył nieco głos i pytał:

– Mówią, że wszyscy co lepsi żołnierze nie chcą z nimi przeciw panu własnemu służyć?

– A jakże! Alboś to nie widział Węgrzynów, albo to pan hetman nie pociągnął z wojskiem na opornych. Nie wiadomo jeszcze, co się stanie. Toż i naszych dragonów kupa się za Węgrzynami ujęła, których ponoć wszystkich rozstrzelają.

– Ot, im nagroda za wierną służbę!

– Do diabła taka robota!

– Żydowska służba!...

– Stój – rozległ się nagle głos jadącego w przedzie pana Rocha.

– Bodaj ci kula w pysku stanęła! – mruknął głos przy wozie.

– Co tam? – pytali żołnierze jedni drugich.

– Stój! – zabrzmiała powtórnie komenda.

Wóz stanął. Żołnierze wstrzymali konie. Dzień był pogodny, jasny. Słońce już weszło i przy jego blaskach widać było na gościńcu w przedzie wznoszące się kłęby kurzawy, jakoby stada albo wojsko szło naprzeciw.

Wkrótce w kurzawie poczęło błyskać, rzekłbyś, że kto iskry wśród kłębów rozsypuje, i światełka migotały coraz wyraźniej niby świece jarzące, dymem otoczone.

– To groty połyskują! – zawołał pan Wołodyjowski.

– Wojsko idzie.  
 – Pewnie szwedzki jaki oddział.  
 – U nich tylko piechota ma włócznie, a tam kurzaw a szybko się porusza. To jazda, to nasi!  
 – Nasi, nasi! – powtórzyli dragoni.  
 – Formuj się! – zabrzmiał głos pana Rocha. Dragoni otoczyli kołem wóz. Pan Wołodyjowski miał płomień w oczach.  
 – To moi laudańscy ludzie z Zagłobą! Nie może inaczej być!  
 Już tylko staje drogi dzieliło zbliżających się od wozu i odległość zmniejszała się z każdą chwilą, bo przeciwny oddział nadchodził rysią. Na koniec z kurzawy wysunął się potężny oddział wojska idącego w dobrym szyku, jakoby do ataku. Po chwili byli jeszcze bliżej. W pierwszym szeregu, nieco od prawej strony, uwijał się pod buńczukiem jakiś potężny mąż z buławą w ręku. Ledwie go pan Wołodyjowski wziął na oko, wnet zakrzyknął:  
 – To pan Zagłoba! Jak Boga kocham, pan Zagłoba! Uśmiech rozjaśnił twarz Jana Skrzetuskiego.  
 – On! nie kto inny! – rzekł – i pod buńczukiem! Już się na hetmana kreował. Poznałbym go po tej fantazji wszędzie... Ten człowiek takim umrze, jakim się urodził.  
 – Niechże mu Pan Bóg da zdrowie! – rzekł Oskierko. Po czym złożył ręce koło ust i począł wołać:  
 – Mości Kowalski! To krewniak przyjeżdża do cię w odwiedziny!  
 Ale pan Roch nie słyszał, bo właśnie oganiał swoich dragonów. I trzeba mu było oddać tę sprawiedliwość, że lubo garść miał ludzi, a tam cała chorągiew na niego waliła, przecie się nie zmieszał ani serca nie stracił. Wysunął dragonów we dwa szeregi przed wóz, a tamci rozciągnęli się tymczasem i poczęli go zajeżdżać tatarską modą, półksiężycem, z obu stron pola. Lecz widocznie chcieli naprzód paktować, bo poczęli machać chorągwią i krzyczeć:  
 – Stój! stój!  
 – Naprzód! stępą! – zakrzyknął pan Roch.  
 – Poddaj się! – wołano z drogi.  
 – Ognia! – zakomenderował w odpowiedzi Kowalski.  
 Zapadło głucho milczenie: ani jeden dragon nie wystrzelił.  
 Pan Roch oniemiał również na chwilę; następnie rzucił się jakby wściekły na własnych dragonów.  
 – Ognia, psiawiary! – ryknął straszliwym głosem i jednym zamachem pięści zwałił z konia najbliższego żołnierza.  
 Inni poczęli się cofać przed wściekłością męża, ale żaden nie usłuchał komendy. Nagle rozsypali się, jak spłoszone stado kuropatw w mgnieniu oka.  
 – Tych żołnierzy kazałbym jednak rozstrzelać! mruknął Mirski.  
 Tymczasem Kowalski, widząc, że własni ludzie opuścili go, zwrócił konia ku atakującym szeregom. – Tam mi śmierć!-zakrzyknął okropnym głosem. I skoczył ku nim jak piorun.  
 Ale nim przebiegł połowę drogi, w szeregach Zagłoby huknął wystrzał z garłacza; siekańce zaszumiały na gościńcu, koń pana Rocha zarył nozdrzami w kurzawę i padł przywalając jeźdźca.  
 W tej samej chwili jakiś żołnierz z chorągwi Wołodyjowskiego wysunął się błyskawicą naprzód i ucapił za kark podnoszącego się z ziemi oficera.  
 – To Józwa Butrym! – zawołał Wołodyjowski. -Józwa Beznogi!  
 Pan Roch chwycił z kolei Józwę za połą i poła została mu w ręku; po czym jęli się wodzić jak dwa szczone jastrzębie, bo obadwaj olbrzymią obdarzeni byli siłą. Strzemię Butrymowi pękło, a sam zleciał na ziemię i przewrócił się, ale pana Rocha nie puścił, i obaj utworzyli jakoby jedną kulę, która przewracała się na gościńcu.  
 Nadbiegli inni. Ze dwadzieścia rąk chwyciło pana Kowalskiego, który targał się i szarpał jak niedźwiedź w matni; rzucał ludźmi jak odyniec psami, podnosił się znów i nie dawał za wygraną. Chciał zginąć, a tymczasem naokół słyszał dziesiątki głosów powtarzających słowa: „Żywcem! żywcem!”

Wreszcie siły go opuściły i omdlał.

Tymczasem pan Zagłoba już był przy wozie, a raczej na wozie, i chwycił w objęcia Skrzetuskich, małego rycerza, pana Mirskiego, pana Stankiewicza i Oskierkę, przy czym wołał zdyszczanym głosem:

– Ha! przydał się na coś Zagłoba! Damy teraz Radziwiłłowi dzięgielu! Mości panowie, wolni jesteście i ludzi mamy! Zaraz ruszymy dobra mu pustoszyć! A co! udał się fortel?... Nie tym, to innym sposobem byłbym się wydostał i waćpanów także!... Całkiem mnie zatkało, że tchu nie mogę złapać! Na radziwiłłowskie dobra, mości panowie, na radziwiłłowskie dobra! Jeszcze wszystkiego o nim nie wiecie, co ja wiem!...

Dalsze wybuchy zostały przerwane przez ludzi laudańskich, którzy biegli jeden przez drugiego witać swego pułkownika. Butrymi, Gościewicz Dymni, Domaszewicze, Stakjanowie, Gasztowowie – cisnęli się naokoło wozu, a potężne gardzienie ryczały nieustannie:

– *Vivat! vivat!*

– Mości panowie! – rzekł mały rycerz, gdy uciszyło się nieco – towarzysze najmilsi! dziękuję wam za afekt!... Straszna to rzecz, że musimy hetmanowi posłuszeństwo wypowiadać i rękę nań podnosić, ale gdy zdrada jawna, nie może być inaczej! Nie odstępim ojczyzny i pana naszego miłościwego... *Vivat Joannes Casimirus rex!*...

– *Vivat Joannes Casimirus rex!* – powtórzyło trzysta głosów.

– Dobra radziwiłłowskie zajechać! – krzyczał Zagłoba. – Spizarnie i piwnice mu wypłukać!

– Koni nam! – zawołał mały rycerz. Skoczono po konie.

Tymczasem Zagłoba rzekł:

– Panie Michale! Hetmaniem tym ludziom w zastępstwie moim i przyznaję im chętnie, że mężnie sobie poczynali... Ale gdyś teraz wolny, zdaję władzę w twoje ręce.

– Niechże wasza miłość komendę bierze, jako godnością najstarszy – rzekł pan Michał zwracając się do Mirskiego.

– Ani myślę! a mnie co po tym! – odrzekł stary pułkownik.

– To jegomość pan Stankiewicz...

– Ja mam swoją chorągiew i cudzej nie będę brał! Ostań waszmość przy komendzie; ceremonia sieczka, satysfakcja owies! Znasz ty ludzi, ludzie ciebie, i naj-lepiej przy tobie będą stawali.

– Uczyń tak, Michale, uczyń, boć to i niełakoma rzecz! – mówił Jan Skrzetuski.

– Niechże i tak będzie.

To rzekłszy pan Michał wziął buławę z rąk Zagłoby, uszykował w mig chorągiew do pochodu i ruszył wraz z towarzyszami na jej czele.

– A gdzie pójdziemy? – pytał Zagłoba.

– Żeby tak waściom prawdę powiedzieć, to sam nie wiem, bom jeszcze o tym nie pomyślał – odparł pan Michał.

– Warto się nad tym naradzić, co nam czynić" przystoi – rzekł Mirski – i musimy bezzwłocznie do" rady przystąpić. Jeno pierwaj niech mi wolno będzie złożyć jegomości panu Zagłobie w imieniu wszystkich podziękę, że nas nie zapomniał i *in rebus angustis* tak skutecznie ratował.

– A co? – rzekł z dumą Zagłoba podnosząc głowę i zakręcając wąsa. – Beze mnie bylibyście w Birzach!... Justycja nakazuje przyznać, że kto czego nie! wymyśli, to Zagłoba wymyśli... Panie Michale, nie w takich to bywaliśmy opałach! Pamiętasz, jakom cię " ratował, gdyśmy to z Halszką przed Tatarami uciekali, co?

Pan Michał mógłby był odpowiedzieć, że wówczas nie pan Zagłoba jego, ale on pana Zagłobę ratował, wszelako milczał i począł tylko wąsikami ruszać. Stary zaś szlachcic mówił dalej:

– Nie potrzeba dziękować, bo co wam dziś, to mnie jutro, i pewnie nie opuścicie mnie też w potrzebie. Tak jestem rad, że was wolnych widzę, jakobym najwალniejszą wiktoryę odniósł. Pokazuje się, że nie zestarzała się jeszcze zbyt ani głowa, ani ręka.

– Toś tedy waćpan zaraz do Upity trafił? – pytał pan Michał.

– A gdzie miałem trafić? do Kiejdan? wilkowi w gardło leżać? Jużci, że do Upity, i możecie mi wierzyć, zem szkapy nie żałował, a dobra była bestia! Wczoraj rano już byłem w Upicie, a w południe ruszyliśmy ku Birżom, w tę stronę, w której spodziewałem się ichmościów spotkać.

– A że to ludzie moi tak od razu waćpanu uwierzyli? – mówił pan Michał – bo cię nie znali, z wyjątkiem dwóch czy trzech, którzy cię u mnie widzieli?

– Co prawda, nie miałem z tym najmniejszej trudności, bo naprzód, miałem twój pierścień, panie Michale, a po wtóre, ludzie właśnie tylko co się byli dowiedzieli o waszym aresztowaniu i o zdradzie hetmana. Zastałem deputację do nich od chorągwi pana Mirskiego i pana Stankiewicza, żeby się do kupy przeciw hetmanowi, zdrajcy, zbierali. Jakem im tedy oznajmił, że was do Birż wiozą, jakoby kto w mrowisko ki j wsadził. Konie były na potrawach, posłali zaraz pachółków, by je sprowadzić, i w południe ruszyliśmy już w drogę. Oczywiście objąłem komendę, bo mi się to należało.

– A skądżeś ojciec buńczuka wziął? – pytał Jan Skrzetuski. – Myśleliśmy z daleka, że to hetman.

– Co? Pewnie, zem nie gorzej wyglądał! Skądem buńczuka wziął? Oto razem z deputacjami od spornych chorągwi przyjechał i ad hetmana pan Szczyt z rozkazem do laudańskich, by do Kiejdan szli, i z buńczukiem dla większej powagi rozkazu. Kazałem go zaraz aresztować, a buńczuk nad sobą nosić, żeby Szwedów na ten przypadek omylić.

– Dalibóg, jak wszystko mądrze obmyślił! – zawołał Oskierko.

– Jako Salomon! – dodał Stankiewicz.

Pan Zagłoba rósł jak na drożdżach.

– Radźmy teraz, co nam czynić przystoi? – rzekł wreszcie. – Jeżeli waćpaństwo zechcecie mnie posłu–, chać cierpliwie, to powiem, com sobie przez drogę obmyślił. Z Radziwiłłem tedy nie radzę wojny rozpoczynać, a to dla dwojakich powodów: naprzód, że nie przymierzając on jest szczupak, a my okoni. Lepiej dla okoniów nigdy się głową do szczuki nie zwracać, bo snadnie połknąć może, jeno ogonem, bo wtedy ostre skrzela bronią. Niech go tam diabeł na rożen widzieje jak najprędzej i smołą polewa, aby się zbyt nie przypalił.

– Po wtóre? – pytał Mirski.

– Po wtóre – odrzekł Zagłoba – że gdybyśmy przez jakowy casus dostali się w jego ręce, to by nam takiego łupnia zadał, że wszystkie sroki na Litwie miałyby o czym skrzeczeć... „Patrzcie waszmościowie, co stało w tym liście, który Kowalski wioził do komendanta szwedzkiego do Birż, i poznajcie pana wo–jewodę wileńskiego, jeśliście go dotąd nie znali!

To rzekłszy odpiął żupan i wydobywszy z zanadrza pismo podał je Mirskiemu.

– Ba! po niemiecku czy po szwedzku? – odrzekł stary pułkownik. – Który z waściów to pismo przeczyta?

Pokazało się, że jeden pan Stanisław Skrzetuski trochę po niemiecku umiał, gdyż często z domu do Torunia jeździł, ale pisanego i on nie mógł przeczytać.

– To ja waściom *tenor* opowiem – rzekł Zagłoba. – Gdy w Upicie żołnierze posłali po konie na łąki, było trochę czasu, kazałem sobie tedy sprowadzić za pejsy Żyda, którego tam wszyscy okrutnie mądrym powiadają, i ten, mając szablę na karku, wyczytał wszystko *expedite*, co tam stoi, i mnie wyłuszczył.. Owóż pan hetman poleca komendantowi birżańskiemu i dla dobra jegomości króla szwedzkiego nakazuje, ażeby, odprawivszy wprzód konwój, kazał potem nas wszystkich, nie wyłączając nikogo, rozstrzelać, jeno tak, aby się wieść nie rozeszła.

Pułkownicy aż rękoma poczęli klaskać, z wyjątkiem jednego Mirskiego, który pokiwawszy głową rzekł:

– Mnie też, co go znam, dziwno to było i w głowie nie chciało się pomieścić, że on nas żywych z Kiejdan wypuszcza. Musiały być chyba jakieś powody, których nie znamy, a dla których sam nie mógł nas na śmierć skazać.

– Pewnie chodziło mu o opinię ludzką? – Może.

– Jednakże dziw, jak to jest zawzięty pan! rzekł mały rycerz. – Bo przecie, nie wymawiając, ja mu życie tak jeszcze niedawno na wspólkę z Ganchofem ratowałem.

– A ja pod jego ojcem, a potem pod nim trzydzieści pięć lat już służę! – rzekł Stankiewicz.

– Straszny człek! – dodał Stanisław Skrzetuski.

– Owóż takiemu lepiej w paszczkę nie leźć rzekł Zagłoba. – Niech go diabli wezmą! Unikajmy z nim bitwy, a natomiast majątności, które po drodze się trafią, accurate mu wypłuczemy. Idźmy do wojewody witebskiego, żeby to mieć jakąś ochronę, jakowegoś pana za sobą, a po drodze bierzmy, co się da, ze spiżarniów, ze s ta jen, obór, spichrzów, piw nic. Aż mi się dusza do tego śmieje, i już to pewna, że nikomu nie dam się w tym wyprzedzić. Co z pieniędzy po ekonomiach będziemy mogli wziąć, to bierzmy także. Im huczniej i okryciej przyjdziem do wojewody witebskiego, tym wdzięczniej nas przyjmie.

– On i tak nas wdzięcznie przyjmie – odrzekł Oskierko. – Ale dobra rada, żeby do niego iść, i lepszej teraz nikt nie wymyśli.

– Wszyscy głosy za tym dadzą – dodał Stankiewicz.

– Jako żywo! – rzekł pan Michał. – Tak tedy do wojewody witebskiego! Niechże on będzie owym wo-dzem, o któregośmy Boga prosili.

– Amen! – rzekli inni.

I jechali czas jakiś w milczeniu, aż wreszcie pan Michał jął się kręcić na kulbace.

– A żeby tak gdzie Szwedów po drodze skubnąć? – spytał wreszcie, zwracając oczy na towarzyszków.

– Moja rada jest, że jeśli się zdarzy, to dlaczego nie? – odparł Stankiewicz. – Pewnie tam Radziwiłł upewniał Szwedów, że całą Litwę .ma w rękę i że wszyscy chętnie opuszczą Jana Kazimierza; niechże się pokaże, że to nieprawda.

– I słusznie! – rzekł Mirski. – Jeżeli jaki oddział wlezie nam w drogę, to mu po brzuchach przejechać. Zgadzam się również, aby się na samego księ- cia nie porywać, bo mu nie zdzierzymy. Wojownik to wielki! Ale unikając bitwy warto by z parę dni koło Kiejdan się pokręcić.

– Aby mu majątności spustoszyć? – spytał Zagłoba.

– Nie to! Jeno aby ludzi więcej zebrać. Moja cho-ragiew i pana Stankiewicza ku nam się przy- mkną. Jeżeli zaś już rozbite, co być może, to także ludzie będą pojedynczo do nas się kupili. Nie bez tego, żeby coś i szlachty nie napłynęło. Przyprawimy panu Sapieżę większą siłę, z którą snadniej będzie mógł coś począć.

Rzeczywiście, wyrachowanie to było dobre, a jako pierwszy przykład mogli posłużyć dragoni pana Rocha, którzy wszyscy z wyjątkiem jego samego przeszli bez wahania do pana Michała. Takich mogło się znaleźć w szeregach radziwiłłowskich więcej. Można było przy tym przypuszczać, że pierwsze uderzenie na Szwedów wywoła ogólne powstanie w kraju.

Postanowił więc pan Wołodyjowski ruszyć na noc w stronę Poniewieża, zagarnąć jeszcze, co można, szlachty laudańskiej w okolicach Upity i stamtąd zanurzyć się w Puszcze Rogowską, do której, jak się spodziewał, resztki rozbitych opornych chorągwi będą się chroniły. Tymczasem stanął na wypoczynek wedle rzeki Ławeczy, aby ludzi i konie pokrzepić.

Tam stali do nocy poglądając z gąszczy leszczynowych na wielką drogę, po której ciągnęły co-raz to nowe gromady chłopstwa uciekającego w lasy przed spodziewanym najściem szwedzkim.

Żołnierze wysyłani na drogę sprowadzali od czasu do czasu pojedynczych chłopów, aby zasięgnąć języka o Szwedach, ale niewiele można się było od nich wywiedzieć.

Chłopstwo było przerażone i każdy pojedynczo powtarzał, że Szwedzi tuż, tuż, ale dokładnych objaśnień nikt nie umiał udzielić.

Gdy ściemniło się zupełnie, pan Wołodyjowski kazał ludziom siadać na koń, lecz zanim ruszyli, do uszu wszystkich doszedł dosyć wyraźnie odgłos dzwonów.

– Co to jest? – pytał Zagłoba – przecie na Anioł Pański za późno!

Pan Wołodyjowski słuchał przez chwilę pilno.

– To na trwozę! – rzekł.



Po czym puścił się wzdłuż szeregu.

– A nie wie tam który – pytał – co to za wieś czyli miasteczko w tamtej stronie?

– Klewany, panie pułkowniku! – odpowiedział jeden z Gościewiczów – my tamtędy z potażem jeździm.

– Słyszycie dzwony?

– Słyszemy! To niezwykła rzecz!

Pan Michał skinął na trębacza i wnet cichy głos trąbki zabrzmiał wśród ciemnych gęstw. Chorągiew posunęła się naprzód.

Oczy wszystkich utkwione były w kierunku, skąd coraz gwałtowniejsze dochodziło dzwonienie; jakoż nie na próżno patrzono, bo wkrótce błysło na horyzoncie czerwone światło i powiększało się z każdą chwilą.

– Łuna! – szeptano w szeregach.

Pan Michał pochylił się ku Skrzetuskiemu.

– Szwedzi! – rzekł.

– Skosztujem! – odparł pan Jan.

– Dziwno mi to jeno, że palą.

– Musiał szlachcic opór dać albo chłopstwo się ruszyło, jeśli na kościół nastąpili.

– Ano, zobaczmy! – rzekł pan Michał.

I sapnął z zadowoleniem.

Wtem pan Zagłoba przyćlapał ku niemu:

– Panie Michale?

– A co?

– Już widzę, że ci szwedzkie mięso zapachniało. Pewnie bitwa będzie, co?

– Jak Bóg zdarzy! jak Bóg zdarzy!

– A kto będzie jeńca pilnował?

– Jakiego jeńca?

– Jużci, nie mnie, jeno Kowalskiego. Widzisz, panie Michale, to jest okrutnie ważna rzecz, żeby on nie uciekł. Pamiętaj, że hetman nie wie o niczym, co się stało, i od nikogo się nie dowie, jeżeli Kowalski mu nie doniesie. Trzeba jakowym pewnym ludziom kazać go pilnować, bo w czasie bitwy łatwo dać drapaka, zwłaszcza że i fortelów może się chwycić.

– Tyle on zdatny do fortelów, ile ten wóz, na którym siedzi. Ale masz waść słuszność, że trzeba kogoś koło niego zostawić. Chcesz waść mieć go przez ten czas na oku?

– Hm! bitwy mi żal!... Prawda, że w nocy przy ogniu prawie nic nie widzę. Żebyśmy się mieli po dniu bić, nigdy byś mnie na to nie namówił... Ale skoro *publicum bonum* tego wymaga, niechże już tak będzie!

– Dobrze. Zostawię waszmości z pięciu ludzi do pomocy, a jakby chciał umykać, to mu w łeb palcie.

– Ugniotę ja go w palcach jak wosk, nie bój się!... Ale to tam łuna coraz większa. Gdzie mam się zatrzymać z Kowalskim?

– Gdzie waść chcesz. Nie mam teraz czasu! – rzekł pan Michał.

I wyjechał naprzód.

Pożar rozlewał się coraz szerzej. Wiatr powiał od strony ognia i razem z głosem dzwonów przyniósł echa wystrzałów.

– Rysią! – skomenderował pan Wołodyjowski.

## ROZDZIAŁ XVIII

Dojechawszy bliżej wsi zwolnili kroku i ujrzeni szeroką ulicę oświeconą tak płomieniem, iż szpilki można by na niej zbierać, bo po obu stronach paliło się kilka chałup, a inne zajmowały się od nich z wolna, gdyż wiatr był dość silny i niósł iskry, ba! całe snopki, podobne do ptaków ognistych, na przyległe dachy. Na ulicy płomień oświecał większe i mniejsze gromadki ludzi poruszające się szybko w różne strony. Krzyk ludzki mieszał się z odgłosem dzwonów ukrytego wśród drzew kościoła, z rykiem bydła, ze szczekaniem psów i rzadkimi wystrzałami z broni palnej.

Podjechawszy bliżej żołnierze pana Wołodyjowskiego ujrzeni rajtarów przybranych w koliste kapelusze, ale niezbyt wielu. Niektórzy ucierali się z gromadami chłopów zbrojnych w cepy i widły, strzelając do nich z pistoletów i wypierając za chałupy, na ogrody; inni wypędzali na drogę rapierami woły, krowy i owce. Inni, których zaledwie można było rozeznac wśród całych kłębów pierza, poobwieszali się ptactwem domowym, trzepocącym jeszcze skrzydłami w przedśmiertnych podrygach. Kilkunastu trzymało konie, każdy po dwa lub trzy, należące do towarzyszków zajętych widocznie rabunkiem chałup.

Droga do wsi schodziła nieco z góry, wśród brzeziniowego lasku, tak że laudańscy, sami nie będąc widziani, widzieli jakoby obraz, przedstawiający najście wsi przez nieprzyjaciela, oświecony pożarem, w którego blaskach dokładnie można było odróżnić obcych żołnierzy, wieśniaków, niewiasty ciągnięte przez rajtarów i broniących się bezładnymi kupami mężów. Wszystko to poruszało się gwałtownie, na kształt lalek w jasełkach, krzycząc, klnąc, lamentując.

Pożar nad wioską trząsał całą grzywą płomienia i huczał coraz straszliwiej.

Pan Wołodyjowski, zbliżywszy się z chorągwią do roztwartego na oścież kołowrotu, kazał zwolnić kroku. Mógł on uderzyć i jednym zamachem zgnieść nie spodziewających się niczego napastników; ale mały rycerz postanowił sobie „pokosztować Szwedów” w bitwie otwartej, zupełnej, więc naumyślnie czynił tak, aby go spostrzeżono.

Jakoż kilku rajtarów, stojących wedle kołowrotu, spostrzegło naprzód zbliżającą się chorągiew. Jeden z nich skoczył do oficera, który stał z gołym rapierem wśród większej kupy jeźdźców na środku drogi, i począł mówić coś do niego ukazując ręką w tę stronę, z której spuszczał się ze swymi ludźmi pan Wołodyjowski. Oficer przysłonił oczy ręką i patrzył przez chwilę, następnie skinął i wnet donośny odgłos trąbki zabrzmiał wśród rozmaitych krzyków ludzkich i zwierzęcych.

A tu rycerze nasi mogli podziwiać sprawność szwedzkiego żołnierza; zaledwie bowiem rozległy się pierwsze tony, gdy jedni z rajtarów poczęli wypadać co ducha z chałup, drudzy porzucali zrabowane rzeczy, woły, owce i biegli do koni.

W mgnieniu oka stanęli w sprawnym szeregu, na którego widok wezbrało podziwem serce małego rycerza, tak lud był dobrany. Chłopy wszystko rosłe i tegie, przybrane w kaftany ze skórzanymi pasami przez ramię, w jednostajne czarne kapelusze z podniesionym koliskiem z lewej strony; wszyscy mieli jednakie gniade konie i stanęli murem, z rapierami przy ramieniu, poglądając bystro, ale spokojnie, w stronę drogi.

Jednakże z szeregu wysunął się oficer z trębaczem chcąc widocznie zapytać, co by byli za ludzie zbliżający się tak wolno.

Widocznie sądził, iż to jakaś radziwiłłowska chorągiew, od której nie spodziewał się zaczepki. Jął tedy machać rapierem i kapeluszem, a trębacz trąbił ciągle na znak, iż chcą rozmowy.

– A wypal no który ku nim z garłacza – rzekł mały rycerz – aby wiedzieli, czego się mają od nas spodziewać!

Strzał huknął, ale siekańce nie doszły, bo było zbyt daleko. Oficer widocznie myślał jeszcze, iż to jakieś nieporozumienie, gdyż począł tylko mocniej krzyczeć i kapeluszem machać.

– Dajcieże mu drugi raz! – zakrzyknął pan Wołodyjowski.

Po drugim strzale oficer zawrócił i ruszył, choć niezbyt pospiesznie, ku swoim, którzy takie zbliżyli się rysią ku niemu.

Pierwszy szereg laudańskich ludzi wjeżdżał już w kołowrot.

Oficer szwedzki zakrzyknął, dojeżdżając, na swoich ludzi; rapiery sterczące aż do tej chwili przy ramionach rajtarów pochylały się i zwisły na pendentach natomiast wszyscy naraz wydobyli pistolety z olster i wsparli je na kulach od kulbak, trzymając lufy do góry.

– Doskonały żołnierz! – mruknął Wołodyjowski widząc szybkość i jednocześnie prawie mechaniczną ich ruchów.

To rzekłszy obejrzał się na swoich ludzi, czy szeregi w porządku, poprawił się w kulbace i krzyknął:

– Naprzód!

Laudańscy pochylili się ku szyjom końskim i ruszyli jak wichher.

Szwedzi przypuścili ich blisko i naraz dali ognia z pistoletów, lecz salwa niewiele zaszkodziła ukrytym za łbami końskimi laudańskim, więc zaledwie kilku wypuściło z rąk trzęzle i przechyliło się w tył, inni dobiegli i uderzyli się z rajtarami pierś o pierś.

Litewskie lekkie chorągwie używały jeszcze kopij, które w koronnym wojsku służyły tylko husarii, ale pan Wołodyjowski, spodziewając się bitwy w ciasnocie, kazał je zatknąć poprzednio przy drodze, więc zaraz przyszło do szabel.

Pierwszy impet nie zdołał rozerwać Szwedów, lecz zepchnął ich w tył, tak iż poczęli się cofać siekąc i bodąc rapierami, laudańscy zaś parli ich zapamiętałe przed sobą wzdłuż ulicy. Trup począł padać gęsto. Ciżba czyniła się coraz większa, szczęk szabel wypłoszył chłopstwo z szerokiej ulicy, w której gorąco od płonących domów było nie do wytrzymania, lubo domy ode drogi i opłotków oddzielone były sadami.

Szwedzi, parci coraz potężniej, cofali się z wolna, ale zawsze w dobrym porządku. Trudno im zresztą było się rozproszyć, ponieważ silne płoty zamykały drogę z obu stron. Chwilami próbowali zatrzymać się, ale nie mogli podołać.

Była to dziwna bitwa, w której z przyczyny wąskiego stosunkowo miejsca walczyły wyłącznie pierwsze szeregi, następne zaś mogły tylko pchać stojących w przedzie. Ale przez to właśnie walka zmieniła się w rzeź zacieklą.

Pan Wołodyjowski, uprosiwszy wprzód starych pułkowników i Jana Skrzetuskiego, aby w samej chwili ataku mieli dozór nad ludźmi, używał do woli w pierwszym szeregu. I co chwila jakiś kapelus szwedzki zapadał przed nim w ciżbę, jakoby nurka dawał pod ziemię; czasami rapier, wytracony z rąk rajtara, wylatywał furkocząc nad szereg, a jednocześnie odzywał się krzyk ludzki przeraźliwy i znów kapelus z zapadał; zastępował go drugi, drugiego trzeci, lecz pan Wołodyjowski posuwał się ciągle naprzód, małe jego oczki świeciły jak dwie skry złowrogie, i nie unosił się, i nie zapamiętywał, nie machał szablą jak cepem; chwilami, gdy nie miał nikogo na długość szabli przed sobą, zwracał twarz i klingę nieco w prawo lub w lewo i strącał w mgnieniu oka rajtara ruchem na pozór nieznacznym, i straszny był przez te ruchy małe, a błyskawiczne, prawie nieczłowiecze.

Jak niewiasta rwąca konopie zanurzy się w nie tak, iż ją zupełnie zasłonią, ale po zapadaniu kiści poznasz łatwo jej drogę, tak i on nikał chwilowo z oczu w tłumie rosłych mężów, lecz tam, gdzie padali jako kłós pod sierpem zniwiarza podcinającego źdźbła od dołu, tam właśnie on był. Pan Stanisław Skrzetuski i posepny Józwa Butrym zwany Beznogim szli tuż za nim.

Na koniec szwedzkie tylne szeregi poczęły wysuwać się z opłotków na obszerniejszy wirydarz przed kościołem i dzwonnicy, a za nimi wysunęły się przednie. Rozległa, się komenda oficera, który pragnął widocznie wprowadzić wszystkich naraz ludzi do boju, i wy dłużony aż dotąd prostokąt rajtarów rozciągnął się w mgnieniu oka wszerek, w długą linię, chcąc całym frontem stawić czoło.

Lecz Jan Skrzetuski, który nad ogólnym przebiegiem bitwy czuwał i czołem chorągwi dowodził, nie poszedł za przykładem szwedzkiego kapitana, natomiast ruszył naprzód całym impetem w ścieśnionej kolumnie, która trafiwszy na słabszą już ścianę szwedzką rozbiła ją w mgnieniu oka jakoby klinem i zwróciła się pędem ku kościołowi, ku prawej stronie, biorąc tym ruchem tył jednej poło-

wie Szwedów, a na drugą skoczył z rezerwą Mirski i Stankiewicz mając pod sobą część laudańskich i wszystkich dragonów Kowalskiego.

Zawrzały teraz dwie bitwy, lecz nie trwały już długo. Lewe skrzydło, na które uderzył Skrzetuski, nie zdążyło się sformować i rozproszyło się najpierwej; prawe, w którym był sam oficer, dłużej dawało opór, lecz rozciągnięte zbyt mocno, poczęło się łamać, mieszać, na koniec poszło za przykładem lewego.

Wirydarz był obszerny, lecz na nieszczęście zagrodzony ze wszystkich stron wysokim płotem, a przewlearty kołowrot służba kościelna widząc, co się dzieje, zamknęła i podparła.

Rozproszeni tedy Szwedzi biegali wkoło, a laudańscy upędzali się za nimi. Gdzieniedzie bito się większymi kupami, po kilkunastu, na szable i rapiery, gdzieniedzie bitwa zmieniała się w szereg pojedynków i mąż potykał się z mężem, rapier krzyżował się z szablą, czasem strzał pistoletowy buchnął. Tu i owdzie rajtar, wymknąwszy się spod jednej szabli, biegł jak pod smycz pod drugą. Tu i owdzie Szwed lub Litwin wydobywał się spod obalonego rumaka i padał zaraz pod ciężkiem czekającej nań szabli.

Środkiem wirydarza biegały rozchukane konie bez jeźdźców, z rozdętymi od strachu chrapami i rozwiarą grzywą, niektóre gryzły się ze sobą, inne, oślepe i rozszalałe, zwracały się zadem do kup walczących i biły w nie kopytami.

Pan Wołodyjowski, strącając mimochodem rajtarów, szukał oczyma po całym wirydarzu oficera; na koniec spostrzegł go broniącego się przeciw dwóm Butrymóm i skoczył ku niemu.

– Na bok! – krzyknął na Butrymów – na bok! Posłuszni żołnierze odskoczyli – mały rycerz zaś przybiegł i starł się ze Szwedem, aż konie przysiadły na zadach.

Oficer chciał widocznie sztychem zsadzić przeciwnika z konia, lecz pan Wołodyjowski podstaawił rękojeść swego dragońskiego pałasza, zakreślił błyskawicowym półkolem i rapier prysnął. Oficer schylił się do olster, lecz w tej chwili, cięty przez jagodę, wypuścił lejce z lewicy.

– Żywym brać! – krzyknął Wołodyjowski na Butrymów.

Laudańscy chwycili rannego i podtrzymali chwiejącego się na kulbace, mały rycerz zaś sunął w głąb wirydarza i jechał dalej na rajtarach gasząc ich przed sobą jak świece.

Lecz już powszechnie poczęli Szwedzi ulegać bieglejszej w szermierce i pojedynczej walce szlachcie.

Niektórzy chwytając za ostrza rapiersów wyciągali je rękojeścią ku przeciwnikom, inni rzucali broń pod nogi: słowo „pardon!” brzmiało coraz częściej na pobojuwisku. Lecz nie zważano na to, bo pan Michał kilku tylko kazał oszczędzić, więc inni widząc to zrywali się znów do bitwy i marli, jak na żołnierzy przystało, po rozpaczliwej obronie, okupując obficie krwią śmierć własną.

W godzinę później docinano ostatków.

Chłopstwo rzuciło się hurmem, drogą ode wsi, na wirydarz, chwytając lonie, dobijając rannych i obdzierać poległych.

Tak skończyło się pierwsze spotkanie Litwinów ze Szwedami.

Tymczasem pan Zagłoba, stojąc opodal w brzezynie z wozem, na którym leżał pan Roch, musiał słuchać gorzkich jego wymówek, że choć krewny, tak niegodnie z nim postąpił.

– Zgubiłaś mnie duży kretesem, bo nie tylko, że mnie kula w łeb w Kiejdanach czeka, ale i hańba wiekuista na moje imię spadnie. Odtąd kto zechce powiedzieć: kiep, to może mówić: Roch Kowalski.

– I co prawda niewielu znajdzie, którzy by mu chcieli negować – odparł Zagłoba – a najlepszy dowód, iż się dziwujesz, że cię na hak przywiódł, ja, którym chanem krymskim tak kręcił jak kukłą. Cóż to sobie, chmyzie, myślałeś, że ci się pozwolę do Birż odprowadzić w kompanii zacnych ludzi i Szwedom w paszczkę nas wrazić, największych mężów, *decus* tej Rzeczypospolitej?

– Toć ja nie z własnej woli waszmościów tam odwoziłem!

– Aleś był pacholkiem katowskim, i to jest dla szlachcica wstyd, to jest hańba, którą obmyć musisz, inaczej wyprę się ciebie i wszystkich Kowalskich. Być zdrajcą to gorzej niż rakarzem, ale być pomocnikiem kogoś gorszego od rakarza to ostatnia rzecz!

– Ja hetmanowi służyłem!

– A hetman diabłu! Masz teraz!... Głupiś jest, Rochu, wiedz o tym raz na zawsze i w dysputy się nie wdawaj, a mnie się trzymaj za poję, to jeszcze na człowieka wyjdiesz, bo to wiedz, że już niejednego promocja przeze mnie spotkała.

Dalszą rozmowę przerwał im huk wystrzałów, bo właśnie bitwa się we wsi rozpoczynała. Potem strzały umilkły, ale gwar trwał ciągle i krzyki dochodziły aż do owego ustronia w brzezynie.

– Już tam pan Michał pracuje – rzekł Zagłoba. Niewielki on, ale kąśliwy jak gadzina. Nałuszcza tam tych zamorskich diabłów jak grochu. Wolałbym ja tam być niż tu, a przez ciebie muszę jeno nasłuchiwać z tej brzeziny. Taka to twoja wdzięczność? Też to jest uczynek godny krewnego?

– A za co ja mam być wdzięczny?

– Za to, że tobą zdrajca nie orze jak wołem, chociaż do orki najzdolniejszy, boś głupi, a zdrów, rozumiesz?... Ej, coraz tam goręcej... Słyszysz? To chyba Szwedy tak ryczą jak cielęta na pastwisku.

Tu pan Zagłoba spoważniał, bo trochę był niespokojny; nagle rzekł patrząc w oczy bystro panu Rochowi:

– Komu życzysz wiktarii?

– Jużci, naszym.

– A widzisz! A czemu nie Szwedom?

– Bo też bym wolał ich prać. Co nasi, to nasi!

– Sumienie się w tobie budzi... A jakżeś to mógł własną krew Szwedom odwozić?

– Bom miał rozkaz.

– Ale teraz nie masz rozkazu?

– Jużci, prawda.

– Twoja zwierzchność to teraz pan Wołodyjowski, nikt więcej!

– Ano... niby to prawda!

– Masz to czynić, co ci pan Wołodyjowski każe.

– Bo muszę.

– On ci tedy każe wyrzec się naprzód Radziwiłła i nie służyć mu więcej, jeno ojczyźnie.

– Jakże to? – pytał pan Roch drapiąc się w głowę.

– Rozkaz! – zakrzyknął Zagłoba.

– Słucham! – odrzekł pan Roch.

– To dobrze! W pierwszej okazji będziesz Szwedów prać!

– Jak rozkaz, to rozkaz! – odpowiedział Kowalski i odetchnął głęboko, jakby mu wielki ciężar spadł z piersi.

Zagłoba również był zadowolony, bo miał swoje na pana Rocha widoki. Poczeli więc słuchać zgodnie nadlatujących odgłosów bitwy i słuchali z godzinę jeszcze, póki wszystko nie ucichło.

Zagłoba coraz był niespokojniejszy.

– Zali by się im nie powiodło?

– Wuj stary wojskowy i możesz takie rzeczy mówić! Gdyby ich rozbito, to by wedle nas wracali kupami...

– Prawda!... Widzę, że się i twój dowcip na coś przyda.

– Słyszysz wuj tętent? Wolno idą. Musieli Szwedów wyciąć.

– Oj! a czy to jeno nasi? Podjadę albo co?

To rzekłszy pan Zagłoba spuścił szablę na temblak, wziął pistolet w garść i ruszył naprzód. W krótko zobaczył przed sobą czarniawą masę poruszającą się z wolna drogą; jednocześnie doszedł go gwar rozmów.

Na przedzie jechało kilku ludzi, rozprawiając ze sobą głośno, i wnet o uszy pana Zagłoby odbił się znany mu głos pana Michała, który mówił:

– Dobre pacholki! Nie wiem, jaka tam piechota, ale i jazda doskonała!

Zagłoba uderzył konia ostrogami.

– Jak się macie?! jak się macie?! już mnie niecierpliwość brała i chciałem w ogień lecieć... A nie ranny który?

– Wszyscy zdrowi, chwała Bogu! – odrzekł pan Michał – aleśmy dwudziestu kilku dobrych żołnierzy stracili.

– A Szwedzi?

– Położyliśmy ich mostem.

– Panie Michale, musiałeś tam używać jak pies w studni. A godziło się to mnie, starego, na straży tu zostawiać? Mało dusza ze mnie nie wyszła, tak mi się chciało szwedziny. Surowych bym ich jadł!

– Możesz waćpan dostać i pieczonych, bo się tam kilkunastu w ogniu przypaliło.

– Niech ich psi jedzą. A jeńców wzięliście co? – Jest rotmistrz i siedmiu rajtarów.

– A co myślisz z nimi czynić?

– Kazałbym ich powiesić, bo jako zbójcy niewinną wieś napadli i ludzi wycinali... Ale Jan powiada, że to nie idzie.

– Słuchajcie mnie waszmościowie, co mi tu do głowvy przez ten czas przyszło. Na nic ich wieśzać przeciwnie, puścić ich do Birż co prędzej.

– Czemuż to?

– Znacie mnie jako żołnierza, poznajcie jako statystę. Szwedów puścimy, ale nie powiadajmy im, kto jesteśmy. Owszem, mówmy, żeśmy radziwiłłowscy ludzie, że z rozkazu hetmana wycięliśmy ten oddział i dalej będziemy wycinali wszystkie, które spotkamy, bo hetman tylko przez fortel symulował, że do Szwedów przechodzi. Będą się tam oni za łby brali i okrutnie kredyt hetmański przez to podkopujemy. Dalibóg, jeśli ta myśl nie jest warta więcej od waszego zwycięstwa, to niech mi ogon jak koniowi wyrośnie. Bo uważcie tylko, że i w Szwedów to ugodzi, i w Radziwiłła. Kiejdany od Birżów daleko, a Radziwiłł od Pontusa jeszcze dalej. Nim sobie wytłumaczą, jak i co się stało, gotowi się pobić! Poważnymi zdrajcę z najezdnikami, mości panowie, a kto najlepiej wyjdzie na tym, jeśli nie Rzeczpospolita?

– Grzeczna to jest rada i pewnie zwycięstw a warta, niech kule biją! – rzekł Stankiewicz.

– U waści kanclerski rozum – dodał Mirski bo że im to pomiesza szyki, to pomiesza.

– Pewnie, że tak trzeba będzie uczynić – rzekł pan Michał. – Zaraz jutro ich puszczę, ale dziś nie chcę o niczym wiedzieć, bom okrutnie zmachany... Gorąco tam było na drodze jak w piekarni... Uf! całkiem mi ręce zemdlały... Oficer nie mógłby nawet dzisiaj jechać, bo w pysk zacięty.

– Po jakimu im tylko to wszystko powiemy? Co ojciec radzisz? – pytał Jan Skrzetuski.

– Jużem i o tym pomyślał – odpowiedział Zagłoba. – Kowalski mi mówił, że między jego dragonami jest dwóch Prusaków, dobrze umiejących po niemiecku szwargotać i ludzi roztropnych. Niechże oni im to powiedzą po niemiecku, który język pewnie Szwedzi umieją, tyle lat się w Niemczech nawojowawszy. Kowalski już nasz duszą i ciałem. Setny to chłop i niemały będę miał z niego pożytek.

– Dobrze! – rzekł Wołodyjowski. – Bądźże który z waszmościów łaskaw tym się zająć, bo ja już i głosu w gębie nie mam od fatygi. Oznajmiłem już ludziom, że zostaniemy tu w tej brzezynie do rana. Jeść nam ze wsi przyniosą, a teraz spać! Nad strażami będzie miał mój porucznik oko. Dalibóg, że już waszmościów nie widzę, bo mi się powieki zamykają...

– Mości panowie – rzekł pan Zagłoba – jest tu stóg niedaleko za brzezina, pójdziemy do stoga, wywczasujemy się jako susły, a jutro w drogę... Nie wrócimy tu już, chyba z panem Sapiehą na Radziwiłła.

## ROZDZIAŁ XIX

Rozpoczęła się więc na Litwie wojna domowa, która, obok dwóch najazdów w granice Rzeczypospolitej i coraz zaciętszej wojny ukraińskiej, wypełniła miarę niedoli.

Wojsko komputowe litewskie, jakkolwiek tak nieliczne, że żadnemu po szczególnie nieprzyjacielowi nie mogło dać skutecznego oporu, rozdzieliło się na dwa obozy. Jedni, a zwłaszcza roty cudzoziemskie, stanęli przy Radziwille; drudzy, i tych byka większość, głosząc hetmana za zdrajcę, protestowali orężnie przeciw unii ze Szwecją, lecz bez jedności, wodza, planu. Wodzem mógł być pan wojewoda witebski, ale on zbyt był w tej chwili zajęty obroną Bychowa i rozpaczliwą walką w głębi kraju, ażeby od razu na czele ruchu przeciw Radziwiłłowi mógł stanąć.

Tymczasem i najezdniczy, uważając każdy całą krainę za swą własność, poczęli słać wzajem do się groźne poselstwa. Z tych ich niesnasek mogło w przyszłości wypłynąć ocalenie Rzeczypospolitej, ale zanim do kroków nieprzyjacielskich między nimi przyszło, na całej Litwie zapanował najstraszliwszy chaos. Radziwiłł, zawiedziony w rachubie na wojsko, postanowił przemocą zmusić je do posłuszeństwa.

Zaledwie pan Wołodyjowski przyciągnął ze swym oddziałem po bitwie klewańskiej do Poniewieża, gdy do uszu jego doszła wieść o zniszczeniu przez hetmana chorągwi Mirskiego i Stankiewicza. Część ich została przemocą włączona do wojsk radziwiłłowskich, część wybita lub rozpezdona na cztery wiatry. Resztki tułały się pojedynczo lub niewielkimi kupami po wsiach i lasach, szukając, gdzie by głowę przed zemstą i pogonią uchronić.

Z każdym dniem zbiegowie napływali do oddziału pana Michała, zwiększając jego siłę, a zarazem przynosząc najrozmaitsze nowiny.

Najważniejszą z nich była wiadomość o buncie chorągwi komputowych, stojących na Podlasiu, wedle Białegostoku i Tykocina. Po zajęciu Wilna przez wojska moskiewskie miały owe chorągwie stamtąd przystęp do krajów koronnych osłaniać. Lecz dowiedziawszy się o zdradzie hetmana, utworzyły konfederację, na której czele stanęli dwaj pułkownicy: Horotkiewicz i Jakub Kmicic, stryjeczny najwierniejszego poplecznika radziwiłłowskiego, Andrzeja.

Imię tego ostatniego powtarzały ze zgrozą usta żołnierskie. On to głównie przyczynił się do rozbicia chorągwi Stankiewicza i Mirskiego, on rozstrzeliwał bez litości schwytych towarzyszków. Hetman ufał mu ślepo i w ostatnich właśnie czasach posłał go przeciw chorągwi Niewiarowskiego, która nie idąc za przykładem swego pułkownika wypowiedziała posłuszeństwo.

Tej ostatniej relacji wysłuchał z wielką uwagą pan Wołodyjowski, po czym zwrócił się do wezwanych na radę towarzyszków i rzekł:

– Co byście waszmościowie powiedzieli na to, gdybyśmy zamiast pod Bychów, do wojewody witebskiego spieszyć, poszli na Podlasie do owych chorągwi, które konfederację uczyniły?

– Z gęby mi to wyjąłeś! – rzekł Zagłoba. – Będzie człek bliżej swoich stron, a już tam zawsze między swoimi raźniej.

– Powiadali też zbiegowie – rzekł Jan Skrzetuski – że słyszeli, jakoby król jegomości chorągwiom niektórym kazał z Ukrainy wracać, aby nad Wisłą opór Szwedom dać. Jeśli to się sprawdzi, tedy moglibyśmy między starymi towarzyszami się znaleźć, zamiast tu się z kąta w kąt tłuc...

– A kto ma nad tymi chorągwiami regimentować? Nie wiecie, waszmościowie?

– Powiadają, że pan oboźny koronny – odrzekł pan Wołodyjowski – ale to więcej ludzie zgadują, aniżeli wiedzą, gdyż pewne wieści nie mogły jeszcze nadejść.

– Jakkolwiek jest – rzekł Zagłoba – radzę na Podlasiu się przemknąć. Możemy tam owe zbuntowane chorągwie radziwiłłowskie porwać za sobą i królowi jegomości przyprowadzić, a wtedy pewnie nie pozostanie to bez nagrody.

– Niechże tak będzie! – rzekli Oskierko i Stankiewicz.

– Rzecz nie jest łatwa – mówił mały rycerz przebrać się na Podlasie, bo trzeba się będzie hetmanowi między palcami przemykać, ale spróbujemy.

Gdyby tak fortuna przy tym zdarzyła Kmicica gdzie po drodze ucaścić, powiedziałbym mu do ucha parę słów, od których skóra by na nim pozieleniała...

– Wart on tego! – rzekł Mirski. – Bo że tam niektórzy starzy żołnierze, którzy wiek życia pod Radziwiłłami przesłużyli, z hetmanem trzymają, to im się mniej dziwić, ale ów warchoł służy tylko dla własnej korzyści i z rozkoszy, jaką w zdradzie znajduje.

– Tak tedy na Podlasie? – pytał Oskierko.

– Na Podlasie! Na Podlasie! – zakrzyknęli wszyscy razem.

Ale rzecz nie była mniej trudna, jak to mówił pan Wołodyjowski, bo chcąc się na Podlasie dostać, trzeba było przechodzić w pobliżu Kiejdan, jakoby wedle jamy, w której lew krążył.

Drogi i pasy leśne, miasteczka i wsie były w ręku Radziwiłła; nieco za Kiejdanami stał Kmicic z jazdą, piechotą i armatami. Wiedział już też hetman o ucieczce pułkowników, o zbuntowaniu chorągwi Wołodyjowskiego, o bitwie klewańskiej, i ta ostatnia szczególnie przywiodła go do takiego gniewu, że się o życie jego obawiano, albowiem straszliwy atak astmy oddech mu na czas jakiś zatamował.

Jakoż słuszne miał powody gniewu, a nawet rozpaczy, gdyż bitwa owa sprowadziła na jego głowę całą burzę szwedzką. Naprzód, zaraz po niej, poczęto tu i owdzie wycinać małe oddziały szwedzkie. Czynili to chłopci i pojedyncza szlachta na własną rękę, ale Szwedzi kładli to na karb Radziwiłła, zwłaszcza że oficer i żołnierze, po bitwie do Birż odesłani, zeznali przed komendantem, iż to radziwiłłowska chorągiew z jego rozkazu na nich uderzyła.

W tydzień przyszedł list do księcia od komendanta birżańskiego, a w dziesięć dni od samego Pontusa de la Gardie, głównodowodzącego wojskiem szwedzkim.

„Albo Wasza Książęca Mość sił i znaczenia nie masz – pisał ten ostatni – a w takim razie jak mogłeś układ w imieniu całego kraju zawierać! – albo chcesz podstępem o zgubę wojsko jego królewskiej mości przyprawić! Jeśli tak jest, łaska mojego pana odwraca się od W. Ks. Mości i kara rychło cię dosięgnie, jeśli skrucy i pokory nie okażesz i wierną służbą winy swojej nie zatrzesz...”

Radziwiłł wysłał natychmiast gońców z wyjaśnieniem, jak i co się stało, ale grot utkwiał w dumnej duszy i rana paląca poczęła się jątrzyć coraz srożej. On, którego słowo niedawno w posadach ten kraj, większy od całej Szwecji, wstrząsało; on, za którego połowę dóbr wszystkich panów szwedzkich kupić by można; on, który własnemu królowi stawiał czoło, monarchom sądził się być równym, zwycięstwami rozgłos w całym świecie sobie zjednał i w pysze własnej jak w słońcu chodził – musiał teraz słuchać gróźb jednego generała szwedzkiego, musiał słuchać lekcji pokory i wierności. Wprawdzie ów generał był szwagrem królewskim, ale kimże był sam ów król, jeżeli nie przywłaszczycielem tronu należącego się z prawa i krwi Janowi Kazimierzowi?

Przede wszystkim jednak wściekłość hetmańska zwróciła się przeciw tym, którzy owego upokorzenia byli powodem, i zaprzysiągł sobie zdeptać nogami pana Wołodyjowskiego, tych pułkowników, którzy przy nim byli, i całą chorągiew laudańską. W tym celu ruszył przeciw nim i jako bór otaczają myśliwi sieciami, aby gniazdo wilcze wyłowić, tak on otoczył ich i począł gnać bez wycieńczenia.

Tymczasem doszła wieść, że Kmicic zgniótł chorągiew Niewiarowskiego, towarzystwa rozprószył lub wyciął, pocztowych włączył do własnej chorągwi, więc hetman kazał mu odesłać sobie część sił, aby tym pewniej uderzyć.

„Ludzie ci – pisał hetman – o których życie tak natarczywie na nas nastawałeś, a głównie Wołodyjowski z onym drugim przybędą, wyrwali się w drodze do Birż. Posłaliśmy umyślnie z nimi najgłupszego oficera, aby go przekabacić nie mogli, ale i ten albo zdradził, albo go w pole wywieźli. Dziś Wołodyjowski ma pod sobą całą chorągiew laudańską i zbiegowie go podsycają. Szwedów sto dwadzieścia pod Klewanami w pień wycięli głosząc, że to z naszego rozkazu czynią, z czego wielkie powstały między nami a Pontusem dyfidencje. Całe dzieło może się popsować przez tych zdrajców, którym bez twojej protekcji kazalibyśmy, jako Bóg w niebie, szyje po– ucinać. Tak



to za klemencję pokutować nam przychodzi, choć mamy w Bogu nadzieję, że rychło pomsta ich dosięgnie. Doszły nas też wiadomości, że w Billewiczach, u miecznika rosieńskiego, szlachta się zbiera i przeciw nam praktyki czyni – trzeba temu zapobiec. Jazdę wszystką nam odeślesz, a piechotę do Kiejdan wyekspedujesz, aby zamku i miasta pilnowała, bo od tych zdrajców wszystkiego spodziewać się można. Sam udaj się w kilkadziesiąt koni do Billewicz i miecznika wraz z krewniaczką do Kiejdan przywieź. Teraz nie tylko tobie, ale nam na tym zależy, gdyż kto ma ich w ręku, ten ma całą laudańską okolicę, w której szlachta przeciw nam za przewodem Wołodyjowskiego burzyć się poczyna. Harasimowicza wysłaliśmy do Zabłudowa z instrukcjami, jak ma sobie z tamtymi konfederatami poczynać. Stryjeczny twój, Jakub, wielką ma między nimi powagę, do którego napisz, jeśli myślisz, że pismem coś z nim wskórać możesz.

Oznajmiając ci stateczną łaskę naszą, boskiej opiece cię polecamy.”

Kmicic przeczytawszy ów list kontent był w duszy, że pułkownikom udało się wymknąć z rąk szwedzkich, i życzył im po cichu, aby i z radziwiłłowskich wymknąć się mogli – jednakże spełnił wszystkie rozkazy książęce: jazdę odesłał, piechotę Kiejdany obsadził, a nawet szańczyki wedle zamku i miasta sypać począł obiecując sobie w duszy zaraz po ukończeniu tej roboty do Billewicz po pana miecznika i dziewczynę ruszyć.

– Przymusu nie użyję, chyba w ostateczności mówił sobie – a w żadnym razie nie będę na Oleńkę nastawał. Zresztą nie moja wola, tylko książęcy rozkaz! Nie przyjmie mnie ona wdzięcznie, wiem o tym, ale Bóg da, że się z czasem o moich intencjach przekona, jako że nie przeciw ojczyźnie, ale dla ratunku jej Radziwiłłowi służę.

Tak rozmyślając pracował gorliwie nad umocnieniem Kiejdan, które w przyszłości rezydencją jego Oleńki być miały.

Tymczasem pan Wołodyjowski umykał przed hetmanem, a hetman go gonił zaciekle. Było jednak panu Michałowi za ciasno, bo od Birż posunęły się ku południowi znaczne oddziały wojsk szwedzkich, wschód kraju zajęty był przez zastępy carskie, a na drodze do Kiejdan czyhał hetman.

Pan Zagłoba bardzo nierad był z takowego stanu rzeczy i coraz częściej zwracał się do pana Wołodyjowskiego z pytaniami:

– Panie Michale, na miłość boską, przebijam się czy nie przebijam?

– Tu o przebicciu się i mowy nie ma! – odpowiadał mały rycerz. – Wiesz waszmość, że mnie tchórzem nie podszyto i uderzę, na kogo chcesz, choćby na samego diabła... Ale hetmanowi nie zdzierzę, bo nie mnie się z nim równać!... Sameś rzekł, iż my okonie, a on szczuka. Uczynię, co w mojej mocy, aby się wymknąć, ale jeśli do bitwy przyjdzie, tedy mówię otwarcie, że on nas pobije.

– A potem kaze pośrutować i psom da. Dla Boga! w każde inne ręce, byle nie w radziwiłłowskie!... A czyby już w takim razie nie lepiej do pana Sapiehy nawrócić?

– Teraz już za późno, bo nam i hetmańskie wojska, i szwedzkie drogę zamykają.

– Diabeł mnie skusił, zem do Radziwiłła Skrzetuskich namówił! – desperował pan Zagłoba.

Lecz pan Michał nie tracił jeszcze nadziei, zwłaszcza że szlachta i chłopstwo nawet ostrzegało go o ruchach hetmańskich, wszystkie bowiem serca odwróciły się były od Radziwiłła. Wykręcał się więc pan Michał, jak umiał, a świetnie umiał, albowiem niemal od dziecinnych lat wezwyczał się do wojen z Tatarami i Kozakami. Sławnym go też uczyniły niegdyś w wojsku Jeremiego owe pochody przed czambuła mi, podjazdy, niespodziane napady, błyskawicowe zwroty, w których nad innymi oficerami celował.

Obecnie zamknięty między Upitą i Rogowem z jednej strony a Niewiażą z drugiej, kluczył na przestrzeni kilku mil unikając ciągle bitwy, męcząc radziwiłłowskie chorągwie, a nawet skubiąc je po trosze, jak wilk przez ogary ścigany, który nieraz w pobliżu strzelców się przemknie, a gdy psy zbyt blisko go nacierają, to się odwróci i błysnie białymi kłami.

Lecz gdy jazda Kmicicowa nadeszła, hetman zatkał nią najciaśniejsze szczeliny i sam pojechał pilnować, by dwa skrzydła niewodu zeszyły się ze sobą.

Było to pod Niewiażą.

Pułki Mielezki, Ganchofa i dwie chorągwie jazdy pod wodzą samego księcia utworzyły jakoby łuk, którego cięciwą była rzeka. Pan Wołodyjowski ze swoim pułkiem był w środku łuku. Miał wprawdzie przed sobą jedyną przeprawę, jaka wiodła przez bagnistą rzekę, ale właśnie z drugiej strony przeprawy stały dwa regimenty szkockie i dwieście radziwiłowski Kozaków oraz sześć polowych armatek wykierowanych w ten sposób, że nawet pojedynczy człowiek nie zdołałby się pod ich ogniem przeprawić na drugą stronę.

Wówczas łuk począł się zaciskać. Środek jego wiódł sam hetman.

Na szczęście dla pana Wołodyjowskiego noc i burza z deszczem ulewnym przerwały pochód, ale za to uwięzionym nie pozostawało już więcej nad parę staj kwadratowych łąki zarośniętej łoziną, między półpierzścieniem wojsk radziwiłowskich a rzeką pilnowaną z drugiej strony przez Szkotów.

Nazajutrz ledwie brzask ranny ubielił wierzchy łóz, pułki ruszyły dalej i szły – doszły aż do rzeki i stanęły nieme z podziwu.

Pan Wołodyjowski w ziemię się zapadł – w łozinie nie było żywego ducha.

Sam hetman zdumiał się, a potem prawdziwe gromy spadły na głowy oficerów dowodzących pułkami pilnującymi przeprawy. I znów atak astmy uchwycił księcia, tak silny, że obecni drżeli o jego życie. Ale gniew astmę nawet przemógł. Dwóch oficerów, którym czaty nad brzegiem były powierzone, miało być rozstrzelanych, lecz Ganchof uprosił wreszcie księcia, by przynajmniej zbadać pierwej, jakim sposobem zwierzył z matni ujęć zdołał.

Jakoż pokazało się, że Wołodyjowski korzystając z ciemności i dżdżu wprowadził z łozy całą chorągiew w rzekę i płynąc lub brodząc z jej biegiem, prześliznął się tuż koło prawego skrzydła radziwiłowskiego, które dotykało koryta. Kilka koni, zapadłych po brzuchy w błota, wskazywało miejsce, w którym wylądował na prawy brzeg.

Z dalszych tropów łatwo było dojść, że ruszał całym tchem końskim w stronę, Kiejdan. Hetman odgadł natychmiast z tego, że pragnął przebrać się do Horotkiewicza i Jakuba Kmicica na Podlasie.

Lecz czy przechodząc koło Kiejdan nie podpali miasta lub nie pokusi się o rabunek zamku?

Straszna obawa ścisnęła serce księcia. Większa część gotowizny jego i kosztowności była w Kiejdanach. Kmicic powinien był wprawdzie ubezpieczyć je piechotą, ale jeśli tego nie uczynił, nieobronny zamek łatwo stać się mógł łupem zuchwałego pułkownika. Bo Radziwiłł nie wątpił, iż odwagi nie zbraknie Wołodyjowskiemu, by targnąć się na samą rezydencję kiejdańską. Mogło mu nie zabraknąć i czasu, gdyż wymknąwszy się z początku nocy, zostawił pogoń najmniej o sześć godzin drogi za sobą.

W każdym razie należało spieszyć co tchu na ratunek Kiejdanom. Książę zostawił piechotę i ruszył z całą jazdą.

Przybywszy do Kiejdan Kmicica nie znalazł, lecz zastał wszystko w spokoju i opinia, jaką miał o sprawności młodego pułkownika, wzrosła podwójnie w jego umyśle na widok usypanych szańców i stojących na nich dział polowych. Tego samego dnia jeszcze oglądał je razem z Ganchofem, a wieczorem rzekł, doń:

– Na własny to domysł zrobił, bez mojego rozkazu, a tak dobrze je usypał, że długo by tu się nawet przeciw artylerii bronić można. Jeśli ten człowiek nie skręci karku za młodu, to może pójść wysoko.

Był i drugi człowiek, na wspomnienie którego nie mógł się oprzeć hetman pewnego rodzaju podziwowi, ale podziw ów mieszał się z wściekłością, gdyż człowiekiem owym był pan Michał Wołodyjowski.

– Prędko bym z buntem skończył – mówił do Ganchofa – gdybym miał dwóch takich sług... Kmicic może jeszcze rzutniejszy, ale nie ma tego doświadczenia – i tamten w szkole Jeremiego za Dnieprem wychowany.

– Wasza książęca mość nie każe go ścigać? – pytał Ganchof.

Książę spojrział nań i rzekł z przyciskiem:

– Ciebie pobije, przede mną ucieknie.

Po chwili jednak zmarszczył czoło i rzekł:

– Tu teraz wszystko spokojnie, ale trzeba nam będzie na Podlasiu wkrótce ruszyć, z tamtymi skończyć.

– Wasza książęca mość! – rzekł Ganchof – jak tylko nogą stąd ruszymy, wszyscy tu za broń przeciw Szwedom pochwycą.

– Jacy wszyscy?

– Szlachta i chłopstwo. A zarazem, nie poprzestając na Szwedach, przeciwko dysydemtom się zwrócą, naszym bowiem wyznawcom całą winę tej wojny przypisują, żeśmy to do nieprzyjaciela przeszli, a nawet go sprowadzili.

– Idzie mi o brata Bogusława. Nie wiem, czy sobie tam, na Podlasiu, z konfederatami da radę.

– Idzie o Litwę, by ją w posłuszeństwie nam i królowi szwedzkiemu utrzymać.

Książę począł chodzić po komnacie mówiąc:

– Gdyby Horotkiewicza i Jakuba Kmicica jakim sposobem dostać w ręce!... Dobra mi tam zajądą, zniszczą, zrabują, kamienia na kamieniu nie zostawią.

Chybaby się z generałem Pontusem porozumieć, by tu wojska na ten czas, gdy my będziemy na Podlasiu, jak najwięcej przysłał.

– Z Pontusem... nigdy! – odrzekł Radziwiłł, któremu fala krwi napłynęła do głowy. – Jeżeli z kim, to z samym królem. Nie potrzebuję ze sługami traktować, mogąc z panem. Gdyby król dał rozkaz Pontusowi, aby mi ze dwa tysiące jazdy przysłał pod rękę, to co innego... Ale Pontusa nie będę o to prosił. Trzeba by kogo wysłać do króla, czas z nim samym układy zacząć.

Chuda twarz Ganchofa zarumieniała się z lekka, a oczy zaświeciły mu się z żądz.

– Gdyby wasza książęca mość rozkazała...

– To ty byś pojechał, wiem; ale czybyś dojechał, to inna rzecz. Waść jesteś Niemiec, a obcemu niebezpiecznie zapuszczać się w kraj wzburzony. Kto tam wie, gdzie król osobą swoją w tej chwili się znajduje i gdzie się będzie za pół miesiąca lub za miesiąc znajdował? Trzeba po całym kraju jeździć... Przy tym... nie może być!... waść nie pojedziesz, bo tam wypada swojego posłać i familianta, aby się król jegomość przekonał, że nie wszystka szlachta mnie opuściła.

– Człowiek niedoświadczony siłą może zaszkodzić – rzekł nieśmiało Ganchof.

– Tam poseł nie będzie miał innej roboty, jeno listy moje oddać i respons mi przywieźć, a to wytłumaczyć, że nie ja kazałem bić Szwedów pod Klewanami, każdy potrafi.

Ganchof milczał.

Książę znów począł chodzić niespokojnymi krokami po komnacie i na czole jego znać było ciągłą walkę myśli. .jakoż od chwili układu ze Szwedami nie zażnał chwili spokoju. Żarła go pycha, gryzło sumienie, gryzł opór niespodziany kraju i wojska; przerażała go niepewność przyszłości, groźba ruiny. Targał się, szarpał, noce spędzał bezsennie, zapadał na zdro– wiu. Oczy mu wpadły, wychudł; twarz, dawniej czerwona, stała się sinawa, a z każdą niemal godziną przybywało mu srebrnych nici w wąsach i czuprynie. Słowem, żył w męce i giął się pod brzemieniem.

Ganchof śledził go oczyma, chodzącego wciąż po komnacie; miał jeszcze trochę nadziei, że książę namyśli się i jego wyśle.

Ale książę zatrzymał się nagle i uderzył dłonią w czoło.

– Dwie chorągwie jazdy na koń natychmiast! Ja sam poprowadzę.

Ganchof spojrzał nań ze zdziwieniem.

– Ekspedycja? – pytał mimo woli.

– Ruszaj! – rzekł książę. – Daj Bóg, by nie było za późno.

## ROZDZIAŁ XX

Kmicic ukończywszy szańczyki i ubezpieczywszy od niespodziewanego napadu Kiejdany nie mógł już dłużej odkładać wyprawy do Billewicz po pana miecznika rosieńskiego i Oleńkę, zwłaszcza że i rozkaz książęcy brzmiał wyraźnie, aby ich do Kiejdan sprowadzić. Ale niesporo jednak było panu Andrzejowi, i gdy wreszcie wyruszył na czele pięćdziesięciu dragonów, ogarnął go taki niepokój, jakby na straconą strażę jechał. Czuł, że tam nie będzie wdzięcznie przyjęty, a drżał przed myślą, że szlachcic może się zechce opierać nawet i zbrojną ręką i że w takim razie trzeba będzie użyć siły.

Postanowił jednak pierwiej namawiać i prosić. W tym celu, aby przybyciu swemu odjąć wszelkie pozory zbrojnego napadu, pozostawił dragonów w karczmie odległej z pół staj od wsi, a dwie od dworu; sam zaś z wachmistrzem tylko i jednym pachołkiem ruszył naprzód, przykazawszy umyślnie przygowanej kolasce nadjechać wkrótce za sobą.

Godzina była popołudniowa i słońce chyliło się już dobrze ku zachodowi, ale po nocy dżdżystej i burzliwej dzień był piękny i niebo czyste, gdzieniegdzie tylko upstrzone na zachodniej stronie małymi różowymi obłokami, które zasuwają się z wolna za widnokrąg, podobne do stada owiec schodzącego z pola. Kmicic jechał przez wieś z bijącym sercem i tak niespokojnie jak Tatar, który wjeżdżając pierwszy przed czambułem do wsi, rozgląda się na wszystkie strony, czy nie ujrzy gdzie mężów zbrojnych, ukrytych w zasadace. Ale trzech jeźdźców nie zwróciło niczyjej uwagi, jeno dzieciaki chłopskie umykały z drogi bosymi nogami przed końmi; chłopci zaś widząc pięknego oficera kłaniali mu się czapkami do ziemi. On zaś jechał naprzód i minawszy wieś ujrzał przed sobą dwór, stare gniazdo billewiczowskie, a za nim rozległe sady kończące się hen, aż na niskich łąkach.

Kmicic zwolnił jeszcze kroku i począł rozmawiać sam ze sobą; widocznie układał sobie odpowiedzi na pytania, a tymczasem poglądał zamyślnym okiem na wznoszące się przed nim budowle. Nie była to wcale pańska rezydencja, ale na pierwszy rzut oka odgadłeś, iż musiał tu mieszkać szlachcic więcej niż średniej fortuny. Sam dom, zwrócony tyłem do ogrodów, a przodem do głównej drogi, był ogromny, ale drewniany. Sosny na ścianach pociemniały ze starości tak, iż szyby w oknach wydawały się przy nich białe. Nad zrębem ścian piętrzył się olbrzymi dach z czterema dymnikami w pośrodku i dwoma gołębnikami po rogach. Całe chmury białych gołębi kłębiły się nad dachem, to zrywając się z łopotaniem skrzydeł, to spadając na kształt śnieżnych płatków na czarne gonty, to trzepocząc się naokoło słupów podpierających ganek.

Ganek ów, ozdobiony szczytem, na którym herby billewiczowskie były malowane, psuł proporcję, bo nie stał w pośrodku, ale z boku. Widocznie dawniej dom był mniejszy, ale później dobudowano go z jednej strony, lubo i część dobudowana szerniała już tak z biegiem lat, że nie różniła się niczym od starej. Dwie oficyny, niezmiernie długie, wznosiły się po obu stronach właściwego dworu, stykając się z nim bokami i tworząc jakby dwa ramiona podkowy.

Były w nich gościnne pokoje, używane w chwilach wielkich zjazdów, kuchnie, lamusy, wozownie, stajnie dla cugowych koni, które gospodarze lubili mieć pod ręką, mieszkania dla oficjalistów, służby i dworskich kozaków.

Na środku rozległego dziedzińca rosły stare lipy, na nich gniazda bocianie; niżej, wśród drzew, niedźwiedź siedzący na kole. Dwie studnie żurawiane po bokach dziedzińca i krzyż z Męką Pańską, wśród dwóch włóczni u wjazdu, dopełniały obrazu owej rezydencji zamożnego rodu szlacheckiego. Po prawej stronie domu, wśród gęstych lip, wznosiły się słomiane dachy stodół, obór, owczarni i spichrzów.

Kmicic wjechał bramą otwartą na obiedwie połowy, jak ramiona szlachcica czekającego na przyjęcie gościa. Jakoż wnet psy legawe, włóczące się po podwórzu, oznajmiły obcego i z oficyny wypadło dwóch pachołków dla potrzymania koni.

Jednocześnie we drzwiach głównego domu pokazała się jakaś postać niewieścia, w której w jednej chwili Kmicic poznał Oleńkę. Więc serce zabiło mu żywiej i rzuciwszy pachołkowi lejce szedł do ganku z gołą głową, trzymając w jednej ręce szablę, w drugiej czapkę.

Ona stała przez chwilę jak wdzięczne zjawisko, przysłoniwszy oczy dłonią przeciw zachodzącemu słońcu, i nagle znikła, jak gdyby przerażona widokiem zbliżającego się gościa.

„Źle! – pomyślał pan Andrzej – chowa się przede mną!

Uczyliło mu się przykro, i tym przykrzej, że poprzednio ów pogodny zachód słońca, widok tego dworu i spokoju, jaki rozlany był dokoła, napelniły jego serce otuchą, choć może pan Andrzej sam sobie z tego sprawy nie zdawał.

Miał oto jakoby złudzenie, że zajeżdża do narzeczonej, która przyjmie go z błyszczącymi od radości oczyma i rumieńcami na jagodach.

I złudzenie rozwiało się. Zaledwie go ujrzała, pierzchła jak na widok złego ducha, natomiast wyszedł naprzeciw pan miecznik, z twarzą niespokojną i chmurną zarazem.

Kmicic pokłonił mu się i rzekł:

– Dawno chciałem waszmości dobrodziejowi złożyć służby powinne, ale wcześniej w tych niespokojnych czasach nie mogłem, chociaż pewnie na chęci mi nie brakło.

– Wielcem waszmości wdzięczny i proszę do komnat – odpowiedział pan miecznik gładząc czuba na głowie, co zwykł był czynić, gdy był zmieszany lub siebie niepewien.

I usunął się ode drzwi, ażeby gościa puścić naprzód.

Kmicic zaś przez chwilę nie chciał wejść pierwszy, i kłaniali się sobie wzajem w progu; wreszcie pan Andrzej wziął krok przed miecznikiem i po chwili znaleźli się w komnacie.

Zastali tam dwóch szlachty: jeden, człek w sile wieku, był pan Dowgird z Plemborga, bliski sąsiad Billewiczów, drugi – pan Chudzyński, dzierżawca z Ejragoły. Kmicic zauważył, że ledwie usłyszeli jego nazwisko, gdy twarze im się zmieniły i najeżyli się obaj jako brytany na widok wilka; on zaś spojrział na nich wyzywająco, po czym postanowił sobie udawać, że ich nie widzi.

Nastalo kłopotliwe milczenie.

Pan Andrzej poczynął się niecierpliwie i wąsy gryzł, goście spoglądali wciąż na niego spode łba, a pan miecznik czub gładził.

– Napijesz się waszmość z nami szklaneczkę ubogiego, szlacheckiego miodu – rzekł wreszcie, ukazując na gašiorek i szklanki. – Proszę! Proszę!...

– Napiję się z waszmość panem! – rzekł dość szorstko Kmicic.

Pan Dowgird i Chudzyński poczeli sapać biorąc odpowiedź za pogardę dla siebie, ale nie chcieli w przyjacielskim domu kłótni zaraz od początku za– czynać i to jeszcze z zawadiaką mającym straszną stawę na całej Żmudzi. Jednakże jątrzyło ich to lekceważenie.

Tymczasem pan miecznik zaklaskał w dłonie na pachołka i kazał mu podać czwartą szklenicę, następnie nalał ją, podniósł swoją do ust i rzekł:

– W ręce waszmości... Rad waćpana widzę w domu moim.

– Rad bym szczerze, by tak było!

– Gość gościem... – odrzekł sentencjonalnie pan miecznik.

Po chwili, poczuwając się widocznie jako gospodarz do obowiązku podtrzymania rozmowy, spytał:

– A co słyhać w Kiejdanach? Jakże zdrowie pana hetmana?

– Nietęgie, panie mieczniku dobrodziej – odpo– wiedział Kmicic – i w tych niespokojnych czasach nie może inaczej być... Siła zmartwień i zgryzot ma książę.

– A wierzym! – rzekł pan Chudzyński.

Kmicic popatrzył na niego przez chwilę, po czym zwrócił się znów do miecznika i tak dalej mówił:

– Książę, mając *auxilia* przyrzeczone od najjaśniejszego króla szwedzkiego, spodziewał się nie mieszkając na nieprzyjaciela pod Wilno ruszyć i popioły tamtejsze jeszcze nie ostygłe pomścić.

Toż waszmości musi być wiadomo, że dziś Wilna w Wilnie trzeba szukać, bo się siedemnaście dni paliło. Powiadają, że wśród gruzów jeno jamy piwnic czernieją, z których ciągle się jeszcze dymi...

– Nieszczęście! – rzekł pan miecznik.

– Pewnie, że nieszczęście, któremu jeśli nie było można zapobiec, to należało je pomścić i podobne ruiny z nieprzyjacielskiej stolicy uczynić. Jakoż nie byłoby już od tego daleko, gdyby nie warchołowie, którzy najzacniejsze cnotliwego pana intencje podejrzewają, zdrajcą go ogłosili i opór zbrojny mu stawiają, zamiast iść z nim razem na nieprzyjaciela. Nie dziwić się przeto, że zdrowie księcia szwankuje, gdy on, którego Bóg do wielkich rzeczy przeznaczył, widzi, iż złość ludzka coraz nowe impedimenta mu gotuje, przez które całe przedsięwzięcie szesznąć może. Najlepsi przyjaciele księcia zawiedli, ci, na których najwięcej liczył, opuścili go lub do wrogów jego przeszli.

– Tak się stało! – rzekł poważnie pan miecznik. – Wielka też to jest boleść – odparł Kmicic i sam słyszałem księcia, gdy mówił: „Wiem, że i zacni źle mnie sądzą, ale czemu to do Kiejdan nie przyjadą, czemu do oczu nie wypowiedzą mi, co przeciw mnie mają, i moich racji nie chcą wysłuchać?”

– Kogoż to księżę ma na myśli? – pytał pan miecznik.

– W pierwszym rzędzie waszmość pana dobrodzieja, dla którego księżę rzetelny ma szacunek, a podejrzywa, że do jego nieprzyjaciół się liczysz...

Pan miecznik począł szybko gładzić czuprynę, wreszcie widząc, że rozmowa bierze niepożądaną kierunek, zakłaskał w dłonie.

Pachołek ukazał się we drzwiach.

– A to nie widzisz, że się mroczy?... Światła! – zakrzyknął pan miecznik.

– Bóg widzi – mówił Kmicic – że miałem i sam intencję powinno służby waszmości złożyć, ale przybyłem zarazem i z rozkazu księcia, który sam by się do Billewicz wybrał, gdyby pora była sposobniejsza...

– Za niskie progi! – rzekł miecznik.

– Tego waszmość pan nie mów, gdyż zwyczajna to, rzecz, że się sąsiedzi odwiedzają, jeno księżę chwili wolnej nie ma, więc tak mi rzekł: „Wytłumacz mnie przed Billewiczem, że sam do niego nie mogę, ale niech on do mnie przyjeżdża z krewną, i to koniecznie zaraz, bo jutro lub pojutrze nie wiem, gdzie będę!” Ot, masz waszmość, z zaprosinami przyjeżdżam i cieszę się, żeście oboje państwo w dobrym zdrowiu, bo gdym tu zajechał, pannę Aleksandrę we drzwiach widziałem, jeno że znikła zaraz jako tuman na łące.

– Tak jest – rzekł miecznik – sam ją wysłałem by wyjrzała, kto przyjechał.

– Czekam na odpowiedź, panie mieczniku dobrodzieju! – rzekł Kmicic.

W tej chwili pacholek wniósł światło i postawił je na stole; przy blasku świec widać było twarz pana miecznika zmieszana bardzo.

– Zaszczyt to dla mnie niemały – rzekł – ale... zaraz nie mogę... Widzisz waszmość, że mam gości... Zechciej mnie przed księciem hetmanem wyeksकुzować...

– Już też, panie mieczniku, zgoła to nie przeszkoda, bo przecież ichmościowie księciu panu ustąpią.

– Sami mamy języki w gębie i możemy za siebie odpowiadać! – rzekł pan Chudzyński.

– Nie czekając, co kto o nas postanowi! – dodał pan Dowgird z Plemborga.

– Widzisz, panie mieczniku – odrzekł Kmicic udając, że bierze za dobrą monetę burkliwe słowa szlachty – wiedziałem, że polityczni to kawalerowie. Zresztą, by im w czym nie ubliżyć, proszę ich także w imieniu księcia do Kiejdan.

– Zbytek łaski! – odrzekli obaj – mamy co innego do roboty.

Kmicic spojrział na nich szczególnym wzrokiem, a potem rzekł zimno, jak gdyby do czwartej jakiejś osoby:

– Gdy księżę prosi, nie wolno odmawiać! Na to tamci podnieśli się z krzesel.

– Więc to przymus? – rzekł pan miecznik.

– Panie mieczniku dobrodzieju – odparł żywo Kmicic. – Tamci ichmościowie pojadą, czy chcą, czy nie chcą, bo mnie się tak spodobało, ale względem waszmości nie chcę siły używać i proszę najuprzejmiej, byś woli księcia zadość uczynić raczył. Ja jestem na służbie i mam rozkaz waćpana przywieźć, ale póki nie stracę nadziei, że prośbą coś wskóram, póty prosić nie przestanę... i na to waszmości przysięgam, że włos ci tam z głowy nie spadnie. Książę chce się rozmówić z tobą i chce, abyś w tych czasach niespokojnych, w których nawet chłopstwo w kupy zbrojne się zbiera i rabuje, w Kiejdanach zamieszkał. Ot, cała rzecz! Będiesz tam waćpan traktowany z należyтым szacunkiem, jako gość i przyjaciel, dając na to parol kawalerski.

– Jako szlachcic protestuję! – rzekł pan miecznik – i prawo mnie broni!

– I szable! – zakrzyknęli Chudzyński i Dowgird.

Kmicic począł się śmiać, zmarszczył brwi i rzekł:

– Waćpanowie, schowajcie te szable, bo każę obydwóch pod stodołą postawić i kulą w łeb!

Na to struchleli tamci i poczęli spoglądać na siebie i na Kmicica, a pan miecznik zakrzyknął:

– Gwałt najokropniejszy przeciw wolności szlacheckiej, przeciw przywilejom!

– Nie będzie gwałtu, jeżeli waszmość dobrowolnie usłuchasz – odparł Kmicic – i masz waszmość w tym dowód, że dragonów we wsi zostawił, a przybyłem tu sam prosić cię jako sąsiada do sąsiada. Nie chciejże odmawiać, bo czasy teraz takie, że trudno mieć wzgląd na odmowę. Sam książę waszmości się z tego wyekskuje, i bądź pewien, że przyjęty będziesz jak sąsiad i przyjaciel. Zrozum i to, że gdyby miało być inaczej, tedy wolałbym sto razy dostać kulą w łeb niż tu po waćpana przyjeżdżać. Włos nie spadnie z żadnej billewiczowskiej głowy, pókim żyw! Pomyśl waćpan, ktom jest, wspomnij na pana Herakliusza, na jego testament i zastanów się, czyby książę hetman mnie wybrał, gdyby nieszczerze z waszmością zamierzał postąpić.

– To czemu gwałtu używa, czemu pod przymusem mam jechać?... Jakże to mam mu zaufać, gdy cała Litwa mówi o opresji, w jakiej obywatele zacni w Kiejdanach jęczą?

Kmicic odetchnął, bo ze słów i głosu poznał, że pan miecznik poczyna się chwiać w uporze.

– Mości dobrodzieju! – rzekł prawie wesóło. Między sąsiadami przymus częstokroć w afektach initium bierze. A gdy waszmość miłemu gościowi koła u skarbniczka każesz zdejmować i wasąg w spichrzu zamykasz, zali to nie przymus? A gdy mu pić każesz, choć mu już nosem wino ucieka, zali to nie przymus? A tu wiedz waszmość, że choćby mi przyszło cię związać i między dragonami związanego wieźć do Kiejdan, to jeszcze będzie dla twego dobra... Pomyśl jeno: zbuntowani żołnierze się włóczą i bezprawia czynią, chłopstwo się kupi, szwedzkie wojska się zbliżają, a waść mniemasz, że w tym ukropie uchronisz się od przygody, że cię dziś lub jutro jedni albo drudzy nie zajadą, nie zrabują, nie spalą, na majątności i na osobę waścina się nie targną?... A cóż to, Billewicza forteca? Obronisz się w nich? Czego tedy książę chce dla waszmości? Bezpieczeństwa, bo w jednych Kiejdanach nic ci nie grozi, a tu stanie załoga książęca, która będzie substancji waścinej strzegła jako oka w głowie od wszelkiej swawoli żołnierskiej, i jeżeli jedne widły zginą, to mi waść zasekwestruj całą fortunę.

Miecznik począł chodzić po komnacie.

– Mogęż ja ufać słowu waszmości?

– Jako Zawiszy! – odparł Kmicic.

W tej chwili panna Aleksandra weszła do komnaty. Kmicic zbliżył się szybko ku niej; lecz nagle wspomniął, co zaszło w Kiejdanach, i jej twarz zimna przykuła go na miejscu, więc skłonił się w milczeniu z daleka.

Miecznik stanął przed nią.

– Mamy jechać do Kiejdan! – rzekł.

– A to po co? – spytała.

– Bo książę hetman prosi...

– Bardzo uprzejmie!... po sąsiedzku!... – dodał Kmicic.

– Tak! bardzo uprzejmie – rzekł z pewną goryczą pan miecznik – ale jeżeli nie pojedziem dobrowolnie, to ten kawaler ma rozkaz dragonami nas otoczyć i siłą wziąć.

– Niechże Bóg broni, aby do tego przyszło! – rzekł Kmicic,  
– Nie mówiłamże stryjowi – rzekła panna Aleksandra – uciekajmy jak najdalej, bo nas tu nie zostawią w spokoju... Ot, i sprawdziło się!  
– Cóż robić? cóż robić? na gwałt nie masz lekarstwa! – zawołał miecznik.  
– Tak jest – rzekła panna – ale my do tego haniebnego domu nie powinniśmy dobrowolnie jechać. Niechże fas zbójcy biorą, wiążą i wiozą... Nie my jedni będziemy cierpieć prześladowanie, nie nas jednych pomsta zdrajców dosięgnie; ale niech wiedzą, że wolimy śmierć niż hańbę.  
Tu zwróciła się z wyrazem najwyższej pogardy do Kmicica.  
– Zwiąże nas, panie oficerze czy panie kacie, i przy koniach poprowadź, bo inaczej nie pojedziem! Krew uderzyła do twarzy Kmicica; zdawało się przez chwilę, że wybuchnie straszliwym gniewem, lecz się przemógł.  
– Ach! mościa panno! – odrzekł stłumionym ze wzruszenia głosem – nie mam w twych oczach łaski, skoro chcesz ze mnie uczynić zbója, zdrajcę i gwałtownika. Niech nas Bóg sędzi, kto ma słuszość: czy ja hetmanowi służąc, czy ty jak psa mnie poniewierając. Bóg ci dał urodę, ale serce zawzięte i nieubłagane. Radaś sama przycierpieć, by komuś większą jeszcze boleść sprawić. Przebierasz miarę, panno, jako żywo; przebierasz miarę, a to nic po tym!  
– Dobrze dziewczka mówi! – zakrzyknął pan miecznik, któremu nagle odwagi przybyło – nie pojedziem dobrowolnie!... Bierz nas waść dragonami.  
Lecz Kmicic nie uważał na niego wcale, tak był wzburzony i głęboko dotknięty.  
– Kochasz się w ludzkiej męce – mówił dalej do Oleńki – i zdrajcą mnie zakrzyknęłaś bez sądu, racyj nie wysłuchawszy, nie pozwoliwszy mi słowa na własną obronę powiedzieć. Niech i tak będzie!... Ale do Kiejdan pojedziesz... z wolą, bez woli, wszystko jedno! Tam moje intencje na jaw wyjdą, tam poznasz, czyliś mnie słusnie skrzywdziła, tam ci sumienie powie, kto z nas czym był katem! Innej pomsty nie chcę. Bóg z tobą, ale takową muszę mieć. I niczego więcej już od cię nie chcę, bo gięłaś łuk, pókiś go nie złamała... Waż pod twoją gładkością jako pod kwieciami siedzi! Bogdaj cię! bogdaj cię!  
– Nie pojedziemy! – powtórzył jeszcze rezolutniej pan miecznik.  
– Jako żywo! – zakrzyknęli panowie Chudzyński z Ejragoły i Dowgird z Plemborga.  
Wówczas Kmicic zwrócił się ku nim, ale już bardzo był blady, bo go gniew dławił i zęby szczękały mu jak w febrze.  
– Ejże! – mówił – ejże, nie próbujcie!... Konie słyhać, moi dragoni jada! Powiedz no który jeszcze słowo, że nie pojedziesz!  
Istotnie, za oknem słyhać było tętent licznych jeźdźców. Ujrzeni wszyscy, że nie ma rady, a Kmicic rzekł:  
– Panno! za dwa pacierze masz być w kolasce, inaczej stryjaszek kulą w łeb dostanie!  
I widać, coraz bardziej ogarniał go dziki szał gniewu, bo nagle krzyknął, aż szyby zadrżały w oknach:  
– W drogę!  
Lecz jednocześnie drzwi do sieni otworzyły się cicho i jakiś obcy głos spytał:  
– A dokąd to, panie kawalerze?  
Wszyscy skamieniali z podziwu i wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom, w których stał jakiś mały człowieczek w pancerzu i z gołą szablą w dłoni.  
Kmicic cofnął się krokiem, jakoby widmo zobaczył.  
– Pan... Wołodyjowski! – zakrzyknął.  
– Do usług! – odparł mały człowieczek.  
I posunął się na środek izby; za nim weszli hurmem: Mirski, Zagłoba, dwaj Skrzetuscy, Stankiewicz, Oskierko i pan Roch Kowalski.  
.– Ha – rzekł Zagłoba – złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.  
Miecznik rosieński począł mówić:



– Ktokolwiek jesteście, rycerze, ratujcie obywatela, którego wbrew prawu, urodzeniu, urzędowi chcą aresztować i więzić. Ratujcie, mości panowie bracia, wolność szlachecką!

– Nie bój się waść! – odparł Wołodyjowski – już dragoni tego kawalera w łykach, a ratunku on więcej teraz od waćpana potrzebuje.

– A najwięcej księdza! – rzekł pan Zagłoba.

– Panie kawalerze – mówił Wołodyjowski zwracając się do Kmicica – nie masz do mnie szczęścia, bo ci drugi raz drogę zachodzę... Nie spodziewałeś się mnie?

– Tak jest – rzekł Kmicic – myślałem, żeś waść w rękę księcia.

– Właściem z tych rąk się wyśliznął... a to wiesz, że na Podlasie tędy droga... Ale mniejsza z tym. Gdyś pierwszy raz tę pannę porwał, wyzwiałem cię na szable... prawda?

– Tak jest – rzekł Kmicic sięgając mimo woli dłonią do głowy.

– Teraz inna sprawa. Wówczas byłeś zabijaką, co się między szlachtą zwykle trafia i ostatniej hańby nie przynosi... Dziś jużes niegodzien, aby ci uczciwy człowiek pole dawał.

– A to czemu? – rzekł Kmicic.

I podniósł dumną głowę do góry, i począł patrzeć panu Wołodyjowskiemu prosto w oczy.

– Boś zdrajca i renegat – odparł pan Wołodyjowski – boś żołnierzków zacnych, którzy się przy ojczyźnie oponowali, jako kat wycinał, bo waszym to dziełem ta nieszczęsna kraina pod nowym jarzmem jęczy!..” Krótko mówiąc: obieraj śmierć, gdyż jako Bóg w niebie, twoja ostatnia godzina nadeszła.

– Jakim to prawem chcecie mnie sądzić i egzekwować? – pytał Kmicic.

– Mości panie – odpowiedział poważnie Zagłoba – pacierz mów, zamiast nas o prawo pytać... A jeśli masz co powiedzieć na swoją obronę, to mów prędko, bo żywej jednej duszy nie znajdziesz, która by się za tobą ujęła. Raz cię już, słyszałem, ta panna tu obecna wyprosiła z rąk pana Wołodyjowskiego, ale po tym, coś teraz uczynił, pewnie i ona nie ujmie się za tobą.

Tu oczy wszystkich zwróciły się mimo woli na Billewiczównę, której twarz była w tej chwili jakby z kamienia wykuta. I stała nieruchomie, ze spuszczoneymi powiekami, lodowata, zimna, ale nie postąpiła kroku naprzód, nie rzekła ni słowa.

Ciszę przerwał głos Kmicica:

– Ja tej panny o instancję nie proszę!

Panna Aleksandra milczała.

– Bywaj! – krzyknął Wołodyjowski zwróciwszy się ku drzwiom.

Rozległy się ciężkie stapania, którym wtórował ponuro brzęk ostróg, i sześciu żołnierzy, z Józwą Butrymem na czele, weszło do komnaty.

– Wziąć go – zakomenderował Wołodyjowski wyprowadzić za wieś i kulą w łeb!

Ciężka ręka Butryma spoczęła na kołnierzu Kmicica, za nią dwie inne uczyniły toż samo.

– Nie pozwól mnie szarpać jak psa! – rzekł do Wołodyjowskiego pan Andrzej – sam pójdę.

Mały rycerz skinął na żołnierzy, którzy puścili go natychmiast, ale otoczyli dokoła; on też wyszedł spokojnie, nic już do nikogo nie mówiąc, jeno pacierz cicho szepcząc.

Panna Aleksandra wysunęła się także przeciwnymi drzwiami do dalszych komnat. Przeszła jedną i drugą, wyciągając przed sobą w ciemnościach ręce; nagle w głowie jej się zakręciło, w pierśsiach tchu zbrakło i padła jak martwa na podłogę.

A między zgromadzonymi w pierwszej izbie głucho przez czas jakiś panowało milczenie; prze-rwał je na koniec miecznik rosieński:

– Zali już nie ma dla niego miłosierdzia? – spytał.

– Żal mi go – odparł Zagłoba – bo rezolutnie szedł na śmierć!

Na to Mirski:

– On kilkunastu towarzystwa spod mojej chorągwi rozstrzelał, prócz tych, których wstępny bojem położył.

– I z mojej! – rzekł Stankiewicz. – A Niewiarowskiego ludzi w pień podobno wyciął.

– Musiał mieć rozkazy Radziwiłła – rzekł pan Zagłoba.

– Mości panowie, pomstę Radziwiłła na moją głowę ściągniecie! – zauważył miecznik.  
– Waszmość musisz uciekać. My jedziem na Podlasie, bo tam się chorągwie przeciw zdrajcom podniosły, a waćpaństwo zabierajcie się zaraz z nami. Nie ma innej rady. Możecie się do Białowieży schronić, gdzie krewny pana Skrzetuskiego, łowczy dworski, przesiaduje. Tam was nikt nie znajdzie.

– Ale substancja moja przepadnie.

– To Rzeczpospolita waćpanu wróci.

– Panie Michale – rzekł nagle Zagłoba – skoczę obaczyć, czy nie ma przy tym nieszczęśniku jakich rozkazów hetmańskich? Pamiętacie, com przy Rochu Kowalskim znalazł?

– Siadaj waść na koń. Jeszcze czas, bo później się papiery okrwawią. Kazałem go umyślnie za wieś wyprowadzić, by się tu panna huku muszkietów nie przelękała, jako że niewiasty bywają czule i płochliwe.

Zagłoba wyszedł i po chwili rozległ się tętent konia, na którym odjeżdżał, zaś pan Wołodyjowski zwrócił się do miecznika:

– A co robi krewna waćpana?

– Modli się pewnie za tę duszę, która przed sąd boski idzie...

– Niech mu Bóg da wieczne odpocznienie! – rzekł Jan Skrzetuski. – Gdyby nie dobrowolna jego przy Radziwille służba, pierwszy bym za nim przemówił, aleć on, jeśli nie chciał przy ojczyźnie stanąć, to przynajmniej mógł duszy Radziwiłłowi nie zaprzedać.

– Tak jest! – rzekł Wołodyjowski.

– Winien on i zasłużył na to, co go spotkało! rzekł Stanisław Skrzetuski – ale wolałbym, żeby na jego miejscu był Radziwiłł albo Opaliński!... och, Opaliński! !

– Jak dalece winien, to w tym macie waćpanowie najlepszy dowód – wtrącił Oskierko – że ta panna, której był narzeczonym, słowa dla niego nie znalazła. Uważałem ci ją dobrze, iż w męce była, ale milczała, bo jak tu za zdrajcą się ujmować?!

– A miłowała go niegdyś szczerze, wiem o tym! rzekł miecznik. – Pozwólcie waćpaństwo, że pójdę obaczyć, co się tam z nią dzieje, boć to dla niewiasty ciężki termin.

– A szykuj się waćpan do drogi! – zawołał mały rycerz – bo my, jeno koniom wytchniemy, ruszamy dalej. Za blisko tu Kiejdany, a Radziwiłł musiał tam już wrócić.

– Dobrze! – rzekł szlachcic.

I wyszedł z komnaty.

Po chwili rozległ się jego krzyk przeraźliwy. Rycerze skoczyli za głosem, nie rozumiejąc, co się stało, zbiegła się też służba ze światłem, i ujrzano pana miecznika dźwigającego Oleńkę, którą był znalazł leżącą bez zmysłów na podłodze.

Wołodyjowski skoczył mu pomagać i obaj złożyli ją na sofie, nie dającą znaków życia. Zaczęto cucić. Nadbiegła stara klucznica z kordiałami i wreszcie panienka otworzyła oczy.

– Nic tu po waćpanach – rzekła stara klucznica. – Idźcie do tamtej izby, a my damy już sobie rady.

Miecznik wyprowadził gości.

– Wolałbym, żeby tego wszystkiego nie było – mówił skłopotany gospodarz. – Waszmościowie moglibyście zabrać ze sobą tego nieszczęśnika i gdzieś tam po drodze go zgładzić, a nie u mnie. Jakże tu teraz jechać, jak uciekać, gdy dziewczka ledwie żywa?... Gotowa się rozchorować.

– Stało się – rzekł Wołodyjowski. – Wsadzim pannę w kolaskę, bo uciekać waćpaństwo musicie, gdyż zemsta radziwiłłowska nikogo nie oszczędza.

– Może też i panna do sił wrędcę przyjdzie? rzekł Jan Skrzetuski.

– Kolaska wygodna jest gotowa i zaprzężona, bo Kmicic ją ze sobą przyprowadził – rzekł Wołodyjowski. – Idź waćpan, panie mieczniku, powiedz panie, jak się rzecz ma i że nie można ucieczki zwłóczyć, niech siły zbierze. My musimy jechać, a do jutra rana mogą tu radziwiłłowscy nadciągnąć.

– Prawda – rzekł miecznik – idę!

Poszedł i po pewnym czasie wrócił z krewniaczką, która nie tylko siły odzyskała, ale była już przybrana do drogi. Na twarzy jeno miała silne rumieńce i oczy błyszczące gorączkowo.

– Jedźmy, jedźmy!... – powtórzyła wszedłszy do izby.

Wołodyjowski wyszedł na chwilę do sieni, by ludzi wysłać po kolaskę, po czym wrócił i wszyscy poczuli się zbierać do drogi.

Zanim upłynął kwadrans, za oknami rozległ się hurkot kół i tupotanie kopyt końskich po bruku, którym droga przed gankiem była wymoszczona.

– Jedźmy! – rzekła Oleńka.

– W drogę! – zawołali oficerowie.

Wtem drzwi roztwały się na rozcież i pan Zagłoba wpadł jak bomba do komnaty.

– Wstrzymałem egzekucję! – zakrzyknął.

Oleńka z rumianej zrobiła się w jednej chwili biała jak kreda; zdawało się, że znów zemdleje, lecz nikt nie zwrócił na nią uwagi, bo wszystkie oczy zwrócone były na Zagłobę, który oddychał tymczasem jak wieloryb, starając się dech złapać.

– Wstrzymałeś waćpan egzekucję? – pytał zdziwiony Wołodyjowski. – A to czemu?

– Czemu?... Niech odsapnę... Oto temu, że gdyby nie ów Kmicic, że gdyby nie ów zacny kawaler, to byśmy wszyscy, jak tu jesteśmy, wisieli wypaproszeni na kiejdańskich drzewach... Uf... Dobrodzieja naszego chcieliśmy zabić, mości panowie!... Uf!...

– Jak to może być? – zakrzyknęli wszyscy razem.

– Jak może być? Czytajcie ten list, będziecie mieli odpowiedź.

Tu pan Zagłoba podał pismo Wołodyjowskiemu, ów zaś począł je czytać przerywając co chwila i spoglądając na towarzyszków, był to bowiem ów list, w którym Radziwiłł wymawiał gorzko Kmicicowi, że na jego natarczywe instancje uwolnił ich od śmierci w Kiejdanach.

– A co? – powtarzał za każdą przerwą pan Zagłoba.

List kończył się, jak wiadomo, poleceniem, by Kmicic miecznika i Oleńkę do Kiejdan sprowadził. Pan Andrzej miał go widocznie dlatego przy sobie, aby w razie potrzeby okazać go miecznikowi, lecz do tego nie przyszło.

Przede wszystkim jednak nie pozostawał żaden cień wątpliwości, że gdyby nie Kmicic, obaj Skrzetuscy, pan Wołodyjowski i Zagłoba byliby bez miłosierdzia pomordowani w Kiejdanach, zaraz po owym słynnym układzie z Pontusem de la Gardie.

– Mości panowie! – rzekł Zagłoba – jeśli teraz jeszcze każecie go rozstrzelać, to, jak ani Bóg miły, porzucę waszą kompanię i znać was nie chcę!...

– Tu nie ma o tym mowy – odpowiedział Wołodyjowski.

– Aj! – rzekł Skrzetuski biorąc się oburącz za głowę – jakie to szczęście, żeś ojciec zaraz tam list przeczytał, zamiast się z nim wracać do nas...

– Waści szpakami musieli za młodu karmić! – zawołał Mirski.

– Ha! co? – zawołał Zagłoba. – Każdy inny wpierw by wrócił z wami list czytać, a tamtemu by przez ten czas w łeb ołowiu napchano. Ale jak mi tylko przyniesiono papier, który przy nim znaleziono, tak zaraz mnie coś tknęło, i że to z przyrodzenia mam do wszystkiego ciekawość. A tam dwóch z latarkami szło naprzód i już byli na łące. Mówię im tedy: „Poświećcie no mi, niech wiem, co tu stoi...” I zacząłem czytać... To mówię waćpanom, aż mnie zmroczyło, jakoby mnie kto pięścią w łysinę buchnął. „Na Boga! – mówię – panie kawalerze, czemu to tego listu nie pokazałeś?” A on na to: „Bo mi się nie spodobało!” Taka jucha harda, nawet w godzinę śmierci. Ale ja, kiedy to go nie porwę, kiedy nie zacznę obejmować. „Dobrodzieju – mówię – żeby nie ty, już by nas wrony strawiły!” Kazałem go tedy nazad brać i tu prowadzić, a sam ledwiem z konia ducha nie wyparł, ażeby wam jak najprędzej powiedzieć, co się przygodziło... Uf!...

– Dziwny to jest człowiek, w którym, widać, tyle dobrego, co i złego mieszka – rzekł Stanisław Skrzetuski. – Gdy by tacy nie chcieli...

Lecz zanim skończył, drzwi się otworzyły i żołnierze wprowadzili Kmicica.

– Wolny jesteś, panie kawalerze – rzekł od razu Wołodyjowski – i pókiśmy żywi, żaden z nas się na ciebie nie targnie. Cóżżeś za desperat, żeś tego listu od razu nie pokazał? Nie bylibyśmy cię turbowali.

Tu zwrócił się do żołnierzy:

– Odstąpić i na koń wszyscy siadać!

Żołnierze cofnęli się i pan Andrzej został sam na środku izby. Twarz miał spokojną, ale chmurną, i nie bez dumy patrzył na oficerów przed nim stojących.

– Wolnyś jest! – powtórzył Wołodyjowski wracaj, dokąd chcesz, choćby do Radziwiłła, lubo bolesno to jest widzieć kawalera z zacnej krwi, zdrajcy przeciw ojczyźnie pomagającego.

– Namysł się więc waćpan dobrze – rzekł Kmicic – bo z góry zapowiadam, że nie gdzie indziej, jeno do Radziwiłła wrócę!

– Przystań do nas, niech piorun w tego kiejdańskiego tyrana trzaśnie! – zawołał Zagłoba. – Będziesz nam przyjacielem i towarzyszem najmilszym a ojczyzna matka przebaczy ci, coś przeciw niej zawinił!

– Za nic! – rzekł z energią Kmicic. – Bóg to rozsądzi, kto lepiej ojczyźnie służy, czy wy wojnę domową na własną odpowiedzialność wszczynając, czy ja służąc panu, który sam jeden uratować tę nieszczęsną Rzeczpospolitą może. Idźcie w swoją drogę, ja pójdę w swoją! Nie pora was nawracać i na nic ta robota, jeno to wam z głębi duszy mówię: wy to ojczyznę gubicie, wy w poprzek jej ratunkowi stajecie. Zdrajcami was nie nazwę, bo wiem, że intencje wasze zacne, ale, ot! co jest: ojczyzna tonie. Radziwiłł jej rękę wyciąga, a wy mieczami tę rękę bodzicie i w zaślepieniu zdrajcami czynicie jego i tych wszystkich, którzy przy niej stawiają.

– Dla Boga! – rzekł Zagłoba – gdybym nie widział, jakieś waćpan rezolutnie szedł na śmierć, myślałbym, że strach zmysły ci pomieszał. Komużeś przysięgał: Radziwiłłowi czy Janowi Kazimierzowi? Szwecji czy Rzeczypospolitej? Zmysły waćpan straciłeś!

– Wiedziałem, że na nic się nie przyda was nawracać!... Bądźcie zdrowi!

– Czekaj no jeszcze – rzekł Zagłoba – bo tu o ważną rzecz chodzi. Powiedz no, panie kawalerze, czy Radziwiłł przyrzekł ci, że nas oszczędzi, gdyś go o to w Kiejdanach prosił?

– Tak jest! – rzekł Kmicic. – Mielście przez czas wojny w Birżach zostawać.

– Poznajże twojego Radziwiłła, który nie tylko ojczyznę, nie tylko króla, ale własnych sług zdradza. Oto jest pismo do komendanta birżańskiego, którym znalazł przy oficerze nad konwojem komendę mającym. Czytaj!

To rzekłszy pan Zagłoba podał list hetmański Kmicicowi. Ów wziął go do rąk i począł przebiegać oczyma a w miarę jak czytał, krew mu napływała do twarzy i rumieniec wstydu za swego wodza coraz silniej oblewał czoło. Nagle zmiażdżył list w rękę i rzucił na ziemię.

– Bądźcie zdrowi! – rzekł. – Lepiej mi było Zginać z rąk waszych!

I wyszedł z izby.

– Mości panowie – rzekł po chwili milczenia Skrzetuski – trudna z tym człowiekiem sprawa, bo jako Turek w swego Mahometa, tak on wierzy w swego Radziwiłła. Sam myślałem jako i wy, że mu dla korzyści albo dla ambicji służy, ale to tak nie jest. Nie zły to człowiek, jeno obłąkany.

– Jeśli swego Mahometa dotąd wyznawał – rzekł Zagłoba – tom diablo w nim ową wiarę podkopał. Widzieliście, jak nim rzuciło, skoro list przeczytał. Będzie tam między nimi szarwark nie-mały, bo to kawaler gotów samemu diabłu, nie tylko Radziwiłłowi do oczu skoczyć. Jak mi Bóg miły, żeby mi kto stado tureckie darował, nie ucieszyłbym się tak, jak z tego, że go od śmierci wybawił.

– Prawda jest – rzekł pan miecznik – waćpanu on życie zawdzięcza, nikt tego nie będzie negocjował.

– Bóg z nim! – rzekł Wołodyjowski – radźmy teraz, co czynić.

– A cóż? siadać i jechać w drogę... Koniska też się trochę wydychały – odpowiedział Zagłoba.

– Tak jest. Jechać nam jak najprędzej! A waszmość pojedziesz z nami? – zapytał miecznika Mirski.

– Nie osiedzę ja się tu spokojnie i muszę jechać także... Ale jeśli waszmościowie zaraz chcecie ruszać w drogę, to powiem szczerze, że mi to nie na rękę zaraz z wami się zrywać. Skoro tamten żywy odjechał, toć mnie tu zaraz nie spalą ani nie zamordują, a do takiej drogi trzeba się w to i owo zaopatrzyć. Bóg raczy wiedzieć kiedy wrócę... Trzeba tym i owym rozporządzić, co lepsze rzeczy ukryć, inwentarze wysłać do sąsiadów, łuby spakować. Mam też i trochę gotowizny, którą bym też chciał na wóz zabrać. Da jutra do świtu będę gotów, ale tak łap cap nie mogę,

– My też nie możemy czekać, bo miecz wisi nad nami – odrzekł Wołodyjowski. – A waćpan gdzie się chcesz schronić?

– W puszczy, wedle waszej rady... Dziewczynę przynajmniej tam zostawię, bom sam jeszcze niestary i moja szablina przydać się ojczyźnie i królowi jegomości może.

– To tedy bądź waszmość zdrow... Daj Bóg, abyśmy się w lepszych czasach spotkali.

– Niech Bóg nagrodzi waszmościów za to, żeście mi na ratunek przyszli. Pewnie się tam gdzie w polu obok siebie zobaczymy.

– Dobrego zdrowia!

– Szczęśliwej drogi!

I poczęli się żegnać z sobą, a potem każdy przychodził kłaniać się panie Aleksandrze.

– Żonę moją waćpanna w puszczy zobaczysz i chłopczysków, uściskaj ich tam ode mnie i kwitnij w dobrym zdrowiu – rzekł Jan Skrzetuski.

– A wspomnij czasem żołnierza, który choć nie miał do cię szczęścia, rad ci zawsze nieba przychylić! – dodał Wołodyjowski.

Po nich zbliżali się inni. Wreszcie przyszedł i pan Zagłoba.

– Przyjm, wdzięczny kwiatuszku, i od starego pożegnanie! Uściskaj panią Skrzetuską i moich basałyków. Setne to chłopcy!

Zamiast odpowiedzi Oleńka chwyciła go za rękę i przycisnęła ją w milczeniu do ust.

## ROZDZIAŁ XXI

Tejże nocy, najdalej we dwie godziny po odjeździe oddziału Wołodyjowskiego, przybył do Billewicz na

czele jazdy sam Radziwiłł, który Kmicicowi na odsiecz szedł bojąc się, by ten nie wpadł w ręce Wołodyjowskiego. Dowiedziawszy się, co zaszło, zagarnął miecznika wraz z Oleńką i do Kiejdan, nie wypocząwszy nawet koniom, wracał.

Hetman niezmiernie był wzburzony słuchając opowieści z ust miecznika, który wszystko szeroko opowiadał chcąc od siebie uwagę groźnego magnata odwrócić. Nie śmiał też protestować dla tej samej przyczyny przeciw wyjazdowi do Kiejdan i rad był w duszy, że się na tym burza skończyła. Radziwiłł zaś, chociaż pana miecznika o „praktyki” i zmywy podejrzewał, miał istotnie zbyt wiele trosk, ażeby o tym w tej chwili pamiętać.

Ucieczka Wołodyjowskiego mogła zmienić rzeczy na Podlasiu. Horotkiewicz i Jakub Kmicic, którzy tam stali na czele chorągwi skonfederowanych przeciw hetmanowi, byli to dobrzy żołnierze, ale nie dość poważni, skutkiem czego cała konfederacja nie miała powagi. Tymczasem z Wołodyjowskim uciekli tacy ludzie, jak Mirski, Stankiewicz i Oskierko, nie licząc samego małego rycerza, wszyscy oficerowie wyborni i otoczeni mirem powszechnym.

Wszakże był na Podlasiu i książę Bogusław, który z nadwornymi chorągwiami opierał się konfederatom, oczekując przy tym ciągle pomocy od wuja elektora; ale wuj elektor marudził, widocznie czekał na wypadki; odporne zaś wojska rosły w siłę i co dzień przybywało im stronników.

Hetman przez jakiś czas chciał sam ruszyć na Podlasie i jednym zamachem zgnieść buntowników, ale wstrzymywała go myśl, że niech tylko nogą z granie Żmudzi wyruszy, wnet cały kraj powstanie i powaga radziwiłłowska zmaleje w takim wypadku w oczach szwedzkich do zera.

Namyślał się więc książę nad tym, czyby Podlasia całkiem na razie nie opuścić i księcia Bogusława na Żmudź nie ściągnąć.

Było to potrzebne i pilne, bo z drugiej strony dochodziły groźne wieści o działaniach pana wojewody witebskiego. Próbował hetman pojednać się z nim i wciągnąć go do swych planów, ale Sapieha odesłał listy bez odpowiedzi; mówiono natomiast, że się licy – tuje, sprzedaje, co może, srebra przetapia na monetę, stada za gotowy grosz oddaje, makaty i kobierce nawet Żydom zastawia, majątności wydzierzawia, a wojska ściąga.

Hetman, z natury chciwy i do ofiar pieniężnych niezdolny, wierzyć początkowo nie chciał, by ktoś bez wahania całą swą fortunę na ołtarz ojczyzny rzucał; ale czas przekonał go, że tak było w istocie, bo Sapieha z każdym dniem rósł w wojskową potęgę. Garnęli się do niego zbiegowie, szlachta osiadła, patrioci, nieprzyjaciela radziwiłłowscy, ba, gorzej – i dawniejsi przyjaciele, i jeszcze gorzej, bo nawet krewni hetmańscy, jako książę łowczy Michał, o którym przyszła wiadomość, iż rozkazał, aby wszystkie intraty – z dóbr jego, jeszcze przez nieprzyjaciela nie zajętych, były oddane na wojsko wojewodzie witebskiemu.

Tak to rysował się od fundamentów i chwiał się gmach zbudowany przez pychę Janusza Radziwiłła. Cała Rzeczpospolita miała się w tym gmachu zmieścić, a tymczasem okazało się wprędce, że jednej Żmudzi objąć nie może.

Położenie coraz było podobniejsze do błędnego koła, bo na przykład przeciw wojewodzie witebskiemu mógł Radziwiłł wezwać wojska szwedzkie, które coraz więcej kraju stopniowo zajmowały, ale byłoby to przyznać się do bezsilności. Zresztą stosunki hetmana z generalissimusem szwedzkim były od czasu klewańskiej potyczki, dzięki pomysłowi pana Zagłoby, zachwiane i pomimo wyjaśnień panowało pomiędzy nimi rozdrażnienie i nieufność.

Hetman wyprawiając się w pomoc Kmicicowi miał być nadzieję, że jeszcze może Wołodyjowskiego Pochwyci i znieść, więc gdy i to wyrachowanie zawiodło, wracał do Kiejdan zły i chmurny. Dziwiło go to także, że Kmicica w drodze do Billewicz nie zdybał, co stało się dlatego, że pan An-

drzej, którego dragonów pan Wołodyjowski nie omieszkiał zabrać z sobą, wracał sam jeden, więc wybrał się krótszą drogą, lasami, omijając Plemborg i Ejragołą.

Po całej nocy spędzonej na koniu, w południe następnego dnia stanął hetman wraz z wojskiem na powrót w Kiejdanach i pierwsze jego pytanie było o Kmicica. Odpowiedziano mu, że wrócił, ale bez żołnierzy. O tej ostatniej okoliczności wiedział już książę, ale ciekaw był usłyszeć z ust samego Kmicica relację, więc kazał go natychmiast wołać do siebie.

– Nie udało ci się jako i mnie – rzekł, gdy Kmicic stanął przed nim. – Mówił mi już miecznik rosieński, żeś wpadł w ręce tego małego diabła.

– Tak jest! – rzekł Kmicic.

– I list mój cię wyratował?

– O którym liście wasza książęca mość mówisz? Bo oni, przeczytawszy sami ten, który znaleźli przy mnie, przeczytali mi w nagrodę drugi, któryś wasza książęca mość do komendanta birżańskiego pisał...

Ponura twarz Radziwiłła pokryła się jakoby krwawym obłokiem.

– Więc ty wiesz?

– Wiem! – odrzekł zapalczywie Kmicic. – Jak wasza książęca mość mogłeś tak ze mną postąpić? Szlachcicowi prostemu wstyd słowo łamać, a cóż dopiero księciu i wodzowi...

– Milcz – rzekł Radziwiłł.

– Nie zmilczę, bom tam przed tymi ludźmi oczami za waszą książęcą mość świecić musiał! Ciągnęli mnie, żebym do nich przystał, a jam nie chciałem i powiedziałem im: „Radziwiłłowi służę, bo przy nim słuszność, Przy nim cnota!” Na to pokazali mi ów list: „Patrz, jaki twój Radziwiłł!” – a jam musiał gębę stulić i wstyd łykać...

Wargi hetmana poczęły drgać z wściekłości. Ogarnęła go dzika żądza skrócić tę zuchwałą głowę z karku i już, już ręce podnosił, aby na służbę zaklaskać.

Gniew zasłaniał mu oczy, tamował oddech w piersiach i pewnie drogo by przyszło Kmicicowi zapłacić za wybuch, gdyby nie nagły atak astmy, który w tej chwili pochwycił księcia. Twarz mu szerniała, zerwał się z krzesła i rękoma począł bić powietrze, oczy wyszły mu na wierzch głowy, a z gardzieli wydobył się chrapliwy ryk, w którym Kmicic zaledwie zrozumiał słowo:

– Duszę się!...

Na uczyniony alarm zbiegła się służba, nadworni medycy i poczęto cucić księcia, który zaraz stracił przytomność. Cucono z godzinę, a gdy wreszcie począł dawać ślady życia, Kmicic wyszedł z komnaty.

Na korytarzu spotkał Charłampa, który się był już podleczył z ran i stłuczeń otrzymanych w bitwie ze zbuntowanymi Węgami Oskierki.

– A co nowego? – spytał wąsacz.

– Już przyszedł do siebie! – odpowiedział Kmicic.

– Hm! Ale lada dzień może nie przyjść. Zła nasza, panie pułkowniku, bo jak książę zemrze, to się jego uczynki na nas skrupią. Cała nadzieja w Wołodyjowskim, że starych towarzyszków będzie osłaniał, dlatego też, powiem waszej mości (tu Charłamp głos zniżył), kontent jestem, że się wymknął.

– To już mu tak ciasno było?

– Co to ciasno! Imaginuj sobie wasza mość, w tej olszynie, w którejśmy go otoczyli, wilki były i nie wymknęły się, a on się wymknął. Niech go kule biją. Kto wie, kto wie, czy nie przyjdzie się go za połę uchwycić, bo jakoś tu koło nas kuso. Szlachta okrutnie się od naszego księcia odwraca i wszyscy mówią, że wolą prawdziwego nieprzyjaciela, Szweda, Tatara nawet, niż renegata. Ot, co jest! A tu precz książę pan każe coraz więcej obywatelów łapać i więzić co między nami rzekłszy, jest przeciw prawu i wolności. Przywieziono dziś pana miecznika rosieńskiego...

– A? to go przywieziono?

– A jakże, i z krewniaczką. Panna jako migdał! powinszować waszej mości!

Gdzież ich postawiono?

– W prawym skrzydle. Zadne pokoje im dano, nie mogą się skarżyć, chyba na to, że warta pode drzwiami chodzi. A kiedy wesele, panie pułkowniku?

– Jeszcze kapela na to wesele nie zamówiona. Bywaj waćpan zdrów! – rzekł Kmicic.

Kmicic pożegnawszy Charłampa udał się do siebie. Bezsenna noc, burzliwe jej wypadki i ostatnie zajście z księciem zmęczyły go tak, że zaledwie na nogach mógł ustać. A przy tym, jako ciału strudzonemu i zbitemu każde dotknięcie ból sprawia, tak on duszę miał zbolałą. Proste pytanie Charłampa: „Kiedy wesele?” – ubodło go dotkliwie, bo wnet stanęła mu jako żywa przed oczyma lodowata twarz Oleńki i jej usta zaciśnięte wówczas, gdy ich milczenie potwierdzało wyrok śmierci na niego. Mniejsza, czy słowo jej prośby mogło go zbawić, czy pan Wołodyjowski byłby na nie zważał! Cały żal i ból, jaki Kmicic odczuwał w tej chwili, tkwił w tym, że ona nie wymówiła tego słowa. A przecie po dwakroć poprzednio nie wahała się go ratować. Taką to już przepaść była między nimi, tak dalece wygasła w jej sercu nie już miłość, lecz prosta życzliwość, którą nawet dla obcego mieć można, prosta litość, którą dla każdego mieć trzeba? Im więcej myślał nad tym Kmicic, tym okrutniejszą wydawała mu się Oleńka, tym większy czuł do niej żal, tym głębszą urazę. – Cóżem takiego uczynił – pytał sam siebie – aby mną tak, jak przeklętym przez kościół, pogardzano? Choćby i źle było Radziwiłło-wi służyć, to przecie czuję się w tym niewinnym, bo z ręką na sumieniu powiedzieć mogę, że nie dla promocyj, nie dla zysków, nie dla chlebów mu służę, je-no że korzyść dla ojczyzny w tym widzę – za cóż bez sądu mnie potępiono?...

– Dobrze, dobrze! Niechże tak będzie! Nie pójdę z win nie popełnionych się oczyszczać ani miłośier– dzia prosić! – powtarzał sobie po tysiąc razy.

A jednak ból nie ustawał, owszem, wzrastał się coraz bardziej. Wróciwszy do swych komnat rzucił się pan Andrzej na łożo i próbował zasnąć, lecz mimo całego umęczenia nie mógł. Po chwili wstał i począł chodzić po komnacie. Od czasu do czasu ręce do czoła przykładając i mówił do siebie głośno:

– Nie może być inaczej, jeno serce w tej dziewce zawzięte!

I znowu:

– Tegom się po tobie, panno, nie spodziewałem... Bogdaj ci Bóg za to zapłaci!

Na takich rozmyślaniach upłynęła mu godzina jedna i druga, na koniec znużył się do reszty i drzemać począł siedząc na łożu, lecz nim zasnął, zbudził go dworzanin książęcy, pan Szkiłładź, i wezwał do księcia.

Radziwiłł czuł się już lepiej i oddychał swobodniej, ale na ołowianej jego twarzy znać było osłabienie wielkie. Siedział w głębokim krześle skórą obitym, mając przy sobie medyka, którego zaraz, równo z wejściem Kmicica, odesłał.

– Byłem już jedną nogą na tamtym świecie, i przez ciebie! – rzekł do pana Andrzeja.

– Mości książę, nie moja wina; powiedziałem, com myślał.

– Niechże tego więcej nie będzie. Nie dorzucaj choć ty ciężaru do brzemienia, które dźwigam, i to wiedz, że co tobie przebaczyłem, innemu bym nie przebaczył.

Kmicic milczał.

– Jeśli kazałem – rzekł po chwili książę – tych ludzi w Birzach egzekwować, którym na twoją prośbę przebaczyłem w Kiejdanach, to nie dlatego, że cię chciałem zwodzić, jeno by ci boleści oszczędzić. Uległem pozornie, bo mam dla ciebie słabość... A ich śmierć była konieczna. Czy tom ja kat, czy myślisz, że krew rozlewam dlatego jeno, by oczy czerwoną barwą napaść?... Ale gdy pożyjesz dłużej, poznasz, że gdy ktoś chce czegoś na świecie dokazać, temu nie wolno ni własnej, ni cudzej słabości folgować, nie wolno większych spraw dla mniejszych poświęcać. Ci ludzie powinni byli zginąć tu w Kiejdanach, bo patrz, co się przez twoją instancję stało: w kraju opór podsycony, wojna domowa rozpoczęta, dobra przyjaźń ze Szwedami zachwiana, zły przykład innym dany, od którego bunt jako zaraza się szerzy. Mało tego: sam osobą swoją musiałem później wyprawę na nich czynić i konfuzji wobec wszystkiego wojska się najeść, tyś ledwie z ich rąk nie zginął, a teraz pójdą na Podlasie i głowami buntu się staną. Patrz i ucz się! Gdyby zginęli w Kiejdanach, nie byłoby tego wszystkiego. Aleś ty, prosząc za nich, o afektach własnych tylko myślał, ja zaś posła-



łem ich po śmierć do Birż, bom doświadczony, bo dalej widzę, bo wiem to z praktyki, że kto w pędzie chociaż o mały kamień się potknie, ten łatwo upadnie, a kto upadnie, ten może się więcej nie podnieść, i tym snadniej, im przedtem biegł szybciej... Niech Bóg broni, ile złego narobili ci ludzie!

– Tyle oni nie zważają, aby mogli całe przedsięwzięcie waszej książęcej mości popsuwać.

– Choćby nic więcej nie uczynili nad to, że za ich przyczyną dyfidencje między mną a Pontusem powstały, już szkoda byłaby nieoszacowana. Rzecz się już wyjaśniła, że to byli nie moi ludzie, ale list z pogrozkami, który do mnie Pontus napisał, pozostał i tego listu mu nie daruję... Jest Pontus szwagrem królewskim, ale to jeszcze wątpliwa, czy moim mógłby zostać i czyby radziwiłłowskie progi nie były dla niego za wysokie...

– Wasza książęca mość niech z samym królem, nie z jego sługami, traktuje.

– Tak chcę uczynić... I jeśli zgryzoty mnie nie zabiją, nauczę tego Szwedzika modestii... Jeśli zgryzoty mnie nie zabiją, a bodaj czy się na tym skończy, bo mi tu cierniów ani boleści nikt nie szczędzi... Ciężko mi! ciężko!... Kto by uwierzył, że jestem ten sam, który byłem pod Łojowem, pod Rzeczą, Mozyrem, Turowem, Kijowem i Beresteczkiem?... Cała Rzeczpo– spolita patrzyła jeno we mnie i w Wiśniowieckiego jako w dwa słońca!... Wszystko drżało przed Chmielnickim, a on drżał przede mną. I te same wojska, które w czasach powszechnej klęski od wiktorii do wiktorii wiodłem, dziś mnie opuściły i rękę na mnie, jako parrycydowie, podnoszą...

– Przecie nie wszyscy, bo są tacy, którzy w waszą książęcą mość jeszcze wierzą! – rzekł dość porywczo Kmicic.

– Jeszcze wierzą... póki nie przestaną! – odpowiedział z goryczą Radziwiłł. – Wielka ichmościów łaska!... Dałby Bóg, żebym się nią nie otrul... Sztych za sztychem każdy z was wbija we mnie, choć niejednemu to na myśl nie przychodzi...

– Wasza książęca mość na intencje zważaj, nie na słowa.

– Dziękuję za radę... Odtąd pilnie będę zważał, jaką mi każdy gemajna twarz pokazuje... i pilnie zabiegał, aby się wszystkim spodobać...

– Gorzkie to słowa; wasza książęca mość.

– A życie słodkie?... Bóg mnie do wielkich rzeczy stworzył, a ja muszę, ot! wykruszać siły w powiatowej wojnie, jaką zaścianek z zaściankiem mógłby prowadzić. Chciałem z monarchami potężnymi się mierzyć, a upadłem tak nisko, że muszę jakiegoś pana Wołodyjowskiego po moich własnych majątnościach łowić. Zamiast świat dziwić moją siłą, dziwię go moją słabością; zamiast za popioły Wilna popiołami Moskwy zapłacić, muszę ci dziękować, żeś Kiejdany szanńczykami obsypał... Ciasno mi... i duszę się... nie tylko dlatego, że astma mnie dusi...: Niemoc mnie zabija... Bezczytność mnie zabija... Ciasno mi i ciężko!... Rozumiesz?...

– Myślałem i ja, że pójdzie inaczej!... – rzekł ponuro Kmicic.

Radziwiłł począł oddychać z wysileniem.

– Przedtem, nim inna mnie korona dojdzie, cierniową mi włożono. Kazałem ministrowi Ader-sowi w gwiazdy patrzeć... Zaraz erygował figurę i mówi, że złe są koniunktury, ale że to przejdzie. Tymczasem męki cierpię... W nocy coś mi spać nie daje, coś chodzi po komnacie... Jakoweś twarze zagląдают mi do łoża, a czasem chłód się nagły czyni... To znaczy, że śmierć koło mnie przechodzi... Męki cierpię... Muszę być jeszcze na zdrady i odstępstwa gotowy, bo wiem, że są tacy, którzy się chwieją...

– Nie ma już takich! – odpowiedział Kmicic. – Kto miał odstąpić, to już sobie precz poszedł!

– Nie zwódź, sam to widzisz, że reszta polskich ludzi poczyna się oglądać za siebie.

Kmicic wspominał na to, co od Charłampa słyszał, i umilkł.

– Nic to! – rzekł Radziwiłł – ciężko, straszno, ale trzeba przetrwać... Nie mów nikomu o tym, coś tu ode mnie słyszał... Dobrze, że ten atak choroby dziś na mnie przyszedł, bo już się nie powtórzy, a na dziś właśnie sił mi potrzeba, bo chcę ucztę wyprawić i wesołą twarz pokazywać, by ducha w ludziach pokrzepić... I ty się rozpogódź, a nie mów nic nikomu, bo co ja ci mówię, to jeno dlatego, abys choć ty mnie nie dręczył... Gniew mnie dziś uniósł... Pilnuj, aby się to nie powtórzyło, bo

o głowę twoją chodzi. Alem ci już przebaczył... Tych szanńczyków, którymiś Kiejdany obsypał, sam Peterson by się nie powstydział... Idź teraz, a przyślij mi Mielestkę. Sprowadzono dziś zbiegów spod jego chorągwi, samych gemajnow. Każę mu ich powiesić co do jednego... Trzeba przykład dać... Bądź zdrow... Ma dziś być wesoło w Kiejdanach!...

## ROZDZIAŁ XXII

Miecznik .rosieński ciężką miał przeprawę z panną Aleksandrą, zanim zgodziła się pójść na ową ucztę, którą hetman dla swych ludzi wyprawił. Musiał tedy błagać prawie ze łzami uporną a śmiałą dziewczynę i zaklinać, że tu o jego głowę chodzi, że wszyscy, nie tylko wojskowi, ale i obywatele zamieszkali w okolicy Kiejdan, na długość ramienia .Radziwiłła, mają się stawić pod groźbą gniewu książęcego, jakże więc opierać się mogą ci, którzy na łaskę i niełaskę straszego człowieka są wystawieni. Panna nie chcąc narażać stryja ustąpiła.

Jakoż zjazd był niemały, bo wielu okolicznej szlachty wraz z żonami i córkami przypędził. Lecz wojskowych było najwięcej, a zwłaszcza oficerów cudzoziemskiego autoramentu, którzy prawie wszyscy przy księciu wytrwali. Sam on, zanim ukazał się gościom, przygotował twarz pogodną, jak gdyby żadna troska nie zaciężyła mu poprzednio – pragnął bowiem tą ucztą nie tylko we własnych stronnikach i wojskowych ducha ożywić, ale okazać, że ogół obywateli po jego stronie stoi – a tylko swawolnicy opierają się unii ze Szwecją; pragnął okazać, że kraj cieszy się z nim razem, więc nie szczędził zabiegów ni kosztów, by uczta była wspaniała i by echo o niej rozeszło się jak najdalej po kraju. Zaledwie więc mrok pokrył ziemię, setki beczek zapłonęło na drodze zamkowej i dziedzińcu, od czasu do czasu armaty grzmiały, a żołnierstwu”przykazano wydawać wesołe okrzyki.

Ciągnęły tedy jedna za drugą kolaski, karabony i bryki wiozące personatów okolicznych i „tańszą” szlachtę. Dziedziniec zapelniał się pojazdami, końmi i służbą, bądź przybyłą z gośćmi, bądź miejscową. Tłumy, strojne w aksamity i lamy, i kosztowne futra, zapelniały salę tak zwaną „złotą”, a gdy książę ukazał się wreszcie, cały jaśniejący od drogich kamieni i z łaskawym uśmiechem na ponurej zwykle, a przy tym wyniszczonej teraz chorobą twarzy, pierwsi oficerowie zakrzyknęli jednogłośnie:

– Niech żyje książę hetman! Niech żyje wojewoda wileński!

Radziwiłł rzucił nagle oczyma po zebranych obywatelstwie chcąc się przekonać, czy zawtórują okrzykowi żołnierzy. Jakoż kilkanaście głosów z lękliwszych piersi powtórzyło okrzyk, zaś książę zaraz począł kłaniać się i dziękować za afekt szczery i „jednomysłny”.

– Z wami, mości panowie – mówił – damy rady tym, którzy chcą zgubić ojczyznę! Bóg wam zapłać! Bóg wam zapłać!...

I chodził naokół po sali, zatrzymywał się przed znajomymi, nie szczędząc w mowie tytułów: „panie bracie” i „miły sąsiedzie” – i niejedna twarz chmurna rozpogadzała się pod wpływem ciepłych promieni łaski pańskiej.

– Już też niepodobna – mówili ci, którzy do niedawna z niechęcią patrzyli na jego czyny – aby taki pan i tak wysoki senator nieszczerze ojczyźnie życzył; albo więc nie mógł inaczej postąpić, jak postąpił, albo *arcana* w tym jakieś tkwią, które na pożytek Rzeczypospolitej wyjdą.

– Jakoż od drugiego nieprzyjaciela mamy już więcej wychnienia, który nie chce się powadzić o nas ze Szwedami.

– Dajże Boże, aby wszystko zmieniło się na lepsze!

Byli wszelako i tacy, którzy trzęśli głowami albo wzrokiem mówili sobie wzajem: „Jesteśmy tu, bo nam nóż na gardło położono.”

Lecz ci milczeli, gdy tymczasem inni, do przejednania łatwiejsi, mówili głośno, tak nawet głośno, żeby ich książę mógł dosłyszeć:

– Lepiej pana zmienić niżeli Rzeczpospolitą pograżyć.

– Niechże Korona myśli o sobie, a my o sobie.

– Kto zresztą nam dał przykład, jeśli nie Wielkopolska?

– *Extrema necessitas extremis nititur rationibus!*

– *Tentanda omnia!*

– Całą ufność w naszym księciu położmy i na niego we wszystkim się zdajmy. Niechże Litwę i władzę ma w ręku.

– Godzien on i jednej, i drugiej. Jeśli on nas nie wyratuje, zginiemy... W nim *salus*...

– Bliższy on nam niż Jan Kazimierz, bo to nasza krew!

Radziwiłł łowił chciwym uchem te głosy, które dyktowała bojaźń lub pochlebstwo, i nie zważał, że wychodziły one z ust ludzi słabych, którzy w niebezpieczeństwie pierwsi by go opuścili; z ust ludzi, którymi każdy podmuch wiatru mógł chwiać jak falą. I upajał się tymi wyrazami, i sam siebie oszukiwał lub własne sumienie, powtarzając z zasłyszanych zdań to, które zdawało się go najbardziej uniewinniać:

– *Extrema necessitas extrerrimis nititur rationibus!* Lecz gdy przechodząc mimo licznej grupy szlachty usłyszał jeszcze z ust pana Jurzyca: „Bliższy on nam niż Jan Kazimierz!” – wówczas twarz jego wypogodziła się zupełnie. Samo porównanie i zestawienie go z królem pochlebiało jego dumie, więc zbliżył się zaraz do pana Jurzyca i rzekł:

– Macie rację, panie bracie, bo w Janie Kazimierzu na garniec krwi tylko kwarta litewskiej, a we I mnie nie masz innej... Jeżeli zaś dotąd kwarta garncowi rozkazywała, to od was, panów braci, zależy to i zmienić.

– My też garncem gotowi pić zdrowie waszej książęcej mości! – odrzekł pan Jurzyc.

– O, toś mi waść w myśl utrafił. Weselcie się, panowie bracia! Chciałbym całą Litwę tu sprosić.

– Trzeba by ją na to jeszcze lepiej okroić – rzekł pan Szczaniecki z Dalnowa, człowiek śmiały i ostry, zarówno w języku, jak w szabli.

– Co waść przez to rozumiesz? – pytał książę utkwiwszy w niego oczy.

– Że serce waszej książęcej mości od Kiejdan obszerniejsze.

Radziwiłł uśmiechnął się z przymusem i poszedł dalej. W tej chwili też zbliżył się do niego marszałek z doniesieniem, że wieczerza gotowa. Tłumy poczęły płynąć za księciem, jakoby rzeka, do tej samej sali, w której niedawno unia ze Szwecją została ogłoszona. Tam marszałek usadził wedle godności zaproszonych, wymieniając każdego z imienia i urzędu. Ale widać, że rozkazy książęce były i pod tym względem naprzód wydane, gdyż Kmicicowi dostało się miejsce między miecznikiem rosieńskim a panną Aleksandrą.

W obojgu aż zadrgały serca, gdy usłyszeli swe nazwiska razem wymienione, i oboje zawahali się w pierwszej chwili: lecz przyszło im zapewne na myśl, że opierać się byłoby to samo, co ściągać na się oczy wszystkich obecnych, więc siedli obok siebie. Było im źle i ciężko. Pan Andrzej postanowił sobie być obojętnym, jakoby siedziała koło niego obca osoba. Wkrótce jednak zrozumiał, że ani on nie potrafi być tak obojętnym, ani ta sąsiadka nie jest tak obcą, aby mogli zacząć z sobą zwyczajną rozmowę. Owszem, oboje to zmiarkowali, że w tym tłumie osób i najrozmaitszych uczuć, spraw, namiętności on myśli tylko o niej, ona o nim, i właśnie dlatego tak im trudno. Bo oboja nie chcieli i nie mogli wypowiedzieć szczerze, jasno i otwarcie wszystkiego, co im leżało na sercu. Mieli za sobą przeszłość, ale nie mieli przyszłości. Dawne uczucia, ufność, znajomość nawet, wszystko było potargane. Nie było nic pomiędzy nimi wspólnego oprócz uczucia zawodu i żalu. Gdyby i to ostatnie ogniwo pękło, byłiby właśnie swobodniejsi; lecz czas tylko mógł przywieść zapomnienie, obecnie było na to za wcześnie.

Kmicicowi tak było źle, że prawie mękę cierpiał, a jednak za nic w świecie nie byłby odstąpił tego miejsca, które mu marszałek wyznaczył. Uchem łowił szelest jej sukni, baczył, udając, że nie baczy, na każdy jej ruch; odczuwał ciepło bijące od niej i wszystko to razem sprawiało mu jakąś bolesną rozkosz.

Po chwili poznał, że i ona równie jest czujna, choć niby na niego nie zważa. Porwała go nieprzewyciężona chęć spojrzenia na nią, więc zaczął strzyc ukoś – nie oczyma, polo nie ujrzał jasnego czoła, oczu nakrytych ciemnymi rzęsami i białej, nie pomalowanej barwiczką jak u innych pań twarzy.

Było zawsze w tej twarzy coś tak dla niego pociągającego, że aż serce w biednym kawalerze zadrgało z żalu i bólu. „Żeby zaś taka zawziętość w tak anielskiej urodzie mieścić się mogła!” – po-

myślał sobie. Lecz uraza była zbyt głęboka, więc wkrótce dodał w duszy: „Nic mi po tobie, niech cię inny bierze!”

I nagle poczuł, że gdyby ów jakiś „inny” spróbował tylko skorzystać z jego pozwolenia, to by go na sieczkę posiekał. Na samą myśl o tym chwycił go gniew straszny. Uspokoił się dopiero, gdy sobie przypomniał, że to przecie on sam, nie kto inny przy niej siedzi, i że nikt, przynajmniej w tej chwili, o nią nie zabiega.

„Tedy jeszcze raz na nią spojrzę, a potem się w drugą stronę zwrócę” – pomyślał.

I znów począł strzyc ku niej z ukosa, ale właśnie w tej chwili ona uczyniła toż samo, i oboje spuścili co prędzej oczy, upokorzeni ogromnie, jakoby na grzechu złapani.

Panna Aleksandra toczyła również walkę z sobą. Ze wszystkiego, co zaszło, z postępowania Kmicica w Billewiczach, ze słów Zagłoby i Skrzetuskiego, po znała, że Kmicic błdził, ale nie był tyle winny, nie zasługiwał na taką pogardę, na takie bezwzględne potępienie, jak poprzednio sądziła. Przecie on to tam-tych zacnych ludzi od śmierci uwolnił, przecie tyle w nim było jakiejś wspaniałej dumy, że wpadłszy w ich ręce, mając przy sobie list, który mógł go uniewinnić, a przynajmniej od śmierci uchronić, nie pokazał jednak tego listu, nie rzekł ani słowa i poszedł na śmierć z podniesioną głową.

Oleńka, chowana przez starego żołnierza stawiającego pogardę śmierci na czele wszystkich innych cnót, wielbiła męstwo z całego serca, więc nie mogła się oprzeć mimowolnemu podziwowi dla tej rogatej, rycerskiej fantazji, którą można było chyba razem z duszą z ciała wypędzić.

Zrozumiała i to, że jeśli Kmicic Radziwiłłowi służył, to z zupełną dobrą wiarą – jakąż więc krzywdą było dlań posądzenie o rozmyślną zdradę! A jednak ona pierwsza wyrządziła mu tę krzywdę, nie oszczędziła mu ani obelgi, ani wzgardy – nie chciała mu przebaczyć nawet wobec śmierci!

„Nagródź krzywdę – mówiło jej serce – wszystko się między wami skończyło, aleś mu to powinna wyznać, żeś go niesprawiedliwie sądziła. Dłużnaś w tym jeszcze i sobie...”

Lecz było w tej panience także dumy niemało, a może nawet i nieco zawziętości; więc wnet jej przyszło na myśl, że ów kawaler pewnie już o takie zadośćuczynienie nie stoi, i aż rumieńce na twarz jej wytrysły.

„Skoro nie stoi, niechże się obejdzie!” – rzekła sobie w duszy.

Wszakże sumienie mówiło dalej, że czy pokrzywdzony o krzywdę stoi, czy nie stoi, wynagrodzić ją trzeba; lecz z drugiej strony i duma przytaczała coraz nowe argumenta:

„Jeśli by słuchać – co być może – nie chciał, przysłoby się tylko próżno wstydu najeść. A po wtóre: winien czy nie winien, rozmyślnie czyni czy też przez zaślepienie, dość, że ze zdrajcami trzyma, z nieprzyjaciółmi ojczyzny, i pomaga im ją gubić. Na jedno ojczyźnie wyjdzie, czy mu rozumu brak, czy uczciwości. Bóg go może uniewinnić, ludzie muszą i powinni potępić, i miano zdrajcy przy nim zostanie. Tak jest! Jeśli i nie winien, azali nie słuszna takim pogardzać, który tyle nawet rozmysłu nie ma, żeby zło od dobrego, występki od cnoty odróżnić?...”

Tu gniew porwał pannę i policzki jej poczęły pałać.

„Zamilczę! – rzekła sobie. – Niech cierpi, na co zasłużył. Póki skruchy nie widzę, póty mam prawo potępić...”

Po czym zwróciła wzrok ku Kmicicowi, jakby chcąc się przekonać, czy skruchy już w jego twarzy nie widać. Wtedy to właśnie nastąpiło spotkanie się ich oczu, po którym tak zawstydzili się oboje.

Skruchy Oleńka może w twarzy kawalera nie dojrzała, ale dojrzała ból i zmęczenie wielkie; dojrzała, że ta twarz była tak wybladła jak po chorobie; więc litość ją wzięła głęboka, lzy jej napływały przemocą do oczu i schyliła się jeszcze mocniej nad stołem, ażeby wzruszenia nie zdradzić.

A tymczasem ucztą ożywiała się z wolna.

Z początku widocznie wszyscy byli pod ciężkim wrażeniem, lecz w miarę kielichów przybywało fantazji ucztującym. Gwar wzrastał się.

Na koniec książę wstał:

– Mości panowie, proszę o głos!

– Książę pan chce mówić!... Książę pan chce mówić! – wołano ze wszystkich stron.

– Pierwszy toast wnoszę za zdrowie najjaśniejszego króla szwedzkiego, który pomoc przeciw nieprzyjaciołom nam daje i władnąc tymczasem tą krainą, nie wprzód ją zda, aż spokój zaprowadzi. Wstańcie, mości panowie, bo to zdrowie pije się stojący.

Biesiadnicy wstali prócz niewiast i spełnili kielichy, ale bez okrzyków, bez zapалу. Pan Szczaniecki z Dalnowa pomrukiwał coś do sąsiadów, a ci gryźli wasy, by się nie rozśmiać, widocznie dworował sobie z króla szwedzkiego.

Dopiero gdy książę wniósł drugie zdrowie „kochanych gości”, łaskawych na Kiejdany, którzy przybyli nawet i z dalekich stron aby zaświadczyć o ufności swej w zamiary gospodarza – odpowiedział mu gromki okrzyk:

– Dziękujemy! dziękujemy z serca!

– Zdrowie księcia pana!

– Naszego Hektora litewskiego!

– Niech żyje! Niech żyje książę hetman, wojewoda nasz!

Wtem pan Jurzyc, już trochę pijany, zakrzyknął całą siłą płuc:

– Niech żyje Janusz Pierwszy, wielki książę litewski!

Radziwiłł poczerwieniał cały jak panna, którą dziewosłębą, ale zmiarkowawszy, że zgromadzeni milczą głucho i poglądną na niego ze zdumieniem, rzekł:

– W waszej i to mocy, ale za wcześniej mi waćpan życzysz, panie Jurzyc, za wcześniej!

– Niech żyje Janusz Pierwszy, wielki książę litewski! – powtórzył z uporem pijanego pan Jurzyc. Pan Szczaniecki wstał z kolei i wniósł kielich.

– Tak jest! – rzekł z zimną krwią. – Wielki książę litewski, król polski i cesarz niemiecki!

Znów nastąpiła chwila milczenia – nagle biesiadnicy wybuchli naraz śmiechem. Oczy wyszły im na wierzch, wasy poruszały się na zaczerwienionych twarzach i śmiech wstrząsał ich ciała, odbijał się od sklepień sali i trwał długo, a jak nagle powstał, tak nagle i obumarł na wszystkich ustach na widok twarzy hetmańskiej, która mieniła się jak tęcza.

Radziwiłł pohamował jednak straszny gniew, który pochwycił go za piersi, i rzekł:

– Wolne żarty, panie Szczaniecki!

Szlachcic wydał usta i nie zmieszany wcale odpowiedział:

– I to tron elekcyjny, a już też za wiele nie mogę waszej książęcej mości życzyć. Jeśli jako szlachcic możesz wasza książęca mość zostać królem polskim, to jako książę Rzeszy Niemieckiej możesz i na godność cesarską być podniesiony. Tak ci daleko lub blisko do jednego jak do drugiego, a kto ci tego nie życzy, niech wstanie, wnet go tu na szable weźmiem.

Tu zwrócił się do biesiadników:

– Wstań, kto nie życzysz cesarskiej niemieckiej korony panu wojewodzie wileńskiemu!

Oczywiście nikt nie wstał, nie śmiano się już również, bo w głosie pana Szczanieckiego tyle było bezczelnej złośliwości, że wszystkich ogarnął mimowolny niepokój, co też się stanie...

Lecz nie stało się nic, jeno ochota do ucztę się po– psuła. Próżno służba dworska napełniała co chwila kielichy. Wino nie mogło rozpędzić posepnych myśli w głowach uczujących ani coraz większego niepokoju. Radziwiłł z trudnością również pokrywał złość, bo czuł, że dzięki toastom pana Szczanieckiego zmalął w oczach zebranej szlachty i że umyślnie lub niechcący szlachcic ów wszczepił przekonanie w zebraną szlachtę, iż wojewodzie wileńskiemu nie bliżej do wielkoksiążęcego tronu jak do korony niemieckiej. Wszystko obrócone było w żart, w pośmiewisko a przecie ucztę po to w znacznej części była wydana, aby umysł z przyszłym panowaniem radziwiłłowskim oswoić. Co więcej, chodziło Radziwiłłowi i o to, aby takie ośmieszenie jego nadziei nie oddziało źle i na oficerów w sprawę wtajemniczonych. Jakoż na ich twarzach malowało się głębokie zniechęcenie.

Ganchof spełniał kielich za kielichem i unikał wzroku książęcego, a Kmicic nie pił, ale patrzył w stół przed sobą z namarszczoną brwią, jak gdyby rozmyślał nad czym lub toczył walkę we-

wnętrzną. Radziwiłł zadrżał na myśl, że w tym umyśle lada chwila może zabłysnąć światło i wydobyć prawdę z cieniów, a wówczas ten oficer, stanowiący jedyne ogniwo łączące resztki polskich chorągwi ze sprawą radziwiłłowską, potarga owe ogniwo, choćby z nim razem miał sobie i serce z piersi wyszarpnąć.

Kmicie aż nadto ciężył już Radziwiłłowi i gdyby nie to dziwne znaczenie, jakie nadał mu zbieg wypadków, byłby od dawna padł ofiarą swej zuchwałości i hetmańskiego gniewu. Ale księżę mylił się posadzając go w tej chwili o wrogie sprawie myśli, bo pan Andrzej cały był zajęty Oleńką i ową głęboką rozterką, jaka ich rozdzielała.

Chwilami wydawało mu się, że kocha tę dziewczynę obok siedzącą więcej niż świat cały, to znów taką do niej odczuwał nienawiść, że zadałby jej śmierć, gdyby mógł – jej, ale zarazem i sobie.

Życie tak mu się powikłało, że stało się dla tej prostej natury zbyt trudnym. Więc czuł to, co czuje dziki zwierz omotany siecią, z – której nie może się wyplątać.

Niespokojny i posepny nastrój całej uczty rozdrażniał go do najwyższego stopnia. Było mu po prostu nieznośnie.

Uczta zaś posepniała z każdą chwilą. Obecny wydawało się, że uczują pod dachem z ołowiu, który wspiera się na ich głowach.

Tymczasem nowy gość wszedł do sali. Księżę ujrzawszy go zakrzyknął:

– To pan Suchaniec, od brata Bogusława! Pewno z listami?

Nowo przybyły skłonił się nisko.

– Tak jest, jasnie oświecony księżę!... Jadę prosto z Podlasia.

– Dajże waćpan listy, a sam siadaj za stołem. Ichmościowie wybaczą, że czytania nie odłożę, choć przy uczcie siedzimy, bo mogą się znaleźć nowiny, którymi się będę chciał z waszmościami podzielić. Panie marszałku, proszę tam pamiętać o miłym pośle.

To mówiąc księżę wziął z rąk pana Suchańca paczkę listów i począł pospiesznie łamać pieczęć pierwszego z brzegu.

Obecni utkwili ciekawe oczy w jego twarzy i starali się odgadnąć z niej treść pisma. Pierwszy list jednakże nie zwiastował widocznie nic pomyślnego, bo oblicze księżęce zaszło krwią i oczy zabłysły mu dzikim gniewem.

– Panowie bracia! – rzekł hetman – księżę Bogusław donosi mi, że ci, co woleli się konfederować niż na nieprzyjaciela pod Wilno iść, teraz włości moje na Podlasiu pustoszą. Łatwiejże po wsiach z babami wojować!... Godni rycerze!... ani słowa!... Nic to! Nagroda ich nie minie!...

Po czym wziął drugi list, ale zaledwie nań okiem rzucił, twarz rozjaśniła mu się uśmiechem triumfu i radości.

– Województwo sieradzkie poddało się Szwedom! – zakrzyknął – i w ślad za Wielkopolską przyjęło protekcję Karola Gustawa.

A po chwili znowu:

– Owóż ostatnia poczta! Dobra nasza, mości panowie! Jan Kazimierz pobit pod Widawą i Żarnowem!... Wojsko go odstępuje! Sam on na Kraków się cofa, Szwedzi idą za nim. Pisze mi brat, że i Kraków musi upaść.

Cieszymy się, mości panowie! – rzekł dziwnym głosem pan Szczaniecki.

– Tak, cieszymy się! – powtórzył hetman nie zauważywszy tonu, jakim się Szczaniecki odezwał.

I radość biła od całej osoby księżęcej, twarz stała się w jednej chwili jakby młodszą, oczy nabrały blasku; drżącymi ze szczęścia rękoma rozerwał pieczęć ostatniego listu, spojrzął, rozpromienił się cały jak słońce i krzyknął:

– Warszawa wzięta!... Niech żyje Karol Gustaw! Tu dopiero spostrzegł, że wrażenie, jakie owe wiadomości wywierają na obecnych, jest zupełnie inne od tego, jakiego sam doznawał. Wszyscy bowiem niedzieli w milczeniu, spoglądając niepewnym wzrokiem przed siebie. Niektórzy marszczyli brwi inni pozakrywali twarze rękoma. Nawet dworacy hetmańscy, nawet ludzie słabego ducha nie śmieli naśladować radości księżęcej na wieść, że Warszawa wzięta, że Kraków upaść musi

i że województwa jedno po drugim odступują prawego pana i poddają się nieprzyjacielowi. Było przy tym coś potwornego w tym zadowoleniu, z jakim naczelny wódz połowy wojsk Rzeczypospolitej i jeden z najwyższych jej senatorów oznajmiał o jej klęskach. Książę zmiarkował, że trzeba złagodzić wrażenie.

– Mości panowie – rzekł – pierwszy bym płakał razem z wami, gdyby szło o szkodę Rzeczypospolitej, ale tu Rzeczpospolita szkody nie ponosi, jeno pana zmienia. Zamiast niefortunnego Jana Kazimierza będzie miała wojownika wielkiego i szczęśliwego. Widzę już wszystkie wojny ukończone i nieprzyjaciół pobitych.

– Ma wasza książęca mość rację! – odrzekł Szczaniecki. – Kubek w kubek to samo powiadali Radziejowski i Opaliński pod Ujściem. Cieszymy się, mości panowie! Na pohybel Janowi Kazimierzowi!...

To rzekłszy pan Szczaniecki odsunął z łoskotem krzesło, wstał i wyszedł z sali.

– Win najlepszych, jakie są w piwnicach! – zakrzyknął książę.

Pan marszałek pobiegł spełnić rozkazy. W sali zawrzało jak w ulu. Gdy pierwsze wrażenie minęło, szlachta poczęła rozprawiać nad wiadomościami i dyskutować. Wypytywano pana Suchańca o szczegóły z Podlania i przyległego Mazowsza, które już Szwedzi zajęli.

Po chwili wtoczono do sali smoliste ankary i poczęto odbijać w nich gwoździe. Humory ożywiły się i stopniowo stawały się coraz lepsze.

Coraz częstsze głosy jeły powtarzać: „Stało się! nie ma już rady!” – „Może będzie lepiej! Trzeba się zgodzić z fortuną!” – „Książę nie da nas ukrzywdzić!” – „Lepiej nam niż innym... Niech żyje Janusz Radziwiłł, wojewoda nasz, hetman i książę!”

– Wielki książę litewski! – krzyknął znowu pan Jurzyc.

Ale tym razem nie odpowiedziało mu już milczenie ani śmiech – owszem, kilkadziesiąt zachrypłych gardzieli ryknęło naraz:

– Życzym tego! Z serca i duszy życzym! Niech nam żyje! Niech panuje!

Magnat wstał z twarzą czerwoną jak szmat purpury.

– Dziękuję wam, panowie bracia!... – rzekł poważnie.

W sali od świateł i oddechów ludzkich uczyniło się duszno jak w łaźni.

Panna Aleksandra przechyliła się przez Kmicica ku miecznikowi rosieńskiemu.

– Słabo mi – rzekła – chodźmy stąd.

Jakoż twarz jej była blada, a na czole lśniły krople potu.

Lecz miecznik rosieński rzucił niespokojnym wzrokiem na hetmana w obawie, czy mu porzucenie stołu nie będzie za złe poczytane. W polu był to odważny żołnierz, lecz z całej duszy bał się Radziwiłła.

Tymczasem na domiar złego hetman rzekł w tej chwili:

– Wróg mój, kto ze mną wszystkich toastów do dna nie spełni, bom dziś wesół!

– Słyszałaś? – rzekł miecznik.

– Stryju, ja nie mogę dłużej, mnie słabo! – rzekła błagalnym głosem Oleńka.

– To odejdź sama – odpowiedział miecznik.

Panna wstała usiłując wymknąć się tak, aby niczyjej uwagi nie zwrócić; lecz sił jej brakło i chwyciła w niemocy za poręcz krzesła.

Nagle objęło ją silne rycerskie ramię i podtrzymało już prawie mdlejącą.

– Ja waćpannę odprowadzę! – rzekł pan Andrzej.

I nie pytając o pozwolenie objął jej kibić jakoby żelazną obręczą, lecz ona ciężyla mu coraz bardziej, wreszcie nim doszli do drzwi, zwiśla bezwładnie na jego ramieniu.

Wówczas on wziął ją na rękę, tak lekko jak dziecko, i wyniósł z sali.



## ROZDZIAŁ XXIII

Tegoż wieczora, po skończonej uczcie, pan Andrzej pragnął koniecznie widzieć się z księciem, ale odpowiedziano mu, że ksiązę zajęty jest tajemną rozmową z panem Suchańcem.

Przyszędł więc nazajutrz z rana i natychmiast został przed oblicze pańskie przypuszczony.

– Wasza ksiązęca mość – rzekł – przyszedłem z prośbą.

– Co chcesz, abym dla cię uczynił?

– Nie mogę tu dłużej żyć. Każdy dzień większa dla mnie męka. Nic tu po mnie w Kiejdanach. Niech wasza ksiązęca mość wymyśli mi jaką funkcję, niech mnie wyśle, gdzie chce. Słyszałem, że pułki mają na Zołtareńkę ruszać. Pójdę z nimi.

– Rad by Zołtareńko pohłasował z nami, ale mu nijak do nas, bo tu już szwedzka protekcja, a my też na niego bez Szwedów nie możemy... Graf Magnus okrutnie wolno się posuwa i wiadomo dlaczego! Dlatego że mi nie ufa. Ale także ci to źle w Kiejdanach przy naszym boku?

– Wasza ksiązęca mość na mnie łaskaw, a przecie tak mi źle, iż i wypowiedzieć nie umiem. Prawdę mówiąc, myślałem, że inaczej wszystko pójdzie... Myślałem, że będziem się bili, że żyć będziem w ogniu i w dymie, na kulbace dzień i noc. Do tego mnie Bóg stworzył. A tu siedz, słuchaj rozpraw i dysput, gnij w bezczynności albo poluj na swoich, zamiast na nieprzyjaciela... Nie mogę wytrzymać, po prostu nie mogę... Wolę sto razy śmierć, jak mi Bóg miły! czysta męka!

– Wiem już, z czego ta desperacja pochodzi. Amory to, nic więcej! Gdy podstarzejesz, będziesz się śmiał z tych mąk. Widziałem to wczoraj, żeście na siebie z tą dziewczyną krzywi i coraz krzywsi.

– Nic mi do niej, a jej do mnie. Co było, to się i skończyło!

– A co to, ona wczoraj zachorowała?

– Tak jest.

Ksiązę milczał przez chwilę.

– Radziłem ci już i jeszcze raz radzę – rzekł hetman – jeżeli ci o nią chodzi, to ją bierz, z jej wolą lub bez woli. Każę wam ślub dać. Będzie trochę krzy ku i płaczu... Nic to! Po ślubie weźmiesz ją do swojej kwatery... i jeśli nazajutrz jeszcze będzie płakała, toś ba-i-bardzo!

– Ja proszę waszej ksiązęcej mości o jakąś funkcję wojskową, nie o ślub! – odrzekł szorstko Kmicic.

– Tedy jej nie chcesz?

– Nie chcę. Ni ja jej, ni ona mnie! Choćby się też dusza we mnie podarła, nie będę jej o nic prosił. Chciałbym jeno być jak najdalej, ażeby o wszystkim zapomnieć, póki mi się rozum nie pomiesza. Tu nie ma nic do roboty, a bezczynność ze wszystkiego najgorsza, bo zmartwienie człowieka trawi jako choroba. Niech wasza ksiązęca mość przypomni sobie, jak jej wczoraj jeszcze było ciężko, póki nowiny dobre nie przyszły... Tak mnie jest dziś i tak będzie. Co mam robić? Za głowę się ułapić, by jej gorzkie myśli nie rozerwały, i siedzieć? Co tu wysiedzę? Bóg wie, co to za czasy, Bóg wie, co to za jakaś wojna, której zrozumieć ani umyślem objąć nie mogę... od czego jeszcze ciężej. Ot, jak mi Bóg miły, jeśli wasza ksiązęca mość mnie jako nie użyjesz, tedy chyba ucielknę, watahę zbiorę i będę bił...

– Kogo? – spytał ksiązę.

– Kogo? – Pójdę pod Wilno i będę urywał, jakom Chowańskiego urywał. Puść wasza ksiązęca mość ze mną moją chorągiew, to i wojna się zacznie!

– Twoja chorągiew tu mi potrzebna przeciw wewnętrznemu nieprzyjacielowi.

– Toż to i ból, toż to i męka w Kiejdanach z założonymi rękoma stróżować albo się za jakim Wołodyjowskim uganiać, którego by się przy strzemieniu za towarzysza mieć wołało.

– Ja funkcję dla ciebie mam – rzekł książę. Pod Wilno cię nie puszcę ani chorąwi ci nie dam. Jeżeli zaś wbrew mojej woli postąpisz i zebrawszy watahę pojedziesz, to wiedz, że tym samym przestaniesz mi służyć.

– Ale ojczyźnie się przysłużę!

– Ten ojczyźnie służy, kto mnie służy. Jużem cię o tym przekonał. Przypomnij sobie także, żeś mi zap=zysiał. Na koniec, gdy na wolentariusza wyjdiesz, to zarazem wyjdiesz spod mojej inkwizycji, a tam sądy z wyrokami na cię czekają... Dla własnego dobra nie powinieneś tego czynić.

– Co tam teraz sądy znaczą!

– Za Kownem nic, ale tu, gdzie jeszcze kraj spokojny, nie ustały dotąd funkcjonować. Możesz się wprawdzie nie stawić, ale wyroki zapadną i będą nad tobą ciążyły aż do spokojniejszych czasów. Kogo raz do trąby włożą, temu i w dziesięć lat przypomną, a już szlachta laudańska przypilnuje, by ci nie zapomniano.

– Żeby prawdę waszej książęcej mości powiedzieć, jak przyjdzie pokuta, to się i poddam. Dawniej gotów byłem z całą Rzeczpospolitą wojnę prowadzić i z wyroków tyle sobie robić, ile nieboszyk pan Łaszcz, który kazał sobie nimi delię podszyć... Ale teraz jakowaś bolączka wyrosła mi na sumieniu. Człek się boi zabrnąć dalej, niżby chciał, i niepokój duszny o wszystko go toczy.

– Taki żeś skrupulat? Ale mniejsza z tym! Powiedziałem ci, że jeśli chcesz stąd jechać, to funkcję dla ciebie mam i bardzo znacną. Ganchof mi o nią w oczy lezie i przymawia się każdego dnia. Już myślałem, żeby mu ją dać... Wszelako nie może to być, gdyż trzeba mi tam kogoś znacznego, z nie lada jakim nazwiskiem i nie obcym, ale polskim, które by samo przez się świadczyło, że nie wszyscy mnie opuścili i że są jeszcze możni obywatele, którzy ze mną trzymają... Tyś mi wraz do tego, ile że i fantazję masz dobrą, i wolisz, żeby się tobie kłaniano, niż żebyś sam się miał kłaniać.

– O co idzie waszej książęcej mości?

– Trzeba jechać w dalszą podróż...

– Dziś gotowym!

– I swoim kosztem, bo u mnie z pieniędzmi kuso. Jedne intraty nieprzyjacieli zajął, drugie swoje pustoszą, a wszystko nie dochodzi w porę; całe zaś wojsko, które przy mnie jest, przeszło teraz na mój koszt. Pewnie mi pan podskarbi, który u mnie pod kluczem siedzi, grosza nie użyczy, raz dlatego, żeby nie chciał, po wtóre, że sam nie ma. Co jest grosza publicznego, to biorę nie pytając; ale siłaż to go jest? od Szwedów zaś wszystkiego prędzej dostaniesz niż pieniędzy, bo im się samym na widok każdego szeląga ręce trzęsą.

– Wasza książęca mość niepotrzebnie się nad tym rozwodzi! Jeśli pojedę, to swoim kosztem.

– Ale tam trzeba znacznie wystąpić, nie żałować!...

– Nic ja nie będę żałował!

Oblicze hetmana rozjaśniło się, bo rzeczywiście gotowizny nie miał, chociaż niedawno Wilno zrabował, a przy tym chciwy był z natury. Prawdą było również i to, że intraty z niezmiernych jego dóbr, ciągnących się od Inflant po Kijów i od Smoleńska po Mazowsze, przestały w istocie wpływać, a koszta na wojsko z każdym dniem rosły.

– To mi się podoba! – rzekł. – Ganchof zaraz by mi zaczął w skrzynie pukać, a tyś człek inny. Słuchaj tedy, o co chodzi.

– Słucham pilnie.

– Naprzód pojedziesz na Podlasie. Periculosa to droga, bo tam są konfederaci, którzy z obozu wyszli i przeciw mnie czynią. Jak im się wykręcisz, to twoja rzecz. Ów Jakub Kmicic może by cię oszczędził, ale strzeż się Horotkiewicza, Żeromskiego, a zwłaszcza Wołodyjowskiego z jego laudańską kompanią.

– Byłem ja już w ich ręku i nic mi się nie stało.

– To dobrze. Wstąpisz do Zabłudowa, gdzie siedzi Harasimowicz. Przykażesz mu, żeby co można grosiwa z intrat, z podatków publicznych i skąd można ściągnął i mnie odesłał, ale nie tu, jeno do Tylży, gdzie są już rzeczy moje. Co będzie mógł zastawić z dóbr albo z inwentarzy, niech zastawi! co będzie można wiaść od Żydów, niech weźmie... Po wtóre, niech a konfederatach my-

śli, żeby ich jako pogubić. Ale to już nie twoja głowa, dam mu własnoręczną instrukcję. Ty mu list oddaj i ruszaj zaraz do Tykocina, do księcia Bogusława.

Tu hetman przerwał i począł oddychać głośno, bo dłuższe mówienie męczyło go bardzo. Kmicic wpatrywał się w niego chciwie, bo mu się dusza wydierała do odjazdu. I czuł, że ta podróż, pełna spodziewanych przygód, będzie balsamem na jego wewnętrzne zgryzoty.

Hetman po chwili tak mówić począł:

– Za głowę się biorę, dlaczego książę Bogusław siedzi jeszcze na Podlasiu?... Dla Boga! może zgubić mnie i siebie. Pilnie uważaj na to, co mówię, bo chociaż oddasz mu moje listy, trzeba, żebyś umiał żywym słowem je poprzeć i wytłumaczyć wszystko, co się napisać nie da. Owóż wiedz o tym, że wczorajsze wieści były dobre, ale nie tak dobre, jakem szlachcie powiedział, a nawet i nie tak dobre, jakem sam zrazu myślał. Szwedzi wprawdzie górą: zajęli Wielkopolskę, Mazowsze, Warszawę, województwo sieradzkie poddało im się, gonią Jana Kazimierza pod Kraków i Kraków oblegną, jak Bóg w niebie. Czarniecki ma go bronić, ów świeżo wypieczony senator, ale muszę przyznać, żołnierz dobry. Kto może przewidzieć, co się stanie?... Szwedzi wprawdzie umieją zdobywać fortece, a nie było nawet czasu na wzmocnienie Krakowa. Wszelako ten pstry kasztelanik może się trzymać miesiąc, dwa, trzy. Dzieją się czasem takie cuda, jako wszyscy pamiętamy pod Zbarazem... Owóż, jeśli się będzie zacięcie trzymał, diabeł może wszystko na wspak obrócić. Ucz się arkanów polityki. Wiedz tedy naprzód, że w Wiedniu nie będą chętnym okiem patrzeć na rosnącą potęgę szwedzką i mogą pomoc dać... Tatarzy też, wiem to dobrze, skłonni są pomagać Janowi Kazimierzowi, na kozactwo i Moskwę nawałem ruszą, a wówczas wojska ukraińskie pod Potockim przyjdą na pomoc... Desperat dziś Jan Kazimierz, a jutro może jego szczęście przeważać...

Tu książę musiał znów dać wypoczynek strudzonym piersiom, a pan Andrzej dziwnego doświadczał uczucia, z którego sam sobie na razie nie umiał sprawy zdać. Oto on, stronnik radziwiłłowski i szwedzki, czuł jakby radość wielką na myśl, że szczęście może się od Szwedów odwrócić.

– Mówił mi Suchaniec – rzekł książę – jak to było pod Widawą i Żarnowem. Owóż w pierwszym spotkaniu przednie stráže nasze... chciałem powiedzieć: polskie... starły Szwedów na proch. To nie pospolite ruszenie... i Szwedzi pono siła fantazji stracili.

– Ale przecie wiktoria tu i tam była przy nich?

– Była, bo się chorągwie Janowi Kazimierzowi pobuntowały, a szlachta oświadczyła, że będzie stać w szyku, ale się bić nie chce. Wszelako to się pokazało, że w polu nie więcej Szwedzi od kwarcianych umieją. Niech się trafi jedna i druga wiktoria, może się duch zmienić. Niech przyjdą Janowi Kazimierzowi zasiłki pieniężne, aby mógł żołd zapłacić, to się i nie będą buntowali. Potoczek nie ma siła ludu, ale srodze to ćwiczone chorągwie i zjadliwe jak osy. Tatarzy przyjdą z nim, a elektor nam w dodatku nie dopisuje.

– Jakże to?

– Liczyliśmy obaj z Bogusławem, że zaraz ze Szwedami i z nami w ligę wejdzie, bo wiemy, co o jego afektach dla Rzeczypospolitej trzymać... Ale on zbyt ostrożny i o własnym dobru tylko myśli. Czeka, widać, co się stanie, a tymczasem wchodzi w ligę, ale z miastami pruskimi, które wierne przy Janie Kazimierzem stoją. Myślę, że w tym będzie jakowaś zdrada, chyba by elektor nie był sobą albo zgoła o szwedzkiej fortunie wątpił. Ale nim się to wyjaśni, tymczasem liga przeciw Szwedom stoi, i niech im się w Małopolsce noga powinie, tedy zaraz się Wielkopolska i Mazury podniosą, Prusacy z nimi pójdą, i może się przytrafić...

Tu książę wzdrygnął się, jakby przerażony przypuszczeniem.

Co się może przytrafić? – pytał Kmicic.

– Że noga szwedzka z Rzeczypospolitej nie wyjdzie! – odparł ponuro książę.

Kmicic zmarszczył brwi i milczał.

– Wówczas – mówił dalej niskim głosem hetman – i nasza fortuna spadłaby tak nisko, jak wprzód była wysoko...

Pan Andrzej zerwał się z miejsca z iskrzącymi oczyma, z rumieńcami na twarzy i zakrzyknął:

– Wasza książęca mość! co to jest?... A czemuż mi to wasza książęca mość mówił niedawno, że Rzeczpospolita przepadła i że tylko w spółce ze Szwedami przez osobę i przyszłe panowanie waszej książęcej mości ratować ją można?... Czemu mam wierzyć? Czy temu, com wondrous słyszał, czy temu, co dziś? A jeśli tak jest, jak wasza książęca mość dziś mówisz, to dlaczego trzymamy ze Szwedami, zamiast ich bić?... Toż dusza do tego się śmieje!

Radziwiłł wpatrzył się surowo w młodzieńca. – Zuchwały jesteś! – rzekł.

Ale Kmicic jechał już na własnym uniesieniu jak na koniu.

– Potem o tym, jakim ja jest! Teraz daj mi wasza książęca mość respons na to, co pytam.

– Dam ci respons taki – rzekł dobitnie Radziwiłł – jeśli rzeczy tak się obróca, jak mówię, tedy zaczniemy Szwedów bić.

Pan Andrzej przestał parskać nozdrzami, natomiast palnął się dłonią w czoło i zakrzyknął:

– Głupim! głupim!

– Tego ci nie neguję – rzekł książę – i przydam, że miarę w zuchwałości przebierasz. Wiedźże, iż po to cię wysyłam, abyś zmiarkował, jak się fortuna obróci. Chcę dobra ojczyzny, niczego więcej. To, com mówił, są supozycje, które mogą się nie sprawdzić i pewnie się nie sprawdzą. Ale ostrożnym trzeba być. Kto chce, by go woda nie porwała, musi umieć Pływać, a kto idzie lasem, w którym dróg nie ma, ten często musi stawać i miarkować, w którą mu stronę iść należy... Rozumiesz?

– Tak jasno, jakoby słońce świeciło.

– *Recedere* nam wolno i trzeba, jeżeli dla ojczyzny będzie tak lepiej, ale nie będziemy mogli, jeśli książę Bogusław dłużej na Podlasiu będzie siedział. Głowę, widać, stracił czy co? Tam siedząc musi się za jedną albo za drugą sprawą oświadczyć: albo za Szwedem, albo za Janem Kazimierzem, a to właśnie byłoby najgorzej.

– Głupim jest, wasza książęca mość, bo znowu nie rozumiem!

– Podlasie blisko Mazowsza, i albo Szwedzi je zajmą, albo z miast pruskich przyjdą posiłki przeciw Szwedom. Tedy trzeba będzie wybierać.

– Ale czemu książę Bogusław nie ma wybierać?

– Bo póki on nie wybierze, póty Szwedzi bardziej się na nas oglądają i muszą nas ujmować, toż samo elektor. Jeśli zaś *recedere* przyjdzie i przeciw Szwedom się obrócić, tedy on ma być ogniwem między mną i Janem Kazimierzem... On ma mi powrót ułatwić, czego by nie mógł uczynić, gdyby wprzód przy Szwedach się opowiedział. Że zaś na Podlasiu musi wkrótce koniecznie wybrać, niech jedzie do Prus, do Tylży, i tam czeka, co się stanie. Elektor siedzi w margrabstwie, tedy Bogusław będzie największą powagą w Prusiech i całkiem może Prusaków w ręce wziąć, i wojsko pomnożyć, i na czele znacznej potęgi stanąć... A wondrous jedni i drudzy, co chcemy, dadzą, byle tylko nas dwóch mieć po sobie, i dom nasz nie tylko nie upadnie, ale się wzniesie, a to grunt.

– Wasza książęca mość mówiłeś, że grunt dobro ojczyzny...

– Nie chwytajże mnie za każde słowo, gitym ci z góry rzekł, że to wszystko jedno, i słuchaj dalej. Wiem to dobrze, że książę Bogusław, chociaż i podpisał akt unii ze Szwecją tutaj w Kiejdanach, jednakże za stronnika ich nie uchodzi. Niechże puszcza wieść, a i ty puszczej po drodze, żem go zmusił do podpisania wbrew sercu. Ludzie snadnie temu uwierzą, bo nieraz przytrafia się, że i rodzeni bracia do różnych partyj należą. Owóż tym sposobem będzie mógł wejść w konfidencję z konfederatami, sprosić naczelników do siebie, niby dla układów, a potem pochwyć i do Prus wywieźć. Godziwy to będzie sposób i dla ojczyzny zbawienny, bo inaczej ci ludzie całkiem ją zgubią.

– To wszystko, co mam uczynić? – pytał z pewnym rozczarowaniem Kmicic.

– To część zaledwie i nie najważniejsza. Od księcia Bogusława pojedziesz z moimi listami do samego Karolusa Gustawa. Ja tu nie mogę z grafem Magnusem do ładu dojść od czasu onej bitwy klewańskiej. Wciąż on na mnie zyzem patrzy i nie przestaje suponować, że byle się Szwedom noga pośliznęła, byle Tatarzy rzucili się na tego drugiego nieprzyjaciela, to i ja się przeciw Szwedom obrócę.

– Wnosząc z tego, co wasza książęca mość przedtem mówił, to słusznie suponuje.

– Słusznie czy niesłusznie, nie chcę, aby tak było i aby mi zaglądał, jakie kozery mam w ręku. Zresztą i personaliter niezyczliwy to dla mnie człowiek. Pewnie on tam niejedno na mnie do króla wypisuje, a jedno z dwojga z pewnością: albo żem słaby, albo żem niepewny. Trzeba temu zapobiec. Listy moje królowi oddasz; gdyby się ciebie o klewańską potrzebę wypytywał, powiesz, jak prawda, nic nie dodasz, nic nie ujmiesz. Możesz mu się przyznać, że tych ludzi na śmierć skazałem, a tyś ich wyprosił. Nic ci się za to nie stanie, owszem, może się szczerosc podobać. Magnusa grafa wprost przed królem nie będziesz oskarżał, boć to jego szwagier... Ale gdyby cię król, ot! tak mimochodem pytał, co tu ludzie myślą, powiedz mu, że żałują, iż graf Magnus nie dość się hetmanowi wypłaca za szczerą jego dla Szwedów przyjaźń; że sam książę (to jest ja) nad tym wielce boleje. Gdyby Pytał dalej, czy prawda, że mnie wszystkie wojska komputowe opuściły, powiesz, że nieprawda, i za dowód przytoczysz siebie. Powiadaj się pułkownikiem, bo nim jesteś... Mów, że to partyzanci pana Gosiewskiego pobuntowali wojsko, ale dodaj, że między nami nieprzyjaźń śmiertelna. Mów, że gdyby graf Magnus przysłał mi armat niecoś i jazdy, dawno byłbym już zgniótł owych konfederatów... że to jest ogólna opinia. Zresztą na wszystko zważaj, dawaj ucho, co tam w pobliżu królewskiej osoby mówią, i donoś nie mnie, ale jeśli się nadarzy okazja, księciu Bogusławowi do Prus. Można i przez elektorskich ludzi; jeśli ich napotkasz. Ty podobno umiesz po niemiecku?

– Miałem towarzysza, szlachcica kurlandzkiego, niejakiego Zenda, którego mi laudańscy ludzie usiekli. Od niego się niezłe po niemiecku poduczył. W Inflantach też często bywałem...

– To dobrze.

– A gdzie, wasza książęca mość, znajdzie króla szwedzkiego?

– Tam go znajdziesz, gdzie będzie. Czasu wojny dziś może być tu, jutro tam. Jeśli trafisz go pod Krakowem, to i lepiej, bo weźmiesz listy i do innych osób, które w tamtych stronach rezydują.

– To jeszcze do innych pojedę?

– Tak jest. Musisz dotrzeć do pana marszałka koronnego Lubomirskiego, o którego bardzo mi chodzi, aby do naszych zamysłów przystąpił. Można to człek i w Małopolsce siła od niego zależy. Gdyby on chciał szczerze stanąć przy Szwedach, tedyby Jan Kazimierz nie miał już co robić w Rzeczypospolitej. Królowi szwedzkiemu tego nie ukrywaj, że ode mnie do niego jedziesz, aby go dla Szwedów skaptować... Nie chwal się z tym wprost, ale się niby z prędkości wygadaj. Okrutnie to go dla mnie zjedna. Dałby Bóg, żeby pan Lubomirski chciał przy nas stanąć. Będzie on się wahał, to wiem; wszelako spodziewam się, że moje listy wagę przechyła, gdyż jest przyczyna, dla której musi on o moją życzliwość dbać wielce. Powiem ci, jak co jest, abyś wiedział, jak się tam obracać. Owóż dawno już pan marszałek objeżdżał mnie jako niedźwiedzia w kniei i starał się z daleka Wyrozumieć, czybym jedynaczki swojej za syna jego, Herakliusza, nie oddał. Dzieci to jeszcze, ale można by układ uczynić, na którym panu marszałkowi siła zależy, więcej niż mnie, bo drugiej takiej dziedziczki nie masz w Rzeczypospolitej, a gdyby się dwie fortuny złączyły, to w świecie nie byłoby równej... Smarowna to grzanka! A cóż dopiero, gdyby pan marszałek powziął nadzieję, że i koronę wielkksiążęcą mógłby syn jego za moją córką wianem wziąć. Tę nadzieję w nim obudź, a skusi się, jak Bóg na niebie, bo o domu własnym więcej niż o Rzeczypospolitej myśli.

– Cóż mam mu mówić?

– To, czego ja nie będę mógł napisać... Ale trzeba to misternie podsuwać... Niech cię Bóg broni, abyś się wydał z tym, żeś ode mnie słyssał, jakobym korony pragnał. Na to jeszcze za wcześnie... Ale mów, że tu wszystka szlachta na Żmudzi i na Litwie o tym mówi i chętnie to widzi, że sami Szwedzi głośno o tym wspominają; żeś to i przy osobie króla słyssał... Będziesz zważał, kto tam z dworzan z panem marszałkiem konfident, i podsuniesz mu taką myśl: niech Lubomirski przejdzie do Szwedów, a w nagrodę zażąda małżeństwa Herakliusza z Radziwiłłówną, a potem niech Radziwiłła na Wielkie Księstwo popiera, to Herakliusz je z czasem odziedziczy. Nie dość na tym; podsuń i to, że gdyby Herakliusz raz litewską włożył koronę, tedyby , go z czasem i na polski tron powołano, a tak w dwóch rodach dwie korony na powrót by się złączyć mogły. Jeśli się tam tej myśli oburącz nie pochwycą, to pokażą się małymi ludźmi. Kto wysoko nie mierzy i wielkich zamysłów

się złąknie, ten niech się łaską, buławką, kasztelanijką kontentuje, niech służy i kark zgina, przez pokojowców na łaskę zarabia, bo niczego lepszego niewart!... Mnie do czego innego Bóg stworzył i dlatego śmiem wyciągnąć rękę po wszystko, co tylko w mocy człowieczej, i dojść aż do tej granicy, jaką sam Bóg potędze ludzkiej postawił!

Tu książę wyciągnął rzeczywiście ręce, jakby chciał w nie jakąś niewidzialną koronę pochwycić, i rozgo- rzał cały jak pochodnia, ale wtem ze wzruszenia zno- wu mu powietrza zabrakło w gardzieli.

Po chwili uspokoił się jednak i rzekł przerywanym głosem:

– Ot... gdy dusza leci... jakoby do słońca ... choroba mówi swoje *memento*... Niech się co chce dzieje... Wolę, żeby mnie śmierć zastała na tronie... niż w królewskiej antykamerze...

– Może medyka zawołać? – pytał Kmicic. Radziwiłł począł kiwać ręką.

– Nie trzeba... nie trzeba... Już mi lepiej... Ot! i wszystko, co miałem ci powiedzieć... Prócz tego oczy miej otwarte, uszy otwarte. Bacz i na to, co Potoczyczna pocnie. Oni kupą chodzą, a Wazom wierni... i potężni... Koniecpolski a Sobiescy także nie wiadomo, jak się przechyła... Patrz i ucz się... Ot, i duszność przeszła... Zrozumiałeś wszystko *expedite*?

– Tak jest. Jeśli w czym pobłądę, to z własnej winy.

– Listy już mam popisane, jeno kilka zostaje. Kiedy chcesz ruszyć?

– Dziś jeszcze! Jak najprędzej!...

– Nie maszże jakiej próśby do mnie?

– Wasza książęca mość!... – zaczął Kmicic.

I urwał nagle.

Słowa z trudnością wychodziły mu z ust, a na twarzy malował się przymus i zmieszanie.

– Mów śmiało! – rzekł hetman.

– Proszę – rzekł Kmicic – aby tu miecznik rosieński i ona... jakowej krzywdy nie doznali!...

– Bądź pewien. Ale to widzę, że ty tę dziewczkę jeszcze miłujesz?

– Nie może być! – rzekł Kmicic. – Zali ja wiem!... Godzinę ją miłuję, godzinę nienawidzę...

Diabeł jeden wie! Skończyło się wszystko, jakom rzekł... jedna męka została... Nie chcę ja jej, ale nie chcę, by ją inny brał... Wasza książęca mość niech tego nie dopuści... Sam nie wiem, co gadam... Jechać mi, jechać jak najprędzej! Niech wasza książęca mość nie zważa na moje słowa. Bóg mi wróci rozum, jeno za bramę wyjadę...

– Rozumiem to, że póki z czasem afekt nie ostygnie, to choć się samemu nie chce, przecie parzy myśl, że inny weźmie. Ale bądź o to spokojny, bo nikogo tu nie dopuszczę, a wyjechać stąd, nie wyjadą. Wkrótce wszędy pełno będzie obcego żołnierza i niebezpieczne!... Najlepiej ją do Taurogów wyprawię, pod Tylżę, gdzie księżna bawi... Bądź spokojny, Jędreku!... Idź, gotuj się do drogi, a przychodź do mnie na obiad...

Kmicic skłonił się i wyszedł, a Radziwiłł począł oddychać głęboko. Rad był z wyjazdu Kmicica. Zostawała mu jego chorągiew i jego nazwisko, jako stronnika, a o osobę mniej dbał.

Owszem, Kmicic wyjechawszy mógł mu oddać znaczne posługi; w Kiejdanach ciążył mu już od dawna. Hetman pewniejszym był go z daleka niż z bliska. Dzika fantazja i zapalczywość Kmicica mogły lada chwila sprowadzić w Kiejdanach wybuch i zerwanie, nader niebezpieczne dla obojgu. Wyjazd usuwał niebezpieczeństwo.

– Jedźże, diable wcielony, i służ! – mruknął książę poglądając na drzwi, którymi odszedł chorąży orszański.

Następnie zawołał pazia i rozkazał prosić do siebie Ganchofa.

– Obejmiesz chorągiew Kmicicową – rzekł mu i komendę nad całą jazdą. Kmicic wyjeżdża.

Przez zimną twarz Ganchofa przebiegł jakoby błysk radości. Omijała go misja, ale spotykała wyższa szarża.

Skłonił się więc w milczeniu i rzekł:

– Wierną służbą za łaskę waszej książęcej mości się wyplączę!

Po czym wyprostował się i czekał.

-A,co powiesz więcej? – rzekł książę.  
– Wasza książęca mość! przyjechał tu dziś rano szlachcic z Wilkomierza, który przywiózł wieść,  
że I pan Sapieha na waszą książęcą mość z wojskami ciągnie.  
Radziwiłł drgnął, lecz w mgnieniu oka opanował wrażenie.  
– Możesz odejść! – rzekł do Ganchofa.  
Po czym zamyślił się głęboko.

## ROZDZIAŁ XXIV

Kmicic zajął się bardzo czynnie przygotowaniem do drogi oraz wyborem ludzi, którzy mieli mu towarzyszyć, postanowił bowiem nie jechać bez pewnej asystencji, raz dla bezpieczeństwa własnego, a po wtóre, dla powagi swojej poselskiej osoby. Pilno mu było, więc chciał ruszyć tegoż jeszcze dnia na noc lub jeśliby słońce nie ustało, nazajutrz rano. Ludzi wynalazł wreszcie sześciu pewnych, którzy dawniej jeszcze pod nim służyli, w tych lepszych czasach, gdy się przed przyjazdem do Lubicza pod Chowańskim uwijał, starych zabijaków orszańskich, gotowych iść za nim choćby na kraj świata. Sama to była szlachta i bojarowie putni, ostatnie resztki potężnej niegdyś watahy, przez Butrymów wyciętej. Na czele ich stanął wachmistrz Soroka, dawny sługa Kmiciców, żołnierz stary i sprawny bardzo, chociaż liczne wyroki, za liczniejsze jeszcze swawole, nad nim ciążyły.

Po obiedzie dał hetman panu Andrzejowi listy i glejt do komendantów szwedzkich, z którymi młody poseł mógł się w znaczniejszych miastach spotykać; pożegnał go i wyprawił dość czule, prawie po ojcowsku, zalecając ostrożność i rozwagę.

Tymczasem pod wieczór niebo poczęło się wyjaśniać, mdłe słońce jesienne ukazało się nad Kiejdanami i zaszło za czerwone chmury porozciągane długimi pasmami na zachodzie.

Nic nie stawało na przeszkodzie do drogi. Kmicic popijał właśnie strzemiennego z Ganchofem, Charłampem i kilkoma innymi oficerami, gdy o zmroku już wszedł Soroka i spytał:

- Jedziemy, panie komendancie?
- Za godzinę! – odparł Kmicic.
- Konie i ludzie gotowi, już na dziedzińcu...

Wachmistrz wyszedł, a oni poczęli się tym bardziej trącać kielichami, lubo Kmicic więcej udawał, że pije, niż pił w rzeczywistości. Nie w smak mu było wino i nie szło mu do głowy, nie rozweselało humoru, a tymczasem tamtym kurzyło się już z czupryn.

– Mości pułkowniku! – mówił Ganchof. – Poleć mnie łasce księcia Bogusława... Wielki to kawaler, jakiego drugiego nie masz w całej Rzeczypospolitej. Jak tam przyjedziesz, to jakobyś do Francji przyjechał. Inna mowa, inny obyczaj, a każdy dworności tam się może nauczyć snadniej jeszcze aniżeli na królewskim dworze.

– Pamiętam księcia Bogusława pod Beresteczkiem – rzekł Charłamp – miał jeden regiment dragonów, całkiem na francuski ład musztrowany, którzy pieszą i konną służbę zarówno pełnili. Oficerowie sami byli Francuzi, prócz kilku Olendrów, a i między żołnierzami większa była część Francuzów. A wszystko franty. To tak od nich różnymi wonnościami pachniało, jakoby z apteki. W bitwie rapierami okrutnie bodli i powiadali o nich, że co który człeka przebódl, to mu mówił: Pardonnez moi! – tak politykę nawet z hultajstwem obserwowali. A księżę Bogusław z chustką na szpadzie między nimi jeździł, zawsze uśmiechnięty, choćby w największym ukropie, gdyż taka jest francuska moda, aby się śmiać wśród krwi rozlewu. Twarz miał też barwiczką pomalowaną, a brwi węgielkiem wyczernione, na co krzywili się starzy żołnierze i przezywali go koczotką. I zaraz po bitwie kryzy nowe mu przynosili, żeby to był zawsze strojny, jakoby na ucztę, i włosy mu że laskami „przypiekali, dziwne z nich czyniąc fircy– fuszki. Ale mężny to pan i pierwszy i w największy ogień szedł. Pana Kalinowskiego też na rękę wyzwał że mu tam coś przymówił, aż król jegoć musiał godzić.

– Nie ma co! – mówił Ganchof. – Ciekawych się waść rzeczy napatrzysz i samego króla szwedzkiego oblicze będziesz widział, który jest wojownik po naszym księciu w świecie największy.

– I pana Czarnieckiego – dodał Charłamp. – Coraz głośniejsze o nim mówią.

– Pan Czarniecki stoi po stronie Jana Kazimierza i przez to jest naszym nieprzyjacielem! – odrzekł surowo Ganchof.



– Dziwne się rzeczy na świecie dzieją – rzekł w zamyśleniu Charłamp. – Gdyby tak ktoś rok temu albo dwa powiedział, że Szwedzi tu przyjdą, to byśmy wszyscy myśleli, że będziem ich bić, a tymczasem patrzcie waszmościowie...

– Nie my jedni, ale cała Rzeczpospolita ich z otwartymi rękami przyjęła! – rzekł Ganchof.

– Tak jest! jako żywo! – wtrącił w zamyśleniu Kmicic.

– Prócz pana Sapiehy i pana Gosiewskiego, i pana Czarnieckiego, i hetmanów koronnych! – rzekł Charłamp.

– Lepiej o tym nie mówić! – odpowiedział Ganchof. – No! mości pułkowniku, wracajże nam zdrowo... promocje cię tu czekają...

– I panna Billewiczówna – dodał Charłamp.

– Waćpanu nic do panny Billewiczówny! – odrzekł szorstko Kmicic.

– Pewnie, że nic, bom już i za stary. Ostatni raz... Czekajcie, waszmościowie... kiedyż to było?... Aha! ostatni raz w czasie elekcji dziś nam miłościwie panującego Jana Kazimierza...

– Waszmość od tego język odzwyczaj! – przerwał Ganchof. – Dziś – panuje nam miłościwie Karol Gustaw.

– Prawda!... *Consuetudo altera natura*... Owóż ostatni raz w czasie elekcji Jana Kazimierza, naszego eks-króla i wielkiego księcia litewskiego, okrutniem się zakochał w jednej pannie z fraucymeru księżnej Jeremiowej. Wabna to była bestyjka... Ale com jej chciał w oczy bliżej spojrzeć, to mi pan Wołodyjowski szablę podstawił. Miałem się z nim bić, tymczasem Bohun wszedł między nas, którego Wołodyjowski jak zająca wypatroszył. Żeby nie to, tyle byście mnie waszmościowie teraz żywego widzieli. Ale wonczas gotów byłem się bić choćby z diabłem. Wołodyjowski zresztą per amicitiam się o nią tylko zastawiał, bo ona była z innym zmówiona, jeszcze gorszym zabijaką... Ej, mówię waściom, myślałem, że uschnę... Ni mi było do jada, ni do napitku... Dopiero jak mnie książę nasz z Warszawy aż do Smoleńska posłał, tak i afekt wytrząsałem po drodze. Nie masz jak podróż na takowe zgryzoty. W pierwszej mili już mi się stało lżej, a nim do Wilna dojechałem, ani mi była w głowie, i do tej pory w kawalerskim stanie wytrzymałem. Ot, co! Nie masz jak droga na nieszczęśliwe afekta!

– Takie to waść mówisz? – spytał Kmicic.

– Jako żywo! Niech tak czarni porwą wszystkie gładyszki z całej Litwy i Korony! Już mi one niepotrzebne.

– I bez pożegnania waść wyjechałeś?

– Bez pożegnania, jenom tasiemkę czerwoną za sobą rzucił, co mi jedna stara niewiasta, w rzeczach afektu bardzo doświadczona, doradziła.

– Zdrowie waszmości – wtrącił Ganchof zwracając się znów do pana Andrzeja.

– Zdrowie! – odrzekł Kmicic. – Dziękuję z serca! – Do dna! do dna! Waszmości czas na koń, a i nas też służba potrzebuje. Niech waszą mość Bóg prowadzi i odprowadzi!

– Bywajcie zdrowi!

– Tasiemkę czerwoną rzucić za siebie – rzekł Charłamp – albo na pierwszym noclegu ognisko wiadrem wody samemu zalać. Pamiętaj waść... jeżeli chcesz zapomnieć!

– Ostawaj waść z Bogiem!

– Nieprędko się obaczym!

– A może gdzie na polu bitwy – dorzucił Ganchof. – Daj Boże, obok siebie, nie przeciw sobie.

– Nie może inaczej być! – odrzekł Kmicic.

I oficerowie wyszli.

Zegar bił siódmą z wieży. Na dziedzińcu konie stukały kopytami o kamienne płyty, a przez okno widać było ludzi czekających w gotowości. Dziwny niepokój ogarnął pana Andrzeja. Powtarzał sobie: „Jadę! jadę!” Wyobrażenia przesuwająca mu przed oczyma nieznanne kraje i tłum nieznanych twarzy, które miał zobaczyć, a jednocześnie chwytające go także zdziwienie na myśl o tej drodze, jak gdyby przedtem nigdy o niej nie myślał.

„Trzeba się na koń i ruszyć, a co się zdarzy, to się zdarzy... Co będzie, to będzie!” – myślał sobie. Teraz jednak, gdy konie parskały już za oknem

i godzina odjazdu biła, czuł, że tamto życie będzie obce, a wszystko, z czym się zżył, do czego się wzwyczaił, z czym zrósł mimo woli duszą i sercem, to pozostanie w tym kraju, w tej okolicy, w tym mieście. Dawny Kmicic także zostanie tu, a tam pojedzie jakoby inny człowiek, tak obcy wszystkim, jak i wszyscy mu tam obcy. Trzeba mu tam będzie zacząć zupełnie nowe życie, a Bóg jeden raczy wiedzieć, czy stanie na to ochoty.

Pan Andrzej był znużony na duszy śmiertelnie i dlatego w tej chwili czuł się wobec tych nowych widoków i nowych ludzi bezsilnym... Pomyślał, że tu mu było źle i tam będzie źle, a przynajmniej ciężko bardzo.

Ale czas! czas! Trzeba czapkę na głowę włożyć i jechać!

Zali jednak bez pożegnania?

Możnaż to być tak blisko, a potem tak daleko, by słowa nie rzec i odjechać? Ot, do czego doszło! Ale co jej rzec?... Czy pójść i powiedzieć: „Zepsowało się wszystko... idź waćpanna swoją drogą, ja pójdę swoją! po co, po co to i mówić, gdy bez mówienia tak się stało. Toż on nie jest już jej narzeczonym, jako i ona nie jest i nie będzie jego żoną. Przepadło, zerwało się, co było, i nie wróci, i nie zwiąże się na nowo. Szkoda czasu, słów i nowej męki.

„Nie pójdę!” – myślał Kmicic.

Lecz z drugiej strony, łączy ich jeszcze wola zmarłego. Trzeba wyraźnie i bez gniewu umówić się o wieczne rozstanie i powiedzieć jej: „Waćpanna mnie nie chcesz, więc wracam ci słowo. Uwajamy oboje, jakoby testamentu nie było... i niech każde szuka szczęścia, gdzie może.”

Lecz ona może odpowiedzieć: „Jam to już dawno waćpanu oznajmiła, czemu mi teraz to powtarzasz?”

– Nie pójdę! Niech, co chce, będzie! – powtórzył sobie Kmicic.

I nacisnąwszy czapkę na głowę wyszedł ze stacji na korytarz. Chciał wprost się na koń i co prędzej znaleźć się za bramą.

Nagle na korytarzu jakoby go coś za włosy chwyciło...

Owładnęła go taka chęć widzenia jej, przemówienia do niej, że przestał rozmyślać: czy iść, czy nie iść, przestał rozumować i biegł, a raczej pędził z zamkniętymi oczyma, jakoby się chciał w wodę rzucić.

Przed samymi drzwiami, przed którymi warta już była zdjęta, natknął się na pacholika pana miecznika rosieńskiego.

– Jest pan miecznik w stacji? – spytał.

– Pan miecznik jest pomiędzy oficerami w cekhauzie.

– A panna?

– Panna jest.

– Ruszaj powiedzieć, że pan Kmicic wyjeżdża w długą drogę i chce pannę widzieć.

Pachołek usłuchał rozkazu, lecz nim wrócił z odpo- wiedzią, Kmicic pocisnął klamkę i wszedł bez pytania.

– Przychodzę waćpannę pożegnać – rzekł – bo nie wiem, czy się w życiu jeszcze obaczym.

Nagle zwrócił się do pacholka: – Czego tu jeszcze stoisz?

– Moja mościa panno! – mówił dalej Kmicic, gdy drzwi za sługą zamknęły się. – Chciałem jechać bez pożegnania, ale nie mogłem. Bóg raczy wiedzieć, kiedy wrócę i czy wrócę, bo i o przygodę nietrudno. Lepiej nie rozstawajmy się z gniewem w sercu i z urazą, aby kara boska na które z nas nie spadła. Ej! siła by mówić, siła by mówić, a tu język wszystkiego nie wypowie. No! szczęścia nie było, woli bożej, widać, nie było, a teraz, choć ty, człeku, i łbem w mur bij, nie ma już rady nijakiej! Nie winujże mnie, waćpanna, to i ja cię nie będę winował. Już na ów testament nie trzeba zważać, bo jako rzekłem: na nic ludzka wola przeciw boskiej. Daj ci Boże szczęście i spokojność. Grunt, żeby sobie winy odpuścić. Nie wiem, co mnie tam spotka, gdzie jadę... Ale już mi dłużej nie wysiedzieć w męce, w kłótni, w żalu... Człek się o cztery ściany w izbie rozbija, bez rady, mościa

panno, bez rady!... Nie masz tu nic do roboty, jeno się ze zgryzotą w bary brać, jeno myśleć po całych dniach, aż głowa boli, o nieszczęsnych terminach i w końcu nic nie wymyślić... Trzeba mi tego wyjazdu, jako rybie wody, jako ptakowi powietrza, bo inaczej bym oszalał.

– Dajże Boże i waćpanu szczęście! – odrzekła panna Aleksandra.

I stała przed nim, jakoby ogłuszona wyjazdem, widokiem i słowami pana Kmicica. Na twarzy jej malowało się zmieszanie i zdziwienie, i widocznym było, że walkę ze sobą toczy, aby przyjść do siebie; tymczasem zaś spoglądała szeroko otwartymi oczyma na młodego junaka.

– Ja do waćpana nie chowam urazy... – rzekła po chwili.

– Bodaj tego wszystkiego nie było! – odrzekł Kmicic. – Jakowys zły duch wszedł między nas i niby morzem nas rozdzielił. Ani tej wody przepłynąć, ani jej przebrnąć... Człek nie czynił tego, co chciał, nie szedł, gdzie zamierzył, jeno jakby go coś popychało, aż i zasłiśmy oboje na bezdroże. Ale skoro się mamy z oczu stracić, toć lepiej choć z dalekości zakrzyknąć sobie: „Bóg prowadź!” Trzeba też waćpannie wiedzieć, że uraza i gniew to co innego, a żal co innego. Gniewum się wyzbył, ale żal we mnie siedzi – może nie do waćpanny. Bo ja sam wiem do kogo i czego?... Myśląc nic nie wymyślę, ale tak mi się zdaje, że lżej będzie i mnie, i waćpannie, gdy się rozmówiem. Waćpanna masz mnie za zdrajcę... i to mnie najgorzej kole, bo jak zbawienia duszy mojej pragnę, tak nie byłem i nie będę zdrajcą!

– Już tego nie myślę!... – rzekła Oleńka.

– Oj! jakże to mogłaś myśleć choć godzinę... Toż mnie znałaś, że dawniej do swawoli byłem gotów: usiec, podpalić kogoś, zastrzelić to co innego; ale zdradzić dla zysku, dla promocji – nigdy!... Brońże mnie, Boże, i sądz!... Waćpanna jesteś niewiasta i nie możesz rozumieć, w czym zbawienie ojczyzny, więc ci się nie godzi potępiać ani wyroków dawać. A czemu potępiłaś?... A czemu wyrok wydałaś?... Bóg z tobą!... Wiedźże o tym, że zbawienie w księciu Radziwille i w Szwedach, a kto inaczej myśli, a zwłaszcza czyni, ten właśnie ojczyznę gubi. Ale nie czas mi dyskutować, bo czas jechać. Wiedz tylko, żem nie zdrajca, nie przedawczyk. Bodajem zginął, jeżeli nim kiedy będę!... Wiedz, żeś niesłusznie mną pogardziła, niesłusznieś na śmierć skazała... To ci mówię pod przysięgą i na wyjezdny, a mówię dlatego, ażeby zarazem powiedzieć: odpuszczam z serca, ale za to i ty mnie odpuść!

Panna Aleksandra przysła już zupełnie do siebie. – Co waćpan mówisz, żem cię niesłusznie posądzała, to prawda, i wina moja, którą wyznawam... i o przebaczenie proszę...

Tu głos jej zadrgał i oczy niebieskie zaszły łzami, a on począł wołać z uniesieniem:

– Odpuszczam! odpuszczam! ja bym ci śmierć moją odpuścił!...

– Niechże waćpana Bóg prowadzi i nawróci na prawdziwą drogę, abyś zszedł z tej, po której błądzisz.

– Daj już pokój! daj już pokój! – zawołał gorączkowo Kmicic – aby znów niezgoda między nami nie powstała. Błądzą czy nie błądzą, nie mów o tym. Każdy niech wedle sumienia idzie, a Bóg intencje osądzi. Lepiej, żem tu przyszedł, żem nie wyjechał bez pożegnania. Dajże mi rękę na drogę... Tyle mojego, bo jutro już cię nie będę widział ani pojutrze, ani za miesiąc, może nigdy... Ej, Oleńka!... i w głowie się mąci... Oleńka! Zali się my już nie obaczym?...

Obfite łzy jak perły poczęły spadać jej z rzęs na policzki.

– Panie Andrzeju!... odstęp zdrajców!... a wszystko może być...

– Cicho!... a cicho!... – odrzekł Kmicic przerywanym głosem. – Nie może być!... Nie mogę... Lepiej nic nie mów... Bodaj mnie zabito! mniejsza byłaby męka... Dla Boga! za co nas to spotyka?!... Bądźże zdrowa!... ostatni raz!... A potem niech mi tam śmierć gdzie oczy stuli... Czego płaczesz?... Nie płacz, bo oszaleję!..

I w najwyższym uniesieniu porwał ją wpół przemocą i choć się opierała, począł całować jej oczy, usta, potem do nóg się rzucił – na koniec zerwał się jak szalony i chwyciwszy za czuprynę wybiegł z komnaty krzycząc:

– Diabeł tu nie pomoże, nie tylko czerwona nitka!...

Przez okno widziała go jeszcze Oleńka, jak na koń siadał pospiesznie, potem siedmiu jeźdźców ruszyło. Szkoci trzymający straż w bramie uczynili chrzest bronią prezentując muszkiety; następnie brama zawarła się za jeźdźcami i już ich nie było widać na ciemnej drodze, między drzewami.

Noc też zapadła zupełna.

## ROZDZIAŁ XXV

Kowno i cały kraj po lewym brzegu Wilii oraz wszystkie drogi zajęte były przez nieprzyjaciela, więc pan Kmicic, nie mogąc na Podlasie jechać wielkim gościńcem idącym z Kowna do Grodna, a stamtąd do Białegostoku, puścił się bocznymi drogami z Kiejdan wprost w dół, z biegiem Niewiaży, aż do Niemna, który przebywszy w pobliżu Wilków, znalazł się w województwie troskim.

Całą tę niezbyt zresztą wielką część drogi odbył spokojnie, okolica ta bowiem leżała jakoby pod ręką Radziwiłła.

Miasteczka, a gdzieniegdzie i wsie, zajęte były przez nadworne chorągwie hetmańskie lub przez małe oddziały rajtarów szwedzkich, które hetman umyślnie powysuwał tak daleko przeciw zastępom Zołtareńki, stojącym tuż za Wilią, aby do zaczepki i do wojny łatwiej znalazła się okazja.

Rad byłby też i Zołtareńko „pohałasować” – wedle słów hetmana – ze Szwedami, ale natomiast ci, których był pomocnikiem; nie chcieli z nimi wojny, a przynajmniej pragnęli ją odłożyć do najdalszego terminu; odebrał więc Zołtareńko najsurowsze rozkazy, by za rzekę nie przechodził, a w razie gdyby sam Radziwiłł w spółce ze Szwedami na niego ruszył, aby się cofał najprędzej.

Z tych to powodów kraj po prawej stronie Wilii był spokojny, ale że przez rzekę spoglądały na się z jednej strony straż kozackie, z drugiej szwedzkie i radziwiłłowskie, więc lada chwila jeden wystrzał z muszkietu mógł straszną wojnę rozpętać.

W przewidywaniu tego wcześniej chronili się ludzie do miejsc bezpiecznych. Więc kraj był spokojny, ale i pusty. Wszędy widział pan Andrzej opustoszałe miasteczka, popodpierane drągami okiennice dworów i całe wsie wyludnione.

Pola były również puste, bo stert tego roku na nich nie stawiano. Prosty lud chronił się w niezgłębione lasy, do których zabierał i spędzał wszelki dobytek, szlachta zaś uciekała do sąsiednich Prus elektorskich, na razie całkiem od wojny zabezpieczonych. Więc jeno na drogach i puszczańskich szlakach ruch był niezwykły, bo liczbę zbiegów powiększali ci jeszcze, którzy mogli z lewego brzegu Wilii, spod ucisku Zołtareńki, się przepawić.

Tych liczba była ogromna, a mianowicie chłopów, gdyż szlachta, która nie zdołała dotąd z lewego brzegu uskoczyć, w jasyr poszła lub gardła na progach domów oddała.

Spotykał więc pan Andrzej co chwila całe gromady chłopstwa, z żonami i dziećmi, pędzące przed sobą trzody owiec, koni i bydła. Ta część województwa trockiego, dotykająca Prus elektorskich, zamożna była i żyzna, więc lud bogaty miał co chronić i przechowywać. Zbliżająca się zima nie odstraszała zbiegów, którzy woleli czekać na lepsze dni wśród mchów leśnych, w szałasach przykrytych śniegami, niż we wsiach rodzinnych wyglądać śmierci z rąk nieprzyjaciela.

Kmicic częstokroć zbliżał się do uciekających gromad lub do ognisk nocami w gąszczach leśnych błyszczących. Wszędy, gdzie tylko trafił na ludzi z lewego brzegu Wilii, spod Kowna albo z dalszych jeszcze okolic, słyszał straszne opowiadania o okrucieństwach Zołtareńki i jego sprzymierzonych, którzy wycinali w pień ludność bez uwagi na wiek i płeć, palili wsie, wycinali nawet drzewa w sadach, ziemię i wodę tylko zostawiając. Nigdy zagony tatarskie nie zostawiały za sobą takich spustoszeń.

Nie samą śmierć tylko zadawano mieszkańcom, bo wprzód mękami najwymyślniejszymi ich morzono. Wielu z tych ludzi uciekało w obłąkaniu umysłowym. Ci nocami napelniali głąbie leśne strasznymi krzykami; inni, choć już przeszli na tę stronę Niemna i Wilii, choć już lasy i gąszcze, i bagna przedzieliły ich od watah Zołtareńki, byli ciągle jakby w gorączce i oczekiwaniu napadu. Wielu wyciągało ręce do Kmicica i jego orszańskich jeźdźców, błagając o ratunek i miłosierdzie, jak gdyby nieprzyjaciel stał tuż nad nimi.

Uciekały ku Prusom i kolaski szlacheckie wiozące starców, niewiasty i dzieci; za nimi ciągnęły wozy ze służbą, dostatkami, zapasami żywności, dobytkiem i rzeczami. Wszystko w popłochu, przestachu i żałości, że na tułaczkę idzie.

Pan Andrzej pocieszał czasem tych nieszczęśliwych mówiąc im, że rychło już Szwedzi rzekę przejdą i tamtego nieprzyjaciela het, daleko, wyženą. Wówczas zbiegowie wyciągali ręce ku niebu i mówili:

– Daj Bóg zdrowie, daj Bóg szczęście księciu wojewodzie za to, że polityczny naród na naszą obronę sprowadził. Gdy Szwedzi wejdą, wrócim do domów, do pogorzelsk naszych...

I błogosławiono księcia powszechnie. Z ust do ust podawano sobie wiadomości, że lada chwila przejdzie Wilię na czele własnych i szwedzkich wojsk. Z góry wychwalano „skromność” szwedzką, karność i dobre obchodzenie się z mieszkańcami. Radziwiłła zwano Gedeonem litewskim, Samsonem, zbawcą. Ci ludzie, z okolic dymiących świeżą krwią i pożarem, wyglądali go jak zbawienia.

A Kmicic, słysząc te błogosławieństwa, życzenia, te niemal modły, umacniał się w wierze względem Radziwiłła i powtarzał sobie w duszy:

„Takiemu to panu służę! Zamknę oczy i pójdę ślepo za jego fortuną. Straszny on czasem i niezbadany, ale większy ma rozum od innych, lepiej wie, czego trzeba, i w nim jednym zbawienie.”

Lżej mu się zrobiło i pogodniej w sercu na tę myśl, więc jechał dalej z większą otuchą w sercu, rozdzielając duszy między tęsknotę po Kiejdanach a rozmyślania o nieszczęsnym stanie ojczyzny.

Tęsknota wznosiła się coraz bardziej. Czerwonej tasiemki za siebie nie rzucił, pierwszego ogniska wiadrzem wody nie zalał, bo raz: czuł, że to na nic, po wtóre: nie chciał.

– Ej, żeby ona tu była, żeby te płakania i jęki ludzkie słyszała, nie prosiłaby Boga, by mnie nawrócił, nie mówiłaby mi, że błędzę jako owi heretycy, którzy prawdziwą wiarę porzucili. Ale nic to! Prędzej później ona się przekona, pozna, że jej to rozum szwankował... A wtedy będzie, co Bóg da... Może się jeszcze w życiu spotkamy.

I tęsknota wznosiła się w młodym kawalerze, ale zarazem przekonanie, że po prawdziwej, nie błędnej drodze stąpa, dało mu spokój od dawna nie znany. Targanina myśli, zgryzoty, wątpliwości opuszczały go z wolna i jechał przed siebie, zanurzał się w bezbrzeżne lasy prawie wesoło. Od czasu jak po sławnych z Chowańskim gonitwach do Lubicza przyjechał, nie czuł, aby mu tak rażno było na świecie.

W tym wąsaty Charłamp miał słuszność, że nie masz jak droga na duszne troski i niepokoje. Zdrowie miał pan Andrzej żelazne, a fantazja wracała mu z każdą chwilą i chęć przygód. Widział je przed sobą i uśmiechał się do nich, i gnał konwój bez wytchnienia, ledwie się na krótkie noclegi zatrzymując.

Przed oczyma duszy stała mu ustawicznie Oleńka, spłakana, drżąca w jego ramionach jak ptak, i mówił sobie: wróć.

Czasem przesuwiała się przed nim postać hetmana, posepna, ogromna, groźna. Ale może właśnie dlatego, że się od niej oddalał coraz bardziej, ta postać stawała mu się prawie drogą. Dotychczas ugiął się przed Radziwiłłem, teraz zaczynał go kochać. Dotychczas Radziwiłł porywał go, jak potężny wir wodny porywa i przyciąga wszystko, co się w jego kolisko dostanie; teraz Kmicic czuł, że chce płynąć z nim razem z całą duszą.

I z odległości rósł ten olbrzymi wojewoda coraz bardziej w oczach młodego rycerza i prawie nadludzkie przybierał rozmiary. Nieraz na noclegu, gdy pan Andrzej zamykał do snu oczy, widział hetmana siedzącego na tronie wyższym nad szczyty sosen. Korona na głowie jego, twarz ta sama, posepna, ogromna, w rękach miecz i berło, a pod stopami cała Rzeczpospolita.

I bił czołem w duszy przed wielkością.

Trzeciego dnia podróży zostawili za sobą daleko Niemen i weszli w kraj jeszcze lesistszy. Zbiegów na drogach napotykali ciągle całe gromady, a szlachta, która nie mogła oręza dźwigać, uchodziła prawie bez wyjątku do Prus przed podjazdami nieprzyjacielskimi, które nie utrzymywane tutaj na wodzy, jak nad brzegami Wilii przez szwedzkie i radziwiłłowskie pułki, zapuszczały się czasem daleko w głąb kraju, aż pod samą granicę Prus elektorskich. Łupież bywała ich głównym celem.

Nieraz były też to watahy niby do wojsk Zółtareńki należące, a w rzeczy nie uznające nad sobą niczyjej buławy – po prostu oddziały zbójcekie, tak zwane „partie”, nad którymi czasem i miejscowi opryszkowie mieli komendę. Te, unikając spotkania w polu z wojskiem, a nawet z pachółkami miejskimi, napadały pomniejszych wsie, dwory i podróżników.

Gromiła ich szlachta na własną rękę ze swymi dworskimi ludźmi i ubierała nimi sosny przydrożne, jednakże łatwo było w lasach natknąć się na spore ich oddziały, i dlatego musiał pan Andrzej zachowywać teraz nadzwyczajną ostrożność.

Lecz nieco dalej, w Pilwiskach nad Szeszupą, zastał już pan Kmicic ludność spokojnie na miejscu siedzącą. Mieszczanie opowiedzieli mu jednak, że nie dawniej jak parę dni temu napadł na starostwo potężny oddział Zółtareńki, do pięciuset ludzi liczący, który byłby wedle zwyczaju w pień wyciął ludzi, a miasto puścił z dymem, gdyby nie niespodziewana pomoc, która jakoby z nieba im spadła.

– Boguśmy się już polecali – mówił dzierzawca zajazdu, u którego pan Andrzej kwaterę stanął gdy wtem święci Pańscy zesłali jakowąś chorągiew. Myśleliśmy zrazu, że nowy nieprzyjaciel, a to byli swoi. Skoczyli tedy wraz na Zółtareńkowych hultajów i w godzinę mostem ich położyli, ile że i z naszej strony pomoc była.

– Cóż to była za chorągiew? – pytał pan Andrzej.

– Niech im Bóg da zdrowie!... Nie opowiadali się, co za jedni, my też nie śmieli pytać. Popaśli koniom, wzięli, co było siana i chlebów, i pojechali.

– Ale skąd przyszedli i dokąd poszli?

– Przyszedli od Kozłowej Rudy, a poszli na południe. My też, cośmy już wprzód chcieli w lasy uciekać, tośmy rozmyśliwszy się zostali, bo nam pan podstarości powiedział, że po takiej nauce nieprędko nieprzyjaciel do nas zajrzy.

Kmicica mocno zainteresowała wiadomość o owej bitwie, więc pytał dalej:

– I nie wiecie, kto tej chorągwi pułkownikuje?

– Nie wiemy, aleśmy pułkownika widzieli, bo na rynku z nami rozmawiał. Młody on i misterny jako igła. Nie wygląda na takiego wojownika, jakim jest...

– Wołodyjowski! – zakrzyknął pan Kmicic.

– Czy on Wołodyjowski, czy nie, niech mu się ręce święcą, niechaj mu Bóg hetmanem pozwoli zostać! Pan Andrzej zadumał się głęboko. Widocznie szedł

tą samą drogą, którą kilka dni temu przeciągnął pan Wołodyjowski z laudańskimi ludźmi. Jakoż było to naturalne, bo obaj zdążali na Podlasie. Ale panu Andrzejowi przyszło na myśl, że przyspieszając podróż łatwo mógł natknąć się na małego rycerza i wpaść w jego ręce, a w takim razie wszystkie listy radziwiłłowskie dostałyby się z nim razem w moc konfederatów. Wypadek podobny mógł zwichnąć całą jego misję i Bóg wie jakie szkody przynieść radziwiłłowskiej sprawie. Z tego powodu postanowił pan Andrzej pozostać parę dni w Pilwiskach, aby laudańska chorągiew miała czas odjechać jak najdalej.

Ludzie też i konie, idące jednym niemal tchem Kiejdan (bo małe tylko popasy czynili dotąd przez

drogę), potrzebowali odpoczynku, więc pan Andrzej kazał żołnierzom zdjąć juki z koni i rozstawić się w karczmie na dobre.

Na drugi dzień przekonał się, że uczynił nie tylko roztropnie, ale i mądrze, albowiem zaledwie rano zdołał szaty przywdziać, gdy oberżysta stanął przed nim.

– Nowinę przynoszę waszej miłości – rzekł.

– A dobrą?

– Ni złą, ni dobrą, jeno że mamy gości. Okrutny dwór zjechał tu dziś rano i stanął w starościńskim domu. Jest regiment piechoty, a co jazdy, karet, co służby!... Ludzie myśleli, że to sam król przyjechał.

– Jaki król?

Karczmarz począł obracać czapkę w rękę.

– Prawda, że to mamy teraz dwóch królów, ale nie żaden z nich przyjechał, jeno ksiązę koniuszy. Kmicic zerwał się na równe nogi.

– Co za ksiązę koniuszy? ksiązę Bogusław?...

– Tak jest, wasza miłość. Brat stryjeczny księcia wojewody wileńskiego.

Pan Andrzej aż w ręce klasnął ze zdziwienia. – O, to się spotykamy!

Karczmarz zrozumiawszy, że jego gość jest znajomym księcia Bogusława, skłonił się niżej niż poprzedniego dnia i wyszedł z izby, a Kmicic począł ubierać się pośpiesznie i w godzinę później był już przed domem starościńskim.

W całym miasteczku roilo się od żołnierzy. Piechota ustawiała w kozły muszkiety na rynku; jazda posiadała już z koni i zajęła domostwa poboczne. Żołnierze i dworzanie, w najrozmaitszych ubiorach, stali przed domami lub przechadzali się po ulicach. Z ust oficerów słycać było rozmowę francuską i niemiecką. Nigdzie polskiego żołnierza, nigdzie polskiego moderunku, muszkietnicy i dragonia przybrani byli dziwacznie, inaczej nawet od cudzoziemskich chorągwi, które pan Andrzej w Kiejdanach widywał, bo nie na niemiecki, ale na francuski ład. Żołnierz jednak piękny i tak okazały, że każdego szeregowca za oficera można było poczytać, zachwycił oczy pana Andrzeja. Oficerowie spoglądali też na niego z ciekawością, bo wystroił się odświętnie w aksamity i złotogłów, a sześciu ludzi przybranych w nową barwę szło dla asystencji za nim.

Na podwórzu starościńskiego dworu kręcili się dworzanie, wszyscy postrojeni na francuski sposób: więc paziowie w berecikach z piórami, rękodajni w aksamitnych kaftanach, masztalerze w szwedzkich, wysokich butach z kolistymi cholewami.

Widocznie ksiązę nie miał zamiaru zatrzymywać się dłużej w Pilwiskach i wstąpił tylko na popas, gdyż karet nie pozataczano do wozowni, a konie karmili masztalerze na poczekaniu z blaszanych sit, które trzymali w ręku.

Kmicic oznajmił się oficerowi trzymającemu straż przed domem, kto jest i z czym jedzie, ten zaś poszedł zdać sprawę księciu. Po chwili wrócił pośpiesznie z zawiadomieniem, iż ksiązę pilno chce widzieć wysłannika hetmańskiego, i wskazując Kmicicowi drogę wszedł wraz z nim do domu.

Przeszedłszy sięń, w pierwszej izbie stołowej zastali kilku dworzan siedzących z powyciąganymi nogami na krzesłach i drzemiących smaczno, bo widać, wczesnym rankiem musieli z ostatniego popasu wyjechać. Przed drzwiami następnej komnaty oficer zatrzymał się i skłoniwszy się panu Andrzejowi, rzekł po niemiecku:

– Tam jest ksiązę.

Pan Andrzej wszedł i zatrzymał się w progu. Ksiązę siedział przed lustrem ustawionym w rogu komnaty i tak uważnie wpatrywał się w twarz swoją, świeżo widocznie powleczonej różem i bieliidłem, że nie zwrócił uwagi na wchodzącego. Dwóch pokojowych, klęcząc przed nim, dopinało mu sprzączki na przegubach nóg u wysokich podróżnych butów, on zaś rozczesywał z wolna palcami bujną, równo uciętą nad czołem grzywkę jasnozłotej peruki lub też może własnych, obfitych włosów.

Był to młody jeszcze człowiek, lat trzydziestu pięciu, a wyglądający najwyżej na dwadzieścia pięć. Kmicic znał go, ale zawsze spoglądał nań z ciekawością, raz: dla wielkiej sławy rycerskiej, jaka otaczała księcia Bogusława, a jaką zjednały mu głównie pojedynki z rozmaitymi zagranicznymi magnatami odbyte, po wtóre: dla jego szczególnej postawy, którą gdy raz ktoś ujrzał, na zawsze musiał zapamiętać. Ksiązę bowiem wysoki był i silnie zbudowany, ale nad szerokimi jego ramionami wznosiła się głowa tak mała, jak gdyby z innego ciała zdjęta. Twarz miał również niezwykle drobną, prawie młodzieńczą, ale i w niej nie było proporcji, nos miał bowiem duży, rzymski, i ogromne oczy niewypowiedzianej piękności i blasku, z orlą prawie śmiałością spojrzenia. Wobec tych oczu i nosa reszta twarzy, okolonej w dodatku długimi obfitymi puklami włosów, nikła prawie zupełnie; usta miał niemal dziecinne, nad nimi mały wąsik, ledwie pokrywający górną wargę. Delikatność cery, podniesiona różem i bieliidłem, czyniła go podobnym do panny, a jednocześnie zuchwałość, duma i pewność siebie, malujące się w obliczu, nie pozwalały zapominać, iż jest



to ów słynny *chercheur de noises*, jako go przezywano na dworze francuskim, człowiek, u którego ostre słowo łatwo wychodziło z ust, ale szpada jeszcze łatwiej z pochwy.

W Niemczech, w Holandii i we Francji opowiadano dziwy o jego czynach wojennych, kłótniach, zajściach i pojedynkach. On to w Holandii rzucał się w największy war bitwy, między niezrównane pułki piechoty hiszpańskiej, i własną książęcą ręką zdobywał chorągwie i działa; on na czele regimentów księcia Oranii zdobywał baterie, przez starych wodzów uznane za niepodobne do zdobycia; on nad Renem, na czele muszkietierów francuskich, rozbijał ciężkie chorągwie niemieckie, w trzydziestoletniej wojnie wyćwiczone: on ranił w pojedynku, we Francji, najślynniejszego między kawalerami francuskimi fehmistrza, księcia de Fremouille; drugi słynny zabijaka, baron von Goetz, prosił go na klęczkach o darowanie życia; on ranił barona Grota, za co musiał od brata Janusza słuchać gorzkich wymówek, iż popolituje godność swą książęcą stawając do walki z nierównego stanu ludźmi; on wreszcie, wobec całego dworu francuskiego, na balu w Luwrze uderzył w twarz margrabiego de Rieux za to, iż mu „szpetnie” przemówił.

Pojedynki odbywane *incognito* po mniejszych miastach, oberżach i zajazdach nie wchodziły oczywiście w rachubę.

Była to mieszanina zniewieściałości i nieokiełznanej odwagi. W czasie odwiedzin rzadkich i krótkich ojczystego kraju zabawiał się zatargami z rodziną Sapiehów i łowami. Ale wówczas leśniczowie musieli mu wyszukiwać niedźwiedzice z małymi, jako bardziej niebezpieczne i zaciekle, na które szedł zbrojny tylko oszczepem. Zresztą nudził się w kraju i jako się rzekło, zjeżdżał niechętnie, najczęściej czasu wojny; wielkim męstwem odznaczył się pod Beresteczkiem, Mohylewem, Smoleńskiem. Wojna była jego żywiołem, chociaż umysł bystry i giętki zarówno się do intryg i do dyplomatycznych wybiegów nadawał.

W tych umiał być cierpliwy i wytrwały, daleko wytrwalszy niż w „amorach”, których długi szereg dopełniał historii jego życia. Książę na dworach, na których przebywał, był postrachem mężów mających piękne żony. Zapewne dlatego sam nie był dotąd żonaty, chociaż zarówno wysokie urodzenie, jak nieprzebrana niemal fortuna czyniły z niego jedną z najbardziej pożądanых partyj w Europie. Swatali go sami królestwo francuscy, Maria Ludwika polska, książę Oranii i wuj elektor brandenburski, ale on wolał dotąd swoją swobodę.

– Wiana nie potrzebuję – mawiał cynicznie a innych uciech i tak mi nie brak.

W ten sposób doszedł trzydziestu pięciu lat wieku. Kmicic, stojąc w progu, przypatrywał się tedy z cie

kawością jego twarzy, którą odbijało zwierciadło, a on rozczesywał w zamyśleniu włosy grzywki nad czołem, na koniec, gdy pan Andrzej krząknął raz i drugi, rzekł nie odwracając głowy:

– A kto tam? Czy nie posłaniec od księcia wojewody?

– Nie posłaniec, ale od księcia wojewody! – odrzekł pan Andrzej.

Wówczas książę odwrócił głowę, a spostrzegłszy świetnego młodzieńca poznał, że nie ze zwykłym sługą ma do czynienia.

– Wybaczaj waćpan, panie kawalerze – rzekł uprzejmie – bo widzę, że się co do szarży osoby omylił. Ale wszakże twarz waćpana mi znana, choć sobie nazwiska nie mogę przypomnieć. Waćc jesteś dworzaninem księcia hetmana?

– Nazywam się Kmicic – odpowiedział pan Andrzej – a dworzaninem nie jestem, jeno pułkownikiem, od czasu jakem księciu hetmanowi własną chorągiew przyprowadził.

– Kmicic! – zawołał książę – ten sam Kmicic, sławny z ostatniej wojny, który Chowańskiego podchodził, a później na własną rękę niezgorzej sobie radził?... Toż ja siła o waćpanu słyshałem!

To rzekłszy książę począł uważniej i z pewnym upodobaniem spoglądać na pana Andrzeja, bo z tego, co o nim słyshał, miał go za człeka własnego pokroju.

– Siadaj, panie kawalerze – rzekł. – Rad cię bliżej poznam. A co tam słyshać w Kiejdanach?

– Oto jest list księcia hetmana – odrzekł Kmicic. Pokojowi skończywszy zapinać książęce buty wyszli, a książę złamał pieczęć i począł czytać. Po chwili na twarzy jego odbiła się nuda i zniechęcenie. Rzucił list przed lustro i rzekł:

– Nic nowego! Radzi mi książę wojewoda, abym się do Prus, do Tylży albo Taurogów przeniósł, co jak waść widzisz, czynię właśnie. *Ma foi!* nie rozumiem pana brata... Donosi mi, że elektor w margrabstwie i że się do Prus przez Szwedów przebrać nie może, a pisze jednocześnie, iż aż mu włosy na głowie powstają, że się z nim *de succursu* ani *de receptu* nie znoszę. A jakże to ja mam czynić? Jeśli się kurfirst przez Szwedów nie może przebrać, to jakże się mój posłaniec przebierze? Na Podlasiu siedziałem, bom nie miał nic innego do roboty. Powiem ci, mój kawalerze, że się nudziłem jak diabeł na pokucie. Niedźwiedzie, co były blisko Tykocina, wykłułem; białogłowy tamtejsze kozuchami cuchną, którego zapachu nozdrza moje znieść nie mogą... Ale!... Rozumiesz ty, panie kawalerze, po francusku albo po niemiecku?

– Rozumiem po niemiecku – rzekł Kmicic.

– To chwała Bogu!... Będę mówił po niemiecku, bo mi od waszej mowy wargi pierzchną.

To rzekłszy książę wysunął dolną wargę i począł dotykać jej z lekka palcami, jakby chcąc przekonać się, czy nie opierzchnęła lub nie popękła; następnie spojrzął w lustro i mówił dalej:

– Doszły mnie posłuchy, że koło Łukowa jakiś szlachcic Skrzetuski ma żonę cudnej urody. Daleko to!... Ale jednak posłałem ludzi, żeby mi ją porwali i przywieźli... Tymczasem, czy uwierzysz, panie Kmicic, nie znaleziono jej w domu!

– Szczęście to – rzekł pan Andrzej – bo to żona zanego kawalera, sławnego zbarańczyka, którego ze Zbaraża przez wszystką potęgę Chmielnickiego się przedarł.

– Męża oblegano w Zbarażu, a ja bym żonę oblegał w Tykocinie... Czy myślisz waćpan, żeby się tak samo zacięcie broniła?

– Wasza książęca mość rady wojennej byś przy takim oblężeniu nie potrzebował, niechże się i bez mojej opinii obejdzie – odrzekł szorstko pan Andrzej.

– Prawda! szkoda o tym mówić – odrzekł książę. – Wracam do sprawy: czy waćpan masz jeszcze jakie listy?

– Do waszej książęcej mości co miałem, to oddałem, a oprócz tego mam do króla szwedzkiego. Czy waszej książęcej mości nie wiadomo, gdzie go mam szukać?

– Nic nie wiem. Co ja mam wiedzieć? W Tykocinie go nie ma, mogę ci za to zaręczyć, bo gdyby tam raz zajrzał, to by się panowania nad całą Rzeczpospolitą wyrzekł. Warszawa już w rękach szwedzkich, jak to wam pisałem, ale tam też jego królewskiej mości nie znajdziesz. Musi być pod Krakowem albo w samym Krakowie, jeśli się dotąd do Prus Królewskich nie wybrał. W Warszawie dowiesz się o wszystkim. Wedle mojego zdania musi Karol Gustaw o miastach pruskich pomyśleć, bo ich za sobą nie może zostawiać. Kto by się spodziewał, że gdy cała Rzeczpospolita odstępuje pana, gdy wszystka szlachta łączy się ze Szwedem, gdy województwa poddają się jedne za drugimi – wówczas właśnie miasta pruskie, Niemcy i protestanci, nie chcą o Szwedach słyszeć i do oporu się gotują. Oni chcą wytrwać, oni Rzeczpospolitą ratować i Jana Kazimierza utrzymać! Zaczynając tę robotę myśleliśmy, że będzie inaczej, że właśnie przede wszystkim oni pomogą nam i Szwedom do pokrajania tego bochenka, który waszą Rzeczpospolitą nazywacie. A tu ani rusz! Całe szczęście, że książę elektor ma tam na nich oko. Ofiarował już im pomoc przeciw Szwedom, ale Gdańszczanie mu nie ufają i mówią, że sami mają dość sił...

– Wiemy już o tym w Kiejdanach! – rzekł Kmicic.

– Jeżeli nie mają dość sił, to w każdym razie mają dobry węch – mówił dalej, śmiejąc się, książę bo wujowi elektorowi tyle, mniemam, chodzi o Rzeczpospolitą, ile i mnie albo księciu wojewodzie wileńskiemu.

– Wasza książęca mość pozwoli, że zaneguję rzekł porywczo Kmicic. – Księciu wojewodzie wileńskiemu tylko o Rzeczpospolitą chodzi, dla której w każdej chwili gotów wydać ostatnie tchnienie i ostatnią krew wylać.

Książę Bogusław począł się śmiać.

– Młody jesteś, kawalerze, młody! Ale mniejsza z tym! Owóż wujowi elektorowi chodzi o to, by mógł Prusy Królewskie zacapić, i dlatego tylko ofiaruje im swoją pomoc. Gdy je raz będzie miał w rękę, gdy do miast swoje załogi powprowadza, gotów nazajutrz zgodzić się ze Szwedami, ba, na-

wet z Turczynem i z diabłami. Niechby mu jeszcze Szwedzi kawał Wielkopolski dodali, gotów im pomagać ze wszystkich sił do zabrania reszty. W tym tylko bieda, że i Szwedzi ostrzą zęby na Prusy i stąd dyfidencje pomiędzy nimi i elektorem.

– Ze zdumieniem słucham słów waszej książęcej mości! – rzekł Kmicic.

– Diabli mnie brali na Podlasiu – odpowiedział książę – że musiałem tyle czasu beczynnienie siedzieć... Ale cóż miałem robić? Stał się układ między mną a księciem wojewodą, że póki w Prusach rzeczy się nie wyklarują, ja nie przejdę otwarcie na stronę szwedzką. I to słuszna, bo w ten sposób furtka zostaje otwarta. Posłałem nawet sekretnych gońców do Jana Kazimierza oznajmiając, że gotówem zwołać pospolite ruszenie na Podlasiu, byle mi manifest przysłano. Król, jak król, dałby się może wywieść w pole, ale królowa widocznie mi nie ufa i musiała odradzić. Żeby nie baby, to dziś stałbym na czele wszystkiej szlachty podlaskiej, a co większa, konfederaci owi, którzy teraz pustoszą dobra księcia Janusza, nie mieliby innej rady, jak pójść pod moją komendę. Głosiłbym się stronnikiem Jana Kazimierza, a w rzeczy mając w rękę siłę, targowałbym się ze Szwedami. Ale ta baba wie, jak trawa rośnie, i najtajniejszą myśl odgadnie. Król to prawdziwy, nie królowa! Więcej ona ma dowcipu w jednym palcu niż Jan Kazimierz w całej głowie.

– Książę wojewoda... – zaczął Kmicic.

– Książę wojewoda – przerwał z niecierpliwością Bogusław – wiecznie spóźnia się ze swymi radami; pisze mi w każdym liście: „zrób to a to”, a ja właśnie już to dawno zrobiłem. Książę wojewoda głowę prócz tego traci... Bo, słuchaj, kawalerze, czego jeszcze ode mnie wymaga...

Tu książę chwycił list i począł czytać głośno:

„Sam WXMć w drodze bądź ostrożnym, a o tych frantach konfederatach, którzy się przeciw mnie zbuntowali i na Podlasiu grasują, dla Boga pomyśl WXMć, żeby ich rozprószyć, żeby do króla nie szli. Gotują się na Zabłudów, a tam piwa mocne; jako się popijają, żeby ich wyróżnili, każdy gospodarz swego. Bo nie godzi się nic lepszego; ale capita uprzątawszy, poszłoby to w rozdrób.”

Tu Bogusław rzucił z niechęcią list na stół.

– Słuchajże, panie Kmicic – rzekł – więc ja mam razem wyjeżdżać do Prus i razem urządzić rzeź w Zabłudowie? Razem udawać jeszcze stronnika Jana Kazimierza i patriotę, i razem wycinać tych ludzi, którzy króla i ojczyzny nie chcą zdradzić? Jestże ta sens? Zali to się jedno drugiego trzyma? Ma foi! książę hetman głowę traci. Toć ja i teraz właśnie spotkałem, ot, idąc tu do Pilwisk, po drodze, całą jakąś zbuntowaną chorągiew walącą na Podlasie. Byłbym im chętnie po brzuchach przejechał, choćby dlatego, ażeby mieć uciechę; ale póki nie jestem otwartym szwedzkim partyzantem, póki wuj elektor rzekomie jeszcze z miastami pruskimi, a zatem z Janem Kazimierzem trzyma, nie mogę sobie takich uciech pozwalać, dalibóg, nie mogę... Co mogłem najwięcej zrobić, to politykować z tymi buntownikami, jak i oni ze mną politykowali, podejrzewając mnie wprawdzie o praktyki z hetmanem, ale nie mając czarno na białym.

Tu książę rozparł się wygodnie w fotelu, wyciągnął nogi i założywszy niedbale ręce pod głowę, począł powtarzać:

– Ej, galimatias w tej waszej Rzeczypospolitej, galimatias!... W świecie niczego podobnego nie masz!... Po czym umilkł na chwilę; widocznie jakaś myśl przyszła mu do głowy, bo się uderzył w perukę i zapytał:

– A waćpan nie będziesz na Podlasiu?

– Jakże! – rzekł Kmicic. – Muszę tam być, bo mam list z instrukcjami do Harasimowicza, podstarościego w Zabłudowie.

– Na Boga! – rzekł książę – Harasimowicz tu jest ze mną. Jedzie z rzeczami hetmańskimi do Prus, bo tam baliśmy się, żeby nie wpadły w ręce konfederackie. Czekać waść, każę go zawołać.

Tu książę zakrzyknął na pokojowca i kazał mu wołać podstarościego, sam zaś rzekł:

– A to się dobrze składa! Oszczędzisz sobie waćpan drogi... Chociaż... może i szkoda, że na Podlasie nie pojedziesz, bo tam między głowami konfederacji jest i twój imiennik... Mógłbyś go skaptować.

– Nie miałbym na to czasu – rzekł Kmicic – gdyż mi do króla szwedzkiego i do pana Lubomirskiego pilno.

– A, to masz listy i do pana marszałka koronnego? Ej, odgaduję, o co chodzi... Niegdyś pan marszałek myślał swatać synalka z córką Janusza... Czyby teraz hetman nie chciał delikatnie odnowić rokowań?...

– O to właśnie idzie.

– Dzieci to oboje zupełnie... Hm! delikatna to misja, bo hetmanowi nie wypada pierwszemu się wpraszać. Przy tym...

Tu książę zmarszczył brwi.

– Przy tym nie będzie z tego nic... Nie dla Herakliusza córka księcia hetmana. Ja ci to mówię! Książę hetman powinien to rozumieć, że jego fortuna musi zostawać w ręku Radziwiłłów.

Kmicic spoglądał ze zdziwieniem na księcia, który chodził coraz spieszniejszym krokiem po izbie. Nagle zatrzymał się przed panem Andrzejem i rzekł:

– Daj mi parol kawalerski, że odpowiesz prawdę na moje pytanie.

– Mości książę – rzekł Kmicic – lżą ci tylko, którzy się boją, a ja się nikogo nie boję.

– Czy książę wojewoda kazał zachować sekret przede mną o rokowaniach z Lubomirskim?

– Gdybym miał taki rozkaz, to bym o panu Lubomirskim wcale nie był wspominał.

– Mogło ci się wymknąć. Daj parol!

– Daję – rzekł Kmicic marszcząc brwi.

– Ciężar mi zdjąłeś z serca, bo myślałem, że książę wojewoda i ze mną podwójną grę prowadzi.

– Nie rozumiem waszej książęcej mości.

– Nie chciałem żenić się we Francji z Rohanówną, nie licząc z pół kopy innych księżniczek, które mi swatano... Czy wiesz dlaczego?

– Nie wiem.

– Bo jest układ pomiędzy mną a księciem wojewodą, że jego dziewczka i jego fortuna dla mnie rosną. Jako wierny sługa Radziwiłłów, możesz wiedzieć o wszystkim.

– Dziękuję za ufność... Ale wasza książęca mość mylisz się... Nie jestem sługą Radziwiłłów.

Bogusław otworzył szeroko oczy. – Kimże ty jesteś?

– Hetmańskim, nie dworskim, jestem pułkownikiem, a w dodatku księcia wojewody krewnym.

– Krewnym?

– Bom z Kiszkami spowinowacony, a hetman rodzi się z Kiszczanki.

Książę Bogusław popatrzył przez chwilę na Kmicica, na którego twarz wystąpiły lekkie rumieńce. Nagle wyciągnął rękę i rzekł:

– Przepraszam cię, kuzynie, i winszuję paranteli. Ostatnie słowa były powiedziane z jakąś niedbałą lubo wytworną grzecznością, w której jednak było coś wprost dla pana Andrzeja bolesnego. Policzki jego zarumieniły się jeszcze bardziej i już otwierał usta, aby coś żywo powiedzieć, gdy drzwi otworzyły się i gubernator Harasimowicz ukazał się w progu.

– Jest list do waści – rzekł książę Bogusław. Harasimowicz skłonił się księciu, a następnie panu Andrzejowi, który podał mu list książęcy.

– Czytaj waść! – rzekł książę Bogusław. Harasimowicz począł czytać:

„Panie Harasimowicz! Teraz czas pokazać życzliwość dobrego sługi ku panu. Cokolwiek pieniędzy zebrać możecie i wy w Zabłudowie, i pan Przyński w Orlu...”

– Pana Przyńskiego konfederaci usiekli w Orlu – przerwał książę – dlatego pan Harasimowicz daje drapaka...

Podstarości skłonił się i czytał dalej:

„...i pan Przyński w Orlu, choć publicznych podatków, choć czynszów, arend...”

– Już je konfederaci wybrali – przerwał znów książę Bogusław.

„...przesyłajcie mi jak najprędzej (czytał dalej Harasimowicz). Możecieli i wsie jakie sąsiadom lub mieszczanom zastawić, biorąc pieniądze co najwięcej na nie; i gdziekolwiek się jeno sposób poda na dostanie onych, starajcie się i do mnie odsyłajcie. Konie i rzeczy wszystkie, cokolwiek tam

jest, ba! i w Orlu lichtarz wielki, i co inszego, obrazy i ochędóstwa, a najbardziej działa owe, co w ganku stoją, przy księciu imci panu bracie wyślijcie, bo alias rozbojów bać się trzeba...”

– Znowu spóźniona rada, bo działa idą już ze mną! – rzekł książę.

„...Jeśliby z łożami ciężko było, to same tylko działa bez łożów, i to okryć, żeby nie wiadano, co wiozą. A te rzeczy do Prus jak najprędzej wymknąć, strzegąc się najbardziej tych zdrajców, co w wojsku moim bunt podniósłszy moje starostwa tłoczą...”

– Oj, co tłoczą, to tłoczą! Wycisną je na twaróg! przerwał znów książę.

„...starostwa moje tłoczą i na Zabłudów się gotują idąc snadź do króla. Z którymi bić się trudno, bo przecie gromada, ale albo ich wpuściwszy, pięknie popoić, a w nocy śpiących wyróżnić (każdy gospodarz uczynić to może), albo ich w piwach mocnych potruć.

albo o co tam nietrudno, swawolną także kupą na nich zemknąć, co by się na nich obłowili...”

– No, nic nowego! – rzekł książę Bogusław. Możesz, panie Harasimowicz, jechać dalej ze mną...

– Jest jeszcze suplement – odrzekł podstarości. I począł czytać dalej:

„...Win, jeśli nie można wywieźć (bo tu już u nas nigdzie ich nie dostanie), tedy w skok za gotowe posprzedawać...”

Tu pan Harasimowicz sam przerwał i chwycił się za głowę.

– Dla Boga! wina idą o pół dnia drogi za nami i pewno wpadły w ręce tej chorągwi zbuntowanej, która koło nas przechodziła. Będzie szkody na jakie tysiąc czerwonych złotych. Niech wasza książęca mość świadczy za mną, że sama mi kazała czekać, aż beczki na wozy wpakują.

Strach pana Harasimowicza byłby jeszcze większy, gdyby pan Harasimowicz znał pana Zagłobę i gdyby wiedział, że się właśnie w owej chorągwi znajduje. Tymczasem jednak książę Bogusław rozśmiał się i rzekł:

– Niech im będzie na zdrowie! Czyta; dalej! „...jeżeli się zaś kupiec nie znajdzie...”

Książę Bogusław wziął się aż pod boki ze śmiechu: – Już się znalazł – rzekł – jeno trza mu będzie borgować.

„...jeżeli się zaś kupiec nie znajdzie (czytał żalonym głosem Harasimowicz), tedy w ziemię pozakopywać, byle nieznacznie, żeby nad dwóch o tym nie wiedziało. Beczkę jednak jaką i drugą w Orlu i w Zabłudowie zostawić, a to z lepszych i słodszych, co by się ułakomili na nią, a podprawić mocno trucizną, żeby starszyzna przynajmniej powyzydychała, to się drużyna rozbieży. Dla Boga, życzliwie mi w tym posłużcie, a sekretnie, przez miłosierdzie boże!... A palcie, co piszę, i ktokolwiek o czym wiedzieć będzie, odsyłajcie go do mnie. Albo sami najdą i wypiją, albo jednając może im ten napój podarować...”

Podstarości skończył czytać i począł patrzeć na księcia Bogusława jakby czekając instrukcji, a książę rzekł:

– Widzę, że tego brat mój myśli o konfederatach, szkoda tylko, że jak zwykle za późno!... Żeby się był dwa tygodnie albo choć tydzień temu na ów dowcip zdobył, można by było poprobować. A teraz ruszaj z Bogiem, panie Harasimowicz, bo już cię nie potrzebujęm.

Harasimowicz skłonił się i wyszedł.

Książę Bogusław stanął przed zwierciadłem i począł się przyglądać starannie własnej postaci, przy czym poruszał z lekka głową w prawo i w lewo, to oddalał się od lustra, to zbliżał, to potrząsał puklami włosów, to strzygł oczyma z ukosa, nie zważając wcale na Kmicica, który siedział w cieniu, odwrócony plecami do okna.

Gdyby jednak był rzucił chociaż jedno spojrzenie na twarz pana Andrzeja, poznałby, iż w młodym pośle dzieje się coś dziwnego, twarz bowiem Kmicica była blada, na czole osiadły mu gęste krople potu, a ręce drgały konwulsyjnie. Przez chwilę podniósł się z krzesła i znowu zaraz usiadł, jak człowiek, który walczy ze sobą i przełamuje w sobie wybuch gniewu lub rozpacz. Na koniec rysy jego ściągnęły się i zakrzepły; widocznie całą siłą potężnej woli i energii nakazał sobie spokój i zapanował nad sobą zupełnie.

– Wasza książęca mość – rzekł – z tego zaufania, jakim mnie książę hetman obdarza, widzisz wasza książęca mość, że tajemnicy nie chce z niczego przede mną robić. Należę duszą i mieniem do jego robót; przy jego i waszej książęcej mości fortunie może i moja wyrosnąć, dlatego gdzie wy idziecie, tam i ja pójdę... Na wszystkim gotów! Ale chociaż w onych sprawach służę i w nich się obracam, przecie pewnie nie wszystko zgoła rozumiem ani też wszystkich arkanów własnym słabym dowcipem przeniknąć mogę.

– Czego tedy życzysz, panie kawalerze, a raczej, piękny kuzynie? – spytał książę.

– O naukę waszej książęcej mości proszę, bo też wstyd by mi było, gdybym się przy takich statystach niczego nie zdołał nauczyć. Nie wiem, czy wasza książęca mość raczysz mi szczerze odpowiedzieć?

– To będzie zależało od twego pytania i od mego humoru – odrzekł Bogusław nie przestając patrzeć I w lustro.

Oczy Kmicica błysnęły, przez chwilę, lecz mówił dalej spokojnie:

– Owóż tak jest: książę wojewoda wileński wszystkie swe postęпки dobrem i zbawieniem Rzeczypospolitej osłania. Już też ta Rzeczpospolita z ust mu nie schodzi. Raczże mi wasza książęca mość szczerze powiedzieć: pozoryli to tylko konieczne czyli naprawdę książę hetman ma tylko dobro Rzeczypospolitej na celu?...

Bogusław rzucił bystre, przelotne spojrzenie na pana Andrzeja.

– A jeżelibym ci powiedział, że to pozory, czylibyś pomagał dalej?

Kmicic ruszył niedbale ramionami.

– Ba! jako rzekłem, moja fortuna przy fortunie waszych książęcych mościów wyrośnie. Byle się to stało, wszystko mi zresztą jedno!

– Wyjdiesz na człowieka! Pamiętaj, że ci to przepowiadam. Ale czemu to brat nigdy z tobą szczerze nie mówił?

– Może dlatego, że skrupulat, a może, ot tak! nie zgadało się!

– Bystry masz dowcip, kawalerze, bo to szczerza prawda, że on skrupulat i niechętnie prawdziwą skórę pokazuje. Jak mi Bóg miły, prawda! Taka już jego natura. Toż on i ze mną gadając, skoro się tylko zapomni, zaraz zaczyna mowę miłością dla ojczyzny koloryzować. Dopiero jak mu się w oczy rozśmieję, to się opatrzy. Prawda! prawda!

– Więc to tedy jeno pozory? – pytał Kmicic.

Książę przekręcił krzesło, siadł na nim jak na koniu i i wsparłszy ręce na poręczy milczał chwilę, jakby się namyślając, po czym rzekł:

– Słuchaj, panie Kmicic! Gdybyśmy, Radziwiłłowie, żyli w Hiszpanii, we Francji albo w Szwecji, gdzie syn po ojcu następuje i gdzie prawo królewskie z Boga samego wypływa, tedy, pominąwszy jakieś wojny domowe, jakieś rodu królewskiego wygaśnięcie, jakieś nadzwyczajne zdarzenia, służylibyśmy pewnie królowi i ojczyźnie, kontentując się jeno najwyższymi urzędami, które nam się z rodu i fortuny przynależą. Ale tu, w tym kraju, gdzie król nie ma za sobą bożego prawa, jeno go szlachta kreuje, gdzie wszystko in liberis suffragiis, słusznie czyniliśmy sobie pytanie: dlaczego to Waza, a nie Radziwiłł ma panować?... Nic to jeszcze Waza, boć oni z królów dziedzicznych ród wiedzą, ale kto nam zaręczy, kto nas upewni, że po Wazach nie przyjdzie szlachcie fantazja do głowy posadzić na stolcu królewskim i wielkksiążęcym choćby pana Harasimowicza albo jakiego pana Mieszkę, albo jakiego pana Piegłasiwicza z Psiej Wólki. Tfu! czy ja wiem wreszcie kogo?... A my? Radziwiłłowie i książęta Rzeszy Niemieckiej mamyże po staremu przystępować do całowania jego królewskiej-piegłasiwicowskiej ręki?... Tfu! do wszystkich rogatych diabłów, kawalerze, czas z tym skończyć!... Spójrz przy tym na Niemcy, ilu tam książąt udzielnych mogłoby, z uwagi na fortunę, na podstarościch do nas się zgodzić. A przecie mają swoją udzielnność, a przecie panują, a przecie suffragia w sejmach Rzeszy mają, a przecie korony na głowach noszą i miejsca przed nami biorą, choćby im słuszniej wypadało ogony u naszych płaszczów nosić. Czas z tym skończyć, panie kawalerze, czas spełnić to, o czym ojciec mój już zamyślał!

Tu książę ożywił się, wstał z krzesła i począł chodzić po komnacie.

– Nie obejdzie się to bez trudności i impedimentów – mówił dalej – bo ołyccy i nieświescy Radziwiłłowie nie chcą nam pomagać. Wiem, że książę Michał pisał do brata, że nam raczej o włościanicy, nie o płaszczu królewskim myśleć. Niechże sam o niej myśli, niech pokuty odprawia, niech na popiele siada, niech mu jezuici skórę dyscyplinami garbują; skoro kontentuje się krajczostwem, niechże przez całe cnotliwe życie aż do cnotliwej śmierci kapłony cnotliwie kraje! Obejdziem się bez niego i rąk nie opuścimy, bo teraz właśnie pora. Rzeczpospolitą diabli biorą, bo już tak bezsilna, na takie psy zesła, że się nikomu nie może opędzić. Wszyscy leżą w jej granice jak przez rozgrodzony płot. To, co tu się ze Szwedami stało, nie przytrafiło się dotąd nigdy na świecie. My, panie kawalerze, możemy wprawdzie śpiewać: *Te Deum laudamus!*, a swoją drogą to niesłychana i niebywała rzecz... Jak to, najezdnik uderza na kraj, najezdnik znany z drapieżności, i nie tylko nie znajduje oporu, ale kto żyw opuszcza dawnego pana i spieszy do nowego: *magnates*, szlachta, wojsko, zamki, miasta, wszyscy!... bez czci, sławy, honoru, wstydu!... Historia drugiego takiego przykładu nie podaje! Tfu! tfu! panie kawalerze! kanalia w tym kraju żywie bez sumienia i ambicji!... I taki kraj nie ma zginąć? Na łaskawość się szwedzką oglądali! Będziecie mieć łaskawość! Już tam w Wielkopolsce Szwedzi szlachcie palce w kurki od muszkietów wkręcają!... I tak wszędzie będzie – nie może być inaczej, bo taki naród musi zginąć, musi pójść w pogardę i w służbę do sąsiadów!...

Kmicic coraz był bledszy i resztkami sił trzymał na wodzy wybuch szaleństwa; ale książę, cały zatopiony w swej mowie, upajał się własnymi słowami, własnym rozumem, i nie zważając na słuchacza tak dalej mówił:

– Jest, panie kawalerze, zwyczaj w tym kraju, iż gdy kto kona, to mu krewni w ostatniej chwili poduszkę spod głowy wyszarpują, ażeby się zaś dłużej nie męczył. Ja i książę wojewoda wileński postanowiliśmy tę właśnie przysługę oddać Rzeczypospolitej.

Ale że siła drapieżników czyha na spadek i wszystkiego zagarnąć nie zdołamy, przeto chcemy, aby choć część, i to nie lada jaka, dla nas przypadła. Jako krewni, mamy do tego prawo. Jeśli zaś nie przemówiłem ci tym porównaniem do głowy i nie zdołałem w sedno utrafić, tedy powiem inaczej. Rzeczpospolita to postaw czerwonego sukna, za które ciągną Szwedzi, Chmielnicki, Hiperbojczykowie, Tatarzy, elektor i kto żyw naokoło. A my z księciem wojewodą wileńskim powieździeliśmy sobie, że z tego sukna musi się i nam tyle zostać w ręku, aby na płaszcz wystarczyło; dlatego nie tylko nie przeszkadzamy ciągnąć, ale i sami ciągniemy. Niechaj Chmielnicki przy Ukrainie się ostaje, niech Szwedzi z Brandenburczykiem o Prusy i wielkopolskie kraje się rozprawiają, niech Małopolskę bierze Rakoczy czy kto bliższy. Litwa musi być dla księcia Janusza, a z jego córką dla mnie!

Kmicic wstał nagle.

– Dziękuję waszej książęcej mości, to tylko chciałem wiedzieć!

– Odchodzisz, panie kawalerze?

– Tak jest.

Książę spojrział uważniej na Kmicica i w tej chwili dopiero spostrzegł jego bladość i wzburzenie.

– Co ci jest, panie Kmicic? – spytał. – Wyglądasz jak Piotrowin...

– Fatygi z nóg mnie obaliły i w głowie mi się kręci. Żegnam waszą książęcą mość, przed odjazdem przyjdę się jeszcze pokłonić.

– To się spiesz, bo ja po południu ruszam także.

– Za godzinę najdalej przybędę.

To rzekłszy Kmicic skłonił się i wyszedł.

W drugiej izbie pokojowcy podnieśli się na jego widok, ale on przeszedł jak pijany, nikogo nie widząc. Na progu izby chwycił się obu rękami za głowę i począł powtarzać z jękiem prawie:

– Jezusie Nazareński, Królu żydowski! Jezus, Maria, Józef!

Chwiejnym krokiem przeszedł przez podwórzec około warty złożonej z sześciu halabardników. Za kołowrotem stali jego ludzie z wachmistrzem Soroką na czele.

– Za mną! – rzekł Kmicic.

I ruszył przez miasto ku oberży.

Soroka, dawny żołnierz Kmicica i znający go doskonale, zauważył natychmiast, że z młodym pułkownikiem dzieje się coś niezwykłego.

– Czuj duch! – rzekł z cicha do ludzi – gorze temu, na kogo gniew jego spadnie!

Żołnierze przyspieszali w milczeniu kroku, a Kmicic nie szedł, ale biegł prawie naprzód, wymachując rękoma i powtarzając bezładne słowa.

Do uszu Soroki dochodziły jeno oderwane wyrazy: „Truciciele, wiarołomcy, zdrajcy... Zbrodnień i zdrajca... Obaj tacy...”

Potem począł pan Kmicic wspominać dawnych kompanionów. Nazwiska: Kokosiński, Kulwiec, Ranicki, Rekuć i inne, wypadały z jego ust jedno po drugim. Kilka razy wspomniał także Wołodyjowskiego. Słuchał tego ze zdumieniem Soroka i trwożył się coraz bardziej, a w duszy myślał:

„Jakaś krew się tu poleje... Nie może być inaczej...” Tymczasem przyszli do zajazdu. Kmicic zamknął się natychmiast w izbie i z godzinę nie dawał znaku życia.

A żołnierze tymczasem bez rozkazu ładowali wiuki i siodłali konie.

Soroka mówił im:

– Nie zawadzi to, trzeba być na wszystko gotowym.

– My też gotowi! – odpowiadali starzy zabijakowie ruszając wąsami.

Jakoż pokazało się wkrótce, że Soroka dobrze znał swego pułkownika, bo nagle Kmicic ukazał się w sieni, bez czapki, w koszuli tylko i hajdawerach.

– Konie siodłać! – krzyknął.

– Posiodłane.

– Wiuki ładować!

– Spakowane.

– Dukat na głowę! – krzyknął młody pułkownik, który pomimo całej gorączki i wzburzenia spostrzegł, że ci żołnierze w lot odgadują jego myśli.

– Dziękujemy, panie komendancie! – ozwali się wszyscy chórem.

– Dwóch ludzi weźmie konie wiuczne i wyjedzie natychmiast z miasta ku Dębowej. Przez miasto jechać wolno, za miastem puścić konie w skok i nie ustawać aż w lasach.

– Wedle rozkazu!

– Czterej inni nabić garłacze siekańcami. Dla mnie dwa konie osiodłać, żeby i drugi był w zupełnej gotowości.

– Wiedziałem ja, że coś będzie! – mruknął Soroka.

– A teraz wachmistrz za mną! – krzyknął Kmicic.

I jak był rozebrany, w hajdawerach tylko i rozchełstanej na piersiach koszuli, wyszedł z sieni, a Soroka szedł za nim, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia; tak doszli aż do studni żurawianej w podwórzu zajazdu. Tu Kmicic zatrzymał się i ukazując na wiadro wiszące przy żurawiu rzekł:

– Lej mi wodę na łeb!

Wachmistrz wiedział z doświadczenia, jak niebezpiecznie było pytać dwa razy o rozkaz; chwycił więc za drąg i zanurzył wiadro w wodzie, następnie wyciągnął je spieszenie i porwawszy w dłonie chlusnął zawartą w nim wodę na pana Andrzeja, a pan Andrzej począł parskać i prychać jakoby wieloryb, dłońmi przyklepywał mokre włosy, po czym zakrzyknął: – Jeszcze!

Soroka powtórzył czynność raz, drugi i chlustał wodą ze wszystkich sił, jakoby chciał płomień zagasić.

– Dość! – rzekł na koniec Kmicic. – Pójdź za mną, szaty mi pomożesz wdziać!

I poszli obaj do zajazdu.

W bramie spotkali swoich dwóch ludzi, wyjeżdżających z wiucznymi końmi.

– Wolno przez miasto, za miastem w skok! – powtórzył im na drogę Kmicic.

I wszedł do izby.



W pół godziny później ukazał się znowu, całkiem przybrany już jak do drogi: w wysokie jałowicze buty i losiowy kaftan obciśnięty pasem skórzany, za który zatknięta była króćca.

Żołnierze zauważyli także, iż spod kaftana wyglądał mu brzeg drucianej kolczugi, jak gdyby wybierał się na bitwę. Szablę też miał przypiętą wysoko, by łatwiej było chwycić za rękojeść; twarz miał dość spokojną, ale surową i groźną.

Rzuciwszy okiem na żołnierzy, czy gotowi i zbrojni należycie, siadł na koń i cisnąwszy dukata gospodarzowi wyjechał z zajazdu.

Soroka jechał przy nim, trzej inni z tyłu, prowadząc zapasowego konia. Wkrótce znaleźli się na rynku napelnionym przez wojska Bogusława. Ruch już był między nimi, bo widocznie przyszły rozkazy, aby się gotowano do drogi. Jazda dociągała popręgów u siodeł i kielznała konie, piechota rozbierała muszkiety stojące w kozłach przed domami, do wozów zakładano konie.

Kmicic obudził się jakoby z zamyślenia.

– Słuchaj, stary – rzekł do Soroki – wszakże to od starościńskiego dworu gościniec idzie dalej, nie trzeba wracać przez rynek?

– A gdzie pojedziem, panie pułkowniku?

– Do Dębowej!

– To właśnie z rynku wedle dworu trzeba przejeżdżać. Rynek zostanie za nami.

– Dobrze! – rzekł Kmicic.

Po chwili mruknął sam do siebie półgłosem:

– Ej, żeby tamci żyli teraz! Mało ludzi na taką imprezę, mało!

Tymczasem przejechali rynek i poczęli skręcać ku starościńskiemu domowi, który leżał o półtora staj dalej nad drogą.

– Stój! – rzekł nagle Kmicic.

Żołnierze stanęli, on zaś zwrócił się ku nim.

– Gotowiście na śmierć? – spytał krótko.

– Gotowi – odpowiedzieli chórem orszańscy zabijakowie.

– Leżliśmy Chowańskiemu w gardło i nie zjadł nas... Pamiętacie?

– Pamiętamy!

– Trzeba się dziś ważyć na wielkie rzeczy... Uda się, to miłościwy król nasz panów z was poczyni... Ja w tym!... Nie uda się, pójdziecie na pal!

– Co się nie ma udać! – rzekł Soroka, którego oczy poczęły błyskać jak u starego wilka.

– Uda się! – powtórzyli trzej inni: Biłous, Zawratyński i Lubieniec.

– Musimy porwać księcia koniuszego! – rzekł Kmicic.

I umilkł chcąc zbadać wrażenie, jakie szalona myśl uczyni na żołnierzy. A oni umilkli także i patrzyli w niego jak w tęczę, tylko wąsiska ruszały im się i tylko twarze stały się groźne i zbójckie.

– Pal blisko, nagroda daleko! – rzekł Kmicic.

– Mało nas! – mruknął Zawratyński.

– To gorzej aniżeli z Chowańskim! – dodał Lubieniec.

– Wojska wszystkie w rynku, a we dworze jeno straż i dworzan ze dwudziestu – rzekł Kmicic – którzy niczego się nie spodziewają, nawet i szabel przy bokach nie mają.

– Wasza miłość swoją głowę stawia, czemu my nie mamy naszych postawić? – odparł Soroka.

– Słuchać! – rzekł Kmicic. – Jeśli chytrą cię go nie weźmiem, to inaczej wcale nie weźmiem... Słuchać! Ja wejdę do komnat i po chwili wyjdę z księciem... Jeśli książę siądzie na mego konia, tedy ja siądę na drugiego i pojedziem... Jak odjedziemy ze sto albo z półtorasta kroków, tedy go we dwóch porwać pod pachy i w skok, co tchu w koniach!

– Wedle rozkazu! – rzekł Soroka.

– Jeśli nie wyjdziem – mówił dalej Kmicic a usłyszycie strzał w komnacie, tedy mi gruchnąć z garłaczy po straży i konia mi podawać, jak tylko wypadnę ze drzwi.

– Tak i będzie! – rzekł Soroka.

– Naprzód! – skomenderował Kmicic.

Ruszyli i w kwadrans później stanęli przed kołowrotem starościńskiego dworu. Przy kołowrocie, po staremu, stało sześciu halabardzistów, a czterech we drzwiach sieni. Po podwórzu kręciło się przy karecie kilku masztalerzy i forysiów, których doglądał zacny jakiś dworzanin, cudzoziemiec – jak można było poznać ze stroju i peruki.

Dalej, wedle wozowni, zakładano konie do dwóch jeszcze kolasek, olbrzymi pajukowie znosili do nich łuby i sepety. Nad tymi czuwał człowiek cały czarno ubrany, z twarzy wyglądający na medyka albo astrologa.

Kmicic oznajmił się, jak i poprzednio, przez dyżurnego oficera, który po chwili wrócił i wezwał go do księcia.

– Jak się masz, kawalerze? – rzekł wesoło książę. – Takeś mnie nagle opuścił, żem myślał, iż skrupuły w tobie od moich słów rebelizowały, i nie spodziewałem się widzieć cię więcej.

– Jakżebym to nie miał się przed drogą pokłonić! – rzekł Kmicic.

– No! przecie myślałem także, iż wiedział książę wojewoda, kogo z poufną misją wysłać. Skorzystam i ja z ciebie, bo ci dam kilka listów do różnych znacznych osób i do samego króla szwedzkiego. Ale cóżeś to tak zbrojny jak do bitwy?

– Bo między konfederatów jadę, a właśnie i tu w mieście słyszałem, i wasza książęca mość to potwierdził, że niedawno temu przechodziła tędy konfederacka chorągiew. Nawet tu, w Pilwiszkach, okrutnie Zołtareńkowych ludzi przepłoszyli, bo to zawołany żołnierz prowadził ową chorągiew.

– Któż to taki?

– Pan Wołodyjowski, a jest z nim i pan Mirski, i pan Oskierko, i dwóch panów Skrzetuskich: jeden ów zbarańczyk, którego żonę chciałeś wasza książęca mość w Tykocinie oblegać. Wszystko się to przeciw księciu wojewodzie pobuntowało, a szkoda, bo tędzy żołnierze. Cóż robić! Są jeszcze tacy głupi ludzie w tej Rzeczypospolitej, którzy nie chcą za czerwone sukno wraz z Kozakami i Szwedami ciągnąć.

– Głupich nigdzie na świecie nie brak, a szczególnie w ty m kraju! – rzekł książę. – Ot! masz listy, a oprócz tego, jak zobaczysz jego szwedzki majestat, tedy wyznaj mu niby poufnie, żem w duszy taki sam jego stronnik jak i mój stryjeczny, jeno do czasu muszę symulować.

– Kto nie musi symulować! – odparł Kmicic. Symuluje każdy, zwłaszcza jeśli chce czegoś znacznego dokonać.

– Pewnie, że tak jest. Spraw się, panie kawalerze, dobrze, a będę ci wdzięczny i nie dam się w nagradzaniu księciu wojewodzie wileńskiemu prześcignąć.

– Jeśli taka łaska waszej książęcej mości, to z góry o nagrodę poproszę.

– Masz tobie. Pewnie cię tam książę wojewoda niezbyt suto na drogę opatrzył. Wąż u niego w skrzyni siedzi.

– Niechże mnie Bóg zachowa, abym miał pieniędzy żądać, nie chciałem ich od księcia hetmana, nie wezmę i od waszej książęcej mości. Na własnym żołdzie jestem i na własnym pozostanę.

Książę Bogusław spojrział ze zdziwieniem na młodego rycerza.

– E, to widzę, Kmicicowie naprawdę nie z tych, co ludziom w ręce patrzą. O co tedy idzie, panie kawalerze?

– Rzecz jest taka, wasza książęca mość! Nie rozmyśliwszy się dobrze w Kiejdanach, wziąłem ze sobą konia wielkiej krwi, żeby to się przed Szwedami pokazać. Nie przesadzę, jeśli rzeknę, że lepszego w kiejdańskich stajniach nie masz. Teraz tedy mi go żal i strach mi, żeby się po drogach, karczmach albo od niewczasów nie sterał. A jako o przygodę nietrudno, może i w nieprzyjacielskie ręce wpaść, choćby tegoż pana Wołodyjowskiego, który personaliter okrutnie na mnie zawzięty. Umyśliłem tedy prosić waszą książęcą mość, abys go raczył na przechowanie wziąć i zażywać, póki się sposobniejszą porą o niego nie upomnę.

– To mi go lepiej sprzedaj.

– Nie może być, bo to byłoby, jakobym przyjaciela przedawał. Mało sto razy mnie ten koń z największego ukropu wyniósł, gdyż i tę ma cnotę, że w bitwie kąsa nieprzyjaciół okrutnie.

– Takież to zacny koń? – pytał z żywym zajęciem książę Bogusław.

– Czy zacny? Gdybym był pewien, że się wasza książęca mość nie rozgniewa, tedybym sto czerwonych złotych stawił, że nie przymierzając i wasza książęca mość nie posiada takiego w swoich stajniach.

– Może i ja bym stawił, gdyby nie to, że nie pora dziś konie w zawód puszczać. Chętnie go przechowam, chociaż jeśli mi się uda, wołałbym kupić. Ale gdzież się owo dziwo znajduje?

– A ot, przed kołowrotem ludzie go trzymają! Ale że dziwo, to dziwo, bo nie koloryzując sułtan może takiego konia pozazdrościć. Nietutejszy on – natolski, jeno myślę, że i w Natolii jeden się taki utrafił.

– To pójdźmy obaczyć.

– Służę waszej książęcej mości.

Książę wziął kapelusz i wyszli.

Przed kołowrotem ludzie Kmicicowi trzymali dwa zapasowe, całkiem osiodłane konie, z których jeden, istotnie bardzo rasowy, czarny jak kruk, ze strzałką na czole i białą pęcina u nogi włócznej, zarżał lekko na widok swego pana.

– To ten! zgaduję! – rzekł książę Bogusław. Nie wiem, czy takie dziwo, jakieś mówił, ale istotnie zacny koń.

– A przeprowadzić no go! – krzyknął Kmicic. Albo nie! czekaj, ja sam siądę!

Żołnierze podali konia i pan Andrzej siadłszy począł go objeżdżać wedle kołowrotu. Pod biegłym jeźdźcem koń wydał się jeszcze dwakroć piękniejszy. Śledziona grała w nim, gdy szedł rysią, oczy wypukłe nabrały blasku, i zdawało się, że chrapami wyrzuca ogień wewnętrzny, a grzywę wiatr mu rozwiał. Pan Kmicic zataczał koła, zmieniał chody, na koniec najechał tuż na księcia, tak że chrapy konia nie były dalej jak o krok od jego twarzy, i krzyknął:

– *Alt?*

Koń wsparł się czterema nogami i stanął jak wryty.

– A co? – rzekł Kmicic.

– Jak to powiadają: oczy i nogi jelenia, chód wilka, chrapy łosia, a pierś niewiasty! – rzekł książę Bogusław. – Jest wszystko, co potrzeba. I komendę rozumie niemiecką?

– Bo go objeżdżał mój kawalkator, Zend, który był Kurlandczyk.

– A ścigła szkapa?

– Wiatr waszej książęcej mości na nim nie dogoni! Tatarzyn przed nim nie ujdzie!

– Grzeczny musiał być kawalkator, bo widzę, że i wyjeżdżony koń bardzo.

– Czy wyjeżdżony? Wasza książęca mość nie uwierzy! Tak on chodzi w szeregu, że gdy szereg idzie skokiem, możesz wasza książęca mość cugle puścić, a on się o pół chrapów z szeregu nie wysunie. Jeśli wasza książęca mość raczy spróbować i jeśli się na dwóch stajach choć o pół łba wysunie, to go darmo oddam.

– To byłoby największe dziwo, żeby się z puszczoneymi cuglami nie wysunął.

– I dziwo, i wygodą; bo obie ręce wolne. Nieraz tak było, żem w jednej miał szablę, w drugiej pistolet, a koń szedł wolno.

– Ba, a jeśli szereg zawraca?

– Tedy zawróci i on, nie popsowawszy linii.

– Nie może być! – rzekł książę – tego żaden koń nie uczyni. Widziałem we Francji konie muszkieterów królewskich, bardzo ćwiczone, umyślnie, aby ceremonij dworskich nie psowały, ale przecie trzeba je cuglami prowadzić.

– W tym koniu człowieczy dowcip... Niechże wasza książęca mość sam popróbuje.

– Dawaj! – rzekł po chwili namysłu książę.

Sam Kmicic potrzymał konia do wsiadania, a książę skoczył lekko na kulbakę i począł klepać rumaka po lśniącym karku.

– Dziwna rzecz! – rzekł – najlepsze szkapy na jesień szerszenieją, ten zaś jakoby z wody wyszedł. A w którą stronę ruszamy?

– Ruszamy naprzód szeregiem, i jeśli wasza książęca mość pozwoli, to w drugą stronę, ku lasowi. Droga tam równa i szeroka, a ku miastu mogłyby nam jakowe wozy przeszkadzać.

– Niechże będzie ku lasowi!

– Ze dwie staje równo! Puść wasza książęca mość cugle z miejsca i skokiem... Dwóch ludzi z każdej strony, ja trochę z tyłu pojadę.

– Stawać! – rzekł książę.

Szereg stanął i zwrócił się głowami końskimi ku drodze od miasta. Książę stał w środku.

– Ruszaj! – rzekł. – Z miejsca w skok!... Marsz! Szereg pomknął i po pewnej chwili szedł jak wichur. Tuman kurzu zasłonił ich przed oczyma dwojga orzan i masztalerzy, którzy zebrawszy się gromadką przed kołowrotem, przyglądali się z ciekawością biegowi. Ćwiczone konie; w największym pędzie, chrapiąc z wysilenia, przebiegły już staję lub więcej, i rumak książęcy, lubo nie trzymany cugłami, nie wysunął się istotnie ani na cal. Przebiegli i drugą staję, nagle Kmicic zwrócił się, a widząc za sobą jeno tumany kurzu, przez które zaledwie było widać dwór starościński, a wcale stojących przed nim ludzi, krzyknął straszliwym głosem:

– Bierz go!

W tej chwili Biłous i olbrzymi Zawratyński chwycili księcia za oba ramiona, aż kości zatrzeszczały mu w stawach, i trzymając w żelaznych pięściach, poczęli bóść ostrogami własne konie.

Książęcy w środku trzymał się ciągle w szeregu, nie zostając ani wysuwając się na cal naprzód. Zdumienie, przerażenie, wichur bijący w twarz księcia Bogusława odebrały mu w pierwszej chwili mowę. Szarpnął się jeno raz i drugi, lecz bez skutku, bo tylko ból od wykręconych ramion przeszył go na wylot.

– Co to jest? łotry!... Nie wiecie, ktom jest!... krzyknął wreszcie.

Wtem Kmicic trącił go lufą od króciicy między łopatki.

– Na nic opór, bo kula w krzyż! – zakrzyknął.

– Zdrajco! – rzekł książę.

– A ty kto? – odparł Kmicic.. I mknęli dalej.

## ROZDZIAŁ XXVI

Biegli długo borem, pędząc tak, że sosny przydrożne zdawały się uciekać w tył w popłochu; mijali karczmy, chaty pobereźników, smolarnie, a czasem wozy ciągnące pojedynczo lub po kilka ku Pilwizkom. Od chwili do chwili książę Bogusław przechylał się w kulbace, jakby chcąc próbować oporu, ale wówczas ramiona jego wykręcały się jeno boleśniej w żelaznych rękach Kmicicowych żołnierzy, a pan Andrzej przykładał mu znów lufę między łopatki i biegli dalej. Kapelusz księciu spadł – wiatr rozwiewał bujne, jasne sploty jego peruki – i biegli dalej, aż biała piana poczęła spadać płatami z koni. Na koniec trzeba było zwolnić, bo ludziom i koniom tchu zbrakło, a Pilwiszki pozostały tak daleko, że wszelka możliwość pogoni znikła. Jechali tedy czas jakiś stępą i w milczeniu, przesłonięci tumanem pary, która buchała z rumaków.

Książę przez długi czas nie odzywał się wcale, widocznie starał się uspokoić i odzyskać zimną krew, aż gdy tego dokazał, wówczas spytał:

– Dokąd mnie prowadzicie?

– Dowiesz się wasza książęca mość na końcu drogi – rzekł Kmicic.

Bogusław zamilkł, a po chwili znowu:

– Każ mnie puścić tym chamom, kawalerze, bo mi ramiona wykręcą. Jeśli to im każesz uczynić, będą po prostu wisieć, inaczej, na pal pójdą.

– To szlachta, nie chamy! – odrzekł Kmicic a co do kary, jaką im wasza książęca mość grozisz, to nie wiadomo, kogo pierwiej śmierć dosięgnie.

– Wiecie wy, na kogoście ręce podnieśli? – spytał książę zwracając się do żołnierzy.

– Wiemy – odpowiedzieli.

– Do miliona diabłów rogatych! – zawołał z wybuchem Bogusław – każesz tym ludziom pofolgować mi czy nie?

– Każę waszej książęcej mości związać w tył ręce, tak będzie wygodniej.

– Nie może być!... Do reszty mi ręce wykręcicie!

– Innego kazałbym uwolnić na parol, że nie ucieknie, ale wy umiecie słowo łamać! – odrzekł Kmicic.

– Jać inny parol daję – odrzekł książę – że nie tylko przy pierwszej sposobności umknę z twoich rąk, ale że cię każę końmi rozerwać, gdy w moje wpadniesz! – Co ma Bóg dać, to da! – odrzekł Kmicic – ale wolę szczerą groźbę niż fałszywe obietnice. Puścić mu ręce, konia jeno za cugle powodować, a wasza książęca mość patrz tu! Oto mi jeno za cyngiel ruszyć, by ci kulę w krzyże wpędzić, a dalibóg, nie chybię, bo nigdy nie chybiam. Siedźże spokojnie na koniu, umykać nie próbuj!

– Nie dbam, panie kawalerze, o ciebie i twoją króćcę...

To rzekłszy książę wyciągnął zbolące ręce, aby je wyprostować i z odrętwienia otrząsnąć, żołnierze tymczasem chwycili z dwóch stron konia za cugle i wiedli dalej.

Bogusław po chwili rzekł:

– Nie śmiesz mi w oczy spojrzeć, panie Kmicic, z tyłu się kryjesz.

– Owszem! – odparł pan Andrzej i popędziwszy konia, odsunął Zawratyńskiego, a sam chwyciwszy za lejc książęcego rumaka spojrział Bogusławowi prosto w twarz.

– A jak tam moja szkapa? Zalim jej dołgał choć jedną cnotę?

– Dobry koń! – odrzekł książę. – Chcesz, to go kupię.

– Bóg zapłać! Wart ten koń lepszego losu niż zdrąjcę do śmierci nosić.

– Głupiś, panie Kmicic!

– Bom w Radziwiłłów wierzył!

Znów nastała chwila milczenia, którą przerwał pierwszy książę:

– Powiedz mi, panie Kmicic – rzekł – czyś ty pewien, żeś przy zdrowych zmysłach i że ci się rozum nie pomieszał? Czyś zapytał samego 'siebie, coś ty, szalony człecze, uczynił, kogoś ty porwał, na kogoś rękę podniósł? Czy ci nie przyszło do głowy, że lepiej by dla ciebie teraz było, żeby cię matka nie radziła? I że na tak zuchwały postępek nie odważyłby się nikt nie tylko w Polsce, ale i w Europie całej?

– To widać niewielka fantazja w tej Europie, bo ja waszą księżęcą mość porwałem, trzymam i nie puszcze.

– Nie może być inaczej, tylko z szalonym sprawa! – zawołał jakby do siebie książe.

– Mój mości książe! – odrzekł pan Andrzej. – Jesteś w moim ręku i z tym się zgódź, a słów próżno nie trać! Pogoń nie nadejdzie, bo tam twoi ludzie dotychczas myślą, żeś dobrowolnie z nami wyjechał. Kiedy cię moi ludzie pod łokcie brali, nikt tego nie widział, bo nas tuman przesłonił, a choćby nie tuman, to z dalekości ani masztalerze, ani straż by nie dojrzała. Przez dwie godziny będą cię czekać, przez trzecią się niecierpliwić, przez czwartą i piątą niepokoić, a w szóstej wyślą ludzi na zwiady, a my tymczasem będziemy za Mariampolem.

– I co z tego?

– To z tego, że nie zgonią, a choćby i zaraz byli zaczęli gonić, i tak by nie zgonili, bo wasze konie prosto z drogi, a nasze wypoczęte. Gdyby zaś jakim cudem zgonili, i to na nic, bo jak mnie tu wasza księżęcą mość widzisz, tak bym jej łeb roztrzaskał... co i uczynię, jeśli inaczej nie będzie można. Ot, co jest! Radziwiłł ma dwór, wojsko, działa, dragonów, a Kmicic sześciu ludzi i pomimo tego Kmicic Radziwiłła za kark trzyma.

– Co dalej? – rzekł książe.

– Nic dalej! Dalej pojedziem przed siebie tam, gdzie mi się spodoba. Dziękuj wasza księżęcą mość Bogu, żeś żyw dotąd, bo żeby nie to, zem ja sobie kazał z dziesięć wiader wody rano na łeb wychlustać, to byś już był na tamtym świecie, alias w piekle, z dwóch racyj: jako zdrajca, i jako kalwin.

– I ważyłbyś się na to?

– Nie chwając się nie znajdziesz wasza księżęcą mość łatwo takowej imprezy, na którą bym się nie ważył, a masz najlepszy dowód na sobie.

Książe spojrział uważniej w oblicze junaka i rzekł: – Diabeł ci to, kawalerze, na twarzy napisał, żeś na wszystko gotów – i to też racja, że mam dowód na sobie... Powiem ci nawet, żeś potrafił mnie samego śmiałością zadziwić, a to niełatwa rzecz.

– Wszystko mi jedno. Podziękuj wasza księżęcą mość Bogu, żeś dotąd żyw, i kwita!

– Nie, panie kawalerze! Przede wszystkim ty za to Bogu podziękuj... Bo gdyby jeden włos spadł z głowy mojej, to wiedz, że cię Radziwiłłowie znajdą choćby pod ziemią. Jeśli liczysz na to, że teraz niezgoda między nami i że cię nieświescy i ołyccy ścigać nie będą, to się mylisz. Krew radziwiłłowska musi zostać pomszczona, przykład straszliwy musi być dany, inaczej nie żyć by nam w tej Rzeczypospolitej. Za granicą także się nie schronisz! Cesarz niemiecki cię wyda, bom ja księżę Rzeszy Niemieckiej, elektor brandenburski mój wuj, książe Oranii jego szwagier, królestwo francuscy i ich ministrowie moi przyjaciele. Gdzie się schronisz?... Turcy i Tatarzy cię sprzedadzą, choćbyśmy mieli pół fortuny im oddać. Kąta na ziemi nie znajdziesz ani takich puszczy, ani takich ludów...

– Dziwno mi to – rzekł Kmicic – że się wasza księżęcą mość o moje zdrowie z góry tak troszczysz, wielka persona Radziwiłł!... A przecie mi tylko cyngla ruszyć...

– Temu nie neguję. Nieraz się już zdarzało w świecie, że wielki człowiek ginął z rąk prostaka. Toć i Pompejusza ciura zabił, toć królowie francuscy z rąk ludzi niskiego stanu ginęli, toć nie dalej szukając i wielkiemu ojcu mojemu toż samo się przygodziło... Jenó, pytam się ciebie, co dalej?

– Et! co mi tam! Nie dbałem ja nigdy o to wielce, co jutro będzie. Przyjdzie ze wszystkimi Radziwiłłami się zahaczyć, to jeszcze Bóg to wie, kto komu lepiej przygrzeje. Już to dawno miecz mi ciągle wisiał nad głową, a dlatego niech jeno oczy zmruję, to i śpię smaczno jak suseł. W dodatku, mało mi będzie jednego Radziwiłła, to porwę drugiego i trzeciego...

– Jak mi Bóg miły, kawalerze, tak mi się podobasz!... Bo to ci powtarzam, że chyba ty jeden w Europie mogłeś się na coś podobnego ważyć. Ani się, bestia, zatroska, ani pomyśli, co jutro będzie! Lubię śmiałych ludzi, a coraz ich mniej na świecie... Ot, porwał sobie Radziwiłła i trzyma go jak swego... Gdzieżeś się taki uchował, kawalerze? Skąd jesteś?

– Chorąży orszański!

– Panie chorąży orszański, żal mi, że Radziwiłłowie tracą takiego człowieka jak waćpan, bo z takimi ludźmi siła można dokazać. Gdyby nie o mnie chodziło... Hm! nie żałowałbym niczego, by cię skaptować... – Za późno! – rzekł Kmicic.

– To się rozumie! – odpowiedział książę. – Wiele za późno! Ale to ci przyrzekam, że każę cię po prostu rozstrzelać, boś godzien żołnierską śmiercią zginąć... Co za diabeł wcielony! Z pośrodku moich ludzi mnie porwał!

Kmicic nie odrzekł nic; książę zaś zamyślił się przez chwilę, po czym zakrzyknął:

– Wreszcie, pal cię sześć! Jeżeli puścisz mnie natychmiast, nie będę się mścił! Dasz mi tylko parol, że nikomu nie wspomnisz, co zaszło, i ludziom nakazesz milczenie.

– Nie może być! – rzekł Kmicic.

– Chcesz wykupu?

– Nie chcę.

– Po cóżeś, u diabła, mnie porwał? Nie rozumiem!

– Siła by gadać! Dowiesz się wasza książęca mość później.

– A co mamy robić przez drogę, jeśli nie gadać? Przyznaj się, kawalerze, do jednej rzeczy: żeś mnie porwał w chwili cholery i desperacji... i teraz sam dobrze nie wiesz, co ze mną czynić.

– To moja rzecz! – odpowiedział Kmicic – a czy nie wiem, co czynić, pokaże się niebawem. Niecierpliwość odbiła się na twarzy księcia Bogusława.

– Niezbyt rozmownyś, panie chorąży orszański rzekł – ale odpowiedz mi przynajmniej szczerze na jedno pytanie: żaliś już jechał do mnie na Podlasie z gotowy m zamiarem targnięcia się na moją osobę czyli też później, w ostatniej chwili, przyszło ci to do głowy.

– Na to mogę szczerze waszej książęcej mości odpowiedzieć, bo i mnie samego w gębę pali, abym wam powiedział, dlaczego porzuciłem waszą stronę i pókim żyw, póki mi tchu w gardzieli stanie, więcej do niej nie wrócę. Książę wojewoda wileński mnie zwiódł i naprzód na to mnie wyciągnął, żem mu na krucyfiksie zaprzysiągł, jako go nie opuszczę do śmierci...

– A to pięknie dotrzymujesz... Nie ma co mówić!... – Tak jest! – zawołał gwałtownie Kmicic. – Jeślim duszę stracił, jeśli muszę być potępiony, to przez was... Ale miłosierdziu boskiemu się oddaję... i wolę duszę stracić, wolę gorzeć wiekuiście niż dłużej grzeszyć świadomie i dobrowolnie, niż dłużej służyć wiedząc, że grzechowi i zdradzie służę. Niech Bóg zmiłuje się nade mną... Wolę gorzeć! Wolę stokroć gorzeć... bo i tak bym gorzał, gdybym przy was został. Nie mam nic do stracenia... Ale to przynajmniej na sądzie boskim powiem: „Nie wiedziałem, na com przysięgał, a gdym zmiarkował, że na zdradę ojczyźnie, na zgubę imieniowi polskiemu przysięgałem, tedym przysięgę złamał... Teraz mnie, Panie Boże, sądz!”

– Do rzeczy! do rzeczy! – rzekł spokojnie książę Bogusław.

Lecz pan Andrzej oddychał ciężko i jechał czas jakiś w milczeniu, z namarszczoną brwią i okiem wbitym w ziemię, jak człowiek nieszczęściem przygnieciony.

– Do rzeczy! – powtórzył książę Bogusław.

Kmicic zbudził się jakoby ze snu, potrząsnął głową i mówił:

– Wierzyłem księciu hetmanowi, jakbym ojcu rodzonemu nie wierzył. Pamiętam tę ucztę, gdy to nam pierwszy raz powiedział, że się ze Szwedem połączył. Com ja wtedy przecierpiał, com przeszedł, Bóg mi policzy! Inni, zacni ludzie, ciskali mu buławy pod nogi, przy ojczyźnie się oponując, a jam stał jak pień, z buławą, ze wstydem i z hańbą, w upokorzeniu, w męce... bo mi do oczu powiedziano: „zdrajca!” I kto powiedział!... Et!... lepiej nie wspominać, bym się zaś nie zapamiętał; bym nie oszalał i waszej książęcej mości zaraz tu w łeb nie strzelił... Wyście to, wy, zdrajcy, sprzedawczyki, wyście mnie do tego doprowadzili!

Tu pan Kmicic począł patrzeć straszonym wzrokiem na księcia i nienawiść wybiła mu z dna duszy na twarz, na kształt smoka, który wypełznął z pieczary na światło dzienne, a książę Bogusław patrzył na junaka spokojnym, nieulekłym okiem, na koniec rzekł:

– Owszem, panie Kmicic, to mnie zajmuje... Mów dalej...

Kmicic puścił cugle książęcego konia, zdjął czapkę, jakby chcąc gorejącą głowę ochłodzić.

– Tej samej nocy – mówił – poszedłem do księcia hetmana, bo i sam kazał mnie sprowadzić. Myślałem sobie: wypowiem mu służbę, złamię przysięgę, uduszę w tych oto rękach, prochami wysadzę Kiejdany, a potem niech się, co chce, dzieje! On też wiedział, że na wszystko gotów – znał mnie! Wdziałem to dobrze, iż palcami w puzdrze przebierał, w którym były pistolety. Nic to – myślę sobie albo mnie chybi, albo zabije! Ale on począł mnie reflektować, począł mówić, takie perspektywy mnie, prostakowi, pokazywać, za takiego zbawcę się podawać, że wiesz wasza książęca moc, co się stało?

– Przekonał młodzika! – rzekł Bogusław.

– Żem mu do nóg padł – zakrzyknął Kmicic i ojca, jedynego zbawcę ojczyzny w nim widziałem, że mu się oddał jako diabłu, z duszą, z kadłubem, że był gotów za niego, za jego uczciwość, z wieży kiejdańskiej na łeb się rzucić!

– Domyślałem się, że taki będzie koniec! – zauważył Bogusław.

– Com stracił w tej służbie, o tym nie będę gadał, ale oddałem mu ważne usługi: utrzymałem w posłuszeństwie moją chorągiew, która tam teraz została, bogdaj mu na pohybel! – inne, które się buntowały, znacznie wyciąłem... Zababrałem ręce w krwi bratniej, w tej myśli, iż sroga to dla ojczyzny necessitas! Często mnie dusza bolała, gdy dobrych żołnierzy rozstrzeliwać kazał; często natura szlachecka rebelizowała przeciw niemu, gdy raz i drugi przyrzekł mi coś, a potem nie dotrzymał. Ale to myślał: ja głupi, on mądry! – tak trzeba! Teraz dopiero, gdy mi o onych trucicach z listów dowiedział, aż mi szpik w kościach zdrętwiał! Jakże to? Także to wojna? To trucie chcecie żołnierzy? I to ma być po hetmańsku? To ma być po radziwiłowsku? Ja to mam takie listy wozić?...

– Nie znasz się na polityce, kawalerze – przerwał Bogusław.

– Niechże ją pioruny zatrzasną! Niechże ją podstępni Włochowie robią, nie szlachcic, którego Bóg zacniejszą od innych krwią przyozdobił, ale też i zobowiązał, aby szablą, nie apteką, wojował i imienia nie hańbił!

– Te listy tedy tak cię zraziły, że postanowiłeś Radziwiłów opuścić?

– Nie listy! Byłbym je katu oddał albo w ogień cisnął, bo ja nie od takich funkcji – ale nie listy! Wyrzekłbym się posłowania, ale sprawy nie odstąpił. Czy ja wiem?! Poszedłbym choć w dragony albo kupę bym nową zebrał i znów Chowańskiego po staremu podchodził. Ale już mi zaraz przyszło podejrzenie: a nuż oni i ojczyznę chcą otruć tak jak tych żołnierzy?... Bóg dał, że nie wybuchnął, choć mi głowa jako granat gorzała, że się opamiętałem, że miał tę moc powiedzieć sobie: ciągnijże go za język, a dowiesz się całej prawdy – nie zdradź, co masz w sercu, podaj się za przaińca, za gorszego od samych Radziwiłów, i ciągnij za język.

– Kogo? mnie?

– Tak jest! i Bóg mi pomógł, że ja, prostak, statystę w pole wywiódł, żeś wasza książęca moc, mając mnie za szelmę ostatnią, żadnego szelmstwa waszego nie ukrył, wszystko wyznał, wszystko wypowiedział, jakoby na dłoni wypisał! Włosy mi na łbie dębem stawały, ale słuchał i wysłuchał do końca!... O zdrajcy! O arcypiekielnicy! O parrycydowie!... Jakże to piorun was dotąd nie pobił? Jakże to ziemia was dotąd nie pożarła?... To z Chmielnickim, ze Szwedami, z elektorem, z Rakoczym i z samym diabłem na zgubę tej Rzeczypospolitej się zmawiacie?... To płaszcz z niej chcecie sobie wykroić? Zaprzedać? Rozdzielić? Rozerwać jako wilcy tę matkę waszą. Także wasza wdzięczność za wszystkie dobrodziejstwa, którymi was obsypała, za one urzędy, honory, godności, substancje, starostwa, za takie fortuny, których królowie zagraniczni wam zazdroszczą?... I gotowicie nie zważać na onej lży, na mękę, na ucisk? Gdzie w was sumienie? Gdzie wiara, gdzie uczciwość!... Co za *monstra* na świat was wydały?



– Panie kawalerze – przerwał zimno książę Bogusław – masz mnie w rękę i możesz mnie zabić, ale o jedno cię proszę; nie nudź mnie!

Umilkli obaj.

Jednakże ze słów Kmicica ukazywało się jasno, że żołnierz zdołał wyciągnąć całą nagą prawdę z dyplomaty i że książę popełnił wielką nieostrożność, wielki błąd, zdradziwszy najtajniejsze zamysły własne i hetmańskie. Ubodło to jego miłość własną, więc też nie racząc ukrywać złego humoru rzekł:

– Nie przypisuj tylko tego własnemu dowcipowi, panie Kmicic, jeżeliś ze . mnie prawdę wydo-  
stał. Mówilem otwarcie, bom myślał, że książę wojewoda lepiej zna się na ludziach i przyszle  
człowieka godnego ufności.

– Książę wojewoda przysłał człowieka godnego ufności – odparł Kmicic – aleście go już straci-  
li. Odtąd tylko szelmy służyć wam będą!

– Jeżeli sposób, w jaki mnie porwałeś, nie był szelmowski, to niech mi w pierwszej bitwie  
szpada do ręki przyrośnie.

– To fortel! W twardej ja się szkole ich uczył. Chciałeś wasza książęca mość poznać Kmicica,  
masz go! Nie pojedę z próżnymi rękoma do naszego pana miłościwego.

– I myślisz, że mi włos z głowy z ręki Jana Kazimierza spadnie?

– To sędziów, nie moja sprawa!

Nagle Kmicic zatrzymał konia.

– Hej! – rzekł. – A list księcia wojewody? Masz go wasza książęca mość przy sobie?

– Choćbym miał, to bym nie dał! – rzekł książę. – Listy zostały w Pilwiszkach.

– Obszukać go! – krzyknął Kmicic.

Żołnierze porwali znów księcia pod ramiona, Soroka zaś począł szukać mu po kieszeniach. Po  
chwili znalazł list.

– Oto jeden dokument przeciw wam i waszym robotom – rzekł biorąc go pan Andrzej. – Dowie  
się z niego król polski, co zamierzacie, dowie się i szwedzki, że chociaż teraz mu służycie, przecie  
już książę wojewoda zastrzega sobie wolność *recedere*, jeśliby się noga Szwedom miała powinąć.  
Wyjdą na jaw wszystkie wasze zdrady, wszystkie machinacje. A mam przecie i inne listy, do króla  
szwedzkiego, do Wittenberga, do Radziejowskiego... Wielcy jesteście i potężni, a przecie nie  
wiem, czyli wam ciasno nie będzie w tej ojczyźnie, gdy wam obaj królowie godną waszych zrad  
rekompensę obmyślą.

Oczy księcia Bogusława zabłyśły złowrogim światłem, ale po chwili opanował gniew i rzekł:

– Dobrze, kawalerze! Na śmierć i życie między nami!... Spotkamy się!... Możesz przysporzyć  
nam trosków i sprawić wiele złego, ale to jeno powiem: nikt nie śmiał dotąd tego uczynić w tym  
kraju, coś ty uczynił, i biada tobie i twoim.

– Ja sam mam szablę do obrony, a swoich mam czym wykupić! – rzekł Kmicic.

– Ach! masz mnie jako zakładnika! – rzekł książę.

I mimo całego gniewu odetchnął spokojnie; zrozumiał jedno w tej chwili, że w żadnym wypad-  
ku życiu jego nic nie grozi, bo jego osoba zbyt jest Kmicicowi potrzebna. Postanowił z tego korzy-  
stać.

Tymczasem puścili się znów rysi i po godzinie drogi ujrzeli dwóch jeźdźców, z których każdy  
prowadził po parze juczych koni. Byli to ludzie Kmicicowi wysłani naprzód z Pilwiszek.

– A co tam? – spytał ich Kmicic.

– Konie nam się zmachały okrutnie, wasza miłość, bośmy nie wypoczywali dotąd.

– Zaraz spoczniemy!...

– Widać tu chałupę na zakręcie, może to karczma.

– Niech wachmistrz ruszy naprzód obroki przygotować: Karczma czy nie karczma, trzeba sta-  
nąć!...

– Wedle rozkazu, panie komendancie.

Soroka wypuścił konia, a oni podążali za nim z wolna. Kmicic jechał z jednej strony księcia, Lubieniec z drugiej. Książę uspokoił się zupełnie i nie wyciągał więcej na rozmowę pana Andrzeja. Zdawał się być zmęczony drogą czy też położeniem, w jakim się znajdował, i głowę pochylił nieco na piersi, a oczy miał przymknięte. Jednakże od czasu do czasu rzucał ukośne spojrzenia, to na Kmicica, to na Lubieńca, którzy trzymali cugle jego konia, jakby upatrując, którego łatwiej będzie obalić, aby się wyrwać na wolność.

Tymczasem zbliżyli się do budowli leżącej przy drodze, na cyplu lasu. Nie była to karczma, ale kuźnia i kołodziejnia zarazem, w której jadący traktem zatrzymywali się dla przekuwania koni i reparacji wozów. Między samą kuźnią a drogą rozciągał się niewielki majdan, nie ogrodzony płotem, z rzadka porośły wydeptaną trawą; szczątki wozów i popsowane koła leżały rozrzucone tu i owdzie na owym majdanie, ale z przejezdnych nie było nikogo, jeno koń Soroki stał przywiązany do słupa. Sam Soroka rozmawiał przed kuźnią z kowalem Tatarem i dwoma jego pomocnikami.

– Niezbyt obfity będziem mieć popas – rzekł uśmiechając się książę – niczego tu nie dostanie.

– Mamy żywność i gorzałkę ze sobą – rzekł pan Kmicic.

– To dobrze! Trzeba nam będzie sił nabrać.

Tymczasem stanęli. Kmicic zatknął za pas króciwą, zeskoczył z kulbaki i oddawszy bachmata w ręce Saroki chwycił znów za cugle książęcego konia, którego zresztą Lubieniec nie popuszczał z ręki z drugiej strony.

– Wasza książęca mość zechce zejść z konia! – rzekł pan Andrzej.

– A to czemu? Będę jadł i pił z kulbaki – rzekł książę pochylając się ku niemu.

– Proszę na ziemię! – zawołał groźnie Kmicic.

– A ty w ziemię! – krzyknął straszliwym głosem książę i wyrwawszy z szybkością błyskawicy króciwą z pasa Kmicica, huknął mu w samą twarz.

– Jezus Maria! – zakrzyknął Kmicic.

W tej chwili koń pod księciem, uderzony ostrogami, wspiał się tak, iż wyprostował się prawie zupełnie, książę zaś przekreślił się jak waż w kulbace ku Lubieńcowi i całą siłą potężnego ramienia pchnął go łufą między oczy.

Lubieniec wrzasnął przeraźliwie i spadł z konia: Zanim inni mogli zrozumieć, co się stało, zanim odetchnęli, zanim okrzyk zgrozy zamarł na ich warach, Bogusław roztrącił ich jak burza, wypadł z majdanu na drogę i pomknął wichrem ku Pilwskorn.

– Łapaj ! Trzymaj ! Bij! – rozległy się dzikie głosy.

Trzej żołnierze, którzy jeszcze siedzieli na koniach, puścili się za nim; lecz Soroka chwycił muszkiet oparty o ścianę i począł mierzyć do uciekającego, a raczej do jego rumaka.

Rumak zaś wyciągnął się jak sarna i biegł z szybkością strzały wypuszczonej z cięciwy. Huknął strzał. Soroka rzucił się przez dym, aby skutek lepiej zobaczyć; oczy przysłonił ręką, popatrzył przez chwilę i wreszcie wykrzyknął:

– Chybiony!

W tej chwili Bogusław zniknął na zakręcie, a za nim zniknęli goniący.

Wówczas wachmistrz zwrócił się do kowala i jego pomocników, którzy patrzyli aż dotąd z niemym przerażeniem na to, co się stało, i zawołał:

– Wody!

Kowalczuki skoczyli ciągnąć żurawia, a Soroka klęknął przy leżącym nieruchomie panu Andrzeju. Twarz Kmicica była pokryta sadzą wystrzału i soplami krwi – oczy miał przymknięte, lewą brew, powiekę i lewy wąs osmolone. Wachmistrz począł naprzód dotykać z lekka palcami jego czaszki. Dotykał długo i ostrożnie, po czym mruknął:

– Głowa cała...

Lecz Kmicic nie dawał znaku życia i krew wydobywała mu się z twarzy obficie. Tymczasem kowalczuki przynieśli wiadro wody i szmaty do obcierania. Soroka z równą powolnością i uwagą zabrał się do obmywania twarzy Kmicica.

Na koniec rana ukazała się spod krwi i sadzy. Kula rozorała głęboko Kmicicowi lewy policzek i zniosła zupełnie koniec ucha. Soroka począł badać, czy kość policzkowa nie jest strzaskana.

Po chwili przekonał się, że nie, i odsapnął głęboko. Równocześnie Kmicic pod wpływem zimnej wody i bólu jął dawać znaki życia. Twarz poczęła mu drgać, piersi podnosiły się oddechem.

– Żyje!... Nic mu nie będzie! – zawołał radośnie Soroka.

I łaza stoczyła się po zbójeckiej twarzy wachmistrza.

Tymczasem na zakręcie drogi ukazał się Biłous, jeden z trzech żołnierzy, którzy pognali za księciem.

– A co? – spytał Soroka.

Żołnierz kiwnął ręką.

– Nic!

– A tamci prędko wrócą?

– Tamci nie wrócą.

Wachmistrz złożył drżącymi rękoma głowę Kmicica na progu kuźni i zerwał się na równe nogi.

– Jakże to?

– Panie wachmistrzu, to charakternik! Pierwszy dogonił go Zawratyński, bo miał najlepszego konia, i dlatego że mu się pozwolił dogonić. W naszych oczach wydarł mu szablę z ręki i sztychem przebił. Ledwie mieliśmy czas zakrzyknąć. Witkowski był bliżej i skoczył na ratunek. A ten ściał go w moich oczach... Jakby go piorun zatrzaskał!... Ani zipnął... A jam nie czekał kolei... Panie wachmistrzu! on tu gotów jeszcze wrócić!

– Nic tu po nas! – krzyknął Soroka. – Do koni! I w tejże samej chwili poczęli wiązać nosze między końmi dla Kmicica.

Dwóch ludzi z rozkazu Soroki stanęło z muszkietami na drodze, z obawy powrotu straszliwego męża.

Lecz księżę Bogusław, w przekonaniu, że Kmicic nie żyje, wracał spokojnie do Pilwiszek.

O zmroku już spotkał go cały oddział rajtarów wysłany przez Patersona, który zaniepokoił się długą nieobecnością księcia.

Oficer ujrawszy księcia skoczył ku niemu.

– Wasza książęca mość... Nie wiedzieliśmy...

– Nic to! – przerwał księżę Bogusław. – Przejeżdżałem konia w kompanii tego kawalera, od którego go kupiłem.

A po chwili dodał:

– I zapłaciłem dobrze.

**KONIEC TOMU PIERWSZEGO**

**TOM II**



## ROZDZIAŁ I

Wierny Soroka wioził swego pułkownika przez lasy głębokie, sam nie wiedząc, dokąd jechać, co począć, gdzie się obrócić.

Kmicic nie tylko był ranny, ale i ogłuszony wystrzałem. Soroka od czasu do czasu maczał szmatę w kuble wiszącym przy koniu i obmywał mu twarz; chwilami zatrzymywał się dla poczerpnienia świeżej wody przy strumieniach i jeziorkach leśnych, ale ani woda, ani postoje, ani ruch konia nie zdołały zrazu wrócić panu Andrzejowi przytomności – i leżał jak martwy, aż żołnierze jadący razem, a mniej doświadczeni w rzeczach ran od Soroki, poczęli się troskać, czy żyje.

– Żyje – odpowiadał Soroka – za trzy dni tak będzie na koniu siedział jak każdy z nas.

Jakoż w godzinę później Kmicic otworzył oczy i z ust jego wydobyło się jedno tylko słowo:

– Pić!

Soroka przytknął blaszankę z czystą wodą do jego warg, lecz pokazało się; że otwarcie ust sprawia panu Andrzejowi ból nieznośny – i nie mógł pić. Ale przytomności już nie stracił; jednakże o nic nie pytał, jak gdyby nic nie pamiętał; oczy miał szeroko otwarte i patrzył bezmyślnie na głębie leśne, na szmaty błękitnego nieba, widne nad głowami między gęstwina, i na swoich towarzyszków; patrzył tak, jak człowiek zbudzony ze snu lub otrzeźwiony z upicia, i pozwolił, nie mówiąc ani słowa, opatrywać się Soroce, nie jęczał przy rozwiązywaniu bandażów – owszem, zimna woda, którą wachmistrz obmywał ranę, zdawała się sprawiać mu przyjemność, bo czasem uśmiechał się oczyma.

A Soroka pocieszał go:

– Jutro, panie pułkowniku, dur przejdzie. Da Bóg, że się uchronim.

Jakoż pod wieczór odurzenie poczęło istotnie przechodzić, bo przed samym zachodem słońca Kmicic spojrzał przytomniej i nagle spytał:

– Co tu taki szum?

– Jaki szum? Nie ma żadnego – odpowiedział Soroka.

I widocznie szumiało tylko w głowie pana Andrzeja, bo wieczór był pogodny. Zachodzące słońce, przenikając skośnymi promieniami w gęstwina, przesycalo złotymi blaskami mrok leśny i bramowało czerwone pnie sosen. Wiatr nie wiał – i tylko tu i ówdzie z leszczyny, brzoź i grabów spływały liście na ziemię albo zwierz pierzchliwy czynił lekki szelest, pomykając w głębinsy boru przed jezdnymsy.

Wieczór był chłodny, jednakże gorączka poczęła widocznie chwytać pana Andrzeja, bo po kilkakroć powtórzył:

– Mości księżę! między nami na śmierć i życie!

Ściemniło się wreszcie zupełnie i Soroka myślał już o noclegu, ale że weszli w mokry bór i błoto poczęło chlupotać pod kopytami, jechali więc dalej, aby dobrać się do wysokich i suchych części lasu.

Jechali godzinę i drugą, nie mogąc przebrać się przez bagno. Tymczasem uczyniło się znów widniej, bo zeszedł księżyc w pełni. Nagle Soroka jadący na przedzie zeskoczył z kulbaki i począł pilno rozpatrywać grunt leśny.

– Konie tędy szły – rzekł – widać ślady na błocie.

– Kto mógł tędy przejeżdżać, kiedy tu żadnej drogi nie ma? – rzekł jeden z żołnierzy podtrzymujących pana Kmicica.

– Ale ślady są – i to kupa cała! Ot, tam, między sosnami, widać jasno jak na dłoni.

– Może bydło chodziło.

– Nie może być. Nie pora leśnych pastwisk, widać wyraźnie kopyta, juźci, jacyś ludzie musieli tędy przejeżdżać. Dobrze by było choćby budę leśniczą znaleźć.

– To jedźmy śladem.

– Jazda!

Soroka wskoczył znowu na konia i ruszyli. Ślady kopyt w torfiastym gruncie ciągle były wyraźne, a niektóre, o ile przy świetle księżycy można było miarkować, wydawały się zupełnie świeże. Jednakże konie zapadały do kolan i wyżej. Już obawiali się żołnierze, czy przebrną, czy głębsze jeszcze topiele nie odkryją się przed nimi, gdy po upływie pół godziny do nozdrzy ich doszedł zapach dymu i żywicy.

– Smolarnia tu musi być! – rzekł Soroka.

– A ot! tam skry widać! – rzekł żołnierz.

I rzeczywiście, w dali ukazała się smuga czerwonego, przesyconego płomieniem dymu, około której skakały iskry tlejącego pod ziemią ogniska.

Zbliżywszy się ujrzeli żołnierze chatę, studnię i dużą szopę, zbitą z bierwion sosnowych. Konie, zmęczone drogą, poczęły rzeć – liczne rżenia odpowiedziały im spod szopy, a jednocześnie przed jezdnyimi stanęła jakaś postać ubrana w kozuch przewrócony wełną do góry.

– A siła koni? – spytał człowiek w kozuchu.

– Chłopie! Czyja to smolarnia? – rzekł Soroka.

– Coście wy za jedni? Skądście się tu wzięli? – pytał znowu smolarz głosem, w którym widoczny był przestach i zdziwienie.

– Nie bój się! – odpowiedział Soroka – nie zbóje!

– Jedźcie w swoją drogę, nic tu po was!

– Zamknij pysk i do chaty prowadź, póki prosim. A nie widzisz, chamie, że rannego wieziem!

– Coście za jedni?

– Pilnuj, abym ci z rusznicy nie odpowiedział. Lepsi od ciebie, parobku! Prowadź do chaty, a nie, to cię we własnej smole ugotuję.

– Jeden się przed wami nie obronie, ale będzie nas więcej. Gardła wy tu położycie!

– Będzie i nas więcej, prowadź!

– To i chodźcie, nie moja sprawa.

– Co masz jeść dać, to daj – i gorzałki. Pana wieziemy, który zapłaci.

– Byle stąd żyw wyjechał.

Tak rozmawiając weszli do chaty, w której na kominie palił się ogień, a z garnków postawionych na trzonie rozchodził się zapach duszonego mięsiwa. Izba była dość przestronna. Soroka zaraz na wstępie zauważył, iż pod ścianami stało sześć tapczanów okrytych obficie baraniami skórami.

– To tu jakaś kompanija mieszka – mruknął do towarzyszków. – Podsypać rusznice i czuj duch! Tego chama pilnować, by nie umknął. Niechże dzisiejszej nocy kompanija śpi na dworze, bo my z izby nie ustąpię.

– Panowie nie przyjadą dziś – rzekł smolarz.

– To i lepiej, bo nie będziem się o kwaterę spierali, a jutro sobie pojedziem – odparł Soroka – tymczasem wykiń mięsiwo na misę, bośmy głodni, i koniom owsa nie żałuj.

– A skądby tu owsa wziąć przy smolarni, wielmożny panie żołnierzu?

– Słyszeliśmy konie pod szopą, to musi być i owies; smołą ich nie żywisz.

– To nie moje konie.

– Czy twoje, czy nie twoje, jeść muszą jako i nasze. Żywo, chłopie! żywo! jeśli ci skóra miła.

Smolarz nie odrzekł nic. A tymczasem żołnierze złożyli śpiącego pana Andrzeja na tapczanie – po czym sami zasiedli do wieczerzy i jedli chciwie duszone mięsiwo wraz z bigosem, którego obszerny sagan znalazł się na kominie. Były także i jagły, a w komorze, przy izbie, znalazł Soroka spory gąsiorek gorzałki.

Jednakże sam z lekka się tylko zakropił i żołnierzom pić nie dał, bo postanowił mieć się przez noc na baczości. Ta opróżniona chata z tapczanami na sześciu mężów i z szopą, w której rżało stado koni, wydała mu się dziwną i podejrzaną. Sądził po prostu, że to jest schronisko zbójckie, tym bardziej że w tej samej komorze, z której wyniósł gąsiorek, odkrył sporo oręża pozawiesza-

nego na ścianach i beczkę prochu oraz rozmaite rupiecie, widocznie w dworach szlacheckich porabowane. Na wypadek gdyby nieobecni mieszkańcy tej chaty wrócili, nie można było spodziewać się od nich nie tylko gościnności, ale nawet miłosierdzia; zamierzył więc Soroka zając zbrojną ręką chatę i trzymać się w niej przemocą lub drogą układow.

Było to konieczne i ze względu na zdrowie Kmicica, dla którego podróż mogła stać się zgubną, i ze względu na wspólne wszystkich bezpieczeństwo. Soroka był to żołnierz kuty i bity, któremu jedno tylko uczucie obcym było, to jest uczucie trwogi. A jednak teraz, na wspomnienie księcia Bogusława, strach go brał. Zostając z dawnych lat w służbie Kmicica, wierzył on ślepo nie tylko w męstwo, ale i w szczęście młodego pana; widział niejednokrotnie jego czyny przechodzące zuchwalstwem miarę wszelką i graniczące prawie z szaleństwem, które jednak udawały się i uchodziły płazem. Odbył z Kmicicem wszystkie „podchody” pod Chowańskiego, brał udział we wszystkich zabijatykach, napadach, zajazdach, porwaniach i doszedł do przekonania, że młody pan wszystko może, wszystko potrafi, z każdej toni się wyratuje i każdego, kogo zechce, pograży. Kmicic tedy był dla niego uosobieniem największej potęgi i szczęścia – a owóż widocznie teraz trafił swój na swego – nie! widocznie pan Kmicic trafił na lepszego od siebie... Jak to? Jeden mąż, który był już w ręku Kmicica, porwany, bezbronny, zdołał wydostać się z jego rąk i mało tego: obalić samego Kmicica, pogromić jego żołnierzy i przerazić ich tak, że zbiegli bojąc się jego powrotu? Był to dziw nad dziwy i Soroka głowę tracił myśląc o tym – wszystkiego się bowiem na tym świecie spodziewał, tylko nie tego, by znalazł się ktoś taki, kto by po panu Kmicicu przejechał.

– Zali skończyło się już nasze szczęście? – mrucał do siebie rozglądając się ze zdumieniem dokoła.

Więc choć dawniej, bywało, szedł z zamkniętymi oczyma za panem Kmicicem na kwatery Chowańskiego, otoczone ośmdziesiątysięcną armią, teraz, na wspomnienie tego długowłosego księcia z panięskimi oczyma i różową twarzą, ogarniał go zabobonny przestach. I sam nie wiedział, co czynić. Przerazała go myśl, że jutro lub pojutrze trzeba będzie zjechać na bite trakty, na których może ich spotkać sam straszliwy książę lub jego pogoń. Dlatego to właśnie zjechał z drogi w głębokie lasy – a obecnie pragnął zostać w onej leśnej chacie, póki by się nie zmyliły i nie znużyły pogonie.

Lecz że i to schronisko, z innych powodów, nie wydawało mu się bezpiecznym, chciał wiedzieć, czego się trzymać, i w tym celu kazał żołnierzom strażować przy drzwiach i oknach chaty, a sam rzekł do smolarza:

- Weź, chłopie, latarnię i chodź ze mną.
- Chyba łuczycem wielmożnemu panu zaświecę, bo nie masz latarni.
- To świeć łuczycem; spalisz szopę i konie, wszystko mi jedno!

Na takie *dictum*, latarnia znalazła się zaraz w komorze. Soroka kazał chłopu iść naprzód, sam zaś szedł za nim z pistoletem w garści.

- Kto tu mieszka w tej chacie? – pytał po drodze.
- Panowie mieszkają.
- Jak ich zowią?
- Tego mi nie wolno powiedzieć.
- Widzi mi się, chłopie, że weźmiesz w łeb!
- Mój jegomość – odpowiedział smolarz – jeślibym zelgał jakie przezwisko, to też musiałbyś się jegomość kontentować.
- Prawda jest! A siła tych panów?
- Jest stary pan i dwóch paniczów, i dwóch czeladzi.
- Jakże to, szlachta?
- Pewnie, że szlachta.
- I tu mieszkają?
- Czasem tu, a czasem Bóg wie gdzie!



- A te konie skąd?
  - Panowie naprowadzają, a skąd, Bóg wie!
  - Rzeknij prawdę: nie rozbijają twoi panowie na gościńcu?
  - Czy ja, mój jegomość, wiem? Widzi mi się, że konie biorą, a komu, to nie moja głowa.
  - A co z końmi robią?
  - Czasem wezmą sztuk dziesięć, dwanaście, ile jest, i popędzą – a dokąd, to też nie wiem.
- Tak rozmawiając doszli do szopy, z której słychać było parskanie koni i weszli do środka.
- Świeć! – rzekł Soroka.

Chłop podjął latarnię w górę i począł oświecać konie stojące szeregiem przy ścianie. Soroka opatrywał jednego po drugim okiem znawcy i głową kręcił, językiem mlaskał i mruczał:

– Nieboszyk pan Zend rad by był... Są polskie, moskiewskie... a ten wałach niemiec... i ona klacz także... Zaczne konie. A co im dajecie?

- Żeby nie zełgać, mój jegomość, tom tu dwie polanki owsem obsiał jeszcze z wiosny.
- To twoi panowie od wiosny konie sprowadzają?
- Nie, ale mi czeladnika z rozkazem przysłali.
- Toś ty ich?
- Ja byłem ich, nim na wojnę poszli.
- Na jaką wojnę?
- Czy ja wiem, mój jegomość. Poszli daleko, jeszcze zeszłego roku, a wrócili latem.
- A czyj teraz jesteś?
- To królewskie lasy.
- Kto cię tu osadził na smolarni?

– Borowy królewski, panów krewny, który z nimi też konie prowadzał, ale jak raz z nimi pojechał, tak i więcej nie wrócił.

– A goście jacy tu u panów nie bywali?

– Tu nikt nie trafi, bo bagna naokoło i tylko jedno przejście; dziwno mi to, mój jegomość, żeście trafili, bo kto nie trafi, tego i bagno wciągnie.

Soroka chciał zrazu odpowiedzieć, że i te lasy, i to przejście zna dobrze, ale po chwili namysłu postanowił lepiej zamilczeć, a natomiast spytał:

– A duże to bory?

Chłop nie zrozumiał pytania.

– Jak to?

– Daleko idą?

– Oj ! kto je tam przeszedł: jedno się kończą, drugie zaczynają, a Bóg tam wie, gdzie ich nie ma. Ja tam nie był.

– Dobrze! – rzekł Soroka.

To rzekłszy kazał chłopu wrócić i sam zawrócił do chaty.

Po drodze rozmyślał, co mu czynić przystoi, i wahał się. Z jednej strony przychodziła mu ochota, korzystając z nieobecności mieszkańców chaty, brać konie jak swoje i z rabunkiem umykać. Łup był cenny i konie bardzo przypadły do serca staremu żołnierzowi, ale po chwili zwalczył pokusę. Wziąć łatwo, jeno co dalej czynić? Bagna naokoło, jedno wyjście – jak do niego trafić? Przypadek raz posłużył, ale może nie posłużyć drugi raz. Iść śladem kopyt na nic, boć pewnie mieszkańcy mieli tyle rozumu, że poczynili umyślnie śladowe drogi fałszywe i zdradne, wiodące wprost do topieli. Soroka znał dobrze proceder ludzi, którzy konie kradną lub łupem biorą.

Myślał więc i rozważał, nagle uderzył się pięścią w głowę:

– Kiep ze mnie! – mruknął – toż wezmę chłopca na postronek i każę się wyprowadzić na gościńiec.

Nagle wstrząsnął się wymówiwszy ostatni wyraz.

– Na gościńiec? A tam ten księżę i pogoń...

„Piętnaście koni trzeba stracić! – rzekł sobie w duchu stary wyga z takim żalem, jakby te konie od małego wyhodował. – Nie może być inaczej, tylko skończyło się nasze szczęście. Trzeba siedzieć w chacie, póki pan Kmicic nie wyzdrowieje, siedzieć z wolą mieszkańców albo bez woli, a co potem będzie, to już pułkownika głowa.”

Tak rozmyślając wrócił do chaty. Czujni żołnierze stali przy drzwiach i choć widzieli z dala latarkę migoczącą w ciemności, też samą, z którą Soroka i smolarz wyszli, przecie kazali im się opowiedzieć, kto są, zanim puścili ich do chaty. Soroka dał ordynans, by strażujący zmienili się o północy, sam zaś rzucił się na tapczan obok Kmicica.

W chacie uczyniło się cicho, jeno świerszcze rozpoczęły zwykłą muzykę, w przyległej komórce myszy chrobotwały w nagromadzonych tam rupieciach, od czasu do czasu zaś chory budził się i marzył widocznie gorączkowo, bo do uszu Soroki dolatywały bezładne jego słowa:

– Miłościwy królu, odpuść... Tamci zdrajcy... Wszystkie ich sekreta powiem... Rzeczpospolita sukno czerwone... Dobrze, mam cię, mości książe... Trzymaj!... Miłościwy królu!... Tędy, bo tam zdrada!

Soroka podnosił się na tapczanie i słuchał, lecz chory, zakrzyknawszy raz i drugi, zasypiał, a potem znów budził się i wołał:

– Oleńka! Oleńka, nie gniewaj się!...

Dopiero koło północy uspokoił się zupełnie i zasnął na dobre. Soroka też począł drzemać, ale wnet zbudziło go ciche pukanie do drzwi chaty.

Czujny żołnierz otworzył oczy natychmiast i zerwawszy się na równe nogi, wyszedł z chaty.

– A co tam?

– Panie wachmistrzu, smolarz uciekł.

– Do stu diabłów! wnet on nam tu zbójów naprowadzi. A kto jego pilnował?

– Biłous.

– Poszedłem z nim konie poić – rzekł tłumacząc się Biłous. – Kazałem mu wiadro ciągnąć, a sam szkapę trzymałem...

– I co? w studnię skoczył?

– Nie, panie wachmistrzu, jeno między pnie, co ich wedle studni siła leży naciętych, i w karczowe doły: Puściłem konie, bo choćby się rozbiegły, to tu są drugie, i skoczyłem za nim, alem w pierwszym dole utknął. Noc, ciemno, jucha, miejsce zna, tak i pomknął... Żeby go mór trafił!

– Naprowadzi on nam tu diabłów, naprowadzi... Żeby go pioruny zatrzaskały!...

Wachmistrz uciął, a po chwili rzekł:

– Nie będziemy się kładli, trzeba czuwać do rana: lada chwila kupa nadejść może.

I dając przykład innym, sam zasiadł na progu chaty z muszkietem w rękę, żołnierze zaś siedli koło niego gwarząc między sobą z cicha, to podśpiewując półgłosem, to nasłuchując, czy wśród nocnych odgłosów boru nie dojdzie ich tętent i parskanie zbliżających się koni.

Noc była pogodna i księżycowa, ale hałaśliwa. W głębinach leśnych wrzało życie. Była to pora bekowiska, więc puszcza brzmiała naokół groźnymi rykami jeleni. Odgłosy owe, krótkie, chrapliwe, pełne gniewu i zaciekłości, rozlegały się naokoło, we wszystkich częściach lasu, w głębiach i bliżej, czasem tuż, tuż, jakby o sto kroków za chatą.

– Jeśli oni nadejdą, to też będą porykiwać, by nas zmylić – rzekł Biłous.

– E! tej nocy nie nadejdą. Nim chłop do nich zdąży, to i dzień będzie! – odrzekł inny żołnierz.

– Po dniu, panie wachmistrzu, zdałoby się chatę przetrząść i pod ścianami pokopać, bo jeśli zbóje tu mieszkają, to i skarby muszą być.

– Najlepsze skarby w onej stajni – odparł Soroka wskazując ręką na szopę.

– A pobierzem?

– Głupiecie! tu wyjścia nie ma, jeno bagna wkoło.

– A przecieśmy przyjechali.

– Bóg nas przeprowadził. Żywa dusza tu nie przyjdzie ani nie wyjdzie, jeśli drogi nie zna.

– Po dniu znajdziem.

– Nie znajdźmy, bo umyślnie nakluczono i ślady są mylne. Nie trzeba było chłopca puszczać.

– Wiadomo, że goście o dzień drogi – rzekł Biłous – i w tamtej stronie...  
 Tu wskazał palcem na wschodnią część lasu.

– Będziem jechać, póki nie przejedziem – ot co!

– To myślisz, żeś już pan, jak będziesz na trakcie? Lepsza ci tu kula rozbójnika niż tam stryczek.

– Jak to, ojczy? – rzekł Biłous.

– Bo tam już pewno nas szukają.

– Kto, ojczy?

– Książę.

Tu Soroka umilkł nagle, a za nim umilkli i inni, jakby zdjęci przestraczem.

– Oj! – rzekł wreszcie Biłous. – Tu źle i tam źle; kruty ne werty!

– Nagnali nas jak siromachów w sieci; tu zbójce, a tam książę! – rzekł inny żołnierz.

– Niech ich tam piorun zapali! Wolę mieć sprawę ze zbójem niż z charakternikiem – odpowiedział Biłous – bo że ten książę niesamowity, to niesamowity. Zawratyński to przecie z niedźwiedziem w pół się brał, a on mu szablę wydarł jako dziecku. Nie może inaczej być, tylko go z czarował, bo i to jeszcze widziałem, że jak się potem na Witkowskiego rzucił, to w oczach urósł jak sosna. Żeby nie to, nie byłby ja jego żywego puścił.

– I tak kiej z ciebie, żeś na niego nie skoczył.

– Co miałem robić, panie wachmistrzu? Myślałem tak: siedzi na najlepszym koniu, więc jak zechce, to ucieknie – a natrze, to się nie obronię, boć z charakternikiem nieludzka moc. W oczach ci zginie albo kurzawą się zakręci...

– Prawda jest – rzekł Soroka – że gdym do niego strzelał, to go jakoby mgłą zasłuło... i chybiłem... Z konia każdemu się chybić trafi, gdy się szkapa kręci, ale z ziemi to mi się od dziesięciu lat nie zdarzyło.

– Co tu gadać! – rzekł Biłous – lepiej policzyć: Lubieniec, Witkowski, Zawratyński, nasz pułkownik – i wszystkich jeden mąż obalił, i to broni nie mający, takich ludzi, z których każdy z czterema nieraz rady sobie dawał. Bez diabelskiej pomocy nie mógłby on tego dokazać.

– Polećmy dusze Bogu, bo jeśli on niesamowity, to mu diabeł i tu drogę pokaże.

– A i bez tego długie on ma ręce, jako pan taki...

– Cicho no! – rzekł nagle Soroka – coś tu po liściach szeleszcze.

Żołnierze umilkli i nadstawili uszu. W pobliżu istotnie dały się słyszeć jakieś ciężkie kroki, pod którymi opadłe liście szeleściły bardzo wyraźnie.

– Konie słyszać – szepnął Soroka.

Lecz kroki poczęły oddalać się od chaty, a wkrótce potem rozległo się groźne i chrapliwe beczenie jelenia.

– To jelenie! Byk się łaniami oznajmia albo drugiego rogala straszy.

– W całym lesie gody, jakoby się diabeł żenił.

Umilkli znowu i poczęli drzemać, jeno wachmistrz podnosił czasem głowę i nasłuchiwał przez chwilę, po czym głowa opadała mu zaraz na piersi. Tak zesła godzina i druga, aż na koniec sosny najbliższe z czarnych uczyniły się szare, a wierzchołki bieleły coraz bardziej, jakoby je kto roztopionym srebrem namaścił. Ryki jelenie umilkły i cisza zupełna zapanowała w głębiach leśnych. Z wolna brzask począł przechodzić w świtanie, białe i blade światło jęło wsiąkać w siebie różowe i złote blaski, na koniec nastał dzień zupełny i oświecił znużone twarze żołnierzy śpiących twardym snem pod chatą.

Wtem drzwi się otwały, Kmicic ukazał się w progu i zawołał:

– Soroka! bywaj!

Żołnierze zerwali się na równe nogi.

– Dla Boga, to wasza miłość na nogach? – rzekł Soroka.

– A wy pospalicie się jak woły; można by wam łby poucinać i za płot powyrzucać, nimby się który rozbudził.

– Czuwaliśmy do rana, panie pułkowniku, zasnęliśmy dopiero o dniu białym.

Kmicic rozejrzał się dokoła.

– Gdzie jesteśmy?

– W lesie, panie pułkowniku.

– To i ja widzę. Ale co to za chałupa?

– Tego my sami nie wiemy.

– Chodź za mną! – rzekł pan Andrzej.

I cofnął się do wnętrza chaty. Soroka podążył za nim.

– Słuchaj – rzekł Kmicic siadłszy na tapczanie – wszakże to księżę do mnie strzelił?

– Tak jest.

– A co się z nim stało?

– Uszedł.

Nastąpiła chwila milczenia.

– To źle! – rzekł Kmicic – bardzo źle! Lepiej było go położyć niż żywego puszczać.

– My tak i chcieli, ale...

– Ale co?

Soroka opowiedział pokrótce, co się stało. Kmicic słuchał nad podziw spokojnie, jeno oczy poczęły mu gorzeć, a w końcu rzekł:

– Tedy on górą, ale się jeszcze spotkamy. Czemuś zjechał z gościńca?

– Bałem się pogoni.

– To i słusznie, bo pewno była. Za mało nas teraz na Bogusławową potęgę... diablo za mało!... Przy tym on do Prus ruszył, tam nie możemy go ścigać, trzeba czekać...

Soroka odetchnął. Pan Kmicic widocznie nie obawiał się znów tak bardzo księcia Bogusława, skoro o pościgu mówił. Ta ufność udzieliła się od razu staremu żołnierzowi przywykłemu myśleć głową swego pułkownika i czuć jego sercem.

Tymczasem pan Andrzej zamyślił się głęboko, nagle ocknął się i jął szukać czegoś koło siebie rękoma.

– A gdzie to moje listy? – spytał.

– Jakie listy?

– Którym miał przy sobie... W pasie były zatknięte; gdzie pas? – pytał gorączkowo pan Andrzej.

– Pas ja sam odpiąłem z waszej miłości, żeby waszej miłości lepiej było dychać; ot, tam leży.

– Dawaj!

Soroka podał skórzany pas podszyty irchą, w której były ściągane na sznurki kieszenie. Kmicic rozciągnął je i wydobyl pośpiesznie papiery.

– To glejty do komendantów szwedzkich, a gdzie listy? – rzekł pełnym niepokoju głosem.

– Jakie listy? – powtórzył Soroka.

– Do kroćset piorunów! listy hetmana do króla szwedzkiego, do pana Lubomirskiego i te wszystkie, które miałem...

– Jeżeli w pasie ich nie ma, to nigdzie nie ma. Musiały zginąć w czasie jazdy.

– Na koń i szukać! – krzyknął straszliwym głosem Kmicic.

Lecz zanim zdumiony Soroka zdołał opuścić izbę, pan Andrzej zatoczył się na tapczan, jakby mu sił zbrakło, i porwawszy się rękoma za głowę, począł powtarzać jęczącym głosem:

– Aj!... moje listy, moje listy!...

Tymczasem żołnierze odjechali, prócz jednego, któremu Soroka rozkazał strażować przy chałupie. Kmicic pozostał sam w izbie i począł rozmyślać nad własnym położeniem, które nie było godne zazdrości. Bogusław uszedł. Nad panem Andrzejem zawisła straszliwa i nieunikniona zemsta potężnych Radziwiłłów. I nie tylko nad nim, ale nad wszystkimi, których kochał, a

krótko mówiąc nad Oleńką. Wiedział to Kmicic, że księżę Janusz nie zawaha się uderzyć go tam, gdzie będzie go mógł zranić najboleśniej, to jest wyrzucić zemstę na osobie Billewiczówny. A wszakże Oleńka była w Kiejdanach, na łasce i niełasce straszliwego magnata, którego serce nie znało miłosierdzia. Im więcej Kmicic rozmyślał nad swym położeniem, tym jaśniej dochodził do przekonania, że było ono po prostu straszne. Po porwaniu Bogusława Radziwiłłowic będą go mieli za zdrajcę; stronnicy Jana Kazimierza, ludzie sapieżyńscy i konfederaci zbuntowani na Podlasiu mają go także za zdrajcę, za potępioną duszę radziwiłłowską. Wśród licznych obozów, stronnictw i obcych wojsk zalegających w tej chwili pola Rzeczypospolitej nie było ani jednego obozu, ani jednej partii, ani jednego wojska, które by go nie poczytywało za największego i najzaciętszego wroga. Wszakże istnieje nagroda wyznaczona przez Chowańskiego za jego głowę, a teraz wyznaczają ją Radziwiłłowic, Szwedzi – a kto wie, czy już nie wyznaczili i stronnicy nieszczęsnego Jana Kazimierza. „O! tom piwa nawarzył, a teraz pić muszę!” – myślał Kmicic. Porywając księcia Bogusława porwał go dlatego, by rzucić go pod nogi konfederatów, przekonać ich niezbitcie, że z Radziwiłłami zrywa, i wkupić się między nich, zdobyć sobie prawo walczenia za króla i ojczyznę. Z drugiej strony, Bogusław w jego ręku był zakładnikiem bezpieczeństwa Oleńki. Lecz teraz, gdy Bogusław pogromił Kmicica i uszedł, nie tylko zniknęło bezpieczeństwo Oleńki, ale i dowód, że pan Kmicic szczerze porzucił radziwiłłowską służbę. Wszakże otwarta mu droga do konfederatów i jeśli trafi na oddział Wołodyjowskiego i jego przyjaciół pułkowników, może darują mu życie, ale czy za towarzysza przyjmą, czy mu uwierzą, czy nie pomyślą, że przybył na przespiesi albo dlatego, by ducha psuć i ludzi do Radziwiłłów przeciągać? Tu wspominał, że ciąży na nim krew konfederacka, wspominał, że on to pierwszy zbił zbuntowanych Węgrów i dragonów w Kiejdanach, że rozpraszał zbuntowane chorągwie lub zmuszał je do poddania, że rozstrzeliwał opornych oficerów i wycinał żołnierzy, że szanńczykami otoczył i umocnił Kiejdany, a przez to Radziwiłłowi tryumf na Żmudzi zapewnił... „Jakże mi tam iść? – pomyślał sobie – toż by im zaraza miłszym była gościem niż moja osoba!... Z Bogusławem na arkanie przy siodle – można by, ale z gębą tylko i z gołymi rękoma!...”

Gdyby miał choć owe listy, to choćby się nimi do konfederatów nie wkupił, miałby przynajmniej przez nie księcia Janusza w rękę, boć owe listy mogły podkopać kredyt hetmana nawet u Szwedów... Więc za ich cenę można by było Oleńkę uratować...

Lecz zły duch jakiś sprawił, że i listy zginęły.

Kmicic, gdy wszystko myślał ogarnął, porwał się raz drugi za głowę.

– Zdrajcam dla Radziwiłłów, zdrajca dla Oleńki, zdrajca dla konfederatów, zdrajca dla króla!... Zgubiłem sławę, cześć, siebie, Oleńkę!...

Rana w twarzy paliła go jeszcze, ale w duszy piekło go żar stokroć boleśniejszy. Bo na dobitkę wszystkiego, cierpiała w nim i miłość własna rycerska. Był przecie przez Bogusława sromotnie pobity. Niczym były owe ciągi, które mu w Lubiczu sprawił pan Wołodyjowski. Tam pokonał go mąż zbrojny, którego na parol wyzwał, tu jeniec bezbronny, którego miał w rękę.

Z każdą chwilą rosło w Kmicicu poznanie, w jak straszne i haniebne popadł terminy. Im dłużej w nie patrzył, tym jaśniej ich okropność widział i coraz nowe czarne kąty spostrzegał, z których wyglądały: hańba, sromota, zguba dla niego samego, dla Oleńki, krzywda dla ojczyzny – aż w końcu ogarnął go przestach i zdumienie.

– Zali ja to wszystko uczyniłem? – pytał sam siebie.

I włosy powstały mu na głowie.

– Nie może być! Chyba mnie jeszcze *febris* trzęsie! – zakrzyknął. – Matko Boża, nie może być!...

– Ślepy! głupi warchole! – rzekło mu sumienie – nie było ci to przy królu i ojczyźnie stanąć, nie było ci posłuchać Oleńki!

I porwał go żal jak wicher. Hej! żeby tak sobie mógł powiedzieć: Szwedzi przeciw ojczyźnie, ja na nich; Radziwiłł przeciw królowi – ja na niego! Dopieroż byłoby mu w duszy jasno i przejrzysto! Dopieroż by kupę zebrał zabijaków spod ciemnej gwiazdy i hasał z nimi jak Cygan na

jarmarku, i podchodził Szwedów, i po brzuchach im przejeżdżał z czystym sercem, z czystym sumieniem, dopieroż by w sławie, jak w słońcu, stanął kiedyś przed Oleńką i rzekł:

– Już ja nie banit, ale *defensor patriae*, miłujże mnie, jako ja ciebie miłuję!

A dziś co?

Lecz harda dusza, przywykła sobie folgować, nie chciała zrazu całkiem przyznać się do winy: Radziwiłłowie to tak go pograżyli, Radziwiłłowie do zguby przywiedli, okryli niesławą, związali ręce, zbawili czci i kochania.

Tu zgrzytnął pan Kmicic zębami, wyciągnął ręce ku Żmudzi, na której Janusz, hetman, siedział jak wilk na trupie – i począł wołać przyduszonym wściekłością głosem:

– Pomsty! pomsty!

Nagle rzucił się w desperacji na kolana w pośrodku izby i począł mówić:

– Ślubuję Ci, Chryste Panie, tych zdrajców gnębić, zajeżdzać!... prawem, ogniem i mieczem ścigać, póki mi pary w gębie, tchu w gardzieli i żywota na świecie! Tak mi, Królu Nazareński, dopomóż! Amen!

Aż mu jakiś głos wewnętrzny rzekł w tej chwili:

– Ojczyźnie służ, zemsta na potem!...

Oczy pana Andrzeja płonęły gorączką, wargi miał spiekłe i drżał cały jak we febrze; rękoma wymachiwał i gadając ze sobą głośno, chodził, a raczej biegał po izbie, potraçał nogami tapczany, aż wreszcie rzucił się jeszcze raz na kolana.

– Natchnijże mnie, Chryste, co mam czynić, abym zaś nie oszalał!

Wtem doszedł go huk wystrzału, który echo leśne odrzucało od sosny do sosny, aż przyniosło jakoby grzmot do chaty.

Kmicic zerwał się i chwyciwszy szablę wypadł przed sień.

– Co tam? – spytał żołnierza stojącego u proga.

– Wystrzał, panie pułkowniku!

– Gdzie Soroka?

– Pojechał listów szukać.

– W której stronie strzelono?

Żołnierz ukazał wschodnią część lasu, zarośniętą gęstymi chaszczami.

– Tam!

W tej chwili dał się słyszeć tętent niewidzialnych jeszcze koni.

– Pilnuj! – krzyknął Kmicic.

Lecz z zarośli ukazał się Soroka, pędzący co koń wyskoczy, a za nim drugi żołnierz.

Obaj dobiegli do chaty i zeskoczywszy z koni, wymierzili spoza nich, jakby spoza szańców, muszkiety ku zaroślom.

– Co tam? – spytał Kmicic.

– Kupa idzie! – odparł Soroka.

## ROZDZIAŁ II

Nastąpiła cisza, ale wkrótce w przyległych chaszczach zaczęło coś łopotać, jakoby dziki szły, jednakże łopot ów im był bliższy, tym stawał się wolniejszy. Potem znów nastąpiła cisza.

– Ilu ich tam jest? – spytał Kmicic.

– Będzie ze sześciu, a może i ośmiu, bom ich też nie mógł dobrze zliczyć – odparł Soroka.

– To dobra nasza! Nie zdzierzą nam!

– Nie zdzierzą, panie pułkowniku, ale trzeba nam żywcem którego wzięść i przypiec, by drogę pokazał.

– Będzie na to czas. Pilnuj!

Zaledwie Kmicic wymówił „pilnuj!” – gdy smuga białego dymu wykwitła z zarośli i rzekłbyś: ptactwo zaszumiało po pobliskiej trawie, o jakie trzydzieści kroków od chaty.

– Hufnalami z garłacza strzelono! – rzekł Kmicic – jeśli muszkietów nie mają, to nic nam nie uczynią, bo z garłaczy od zarośli nie doniesie.

Soroka, trzymając jedną dłonią muszkiet oparty o kulbakę stojącego przed nim konia, drugą dłoń zwinął w kształcie trąbki koło ust i począł krzyczeć:

– A pokaż no się który z chaszczów, wnet się nogami nakryjesz!

Nastąpiła chwila ciszy, po czym w zaroślach rozległ się groźny głos:

– Coście za jedni?

– Lepsi od tych, co po traktach grasują.

– Jakim prawem naszliście naszą siedzibę?

– Zbój o prawo pyta! Naucz was kat prawa, idźcie do kata!

– Wykurzymy was stąd jak jaźwców!

– A chodź! Patrz jeno, byś się tym dymem sam nie zadławił!

Głos w zaroślach zamilkł, widocznie napastnicy poczęli się naradzać, tymczasem Soroka szepnął do Kmicica:

– Trzeba tu będzie którego zwabić i związać; będziem mieć i zakładnika, i przewodnika.

– Ba ! – rzekł Kmicic – jeżeli który przyjdzie, to na parol.

– Ze zbójami godzi się i na parol nie zważać.

– Lepiej nie dać! – rzekł Kmicic.

Wtem pytania nowe zabrzmiały od strony zarośli:

– Czego tu chcecie?

Tu sam Kmicic zabrał głos:

– Jakaśmy przyjechali, tak byśmy i pojechali, gdybyś politykę, kpie, znał i od garłacza nie zaczynał.

– Nie osiedzisz się tu, wieczorem przyjdzie nas sto koni!

– Przed wieczorem przyjdzie dwieście dragonów, a bagna cię nie obronią; bo są tam tacy, którzy przejadą, jako i myśmy przejechali.

– Toście wy żołnierze?

– Juści, nie zbóje.

– A spod jakiej chorągwi?

– A cóżeś to, hetman? Nie tobie się będziem sprawiali.

– Po staremu, wilcy tu was ogryzą.

– A was kruki zdziobią.

– Gadajcie, czego chcecie, do stu diabłów! Po coście do naszej chaty wleźli?

– A chodź no sam! Nie będziesz z chaszczów gardła darł. Bliżej! Bliżej!

– Na parol?

– Parol dla rycerstwa, nie dla zbójów. Chcesz – wierz, nie chcesz – nie wierz!

– We dwóch możnali?

– Można!

Po chwili z zarośli, odległych na sto kroków, wynurzyło się dwóch ludzi wysokich i pleczystych. Jeden, nieco pochylony, musiał być człkiem wiekowym, drugi szedł prosto, jeno szyję wyciągał ciekawie ku chacie; obaj mieli na sobie półkozuszki oszyte szarym sukrem, jakie nosiła pomniejsza szlachta, wysokie jałowicze buty i kapuzy futrzane, naciśnięte na oczy.

– Kiej diabeł! – mruknął Kmicic przypatrując się pilnie dwom mężom.

– Panie pułkowniku – zawołał Soroka – cud chyba, ale to nasi ludzie!

Tamci tymczasem zbliżyli się o kilka kroków, ale nie mogli rozpoznać stojących przy chacie, bo ich zakrywały konie.

Nagle Kmicic wysunął się naprzód.

Wszelako nadchodzący nie poznali go, bo twarz miał obwiązana, wstrzymali się jednak i zaczęli mierzyć go ciekawie i niespokojnie oczyma.

– A gdzie drugi syn, panie Kiemlicz? – spytał pan Andrzej – czy aby nie poległ?

– Kto to? jak to? co? kto mówi? co? – rzekł stary dziwnym, jakby przestraszonym głosem.

I stanął nieruchomie, otworzywszy szeroko usta i oczy: wtem syn, który jako młodszy, miał wzrok bystrzejszy, zerwał nagle czapkę z głowy.

– O dla Boga! Jezu!... Ociec, to pan pułkownik! – zakrzyknął.

– Jezu ! o słodki Jezu ! – zawtórował stary – to pan Kmicic!!

I obaj stanęli w nieruchomej postawie, w jakiej podkomendni witają swych naczelników, a na twarzach ich malowały się równocześnie przestach i zdumienie.

– Ha! tacy synowie! – rzekł uśmiechając się pan Andrzej – to z garłacza mnie witacie?

Tu stary zerwał się i począł krzyczeć:

– A bywajcie tu wszyscy! Bywajcie!

Z zarośli ukazało się jeszcze kilku ludzi, między którymi drugi syn starego i smolarz; wszyscy biegli na złamanie karku z gotowymi broniami, nie wiedzieli bowiem, co zaszło, lecz stary znów zakrzyknął:

– Do kolan, szelmy! do kolan! to pan Kmicic! Który tam kiep strzelił? Dawaj go sam!

– Sameś ociec strzelił – rzekł młody Kiemlicz.

– Łżesz! Łżesz jak pies! Panie pułkowniku, kto mógł wiedzieć, że to wasza miłość w naszej sadybie! Dla Boga, oczom jeszcze nie wierzę!

– Jam jest, we własnej osobie! – rzekł Kmicic wyciągając doń rękę.

– O Jezu! – odpowiedział stary – taki gość w boru! Oczom nie wierzę! Czym my tu waszą miłość przyjmujemy? Żeby my się spodziewali, żeby my wiedzieli!

Tu zwrócił się do synów:

– Ruszże się tam który, bałwanie, do lochu, miodu wynieść!

– Daj ociec klucz od kłódki! – rzekł jeden z synów.

Stary począł szukać w pasie, a jednocześnie spoglądał podejrzliwie na syna.

– Klucz od kłódki? Ale! Znają cię, cyganie; więcej sam wypijesz, niż tu przyniesiesz. Co? sam pójdę; klucza od kłódki mu się chce! Idźcie jeno pnie odwalić, a otworzę i wyniosę ja sam!

– To, widzę, loszek pod pniami masz ukryty, panie Kiemlicz? – rzekł Kmicic.

– Albo to można co utrzymać z takimi zbójami! – odpowiedział stary wskazując na synów. – Ojca by zjedli. Jeszczeście tu?! Idźcie pnie odwalić. Tak to słuchacie tego, który was spłodził?

Młodzi kopnęli się żywo za chatę, ku kupom naciętych pni.

– Po staremu, jak widzę, z synami w niezgodzie? – pytał Kmicic.

– Kto by z nimi był w zgodzie... Bić to umieją, zdobyć brać umieją, ale jak przyjdzie z ojcem się dzielić, to z gardła im muszę moją część wydzierać... Taka mi pociecha! A chłopcy jak tury! Proszę waszą miłość do chaty, bo tu chłód kąsa. Dla Boga! taki gość, taki gość! Toż my pod komendą waszej miłości więcej zdobyć wzięli niż przez ten cały rok... Chudzizna teraz! Bieda! złe czasy i coraz gorsze, a i starość nie radość!... Proszę do chaty, w niskie progi. Dla Boga! kto by się tu waszej miłości spodziewał!...



Stary Kiemlicz mówił dziwnie prędkim i narzekającym głosem, a mówiąc rzucał szybkie i niespokojne spojrzenia na wszystkie strony. Był to starzec kościsty i ogromny, z twarzą wiecznie skrzywioną i tetryczną. Oczy miał kose, również jak i jego dwaj synowie, brwi krzaczaste i takie wasy, pod którymi sterczała wysunięta niezmiernie naprzód dolna warga, która gdy mówił, zachodziła mu aż pod nos, jak u ludzi nie mających zębów. Zgrzybiałość jego twarzy dziwne czyniła przeciwieństwo z czerstwością jego postaci, zdradzającej niezwykłą siłę i żwawość. Ruchy miał szybkie, jakby go sprężyna poruszała; głowę ciągle obracał starając się objąć oczyma wszystko, co go otaczało, zarówno ludzi i rzeczy. Dla Kmicica z każdą chwilą stawał się uniższy, w miarę jak odzywała się w nim służbistość dla dawnego wodza, bojaźń, a może admiracja albo i przywiązanie.

Kmicic znał Kiemliczów dobrze, albowiem ojciec i dwaj synowie służyli pod nim za owych czasów, gdy na Białej Rusi prowadził na własną rękę wojnę z Chowańskim. Byli to żołnierze mężni i równie okrutni jak mężni. Syn Kosma nosił czas jakiś chorągiew w Kmicicowej kupie, ale wkrótce zrzekł się tej zaszczytnej szarży, bo mu przeszkadzała łup brać. Między kosterami hulajduszami, z jakich składała się Kmicicowa partia, którzy we dnie przepijali i tracili to, co nocą zdobyli krwawo na nieprzyjacielu, Kiemliczowie odznaczyli się wielką chciwością. Gromadzili skrzętnie łup i kryli się po lasach. Brali szczególnie łapczywie konie, które sprzedawali później po dworach i miasteczkach. Ojciec bił się nie gorzej od synów bliźniaków, ale po każdej bitwie wydierał im najznamienitszą część łupu, rozwodząc przy tym skargi i żale, że go krzywdzą, grożąc przekleństwem ojcowskim, jęcząc i narzekając. Synowie warczeli na niego, ale dość głupowaci z natury, pozwolili się tyranizować. Mimo ustawicznych kłótni i swarów, w bitwie stawał jeden za drugiego zaciekle, nie szczędząc krwi. Towarzysze nie lubili ich, ale obawiano się ich powszechnie, w zająciach bowiem bywali straszni. Nawet oficerowie unikali z nimi zaczepki. Jeden tylko Kmicic wzbudzał w nich strach nieopisany, a po Kmicicu pan Ranicki, któremu gdy twarz w gniewie pocętkowała się plamami, wówczas drżeli przed nim. Czuli też w obydwóch ród wysoki, bo Kmicicowie z dawnych czasów górowali w Orszańskiem, a w Ranickim płynęła krew senatorska.

W partii mówiono, że zebrali wielkie skarby, ale nikt dobrze nie wiedział, czy było w tym coś prawdy. Pewnego dnia wysłał ich Kmicic z kilku czeladzi i tabunem zdobyczym koni – od tej pory znikli. Kmicic rozumiał, że polegli, żołnierze mówili, że uszli z końmi, gdyż to była za wielka dla ich serc pokusa. Teraz, gdy ich pan Andrzej ujrzał zdrowych, gdy w szopie podle chaty rżały jakieś konie, a radość i uniżoność starego mieszała się z niespokojnością, pomyślał pan Andrzej, że żołnierze mieli słuszość.

Toteż gdy weszli do chaty, siadł na tapczanie i wzięwszy się w boki, począł patrzeć prosto w oczy staremu, następnie spytał:

– Kiemlicz! a gdzie to moje konie?

– O Jezu! słodki Jezu! – jęknął stary. – Zołtareńkowi ludzie zabrali, pobili nas, poranili, rozproszyli, gnali szesnaście mil, ledwieśmy z życiem uszli. O Matko Najświętsza! Jużeśmy ni waszej miłości, ni partii nie mogli znaleźć. Przygnali nas aż tu, w te bory, na mizериę i głód, do tej chałupy, do tych bagien... Bóg łaskaw, że wasza mość żywie i zdrowy, choć widzę, ranny. Może by opatrzeć, ziół odciągających przyłożyć... A ci moi synalowie poszli pnie odwalać i zginęli. Co te szelmy tam robią? Gotowi drzwi wystawić i do miodu się dobrać. Głód tu i mizeria – więcej nic! Grzybami żyjemy, ale dla waszej miłości znajdzie się co wypić i przekąsić... Tamte konie porwali nam, zagrabili... Nie ma o czym mówić! I nas służby u waszej miłości zbawili; kałużka chleba na starość nie ma, chyba nas wasza cześć przytuli i na powrót do służby przyjmie.

– Może się i to zdarzyć – odrzekł Kmicic.

W tej chwili weszli dwaj synowie starego: Kosma i Damian, bliźniacy, chłopcy duże, niezgrabne, z ogromnymi głowami, porośniętymi całkiem niezmiernie gęstym i twardym jak szczecina włosiem, nierównym, sterczącym koło uszu, tworzącym wichry i fantastyczne czuby na czaszkach. Wszedłszy stanęli koło drzwi, bo w obecności Kmicica usiąść nie śmieli, i Damian rzekł:

- Loch odwalony.
- Dobrze – rzekł stary Kiemlicz – pójde przynieść miodu.
- Tu spojrzął na synów znacząco.
- A tamte konie Zołtareńkowi ludzie zabrali – rzekł z przyciskiem.
- I wyszedł z izby.
- Kmicic patrzył na dwóch budrysów stojących pode drzwiami, jakoby toporem z gruba z pni wyciosanych, nagle spytał:
- Co wy teraz robicie?
- Konie bierzem! – odrzekli jednocześnie bliźniacy.
- Komu?
- Komu popadnie.
- A najwięcej?
- Zołtareńkowym.
- To dobrze, nieprzyjaciołom wolno brać, ale jeżeli i swoim bierzecie, toście hultaje, nie szlachta. Co z tymi końmi czynicie?
- Ociec w Prusach sprzedają.
- A Szwedom zdarzało się wam odbierać? Bo to tu gdzieś niedaleko szwedzkie komendy? Podchodziliście Szwedów?
- Podchodziłim.
- Toście na pojedynczych napadali albo na małe kupki! A gdy się bronili, cóż wy wówczas?
- Pralim.
- Aha! Praliście! Tedy macie swój rachunek u Zołtareńkowych i u Szwedów, i pewnie by wam na sucho nie uszło, gdybyście im w ręce wpadli?
- Kosma i Damian milczeli.
- Niebezpieczny prowadzicie proceder i godniejszy hultajów niż szlachty... Nie bez tego też musi być, żeby na was jakie wyroki z dawnych czasów nie ciążyły?
- Jakże nie! – odrzekli Kosma i Damian.
- Tak i myślałem. Z których wy stron?
- My tutejsi.
- Gdzie ojciec przedtem mieszkał?
- W Borowiczku.
- Jego była wioska?
- W kolokacji z Kopystyńskim.
- A co się z nim stało?
- Usieklim.
- I musieliście uchodzić przed prawem. Kuso z wami, Kiemlicze, i na gałęziach pokończyciel! Kat wam poświęci, nie może inaczej być!
- Wtem drzwi do izby skrzypnęły i wszedł stary niosąc gąsior miodu i dwie szklanki. Wszedłszy spojrzął niespokojnie na synów i na pana Kmicica, a potem rzekł:
- Idźcie loch zawalić.
- Bliźniacy wyszli natychmiast, ojciec zaś nalał miód w jedną szklankę, drugą zaś zostawił próżną czekając, czy mu Kmicic pić ze sobą pozwoli.
- Lecz Kmicic sam pić nie mógł, bo i mówił nawet z trudnością – tak mu rana dolegała. Widząc to stary rzekł:
- Nie idzie miód na ranę, chybaby samą zalać, żeby się prędzej wypaliła. Wasza miłość pozwoli obejrzeć i opatrzyć, bo to ja się nie gorzej cyrulika znam na tym?
- Kmicic zgodził się, więc Kiemlicz zdjął obwiązki i począł patrzeć pilnie.
- Skóra starta, nic to! Kula po wierzchu przeszła, ale przecie napuchło.
- Toteż jeno dlatego dolega.

– Ale to i dwóch dni nie ma. Matko Najświętsza! Musiał ktoś okrutnie blisko do waszej miłości strzelić.

– A po czym miarkujesz?

– Bo się i wszystek proch nie zdążył spalić i ziarnka, jako czarnuszka, pod skórą siedzą. To waszej miłości już zostanie. Teraz jeno chleba z pajęczyną przyłożyć. Okrutnie blisko ktoś strzelił, dobrze, że waszej miłości nie zabił!

– Nie było mi jeszcze pisane. Zagnieźże chleba z pajęczyną, panie Kiemlicz, i przyłóż co prędzej, bo mam z tobą pogadać, a szczęki bołą.

Stary spojrział podejrzliwie na pułkownika, bo w sercu powstała mu obawa, aby ta rozmowa nie tyczyła się znów koni, wrzekomo przez Kozaków pobranych, jednakże zaraz zakrzętnął się; zagniół naprzód zwilżonego chleba, a gdy o pajęczynę nie było w chacie trudno, wnet opatrzył Kmicica.

– Dobrze mi teraz – rzekł pan Andrzej – siadaj, mości Kiemlicz.

– Według rozkazu pana pułkownika – odparł stary siadając na brzeżku ławki i wyciągając niespokojnie swą siwą, szczeciniastą głowę ku Kmicicowi.

Lecz Kmicic, zamiast pytać lub rozmawiać, wziął głowę w ręce i zamyślił się głęboko. Po czym wstał i począł chodzić po izbie; chwilami zatrzymywał się przed Kiemliczem i patrzył na niego roztargnionym wzrokiem, widocznie coś rozważał, łamał się z myślami. Tymczasem upłynęło z pół godziny; stary kręcił się coraz niespokojniej.

Nagle Kmicic zatrzymał się przed nim.

– Mości Kiemlicz – rzekł – gdzie tu najbliżiej stoją te chorągwie, które się przeciw księciu wojewodzie wileńskiemu zbuntowały?

Stary począł mrugać podejrzliwie oczyma.

– Czy wasza miłość chce do nich jechać?

– Jać nie proszę, byś pytał, jeno byś odpowiadał.

– Mówią, że w Szczuczynie jedna chorągiew stanie na kwaterach, ta, która ostatnio tędy ze Żmudzi przechodziła.

– Kto mówił?

– Sami ludzie spod chorągwi.

– Kto ją prowadził?

– Pan Wołodyjowski.

– To dobrze. Wołaj mi Soroki!

Stary wyszedł i po chwili wrócił, z wachmistrzem.

– A listy znalazły się? – pytał Kmicic.

– Nie ma, panie pułkowniku – odpowiedział Soroka.

Kmicic strzepnął palcami.

– Ej, bieda! bieda! Możesz odejść, Soroka. Za te listy, żeście pogubili, warcicie wisieć. Możesz odejść. Mości Kiemlicz, masz tu na czym pisać?

– Bodaj, że się znajdzie – odparł stary.

– Choćby ze dwie karty i piór.

Stary zniknął we drzwiach komory, która widocznie była składem wszelkiego rodzaju rzeczy, ale szukał długo. Kmicic tymczasem chodził po izbie rozmawiał sam ze sobą.

– Czy listy są, czy ich nie ma (mówił), hetman nie wie, że zginęły, i będzie się bał, żebym ich nie opublikował. Mam go w ręku... chytróść na chytróść! Zagrozę mu, że wojewodzie witebskiemu pošlę. Tak jest! W Bogu nadzieja, że się tego złęknie.

Dalsze rozmyślenia przerwał mu stary Kiemlicz, który wyszedłszy z komory, rzekł:

– Kart jest trzy, ale nie ma piór i inkaustu.

– Nie ma piór? A ptactwa tu jakowego nie ma w lesie? Choćby z rusznicy ustrzelić.

– Jest jastrząb przybity nad szopą.

– Dawaj skrzydło, ruszaj!

Kiemlicz pomknął co prędzej, bo w głosie Kmicica była niecierpliwość i jakoby gorączka. Po chwili wrócił ze skrzydłem jastrzębim. Kmicic chwycił je, wyrwał lotkę i począł ją temperować własnym puginałem.

– Ujdzie! – rzekł patrząc pod światło – ale łatwiej łby ludziom zacinać niż pióra! A teraz trzeba inkaustu.

To rzekłszy odwinął rękaw, zakłuł się silnie w rękę i umoczył pióro we krwi.

– Ruszaj sobie, mości Kiemlicz – rzekł – i ostaw mnie.

Stary wyszedł z izby, a pan Andrzej zaraz rozpoczął pisać.

„Wypowiadam służbę W.X. Mości, bo zdrajcom i zaprzańcom nie chcę dłużej służyć. A żem przysiągł na krucyfiksie, że W. X. Mości nie opuszczę, to mnie Bóg z tego rozgrzeszy – choćby zasię i potępił, wolę gorzeć za błąd mój niżeli za jawną i rozmyślną zdradę ojczyzny i Pana mego. W. X. Mość wywiodłeś mnie w pole, żem był jako ślepy miecz w twoim ręku, do rozlewania krwi bratniej skóry. Tedy na boski sąd W. X. Mość wzywam, aby nas rozsądzono, po czyjej stronie była zdrada, a po czyjej czysta intencja. Jeżeli się zaś spotkamy, wonczas, choć wy jesteście potężni i nie tylko prywatnego człeka, ale i całą Rzeczypospolitą na śmierć ukąsić możecie, a u mnie jeno szabla w garści, przecie się o swoje upomnę i ścigać W. X. Mość będę, do czego mój żal i moje zgryzoty siły mi dadzą. A to już Wasza X. Mość wiesz, jeżeli nie z takich, co i bez chorągwi nadwornych, bez zamków i armaty zaszkodzić mogą. Póki mi tchu, póty pomsty nad wami, że ani dnia, ani godziny pewni być nie możecie. Tak to pewno ma być, jako to jest moja własna krew, którą piszę. Listy W. X. Mości mam, które W. X. Mość nie tylko u króla polskiego, ale i u Szwedów pogrzyźć mogą, bo w nich zdrada Rzeczypospolitej jawna, jako i to, że Szwedów też gotowicie odstąpić, byle im się noga posunęła. Choćbyście dwakroć byli potężniejsi – zguba wasza w moim ręku, bo podpisom i pieczęciom kaźden uwierzyć musi. Tedy W. X. Mości zapowiadam tak: jeśliby tam włos miał spaść z tych głów, które miłuję, a które w Kiejdanach ostały, owe listy i dokumenta do pana Sapiehy odsyłam, a kopie drukować każę i po kraju rozrzucę. Masz W.X. Mość wóz i przewóz: albo po wojnie, gdy spokój w Rzplitej nastanie, oddasz mi Billewiczów, a ja W. X. Mości listy, albo jeślibym złą nowinę usłyszał, zaraz pan Sapieha pokaże je Pontusowi. Chce się W. X. Mości korony, jeno nie wiem, czy wówczas będzie ją na co włożyć, gdy głowa od polskiego lub szwedzkiego topora upadnie. Lepiej, widzi mi się, zamianę uczynić – bo choć ja pomsty i potem nie zaniecham, ale już się jeno *privatim* rozprawać będziem. Bogu bym W. X. Mość polecił, gdyby nie to, że sam diabelskie *auxilia* nad boskie przekładasz: – Kmicic.”

„P. S. Konfederatów W. X. Mość nie wytrujesz, bo będą tacy, co idąc z diabelskiej służby w boską, ostrzegą ich, by ni w Orlu, ni w Zabłudowie piwa nie pili.”

Tu zerwał się pan Kmicic i począł chodzić po izbie. Twarz mu pałała, bo go własny list jako ogień rozpalił. List ten był jakoby manifestem wojny z Radziwiłłami, ale przecie czuł pan Kmicic w sobie jakąś nadzwyczajną siłę i gotów był choćby w tej chwili stanąć oko w oko potężnemu rodowi, który trzął całym krajem. On, prosty szlachcic, prosty rycerz, on, banita prawem ścigany, on, który znikąd nie spodziewał się pomocy, naraził się wszystkim tak, że wszędzie za nieprzyjaciela był poczytywany; on, niedawno zwyciężony, czuł w sobie teraz taką potęgę, iż widział już jakby proroczym okiem upokorzenie książąt Janusza i Bogusława i swoje zwycięstwo. Jak będzie prowadził wojnę, gdzie znajdzie sprzymierzeńców, w jaki sposób zwycięży, nie wiedział – co więcej: nie namyślał się nad tym. Wierzył tylko głęboko, że czyni to, co uczynić powinien, że słuszność i sprawiedliwość, zatem i Bóg, będzie z nim. To napawało go ufnością bez miary i granic. Uczyniło mu się na duszy lżej znacznie. Otwierały się przed nim jakby całkiem jakieś nowe krainy. Siąść tylko na koń i jechać mu tam, a dojedzie do czei, sławy i do Oleńki.

– Przecie jej włos z głowy nie spadnie – powtarzał sobie z gorączkową jakąś radością – listy ją obronią... Będzie jej hetman strzegł jak oka w głowie... jak ja sam! O, tom sobie poradził! Robak ja lichy, a przecie się mego żądła ulękna.

Nagle przyszła mu taka myśl:

„A żeby i do niej napisać? Posłaniec, który powiezie list do hetmana, może i jej wręczyć kartę sekretnie. Jakże nie oznajmić jej, że z Radziwiłłami zerwał i że innej idę szukać służby?”

Ta myśl trafiła mu wielce zrazu do serca. Zaciąwszy się na nowo w rękę, umoczył pióro i począł pisać: „Oleńko, już ja nie radziwiłłowski, bom wreszcie przejrzał...” Lecz nagle przerwał – pomyślał chwilę, a potem rzekł sam do siebie:

– Niechże uczynki, nie słowa, świadczą odtąd za mnie; nie będę pisał!

I podarł kartę.

Natomiast napisał na trzeciej krótki list do Wołodyjowskiego w następujących słowach:

„Mości pułkowniku! Niżej podpisany przyjaciel ostrzega, abyście się mieli na baczości, tak W. M. Pan, jak i inni pułkownicy. Były listy hetmańskie do X. Bogusława i p. Harasimowicza, aby Waszmościów truć lub chłopom na kwaterach kazać mordować. Harasimowicza nie ma, bo z X. Bogusławem do Prus, do Tylży, wyjechał, ale podobne rozkazy mogą być i do innych ekonomów. Tych się Waszmościowie strzeżcie, więc nic od nich nie przyjmujcie i po nocach bez straży nie sypiajcie. Wiem to także pewno, że pan hetman pociągnie wkrótce z wojskiem na Waszmościów, czeka tylko na jazdę, której mu półtora tysiąca komunika ma generał de la Gardie nadesłać. Tedy baczcie, aby was nie zaskoczył i pojedynczo nie znosił. A najlepiej pošlijcie pewnych ludzi do pana wojewody witebskiego, aby osobą swą co najprędzej nadjechał i komendę nad wszystkimi objął. Życzliwy to radzi – wierzcie mu! Tymczasem kupy się trzymajcie, chorągiew od chorągwi niedaleko kwatery wybierając, abyście jedni drugim na pomoc iść mogli. Hetman mało ma jazdy, jeno trochę dragonów i Kmicicowych ludzi, ale niepewnych. Kmicica samego nie ma, któremu hetman jakąś inną funkcję obmyślił, bo podobno już mu nie ufa. Który też nie jest taki zdrajca, jak powiadają, jeno uwiedziony. Bogu was polecam. – Babinicz.”

Pan Andrzej nie chciał kłaść pod listem własnego nazwiska, sądził bowiem, że ono w każdym musi wzbudzić wstręt, a zwłaszcza nieufność. „Jeżeli rozumieją (myślał sobie), że lepiej im będzie wymykać się przed hetmanem niż kupą mu zająć drogę, tedy, obaczywszy moje nazwisko, zaraz będą podejrzewali, że umyślnie w kupę ich chcę zebrać, aby hetman jednym zamachem mógł z nimi skończyć; pomyślą, że to nowa sztuka, a od jakiegoś Babinicza prędzej przyjmą przestrożę.”

Babiniczem zaś nazwał się pan Andrzej od miasteczka Babinicze, leżącego niedaleko Orszy, które od prastarych czasów do Kmiciców należało.

Napisawszy więc ów list, w którego końcu umieścił kilka nieśmiałych słów na własną obronę, doznał nowej w sercu pociechy na myśl, że oto już tym listem pierwszą oddaje usługę nie tylko panu Wołodyjowskiemu i jego przyjacielom, ale wszystkim pułkownikom, którzy ojczyznę dla Radziwiłła nie chcieli porzucić. Czuł przy tym, że ta nić będzie się snuła dalej. Terminy, w które popadł, były istotnie ciężkie, niemal desperackie, ale przecie znalazła się jakaś rada, jakoweś wyjście, jakaś wąska ścieżka, która mogła na gościniec wyprowadzić.

Lecz teraz, gdy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Oleńka była zabezpieczona od zemsty księcia wojewody, a konfederaci od niespodziewanego napadu, zadał sobie pan Andrzej pytanie, co sam będzie czynił.

Zerwał ze zdrajcami, spalił za sobą mosty, chciał teraz służyć ojczyźnie, ponieść jej w ofierze siły, zdrowie, gardło – ale jak to uczynić? jak zacząć? do czego przyłożyć ręki?

I znów mu przyszło do głowy:

„Iść do konfederatów...”

Lecz jeśli nie przyjmą, jeśli zdrajcą ogłoszą i usieką albo co gorzej, sromotnie wypędzą?

– Wolejby usiekli! – zakrzyknął pan Andrzej i spłonął ze wstydu i poczucia własnej sromoty.

– Podobnoż to łatwiej ratować Oleńkę, łatwiej konfederatów niż sławę własną.

Tu dopiero rozpoczynały się prawdziwie desperackie terminy.

I znów junacka dusza poczęła kipieć.

– Albo to nie mogę czynić, jakom przeciw Chowańskiemu czynił? – rzekł do siebie. – Kupę zbiorę, będę Szwedów najeżdżał, palił, ścinał. Nie nowina mi to! Nikt im się nie oparł, ja się oprę, aż przyjdzie chwila, że jako Litwa pytała, tak cała Rzeczpospolita spyta: kto ów junak, który sam jeden śmie lwu w paszczę włożyć? Wtedy czapkę zdejmę i powiem: „Patrzcie, to ja, Kmicic!”

I taka porwała go chęć paląca do tej krwawej roboty, że już chciał wypaść z izby, kazać na koń siadać Kiemliczom, ich czeladzi, swoim i ruszać.

Lecz nim doszedł do drzwi, uczył nagle, jakoby go coś pchnęło w piersi i odtrąciło od proga. Stanął na środku izby i patrzył przed siebie zdumiony.

– Jakże to? Zali tym win nie zmażę?

I wnet począł rozprawę z własnym sumieniem.

„A gdzie pokuta za winy? – pytało sumienie. – Tu trzeba czego innego!”

„Czego?” – pytał Kmicic.

„Czymże możesz zgładzić winy, jeśli nie służbą jakowąś ciężką i niezmierną, a uczciwą i czystą jako łąka?... Zali to służba zebrać kupę hultajów i buszować z nimi jako wicher po polu i puszczy? Zali nie dlatego jej pragniesz, że ci pachnie zabijatyka jako psu pieczeń? Taże to zabawa – nie służba, kulig – nie wojna, rozbój – nie ojczyzny obrona! A czyniłżeś tak przeciw Chowańskiemu i cóżeś wyjeździł? Łotrykowie, co po lasach grasują, gotowi także napadać na komendy szwedzkie, a ty skąd weźmiesz innych ludzi? Szwedów naszarpiesz, ale i obywateli naszarpiesz, pomstę na nich ściągniesz i co wskórasz? Sianem się, kpie, chcesz wywinąć od pracy i pokuty!”

Tak to mówiło w panu Kmicicu sumienie, a pan Kmicic widział, że ma słuszość, i złość go brała, i żal jakiś do własnego sumienia, że taką gorzką mówiło prawdę.

– Co ja pocznę? – rzekł wreszcie – kto mi poradzi, kto mnie wyratuje?

Tu kolana poczęły się giąć jakoś pod panem Andrzejem, aż wreszcie ukląkł przy tapczanie i począł się modlić głośno, i prosić z całej duszy i serca:

– Jezu Chryste, Panie miły – mówił – jakoś się na krzyżu nad łotrem ulitowałem, tak zlituj się i nade mną. Oto pragnę obmyć się z grzechów moich, nowy żywot rozpocząć i ojczyźnie pocziwie służyć, ale nie wiem jak, bom głupi. Służyłem tamtym zdrajcom, Panie, też nie tyle ze złości, ale jako właśnie z głupoty; oświeć mnie, natchnij, pociesz w desperacji mojej i ratuj w miłosierdziu swoim, bo zginę...

Tu głos zadrgał panu Andrzejowi, począł się bić w pierś szeroką, aż grzmiało w izbie, i powtarzać:

– Bądź miłościw mnie grzesznemu! Bądź miłościw mnie grzesznemu! Bądź miłościw mnie grzesznemu!

Po czym złożywszy ręce i wyciągnąwszy je do góry, tak dalej mówił:

– A Ty, Panienko Najświętsza, przez heretyków w tej ojczyźnie insultowana, wstaw się za mną do Syna swego, zstąp ku ratunkowi memu, nie opuszczaj mnie w utrapieniu i biedzie mojej, abym Tobie mógł służyć, *insulta* Twoje pomścić i w godzinę skonania mieć Cię za patronkę przy nieszczęsnej duszy mojej!

A gdy tak błagał pan Kmicic, łzy poczęły mu padać jak groch z oczu, na koniec spuścił głowę na tapczan i trwał w milczeniu, jakby czekając na skutek swej żarliwej modlitwy. Nastąpiła cisza w izbie i tylko mocny szum pobliskich sosen dochodził z zewnątrz. Wtem zaskrzypiały wióry pod ciężkimi krokami za oknem i dwa głosy poczęły rozmawiać:

– A co myślicie, panie wachmistrzu, gdzie stąd pojedziem?

– Albo ja wiem?! – odparł Soroka. – Pojedziem, taj tylko! Może hen! do króla, któren pod szwedzką ręką jęczy.

– Zali to prawda, że go wszyscy opuścili?

– Ale go Pan Bóg nie opuścił.

Kmicic powstał nagle od tapczana, a twarz miał jasną i spokojną; szedł prosto ku drzwiom i otworzywszy drzwi od sieni, rzekł do żołnierzy:  
– Konie mieć gotowe, w drogę czas!

## ROZDZIAŁ III

Wnet ruch uczynił się między żołnierzami, którzy radzi byli wyjechać z lasu na daleki świat, tym bardziej że bali się jeszcze pościgu ze strony Bogusława Radziwiłła, a stary Kiemlicz poszedł do chaty rozumując, że Kmicic będzie go potrzebował.

- Wasza miłość chce jechać? – rzekł wchodząc.
- Tak jest. Wyprowadzisz mnie z lasu. Znasz tu wszystkie pasy?
- Znam, ja tutejszy... A dokąd wasza miłość chce jechać?
- Do króla jegomości.

Stary cofnął się ze zdumieniem.

- Panno mądra! – zakrzyknął – do jakiego króla, wasza miłość?
- Jużci, nie do szwedzkiego.

Kiemlicz nie tylko nie ochłonał, ale począł się żegnać.

– To wasza miłość chyba nie wie, co ludzie powiadają, że król jegomość na Śląsk się schronił, bo go wszyscy opuścili. Kraków nawet w oblężeniu.

- Pojedziem na Śląsk.
- Ba, a jakże się przez Szwedów przedostać?
- Czy po szlachecku, czy po chłopsku, czy na kulbace, czy piechotą, wszystko jedno, byle się przedostać!
- Toż to i czasu okrutnego trzeba...
- Mamy czasu dość... Ale rad bym jak najprędzej...

Kiemlicz przestał się dziwić. Stary zbyt był chytry, aby się nie domyślić, że jest jakiś szczególny i tajemniczy powód w tym przedsięwzięciu pana Kmicica, i zaraz tysiące przypuszczeń poczęło mu się cisnąć do głowy. Lecz że żołnierze Kmicicowi, którym pan Andrzej milczenie nakazał, nic nie rzekli ni staremu, ni synom o porwaniu księcia Bogusława, tedy najprawdopodobniejszym wydało mu się przypuszczenie, że to zapewne książę wojewoda wileński wysłał młodego pułkownika z jakąś misją do króla. Utwierdzało go w tym mniemaniu zwłaszcza to, że poczytywał Kmicica za gorliwego stronnika hetmańskiego i o jego zasługach względem hetmana wiedział, albowiem skonfederowane chorągwie rozniosły o nich wieść po całym województwie podlaskim, czyniąc Kmicicowi opinię okrutnika i zdrajcy.

„Hetman posyła zaufanego do króla – pomyślał stary – to znaczy, że się pewnie z nim godzić chce i Szwedów odstąpić. Musiały mu się już naprzykrzyć ich rządy... Po cóż inaczej by posyłał?...”

Stary Kiemlicz niedługo się silił nad rozwiązaniem tego pytania, bo chodziło mu zupełnie o co innego, a mianowicie o to, jaką by korzyść mógł dla siebie z takich terminów wyciągnąć. Oto, jeżeli przysłuży się Kmicicowi, przysłuży się zarazem hetmanowi i królowi, co nie będzie bez znacznej nagrody. Łaska takich panów przyda się także, gdyby przyszło ze starych grzechów zdawać rachunek. Przy tym pewnie będzie wojna, kraj rozgorzeje, a wtedy łup sam wlezie w ręce. To wszystko uśmiechnęło się staremu, który i bez tego przywykł był słuchać Kmicica, a nie przestał się go bać jak ognia, żywiąc zarazem ku niemu pewien rodzaj afektu, jaki pan Andrzej umiał wzbudzać we wszystkich podkomendnych.

– Wasza miłość – rzekł – musi całą Rzeczpospolitą przejechać, by się do króla jegomości dostać. Nic to jeszcze komendy szwedzkie, bo miasta można omijać i lasami jechać... Ale gorsze to, że i po lasach, jako zwyczajnie w niespokojnym czasie, pełno kup swawolnych, które podróżnych napastują, a wasza miłość ludzi ma mało...

– Pojedziesz ze mną, panie Kiemlicz, razem z synami i z ludźmi, których masz, to będzie nas więcej.

– Wasza miłość rozkaże, to i pojedę, ale jam człek ubogi. Jedna nędza u nas, więcej nic. Jakże mnie to onej chudoby i dachu nad głową ustąpić?



– Co uczynisz, to się opłaci, a i dla was lepiej głowy stąd unieść, póki jeszcze na karkach siedzą.

– Wszyscy Święci Pańscy!... Co wasza miłość mówi?... co?... Jak to?... Co mnie niewinnemu tu grozi? Komu my w drogę wchodzimy?...

Na to pan Andrzej:

– Znają was tu, hultaje! Mieliście kolokację z Kopystyńskim i usiekliście go, potem zbiegliście przed sądami i służyliście u mnie; potem uprowadziliście mi tabunek zdobyczny...

– Jako żywo! Panno można! – zakrzyknął stary.

– Czekać i milcz! Potem wróciliście do starego legowiska i poczęliście grasować w okolicy jako zbóje, konie i łup wszędy biorąc. Nie wypieraj się, bo ja nie twój sędzia, a sam najlepiej wiesz, jeżeli prawdę mówię... Bierzecie konie Żołtareńkowym, to dobrze, bierzecie Szwedom, to dobrze. Jak was złapią, to i ze skóry złupią, ale to ich rzecz.

– Godzi się to, godzi, bo nieprzyjaciołom tylko bierzem – rzekł stary.

– Nieprawda jest, bo i swoich napadacie, co mi już twoi synowie wyznali, a to już prosty rozbój i szlacheckiemu imieniowi zakała. Wstyd wam, hultaje!... Chłopami wam być, nie szlachtą!

Poczerwieniał na to stary wyga i rzekł:

– Wasza miłość krzywdzi nas, bo my, pamiętając na stan nasz, chłopskim procederem się nie bawim. My koni nocą z niczyich stajen nie wyprowadzamy. Co innego z łąk stadko porwać albo zdobyć. To wolno i nie masz w tym ujmy w wojennych czasach dla szlachcica. Ale koń w stajni, święta rzecz, i chyba Cygan, Żyd albo chłop go ukradnie, nie szlachcic! My tego, wasza miłość, nie czynim. Ale co wojna, to wojna!

– Choćby i dziesięć wojen było, w bitwie jeno możesz łup brać, a jeśli go na gościńcu szukasz, toś hultaj!

– Bóg świadkiem naszej niewinności.

– Aleście już tu piwa nawarzyli. Krótko mówiąc, lepiej wam stąd uchodzić, bo prędzej, później stryżek was nie minie. Pojedziecie ze mną; wierną służbą zmażecie winy i cześć odzyskacie. Biorę was do służby, a już tam i korzyść się znajdzie lepsza aniżeli z onych koni.

– Pojedziem z waszą miłością wszędy, przeprowadzim przez Szwedów i przez hultajów, bo prawdę waszej miłości rzecz, to nas tu źli ludzie okrutnie prześladowają, a za co? za co?... Za nasze ubóstwo – nic! jak za ubóstwo...Może też Bóg zmiłuje się nad nami i poratuje nas w utrapieniu!

Tu stary Kiemlicz mimo woli zatarł ręce i błysnął oczyma.

„Od tych robót – pomyślał sobie – zagotuje się w kraju jak w kotle, a wtedy głupi nie skorzysta.”

Wtem Kmicic spojrział na niego bystro.

– Jeno nie próbuj mnie zdradzić! – rzekł groźnie – bo nie zdzierzysz, a ręka boska jedna zdoła cię wówczas wyratować!

– To się po nas nie pokazało – odrzekł ponuro Kiemlicz – i niech mnie Bóg potępi, jeśli mi taka myśl w głowie powstała.

– Wierzę – rzekł po krótkim milczeniu Kmicic – bo zdrada to jeszcze co innego jak hultajstwo i niejeden hultaj przecie tego nie uczyni.

– Co wasza miłość teraz rozkaże? – zapytał Kiemlicz.

– Naprzód są dwa listy, potrzebujące prędkiej ekspedycji. Maszli ludzi roztropnych?

– Gdzie mają jechać?

– Jeden niech jedzie do księcia wojewody, ale nie potrzebuje samego widzieć. Niech jeno list odda w pierwszej książęcej chorągwi i wraca nie czekając odpowiedzi.

– Smolarz pojedzie, to człek roztropny i bywały.

– Dobrze. Drugi list trzeba odwieźć ku Podlasiowi; pytać o chorągiew laudańską pana Wołodjowskiego i samemu pułkownikowi w ręce oddać...

Stary począł mrugać chytrze i tak myślał:

„To, widzę, robota na wszystkie strony, kiedy już i z konfederatami się wachają; będzie ukrop! będzie!...”

Po czym rzekł głośno:

– Wasza miłość! Jeśli to nie tak pilne pismo, to może by, wyjechawszy z lasów, komu po drodze oddać. Siła tu szlachty konfederatom sprzyja i każdy chętnie odwiezie, a nam się jeden więcej człowiek zostanie.

– Toś roztropnie wykalkulował – rzekł Kmicic – bo lepiej, żeby ten, co zawiezie list, nie wiedział, od kogo wiezie. A czy prędko wyjedziem z lasów?

– Jak wasza miłość chce. Może jechać i dwie niedziele albo jutro wyjechać.

– Tedy potem o tym, a teraz słuchaj mnie pilno, Kiemlicz!

– Zważam wszystkim rozumem, wasza miłość.

– Ogłosili mnie – rzekł Kmicic – w całej Rzeczypospolitej za okrutnika i hetmańskiego zaprzedańca albo zgoła szwedzkiego. Gdyby król jegomość wiedział, ktom jest, mógłby mnie nie ufać i intencją moją wzgardzić, która jeżeli nie jest szczera, Bóg widzi! Uważaj, Kiemlicz!

– Uważam, wasza miłość.

– Tedy nie nazywam się Kmicic, jeno Babinicz, rozumiesz? Nikt nie ma mego prawdziwego przezwiska wiedzieć. Gęby mi nie otworzyć, pary nie puścić. A będą pytać, skąd jestem, to powiesz, żeś się po drodze do mnie przyłączył i nie wiesz; natomiast rzekniesz: kto ciekaw, niech się samego pyta.

– Rozumiem, wasza miłość.

– Synom zapowiesz, czeladzi także. Choćby z nich pasy darto, nazywam się Babinicz. Gardłem mi za to odpowiadacie!

– Tak i będzie, wasza miłość. Pójdę synom zapowiedzieć, bo tym szelmom trzeba łopata w łeb kłaść. Taka mi z nich pociecha... Bóg pokarał za dawne grzechy... Ot, co... Pozwoli wasza miłość słowo jeszcze powiedzieć?

– Mów śmieie.

– Widzi mi się, lepiej będzie, jeżeli nie powiemy ni żołnierzom, ni czeladzi, dokąd jedziem.

– Tak ma i być.

– Dość niech wiedzą, że pan Babinicz, nie pan Kmicic, jedzie. A po drugie: chcąc w taką drogę jechać, lepiej by ukryć szarżę waszej miłości.

– Jak to?

– Bo Szwedzi glejty znacznieszym ludziom dają, a kto nie ma glejtu, tego do komendanta prowadzą.

– Ja glejty do komend szwedzkich mam!

Zdziwienie błysnęło w chytrych oczach Kiemlicza, ale pomyślawszy chwilę rzekł:

– Wasza miłość pozwoli jeszcze powiedzieć, co myślę?

– Byleś dobrze radził, a nie marudził, to mów, bo widzę, żeś człek obrotny.

– Jeżeli glejty są, to i lepiej, bo można w nagłym razie pokazać, ale jeżeli wasza miłość z taką robotą jedzie, która ma zostać tajemna, to lepiej glejtów nie pokazywać. Nie wiem ja, czy one wydane na imię Babinicza, czy na pana Kmicica, ale pokazać, to ślad zostanie i pościg łatwiejszy.

– Jak w sedno utrafiłeś! – zawołał Kmicic. – Wolę glejty zachować na inny czas, jeżeli można inaczej się przedostać!

– Można, wasza miłość, a to w przebraniu chłopskim albo chudopacholskim, co będzie łatwiej, bo u mnie tu jest trochę ochędostwa, jako to czapek i kozuchów szarych, takich właśnie, jak drobna szlachta nosi. Wziąwszy tabunek koni, można by pojechać z nimi niby po jarmarkach i przebierać się coraz głębiej, hen, aż pod Łowicz i Warszawę. Co ja, z przeproszeniem waszej miłości, nieraz już, jeszcze w spokojnych czasach czyniłem, i tamte drogi znam. Jakoś pod tę porę przypada jarmark w Sobocie, na który z daleka się zjeżdżają. W Sobocie dowiemy się o innych miastach, gdzie jarmark – i byle dalej! byle dalej!... Szwedzi też mniej na chudopachoł-

ków zważają, bo się mrowie tego po wszystkich jarmarkach kręci. A spyta nas jaki komendant, to mu się i wytłumaczymy, zaś mniejszym kupom można będzie, jeżeli Bóg i Najświętsza Panna pozwoli, po brzuchach przejechać...

– A jak nam konie zabiorą? – bo to rekwizycje w czasie wojny codzienna rzecz...

– Albo kupią, albo zabiorą. Jeśli kupią, tedy nie z końmi, ale niby po konie do Soboty pojedziem, a jeśli zabiorą, podniesiemy lament i ze skargą będziemy jechali aż do Warszawy i Krakowa.

– Chytry masz rozum – rzekł Kmicic – i widzę, że mi się przydadcie. Choćby też Szwedzi te konie zabrali, to znajdzie się taki, który zapłaci.

– I tak ja miałem do Ełku, do Prus, z nimi jechać, to się dobrze składa, bo właśnie tamtędy droga nam wypadnie. Z Ełku pojedziem granicą, potem wyprostujem na Ostrołękę, a stamtąd puszcza aż pod Pułtusk i Warszawę.

– Gdzie to ona Sobota?

– Niedaleko Piątku, wasza miłość.

– Kpisz, Kiemlicz?

– Zaś bym śmiał – odrzekł stary krzyżując ręce na piersiach i skłaniając głowę – jeno się tam tak dziwnie miasteczka nazywają. To za Łowiczem, wasza miłość, ale jeszcze kawał drogi.

– I jarmarki znaczne w onej Sobocie?

– Nie takie jak w Łowiczu, ale jest jeden w tej porze, na który nawet i z Prus konie pędzą, i luda siła się zjeżdża. Pewnie tego roku nie będzie gorzej, bo tam spokojnie Szwedzi wszędy panują i po miastach załogi mają. Choćby się kto chciał ruszyć, to i nie może.

– Tedy przyjmuję twój sposób!... – Pojedziemy z końmi, za które z góry ci zapłacę, ażebyś szkody nie miał.

– Dziękuję waszej miłości za poratowanie.

– Przygotuj jeno kozuchy, czapraki i szable proste, bo zaraz jedziem. A zapowiedz synalom i czeladzi, ktom jest, jak się nazywam i że z końmi jadę, a wyście do pomocy najęci. Ruszaj!

A gdy stary zwrócił się ku drzwiom, pan Andrzej rzekł jeszcze:

– I nie będzie mnie nikt nazywał miłością ni komendantem, ani pułkownikiem, jeno waszecią, a z nazwiska Babiniczem!

Kiemlicz wyszedł i w godzinę później siedzieli już wszyscy na koniach, gotowi ruszyć w daleką drogę.

Pan Kmicic, przybrany w szarą chudopacholską świtę, w taką czapkę z wytartym barankiem i z przewiazaną twarzą, jakby po jakim karczemnym pojedynku, trudny był do poznania i wyglądał istotnie na szlachetkę włóczącego się z jarmarku na jarmark. Otaczali go ludzie podobnie przybrani, zbrojni w proste szabliska i długie bity do popędzania koni oraz arkany do chwytania rozbieganych.

Żołnierze poglądali ze zdziwieniem na swojego pułkownika, czyniąc sobie po cichu różne o nim uwagi: Dziwno im było, że to już pan Babinicz, nie pan Kmicic, że go mają z waszecia traktować, a najbardziej ruszał na to ramionami i wąsami stary Soroka, który, patrząc jak w tęczę w groźnego pułkownika, mrucał do Biłousa:

– Chyba mi ów waszeć przez gardziel nie przejdzie. Niech mnie zabije, a ja taki po staremu oddam, co mu się należy!

– Jak rozkaz, to rozkaz! – odrzekł Biłous. – Ale się pułkownik zmienił okrutnie.

Nie wiedzieli żołnierze, że i dusza w panu Andrzeju zmieniła się tak samo jaki zewnętrzna postać.

– Ruszaj! – krzyknął nagle pan Babinicz.

Zaklaskały bicze, jeźdźcy otoczyli stadko koni, które zbiły się w kupę, i ruszono.

## ROZDZIAŁ IV

Idąc samą granicą między województwem trockim a Prusami, szli przez lasy obszerne i bezdroża, Kiemliczom tylko znajome, aż weszli do Prus i dotarli do Łęgu, czyli jak stary Kiemlicz nazywał, do Ełku, gdzie zasięgnęli nowin o rzeczach publicznych od bawiącej tam szlachty, która przed Szwedami pod moc elektorską się schroniła wraz z żonami, dziećmi i dobytkiem.

Łęg wyglądał jak obóz, a raczej można by rzec, że sejmik jakowyś się w nim odprawuje. Szlachta piła pod wiechami piwo pruskie i rozprawiała, a coraz ktoś nowiny przywoził. Nie dopytując się o nic i tylko nadstawiając bacznie ucha dowiedział się pan Babinicz, że Prusy Królewskie i możliwe w nich miasta stanowczo opowiedziały się po stronie Jana Kazimierza i już układ z elektorem zawarły, aby się wspólnie przeciw każdemu nieprzyjacielowi bronić. Mówiono jednak, że mimo układu znamienitsze miasta nie chciały przyjąć załóg elektorskich, bojąc się, aby ów przebiegły książę, raz usadowiwszy się w nich zbrojną ręką, nie chciał potem na zawsze ich zagarnąć, albo żeby w stanowczej chwili ze Szwedami się zdradziecko nie połączył, do czego wrodzona Chytróść zdolnym go czyniła.

Szlachta szemrała na tę nieufność mieszczan, ale pan Andrzej, znający praktyki radziwiłłowskie z elektorem, gryzł się tylko w język, by nie wypowiedzieć wszystkiego, co mu było wiadome. Powstrzymywała go od tego myśl, że niebezpiecznie było w Prusach elektorskich mówić głośno przeciw elektorowi, a po wtóre, że szaremu szlachetce, który na targ z końmi przyjechał, nie wypadało wdawać się w zawiłe materie polityczne, nad którymi najbieglejsi statysci próżno głowy łamali.

Przedawszy więc parę koni, a dokupiwszy natomiast nowych, jechali dalej wzdłuż granicy pruskiej, ale już traktem wiodącym z Łęgu do Szczuczyna leżącego w samym kącie województwa mazowieckiego, między Prusami z jednej a województwem podlaskim z drugiej strony. Do Szczuczyna samego nie chciał jednak pan Andrzej jechać, a to z tej okazji, że dowiedział się, iż w mieście stoi kwatery jedna chorągiew konfederacka, której pułkownikuje pan Wołodyjowski.

Widocznie pan Wołodyjowski musiał iść mniej więcej tą samą drogą, którą jechał teraz Kmicic, i zatrzymał się w Szczuczynie bądź dla krótkiego odpoczynku przed samą granicą podlaską, bądź na czasowe kwatery, w których łatwiej musiało być o żywność dla ludzi i koni niż w mocno już wypłukanym Podlasiu.

Ale pan Kmicic nie chciał napotkać teraz słynnego pułkownika, albowiem sądził, że nie mając innych dowodów, prócz słów, nie zdoła go przekonać o swym nawróceniu i szczerości intencji. Wskutek tego w dwóch milach od Szczuczyna kazał skrócić w stronę Wąsoszy, ku zachodowi. Co do listu, który miał dla pana Wołodyjowskiego, postanowił przesłać go przez pierwszą pewną okazję.

Tymczasem, nie dojeżdżając Wąsoszy, zatrzymali się w przydrożnej karczmie, „Pokrzyk” zwanej, i roztasowali się na nocleg, który obiecywał się być wygodny, bo w karczmie prócz karczmarza Prusaka nie było nikogo z gości. Lecz zaledwie Kmicic z trzema Kiemliczami i Soroką zasiedli do wieczerzy, gdy z zewnątrz dał się słyszeć hurkot kół i tętent koni.

Że słońce jeszcze nie zaszło, Kmicic wyszedł przed karczmę popatrzeć, kto przyjeżdża, bo był ciekaw, czy nie jaki podjazd szwedzki, ale zamiast Szwedów ujrzał brykę, za nią dwa wozy i ludzi zbrojnych około wozów.

Na pierwszy rzut oka łatwo było poznać, że to jakiś personat nadjeżdża. Bryka była zaprzężona w cztery konie, dobre, pruskie, o grubych kościach i malikowatych grzbietach, foryś siedział na jednym z lejcowych, trzymając dwa psy piękne na smyczy; na koźle woźnica, a obok hajduczek przybrany z węgierska, na tylnym zaś siedzeniu sam pan wsparty pod boki, z wilczurą bez rękawów, spinaną na rzęsiste złożone guzy.

Z tyłu szło dwa wozy, dobrze pakowne, a przy każdym po czterech czeladzi zbrojnych w szable i bandolety.

Sam pan był to człowiek bardzo jeszcze młody, choć personat, lat ledwie dwudziestu kilku. Twarz miał puciołowatą, czerwoną, a i na całej osobie znać było, że sobie na jadło nie żałował.

Gdy bryka stanęła, hajduczek skoczył rękę podawać, a pan ujrzawszy Kmicica stojącego w progu, kiwnął rękawicą i zawołał:

– A bywaj no, przyjacielu!

Kmicic zamiast się zbliżyć cofnął się do karczmy, bo go nagle złość wzięła. Nie przywykł jeszcze ani do szarej świty, ani do tego, by nań kiwano rękawicą. Wróciwszy tedy, siadł za stołem i wziął się znowu do jadła. Nieznajomy pan wszedł w ślad za nim.

Wszedłszy przymrużył oczy, bo w izbie mroczno było, gdyż tylko na kominie palił się niewielki ogień.

– A czemu to nikt nie wychodzi, gdy zajeżdżam? – rzekł nieznajomy pan.

– Bo karczmarz poszedł do komory – odparł Kmicic – a my podróżni jako i wasza mość.

– Dziękuję za konfidencję. A co za podróżny?

– Szlachcic z końmi jadący.

– A kompania takż szlachta?

– Chudopachołcy, ale szlachta.

– Tedy czołem, czołem, mopankowie. Dokąd Bóg prowadzi?

– Z jarmarku na jarmark, byle tabunku zbyć.

– Jeżeli tu nocujecie, to jutro po dniu obejrzę, może i ja co wybiorę. A tymczasem pozwólcie, mopankowie, przysiąść się do stołu.

Nieznajomy pan pytał wprawdzie, czy mu się przysiąść pozwolą, ale takim tonem, jakby był tego zupełnie pewien, jakoż nie omylił się, bo młody koniucha odrzekł grzecznie:

– Prosim bardzo wdzięcznie waszą mość, choć i nie mamy na co prosić, bo jeno grochem z kiełbasą możem częstować.

– Mam ja w puzdrach lepsze od tego specjały – odparł nie bez pewnej pychy młody panek – ale u mnie żołnierskie podniebienie, i groch z kiełbasą, byle dobrze podlany, nad wszystko przekładam.

To rzekłszy (a mówił bardzo powoli, chociaż spoglądał bystro i roztropnie)zasiadł na ławie, gdy zaś Kmicic usunął mu się tak, aby uczynić wygodne miejsce, dodał łaskawie:

– Proszę, proszę, nie inkomoduj się waćpan. W drodze się na godność nie uważa, a chociaż mnie też łokciem trącisz, to mi korona z głowy nie spadnie.

Kmicic, który właśnie przysuwał nieznajomemu miskę z grochem, a który jako się rzekło, nie przywykł jeszcze do podobnego traktowania, byłby niezawodnie rozbił ją na głowie nadętego młodzika, gdyby nie to, że było coś w tej nadętości takiego, co bawiło pana Andrzeja, więc nie tylko że zaraz wewnętrzny impet powściągnął, ale się uśmiechnął i rzekł:

– Takie to teraz czasy wasza mość, że i z najwyższych głów korony spadają: *exemplum* nasz król Jan Kazimierz, który wedle prawa dwie powinien nosić, a nie ma żadnej, chyba jedną cieniową...

Na to nieznajomy spojrział bystro na Kmicica, po czym westchnął i rzekł:

– Takie teraz czasy, że lepiej o tym nie mówić, chyba z konfidentami.

Po chwili zaś dodał:

– Aleś to roztropnie waćpan wywiódł. Musiałeś gdzieś po dworach przy politycznych ludziach służywać, bo mowa edukację wyższą, niż jest waćpanowa kondycja, pokazuje.

– Ocierając się między ludźmi, słyszało się to i owo, alem nie służywałem.

– Skądże to rodem, proszę?

– Z zaścianka, z województwa trockiego.

– Nic to, że z zaścianka, byle szlachcic, bo to grunt. A co tam słyhać na Litwie?

– Po staremu, zdrajców nie brak.

– Zdrajców? mówisz waćpan. A cóż to, proszę, za zdrajcy?

– Ci, którzy króla i Rzeczypospolitej odstąpili.

– A jak się ma książę wojewoda wileński?  
 – Chory, mówią: dech mu zatyka.  
 – Daj mu Boże zdrowie, zacny to pan!  
 – Dla Szwedów zacny, bo im wrota na rozcież otworzył.  
 – To waćpan, widzę, nie jego partyzant?  
 Kmicic spostrzegł, że nieznajomy, wciąż niby dobrodusznie wypytując, bada go.  
 – Co mnie tam! – odrzekł – niech o tym inni myślą... Mnie strach, by mi Szwedzi koni w rekwizycję nie zabrali.  
 – To trzeba je było na miejscu zbyć. Ot, i na Podlasiu stoją podobno te chorągwie, które się przeciw hetmanowi zbuntowały, a które pewnie nie mają koni do zbytku?  
 – Tego ja nie wiem, bom między nimi nie bywałem, chociaż jakiś przejezdny pan dał mi list do jednego z ich pułkowników, abym go przy okazji oddał.  
 – Jakże to ów przejezdny pan mógł dać waćpanu list, skoro na Podlasiu nie jedziesz?  
 – Bo w Szczuczynie stoi jedna konfederacka chorągiew, więc ów jegomość rzekł mi tak: albo sam oddasz, albo okazję znajdziesz, wedle Szczuczyna przejeżdżając.  
 – A to się dobrze składa, bo ja do Szczuczyna jadę.  
 – Wasza mość także przed Szwedami ucieka?  
 Nieznajomy zamiast odpowiedzieć popatrzył na Kmicica i spytał flegmatycznie:  
 – Czemu to waćpan mówisz: t a k ż e, skoro sam nie tylko nie uciekasz, ale między nich jedziesz i konie im będziesz sprzedawał, jeśli ci ich siłą nie zabiorą?  
 Na to Kmicic ruszył ramionami.  
 – Mówiłem: t a k ż e, bom w Łęgu widział wiele szlachty, którzy się przed nimi chronili, a co do mnie, niechby im się wszyscy przysługiwali, ile ja mam chęci im służyć, to tak myślę, żeby tu długo miejsca nie zagrzało...  
 – I nie boisz się tego mówić? – pytał nieznajomy.  
 – Nie boję się, bom też niepłochliwy, a po drugie, jegomość do Szczuczyna jedziesz, a w tamtej stronie wszyscy głośno mówią, co myślą, daj zaś Boże, by jak najprędzej od gadania do roboty przyszło.  
 – Widzę, że bystry z waszeci człowiek nad kondycję! – powtórzył nieznajomy. – Ale kiedy tak Szwedów nie kochasz, czemu od onych chorągwi, które się przeciw hetmanowi zbuntowały, odchodzisz? Zali to one zbuntowały się dla zatrzymanego żołdu albo dla swywoli? Nie! jeno że hetmanowi i Szwedom nie chciały służyć. Lepiej by było tym żołnierzom, niebożętom, pod hetmanem zostać, a przecie woleli narazić się na miano buntowników, na głód, niewywczasę i przeliczne zgubne terminy niż przeciw królowi czynić. Że tam przyjdzie między nimi i Szwedami do wojny, to pewno, a może by już i przyszło, gdyby nie to, że Szwedzi jeszcze do tego kąta nie zaleźli... Poczekaj, zależą, trafią tu, a wówczas zobaczysz waszeć!  
 – Tak i ja myślę, że tu się najprędzej wojna rozpocznie! – rzekł Kmicic.  
 – Ba, jeżeli tak myślisz, a masz szczery ku Szwedom dyzgust (co ci i z oczu patrzy, że prawdę mówisz, bo ja się na tym znam), to czemu tedy do tych zacnych żołnierzów nie przystaniesz? Alboż to nie pora, alboż im nie potrzeba rąk i szabel? Niemal to tam zacnych służy, którzy woleli swojego pana nad cudzego, i coraz ich więcej będzie. Jedziesz waszeć z tych stron, w których Szwedów jeszcze wcale nie zaznali, ale ci, co ich zaznali, rzewnymi łzami płaczą. W Wielkopolsce, choć się im dobrowolnie poddała, już palce szlachcie w kurki od muszkietów wkręcają a rabują, a rekwizycje czynią, co mogą, zabierają... W tutejszym województwie nie lepszy ich proceder. Jenerał Steinbok wydał manifest, by każdy spokojnie w domu siedział, to go uszanują i jego dobro. Ale gdzie tam! Jenerał swoje, a komendanci pomniejsi swoje, tak że nikt jutra nie pewien ani tego, co od fortuny ma. Każdy chce się cieszyć z tego, co posiadał, aby zaś w spokoju używał i aby mu dobrze było. A tu przyjedzie pierwszy lepszy przybłąda i „daj!”. Nie dasz, to ci winę znajdą, aby z majątności cię wyrzucić, albo winy nie szukając szyję utną. Niejeden się

już łzami rzewnymi zalewa, dawnego pana wspomniawszy, a wszyscy w opresji ciągle ku onym konfederatom spoglądają, czy od nich jakowy ratunek dla ojczyzny i obywatelów nie przyjdzie...

– Wasza mość – rzekł Kmicic – widzę, nie lepiej Szwedom ode mnie życzy?

Nieznajomy pan obejrzał się jakby z pewnym strachem wokoło, ale wprędce uspokoił się i tak dalej mówił:

– Życzę im, żeby ich mór wytlukł, i tego przed wasznością nie ukrywam, gdyż widzi mi się, żeś poczciwy, a choćbyś i nie był poczciwy, to mnie nie zwiążesz i Szwedom nie odwieziesz, bo się nie dam mając zbrojną czeladzi i szablę przy boku.

– Możesz wasza mość być pewien, że tego nie uczynię; owszem: po sercu mi waścina fantazja. Już i to mi się podoba, żeś waszmość nie wahał się substancji zostawić, na której nieprzyjaciel mścić się nie omieszka. Bardzo się chwali taka życzliwość ku ojczyźnie.

– Albo ja głupi? U mnie pierwsza reguła, żeby moje nie przepadło, bo co Pan Bóg dał, to trzeba szanować. Siedziałem cicho do sprzętów i omłotów. Dopieroż, jakem całą krescencję do Prus sprzedał i inwentarze, i wszelki statek, tak pomyślałem sobie: czas w drogę! Niechże się teraz na mnie mszczą, niech mi zabierają, co im do smaku przypadnie.

Kmicic mimo woli począł mówić tonem protekcyjnym, jak zwierzchnik do podwładnego, nie zastanowiwszy się, że takie słowa mogły się dziwnie wydawać w ustach szlachetkoniuchy, ale widocznie i młody pan nie zwrócił na to uwagi, bo począł tylko chytrze mrugać oczyma i odrzekł:

– Zawsze zostawiłeś wasza mość ziemię i budynki.

– Ba, kiedy ja starostwo wąsockie dzierżawą trzymam od wojewody mazowieckiego, a właśnie mi się kontrakt skończył. Jeszcze ostatniej raty nie zapłacił i nie zapłacę, bo jako słyszę, i pan wojewoda mazowiecki ze Szwedem trzyma. Niechże mu za to rata przepadnie, a mnie się gotowy grosz przyda.

Kmicic począł się śmiać.

– Bodajże waszmości! Widzę, żeś nie tylko mężny kawaler, ale i roztropny!

– Jakże? – odrzekł nieznajomy. – Roztropność to grunt! Ale nie o roztropności z waćpanem mówiłem... Czemu to, czując krzywdy ojczyzny i pana miłościwego, nie pójdziesz do onych zacnych żołnierzów na Podlasie i pod znak się nie zaciągniesz? I Bogu się przysłużysz, i samemu może się poszczęścić, bo to już niejednemu się przytrafiło, że z chudopachołka na pana z wojny wyszedł. Widać po waści, żeś człek śmiały i rezolutny, a gdy ci urodzenie nie staje na przeszkodzie, możesz wprędce do jakiej takiej fortuny dojść, jeśli Bóg łupu przysporzy. Byle nie trwonić tego, co tu i ówdzie w ręce wpadnie, to i mieszek napęcznieje. Nie wiem, czyli masz jakową zagrodę, czyli nie masz, ale mógłbyś mieć: z mieszkem o dzierżawę nietrudno, a z dzierżawy, przy pomocy boskiej, i do dziedzictwa niedaleko. A tak, zacząwszy od pachołka, możesz towarzyszem umrzeć albo na jakim urzędzie ziemskim, byleś się pracy nie lenił, bo kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Kmicic wąsy gryzł, bo go pusty śmiech brał; więc twarz mu drgała, a zarazem i krzywił się, bo od czasu do czasu od przyschniętej rany boleści go brały.

Nieznajomy mówił dalej:

– Przyjąć cię tam przyjmą, bo ludzi potrzebują, a zresztą udałeś mi się waćpan i biorę cię pod opiekę, przy której i promocji możesz być pewien.

Tu młodzieńczyk podniósł z dumą puciołowatą twarz i począł ręką po wąsikach się gładzić; wreszcie rzekł:

– Chceszli być moim rękodajnym? Szablę będziesz za mną nosił i nad czeladzią miał dozór.

Kmicic nie wytrzymał i parsknął szczerym, wesołym śmiechem, aż mu wszystkie zęby zabłyśły.

– Czego się wasze śmiejesz? – pytał nieznajomy marszcząc brwi.

– To z ochoty do tej służby.

Lecz młody personat obraził się na dobre i rzekł:

– Głupi, kto waćpana tych manier nauczył, i bacz, z kim mówisz, abyś w konfidencji miary nie przebrał.

– Wasza mość wybaczy – rzekł wesoło Kmicic – bo właśnie nie wiem, przed kim stoję.

Młody pan wziął się w boki:

– Jestem pan Rzędzian z Wąsoszy – rzekł z dumą.

Kmicic otwierał już usta, ażeby powiedzieć swoje przybrane nazwisko, gdy wtęm Biłous wszedł spieszenie do izby.

– Panie kome...

Tu urwał żołnierz, powstrzymany groźnym wzrokiem Kmicica, zmieszał się, zaciął i wreszcie wykrztusił z wysileniem:

– Proszę waszmości, ludzie jacyś jadą.

– Skąd?

– Od Szczuczyna.

Teraz pan Kmicic stropił się nieco, ale pokrywając prędko pomieszenie, odparł:

– A mieć się na baczości. Duża kupa idzie?

– Będzie z dziesięć koni.

– Bandoleciki mieć gotowe. Ruszaj!

Po czym, gdy żołnierz wyszedł, zwrócił się do pana Rzędziana z Wąsoszy i rzekł:

– Czy aby nie Szwedzi?

– Przecie ku nim waćpan idziesz – odparł pan Rzędzian, który od niejakiego czasu poglądał ze zdziwieniem na młodego szlachcica – więc prędzej, później musisz ich spotkać.

– Wolałbym też Szwedów aniżeli jakowych hultajów, których wszędy pełno... Kto jedzie z końmi, musi zbrojno jechać i mieć się na baczeniu, bo okrutnie to łasa rzecz.

– Jeżeli prawda, że w Szczuczynie stoi pan Wołodyjowski – odparł Rzędzian – to pewnie jego podjazd. Nim się zakwaterują, chcą się przekonać, czyli kraj bezpieczny, bo ze Szwedami o miedzę trudno by spokojnie usiedzieć.

Usłyszawszy to pan Andrzej zakręcił się po izbie i usiadł w najciemniejszym jej kącie, gdzie okap komina rzucał gruby cień na róg stołu, a tymczasem sprzed sieni doszedł tętent i parskanie koni i po chwili kilku ludzi weszło do izby.

Idący na czele, chłop olbrzymi, stukał drewnianą nogą w luźne deski, którymi izba była wyłożona. Kmicic spojrzął nań i serce zabiło mu w piersiach.

Był to Józwa Butrym, zwany Beznogim.

– A gdzie gospodarz? – spytał stanawszy na środku izby.

– Jestem! – odrzekł karczmarz – do usług waszmości.

– Dla koni obrok!

– Nie ma u mnie obroków, chyba ci panowie użyczą.

To rzekłszy karczmarz wskazał na Rzędziana i koniuchów.

– Czyi to ludzie? – spytał Rzędzian.

– A ktoś waćpan sam?

– Starosta z Wąsoszy.

Rzędziana, jako dzierżawcę starostwa, zwali zwykle własni jego ludzie starostą i on się sam tak nazywał w ważniejszych okazjach.

Ale Józwa Butrym zmieszał się widząc, z jak wysoką osobą ma do czynienia, więc zdjął czapkę i rzekł łagodnym tonem:

– Czołem, wielmożny panie... Po ciemku nie można godności rozeznąć.

– Czyi ludzie? – powtórzył Rzędzian biorąc się w boki.

– Laudańscy, z chorągwi dawniej billewiczowskiej, a dziś pana Wołodyjowskiego.

– Dla Boga! to pan Wołodyjowski jest w Szczuczynie?

– Osobą swoją i z innymi pułkownikami, którzy ze Żmudzi przyszli.



– Bogu chwała, Bogu chwała! – powtórzył uradowany pan starosta. – A jacyż to pułkownicy są z panem Wołodyjowskim?

– Był pan Mirski – mówił Butrym – ale go szlag po drodze trafił, a jest pan Oskierko, pan Kowalski, dwóch panów Skrzetuskich.

– Jakich Skrzetuskich? – zakrzyknął Rzędzian. – Zali jeden z nich nie pan Skrzetuski z Burca?

– Tego nie wiem skąd – odparł Butrym – jeno wiem, że to jest pan Skrzetuski zbarańczyk.

– Rety! to mój pan!

Tu spostrzegł Rzędzian, jak dziwnie brzmi taki okrzyk w ustach pana starosty, i dodał:

– Mój pan kum, chciałem rzec.

Tak mówiąc nie zmyślał pan starosta, bo istotnie pierwszego syna Skrzetuskiego, Jaremkę, do chrztu trzymał w drugą parę.

Tymczasem Kmicicowi, siedzącemu w ciemnym kącie izby, myśli jedna za drugą poczęły się cisnąć do głowy. Naprzód zburzyła się w nim dusza na widok groźnego szaraka i ręka mimo woli chwyciła za szablę. Wiedział bowiem Kmicic, że to głównie Józwa przyczynił się do rozsiekania kompanionów i jego samego najzaciętszym był wrogiem. Dawny pan Kmicic kazałby go w tej chwili porwać i końmi włóczyć, lecz dzisiejszy pan Babinicz przemógł się. Owszem, niepokój go ogarnął na myśl, że jeżeli szlachta go pozna, mogą stąd wypaść rozmaite dla dalszej podróży i całego przedsięwzięcia niebezpieczeństwa... Postanowił więc nie dać się poznać i coraz głębiej zasuwał się w cień; wreszcie oparł się łokciami o stół i wzięwszy głowę w dłonie, począł udawać, że drzemie.

Lecz jednocześnie szepnął do siedzącego obok Soroki:

– Ruszaj do stajni, niech konie będą w pogotowiu. Jedziemy na noc!

Soroka wstał i wyszedł.

Kmicic udawał dalej, że drzemie. Rozmaite wspomnienia poczęły mu cisnąć się do głowy. Ludzie ci przypomnieli mu Laudę, Wodokty i tę przeszłość krótką, która jak sen minęła. Gdy przed chwilą Józwa rzekł, iż należą do chorągwi dawniej billewiczowskiej, to panu Andrzejowi aż serce zatrzęsło się w piersi na samo miano. I przyszło mu na myśl, że taki był właśnie wieczór, tak samo na kominie palił się ogień, gdy on jakoby ze śniegiem spadł niespodzianie do Wodoktów i po raz pierwszy ujrzał w czeladnej Oleńkę między prządkami.

Widział teraz przez zamknięte powieki, tak jakby na jawie, tę pannę jasną, spokojną – wspominał wszystko, co zaszło, jako ona chciała mu być aniołem stróżem, w dobrem go umocnić, od złego zasłonić, prostą, zasnę drogę pokazać. Gdyby jej był słuchał, gdyby jej był słuchał!... Toż ona wiedziała, co czynić, po jakiej stronie stanać; wiedziała, gdzie cnota, uczciwość, obowiązek – i po prostu wzięłaby go za rękę i poprowadziła, gdyby był chciał jej słuchać.

Tu miłość podniecona rozpamiętywaniem tak wezbrała w sercu pana Andrzeja, że gotów byłby wszystką krew wytoczyć, byle do nóg tej pannie paść, a w tej chwili gotów byłby porwać w ramiona nawet tego niedźwiedzia laudańskiego, który mu kompanionów wygubił, dlatego tylko, że był z tamtych stron, że Billewiczów wspominał, że Oleńkę widywał.

Z zadumy zbudziło go dopiero jego własne nazwisko powtórzone kilkakrotnie przez Józwę Butryma. Dzierżawca z Wąsoszy wypytywał o znajomych, a Józwa opowiadał mu, co zaszło w Kiejdanach od czasu pamiętnej ugody hetmana ze Szwedami – mówił więc o opozycji wojska, o uwięzieniu pułkowników, o zesłaniu ich do Birż i szczęśliwym ocaleniu. Nazwisko Kmicica powtarzało się oczywiście w tych opowiadaniach, pokryte całą zgrozą zdrady i okrucieństwa. O tym, że pan Wołodyjowski, Skrzetuscy i Zagłoba winni byli życie Kmicicowi, nie wiedział Józwa, natomiast tak opowiadał to, co zaszło w Billewiczach:

– Schwycił nasz pułkownik tego zdrajcę w Billewiczach jak lisa w jamie, i zaraz go kazali na śmierć prowadzić; prowadziłem go sam z wielką uciechą, że go ręka boska dosięgła, i coraz tom mu latarką w oczy zaświecił, żeby obaczyć, czy też skruchy nie okaże. Ale nie! Szedł śmieje, nie bacząc, że przed sądem bożym stanie. Taka już natura zatwardziała. A gdym mu doradził, żeby

się choć przeżegnał, to mi odrzekł: „Stul głę, pachołku, nie twoja sprawa!” Postawiliśmy go tedy za wsią, pod gruszą, i już począłem komendę, kiedy pan Zagłoba, który szedł z nami, kazał go obszukać, czyli jakich papierów przy nim nie ma. Jakoż znalazł się list. Powiada pan Zagłoba: „Poświęć!” – i zaraz do czytania. Ledwie zaczął czytać, kiedy to się nie porwie za głowę: „Jezus Maria! dawaj go na powrót do dwora!” Sam skoczył na konia i pojechał, a my go odprowadziliśmy w tej myśli, że go kazał jeszcze przypiec przed śmiercią, żeby języka od niego zasięgnąć. Ale gdzie tam! Puścili zdrajcę wolno. Nie moja głowa wchodzić w to, co tam wyczytali, ale ja bym go nie był puścił.

– Cóż w tych listach było? – pytał dzierzawca z Wąsoszy.

– Nie wiem, co było; miarkuję tylko, że musieli być jeszcze różni oficyjerowie w rękach księcia wojewody, których zaraz by kazał rozstrzelać, gdyby mu Kmicica rozstrzelali. A przy tym, może się nasz pułkownik i leż panny Billewiczówny ulitował, bo podobno przez ręce leciała, że ledwie mogli jej docucić... A wszelako... nie śmiem ja mówić, ale źle się stało, bo co ten człowiek złego naczynił, tego by się sam Lucyper nie powstydział. Cała Litwa na niego płacze, a co wdów, co sierot, co ubóstwa na niego narzeka. Bogu tylko wiadomo! Kto jego zgładzi, będzie miał zasługę w niebiesiech i przed ludźmi, jakoby psa wściekłego zabił!

Tu rozmowa przeszła znowu na pana Wołodyjowskiego, na panów Skrzetuskich, na chorągwie stojące na Podlasiu.

– O wiwendę ciężko – mówił Butrym – bo dobra księcia hetmana do szczeru już wypłukane, ani człeku, ani koniowi na ząb w nich nie znaleźć, a co jest szlachty, to uboga, po zaściankach, jako u nas na Żmudzi, siedząca. Postanowili tedy pułkownicy, żeby się po sto koni rozdzielić, i co milę albo co dwie od siebie stać. Ale jak przyjdzie zima, nie wiem, co będzie.

Kmicic, który słuchał dotąd cierpliwie, póki o nim była mowa – poruszył się teraz i już usta otworzył, by ze swego ciemnego kąta powiedzieć:

– To was hetman tak podzielonych pojedynczo ręką wybierze jako raki z saka.

Lecz w tej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Soroka, którego Kmicic posłał był, by konie do drogi gotowano. Światło z komina padało wprost na srogą twarz wachmistrza; Józwa Butrym spojrział na niego, popatrzył długą chwilę, po czym zwrócił się do Rzędziana i rzekł:

– Czy to waszej wielmożności człowiek?... Ja jego skądś znam!

– Nie – odparł Rzędzian – to szlachta, która z końmi na jarmarki jedzie.

– A dokąd jedziecie? – pytał Józwa.

– Do Soboty – odparł stary Kiemlicz.

– Gdzie to jest?

– Niedaleko Piątku.

Józwa również, jak poprzednio Kmicic, poczytał za żart niewczesny tę odpowiedź i rzekł namarszczywszy brwi:

– Odpowiadaj, kiedy pytają!

– Jakim prawem pytasz?

– Mogę ci się i z tego wywieść: bo mnie na podjazd wysłali, bym obaczył, czy podejrzanych ludzi w okolicy nie masz. Jakoż widzi mi się, że są, którzy nie chcą powiedzieć, dokąd jadą!

Kmicic obawiając się, żeby jaka zwada z tej rozmowy nie wynikła, rzekł nie ruszając się z ciemnego kąta:

– Nie sierz się, mości żołnierzu, bo Piątek i Sobota są takie miasta, jako i inne, w których się jarmarki jesienne na konie odbywają. Nie wierzysz, to się pana starosty spytaj, który musi o nich wiedzieć.

– Jakże! – rzekł Rzędzian.

Na to Butrym:

– Kiedy tak, to co innego. Ale po co wam do onych miast jechać? Możecie i w Szczuczynie koni zbyć, bo nam siła nie staje, a te, cośmy w Pilwiszkach zagarnęli, na nic, bo wszystko odsegnięte.

– Każdy tam jedzie, gdzie mu lepiej, a my swoją drogę znamy – odpowiedział Kmicic.  
– Nie wiem, gdzie właściwie lepiej, ale nam nie lepiej, byś Szwedom koni doprowadzał i z językiem do nich jeździł.

– Dziwne mi to – rzekł dzierzawca z Wąsoszy. – Ci ludzie na Szwedów wymyślają, a jakoś im pilno ku nim się przebrać?

Tu zwrócił się ku Kmicicowi:

– A waćpan też mi nie bardzo do koniuchy podobny, bo i pierścień zacny na ręku widziałem, którego by się niejeden pan nie powstydział...

– Jeśli się waszmości tak udał, to go ode mnie kup, bo ja dwie orty za niego w Łęgu zapłacił – odpowiedział Kmicic.

– Dwie orty?... – to chyba nie szczyry, ale przednio udany... Pokaż waść!

– Weź, wasza mość!

– A sam to się nie możesz ruszyć?... Ja mam chodzić?

– Bom się okrutnie strudził.

– Ej, bratku! rzekłby kto, że oblicze chcesz ukryć!

Słyszając to Józwa nie rzekł ani słowa, jeno zbliżył się do komina, wyciągnął palącą się głownię i trzymając ją wysoko nad głową, poszedł wprost do Kmicica i zaświecił mu w oczy.

Kmicic podniósł się w jednej chwili na całą wysokość i przez jedno mgnienie powieki patrzyli sobie oko w oko – nagle głownia wypadła z rąk Józwy, rozsypując tysiące skier po drodze.

– Jezus Maria!! – zakrzyknął Butrym – to Kmicic!...

– Jam jest! – odrzekł pan Andrzej widząc, że nie ma dłużej sposobu ukryć się.

Lecz Józwa zaczął krzyczeć na żołnierzy, którzy zostali przed sienią:

– Bywaj! bywaj! trzymaj!

Po czym zwrócił się do pana Andrzeja:

– Tyżeś to, piekielniku, zdrajco?! Tyżeś to, diable wcielony?! Raz się wymknąłeś z moich rąk, a teraz do Szwedów w przebraniu dążysz? Tyżeś to, Judaszu, kacie męża i niewiasty? mam cię!

To rzekłszy chwycił za kark pana Andrzeja, a pan Andrzej chwycił jego; lecz poprzednio już dwaj młodzi Kiemlicze, Kosma i Damian, podnieśli się z ławy, sięgając rozczochranymi głowami aż do pułapu, i Kosma spytał:

– Ociec, prać?

– Prać! – odrzekł stary Kiemlicz dobywając szablę.

Wtem drzwi pękły i żołnierze Józwy zwalili się do izby; ale tuż za nimi, prawie na ich karkach, wjechała czeladź Kiemliczów.

Józwa chwycił za kark lewą ręką pana Andrzeja, a w prawej trzymał już goły rapier, czyniąc nim wokoło siebie wicher i błyskawice. Lecz pan Andrzej, choć tak olbrzymiej siły nie posiadał, chwycił go także jakby kleszczami za gardziel. Józwie oczy wylazły na wierzch, rękojeścią swego rapiera chciał strzaskać Kmicicową rękę i nie zdążył, bo go wpierw Kmicic głownią swej szabli w czuprynę gruchnął. Palce Józwy, trzymające kark przeciwnika, otworzyły się od razu, a sam zachwiał się i w tył przeważył pod ciosem. Kmicic popchnął go jeszcze, by mieć do cięcia pole, i całym rozmachem przez pysk szablą go chlasnął. Józwa padł na wznak, jak dąb, czaszką uderzywszy o podłogę.

– Bij! – krzyknął Kmicic, w którym od razu rozbudził się dawny zabijaka.

Lecz nie potrzebował zachęcać, bo w izbie gotowało się jak w garnku. Dwaj młodzi Kiemlicze siekli szablami, a czasem bodli łbami jak dwa byki, kładąc za każdym uderzeniem człeka na ziemię; tuż za nimi następował stary, przykucając co chwila aż do ziemi, przymrużając oczy i przesuwając co chwila sztych szabli pod ramionami synów.

Lecz Soroka, przywykły do bitew po karczmach i w ciasnocie, szerzył najwięcej zniszczenia. Przypierał on tak z bliska przeciwników, że ostrzem nie mogli go dosięgnąć, i wystrzeliwszy

uprzednio w tłum pistolety, tłukł teraz po głowach ich rękojeściami, miażdżąc nosy, wybijając zęby i oczy. Czeladź Kiemliczów i dwaj Kmicicowi żołnierze szli w pomoc panom.

Zawierucha przewaliła się od stołu w drugi koniec izby. Laudańscy bronili się z wściekłością, lecz od chwili, w której Kmicic obaliwszy Józwę skoczył w ukrop i zaraz rozciągnął drugiego Butryma, zwycięstwo poczęło się przechylać na jego stronę.

Rzędzianowa czeladź wpadła również do izby z szablami i szturmakami, ale choć Rzędzian krzyczał: „Bij!” – nie wiedziała, co czynić, nie mogąc przeciwników rozeznąć, bo laudańscy nie nosili żadnych mundurów. Toteż w zamieszaniu obrywało się starościńskim parobkom od jednych i od drugich.

Rzędzian trzymał się ostrożnie poza walką, pragnąc rozeznąć Kmicica i wskazać go do strzału, ale przy słabym świetle łuczywa Kmicic ustawicznie ginał mu z oczu; to zjawiał się znów jak diabeł czerwony, to znów ginał w pomroce.

Opór ze strony laudańskiej słabł z każdą chwilą, bo odjął im serce upadek Józwy i straszliwe imię Kmicica. Lecz walczyli z zaciekłością. Tymczasem karczmarz przesunął się cicho wedle walczących z wiadrem wody w rękę i chlusnął na ogień. W izbie nastąpiła ciemność zupełna; walczący zbili się w kupę tak ciasną, że jeno pięściami mogli się grzmocić; przez chwilę krzyki ustały, słychać było tylko zdyszane oddechy i bezładny tupot butów. Wtem przez drzwi wywalone uskoczyli naprzód Rzędzianowi, za nimi laudańscy, za nimi Kmicicowi.

Rozpoczął się pościg w sieni, w pokrzywach przed sienią i w szopie. Rozległo się kilka strzałów, następnie wrzaski i kwik koni. Zawrzała bitwa przy Rzędzianowych wozach, pod które jego czeladź się schroniła, laudańscy szukali również pod nimi ucieczki, i wówczas to właśnie parobcy, biorąc ich za napastników, dali kilkakroć do nich ognia.

– Poddajcie się! – krzyczał stary Kiemlicz zapuszczając ostrze swej szabli między szprychy woza i bodąc na oślep ukrytych pod nim ludzi.

– Stój! poddaję się! – odpowiedziało kilka głosów.

I wnet czeladź z Wąsoszy poczęła wyrzucać spod woza szable i szturmaki, następnie samych wyciągali za łeb młodzi Kiemlicze, aż stary zakrzyknął:

– Do wozów! Brać, co w ręce wpadnie! Żywo! żywo! do wozów!

Młodzi nie dali sobie trzeci raz rozkazu powtórzyć i rzucili się do odpinania opony, spod której łuby Rzędzianowe ukazywały wypukłe boki. Już poczęli i łuby wyrzucać, gdy nagle zabrzmiał głos Kmicica:

– Stój!

I Kmicic, popierając ręką rozkaz, począł ich płazować krwawą szablą.

Kosma i Damian uskoczyli pośpiesznie na bok.

– Wasza miłość!... nie można? – pytał pokornie stary.

– Wara! – krzyknął Kmicic. – Szukaj mi starosty!

Kopnęli się tedy w mig Kosma i Damian, a za nimi ojciec, i po kwadransie ukazali się znowu, prowadząc Rzędziana, który ujrawszy Kmicica skłonił się nisko i rzekł:

– Z przeproszeniem waszej miłości, krzywda mi się tu dzieje, bo ja z nikim wojny nie szukał, a że znajomych jadę odwiedzić, to wolno każdemu...

Kmicic, wsparty na szabli, oddychał ciężko i milczał, więc Rzędzian mówił dalej:

– Ja tam ni Szwedom, ni księciu hetmanowi żadnej krzywdy nie uczynił, jenom do pana Wołodyjowskiego jechał, bo stary mój znajomy i na Rusi my razem wojowali... A po co mnie guza szukać?! Nie byłem w Kiejdanach i nic mi do tego, co tam było... Ja patrzę, bym skórę całą wywiózł i żeby to, co mi Bóg dał, nie przepadło... Bom tego też nie ukradł, ale w pocie czoła zarobił... Nic mnie do całej tej sprawy! Niech mnie wasza wielmożność pozwoli wolno jechać...

Kmicic oddychał ciężko, patrząc wciąż jakby z roztargnieniem na Rzędziana.

– Proszę pokornie waszej wielmożności! – zaczął znów starosta. – Wasza wielmożność widziała, że ja tych ludzi nie znał i przyjacielem im nie byłem. Napadli na waszą miłość, to mają za swoje, ale za co ja mam cierpieć, za co moje ma przepadać? Com ja zawinił? Jeżeli nie może

inaczej być, to ja żołnierzom waszej wielmożności wykupię się, choć mnie, ubogiego człeka, na wiele nie stać... Po talarze im dam, żeby im fatyga na darmo nie wyszła... Dam i po dwa... a wasza wielmożność przyjmie też ode mnie...

– Zakryć te wozy! – krzyknął nagle Kmicic – a waszeć bierz rannych i jedź do diabła!

– Dziękuję pokornie jegomości – rzekł pan dzierzawca z Wąsoszy.

Wtem zbliżył się stary Kiemlicz wysuwając naprzód dolną wargę z resztkami zębów i jęcząc:

– Wasza miłość... to nasze... Zwierciadło sprawiedliwości... to nasze...

Lecz Kmicic spojrział na niego tak, że stary skurczył się aż do ziemi i nie śmiał wymówić ni słowa.

Czeladź Rzędzianowa rzuciła się konie co duchu do wozów zakładać, Kmicic zaś zwrócił się znów do pana starosty:

– Bierz tych wszystkich rannych i zabitych, którzy się znajdują, odwieź ich panu Wołodyjowskiemu i powiedz mu ode mnie, że mu nie wróg, a może i lepszy przyjaciel, niż myśli... Alem go chciał minąć, bo nie teraz jeszcze pora, abyśmy się spotkali. Może później przyjdzie ten czas, ale dziś ani on by nie uwierzył, ani ja nie miałbym go czym przekonać... Może później... Uważaj waćpan! Powiedz mu, że ci ludzie mnie napadli i że musiałem się bronić.

– Po sprawiedliwości tak i było – rzekł Rzędzian.

– Czekaj... Powiedz jeszcze panu Wołodyjowskiemu, żeby się kupy trzymali, że Radziwiłł, niech jeno się jazdy od Pontusa doczeka, to wnet ruszy na nich. Może już jest w drodze. Obaj z księciem koniuszym i elektorem praktykują, i blisko granicy niebezpiecznie stać. A przede wszystkim niech się kupy trzymają, bo poginą marnie. Wojewoda witebski chce się na Podlasie przedrzeć... Niech mu idą naprzeciw, aby w razie przeszkody dać pomoc.

– Wszystko powiem, jakoby mi za to płacono.

– Choć to Kmicic mówi, choć Kmicic ostrzega, niechże mu wierzą, niech się poradzą z innymi pułkownikami i zastanowią, że w kupie będą mocniejsi. Powtarzam, że hetman już w drodze, a ja panu Wołodyjowskiemu nie wróg.

– Żeby ja to miał jakiś znak od waszej miłości, to by lepiej jeszcze było – rzekł Rzędzian.

– Po co ci znaku?

– Bo i pan Wołodyjowski zaraz by lepiej w szczerść afektu waszej miłości uwierzył i tak by pomyślał, że musi być coś w tym, jeśli znak przysyła.

– To masz ten sygnet – rzekł Kmicic – chociaż znaków po mnie nie brak na łbach u tych ludzi; których panu Wołodyjowskiemu odwieziesz.

To rzekłszy zdjął pierścień z palca. Rzędzian zaś przyjął go skwapliwie i rzekł:

– Dziękuję pokornie jegomości.

W godzinę później Rzędzian wraz ze swymi wozami, z czeladzią, trochę jeno poturbowaną, jechał spokojnie ku Szczuczynowi odwożąc trzech zabitych i resztę rannych, między którymi Józwę Butryma z przeciętą twarzą i rozbitą głową. Jadąc spoglądał na pierścień, którego kamień cudnie błyszczał przy księżycu, i rozmyślał o tym dziwnym i strasznym człowieku, który tyle złego sprawił konfederatom, a tyle dobrego Szwedom i Radziwiłłowi, chciał jednak widocznie ratować konfederatów od ostatniej zguby.

„Bo to, co radził, to szczerze – mówił do siebie Rzędzian. – Kupy zawsze się lepiej trzymać. Ale czemu ostrzega? Chyba z afektu dla pana Wołodyjowskiego, że go to zdrowiem w Billewiczach udarował. Chyba z afektu! Ba, aleć księciu hetmanowi na złe może wyjść ten afekt. Dziwny to człek. Radziwiłłowi służy, a naszym ludziom życzy... I do Szwedów jedzie... Tego ja nie rozumiem...”

Po chwili zaś dodał:

„Hojny pan... Jeno źle mu w drogę włożyć.”

Równie ciężko i równie bezskutecznie jak Rzędzian łamał sobie głowę stary Kiemlicz, pragnąc znaleźć odpowiedź na pytanie: komu pan Kmicic służy?

„Do króla jedzie, a konfederatów bije, którzy właśnie przy królu stoją? Co to jest? I Szwedom nie ufa, bo się kryje... Co z nami będzie?”

Tu, nie mogąc dojść do żadnej konkluzji, zwrócił się ze złości ku synom:

– Szelmy! Bez błogosławieństwa pozdychacie! A nie mogliście choć tamtych pobitych obmacać?

– Balim się! – odpowiedzieli Kosma i Damian.

Jeden Soroka był zadowolony i cłapał wesoło tuż za swym pułkownikiem.

„Już nas zły urok minął – myślał – skorośmy tamtych pobili. Ciekaw jestem, kogo teraz będziemy bili?”

I było mu to wszystko jedno, również jak i to, gdzie jechał.

Do Kmicica nikt nie śmiał przystąpić ani pytać go o cokolwiek, bo młody pułkownik jechał chmurny jak noc. I gryzł się strasznie, że tych ludzi musiał pobić, obok których rad by w szeregu jak najprędzej stać. Lecz gdyby nawet poddał się i pozwolił odprowadzić do pana Wołodyjowskiego, co by pomyślał pan Wołodyjowski, gdyby się dowiedział, że schwytano go przebiegającego się pod zmienioną postacią ku Szwedom i z glejtami do szwedzkich komendantów.

„Stare grzechy mnie ścigają i prześladują... – mówił sobie Kmicic. – Ucieknę jak najdalej, a Ty, Boże, mnie prowadź...”

I począł się modlić żarliwie i opędzać sumieniu, które powtarzało mu:

„Znów trupy za tobą, i nieszwedzkie...”

„Boże, bądź miłościw!... – odpowiadał Kmicic – jadę do pana mego, tam mi się służba rozpocznie...”

## ROZDZIAŁ V

Rzędzian nie miał zamiaru zostawać na noc w „Pokrzyku”, bo z Wąsoszy do Szczuczyna było niedaleko – pragnął więc tylko dać wytchnienie koniom, zwłaszcza tym, które wozy ładowne ciągnęły. Gdy więc Kmicic pozwolił mu jechać dalej, nie tracił Rzędzian czasu i w godzinę później wjeżdżał już do Szczuczyna późną nocą i opowiedziawszy się strażom, roztasował się w rynku, bo domy były przez żołnierzy pozajmowane, którzy i tak nie wszyscy mogli się pomieścić. Ów Szczuczyn uchodził za miasto, ale nim nie był rzeczywiście, nie miał albowiem jeszcze ani wałów, ani ratusza, ani sądów, ani kolegium pijarskiego, które dopiero za czasów króla Jana III powstało, a domów szczupło i więcej chałup niż domów, które dlatego tylko miastem się zwały, że w kwadrat były pobudowane tworząc rynek, niewiele zresztą mniej błotnisty od stawu, nad którym mieścina leżała.

Przespawszy się pod ciepłą wilczurą, doczekał Rzędzian ranka i zaraz udał się do pana Wołodyjowskiego, który nie widziawszy go od wieków, przyjął radośnie i zaraz poprowadził do kwatery panów Skrzetuskich i pana Zagłoby. Rozplakał się aż Rzędzian na widok dawnego pana, któremu tyle lat służąc wiernie, tyle przygód razem z nim przeżył i fortuny się w końcu dorobił. Nie wstydząc się więc dawnej służby począł po rękach pana Jana całować i powtarzać z rozrzewnieniem:

– Mój jegomość... mój jegomość... W jakich to czasach my się znów spotykamy!...

Jęli tedy razem wszyscy na czasy narzekać – wreszcie pan Zagłoba rzekł:

– Ale ty, Rzędzian, zawsze u fortuny za pazuchą siedzisz i jako widzę, na pana wyszedłeś. Pamiętasz, azalim ci nie prorokowałem, że jeżeli cię nie powieszają, to będzie z ciebie pociecha!... Cóż się teraz z tobą dzieje?

– Mój jegomość, za co mnie mieli wieszać, kiedy ja ani przeciw Bogu, ani przeciw prawu nic nie uczyniłem. Służyłem wiernie, a jeżeli kogo zdradziłem, to chyba nieprzyjaciół, co sobie jeszcze za zasługę poczytuję. A żem tu i ówdzie jakiego hultaja fortelem startłem, jako to z rebelizantów albo onę czarownicę – pamięta jegomość? – to też nie grzech, a choćby był grzech, to jegomościna, nie mój, bom ja się właśnie od jegomości fortelów wyuczyłem.

– O, nie może być!... Patrzajcie go! – rzekł pan Zagłoba. – Jeżeli chcesz, bym ja za twoje grzechy po śmierci wyłem, to mi za życia *fructa* ich oddaj. Samże używasz onych wszystkich bogactw, któreś między Kozakami zebrał, i samegoć za to w piekło na skwarki przetopią!

– Bóg łaskaw, mój jegomość, chociaż to jest nieprawda, żebym sam używał, bo ja naprzód złych sąsiadów ze szczerem sprocessowałem i rodzicieli opatrzyłem, którzy teraz spokojnie w Rzędzianach siedzą, żadnej dyferencji już nie mając, bo Jaworscy z torbami poszli, a ja się opodał dorabiam, jak mogę.

– To nie mieszkasz już w Rzędzianach? – pytał pan Jan Skrzetuski.

– W Rzędzianach rodziciele po dawnemu żywią, a ja mieszkam w Wąsoszy i nie mogę się skarżyć, bo Bóg mi błogosławił. Ale jakim usłyszałem, że waszmościowie w Szczuczynie jesteście, jużem nie mógł dosiedzieć, bom sobie pomyślał: widać czas się znowu ruszyć! Ma być wojna, to niech będzie!

– Przyznajże się – rzekł Zagłoba – że cię Szwedzi z Wąsoszy wystraszyli...

– Szwedów jeszcze w ziemi widzkiej nie masz, chyba podjazdki małe zachodzą, i to ostrożnie, bo chłopstwo na nich okrutnie zawzięte.

– To mi dobrą nowinę przynosisz – rzekł Wołodyjowski – gdyż ja wczoraj umyślnie podjazd wysłałem, aby języka o Szwedach zasięgnąć, bom nie wiedział, czy można bezpiecznie w Szczuczynie popasać. Pewnie cię ten podjazd tu przyprowadził?

– Ten podjazd? Mnie? To ja jego przyprowadził, a raczej przywiózł, bo tam i jednego człowieka między tymi ludźmi nie masz, który by o własnej mocy na koniu mógł usiedzieć!

– Jakże to?... Co zaś prawisz?... Cóż się stało? – pytał Wołodyjowski.

– Bo ich okrutnie pobito – objaśnił Rzędzian.

– Kto ich pobił?

– Pan Kmicic.

Panowie Skrzetuscy i Zagłoba aż porwali się z ław, pytając jeden przez drugiego:

– Pan Kmicic? A co by on tu robił?... Czyliby sam księżę hetman już tu przyciągnął? Nuże! Powiadaj wraź, co się stało?

Lecz pan Wołodyjowski wypadł tymczasem z izby, chcąc widać naocznie sprawdzić rozmiary klęski i ludzi obejrzeć; więc Rzędzian rzekł:

– A po co mam opowiadać, lepiej poczekać, aż pan Wołodyjowski wróci, bo to najwięcej jego sprawa, a szkoda gęby dwa razy jedno powtarzać.

– Widziałeś Kmicica na własne oczy? – pytał pan Zagłoba.

– Jako jegomości widzę.

– I gadałeś z nim?

– Jakżem nie miał gadać, kiedy my się w „Pokrzyku”, niedaleko stąd, zjechali, ja koniom wypoczywałem, a on na nocleg stał. Mało godzinę gadaliśmy, bo nie było co innego robić. Ja narzekałem na Szwedów, a on też narzekał...

– Na Szwedów? On także narzekał? – pytał Skrzetuski.

– Jak na diabłów, choć między nich jechał.

– Siła było wojska z nim?

– Żadnego z nim wojska nie było, ino czeladzi kilku, prawda, że zbrojnych i z takimi mordami, że już chyba i ci, którzy świętych młodzianków za Herodowym ordynansem wycinali, sroższych i szpetniejszych nie mieli. Powiadał mi się chodaczkowym szlachcicem i mówił, że z końmi na jarmarki jedzie. Ale choć koni mieli kilkanaście w tabunku, przecie mi się to nie wydało, bo to i osoba inna, i fantazja nie taka jak u koniuchów, i pierścień zacny na ręku widziałem... Ten właśnie.

Tu błysnął Rzędzian przed oczy słuchaczom kosztownym kamieniem, a pan Zagłoba uderzył się po pole i zakrzyknął:

– Już go od niego wycygań! Po tym jednym poznałbym cię, Rzędzian, na końcu świata!

– Z przeproszeniem jegomości, nie cygańłem, bom też szlachcic do równości się z każdym poczuwający, nie Cygan, chociaż dzierzawami chodzę, póki Bóg nie da osiąść na swoim. A ten pierścień dał mi pan Kmicic na znak, że to, co mówił, to prawda, a ja zaraz waszmościom słowa jego wiernie powtórzę, bo widzi mi się, że tu o skóry nasze chodzi.

– Jak to? – pytał Zagłoba.

Wtem wszedł pan Wołodyjowski, cały wzburzony i od gniewu blady, czapką o stół rzucił i zawołał:

– To przechodzi imaginację! Trzech ludzi zabitych, Józwa Butrym usieczony, ledwie tchnie!

– Józwa Butrym?... Toż to człowiek niedźwiedziej siły! – rzekł zdumiony Zagłoba.

– Jego w moich oczach sam pan Kmicic rozciągnął – wtrącił Rzędzian.

– A dość mi tego pana Kmicica! – mówił w uniesieniu Wołodyjowski – gdzie się tylko ten człowiek pokaże, trupy za sobą jak mór zostawuje. Dość tego! Kwit za kwit, gardło za gardło... Ale teraz nowy rachunek... Ludzi mi napsuł, dobrych pachółków napadł... To mu się do pierwszego widzenia zakarbuje...

– Jużci, co prawda to nie on ich napadł, tylko oni jego, bo on w najciemniejszy kąt się zaszył, aby go nie poznali – rzekł Rzędzian.

– A ty, zamiast coś miał moim pomagać, to jeszcze za nim świadczysz! – rzekł z gniewem pan Wołodyjowski.

– Ja po sprawiedliwości... A co do pomocy, chcieli moi pomagać, jeno niezręcznie im było, bo w tłumie nie wiedzieli, kogo bić, kogo oszczędzić, i samym się przez to dostało. Żem z duszą i łubami uszedł, to jeno przez pana Kmicica wyrozumiałość, bo posłuchajcie, waszmościowie, jak co się przytrafiło.



Tu Rzędzian począł opisywać szczegółowo bitkę w „Pokrzyku”, niczego nie opuścił, a gdy wreszcie powiedział i to, co mu Kmicic powiedzieć rozkazał, zdumieli się okrutnie towarzysze.

– Onże sam to mówił? – pytał Zagłoba.

– Sam – odrzekł Rzędzian. – „Ja (powiada) panu Wołodyjowskiemu ani konfederatom nie wróg, choć inaczej myślą. Później to się pokaże, a tymczasem niech się kupy, na miły Bóg, trzymają, bo ich wojewoda wileński jako raki ze saka wybierze.”

– I powiedział, że wojewoda już w pochodzie? – pytał Jan Skrzetuski.

– Mówił jeno, że tylko na posiłki szwedzkie czeka i że zaraz na Podlasie ruszy.

– Co waćpanowie o tym wszystkim myślicie? – pytał Wołodyjowski spoglądając na towarzyszków.

– Zadziwiająca rzecz! – odpowiedział Zagłoba. – Albo ten człowiek Radziwiłła zdradza, albo nam jakąś zasadzkę gotuje. Ale jaką? Radzi się kupy trzymać, co może za szkoda stąd dla nas wyniknąć?

– Że głodem zniszczę – odrzekł Wołodyjowski. – Właśnie mam wiadomość, że i Żeromski, i Kotowski, i Lipnicki mają rozdzielić chorągwie po kilkadziesiąt koni i po całym województwie rozłożyć, bo w kupie nie mogą się wyżywić.

– A jeśli Radziwiłł istotnie nadejdzie? – pytał Stanisław Skrzetuski – to kto mu się wówczas oprze?

Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, bo rzeczywiście było jasnym jak słońce, że gdyby hetman wielki litewski nadciągnął i zastał siły konfederackie rozproszone, tedyby poznosił je z największą łatwością.

– Zadziwiająca rzecz! – powtórzył Zagłoba.

I po chwili milczenia mówił dalej:

– Wszelako Kmicic okazał już, że nam szczerze życzliwy. Pomyślałbym, że może Radziwiłła porzucił... Ale w takim razie nie przemykałby się w przebraniu, i to dokąd? – do Szwedów?

Tu zwrócił się do Rzędziana:

– Wszakże ci mówił, że na Warszawę jedzie?

– Tak jest! – rzekł Rzędzian.

– No, to tam już moc szwedzka.

– Ba! Już o tej godzinie musiał Szwedów napotkać, jeżeli całą noc jechał – odpowiedział Rzędzian.

– Widzieliście kiedy takiego człowieka? – pytał Zagłoba poglądając na towarzyszków.

– Że w nim jest zło z dobrym pomieszane jak plewy z ziarnem, to pewna – rzekł Jan Skrzetuski – ale żeby w tej radzie, jaką nam teraz daje, była jakowa zdrada, temu wprost neguję. Nie wiem, dokąd jedzie, dlaczego się w prze-braniu przemyka, i próżno bym głowę nad tym łamał, bo to jakowaś tajemnica... Ale radzi dobrze, ostrzega szczerze, na to przysięgnę, jak również i na to, że jedyny to dla nas ratunek tej rady usłuchać. Kto wie, czy mu znów zdrowia i życia nie zawdzięczamy.

– Dla Boga! – zakrzyknął pan Wołodyjowski – jakże Radziwiłł ma tu przyjść, kiedy mu na drodze stoją Zoltareńkowi i piechota Chowańskiego. Co innego my! Jedną chorągiew się prześliznie, a i to w Pilwiskach musieliśmy sobie szablami drogę otwierać. Co innego Kmicic, który w kilku ludzi się przemykał, ale księżę hetman jak przejdzie z całym wojskiem? Chyba tamtych wprzód zniesie...

Jeszcze nie skończył mówić pan Wołodyjowski, gdy drzwi się otworzyły i wszedł pacholek służbowy.

– Posłaniec z listem do pana pułkownika – rzekł.

– Dawaj go sam! – odrzekł Wołodyjowski.

Pacholek wyszedł i po chwili wrócił z listem. Pan Michał prędko złamał pieczęć i począł czytać:

„Czegom wczoraj nie dopowiedział dzierżawcy z Wąsoszy, to dziś dopisuję. Hetman i sam wojska ma na was dosyć, ale umyślnie na posiłki szwedzkie czeka, aby pod powagą króla szwedzkiego na was iść. Bo gdyby go Septentrionowie wówczas zaczepili, tedyby musieli i na Szwedów uderzyć, a to by znaczyło wojnę z królem szwedzkim. Czego oni nie będą śmieli uczynić nie mając rozkazów, bo się Szweda boją i odpowiedzialności za rozpoczęcie wojny na się nie wezmą. Poznali się już na tym, że Radziwiłł wszędy umyślnie Szwedów im chce nadstawiać; niechby choć jednego ustrzelili albo usiekli, zaraz by wojna była. Sami teraz Septentrionowie nie wiedzą, co czynić, gdy Litwa Szwedom poddana; stoją więc w miejscu, czekając jeno, co będzie, i dalej nie wojując. Dla tych przyczyn i Radziwiłł nie powstrzymają ani mu wstrętu nie uczynią, który prosto na was pójdzie i będzie po kolei znosił, jeżeli się w kupę nie zbierzecie. Na Boga! uczynicie to i pilno wojewodę witebskiego do się zapraszajcie, bo i jemu teraz do was przez Septentrionów łatwiej, dopóki jako ogłupieli stoją. Chciałem was przestrzec pod innym nazwiskiem, byście łatwiej uwierzyli, ale że się już wydało, od kogo wiadomość, tedy swoje podpisuję. Zguba, jeśli nie uwierzycie, bo i ja już nie ten, co byłem, a da Bóg całkiem inaczej jeszcze o mnie usłyszycie. – K m i c i c.”

– Chciałeś wiedzieć, jak Radziwiłł przyjdzie do nas, ot, masz odpowiedź! – rzekł Jan Skrzetuski.

– Prawda jest... Dobre racje daje! – odpowiedział Wołodyjowski.

– Co to, dobre? święte racje! – zawołał Zagłoba. – Tu nie może być wątpliwości. Jam się pierwszy na tym człowieku poznał i choć nie ma przekleństwa, którego by nad jego głową nie miotano, ja wam powiadam, że jeszcze go będziem błogosławić. U mnie dość na człeka spojrzeć, żeby wiedzieć, co wart. A pamiętacie, jako mi do serca przypadł w Kiejdanach? Sam on też nas kocha, jako ludzi rycerskich, a gdy moje nazwisko pierwszy raz usłyszał, to mnie mało nie udusił z admiracji i przeze mnie wszystkich was ocalił.

– Jegomości to się nic nie zmienił – zauważył Rzędzian – czegoż by to pan Kmicic miał więcej jegomości od mego pana albo od pana Wołodyjowskiego admirować?

– Głupiś! – odpowiedział Zagłoba. – Na tobie od razu się poznał, i jeżeli cię zowie dzierżawcą, nie kpmem z Wąsoszy, to jeno przez politykę!

– To może i jegomości przez politykę admirował? – odparł Rzędzian.

– Obacz, jak chleb bodzie; ożeń się, panie dzierżawco, a będziesz jeszcze lepiej bódł... Ja w tym !

– Wszystko to dobre – rzekł Wołodyjowski – ale jeśli on tak szczerze nam życzy, to czemu sam do nas nie przyjechał zamiast się jako wilk koło nas przemykać i ludzi nam kąsać?

– Nie twoja głowa, panie Michale – odpowiedział Zagłoba. – Co my uradzimy, to ty rób, a źle na tym nie wyjdiesz. Żeby twój dowcip wart był twojej szabli, to byś już hetmanem wielkim na miejscu pana Rewery Potockiego był. A po co Kmicic miał tu przyjeżdżać?... Czy nie po to, żebyś mu tak samo nie wierzył, jak pismu jego nie wierzysz, z czego by zaraz i do wielkiej kłótni dojść mogło, bo to zadzierzysty kawaler? A dajmy, żebyś ty uwierzył, to co by rzekli inni pułkownicy, jako Kotowski, Żeromski albo Lipnicki?... Co by rzekli twoi ludzie laudańscy? czyby go nie usiekli, gdybyś tylko głowę odwrócił?

– Ojciec ma rację – rzekł Jan Skrzetuski – on tu nie mógł przyjechać.

– To czego do Szwedów jedzie? – powtórzył uparty pan Michał.

– Diabeł go wie, czy do Szwedów, diabeł wie, co w tę szaloną pałkę mogło strzelić! Nic nam do tego, my oto z ostrzeżenia korzystajmy, jeżeli głowy chcemy unieść.

– Tu nie ma się co i namyślać – rzekł Stanisław Skrzetuski.

– Trzeba co prędzej zawiadomić Kotowskiego, Żeromskiego, Lipnickiego i tego drugiego Kmicica – mówił Jan Skrzetuski. – Wyślij do nich, Michale, co prędzej wieści, ale nie pisz im, kto ostrzega, bo z pewnością by nie uwierzyli.

– My jedni będziemy wiedzieli, czyja zasługa, i w swoim czasie nie omieszkamy jej promulgować! – zakrzyknął Zagłoba. – Dalej, żywo, Michale!

– A sami pod Białystok ruszymy, wszystkim tam zbór naznaczywszy. Dałby Bóg wojewodę witebskiego jak najprędzej! – rzekł Jan.

– Z Białegostoku trzeba będzie do niego deputatów od wojska wysłać. Da Bóg, staniemy do oczu panu hetmanowi litewskiemu – mówił Zagłoba – w równej albo i lepszej sile. Nam się na niego nie porywać, ale pan wojewoda witebski to co innego. A zacnyż to pan! a cnotliwy! nie masz takiego drugiego w Rzeczypospolitej!

– Jegomość znasz pana Sapiechę? – pytał Stanisław Skrzetuski.

– Czy znam? Znałem go pachołkiem, nie większym od mojej szabli. Ale już był jako anioł.

– Toż on teraz nie tylko majątności, nie tylko srebra i klejnoty, ale ponoś i skuwki na rzędziakach na pieniądze przetopił, byle jak najwięcej wojska przeciw nieprzyjaciołom ojczyzny zaciągnąć – rzekł pan Wołodyjowski.

– Dzięki Bogu, że choć taki jeden jest – odrzekł Stanisław – bo pamiętacie, jakeśmy to i Radziwiłłowi ufali?

– Bluźniesz waś! – krzyknął Zagłoba. – Wojewoda witebski! ba! ba! Niech żyje wojewoda witebski!... A ty, Michale, do ekspedycji! żywo do ekspedycji! Niechże tu piskorze w tym błocie szczuczyńskim zostają, a my pójdziemy do Białegostoku, gdzie może i innych ryb dostaniemy... Chały też tam bardzo przednie Żydzi na szabas wypiekają. No! przynajmniej wojna się rozpocznie. Bo mi już tęskno... A kiedy Radziwiłłem przetrącam, to się i do Szwedów weźmiem. Pokazaliśmy im już, co umiemy!... Do ekspedycji, Michale, bo *periculum in mora*.

– A ja pójde podnieść na nogi chorągiew! – rzekł pan Jan.

I w godzinę później kilkunastu posłańców wylatywało, co koń wyskoczy, ku Podlasiowi, a za nimi wkrótce ruszyła cała chorągiew laudańska. Starszyzna jechała na przedzie, naradzając się i dyskutując, a żołnierzy prowadził pan Roch Kowalski, namiestnik. Szli na Osowiec i Goniądz, prostując sobie drogę ku Białemustokowi, gdzie się innych konfederackich chorągwi spodziewali.

## ROZDZIAŁ VI

Listy pana Wołodyjowskiego donoszące o pochodzie Radziwiłła znalazły posłuch u wszystkich pułkowników rozproszonych po całym województwie podlaskim. Niektórzy już byli porozdzielali chorągwie na mniejsze oddziały, aby tym łatwiej przeczimować, inni pozwolili rozjechać się towarzystwu po domach prywatnych, tak że pod znakami zaledwie po kilkunastu towarzyszy i po kilkudziesięciu pocztowych zostało. Pułkownicy pozwolili na to po części z obawy przed głodem, a po części dla trudności utrzymania w należytej dyscyplinie chorągwi, które raz wypowiedziawszy właściwej władzy posłuszeństwo, skłonne teraz były do opozycji i względem swych przywódców z lada powodu. Gdyby był znalazł się dowódca należytej powagi i od razu poprowadził je do boju przeciw któremukolwiek z dwóch nieprzyjaciół albo nawet przeciw Radziwiłłowi, karność pozostałaby zapewne niewzruszoną; ale zepsuła się w próżnowaniu na Podlasiu, gdzie czas schodził na ostrzeliwaniu jeno radziwiłłowskich zameczków, na rabunku dóbr księcia wojewody i na paktowaniu z księciem Bogusławem. W tych warunkach żołnierz przyuczał się tylko do swawoli i uciskania spokojnych mieszkańców województwa. Niektórzy żołnierze, zwłaszcza pocztowi i czeladź, zbiegłszy spod chorągwi, potworzyli kupy swawolne i trudnili się rozbojem na gościńcach. I tak owe wojsko, które nie połączywszy się z żadnym nieprzyjacielem było jedyną nadzieją króla i patriotów, marniało z dniem każdym. Podział chorągwi na drobne oddziały dopełnił rozprzeżenia. Prawda, że w kupie trudno było się wyżywić, ale jednak może i umyślnie przesadzano obawy głodu, bo przecie była to jesień, a zbiory udały się szczęśliwie – zwłaszcza że żaden nieprzyjaciel nie zniszczył poprzednio ogniem i mieczem województwa. Zniszczyły je poniekąd właśnie rabunki konfederackich żołnierzy, tak jak samych żołnierzy zniszczyła beczynność.

Albowiem rzeczy tak się złożyły dziwnie, iż nieprzyjaciel zostawił w spokoju te chorągwie. Szwedzi zalewając kraj od zachodu i ciągnąc na południe nie doszli jeszcze do tego kąta, jaki między województwem mazowieckim a Litwą tworzyło Podlasie – z drugiej zaś strony zastępy Chowańskiego, Trubeckiego i Srebrnego stały w pozajmowanych przez się okolicach beczynnie, wahając się, a raczej same nie wiedząc, co począć. Na Rusi Buturlin z Chmielnickim rozpuszczali po dawnemu zagony i właśnie w tych czasach porazili pod Gródkiem garść wojska, której przywodził hetman wielki koronny, pan Potocki. Ale Litwa była pod protektoratem szwedzkim. Pustoszyć i zajmować ją dalej znaczyło to samo, jak słusznie zauważył w liście swym Kmicic, co wypowiadać wojnę straszliwym i wzbudzającym powszechną w świecie trwożę Szwedom. „Była tedy chwila folgi od Septentrionów” – i niektórzy doświadczeni ludzie przepowiadali nawet, że wkrótce zwrócą się oni, jako sprzymierzeńcy Jana Kazimierza i Rzeczypospolitej, przeciw królowi szwedzkiemu, którego potęga, gdyby panem całej Rzeczypospolitej został, nie miałaby równej w Europie.

Nie zaczepiał tedy Chowański ni Podlasia, ni skonfederowanych chorągwi, a one wzajem, pozbawione wodza, rozproszone, nie zaczepiały i nie były w sile zaczepić kogokolwiek lub przedsięwziąć coś ważniejszego nad rabunek dóbr radziwiłłowskich. Natomiast marniały. Jednakże listy pana Wołodyjowskiego o grożącym pochodzie Radziwiłła rozbudziły pułkowników z uspienia i beczynności. Poczęto ogarniać chorągwie, rozpisywać awizy wzywające rozproszonych żołnierzy pod znaki i grożące karami tym, którzy by się nie stawili. Pierwszy Żeromski, najpoważniejszy między pułkownikami i którego chorągiew w najlepszym była stanie, ruszył nie omieszkując pod Białystok; za nim przybył w tygodniu Jakub Kmicic, prawda, że tylko w sto dwadzieścia ludzi – po czym zaczęli się ściągać żołnierze Kotowskiego i Lipnickiego, to pojedynczo, to gromadkami; szła także na ochotnika i drobna szlachta z okolicznych zaścianków, jako Zięcinkowie, Świderscy, Jaworscy, Rzędzianowie, Mazowieccy; przybywali wolentariusze nawet z województwa lubelskiego, jako Karwowscy i Turowie; od czasu do czasu przybywał i zamożniejszy szlachcic z jakim takim poczem sług dobrze zbrojnych. Wysłano deputatów od

chorągwi do egzakcyj, którzy pieniądze i żywność za kwitami mieli wybierać – słowem, ruch zapanował wszędy, zawrzały przygotowania wojenne i gdy pan Wołodyjowski ze swą laudańską chorągwią nadciągnął, stało już kilka tysięcy ludzi pod bronią, którym tylko przywódcy brakowało.

Wszystko to było i dość bezładne, i dość niesforne, ale ani tak bezładne, ani tak niesforne, jak owa szlachta wielkopolska, która przed kilku miesiącami miała pod Ujściem Szwedom przeprowodzić broń; albowiem owi Podlasianie, Lublinianie i Litwa byli to ludzie z wojną obyci, i nie było nawet między tymi ochotnikami ani jednego, prócz wyrostków, który by prochu nie wachał i z „tabakiery Gradywa nie zażywał”. Każdy w swoim życiu czynił to przeciw Kozakom, to przeciw Turkom, to przeciw Tatarom; byli tacy, którzy jeszcze szwedzkie wojny pamiętali. Nad wszystkim zaś górował doświadczeniem wojennym i wymową pan Zagłoba i rad się znalazł w tym zbiegowisku żołnierskim, w którym o suchym gardle nie radzono.

Gasił więc powagą najpoważniejszych pułkowników. Laudańscy ludzie opowiadali, że gdyby nie on, tedyby Wołodyjowski, Skrzetuscy, Mirski i Oskierko zginęli z rąk radziwiłłowskich, bo już ich na stracenie do Birż wieziono. On sam zasług swych nie ukrywał i sprawiedliwość sobie zupełną oddawał, aby wszyscy wiedzieli, kogo mają przed sobą.

– Nie lubię się chwalić – mówił – ani gadać o tym, czego nie było, bo u mnie prawda grunt, co może i mój siostrzan poświadczyć.

Tu zwracał się do pana Rocha Kowalskiego, który występował wówczas zza pleców pana Zagłoby i mówił dobitnym, stentorowym głosem:

– Wuj... nie... łże!...

I sapiąc toczył oczyma po obecnych, jakby szukając zuchwalca, który by mu śmiało zaprzeczył.

Ale nikt nigdy nie przeczył, więc pan Zagłoba począł opowiadać o swych dawnych przewagach: jako jeszcze za życia pana Koniecpolskiego przyczynił się dwukrotnie do zwycięstwa nad Gustawem Adolfem, jak potem Chmielnickiego splantował, co pod Zbarażem dokazywał, jako księżę Jeremi na jego radach we wszystkim polegał i jako mu prowadzenie wycieczek powierzał...

– A po każdej wycieczce – mówił – gdyśmy na pięć albo na dziesięć tysięcy hultajstwa napuli, to Chmielnicki aż łbem z desperacji w ścianę trykał i powtarzał: „Nikt inny tego nie uczynił, tylko ten diabeł Zagłoba!”, a kiedy już do paktów zborowskich przyszło, to chan sam jako dziwo mnie oglądał i o konterfekt upraszał, bo chciał go sułtanowi w prezencie posłać.

– Takich nam dziś trzeba więcej niż kiedy! – powtarzali słuchacze.

A gdy wielu i bez tego o nadzwyczajnych czynach pana Zagłoby słyszało, o których wieści po całej Rzeczypospolitej chodziły, gdy i świeże wypadki w Kiejdanach, jako to: uwolnienie pułkowników i bitwa klewańska ze Szwedami, potwierdzały dawną opinię męża, sława jego rosła coraz bardziej, i chodził w niej pan Zagłoba jak w słońcu, wszystkim na oczach, nad innymi promienisty i jasny.

– Gdyby takich tysiąc było w Rzeczypospolitej, nie przyszłoby do tego, co się zdarzyło! – powtarzano w obozie.

– Dziękujmy Bogu, że choć jednego mamy między sobą!

– Onże pierwszy Radziwiłła zdrajcą zakrzyknął.

– I zacnych ludzi z jego rąk wyrwał, i po drodze Szwedów pod Klewanami tak poraził, że i świadek klęski nie uszedł.

– Pierwsze zwycięstwo on odniósł!

– Da Bóg i nieostatnie!

Pułkownicy, jako Żeromski, Kotowski, Jakub Kmicic i Lipnicki patrzyli także na Zagłobę z wielkim szacunkiem. Wydzierano go sobie z rąk do rąk i zasięgano jego rady we wszystkim, podziwiając roztropność, prawie męstwu wyrównyującą.

A właśnie radzono teraz nad ważną sprawą. Wysłano wprawdzie deputatów do wojewody witebskiego, by przyjeżdżał objąć dowództwo, ale ponieważ nikt dobrze nie wiedział, gdzie w tej chwili pan wojewoda się znajduje, deputaci więc pojechali i jakby w wodę wpadli. Były wieści, że ich Zołtareńkowe podjazdy ogarnęły, które zapuszczały się pod Wołkowysk rabując na własną rękę.

Postanowili tedy pułkownicy pod Białymstokiem obrać tymczasowo regimentarza, który by aż do przyjazdu pana Sapiehy rząd nad wszystkimi sprawował. Nie potrzeba mówić, że z wyjątkiem pana Wołodyjowskiego, każdy pułkownik o sobie myślał.

Rozpoczęły się zabiegi i kaptowania. Wojsko oświadczyło, że chce mieć udział w wyborach, i to nie przez deputatów, ale w kole generalnym, które wnet w tym celu złożono.

Wołodyjowski, po naradzie ze swymi towarzyszami, polecał mocno pana Żeromskiego, który był człowiek cnotliwy, poważny, a przy tym imponował wojsku samą urodą i senatorską brodą w pas. Żołnierz przy tym był biegły i doświadczony. Sam przez wdzięczność polecał pana Wołodyjowskiego, ale Kotowski, Lipnicki i Jakub Kmicic opierali się temu twierdząc, że nie można najmłodszego wiekiem wybierać, bo regimentarz musi i przed obywatelstwem największą reprezentować powagę.

– A któż tu najstarszy? – zapytały liczne głosy.

– Wuj najstarszy! – zakrzyknął nagle pan Roch Kowalski tak gromkim głosem, że aż wszyscy zwrócili głowy w jego stronę.

– Szkoda tylko, że chorągwi nie ma – rzekł Jachowicz, namiestnik Żeromskiego.

Lecz inni poczęli wołać:

– To i co z tego?! Czy to nam niewola pułkownika koniecznie obierać?... Zali to nie w mocy naszej? Zali nie in *liberis suffragiis*? Toż królem wolno każdego szlachcica obrać, nie dopiero regimentarzem...

Wtem pan Lipnicki, jako niechętny był dla Żeromskiego i nie chciał, wszelkimi sposobami, jego wyboru dopuścić, zabrał głos:

– Jako żywo! wolno waszmościom głosować, jak się podoba! A nie obierzecie pułkownika, to się i lepiej stanie, bo nie będzie nikomu krzywdy ani inwidi.

Wtedy powstał hałas straszliwy. Liczne głosy wołały: „Do wotów! do wotów!” – inni zaś: „Kto tu od pana Zagłoby sławniejszy? Kto większy rycerz? Kto żołnierz doświadczeńszy? Pana Zagłobę prosimy... Niech żyje pan Zagłoba! Niech żyje regimentarz!”

– Niech żyje! niech żyje! – wrzeszczało coraz więcej gardzieli.

– Na szable opornych!... – krzyczeli znowu burzliwsi.

– Nie ma opornych!... *unanimitate!* – odpowiadały tłumy.

– Niech żyje! On Gustawa Adolfa poraził! On Chmielnickiemu sadła za skórę nalał!

– I pułkowników samych ratował!

– I Szwedów pod Klewanami poraził!

– *Vivat! vivat! Zagłoba dux! Vivat! vivat!*

I tłumy poczęły podrzucać czapki, biegać po obozie i szukać pana Zagłoby.

On zaś zdumiał się i zmieształ w pierwszej chwili, bo o godność nie zabiegał, chciał jej dla Skrzetuskiego i takiego obrotu rzeczy się nie spodziewał.

Toteż gdy kilkutyśięczny tłum począł wykrzykiwać jego nazwisko, tchu mu zabrakło i zaczerwienił się jak burak.

Wtem opadli go towarzysze; ale w uniesieniu wszystko tłumaczyli sobie na dobre, bo widząc jego zmieszanie poczęli wołać:

– Patrzcie! jako panna się zapłonił! Modestia męstwu w nim równa! Niech żyje i niech nas do wiktorii prowadzi!

Tymczasem nadeszli i pułkownicy, radzi nieradzi, winszując godności, a niektórzy może i radzi byli, że współzawodników minęła. Pan Wołodyjowski tylko wąsikami coś ruszał, nie mniej od pana Zagłoby zdumiony, a Rzędzian otworzywszy oczy i usta patrzył z niedowierzaniem, ale

już i z szacunkiem na pana Zagłobę, który z wolna do siebie przychodził, a po chwili wziął się w boki i głowę do góry zadarł przyjmując z odpowiednią godności powagą życzenia.

Winszował pierwszy Żeromski od pułkowników, a potem od wojska przemówił bardzo wymownie towarzysz z chorągwi Kotowskiego, pan Żymirski, cytując maksymy różnych mędrców.

Zagłoba słuchał, głową kiwał; wreszcie, gdy mówca skończył, pan regimentarz przemówił w następujące słowa:

– Mości panowie! Choćby kto w niezbrodzonym chciał prawdziwą utopić zasługę oceanie albo niebotycznymi przysypać ją Karpatami, przecie ona, jakoby oleju przyrodzenie mając, na wierzch wypłynie, spod ziemi się wydobędzie, ażeby do oczu ludzkich powiedzieć: „Jam jest, która się światła nie wzdragam, sądu nie lękam, nagrody czekam.” Ale że jako drogi kamień w złoto, tak cnota w modestię powinna być oprawiona, przeto pytam was, mości panowie, stojąc tu przed wami: Zalim się ze swymi zasługami nie krył? Zalim się przed wami chwalił? Zalim o tę godność, którąście mnie ozdobili, tentował? Wyście to sami zasług mych dopatrzyli, bom ja i teraz jeszcze je negować gotów i powiedzieć wam: są tu lepsi ode mnie, jako pan Żeromski, pan Kotowski, pan Lipnicki, pan Kmicic, pan Oskierko, pan Skrzetuski, pan Wołodyjowski, tak wielcy kawalerowie, jakimi sama starożytność chlubić by się mogła... Przecz mnie, a nie którego z nich, obraliście wodzem? Jeszcze czas... Zdejmcie mi tę godność z barków, a zacniejszego w ten płaszcz przyozdóbcie!

– Nie może być! nie może być! – zaryczały setne i tysięczne głosy.

– Nie może być! – powtórzyli pułkownicy, uradowani z publicznej pochwały, a chcący razem przed wojskiem swoją skromność okazać.

– Widzę i ja, że nie może być inaczej! – odrzekł Zagłoba – niech się tedy wola waszmościów spełni. Dziękuję z serca, panowie bracia, i tak tuszę, że da Bóg, nie zawiedziecie się w tej ufności, którąście we mnie położyli. Jakowy przy mnie, tak i ja do gardła stać przy was przyrzekam, a czyli wiktoryę, czyli zgubę *fata* nam niezbadane przyniosą, sama śmierć nas nie rozłączy, bo i po śmierci sławą się dzielić będziemy!

Okrutne uniesienie zapanowało w zebraniu. Jedni do szabel się imali, drudzy łzy poczęli ronić; panu Zagłobie pot kroplami osiadł na łysinie, ale zapal w nim wzrastał.

– Przy królu naszym prawowitym, przy naszym elekcie i przy milej ojczyźnie stać będziem! – zakrzyknął – dla nich żyć! dla nich umierać! Mości panowie! jako ta ojczyzna ojczyzną, nigdy takowe klęski na nią nie spadły. Zdraycy otworzyli wrota i nie masz już piędzi ziemi, kromie tego województwa, w której by nie grasował nieprzyjaciel. W was ojczyzny nadzieja, a we mnie wasza, na was i na mnie cała Rzeczpospolita ma oczy obrócone! Ukażmyż jej, że nie próżno ręce wyciąga. Jak wy ode mnie męstwa i wiary, tak ja od was karności żądam i posłuszeństwa, a gdy będziemy zgodni, gdy przykładem naszym otworzymy oczy tym, których nieprzyjaciel uwiódł – tedy pół Rzeczypospolitej do nas się zleci! Kto ma Boga i wiarę w sercu, ten przy nas stanie, moce niebieskie nas wesprą, i któż nam wówczas sprosta?!

– Tak będzie! Dla Boga, tak będzie! Salomon mówi!... Bić! bić! – wołały grzmiące głosy.

A pan Zagłoba ręce ku północy wyciągnął i począł krzyczeć:

– Przychodź teraz, Radziwille! przychodź, panie hetmanie! panie heretyku! lucyperowy wojewodo! Czekamy cię nie w rozproszeniu, ale w kupie, nie w dyskordii, ale w zgodzie, nie z papierami, paktami, ale z mieczami w ręku! Czeką cię tu wojsko cnotliwe i ja, regimentarz. Dalej! wychodź! dawaj Zagłobie pole! Wezwij czartów na pomoc i próbujmy się!... Wychodź!

Tu zwrócił się znów do wojska i krzyczał dalej, aż się w całym obozie rozlegało:

– Dla Boga, mości panowie! Proroctwa mnie wspierają! Zgody jeno, a pobijemy tych szelmów, pludrów, pończoszników, rybojadów i innych wszarzy, brodafianów, kozuszników, co w lato saniami jeżdżą!... Damy im pieprzu, aż pięty pogubią umykając. Bijże tych psubratów, kto żyw! Bij, kto w Boga wierzy, komu cnota i ojczyzna miła!

Kilka tysięcy szabel zabłysło naraz. Tłumy otoczyły pana Zagłobę cisnąc się, depcąc, popychając i wrzeszcząc:

– Prowadź! Prowadź!

– Jutro poprowadzę! Gotować się! – krzyknął w zapale Zagłoba.

Wybór ów odbył się rano, a po południu odbywał się przegląd wojska. Stały więc chorągwie na choroszczańskich błoniach, jedna przy drugiej w wielkim porządku, z pułkownikami i chorążymi na czele, a przed pułkami jeździł regimentarz, pod buńczukiem, z pozłocistą buławą w rękę i czaplím piórem przy czapce. Rzekłbyś: hetman urodzony! I tak przeglądał kolejno chorągwie, jak pasterz przegląda trzodę, a żołnierzom aż serca przybywało na widok tej wspaniałej postaci. Każdy pułkownik wyjeżdżał kolejno ku niemu, a on z każdym pogadał, coś pochwalił, coś zganił, i nawet ci z przywódców, którzy z początku nieradzi byli z wyboru, musieli przyznać w duchu, że z nowego regimentarza żołnierz bardzo materii wojskowych świadom, dla którego przywództwo nie nowina.

Jeden tylko pan Wołodyjowski dziwnie jakoś wąsikami ruszał, gdy nowy regimentarz, poklepał go na przeglądzie wobec innych pułkowników po ramieniu i rzekł:

– Panie Michale, kontent jestem z ciebie, bo chorągiew tak porządna, jako żadna nie jest. Wytrwaj jeno tak dalej, a możesz być pewien, że cię nie zapomnę!

– Dalibóg – szepnął pan Wołodyjowski Skrzetuskiemu wracając z przeglądu – co by mi mógł innego prawdziwy hetman powiedzieć?

Tegoż samego dnia rozesał pan Zagłoba podjazdy w te strony, w które było trzeba, i w te, w które nie było potrzeby. Gdy wróciły nazajutrz rano, wysłuchał pilnie wszystkich doniesień, po czym udał się do kwatery pana Wołodyjowskiego, który mieszkał razem ze Skrzetuskimi.

– Przy wojsku muszę powagę zachowywać – rzekł łaskawie – ale gdyśmy sami, możemy w dawnej konfidencji zostawać... Tum przyjaciel, nie zwierzchnik! Waszą radą też nie pogardzę, choć własny rozum mam, gdyż wiem, żeście ludzie doświadczeni jak mało żołnierzy w całej Rzeczypospolitej.

Przywitali go więc po dawnemu i wprędce „konfidencja” zapanowała zupełna, jeden tylko Rzędzian nie śmiał być z nim jak dawniej i na samym brzeżku ławy siedział.

– Co ojciec myślisz robić? – zapytał Jan Skrzetuski.

– Przede wszystkim porządek i dyscyplinę utrzymać i żołnierzy zająć, żeby próżnowaniem nie sparcieli. Widziałem ja to dobrze, panie Michale, żeś jako sysun mamrotał, gdym te podjazdy na cztery strony świata wysyłał, ale ja musiałem to uczynić, by ludzi do służby wdrożyć, bo znacznie pole zalegli. To raz, a po wtóre: czego nam brak? Nie ludzi, bo znalazło i nalezie ich dosyć. Ta szlachta, która do Prus uciekła przed Szwedami z województwa mazowieckiego, także tu przyjdzie. Ludu i szabel nie zbraknie, jeno wiwendy nie dość, a bez zapasów żadne wojsko w świecie w polu nie wytrzyma. Owóz mam taką myśl, żeby podjazdom nakazać sprowadzać wszystko, co jeno im w ręce popadnie: bydło, owce, świnie, zboże, siano, i z tego województwa, i z ziemi widzkiej na Mazowszu, która także nie widziała dotąd nieprzyjaciela i wszystkiego ma obfitość.

– Ale to szlachta będzie wniebogłosy krzyzczyć – zauważył Skrzetuski – jeżeli się im plon i dobytek zabierze.

– Więcej mi znaczy wojsko niż szlachta. Niech krzyczą! Zresztą, darmo się nie będzie brać, bo każe kwity wydawać, których tyle już nagotowałem przez dzisiejszą noc, że pół Rzeczypospolitej wzięść by można za nie w rekwizycję. Pieniądzy nie mam, ale po wojnie i po wypędzeniu Szwedów Rzeczpospolita to zapłaci. Co mi tam gadacie! Szlachcie gorzej, gdy wojsko zgłodniałe zajeżdża i rabuje. Mam też myśl lasy splądrować, bo słyszę, że tam siła chłopstwa z dobytkiem pouciekało! Niechże to wojsko Duchowi Świętemu dziękuje, że je natchnął do obrania mnie regimentarzem, bo nikt by tu inny sobie tak nie poradził.

– U waszej wielmożności senatorska głowa, to pewno! – rzekł Rzędzian.

– Co? he? – rzekł Zagłoba, uradowany pochlebstwem – i ciebie, szelmo, w ciemną nie bito. Rychło patrzeć, jak namiestnikiem cię uczynię, niech się jeno *vacans* otworzy.

– Dziękuję pokornie waszej wielmożności... – odpowiedział Rzędzian.



– Ot, moja myśl! – mówił dalej Zagłoba. – Naprzód wiwendy tyle zgromadzić, jako byśmy mieli oblężenie wytrzymać, potem obóz warowny założymy, a wówczas niech przychodzi Radziwiłł ze Szwedami czy z diabłami. Szelmą jestem, jeżeli tu drugiego Zbaraża nie uczynię!

– Jak mi Bóg miły, tak to grzeczna myśl – zawołał Wołodyjowski – jeno skąd dział weźmiemy?

– Pan Kotowski ma dwie haubice, u Kmicica jedna wiwatówka, w Białymstoku są cztery oktawy, które do zamku tykocińskiego miały być wyprawione; bo waćpanowie nie wiecie, że Białystok na utrzymanie zamku tykocińskiego przez pana Wiesiołowskiego jest zapisany, i te armaty jeszcze zeszłego roku z czynszów zakupiono, o czym mi pan Stępalski, gubernator tutejszy, powiedział. Mówi też, że i prochów jest na sto strzałów do każdej. Damy sobie radę, mości panowie, jeno popierajcie mnie z duszy a i o ciele nie zapominajcie, które by rade napić się czego, bo i pora już po temu.

Wołodyjowski kazał przynieść pić i dalej gawędzili przy kielichach.

– Myśleliście, że będziecie mieć malowanego regimentarza – mówił Zagłoba siorbając z lekka miód wystawy. – *Nunquam!* Nie prosiłem ja o ten fawor, ale kiedyście mnie nim przyozdobili, to i posłuch, i porządek musi być. Wiem ja, co każda godność znaczy, i obaczycie, czy każdej nie dorosnę. Drugi Zbaraż tu urządzę, nic, jedno drugi Zbaraż! Zadławi się dobrze Radziwiłł, zadławią się i Szwedzi, nim mnie przelkną. Albo też chciałbym, by Chowański się o nas pokusił, pochował ja bym go tak, żeby go i na sąd ostateczny nie znaleźli. Niedaleko stoją, niech przyjdą! niech poprobują! Miodu, panie Michale!

Wołodyjowski nalał, pan Zagłoba duszkiem wypił, zmarszczył brwi i jakby sobie coś przypominając, rzekł:

– O czym to ja mówiłem? Czego to ja chciałem?... Aha! miodu, panie Michale!

Wołodyjowski nalał znowu.

– Powiadają – mówił Zagłoba – że i pan Sapieha lubi w dobrej kompanii pociągnąć. Nie dziw! każdy zacny człowiek to lubi. Zdrajcy tylko, którzy nieszczerze myśli dla ojczyzny żywią, boją się wina, żeby się z praktyk nie wygadać. Radziwiłł brzeziny sok pija, a po śmierci będzie smołę pijał. Tak mi Pan Bóg dopomóż! Zgaduję to snadnie, że się z panem Sapiehą pokochamy, bośmy do siebie podobni, jako jedno ucho końskie do drugiego albo jak para butów. I przy tym on jeden regimentarz, ja drugi, ale już taktu wszystkie sprawy urządzę, żeby jak on przyjedzie, wszystko było gotowe. Siła rzeczy na mojej głowie, ale cóż robić! Nie ma kto w ojczyźnie myśleć, to ty myśl, stary Zagłobo, póki ci pary w nozdrzach. Najgorsza sprawa, że kancelarii nie mam.

– A po co ojcu kancelaria? – pytał Skrzetuski.

– A po co król ma swego kanclerza? A po co przy wojsku musi być pisarz wojskowy? Trzeba będzie i tak posłać do jakiego miasta, żeby mi pieczęć zrobili.

– Pieczęć?... – powtórzył z zachwytem Rzędzian spoglądając z coraz większym uszanowaniem na pana Zagłobę.

– A co waćpan będziesz pieczętował? – pytał Wołodyjowski.

– W tak poufalej kompanii możesz mi, panie Michale, mówić po dawnemu: „waćpan”... Nie ja będę pieczętował, ale mój kanclerz... To sobie naprzód zakonotujcie!

Tu Zagłoba spojrział z dumą i powagą po obecnych, aż Rzędzian zerwał się z ławy, a pan Stanisław Skrzetuski mruknął:

– *Honores mutant mores!*

– Po co mnie kancelaria? Posłuchajcie jeno – mówił Zagłoba. – Naprzód wiedźcie o tym, że te klęski, które na ojczyznę naszą spadły, według mojego mniemania nie z innej przyczyny przyszły, jak z rozpusty, jak ze swawoli i zbytków (miodu, panie Michale!), jak ze zbytków, mówię, które na kształt zarazy nas toczą. Ale w pierwszym rzędzie z przyczyny heretyków, coraz śmielej prawdziwej wierze bluźniących z ujmą dla Przenajświętszej Patronki naszej, która o te bezeceństwa w słuszną cholere wpaść mogła...

– To słusznie mówi! – ozwali się chórem rycerze – dysydenci pierwsi przystali do nieprzyjaciół, a kto wie, czy nie sami ich sprowadzili?!

– *Exemplum* hetman wielki litewski!

– Lecz że i w tym województwie, gdzie ja jestem regimentarzem, także heretyków nie brak, jako w Tykocinie i w innych miejscach, przeto dla zyskania na początek błogosławieństwa bożego dla naszej imprezy wyda się uniwersał, aby kto w błędach żyje, we trzech dniach z nich się nawrócił, a tym, którzy tego nie uczynią, majątkości mają być na wojsko skonfiskowane.

Rycerze spoglądali na siebie ze zdumieniem. Wiedzieli, że nie zbywa panu Zagłobie na obrotnym rozumie i fortelach, ale nie przypuszczali, aby pan Zagłoba był takim statystą i tak doskonale umiał sprawy publiczne sądzić.

– I wy się pytacie – rzekł z tryumfem Zagłoba – skąd wezmę pieniędzy na wojsko?... A konfiskaty? a wszystkie dobra radziwiłłowskie, które tym samym przejdą na własność wojska?

– Czy aby będzie prawo po naszej stronie? – wtrącił Wołodyjowski.

– Dziś takie czasy, że kto ma szablę, ten ma prawo! A jakie prawo mają Szwedzi i ci wszyscy nieprzyjaciele, którzy w granicach Rzeczypospolitej grasują?

– Prawda jest! – odpowiedział z przekonaniem pan Michał.

– Nie dość na tym! – zawołał zapalając się pan Zagłoba. – Drugi uniwersał wyda się do szlachty województwa podlaskiego i do tych ziem w województwach sąsiednich, które jeszcze nie są w nieprzyjacielskim ręku, aby jako na pospolite ruszenie stawały. Szlachta ma czeladź uzbroić, aby nam piechoty nie brakło. Wiem to, że niejeden by rad iść, jeno się za jakim pismem i za jakimś rządem ogląda. Będą tedy mieli i rząd, i uniwersały...

– Waćpan naprawdę, tyle masz rozumu, ile kanclerz wielki koronny! – zakrzyknął pan Wołodyjowski.

– Miodu, panie Michale!... Trzecie pismo wyśle się do Chowańskiego, by sobie szedł do paralusa, a nie, to go ze wszystkich miast i zamków wykurzymy. Stojąc oni teraz wprawdzie na Litwie spokojnie i zamków nie dobywają, ale Kozacy Zoltareńkowi rabują, kupami po tysiącu i dwa jeżdżąc. Niechże ich powstrzyma, bo inaczej będziemy ich znosić.

– Pewnie, że moglibyśmy to robić – rzekł Jan Skrzetuski – wojsko nie zależałoby pola.

– Myślę ja nad tym i właśnie ku Wołkowyskowi dziś nowe podjazdy wysyłam, ale *et haec facienda, et haec non omittenda*... Czwarte pismo chcę posłać do naszego elekta, pana dobrego, aby go w smutku pocieszyć, że przecie jeszcze są tacy, którzy go nie opuścili, że są serca i szable na jego skinienie gotowe. Niechże na obczyźnie ma choć tę pociechę nasz ojciec, nasz pan kochany, nasza krew jagiellońska, która tułać się musi... oto... oto...

Tu pan Zagłoba zakrzusił się, bo już miał mocno w głowie, i wreszcie ryknął z żalości nad losem królewskim, a pan Michał zaraz mu zawtórował trochę cieniem, Rzędzian chlipał także albo udawał, że chlipie. Skrzetuscy wsparli głowy na rękach i siedzieli w milczeniu.

Przez chwilę cisza trwała, nagle pan Zagłoba wpadł w złość.

– Co mi tam elektor! – krzyknął. – Kiedy zawarł pakt z miastami pruskimi, niechże występuje w pole przeciw Szwedom, niech nie praktykuje na obie strony, niech uczyni to, co wierny lennik czynić powinien, i w obronie pana swego i dobrodziejstwa stawa.

– Kto tam zgadnie, czy on się jeszcze za Szwedami nie opowie? – rzekł Stanisław Skrzetuski.

– Za Szwedami się opowie? To ja mu się opowiem! Pruska granica niedaleko, a u mnie kilka tysięcy szabel na zawołanie; Zagłoby w pole nie wywiedzie! Jako mnie tu widzicie, jakom regimentarz nad tym zacnym wojskiem, tak go ogniem i mieczem nawiedzę. Nie ma wiewdy, dobrze! znajdziemy jej dość w pruskich gumnach!

– Matko Boska! – zakrzyknął w uniesieniu Rzędzian. – Wasza wielmożność już i koronowanym głowom zdzierży.

– Zaraz do niego napiszę: „Mości elektorze! Dość kota ogonem odwracać! Dość wykrętów i mitręgi! Wychodź przeciw Szwedom, a nie, to jaw odwiedziny do Prus przyjadę. Nie może inaczej być...” Inkaustu, piór, papieru! Rzędzian, pojedziesz z pismem!

– Pojadę! – rzekł dzierżawca z Wąsoszy, uradowany nową godnością.

Lecz nim przygotowano panu Zagłobie inkaust, pióra i papier, krzyki wszczęły się przed domem i tłumy żołnierzy zaczęły przed oknami. Jedni krzyczeli: „*vivat!*” – drudzy hałkowali po tatarsku. Zagłoba z towarzyszami wyszedł zobaczyć, co się dzieje.

Pokazało się, że prowadzą owe oktawy, o których pan Zagłoba wspominał, a których widok rozradował teraz serca żołnierskie.

Pan Stępalski, gubernator białostocki, przystąpił do pana Zagłoby i przemówił:

– Jaśnie wielmożny regimentarzu! Od czasu jak nieśmiertelnej pamięci pan marszałek Wielkiego Księstwa Litewskiego zapisał dobra białostockie na utrzymanie zamku tykocińskiego, ja, będąc tychże dóbr gubernatorem, wiernie i poczciwie wszelkie czynsze na pożytek tegoż zamku obracałem, czego i rejestrami mogę przed całą Rzeczpospolitą dowieść. Tak przeszło dwadzieścia lat pracując, opatrywałem on zamek w prochy, działa i spyzę, mając to sobie za święty obowiązek, aby każdy grosz tam szedł, dokąd jaśnie wielmożny marszałek Wielkiego Księstwa Litewskiego iść mu nakazał. Ale gdy w zmiennej losów kolei zamek tykociński został nieprzyjaciół ojczyzny największą w tym województwie podporą, pytałem się Boga i własnego sumienia, zali mam mu i nadal siły przysparzać, zali nie powinienem tych dostatków i wojennych porządków z tegorocznego czynszu nagromadzonych, do waszej wielmożności rąk oddać...

– Powinieneś... – przerwał z powagą pan Zagłoba.

– O jedno też jeno proszę, aby wasza wielmożność raczyła wobec całego wojska zaświadczyć i na piśmie mnie pokwitować, jako nic z onych dóbr na własny pożytek nie obróciłem i wszystko w ręce Rzeczypospolitej, godnie tu przez władzę jaśnie wielmożnego regimentarza reprezentowanej, zdałem.

Zagłoba kiwnął głową na znak przyzwolenia i zaraz zaczął przeglądać rejestr.

Pokazało się, że prócz oktaw, na strychach śpichrzów ukrytych, jest i trzysta muszkietów niemieckich bardzo porządnych, dwieście berdyszów moskiewskich dla piechoty, do obrony murów i wałów, i sześć tysięcy złotych gotowizny.

– Pieniądze między wojsko się rozdzielili – rzekł Zagłoba – a co do muszkietów i berdyszów...

Tu obejrzał się naokoło.

– Panie Oskierko – rzekł – weźmiesz je waść i pieszą chorągiew uformujesz... Jest tu trochę piechoty z radziwiłłowskich zbiegów, a ilu braknie, tylu z młynarzy dobierzesz.

Po czym zwrócił się do wszystkich obecnych:

– Mości panowie! Są pieniądze, są działa, będzie piechota i wiwenda... Takie moje rządy na początek!

– *Vivat!* – krzyknęło wojsko.

– A teraz, mości panowie, wszyscy pachołcy w skok po wsiach po rydle, łopaty i motyki. Obóz warowny założym, Zbaraż drugi! Jeno, towarzysz czynie towarzysz, niech się nie wstydy łopaty i do roboty!

To rzekłszy pan regimentarz udał się do swojej kwatery, przeprowadzony okrzykami wojska.

– Dalibóg, że ten człowiek ma jednak głowę na karku – mówił do Jana Skrzetuskiego Wołodjowski – i rzeczy zaczynają iść lepszym porządkiem.

– Byle tylko Radziwiłł zaraz nie nadszedł – wtrącił Stanisław Skrzetuski – bo to wódz, jak drugiego nie masz w Rzeczypospolitej, a nasz pan Zagłoba dobry do prowiantowania obozu, ale nie jemu mierzyć się z takim wojennikiem.

– Prawda jest! – odpowiedział Jan – jak przyjdzie co do czego, to go będziem radą wspomagali, bo się na wojnie mniej rozumie. Zresztą, skończy się jego panowanie, niech tylko pan Sapiaha nadciągnie.

– Ale przez ten czas siła dobrego może zrobić – rzekł pan Wołodjowski.

Jakoż istotnie wojska owe potrzebowały jakiegokolwiek naczelnika, choćby nawet pana Zagłoby, bo od dnia jego wyboru lepszy ład zapanował w obozie. Nazajutrz dzień poczęto sypać wały nad białostockimi stawami. Pan Oskierko, który w cudzoziemskich wojskach służywał i

znał się na sztuce sypania obronnych miejsc, kierował całą robotą. Powstał więc w trzech dniach nader silny okop, naprawdę podobien nieco do zbaraskiego, bo boków i tyłu broniły mu błotniste stawy. Widok jego podniósł serca żołnierzy; całe wojsko poczuło, że ma jakowyś grunt pod nogami. Lecz jeszcze bardziej począł się duch krzepić na widok zapasów żywności sprowadzanych przez silne podjazdy. Codziennie wpędzano do okopu woły, owce, świnie, co dzień szły fury wiozące wszelakie ziarno i siano. Niektóre przychodziły aż z ziemi łukowskiej, inne aż z widzkiej. Napływała także coraz liczniej szlachta drobna i większa, albowiem gdy wieść się rozeszła, że jest już rząd, wojsko i regimentarz, więcej też znalazło się w ludziach ufności. Mieszkańcom ciężko było żywić „całą dywizję”, ale po pierwsze, pan Zagłoba o to nie pytał, po wtóre, lepiej było oddać na wojsko połowę, a reszty w spokoju zażywać, niż być narażonym co chwila na stratę wszystkiego od kup swawolnych, które rozmnożyły się były znacznie i grasowały na kształt Tatarów, a które pan Zagłoba nakazał podjazdom ścigać i znosić.

– Jeżeli takim okaże się hetmanem, jakim jest gospodarzem – mówiono o nowym regimentarzu w obozie – tedy Rzeczpospolita nie wie jeszcze, jak wielkiego ma męża.

Sam pan Zagłoba myślał z pewnym niepokojem o przyjsciu Janusza Radziwiłła. Przypominał sobie wszystkie zwycięstwa Radziwiłła, a wówczas postać hetmańska przybierała potworne kształty w wyobraźni nowego regimentarza i w duszy sobie mówił:

„Oj, kto się tam temu smokowi oprze!... Mówiłem, że się mną zadławi, ale on mnie, jako sum kaczkę, połknie.”

I obiecywał sobie pod przysięgą nie wydawać generalnej bitwy Radziwiłłowi.

„Będzie oblężenie – myślał – a to zawsze długo trwa. Można też będzie i traktatów tentować, a przez ten czas pan Sapieha nadejdzie.”

Na wypadek, gdyby nie nadszedł, postanowił sobie pan Zagłoba słuchać we wszystkim Jana Skrzetuskiego, gdyż pamiętał, jak księżę Jeremi cenił wysoko tego oficera i jego zdolności wojskowe.

– Ty, panie Michale – mówił pan Zagłoba do pana Wołodyjowskiego – jenoś do ataku stworzony albo i z podjazdem, chociażby znacznym, można cię wysłać, bo umiesz się sprawić i jako wilk na owce, na nieprzyjaciela wpadniesz; ale gdyby ci całym wojskiem hetmanić kazano, pasz! pasz! sklepu z rozumem nie założysz, bo go na sprzedanie nie posiadasz, a Jan to regimentarska głowa i gdyby mnie nie stało, on jeden mógłby mnie zastąpić.

Tymczasem przychodziły wieści odmienne; raz donoszono, że Radziwiłł już idzie przez Prusy elektorskie, drugi raz, że pobiwszy wojska Chowańskiego zajął Grodno i stamtąd ciągnie z wielką potęgą; ale byli i tacy, którzy twierdzili, że to nie Radziwiłł, jeno Sapieha poraził Chowańskiego przy pomocy księcia Michała Radziwiłła. Podjazdy jednak nie przywoziły żadnych pewnych wieści, prócz tych, że pod Wołkowyskiem stanęła kupa Żołtareńkowych ludzi, wynosząca około dwóch tysięcy wojowników, i miastu zagraża. Okolica cała płonęła już ogniem.

W dzień po podjazdach zaczęli napływać i zbiegowie, którzy potwierdzili wiadomość, donosząc przy tym, że mieszczanie wyprawili posłów do Chowańskiego i Żołtareńki z prośbą o miłosierdzie nad miastem, na co uzyskali od Chowańskiego odpowiedź, że to jest luźna wataha nie mająca z jego wojskiem nic wspólnego. Co do Żołtareńki, ten dał mieszczanom radę, by się wykupili, lecz oni, jako ubodzy ludzie, po niedawnym pożarze i kilkunastu rabunkach, nie mieli czym.

Błagali więc o miłosierdzie pana regimentarza, aby im na ratunek pospieszył, póki układy o wykup się prowadzą, bo później nie będzie już czasu. Pan Zagłoba wybrał półtora tysiąca ludzi dobrych, między którymi chorągiew laudańską, i przywoławszy Wołodyjowskiego rzekł mu:

– No, panie Michale, czas pokazać, co umiesz! Pójdiesz pod Wołkowyski i zetrzesz mi tam tych hultajów, którzy miastu nieobronnemu grożą. Nie pierwszozna ci taka wyprawa i myślę, że za fawor sobie poczytasz, że tobie tę funkcję powierzam.

Tu zwrócił się do innych pułkowników:

– Sam muszę w obozie zostać, bo cała odpowiedzialność na mnie, to raz! A po wtóre, nie przystoi mojej godności na hultajów wyprawy czynić. Niech jeno Radziwiłł nadciągnie, tedy się w wielkiej wojnie pokaże, kto lepszy, czy pan hetman, czy pan regimentarz.

Wołodyjowski ruszył chętnie, bo się nudził w obozie i tęsknił za krwi rozlewem. Komenderowane chorągwie wychodziły też ochoczo ze śpiewaniem, a regimentarz stał konno na wale i błogosławił odchodzących, żegnając ich krzyżem na drogę. Byli nawet tacy, którzy dziwili się, że pan Zagłoba tak uroczyście ów podjazd wyprawia, ale on pamiętał, że i Żółkiewski, i inni hetmani mieli zwyczaj żegnać idące do boju chorągwie – zresztą, lubił wszystko czynić uroczyście, bo to powagę jego w oczach żołnierzy podnosiło.

Zaledwie jednak chorągwie znikły we mgle oddalenia, gdy już zaczął się o nie niepokoić.

– Janie! – rzekł – a może by podesłać jeszcze Wołodyjowskiemu z garść ludzi?

– Daj ojciec pokój – odpowiedział Skrzetuski. – Wołodyjowskiemu na taką wyprawę iść, to to samo, co zjeść miskę jajecznicy. Boże miły, toż on całe życie nic innego nie robił.

– Ba! a jeśli go za wielką siłą opadnie?... *Nec Hercules contra plures.*

– Co tu o takim żołnierzu gadać. Spenetruje on wszystko dobrze, zanim uderzy, a jeśli tam siła za wielka, to urwie, co będzie mógł, i wróci albo sam przyśle o posiłki. Możesz ojciec spać spokojnie.

– Aha! wiedziałem też, kogo wysyłam, ale to ci mówię, że musiał mi ten pan Michał czegoś zadać, taką mam do niego słabość. Prócz nieboszczyka pana Podbipięty i ciebie nikogom tak nie miłował... Nie może być inaczej, tylko mi ów chłystek czegoś zadał.

Upłynęło trzy dni.

Do obozu zwożono ciągle prowianty, ochotnicy także nadciągali, ale o panu Michale nie było słychu. Niepokój Zagłoby wzrastał i mimo przedstawień Skrzetuskiego, że żadną miarą nie mógł jeszcze Wołodyjowski spod Wołkawyska wrócić, wyprawił pan Zagłoba sto koni petyhorskich Kmicica po wiadomości.

Ale podjazd wyszedł i znowu upłynęło dwa dni bez wieści.

Aż siódmego dnia dopiero o szarym, mglistym zmierzchu pachołcy, wyprawieni po potrawy do Bobrownik, przyjechali bardzo spieszenie na powrót do obozu z doniesieniem, że widzieli jakieś wojsko wychodzące z lasów za Bobrownikami.

– Pan Michał! – zakrzyknął radośnie Zagłoba.

Lecz pachołcy przeczyli. Nie pojechali na spotkanie właśnie dlatego, że widzieli jakieś znaki obce, których w wojsku pana Wołodyjowskiego nie było. A przy tym siła szła większa. Pachołcy, jak to pachołcy, nie umieli jej dokładnie oznaczyć; jedni mówili, że ze trzy tysiące, drudzy, że pięć albo i więcej.

– Wezmę dwadzieścia koni i pojedę na spotkanie – rzekł pan rotmistrz Lipnicki.

Pojechał.

Upłynęła godzina i druga, aż wreszcie dano znać, że zbliża się nie podjazd, ale całe wielkie wojsko.

I nie wiadomo dlaczego, gruchnęło nagle po obozie:

– Radziwiłł idzie!

Wieść ta jakby iskra elektryczna poruszyła i wstrząsnęła cały obóz; żołnierze wypadli na wały, na niektórych twarzach znać było przestach; nie stawano w należyтым porządku; jedna tylko piechota Oskierki zajęła wskazane miejsca. Natomiast między wolentarzami wszczął się w pierwszej chwili popłoch. Z ust do ust przelatywały najrozmaitsze wieści: „Radziwiłł zniósł ze szczeniem Wołodyjowskiego i ten drugi, Kmicicowy, podjazd” – powtarzali jedni. – „Ani światek klęski nie uszedł” – mówili drudzy. – „A ot teraz pan Lipnicki jakoby pod ziemię się zapadł.” – „Gdzie regimentarz? gdzie regimentarz?”

Wtem przypadli pułkownicy ład czynić, a że prócz niewielu wolentarzy zresztą sam stary żołnierz był w obozie, wnet stanęli w sprawie, czekając, co się okaże.

Pan Zagłoba, gdy go doszedł okrzyk: „Radziwiłł idzie!” – zmieszał się bardzo, ale w pierwszej chwili wierzyć nie chciał. Cóż by się stało z Wołodyjowskim? Czyliby się pozwolił tak ogarnąć, żeby ani jeden człowiek nie przybiegł z ostrzeżeniem? A ów drugi podjazd? A pan Lipnicki?

„Nie może być! – powtarzał sobie pan Zagłoba obcierając czoło, które pociło mu się obficie. – Ten smok, ten mężobójca, ten lucyfer miałby już z Kiejdan zdążyć? Zali to ostatnia godzina się zbliża?!”

Tymczasem ze wszystkich stron coraz liczniejsze głosy wołały: „Radziwiłł! Radziwiłł!” Pan Zagłoba przestał wątpić. Zerwał się i wpadł do kwatery Skrzetuskiego.

– Janie, ratuj! teraz pora!

– Co się stało? – pytał Skrzetuski.

– Radziwiłł idzie! Na twoją głowę wszystko zdaję, bo o tobie książę Jeremi mówił, żeś wódz urodzony. Ja sam będę doglądał, ale ty radź i prowadź!

– To nie może być Radziwiłł – rzekł Skrzetuski. – Skądże wojsko nadciąga?

– Od Wołkowyska. Mówią, że ogarnęli Wołodyjowskiego i tamten drugi podjazd, który niedawno posłałem.

– Wołodyjowski dałby się ogarnąć? To ojciec jego nie znasz. On to sam wraca, nikt inny.

– Kiedy mówią, że potęga okrutna.

– Chwała Bogu! to, widać, pan Sapieha nadciągnął.

– Na Boga! co mówisz? przecieby dali znać. Lipnicki pojechał naprzeciw...

– Właśnie to dowód, że nie Radziwiłł idzie. Poznali kto, przyłączyli się i razem wracają. Chodźmy! chodźmy!

– Zaraz to mówiłem! – zakrzyknął Zagłoba. – Wszyscy się stropili, a ja pomyślałem: nie może być! Zaraz to pomyślałem! Chodźmy! żywo, Janie! żywo! A tamci się skonfundowali... ha!

Obaj wyszli spiesznie i wstąpiwszy na wały, na których już wojska tkwiły, poczęli iść w połudź; ale twarz Zagłoby była promienna, przystawał co chwila i wołał, ażeby go wszyscy słyszeli:

– Mości panowie! gości mamy! serca mi nie tracić! Jeśli to Radziwiłł, to ja mu drogę na powrót do Kiejdan pokażę!

– Pokażemy mu! – krzyczało wojsko.

– Stosy na wałach rozpalić! Nie będziem się chowali, niech was widzą, gotowiśmy! Stosy rozpalić!

Wnet naniesiono drew i w kwadrans później zapłonął cały obóz, aż niebo zaczerwieniło się jakoby od zorzy. Żołnierze, odwracając się od światła, patrzyli w ciemność, w stronę Bobrownik. Niektórzy wołali, że słyszą już chrzęst i tętent.

Wtem w ciemnościach rozległy się z daleka strzały muszkietów. Pan Zagłoba porwał za połę pana Skrzetuskiego.

– Ogień rozpoczynają! – rzekł niespokojnie.

– Na wiwaty – odparł Skrzetuski.

Po strzałach rozległy się okrzyki radosne. Nie było co dłużej wątpić; w minutę później nadbiegło na spienionych koniach kilkunastu jeźdźców wołając:

– Pan Sapieha! pan wojewoda witebski!

Zaledwie to usłyszeli żołnierze, gdy jak wezbrana rzeka płynęli z wałów i biegli naprzeciw wrzeszcząc tak, że ktoś, co by słyszał z dala te głosy, mógłby mniemać, że to wycinanego w pień miasta wrzaski.

Zagłoba, siadłszy na koń, wyjechał także na czele pułkowników przed wały, przybrany we wszystkie oznaki swej godności: pod buńczukiem, z buławą i czaplim piórem przy czapce.

Po chwili pan wojewoda witebski wjechał w krąg światła na czele swych oficerów, mając i pana Wołodyjowskiego przy boku. Był to człowiek już w wieku poważnym, średniej tuszy, o twarzy nie pięknej, ale rozumnej i dobrotliwej. Wąsy miał już siwe, równo nad górną wargą

przystrzyżone, i takąż niewielką bródkę, co czyniło go podobnym do cudzoziemca, choć się po polsku ubierał. Jakkolwiek wielu dziełami wojennymi wślawiony, wyglądał więcej na statystę niż na wojownika; ci, którzy go bliżej znali, mówili też, że w obliczu pana wojewody Minerwa nad Marsem przemaga. Ale obok Minerwy i Marsa była w tej twarzy rzadsza w owych czasach ozdoba, to jest uczciwość, która z duszy płynąc, odbijała się w oczach jak światło słońca w wodzie. Na pierwszy rzut oka poznali, że był to mąż zacny i sprawiedliwy.

– My tak czekali jak za ojcem! – wołali żołnierze.

– A tak i przyszedł nasz wódz! – powtarzali z rozczuleniem inni.

– *Vivat! vivat!*

Pan Zagłoba skoczył ku niemu na czele pułkowników, a on konia wstrzymał i począł się kłaniać rysim kołpaczkiem.

– Jaśnie wielmożny wojewodo! – rozpoczął przemowy Zagłoba. – Choćbym starożytnych Rzymian, ba! i samego Cycerona albo sięgając dawniejszych czasów, słynnego owego Ateńczyka Demostenesa posiadał wymowę, jeszcze bym nie umiał tej radości wypowiedzieć, jaką wzięły serca nasze na widok dostojnej jaśnie wielmożnego pana osoby. Cieszy się w sercach naszych cała Rzeczpospolita, najmędrszego witając senatora i najlepszego syna, tym większą, bo niespodzianą radością. Oto staliśmy na tych okopach pod bronią nie witać, ale walczyć gotowi... Nie radosnych słuchać okrzyków, ale spiszowych gromów... Nie łzy wylewać, ale krew naszą!... Gdy zatem stujęczyna fama rozniosła, że obrońca to ojczyzny, nie zdrajca, nadchodzi, że wojewoda witebski nie hetman wielki litewski, że Sapieha, nie Radziwiłł...

Lecz panu Sapieże pilno widać było wjechać, bo nagle kiwnął ręką z dobroduszną, choć wielkopańską niedbałością i rzekł:

– Idzie i Radziwiłł. We dwóch dniach już tu będzie!

Pan Zagłoba zmieszał się, bo raz, że mu się wątek mowy przerwał, a po wtóre, iż wieść o Radziwiłłach wielkie na nim uczyniła wrażenie. Stał więc przez chwilę przed panem Sapiehą, nie wiedząc, co dalej mówić; lecz prędko oprzytomniał i wyciągnąwszy spieszenie buławę zza pasa rzekł uroczyście, przypominając sobie, co było pod Zbarazem.

– Mnie wojsko wodzem swym uczyniło, lecz ja w godniejsze ręce ów znak oddaję, aby młodszym dać przykład, jak *pro publico bono* największych zaszczytów zrzec się należy.

Żołnierze zaczęli pokrzykiwać, lecz pan Sapieha uśmiechnął się tylko i rzekł:

– Panie bracie! aby was tylko Radziwiłł nie posądził, że ze strachu przed nim buławę oddajecie... Byłby rad!

– Już on mnie zna – odparł Zagłoba – i o bojażń nie posądzi, bom go pierwszy w Kiejdanach splantował i innych przykładem pociągnąłem.

– Kiedy tak, to prowadźcie do obozu – rzekł Sapieha. – Powiadał mi przez drogę Wołodyjowski, żeście przedni gospodarz i że jest u was się czym pożywić, a myśmy strudzeni i głodni.

To rzekłszy ruszył koniem, a za nim ruszyli inni i wjechali wszyscy do obozu wśród niezmierniej radości. Pan Zagłoba przypomniał sobie, co o panu Sapieże mówią, że się w ucztach i kielichach kocha, więc postanowił godnie uczcić dzień jego przybycia. Jakoż wystąpił z uczcią tak wspaniałą, jakiej dotąd w obozie nie było. Jedli wszyscy i pili. Przy kielichach opowiadał pan Wołodyjowski, co pod Wołkowyskiem zaszło, jak nagle otoczyły go znacznie większe siły, które zdrajca Zołtareńko na pomoc wysłał, jak już ciężko było, gdy nagle przyjście pana Sapiehy zmieniło rozpaczliwą obronę w najświetniejsze zwycięstwo.

– Daliśmy im takie *pro memoria* – mówił – że odtąd ucha z obozu nie wytkną.

Po czym rozmowa zesłała na Radziwiłła. Pan wojewoda witebski miał bardzo świeże wiadomości i wiedział przez zaufanych ludzi o wszystkim, co się w Kiejdanach stało. Opowiadał więc, że wysłał hetman litewski niejakiego Kmicica z listem do króla szwedzkiego i z prośbą, aby z dwóch stron razem uderzyć na Podlasie.

– Dziw mi to nad dziwy! – zawołał pan Zagłoba – bo gdyby nie ten Kmicic, to do tej pory nie zebraliśmy się w kupę i mógł nas zjeść Radziwiłł, gdyby był nadszedł, jednego po drugim jako siedleckie obwarzanki.

– Powiadał mi to wszystko pan Wołodziejowski – odrzekł Sapieha – z czego wnoszę, że ma on chyba do was osobisty afekt. Szkoda, że dla ojczyzny go nie ma. Ale tacy ludzie, którzy nic nad siebie nie widzą, nikomu dobrze nie służą i każdego tak zdradzić gotowi, jako w tym przypadku Kmicic Radziwiłła.

– Jeno między nami nie masz zdrajców i wszyscyśmy do gardła przy jaśnie wielmożnym wojewodzie stać gotowi! – rzekł Żeromski.

– Wierzę, że tu sami zacni żołnierze – odparł wojewoda – i anim się spodziewałem, bym tu taki ład i dostatek zastał, za co jegomości panu Zagłobie muszę być wdzięczny.

Pan Zagłoba aż pokraśniał z zadowolenia, bo jakoś mu się dotąd wydawało, że jakkolwiek wojewoda witebski traktuje go łaskawie, przecie nie z takim uznaniem i powagą, jakiej by sobie pan eks-regimentarz życzył. Począł więc opowiadać, jak rządził, co uczynił, jakie zapasy zebrał, jak działa sprowadził i piechotę uformował, wreszcie jak obszerną musiał prowadzić korespondencję.

I nie bez chępliwości wspominał o listach wysłanych do króla wygnanego, do Chowańskiego i do elektora.

– Po moim liście musi się jegomość elektor jasno opowiedzieć za nami albo przeciw nam – rzekł z dumą.

Ale wojewoda witebski był człek wesóły, może też i podochocił trochę, więc pogładził węża, uśmiechnął się złośliwie i rzekł:

– Panie bracie, a do cesarza niemieckiego nie pisaliście?

– Nie! – rzekł zdziwiony Zagłoba.

– A to szkoda! – odrzekł wojewoda – rozmawiałby równy z równym.

Pułkownicy wybuchnęli gromkim śmiechem, lecz pan Zagłoba zaraz okazał, iż jeśli pan wojewoda chciał być kosą, to w nim trafił na kamień.

– Jaśnie wielmożny panie! – rzekł – do elektora mogę pisać, bom i sam, jako szlachcic, elektor i nie tak to dawno jeszcze, jakom dawał głos za Janem Kazimierzem.

– Toć waćpan dobrze wywiódł! – odpowiedział wojewoda witebski.

– Ale z takim potentatem jak cesarz nie koresponduję – mówił dalej pan Zagłoba – żeby o mnie nie powiedział pewnego przysłowia, którym na Litwie słyszałem...

– Cóż to za przysłowie?

– „Jakaś głowa kiepska – musi być z Witebska!” – odparł niezmiyszany Zagłoba.

Słyszając to pułkownicy aż zlekli się, ale wojewoda witebski przechylił się w tył i wziął się w boki ze śmiechu.

– A to mnie splantował!... Niechże waści uściskam!... Jak będę chciał brodę golić, to języka od waści pożyczę!

Uczta przeciągnęła się do późna w noc; przerwało ją dopiero przybycie kilku szlachty spod Tykocina, którzy przywieźli wieść, że pojazdy Radziwiłła sięgają już tego miasta.



## ROZDZIAŁ VII

Radziwiłł dawno by był uderzył na Podlasie, gdyby nie to, że rozmaite powody zatrzymywały go w Kiejdanach. Naprzód czekał na posiłki szwedzkie, z których przysłaniem Pontus de la Gardie umyślnie zwłóczył. Jakkolwiek jenerała szwedzkiego łączyły węzły pokrewieństwa z samym królem, przecie ani świetnością rodu, ani znaczeniem, ani obszernymi związkami krwi nie mógł sprostać temu magnatowi litewskiemu, a co do fortuny, to jakkolwiek w tej chwili w skarbcu radziwiłłowskim nie było gotowizny, jednakowoż połową dóbr książęcych mogliby się obdzielić wszyscy jenerałowie szwedzcy i jeszcze uważać się za bogatych. Owóż, gdy z kolei losów tak wypadło, że Radziwiłł znalazł się zależnym od Pontusa, nie umiał sobie jenerał odmówić tej satysfakcji, aby owemu panu nie dać uczuć tej zależności i własnej przewagi.

Radziwiłł zaś nie potrzebował posiłków do pobicia konfederatów, bo na to miał i własnych sił dosyć, ale byli mu Szwedzi potrzebni z tych powodów, o których wspominał Kmicic w liście do pana Wołodyjowskiego. Od Podlasia przegradzały Radziwiłła zastępy Chowańskiego, które mogły mu bronić drogi; gdyby zaś Radziwiłł szedł z wojskami szwedzkimi i pod egidą króla szwedzkiego, wówczas wszelki krok nieprzyjacielski ze strony Chowańskiego musiałby być uważany jako wyzwanie Karola Gustawa. Radziwiłł w duszy chciał tego, dlatego niecierpliwie oczekiwał przybycia choćby jednej chorągwi szwedzkiej i zzymając się na Pontusa mawiał nieraz do swych dworzan:

– Parę lat temu za fawor by sobie poczytywał, gdyby pismo ode mnie otrzymał, i potomkom by je w testamencie przekazał, a dziś zwierzchnika maniery przybiera!

Na co pewien szlachcic, gębacz i weredyk znany na całą okolicę, tak raz sobie pozwolił odpowiedzieć:

– Wedle przysłowia, mości książę, jak kto sobie pościele, tak się wyśpi.

Radziwiłł wybuchnął gniewem i do wieży go wtrącić rozkazał, ale na drugi dzień wypuścił i guzem złocistym obdarzył, bo o szlachcicu mówiono, że ma gotowiznę, a książę pieniędzy od niego chciał na skrypt pożyczyć. Szlachcic guz przyjął, ale pieniędzy nie dał.

Posiłki szwedzkie nadeszły wreszcie w liczbie ośmiuset koni, ciężkich rajtarów; trzysta piechoty i sto lżejszej jazdy wyekspediował Pontus wprost do tykocińskiego zamku, chcąc na wszelki przypadek mieć w nim własną załogę.

Wojska Chowańskiego rozstąpiły się przed owymi ludźmi nie czyniąc im żadnego wstępu, którzy też dostali się szczęśliwie do Tykocina, bo to działo się wówczas, gdy jeszcze konfederackie chorągwie stały rozproszone po całym Podlasiu i zajmowały się tylko rabunkiem dóbr radziwiłłowskich.

Spodziewano się, że książę doczekawszy się pożądaných posiłków ruszy zaraz, ale on jeszcze zwłóczył. Powodem tego były wieści z Podlasia o nieładzie panującym w tym województwie, o braku jedności między konfederatami i nieporozumieniach, jakie wynikły między Kotowskim, Lipnickim i Jakubem Kmicicem.

– Trzeba im dać czas – mówił książę – by się za łby wzięli. Wygryzą się oni sami i ta siła szczególnie bez wojny, a my tymczasem na Chowańskiego uderzymy.

Lecz nagle zaczęły przychodzić przeciwne wiadomości; pułkownicy nie tylko się nie pobili ze sobą, ale zbrali się w jedną kupę pod Białymstokiem. Książę w głowę zachodził, co mogło być powodem takiej odmiany. Nareszcie nazwisko Zagłoby jako regimentarza doszło do uszu książęcych. Dano też znać o założeniu warownego obozu, o prowiantowaniu wojska, o działach wygrzebanych w Białymstoku przez Zagłobę, o wzrastaniu potęgi konfederackiej i o ochotnikach napływających z zewnątrz. Książę Janusz wpadł w taki gniew, że Ganchof, nieustraszony żołnierz, nie śmiał przez dobę zbliżyć się do niego.

Na koniec wyszedł rozkaz do chorągwi, by się gotowały do drogi. W jeden dzień cała dywizja stanęła gotowa; jeden regiment piechoty niemieckiej, dwa szkockiej, jeden litewskiej; pan Korf

prowadził artylerię; Ganchof objął dowództwo jazdy. Prócz dragonii Charłampowej i rajtarów szwedzkich był lekki znak Niewiarowskiego i poważna chorągiew własna książęca, w której namiestnikiem był Ślizień. Była to siła znaczna i złożona z samych weteranów. Z nie większą potęgą książę za czasów pierwszych wojen z Chmielnickim odniósł swe zwycięstwa, które imię jego nieśmiertelną przyzdobiły sławą; z nie większą siłą zbił Półksiężycą, Nebabę; rozgromił na głowę pod Łojowem kilkudziesięciotysięczną watahę przesławnego Krzeczowskiego, wyciął Mozyrz, Turów, wziął szturmem Kijów i tak przycisnął w stepach Chmielnickiego, że ten w układach musiał szukać ratunku.

Lecz gwiazda tego potężnego wojownika zachodziła widocznie i sam nie miał dobrych przeczuć. Zapuszczał oczy w przyszłość i nie widział nic jasno. Pójdzie na Podlasie, rozniesie na końskich kopytach buntowników, każe obedrzeć ze skóry nienawistnego Zagłobę – i cóż z tego? Co dalej? Jaka nadejdzie losów odmiana? Czy wówczas uderzy na Chowańskiego, pomści cybichowską klęskę i nowym wawrzynem głowę przyzdobi? Książę mówił tak, ale wątpił, bo właśnie zaczęły już chodzić szeroko słuchy o tym, że północne zastępy bojąc się wzrostu szwedzkiej potęgi przestaną wojować, a może nawet wejdą w przymierze z Janem Kazimierzem. Sapieha urywał je jeszcze i gromił, gdzie mógł, ale jednocześnie już układał się z nimi. Miał też same plany i pan Gosiewski.

Owóz w razie ustąpienia Chowańskiego zamknęłoby się i to pole działania, znikłaby dla Radziwiłła ostatnia sposobność okazania swej siły; gdyby zaś Jan Kazimierz zdołał zawrzeć przymierze i popchnąć na Szwedów dotychczasowych wrogów, podówczas szczęście mogłoby się przechylić na jego stronę przeciw Szwedom, a tym samym przeciw Radziwiłłowi.

Z Korony dochodziły wprawdzie księcia najpomyślniejsze wieści. Powodzenie Szwedów przechodziło wszelkie nadzieje. Województwa poddawały się jedne za drugimi; w Wielkopolsce panowali jak w Szwecji, w Warszawie rządził Radziejowski; Małopolska nie stawiała oporu; Kraków upaść miał lada chwila; król, opuszczony od wojska i szlachty, ze złamaną w sercu ufnością do swego narodu, uszedł na Śląsk, i sam Karol Gustaw dziwił się łatwości, z jaką skruszył ową potęgę, zawsze dotąd w walce ze Szwedami zwycięską.

Ale właśnie w tej łatwości widział Radziwiłł niebezpieczeństwo dla siebie, bo przeczuwał, że zaślepieni powodzeniem Szwedzi nie będą się z nim liczyli, nie będą uważali na niego, zwłaszcza że nie okazał się tak potężnym tak władnym na Litwie, jak wszyscy, nie wyjmując i jego samego, myśleli.

Czy tedy król szwedzki odda mu Litwę albo chociaż Białą Ruś?! Zali nie będzie wołał jakim wschodnim okrawkiem Rzeczypospolitej zaspokoić raczej wiecznie głodnego sąsiada, aby mieć ręce rozwiązane w reszcie Polski?

To były pytania, które ustawicznie dręczyły duszę księcia Janusza. Dnie i noce trawił w niepokojach. Pomyślał, że i Pontus de la Gardie nie śmiałyby go traktować tak dumnie, prawie lekceważąco, gdyby się nie spodziewał, że król potwierdzi takie postępowanie, albo co gorzej, gdyby nie miał gotowych już instrukcyj.

„Póki stoję na czele kilku tysięcy ludzi – myślał Radziwiłł – póty jeszcze będą się na mnie oglądali, ale gdy zabraknie mi pieniędzy i gdy najemne pułki rozbiegną się – co będzie?”

A właśnie intrata z olbrzymich dóbr nie nadeszła; część ich niezmierna, rozproszona po całej Litwie i hen, aż do Polesia kijowskiego, leżała w ruinie; Podlaskie zaś wypłukali do cna konfederaci.

Chwilami zdawało się księciu, że upada w przepaść. Ze wszystkich jego robót i knozań mogło mu tylko pozostać miano zdrajcy – nic więcej.

Straszyla go też i inna mara – mara śmierci. Co noc prawie ukazywała się ona przed firankami jego łoża i kiwała nań ręką, jakby chciała rzec: Pójdź w ciemność, na drugą stronę nieznaną rzeki...

Gdyby był stał na szczycie sławy, gdyby ową pożądaną tak namiętnie koronę mógł choć na dzień jeden, choć na godzinę włożyć na skronie, byłby przyjął to straszne, milczące widmo nie-

ulekłym okiem. Ale umrzeć i zostawić po sobie niesławę i pogardę ludzką, wydawało się dla tego pana, jak sam szatan pysznego, piekłem za życia.

Nieraz też, gdy był samotny albo tylko ze swym astrologiem, w którym ufność największą pokładał, chwycił się za skronie i powtarzał przyduszonym głosem:

– Gorzej! gorzej! gorzej!

W tych warunkach zbierał się do pochodu na Podlasie, gdy mu na dzień przed wymarszem dano znać, że książę Bogusław zjechał z Taurogów.

Na samą wieść o tym książę Janusz, jeszcze nim brata ujrzał, jakoby odżył, bo ów Bogusław przywoził z sobą młodość, ślepa wiarę w przyszłość. W nim miała odrodzić się linia birzańska, dla niego już tylko książę Janusz pracował.

Dowiedziawszy się, że nadciąga, chciał koniecznie jechać naprzeciw, lecz że etykieta nie pozwalała przeciw młodszemu wyjeżdżać, posłał więc po niego złoconą kolasę i całą chorągiew Niewiarowskiego dla asysty, a z szańcyków sypanych przez Kmicica i z samego zamku kazał walić z moździerzy, zupełnie tak, jakby na przyjazd króla.

Gdy bracia po ceremonialnym powitaniu zostali wreszcie sam na sam, Janusz chwycił Bogusława w objęcia i począł powtarzać wzruszonym głosem:

– Zaraz mi młodość wróciła! Zaraz i zdrowie wróciło!

Lecz książę Bogusław popatrzył na niego pilnie i rzekł:

– Co waszej książęcej mości jest?

– Nie mośmy się mościami, skoro nas nikt nie słyszy... Co mi jest? Choroba mnie draży, aż zwalę się jak spróchniałe drzewo... Ale mniejsza z tym! Jak się żona moja ma i Maryśka?

– Wyjechały z Taurogów do Tylży. Zdrowe obie, a Marie jako pączek różany; cudnaż to będzie róża, gdy rozkwitnie... *Ma foi!* Piękniejszej nogi w świecie nikt nie ma, a kosy do samej ziemi jej spływają...

– Taką ci się wydała urodziwa? To i dobrze, Bóg cię natchnął, żeś tu wpadł. Lepiej mi na duszy, gdy cię widzę!... Ale co mi *dé publicis* przywozisz?... Cóż elektor?

– To wiesz, że zawarł przymierze z miastami pruskimi?

– Wiem.

– Jeno, że mu nie bardzo ufają. Gdańsk nie chciał przyjąć jego załogi... Mają Niemcy nos do bry.

– I to wiem. A nie pisałeś do niego? Co o nas myśli?

– O nas?... – powtórzył z roztargnieniem książę Bogusław.

I jał rzucać oczyma po komnacie, po czym wstał; książę Janusz myślał, że czegoś szuka, ale on pobiegł do zwierciadła stojącego w kącie i odchyliwszy je odpowiednio począł macać palcem prawej ręki po całej twarzy, wreszcie rzekł:

– Skóra mi trochę przez drogę opierzchła, ale do jutra to przejdzie... Co elektor o nas myśli? Nic... Pisał mi, że o nas nie zapomni.

– Jak to, nie zapomni?

– Mam list ze sobą, to ci go pokażę... Píše, że co bądź się stanie, on o nas nie zapomni. A ja mu wierzę, bo jego korzyść tak mu nakazuje. Elektor tyle o Rzeczpospolitą dba, ile ja o starą perukę, i chętnie by ją Szwedom oddał, byle mógł Prusy zacapić; ale szwedzka potęga zaczyna go niepokoić, więc rad by na przyszłość mieć gotowego sprzymierzeńca, a będzie go miał, jeśli ty zasidziesz na tronie litewskim.

– Oby tak się stało!... Nie dla siebie ja tego tronu chcę!

– Całej Litwy nie uda się może na początek wytargować, ale chociaż dobry kawał z Białorusią i Żmudzią.

– A Szwedzi?

– Szwedzi będą się też radzi nami od wschodu przegrodzić.

– Balsam mi wlewasz...

– Balsam! Aha!... Jakiś czarnoksiężnik w Taurogach chciał mi sprzedać balsam, o którym powiadał, że kto się nim wysmaruje, ma być od szabli, szpady i włóczni bezpieczny. Kazałem go zaraz wysmarować i trabantowi pchnąć dzidą, wyimainuj sobie... na wylot przeszła!...

Tu książę Bogusław począł się śmiać, ukazując przy tym białe jak kość słoniowa zęby. Ale Januszowi nie w smak była ta rozmowa, więc znowu zaczął *de publicis*.

– Wysłałem listy do króla szwedzkiego i do wielu innych naszych dygnitarzy – rzekł. – Musiałeś i ty odebrać pismo przez Kmicica.

– A czekajże! Toć ja poniekąd w tej sprawie przyjechałem. Co ty o Kmicicu myślisz?

– To gorączka, szalona głowa, człowiek niebezpieczny i wędzidła znieść nie umiejący, ale to jeden z tych rzadkich ludzi, którzy z dobrą wiarą nam służą.

– Pewno – odrzekł Bogusław – mnie się nawet o mało do królestwa niebieskiego nie przysłużył.

– Jak to? – pytał z niepokojem Janusz.

– Mówią, panie bracie, że byle w tobie zółć poruszyć, zaraz cię dusić poczyna. Przyrzeczę mi, że będziesz słuchał cierpliwie i spokojnie, a ja ci opowiem coś o twoim Kmicicu, z czego poznasz go lepiej, niż dotąd poznałeś.

– Dobrze! będę cierpliwy, jeno przystąp do rzeczy.

– Cud boski mnie z rąk tego wcielonego diabła wydostał – odrzekł książę Bogusław.

I rozpoczął opowiadać o wszystkim, co się w Pilwiszkach zdarzyło.

Nie mniejszy to był cud, że książę Janusz ataku astmy nie dostał, ale natomiast można było sądzić, że go apopleksja zabije. Trząśł się cały, zębami zgrzytał, palcami oczy zatykał, na koniec począł wołać zachrypłym głosem:

– Tak?!... dobrze!.. Zapomniał jeno, że jego koczołka jest w moich rękach...

– Pohamuj się, na miły Bóg, i słuchaj dalej – odrzekł Bogusław. – Spisałem się więc z nim dość po kawalersku i jeśli tej przygody w diariuszu nie zapiszę ani się nią chwalić nie będę, to tylko dlatego, że mi wstyd, iżem się temu gburowi dał tak podejść jak dziecko, ja, o którym Mazarin mówił, że w intrydze i przebiegłości nie mam równego na całym dworze francuskim. Ale mniejsza z tym... Sądziłem owóz z początku, że tego twego Kmicica zabił, tymczasem mam teraz dowód w ręku, że się wylizal.

– Nic to! znajdziemy go! wykopimy! dostaniemy choćby spod ziemi!... A tymczasem ja mu tu boleśniejszy cios zadam, niż gdybym go ze skóry kazał żywcem obedrzeć.

– Żadnego ciosu mu nie zadasz, jeno zdrowiu własnemu zaszkodzisz. Słuchaj! Jadąc tutaj zauważyłem jakiegoś prostaka na srokatym koniu, który ciągle trzymał się nie opodal od mojej kolasy. Zauważyłem właśnie dlatego, że koń był srokaty, i kazałem go wreszcie wołać. – Gdzie jedziesz? – Do Kiejdan. – Co wiesz? – List do księcia wojewody. – Kazałem sobie ten list oddać, a że arkanów pomiędzy nami nie ma, więc przeczytałem... Masz!

To rzekłszy podał księciu Januszowi list Kmicica, pisany z lasu w chwili, gdy z Kiemliczami w drogę ruszał.

Książę przebiegł go oczyma, mnąc z wściekłością, wreszcie począł wołać:

– Prawda! na Boga, prawda! On ma moje listy, a tam są rzeczy, o które i król szwedzki nie tylko podejrzenie, ale i śmiertelną urazę powziąć może...

Tu chwyciła go czkawka i atak spodziewany nadszedł. Usta otwarły mu się szeroko i chwyciły szybko powietrze, ręce rwały szaty pod gardłem; książę Bogusław, widząc to, zaklaskał w ręce, a gdy służba nadbiegła, rzekł:

– Ratujcie księcia pana; a jak dech odzyska, proście go, by przyszedł do mojej komnaty, ja tymczasem spocznę nieco.

I wyszedł.

W dwie godziny później Janusz, z oczyma nabiegłymi krwią, z obwisłymi powiekami i siną twarzą, zapukał do komnaty Bogusławowej. Bogusław przyjął go leżąc w łóżu z twarzą wysmarowaną migdałowym mlekiem, które miało nadawać skórze miękkość i połysk. Bez peruki na

głowie, bez barwiczki na twarzy i z odczernionymi brwiami wyglądał wiele starzej niż w całkowitym stroju, ale księżę Janusz nie zwrócił na to uwagi.

– Zastanowiłem się jednak – rzekł – że Kmicic nie może tych listów opublikować, bo gdyby to uczynił, tym samym by wyrok śmierci na tę dziewczkę napisał. Zrozumiał on to dobrze, że tylko tym sposobem ma mnie w ręku, ale też i ja nie mogę zemsty wyrzucić, i to mnie gryzie, jakobym rozżartego psa w piersi nosił.

– Te listy trzeba będzie jednak koniecznie odzyskać! – rzekł Bogusław.

– Ale *quo modo*?

– Musisz nastać na niego jakiego zręcznego człeka; niech jedzie, niech z nim w przyjaźń wejdzie i przy zdarzonej sposobności listy zachwyci, a samego nożem pchnie. Trzeba nagrodę wielką obiecać...

– Kto się tu tego podejmie?

– Żeby to tak w Paryżu albo choćby i w Niemczech, w jeden dzień znalazłbym ci stu ochotników, ale w tym kraju nawet i tego towaru nie dostanie.

– A trzeba swojego człowieka, bo cudzoziemca będzie się strzegł.

– To zdaj to na mnie, ja może kogo w Prusach wynajdę.

– Ej, żeby to go żywcem schwytać można, a mnie do rąk dostawić! Zapłaciłbym mu za wszystko od razu. Powiadam ci, że zuchwalstwa tego człowieka przechodziły wszelką miarę. Dlatego go wyprawił, bo mną samym potrząsał, bo mi do oczu o byle co jak kot skakał, bo swoją wolę mi tu we wszystkim narzucał... Mało nie sto razy już, już miałem w gębie rozkaz, by go rozstrzelać... Ale nie mogłem, nie mogłem...

– Powiedz mi, czy naprawdę on nam krewny?...

– Kisków naprawdę krewny, a przez Kisków i nasz.

– Swoją drogą to diabeł jest... i niebezpieczny całą gębą przeciwnik!

– On? Mogłeś mu kazać do Carogrodu jechać i sultana z tronu ściągnąć albo królowi szwedzkiemu brodę oberwać i do Kiejdan ją przywieźć! Co on tu w czasie wojny wyrabiał!

– Tak i patrzy. A przyrzekł nam zemstę do ostatniego oddechu. Szczęściem, dostał ode mnie naukę, że z nami niełatwo. Przyznaj, żem się po radziwiłowsku z nim obszedł, i gdyby jaki francuski kawaler mógł się podobnym uczynkiem pochwalić, to by o nim łgał po całych dniach, z wyjątkiem godzin snu, obiadu i całowania; bo oni, jak się zejda, to lżą jeden przez drugiego tak, że aż słońcu wstyd świecić...

– Prawda, żeś go przycisnął, wolałbym jednak, żeby się to nie przygodziło.

– A ja bym wolał, żebyś sobie lepszych zauszników wybierał, mających więcej respektu dla radziwiłowskich gości.

– Te listy! te listy!...

Bracia umilkli na chwilę, po czym Bogusław pierwszy ozwał się:

– Co to za dziewczka?

– Billewiczówna.

– Billewiczówna czy Mieleszkówna, jedna drugiej równa. Uważasz, że mnie rym znaleźć tak łatwo, jak drugiemu splunąć. Ale ja nie o jej nazwisko pytam, jeno czy urodziwa?

– Ja tam na takie rzeczy nie patrzę, ale to pewna, że i królowa polska mogłaby się nie powstydząć takiej urody.

– Królowa polska? Maria Ludwika? Za czasów Cinq-Marsa może i była gładka, a teraz psi na widok baby wyją. Jeżeli twoja Billewiczówna taka, to ją sobie zachowaj... Ale jeżeli naprawdę cudna, to mi ją do Taurogów oddaj, a już tam zemstę na wspólnkę z nią nad Kmicicem obmyślę.

Janusz zamyślił się na chwilę.

– Nie dam ci jej – rzekł wreszcie – bo ty ją siłą zniewolisz, a wówczas Kmicic listy opublikuje.

– Ja miałbym siły używać przeciw jednej waszej dzierlatce?... Nie chwałąc się, nie z takimi miałem do czynienia, a nie niewoliłem żadnej... Raz tylko, ale to było we Flandrii... Głupia była... córka złotnika... Nadciągnęli potem piechurowie hiszpańscy i na ich karb to poszło.

– Ty tej dziewczki nie znasz... Z zanego domu, cnota chodząca, rzekłbyś: mniszka.

– Znamy się i z mniszkami...

– A przy tym nienawidzi nas ona, bo to *hic mulier*, patriotka... Ona to Kmicica spraktykowała... Nie masz takich wiele między naszymi niewiastami... Rozum zgoła męski... i Jana Kazimierza najżarliwsza partyzantka.

– To mu obrońców przysporzymy...

– Nie może być, bo Kmicic listy opublikuje... Muszę jej strzec jak oka w głowie... do czasu. Potem oddam ci ją albo twoim dragonom, wszystko mi jedno!

– Daję ci więc parol kawalerski, że jej nie będę siłą niewolił, a słowa, które prywatnie daję, zawsze dotrzymuję. W polityce co innego... Wstyd byłoby mi nawet, gdybym sam przez się nie umiał nic wskórać.

– Nie wskórasz.

– To w najgorszym razie wezmę w pysk, a od niewiasty to nie dyshonor... Ty idziesz na Podlasie, co tedy będziesz z nią robił? Ze sobą jej nie weźmiesz, tu nie zostawisz, bo tu przyjdą Szwedzi, a trzeba, żeby *comme otage* dziewczka została zawsze w naszym ręku... Czy nie lepiej, że ją do Taurogów wezmę... a do Kmicica pošlę nie zbója, ale posłańca z pismem, w którym napiszę: oddaj listy, oddam ci dziewczkę.

– Prawda jest! – rzekł książę Janusz – to dobry sposób.

– Jeśli zaś – mówił dalej Bogusław – oddam mu ją niezupełnie taką, jaką wziąłem, to będzie i zemsty początek.

– Aleś dał słowo, że gwałtu nie użyjesz?

– Dałem i powtarzam jeszcze, że wstyd by mi było...

– To musisz wziąć i jej stryja, miecznika rosieńskiego, który tu z nią bawi.

– Nie chcę. Szlachcic pewnie waszym obyczajem wiechcie w butach nosi, a ja tego znieść nie mogę.

– Ona sama nie zechce jechać.

– To jeszcze zobaczymy. Zaprosz ich dziś na wieczerzę, bym ją obejrzał i uznał, czy warto na ząb brać, a ja tymczasem sposoby na nią obmyślę. Na Boga jeno, nie mów jej tylko o Kmicicowym uczynku, bo to by go w jej oczach podniosło i w wierności dla niego utwierdziło. A przy wieczerzy nie kontruj mnie w niczym, co bądź bym mówił. Obaczysz moje sposoby i własne młode lata ci się przypomną.

Książę Janusz machnął ręką i wyszedł, a książę Bogusław założył obie ręce pod głowę i począł nad sposobami rozmyślać.

## ROZDZIAŁ VIII

Na wieczerzę, oprócz miecznika rosieńskiego z Oleńką, zaproszono także znaczniejszych oficerów kiejdańskich i kilku dworzan księcia Bogusława. On sam nadszedł tak strojny i wspaniały, że oczy rwał. Peruka jego pozakręcana była w misterne i faliste pukle; twarz delikatnością barwy przypominała mleko i różę; wąsik zdawał się być pelą jedwabną, a oczy gwiazdami. Ubrany był czarno, w kaftan zszywany z pasów materialnych i aksamitnych, u którego rękawy rozcięte spi-nane były wzdłuż ręki. Naokoło szyi miał wyłożony szeroki kołnierz z najcudniejszych koronek brabanckich wartości nieoszacowanej i także mankiety wedle dłoni. Złoty łańcuch spadał mu na piersi, a przez prawe ramię, wzdłuż całego kaftana, szedł aż do lewego biodra pendent od szpady z holenderskiej skóry, ale tak nasiany diamentami, że wyglądał jak smuga mieniającego się światła. Zarówno błyszcząca od diamentów i rękojeść szpady, a w kokardach jego trzewików świeciły dwa największe, tak wielkie jak laskowe orzechy. Cała postać wydawała się wyniosłą, a równie szlachetną jak piękną.

W jednej ręce trzymał koronkową chusteczkę, drugą dłonią podtrzymywał zwieszony ówczesną modą na rękojeści kapelusz zdobny we fryzowane czarne pióra strusie, niezmiernie długie.

Wszyscy, nie wyłączając księcia Janusza, patrzyli nań z podziwem i uwielbieniem. Księżciu wojewodzie przychodziły na pamięć młode lata, gdy tak samo gasił wszystkich na dworze francuskim urodą i bogactwem. Lata te były już daleko, ale teraz zdawało się hetmanowi, że odżył w tym świetnym kawalerze, który toż samo nosił nazwisko.

Rozochocił się tedy książę Janusz i przechodząc mimo, dotknął wskazującym palcem piersi brata.

– Łuna od ciebie bije jakby od miesiąca – rzekł. – Czyś nie dla Billewiczówny się tak wy-stroił?

– Miesiącowi wszędy łatwo się wcisnąć – odparł chętnie Bogusław.

I dalej począł rozmawiać z Ganchofem, przy którym może i umyślnie stanął, ażeby się lepiej wydawać, bo Ganchof był to mąż dziwnie szpetny: twarz miał ciemną i ospą podziobaną, nos krogulczy i zadarte do góry wąsy; wyglądał jak duch ciemności, a Bogusław przy nim jak duch światła.

Wtem weszły damy: pani Korfowa i Oleńka. Bogusław rzucił na nią bystrym wzrokiem i skłoniwszy się naprędce pani Korfowej, już, już przyłożył palce do ust, aby Billewiczównie przesłać, wedle kawalerskiej mody, od ust całusa, gdy spostrzegłszy jej urodę wykwinłą a dumną i poważną, w jednej chwili zmienił taktykę. W prawą rękę chwycił kapelusz i podsunął się ku panie, skłonił się tak nisko, że prawie zgiął się we dwoje, pukle peruki spadły mu po obu stronach ramion, szpada przybrała poziome położenie, a on stał tak, poruszając umyślnie kapeluszem i zamiatając piórami na znak czci posadzkę przed Oleńką. Bardziej dworskiego ukłonu nie mógł oddać królowej francuskiej. Billewiczówna, która wiedziała o jego przyjeździe, domyśliła się natychmiast, kto przed nią stoi, więc chwyciwszy końcami palców za suknię, od-dała mu również dyg głęboki.

Wszyscy podziwiali obojga urodę i układność manier, widną z samego powitania, a niezbyt znaną w Kiejdanach, bo księżna Januszowa więcej kochała się, jako Wołoszka, we wschodnim przepychu niż w dworności, zaś księżniczka była jeszcze małą dziewczyną.

Wtem Bogusław podniósł głowę, strząsnął pukle peruki na plecy i szurgając mocno nogami, podsunął się żywo do Oleńki; jednocześnie rzucił paziowi kapelusz, a jej podał rękę.

– Oczom nie wierzę... i chyba we śnie widzę to, co widzę – mówił prowadząc ją do stołu – ale powiedz mi, piękna bogini, jakim cudem zesłaś z Olimpu do Kiejdan?

– Choć prostą jestem szlachcianką, nie boginią – odparła Oleńka – nie taka znów prostaczka ze mnie, bym za co innego jak za dworność słowa waszej książęcej mości brać miała.

– Choćbym też chciał być najdworniejszym, zwierciadło twoje powie ci więcej ode mnie.

– Powie nie więcej, ale szczerzej – odrzekła ściągając wedle ówczesnej mody usta.

– Gdyby w tej komnacie było chociaż jedno, wraz bym cię do niego zaprowadził... Tymczasem przejrzyj się w oczach moich, a poznasz, czyli ich podziw nieszczery!

Tu Bogusław przechylił głowę i przed Oleńką zabłysły oczy jego, wielkie i czarne jak aksamit, a słodkie, przenikliwe i jednocześnie palące. Pod wpływem ich żaru twarz dziewczyny powlokła się purpurowym rumieńcem, spuściła powieki i odsunęła się nieco, bo uczuła, że Bogusław ramieniem przycisnął z lekka do swego boku jej rękę.

Tak przyszli do stołu. On zasiadł przy niej i znać było, że naprawdę jej uroda nadzwyczajne na nim uczyniła wrażenie. Spodziewał się zapewne znaleźć szlachciankę hożą jak łania, śmiejącą się i wrzaskliwą jak sojka, i czerwoną jak kwiat maku, tymczasem znalazł dumną pannę, w której czarnych brwiach widać było nieugiętą wolę, w oczach rozum i powagę, w całej twarzy jasny spokój dziecinny, a tak przy tym szlachetną w postawie, tak wdzięczną i cudną, że na każdym dworze królewskim mogłaby się stać celem hołdów i zabiegów najpierwszych w kraju kawalerów.

Piękność jej niewysłowiona budziła podziw i żądze, ale był w niej zarazem jakiś majestat, który nakładał im wędzidło, tak że mimo woli pomyślał Bogusław: „Za wcześniej przycisnął jej rękę... z taką trzeba polityką, nie obcesem!”

Ale tym niemniej postanowił sobie posiąść jej serce i doznawał dzikiej radości na myśl, że przyjdzie chwila, w której ów majestat dziewiczy i owa piękność przezysta zda się na jego łaskę i niełaskę. Groźna twarz Kmicica stawała w poprzek tym marzeniom, ale dla zuchwałego młodziana była to tylko jedna więcej podnieta. Pod wpływem tych uczuć rozpromienił się cały, krew poczęła w nim grać jak we wschodnim rumaku, wszystkie jego władze ożywiły się niezwykle i światło tak biło od całej jego postaci jak od jego diamentów.

Rozmowa przy stole stała się ogólną, a raczej zmieniała się w ogólny chór pochwał i pochlebstw dla Bogusława, których świetny kawaler słuchał z uśmiechem, ale bez zbytniego zadowolenia, jako rzeczy zwykłej i codziennej. Mówiono naprzód o jego czynach wojennych i pojedynkach. Nazwiska pokonanych książąt, margrabiów, baronów sypały się jak z rękawa. On sam jeszcze od czasu do czasu dorzucił niedbale jedno więcej. Słuchacze zdumiewali się, książę Janusz gładził swe długie wąsy z zadowoleniem, a na koniec Ganchof rzekł:

– Choćby fortuna i urodzenie nie stawały na przeszkodzie, nie chciałbym ja waszej książęcej mości w drogę wejść i to mi tylko dziwno, że się jeszcze śmiałkowie tacy znajdują.

– Co chcesz, panie Ganchof! – rzekł książę. – Są ludzie z żelazną twarzą i żbiczym wzrokiem, których sam widok przestrasza, ale mnie Bóg tego odmówił... Mego oblicza nie ulęknie się nawet panna.

– Jako ćma nie boi się pochodni – odrzekła wdzięcząc się i krygując pani Korfowa – póki w niej nie zgorzeje...

Bogusław rozśmiał się, a pani Korfowa mówiła dalej, nie ustając się krygować:

– Panów żołnierzy więcej pojedynki obchodzą, a my, niewiasty, rade byśmy też coś o amarach waszej książęcej mości usłyszeć, o których wieści aż tu nas dochodziły.

– Nieprawdziwe, pani dobrodziejko, nieprawdziwe... Wszystko jeno przez drogę urosło... Swatano mnie, to prawda... Jejmość królowa francuska była tak łaskawa...

– Z księżniczką de Rohan – dorzucił Janusz.

– Z drugą, de la Forse – dodał Bogusław – ale że właśnie sercu ani nawet sam król nie może kochania nakazać, a dostatków, chwała Bogu, nie potrzebujemy we Francji szukać, przeto nie mogło być chleba z tej mąki... Grzeczne to były panny, co prawda, i nad imaginację urodziwe, ale przecie są u nas jeszcze urodziwsze... i nie potrzebowałbym z tej komnaty wychodzić, by takie znaleźć...



Tu rzucił długie spojrzenie na Oleńkę, która udając, że nie słyszy, poczęła coś mówić do pana miecznika rosieńskiego, a pani Korfowa znów głos zabrała:

– Nie brak i tu gładkich, nie masz jeno takich, które by waszej książęcej mości fortuną i urodzeniem wyrównać mogły.

– Pozwolisz, jejmość dobrodziejka, że zaneguję – odparł żywo Bogusław – bo, naprzód, nie myślę ja tego, aby szlachcianka polska czymś podlejszym od Rohanówien i od Forsów być miała, po drugie, nie pierwszozna to Radziwiłłom ze szlachciankami się żenić, jako i dzieje liczne podają tego przykłady. Upewniam też jejmość dobrodziejkę, że ta szlachcianka, która Radziwiłłową zostanie, nawet na dworze francuskim przed tamtejszymi księżniczkami krok i prym weźmie.

– Ludzki pan!... – szepnął Oleńce miecznik rosieński.

– Tak ja to zawsze rozumiałem – mówił dalej Bogusław – choć nieraz wstyd mi za szlachtę polską, gdy ją z zagraniczną porównam, bo nigdy by się tam nie zdarzyło to, co się tu zdarzyło, że wszyscy pana swego opuścili, ba, że dybać na jego zdrowie gotowi. Szlachcic francuski najgorszego uczynku się dopuści, ale pana swego nie zdradzi...

Obecni poczęli spoglądać na siebie i na księcia z zadziwieniem. Książę Janusz zmarszczył się i nasrożył, a Oleńka utkwiała swe niebieskie oczy z wyrazem podziwu i wdzięczności w twarzy Bogusławowej.

– Wybacz wasza książęca mość – rzekł Bogusław zwracając się do Janusza, który jeszcze ochłonać nie zdołał – wiem, że nie mogłeś inaczej postąpić, że cała Litwa by zginęła, gdybyś był za moją radą poszedł; ale przecie, czcząc cię jako starszego i kochając jak brata, nie przestanę z tobą o Jana Kazimierza się spierać. Jesteśmy między sobą, więc mówię, co myślę: nieopłakany pan, dobry, łaskawy, pobożny, a mnie podwójnie drogi! Toż ja go pierwszy z Polaków odprowadzałem, gdy go z francuskiego więzienia wypuszczono. Dzieckiem jeszcze prawie byłem podówczas, ale tym bardziej nigdy tego nie zapomnę i chętnie bym krew moją oddał, by go przynajmniej od tych zasłonić, którzy praktyki przeciw świętej jego osobie poczynają.

Januszowi, jakkolwiek zrozumiał już grę Bogusławową, wydała się ona jednak zbyt śmiałą i zbyt hazardowną dla tak błahego celu, więc nie ukrywając niezadowolenia mówił:

– Na Boga! o jakichże zamysłach przeciw zdrowiu naszego eks-króla wasza książęca mość mówisz? Kto je czyni? Gdzie się takowe *monstrum* w polskim narodzie znaleźć mogło?... To się, jako żywo, od początku świata w Rzeczypospolitej nie przygodziło!

Bogusław zwiesił głowę.

– Nie dawniej jak miesiąc temu – rzekł ze smutkiem w głosie – gdym z Podlasia do Prus elektorskich, do Taurogów jechał, przybył do mnie jeden szlachcic... z zacnego domu... Szlachcic ów, nie znając widać moich prawdziwych dla pana naszego miłościwego afektów, myślał, że mu wrogiem jako inni. Owóż za znaczną nagrodę obiecywał mi pojechać na Śląsk, porwać Jana Kazimierza i żywego lub umarłego Szwedom wydać...

Wszyscy oniemieli ze zgrozy.

– A gdym z gniewem i abominacją takową propozycję odrzucił – kończył Bogusław – ów człek z miedzianym czołem rzekł mi: „Pojadę do Radziejowskiego, ten kupi i od funta złotem mi zapłaci...”

– Nie jestem eks-królowi przyjacielem – rzekł Janusz – ale gdyby mnie kto podobną propozycję uczynił, kazałbym go bez sądu pod murem postawić, a sześciu muszkieterów naprzeciw.

– W pierwszej chwili i ja chciałem tak postąpić – odparł Bogusław – ale rozmowa była na cztery oczy i dopieroż by krzyczano na tyraństwo a na samowolę Radziwiłłów! Nastraszyłem go jeno, że i Radziejowski, i król szwedzki, ba, sam Chmielnicki nawet, pewnie by go za to gardłem skarał; słowem doprowadziłem owego zbrodniarza do tego, że się zamysłu wyrzekł.

– Nic to, nie trzeba go było żywym puszczać, bo najmniej pala był wart! – zawołał Korf.

Bogusław zwrócił się nagle do Janusza.

– Mam też nadzieję, że go kara nie minie, i pierwszy wnoszę, by zwykłą śmiercią nie zginął, a wasza książęca mość sam jeden możesz go ukarać, bo to twój dworzanin i twój pułkownik...

– Na Boga! mój dworzanin?... Mój pułkownik? Co za jeden?!... Kto?... Mów wasza książęca mość!

– Zwie się Kmicic! – rzekł Bogusław.

– Kmicic?!... – powtórzyli wszyscy w przerażeniu.

– To nieprawda! – krzyknęła nagle Billewiczówna wstając z krzesła z iskrzącymi oczyma i falującą piersią.

Nastało głuche milczenie. Jedni nie ochłonęli jeszcze po strasznej Bogusławowej nowinie, drudzy zdumieli się nad zuchwalstwem tej panny, która śmiała młodemu księciu fałsz w oczy zadać; miecznik rosieński począł bełkotać: „Oleńka! Oleńka!” – a Bogusław przyoblekł twarz w smutek i rzekł bez gniewu:

– Jeśli to krewny lub narzeczony waćpanny, to boleję, żem tę nowinę powiedział, ale wyrzuc go z serca, bo niewart on ciebie, panienko...

Ona stała chwilę jeszcze w bólu, w płomieniach i przerażeniu; lecz z wolna oblicze jej stygło, aż stało się zimne i blade; opuściła się na powrót na krzesło i rzekła:

– Przebacz wasza książęca mość... Niesłuszniem przeczyła... Do tego człowieka wszystko podobne...

– Niechże mnie Bóg ukarze, jeżeli co innego czuję prócz litości – odpowiedział łagodnie książę Bogusław.

– To był narzeczony tej panny – rzekł książę Janusz – i sam ich swatałem. Człek był młody, gorączka, nabroił siłą... Ratowałem go przed prawem, bo żołnierz dobry. Wiedziałem, że warchoł to był i będzie... Ale żeby szlachcic do podobnego bezceństwa był zdolny, tegom się nawet po nim nie spodziewałem.

– To zły był człowiek, dawno to wiedziałem! – rzekł Ganchof.

– I nie ostrzegłeś mnie? Czemu to? – spytał tonem wymówki Janusz.

– Bom się bałem, że wasza książęca mość o inwidję mnie posądzi, gdyż on wszędy miał pierwszy krok przede mną.

– *Horribile dictu et auditu* – rzekł Korf.

– Mości panowie – zawołał Bogusław – dajmy temu pokój! Jeśli wam ciężko tego słuchać, cóż dopiero pannie Billewiczównie.

– Wasza książęca mość raczy nie zważać na mnie – rzekła Oleńka – mogę wszystkiego już wysłuchać.

Ale już i wieczera miała się ku końcowi; podano wodę do umycia rąk, po czym książę Janusz wstał pierwszy i podał rękę pani Korfowej, a książę Bogusław Oleńce.

– Zdrajcę już Bóg pokarał – rzekł do niej – bo kto ciebie stracił, niebo stracił... Nie masz dwóch godzin, jakem cię poznał, wdzięczna panienko, a rad bym cię widzieć wiecznie nie w boleści i we łzach, ale w rozkoszy i szczęściu...

– Dziękuję waszej książęcej mości – odrzekła Oleńka.

Po rozejściu się dam mężczyźni wrócili jeszcze do stołu szukać uciechy w kielichach, które krążyły gęsto. Książę Bogusław pił na umór, bo był kontent z siebie. Książę Janusz rozmawiał z panem miecznikiem rosieńskim.

– Ja jutro wyjeżdżam z wojskiem na Podlasie – rzekł mu. – Do Kiejdan przyjdzie szwedzka załoga. Bóg wie, kiedy wrócę... Waszmość nie możesz tu z dziewczyną zostawać, bo i dla niej między żołnierstwem nieprzystojnie. Pojedziecie oboje z księciem Bogusławem do Taurogów, gdzie dziewczka przy żonie mojej może we fraucymerze znaleźć pomieszczenie.

– Wasza książęca mość – odparł miecznik rosieński – Bóg nam dał własne kąty, po co nam do obcych krajów jeździć. Wielka to łaska waszej książęcej mości, że o nas pamięta... Ale nie chcąc faworu nadużywać wolelibyśmy pod własną strzechę powrócić.

Książę nie mógł wyjaśnić panu miecznikowi wszystkich powodów, dla których za żadną cenę nie chciał wypuszczać z rąk Oleńki, ale część ich powiedział z całą szorstką otwartością magnata.

– Jeśli chcesz to waćpan przyjąć za fawor, to i lepiej... Ale ja waćpanu powiem, że to i ostrożność. Waćpan tam będziesz zakładnikiem; waćpan mi tam za wszystkich Billewiczów odpowiesz, którzy, wiem to dobrze, nie liczą się do moich przyjaciół i gotowi podnieść Żmudź, gdy odejdę... Dajże im waćpan radę, by tu siedzieli spokojnie i przeciw Szwedom nic nie poczynali, bo głowa twoja i twej synowicy za to odpowie.

Na to miecznikowi widocznie zabrakło cierpliwości, bo odrzekł żywo:

– Próżno bym się na moje prawa szlacheckie powoływał. Siła przy waszej książęcej mości, a mnie wszystko jedno, gdzie mam w więzieniu siedzieć; wolę nawet tam niż tu!

– Dość tego! – rzekł groźnie książę.

– Co dość, to dość! – odrzekł miecznik. – Bóg też da, że gwałty się skończą, a prawo znów zapanuje. Krótko mówiąc, wasza książęca mość mi nie gróź, bo się nie boję.

Bogusław dojrzał widocznie błyskawice gniewu migocące na twarzy Janusza, zbliżył się więc szybko.

– O co idzie? – rzekł stawając między rozmawiającymi.

– Powiedziałem panu hetmanowi – odparł z rozdrażnieniem miecznik – że wolę więzienie w Taurogach niż w Kiejdanach.

– W Taurogach nie masz więzienia, jest jeno dom mój, w którym waszmość będzie jak u siebie. Wiem, że hetman chce widzieć w waszmości zakładnika, ja widzę tylko miłego gościa.

– Dziękuję waszej książęcej mości – odpowiedział miecznik.

– To ja dziękuję waszmości. Trąćmy się i wypijmy razem, bo mówią, że przyjaźń trzeba zaraz podlać, aby nie zwiędła w zarodku.

To rzekłszy zawiódł Bogusław pana miecznika do stołu i poczęli się trącać a przypijać do siebie często gęsto.

W godzinę później miecznik wracał nieco chwiejnym krokiem do swej izby powtarzając półgłosem:

– Ludzki pan! Zacny pan! Uczciwszego z latarnią nie znaleźć... Złoto! złoto szczerze... Chętnie krwi bym dla niego utoczył.

Tymczasem bracia zostali sam na sam. Mieli ze sobą jeszcze do pogadania, a przy tym i listy przyszły jakies, po które wysłali pazia, aby je od Ganchofa przyniósł.

– Oczywiście – rzekł Janusz – nie masz w tym i słowa prawdy, coś o Kmicicu mówił?

– Oczywiście... Sam wiesz najlepiej. Ale co? Przyznaj! Nie miał Mazarin słuszności? Za jednym zachodem zemścić się okrutnie nad wrogiem i uczynić wyłom w tej ślicznej fortecy... Co? Kto to potrafi?... To się nazywa intryga godna pierwszego w świecie dworu! A perłaż to ta Billewiczówna, a wdzięczne to, a wspaniałe, a paniątko, jakoby z krwi książęcej! Myślałem, że ze skóry wyskoczę!

– Pamiętaj, żeś dał słowo... Pamiętaj, że zgubisz nas, jeśli tamten listy opublikuje.

– Co to za brwi! Co za wejście królewskie, aż respekt bierze... Skąd w takiej dziewczce taki nieledwie królewski majestat?... Widziałem raz w Antwerpii Dianę, na gobelinie misternie wyszytą, psami ciekawego Akteona szczującą... Kubek w kubek ona!

– Bacz, by Kmicic listów nie opublikował, bo nas by wtedy psi na śmierć zagryźli.

– Nieprawda! Ja to Kmicica w Akteona zmienię i na śmierć zaszczuję. Na dwóch polach już go zbił na głowę, a przyjdzie między nami jeszcze do sprawy!

Dalszą rozmowę przerwało wejście pazia z listem.

Wojewoda wileński wziął pismo do ręki i przeżegnał. Zawsze tak czynił, by od złych nowin się zabezpieczyć; następnie, zamiast otworzyć, począł je oglądać starannie. Nagle zmienił się na twarzy.

– Sapiarów klejnot na pieczęci! – zakrzyknął – to od wojewody witebskiego.

– Otwórz prędzej! – rzekł Bogusław.

Hetman otworzył i począł czytać przerywając od czasu do czasu wykrzykami:

– Idzie na Podlasie!... Pyta, czy nie mam poleceń do Tykocina!... Urağa mi!... Gorzej jeszcze, bo słuchaj, co dalej pisze:

„Chcesz Wasza Ks. Mość wojny domowej, chcesz jeden więcej miecz w łono matki pograć? To przybywaj na Podlasie, czekam cię i ufam w Bogu, że pychę twą moimi rękoma ukarze... Ale jeśli masz miłosierdzie nad ojczyzną, jeśli sumienie cię ruszyło, jeśli Wasza Ks. Mość żałujesz dawnych uczynków i poprawę chcesz okazać, tedy pole przed tobą. Miasto wojnę domową zaczynać, zwołaj pospolite ruszenie, podnieś chłopstwo i uderz na Szwedów, póki ubezpieczony Pontus niczego się nie spodziewa i żadnej baczności nie okazuje. Od Chowańskiego przeszkody w tym mieć Wasza Ks. Mość nie będziesz, bo mnie słuchy z Moskwy dochodzą, że oni tam sami o wyprawie do Inflant myślą, chociaż trzymają to w tajemnicy. Wreszcie, jeśliby Chowański chciał co przedsięwziąć, to ja utrzamam go na wodzy, i byłem szczerze mógł zaufać, pewnie ze wszystkich sił w ratowaniu ojczyzny Waszej Ks. Mości pomagać będę. Wszystko to od Waszej Ks. Mości zależy, bo jeszcze czas nawrócić z drogi i winy zmasać. Wtedy okaże się jawnie, żeś Wasza Ks. Mość nie w widokach osobistych, ale dla odwrócenia ostatniej klęski od Litwy przyjął szwedzką protekcję. Niechże Waszą Księżęcą Mość Bóg tak natchnie, o co codziennie Go proszę, choć mnie Wasza Księżęcą Mość o inwidię pomawiać raczysz.

P.S. Słyszałem, że oblężenie z Nieświeża zdjęte i że książe Michał z nami się chce połączyć, jak tylko szkody naprawi. Patrzże Wasza Ks. Mość, jak zacni z twojej rodziny czynią, i na ich przykład się zapatruj, a w każdym terminie pomyśl, że masz teraz wóz i przewóz.”

– Słyszałeś? – rzekł skończywszy czytać książe Janusz.

– Słyszałem... i co? – odpowiedział Bogusław patrząc bystro na brata.

– Trzeba by się wszystkiego wyrzec, wszystkiego zaniechać, własną robotę własnymi poszarpać rękoma...

– I z potężnym Karolem Gustawem zadrzyć, a wygnanego Kazimierza za nogi imać, by raczył przebaczyć i do służby na powrót przyjąć... a i pana Sapiechę o instancję prosić...

Twarz Janusza nabrzmiała krwią.

– Uważasz, jak to on do mnie pisze: „Popraw się, a przebaczę ci” – jakby zwierzchnik do podwładnego!

– Inaczej by pisał, gdyby mu sześć tysięcy szabel nad karkiem zawisło.

– Wszelako... – tu zamyślił się posepnie książe Janusz.

– Wszelako co?

– Dla ojczyzny byłby może ratunek tak uczynić, jak Sapieha radzi?

– A dla ciebie? Dla mnie? Dla Radziwiłłów?...

Janusz nic nie odpowiedział, oparł głowę na złożonych pięściach i myślał.

– Niechże tak będzie! – rzekł wreszcie. – Niech się spełni...

– Coś postanowił?

– Jutro ruszam na Podlasie, a za tydzień uderzę na Sapiechę.

– Toś Radziwiłł! – rzekł Bogusław.

I podali sobie ręce.

Po chwili Bogusław udał się na spoczynek. Janusz pozostał sam. Raz i drugi przeszedł ciężkim krokiem przez komnatę, na koniec zaklaskał w ręce.

Paź pokojowiec wszedł do izby.

– Niech astrolog za godzinę przyjdzie do mnie z gotową figurą – rzekł.

Paź wyszedł, a książe znów począł chodzić i odmawiać swe kalwińskie pacierze. Po czym zaczęła śpiewać półgłosem psalm, przerywając często, bo mu oddechu brakło, i spoglądając od czasu do czasu przez okno na gwiazdy migocące na firmamencie.

Powoli światła gasły w zamku, ale prócz astrologa i księcia jedna jeszcze istota czuwała w swej komnacie, a mianowicie Oleńka Billewiczówna.

Klęcząc przed swym łóżkiem, splotła obie ręce na głowie i szeptała z zamkniętymi oczyma:  
– Zmiłuj się nad nami... Zmiłuj się nad nami!  
Pierwszy raz od czasu wyjazdu Kmicica nie chciała, nie mogła modlić się za niego.

## ROZDZIAŁ IX

Pan Kmicic posiadał wprawdzie glejty radziwiłłowskie do wszystkich kapitanów, komendantów i gubernatorów szwedzkich, aby mu wszędy wolny przejazd dano i wstrętu nie czyniono, lecz nie śmiał z tych glejtów korzystać. Spodziewał się bowiem, że ksiązę Bogusław zaraz z Pilwiszek pchnął na wszystkie strony posłańców z ostrzeżeniem do Szwedów o tym, co się stało, i z rozkazem chwywania Kmicica. Dlatego to pan Andrzej i obce nazwisko przyjął, i nawet stan odmienił. Omijając więc Łomżę i Ostrołękę, do których pierwiej ostrzeżenia dojść mogły, pędził swe konie wraz z kompanią ku Przasnyszowi, skąd na Pułtusk pragnął się przebrać do Warszawy.

Nim jednak do Przasnysza doszedł, czynił krąg nad granicą pruską na Wąsosz, Kolno i Myszyniec, dlatego że Kiemlicze, znając dobrze tamtejsze puszcze, byli świadomi przejść leśnych, a prócz tego mieli swe „komitywy” między Kurpiami, od których w nagłym razie mogli się pomocy spodziewać.

Kraj nad granicą był już po większej części zajęty przez Szwedów, którzy jednak, ograniczając się na zajmowaniu miast znaczniejszych, niezbyt śmieje zapuszczali się w drzemiące i niezgłębione lasy, zamieszkałe przez ludność zbrojną, myśliwą, nigdy z lasów się nie wychylającą i tak jeszcze dziką, że właśnie rok temu królowa Maria Ludwika kazała wznieść kaplicę w Myszyncu i osadziła w niej jezuitów, którzy mieli uczyć wiary i łagodzić obyczaje puszczańskiego ludu.

– Im dłużej nie napotkamy Szwedów – mówił stary Kiemlicz – tym dla nas lepiej.

– Musimy ich w końcu napotkać – odpowiadał pan Andrzej.

– Kto ich napotka przy większym mieście, temu często boją się krzywdy uczynić, bo jako w mieście, jest zawsze jakowyś rząd i jakowyś starszy komendant, do którego można skarżyć. Już ja się o to ludzi rozpytywałem i wiem, że są rozkazy od króla szwedzkiego, zabraniające swawoli i zdzierstwa. Ale mniejsze podjazdy, daleko od oczu komendantów wysyłane, nic na rozkazy nie zważają i spokojnych ludzi łupią.

Płynęli więc lasami, nigdzie Szwedów nie spotykając, nocując po smolarniach i osadach leśnych. Między Kurpiami, chociaż prawie nikt z nich nie widział dotąd Szwedów, chodziły najrozmaitsze wieści o najściu kraju. Mówiono, że przybył lud zza morza, mowy ludzkiej nie rozumiejący, nie wierzący w Chrystusa Pana, Najświętszą Pannę ani we wszystkich świętych i dziwnie drapieżny. Inni prawili o nadzwyczajnym łakomstwie tych nieprzyjaciół na bydło, skóry, orzechy, miód i grzyby suszone, których jeśli im odmawiano, wówczas podpalali puszcę. Niektórzy twierdzili przeciwnie, że to jest naród wilkołaków, chętnie ludzkim mięsem, a mianowicie mięsem dziewczyn się karmiący.

Pod wpływem tych groźnych wieści, które w największe głębie puszczańskie zaleciały, jęli się Kurpikowie „poczuwać” i zhukiwać po lasach. Ci, którzy wyrabiali potaż i smołę, i ci, którzy zbieraniem chmielu się trudnili, i drwale, i rybitwowie, którzy zastawiali wężierze po zarosłych wybrzeżach Rosogi, i wnicznicy, i myśliwi, i pszczołowody, i bobrownicy zbierali się teraz po znaczniejszych osadach, słuchając opowiadań, udzielając sobie nowin i radząc, jak by nieprzyjaciela, jeśliby się w puszczy pokazał, wyżenać.

Kmicic, jadąc ze swym orszakiem, nieraz spotykał większe i mniejsze kupy tego ludu przybranego w konopne koszule i skóry wilcze, lisie lub niedźwiedzie. Nieraz też zastępowano mu na przesmykach i pasach pytając:

– Kto ty? Czy nie Szwed?

– Nie! – odpowiadał pan Andrzej.

– Niech ciebie Bóg broni!

Pan Andrzej przypatrywał się z ciekawością tym ludziom żyjącym ustawicznie w mrokach leśnych, których twarze nie opalało nigdy odkryte słońce; podziwiał ich wzrost, śmiałość wejrzenia, szczerłość mowy i wcale niechłopską fantazję.

Kiemlicze, którzy ich znali, zapewniali pana Andrzeja, że nie masz nad nich strzelców w całej Rzeczypospolitej. Jakoż zauważył, że wszyscy mieli dobre niemieckie rusznice, które z Prus za skóry wymieniali. Kazał im też swą sprawność w strzelaniu okazywać i zdumiewał się jej widokiem, a w duszy myślał:

„Gdyby mi przyszło partię zbierać, tu bym przyszedł.”

W Myszyncu samym znalazł wielkie zgromadzenie. Przeszło stu strzelców trzymało ustawicznie straż przy misji, bo obawiano się, że Szwedzi tu najpierwej się pokażą, zwłaszcza że starosta ostrołęcki kazał wyciąć drogę w lasach, aby księża, w misji osiedli, mogli mieć „do świata przystęp”.

Chmielarze, którzy swój towar dostawali aż do Przasnysza tamtejszym sławnym piwowarom i z tego powodu uchodzili za ludzi bywałych, opowiadali, że w Łomży, w Ostrołęce i Przasnyszu roi się od Szwedów, którzy tak już tam gospodarują jak w domu i podatki wybierają.

Kmicic jął namawiać Kurpiów, by nie czekając Szwedów w puszczy, uderzyli na Ostrołękę i wojnę rozpoczęli, a sam ofiarował się ich poprowadzić. Wielką też między nimi znalazł ochotę, ale dwaj księża odwiedli ich od tego szalonego czynu, przedstawiając, aby czekali, aż cały kraj się ruszy, i przedczesnym wystąpieniem nie ściągali na się okrutnej zemsty nieprzyjaciela.

Pan Andrzej odjechał, ale żałował straconej sposobności.

Ta mu tylko pociecha została, iż przekonał się, że byle gdziekolwiek prochy wybuchły, to ani Rzeczypospolitej, ani królowi nie zbraknie w tych stronach na obrońcach.

„Jeśli tak jest i gdzie indziej, tedyby można poczynać” – myślał.

I gorąca jego natura rwała się ku prędkiemu poczynaniu, ale rozsądek mówił: „Kurpie sami Szwedów nie zwojują... Przejedziesz kawał kraju, obaczysz, przyjrzyj się, a potem posłuchasz królewskiego rozkazu.”

Jechał więc dalej. Wyjechawszy z puszczy głębokich na rubieże leśne, w okolicę gęściej osiadłą, ujrzał po wszystkich wioskach ruch nadzwyczajny. Po drogach pełno było szlachty, jadącej w brykach, kałamaszkach, kolasach lub konno. Wszystko to zdążało do najbliższych miast i miasteczek, by na ręce komendantów szwedzkich składać przysięgę na wierność nowemu panu. Wydawano im na to świadectwa, które miały osoby i majątności ochraniać. W stolicach ziem i powiatów ogłaszano „kapitulacje”, warujące wolność wyznania i przywileje stanowi szlacheckiemu przysługujące.

Szlachta dążyła z powiną przysięgą nie tyle ochotnie, ile skwapliwie, bo opornym rozmaite groziły kary, a zwłaszcza konfiskaty i rabunki. Mówiono, że tu i ówdzie poczęli już Szwedzi, tak jak w Wielkopolsce, wkręcać podejrzanym palce w kurki od muszkietów. Powtarzano też z trwogą, że na bogatszych umyślnie rzucano podejrzenia, aby ich złupić.

Wobec tego wszystkiego niebezpiecznie było zostawać na wsi; zamożniejsi więc dążyli do miast, aby siedząc pod bezpośrednim dozorem komendantów szwedzkich, uniknąć posądzenia o praktyki przeciw królowi szwedzkiemu.

Pan Andrzej pilnie nadstawiał ucha na to, co mówiła szlachta, a chociaż nie bardzo chciano z nim rozmawiać, jako z chudopachołkiem, tyle jednak wyrozumiał, że nawet najbliżsi sąsiedzi, znajomi, ba! i przyjaciele nie mówią między sobą o Szwedach i o nowym panowaniu szczerze. Narzekano wprawdzie głośno na „rekwizycje” i rzeczywiście było o co, do każdej bowiem wsi, do każdego miasteczka przychodziły listy komendantów z rozkazem dostawienia wielkich ilości zboża, chleba, soli, bydła, pieniędzy, i często owe rozkazy przechodziły możność, zwłaszcza że gdy wyczerpano jedne zapasy, żądano drugich; kto zaś nie płacił, temu przysyłano egzekucję, która w trójnasób tyle brała.

Ale minęły dawne czasy! Każdy wyciągał się, jak mógł, sobie od ust odejmował i dawał i płacił, narzekając i jęcząc, a w duszy myśląc, że dawniej bywało inaczej. Do czasu pocieszano

się wszakże, iż gdy czasy wojenne przeminą, skończą się owe rekwizycje. Obiecywali to i sami Szwedzi mówiąc, że niech jeno król cały kraj opanuje, zaraz po ojcowsku rządzić zacznie.

Szlachcie, która odstąpiła własnego monarchy i ojczyzny, która przedtem, niedawno jeszcze, nazywała tyranem dobrego Jana Kazimierza, posądzając go, że do *absolutum dominium* dąży, która sprzeciwiała mu się we wszystkim, protestując na sejmikach i sejmach, a w łaknieniu nowości i przemiany doszła do tego, że niemal bez oporu uznała panem najeżdżcę, byle mieć jakowąś odmianę – wstyd było teraz nawet i narzekać. Wszak Karol Gustaw uwolnił ich od tyrana, wszak dobrowolnie opuścili prawego monarchę, wszak mieli ową odmianę, której pożądaną tak silnie.

Dlatego to nawet najpoufalsi nie mówili szczerze pomiędzy sobą, co o owej odmianie myślą, chętnie nakłaniając ucha tym, którzy twierdzili, że i zajazdy, i rekwizycje, i rabunki, i konfiskaty tylko czasowe a konieczne *onera*, które wnet przeminą jak się Carolus Gustavus na polskim tronie upewni.

– Ciężko, panie bracie, ciężko – mówił czasem szlachcic do szlachcica – ale tak i powinniśmy być radzi z nowego pana. Potentat to i wojownik wielki; ukróci on Kozaków, Turczyzna pohamuje i Septentrionów od granic odżenie, a my ze Szwecją we wspólnie zakwitniemy.

– Choćbyśmy też i nieradzi byli – odpowiadał drugi – co robić przeciw takiej potędze? Z motyką się na słońce nie porwiemy...

Czasem też powoływano się na świeżą przysięgę. Kmicic burzył się słuchając podobnych głosów i rozumowań, a raz, gdy pewien szlachcic mówił przy nim w zajęzdzie, że musi być wierny temu, komu poprzysiągł, pan Andrzej wykrzyknął i rzekł mu:

– Musisz mieć waćpan dwie gęby, jedną od prawdziwych, drugą od fałszywych przysiąg, boś i Janowi Kazimierzowi przysięgał!

Było przy tym wiele i innej szlachty, bo się to zdarzyło już niedaleko od Przasnysza. Usłyszawszy więc słowa Kmicica poruszyli się wszyscy; na jednych twarzach znać było podziw dla śmiałości pana Andrzeja, inni zapłonili się, wreszcie najpoważniejszy rzekł:

– Nikt tu przysięgi dawnemu królowi nie łamał. Sam on nas uwolnił od niej, gdy z kraju zbiegł, do obrony jego się nie poczuwając.

– Bodaj was zabito! – zakrzyknął Kmicic. – A król Łokietek ile to razy musiał z kraju uchodzić, a przecie wrócił, bo go naród nie odstąpił, gdyż bojaźń boża jeszcze w sercach była! Nie Jan Kazimierz zbiegł, jeno przedawczykowie od niego odbiegli i teraz go kasaają, by własne winy przed Bogiem i ludźmi koloryzować!

– Za śmieie mówisz, młodziku. Skądżeś jest, który nas, tutejszych ludzi, chcesz bojaźni bożej uczyć? Patrz, aby cię Szwedzi nie usłyszeli!

– Kiedyście ciekawi, to wam powiem, że jestem z Prus Książęcych i do elektora należę... Ale z sarmackiej krwi pochodząc, do życzliwości się ku ojczyźnie poczuwam i wstyd mi za zatwardziałość tego narodu.

Tutaj szlachta, zapomniawszy gniewu, otoczyła go kołem i poczęła wypytywać ciekawie i skwapliwie:

– Toś waćpan z Prus Książęcych?... A nuże, powiadaj, co wiesz! Coże tam elektor? Nie myśli nas ratować z opresji?

– Z jakiej opresji?... Radziście z nowego pana, to nie gadajcie o opresji.. Jakaście sobie posłali, tak śpijcie.

– Radziśmy, bo nie możemy inaczej. Z mieczami nam nad karkiem stoją. Ale ty powiadaj tak, jakbyśmy byli nieradzi.

– Dajcie mu się czego napić, niechże mu się język rozwiąże. Mów śmieie, nie masz tu zdrajców między nami.

– Wszyscyście zdrajcy! – huknął pan Andrzej – i nie chcę z wami pić! parobcy szwedzcy!

To rzekłszy wyszedł z izby, drzwiami trzasnąwszy, a oni pozostali we wstydzie i w zdumieniu; żaden nie chwycił za szablę, żaden nie ruszył za Kmicicem, aby się pomścić za obelgę.



On zaś ruszył wprost do Przasnysza. Na kilkanaście stajen przed miastem ogarnął go patrol szwedzki i wiódł do komendy. Rajtarów było w owym patrolu tylko sześciu i podoficer siódmy, więc Soroka i trzej Kiemlicze poczęli poglądać na nich łakomie jak wilcy na owce, a potem pytali oczyma Kmicica, czy się nie każe koło nich zawinać.

Pan Andrzej niemalej także doznawał pokusy, zwłaszcza, że blisko płynęła Węgiełka z brzegami obrosłymi sitowiem; ale się pohamował i pozwolił spokojnie prowadzić do komendy.

Tam opowiedział się komendantowi, kto jest, że z kraju elektorskiego pochodzi i corocznie do Soboty z końmi jeździ. Kiemlicze mieli też świadectwa, w które się w Łęgu, jako w dobrze sobie znajomym mieście, zaopatrzyli; więc komendant, który sam był pruski Niemiec, nie czynił im trudności, wypytywał tylko troskliwie, jakie konie prowadzą, i żądał je widzieć.

A gdy je czeladź Kmicicowa zgodnie z jego żądaniem przypędziła, obejrzał je starannie i rzekł:

– To ja kupię. Innemu zabrałbym i tak, ale żeś z Prus, to cię i nie pokrzywdzę.

Kmicic stropił się nieco; gdyby przyszło do sprzedaży, tym samym upadłby pozór jechania dalej i wypadałoby mu zawrócić do Prus. Podał więc cenę tak wysoką, że niemal dwa razy większą od rzeczywistej wartości koni. Nadspodziewanie, oficer ani się oburzył, ani targował.

– Dobrze – rzekł. – Wegnać konie do szopy, a wam zapłatę wraz wyniosę.

Kiemlicze uradowali się w sercach, lecz pan Andrzej wpadł w gniew i począł kłać. Nie było jednak innej rady, jak zagnać konie. Inaczej padłoby zaraz podejrzenie na sprzedających, że pozornie tylko handlują.

Tymczasem oficer wyszedł na powrót i podał Kmicicowi kawałek zapisanego papieru.

– Co to? – rzekł pan Andrzej.

– Pieniądze albo to samo co pieniądze, bo kwit.

– A gdzie mnie zapłaca?

– W głównej kwaterze.

– A gdzie główna kwatera?

– W Warszawie – odrzekł oficer uśmiechając się złośliwie.

– My za gotówkę tylko handlujemy... Jakże to? co to?... – począł jęczeć stary Kiemlicz. – Furto niebieska!

Lecz Kmicic zwrócił się ku niemu i patrząc nań groźnie, rzekł:

– U mnie słowo pana komendanta tyle co gotowizna, a do Warszawy chętnie pojedziem, bo tam u Ormian towarów znacznych dostać można, za które w Prusach dobrze zapłaca.

Następnie, gdy oficer odszedł, rzekł pan Andrzej na pociechę Kiemliczowi:

– Cicho, szelmo. Te kwity to najlepsze glejty, bo choćby i do Krakowa zajedziem z nimi skarżąc się, że nam płacić nie chcą. Łatwiej z kamienia ser wycisnąć niż pieniądze ze Szwedów... Ale to mi właśnie na rękę. Pludrak myśli, że nas wywiódł w pole, tymczasem nie wie, jaką przysługę nam oddał... Tobie zaś ja z własnej szkatuły za konie zapłacę, ażebyś uszczerbku nie poniósł.

Stary odetchnął i już tylko ze zwyczaju nie przestawał narzekać przez czas jakiś:

– Obdarli, zniszczyli, do nędzy przywiedli!

Ale pan Andrzej rad był, widząc drogę przed sobą otwartą, bo to z góry przewidywał, że i w Warszawie mu nie zapłaca, a prawdopodobnie i nigdzie – będzie więc mógł jechać coraz dalej, niby swojej poszukując krzywdy, chociażby do króla szwedzkiego, który pod Krakowem się znajdował, zajęty oblężeniem dawnej stolicy.

Tymczasem postanowił pan Andrzej zostać na noc w Przasnyszu, koniom wypocząć i nie odmieniając swego przybranego nazwiska, porzucić jednak skórę chudopacholską. Zauważył bowiem, że ubogiego koniuchę lekceważą wszyscy i prędzej każdy napadnie, mniej się odpowiedzialności za pokrzywdzenie charłaka obawiając. Trudniej mu też było w tej skórze i do zamniejszej szlachty mieć przystęp, a stąd trudniej wyrozumieć, co kto myślał.

Przybrał więc szaty stanowi swemu i urodzeniu odpowiednie i poszedł pod wiechy, aby się z bracią szlachtą nagadać. Lecz nie uradowało go to, co słyszał. Po zajazdach i szynkach szlachta piła zdrowie króla szwedzkiego i na szczęście protektora trącała się kielichami ze starszyzną szwedzką, śmiała się z drwin, jakich oficerowie pozwalali sobie z króla Jana Kazimierza i Czarnieckiego.

Tak strach o własną skórę i mienie upodlił ludzi, że wdzięczyli się do najeźdźców, skwapliwie podtrzymując ich dobry humor. Jednakże i owo upodlenie miało swoją granicę. Szlachta pozwalała drwić z siebie, z króla, z hetmanów, z pana Czarnieckiego, byle nie z religii, i gdy pewien kapitan szwedzki oświadczył, że taka dobra wiara luterska jak i katolicka, siedzący obok młody pan Grabkowski, nie mogąc znieść bluźnierstwa, uderzył go w skroń obuszkim, sam zaś korzystając z tumultu wymknął się z szynkowni i zginął w tłumie.

Zaczęto go ścigać, lecz przyszły wieści, które zwróciły uwagę w inną stronę. Oto kurierowie nadbiegli z doniesieniami, że Kraków się poddał, że pan Czarniecki w niewoli i ostatnia zapora szwedzkiego panowania zniesiona.

Szlachta oniemiała w pierwszej chwili, lecz Szwedzi poczęli weselić się i wiwatować. W kościele Świętego Ducha, w kościele Bernardynów i w niedawno wzniesionym przez panią Mostowską klasztorze Bernardynek kazano bić w dzwony. Piechota i rajtaria wystąpiły na rynek z browarów i postrzygalni w bojowym porządku i nuż dawać ognia z dział i muszkietów. Następnie wytoczono beczki z gorzałką, miodem i piwem dla wojska i mieszczan, porozpalano beczki ze smołą i ucztowano do późnej nocy. Szwedzi powyciągali mieszczanki z domostw, by tańczyć z nimi, weselić się i swawolić. A wśród tłumów rozhukanego żołnierstwa włóczyły się gromady szlachty, która piła wraz z rajtarami i musiała udawać radość z upadku Krakowa i klęski pana Czarnieckiego.

Kmicica obrzydzenie porwało i wcześniej schronił się do swej kwatery na przedmieściu, ale spać nie mógł. Trawiła go gorączka i wątpliwości obsiadły mu duszę, czy nie za późno nawrócić z drogi, gdy już cały kraj był w ręku szwedzkim. Przychodziło mu do głowy, że już wszystko stracone i Rzeczpospolita nigdy nie wydzwignie się z upadku.

„To już nie wojna nieszczęśliwa – myślał sobie – która się utratą prowincji jakowej skończyć może, to zguba zupełna, to cała Rzeczpospolita prowincją szwedzką się staje... Samiśmy się do tego przyczynili, a ja lepiej niż kto inny!”

Ta myśl paliła go, a sumienie gryzło. Sen od niego uciekał... Sam nie wiedział, co ma czynić: jechać dalej, zostać w miejscu czy wracać?... Choćby też kupę zebrał i Szwedów począł podchodzić, będą go ścigać jak rozbójnika, nie jak żołnierza. Zresztą jest już w obcej okolicy, w której go nikt nie zna. Kto do niego przystanie? Zlatywali się do niego nieustraszeni ludzie na Litwie, gdy jako przesławny ich zwoływał, ale tu, choćby kto słyszał o Kmicicu, to go miał za zdrajcę i szwedzkiego przyjaciela, z pewnością zaś nikt nie słyszał o Babiniczu.

Na nic to, na nic i do króla jechać, bo za późno... Na nic i na Podlasie jechać, bo go konfederaci za zdrajcę mają, na nic się na Litwę wracać, bo tam Radziwiłł włada, na nic zostawać, bo tu roboty nie ma żadnej. Najlepiej by ducha wyzionąć, by na ten świat nie patrzeć i przed zgryzotami uciec!

Lecz na tamtym świecie zali będzie lepiej tym, którzy nagrzeszywszy, niczym win swych nie zgładzili i z całym ich ciężarem przed sądem staną? Kmicic rzucał się na swym łożu, jak gdyby na łożu tortur leżał. Podobnie nieznośnych mąk nie przechodził nawet w chacie leśnej Kiemliczów.

Czuł się silnym, zdrowym, przedsiębiorczym, dusza rwała się w nim do tego, by coś poczynić, by działać, a tu wszystkie drogi były zamknięte, choć tłuc głową o ścianę, nie masz wyjścia; nie masz ratunku i nie masz nadziei!

Przemęczywszy się przez noc na łożu zerwał się do dnia, zbudził ludzi i ruszył z nimi przed siebie. Jechał ku Warszawie, ale sam nie wiedział, po co i dlaczego? Byłby na Sicz uciekł z desperacji, gdyby nie to, że czasy się zmieniły i że Chmielnicki razem z Buturlinem przycisnęli

właśnie hetmana wielkiego koronnego pod Gródkiem, roznosząc przy tym ogień i miecz na południowo-wschodnich krainach Rzeczypospolitej i zapuszczając aż pod Lublin drapieżne swe zagony.

Po drodze do Pułtusza spotykał wszędy pan Andrzej oddziały szwedzkie, eskortujące wozy z żywnością, zbożem, chlebami, piwem, i stada wszelkiego rodzaju bydła. Przy stadach i wozach szły gromady chłopów albo drobnej szlachty, płacząc i jęcząc, bo ich z podwodami po kilkanaście mil ciągnano. Szczęśliwy, komu z wozem do domu wrócić pozwolono, co nie zawsze się zdarzało, albowiem po dostawieniu spyży pędzili chłopstwo i brać zagonową do robót, do poprawiania zamków, budowania szop, magazynów.

Widział też pan Kmicic, że w pobliżu Pułtusza srożej obchodzili się Szwedzi z ludźmi niż w Przasnyszu, i nie mogąc powodów zrozumieć, wypytywał o nie napotykaną po drodze szlachtę.

– Im dalej ku Warszawie waść pojedziesz – odpowiedział jeden z jadących – tym ich sroższymi obaczysz ciemężycielami. Gdzie świeżo przyjdą i jeszcze się nie ubezpieczą, tam są łaskawsi, rozkazy królewskie przeciw ciemężycielom sami promulgują i kapitulację ogłaszają; ale gdzie się już czują pewni i gdzie w pobliżu zamki jakowe obsadzili, tam wnet wszystkie przyrzeczenia łamią, względów żadnych nie zachowują, krzywdzą, obdzierają, rabują, na kościoły, duchownych i na święte panienki nawet ręce podnoszą. Nic to tu jeszcze, ale co się w szczerzej Wielkopolsce dzieje, na to słów w ludzkiej gębie brakuje...

Tu począł opowiadać szlachcie, co działo się w Wielkopolsce, jakich zdzierstw, gwałtów i zabójstw dopuszczał się srogi nieprzyjaciel, jak palce do kurków wkręcano, mękami morzono, ażeby się o pieniądzach wywiedzieć, jak księżka prowincjała Braneckiego w samym Poznaniu zabito, a nad ludem prostym znęcano się tak okropnie, że włosy w czuprynie dębem na samą myśl stawały.

– Przyjdzie do tego wszędzie – mówił szlachcic. – Kara boska... Sąd ostateczny bliski... Coraz gorzej i gorzej, a znikąd poratowania!...

– Dziwne mi to – rzekł Kmicic – bo ja nietutejszy i humorów ludzkich w tych stronach nie znam, że tak waszmościowie znosicie cierpliwie owe uciski, szlachtą i ludźmi rycerskimi będąc?

– Z czymże się porwiemy? – odpowiedział szlachcic – z czym?... W ich rękę zamki, fortece, armaty, prochy, muszkiety, a nam ptaszniczki nawet poodejmowano. Była jeszcze nadzieja w panu Czarnieckim, ale gdy on w więzach, a król jegomość na Śląsku, kto o oporze pomyśli?... Ręce są, jeno nie ma nic w rękach i głowy nie ma...

– I nadziei nie ma! – rzekł głucho Kmicic.

Tu przerwali rozmowę, bo nadjechali na oddział szwedzki wiodący wozy, drobną szlachtę i „rekwizycje”. Dziwny to był widok. Wąsaci i brodaci rajtarowie siedzieli na spasyłych jak byki koniach; każdy wsparty w bok prawą ręką, z kapeluszem na bakier, z dziesiątkami gęsi i kur natroczonych przy kulbace, jechał wśród tumanu pierza. Patrząc na ich wojownicze i dumne twarze łatwo było poznać, jak im było pańsko, wesoło i bezpiecznie. A bracia drobna szła piechotą przy wozach, niejeden boso, z głowami popuszczanymi na piersi, zhukana, trwożliwa, częstokroć biczami do pośpiechu nagłona.

Kmicicowi, gdy to ujrzał, wargi poczęły się trząść jak w febrze i jał powtarzać do owego szlachcica, z którym jechał:

– Oj! ręce swędzą, ręce swędzą, ręce swędzą!

– Cicho waść, na miłosierdzie boże! – odrzekł szlachcic – zgubisz siebie, mnie i dziatki moje!

Nieraz jednak miał pan Andrzej przed sobą jeszcze dziwniejsze widoki. Oto czasem między oddziałami rajtarskimi spostrzegał idące z nimi mniejsze lub większe gromadki szlachty polskiej, ze zbrojną czeladzią, wesołe, śpiewające, pijane, a ze Szwedami i z Niemcami za pan brat.

– Jakże to? – pytał Kmicic – jedną szlachtę prześladowają i gnębią, z drugą w komitywę wchodzi? Muszą to być chyba zagorzali sprzedawczykowie owi obywatele, których między żołnierstwem widzę?

– Nie tylko to sprzedawczykowie zagorzali, ale gorzej, bo heretycy – odpowiedział szlachcic.  
– Ciężsi oni od Szwedów nam katolikom; oni to najwięcej rabują, dwory palą, panny porywają, prywatnych uraz dochodzą. Cały kraj od nich w trwodze, bo całkiem bezkarnie im wszystko uchodzi, i łatwiej u komendantów szwedzkich na Szweda znajdziesz sprawiedliwość niż na swojego heretyka. Każdy komendant, byleś słowo pisnął, zaraz ci odpowie: „Nie mam ja go prawa ścigać, bo nie mój człowiek – idźcie do waszych trybunałów.” A jakie tam teraz trybunały, jaka egzekucja, gdy wszystko w szwedzkim ręku? Gdzie Szwed nie trafi, tam heretycy go doprowadzą, a na kościoły i duchownych głównie oni ich *excitant*. Tak się mszczą na ojczyźnie matce za to, iż gdy w innych chrześcijańskich krajach słusznie za swoje praktyki i bezceństwa byli prześladowani, ona im przytułek zapewniła i wolność ich bluźnierczej wiary...

Tu szlachcic urwał i spojrzął niespokojnie na pana Kmicica.

– Ale waszmość powiadasz się być z Prus Książęcych, toś sam może luter?

– Niech mnie Bóg od tego uchroni – odrzekł pan Andrzej. – Z Prus jestem, ale z rodu od wieków katolickiego, bo my do Prus z Litwy przyszli.

– To chwała Najwyższemu, bom się zląkł. Mój mospanie, *quod attinet* Litwy, i tam dysydentów nie brak, i naczelnika swego potężnego w Radziwille mają, który tak wielkim zdrajcą się okazał, że chyba z jednym Radziejowskim w paragon wejść może.

– Bogdaj mu diabli duszę z gardła wyciągnęli, nim Nowy Rok nadejdzie! – krzyknął z zawziętością Kmicic.

– Amen! – odrzekł szlachcic – jeszcze i jego sługom, jego pomocnikom, jego katom, o których aż tu do nas wieści zabiegły, a bez których nie byłby on się ważył na zgubę tej ojczyzny.

Kmicic pobladał i nie odrzekł ani słowa. Nie wypytywał też, nie śmiał pytać, o jakich to pomocnikach, sługach i katach ów szlachcic prawi.

Jadąc wolno, dojechali późnym wieczorem do Pułtuska; tam wezwano Kmicica do biskupiego pałacu, *alias* zamku, żeby się komendantowi opowiedział.

– Dostawiam konie wojskom jego szwedzkiej miłości – rzekł pan Andrzej – i mam kwity, z którymi do Warszawy po pieniądze jadę.

Pułkownik Izrael (tak nazywał się ów komendant) uśmiechnął się pod wąsami i rzekł:

– O, spiesz się waść, spiesz się, a weź z powrotem wóz, abyś miał na czym owe pieniądze odwozić.

– Dziękuję za radę – odrzekł pan Andrzej – i tak rozumiem, że wasza miłość drwi sobie ze mnie... Ale ja po swoje pojedę, choćby mi do samego króla jegomości jechać przyszło!

– Jedź, swego nie daruj! – rzekł Szwed – wcale grzeczna kwota ci się należy.

– Przyjdzie taki czas, że mi zapłacicie! – odrzekł wychodząc Kmicic.

W samym mieście trafił znów na uroczystości, bo uciecha z powodu wzięcia Krakowa trzy dni trwać miała. Dowiedział się jednak, że w Przasnyszu przesadzono może umyślnie tryumf szwedzki; pan kasztelan kijowski nie dostał się wcale do niewoli, ale uzyskał prawo wyjścia z wojskiem, bronią i zapalonymi lontami przy działach z miasta. Mówiono, że miał się udać na Śląsk. Niewielka to była uciecha, ale zawsze uciecha.

W Pułtusku stały znaczne siły, które stamtąd pod wodzą Izraela miały się udać nad granicę pruską, aby nastraszyć elektora, więc ani miasto, ani zamek, lubo bardzo obszerny, ani przedmieścia, nie mogły pomieścić żołnierzy. Tu po raz pierwszy ujrzał też Kmicic wojsko w kościele stojące. We wspaniałej gotyckiej kolegiacie, fundowanej przeszło dwieście lat temu przez biskupa Giżyckiego, stała najemna niemiecka piechota. Wnętrze świątyni płonęło światłem jak w czasie rezurekcji, bo na kamiennej posadzce płonęły porozpalane ognie. Kotły dymiły w ogniskach. Około beczek z piwem kupiło się obce żołnierstwo, złożone ze starych rabusiów, którzy całe Niemcy katolickie splądrowali i którym zapewne nie pierwszy raz przyszło nocować w kościele. Więc wewnątrz rozlegał się gwar i okrzyki. Zachryple głosy śpiewały obozowe pieśni; słychać było wrzaski i uciechy niewiast, które w owych czasach włóczyły się zwykle za wojskiem.

Kmicic stanął w otwartych drzwiach; przez dymy wśród czerwonych płomieni ujrzał czerwone, porozpalane trunki, wąsate twarze żołdaków siedzących na beczkach i pijących piwo; innych rzucających kości lub grających w karty; innych sprzedających ornaty; innych obejmujących ladacznice poprzybierane w jaskrawe suknie. Wrzaski, śmiechy, brzęk kufla i szczęk muszkietów, echa grzmiące w sklepieniach głużyły go. Głowa mu się zakręciła, oczy nie chciały wierzyć temu, na co patrzyły, dech zamarł mu w piersi; piekło nie mniej by go przeraziło.

Wreszcie porwał się za włosy i wybiegł powtarzając jak w obłąkaniu:

– Boże, ujmij się! Boże, skarz! Boże, ratuj!

## ROZDZIAŁ X

W Warszawie od dawna gospodarowali już Szwedzi. Ponieważ Wittenberg, właściwy rządca miasta i przywódca załogi, znajdował się w tej chwili w Krakowie, więc rządy w jego zastępstwie sprawiał Radziejowski. Nie mniej nad dwa tysiące żołnierza stało we właściwym mieście, objętym wałami, i po jurydykach do wałów przylegających zabudowanych wspaniałymi gmachami kościelnymi i świeckimi. Zamek i miasto nie były zniszczone, bo pan Wessel, starosta makowski, oddał je bez boju, sam zaś wraz z załogą umknął pospiesznie, obawiając się zemsty osobistego swego nieprzyjaciela Radziejowskiego.

Lecz gdy pan Kmicic zaczął się rozglądać bliżej i dokładniej, ujrzał na wielu domach ślady drapieżnych rąk. Były to domy tych mieszkańców, którzy puciekali z miasta nie chcąc znosić obcego panowania lub którzy stawili opór w chwili, gdy Szwedzi wdzierali się na wały.

Z pałaców pańskich, po jurydykach się wznoszących, te tylko zachowały dawną świetność, których właściciele duszą i ciałem stali przy Szwedach. Stał więc w całej świetności pałac Kazanowski, bo Radziejowski go chronił, i jego własny, i pana chorążego Koniecpolskiego, i ów, który Władysław IV wystawił, a który potem Kazimirowskim zwano, lecz księżę gmachy zrujnowano znacznie; Denhofowy był na wpół zburzony, kanclerski albo tak zwany Ossolińskich przy Reformackiej ulicy zrabowany do szczytu. Przez okna wyglądali najemnicy niemieccy, a owe kosztowne meble, które nieboszczyk kanclerz takim nakładem z Włoch sprowadzał, owe skóry florenckie, gobeliny holenderskie, misterne biurka, perłową macicą wykładane, obrazy, statuy brązowe i marmurowe, zegary weneckie i gdańskie, szkła przednie – albo leżały jeszcze w bezładnych stosach na podwórku, albo już spakowane czekały, by je, gdy się pora zdarzy, wysłano Wisłą ku Szwecji. Pilnowały tych kosztowności straże, ale tymczasem niszczały na powietrzu i deszczu.

W wielu innych miejscach mogłeś toż samo ujrzeć, a choć stolica poddała się bez boju, przecie stało już trzydzieści olbrzymich skut na Wiśle, gotowych do wywiezienia łupu.

Miasto wyglądało jakby cudzoziemskie. Na ulicach słychać było więcej obcych mów niż polskiej; wszędy spotykałeś żołnierzy szwedzkich, niemieckich, najemników francuskich, angielskich i szkockich, w najrozmaitszych strojach, w kapeluszach, w czólnowych grzebieniastych hełmach, w kaftanach, pancierzach, półpancerzach, w pończochach lub szwedzkich butach z cholewami jak konwie. Wszędy obca pstrocizna, obce stroje, obce twarze, obce pieśni. Nawet konie miały inne kształty od tych, do których oko przywykło.

Nazlatywało się też mnóstwo Ormian o ciemnych twarzach i czarnych włosach, przykrytych kolorowymi jarmułkami; ci łup skupywać przybyli.

Ale najbardziej dziwiła niezmierna ilość Cyganów, którzy, nie wiadomo dlaczego, przyciągnęli ze wszystkich stron kraju za Szwedami do stolicy. Szatry ich stały wedle pałacu Ujazdowskiego i po całej jurydyce kapitulnej, tworząc jakoby osobne płócienne miasto w murowanym.

Wśród tych tłumów różnojęzycznych miejscowi mieszkańcy nikli prawie; dla własnego też bezpieczeństwa radzi siedzieli zamknięci w domostwach, mało się pokazując i spiesznie chodząc po ulicach. Czasem tylko jaka karetka pańska, spiesząca po Krakowskim Przedmieściu ku zamkowi, otoczona hajdukami, pajukami lub wojskiem w strojach polskich, przypominała, że to jest polskie miasto.

Tylko w niedziele i święta, gdy dzwony oznajmiały nabożeństwo, tłumy wychodziły z domów i stolica dawny przybierała pozór, chociaż i wówczas przed kościołami stawały plotem szeregi obcych żołdaków, aby przypatrywać się niewiastom, pociągać je za suknie, gdy przechodziły ze spuszczonej oczyma, śmiać się, a czasem śpiewać pieśni bezecne przed kościołami, właśnie wówczas gdy w kościołach msze śpiewano.

Wszystko to przemknęło jak majak przed zdziwionymi oczyma pana Andrzeja, ale długo w Warszawie miejsca nie zagrzezał, bo nie znając nikogo, nie miał przed kim duszy otworzyć. Nawet

z ową szlachtą polską, która bawiła w mieście i zajmowała publiczne gospody, pobudowane od czasu króla Zygmunta III na ulicy Długiej, nie wszedł pan Kmicic w bliższą komitywę. Zaczepiał wprawdzie tego i owego, by się nowin wywiedzieć, ale byli to zagorzali stronnicy szwedzcy, którzy w oczekiwaniu na powrót Karola Gustawa wieszali się przy Radziejowskim i przy szwedzkich oficerach, w nadziei uzyskania starostw, skonfiskowanych majątności prywatnych i kościelnych, i rozmaitych wyderkałów. Wart był każdy z nich, by mu w oczy plunąć, od czego Kmicic zresztą nie bardzo się wstrzymywał.

O mieszczanach tylko słyszał Kmicic, iż dawnych czasów, pogrążonej ojczyzny i dobrego króla żałują. Szwedzi prześladowali ich srodze, zabierali domy, wyciskali kontrybucje, więzili.

Mówiono też, że cechy miały broń ukrytą, zwłaszcza płatnerze, rzeźnicy, kuśnierze i potężny cech szewiecki, że wyglądają ciągle powrotu Jana Kazimierza, nadziei nie tracą i przy lada pomocy z zewnątrz, gotowi by byli na Szwedów uderzyć.

Kmicic słysząc to uszom nie wierzył i w głowie nie chciało mu się mieścić, żeby ludzie nikczemnego stanu i nikczemnej kondycji więcej mieli okazywać miłości dla ojczyzny i wiary dla prawego pana niż szlachta, która wraz z urodzeniem powinna te sentymta na świat przynosić.

Ale właśnie szlachta i magnaci stawali przy Szwedach, a lud prosty najwięcej miał chęci do oporu, i nieraz bywały zdarzenia, że gdy Szwedzi zapędzali w celu wzmocnienia Warszawy prostactwo do robót, prostacy woleli znosić chłostę i więzienie, śmierć nawet samą, aniżeli się do utwierdzenia szwedzkiej potęgi przyczyniać.

Za Warszawą wrzało w kraju jak w ulu. Wszystkie drogi, miasta i miasteczka zajęte były przez żołnierstwo, poczty pańskie i szlacheckie, panów i szlachtę Szwedom służącą. Wszystko było zabrane, ogarnięte, podbite, wszystko było tak szwedzkie, jakby ten kraj zawsze był w ich ręku.

Pan Andrzej nie spotykał innych ludzi, tylko albo Szwedów, albo stronników szwedzkich, albo ludzi zdesperowanych, obojętnych, którzy do głębi duszy byli przekonani, że już wszystko przepadło. Nikt o oporze nie myślał, spełniano cicho i z pośpiechem takie rozkazy, o których połowę albo i dziesiątą część pełno by w dawniejszych czasach było opozycji i protestacji. Postrach doszedł do tego stopnia, że ci nawet, których krzywdzono, wysławiali głośno łaskawego protektora Rzeczypospolitej.

Dawniej nieraz bywało, że swoich własnych, cywilnych i wojskowych, deputatów do egzakcji przyjmował szlachcic z rusznicą i na czele zbrojnej czeladzi – dziś rozpisywano podatki, jakie się Szwedom rozpisać podobało, a szlachta oddawała je tak pokornie, jak owce oddają wełnę postrzygaczom. Zdarzało się nieraz, że jeden i ten sam podatek wybierano dwa razy. Próżno było zaślaniać się kwitami – dobrze jeszcze, jeżeli egzekwujący oficer nie umoczył w winie dawnego kwitu i nie kazał go zjeść okazielowi. Nic i to! „*Vivat protector!*” – wykrzykiwał szlachcic, a gdy oficer odjechał, kazał co prędzej parobkowi leżeć na dach patrzeć, czy drugi nie nadjeżdża. I gdybyż tylko kończyło się wszystko na kontrybucjach szwedzkich, ale gorsi od nieprzyjaciela byli, tak tu jak i wszędzie, przedawczykowie. Dochodzono dawnych prywat, dawnych uraz, przesypywano kopce, zajmowano łąki i lasy, a przyjacielowi szwedzkiemu wszystko uchodziło płazem. Najgorsi zaś byli dysydenci. Mało tego. Z ludzi nieszczęśliwych, desperatów, swawolników i kosterów potworzyły się kupy zbrojne. Te napadały chłopów i szlachtę. Pomagali im maruderowie szwedzcy, niemieccy i wszelakiego rodzaju hultajstwo. Kraj zapłonął pożarami; nad miastami ciążyła zbrojna pięść żołnierska, w lasach zbój napadał. O poprawie Rzeczypospolitej, o ratunku, o zruceniu jarzma nikt nie myślał... Nadziei nikt nie miał...

Zdarzyło się, że pod Sochaczewem hultajstwo szwedzkie i niemieckie obległo pana Łuszczewskiego, starostę sochaczewskiego, zaskoczywszy go w prywatnej jego majątności, w Strugach. Ów, wojennego humoru będąc, choć stary, bronił się mocno. Nadjechał właśnie na to pan Kmicic, a że mu już cierpliwość jako wrzód nabrała, gotowy pęknąć z lada powodu, więc pękła właśnie pod Strugami. Pozwolił tedy „prać” Kiemliczom i sam uderzył na szturmujących tak potężnie, że rozbił ich, wysiekl, nikogo nie żywił, jeńców nawet potopić kazał. Pan starosta, któ-

remu pomoc jako z nieba spadła, przyjął wybawiciela dziękczynnie i zaraz częstował, a pan Andrzej widząc przed sobą personata i statystę, a przy tym człowieka starej daty, wyznał mu swą nienawiść do Szwedów i jął wypytywać, co też o przyszłych losach Rzeczypospolitej myśli, w tej nadziei, że mu pan starosta wleje jakowyś balsam do duszy.

Lecz pan starosta całkiem odmiennie miał na to, co się stało, zapatrywanie i rzekł:

– Mój mości panie! Nie wiem, co bym był waćpanu powiedział, gdybyś mnie był spytał wówczas, kiedy miałem jeszcze rude wąsy i umysł cielesnymi humorami zaćmiony, ale dziś mam wąsy siwe i eksperyencję siedmdziesięciu lat na karku, widzę rzeczy przyszłe, bom grobu bliski, przeto ci powiem, że potęgi szwedzkiej nie tylko my, choćbyśmy się poprawili z błędów naszych, ale cała Europa nie złamie...

– Jakże to być może? Skądże się to wzięło?! – zakrzyknął Kmicic. – Kiedyż to Szwecja taką potęgą była? Zali polskiego narodu nie więcej na świecie, zali nie możemy mieć wojska więcej? Zali to wojsko w męstwie Szwedom kiedykolwiek ustępowało?

– Naszego narodu jest dziesięć razy tyle; dostatków Bóg nam tak przymnożył, że w moim starostwie sochaczewskim więcej się pszenicy rodzi niż w całej Szwecji, a co do męstwa, to ja byłem pod Kircholmem, gdzieśmy w trzy tysiące husarii ośmnaście tysięcy najlepszego szwedzkiego wojska w proch roznieśli.

– Ba, jeśli tak – rzekł Kmicic, któremu aż oczy zaświeciły na kircholmskie wspomnienie – jakież są tedy ziemskie przyczyny, dla których byśmy ich i teraz nie mogli pokonać?

– Najpierw to – mówił starzec powolnym głosem – żeśmy zmaleli, a oni urosli, że nas przez nas samych własnymi rękoma naszymi zwojowali, jako poprzednio zwojowali Niemców przez Niemców. Taka wola boża i nie masz potęgi, powtarzam, która by się im dziś oprzeć mogła!

– A jeśli szlachta do upamiętania przyjdzie i wedle pana swego się skupi, jeżeli wszyscy za broń schwyca, co wasza mość radzisz wtedy uczynić i co sam uczynisz?

– Tedy pójdę z innymi, polegnę i każdemu radzę polec, bo potem przyjdą takie czasy, na które lepiej nie patrzeć...

– Nie mogą przyjść gorsze! jako żywo, nie mogą!... To niepodobieństwo!... – zawołał Kmicic.

– Widzisz waszmość – rzekł pan starosta – przed końcem świata i przed sądem ostatecznym przyjdzie antychryst, i powiedziano jest, że źli wezmą wtedy górę nad sprawiedliwymi, szatani będą po świecie chodzić, wiarę przeciwną prawdziwej opowiadać i do niej ludzi nawracać. Z dopuszczenia bożego zło wszędzie zwycięży, aż do onego momentu, w którym trębacze anielscy otrąbią koniec świata...

Tu pan starosta przechylił się na tył fotelu, na którym siedział, przymknął oczy i mówił dalej cichym, tajemniczym głosem:

– Powiedziano jest, że znaki będą... Znaki na słońcu w postaci ręki i miecza były... Boże, bądź miłościw nam grzesznym!... Źli biorą górę nad sprawiedliwymi, bo Szwed i jego stronnicy zwyciężają... Wiara prawdziwa upada, bo oto luteranie się podnoszą... Ludzie! zali nie widzicie, że *dies irae, dies illa* się zbliża... Ja mam lat siedmdziesiąt, nad brzegiem Styksu stoję, przewoźnika i łodzi wyglądam... Ja widzę!...

Tu umilkł pan starosta, a Kmicic począł patrzeć na niego ze strachem, bo racje wydały mu się słuszne, wywody trafne, więc zląkł się sądu i zastanowił się mocno. Lecz pan starosta na niego nie patrzył, jeno przed siebie, i w końcu rzekł:

– I jakże tu Szwedów zwyciężyć, kiedy to dopuszczenie boże, wola wyraźna, w prorocत्वach odgadnięta i przepowiedziana... Oj, do Częstochowy ludziom, do Częstochowy!...

I znowu pan starosta umilkł.

Słońce zachodziło właśnie, i już tylko bokiem zaglądając do komnaty, łamało się w tęczę na gomółkach szklanych w ołów oprawnych, i czyniło smugi siedmiobarwne na podłodze. Reszta komnaty była w mroku. Kmicicowi coraz bardziej stawało się straszno i chwilami zdawało mu się, że niech tylko światło ono zginie, a wraz trębacze anielscy ozwą się na sąd.



– O jakich prorocत्वach, wasza mość mówisz? – spytał wreszcie starostę, bo milczenie jeszcze wydało mu się straszniejsze.

Starosta, zamiast odpowiedzieć, zwrócił się ku drzwiom przyległej komnaty i zawołał:

– Oleńka! Oleńka!

– Na Boga! – krzyknął pan Kmicic – kogo waść wołasz?...

W tej chwili wierzył we wszystko, wierzył, że jego Oleńka, cudem z Kiejdan przeniesiona, ukaże się jego oczom.

I zapomniał o wszystkim, wzrok utkwiał we drzwiach i czekał bez tchu w piersi.

– Oleńka! Oleńka! – powtórzył starosta.

Drzwi się otworzyły: weszła nie Billewiczówna, ale panna piękna, szczupła, wysoka, trochę do Oleńki podobna z powagi w twarzy i spokoju rozlanego w obliczu. Była blada może chora, a może niedawnym napadem przerażona, i szła z oczyma spuszczoneymi, tak jakoś lekko i cicho, jak gdyby ją jaki powiew posuwał.

– To córka moja – rzekł starosta. – Synów w domu nie masz. Są przy panu krakowskim, a z nim razem przy naszym elekcie nieszczęsnym.

Po czym zwrócił się do córki:

– Waćpanna podziękuj naprzód temu mężnemu kawalerowi za ratunek, a po wtóre przeczytaj nam prorocत्व świętej Brygidy.

Dziewczyna skłoniła się przed panem Andrzejem i wyszła, a po chwili wróciła z drukowanymi świstkami w ręku i stanąwszy w owym świetle tęczowym poczęła czytać dzwięcznym i słodkim głosem:

– Prorocत्व świętej Brygidy: „Pokażę ci wprzód pięciu królów i państwa ich: Gustaw, syn Eryka, osieł leniwy, ponieważ zaniedbawszy prawe nabożeństwo, przeszedł na fałszywe. Porzuciwszy apostołską wiarę, wprowadził do królestwa augsburskie wyznanie kładąc skazę za sławę sobie. Patrz Eklezjastę, gdzie o Salomonie powiada, że skaził sławę swoją przez bałwochwalstwo...”

– Słyszysz waść? – spytał starosta pokazując Kmicicowi wielki palec lewej ręki, inne zaś trzymając gotowe do porachunku.

– Słyszę.

„Eryk, syn Gustawa, wilk, dla nienasyconej chciwości – czytała panna – czym wszystkich ludzi i braterską Janową ściągnął na się nienawiść. Naprzód Jana (podejrzewając go o praktyki z Duńczykiem i Polską) wojną utrafił, a ujawszy go wraz z żoną, przez cztery lata w podziemiu trzymał. Jan wreszcie z więzienia wydobyty i przez odmienność fortuny wspomóżon, zwojowawszy Eryka, wyzuł go z korony i do wiekuistej strącił ciemnicy. Otóż nieprzewidziany wypadek!”

– Uważaj – rzekł starosta. – To już drugi!

Panna czytała dalej:

„Jan, brat Eryka, orzeł wyniosły, trzykrotny zwycięzca nad Erykiem, Duńczykiem i Septentrionem. Syn jego Zygmunt na tron polski obrany, w którego krwi zacność mieszka. Chwała la-toroślom jego!”

– Pojmujesz? – pytał starosta.

– Niech Bóg przysporzy lat Janowi Kazimierzowi! – odrzekł Kmicic.

„Karol, książę Sudermanii: baran, gdyż jego barany prowadzą trzodę, tak on Szwedów przy-wiódł ku nieprawości. Tenże miotał się przeciw sprawiedliwości.”

– To już czwarty! – przerwał starosta.

„Piąty Gustaw Adolf – czytała panna – baranek zabity, lecz nie bez skazy, którego krew była przyczyną utrapienia i niezgody.”

– Tak! to Gustaw Adolf – rzekł starosta. – O Krystynie nie masz wzmianki, bo tylko sami mężowie są wyliczeni. Czytaj teraz waćpanna zakończenie, które do dzisiejszych czasów akurat się odnosi.

Panna czytała, co następuje:

„Szóstego ci pokażę, któren ład i morze zakłóci i prostych zasmuci... który czas kary mojej w ręku swoim położy. Jeżeli chyżo swego nie doścignie, zbliży się nań sąd mój i pozostawi państwo w utrapieniu, i stanie się, jako napisano: rokosz sieją, a utrapienie i boleść odmierzają. Nie tylko nawiedzą to królestwo, ale miasta bogate i możne, albowiem przywołano głodnego, który dostatki ich pożre. Nie zabraknie zła wewnętrznego i obfitować będą niezgody. Panować będą głupi, a mędrzy i starce nie podejmą głowy. Cześć i prawda upadną, aż przyjdzie, który gniew mój przebląga i który duszy swej nie oszczędzi dla miłości prawdy.”

– Masz waść! – rzekł starosta.

– Wszystko się tak sprawdza, że ślepy chybaby wątpił! – odrzekł Kmicic.

– Przeto i Szwedzi nie mogą być zwyciężeni – odrzekł starosta.

– Aż przyjdzie ten, który duszy nie oszczędzi dla miłości prawdy! – zakrzyknął Kmicic. – Nadzieję proroctwo zostawuje! Więc nie sąd, jeno zbawienie nas czeka!

– Sodoma miała być oszczędzona, gdyby w niej dziesięciu sprawiedliwych się znalazło – odrzekł starosta – ale się ich i tylu nie znalazło. Tak samo nie znajdzie się ów, który duszy nie oszczędzi dla miłości prawdy, i godzina sądu wybije.

– Panie starosto, panie starosto, nie może być! – odrzekł Kmicic.

Nim pan starosta odpowiedział, drzwi się otwarły i do izby wszedł niemłody już człowiek, w pancerzu i z muszkietem w ręku.

– Pan Szczebrzycki? – pytał starosta.

– Tak jest – odpowiedział nowo przybyły – słyszałem, iż hultajstwo jaśnie wielmożnego pana obległo, i na ratunek z czeladzią pospieszam.

– Bez woli bożej włos człowiekowi z głowy nie spadnie – odrzekł starzec. – Już mnie ten kawaler z opresji uwolnił... A waść skąd jedziesz?

– Z Sochaczewa.

– Słyszałeś co nowego?

– Co nowina, to gorsza, jaśnie wielmożny starosto. Nowe nieszczęście...

– Co się stało?

– Województwa: krakowskie, sandomierskie, ruskie, lubelskie, bełskie, wołyńskie i kijowskie, poddały się Karolowi Gustawowi. Akt już podpisany i przez posłów, i przez Karola.

Starosta począł kiwać głową, wreszcie zwrócił się do Kmicica:

– Patrz! – rzekł – i ty jeszcze myślisz, że znajdzie się ów, który duszy swej nie oszczędzi dla miłości prawdy?

Kmicic szarpać począł włosy w czuprynie.

– Desperacja! desperacja – powtarzał w uniesieniu.

A pan Szczebrzycki mówił dalej:

– Prawią też, że te resztki wojska, które przy panu hetmanie Potockim się znajdują, już wypowiadają posłuszeństwo i do Szweda chcą iść. Hetman podobno zdrowia i życia między nimi niepewien, musi uczynić, co zechcą.

– Rokosz sieją, a utrapieni i boleść odmierzają – rzekł starosta. – Kto chce pokutować za grzechy, temu czas!

Lecz Kmicic nie mógł już słuchać dłużej ani proroctw, ani nowin; chciał jak najprędzej sięść na koń i na wietrze głowę ochłodzić. Zerwał się więc i począł żegnać starostę.

– A dokąd to tak spieszno? – zapytał go starzec.

– Do Częstochowy, bom też grzesznik!

– Tedy nie zatrzymuję, chociaż rad bym ugościć, ale to sprawa pilniejsza, bo dzień sądu niedaleko.

Kmicic wyszedł, a za nim wyszła panna chcąc w zastępstwie ojca honory odjeżdżającemu uczynić, bo starosta na nogi już szwankował.

– Ostawaj w dobrym zdrowiu, panienko – rzekł Kmicic – nie wiesz, jakom ci życzliwy!

– Jeśliś mi waćpan życzliwy – odrzekła na to panna – to uczynźe mi jedną przysługę. Waćpan jedziesz do Częstochowy... oto czerwony złoty... weź go, proszę, i oddaj na mszę w kaplicy.

– Na czyją intencję? – spytał Kmicic.

Prorokini spuściła oczy, smutek oblał jej twarz, a jednocześnie słabe rumieńce wybiły na policzki i odrzekła cichym, do szmeru liści podobnym głosem:

– Na intencję Andrzeja, aby go Bóg z grzesznej drogi nawrócił...

Kmicic cofnął się dwa kroki, oczy wytrzeszczył i ze zdumienia przez chwilę nic przemówić nie mógł.

– Na rany Chrystusa! – rzekł wreszcie – co to za dom? Gdzie ja jestem?... Same prorocstwa, wróżby i wskazówki... Waćpanna zwiesz się Oleńka i na intencję grzesznego Andrzeja na mszę dajesz?... To nie może być prosty trafunek, to palec boży... to... to... jać oszaleję!... Na Boga, oszaleję!...

– Co waćpanu jest?

Lecz on chwycił ją gwałtownie za rękę i począł nimi potrząsać.

– Prorokujźe mi dalej, mów do końca!... Jeżeli ów Andrzej się nawróci i winy zmaże, zali Oleńka jemu wiary dochowa?... Mów, odpowiadaj, bo nie odjadę bez tego!...

– Co waćpanu jest?

– Zali Oleńka mu wiary dochowa? – powtarzał Kmicic.

Pannie nagle łzy puściły się z oczu.

– Do ostatniego tchnienia, do godziny śmierci! – odrzekła ze łkaniem.

Jeszcze nie dopowiedziała, a już Kmicic grzmotnął się jak długi jej do nóg. Chciała uciekać, nie puścił i całując jej stopy, powtarzał:

– Jam także grzeszny Andrzej, który nawrócić się pragnie!... Ja mam także swoją Oleńkę umiłowaną. Niechże twój się nawróci, a moja mi wiary dochowa... Niech słowa twoje prorocstwem będą... Balsam i nadzieję wlałaś mi do duszy strapionej... Bóg ci zapłać, Bóg zapłać!

Po czym zerwał się, siadł na koń i odjechał.

## ROZDZIAŁ XI

Słowa panny starościanki sochaczewskiej wielką napęliły pana Kmicica otuchą i przez trzy dni nie wychodziły mu z głowy. W dzień na koniu, w nocy na łożu rozmyślał o tym, co się przytrafiło, i zawsze dochodził do wniosku, że nie mógł to być prosty przypadek, ale prędzej wskazówka boża i przepowiednia, że jeśli wytrwa, jeśli z dobrej drogi nie zejdzie, z tej właśnie, którą mu Oleńka ukazała, to dziewczyna mu wiary dochowa i dawnym afektem obdarzy.

„Bo jeśli starościanka – rozmyślał pan Kmicic – dochowuje obserwacji swojemu Andrzejowi, który dotąd poprawy nie zaczął, to i dla mnie, mającego szczerą intencję służenia ojczyźnie, cnocie i królowi, nie zagasła jeszcze nadzieja!”

Lecz z drugiej strony nie brakło panu Andrzejowi i umartwień. Intencję szczerą miał, ale czy nie za późno się z nią wybrał? Czy jeszcze była jakakolwiek droga, jakakolwiek sposobność? Rzeczpospolita z każdym dniem zdawała się być więcej pogrążoną i trudno było zamykać oczu na straszliwą prawdę, że nie masz dla niej ratunku. Niczego sobie więcej nie życzył Kmicic, jak poczynać jakowąś robotę, lecz ludzi chętnych nie widział. Coraz nowe postacie, coraz nowe twarze przewijały się przed nim w czasie podróży, ale ich widok, słuchanie ich rozmów i dyskusyj odbierało tylko resztę nadziei.

Jedni duszą i ciałem przeszli do szwedzkiego obozu, szukając w nim własnej prywaty; ci pili, hulali i weselili się jak na stypie, topiąc w kielichach i rozpuście wstyd i szlachecki honor.

Drudzy rozprawiali w niepojętym zaślepieniu o potędze, jaką utworzy Rzeczpospolita w połączeniu ze Szwecją, pod berłem pierwszego w świecie wojownika, i tacy byli najniebezpieczniejsi, bo przekonani szczerze, że *orbis terrarum* musi przed takim aliansem uchylić głowy.

Trzeci, jak pan starosta sochaczewski, ludzie zacni i ojczyźnie życzliwi, badali znaki na ziemi i niebie, powtarzali prorocтва i dopatrując woli bożej we wszystkim, co się działo, i nieugiętego przeznaczenia, dochodzili do wniosku, że nie masz nadziei, że nie masz ratunku, że koniec świata się zbliża – więc byłoby szaleństwem o ziemskim wybawieniu, nie o niebieskim zbawieniu myśleć.

Inni na koniec kryli się po lasach lub z życiem uchodzili za granicę.

Tak więc spotykał pan Kmicic jeno wyuzdanych, zepsutych, szalonych albo trwożliwych, albo zdesperowanych; nie spotykał ufających.

A tymczasem fortuna szwedzka rosła. Wieść, że resztki wojska buntują się, zmawiają, grożą hetmanom i chcą przejść do Szwedów, nabierała z każdym dniem pewności. Pogłoska, że pan chorąży Koniecpolski ze swoją dywizją poddał się Karolowi Gustawowi, jak grom rozgrzmiała po wszystkich krańcach Rzeczypospolitej i wypędziła resztę wiary z serc, bo przecie pan Koniecpolski był to zbaraski rycerz. Za nim poszli pan starosta jaworowski i książę Dymitr Wiśniowiecki, którego nie powstrzymało nieśmiertelną sławą okryte nazwisko.

Poczęto już wątpić i o panu marszałku Lubomirskim. Ci, którzy go dobrze znali, twierdzili, że ambicja rozum w nim i miłość do ojczyzny przewyższa, że dotąd stał przy królu, bo mu pochlebiali, że oczy wszystkich były nań zwrócone, iż go jedni i drudzy ciągnęli, zapraszali, iż mu wmawiano, że losy ojczyzny trzyma w rękę. Lecz wobec szczęścia szwedzkiego począł się wahać, ociągać i coraz wyraźniej dawał, gwoli własnej dumie, uczuć nieszczęsnemu Janowi Kazimierzowi, iż może go zbawić albo ostatecznie pograżyć.

Król tułacz siedział w Głogowej i z garści wiernych, którzy los jego dzielili, coraz ktoś go opuszczał i do Szwedów przechodził. Tak słabi łamią się w dniach niedoli, nawet tacy, którym pierwszy poryw serca uczciwą i ciernistą drogą iść każe. Karol Gustaw przyjmował ich z otwartymi rękoma, nagradzał, obietnicami obsypywał, resztę wiernych kusił i przeciągał, coraz szerzej panowanie rozciągał; sama fortuna usuwała mu sprzed nóg wszelkie przeszkody, polskimi siłami Polskę podbijał, bez boju zwyciężał.

Szeregi wojewodów, kasztelanów, urzędników koronnych i litewskich, całe tłumy zbrojnej szlachty, całe chorągwie niezrównanej jazdy polskiej stały w jego obozie, patrząc w oczy nowego pana, gotowe na jego skinienie.

Resztki wojsk koronnych coraz natarczywiej wołały na swego hetmana: „Idź, skłoń siwą głowę przed majestatem Karola... Idź, bo chcemy do Szwedów należeć!”

– Do Szwedów! do Szwedów!

I na poparcie słów błyskały tysiące szabel.

Jednocześnie zaś wojna paliła się ciągle na wschodzie. Straszliwy Chmielnicki Lwów znowu obległ, a zastępy jego sprzymierzeńców, przepływając wedle niezdojanych murów Zamościa, rozlewały się po całym województwie lubelskim, samego Lublina sięgając.

Litwa była w rękach szwedzkich i Chowańskiego. Radziwiłł rozpoczął wojnę na Podlasiu; elektor zwłóczył i lada chwila mógł ostatni cios konającej Rzeczypospolitej zadać, tymczasem w Prusach Królewskich się umacniał.

Poselstwa ze wszech stron dążyły do króla szwedzkiego, winszując mu szczęśliwego podboju.

Zbliżała się zima, liście spadały z drzew, stada kruków, wron i kawek opuściwszy lasy unosiły się nad wsiami i miastami Rzeczypospolitej.

Za Piotrkowem wjechał znów Kmicic w oddziały szwedzkie, które zajmowały wszystkie trakty i gościńce. Niektóre, po zdobyciu Krakowa, maszerowały ku Warszawie, mówiono bowiem, że Karol Gustaw odebrawszy hołd od południowych i wschodnich województw i podpisawszy „kapitulację” czeka tylko jeszcze na poddanie się owych resztek wojska stojących pod panem Potockim i Lanckorońskim, po czym zaraz do Prus ruszy i dlatego wojska naprzód wysła. Panu Andrzejowi nie tamowano nigdzie drogi, bo w ogóle szlachta nie wzbudzała podejrzeń i mnóstwo zbrojnych pocztów ciągnęło razem ze Szwedami; inni jechali do Krakowa to pokłonić się nowemu panu, to uzyskać od niego cokolwiek, nikogo więc nie pytano ani o glejty, ani o paszporty, tym bardziej że w pobliżu Karola, udającego łaskawość, nie śmiano nikogo turbować.

Ostatni nocleg przed przybyciem do Częstochowy wypadł panu Andrzejowi w Kruszyńcu, ale zaledwie się roztasował, przybyli tam goście. Naprzód nadciągnął oddział szwedzki, około stu koni wynoszący, pod dowództwem kilku oficerów i poważnego jakiegoś kapitana. Był to mąż w średnim wieku, postawy dość wspaniałej, rosły, silny, pleczysty, z bystrymi oczyma, a jakkolwiek i strój nosił obcy, i zgoła na cudzoziemca wyglądał, jednakże wszedłszy do karczmy przemówił do pana Andrzeja najczystszą polszczyzną, wypytując się go, kto jest i dokąd jedzie?

Pan Andrzej powiedział tym razem, iż jest szlachcicem z Sochaczewskiego, albowiem dziwnym mogłoby się to wydawać oficerowi, gdyby poddany elektorski zapuścił się aż w tak odległe strony. Natomiast dowiedziawszy się, iż pan Andrzej jedzie do króla szwedzkiego ze skargą, iż mu należnej sumy nie chcą wypłacić, oficer ów rzekł:

– Przy wielkim ołtarzu najlepiej się modlić, i słusznie waćpan czynisz, że do samego króla jedziesz, bo choć u niego tysiące spraw na głowie, przecie nikomu ucha nie odmawia, a już na was, szlachtę, tak łaskaw, że aż Szwedzi wam zazdroszczą.

– Aby tylko pieniądze były w skarbie...

– Karol Gustaw to nie wasz dawny Jan Kazimierz, który nawet u Żydów zapożyczać się musiał, bo co miał, to zaraz pierwszemu proszącemu oddał. Zresztą, byle się pewna impreza udała, to pieniędzy w skarbcu nie zabraknie.

– O jakiej imprezie wasza mość mówi?

– Za mało się znamy, panie kawalerze, abym ci się miał spuścić z sekretu. Wiedz jeno to, że za tydzień albo za dwa skarbiec króla szwedzkiego tak będzie ciężki jako sułtański.

– To chyba jaki alchemik pieniędzy mu narobi, bo ich w tym kraju skądinąd nie dostać.

– W tym kraju? Dość rękę śmieie wyciągnąć. A na śmiałości nam nie braknie. Dowód w tym, że tu panujem.

– Prawda! prawda! – rzekł Kmicic – bardzośmy z tego panowania radzi, zwłaszcza jeśli nas nauczycie, jakim sposobem pieniądze jak wióry zbierać...

– Te sposoby były w waszej mocy, ale wy byście woleli z głodu poginać niż jeden grosz stamtąd wziąć.

Kmicic spojrział bystro na oficera.

– Bo są takie miejsca, na które strach nawet i Tatarom rękę podnieść! – rzekł.

– Zanadtoś domyślny, panie kawalerze – odpowiedział oficer – i to pamiętaj, że nie do Tatarów, jeno do Szwedów po pieniądze jedziesz.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie nowego pocztu. Oficer widocznie go oczekiwał, bo wypadł pospiesznie z karczmy. Kmicic zaś wyszedł za nim i stanął we drzwiach sieni, aby się przyjrzeć, kto przyjeżdża.

Naprzód zajechała zamknięta kolaska zaprzężona w cztery konie, a otoczona oddziałem szwedzkich rajtarów, i zatrzymała się przed karczmą. Ów oficer, który z Kmicicem rozmawiał, posunął się ku niej żywo i otworzywszy drzwiczki złożył głęboki ukłon siedzącej wewnątrz osobie.

„Musi być ktoś znaczny...” – pomyślał Kmicic.

Tymczasem z karczmy wyniesiono płonące pochodnie. Z karety wysiadł poważny personat, czarno z cudzoziemska ubrany w płaszcz długi do kolan, podbity tołubem lisim, i w kapeluszu z piórami.

Oficer chwycił pochodnię z rąk rajtara i skłoniwszy się raz jeszcze, rzekł:

– Tędy, ekscelencjo!

Kmicic cofnął się co prędzej do zajazdu, a oni weszli zaraz za nim. W izbie oficer skłonił się po raz trzeci i rzekł:

– Ekscelencjo! Jestem Weyhard Wrzeszczowicz, *ordinarius prowiantmagister* jego królewskiej mości Karola Gustawa, wysłany z eskortą na spotkanie waszej ekscelencji.

– Miło mi poznać tak zacnego kawalera – rzekł czarno ubrany personat oddając ukłon za ukłon.

– Czy ekscelencja chce zatrzymać się dłużej, czy dalej zaraz jechać?... Jego królewska mość pilno życzy sobie widzieć waszą ekscelencję.

– Miałem zamiar zatrzymać się w Częstochowie dla nabożeństwa – odrzekł nowo przybyły – ale w Wieluniu odebrałem wiadomość, że jego królewska mość rozkazuje mi śpieszyć, więc trochę wypocząwszy ruszymy dalej, a tymczasem odpraw wasza mość dawną eskortę i podziękuj kapitanowi, który ją prowadził.

Oficer poszedł wydać odpowiednie rozkazy. Pan Andrzej zatrzymał go po drodze.

– Kto to jest? – spytał.

– Baron Lisola, wysłannik cesarski, który z brandenburskiego dworu udaje się do naszego pa-na – odpowiedział oficer.

To rzekłszy wyszedł, a po chwili wrócił.

– Rozkazy waszej ekscelencji spełnione – rzekł do barona.

– Dziękuję – odpowiedział Lisola.

I z wielką, chociaż bardzo pańską uprzejmością wskazał Wrzeszczowiczowi miejsce naprzeciw siebie.

– Wicher coś poczyną na dworcu świstać – rzekł – i deszcz zacina. Może wypadnie dłużej popaść. Tymczasem pogawędzimy przed wieczszą. Co tu słyhać? Słyszałem, że małopolskie województwa poddały się jego szwedzkiej miłości.

– Tak jest, ekscelencjo. Jego królewska mość czeka tylko jeszcze na poddanie się reszty wojsk, po czym zaraz do Warszawy i do Prus wyruszy.

– Zali to pewna, że oni się poddadzą?

– Deputaci wojskowi już są w Krakowie. Zresztą, nie mogą inaczej uczynić, bo nie mają wyboru. Jeśli do nas nie przejdą, Chmielnicki ich do nogi wytepi.

Lisola pochylił swą rozumną głowę na piersi.

– Straszne, niestychane rzeczy! – rzekł.

Rozmowa była prowadzona w niemieckim języku. Kmicic nie tracił z niej ani jednego słowa.

– Ekscelencjo – odpowiedział Wrzeszczowicz – co się stało, to się stać musiało.

– Może być; trudno jednak nie mieć kompasji dla tej potęgi, która w oczach naszych upadła, i kto nie jest Szwedem; boleć nad tym musi.

– Ja nie jestem Szwedem, ale gdy sami Polacy nie boją, nie poczuwam się i ja do tego – odparł Wrzeszczowicz.

Lisola spojrział na niego uważnie.

– Prawda, że nazwisko waszmości niemieckie. Z jakiego narodu, proszę?

– Jestem Czech.

– Proszę! zatem cesarza niemieckiego poddany?... Więc spod jednego pana jesteśmy.

– Jestem w służbie najjaśniejszego króla szwedzkiego – odrzekł z ukłonem Wrzeszczowicz.

– Nie chcę ja bynajmniej tej służbie ubliżyć! – odparł Lisola – ale takie służby bywają przemijające, będąc zaś poddanym naszego miłościwego pana, gdziekolwiek waszmość byś był, komukolwiek byś służył, nie możesz kogo innego za przyrodzonego zwierzchnika uważać.

– Tego nie neguję.

– Więc też powiem szczerze waszmości, że pan nasz boleje nad tą prześwietną Rzeczpospolitą, nad losem wspaniałego jej monarchy i nie może łaskawym ani chętnym okiem spoglądać na tych swoich poddanych, którzy się do ostatecznej ruiny przyjaznego państwa przykładają. Co waszmości uczynili Polacy, że im taką nieżyczliwość okazujesz?...

– Ekscelencjo! siła mógłbym na to odpowiedzieć, ale obawiam się nadużyć cierpliwości waszej ekscelencji.

– Waszmość wydajesz mi się być nie tylko znamienitym oficerem, ale i rozumnym człowiekiem, a mnie mój urząd nakazuje patrzeć, słuchać, o racje wypytywać; mów więc waszmość choćby najobszerniej i nie obawiaj się znużyć mej cierpliwości. Owszem, jeśli zgłosisz się kiedy do służby cesarskiej, czego ci najmocniej życzę, znajdziesz wasza mość we mnie przyjaciela, który cię wytłumaczy i racje twoje powtórzy, jeśliby ci za złe twoją dzisiejszą służbę poczytać chciano.

– Tedy wypowiem wszystko, co mam na myśli. Jako wielu szlachty, młodszych synów, tak i ja musiałem fortuny poza granicami kraju szukać, przybyłem więc tutaj, gdzie i naród jest mojemu pokrewny, i cudzoziemców chętnie do służby zażywają.

– Złe waszą mość przyjęto?

– Dano mi żupy solne w zawiadywanie. Znalazłem przystęp do chleba, do ludzi i do samego króla. Obecnie służę Szwedom, a jednak, gdyby mnie kto za niewdzięcznika chciał poczytać, wręcz bym mu musiał zanegować.

– A to z jakich racyj?

– A z jakich racyj można więcej ode mnie wymagać niż od Polaków samych? Gdzie są dziś Polacy? Gdzie senatorowie tego królestwa, książęta, magnaci, szlachta, rycerstwo, jeśli nie w obozie szwedzkim? A przecie to oni pierwsi powinni wiedzieć, co im czynić należy, gdzie zbawienie, a gdzie zguba dla ich ojczyzny. Ja idę za nimi, więc któryż z nich ma mnie prawo nazwać niewdzięcznikiem? Czemu to ja, cudzoziemiec, mam być wierniejszym królowi polskiemu i Rzeczypospolitej niż oni sami? Czemu miałbym pogardzać służbą, o którą oni sami się proszą?

Lisola nie odrzekł nic. Wsparł głowę na rękę i zamyślił się. Zdawałoby się, że słucha poświ-  
stwu wiatru i szumu jesiennego dżdżu, który począł zacinać w okna karczmy.

– Mów waszmość dalej – rzekł wreszcie – zaprawdę, szczególne rzeczy mi mówisz.

– Ja szukam fortuny tam, gdzie ją znaleźć mogę – rzekł Wrzeszczowicz – a że ten naród ginie, nie potrzebuję się o to więcej troszczyć od niego samego. Zresztą choćbym się troszczył, nic by to nie pomogło, bo oni zginąć muszą!

– A to dlaczego?

– Naprzód dlatego, że sami tego chcą; po wtóre, że na to zasługują. Ekscelencjo! jestli na świecie drugi kraj, gdzie by tyle nieładu i swawoli dopatrzeć można?... Co tu za rząd? – Król nie rządzi, bo mu nie dają... Sejmy nie rządzą, bo je rwą... Nie masz wojska, bo podatków płacić nie chcą; nie masz posłuchu, bo posłuch wolności się przeciwi; nie masz sprawiedliwości, bo wyroków nie ma komu egzekwować i każdy możniejszy je depce; nie masz w tym narodzie wierności, bo oto wszyscy pana swego opuścili; nie masz miłości do ojczyzny, bo ją Szwedowi oddali za obietnicę, że im po staremu w dawnej swawoli żyć nie przeszkodzi... Gdzieby indziej mogło się coś podobnego przytrafić? Który by w świecie naród nieprzyjacielowi do zawojowania własnej ziemi pomógł? Który by tak króla opuścił, nie za tyraństwo, nie za złe uczynki, ale dlatego, że przyszedł drugi, mocniejszy? Gdzie jest taki, co by prywatę więcej ukochał, a sprawę publiczną więcej podeptał? Co oni mają, ekscelencjo?... Niechże mi kto choć jedną cnotę wymieni: czy stateczność, czy rozum, czy przebiegłość, czy wytrwałość, czy wstrzeźliwość? Co oni mają? Jazdę dobrą? tak! i nic więcej... To i Numidowie ze swej jazdy słynęli, i Galowie, jak to w rzymskich historykach czytać można, sławnego mieli komunika, a gdzie są? Zginęli, jak i ci zginąć muszą. Kto ich chce ratować, ten jeno czas próżno traci, bo oni sami nie chcą się ratować!... Jeno szaleni, swawolni, źli i sprzedajni tę ziemię zamieszkują!

Wrzeszczowicz ostatnie słowa wymówił z prawdziwym wybuchem nienawiści, dziwnej w cudzoziemcu, który chleb znalazł wśród tego narodu; ale Lisola nie dziwił się. Wytrawny dyplomata znał świat i ludzi, wiedział, że kto nie umie płacić sercem swemu dobroczyńcy, ten gorliwie szuka w nim win, by nimi własną niewdzięczność osłonić. Zresztą może i przyznawał on słusność Wrzeszczowiczowi, więc nie protestował; natomiast spytał nagle:

– Panie Weyhard, czy waćpan jesteś katolikiem?

Wrzeszczowicz zmieszał się.

– Tak jest, ekscelencjo! – odpowiedział.

– Słyszałem w Wieluniu, że są tacy, którzy namawiają jego królewską mość Karola Gustawa, ażeby klasztor jasnogórski zajął... Czy to prawda?

– Ekscelencjo! klasztor leży blisko śląskiej granicy, i Jan Kazimierz snadnie od niego zasiłki mieć może. Musimy go zająć, aby temu przeszkodzić... Jam pierwszy zwrócił na to uwagę i dlatego jego królewską mość mnie tę funkcję powierzył.

Tu Wrzeszczowicz urwał nagle, przypomniał sobie Kmicica siedzącego w drugim końcu izby i podszedłszy ku niemu spytał:

– Panie kawalerze, rozumiesz po niemiecku?

– Ani słowa, choćby mi kto zęby rwał! – odpowiedział pan Andrzej.

– A to szkoda, bo chcieliśmy do rozmowy zaprosić.

To rzekłszy zwrócił się do Lisoli:

– Jest tu obcy szlachcic, ale po niemiecku nie rozumie, możemy mówić swobodnie.

– Nie mam nic tajnego do powiedzenia – odrzekł Lisola – ale ponieważ jestem także katolik, nie chciałbym, aby świętemu miejscu stała się jaka krzywda... Że zaś jestem pewien, iż i najjaśniejszy cesarz ten sam ma sentyment, tedy będę prosił jego królewskiej mości, aby mnichów oszczędził. A waćpan nie spiesz się z zajmowaniem, aż do nowej rezolucji.

– Mam wyraźne, chociaż tajemne instrukcje; waszej ekscelencji tylko ich nie zatajam, bo cesarzowi, panu memu, zawsze chcę wiernie służyć. Mogę jednak waszą ekscelencję w tym uspokoić, że świętemu miejscu żadna profanacja się nie stanie. Jam katolik...

Lisola uśmiechnął się i chcąc prawdę z mniej doświadczonego człowieka wydobyć spytał żartobliwie:

– Ale skarbcza mnichom przetrząsniecie? Nie będzie bez tego? Co?

– To się może zdarzyć – odrzekł Wrzeszczowicz. – Najświętsza Panna talarów w przeorskiej skrzyni nie potrzebuje. Skoro wszyscy płacą, niechże i mnichy płacą.

– A jeśli się będą bronili?

Wrzeszczowicz rozśmiał się.



– W tym kraju nikt się nie będzie bronił, a dzisiaj już i nie może się nikt bronić. Mieli po temu czas!... teraz za późno!

– Za późno – powtórzył Lisola.

Na tym skończyła się rozmowa. Po wieczery odjechali. Kmicic pozostał sam. Była to dla niego najgorsza noc ze wszystkich, jakie spędził od czasu wyjazdu z Kiejdan.

Słuchając słów Weyharda Wrzeszczowicza musiał się wszelkimi siłami powstrzymać, aby nie krzyknąć mu: „Łżesz, psie!” – i z szablą na niego nie wpaść. I jeśli tego nie uczynił, to dlatego, że niestety czuł i uznawał prawdę w słowach cudzoziemca, straszną, palącą jak ogień, ale rzetelną.

„Co bym mu mógł rzec? – mówił sobie – czym, prócz pięści, zanegować? jakie dowody przytoczyć?... Prawdę czekał... Bodaj go zabito!... A i ów cesarski statysta przyznał mu, że już po wszystkim i na wszelką obronę za późno.”

Kmicic w znacznej części może dlatego tak cierpiał, że owo „za późno” było wyrokiem nie tylko dla ojczyzny, ale i dla jego prywatnego szczęścia. A przecie już tej męki miał dosyć; już mu i sił nie stawało, bo przez całe tygodnie nic innego nie słyszał, tylko: że wszystko przepadło, że nie czas już, że za późno. Żaden promyk nadziei nie padł mu nigdzie w duszę.

Jadąc coraz dalej, dlatego się tak śpieszył, dlatego dniami i nocami jechał, żeby uciec przed tymi wróżbami, żeby wreszcie znaleźć jaką okolicę, jakiego człowieka, który by mu wlał chociaż kroplę pociechy. Tymczasem znajdował coraz większy upadek, coraz większą desperację. Wreszcie słowa Wrzeszczowicza przepełniły ten kielich goryczy i żółci; wykazały mu jasno to, co było dotąd niewyraźnym poczuciem, że nie tyle Szwedzi, Septentrionowie i Kozacy zabili ojczyznę, ile cały naród.

„Szaleni, swawolni, źli i przedajni tę ziemię zamieszkują – powtarzał za Wrzeszczowiczem pan Kmicic – i nie masz innych!... Króla nie słuchają, sejmy rwą, podatków nie płacą, nieprzyjacielowi sami do zawojowania tej ziemi pomagają. Muszą zginać!

Dla Boga! żeby choć jedno łgarstwo mu zadać! Zali prócz jazdy, nie masz w nas nic dobrego, żadnej cnoty, jeno zło samo?”

Pan Kmicic szukał w duszy odpowiedzi. Tak już był zmęczony i drogą, i zmartwieniami, i wszystkim, co przeszedł, że mu się zaczęło w głowie mącić. Poczul, że jest chory, i owładnęło go śmiertelne znużenie. W mózgu czynił mu się coraz większy chaos. Przesuwały się twarze znajome i niezajome, te, które znał dawniej, i te, które w czasie drogi napotkał.

Owe figury rozprawiały jakby na sejmie, przytaczały sentencje, prorocтва, a wszystkim chodziło o Oleńkę. Ona czekała ratunku od pana Kmicica, ale Wrzeszczowicz powstrzymywał go za ramiona i patrząc mu w oczy, powtarzał: „Za późno! co szwedzkie, to szwedzkie!” – a Bogusław Radziwiłł śmiał się i wtórował Wrzeszczowiczowi. Po czym wszyscy poczęli krzyżeć: „Za późno! za późno! za późno!” – i chwyciwszy Oleńkę, znikli z nią gdzieś w ciemnościach.

Panu Kmicicowi wydało się, że Oleńka i ojczyzna to to samo i że obie zgubił i dobrowolnie Szwedom wydał.

Wówczas chwycił go żal tak niezmierny, że się budził i spoglądał zdumionymi oczyma wokoło siebie albo też nasłuchiwał wiatru, który w kominie, w ścianach, w dachu świstał różnymi głosami i wygrywał przez wszystkie szpary jak na organach.

Lecz widzenia wracały. Oleńka i ojczyzna znów zlewały się w jego umyśle w jedną istotę, którą Wrzeszczowicz uprowadzał mówiąc: „Za późno! za późno!”

Tak przegorączkował pan Andrzej całą noc. W chwilach przytomności myślał, że przyjdzie mu zachorować obłożnie, i już chciał wołać Sorokę, by mu krew puszczał. Lecz tymczasem poczęło świtać; Kmicic zerwał się i wyszedł przed zajazd.

Zaledwie pierwszy brzask rozpraszał ciemności; dzień zapowiadał się pogodnie; chmury pozbijały się w długie taśmy i pasma na zachodzie, ale wschód był czysty; na błędnym zwolna niebie migotały niepoprzesłaniane oparami gwiazdy. Kmicic zbudził ludzi, sam przybrał się w świąteczne suknie, bo nadchodziła właśnie niedziela, i ruszyli w drogę.

Po złej, bezsennej nocy był Kmicic znużony na ciele i duszy.

Ani ów ranek jesienny, blade, ale rzeźwy, szronisty i pogodny, nie mógł rozproszyć smutku gniotącego serce rycerza. Nadzieja wypaliła się w nim do ostatniego źdźbła i zgasła jak lampa, w której oliwy zabrakło. Co mu przyniesie ten dzień? Nic! Te same smutki, to samo utrapienie, prędzej przyrzuci ciężaru na duszę, z pewnością nie ujmie.

Jechał więc w milczeniu utkwivszy oczy w jakiś punkt bardzo błyszczący na widnokręgu. Konie parskwały na pogodę; ludzie poczeli śpiewać sennymi głosami jutrznię.

Tymczasem rozwidniało się coraz bardziej, niebo z bladego stawało się zielone i złote, a ów punkt na widnokręgu począł tak błyszczeć, że oczy mrużyły się od tego blasku.

Ludzie przestali śpiewać i wszyscy patrzyli w tamtą stronę, wreszcie Soroka rzekł:

– Dziwo czy co?... Toć tam zachód, a jakby słońce wschodziło?

Istotnie, owo światło rosło w oczach, z punktu uczyniło się kołem, z koła koliskiem – z dala rzekłbyś, że ktoś zawiesił nad ziemią olbrzymią gwiazdę siejącą blaski niezmiernie.

Kmicic i jego ludzie patrzyli ze zdumieniem na owo zjawisko świetliste, drgające, promienne, nie wiedząc, co mają przed oczyma.

Wtem od Kruszyny chłop nadjechał w drabinkach. Kmicic zwróciwszy się ku niemu ujrzał, iż chłop czapkę trzymał w ręku i patrząc w owo światło modlił się.

– Chłopie? – spytał pan Andrzej – a co się to tak świeci?

– Kościół jasnogórski! – odrzekł kmicic.

– Chwała Najświętszej Pannie! – zakrzyknął Kmicic i czapkę zdjął z głowy, za nim uczynili też samo jego ludzie.

Po tylu dniach zmartwień, zwątpienia i zawodów uczuł nagle pan Andrzej, że staje się z nim coś dziwnego. Ledwie słowa: „Kościół jasnogórski!”, przebrzmiały mu w uszach, gdy smutek opadł z niego, jakoby kto ręką odjął.

Ogarnęła rycerza jakaś niewypowiedziana bojaźń, pełna czci, ale zarazem nieznaną radość, wielka, błoga. Od tego kościoła, jarzącego się na wysokości w pierwszych promieniach słońca, biła nadzieja, której pan Kmicic dawno nie zaznał, otucha, której na próżno szukał, siła niepokonana, na której chciał się oprzeć. Wstąpiło weń jakoby nowe życie i poczęło krążyć po żyłach wraz ze krwią. Odetchnął tak głęboko, jak chory budzący się z gorączki, z nieprzytomności.

A kościół lśnił się coraz bardziej, jakby wszystko światło słoneczne w siebie zabrał. Cała kraina leżała u jego stóp, a on patrzył na nią z wysokości, rzekłbyś: stróż jej i opiekun.

Kmicic długo oczu nie mógł oderwać od tego światła i nasycił, i koił się jego widokiem. Ludzie jego mieli twarze poważne i przejęte obawą.

Wtem odgłos dzwonu rozległ się w cichym rannym powietrzu.

– Z koni! – zawołał pan Andrzej.

Zeskoczyli wszyscy z kulbak i klękawszy na drodze, rozpoczęli litanię. Kmicic ją odmawiał, a żołnierze odpowiadali chórem. Nadjechały przez ten czas nowe wozy; chłopci, widząc modlących się na drodze ludzi, przyłączyli się do nich i coraz większą czyniła się gromada.

Gdy wreszcie skończono modlitwy, powstał pan Andrzej, a za nim i jego ludzie, lecz szli już dalek piechotą, prowadząc konie za uzdy i śpiewając: „Witajcie, jasne podwoje...”

Pan Andrzej szedł tak rzeźwy, jakby skrzydła miał u ramion. W skrętach drogi kościół to nikał, to ukazywał się na przemian. Gdy przesłoniły go wyniosłości lub parowy, zdawało się Kmicicowi, że ciemność świat ogarnia, lecz gdy znowu rozbłyskał, wówczas rozpromieniały się i wszystkie twarze.

Tak szli długo. Kościół, klasztor i otaczające go mury widniały coraz wyraźniej, stawały się coraz wspanialsze, ogromniejsze. Dojrzeli wreszcie i miasto w dali, a pod górą całe szeregi domów i chat, które przy ogromie kościelnym wydawały się tak małe jako gniazda ptasie.

Była to niedziela, więc gdy słońce wybiło się już dobrze w górę, droga zaroila się wozami i pieszym ludem ciągnącym na nabożeństwo. Z wysokich wież poczęły huczeć dzwony większe i mniejsze napełniając powietrze wspaniałym dźwiękiem. Była w tym widoku i w tych głosach

spiżowych jakaś potęga, jakiś niezmierny majestat, a zarazem i spokój. Ten szmat ziemi u stóp Jasnej Góry wcale był niepodobny do reszty kraju.

Tłumy ludu czerniały naokół murów kościelnych. Pod górą stały setki wozów, bryczek, kolaszek, bid; gwar ludzki mieszał się ze rzeniem koni poprzywiązywanych do palików. Dalej na prawo, wedle głównej drogi prowadzącej na górę, widać było całe szeregi straganów, w których sprzedawano wota metalowe i woskowe, świece, obrazy, szkaplerze. Fala ludzka płynęła wszędy swobodnie.

Bramy były szeroko otwarte, kto chciał, wchodził, kto chciał, wychodził; na murach, przy działach, zgoła nie było żołnierzy. Strzegła widocznie kościoła i klasztoru sama świętość miejsca – a może ufano listom Karola Gustawa, którymi bezpieczeństwo zaręczył.

## ROZDZIAŁ XII

Od bramy fortecznej chłopci i szlachta, mieszczenie z różnych okolic, ludzie wszelkiego wieku, obojej płci i wszystkich stanów, czołgali się ku kościołowi na kolanach, śpiewając pieśni pobożne. Płynęła ta rzeka bardzo wolno i bieg jej zatrzymywał się co chwila, gdy ciała zbiły się zbyt ciasno. Chorągwie wiały nad nią na kształt tęczy. Chwilami pieśni milkły i tłumy poczynają odmawiać litanie, a wówczas grzmot słów rozlegał się z jednego końca w drugi. Między pieśnią a pieśnią, między litaniami a litaniami tłumy milkły i biły czołem w ziemię lub rzucały się krzyżem; słychać było tylko głosy błagalne i przeraźliwe żebraków, którzy siedząc po dwóch brzegach rzeki ludzkiej, odsłaniali na widok publiczny swe skaleczone członki. Wycie ich mieszało się z brzękiem grosiwa wrzucanego do blaszanych i drewnianych mis. I znowu rzeka głów toczyła się dalej, i znowu brzmiały pieśni.

W miarę jak fala zbliżała się do drzwi kościoła, zapał wzrastał i zmieniał się w uniesienie. Widziałeś ręce wyciągnięte ku niebu, oczy wzniesione, twarze blade ze wzruszenia lub rozpalone modlitwą.

Różnice stanu znikły: chłopskie sukmany zmieszały się z kontuszami, żołnierskie kolety z żółtymi kapotami mieszczan.

We drzwiach kościoła ścisk powiększył się jeszcze. Ciała ludzkie utworzyły już nie rzekę, ale most tak zbity, iż można by było przejść po głowach, ramionach, nie dotknawszy stopą ziemi. Piersiom brakło oddechu, ciałom przestrzeni, lecz duch, który je ożywiał, dawał im żelazną odporność. Każdy się modlił, nikt nie myślał o niczym innym; każdy dźwigał na sobie tłok i ciężar całej tej masy, lecz nikt nie upadał i popychany przez tysiące, czuł w sobie siłę za tysiące, i z tą siłą parł naprzód, pogrążon w modlitwie, w upojeniu, w egzaltacji.

Kmicic, czołgający się ze swymi ludźmi w pierwszych szeregach, dostał się wraz z pierwszymi do kościoła, potem prąd wniósł go do cudownej kaplicy, gdzie tłumy rzuciły się na twarz, płacząc, obejmując rękoma posadzkę i całując ją z uniesieniem. Tak czynił i pan Andrzej, a gdy wreszcie ośmielił się podnieść głowę, uczucie rozkoszy, szczęścia i zarazem śmiertelnej obawy odjęło mu prawie przytomność.

W kaplicy panował mrok czerwony, którego nie rozpraszały zupełnie płomyki świec jarzących się przed ołtarzem. Barwne światła wpadały także przez szyby, i wszystkie one blaski czerwone, fioletowe, złote, ogniste drgały na ścianach, ślizgały się po rzeźbach, załamaniach, przedzierały się w zaciemnione głębie, wydobywając na jaw jakieś niewyraźne przedmioty pogrążone jakoby we śnie. Tajemnicze połyski rozbiegały się i skupiały z mrokiem tak nieznacznie, że nikła wszelka różnica między światłem a cieniem. Świece na ołtarzu miały glorie złote. Dymy z kadzielnic tworzyły mgłę purpurową; biały ornat zakonnika, odprawiającego ofiarę, grał przyćmionymi kolorami tęczy. Wszystko tu było półwidne, półprzesłonięte, nieziemskie: blaski nieziemskie, mroki nieziemskie – tajemnicze, uroczyste, błogosławione, przepełnione modlitwą, adoracją, świętością...

Z głównej nawy kościoła dochodził szum zmieszany głosów ludzkich, jak ogromny szum morza, a tu panowała cisza głęboka, przerywana tylko głosem zakonnika śpiewającego wotywę.

Obraz jeszcze był przysłonięty, więc oczekiwanie tłumilo dech w piersiach. Widać tylko było oczy wpatrzone w jedną stronę, nieruchome twarze, jakoby już z ziemskim życiem rozbratane, ręce złożone przed ustami, jak u aniołów na obrazach.

Śpiewowi zakonnika wtórowały organy wydając tony łagodne, a słodkie, płynące jakoby z fletni zaziemskich. Chwilami zdawały się one sączyć jak woda w źródle, to znów padały ciche a gęste, jak rzęsisty deszcz majowy.

Wtem huknął grzmot trąb i kotłów – dreszcz przebiegł serca.

Zasłona obrazu rozsunała się w dwie strony i potok brylantowego światła lunął z góry na pobożnych.

Jęki, płacz i krzyki rozległy się w kaplicy.

– *Salve Regina!* – zawrzała szlachta – *monstra Te esse matrem!* – a chłopci wołali: – Panienko Najświętsza! Panno Złota! Królowo Anielska! ratuj, wspomóż, pociesz, zmiłuj się nad nami!

I długo brzmiały te okrzyki wraz ze szlochaniem niewiast, ze skargami nieszczęśliwych, z prośbami o cud chorych lub kalek.

Z Kmicica dusza nieomal wyszła; czuł tylko, że ma przed sobą niezmierność, której nie pojmie i nie ogarnie, a wobec której wszystko niknie. Czymże były zwątpienia wobec tej ufności, której cała istność nie mogła pomieścić; czym niedola wobec tej pociechy; czym potęga szwedzka wobec takiej obrony; czym ludzka złość wobec takiego patronatu?...

Tu myśli w nim ustały i zmieniły się w czucia same; zapomniał się, zapamiętał, przestał rozoznawać, kim jest, gdzie jest... Zdawało mu się, że umarł, że dusza jego leci z głosami organów, mięsza się z dymami kadzielnic; ręce, przywykłe do miecza i rozlewu krwi, wyciągnął do góry i klęczał w upojeniu, w zachwycie.

Tymczasem ofiara kończyła się. Pan Andrzej sam nie wiedział, jakim sposobem znalazł się wreszcie znowu w głównej nawie kościelnej. Ksiądz prawił naukę z kazalnicy, ale Kmicic długo jeszcze nic nie słyszał, nic nie rozumiał, jak człowiek zbudzony ze snu nie od razu miarkuje, gdzie kończy się sen, a rozpoczyna jawa.

Pierwsze słowa, jakie usłyszał, były: „Tu się odmienią serca i dusze naprawią, ani bowiem Szwed mocy tej nie zmoże, ani w ciemnościach brodzący prawdziwego światła nie zwyciężą!”

„Amen!” – rzekł w duchu Kmicic i począł się bić w piersi, bo mu się teraz zdawało, że grzeszył ciężko, sądząc, że już wszystko przepadło i że znikąd nie masz nadziei.

Po ukończonym nabożeństwie zatrzymał pierwszego napotkanego zakonnika i oznajmił mu, że w sprawie kościoła i klasztoru chce się widzieć z przeorem.

Przeor dał mu natychmiast posłuchanie. Był to człowiek w dojrzałym wieku, który już ku wieczorowi się zbliżał. Twarz miał niezmiernie pogodną. Czarna gęsta broda okalała mu oblicze, a oczy miał niebieskie, spokojne i patrzące przenikliwie. W swoim białym habicie wyglądał po prostu jak święty. Kmicic ucałował go w rękaw szaty, a on ścisnął go za głowę i spytał, kto jest i skąd przybywa?

– Przybywam ze Żmudzi – odrzekł pan Andrzej – aby Najświętszej Pannie, utrapionej ojczyźnie i opuszczonemu panu służyć, przeciw którym dotąd grzeszyłem, co wszystko na spowiedzi świętej wyznam obszernie, i o to proszę, abym dziś jeszcze lub jutro do dnia mógł być wyspowiadany, gdyż żal za winy do tego mnie skłania. Nazwisko swoje prawdziwe też powiem ci, ojczcie wielebny, pod tajemnicą spowiedzi, nie inaczej, bo źle do mnie ludzi uprzedza i do poprawy przeszkadzać mi może. Przed ludźmi chcę się zwać Babiniczem, od jednej mojej majątności przez nieprzyjaciela ogarniętej. Tymczasem ważną przywożę wiadomość, której wysłuchaj, ojczcie, cierpliwie, gdyż o ten przybytek święty i o klasztor chodzi!

– Chwałę intencje waszmości i poprawy życia przedsięwzięcie – odrzekł ksiądz przeor Kordecki. – Co do spowiedzi, nieleniwie chęci twojej dogodzę, a teraz słucham.

– Długom jechał – rzekł na to Kmicic – siła widziałem i namartwiłem się niemało... Wszędy umocnił się nieprzyjaciel, wszędy heretykowie głowę podnoszą, ba, sami nawet katolicy do obozu nieprzyjaciela przechodzą, który tym, jako i zdobyciem dwóch stolic uzuchwalony, na Jasną Górę teraz świętokradzką rękę podnieść zamierza.

– Od kogo masz waszmość tę wiadomość? – spytał ksiądz Kordecki.

– Nocowałem ostatniej nocy w Kruszynie. Przyjechali tam Weyhard Wrzeszczowicz i cesarski poseł Lisola, który z dworu brandenburskiego wracał, a do króla szwedzkiego zdążał.

– Króla szwedzkiego nie ma już w Krakowie – odrzekł na to ksiądz patrząc przenikliwie w oczy pana Kmicica.

Lecz pan Andrzej powiek nie spuścił i tak mówił dalej:

– Nie wiem ja, czy on jest, czy go nie ma... Wiem, że Lisola do niego jechał, a Wrzeszczowicza przysłano, aby eskortę zlużował i dalej go prowadził. Obaj rozmawiali przy mnie po nie-

miecku, nic się mojej obecności nie strzegąc, gdyż nie myśleli, abym mógł ich mowę wyrozumieć, którą ja z dzieciństwa znając tak dobrze jak i polską, to wymiarkowałem, że Weyhard instygował, aby klasztor zająć i do skarbcza się dostać, na co od króla otrzymał pozwolenie.

– I waszmość to na własne uszy słyszałeś?

– Tak, jako tu stoję.

– Stanie się wola boska! – rzekł spokojnie ksiądz.

Kmicic zląkł się. Sądził, że ksiądz nazywa wolą boską rozkaz króla szwedzkiego i o oporze nie zamyśla, więc rzekł zmieszany:

– W Pułtusk widziałem kościół w szwedzkich rękach, żołnierzy w karty w przybytku bożym grających, beczki piwa na ołtarzach i niewiasty bezwstydnie z żołnierzami.

Ksiądz wciąż patrzył prosto w oczy rycerza.

– Dziwna rzecz – rzekł – szczerłość i prawda patrzą ci z oczu...

Kmicic spłonął.

– Niech tu trupem padnę, jeśli to nieprawda, co mówię!

– W każdym razie ważne to wieści, nad którymi naradzić się wypadnie. Waszmość pozwolisz, że poproszę tu starszych ojców i kilku zacnej szlachty tu u nas teraz mieszkających, którzy nas radą w tych okrutnych czasach wspierają. Waszmość pozwolisz..

– Chętnie przed nimi to powtórzę.

Ksiądz Kordecki wyszedł i po kwadransie wrócił z czterema starszymi ojcami.

Wkrótce potem wszedł pan Różyc-Zamoyski, miecznik sieradzki, człowiek poważny; pan Okielnicki, chorąży wieluński; pan Piotr Czarniecki, młody kawaler o groźnej, marsowej twarzy, podobien do dębu ze wzrostu i siły, i kilku innej szlachty różnego wieku. Ksiądz Kordecki prezentował im pana Babinicza ze Żmudzi, po czym powtórzył wszem wobec Kmicicowe nowiny. Oni zaś dziwili się okrutnie i poczęli mierzyć oczyma pana Andrzeja badawczo i z niedowierzaniem, a gdy nikt pierwszy głosu nie zabierał, wówczas ksiądz Kordecki ozwał się:

– Niechże mnie Bóg broni, abym tego kawalera miał o złą intencję lub o kłamstwo posądzać, ale te nowiny, które przyniósł, tak mi się wydają nieprawdopodobne, iż za słuszną rzecz uznałem, abyśmy je razem zbadali. W najszczerzej chęci mógł się ów kawaler omylić albo źle słyszeć, albo źle wyrozumieć, albo umyślnie w błąd przez jakowych heretyków być wprowadzonym. Przestrachem serca nasze napełnić, popłoch w świętym miejscu wywołać, nabożeństwu przeszkodzić to dla nich radość niezmierna, której by pewnie żaden sobie w złośliwości swej odmówić nie chciał.

– Widzi mi się to bardzo do wiary podobnym – odrzekł ojciec Nieszkowski, najstarszy w zgromadzeniu.

– Trzeba by naprzód wiedzieć, czy ów kawaler sam nie jest heretykiem? – rzekł Piotr Czarniecki.

– Katolik jestem, jak i waćpan! – odparł Kmicic.

– Zważyć nam pierwiej koniunktury wypada – wtrącił pan Zamoyski.

– Otóż koniunktury są takie – odrzekł ksiądz Kordecki – że chybaby Bóg i Najświętsza Jego Rodzicielka umyślnie na tego nieprzyjaciela zesłali zaślepienie, aby miarę w swych nieprawościach przebrał. Inaczej nigdy by on na ten święty przybytek nie odważył się wznieść miecza. Nie własną siłą on tę Rzeczpospolitą podbił, sami jej synowie do tego mu dopomogli; ale jakkolwiek naród nasz nisko upadł, jakkolwiek w grzechu brodzi, to przecie i w grzechu samym jest pewna granica, której nie śmiałyby przestąpić. Pana swego opuścił, Rzeczypospolitej odstąpił, ale matki swej, Patronki i Królowej, czcic nie zaniechał. Szydzi z nas i pogardza nami nieprzyjaciel pytając, co nam z dawnych cnót pozostało. A ja odpowiem: wszystkie zginęły, jednak coś jeszcze pozostało, bo pozostała wiara i cześć dla Najświętszej Panny, na którym to fundamencie reszta odbudowaną być może. I widzę to jasno, że niechby jedna kula szwedzka wyszczerbiła te święte mury, tedyby się najzatatwardzialszy odwrócili od Szwedów, z przyjaciół staliby się wrogami, przeciw nim miecze by podnieśli. Ale i Szwedzi mają na własną zgubę oczy otwarte i rozu-

mieją to dobrze... Przeto, jeśli Bóg, jak wspomniałem, ślepoty umyślnej na nich nie zesłał, nigdy oni się na Jasną Górę nie ośmielą uderzyć, bo ten dzień byłby dniem przemiany ich fortuny a upamiętania naszego.

Kmicic słuchał ze zdumieniem słów księdza Kordeckiego, które były zarazem odpowiedzią na to, co z ust Wrzeszczowicza przeciw narodowi polskiemu wyszło. Lecz ochłonawszy ze zdziwienia, w następujące ozwał się słowa:

– Czemuż to, ojcze wielebny, nie mamy wierzyć, że właśnie Bóg zaślepieniem nieprzyjaciół nawiedził? Zważmy ich pychę, ich chciwość na ziemskie dobra, zważmy na nieznośny ucisk i podatki, jakie nawet na duchownych nakładają, a snadnie przyjdzie zrozumieć, że przed żadnym świętokradztwem się nie cofną.

Ksiądz Kordecki nie odpowiedział wprost Kmicicowi, lecz zwróciwszy się do całego zgromadzenia, tak dalej mówił:

– Powiada ów kawaler, że widział posła Lisolę do króla szwedzkiego jadącego; jakże to być może, skoro ja mam od krakowskich paulinów niemyślną wiadomość, że króla nie masz już w Krakowie ani w całej Małopolsce, gdyż zaraz po poddaniu się Krakowa do Warszawy wyjechał...

– Nie może to być – odrzekł Kmicic – a najlepszy dowód, że na poddanie się i na hołd kwarcianych czeka, którzy pod panem Potockim zostają.

– Hołd ma przyjmować w imieniu królewskim generał Duglas – odrzekł ksiądz – tak mi z Krakowa piszą.

Kmicic umilkł; nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Ale przypuszczę – mówił dalej ksiądz – że król szwedzki nie chciał widzieć cesarskiego posła i umyślnie wołał się z nim rozminąć. Lubi tak czynić Carolus: nagle przyjeżdżać, nagle odjeżdżać; gniewa go przy tym cesarska mediacja, chętnie więc wierzę, że pojechał, udając, iż o przybyciu posła nie wie. Mniej mnie i to dziwi, że hrabiego Wrzeszczowicza, tak znamienitą osobę, przeciw posłowi z eskortą wysłano, bo może chciano polityką nadrobić i zawód posłowi ucukrować, ale jak uwierzyć, aby hrabia Wrzeszczowicz zaraz się zwierzał z zamiarami baronowi Lisoli, który jest katolik, nam i całej Rzeczypospolitej, i naszemu wygnanemu królowi przychylny?

– Niepodobieństwo! – rzekł ojciec Nieszkowski.

– I mnie to w głowie się nie mieści – dorzucił pan miecznik sieradzki.

– Wrzeszczowicz sam katolik i nasz dobrodziej – rzekł inny *pater*.

– I ten kawaler powiada, że słyszał to na własne uszy? – spytał szorstko pan Piotr Czarniecki.

– Pomyślcie waszmościowie i nad tym – dodał ksiądz przeor – że ja mam salwę-gwardię od Carolusa Gustawa, jako klasztor i kościół mają być na zawsze od zajęcia i postoju wolne.

– Przyznać trzeba – rzekł z powagą pan Zamoyski – że w tych wiadomościach nic się jedno drugiego nie trzyma: Szwedom byłaby strata, nie korzyść, na Częstochowę uderzać, króla nie ma, więc Lisola nie mógł do niego jechać, Wrzeszczowicz nie mógł mu się zwierzać, dalej: nie heretyk to, ale katolik, nie wróg klasztoru, ale jego dobroczyńca, na koniec, choćby go i szatan do napadu kusił, nie śmiałyby napadać przeciw rozkazowi i salwie-gwardii królewskiej.

Tu zwrócił się do Kmicica:

– Cóż tedy opowiadasz, kawalerze, i dlaczego, w jakim zamiarze, chcesz wielebnych ojców i nas tu obecnych przestraszyć?

Kmicic stał jak oskarżony przed sądem. Z jednej strony, brała go rozpacz, iż jeśli mu nie uwierzą, klasztor stanie się łupem nieprzyjaciela, z drugiej, wstyd go palił, bo sam widział, że wszystkie pozory przemawiają przeciw jego wiadomościom i że łatwo za kłamcę poczytany być może. Na myśl o tym gniew szarpał go, rozbudzała się w nim przyrodzona popędliwość, grała obrażona ambicja, budził się dawny pódziki Kmicic. Ale łamał się póty sam z sobą, aż się złamał, przywołał wszystką cierpliwość i powtarzając sobie w duszy: „Za grzechy moje, za grzechy moje...” – odrzekł z mieniącą się twarzą:

– Com słyshał, powtarzam jeszcze raz: Weyhard Wrzeszczowicz ma napaść na klasztor. Terminu nie wiem, ale myślę, że prędko się to stanie... Ja ostrzegam, a na waszmościów spadnie odpowiedzialność, jeśli nie usłuchacie!...

Na to pan Piotr Czarniecki odrzekł z przyciskiem:

– Powoli, kawalerze, powoli. Głosu nie podnoś!

Po czym pan Piotr Czarniecki przemówił do zgromadzonych:

– Pozwólcie mnie, zacni ojcowie, zadać kilka pytań temu przybyszowi...

– Waćpan nie masz prawa mi ubliżać! – krzyknął Kmicic.

– Nie mam i chęci – odrzekł zimno pan Piotr. – Ale tu o klasztor i o Najświętszą Pannę chodzi, o Jej stolicę. Dlatego to waćpan musisz na bok odłożyć urazę albo jeżeli nie na bok, to na czas, bo bądź pewien, że ci się wszędzie sprawię. Waćpan wieści przynosisz, my je chcemy sprawdzić, to słuszna i dziwić cię nie powinno, a jeśli nie zechcesz odpowiadać, pomyślimy, że się boisz zaplątać.

– Dobrze! pytaj waść! – rzekł Babinicz przez zaciśnięte zęby.

– Otóż to. Waćpan powiadasz, że jesteś ze Żmudzi?

– Tak jest.

– I przybywasz tu, aby Szwedom i Radziwiłłowi zdrajcy nie służyć?

– Tak jest.

– A przecie tam są tacy, którzy mu nie służą i przy ojczyźnie się oponują, są chorągwie, które posłuszeństwo wypowiedziały, jest pan Sapieha, czemuś to do nich nie przystał?...

– To moja sprawa!

– Aha! waści sprawa! – rzekł Czarniecki. – To może mi na inne pytania odpowiesz?

Ręce pana Andrzeja drżały, oczy wpiły się w ciężki miedziany dzwonek stojący przed nim na stole i z tego dzwonka przenosiły się na głowę pytającego. Brała go szalona, nieprzewyciężona chęć porwać ów dzwon i puścić go na czaszkę pana Czarnieckiego. Dawny Kmicic coraz więcej brał górę nad pobożnym i skruszonym Babiniczem. Lecz się przełamał raz jeszcze i rzekł:

– Pytaj!

– Jeśliś ze Żmudzi, to musisz wiedzieć, co się na dworze zdrajcy dzieje. Wymień mi tych, którzy mu do zguby ojczyzny dopomogli, wymień tych pułkowników, którzy przy nim stoją.

Kmicic pobladł jak chusta, jednak wymienił kilka nazwisk.

Pan Czarniecki wysłuchał i rzekł:

– Mam ja przyjaciela, dworzanina królewskiego, pana Tyzenhauza, który mi jeszcze o jednym najznamienitszym powiadał. Nie wiesz nic o tym arcyłotrze?...

– Nie wiem...

– Jakże to? Nie słyshałeś o tym, który braterską krew jak Kain rozlewał?... Nie słyshałeś, będąc ze Żmudzi, o Kmicicu?

– Ojcowie wielebni! – zakrzyknął nagle pan Andrzej trzęsąc się jak w febrze. – Niechże mnie duchowna osoba pyta, to wszystko zniosę... Ale, na Boga żywego, nie pozwólcie temu szlachetce dręczyć mnie dłużej!...

– Daj waść spokój! – rzekł ksiądz Kordecki zwracając się do pana Piotra. – Nie o tego kawalera tu chodzi.

– Jedno tylko jeszcze pytanie – rzekł pan miecznik sieradzki.

I zwróciwszy się do Kmicica spytał:

– Waćpan nie spodziewałeś się, abyśmy nie uwierzyli jego wieściom?

– Jak Bóg na niebie! – odparł pan Andrzej.

– Jakiejżeś nagrody za nie wyglądał?

Pan Andrzej, zamiast odpowiedzieć, zanurzył gorączkowo obie ręce w mały sak skórzany, który zwieszony miał na brzuchu przy pasie, i wydobywszy je, sypanął na stół dwie garście pereł, szmaragdów, turkusów i innych drogich kamieni.



– Ot co!... – rzekł przerywanym głosem. – Nie po pieniądze ja tu przyszedłem!... Nie po wasze nagrody!... To perły i inne kamuszki... Wszystko zdobyczne... z bojarskich kołpaków zerwane!... Macie mnie!... Zali nagrody potrzebuję?... Chciałem to Najświętszej Pannie ofiarować... ale dopiero po spowiedzi... z czystym sercem!... Oto są... Tak nagrody potrzebuję... Mam i więcej... Bodaj was!...

Umilkli wszyscy, zdziwieni, i widok klejnotów, tak łatwo jak kasza z worka wysypywanych, niemałe uczynił wrażenie; każdy bowiem mimo woli pytał się siebie: co by za przyczynę mógł mieć ten człowiek zmyślać, jeśli nie o nagrodę mu chodziło?

Pan Piotr Czarniecki stropił się, bo taka jest natura ludzka, że ją widok cudzej potęgi i bogactw olśniewa. Wreszcie i podejrzenia jego upadły, bo jakże przypuścić, żeby ów wielki pan, klejnotami sypiący, dla zysku chciał mnichów straszyć?

Spoglądali tedy po sobie obecni, a on stał nad klejnotami z podniesioną głową, podobną do głowy rozdrażnionego orlika, z ogniem w źrenicach i rumieńcem na twarzy. Świeża rana, idąca przez skroń i policzek, zsiniała, i straszny był pan Babinicz grożąc drapieżnym wzrokiem Czarnieckiemu, ku któremu szczególnie zwrócił się gniew jego.

– Przez sam gniew waszmości prawda przebija – rzekł ksiądz Kordecki – ale te klejnoty schowaj, bo nie może Najświętsza Panna przyjąć tego, co w gniewie, choćby i słusznym, ofiarowane. Zresztą, jakom rzekł, nie o ciebie tu chodzi, ale o wiadomości, które strachem i zgrozą nas przejęły. Bóg raczy wiedzieć, czy nie masz w tym jakowegoś nieporozumienia albo pomyłki, bo jakże sam waszmość widział, nie składa się to z prawdą, co mówisz. Jakże to nam więc pobożnych wypędzać, czci Najświętszej Pannie ujmować i bramy dzień i noc trzymać zamknięte?

– Bramy trzymajcie zamknięte! przez miłosierdzie boże! bramy trzymajcie zamknięte!... – krzyknął pan Kmicic łamiąc ręce, aż palce zatrzeszczały mu w stawach.

W głosie jego tyle było prawdy i nieudanej rozpacz, że obecni mimo woli zadrżeli, jakoby niebezpieczeństwo było już bliskie, a pan Zamoyski rzekł:

– Przecie i tak pilną uwagę mamy na okolicę i reparacje w murach się prowadzą. W dzień możemy puszczać ludzi na nabożeństwo, ale ostrożność godzi się zachować choćby właśnie dlatego, że król Carolus odjechał, a Wittenberg żelazną podobno ręką rządzi w Krakowie i duchownych nie mniej od świeckich uciska.

– Choć w napad nie wierzę, ale przeciw ostrożności nic nie mam! – odpowiedział pan Piotr Czarniecki.

– A ja zakonników do Wrzeszczowicza wyślę – rzekł ksiądz Kordecki – z zapytaniem: czyli to salwa-gwardia królewska nic już nie znaczy?

Kmicic odetchnął.

– Chwała Bogu! chwała Bogu! – zawołał.

– Panie kawalerze! – rzekł do niego ksiądz Kordecki – Bóg ci zapłać za dobrą intencję... Jeśli nas słuszenie ostrzegł, wiekopomną będziesz miał zasługę względem Najświętszej Panny i ojczyzny; ale się nie dziwuj, żeśmy twoją chęć z niedowierzaniem przyjęli. Nieraz nas już tutaj straszono: jedni czynili to z zawziętości przeciw wierze, by czci Najświętszej Pannie uszczknąć; drudzy z chciwości, aby coś uzyskać; trzeci dlatego tylko, aby nowinę przynieść i powagi w oczach ludzkich nabrać, a może byli i tacy, których złudzono – jako przypuszczamy, że i ciebie złudzono. Dziwnie szatan jest na to miejsce zawzięty i dokłada wszelkich starań, aby nabożeństwu tu przeszkodzić i wiernych jak najmniej do udziału w nim dopuścić, bo nic do takiej desperacji piekielnego dworu nie przywodzi, jak widok czci dla Tej, która głowę węza starła... A teraz czas na nieszpór. Wybłagajmy Jej łaskę, polećmy się Jej opiece i niech każdy pójdzie spać spokojnie, bo gdzież ma być spokój i bezpieczeństwo, jeśli nie pod Jej skrzydłami?

I rozeszli się wszyscy.

Gdy nieszpór się skończył, sam ksiądz Kordecki wziął do spowiedzi pana Andrzeja i spowiadał go długo w pustym już kościele; po czym leżał pan Andrzej krzyżem przed zamkniętymi drzwiami kaplicy aż do północy.

O północy wrócił do celi, rozbudził Sorokę i kazał się przed spoczynkiem ćwiczyć, aż mu barki i plecy krwią spłynęły.

## ROZDZIAŁ XIII

Nazajutrz z rana dziwny i niezwykły ruch panował w klasztorze. Bramy były wprawdzie otwarte i nie tamowano przystępu pobożnym, nabożeństwo odbywało się zwykłym trybem, ale po nabożeństwie nakazano wszystkim obcym opuścić obręb klasztoru. Sam ksiądz Kordecki, w towarzystwie pana miecznika sieradzkiego i pana Piotra Czarnieckiego, oglądał szczegółowie blanki i skarpy podtrzymujące mury z wewnątrz i z zewnątrz. Nakazano też tu i ówdzie poprawki; kowale w mieście dostali rozkaz przygotowania osęków, dzid, poosadzanych na długich drągach, kos, sztorcem na drzewcach zatkniętych, maczug i kłód ciężkich, nabijanych hufnalami. A ponieważ wiadano, że i tak w klasztorze był znaczny zapas podobnych narzędzi, wnet też poczęto gadać po całym mieście, że klasztor rychłego oczekuje napadu. Coraz nowe rozporządzenia zdawały się potwierdzać tę pogłoskę.

Pod noc dwustu już ludzi pracowało wedle murów. Ciężkie działa przysłane jeszcze przed oblężeniem Krakowa przez pana Warszzyckiego, kasztelana krakowskiego, w liczbie dwunastu, osadzono na nowych lawetach i rychtowano odpowiednio.

Z lamusów klasztornych zakonnicy i pachołkowie wynosili kule, które układano w stosy przy armatach; wytaczano jaszczce z prochem, rozwiązywano snopy muszkietów i rozdawano je między załogę. Na wieżach i narożnikach stanęły straże, mające dawać dniem i nocą pilne baczenie na okolicę; oprócz tego ludzie wysłani na zwiady rozestali się po okolicy do Przystajni, Kłobucka, Krzepic, Kruszyny i Mstowa.

Do obficie i tak zaopatrzonych spiżarni klasztornych szły zapasy z miasta, z Częstochówki i innych wsi do klasztoru należących.

Pogłoska gruchnęła jak grom po całej okolicy. Mieszczanie i chłopci poczęli się zbierać a radzić. Wielu nie chciało wierzyć, aby jakikolwiek nieprzyjaciel śmiał targnąć się na Jasną Górę.

Twierdzono, że sama tylko Częstochowa ma być zajęta; lecz i to już wzburzyło umysły, zwłaszcza gdy inni przypominali, że przecie Szwedzi są heretykami, których nic nie wstrzyma i którzy umyślnie afront Najświętszej Pannie uczynić gotowi.

Więc też wahano się, wątpiono i wierzono na przemian. Jedni łamali ręce, oczekując straszliwych zjawisk na ziemi i niebie, widomych znaków gniewu bożego; drudzy pogrążali się w bezradnej i niemej rozpacz; trzecich gniew chwycił nadludzki, jakoby głowy ich zajmowały się płomieniem. A gdy raz fantazja ludzka rozwinęła skrzydła do lotu, zaraz poczęły krążyć wieści coraz inne, coraz bardziej gorączkowe, coraz potworniejsze.

I jak gdy kto w mrowisko kij zanurzy lub żaru narzuci, natychmiast wysypują się niespokojne roje, kłębią się, rozbiegają i zbiegają, tak zawrzało miasto i wsie okoliczne.

Po południu gromady mieszczan i chłopstwa, wraz z niewiastami i dziećmi, opasały mury klasztorne i trzymały je jakby w oblężeniu, płacząc i jęcząc. O samym zachodzie słońca wyszedł ku nim ksiądz Kordecki i pogrążywszy się w ciżbę pytał:

– Ludzie, czego tu chcecie!

– Chcemy na załogę iść do klasztoru, Bogarodzicielki bronić! – wołali mężczyźni potrząsając cepami, widłami i inną bronią wieśniaczą.

– Chcemy na Najświętszą Pannę ostatni raz popatrzeć! – jęczały niewiasty.

Ksiądz Kordecki stanął na wzniesionym załomie skały i rzekł:

– Bramy piekielne nie przemogą mocy niebieskich. Uspokójcie się i otuchy w serca nabierzcie. Nie wstąpi noga heretyka w te święte mury, nie będzie luterski ani kalwiński zabobon guseł swych odprawował w tym przybytku czci i wiary. Nie wiem zaiste, azali przyjdzie tu zuchwały nieprzyjaciel, ale to wiem, iż gdyby przyszedł, ze wstydem i hańbą odstąpić musi, bo moc jego większa moc pokruszy, złość jego złamie się, potęga startą będzie i odmieni się szczęście jego. Otuchy w serca nabierzcie! Nie ostatni raz wy tę Patronkę naszą widzicie, w większej owszem chwale oglądać Ją będziecie i nowe cuda ujrzycie. Nabierzcie otuchy, otrzyście łzy i wzmocnij-

cie się w wierze, gdyż powiadam wam – a nie ja to mówię, jeno duch boży mówi przeze mnie – że nie wejdzie Szwed do tych murów – łaska stąd spłynie i ciemności tak nie zgaszą światła, jako ta noc, która się dziś zbliża, bożemu słońcu wstać nie przeszkodzi.

A właśnie zachód był. Ciemność powlekła już okolice, jeno kościół gorzał czerwono w ostatnich promieniach słońca. Widząc to ludzie poklękali wkoło murów i otucha zaraz spłynęła w ich serca. Tymczasem na wieżach poczęto sygnować na *Angelus*. Ksiądz Kordecki rozpoczął śpiewać: *Anioł Pański*, a za nim tłumy całe. Stojąca na murach szlachta i żołnierze z nimi swe głosy, dzwony większe i mniejsze dzwoniły do wtóru, i zdało się że cała góra śpiewa i brzmi jak olbrzymie organy, na cztery strony świata głośne.

Śpiewano do późna; odchodzących błogosławił na drogę ksiądz Kordecki, wreszcie rzekł:

– Który z mężów w wojnie służywał, z bronią umie się obchodzić i serce czuje męzne, niech jutrzejszego rana przyjdzie do klasztoru.

– Jam służył!... ja w piechocie byłem!... ja przyjdę! – wołały liczne głosy.

I tłumy rozpląnęły się z wolna. Noc zeszła spokojnie. Wszyscy zbudzili się z radosnym okrzykiem: „Nie ma Szweда!” Jednakże rzemieślnicy zwozili cały dzień zamówione roboty.

Wyszedł też rozkaz do kramników, którzy zwłaszcza przy wschodnim murze mają swoje kramy, aby towar do klasztoru znieśli, a w samym klasztorze nie zaprzestano pracy przy murach. Ubezpieczano zwłaszcza tak zwane „przechody”, to jest szczupłe otwory w murach, które nie były bramami, a które mogły służyć do czynienia wycieczek. Pan Różyc-Zamoyski kazał je zakładać belkami, ceglami, nawozem, tak aby w danym razie łatwo od wewnątrz mogły być rozgrodzone.

Cały dzień też ciągnęły jeszcze wozy z zapasami i żywnością, zjechało także kilka rodzin szlacheckich, które potrwożyła była wieść o bliskim nadciągnięciu nieprzyjaciela.

Koło południa wrócili ludzie wysłani zeszłego dnia na zwiady, ale żaden nie widział Szwe-dów ani nawet nie słyszał o nich, prócz o tych, którzy najbliżej, w Krzepicach, stali.

Nie zaniechano jednak w klasztorze przygotowań. Wedle rozkazu księdza Kordeckiego nadciągnęli ci z mieszczan i chłopów, którzy poprzednio w piechocie służyli i ze służbą byli obznajmieni. Oddano ich w komendę panu Zygmuntowi Mosińskiemu pilnującemu północno-wschodniej baszty. Pan Zamoyski zaś cały dzień rozstawiał ludzi, przyuczał, co kto ma czynić, lub naradzał się w refektarzu z ojcami.

Kmicic z radością w sercu patrzył na przygotowania wojenne, na musztrujących się żołnierzy, na działa, stopy muszkietów, dzid i osęków. To był jego żywioł właściwy. Wśród tych groźnych machin, wśród krzątania, przygotowań i gorączki wojennej było mu dobrze, lekko i wesoło. Było tym lżej i weselej, że generalną spowiedź z całego życia odbył, jak czynią konający, i nad spodziewanie własne rozgrzeszenie otrzymał, bo kapłan zważył jego intencję, szczerą chęć poprawy i to, że już na tę drogę wstąpił.

Tak więc zbył się pan Andrzej brzemienia, pod którym już prawie upadał. Pokuty zadano mu ciężkie, i co dzień grzbiet jego krwawił się pod kańczugiem Soroki; kazano mu praktykować pokorę i to było jeszcze cięższe, bo jej w sercu nie miał, przeciwnie, pychę miał i chęć; kazano mu wreszcie uczynkami cnotliwymi poprawę stwierdzić, ale to znów było najlżejsze. Sam niczego więcej nie pragnął, nie pożywał. Cała dusza młoda rwała się w nim ku uczynkom, bo oczywiście pod uczynkami rozumiał wojnę i bicie Szwe-dów od rana do wieczora, bez spoczynku i miłosierdzia. A właśnie jakże piękna, jak wspaniała otwierała się do tego droga! Bić Szwe-dów nie tylko w obronie ojczyzny, nie tylko w obronie pana, któremu wierność poprzy-siągnął, ale jeszcze w obronie Królowej Anielskiej, było to szczęście nad jego zasługę.

Gdzież się podziały te czasy, gdy stał jakoby na rozdrożu, pytając się siebie, którądy iść; gdzież te czasy, w których nie wiedział, co począć, w których wszędy spotykał się ze zwątpieniem i sam począł tracić nadzieję?

A przecie tu ludzie, te białe mnichy i ta garść chłopów i szlachty, gotowali się po prostu do obrony, do walki na śmierć i życie. Jedyne to był kąt taki w Rzeczypospolitej i właśnie pan An-

drzej do niego zajechał, jakoby go jaka szczęśliwa gwiazda prowadziła. Bo przy tym wierzył święcie w zwycięstwo, choćby cała potęga szwedzka miała otoczyć te mury. W sercu miał tedy modlitwę, radość i wdzięczność.

W tym usposobieniu chodził po murach z jasną twarzą, rozpatrywał się, przyglądał i widział, że dobrze się dzieje. Okiem znawcy wnet poznał z samych przygotowań, że czynią je ludzie doświadczeni, którzy potrafią pokazać się i wówczas, gdy przyjdzie do sprawy. Podziwiał spokój księdza Kordeckiego, dla którego głębokie powziął uwielbienie; podziwiał stateczność pana miecznika sieradzkiego, a nawet panu Czarnieckiemu, choć mu mruczno na niego było, nie pokazywał krzywego oblicza.

Lecz ów rycerz spoglądał na niego surowie i spotkawszy go u muru, na drugi dzień po powrocie wysłańców klasztornych, rzekł:

– Jakoś Szwedów nie widać, panie kawalerze, a jak nie nadejdą, to reputację waćpanową psi zjedzą.

– Jeśliby z ich przybycia miała jaka szkoda dla świętego miejsca wyniknąć, to niech moją reputację lepiej psi zjedzą! – odpowiedział Kmicic.

– Wolałbyś ich prochu nie wachać. Znamy się na takich rycerzach, co buty mają zajęczą skórką podszyte!

Kmicic spuścił oczy jak panna.

– Wolabyś kłótni poniechać – rzekł – com ci winien? Zapomniałem ja swojej urazy, zapomnij i ty swojej.

– A nazwałeś mnie szlachetką – rzekł ostro pan Piotr. – Proszę! cóżeś sam za jeden? W czym to Babinicze od Czarnieckich lepsi?... Takiż to senatorski ród?

– Mój mospanie – odrzekł wesoło Kmicic – żeby nie pokora, którą mam na spowiedzi nakazaną, żeby nie one batożki, które mi co dzień za dawne burdy grzbiet porą, wnet ja bym tu inaczej jeszcze waćpana nazwał, jeno mi strach, żeby w dawne grzechy nie popaść. A co do tego, czy Babinicze, czy Czarnieccy lepsi, to się pokaże, jak Szwedzi nadejdą.

– A jakąż to szarżę myślisz otrzymać?... Zali mniemasz, że cię jednym z komendantów uczynią?

Kmicic spoważniał.

– Posądziliście mnie, że mi o zysk chodzi, teraz waćpan o szarży gadasz. Wiedźże, iż nie po zaszczyty tu przyjechałem, bo mogłem gdzie indziej do wyższych dojść. Prostym żołnierzem zostanę, choćby pod twoją komendą.

– Czemu „choćby”?

– Boś mi krzyw i gotów byś mi dopiekać.

– Hm! Nie ma co! Pięknie to z waści strony, że chcesz choćby prostym żołnierzem zostać, gdyż widać, że fantazja u ciebie okrutna i pokora niełatwo ci przychodzi. Rad byś się bić?

– Pokaże się to ze Szwedami, jakom już rzekł.

– Ba, a jeśli Szwedzi nie przyjdą?

– Tedy wiesz co, waćpan? Pójdziemy ich szukać! – rzekł Kmicic.

– A to mi się podobasz! – zakrzyknął pan Piotr Czarniecki. – Można by grzeczną partię zebrać... Tu Śląsk niedaleko i zaraz by się żołnierzów nazbierało. Starszyzna, jako i stryj mój, słowo dali, ale prostych nawet o nie nie pytano. Siła by ich można mieć na pierwsze zawołanie!

– I dobry przykład innym by się dało! – rzekł z zapalem Kmicic. – Ja mam też garść ludzi... Obaczyłbyś ich waćpan przy robocie!

– Bo... bo... – rzekł pan Piotr – jak mi Bóg miły!... Dajże pyska!

– A daj i ty! – rzekł Kmicic.

I niewiele myśląc rzucili się sobie w objęcia.

Przechodził właśnie ksiądz Kordecki i widząc, co się stało, począł ich błogosławić, oni zaś wyznali mu zaraz, o co się umówili. Ksiądz jeno uśmiechnął się spokojnie i poszedł dalej, rzekłszy do samego siebie:

– Choremu zdrowie poczyna wracać.

Do wieczora ukończono przygotowania i twierdza była zupełnie do obrony gotowa. Niczego jej nie brakło: ni zapasów, ni prochów, ni dział, jeno murów dostatecznie silnych i licznej załogi.

Częstochowa, a raczej Jasna Góra, jakkolwiek z natury i sztuką wzmocniona, liczyła się do pomniejszych i słabszych fortec Rzeczypospolitej. A co do załogi, można było mieć na zawołanie tylu ludzi, ilu by kto chciał, ale księża umyślnie nie przeciążali murów załogą, by zapasów na dłużej starczyło.

Przeto byli i tacy, zwłaszcza między puszkarzami Niemcami, którzy byli przekonani, że Częstochowa się nie obroni.

Głupi! Mniemali, że jej nic więcej prócz murów nie broni, i nie wiedzieli, co to są serca wiarą natchnięte. Ksiądz Kordecki obawiając się, by nie szerzyli między ludźmi zwątpienia, wydalili ich, prócz jednego, który za mistrza w swej sztuce uchodził.

Tego samego dnia przyszedł do Kmicica stary Kiemlicz wraz z synami, z prośbą, żeby ich ze służby uwolnił.

Pana Andrzeja złość porwała.

– Psy! – rzekł – dobrowolnie się takiego szczęścia wyrzekacie i Najświętszej Panny nie chcecie bronić!... Dobrze, niechże tak będzie! Zapłatę za owe konie otrzymaliście, resztę zasług wnet odbierzecie!

Tu wydobył kieskę z sepetu i rzucił im ją na ziemię.

– Ot, wasza lafa! Wolicie z tamtej strony murów łupu szukać? Wolicie być zbójcami niż obrońcami Marii?!... Precz z moich oczu! Niegodniście tu się znajdować, niegodniście chrześcijańskiej społeczności, niegodniście taką śmiercią, jaka nas tu czeka, polec!... Precz! precz!

– Niegodniśmy – odrzekł stary rozkładając ręce i schylając głowę – niegodniśmy, by nasze ślepie spoglądały na splendory jasnogórskie. Furto niebieska! Gwiazdo zaranna! Ucieczko grzesznych! Niegodniśmy, niegodni!

Tu schylił się nisko, tak nisko, że aż zgiął się we dwoje, a zarazem wychudłą, drapiezną ręką chwycił kieskę leżącą na podłodze.

– Ale i za murami – rzekł – nie przestaniemy służyć... Wasza miłość... W nagłym razie damy znać o wszystkim... Pójdziemy, gdzie trzeba... Uczynimy, co trzeba... Wasza miłość będzie miała za murami służę gotowe...

– Precz! – powtórzył pan Andrzej.

Oni zaś wyszli bijąc pokłony, bo ich strach dławił i szczęśliwi byli, że się tak wszystko skończyło. Pod wieczór nie było ich już w fortecy.

Noc nastała ciemna i dżdżysta. Był to ósmy listopada. Nadchodziła wczesna zima i wraz z falami deszczu leciały na ziemię pierwsze płatki rozmokłego śniegu. Ciszę przerywały tylko przeciągłe głosy straży, wołające od baszty do baszty: „Czuwaaaj!” – w ciemnościach przemykał się tu i ówdzie biały habit księdza Kordeckiego. Kmicic nie spał; był na murach przy panu Czarnieckim, z którym gwarzyli o przebytych wojnach. Kmicic opowiadał przebieg wojny z Chowańskim, nic oczywiście nie mówiąc o tym, jaki sam brał w niej udział; a pan Piotr prawił o potyczkach ze Szwedami pod Przedborzem, Żarnowcami i w okolicach Krakowa, przy czym chełpił się on nieco i tak mówił:

– Robiło się, co mogło. Każdego, widzisz, Szweda, którego udało mi się rozciągnąć, znaczyłem sobie węzełkiem na rapciach. Mam już sześć węzełków, a Bóg da, będzie więcej! Dlatego szablę coraz wyżej pod pachą noszę... Niedługo rapcie będą na nic, ale ich nie porozwiązuję, jeno w każdy węzeł każę turkus wprawić i po wojnie jako wotum zawieszę. A waćpan maszże już z jednego Szweda na sumieniu?

– Nie! – odparł ze wstydem Kmicic. – Nie opodał Sochaczewa rozbiłem kupę, ale to było hultajstwo...

– Za to hiperboreów huk pewnie mógłbyś zakarbować?

– A tych to by się znalazło.

– Ze Szwedami trudniej, bo rzadko który nie charakternik... Od Finów się sztuki zażywania czarnych nauczyli i każdy ma dwóch albo trzech diabłów do posługi, a są i tacy, którzy mają po siedmiu. Ci ich w czasie potyczki okrutnie strzegą... Ale jeśli tu przyjdą, to diabli nic nie wskórają, bo tu, w takim okręgu, z jakowego wieże widać, moc diabelska nie może nic sprawić. Waszmość słyszałeś o tym?

Kmicic nie odpowiedział, pokręcił głową i począł nasłuchiwać pilnie.

– Idą! – rzekł nagle.

– Co? Na Boga! Co waćpan mówisz?

– Jazdę słyszę.

– To jeno wiatr z deszczem tętni.

– Na rany Chrystusa! to nie wiatr, to konie! Ucho mam wprawne okrutnie. Idzie moc jazdy... i blisko już są, jeno wiatr właśnie głużył. Rata, rata!!!

Głos Kmicica zbudził drzemiące w pobliżu i skostniałe strażę, lecz jeszcze nie przebrzmiał, gdy w dole, w ciemności ozwały się przeraźliwe dźwięki trąb i poczęły grać długo, żałośnie, strasznie. Zerwali się wszyscy ze snu w osłupieniu, w przerażeniu i pytali się siebie wzajem:

– Zali to nie trąby na sąd grają w tej głuchej nocy?...

Po czym zakonnicy, żołnierze, szlachta poczęli wysypywać się na majdan. Dzwonnicy pobiegli do dzwonów i wkrótce ozwały się wszystkie: wielkie, mniejsze i małe, jakby na pożar, mieszając swe jęki z odgłosem trąb, które grać nie ustawały.

Rzucono zapalone lonty do beczek ze smołą, umyślnie przygotowanych i przywiązanych na łańcuchach, następnie pociągnięto je korbami w górę. Czerwone światło oblało podnóże skały i wówczas to jasnogórcy ujrzeli naprzód oddział konnych trębaczy, najbliżej stojących, z trąbami przy ustach, za nimi długie i głębokie szeregi rajtarii z rozwianymi banderiami.

Trębacze grali jeszcze czas jakiś, jakby chcieli tymi mosiężnymi dźwiękami wypowiedzieć całą potęgę szwedzką i do reszty przerazić zakonników; na koniec umilkli; jeden z nich oderwał się od szeregu i powiewając białą chustą zbliżył się do bramy.

– W imieniu jego królewskiej mości – zawołał trębacz – najjaśniejszego króla Szwedów, Gotów i Wandalów, wielkiego księcia Finlandii, Estonii, Karelii, Bremy, Werdy, Szczecina, Pomeranii, Kaszubów i Wandalii, księcia Rugii, pana Ingrii, Wismarku i Bawarii, hrabiego Paladynu Reńskiego, Juliahu, Kliwii, Bergu... otwórzcie!

– Puścić! – ozwał się głos księdza Kordeckiego.

Otworzono, ale tylko furtkę w bramie. Jeździec zawahał się przez chwilę, wreszcie zlął z konia, wszedł w obręb murów i spostrzegłszy gromadkę białych habitów spytał:

– Który pomiędzy wami jest przełożonym zakonu?

– Jam jest! – rzekł ksiądz Kordecki.

Jeździec podał mu pismo z pieczęciami, sam zaś rzekł:

– Pan hrabia będzie u Świętej Barbary oczekiwał na odpowiedź.

Ksiądz Kordecki wezwał natychmiast na naradę do definitorium zakonników i szlachtę.

W drodze rzekł pan Czarniecki do Kmicica:

– Pójdź i ty!

– Pójdę jeno przez ciekawość – rzekł pan Andrzej – bo zresztą nic tam po mnie! Nie gębą ja chcę odtąd Najświętszej Pannie służyć!

Gdy zasiedli wszyscy w definitorium, ksiądz Kordecki oderwał pieczęcie i czytał, co następuje:

„Nietajno wam, zacni Ojcowie, z jakim umysłem przychylnym i z jakim sercem byłem zawsze dla tego świętego miejsca i dla waszego Zgromadzenia, również z jaką stałością otaczałem was swą opieką i obsypywałem dobrodziejstwami. Dlatego pragnąłbym, żebyście byli tego przekonania, że przychylność ani życzliwość moja dla was nie ustały w dzisiejszych czasach. Nie jako wróg, ale jako przyjaciel dziś przybywam, bez obawy zdajcie pod moją opiekę wasz klasztor, jak tego wymagają czas i dzisiejsze okoliczności. Tym sposobem zyskacie spokojność, której pra-

gniecie, i bezpieczeństwo. Przrzekam wam uroczyście, że świętości nietknięte pozostaną, dobra wasze nie będą zniszczone, sam koszta wszelkie poniosę, a nawet wam środków przysporzę. Rozważcie zatem pilnie: ile skorzystacie, jeśli kontentując mnie, klasztor mi wasz powierzycie. Pamiętajcie i o tym, ażeby większe was nieszczęście nie pościgo od groźnego generała Millera, którego rozkazy tym cięższe będą, iż jest heretykiem i wiary prawdziwej nieprzyjacielem. Wówczas, gdy on nadejdzie, musicie ulec konieczności i spełnić jego wolę; i próżno żałować będziecie z bólem w duszyczach i ciałach, żeście słodką moją radą wzgardzili.”

Pamięć niedawnych dobrodziejstw Wrzeszczowicza wzruszyła silnie zakonników. Byli tacy, którzy ufali jego przychylności i w jego radzie odwrócenie przyszłych klęsk i nieszczęść widzieć chcieli.

Lecz nikt nie zabierał głosu czekając, co powie ksiądz Kordecki; on zaś milczał przez chwilę, tylko wargi jego poruszały się cichą modlitwą, po czym rzekł:

– Zaliby prawdziwy przyjaciel podchodził porą nocną i tak okropnym głosem surmów i trąb przerażał śpiące sługi boże? Zaliby przybywał na czele tych tysięcy zbrojnych, które teraz pod murami stoją? Przecz nie przyjechał samopiet, samodziesięć, gdy jako dobroczyńca radosnego jeno mógł się spodziewać przyjęcia? Co znaczą owe srogie zastępy, jeżeli nie groźbę, w razie gdybyśmy klasztoru oddać nie chcieli?... Bracia najmilsi, wspomnijcie i na to, że nigdzie ów nieprzyjaciel nie dotrzymał słowa ni przysięg, ni salwy-gwardii. Toż i my mamy królewską, którą nam dobrowolnie nadesłano, a w której wyraźna jest obietnica, że klasztor od zajęcia wolnym ma pozostać, a przecie stoją już pod jego murami, kłamstwo własne okropnym mosiężnym dźwiękiem otrębując. Bracia najmilsi! Niech każdy ku niebu serce podniesie, aby go Duch Święty oświecić raczył, i radźcie potem, mówcie, co któremu sumienie i wzgląd na dobro świętego przybytku dyktuje.

Nastąpiła cisza.

Wtem ozwał się głos Kmicica:

– Słyszałem w Kruszyńcu – rzekł – jako Lisola pytał: „A czy skarbcza mnichom przetrząsniecie?” – na co Wrzeszczowicz, on, który stoi pod murami, odpowiedział: „Matka Boska talarów w przeorskiej skrzyni nie potrzebuje.” Dziś tenże sam Wrzeszczowicz pisze wam, ojcowie wielbni, że sam koszta będzie ponosił i jeszcze wam majątności przysporzy. Zważcie szczerobść jego!

Na to odrzekł ksiądz Mielecki, jeden ze starszych w zgromadzeniu, a przy tym dawny żołnierz:

– My żyjemy w ubóstwie, a to grosiwo na chwałę Najświętszej Panny przed ołtarzami Jej płonie. Lecz choćbyśmy je z ołtarzów zdjęli, aby bezpieczeństwo świętemu miejscu kupić, któż nam zareczy, że go dotrzymają, że świętokradzkimi rękoma nie zedrą wotów, szat świętych, nie pozabierają sprzętów kościelnych? Zali kłamcom ufać można?

– Bez prowincjała, któremuśmy posłuszeństwo winni, nic stanowić nie możemy! – rzekł ojciec Dobrosz.

A ksiądz Tomicki dodał:

– Wojna nie nasza rzecz, posłuchajmy więc, co powie owo rycerstwo, które się pod skrzydła Bogarodzicielki do tego klasztoru schroniło.

Tu oczy wszystkich zwróciły się na pana Zamoyskiego, najstarszego wiekiem, powagą i urzędem, on zaś powstał i w następujące ozwał się słowa:

– O wasze to losy idzie, czcigodni ojcowie. Porównajcie zatem potęgę nieprzyjaciela z tym oporem, jaki mu stawicie możecie wedle sił i środków waszych, i idźcie za własną wolą. Jakiejże rady my, goście, udzielić wam możemy? Jednakże, ponieważ pytacie nas, wielbni ojcowie, co czynić, więc odpowiadam: póki konieczność nas nie zmusi, niechże daleką od nas będzie myśl poddania. Haniebna albowiem i niegodziwa rzecz jest sromotną uległością niepewny pokój u wiarołomnego nieprzyjaciela okupować. Schroniliśmy się tu z własnej woli z żonami i dziećmi, oddając się w opiekę Najświętszej Pannie, z niezachwianą zatem wiarą postanowiliśmy żyć z



wami, a jeśli tak Bóg zechce, to i umierać razem. Zaiste, lepiej nam tak niż przyjąć haniebną niewolę lub patrzeć na zniewagę świętości... O! zapewne ta Matka Najwyższego Boga, która natchnęła piersi nasze żądzą bronienia Jej przeciw bezbożnym i bluźnierczym heretykom, przybędzie w pomoc pobożnym usiłowaniom sług swoich i sprawę słusznej obrony wesprze!...

Tu umilkł pan miecznik sieradzki; wszyscy rozważali słowa jego, krzepiąc się ich treścią, a Kmicic, jak to wprzód zawsze czynił, niż pomyślał, skoczył i do ust rękę starszego męża przycisnął.

Zbudowali się tym widokiem obecni i każdy dobrej wróżby w tym młodzieńczym zapale dopatrzył, a chęć bronienia klasztoru wzrosła i ogarnęła serca.

Wtem zdarzyła się i nowa wróżba; za oknem refektarza rozległ się niespodzianie drżący i stary głos żebraczki kościelnej Konstancji śpiewającej pieśń pobożną:

Próżno przegrażasz mi, husycie srogi,  
Próżno diabelskie wzywasz w pomoc rogi,  
Na próżno palisz i krwie nie żałujesz,  
Mnie nie zwojujesz!

Choćby tu przyszły poganów tysiące,  
Choćby na smokach wojska latające,  
Nic nie wskórają miecz, ogień ni męże,  
Bo ja zwyciężę!

– Oto dla nas przestroga – rzekł ksiądz Kordecki – którą nam Bóg przez usta starej żebraczki zsyła. Brońmy się, bracia, bo zaprawdę takich auxyliów nigdy jeszcze oblężeni nie mieli, jakie my mieć będziemy!

– Z radością gardła damy! – zawołał pan Piotr Czarniecki.

– Nie ufajmy wiarołomnym! Nie ufajmy heretykom ani tym z katolików, którzy u złego ducha służbę przyjęli! – wołały inne głosy, nie dopuszczając do słowa tych, którzy oponować chcieli.

Postanowiono jeszcze wysłać dwóch księży do Wrzeszczowicza z oświadczeniem, że bramy zostaną zamknięte i że oblężeni bronić się będą, do czego im salwa-gwardia królewska daje prawo.

Ale swoją drogą mieli posłowie prosić pokornie Wrzeszczowicza, aby zamiaru zaniechał albo przynajmniej odłożył go na czas, dopóki by zakonnicy ojca Teofila Broniewskiego, prowincjała zakonu, który naówczas znajdował się na Śląsku, o pozwolenie nie spytali.

Posłowie, ojciec Benedykt Jaraczewski i Marcei Tomicki, wyszli za bramy, reszta oczekiwała ich z biciem serca w refektarzu, bo jednak tych mnichów, nieprzywykłych do wojny, strach brał na myśl, że godzina wybiła i ta chwila nadeszła, w której wybrać im trzeba pomiędzy obowiązkiem a gniewem i pomstą nieprzyjaciela.

Lecz ledwie upłynęło pół godziny, dwaj ojcowie ukazali się znów przed radą. Głowy ich były zwieszane na piersi, we twarzach mieli smutek i bladeść. Milcząc podali księdzu Kordeckiemu nowe pismo Wrzeszczowicza, a ten wziął je z ich rąk i odczytał głośno. Było to ośm punktów kapitulacji, pod którymi Wrzeszczowicz wzywał zakonników do poddania klasztoru.

Skończywszy czytać przeor popatrzył długo w twarze zgromadzonych, na koniec rzekł uroczystym głosem:

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! W imię Najczystszej i Najświętszej Bogarodzicielki! Na mury, bracia ukochani!

– Na mury! na mury! – rozległ się jeden okrzyk w refektarzu.

W chwilę potem jasny płomień oświecił podnóże klasztoru. Wrzeszczowicz kazał zapalić zabudowania przy kościele Świętej Barbary. Pożar, ogarnąwszy stare domostwa, wzmagał się z

każdą chwilą. Wkrótce słupy czerwonego dymu wzbity się ku niebu, wśród których świeciły jaskrawe języki ognia. Na koniec jedna łuna rozlała się na chmurach.

Przy blasku ognia widać było oddziały konnych żołnierzy przenoszących się szybko z miejsca na miejsce. Rozpoczęły się zwykle swawole żołnierskie. Rajtarowie wyganiali z obór bydło, które biegając w przerażeniu, napelniało żalonym rykiem powietrze; owce, zbite w gromady, cisnęły się na oślep do ognia. Woń spalenizny rozeszła się na wszystkie strony i dosięgła wyniosłości murów klasztornych. Wielu z obrońców po raz pierwszy widziało krwawe oblicze wojny i tych serca zdrętwiały z przerażenia na widok ludzi gnanych przez żołnierzy i sieczonych mieczami, na widok niewiast ciągnanych po majdanie za włosy. A przy krwawych blaskach pożaru widać było wszystko jak na dłoni. Krzyki, a nawet słowa dochodziły doskonale do uszu obleżonych.

Ponieważ armaty klasztorne nie odezwały się dotychczas, więc rajtarowie zeskakiwali z koni i zbliżali się do samego podnóża góry, potrząsając mieczami i muszkietami.

Co chwila podpadł jaki tęgi chłop przybrany w żółty kolet rajtarski i złożywszy ręce koło ust, lżył i groził obleżonym, którzy słuchali tego cierpliwie, stojąc przy działach i przy zapalonych lontach.

Pan Kmicic stał obok pana Czarnieckiego właśnie wprost kościółka i widział wszystko doskonale. Na jagody wystąpiły mu silne rumieńce, oczy stały się do dwóch świec podobne, a w rękę dzierzył łuk wyborny, który w spadku po ojcu dostał, a ten go pod Chocimiem na jednym sławnym adze zdobył. Słuchał tedy pogroźek i wymysłów, a wreszcie, gdy olbrzymi rajtar przypadł pod skałę i począł wrzeszczeć, zwrócił się pan Andrzej do Czarnieckiego:

– Na Boga! przeciw Najświętszej Pannie bluźni... Ja niemiecką mowę rozumiem... bluźni strasznie!... Nie wytrzymam!

I zniżył łuk, lecz pan Czarniecki uderzył po nim ręką.

– Bóg go za bluźnierstwa skarże – rzekł – a ksiądz Kordecki nie pozwolił pierwszym nam strzelać, chybaby oni zaczęli.

Ledwie domówił, gdy rajtar podniósł kolbę muszkietu do twarzy, strzał huknął, a kula nie dobiegłszy murów przepadła gdzieś między szczelinami skały.

– Teraz wolno? – krzyknął Kmicic.

– Wolno! – odpowiedział Czarniecki.

Kmicic, jako prawdziwy człek wojny, uspokoił się w jednej chwili. Rajtar, osłoniwszy dłonią oczy, patrzył za śladem swej kuli, a on naciągnął łuk, przesunął palcem po cięciwie, aż zaświegotała jak jaskółka, a następnie wychylił się dobrze i zawołał:

– Trup! trup!

Jednocześnie rozległ się żalony świst okrutnej strzały; rajtar upuścił muszkiet, podniósł obie ręce do góry, zadarł głowę i zwałił się na wznak. Przez chwilę rzucał się jak ryba wyjęta z wody i kopał ziemię nogami, lecz wnet wyciągnął się i pozostał bez ruchu.

– To jeden! – rzekł Kmicic.

– Zawiaż na rapciach! – rzekł pan Piotr.

– Sznura z dzwonnicy nie wystarczy, jeżeli Bóg pozwoli! – krzyknął pan Andrzej.

Wtem przypadł do trupa drugi rajtar pragnąc zobaczyć, co mu jest, lub może kiesę zabrać, lecz strzała świsnęła znowu i drugi padł na piersi pierwszego.

W tymże czasie ozwały się polowe armatki, które Wrzeszczowicz ze sobą przyprowadził. Nie mógł on z nich burzyć fortecy, jak również nie mógł myśleć o zdobyciu jej, mając ze sobą tylko jazdę; ale na postrach księżom walić kazał. Jednakże początek był dany.

Ksiądz Kordecki pojawił się przy panu Czarnieckim, a z nim szedł ksiądz Dobrosz, który artylerią klasztorną w czasie pokoju zawiadywał i w święta na wiwaty ognia dawał, dlatego za przedniego puszkarza między zakonnikami uchodził.

Przeor przeżegnał działo i wskazał je księdzu Dobroszowi, a ów rękawy zakasał i począł je rychtować w lukę pomiędzy dwoma budynkami, w której wichrzyło się kilkunastu jeźdźców, a

pomiędzy nimi oficer z rapierem w ręku. Długo celował ksiądz Dobrosz, bo chodziło o jego reputację. Wreszcie wziął lont i przytknął do zapalu.

Huk wstrząsnął powietrzem i dym widok zasłonił. Po chwili jednak wiatr go rozniósł. W luce między budynkami nie było już ani jednego jeźdźca. Kilku wraz z końmi leżało na ziemi, inni pierzchli.

Zakonnicy zaczęli śpiewać na murach. Trzask zapadających się budynków przy Świętej Barbarze wtórował pieśni. Uczyniło się ciemniej, jeno nieprzejrzane roje iskier, wypchniętych w górę upadkiem belek, wzbily się w powietrze.

Trąby znów zagrały w szeregach Wrzeszczowicza, lecz odgłos ich począł się oddalać. Pożar dogasał. Ciemność ogarniała podnóże Jasnej Góry. Tu i owdzie ozwało się rzenie koni, ale coraz dalsze, słabsze. Wrzeszczowicz cofał się ku Krzepicom.

Ksiądz Kordecki ukląkł na murze.

– Mario! Matko Boga Jedyne! – rzekł silnym głosem – spraw, aby ten, który po nim nadzieje, oddalił się również ze wstydem i próżnym gniewem w duszy.

Gdy tak się modlił, chmury nagle przerwały się nad jego głową i jasny blask miesiąca pobielił wieże, mury, klęczącego przeora i zgliszcza spalonych przy Świętej Barbarze budowli.

## ROZDZIAŁ XIV

Następnego dnia spokój zapanował pod stopami Jasnej Góry, z czego korzystając zakonnicy tym gorliwiej zajęli się przygotowaniem do obrony. Czyniono ostatnie poprawki w murach i kortynach, przygotowywano jeszcze więcej narzędzi służących do odparcia szturmów.

Ze Zdebowia, Krowodrzy, Lgoty i Grabówki zgłosiło się znów kilkunastu chłopów, którzy dawniej w łanowych piechotach służyli. Tych przyjęto i między obrońców wmięszano. Ksiądz Kordecki dwoił się i troił. Odprawiał nabożeństwo, zasiadał na radach, nie opuszczał chórów dziennych i nocnych, a w przerwach obchodził mury, rozmawiał ze szlachtą i wieśniakami. A przy tym w twarzy i całej postawie miał taki jakiś spokój, jaki prawie tylko kamienne posągi mieć mogą. Patrząc na jego oblicze, pobladłe od niewywczasów, można było sądzić, że ten człowiek śpi snem słodkim i lekkim; lecz cicha rezygnacja i niemal wesołość paląca się w oczach, usta poruszające się modlitwą zwiastowały, że czuwa i myśli, i modli się, i ofiaruje za wszystkich. Z tej duszy, nateżonej ze wszystkich sił ku Bogu, wiara płynęła spokojnym i głębokim strumieniem; wszyscy ją pili pełnymi ustami i kto miał duszę chorą, ten zdrowiał. Gdzie zabielał jego habit, tam pogoda czyniła się na twarzach ludzkich, oczy się śmiały, a usta powtarzały: „Ojciec nasz dobry, pocieszyciel, obrońca, nadzieja nasza.” Całowano jego ręce i habit, on zaś uśmiechał się jak zorza i szedł dalej, a koło niego, nad nim i przed nim szła ufność i pogoda.

Jednak i ziemskich środków ratunku nie zaniedbywał; ojcowie wchodzący do jego celi zastawali go, jeśli nie na klęczkach, to nad listami, które na wszystkie strony rozsyłał. Pisał do Wittenberga, głównego komendanta w Krakowie, prosząc o miłosierdzie nad świętym miejscem; i do Jana Kazimierza, który w Opolu ostatnie czynił wysilenia, by niewdzięczny naród ratować; i do pana kasztelana kijowskiego, trzymanego przez własne słowo jakby na łańcuchu w Siewierzu; i do Wrzeszczowicza, i do pułkownika Sadowskiego, Czecha i lutra, który pod Millerem służył, a który duszę mając szlachetną starał się odwieść groźnego generała od napadu na klasztor.

Dwie rady ścierały się z sobą przy Millerze. Wrzeszczowicz rozdrażniony oporem, jakiego doznał ósmego listopada, dokładał wszelkich usiłowań, aby generała skłonić do pochodu; obiecywał w zysku skarby niezmiernie, twierdził, że w całym świecie zaledwie jest kilka kościołów, które by częstochowskiemu *vel* jasnogórskiemu w bogactwach sprostać mogły. Sadowski zaś w następujący sposób oponował:

– Jenerale! – mówił do Millera – waszej miłości, któryś tyle znamienitych fortec zajął, że słusznie niemieckie miasta Poliocertesem cię nazwały, wiadomo jest, ile krwi i czasu kosztować może choćby najsłabsza twierdza, jeśli oblężeni do ostatka, na śmierć i życie chcą się opierać.

– Ale mnichy nie będą się opierali? – pytał Miller.

– Właśnie sądzę, że przeciwnie. Im są bogatsi, tym zacieklej bronić się będą, ufni nie tylko w moc oręża, ale w świętość miejsca, które zabobon katolicki całego tego kraju jako *inviolatum* uważa. Dość wspomnieć na wojnę niemiecką; jakże często zakonnicy dawali przykład odwagi i zawziętości tam nawet, gdzie sami żołnierze o obronie zwątpili! Stanie się tak i teraz, tym bardziej że twierdza nie jest tak niepoczesna, za jaką hrabia Weyhard chce ją uważać. Leży na górze skalistej, w której trudno czynić podkopy; mury, jeśli nie były nawet w dobrym stanie, to je już pewno do tej pory poprawiono, a co do zapasów broni, prochów i żywności, te tak bogaty klasztor ma niewyczerpane. Fanatyzm ożywi serca i...

– I myślisz, mości pułkowniku, że zmuszą mnie do odstąpienia?

– Tego nie myślę, mniemam jednak, że przyjdzie nam stać pod murami bardzo długo, przyjdzie posyłać po działa większe niż te, które posiadamy, a wasza miłość masz do Prus ciągnąć. Trzeba obliczyć, ile czasu możemy poświęcić na Częstochowę, bo gdyby nas król jegomość dla pilniejszych spraw pruskich od oblężenia odwołał, mnisi niezawodnie by rozgłosili, żeś wasza miłość przez nich zmuszony był do odstąpienia. A wówczas, pomyśl, wasza miłość, jaki

uszczerbek poniosłaby twa sława Poliocertesa – nie mówiąc już o tym, że w całym kraju oporni znaleźliby zachętę! I tak... (tu zniżył głos Sadowski) sam tylko zamiar uderzenia na ów klasztor niech się jeno rozgłosi – najgorsze uczyni wrażenie. Wasza miłość nie wiesz, bo tego żaden cudzoziemiec i nie papista wiedzieć nie może, czym jest Częstochowa dla tego narodu. Siła nam zależy na owej szlachcie, która się tak łatwo poddała, na owych panach, na wojskach kwarcia-nych, które wraz z hetmanami na naszą stronę przeszły. Bez nich nie dokazalibyśmy tego, cośmy dokazali. Ich to w połowie, ba, w większej części, rękoma objęliśmy te ziemie, a niech jeden strzał pod Częstochową padnie... kto wie... może jeden Polak przy nas nie zostanie... Tak wielka jest siła zabobonu!... Może nowa straszna wojna rozgorzeć!

Miller przyznawał w duszy słuszność rozumowaniom Sadowskiego, co więcej jeszcze: zakonników w ogóle, a częstochowskich szczególnie miał za czarowników – czarów zaś bał się ów szwedzki generał więcej niż dział – jednakże chcąc się podroczyć, a może dysputę przeciągnąć, rzekł:

– Waszmość tak mówisz, jakbyś był przeorem częstochowskim albo... jakby od waszmości wypłatę okupu rozpoczęli...

Sadowski był żołnierz śmiały i popędliwy, a że znał swoją wartość, więc obrażał się łatwo:

– Ani słowa nie powiem więcej! – rzekł wyniośle.

Millera z kolei obruszył ton, jakim powyższe słowa były powiedziane.

– Ja też waszmości o więcej nie proszę! – odpowiedział – a do narady wystarczy mi hrabia Weyhard, który ten kraj zna lepiej.

– Zobaczymy! – rzekł Sadowski i wyszedł z izby.

Weyhard rzeczywiście zastąpił jego miejsce. Przyniósł on list, który tymczasem odebrał od pana krakowskiego Warszzyckiego, z prośbą, aby klasztor zostawiono w spokoju; lecz z listu tego nieużyty człek wydobyl wprost przeciwną radę.

– Proszę się – rzekł Millerowi – zatem wiedzą, iż się nie obronią! W dzień później pochód na Częstochowę był w Wieluniu postanowiony.

Nie trzymano go nawet w tajemnicy, skutkiem czego z wieluńskiego konwentu o. Jacek Rudnicki, profos, mógł wyruszyć na czas do Częstochowy z wiadomością. Biedny zakonnik nie przypuszczał także ani przez chwilę, aby jasnogórcy mieli się bronić. Pragnął ich tylko uprzędzić, by wiedzieli, czego się trzymać, i uzyskali dobre warunki. Jakoż wieść przygnębiła umysły braci zakonnej. W niektórych dusze zwałowały od razu. Lecz ksiądz Kordecki pokrzepił ich, zdrętwiałych rozgrzał żarem własnego serca, dnie cudów obiecał, sam nawet widok śmierci miłym uczynił i tak zmienił ich tchnieniem ducha własnego, że mimowiednie poczęli się gotować na napad, jak zwykli byli gotować się na wielkie uroczystości kościelne, zatem z radością i solennie.

Jednocześnie świeccy naczelnicy załogi, pan miecznik sieradzki i pan Piotr Czarniecki, czynili także ostatnie przygotowania. Spalono mianowicie wszystkie kramy, które tuliły się naokół murów fortecznych, a które mogły szturmom nieprzyjaciołom ułatwiać; nie oszczędzono nawet i budowli bliższych góry, tak że przez cały dzień pierścień płomieni otaczał twierdzę; lecz gdy z kramów, belek i tarcic zostały tylko popioły, działa klasztorne miały przed sobą puste przestrzenie, nie najeżone żadnymi przeszkodami. Czarne ich paszcze poglądały swobodnie w dal, jakby wyglądając nieprzyjaciela niecierpliwie i pragnąc go jak najprędzej swym złowrogim grzmotem powitać.

Tymczasem zimna zbliżała się szybkim krokiem. Dał ostry północny wiatr, błoto zmieniało się w grudę, a rankami wody co płytsze ścinały się w nikłe lodowe skorupki; ksiądz Kordecki, obchodząc mury, zacierał swe zsiniałe ręce i mówił:

– Bóg mrozy w pomoc nam ześle! Ciężko będzie baterie sypać, podkopy czynić i przy tym wy będziecie się do ciepłych izb luzować, a im akwilony zbrzydzą prędko oblężenie.

Lecz właśnie dla tego samego powodu Burchard Miller pragnął skończyć prędko. Wiódł on ze sobą dziewięć tysięcy wojska, przeważnie piechoty, i dziewiętnaście dział. Miał także dwie

chorągwie jazdy polskiej, ale na nią rachować nie mógł, raz dlatego, że jazdy do brania wzgórzystej twierdzy użyć nie mógł, a po wtóre, że ludzie szli niechętnie i z góry oświadczyli, że żadnego udziału w walkach nie wezmą. Szli raczej dlatego, aby w razie zdobycia twierdzy ochronić ją przed drapieżnością zwycięzców. Tak przynajmniej żołnierzom mówili pułkownicy; szli wreszcie, bo Szwed rozkazywał, bo wszystkie wojska krajowe w jego były obozie i komyndy musiały słuchać.

Z Wielunia do Częstochowy droga krótka. W dniu 18 listopada miało się rozpocząć oblężenie. Lecz generał szwedzki liczył, że nie potrwa nad parę dni i że drogą układów twierdzę zajmie.

Tymczasem ksiądz Kordecki przygotowywał dusze ludzkie. Przystępowano do nabożeństwa, jakby w wielkie i radosne święto, i gdyby nie niepokój i blade twarze, można by było przypuszczać, że to wesołe a solenne *Alleluja!* się zbliża. Sam przeor mszę celebrował, ozwały się wszystkie dzwony. Po mszy nabożeństwo nie ustawało jeszcze: wyszła bowiem wspaniała procesja na mury.

Ksiądz Kordeckiego, niosącego Przenajświętszy Sakrament, prowadził pod ręce miecznik sieradzki i pan Piotr Czarniecki. Przodem szły pacholęta w komżach, niosące trybularze na łańcuszkach, bursztyn i mirrę. Przed i za baldachimem postępowały szeregi białej braci zakonnej ze wzniesionymi ku niebu głowami i oczyma, ludzie różnych wieków, począwszy od starców zgrzybiałych, skończywszy na młodzieniaszkach, którzy zaledwie do nowicjatu weszli. Żółte płomyki świec chwiały się na wietrze, a oni szli i śpiewali zatopieni całkiem w Bogu, jakoby niczego więcej na tym świecie nie pamiętni. Za nimi widziałeś podgolone głowy szlacheckie, zapłakane oblicza niewiast, ale spokojne pod łzami, wiarą i ufnością natchnięte. Szli i chłopcy w sukmanach, długowłosi, do pierwszych chrześcijan podobni; małe dzieci, dziewczęta i chłopcy, zmieszani w tłumie łączyli swe anielskie cienkie głosiki z ogólnym chorałem. I Bóg słuchał tej pieśni, tego wylania serc, tego uciekania się spod ucisków ziemskich pod jedyną ochronę skrzydeł bożych. Wiatr ucichł, uspokoiło się powietrze, niebo wyblękitniało, a słońce jesienne rozlało łagodne, bladeżłote, lecz ciepłe jeszcze światło na ziemię.

Orszak obszedł raz mury, lecz nie wracał, nie rozpraszał się – szedł dalej. Blaski od monstrancji padały na twarz przeora, i ta twarz wydawała się od nich jakoby złota także i promienista. Ksiądz Kordecki oczy trzymał przymknięte, a na ustach miał nieziemski prawie uśmiech szczęścia, słodczy, upojenia; duszą był w niebie, w jasnościach, w odwiecznym weselu, w niezmaconym spokoju. Lecz jak gdyby stamtąd odbierał rozkazy, aby nie zapomniał o tym ziemskim kościele, o ludziach i o twierdzy, i o tej godzinie, która miała nadejść, chwilami zatrzymywał się, otwierał oczy, wznosił monstrancję i błogosławił.

Więc błogosławił lud, wojsko, chorągwie kwitnące jak kwiaty, a migotliwe jak tęcza; potem błogosławił mury i wzgórze na okolice patrzące, potem błogosławił działa mniejsze i większe, kule ołowiane, żelazne, naczynia z prochem, dyłowania przy armatach, stopy srogich narzędzi do odparcia szturmujących; potem błogosławił wioskom na dalekościach leżącym i błogosławił północy, południu, wschodowi i zachodowi, jak gdyby chciał na całą okolicę, na całą tę ziemię moc bożą rozciągnąć.

Biła godzina druga z południa; procesja była jeszcze na murach. A wtem na krańcach, gdzie niebo zdawało się stykać z ziemią i rozciągały się mgły sinawe, w tych mgłach właśnie zamajaczało coś i poczęło się poruszać, wypełzały jakieś kształty, z początku mętne, które zwierając się stopniowo, stawały się coraz wyraźniejsze. Okrzyk nagle uczynił się na końcu procesji:

– Szwedzi! Szwedzi idą!

Potem zapadła cisza, jakoby serca i języki zdrętwiały; dzwony tylko biły dalej. Lecz w ciszy zabrzmiał głos księdza Kordeckiego, donośny, choć spokojny:

– Bracia, radujmy się! godzina zwycięstw i cudów się zbliża!

A w chwilę później:

– Pod Twoją obronę uciekamy się, Matko, Pani, Królowo nasza!

Tymczasem chmura szwedzka zmieniła się w niezmiernego węża, który przypętał jeszcze bliżej. Widać już było jego straszliwe dzwona. Skręcał się, rozkręcał, czasem zamigotał pod światło połyskliwą stalową łuską, czasem ściemniał i pełzał, pełzał, wychylał się z oddalenia...

Wkrótce oczy patrzące z murów mogły już szczegółowie wszystko rozpoznać. Naprzód szła jazda, za nią czworoboki piechoty; każdy pułk tworzył długi prostokąt, nad którym wznosił się w górze mniejszy, utworzony przez dzidy sterczące; dalej, hen, za piechotą, wlokły się armaty z paszczami odwróconymi w tył i schyłonymi ku ziemi.

Leniwe ich cielska, czarne lub żółtawe, połyskiwały złowrogo w słońcu; jeszcze za nimi trzęsły się po nierównej drodze jaszczce z prochem i nieskończony szereg wozów z namiotami i wszelkiego rodzaju wojennym sprzętem...

Groźny, ale piękny to był widok tego pochodu regularnego wojska, które jakby dla postrachu przedefilowało przed oczyma jasnogórców. Następnie od całości oderwała się jazda i szła kłusem, kolebając się jak poruszana wiatrem fala. Wnet rozpadła się na kilkanaście większych i mniejszych części. Niektóre oddziały przysuwały się ku fortecy; inne w mgnieniu oka rozlały się po okolicznych wioskach w pościgu za łupem; inne na koniec poczęły objeżdżać twierdzę, opatrywać mury, badać miejscowość, zajmować poblizsze budowle. Pojedynczy jeźdźcy przelatywali ciągle co koń wyskoczy od większych kup ku głębokim oddziałom piechoty, dając znać oficerom, gdzie można się umieścić.

Tętent i rzenie koni, krzyki, nawoływania, szmer kilku tysięcy głosów i głuchy hurkot armat dolatywały doskonale do uszu obłązonych, którzy dotychczas stali spokojnie na murach, jakby na widowisku, spoglądając zdziwionymi oczyma na ów wielki ruch i krętaninę wojsk nieprzyjacielskich.

Doszły wreszcie pułki piechotne i poczęły błąkać się naokoło twierdzy, szukając miejsc najodpowiedniejszych do umocnienia się w pozycjach. Tymczasem uderzono na Częstochówkę, folwark przyległy klasztorowi, w którym nie było żadnego wojska, jedno chłopci pozamykani w chałupach.

Pułk Finów, który doszedł był tam pierwszy, uderzył z wściekłością na bezbronne chłopstwo. Wyciągano ich za włosy z chałup i po prostu zarzynano opornych; resztę ludności wypędzono z folwarku; jazda uderzyła na nią i rozegnała ją na cztery wiatry.

Parlamentarz z wezwaniem Millera do poddania zatrąbił jeszcze przedtem do wrót kościelnych, ale obrońcy, na widok rzezi i srogości żołnierskiej w Częstochówce, odpowiedzieli ogniem działowym.

Teraz bowiem, gdy ludność miejscowa została wypędzona ze wszystkich poblizszych budowli, a roztasowywali się w nich Szwedzi, należało je zniszczyć co prędzej, by spoza ich zasłony nieprzyjaciel nie mógł szkodzić klasztorowi. Zadymiły więc mury klasztorne naokół, jak boki okrętu otoczonego burzą i rozbójnikami. Ryk dział wstrząsnął powietrzem, aż mury klasztorne zdrząły, a szyby w kościele i zabudowaniach poczęły dźwięczeć. Kule ogniste w postaci białawych chmurek, opisując złowrogie łuki, padały na schroniska szwedzkie, łamały krokwie, dachy, ściany – i wnet słupy dymu podniosły się z miejsc, w które kule padały.

Pożar ogarniał budynki.

Zaledwie roztasowane, pułki szwedzkie umykały co duchu z zabudowań, a niepewne nowych stanowisk, przewalały się w różne strony. Beład począł się w nie wkradać. Usuwano nie ustawione jeszcze działa, by uchronić je przed pociskami. Miller zdumiał; nie spodziewał się takiego przyjęcia ani takich puszkarzy na Jasnej Górze.

Tymczasem nadchodziła noc, a że potrzebował wprowadzić ład w wojska, więc wysłał trębacza z prośbą o zawieszenie broni.

Ojcowie zgodzili się łatwo.

W nocy jednak spalono jeszcze ogromny spichrz z wielkimi zapasami żywności, w którym stał pułk westlandzki.

Pożar ogarnął budynek tak szybko, pociski zaś padały jeden za drugim tak celnie, że Westlandczycy nie zdołali unieść muszkietów ani naboju, które też wybuchły w ogniu, roznosząc daleko naokół płonące główne.

Szwedzi nie spali w nocy; czynili przygotowania, sypali baterie pod armaty, napełniali kosze ziemią, urządzali obóz. Żołnierz, lubo przez tyle lat wojny i w tylu bitwach zaprawiony, a z natury dzielny i wytrwały, nie czekał radośnie dnia następnego. Pierwszy dzień przyniósł klęskę.

Armaty klasztorne wyrządziły tak znaczne szkody w ludziach, że najstarsi wojownicy w głowę zachodzili, przypisując je nieostrożnemu obejściu fortecy i zbyt niemu zbliżeniu się do murów.

Lecz owo jutro, choćby przyniosło zwycięstwo, nie obiecywało sławy, bo czymże było wzięcie nieznacznej twierdzy i klasztoru dla zdobywców tylu miast znamienitych i stokroć lepiej wartownych? Tylko żądza bogatego łupu podtrzymywała ochotę, ale natomiast owa trwoga duszna, z którą polskie sprzymierzone chorągwie postępowały pod przesławną Jasną Górę, udzieliła się jakoś i Szwedom. Tylko że jedni drżeli przed myślą świętokradztwa, drudzy zaś obawiali się czegoś nieokreślonego, z czego sami nie zdawali sobie sprawy, a co nazywali ogólnym mianem czarów. Wierzył w nie sam Burchard Miller, jakżeż nie mieli wierzyć żołdacy?

Zauważono zaraz, że gdy Miller zbliżał się do kościoła Świętej Barbary, koń pod nim stanął nagle, podał się w tył, rozwarł chrapy, stulił uszy i parszając trwożnie, nie chciał naprzód postąpić. Stary generał nie pokazał po sobie trwogi, jednak następnego dnia wyznaczył to stanowisko księciu Heskiemu, sam zaś odciągnął z większymi działami w stronę północną klasztoru, ku wsi Częstochowie. Tam przez noc sypał szańce, by z nich nazajutrz uderzyć.

Ledwie tedy rozbłysło na niebie, rozpoczęła się walka artylerii; lecz tym razem pierwsze zagrały działa szwedzkie. Nieprzyjaciel nie myślał zrazu uczynić w murach wylomu, by przezeń do szturmowania rzucić; chciał tylko przerazić, zasypać kulami kościół i klasztor, wzniecić pożary, podruzgotać działa, pobić ludzi, rozszerzyć trwogę.

Na mury klasztorne wyszła znów procesja, bo nic tak nie ukrzepiało walczących, jak widok Przenajświętszego Sakramentu i spokojnie z nim idących zakonników. Działa klasztorne odpowiadały grzmotem na grzmot, błyskawicą na błyskawicę, ile mogły, ile ludziom sił i tchu w piersi starczyło. Ziemia też zdawała się trząść w posadach. Morze dymu rozciągnęło się nad klasztor i kościołem.

Co za chwile, co za widoki dla ludzi (a wielu takich było w twierdzy), którzy nigdy w życiu nie patrzyli w krwawe oblicze wojny!

Ow huk nieustający, błyskawice, dymy, wycia kul rozdzierających powietrze, straszliwy chychot granatów, szcęknięcie pocisków o bruki, głuche uderzenia o ściany, dźwięk rozbijanych szyb, wybuchy pękających kul ognistych, świst ich skorup, chrobot i trzaskanie dyłowań, chaos, zniszczenie, piekło!...

W czasie tego ani chwili spoczynku, ani oddechu dla wpół zduszonych dymem piersi, coraz nowe stada kul, a wśród zamieszania głosy przerażające w różnych stronach twierdzy, kościoła i klasztoru:

– Pali się! wody! wody!

– Na dachy z bosakami!... Płacht więcej!

Na murach zaś okrzyki rozgrzanych walką żołnierzy:

– Wyżej działo!... wyżej!... pomiędzy budynki... ognia!...

Około południa dzieło śmierci wzmogło się jeszcze. Zdawać się mogło, że gdy dymy opadną, oczy szwedzkie ujrzą tylko stos kul i granatów na miejscu klasztoru. Kurzawa wapienna ze ścian obitych kulami wzbijała się i mieszając się z dymami, przesłaniała świat. Wyszli księża z relikwiami egzorcyzmować owe tumany, aby nie przeszkadzały obronie.

Huk dział stał się przerywany, ale tak gęsty jak oddech zdyszanego smoka.

Nagle na wieży, świeżo odbudowanej po zeszłorocznym pożarze, ozwały się trąby wspaniałą harmonią pobożnej pieśni. Płynęła z góry ta pieśń i słyhać ją było naokół, słyhać wszędy, aż



na bateriach szwedzkich. Do dźwięku trąb dołączyły się wkrótce głosy ludzkie i wśród ryku, świstu, okrzyków, łoskotu, grzechotania muszkietów rozlegały się słowa:

Bogarodzica, Dziewica,  
Bogiem sławiona Maryja!...

Tu wybuchło kilkanaście granatów; trzask dachówek i krokwi, a potem krzyk: „Wody!”, targnął słuchem i... znów pieśń płynęła dalej spokojnie:

U twego Syna, hospodyna,  
Spuści nam, ziści nam  
Chlebny czas, zbożny czas.

Kmicic, stojąc na murach przy dziale naprzeciw wsi Częstochowy, w której były stanowiska Millera i skąd największy szedł ogień, odtrącił mniej wprawnego puszkarza i sam pracować zaczął. A pracował tak dobrze, że wkrótce, chociaż to był listopad i dzień chłodny, zrzucił tołub lisi, zrzucił żupan i w samych tylko szarawarach i koszuli pozostał.

Ludziom nie obeznanym z wojną rosło serce na widok tego żołnierza z krwi i kości, dla którego to wszystko, co się działo, ów ryk armat, stada kul, zniszczenie, śmierć – zdawały się być tak zwyczajnym żywiołem jak ogień dla salamandry.

Brew miał namarszczoną, ogień w oczach, rumieńce na policzkach i jakąś dziką radość w twarzy. Co chwila pochylał się na działo, cały zajęty mierzeniem, cały oddany walce, na nic nie-pamiętny; celował, zniżał, podnosił, wreszcie krzychał: „Ognia!” – a gdy Soroka przykładał lont, on biegł na zrab, patrzył i od czasu do czasu wykrzykiwał:

– Pokotem! Pokotem!

Orle jego oczy przenikały przez dymy, kurzawę; skoro między budynkami ujrzał gdzie zbitą masę kapeluszy lub hełmów, wnet druzgotał je i rozpraszał celnym pociskiem jakby piorunem.

Chwilami wybuchał śmiechem, gdy większe niż zwykle sprawił zniszczenie. Kule przelatowały nad nim i obok – on nie spojrzał na żadną; nagle, po strzale, podskoczył na zrab, wpił oczy w dal i zakrzyknął:

– Działo rozbite!... Tam teraz jeno trzy sztuki grają!...

Do południa ani odetchnął. Pot zlewał mu czoło, koszula dymiła, twarz miał uczernioną sadzą, a oczy świecące.

Sam pan Piotr Czarniecki podziwiał celność jego strzałów i kilkakrotnie w przerwach rzekł mu:

– Waści wojna nie nowina! To i widać zaraz! Gdzieś się tak wyuczył?

O godzinie trzeciej na baterii szwedzkiej zamilkło drugie działo, rozbite celnym Kmicicowym strzałem. Resztę pozostałych ściągnięto w jakiś czas później z szańców. Widocznie Szwedzi uznali tę pozycję za niemożliwą do utrzymania.

Kmicic odetchnął głęboko.

– Spocznij! – rzekł mu Czarniecki.

– Dobrze! jeść mi się chce – odpowiedział rycerz. – Soroka! daj, co masz pod ręką!

Stary wachmistrz uwinął się wprędce. Przyniósł gorzałki w blaszance i ryby wędzonej. Pan Kmicic jeść począł chciwie, podnosząc od czasu do czasu oczy i patrząc na przelatujące nie opodal granaty tak, jakby patrzył na wrony.

A jednak leciało ich dosyć, nie od Częstochowy, ale właśnie z przeciwnej strony; mianowicie te wszystkie, które przenosiły klasztor i kościół.

– Lichych mają puszkarzów, za wysoko podnoszą działa – rzekł pan Andrzej nie ustając jeść – patrzcie, wszystko przenosi i idzie na nas!

Słuchał tych słów młody mniszeczek, siedmnastoletnie pacholę, które ledwie do nowicjatu wstąpiło. Podawał on ciągle poprzednio kule do nabijania i nie ustępował, chociaż każda żyłka trzęsła się w nim ze strachu, bo pierwszy raz wojnę oglądał. Kmicic imponował mu w niewypowiedziany sposób swym spokojem; i teraz usłyszawszy jego słowa, przygarnął się mimowolnym ruchem ku niemu, jakby chcąc szukać opieki i schronienia pod skrzydłami tej potęgi.

– Zali mogą nas dosięgnąć z tamtej strony? – zapytał.

– Czemu nie? – odpowiedział pan Andrzej. – A co, miły braciszku, także się to boisz?

– Panie! – odpowiedziało drżące pacholę – wyobrażałem sobie wojnę straszną, ale nie myślałem, żeby była tak straszna!

– Nie każda kula zabija, inaczej by już ludzi nie było na świecie, bo matki by nie nastarczyły rodzić.

– Najwięcej, panie, strach mi owych kul ognistych, owych granatów. Czemu to one rozpękają się z takim hukiem?... Matko Boża, ratuj!... i tak okrutnie ludzi ranią?...

– Jak ci wytłumaczę, zyskasz na eksperyencji, ojczyku. Owóż kula to jest żelazna, a wewnątrz drażona, prochami naładowana. W jednym miejscu ma zaś dziurę dość małą, w której tuleja z papieru albo czasem z drewna siedzi.

– Jezu Nazareński! tuleja siedzi?

– Tak jest! zaś w tulei kłak wysiarkowany, który się przy wystrzale zapala. Owóż kula powinna upaść tuleją na ziemię, by ją sobie wbić do środka, wonczas ogień dochodzi do prochów i kulę rozrywa. Wiele wszelako kul pada nie na tuleję, ale i to nic nie szkodzi, bo przecie jak ogień dojdzie, to wybuch nastąpi...

Nagle Kmicic wyciągnął rękę i począł mówić szybko:

– Patrz! patrz! oto! ot masz eksperyment!

– Jezus! Maria! Józef! – krzyknął braciszek na widok nadlatującego granatu.

Granat tymczasem spadł na majdan i warcząc, wicząc zaczął podskakiwać po bruku, wlokąc za sobą dymek błękitny przewrócił się raz i drugi, przytoczył aż pod mur, na którym siedzieli, wpadł w kupę mokrego piasku usypaną wysoko aż do blanków i tracąc zupełnie siłę pozostał bez ruchu.

Padł na szczęście tuleją do góry, lecz kłak nie zgasł, bo dym podniósł się natychmiast.

– Na ziemię!... na twarze!... – poczęły wrzeszczeć przerażone głosy. – Na ziemię! na ziemię!

Lecz Kmicic w tej samej chwili zsunął się po kupie piasku, błyskawicznym ruchem dłoni chwycił za tuleję, szarpnął, wyrwał i wznosząc rękę z palącym się kłakiem począł wołać:

– Wstawajcie! Jakoby kto psu zęby wybrał! Już on teraz i muchy nie zabije!

To rzekłszy kopnął leżący czerep. Obecni zdrętwieli, widząc ten nadludzkiej odwagi uczynek, i przez czas jakiś nikt słowa nie śmiał przemówić; na koniec Czarniecki zakrzyknął:

– Szalony człecze! Toż gdyby pękło, na proch by cię zmieniło!

A pan Andrzej rozśmiał się tak szczerze, że aż błysnął zębami jak wilk:

– Albo to nam prochów nie trzeba? Nabilibyście mną armatę i jeszcze bym po śmierci napsuł Szwedów!

– Niechże cię kule biją! Gdzie u ciebie bojaźń mieszka?

Młody mniszek złożył ręce i poglądał z niemym uwielbieniem na Kmicica. Lecz widział jego czyn i ksiądz Kordecki, który właśnie zbliżał się w tę stronę. Ten nadszedł, wziął pana Andrzeja obu rękoma za głowę, następnie położył na niej znak krzyża.

– Tacy jak ty nie poddadzą Jasnej Góry! – rzekł – aleć zakazuję żywot potrzebny narażać. Już strzały cichną i nieprzyjaciel schodzi z pola; weźże tę kulę, wysyp z niej proch i ponieś ją Najświętszej Pannie do kaplicy. Milszy jej będzie ten podarek niżli te perły i jasne kamuszki, któreś jej podarował!

– Ojcie! – odrzekł rozrzuwiony Kmicic – co tam wielkiego!... Ja bym dla Najświętszej Panny... Ot! słów w gębie nie staje!... Ja bym na męki, na śmierć. Ja bym nie wiem co był gotów uczynić, byle jej służyć...

I łzy błysły w oczach pana Andrzeja, a ksiądz Kordecki rzekł:

– Chodźże do niej i z tymi łzami, póki nie obeschną. Łaska jej spłynie na ciebie, uspokoi cię, pocieszy, sławą i czią przyozdobi!

To rzekłszy wziął go pod ramię i poprowadził do kościoła, pan Czarniecki zaś spoglądał za nimi czas jakiś, wreszcie rzekł:

– Siła widziałem w życiu odważnych kawalerów, którzy za nic sobie *pericula* ważyli, ale ten Litwin to chyba d...

Tu uderzył się w głowę dłonią pan Piotr, aby sprośnego imienia w świętym miejscu nie wymówić.

## ROZDZIAŁ XV

Walka na armaty nie przeszkadzała wcale układom. Postanowili korzystać z nich ojcowie za każdym razem, chcąc ludzić nieprzyjaciela i zwłóczyć, aby przez ten czas doczekać się jakiegokolwiek pomocy albo przynajmniej zimy surowej; Miller zaś nie przestawał wierzyć, że zakonnicy pragną tylko najlepsze warunki wytargować.

Wieczorem więc, po owej strzelaninie, wysłał znów pułkownika Kuklinowskiego z wezwaniem do poddania się. Temu Kuklinowskiemu pokazał przeor salwę-gwardię królewską, którą od razu zamknął mu usta. Lecz Miller miał późniejszy rozkaz królewski zajęcia Bolesławia, Wielunia, Krzepic i Częstochowy.

– Zanieś im waszmość ten rozkaz – rzekł do Kuklinowskiego – bo tak myślę, że po okazaniu go zbraknie im materii do wykrętów.

Lecz się mylił.

Ksiądz Kordecki oświadczył, iż jeśli rozkaz obejmuje Częstochowę, niechże ją sobie generał szczęśliwie zajmuje, przy czym może być pewny, że ze strony klasztoru nie dozna żadnej przeszkody, ale Częstochowa nie jest Jasną Górą, ta zaś ostatnia nie jest w rozkazie wymieniona.

Usłyszawszy tę odpowiedź Miller poznał, że z biegłszymi od siebie dyplomatami ma do czynienia; jemu to właśnie zabrakło racji – pozostawały tylko armaty.

Jednakże przez noc trwało zawieszenie broni. Szwedzi pracowali usilnie nad wzniesieniem potężniejszych szanów, jasnogórcy opatrywali szkody wczorajsze i ze zdumieniem przekonali się, że ich nie było. Gdzieniedzie połamane dachy i krokwie, gdzieniedzie płyty tynku opadłego z murów – oto wszystko. Z ludzi nikt nie poległ, nikt nie został nawet skaleczony. Ksiądz Kordecki, obchodząc mury, mówił z uśmiechem do żołnierzy:

– Patrzcie jeno, nie tak straszny ów nieprzyjaciel i jego bombardy, jak mówiono. Po odpuście nieraz większe szkody się trafiają. Opieka boska nas strzeże, ręka boża nas piastuje, ale wytrwajmy tylko, to jeszcze większe cuda zobaczymy!

Nadeszła niedziela, święto Ofiarowania Najświętszej Panny. W nabożeństwie nie było przeszkody, bo Miller oczekiwał na ostateczną odpowiedź, którą zakonnicy obiecali przesłać po południu.

Tymczasem, pomni na słowa Pisma: jako dla przestraszenia Filistynów Izrael obnosił arkę bożą koło obozu, chodzili znów procesjonalnie z monstrancją.

List wysłano o godzinie drugiej, ale nie z poddaniem się, tylko z powtórzeniem odpowiedzi danej Kuklinowskiemu, iż kościół i klasztor zowią się Jasną Górą, miasto zaś Częstochowa wcale do klasztoru nie należy.

„Dlatego to błagamy usilnie Jego Dostojność – pisał ksiądz Kordecki – abyś zechciał zostawić w pokoju Zgromadzenie nasze i kościół Bogu i Najświętszej Bogarodzicy poświęcony, iżby w nim cześć Boga na przyszłość pozostała, gdzieby zarazem Majestat Boski błagano o zdrowie i powodzenie Najjaśniejszego Króla. Tymczasem my, niegodni, zanosząc nasze prośby, polecamy się najusilniej łaskawym względom Waszej Dostojności pokładając ufność w jego dobroci, po której i na przyszłość wiele sobie obiecujemy...”

Byli przy czytaniu tego listu obecni: Wrzeszczowicz, Sadowski, Horn, gubernator krzepicki, de Fossis, znakomity inżynier, na koniec ksiązę Heski, człowiek młody, wyniosły bardzo, który, lubo podkomendny Millera, chętnie mu swą wyższość okazywał. Ten więc uśmiechnął się złośliwie i powtórzył z przyciskiem zakończenie listu:

– Po dobroci waszej wiele sobie obiecują; to przymówka o kwestę, panie jenerale. Zadam wam jedno pytanie, mości panowie: czy mnichy lepiej się proszą, czy lepiej strzelają?

– Prawda! – rzekł Horn. – Przez te pierwsze dni straciliśmy tyłu ludzi, że i dobra bitwa więcej nie weźmie!

– Co do mnie – mówił dalej książę Heski – pieniędzy nie potrzebuję, sławy nie zyskam, a nogi w tych chałupach odmrozę. Co za szkoda, żeśmy do Prus nie poszli; kraj bogaty, wesoły, jedno miasto lepsze od drugiego.

Miller, który czynił prędko, ale myślał powoli, dopiero w tej chwili wyrozumiał sens listu, poczerwieniał więc i rzekł:

– Mnisi drwią z nas, mości panowie!

– Intencji nie było, ale na jedno to wychodzi! – odrzekł Horn.

– Więc do szaińców! Mało było wczoraj ognia i kul!

Rozkazy dane przeleciały szybko z jednego końca linii szwedzkich w drugi. Szańce pokryły się sinawymi chmurami, klasztor odpowiedział wnet z całą energią. Tym razem jednak działa szwedzkie, lepiej ustawione, większą poczęły czynić szkodę. Sypały się bomby ładowne prochem, ciągnące za sobą warkocz płomienia. Rzucano także rozpalone pochodnie i kłęby konopi przesiąkniętych żywicą.

Jak czasem stada wędrownych żurawi, znużone długim lotem obsiadają wzgórza wyniosłe, tak roje tych ognistych posłanników padały na szczyty kościoła i na drewniane dachy zabudowań. Kto nie brał udziału w walce, kto nie był przy armatach, ten siedział na dachach. Jedni czerpali wodę w studniach, drudzy ciągnęli sznurami wiadra, trzeci tłumili pożar mokrymi płachtami. Niektóre kule łupiąc belki i krokwie wpadały na strychy, i wnet dym a woń spaleni- zny napęłniała wnętrze budynków. Lecz i na strychach czyhali obrońcy z beczkami wody. Naj- cięższe bomby przebijały nawet i pułapy. Mimo nadludzkich wysileń, mimo czujności zdawało się, że pożoga prędzej czy później musi ogarnąć klasztor. Pochodnie i kłęby konopne, spychane drogami z dachów, utworzyły pod ścianami stopy gorejące. Okna pękały od żaru, a niewiasty i dzieci zamknięte w izbach dusiły się dymem i gorącem.

Ledwie pogaszono jedne pociski, ledwie wody spłynęły po zrębach, leciały nowe stada roz- palonych kul, płonących szmat, skier, żywego ognia. Cały klasztor był nim objęty, rzekłbyś: niebo otworzyło się nad nim i ulewa piorunów nań spada; jednak gorzał, a nie palił się, płonął i nie zapadał w rumowisko; co więcej, wśród tego morza płomieni śpiewać począł jak ongi mło- dzieńcy w piecu ognistym.

Albowiem tak samo jak dnia wczorajszego ozwała się pieśń z wieży z towarzyszeniem trąb. Ludziom stojącym na murach i pracującym przy działach, którzy w każdej chwili mogli sądzić, że tam już wszystko płonie i w gruzy się wali za ich plecami, pieśń ta była jakby balsam kojący, zwiastowała im bowiem ciągle i ustawicznie, że stoi klasztor, stoi kościół, że płomień dotąd nie zwyciężył wysileń ludzkich. Odtąd też weszło w zwyczaj podobną harmonią osładzać sobie nie- dolę obłężenia i straszliwy krzyk srożącego się żołnierstwa oddalać od uszu niewieścich.

Lecz i w obozie szwedzkim czyniła owa pieśń i kapela niemałe wrażenie. Żołnierze na szaiń- cach słuchali jej naprzód z podziwem, potem z zabobonnym strachem.

– Jak to? – mówili między sobą – rzuciliśmy na ów kurnik tyle żelaza i ognia, że niejedna potężna twierdza z popiołem i dymem już by uleciała, a oni sobie wygrywiają radośnie. Co to jest?...

– Czary! – odpowiadali inni.

– Kule się tamtych ścian nie imają. Z dachów granaty staczają się, jakobyś bochenkami rzu- cał. Czary! czary! – powtarzali. – Nic nas tu dobrego nie spotka!

Starszyzna nawet gotowa była przypisać tym dźwiękom tajemnicze jakieś znaczenie. Lecz niektórzy tłumaczyli to inaczej, i Sadowski rzekł głośno umyślnie, aby go Miller mógł słyszeć:

– Musi się im dobrze dziać, skoro się wesela, czyli że dotąd na próżno tylko napsuliśmy tyle prochów.

– Których nie mamy wiele – rzekł książę Heski.

– Ale za to mamy wodza Poliocertesa – odrzekł Sadowski takim tonem, że nie można było wyrozumieć, czy drwi, czy chce Millerowi pochlebić.

Lecz ten wziął to widocznie przeciw sobie, bo wąsa przygryzł.

– Zobaczymy, czy za godzinę będą jeszcze grali! – rzekł zwracając się do swego sztabu.  
I rozkazał podwoić ogień.

Lecz rozkazy jego spełniono zbyt gorliwie. W pośpiechu za wysoko podnoszono działa, skutkiem czego kule poczęły przenosić. Niektóre dolatywały, szybując nad kościołem i klasztorem, aż do przeciwległych szanców szwedzkich; tam druzgotały dyłowania, rozrzucały kosze, zabiły ludzi.

Godzina jedna upłynęła, potem druga. Z wieży kościelnej rozlegała się ciągle uroczysta muzyka.

Miller stał z perspektywą w Częstochowie. Patrzył długo.

Obecni zauważyli, że ręka, którą trzymał perspektywę przy oczach, drżała mu coraz silniej; na koniec zwrócił się do obecnych i zakrzyknął:

– Strzały nie szkodzą wcale kościołowi!

Tu gniew niepohamowany, szalony ogarnął starego wojownika. Cisnął lunetę o ziemię, aż rozbryła się w sztuki.

– Wścieknę się od tej muzyki! – wrzasnął.

W tej chwili inżynier de Fossis przygalopował do niego.

– Panie jenerale – rzekł – podkopu nie można robić. Pod warstwą ziemi skała leży. Tutaj trzeba by górników.

Miller zaklął; lecz jeszcze nie dokończył przekleństwa, gdy znowu oficer z częstochowskiego szanca przybiegł pędem i salutując po żołniersku, ozwał się:

– Największe działo nam rozbito! Czy zaciągnąć drugie ze Lgoty?

Ogień istotnie osłabł nieco – muzyka rozlegała się coraz uroczyściej.

Miller odjechał do swojej kwatery, nie rzekłszy ani słowa. Lecz nie wydał rozkazów wstrzymujących walkę. Postanowił zmęczyć obleżonych. Wszak tam w twierdzy zaledwie dwustu ludzi było załogi, on zaś miał ciągle świeżych żołnierzy do zmiany.

Nadeszła noc, działa grzmiały bez ustanku; lecz klasztorne odpowiadały żywo, żywiej nawet niż w dzień, bo ognie szwedzkie wskazywały im cel gotowy. Nieraz bywało, że ledwie żołnierze obsiedli ognisko i wiszący w nim kocioł, gdy naraz nadlatywała z ciemności faskula klasztorna jakby duch śmierci. Ognisko rozbryzgiwało się w drzazgi i skry, żołnierze rozbiegali się z wraskiem nieludzkim i albo szukali przy innych towarzyszach schronienia, albo błakali się wśród nocy, zziębli, głodni, przerażeni.

Koło północy ogień klasztorny wzmocnił się tak dalece, że w promieniu strzału ani podobna było rozpaść drewek. Zdawało się, że obleźnicy mówią mową dział następne słowa: „Chciecie nas zmęczyć... próbujcie, sami wyzywamy!”

Wybiła godzina pierwsza i druga. Począł mżyć drobny deszcz w postaci mgły zimnej a przenikliwej, która zbijała się miejscami jakoby w słupy, kolumny a mosty, czerwieniące się od ognia.

Przez owe fantastyczne słupy i arkady widać było chwilami groźne zarysy klasztoru, który się zmieniał w oczach; raz zdawał się wyższym niż zwykle, to znów jakoby zapadał w otchłań. Od szanców aż do jego murów wyciągały się jakieś złowrogie sklepienia i korytarze utworzone z mgły i ciemności, a tymi korytarzami nadlatywały kule śmierć niosące. Chwilami całe powietrze nad klasztorem stawało się jasne, jakby je oświeciła błyskawica. Wówczas mury, wyniosłe ściany i wieże zarysowywały się jaskrawo, potem znów gasły.

Żołnierze poczęli patrzeć przed siebie z trwogą ponurą i zabobonną. Raz w raz też trącił jeden drugiego i szeptał:

– Widziałeś? Ten klasztor zjawia się i znika na przemian... To nie ludzka moc!

– Widziałem lepiej – mówił drugi. – Celowaliśmy tym właśnie działem, co pękło, gdy nagle cała forteca poczęła skakać i drygać, jakoby ją kto na linie do góry podnosił i zniżał. Celuj tu do takiej fortecy, trafiaj!

To rzekłszy żołnierz rzucił szczotkę działową i po chwili dodał:

– Nic tu nie wystoiemy!... Nie powąchamy ich pieniędzy... Brr! zimno! Macie tam maźnicę ze smołą, zapalcie, choć ręce ogrzejem!

Jeden z żołnierzy począł rozpalać smołę z pomocą siarkowanych nici. Rozpalił naprzód kwacz, potem zaczął go z wolna zanurzać.

– Zgaście światło! – zabrzmiał głos oficera.

Lecz niemal jednocześnie rozległ się szum faskuli, potem krzyk krótki, urywany i światło zgasło.

Noc ciężkie przyniosła straty Szwedom. Naginęło mnóstwo ludzi przy ogniach; w niektórych miejscach rozegnano ich tak, że niektóre pułki, raz wpadłszy w zamieszanie, nie mogły do samego rana przyjąć do sprawy. Oblężeni, jakby chcąc okazać, że snu nie potrzebują, strzelali coraz gęściej.

Brzask oświecił na murach twarze zmęczone, blade, bezsenne, ale ożywione gorączką. Ksiądz Kordecki w nocy leżał krzyżem w kościele; skoro świt, pojawił się na murach i błogi głos jego rozlegał się przy działach, na kortynach, koło bram:

– Bóg dzień czyni, dzieci... Niech będzie światło jego błogosławione! Nie ma szkód ni w kościele, ni w zabudowaniach... Ogień ugaszony, życia nikt nie stracił. Panie Mosiński! kula ognista wpadła pod kolebkę waszmościnego dzieciątka i zgasła, szkody mu nijakiej nie uczyniwszy. Podziękuj Najświętszej Pannie i odsłuż jej!

– Niech będzie Jej imię wystawione! – odrzekł Mosiński – służę, jak mogę!

Przeor poszedł dalej.

Świtało już zupełnie, gdy stanął przy Czarnieckim i Kmicicu. Kmicica nie spostrzegł, bo przelazł na drugą stronę obejrzyć dylowania, które kula szwedzka nieco uszkodziła. Ksiądz zaraz spytał:

– A gdzie to Babinicz? Zali nie śpi?

– Ja zaś miałbym spać w taką noc! – odpowiedział pan Andrzej gramoląc się na mur. – Toż bym sumienia nie miał! Lepiej czuwać na ordynansie Najświętszej Panny.

– Lepiej, lepiej, służko wierny! – odrzekł ksiądz Kordecki.

Lecz pan Andrzej zobaczył w tej chwili połyskujące z dala mdłe światelko szwedzkie i zaraz zakrzyknął:

– Ogień tam, ogień! rychtuj! wyżej! w nich psubratów!

Uśmiechnął się ksiądz Kordecki jak archanioł, widząc taką gorliwość, i wrócił do klasztoru, by spracowanym polewki piwnej, smakowicie kostkami sera kraszonej, podesłać.

Jakoż w pół godziny potem pojawiły się niewiasty, księża i dziadkowie kościelni niosąc dymiące garnki i dzbany.

Chwycili je skwapliwie żołnierze i wkrótce wzdłuż całych murów rozległo się łakome siorbanie. Chwalili też sobie ów napitek mówiąc:

– Nie dzieje się nam krzywda w służbie u Najświętszej Panny! wikt zacny!

– Gorzej Szwedom! – mówili inni – źle im było warzyć strawę tej nocy, gorzej będzie przyszłej.

– Mają dosyć, psiawiary! Pewnie we dnie dadzą sobie i nam odpocznienie. Już im teraz i armacięta musiały od ciągłego kichania pochrypnąć.

Lecz żołnierze mylili się, bo dzień nie miał przynieść spoczynku.

Gdy rankiem oficerowie, przychodzący z raportami, donieśli Millerowi, że skutek nocnej strzelaniny jest żaden, że owszem, im samym przyniósł znaczne szkody w ludziach, generał zaciął się i kazał dalej ogień prowadzić.

– Przecie się wreszcie znużą! – rzekł do księcia Heskiego.

– W prochach ekspens niezmierny – odrzekł ów oficer.

– Przecie i oni ekspensują?

– Oni muszą mieć nieprzebrane zapasy saletry i siarki, a węgla sami im dostarczymy, jeśli uda nam się choć jedną budę zapalić. W nocy podjeżdżałem pod mury i mimo huku słyszałem wyraźnie młyn, nie może to być inny młyn jak prochowy.

– Każe do zachodu słońca strzelać tak mocno jak wczoraj. Na noc odpocznem. Zobaczym, czyli poselstwa nie wyślą.

– Wasza dostojność wiesz, że wysłali do Wittenberga?

– Wiem, wyślę i ja po największe kolubryny. Jeśli ich nie można będzie nastraszyć albo pożaru wzniecić od środka, trzeba będzie wyłom uczynić.

– Spodziewasz się więc wasza dostojność, że feldmarszałek pochwali oblężenie?

– Feldmarszałek wiedział o moim zamiarze i nie mówił nic – odrzekł szorstko Miller. – Jeśli mnie tu niepowodzenie ścigać dalej będzie, to pan feldmarszałek zgani, nie pochwali, i na mnie całej winy złożyć nie omieszka. Król jegomość jemu odda słusność, to wiem. Niemalom już ucierpiał od zgryźliwego humoru pana feldmarszałka, jakby to moja wina była, że go, jako Włosi mówią, *mal francese* trawi.

– O tym, że na waszą dostojność zwali winę, nie wątpię, zwłaszcza gdy się pokaże, że Sadowski ma słusność.

– Co za słusność? Sadowski za tymi mnichami przemawia, jak gdyby był u nich na żołdzie! co on powiada?

– Powiada, że te wystrzały rozlegną się w całym kraju, od Bałtyku aż po Karpaty.

– Niechże król jegomość każe w takim razie skórę z Wrzeszczowicza ściągnąć i jako wotum do tego klasztoru ją pośle, bo to on instygował owo oblężenie.

Tu Miller porwał się za głowę.

– Ale trzeba kończyć na gwałt! Tak mi się zdaje, tak mi coś mówi, że w nocy oni wyślą kogoś dla układow. Tymczasem ognia i ognia!

Przeszedł więc dzień do wczorajszego podobny, pełen grzmotów, dymu i płomienia. Wiele jeszcze takich miało przejść ponad Jasną Górą. Lecz oni gasili pożary i strzelali z nie mniejszym męstwem. Połowa żołnierzy szła na spoczynek, druga połowa była na murach przy działach.

Ludzie poczęli oswajać się z ustawicznym hukiem, zwłaszcza gdy przekonali się, że szkód wielkich nie ma. Mniej doświadczonych krzepiła wiara, ale byli pomiędzy nimi i starzy żołnierze, obeznani z wojną, którzy służbę pełnili jak rzemiosło. Ci dodawali otuchy wieśniakom.

Soroka wielką uzyskał wśród nich powagę, bo wiele życia strawiwszy na wojnie, tak był obojętny na jej hałasy, jak stary szynkarz na krzyki pijących. Wieczorem, gdy strzały ucichły, opowiadał towarzyszom o oblężeniu Zbaraża. Sam w nim nie był, ale wiedział o nim dokładnie od żołnierzy, którzy je przetrwali, i tak mówił:

– Tam zważyło się kozactwa, tatarstwa i Turków tyle, że samych kuchtów więcej było niżli tu wszystkich Szwedów. A dlatego im się nasi nie dali. Prócz tego, tu złe duchy nie mają mocy nijakiej, a tam jeno przez piątek, sobotę i niedzielę diabli nie wspomagali hultajstwa, a przez resztę dni po całych nocach straszili. Posyłali śmierć na okop, żeby się pokazywała żołnierzom i serce im do bitwy odejmowała. Wiem od takiego, który ją sam widział.

– Widziałże ją? – pytali ciekawie chłopci kupiąc się koło wachmistrza.

– Na własne oczy! Szedł od kopania studni, bo im tam wody brakło, a co była w stawach, to śmierdziała. Idzie, idzie, aż patrzy, naprzeciw niego podchodzi jakaś figura w czarnej płachcie.

– W czarnej, nie w białej?

– W czarnej; na wojnę w czarną się ona ubiera. Mroczyło się. Przybliżyła się żołnierz: „Werdo?” – pyta – ona nic. Dopiero pociągnął za płachtę – patrzy: kościotrup. „A ty tu czego?” – „Ja – powiada – jestem śmierć i przyjdę po ciebie za tydzień.” – Żołnierz pomiarkował, że źle. „Czemu to – pyta – dopiero za tydzień? to ci prędzej nie wolno?” – A ona na to: „Przed tygodniem nic ci uczynić nie mogę, bo taki rozkaz.” – Żołnierz myśli sobie: „Trudno! ale kiedy ona mi teraz nic zrobić nie może, to niechże jej choć za swoje odplączę.” Kiedy nie owinie ją w płachtę, kiedy nie zacznie o kamienie gnatami walić! Ona w krzyk i nuż się prosić: „Przyjdę za



dwa tygodnie.” – „Nie może być!” – „Przyjdę za trzy, za cztery, za dziesięć po oblężeniu; za rok, za dwa, za piętnaście!” – „Nie może być!” – „Przyjdę za pięćdziesiąt lat!” – Pomiarował się żołnierz, bo już miał pięćdziesiąt, myśli sobie: „Sto – dość!” Puścił ją. A sam zdrowy i żyw do tej pory; do bitwy chodzi jak w taniec, bo co mu tam!

– A żeby się załął, to by już było po nim?

– Najgorzej się śmierci bać! – odrzekł poważnie Soroka. – On żołnierz i innym dobra przysporzył, bo jak ci ją zbił, jak ci ją utrudził, tak ją na trzy dni zemdlilo i przez ten czas nikt w obozie nie poległ, chociaż wycieczkę czynili.

– A my to nie wyjdziemy kiedy nocą na Szwedów?

– Nie nasza głowa – odparł Soroka.

Usłyszał ostatnie pytanie i ostatnią odpowiedź Kmicic, który stał nie opodal, i w głowę się uderzył. Potem popatrzył na szańce szwedzkie. Noc już była. Na szanckach od godziny panowała cisza zupełna. Strudzony żołnierz spał widocznie przy działach.

Daleko, na dwa strzelenia armat, połyskiwało kilkanaście ogni, ale przy samych szanckach grube panowały ciemności.

– Ani im to w głowie, ani nie podejrzewają, ani mogą przypuścić! – szepnął do siebie Kmicic.

I udał się wprost do pana Czarnieckiego, który siedząc przy lawecie, liczył paciorki różańca i stukał jedną nogą o drugą, bo mu zmarzły.

– Chłodno – rzekł ujrzawszy Kmicica – i głowa cięży od tego huku przez dwa dni i jedną noc. W uszach mi ciągle dzwoni.

– Komu by od takich hałasów nie dzwoniło. Ale dziś będziemy mieli spoczynek. Pospali się tam na dobre. Można by ich zejść jak niedźwiedzia w barłogu; nie wiem, czyby ich nawet rusznice przebudziły.

– O! – rzekł Czarniecki podnosząc głowę – o czym myślisz?

– Myślę o Zbarażu, że tam oblężeni przez wycieczki niejedną srogą klęskę hultajstwu zadali.

– A tobie, jak wilkowi po nocy, krew na myśli?

– Na Boga żywego i jego rany, uczynimy wycieczkę! Ludzi narżniemy, działa pozagwaźdzamy. Oni się tam niczego nie spodziewają.

Pan Czarniecki zerwał się na równe nogi.

– I jutro chyba poszaleją! Myślą może, że nas dość nastraszyli i że o poddaniu myślimy, będą mieli odpowiedź. Jak Boga kocham, to jest przednia myśl, to prawdziwie rycerska impreza! Że też to mnie do głowy nie przyszło. Trzeba tylko księdza Kordeckiego zawiadomić. On tu rządzi!

Poszli.

Ksiądz Kordecki naradzał się w defensorium z panem miecznikiem sieradzkim. Posłyszawszy kroki, podniósł głowę i odsuwając na bok świecę spytał:

– A kto tam? Jest co nowego?

– To ja, Czarniecki – rzekł pan Piotr – ze mną zaś jest Babinicz. Oba spać nie możemy, bo strasznie nam Szwedzi pachną. Ten Babinicz, ojczy, to niespokojna głowa, i nie może na miejscu usiedzieć. Wierci mi się, wierci, bo mu się okrutnie chce do Szwedów za wały pójść, zapytać się ich, czyli jutro także będą strzelać albo czy też fryszt nam i sobie jeszcze dadzą?

– Jak to? – spytał nie ukrywając zdziwienia ksiądz Kordecki. – Babinicz chce wyjść z fortecy?...

– W kompanii, w kompanii! – odrzekł spieszenie pan Piotr – ze mną i z kilkudziesięciu ludźmi. Oni tam, zdaje się, śpią na szancku jak zabici; ogni nie widać, straży nie widać. Zbyt w naszą słabość dufają.

– Działa zagwoździm! – dodał gorąco Kmicic.

– A dawajcie mi tu tego Babinicza! – zakrzyknął pan miecznik – niech go uściskam! Swędzi cię żądło, szerszeniu, rad byś i po nocy kłuf. Wielkie to jest przedsięwzięcie, które najlepszy skutek mieć może. Jednego nam Pan Bóg dał Litwina, ale wściekłą bestię i zębatą. Ja zamiar pochwalam; nikt go tu nie zgani, i sam gotowym iść!

Ksiądz Kordecki, który zrazu aż przeraził się, bo lękał się krwi rozlewu, zwłaszcza gdy własnego życia nie wystawiał, przyjrzawszy się bliżej owej myśli, uznał ją za godną obrońców Marii.

– Dajcie mi się pomodlić! – rzekł.

I klękawszy przed wizerunkiem Matki Boskiej, chwilę modlił się z rozłożonymi rękoma, wreszcie wstał wypogodzony.

– Pomódlcie się teraz wy – rzekł – a potem idźcie!

W kwadrans później wyszli we czterech i udali się na mury. Szańce w dalekości spały. Noc była bardzo ciemna.

– Ilu ludzi chcesz wziąć? – spytał ksiądz Kordecki Kmicica.

– Ja?... – odrzekł ze zdziwieniem pan Andrzej. – Ja tu nie wódz i miejscowości nie znam tak dobrze jak pan Czarniecki. Pójdę z szablą, ale ludzi niech pan Czarniecki prowadzi i mnie z innymi. Chciałbym jeno, by mój Soroka poszedł, bo to rzeźnik okrutny.

Podobała się ta odpowiedź i panu Czarnieckiemu, i księdzu przeorowi, który w niej jawny dowód pokory widział. Lecz zabrali się zaraz rażno do dzieła. Wybrano ludzi, nakazano ciszę największą i poczęto wysuwać belki a kamienie, a cegły z przechodu.

Praca zabrała z godzinę czasu. Wreszcie otwór w murze był gotowy i ludzie poczęli się zanurzać w wąską czeluść. Mieli szable, pistolety, niektórzy rusznice, a niektórzy, zwłaszcza chłopci, kosy osadzone sztorcem, broń, do której najwięcej nawykli.

Znalazszy się na drugiej stronie muru policzyli się: pan Czarniecki stanął na przedzie oddziału, Kmicic na samym końcu i ruszyli wzdłuż okopu, cicho, dech tamując w piersiach, jak wilcy podkradający się do owczarni.

Jednakże czasem kosa o kosę zabrękała, czasem kamień pod stopą zazgrzytał, i po tych odgłosach można było poznać, że wciąż posuwają się dalej. Zeszedłszy w nizinę, pan Czarniecki zatrzymał się. Tu zostawił część ludzi, nie opodal już od szanćców, pod wodzą Janicza, Węgrzyna, starego i wytrawnego żołnierza, którym na ziemię rzucić się kazał, sam zaś wziął się nieco w prawo i mając pod stopami miękką już ziemię, na której kroki nie wydawały echa, począł szybciej prowadzić swój oddział.

Miał on bowiem zamiar obejść szaniec, uderzyć na uspionych z tyłu i pędzić ich ku klasztorowi na ludzi Janicza. Tę myśl poddał mu Kmicic, który idąc teraz koło niego z szablą w rękę, szeptał:

– Szaniec pewnie jest tak wysunięty, że między nim a głównym obozem jest pusta przestrzeń. Straże, jeśli jakie są, to przed szanćcem, a nie z tamtej strony... Tak więc obejdziemy ich swobodnie i wpadniemy na nich od tamtej strony, od której najmniej spodziewają się napadu.

– Dobrze – odpowiedział pan Piotr – noga nie powinna ująć z tych ludzi.

– Jeśliby się kto odezwał, jak będziemy już wchodzili – mówił dalej pan Andrzej – pozwól waszmość, że ja odpowiem... Po niemiecku umiem szwargotać jak po polsku, więc pomyślą, że to kto od jenerała z obozu przechodzi.

– Byle straży nie było za szanćcem.

– Choćby i były, to hukniem i skoczym od razu. Nim się połapią kto i co, siądziemy im na karki.

– Czas skręcać, już koniec okopu widać – rzekł pan Czarniecki.

Tu zwrócił się i zawołał z cicha:

– W prawo, w prawo!

Milczący szereg począł zawracać. Wtem księżyc oświecił nieco brzeg chmury i uczyniło się jaśniej. Idący ujrzeli pustą przestrzeń z tyłu szanćca.

Straży, jak przewidywał Kmicic, nie było na tej przestrzeni wcale, po cóż by bowiem Szwedzi mieli stawiać placówki między własnymi szanćcami a główną armią, która stała dalej. Najprzenikliwszy wódz nie mógł przypuścić, by z tej strony mogło nadejść jakie niebezpieczeństwo.

– Teraz jak najciszej! – rzekł pan Czarniecki. – Widać już namioty.

– I w dwóch jest światełko... Ludzie tam jeszcze czuwają... Pewnie starszyzna.  
– Wejście od tyłu musi być wygodne.  
– Oczywiście – odrzekł Kmicic. – Tędy armaty wtaczają i wojska wchodzą... Ot, już nasyp się poczyzna. Pilnuj teraz, by broń nie zabrękała...

Doszli już do wzniesienia usypanego starannie z tyłu szańców. Stał tam cały szereg wozów, na których podwożono prochy i kule.

Ale przy wozach nie było nikogo, więc minawszy je, poczęli wspinać się na szaniec bez trudu, jak słusznie przewidywano, bo wzniesienie było łagodne i dobrze urządzone.

Tak doszli do samych namiotów i z gotową bronią zatrzymali się tuż, tuż. W dwóch rzeczyskach błyszczały światełka; więc pan Kmicic zamieniwszy parę słów z Czarnieckim rzekł:

– Pójdę ja naprzód do tych, którzy nie śpią... Czekać teraz mego wystrzału, a potem w nich!

To rzekłszy ruszył.

Powodzenie wycieczki było już zapewnione, więc się nawet nie starał iść zbyt cicho. Minał kilka namiotów pograżonych w ciemności; nikt się nie zbudził, nikt nie spytał: „werda?”

Żołnierze jasnogórscy słyszeli skrzyp jego śmiałych kroków i bicie własnych serc. On zaś dotarł do oświetlonego namiotu, podniósł skrzydło i wszedłszy zatrzymał się u wejścia z pistoletem w dłoni i z szablą spuszczoną na łańcuszku.

Zatrzymał się dlatego, że światło cokolwiek go olśniło, na polowym bowiem stole stał świecznik sześcioramienny, w którym płonęły jarzące świece.

Za stołem siedziało trzech oficerów schylonych nad planami. Jeden z nich, siedzący w środku, ślęczał nad nimi tak pilnie, że aż długie jego włosy leżały na białych kartach. Ujrawszy kogoś wchodzącego podniósł głowę i spytał spokojnym głosem:

– A kto tam?

– Żołnierz – odpowiedział Kmicic.

Wówczas i dwaj inni oficerowie zwrócili oczy ku wyjściu.

– Jaki żołnierz? skąd? – spytał pierwszy. (Był to inżynier de Fossis, który głównie pracą obłążniczą kierował.)

– Z klasztoru – odrzekł Kmicic.

Ale było w jego głosie coś strasznego.

De Fossis podniósł się nagle i przysłonił oczy ręką. Kmicic stał wyprostowany i nieruchomy jak widmo, tylko groźna jego twarz, podobna do głowy drapieżnego ptaka, zwiastowała nagłe niebezpieczeństwo.

Jednakże myśl szybka jak błyskawica przemknęła przez głowę de Fossisa, że to może być zbieg z klasztoru, więc spytał jeszcze, ale już gorączkowo.

– Czego tu chcesz?

– Ot, czego chcę! – krzyknął Kmicic.

I wypalił mu w same piersi z pistoletu.

Wtem krzyk straszny i wraz z nim salwa wystrzałów rozległa się na szańcu. De Fossis runął, jak pada sosna zgruchotana piorunem, drugi oficer wpadł ze szpadą na Kmicica, ale on ciął go szablą między oczy, aż stał zgrzytnęła o kości; trzeci oficer rzucił się na ziemię pragnąc prześliznąć się pod ścianą namiotu, ale Kmicic skoczył ku niemu, nadeptał nogą na plecy i przygwoździł sztychem do ziemi.

Tymczasem noc cicha zmieniła się w sądny dzień. Dzikie wrzaski: „Bij! morduj!”, mieszały się z wyciem i przeraźliwymi wołaniami o ratunek szwedzkich żołnierzy. Ludzie obłąkani z przestachu wypadali z namiotów, nie wiedząc, gdzie się obrócić, w którą stronę uciekać. Niektórzy, nie pomiarkowawszy zrazu, skąd napad przychodzi, biegli wprost na jasnogórców i ginęli od szabel, kos i siekier, nim zdążyli „pardon!” zakrzyknąć. Niektórzy bodli w ciemnościach szpadami własnych towarzyszy; inni, bezbronni, wpółdziani, bez kapeluszy, z rękoma podniesionymi w górę, stawali nieruchomie w miejscu; niektórzy wreszcie padali na ziemię, wśród po-

przewracanych namiotów. Mała garść pragnęła się bronić, lecz oślepy tłum porywał ich, przewracał, deptał. Jęki konających, rozdzierające prośby o litość wzmagaly zamieszanie.

Gdy wreszcie z krzyków stało się jawnym, że napad przyszedł nie od strony klasztoru, ale z tyłu, właśnie od strony wojsk szwedzkich, wówczas prawdziwe szaleństwo ogarnęło napadniętych. Sądzieli widocznie, że to sprzymierzone polskie chorągwie uderzyły na nich z nienacka.

Tłumy piechurów poczęły zeskakiwać z szanca i biec ku klasztorowi, jakby w jego murach pragnęli znaleźć schronienie. Ale wnet nowe okrzyki wskazały, że wpadli na oddział Węgrzyna Janicza, który docinał ich pod samą fortecą.

Tymczasem jasnogórcy siekąc, bodąc, depcząc doszli do armat. Ludzie z przygotowanymi gwoździami rzucili się na nie natychmiast, inni zaś prowadzili dalej dzieło śmierci. Chłopi, którzy nie byliby dostali wyćwiczonym żołdakom w otwartym polu, rzucali się teraz w kilku na całe gromady.

Dzielny pułkownik Horn, gubernator krzepicki, starał się zebrać koło siebie rozpierzchłych knechtów, skoczywszy więc za węgiel szanca, począł wołać w ciemności i wymachiwać szpadą. Poznali go Szwedzi i wnet poczęli się kupić, lecz na ich karkach i razem z nimi nadlatywali napastnicy, których w pomroce trudno było odróżnić.

Nagle rozległ się straszliwy świst kosi i głos Horna ucichł nagle. Kupa żołnierzy rozbiegła się, jakby granatem rozeznana. Kmicic i pan Czarniecki z oddziałem kilkunastu ludzi rzucili się na nich i wycięli do szczętu.

Szaniec był zdobyty.

W głównym obozie szwedzkim już trąby poczęły grać *larum*. Nagle ozwały się działa jasnogórskie i kule ogniste poczęły lecieć z klasztoru, by wracającym drogę oświecić. Oni wracali zdyszani, umazani krwią jak wilcy, którzy uczyniwszy rzeź w owczarni, uchodzą przed zbliżającymi się odgłosami strzelców. Pan Czarniecki prowadził czoło. Kmicic pochód zamykał.

W pół godziny natknął się na oddział Janicza, lecz on nie odpowiadał na wołanie; sam jeden życiem przyplacił wycieczkę, bo gdy zapędził się za jakimś oficerem, własni jego żołnierze zastrzelili go z rusznicy.

Wycieczka weszła do klasztoru wśród huku dział i połysku płomieni. U przechodu czekał na nich już ksiądz Kordecki i liczył ich, w miarę jak głowy przesuwaly się do wnętrza przez otwór. Nie brakło nikogo prócz Janicza.

Wnet dwóch ludzi wyszło po niego i w pół godziny później przynieśli ciało, jego chciał bowiem ksiądz Kordecki przystojnym uczić go pogrzebem.

Lecz cisza nocna, raz przzerwana, nie powróciła już aż do białego dnia. Z murów grały działa, w stanowiskach zaś szwedzkich trwało największe zamieszanie. Nieprzyjaciel nie znając dobrze swej klęski, nie wiedząc, skąd nieprzyjaciel nadejść może, uciekł z najbliższych klasztoru szanców. Całe pułki błątały się w rozpaczliwym nieładzie do rana, biorąc często swoich za nieprzyjaciół i dając do siebie ognia. W głównym nawet obozie żołnierze i oficerowie opuścili namioty i stali pod gołym niebem, czekając, aż ta noc okropna się skończy. Trwożliwe wieści przelatywały z ust do ust. Mówiono, że odsiecz nadeszła, inni twierdzili, że wszystkie pobliskie szanice zdobyte.

Miller, Sadowski, książę Heski, Wrzeszczowicz i wszyscy wyżsi oficerowie czynili nadludzkie usiłowania, by doprowadzić do ładu przerażone pułki. Jednocześnie na strzały klasztorne odpowiadano ognistymi kulami, aby rozproszyć ciemności i pozwolić ochłonać rozpierzchłym.

Jedna z kul utkwiała w dachu kaplicy, lecz trąciwszy tylko o załamanie dachu, wróciła się z szumem i łoskotem ku obozowi, rozrzucając po powietrzu potok płomieni.

Nareszcie skończyła się zgiekliwa noc. Klasztor i obóz szwedzki ucichły. Ranek począł biec szczyty kościelne, dachówki przybierały zwolna czerwoną barwę – i rozedniało.

Wówczas Miller na czele sztabu podjechał do zdobytego szanca. Mogli wprawdzie z klasztoru dojrzeć go i dać ognia, lecz stary jenerał nie zważał na to. Chciał własnymi oczyma obejrzeć wszystkie szkody, policzyć poległych. Sztab jechał za nim: wszyscy stropieni, ze smutkiem i

powagą w twarzach. Dojechawszy do szańca zsiadli z koni i poczęli wstępować na górę. Ślady walki widniały wszędzie: niżej, pod działami, wały się poprzewracane namioty; niektóre stały jeszcze otwarte, puste, ciche.

Stosy ciał leżały szczególniej pomiędzy namiotami; trupy półnagie, obdarte, z wytrzeszczonymi oczyma, z przerażeniem zakrzepłym w martwych źrenicach, okropny przedstawiały widok. Widocznie wszyscy ci ludzie zostali pochwyceni w głębokim śnie; niektórzy nie byli obuci, mało który zaciskał rapier w martwej dłoni, żaden prawie nie miał ni hełmu, ni kapelusza. Jedni leżeli w namiotach, zwłaszcza od strony wejścia, ci widocznie zaledwie zdołali się przebudzić; drudzy przy samych skrzydłach namiotów, chwyceni przez śmierć, w chwili gdy chcieli się ratować ucieczką. Wszędy tyle ciał, a w niektórych miejscach takie stosy, iż można by sądzić, że to jaki kataklizm natury pobił owych żołnierzy, lecz rany głębokie w twarzach i piersiach, niektóre oblicza zaczernione od wystrzałów tak bliskich, że wszystek proch nie zdołał zgorzeć, świadczyły aż nadto jawnie, że to ręka ludzka dokonała zniszczenia.

Miller wstąpił wyżej, ku działom; stały głuche, zagwożdżone, nie groźniejsze już od pni drzewa; na jednym z nich leżało przewieszane ciało kanoniera, prawie na wpół przecięte straszonym zamachem kosy. Krew oblała lawetę i utworzyła pod nią obszerną kałużę. Miller obejrzał wszystko dokładnie, w milczeniu i ze zmarszczoną brwią. Nikt z oficerów nie śmiał tego milczenia przerwać.

Jakże tu bowiem nieść pociechę staremu generałowi, który wskutek nieostrożności własnej został pobity jak nowicjusz? Była to nie tylko klęska, była i hańba, bo przecie sam generał twierdzą ową kurnikiem nazywał i obiecywał ją między palcami rozkruszyć, bo przecie miał dziewięć tysięcy wojska, a tam ostało dwieście załogi, bo na koniec, generał ów był żołnierzem z krwi i kości, a miał przeciw sobie mnichów.

Ciężko zaczął się dla Millera ów dzień.

Tymczasem nadeszli piechurowie i poczęli ciała wynosić. Czterech z nich, niosąc na płachcie trupa, zatrzymało się przed generałem bez rozkazu.

Miller spojrzął w płachtę i oczy zakrył.

– De Fossis... – rzekł głucho.

Ledwie co odeszli, nadciągnęli drudzy; tym razem Sadowski poruszył się ku nim i zawołał z daleka, zwracając się do sztabu:

– Horna niosą!

Lecz Horn żył jeszcze i długie miał przed sobą dni mąk okropnych. Chłop, który go ciął, dosięgnął go samym końcem kosy, ale uderzenie było tak straszne, że otwarło całą klatkę piersiową. Jednakże ranny zachował nawet przytomność. Spostrzegłszy Millera i sztab uśmiechnął się, chciał coś mówić, lecz zamiast głosu wydobył tylko na usta pianę różową, po czym ją mrugać silnie oczyma i zemdlął.

– Zanieść go do mego namiotu! – rzekł Miller – i niech mój medyk opatrzy go natychmiast!

Następnie oficerowie usłyszeli, jak mówił sam do siebie:

– Horn. Horn... We śnie go widziałem... zaraz z wieczora... Straszna, niepojęta rzecz...

I utkwivszy oczy w ziemię, zamyślił się głęboko; nagle z zadumy zbudził go przerażony głos Sadowskiego:

– Jenerale! jenerale! Patrz wasza dostojność! Tam, tam... klasztor...

Miller spojrzął i zdumiał.

Dzień już był zupełny i pogodny, jeno mgły wisiały nad ziemią, ale niebo było czyste i ru-miane od porannej zorzy. Biały tuman przesłaniał sam szczyt Jasnej Góry i wedle zwykłego rze-czy porządku powinien był zakrywać kościół; tymczasem szczególniejszym zjawiskiem przyro-dy kościół wraz z wieżą unosił się nie tylko nad skałę, ale i nad mgłę, wysoko, wysoko, zupełnie jakby oderwał się od swej podstawy i zawisł w błękitach pod niebem.

Krzyki żołnierzy zwiastowały, że spostrzegli także zjawisko.

– To mgła oczy ludzi! – zakrzyknął Miller.

– Mgła leży pod kościołem ! – odpowiedział Sadowski.  
– Zadziwiająca rzecz, ale ten kościół jest dziesięć razy wyżej, niż był wczoraj, i wisi w powietrzu – rzekł książę Heski.

– W górę jeszcze idzie! w górę, w górę! – krzyczeli żołnierze. – Z oczu niknie!...

Istotnie, tuman wiszący na skale począł się podnosić na kształt niezmiernego słupa dymu ku niebu, kościół zaś, osadzony jakby na szczycie owego słupa, zdawał się wzbijać coraz wyżej, jednocześnie zaś hen już pod samymi obłokami przesłaniał się coraz więcej białym oparem, rzekłbyś: roztopiał się, rozpływał, mącił, na koniec zniknął zupełnie z oczu.

Miller zwrócił się ku oficerom, a w oczach jego malowało się zdziwienie wraz z zabobonnym przestraszaniem.

– Wyznaję waszmościom – rzekł – że podobnego fenomenu w życiu nie widział. Całkiem to jest przeciwne naturze, i chyba to czary papistów...

– Słyszałem – rzekł Sadowski – wykrzykujących żołnierzy: „Jak tu strzelać do takiej twierdzy?” Zaiste, nie wiem jak!

– Ale co teraz będzie, mości panowie! – zawołał książę Heski. – Jestli ten kościół tam we mgle, czy go już nie ma?

I stali jeszcze długo, zdumieni, milczący, na koniec książę Heski rzekł:

– Chociażby to było naturalne zjawisko przyrody, w każdym razie nic nie wróży ono nam dobrego. Patrzenie, waszmościowie, od czasu jakżeśmy tu przybyli, nie postąpiliśmy ani kroku naprzód!

– Ba! – odpowiedział Sadowski – gdybyśmy to tylko nie postąpili! Ale, prawdę rzekłszy, ponosiliśmy klęskę za klęską... a dzisiejsza noc najgorsza. Żołnierz zniechęcony traci odwagę i opieszale zaczyna działać. Nie macie, waszmościowie, pojęcia, co sobie opowiadają po pułkach. Dzieją się przy tym i inne rzeczy dziwne: oto od pewnego czasu nikt pojedynczo ani nawet samowtór nie może wychylić się z obozu, a kto się na to ośmieli, ten jakoby w ziemię wpadł. Rzekłbyś: wilki krążą koło Częstochowy. Sam niedawno posłałem chorążego z trzema ludźmi do Wielunia po odzież ciepłą i odtąd ani słycho o nich!...

– Gorzej będzie, gdy zima nadejdzie; już i teraz noce bywają nieznośne – dodał książę Heski.

– Mgła rzednie! – rzekł nagle Miller.

Rzeczywiście, powstał wiatr i począł odwiewać opary. W kłębach tumanu zaczęło coś majaczyć, na koniec słońce zeszło i powietrze stało się przezrocyste.

Mury klasztorne zarysowały się z lekka, potem wychylił się kościół, klasztor. Wszystko stało na dawnym miejscu. Twierdza była spokojna i cicha, jakby w niej ludzie nie mieszkali.

– Jenerale – rzekł z energią książę Heski – próbuj wasza dostojność jeszcze układów. Trzeba raz skończyć!

– A jeśli układy nie doprowadzą do niczego, to waszmościowie radzicie oblężenia poniechać? – pytał ponuro Miller.

Oficerowie umilkli. Po chwili dopiero Sadowski zabrał głos:

– Wasza dostojność wiesz najlepiej, co jej wypada czynić.

– Wiem – odparł dumnie Miller – i to wam jeno powiem: przeklinam dzień i godzinę, w której tu przybyłem, jak również doradców (tu przeszył wzrokiem Wrzeszczowicza), którzy mi to oblężenie instygowali; wiedzcie jednak, że po tym, co zaszło, nie ustąpię, póki tej przeklętej twierdzy w kupę gruzów nie zmienię albo sam nie polegę!

Niechęć odbiła się na twarzy księcia Heskiego. Nigdy on nie považał zbyt Millera, powyższe zaś jego słowa poczytał za próżną chełpliwość żołnierską, nie na czasie wobec tego zburzonego szanca, trupów i zagwożdżonych dział; zwrócił się więc ku niemu i odpowiedział z widocznym przekąsem:

– Jenerale, wasza dostojność nie możesz tego przyrzekać, bo ustąpisz wobec pierwszego rozkazu króla jegomości albo pana marszałka Wittenberga. Czasem też i okoliczności umieją rozkazywać nie gorzej królów i marszałków.

Miller zmarszczył swe gęste brwi, co widząc Wrzeszczowicz rzekł pospiesznie:

– Tymczasem próbujmy układów. Oni się poddadzą. Nie może inaczej być!

Dalsze jego słowa zgłuszył wesoły głos dzwonu, wzywający na mszę poranną w kościele jaśnogórskim. Jenerał wraz ze sztabem odjechali z wolna ku Częstochowie, lecz nie dojechali jeszcze do głównej kwatery, gdy przypadł oficer na spienionym koniu.

– To od marszałka Wittenberga! – rzekł Miller.

Tymczasem oficer oddał mu list. Jenerał rozerwał szybko pieczęcie i przebiegłszy pismo oczyma, rzekł ze zmieszaniem w twarzy:

– Nie! To z Poznania... złe wieści. W Wielkopolsce szlachta się podnosi, lud łączy się z nią... Na czele ruchu stoi Krzysztof Żegocki, który chce iść na pomoc Częstochowie.

– Przepowiedziałem, że te strzały rozlegną się od Karpat do Bałtyku – mruknął Sadowski. – U tego narodu prędką odmiana. Jeszcze wy nie znacie Polaków, poznaście ich później.

– Dobrze! poznamy ich! – odparł Miller. – Wolę otwartego nieprzyjaciela niż fałszywego sprzymierzeńca... Sami się poddali, a teraz broń podnoszą... Dobrze! doznają naszej broni!

– A my ich – odburknął Sadowski. – Panie jenerale, kończmy układami z Częstochową; przystańmy na wszelkie warunki... Nie o twierdzę chodzi, ale o panowanie jego królewskiej mości w tym kraju.

– Mnisi się poddadzą – rzekł Wrzeszczowicz. – Dziś, jutro, poddadzą się!

Tak oni ze sobą rozmawiali, a w klasztorze po rannej mszy panowała radość niezmierna. Ci, którzy na wycieczkę nie chodzili, wypytywali jej uczestników: jak się wszystko odbyło? Uczestnicy zaś chępliwi się strasznie, wysławiając swoje męstwo i klęskę, którą nieprzyjacielowi zadali.

Między księżmi i niewiastami nawet ciekawość przemogła. Białe habity i niewieście szaty zaległy mury. Piękny i radosny był to dzień. Niewiasty skupiły się koło pana Czarnieckiego, wołając: „Zbawca nasz! opiekun!” On zaś bronił się, zwłaszcza gdy w ręce chciały go całować, i ukazując na Kmicica mówił:

– Temu także dziękujcie! Babinicz on jest, ale nie baba! W ręce on się całować nie da, bo mu się jeszcze od krwi lepią; ale jeśli która z młodszych w gębę zechce, to tak myślę, że się nie będzie wzdragał!

Młodsze rzucały istotnie wstydlive i wabne zarazem spojrzenia na pana Andrzeja podziwiając wspaniałą jego urodę; lecz on nie odpowiadał oczyma na owe nieme pytania, bo mu widok tych dziewcząt przypomniawszy Oleńkę.

„Ej, ty moja niebogo! – pomyślał – żebyś choć wiedziała, że ja już u Najświętszej Panny na ordynansie, w jej obronie się tym nieprzyjaciołom oponuję, którym ku swojemu umartwieniu służyłem dawniej...”

I obiecał sobie, że zaraz po obłężeniu do niej do Kiejdan napisze i Sorokę z listem popchnie. „Przecie nie gołe słowa i obietnice jej pošlę, bo już i uczynki są za mną, które bez chwalby próżnej, ale akuratnie w liście wypiszę. Niech wie, że to ona sprawiła, niech się ucieszy!”

I ucieszył się sam tą myślą tak dalece, że ani zauważył, jako dziewczęta mówiły do siebie, odchodząc:

– Grzeczny kawaler, ale widać za wojną jeno patrzy i mruk nieużyty...

## ROZDZIAŁ XVI

Zgodnie z życzeniami swych oficerów Miller znowu rozpoczął układy. Przybył do klasztoru z nieprzyjacielskiego obozu znamienity szlachcic polski, poważny wiekiem i wymową. Jasnogórcy przyjęli go gościnnie, sądzili bowiem, że wrzekomo i z musu tylko będzie przemawiał za poddaniem klasztoru, a naprawdę doda im zachęty i potwierdzi nowiny, które już i przez mury obleżone się przedarły, o powstaniu w Wielkopolsce, o zniechęceniu wojsk kwarcianych dla Szweda, o układach Jana Kazimierza z Kozakami, którzy jakoby okazywali chęć powrotu do posłuszeństwa, wreszcie o groźnej zapowiedzi chana tatarskiego, że idzie w pomoc wygnanemu królowi i wszystkich jego nieprzyjaciół ogniem i mieczem ścigać będzie.

Lecz jakże się zawiedli zakonnicy! Personat przyniósł bowiem wprawdzie sporą wiązkę nowin, ale przerażających, zdolnych największy zapał ostudzić, najniezłomniejsze postanowienie złamać, najgorętszą wiarę zachwiać.

Otoczyli go księża i szlachta w definitorium, wśród ciszy i uwagi; z jego ust zaś zdawała się płynąć sama szczerść i boleść nad losami ojczyzny. Rękę często kładł na białej głowie, jak gdyby chcąc wybuch desperacji powstrzymać, patrzył na krucyfiks, łzy miał w oczach i głosem powolnym, przerywanym następujące mówił słowa:

– Ach! jakich to czasów doczekała się strapiona ojczyzna! Nie ma już rady! trzeba ulec królowi szwedzkiemu... Zaprawdę, dla kogoż wy tu, ojcowie czcigodni, i wy, panowie bracia szlachta, chwyciliście za miecze? Dla kogoż nie żałujecie niewywczasów, trudu, umęczenia, krwi? Dla kogoż przez opór – niestety próżny! – narażacie siebie i święte miejsce na straszliwą zemstę niezwycięzonych szwedzkich zastępów?... Dla Jana Kazimierza? Lecz on sam wzgardził już naszym królestwem. Zali to nie wiecie nowiny, że wybór już uczynił i przekładając dostatki, wesołe ucztę i spokojne uciechy nad kłopotliwą koronę, abdykował na rzecz Karola Gustawa? Wy jego nie chcecie opuścić, a on sam was opuścił; wy nie chcieliście łamać przysięgi, a on sam ją złamał; wy gotowicie umrzeć dla niego, on zaś o was i nas wszystkich nie dba... Prawym królem naszym jest teraz Karol Gustaw! Patrzcie więc, byście nie ściągnęli na głowy wasze nie tylko gniewu, zemsty, ruiny, ale i grzechu wobec nieba, wobec krzyża i tej Najświętszej Panny, bo nie przeciw najeźdźcy, ale przeciw własnemu panu ręce zuchwale podnosicie...

Cisza przyjęła te słowa, jakoby śmierć przeleciała przez salę.

Co mogło być bowiem straszniejszego od nowiny o abdykacji Jana Kazimierza? Była to wprawdzie wieść potwornie nieprawdopodobna, lecz owóż ten stary szlachcic mówił ją wobec krzyża, wobec obrazu Marii i ze łzami w oczach.

Ale jeśli była prawdziwą, to dalszy opór był istotnie szaleństwem. Szlachta pozakrywała oczy rękoma, mnisi nasunęli na głowy kaptury i cisza grobowa trwała ciągle; tylko ksiądz Kordecki jął szeptać gorliwie modlitwę zbłądłymi wargami, a oczy jego, spokojne, głębokie, świetliste i przenikliwe, utkwione były nieruchomie w owego szlachcica.

Ten czuł na sobie badawczy ów wzrok i źle mu było pod nim, i ciężko, chciał zachować miarkę powagi, dobrotliwości, zbolełej cnoty, życzliwości i nie mógł; jął więc rzucać niespokojnie spojrzenia na innych ojców, a po chwili tak dalej mówił:

– Najgorszą jest rzeczą zapalać zawziętość przez długie nadużywanie cierpliwości. Skutkiem waszego oporu będzie zniszczenie tego świętego kościoła i nałożenie wam (Boże, odwróć) okropnej i srogiej woli, której słuchać będziecie musieli. Wstręt i unikanie spraw światowych jest bronią zakonników. Co macie do czynienia z wrzawą wojenną, wy, których przepisy zakonne do samotności i milczenia powołują? Bracia moi, ojcowie czcigodni i najmilszi! Nie bierzcie na serca, nie bierzcie na sumienia wasze tak strasznej odpowiedzialności!... Nie wy budowaliście ten święty przybytek, nie dla was jednych ma on służyć! Pozwólcie, aby kwitnął i błogosławił tej ziemi po długie wieki, by synowie i wnuki nasze jeszcze cieszyć się nim mogli!



Tu zdrajca ręce rozłożył i załzawił się zupełnie; szlachta milczała, ojcowie milczeli; zwątpienie ogarnęło wszystkich, serca były zmęczone i rozpachy bliskie, pamięć zmarnowanych i próżnych usiłowań ołowiem zaciężyła umysłem.

– Czekam waszej odpowiedzi, ojcowie! – rzekł szanowny zdrajca spuszczać głowę na pierś.

Wtem ksiądz Kordecki powstał i głosem, w którym nie było najmniejszego wahania, żadnego zwątpienia, rzekł, jakby w proroczym widzeniu:

– To, co waszmość mówisz, że Jan Kazimierz nas opuścił, że już abdykował i prawa swe Karolowi przekazał – to kłamstwo! W serce wygnanego naszego pana wstąpiła nadzieja i nigdy gorliwiej, jak w tej chwili, nie pracował, by ojczyźnie ratunek zapewnić, tron odzyskać i nam pomoc w ucisku przynieść!

Maska spadła od razu z twarzy zdrajcy; złość i zawód odbiły się w niej wyraźnie, jakoby smoki naraz wypełzły z jaskiń jego duszy, w których kryły się dotąd.

– Skąd ta wiadomość? Skąd ta pewność? – zapytał.

– Stąd! – odrzekł ksiądz Kordecki ukazując wielki krucyfiks zawieszony na ścianie. – Idź! połóż palce na przebitych nogach Chrystusowych i powtórz raz jeszcze, coś powiedział!

Zdrajca giąć się począł, jakby pod naciskiem żelaznej ręki; z jaskiń jego duszy nowy smok, przestraszony, wypełznął na oblicze.

A ksiądz Kordecki stał ciągle wspaniały, groźny jak Mojżesz; promienie zdawały mu się strzelać ze skroni.

– Idź, powtórz! – rzekł, nie zniżając ręki, głosem tak potężnym, że aż wstrząśnięte sklepienia definitorium zadrżały i powtórzyły jakby w przerażeniu:

– Idź, powtórz...

Nastąpiła chwila głuchego milczenia, wreszcie rozległ się przytłumiony głos przybysza:

– Umywam ręce...

– Jak Piłat! – dokończył ksiądz Kordecki.

Zdrajca wstał i wyszedł z definitorium. Przesunął się szybko przez podwórcę klasztorne, a gdy się znalazł za bramą, począł biec prawie, jakby go coś gnało od klasztoru do Szwedów.

Tymczasem pan Zamoyski zbliżył się do Czarnieckiego i Kmicica, którzy w definitorium nie byli, aby im powiedzieć, co zaszło.

– Zali przyniósł co dobrego ten poseł? – spytał pan Piotr – uczciwą miał twarz...

– Boże nas chowaj od takich uczciwych! – odpowiedział pan miecznik sieradzki – przyniósł zwątpienie i pokusę.

– Cóż mówił? – rzekł Kmicic podnosząc nieco ku górze zapalony lont, który właśnie trzymał w ręku.

– Mówił jak płatny zdrajca.

– Toteż dlatego może tak umyka teraz! – rzekł pan Piotr Czarniecki. – Patrzcie, waszmościo-  
wie, ledwie nie pędem ku Szwedom bieży. Ej! posłałbym za nim kulę...

– A dobrze! – rzekł nagle Kmicic.

I przyłożył lont do zapału.

Rozległ się huk działa, prędzej nim Zamoyski i Czarniecki mogli się pomiarkować, co się stało. Zamoyski za głowę się porwał.

– Na Boga! – krzyknął – coś uczynił!... toż to poseł!

– Żłem uczynił – odrzekł patrząc w dal Kmicic – bom chybił! Już się podniósł i zmyka dalej. Ej! że też go przeniosło!

Tu zwrócił się do Zamoyskiego:

– Panie mieczniku dobrodzieju, choćbym go też był i w krzyże dosięgnął, nie dowiedliby nam, żeśmy umyślnie do niego strzelili, a dalibóg, nie mogłem lontu w ręku utrzymać. Sam mi opadł. Nigdy bym za posłem Szwedem nie strzelił, ale na widok Polaków zdrajców wnętrzości się we mnie przewracają!

– Ej! miarkujże się, byłaby bieda i gotowi by tam naszym posłom krzywdy czynić.  
Lecz pan Czarniecki kontent był w duszy, bo Kmicic dosłyszał go, jak mruczał pod nosem:

– Przynajmniej ten zdrajca drugi raz pewnie nie podejmie się poselstwa.

Nie uszło to i ucha Zamoyskiego, bo odrzekł:

– Nie ten, to znajdą się drudzy, a waszmościowie układom wstrętu nie czyńcie i samowolnie ich nie przerywajcie, gdyż im dłużej się wloką, tym bardziej na naszą korzyść wychodzą. Odśwież, jeśli nam Bóg jakową ześle, będzie miała czas się zebrać, a i zima idzie sroga, czyniąc coraz trudniejsze oblężenie. Czas dla nich stratę, dla nas korzyść przynosi.

To rzekłszy odszedł do definitorium, gdzie po odejściu posła trwała jeszcze narada. Słowa zdrajcy przeraziły jednak umysły, i dusze były zwarzone. Nie uwierzono wprawdzie w abdykację Jana Kazimierza, ale poseł przywiódł przed oczy potęgę szwedzką, o której szczęśliwe dni poprzednie pozwoliły prawie zapomnieć. Teraz na nowo przedstawiła się ona umysłom w całej swej grozie, której ulękły się przecież nie takie twierdze, nie takie miasta. Poznań, Warszawa, Kraków, nie licząc mnóstwa zamków, otworzyły swe bramy przed zwycięzcą; jakże mogła się obronić wśród powszechnego potopu klęsk Jasna Góra?

„Będziem się bronić jeszcze tydzień, dwa, trzy – myśleli sobie niektórzy ze szlachty i zakonników – ale co dalej, jaki koniec tych usiłowań?”

Kraj cały był jako okręt pogrążony już w otchłani, a jeno ów klasztor sterczał jeszcze jak koniec masztu nad falami. Czyli więc mogli rozbitkowie, do tego masztu uczepieni, myśleć jeszcze nie tylko o własnym ocaleniu, ale o wydobyciu całego okrętu spod toni?

Wedle ludzkich obrachowań nie mogli.

A jednak, właśnie w chwili gdy pan Zamoyski wchodził z powrotem do definitorium, ksiądz Kordecki mówił:

– Bracia moi! Nie śpię i ja, gdy wy nie śpicie, modlę się, gdy wy Patronki naszej o ratunek błagacie. Znużenie, trud, słabość czepiają się tak samo kości moich jak waszych; odpowiedzialność tak samo, ba, więcej może na mnie niż na was ciąży – dlaczegóż ja wierzę, a wy już zdajecie się wątpić?... Wejdźcie w siebie, czyli zaślepione ziemską potęgą oczy wasze nie widzą już większej siły od szwedzkiej? Czyli nie mniemacie, że żadna obrona już nie wystarczy, żadna ręka tamtej przemocy nie zmoże? Jeżeli tak jest, bracia moi, to grzeszne wasze myśli i bluźnicie przeciw miłosierdziu bożemu, przeciw wszechmocy Pana naszego, przeciw potędze tej Patronki, której sługami się mianujecie. Kto z was będzie śmiał rzec, że ta Najświętsza Królowa nie potrafi nas zasłonić i zwycięstwa nam zesłać? Więc prosimy jej, błagajmy dniem i nocą, póki naszym wytrwaniem, naszą pokorą, naszymi łzami, ofiarowaniem ciał i zdrowia naszego nie zmiękczymy jej serca, nie przebłagamy za dawne grzechy nasze!

– Ojczel! – odrzekł jeden ze szlachty – nie o własne gardła nam chodzi, nie o żony nasze i dzieci, ale drżymy na myśl o tych despektach, których obraz może doznać, jeżeli nieprzyjaciel twierdzą szturmem zdobędzie.

– I nie chcemy brać na siebie odpowiedzialności! – dodał drugi.

– Bo nikt nie ma prawa jej brać, nawet ksiądz przeor! – dorzucił trzeci.

I opozycja rosła, zyskiwała na odwadze, tym bardziej że wielu zakonników milczało.

Przeor, zamiast odpowiedzieć wprost, modlić się znów począł:

– Matko Syna Jedynego! – rzekł podniósłszy oczy i ręce ku górze – jeśliś nas nawiedziła dlatego, abyśmy w Twojej stolicy przykład wytrwania, męstwa, wierności Tobie, ojczyźnie i królowi innym dali... jeśliś wybrała to miejsce, by przez nie rozbudzić sumienia ludzkie i cały kraj ocalić – zmiłujże się nad tymi, którzy źródło łaski Twojej chcą zahamować, Twym cudom przeszkodzić, woli Twojej świętej się sprzeciwić...

Tu chwilę pozostał w uniesieniu, następnie zwrócił się ku zakonnikom i szlachcie:

– Kto taką odpowiedzialność weźmie na własne ramiona? Kto cudom Marii, łasce Jej, ratunkowi tego królestwa i wiary katolickiej zechce przeszkodzić!

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! – ozwało się kilka głosów – uchowaj nas Bóg!

– Nie znajdzie się taki! – zawołał pan Zamoyski.

A ci z zakonników, którym poprzednio nurtowało w sercach zwątpienie, poczęli się bić w piersi, bo strach ich ogarnął niemały. I nikt z rajców nie myślał już tego wieczora o poddaniu.

Lecz chociaż serca starszych zostały wzmocnione, jednakże zgubny posiew owego sprzedawczyka wydał zatrute owoce.

Wiadomość o abdykacji Jana Kazimierza i o niepodobieństwie odsieczy doszła przez szlachtę do niewiast, od niewiast do służby, czeladź rozszerzyła ją w wojsku, na którym jak najgorsze wywarła wrażenie. Mniej jej się przerazili wieśniacy, lecz właśnie doświadczeni żołnierze z rzemiosła, przywykli koleje wojny wedle żołnierskiej tylko modły obliczać, poczęli schodzić się ze sobą, wystawiać sobie wzajem niepodobieństwo dalszej obrony, narzekać na upór nie znających rzeczy mnichów, wreszcie zmawiać się i szeptać.

Pewien puszkarz, Niemiec, podejrzaney wiary, poradził, by żołnierze sami wzięli sprawę w rękę i porozumieli się ze Szwedami o wydanie twierdzy. Inni pochwycili tę myśl, lecz znaleźli się i tacy, którzy nie tylko oparli się stanowczo zdradzie, ale dali zaraz znać o niej Kordeckiemu.

Ksiądz Kordecki, który z największą ufnością w siły niebieskie umiał największą ziemską zapobiegliwość i ostrożność połączyć, zniszczył w zarodzie bunt tajemnie się szerzący.

Naprzód więc przywódców buntu, a na ich czele owego puszkarza, wygnał z twierdzy, nie obawiając się wcale tego, co Szwedom o stanie fortecy i jej słabych stronach mogli donieść; następnie, podwoiwszy miesięczną lafę załodze, odebrał od niej przysięgę, że do ostatniej kropli krwi będzie klasztoru broniła.

Lecz podwoił także i czujność, postanowiwszy jeszcze pilniej doglądać tak płatnego żołnierza, jak szlachtę, a nawet swoich zakonników. Starsi ojcowie przeznaczeni zostali do chórów nocnych; młodzi, prócz służby bożej, i służbę na murach zostali obowiązani odprawiać. Następnego dnia odbył się przegląd piechoty; przeznaczono do każdej baszty jednego szlachcica z jego czeladzią, zakonników zaś dziesięciu i dwóch puszkarzy pewnych. Wszyscy ci dzień i noc obowiązani byli powierzonych im stanowisk pilnować.

Stanął więc przy wschodnio-północnej baszcie pan Zygmunt Mosiński, żołnierz dobry, ten właśnie, którego dziecko cudownym sposobem ocalało, chociaż kula ognista padła obok jego kolebki. Z nim razem straż trzymał ojciec Hilary Sławoszewski. Przy zachodniej stanął ojciec Mielecki, ze szlachty zaś pan Mikołaj Krzysztoporski, człowiek posepny i małomówny, ale odwagi nieustraszonej. Wschodnio-południową basztę zajęli pan Piotr Czarniecki z Kmicicem, a z nimi ojciec Adamus Stypulski, który dawniej w elearskiej chorągwi służył. Ten w razie potrzeby zakasywał chętnie habitu i działa rychtował, a z kul przelatujących nie więcej sobie robił od staroego wachmistrza Soroki. Na koniec na zachodnio-południową basztę wyznaczono pana Skórzewskiego i ojca Daniela Rychtalskiego, który tym się odznaczał, że przez dwie i trzy noce z rzędu mógł nie spać, bez szkody dla sił i zdrowia.

Nad strażami postanowiono Dobrosza i ojca Zachariasza Małachowskiego. Niezdolnych do boju przeznaczono na dachy, a zbrojownie i wszelkie przyrządy wojenne objął w nadzór ojciec Lassota. Po księdzu Dobroszu objął on także urząd mistrza ogniowego. W nocy musiał oświetlać mury, aby piechota nieprzyjacielska nie mogła się pod nie zbliżyć. Pourządzał także koszyki i kuny żelazne na wieży, w których nocą płonęło łuczywo i pochodnie.

Jakoż co noc cała wieża wyglądała jak jedna olbrzymia pochodnia. Wprawdzie ułatwiała to Szwedom strzelanie do niej, ale mogło posłużyć za znak, że twierdza broni się jeszcze, gdyby wypadkiem jakie wojsko obleżonym na pomoc przyciągało.

Tak więc nie tylko zamiary poddania spełzły na niczym, ale zabrano się jeszcze gorliwiej do obrony. Chodził nazajutrz ksiądz Kordecki naokół po murach jak pasterz po owczarni, widział, że wszystko jest dobrze, i uśmiechał się błogo, chwalił naczelników i żołnierzy, a przyszedłszy do pana Czarnieckiego rzekł rozpromieniony:

– I pan miecznik sieradzki, nasz kochany wódz, raduje się w sercu na równi ze mną, bo powiada, żeśmy teraz dwakroć mocniejsi niż na początku. Nowy duch wstąpił w serca, reszty łaska

Najświętszej Panny dokona, a ja tymczasem do układów się na nowo wezmę. Będziemy zwłóczyć i marudzić, bo przez to się krew ludzka oszczędza.

Kmicic zaś na to:

– Ej, ojciec wielebny, co tam po układach! Czasu szkoda! lepiej oto znowu tej nocy wycieczkę uczynić i tych psiajuchów naciąć.

A ksiądz Kordecki, że to był w dobrym humorze, uśmiechnął się, jak uśmiecha się matka do naprzykrzonego dziecka, następnie podniósł powróśło leżące przy armacie i począł udawać, że bije nim Kmicica po plecach.

– A będziesz mi się tu wtrącał, utrapiony Litwinie – mówił – a będziesz mi tu krwi jako wilk łaknął, a będziesz mi tu przykład nieposłuszeństwa dawał, a masz! a masz!

Kmicic zaś, rozweselony jak żak szkolny, uchylał się to w prawo, to w lewo i umyślnie niby się drażniąc, powtarzał:

– Bić Szwedów! bić! bić! bić!

Takie to oni sobie wyprawiali uciechy mając dusze gorące i dla ojczyzny poświęcone. Lecz układów ksiądz Kordecki nie zaniechał widząc, że Miller gorąco ich pragnie i za wszelki pozór chwyta. Cieszyła ta ochota księdza Kordeckiego, odgadywał bowiem łatwo, że nie musi się nieprzyjacielowi dźiać dobrze, skoro tak chciwie pragnie kończyć.

Poczęły więc płynąć dni jeden za drugim, w których nie milczały wprawdzie działa i rusznice, lecz głównie działały pióra. W ten sposób oblężenie przewłóczyło się, a zima nadchodziła coraz sroższa. Na szczytach Tatrów chmury wysiadywały w przepaścistych gniazdkach zawieruchę, mróz, śniegi i wytaczały się na kraj, wiodąc za sobą swe lodowate potomstwo. Nocami Szwedzi tulili się do swych ognisk, wołąc ginąć od kul klasztornych niż marznąć.

Twarda ziemia utrudniała sypanie szańców i czynienie podkopów. Oblężenie nie postępowało. Nie tylko oficerowie, ale całe wojsko miało na ustach jedno tylko słowo: „układy”.

Udawali więc księża naprzód, że się chcą poddać. Przyszli do Millera w poselstwie ojciec Marceli Dobrosz i uczony ksiądz Sebastian Stawicki. Ci uczynili Millerowi jakąś nadzieję zgody. Ledwie to usłyszał, aż ręce otworzył i gotów był porwać ich z radości w objęcia. Już bowiem nie o Częstochowę, już o cały kraj chodziło. Poddanie się Jasnej Góry byłoby odebrało resztkę nadziei patriotom i ostatecznie popchnęło Rzeczpospolitą w objęcia króla szwedzkiego, gdy przeciwnie opór, i to opór zwycięski, mógł zmienić serca, umysły i wywołać straszliwą nową wojnę. Oznak naokół nie brakło. Miller wiedział o tym i czuł, w co się wdał, jak straszna zaciężyła nad nim odpowiedzialność; wiedział, że albo czeka go łaska królewska, marszałkowska buława, zaszczyty, tytuły, albo ostateczny upadek. Że zaś i sam już zaczął przekonywać się, że tego „orzecha” nie zgryzie, przyjął więc księży z niesłychaną uprzejmością, jakby cesarskich albo sułtańskich ambasadorów. Zaprosiwszy ich na ucztę, sam pił za ich zdrowie, a również za zdrowie przeora i pana miecznika sieradzkiego, obdarzył ich rybami dla klasztoru, na koniec podał warunki poddania się tak łaskawe, iż ani na chwilę nie wątpił, że ze skwapliwością zostaną przyjęte.

Ojcowie podziękowali pokornie, jak na zakonników przystało; wzięli papier i odeszli. Na ósmą rano zapowiedział Miller otwarcie bram. Radość w obozie szwedzkim zapanowała nieopisana. Żołnierze porzucili szańce i okopy, podchodzili pod mury i poczynali rozmowy z oblężonymi.

Lecz z klasztoru dano znać, że w sprawie tak wielkiej wagi musi przeor odwołać się do całego zgromadzenia, proszą więc zakonnicy jeszcze o jeden dzień zwłoki. Miller zgodził się bez wahania. Tymczasem w definitorium obradowano istotnie do późna w nocy.

Jakkolwiek Miller starym był i wytrawnym wojownikiem, jakkolwiek nie było może w całej armii szwedzkiej jenerała, który by więcej układów od tego Poliocertes z rozmaitymi miastami prowadził, jednakże biło mu serce niespokojnie, gdy następnego ranka ujrzał dwa białe habity zbliżające się do kwatery, którą zajmował.

Byli to nie ci sami ojcowie; przodem szedł ksiądz Maciej Bleszyński, lektor filozofii, niosąc pismo z pieczęcią; za nim postępował ojciec Zachariasz Małachowski, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, ze spuszczoną głową i z twarzą lekko pobladłą.

Jenerał przyjął ich w otoczeniu sztabu i wszystkich znamienitych pułkowników, i odpowiedzawszy uprzejmie na pokorny ukłon ojca Bleszyńskiego, wyjął mu szybko list z ręki, rozerwał pieczęcie i począł czytać.

Lecz wnet strasznie zmieniła się twarz jego: fala krwi uderzyła mu do głowy, oczy wyszły na wierzch, kark napęczniał, i straszliwy gniew zjeżył mu włosy pod peruką. Przez chwilę mowę nawet mu odjęło, ręką tylko wskazał na list księciu Heskemu, który przebiegł go oczyma i zwróciwszy się do pułkowników rzekł spokojnie:

– Oświadczają mnisi tylko tyle, że dopóty nie mogą się wyrzec Jana Kazimierza, dopóki prymas nowego króla nie ogłosi, czyli, inaczej mówiąc; nie chcą uznać Karola Gustawa.

Tu rozśmiał się książę Heski, Sadowski utkwiał szydlerczy wzrok w Millerze, a Wrzeszczowicz począł brodę szarpać z wściekłością. Groźny szmer oburzenia powstał wśród reszty obecnych.

Wtem Miller począł uderzać dłonią po kolanie i krzyczeć:

– Rata! rata!

Wąsate twarze czterech muszkieterów ukazały się wnet we drzwiach.

– Wziąć mi te golone pałki i zamknąć! – krzyknął jenerał. – Waść, panie Sadowski, otrąbisz mi pod klasztorem, że niech aby z jednego działą dadzą z murów ognia, obudwóch mnichów każę natychmiast powiesić!

Prowadzono tedy obu księży: ojca Bleszyńskiego i ojca Małachowskiego, wśród szyderstw i naigrawań się żołnierzy. Muszkietnicy zawdziawali im swe kapelusze na głowy, a raczej na twarze, tak aby oczy były zasłonięte, i umyślnie naprowadzali ich na rozmaite przeszkody, a gdy który z księży potknął się lub upadł, wówczas rozlegał się wybuch śmiechu wśród gromad żołnierstwa, upadłego zaś podnoszono kolbami i niby podpierając go, tłuczono po krzyżu i ramionach. Inni rzucali na nich nawozem końskim, inni chwyтали w dłonie śnieg i rozcierali go na tonsurach lub wpuszczali księżom za habity. Odczepiono sznurki od trąbek i przywiązano ojcom do szyi, po czym żołdacy chwycili za drugi koniec i udając, że prowadzą bydło na jarmark, wykrzykiwali w głos ceny.

Oni obaj szli cicho, z rękami złożonymi na piersiach, z modlitwą na ustach. Zamknięto ich wreszcie w stodole, drżących od zimna, sponiewieranych; naokoło zaś stanęły straże z muszkietami.

Pod klasztorem otrąbiono już rozkaz, a raczej groźbę Millera.

Złękli się ojcowie, zdrewniało ze zgrozy wojsko całe. Działą umilkły; rada zebrana nie wiedziała, co począć. Zostawić ojców w barbarzyńskim ręku niepodobna; posłać drugich, to ich Miller znowu zatrzyma. Wszelako w kilka godzin później sam on przysłał posłańca z zapytaniem, co mnisi myślą uczynić.

Odpowiedziano mu, że póki ojców nie uwolni, żadne układy nie mogą mieć miejsca, bo jakże zakonnicy mogą wierzyć, że jenerał dotrzyma im warunków, jeżeli wbrew kardynałnemu prawu narodów więzi posłów, których nietykalność barbarzyńskie nawet ludy szanują.

Na to oświadczenie nie było prędkiej odpowiedzi, straszna niepewność zaciężyła więc nad klasztorem i zmroziła zapał w obrońcach.

Wojska zaś szwedzkie, ubezpieczone przez zatrzymanie jeńców, pracowały gorączkowo nad zbliżeniem się do niedostępnej dotąd twierdzy. Sypano na gwałt nowe szańce, stawiano kosze z ziemią, ustawiano armaty. Zuchwałe żołnierstwo podsuwało się pod mury na pół strzału z rusznicy. Wygrażali kościołowi, obrońcom. Współpijani żołdacy krzyczeli wznosząc ręce ku murom:

– Poddajcie klasztor albo wiedzcie, że wasze mnichy wisieć będą!

Inni bluźnili strasznie przeciwko Bogarodzicy i wierze katolickiej. Oblężeni, ze względu na życie ojców, słuchać musieli cierpliwie. Kmicicowi wściekłość zapierała oddech w piersi. Darł włosy w czuprynie, szaty na sobie i łamiąc ręce powtarzał do pana Piotra Czarnieckiego:

– Ot, mówiłem, mówiłem, na co układy ze złodziejami! Teraz stój, cierp! a oni leżą w oczy a bluźnią!... Matko Boża! Zmiłuj się nade mną! Daj mi wytrwanie!... Na Boga żywego! niedługo na mury zaczną leżeć!... Trzymajcieżę mnie, okujcie mnie jak zbója, bo nie wytrzymam!

Tamci zaś zbliżali się coraz bardziej i bluźnili coraz śmieiej.

Tymczasem zaszedł nowy wypadek, który do rozpacz przywiódł oblężonych. Pan kasztelan kijowski, poddając Kraków, wymówił sobie, że wyjdzie z całym wojskiem i pozostanie wraz z nim na Śląsku aż do końca wojny. Siedmset piechoty z tych wojsk, gwardii królewskiej pod wodzą pułkownika Wolfa, stało tuż w pobliżu, nad granicą i ufając traktatom, nie miało się na baczności.

Owóz Wrzeszczowicz namówił Millera, ażeby tych ludzi zagarnął. Ten wysłał samego Wrzeszczowicza z dwoma tysiącami rajtarii, którzy nocą przeszedłszy granicę napadli na uśpio-nych i zabrali ich co do jednego. Sprowadzonych do obozu szwedzkiego kazał Miller umyślnie obwodzić naokoło muru, aby okazać księżom, że to wojsko, od którego spodziewali się odsie-czy, posłuży właśnie do zdobywania Częstochowy.

Widok też to był przerażający dla oblężonych tej świetnej gwardii królewskiej, wleczonej wedle murów; nikt bowiem nie wątpił, że ich pierwszych zmusi Miller do szturm.

Popłoch ukazał się znów w wojsku; niektórzy żołnierze poczęli broń łamać i wołać, że nie ma już rady, jeno trzeba się poddawać jak najprędzej. Serca upadły i w szlachcie.

Niektórzy z nich znów wystąpili do Kordeckiego z prośbami, aby miał litość nad ich dziećmi, nad świętym miejscem, nad obrazem i nad zgromadzeniem zakonnym. Zaledwie powaga przeora i pana Zamoyskiego starczyły do uciszenia tego rozruchu.

A ksiądz Kordecki miał przede wszystkim na myśli uwolnienie uwięzionych ojców i chwycił się najlepszego sposobu, napisał bowiem list do Millera, że chętnie dla dobra Kościoła owych braci poświęci. Niech więc generał skazuje ich na śmierć; będą potem wszyscy inni wiedzieć, czego się po nim mogą spodziewać i jaką wiarę do jego przyrzeczeń przywiązywać.

Miller radosny był, bo sądził, że dopływa do końca. Nie od razu jednak uwierzył słowom Kordeckiego i jego gotowości poświęcenia zakonników. Więc jednego z nich, księdza Błęszyń-skiego, wysłał do klasztoru, zobowiązawszy go naprzód przysięgą, że wróci sam dobrowolnie, bez względu na to, jaką odpowiedź przyniesie. Zobowiązał go również przysięgą, że wystawi potęgę szwedzką i niepodobieństwo oporu. Zakonnik powtórzył wszystko wiernie, lecz czy jego mówiły co innego, a w końcu rzekł:

– Lecz życie niżej ceniąc aniżeli dobro Zgromadzenia czekam na postanowienie rady, a co wy uchwalicie, najwierniej nieprzyjacielowi z powrotem oznajmię.

Kazano mu odpowiedzieć, że zakon pragnie układów, ale nie może wierzyć generałowi, który posłów więzi. Na drugi dzień przyszedł do klasztoru drugi z wysłanych ojców, Małachowski, i z podobną odszedł odpowiedzią.

Wówczas obaj usłyszeli wyrok śmierci.

Było to w kwaterze Millera w obecności sztabu i znamienitych oficerów. Wszyscy oni pa-trzyli pilnie w twarze zakonników, ciekawi, jakie też wyrok wyrze na nich wrażenie, i z naj-większym zdumieniem ujrzeli na obydwóch radość tak wielką, tak niezmierną, jakby najwyższe zwiastowano im szczęście. Wybladłe policzki zakonników zarumieniły się nagle, oczy napełniły się światłem i ojciec Małachowski rzekł drżącym ze wzruszenia głosem:

– Ach! czemuż dzisiaj nie umieramy, skoro ofiarą za Boga i króla paść nam przeznaczono!...

Miller kazał ich natychmiast wyprowadzić. Pozostali oficerowie spoglądali jedni na drugich, na koniec któryś ozwał się:

– Z podobnym fanatyzmem trudna walka.

A ksiązę Heski na to:

– Podobną wiarę mieli tylko pierwsi chrześcijanie... Toś waćpan chciał rzec?

Następnie zwrócił się do Wrzeszczowicza.

– Panie Weyhard – rzekł – rad bym wiedzieć, co pan myślisz o tych mnichach?

– Nie potrzebuję sobie nimi głowy zaprzętać – odparł zuchwale Wrzeszczowicz – pan generał już o nich pomyślał!

Wtem Sadowski wystąpił na środek izby i stanął przed Millerem.

– Wasza dostojność nie każesz tych mnichów stracić! – rzekł stanowczo.

– A to czemu?

– Dlatego że wówczas o jakichkolwiek układach mowy już nie będzie, że załoga twierdzy zapłonie zemstą, że ci ludzie prędzej jeden na drugim w takim razie padną, niż się poddadzą...

– Wittenberg przysłała mi ciężkie działa.

– Wasza dostojność nie uczynisz tego – mówił z mocą Sadowski – gdyż to są posłowie, którzy w zaufaniu tu przybyli!

– Ja też ich nie na zaufaniu każę powiesić, tylko na szubienicy.

– Echo tego czynu rozlegnie się w całym kraju, wzburzy wszystkie serca i odwróci je od nas.

– Daj mi waćpan pokój ze swymi echami!... Słyszałem już o nich sto razy.

– Wasza dostojność nie uczynisz tego bez wiedzy jego królewskiej mości!

– Waćpan nie masz prawa przypominać mi moich obowiązków względem króla!

– Ale mam prawo prosić o uwolnienie ze służby, a powody jego królewskiej mości przedstawić. Chcę być żołnierzem, nie katem!...

Książę Heski wystąpił z kolei na środek izby i rzekł ostentacyjnie:

– Panie Sadowski, daj mi twą rękę. Pan jesteś szlachcic i uczciwy człowiek!

– Co to jest? co to znaczy? – ryknął Miller zrywając się z siedzenia.

– Jenerale – rzekł zimno książę Heski – pozwalam sobie mniemać, że pan Sadowski jest uczciwym człowiekiem, i sądzę; że nie masz w tym nic przeciwnego dyscyplinie?

Miller nie lubił księcia Heskiego, ale jak wielu ludziom niższego pochodzenia, tak i jemu imponował w najwyższy sposób ów chłodny, grzeczny, a zarazem pogardliwy sposób mówienia, właściwy ludziom wysokiej godności. Miller starał się mocno przyswoić sobie ową manierę, co mu się zresztą nie udawało. Pohamował jednak wybuch i rzekł spokojnie:

– Mnichy będą jutro wisieć.

– To nie moja rzecz – odrzekł książę Heski – ale w takim razie każ wasza dostojność dziś jeszcze uderzyć na te dwa tysiące Polaków, którzy są w naszym obozie, bo jak tego nie uczynisz, to oni jutro uderzą na nas... Już i tak bezpieczniej szwedzkiemu żołnierzowi iść między stado wilków jak między ich namioty. Oto wszystko, co chciałem powiedzieć, a teraz pozwalam sobie życzyć waszej dostojności powodzenia.

To rzekłszy wyszedł z kwatery.

Miller pomiarkował, iż zapędził się zbyt daleko. Lecz rozkazów nie cofnął i tego samego dnia jeszcze zaczęto wznosić szubienicę na oczach całego klasztoru. Jednocześnie żołdacy, korzystając z zawartego zawieszenia broni, cisnęli się jeszcze bliżej murów nie przestając szydzić, urągać, bluźnić, wyzywać. Całe tłumy ich wdzierały się na górę; stali tak gęsto; jakoby zamierzali iść do szturm.

Wtem pan Kmicic, którego nie okuli, jak o to prosił, nie wytrzymał istotnie i gruchnął z działa w największą kupę tak skutecznie, że pokotem położył tych wszystkich żołnierzy, którzy się naprzeciw wylotu znajdowali. Było to jakby hasło, bo naraz, bez rozkazów, a nawet wbrew im, zagrały wszystkie działa, huknęły rusznice i garłacze.

Szwedzi zaś, wystawieni ze wszech stron na ogień, z wyciem i rykiem uciekać poczęli od twierdzy, gęsto po drodze trupem padając.

Czarnecki przyskoczył do Kmicica.

– A wiesz, że za to kula w łeb?

– Wiem, wszystko mi jedno! Niech mnie!...

– To w takim razie mierz dobrze!

Kmicic mierzył dobrze.

Wkrótce jednak zabrakło mu celu. Wielkie poruszenie stało się tymczasem w obozie szwedzkim, lecz było tak jasnym, że pierwsi Szwedzi zgwałcili zawieszenie broni, iż Miller sam w duchu przyznawał słuszość jasnogórcom.

Co więcej! Kmicic ani się spodziewał, że swymi strzałami uratował prawdopodobnie życie ojcom, bo wskutek nich Miller stanowczo przekonał się, że zakonnicy w ostatnim razie istotnie gotowi są dla dobra Kościoła i klasztoru poświęcić dwóch współbraci. Strzały wbiły mu przy tym do głowy i tę myśl, że jeśli włos spadnie z głowy posłów, tedy już nic innego, prócz podobnych grzmotów, nie usłyszy ze strony klasztoru.

I nazajutrz zaprosił obydwóch uwięzionych zakonników na obiad, następnego zaś dnia odesłał ich do klasztoru.

Płakał ksiądz Kordecki na ich widok, wszyscy brali ich w ramiona i zdumiewali się słysząc z ich ust, że właśnie owym wystrzałem winni są ocalenie. Przeor, który poprzednio gniewał się na Kmicica, przywołał go zaraz i rzekł:

– Gniewałem się, bo myślałem, żeś ich zgubił, ale ciebie widocznie Najświętsza Panna natchnęła. Znak to łaski, raduj się!...

– Ojczy najdroższy, kochany, nie będzie już układów? – pytał Kmicic całując go po rękach.

Ale ledwie to wymówił, ledwie skończył, gdy trąbka ozwała się przy bramie i nowy poseł od Millera wszedł do klasztoru.

Był to pan Kuklinowski, pułkownik chorągwi wolentarskiej, włączającej się ze Szwedami.

Najwięksi warchołowie, bez czci i wiary, służyli w tej chorągwi, a po części dysydenci, jako lutrowie, arianie, kalwini. Tym się tłumaczyła ich przyjaźń dla Szwedów, lecz głównie zagnała ich do millerowskiego obozu chęć grabieży i łupów. Szajka ta, złożona ze szlachty banitów, ludzi zbiegłych z więz i rąk mistrza, a z czeladzi wisielców, urwanych od powroza, podobna była nieco do dawnej Kmicicowej partii, tylko tamci się bili jak lwy, ci woleli rabować, krzywdzić szlachcianki po dworach, rozbijać stajnie i skrzynie. Kuklinowski sam mniej był za to podobny do Kmicica. Wiek przyprószył siwizną jego włosy, twarz miał zwiędłą, zuchwałą i bezczelną. Oczy, nadzwyczaj wypukłe i drapieżne, zwiastowały gwałtowność charakteru. Był to jeden z tych żołnierzy, w których wskutek hulaszczego życia, ciągłych wojen sumienie wypaliło się do dna. Mnóstwo podobnych kręciło się wówczas po wojnie trzydziestoletniej w całych Niemczech i Polsce. Gotowi oni byli służyć każdemu, i nieraz prosty wypadek rozstrzygał, po której stawali stronie.

Ojczyzna, wiara, słowem, wszystkie świętości, były im zupełnie obojętne. Wyznawali jedną tylko żołnierkę, szukali w niej uciech, rozpusty, korzyści i zapomnienia życia. Wszelako obrawszy jakiś obóz służyli mu dość wiernie, a to przez pewien honor żołniersko-rozbójniczy i dlatego; aby nie psuć sobie i innym wziętości. Takim był i Kuklinowski. Sroga odwaga i niezmierna zawziętość wyrobiły mu mir między warchołami. Łatwo mu przychodziło werbować ludzi. Wiek życia przesłużył w różnych broniach i obozach. Był na Siczy atamanem; wodził pułki na Wołoszczyznę; w Niemczech werbował ochotników w czasie trzydziestoletniej wojny i zyskał pewną sławę jako dowódca jazdy. Krzywe jego nogi, wygięte na kształt pałaków, znamionowały, że większą część życia spędził na koniu. Chudy był przy tym jak trzaska i nieco pochylony z rozpusty. Siła krwi, nie tylko w wojnach przelanej, ciążyło na nim. A jednak nie był to człowiek z natury zupełnie zły, miewał czasem szlachetniejsze popędy, był tylko do szpiku kości zepsuty i rozzuchwalony. Sam bowiem nieraz mawiał w zaufanej kompanii po pijanemu: „Spełniło się niejeden uczynek, za który powinien był piorun trzasnąć, a nie trzasnął.”

Ta bezkarność sprawiła, że nie wierzył w sprawiedliwość bożą i karę nie tylko za życia, ale i po śmierci, inaczej mówiąc: nie wierzył w Boga, wierzył jednak w diabła, w czarownice, w astrologów i w alchemię.

Nosił się po polsku, gdyż uważał ten strój za najodpowiedniejszy dla kawalerzysty; jeno wąs, jeszcze czarny, podstrzygał po szwedzku i rozczapierzał w zadartych do góry końcach. Mówiąc, zdrobniał wszystkie wyrazy jak dziecko, co dziwne czyniło wrażenie w ustach takiego wcielone-



go diabła i okrutnika złoścącego krew ludzką. Mówił dużo i chętnie, oczywiście miał się za znamienitą osobę i jednego z pierwszych w świecie pułkowników jazdy.

Miller, który, lubo w szerszym zakroju, sam do podobnego gatunku ludzi należał, cenił go wielce, a zwłaszcza lubił go sadzać u swego stołu. Obecnie Kuklinowski sam narzucił mu się na pomocnika, zaręczając, że wymową swą wnet księży do opamiętania przywiedzie.

Poprzednio jeszcze, gdy po aresztowaniu księży pan Zamoyski, miecznik sieradzki, wybierał się sam własną osobą do obozu Millera i żądał zakładnika, Miller posłał Kuklinowskiego; pan Zamoyski i ksiądz Kordecki nie przyjęli go jednak, jako człeka nieodpowiedniej godności.

Od tej pory, dotknięty w miłości własnej, Kuklinowski powziął śmiertelną urazę do obrońców Jasnej Góry i postanowił wszelkimi siłami im szkodzić. Wybrał się więc w poselstwie, raz dla samego poselstwa, a po wtóre, żeby wszystko obejrzeć i tu i owdzie złe ziarno rzucić. Ponieważ z dawna znajomy był panu Czarnieckiemu, zbliżył się zatem do bramy przez niego strzeżonej; lecz pan Czarniecki spał właśnie, Kmicic go zastępował; on też wprowadził gościa i zawiódł go do definitorium.

Kuklinowski rzucił okiem znawcy na pana Andrzeja i wnet wpadła mu bardzo w oko nie tylko postawa, ale i wzorowy żołnierski moderunek młodego junaka.

– Żołnierzyk zaraz prawdziwego żołnierzyka odgadnie – rzekł podnosząc rękę do kołpaka. – Nie spodziewałem się, żeby księżulkowie mieli tak grzecznych oficerów na kondycyje. Jakże godność, proszę?...

W Kmicicu, który miał gorliwość każdego nowo nawróconego, aż dusza się wzdrygała, szczególnie na Polaków Szwedom służących; jednakże wspomniał na niedawne gniewy księdza Kordeckiego, na wagę, którą tenże do układów przywiązywał, więc odrzekł chłodno, ale spokojnie:

– Jestem Babinicz, dawny pułkownik wojsk litewskich, a teraz wolentariusz w służbie Najświętszej Panny.

– A ja Kuklinowski, także pułkownik, o którym musiałeś waść słyszeć, bo czasu niejednej wojenki o tym nazwisku i o tej szabelce (tu uderzył się po boku) wspomniano nie tylko tu w Rzeczypospolitej, ale i za granicą.

– Czołem! – rzekł Kmicic – słyszałem.

– No, proszę... toś waść z Litwy?... I tam bywają sławni żołnierze... My to wiemy o sobie, bo też trąbę sławy słyhać z jednego końca świata w drugi... Znałeś tam waszmość niejakiego Kmicica?

Pytanie padło tak nagle, że pan Andrzej stanął jak wryty.

– A waszmość czemu się o niego pytasz?

– Bo go miłuję, choć go nie znam; bośmy do siebie podobni jak para butów... i to zawsze potwarzam: dwóch jest (z przeproszeniem waszmości) prawdziwych żołnierzy w tej Rzeczypospolitej: ja w Koronie, a Kmicic na Litwie... Para gołąbków, co?! Znałeś go waść osobiście?

„Bodaj cię zabito!” – pomyślał Kmicic.

Lecz wspomniawszy na poselski charakter Kuklinowskiego, odrzekł głośno:

– Osobiście go nie znałem... Ale owoż wejdź pan, bo tam już rada oczekuje.

To rzekłszy wskazał mu drzwi, z których na przyjęcie gościa wyszedł jeden z księży. Kuklinowski udał się z nim razem do definitorium, lecz przedtem jeszcze odwrócił się do Kmicica.

– Miło mi będzie, panie kawalerze – odrzekł – jeśli i z powrotem ty mnie odprowadzisz, nie kto inny.

– Zaczekam tu na waszmości – odpowiedział pan Kmicic.

I pozostał sam. Po chwili począł chodzić tam i na powrót prędkimi krokami. Wzburzyła się w nim cała dusza, a serce zalewało mu się krwią czarną ze złości.

– Smoła tak nie przylega do szaty jak niesława do imienia! – mrucał. – Ten łotr, ten wyga, ten sprzedawczyk śmieje się bratem moim mianuje i za kompaniona mnie ma. Ot, czegom się doczekał! Wszyscy wisielcy się do mnie przyznają, a nikt zacny bez abominacji nie wspomni.

Małom jeszcze uczynił, mało!... Żeby przynajmniej mógł tę szelmę nauczyć... Nie może być inaczej, tylko go sobie zakarbuję...

Narada w definitorium trwała długo. Uczyniło się ciemno.

Kmicic czekał jeszcze.

Na koniec ukazał się pan Kuklinowski. Twarzy jego nie mógł dojrzeć pan Andrzej, ale z szybkiego sapania wnosił, że misja zgoła mu się nie udała i zarazem nie przypadła do smaku, bo nawet do gawędy stracił ochotę. Szli więc czas jakiś w milczeniu; tymczasem postanowił Kmicic dowiedzieć się prawdy, rzekł tedy udając umyślnie współzucie:

– Pewnie z niczym waszmość wracasz... Nasi księża uparci, a mówiąc między nami (tu zniżył głos), źle czynią, bo przecie wieki bronić się nie możemy.

Pan Kuklinowski stanął i pociągnął go za rękaw.

– A, sądzisz waść, sądzisz, że źle robią? Masz rozumek, masz! Księżulkowie pójdą na otręby – ja w tym! Kuklinowskiego nie chcą słuchać, posłuchają jego miecza.

– Widzi waść, mnie też o nich nie chodzi – odrzekł Kmicic – ale o miejsce, które jest święte, nie ma co mówić!... a które im później się podda, tym kondycje sroższe być muszą... Chyba że to prawda, co mówią, iż w kraju powstają hałasy, że tu i owdzie poczynają Szwedów siec i że chan w pomoc ciągnie. Jeśli tak, to Miller musi odstąpić.

– Waćpanu w zaufaniu powiem: ochotka na szwedzką juszkę budzi się w kraju, a podobno i w wojsku, prawda!... O chanie także gadają! Ale Miller nie odstąpi. Za parę dni działa ciężkie nam przyjdą... Wykopiemy tych lisów z jamy, a później co będzie, to będzie!... Ale waćpan rozumek masz!

– Ot, i brama! – rzekł Kmicic – tu muszę waści pożegnać... Chyba że chcesz, bym cię po pochyłości sprowadził?

– Sprowadź, sprowadź! Parę dni temu strzeliliście za posłem!...

– At! co waść mówisz?!

– Może niechący... Ale lepiej sprowadź waćpan... Mam ci też kilka słów rzec.

– I ja waćpanu.

– To i dobrze.

Wyszli za bramę i pograżyli się w ciemności. Tu Kuklinowski stanął i chwyciwszy znów Kmicica za rękaw, mówić począł:

– Waćpan, panie kawalerze, wydajesz mi się roztropny i przemyślny, a przy tym czuję w tobie żołnierzyka z krwi i z kości... Po co ci, u licha, z księżmi, nie z wojskowymi trzymać, po co księżym parobkiem być?... Lepsza u nas i weselsza kompania przy kielichach, kościach, z dziewczętami... Rozumiesz? co?

Tu ścisnął mu ramię palcami.

– Ten dom – mówił dalej ukazując palcem na twierdzę – pali się... a głupi, kto z palącego się domu nie ucieka. Waćpan może imienia zdrajcy się boisz?... Pluń na tych, co cię tak nazwą! Chodź do naszej kompanii... Ja, Kuklinowski, to waści proponuję. Chcesz, słuchaj... nie chcesz, nie słuchaj... gniewu nie będzie. Jenerał przyjmie cię dobrze, ja w tym, a mnie do serca przypa- dłeś i z życzliwości to ci mówię. Wesoła kompanijka, wesoła! Żołnierska wolność w tym, by służyć, komu się chce. Nic ci po mnichach! Jeżeli cnotka przeszkadza, to ją wycharchnij! Pamiętaj też i na to, że i ucziwi u nas służą. Tylu szlachty, tylu panów, hetmani... Co masz być lepszy? Kto tam się naszego Kazimierka trzyma? – nikt! Jeden Sapieha Radziwiłła gnębi.

Kmicic zaciekawiał się.

– Sapieha, mówisz waćpan, Radziwiłła gnębi?

– Tak jest. Srodze go tam na Podlasiu poturbował, a teraz w Tykocinie oblega. A my nie przeszkadzamy!

– Jak to?

– Bo król szwedzki woli, żeby się zjedli. Radziwiłł nigdy nie był pewny, o sobie jeno myślał... Przy tym ledwie podobno już dyszy. Kto dopuści, żeby go oblegano, to już źle z nim... już zginął.

– I Szwedzi nie idą mu na ratunek?

– Kto ma iść? Sam król w Prusach, bo tam sprawa najważniejsza... Elektoreczek dotąd się wykręcał, teraz się nie wykręci. W Wielkopolsce wojenka. Wittenberg potrzebny w Krakowie, Duglas z góralami ma robotę, więc i zostawili Radziwiłła samemu sobie. Niech go tam Sapieha zje. Urósł Sapieżka, to prawda... Ale przyjdzie i na niego kolej. Nasz Karolek, byle się z Prusami ułatwił, przytrze potem rogów Sapieże. Teraz nie ma na niego rady, bo cała Litwa przy nim stoi.

– A Żmudź?

– Żmudź Pontusik de la Gardie trzyma w łapach, a ciężkie to łapy, znam go!

– Także to Radziwiłł upadł, on, który potęgą królom dorównywał?

– Gaśnie już, gaśnie...

– Dziwne zrządzenie boże!

– Odmienna wojny kolejka. Ale mniejsza z tym! No, co tam? Nie namyśliszże się wedle tej propozycji, którą ci uczyniłem? Nie będziesz żałował! Chodź do nas. Jeśli ci dziś za prędko, to się namyśl do jutra, do pojutrze, do przyjscia wielkich dział. Oni ci widać ufają, skoro możesz za bramę wychodzić, jak ot, teraz... Albo z listami przyjdź i więcej nie wracaj...

– Waćpan ciągniesz na stronę szwedzką, boś szwedzki poseł – rzekł nagle Kmicic – nie wypada ci inaczej, chociaż w duszy, kto wie, co tam myślisz. Są tacy, którzy Szwedom służą, a w sercu źle im życzą.

– Parol kawalerski! – odrzekł Kuklinowski – że mówię szczerze, i nie dlatego, że funkcję poselską spełniam. Za bramą już ja nie poseł, i kiedy tak chcesz, to składam dobrowolnie swoją poselską szarżę i mówię ci jak prywatny: kiń do licha tę paskudną twierdzę!

– To waść mówisz jako prywatny?

– Tak jest.

– I mogę ci jako prywatnemu odpowiedzieć?

– Jako żywo! sam proponuję.

– Tedy słuchajże mnie, panie Kuklinowski (tu Kmicic nachylił się i spojrzał w same oczy zabijaki), jesteś szelma, zdrajca, łotr, rakarz i arcypies! Masz dosyć, czyli mam ci jeszcze w oczy plunąć?

Kuklinowski zdumiał się do tego stopnia, że przez chwilę trwało milczenie.

– Co to?... Jak to?... Słyszysz ja dobrze?

– Masz, psie, dosyć, czyli chcesz, bym ci w oczy plunął?

Kuklinowski błysnął szablą, lecz Kmicic schwycił go swą żelazną ręką za garść, wykręcił ramię, wyrwał szablę, następnie trzasnął w policzek, aż się rozległo w ciemności, poprawił z drugiej strony, obrócił w rękę jak frygę i kopnąwszy z całej siły, wykrzyknął:

– Prywatnemu, nie posłowi!...

Kuklinowski potoczył się na dół, jak kamień wyrzucony z balisty, pan Andrzej zaś spokojnie poszedł ku bramie.

Działo się to w załamaniu góry, tak iż z murów trudno ich było dojrzeć. Jednakże przy bramie spotkał Kmicic czekającego już księdza Kordeckiego, który zaraz odprowadził go na bok i pytał:

– A coś tak długo robił z Kuklinowskim?

– Wchodziłem z nim w konfidencję – odparł pan Andrzej.

– Cóż ci mówił?

– Mówił mi, że o chanie prawda.

– Chwała Bogu, który serca pogan zmienić umie i z wrogów uczynić przyjaciół.

– Mówił mi także, iż Wielkopolska się ruszyła...

– Chwała Bogu!

– Że kwarciani coraz niechętniej przy Szwedzie stoją, że na Podlasiu wojewoda witebski Sapieha zabił zdrajcę Radziwiłła, mając wszystkich znacznych obywateli po sobie. Jakoby cała Litwa przy nim stoi, z wyjątkiem Żmudzi, którą Pontus ogarnął...

– Chwała Bogu! Nic żeście więcej ze sobą nie mówili?

– Owszem, namawiał mnie potem Kuklinowski, bym do Szwedów przeszedł.

– Tego się spodziewałem – rzekł ksiądz Kordecki – zły to człowiek... A ty cóżeś mu odrzekł?

– Bo to, widzicie, ojczcie wielebny, powiedział mi tak: „Kładę na bok moją szarżę poselską, która się za bramą i bez tego kończy, a namawiam cię jako prywatny człowiek.” A jam go jeszcze dla pewności spytał, czy mogę jako prywatnemu odpowiadać. Powiedział: „Dobrze!” – wtedy...

– Co wtedy?

– Wtedy dałem mu w pysk, a on się na dół pokocił.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha!

– Nie gniewajcie się, ojczcie... Bardzom to politycznie uczynił, a że on tam przed nikim słowa nie piśnie, to pewno!

Ksiądz milczał przez chwilę.

– Z poczciwością to uczynił, wiem! – odrzekł po chwili. – To mnie jeno martwi, żeś sobie nowego wroga napytał... To straszny człek!

– E! jeden więcej, jeden mniej!... – rzekł Kmicic.

Po czym pochylił się do ucha księdza.

– A księżę Bogusław – rzekł – to mi przynajmniej wróg. Co mi tam taki Kuklinowski! Ani się na niego obejrzę.

## ROZDZIAŁ XVII

Tymczasem odezwał się groźny Arfuid Wittenberg. Znamienity oficer przywiózł jego surowe pismo do klasztoru z rozkazem dla ojców poddania twierdzy Millerowi. „W przeciwnym razie – pisał Wittenberg – jeśli nie zaniechacie oporu i nie zechcecie ulegać wspomnianemu panu generałowi, bądźcie przekonani, że surowa was czeka za to kara, która innym posłuży za przykład. Winę zaś tego sobie przypiszecie.”

Ojcowie, po odebraniu tego listu, postanowili po staremu zwlekać, co dzień nowe trudności przedstawiając. I znów poczęły płynąć dni, podczas których huk armat przerywał układy, i odwrotnie.

Miller oświadczył, że tylko dla zabezpieczenia klasztoru od kup swawolnych pragnie wprowadzić doń swą załogę.

Ojcowie odpowiedzieli, że skoro załoga ich okazała się dostateczną do obrony przeciw tak potężnemu wodzowi jak pan generał, tym bardziej wystarczy przeciw kupom swawolnym. Błagali więc Millera na wszystko, co święte, na uszanowanie, jakie lud ma dla tego miejsca, na Boga i cześć Marii, aby sobie poszedł do Wielunia lub gdzie by mu się podobało. Wyczerpała się jednak i cierpliwość szwedzka. Ta pokora oblężonych, którzy jednocześnie prosili o miłosierdzie i coraz gęściej z dział strzelali, doprowadzała do rozpaczyny wodza i wojska.

Millerowi w głowie z początku nie mogło się pomieścić, dlaczego, gdy cały kraj poddał się, to jedno miejsce się broni, co za moc je podtrzymuje, w imię jakich nadziei ci zakonnicy nie chcą ulegnąć, do czego dążą, czego się spodziewają?

Lecz czas płynący przynosił coraz jaśniejsze na owe pytania odpowiedzi. Opór, który się tu począł, szerzył się jak pożar.

Mimo dość tępej głowy spostrzegł generał w końcu, o co księdzu Kordeckiemu chodziło, bo zresztą wytłumaczył to niezbitcie Sadowski: że więc nie o owo gniazdo skaliste, nie o Jasną Górę, nie o skarby nagromadzone w zakonie, nie o bezpieczeństwo Zgromadzenia – ale o losy całej Rzeczypospolitej. Spostrzegł Miller, że ów ksiądz cichy wiedział, co czynił, że miał świadomość swojej misji, że powstał jako prorok, aby zaświecić krajowi przykładem, by głosem potężnym zawołać na wschód i zachód, na północ i południe: *Sursum corda!* – by czy to zwycięstwem swoim, czy śmiercią i ofiarą obudzić śpiących ze snu, obmyć z grzechów grzesznych, uczynić światło w ciemnościach.

Spostrzegłszy to ów stary wojownik po prostu zląkł się i tego obrońcy, i własnego zadania. Nagle ów „kurnik” częstochowski wydał mu się olbrzymią górą bronioną przez tytana, a sam sobie wydał się generał małym, a na armię własną spozjrzał po raz pierwszy w życiu jak na garść lichego robactwa. Imże to podnosić rękę na tę jakąś straszną, tajemniczą i niebotyczną potęgę? Więc zląkł się Miller i zwątpienie poczęło się wkradać do jego serca. Wiedząc, że na niego winę złożą, sam począł szukać winnych, i gniew jego spadł naprzód na Wrzeszczowicza. Powstały w obozie niesnaski i niezgoda jęła jątrzyć przeciw sobie serca; prace oblężnicze musiały na tym cierpieć.

Lecz Miller zbyt długo przywykł w całym życiu mierzyć ludzi i wypadki pospolitą miarą żołnierską, aby chwilami nie miał pocieszać się jeszcze myślą, że twierdza podda się w końcu. I biorąc rzeczy po ludzku, nie mogło się stać inaczej. Przecie Wittenberg przysyłał mu sześć dział burzących najcięższego kalibru, które już pod Krakowem pokazały swą potęgę.

„U licha! – myślał Miller – takie mury nie oprą się takim kolubrynom, a gdy to gniazdo strachów, zabobonu, czarów z dymem się rozwieje, wnet rzeczy wezmą inny obrót i cały kraj się uspokoi.”

W oczekiwaniu więc na większe działa, kazał strzelać z mniejszych. Dni walki wróciły. Próżno jednak kule ogniste padały na dachy, próżno najdzielniejsi puszkarze nadludzkie czynili usiłowania. Ilekroć wiatr zwiął morze dymów, klasztor ukazywał się nietknięty, wspinały jak zaw-

sze, wyniosły, z wieżami bodącymi spokojnie błękit. Tymczasem zdarzały się wypadki szerzące zabobonny przestach między oblegającymi. To kule przelatywały ponad całą górą i raziły stojących z drugiej strony żołnierzy; to puszkarz, zajęty rychtowaniem działa, padał nagle; to dymy układały się w straszne i dziwaczne postacie; to prochy w jaszczach zapalały się nagle, jakby niewidomą ręką podpalone.

Prócz tego ginęli ciągle żołnierze, którzy pojedynczo, samowtór albo samotrzeć wychylali się z obozu. Posądzenie o to padło na polskie posiłkowe chorągwie, które, prócz pułku Kuklinowskiego, odmawiały wręcz wszelkiego udziału w pracach oblężniczych i coraz groźniejszą przybierały postawę. Miller zagroził pułkownikowi Zbrożkowi sądem na jego ludzi, ten zaś odpowiedział mu w oczy wobec wszystkich oficerów: „Spróbuj, jenerale!”

Natomiast towarzysze spod polskich chorągwi włączyli się umyślnie po szwedzkim obozie, okazując pogardę i lekceważenie żołnierzom, a wszczynając kłótnie z oficerami. Przychodziło stąd do pojedynków, w których Szwedzi, jako mniej wprawni w szermierkę, najczęściej padali ofiarą. Miller wydał surowe rozporządzenie przeciwko pojedynkom, a w końcu zabronił towarzystwu wstępu do obozu. Wynikło z tego, że w końcu oba wojska leżały obok siebie jak wrogie i oczekujące tylko sposobności do walki.

Klasztor zaś bronił się coraz lepiej. Okazało się, że działa nadesłane przez pana krakowskiego nie ustępują w niczym tym, którymi rozporządzał Miller, a puszkarze przez swą ciągłą praktykę doszli do takiej wprawy, że każdy ich strzał powalał nieprzyjaciół. Szwedzi spędzali to na czary. Puszkarze odpowiadali wprost oficerom, że z tą siłą, która klasztoru broni, nie ich rzecz walczyć.

Pewnego rana popłoch wszczął się we wschodnio-południowym przykopie; żołnierze bowiem ujrzeni wyraźnie niewiastę w błękitnym płaszczu, osłaniającą kościół i klasztor. Na ten widok rzucili się pokotem twarzami na ziemię. Próżno nadjechał sam Miller, próżno tłumaczył im, że to mgły i dymy ułożyły się w ten sposób; próżno wreszcie groził sądem i karami. W pierwszej chwili nikt nie chciał go słuchać; zwłaszcza że sam jenerał nie umiał ukryć przerażenia.

Rozszerzyło się wnet po tym wypadku w całym wojsku mniemanie, że nikt z tych, którzy w oblężeniu brali udział, swoją śmiercią nie umrze. Wielu oficerów podzielało tę wiarę, a i Miller nie był wolny od obaw, sprowadził bowiem ministrów luterskich i kazał im czary odczyniać. Chodzili tedy po obozie szepcząc i śpiewając psalmy; przestach jednak tak się już rozszerzył, że nieraz przyszło im usłyszeć z ust żołnierzy: „Nie wasza moc, nie wasza potęga!”

Wśród strażów armatnich nowy poseł millerowski wszedł do klasztoru i stanął przed obliczem księdza Kordeckiego i rady.

Był to pan Śladkowski, podstoli rawski, którego podjazdy szwedzkie ogarnęły, gdy z Prus powracał. Przyjęto go zimno i surowo, choć twarz miał pocziwą, a spojrzenie jak niebo pogodne, bo już się byli przyzwyczaili zakonnicy do pocziwych twarzy u zdrajców. Ale on się takim przyjęciem wcale nie zmieszał i podczasując rażno palcami płowego czuba na głowie ozwał się:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
- Na wieki wieków! – odezwali się chórem zebrani.

A ksiądz Kordecki zaraz dodał:

- Niech będą błogosławieni, którzy Mu służą.

– I ja Mu służę – odrzekł pan podstoli – a że szczerzej niż Millerowi, to się zaraz pokaże... Hm! pozwólcie, ojcowie czcigodni i kochani, że odchrząknę, bo muszę naprzód paskudztwo wypłunąć... Więc tedy Miller... tfu!... przysłał mnie, mój dobry panie, do was, żebym was do poddania się... tfu!... namawiał. A ja się podjąłem dlatego, żeby wam powiedzieć: brońcie się, o poddaniu nie myślcie, bo Szwedzi już cienko przędą i licho ich w oczach bierze.

Zdumieli się zakonnicy i mężowie świeccy widząc takiego posła; naraz pan miecznik sieradzki zakrzyknął:

- Jak mi Bóg miły, to jakiś uczciwy człowiek!

I skoczywszy ku niemu pocałował mu ręką potrzęsając, a pan Śladkowski drugą, wolną, znów podgarnął czuba i mówił dalej:

– Żem nie jest szelmą, to się także zaraz pokaże. Kreowałem się Millerowi posłem jeszcze i dlatego, by wam nowin udzielić, które są tak pomyślne, ze chciałbym je wszystkie, mój dobry panie, jednym tchem wypowiedzieć... Dziękujcie Bogu i Najświętszej Jego Rodzicielce, że was obrała za narzędzia do odwrócenia serc ludzkich! Waszym to przykładem, waszą obroną kraj nauczony poczyna zrzucać z siebie jarzmo szwedzkie. Co tu gadać! Biją Szwedów w Wielkopolsce i na Mazurach, znoszą mniejsze oddziały, zalegają drogi i pasy. W kilku już miejscach srogięgo dali im łupnia. Szlachta siada na koń, chłopci, mój dobry panie, w kupy się zbierają, a jak złapią jakiego Szweda, to pasy z niego drą. Wióry lecą, kłaki lecą! Ot, co jest! ot, do czego przyszło! A kto to sprawił? Wy!

– Anioł to, anioł powiada! – wołali zakonnicy i szlachta wznosząc do nieba ręce.

– Nie anioł, ale do usług, Śladkowski, podstoli rawski... Nic to! Słuchajcie dalej: Chan, pomny na dobrodziejstwa pana naszego, króla prawowitego Jana Kazimierza, któremu niech Bóg da zdrowie i panowanie w najdłuższe lata, idzie z pomocą i już wszedł w granicę Rzeczypospolitej, Kozaków, którzy się oponowali, na sieczkę rozniósł i wali w sto tysięcy ordy pod Lwów, a Chmielnicki, *volens nolens*, z nim razem.

– Dla Boga! dla Boga! – powtarzały różne głosy, jakoby przygnębione szczęściem.

A pan Śladkowski aż się zapocił i machając rękoma coraz żywiej, krzyczał:

– Nic to jeszcze!... Pan Czarniecki, któremu Szwedzi pierwsi nie dotrzykali punktów, bo mu piechotę z Wolfem porwali, czuje się wolnym od słowa i na koń już siada. Król Kazimierz wojsko zbiera i lada dzień do kraju wkroczy, a hetmani, słuchajcie, ojcowie, hetmani: pan Potocki i pan Lanckoroński, z nimi zaś całe wojsko, czekają tylko na wejście króla, by Szwedów odstąpić i przeciw nim szablę zwrócić. Tymczasem z panem Sapiehą się porozumiewają i z chanem. Szwedzi w strachu, ogień w całym kraju, wojna w całym kraju... kto żyw, w pole wychodzi!

Co działo się w sercach zakonników i szlachty, trudno opisać, trudno wypowiedzieć. Niektórzy płakali, inni padali na kolana, inni powtarzali: „Nie może być, nie może być!” – co usłyszawszy pan Śladkowski zbliżył się do wielkiego krucyfiksu wiszącego na ścianie i tak mówił:

– Kładę ręce na tych nogach Chrystusowych, gwoździem przybitych, i przysięgam, jako szczerą i czystą prawdę powiadam. Powtarzam wam tylko: brońcie się, nie upadajcie, nie ufajcie Szwedom, nie liczcie na to, byście pokorą i poddaniem się mogli jakiegokolwiek bezpieczeństwa sobie zapewnić. Żadnych oni nie dotrzymują umów, żadnych układów. Wy, tu zamknięci, nie wiecie, co się dzieje w całym kraju, jaki powstał ucisk, jakie gwałty, mordowanie księży, profanowanie świętości, wzgardzenie wszelkim prawem. Wszystko wam obiecują, niczego nie dotrzymają. Całe królestwo wydane zostało na łup rozpuście żołnierza. Nawet ci, którzy jeszcze ze Szwedem trzymają, krzywd uniknąć nie mogą... Oto kara boża na zdrajców za niedotrzymanie wiary królowi. Zwlekajcie!... Ja, jako mnie tu widzicie, jeśli jeno żyw będę, jeżeli zdołam się Millerowi wykreścić, zaraz na Śląsk do naszego pana ruszam. Tam mu do nóg padnę i powiem: „Miłościwy królu! Ratuj Częstochowę i najwierniejszych sług swoich!” Ale wy się trzymajcie, ojcowie najmilsi, bo na was zbawienie całej Rzeczypospolitej spoczywa.

Tu zadrzał głos panu Śladkowskiemu i łzy pokazały mu się na rzęsach, po czym tak mówił dalej:

– Będziecie mieli jeszcze ciężkie chwile: idą działa burzące z Krakowa, które dwieście piechoty prowadzi... Jedna szczególniej sroga kolubryna... Nastąpią szturmy okrutne... Ale to będą ostatnie wysiłki... Wytrzymajcie to jeszcze, bo już zbawienie idzie ku wam. Na te rany boskie, czerwone, przyjdzie król, hetmani, wojsko, cała Rzeczpospolita... na ratunek swojej Patronce... Ot, co wam powiadam... ratunek, zbawienie, sława... już, już... niedługo!

Tu rozplakał się szlachcic pocziwy i stało się powszechne szlochanie.

Ach! tej znużonej garstce obrońców, tej garstce sług wiernych a pokornych należała się już lepsza wieść i jakowaś pociecha z kraju!

Ksiądz Kordecki powstał ze swojego miejsca, zbliżył się do pana Śladkowskiego i rozłożył szeroko ramiona.

Śladkowski rzucił się w nie i długo obejmowali się wzajem; inni idąc za ich przykładem poczęli padać sobie w ramiona a ścisnąć się i całować, a wieszować sobie, jakoby Szwed już odstąpił. Na koniec ksiądz Kordecki rzekł:

– Do kaplicy, bracia moi, do kaplicy!

I poszedł pierwszy, a za nim inni. Pozapalano wszystkie świece, bo już mroczyło się na dworze, i rozsunięto firanki cudownego obrazu, od którego słodkie a rześiste blaski rozsypały się zaraz naokoło. Ksiądz Kordecki klęknął na stopniach, dalej zakonnicy, szlachta i lud prosty; nadeszły także niewiasty z dziećmi. Wybladłe z umęczenia twarze i zapłakane oczy wznosiły się ku obrazowi; ale spoza łez promienił się już na wszystkich uśmiech szczęścia. Przez chwilę trwało milczenie, na koniec ksiądz Kordecki zaczął:

– „Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko...”

Dalsze słowa uwięzły mu w ustach; umęczenie, dawne cierpienia, tajone niepokoje wraz z radosną nadzieją ratunku wezbrały w nim jak fala ogromna; więc łkanie wstrząsnęło mu piersi i ten mąż, który losy całego kraju dźwigał na swych ramionach, pochylił się jak słabe dziecko, padł na twarz i z płaczem niezmiernym zdołał tylko zawołać:

– O Mario! Mario! Mario!

Płakali z nim razem wszyscy, a obraz z góry siał blaski przejasne...

Późną nocą dopiero rozeszli się zakonnicy i szlachta na mury, ksiądz Kordecki zaś pozostał całą noc leżący krzyżem w kaplicy. Były obawy w klasztorze, ażeby znużenie z nóg go nie zwaliło, lecz on nazajutrz rano pokazał się na basztach, chodził pomiędzy żołnierstwem i załogą wesoły, wypoczęty, i tu, i owdzie powtarzał:

– Dzieci! Jeszcze Najświętsza Panna okaże, iż od burzących kolubryn mocniejsza, a potem będzie koniec waszych trosk i umęczenia!

Tegoż ranka Jacek Brzuchański, mieszczanin częstochowski, przebrawszy się za Szweda, podszedł pod mury, aby potwierdzić wieść o nadsięgnięciu wielkich dział z Krakowa, lecz zarazem o zbliżaniu się chana z ordą. Wrzucił prócz tego list z konwentu krakowskiego, od ojca Antoniego Paszkowskiego, w którym tenże, opisując straszliwe okrucieństwa i łupieże Szwedów, zachęcał i błagał ojców jasnogórskich, aby nie ufali obietnicom nieprzyjaciela i wytrwale bronili świętego miejsca przeciw zuchwalstwu bezbożników.

„Żadnej bowiem nie ma u Szwedów wiary (pisał ksiądz Paszkowski), żadnej religii. Nic boskiego ani ludzkiego nie jest dla nich świętym i nietykalnym; niczego ani przez układy, ani przez publiczne przyrzeczenia zabezpieczonego – dotrzymywać nie zwykli.”

Był to właśnie dzień Niepokalanego Poczęcia. Kilkunastu oficerów i żołnierzy z pomocniczych polskich chorągwi uzyskało natarczywymi prośbami od Millera pozwolenie udania się do twierdzy na nabożeństwo. Może liczył Miller, iż pokumają się z załogą, i przyniósłszy wieść o działach burzących rozniosą trwogę, może nie chciał przez odmowę dorzucić iskry na żywy palne, które i bez tego czyniły stosunki między Polakami a Szwedami coraz niebezpieczniejszymi – dość, że pozwolił.

Owóz z tymi kwarcianymi przybył pewien Tatar, z polskich Tatarów mahometan. Ten wśród powszechnego zdumienia zachęcał zakonników, żeby ludziom plugawym świętego miejsca nie poddawali, utrzymując z pewnością, iż Szwedzi wkrótce z hańbą i upokorzeniem ustąpią. To samo powtarzali kwarciani potwierdzając we wszystkim doniesienia pana Śladkowskiego. Wszystko to razem wzięte podniosło ducha w obleżonych do tego stopnia, że nic się nie obawiali owych olbrzymich kolubryn, a nawet żartowano sobie z nich między żołnierstwem.

Po nabożeństwie rozpoczęły się obustronne strzały. Był pewien żołnierz szwedzki, który częstokroć podchodził pod mury i tubalnym głosem bluźnił przeciw Bogarodzicy. Częstokroć też strzelali doń obleżeni, zawsze bez skutku. Kmicicowi, gdy go raz na cel brał, pękła cięciwa, żołdak zaś rozzuchwalał się coraz więcej i innych jeszcze odwagą swą zachęcał. Mówiono o nim, że ma siedmiu szatanów na usługi, którzy go strzegą i zasłaniają.



W dniu owym znów on przyszedł bluźnić, lecz oblężenci dufając, że jako w dzień Niepokalanego Poczęcia czary mniejszą siłę mieć będą, postanowili koniecznie go ukarać. Strzelano doń dość długo bezskutecznie, na koniec kula armatnia odbita od lodowego wału, podskakując po śniegu na kształt ptaka, uderzyła go w same piersi i rozerwała na dwoje. Ucieszyli się tym obrońcy i chełpiąc się wołali: „Który jeszcze przeciw Niej bluźnić będzie?” – atoli tamci pierzchli w popłochu aż do przykopów.

Szwedzi strzelali do murów i na dachy. Lecz kule ich nie zdołały przestraszyć obrońców.

Stara żebraczka Konstancja, mieszkająca w szczelinie skały, chodziła, jakoby na szyderstwo Szwedom, po całej pochyłości, zbierając w podolek pociski i przegrążając od czasu do czasu kosturem żołnierzom. Ci, mając ją za czarownicę, uczuli strach, aby im złego nie przyczyniła, zwłaszcza gdy spostrzegli, że kule się jej nie imają.

Dwa całe dni zeszło na próżnej strzelaninie. Rzucano na dachy sznury okrętowe, nasyczone smołą, bardzo gęsto, które leciały na kształt węzów ognistych. Lecz straż, urządzona wzorowo, zapobiegała na czas niebezpieczeństwu. Aż przyszła noc tak ciemna, że mimo ognisk, beczek ze smołą i ogniowych dział księdza Lassoty, oblężeni nie mogli nic widzieć.

Tymczasem między Szwedami panował jakiś ruch niezwykajny. Słychać było skrzyp kół, gwar głosów ludzkich, czasem rzenie koni i rozmaite inne hałasy. Żołnierze na murach odgadywali łatwo, co się dzieje.

– Działa nadeszły, nie może inaczej być! – mówili jedni.

– I szance sypią, a tu ćma taka, że palców u własnej ręki nie dojrzysz.

Starszyzna obradowała nad wycieczką, którą pan Czarniecki doradzał, lecz miecznik sieradzki oponował, twierdząc słusznie, że przy tak ważnej robocie musiał się nieprzyjaciel dostatecznie ubezpieczyć i pewnie piechotę trzyma w pogotowiu. Dawano więc tylko ognia w stronę północną i południową, skąd największy gwar dochodził. Skutku w ciemności nie można było rozpoznać.

Na koniec ukazał się dzień i pierwsze jego blaski odkryły robotę szwedzką. Z północy i z południa stanęły szance, nad którymi kilka tysięcy ludzi pracowało. Sterczały one tak wysoko, iż oblężonym zdało się, że szczyty ich leżą na równej linii z murami. Między regularnymi wycieczkami wierzchołków widać było olbrzymie paszcze dział i stojących tuż za nimi żołnierzy, podobnych z dala do roju żółtych ós.

W kościele nie skończyło się jeszcze poranne nabożeństwo, gdy huk niezwykajny wstrząsnął powietrzem, szyby zadrzały, niektóre od samego wstrząśnięcia wypadły z opraw, rozbijając się z przeraźliwym dźwiękiem na kamiennej posadzce, a cały kościół wypełnił się kurzawą powstałą z opadłego tynku.

Olbrzymie kolubryny przemówiły.

Rozpoczął się straszliwy ogień, jakiego jeszcze nie doznali oblężeni. Po skończonym nabożeństwie wypadli wszyscy na mury i dachy. Poprzednie szturmy wydały się tylko niewinną igraszką przy tym straszliwym rozpasaniu się ognia i żelaza.

Mniejsze działa grzmiały do wtóru burzącym. Leciały olbrzymie faskule, granaty, pęki szmat przesyconych smołą, pochodnie, sznury ogniste. Dwudziestosześciofuntowe pociski odrywały blanki murów, uderzały w ściany, jedne grzęzły w nich, drugie wybijały dziury olbrzymie odrywając tynk, glinowanie i cegły. Mury otaczające klasztor poczęły się tu i owdzie rysować i rozszczepiać, a bite ciągle, bite bez przestanku coraz nowymi pociskami groziły ruiną. Budynki klasztorne zasypywano ogniem.

Grający na wieży czuli chwianie się jej. Kościół dygotał od ustawicznych wstrząśnień; w niektórych ołtarzach świece wypadły z lichtarzy.

Woda wylewana w niezmiernych ilościach na wszczynające się pożary, na rozplamienione pochodnie, sznury i kule ogniste utworzyła w połączeniu się z dymem i kurzawą kłęby pary tak gęste, że świata spoza nich nie było widać. Poczęły się szkody w budynkach i na murach. Okrzyk „gore!” rozlegał się coraz częściej wśród huku wystrzałów i świstu kul. Przy północnej

baszcie zgruchotano dwa koła u armaty, jedno działo uszkodzone zamilkło. Jedna kula ognista wpadłszy do stajen zabiła trzy konie i wszczęła pożar. Nie tylko kule, ale złamki granatów padały tak gęsto jak deszcz, na dachy, na baszty i mury.

Po krótkiej chwili ozwały się jęki rannych. Szczególnym trafem poległo trzech młodzieniaszków, Janów. Przeraziło to innych obrońców toż samo imię noszących, lecz w ogóle obrona godna była szturmowi. Wyległy na mury nawet niewiasty, dzieci i starcy. Żołnierze stali na murach, z nieustraszoną sercem w dymie, ogniu, wśród ulewy pocisków, i odpowiadali z zawziętością na ogień nieprzyjacielski. Jedni imali się kół, przetaczając działa w miejsca najbardziej zagrożone, drudzy spychali do wyłomów w murach kamienie, drzewo, belki, nawóz, ziemię.

Niewiasty z rozpuszczonymi włosami, z rozpaloną twarzą dawały przykład odwagi i widziano takie, które goniły z konewkami wody za skaczącymi jeszcze granatami mającymi tuż, tuż wybuchnąć. Zapał rósł z każdą chwilą, jakby ten zapach prochu, dymu, para, huk, fale ognia i żelaza miały własność go podsycać. Wszyscy działali bez komendy, bo słowa ginęły wśród okropnego łoskotu. Tylko suplikacje, śpiewane w kościele, górowały nawet nad głosem armat.

Okolo południa ogień ustał. Wszyscy odetchnęli, lecz wnet przed bramą zawarczał bęben i dobosz przysłany przez Millera, zbliżywszy się do bramy, począł pytać, czyli ojcowie mają dosyć i czy chcą natychmiast się poddać! Odpowiedział sam ksiądz Kordecki, że się do jutra namyśli. Zaledwie odpowiedź doszła do Millera, atak rozpoczął się na nowo i ogień zdwoił się jeszcze.

Od czasu do czasu głębokie szeregi piechoty podsuwały się pod ogniem ku górze, jak gdyby miały ochotę szturmowi próbować, lecz dziesiątkowane z dział i rusznic, wracały za każdym razem szybko i w nieładzie pod własne baterie. I jak fala morska zaleje wybrzeże, a cofając się zostawia na piasku porosty, małże i rozmaite szczątki pokruszone w topieli, tak każda z tych szwedzkich fal odpływając zostawiała po sobie trupy rozrzucone tu i owdzie po pochyłości.

Miller nie kazał strzelać do baszt, ale w długość murów, gdzie opór bywa najslabszy. Jakoż czyniły się gdzieniegdzie znaczne szczyrby w murach, nie dość jednak wielkie, aby piechota rzucić się przez nie do wnętrza mogła.

Nagle zaszedł wypadek, który położył tamę szturmowi.

Było to już pod wieczór; przy jednym z większych dział stał artylerzysta szwedzki z zapalonym lontem, który właśnie miał do działa przykładać, gdy kula klasztorna ugodziła go w same piersi; lecz ponieważ przyszła nie pierwszym impetem, ale z potrójnego odbicia o lody nagromadzone na szańcu, rzuciła tylko człowieka wraz z lontem o kilkanaście kroków. Ten upadł na otwarty jaszcz, w części jeszcze napelniony prochem. Wnet huk straszliwy rozszedł się i masy dymu pokryły szaniec. Gdy opadły, okazało się, że pięciu artylerzystów straciło życie, koła od armaty zostały uszkodzone, resztę zaś żołnierzy strach ogarnął. Na razie trzeba było ogień z tego szańca zawiesić, ponieważ zaś gęsta mgła przesyciła ciemności, więc zawieszono go i na innych.

Nazajutrz była niedziela.

Ministrowie luterscy odprawiali po okopach swe nabożeństwo i działa milczały. Miller znów pytał bezskutecznie ojców: czyli nie mają dosyć? Odpowiedziano, że przeniosą i więcej.

Tymczasem oglądano szkody w klasztorze. Były znaczne. Oprócz ludzi zabitych, spostrzeżono, że i mur tu i owdzie został nadwątlony. Najstraszliwszą okazała się jedna olbrzymia kolumbryna, od południowej strony stojąca. Zbiła ona mur do tego stopnia, naodrywała tyle kamieni, cegieł, że łatwo było przewidzieć, iż jeśli ogień potrwa jeszcze parę dni, znaczna część muru obsunie się i runie.

Wyłomu, jaki by się w takim razie uczynił, nie można by już założyć ani belkami, ani ziemią, ani nawozem. Toteż ksiądz Kordecki spoglądał okiem pełnym troski na owe spustoszenia, którym nie był w stanie zapobiec.

Tymczasem w poniedziałek poczęto znów atak i olbrzymie działo szerzyło dalej wyłom. Spotykały jednak i Szwedów różne klęski. O zmierzchu tego dnia szwedzki puszczał zabił na miejscu siostrzeńca Millera, którego generał kochał jak własnego syna i zamierzał mu wszystko

przekazać począwszy od nazwiska i sławy wojennej, skończywszy na fortunie. Lecz tym bardziej zapaliło się serce starego wojownika nienawiścią.

Mur przy południowej baszcie tak już był popękany, że w nocy poczęto przygotowania do szturm ręcznego. Żeby tym bezpieczniej piechota mogła zbliżyć się do twierdzy, kazał Miller rzucić w ciemności cały szereg małych szańców aż do samej pochyłości. Lecz noc była widna, a biały blask od śniegu zdradzał ruchy nieprzyjaciela. Działa jasnogórskie rozpraszały robotników zajętych ustawianiem tych parapetów, złożonych z faszyny, płotów, koszów i belek.

Na świtaniu spostrzegł pan Czarniecki gotową maszynę oblężniczą, którą już przytaczano ku murom. Lecz oblężeni zgruchotali ją działami bez trudu; nazabijano przy tym tyle ludzi, że dzień ten mógłby zwać się dniem zwycięstwa dla oblężonych, gdyby nie owa kolubryna wążłaca ciągle mur z niepohamowaną siłą.

Następnych dni nastąpiła odwilż i mgły roztoczyły się tak gęste, że księża przypisali je działaniu złych duchów. Już nie można było dostrzec ni machin wojennych, ni przystawianych parapetów, ni prac oblężniczych. Szwedzi zbliżali się pod same mury klasztorne. Wieczorem Czarniecki, gdy przeor obchodził jak zwykle mury, wziął go na bok i rzekł z cicha:

– Źle, ojcze wielebny. Nasz mur dłużej niż dzień nie wytrzyma.

– Może też te same mgły i im strzelać przeszkodzą – odrzekł ksiądz Kordecki – a my tymczasem szkody jakoś naprawimy.

– Im mgły nie przeszkodzą, bo owo działo, raz narychtowane, może prowadzić i po ciemku dzieło zniszczenia, a tu gruz wali się i wali.

– W Bogu nadzieja i w Najświętszej Pannie.

– Tak jest! A żeby tak wycieczkę uczynić?... Choćby ludzi natracić, byle tego smoka piekielnego udało się zagwoździć?

Wtem zaczerniała jakaś postać w tumanie i Babinicz pojawił się koło rozmawiających.

– Patrzą, kto mówi, bo twarzy nie można o trzy kroki rozpoznać – rzekł. – Dobry wieczór, ojciec czcigodny. A o czym mowa?

– Mówimy o tym działu. Pan Czarniecki radzi wycieczkę... Te mgły szatan rozwiesza... – już nakazałem egzorcyzmy...

– Ojciec kochany! – rzekł pan Andrzej. – Od czasu, jak nam trzaska mur ta kolubryna, ciągle o niej myślę, i coś mi przychodzi do głowy... Wycieczka na nic... Ale chodźmy gdzie do izby, to wam moje zamysły wyłuszcę.

– Dobrze – odrzekł przeor – chodźcie do mojej celi.

Wkrótce potem zasiedli przy sosnowym stole w ubogiej celi przeorskiej. Ksiądz Kordecki i pan Piotr Czarniecki pilnie patrzyli w młodą twarz Babinicza; on zaś rzekł:

– Tu wycieczka na nic. Spostrzegą i odbiją. Tu jeden człowiek musi poradzić!

– Jak to? – spytał pan Czarniecki.

– Musi jeden człowiek pójść i to działo prochami rozsadzić. A może to uczynić, póki takie mgły panują. Najlepiej, żeby poszedł w przebraniu. Tu kolety podobne do szwedzkich są. Jak nie będzie można inaczej, to się pomiędzy Szwedów wśliznie, jeśli zaś z tej strony szańca, z której pysk owej kolubryny wygląda, nie ma ludzi, to jeszcze lepiej.

– Dla Boga! cóż ten jeden człowiek uczyni?

– Potrzebuje tylko puszkę z prochem działu w pysk włożyć, z nitką prochową wiszącą i nitkę podpalić. Gdy prochy buchną, działo kaduk... – chciałem powiedzieć: pęknie!

– Ej, chłopcze! co też gadasz? Małoż to prochu co dzień w nie tkają, a nie pęka?

Kmicic rozśmiał się i pocałował księdza w rękaw habita.

– Ojciec kochany, wielkie w was serce, bohaterskie i święte...

– At, daj pokój! – przerwał ksiądz.

– I święte – powtórzył Kmicic – ale się na armatach nie znacie. Inna rzecz, gdy prochy buchają w tyle armaty, bo wtedy wyrzucają kule i impet przodkiem wylatuje; ale gdy kto nimi wylot zatka i zapali, to nie masz takiego działu, które by ten eksperyment wytrzymać mogło. Spy-

tajcie się pana Czarnieckiego. Toż gdy w rusznicy śniegiem się rura zapchnie, już ją przy strzale impet rozsadzi. Taka to siła szelmowska! Cóż dopiero, gdy cała puszką przy wylocie wybuchnie!... Spytajcie pana Czarnieckiego.

– Tak to jest. Nie są to żadne dla żołnierza arkana! – rzekł Czarniecki.

– Owóż, gdyby tę kolubrynę rozsadzić – mówił dalej Kmicic – wszystkie inne furda!

– Widzi mi się to rzecz niepodobna – rzekł na to ksiądz Kordecki – bo naprzód, kto to się podejmie uczynić?

– Okrutny jeden ladaco – odrzekł pan Andrzej – ale rezolutny kawaler, zowie się Babinicz.

– Ty? – zawołali razem ksiądz i pan Piotr Czarniecki.

– Ej, ojcie dobrodzieju! Toż ja u was u spowiedzi byłem i do wszystkich moich praktyk szczerze się przyznałem. Były między nimi nie gorsze od tej, którą zamierzam; jakże to możecie wątpić, czy się podejmę? Zali mnie nie znacie?

– To bohater, to rycerz nad rycerze, jak mi Bóg miły! – zakrzyknął Czarniecki.

I chwyciwszy Kmicica za szyję mówił dalej:

– Dajże gęby za samą ochotę, dajże gęby!

– Pokażcie inne *remedium*, to nie pójdę – rzekł Kmicic – ale widzi mi się, że jakoś tam sobie poradzę. I pamiętajcie o tym, że ja po niemiecku gadam, jakobym klepką i wańczosami w Gdańsku handlował. To siła znaczy, bo byłem przebranie miał, niełatwo odkryją, że nie z ich obozu. Ale tak myślę, że tam nikt przed wylotem armaty nie stoi, bo niezdrowo, i że robotę zrobię, nim się obejrzą.

– Panie Czarniecki, co o tym waszmość sądzisz? – spytał nagle przeor.

– Na stu jeden chyba powróci z takiej imprezy – odrzekł pan Piotr – ale *audaces fortuna juvat!*

– Bywało się w gorszych opałach – rzekł Kmicic – nic mi nie będzie, bo takie moje szczęście! Ej, ojcie kochany, i co za różnica! Dawniej człek dla pokazania się, dla próżnej sławy lał hazard, a teraz na cześć Najświętszej Panny. Choćby też i przyszło nałożyć głowę, co mi się nie widzi, powiedzcie sami: możnali komu chwalebniejszej śmierci życzyć, jak owo za taką sprawę?...

Ksiądz długo milczał, na koniec rzekł:

– Perswazją, prośbami, błaganiem bym cię wstrzymywał, gdybyś sobie jeno do sławy słać drogę pragnął, ale masz słuszość, że tu chodzi o cześć Najświętszej Panny, o ten święty przybytek, o kraj cały! A ty, mój synu, czyli szczęśliwie wrócisz, czyli palmę osiągniesz, sławę, szczęście najwyższe, zbawienie osiągniesz. Przeciw sercu powiadam ci więc! idź, ja cię nie wstrzymuję!... Modlitwy nasze, opieka boska pójdą z tobą...

– W takiej kompanii pójdę śmieie i rad zginę!

– A wracaj, żołnierzyku boży, a wracaj szczęśliwie, bośmy cię tu pokochali szczerze. Niechże cię Rafał święty prowadzi i odprowadzi, moje dziecko, mój synaczku kochany!...

– To ja zaraz przygotowania poczynię – rzekł wesoło pan Andrzej ściskając księdza – przebiorę się po szwedzku w kolet i koliste buty, prochy naładuję, a wy tymczasem, ojcie, egzorcyzmy jeszcze na tę noc wstrzymajcie, bo mgła potrzebna Szwedom, ale potrzebna i mnie.

– A nie cheszli wypowiadać się przed drogą?

– Jakżeby inaczej! Bez tego bym nie poszedł, bo diabeł by miał przystęp do mnie.

– To od tego zacznij.

Pan Piotr wyszedł z celi, a Kmicic klęknął przy księdzu i oczyścił się z grzechów. Potem zaś, wesoły jak ptak, poszedł czynić przygotowania.

W godzinę, dwie później, wśród głębokiej już nocy, zapukał znowu do celi księdza przeora, gdzie pan Czarniecki czekał także na niego.

Obaj z księdzem ledwie go poznali, taki z niego był Szwed wyśmienity. Wąsy podkreślił pod oczy i rozczapierzył na końcach, nałożył kapelusz na bakier i wyglądał zupełnie na jakiegoś rajtarskiego oficera znakomitego rodu.

- Dalibóg, aż człek mimo woli za szablę ima na jego widok! – rzekł pan Piotr.
- Świecę z daleka! – zawołał Kmicic – coś wam pokażę!...

I gdy ksiądz Kordecki skwapliwie usunął świecę, pan Andrzej położył na stole kiskkę długą na półtorej stopy, a grubą jak ramię tęgiego męża, uszytą ze smolistego płótna i wyładowaną do twarda prochem. Z jednego jej końca zwieszał się długi sznurek ukrecony z kłaków przesyconych siarką.

– No! – rzekł – jak onej kolubrynie tę dryjakiew w gębę włożę i sznureczek podpale, to jej się brzuch rozpęknie!

- Lucyper by się rozpękł! – zakrzyknął pan Czarniecki.

Lecz wspomniawszy, że nieczystego imienia lepiej nie wymawiać, i uderzył się w gębę.

- A czymże sznureczek zapalisz? – spytał ksiądz Kordecki.

– W tym jest całe *periculum* wyprawy, bo muszę ogień krzesać. Mam krzemień grzeciwy, hubkę suchą i krzesiwo z przedniej stali, ale hałas się uczyni i mogą coś pomiarkować. Sznurka, mam nadzieję, że już nie ugaszą, bo będzie wisiał armacie u brody i ciężko go nawet będzie dostrzec, zwłaszcza że się będzie tlił chciwie, ale za mną mogą się w pogoń puścić, a ja prosto do klasztoru nie mogę uciekać.

- Czemu nie możesz? – pytał ksiądz.

– Bo wybuch by mnie zabił. Jak tylko skrę na sznurku zobaczę, muszę zaraz w bok pyżgać, co siły w nogach, i ubiegłszy z pół sta kroków, pod szańcem na ziemi przypaść. Dopiero po wybuchu będę rwał ku klasztorowi.

- Boże, Boże, ileż to niebezpieczeństw! – rzekł przeor wznosząc oczy ku niebu.

– Ojcie kochany, tak jestem pewien, że do was wrócę, że się mnie nawet rzewliwość nie ima, która w podobnej okazji powinna mnie ułapić. Ale nic to! Bądźcie zdrowi i módlcie się, żeby mi Pan Bóg pofortunił. Odprowadźcie mnie jeno do bramy!

- Jakże to? Zaraz chcesz iść? – pytał pan Czarniecki.

- Mamże czekać, aż rozednieje albo aż mgła opadnie? Czy to mi głowa niemila?

Lecz nie poszedł tej nocy pan Kmicic, bo właśnie kiedy doszli do bramy, jak na złość ciemność poczęła się rozjaśniać. Słysząc było przy tym jakiś ruch przy olbrzymim dziale.

Nazajutrz z rana przekonali się oblężenci, że przetoczono je w inne miejsce.

Odebrali podobno Szwedzi jakoweś doniesienie o wielkiej słabości muru nieco opodał, na zawrocie, koło południowej baszty, i tam postanowili skierować pociski. Może i ksiądz Kordecki nie był obcy tej sprawie, gdyż poprzedniego dnia widziano starą Kostuchę wychodzącą z klasztoru, używano zaś jej głównie, gdy chodziło o rozsiewanie między Szwedami fałszywych doniesień. Bądź co bądź, był to z ich strony błąd, bo oblężenci mogli tymczasem naprawić w dawnym miejscu mur, silnie już nadwątlony, a czynienie nowego wyłomu musiało znów zabrać kilka dni.

Noce ciągle były jasne, dni zgiełkliwe. Strzelano ze straszliwą usilnością. Duch zwątpienia znów zaczął przelatywać nad oblężonymi. Byli tacy między szlachtą, którzy po prostu chcieli się poddać; niektórzy zakonnicy stracili także serce. Opozycja nabierała siły i powagi. Ksiądz Kordecki stawiał jej czoło z niepokonaną energią, ale zdrowie jego poczęło szwankować. Tymczasem Szwedom nadchodziły nowe posiłki i transporta z Krakowa, mianowicie straszliwe palne pociski kształtu rur żelaznych napełnionych prochem i ołowiem. Te więcej jeszcze strachu niż szkód przyczyniły oblężonym.

Kmicic, od czasu jak powziął zamiar wysadzenia prochem kolubryny, przykrzył sobie w forty. Co dzień też z utęsknieniem spoglądał na swoją kiskkę. Po namyśle uczynił ją jeszcze większą, tak że miała blisko łokieć długości, a gruba była jak cholewa.

Wieczorem z murów rzucał chciwe spojrzenia w stronę dział, potem niebo rozpatrywał jak astrolog. Ale księżyc jasny, rozświecający śnieg, udaremniał ciągle jego przedsięwzięcie.

Aż nagle przyszła odwilż, chmury zawały widnokrąg i noc uczyniła się ciemna, choć oko wykol. Pan Andrzej wpadł w taki humor, jakby go kto na sułtańskiego dzianeta wsadził, i ledwie

północ uderzyła, znalazł się przy panu Czarnieckim w swoim rajtarskim stroju i z kieszką pod pachą.

– Idę! – rzekł.

– Czekaj, dam znać przeorowi.

– A dobrze. No, panie Pietrze, daj gęby i ruszaj po księdza Kordeckiego!

Czarniecki pocałował go serdecznie i zawrócił. Ledwie uszedł ze trzydzieści kroków, zabielał przed nim ksiądz Kordecki. Domyślał się sam, że Kmicic wyruszy, i szedł go pożegnać.

– Babinicz gotów. Czekaj tylko na waszą wielebność.

– Spieszę, spieszę! – odpowiedział ksiądz. – Matko Boska, ratujże go i wspomagaj!

Po chwili stanęli obaj przy przechodzie, gdzie pan Czarniecki zostawił Kmicica, lecz pana Andrzeja nie było już ani śladu.

– Poszedł!... – rzekł ze zdumieniem ksiądz Kordecki.

– Poszedł! – odrzekł pan Czarniecki.

– A zdrajca!... – mówił z rozrzewnieniem przeor – chciałem mu jeszcze ten szkaplerzyk na szyję włożyć...

Umilkli obaj; milczenie było dokoła, bo dla zbyt ciemnej nocy nie strzelano z obu stron. Nagle pan Czarniecki szepnął żywo:

– Jak mi Bóg miły, tak nawet nie stara się iść cicho. Słyszysz wasza wielebność kroki? Śnieg chrzęści!

– Najświętsza Panno! osłaniajże sługę swego! – powtórzył przeor.

Czas jakiś słuchali obaj pilno, dopóki różne kroki i chrzęst śniegu nie ucichły.

– Wie wasza wielebność co? – poszepnął Czarniecki – chwilami myślę, że mu się uda, i nie się o niego nie boję. To bestia, poszedł tak, jakby szedł pod wiechę gorzałki się napić... Co za fantazja w tym człeku! Albo on nałoży wcześniej głowę, albo hetmanem zostanie. Hm, żebym go nie znał sługą Marii, myślałbym, że ma... Dajże mu Boże szczęście, daj mu Boże, bo takiego drugiego kawalera nie masz w Rzeczypospolitej...

– Tak ciemno, tak ciemno! – rzekł ksiądz Kordecki – a oni się od czasu waszej nocnej wycieczki strzegą. Może na cały szereg wpaść, ani się obejrzy...

– Tego nie myślę; piechota stoi, to wiem, i pilnują się bardzo, ale przecie stoją na szańcu, nie przed szańcem, nie przed wylotami własnych armat. Jeśli kroków nie usłyszą, to może się łąco pod szaniec podsunąć, a potem go sama wyniosłość osłoni... Uf!

Tu sapnął i urwał pan Czarniecki, bo z oczekiwania i trwogi serce poczęło mu bić jak młotem, a w piersiach tchu mu nie stało.

Ksiądz począł żegnać ciemności.

Nagle trzecia osoba stanęła przy dwóch rozmawiających. Był to pan miecznik sieradzki.

– A co tam? – spytał.

– Babinicz poszedł na ochotnika prochami kolubrynę rozsadać.

– Jak to? Co?

– Wziął kieszkę z prochem, sznur, krzesiwo... i poszedł. – Pan Zamoyski ścisnął sobie głowę dłońmi.

– Jezus Maria! Jezus Maria! – rzekł. – Sam jeden?

– Sam jeden.

– Kto jemu pozwolił? Toż to jest niepodobieństwo!...

– Ja! Dla mocy bożej wszystko jest podobne, nawet i powrót jego szczęśliwy! – odpowiedział ksiądz Kordecki.

Zamoyski umilkł. Czarniecki począł parskać ze wzruszenia.

– Módlmy się! – rzekł ksiądz.

Kłękli we trzech i zaczęli się modlić. Ale niepokój podnosił włosy na głowie dwom rycerzom. Upłynął kwadrans, potem pół godziny, potem godzina, długa jak wieki.

– Już chyba nic nie będzie! – rzekł pan Piotr Czarniecki.

I odetchnął głęboko.

Nagle w dalekości buchnął olbrzymi słup ognia i huk, jakby wszystkie gromy nieba zwały się na ziemię, wstrząsnął murami, kościołem i klasztorem.

– Wysadził! wysadził! – zaczął krzyczeć pan Czarniecki.

Nowe eksplozje przerwały mu dalsze słowa.

A ksiądz rzucił się na kolana i wzniosłszy ręce do góry wołał ku niebu:

– Matko Najświętsza! Opiekunko, Patronko, wróć go szczęśliwie!

Gwar uczynił się na murach. Załoga nie wiedząc, co się stało, chwyciła za broń. Z cel poczęli wypadać zakonnicy. Nikt już nie spał. Nawet niewiasty zerwały się ze snu. Pytania i odpowiedzi zaczęły się krzyżować jak błyskawice.

– Co się stało?

– Szturm!

– Działo szwedzkie pękło! – wołał jeden z puszkarzy.

– Cud! Cud!

– Działo największe pękło! Ta kolubryna!

– Gdzie ksiądz Kordecki?

– Na murach! Modli się! On to sprawił!

– Babinicz działo wysadził! – wołał pan Czarniecki.

– Babinicz! Babinicz! Chwała Pannie Najświętszej! Już nam nie będą szkodzili!

Jednocześnie odgłosy zamieszania poczęły dolatywać i ze szwedzkiego obozu. Na wszystkich szanćach zabłyśły ognie.

Słysząc było coraz większy rejwach. Przy świetle ognisk widziano masy żołnierzy poruszających się bezładnie w rozmaite strony; zagrały trąbki, bębny warczały ciągle; do murów dolatywały krzyki, w których brzmiała trwoga i przerażenie.

Ksiądz Kordecki klęczał ciągle na murze.

Na koniec noc poczęła blednąć, lecz Babinicz nie wracał do twierdzy.

## ROZDZIAŁ XVIII

Co tedy działo się z panem Andrzejem i jakim sposobem zdołał przywieść swój zamiar do skutku?

Wyszedłszy z twierdzy postępował czas jakiś krokiem pewnym i ostrożnym. Przy samym końcu pochyłości przystanął i słuchał. Cicho było naokół, za cicho nawet, tak że kroki jego chrzęściły wyraźnie po śniegu. W miarę też jak oddalał się od murów, postępował coraz przeźorniej. I znowu stanął, i znowu słuchał. Bał się trochę pośliznąć i upaść, a to aby swej drogocennej kieszki nie zamoczyć, więc wy dobył rapier i wspierał się na jego ostrzu. Pomogło to wielce.

Tak macając przed sobą drogę, po upływie pół godziny usłyszał lekki szmer wprost przed sobą.

„Ha! czuwają... Wycieczka nauczyła ich ostrożności!” – pomyślał.

I szedł dalej bardzo już wolno. Cieszyło go to, że nie zbłądził, bo ciemność była taka, że końca rapieru nie mógł dojrzeć.

– Tamte szańce są znacznie dalej... więc idę dobrze! – szepnął sobie.

Spodziewał się też nie zastać przed szansem ludzi, bo właściwie mówiąc nie mieli tam nic do roboty, zwłaszcza po nocy. Mogło tylko być, że na jakieś sto lub mniej kroków stały pojedyncze strażę, ale miał nadzieję łatwo je przy takiej ciemności wyminąć.

W duszy było mu wesoło.

Kmicic nie tylko był człowiek odważny, lecz i zuchwały. Myśl rozsadzenia olbrzymiej kolumbryny radowała do głębi jego duszę, nie tylko jako bohaterstwo, nie tylko jako niepożyta dla obleżonych przysługa, ale jako okrutna psota wyrządzona Szwedom. Wyobrażał sobie: jak się przeraża, jak Miller będzie zębami zgrzytał, jak będzie poglądał w niemocy na owe mury, i chwilami śmiech pusty go brał.

I jak sam poprzednio mówił: nie doznawał żadnej rzewliwości ni strachów, niepokojów, ani mu do głowy nie przychodziło na jak straszne sam naraża się niebezpieczeństwo. Szedł tak, jak idzie żak do cudzego ogrodu szkodę w jabłkach czynić. Przypomniały mu się dawne czasy, kiedy to Chowańskiego podchodził i nocami wkładał się do trzydziestotysięcznego obozu w dwieście takich jak sam zabijaków.

Kompanionowie stanęli mu na myśli: Kokosiński, olbrzymi Kulwiec-Hippocentaurus, cętkowaty Ranicki z senatorskiego rodu i inni; więc westchnął na chwilę za nimi.

„Zdaliby się teraz szelmy! – pomyślał – można by jednej nocy ze sześć armat rozsadzić.”

Tu trochę ścisnęło go uczucie samotności, lecz na krótko. Wnet pamięć przywiodła mu przed oczy Oleńkę. Miłość ozwała się w nim z niezmierną siłą... Rozczulił się. Żeby choć ta dziewczyna mogła go widzieć, dopiero by uradowało się w niej serce. Myśli ona może jeszcze, że on Szwedom służy... A pięknie służy! zaraz im się przysłuży! Co to będzie, jak ona się dowie o tych wszystkich jego hazardach?... Co ona sobie pomyśli? Pomyśli pewnie: „Wicher on jest, ale jak przyjdzie do rzeczy, czego inny nie uczyni, to on uczyni; gdzie inny nie pójdzie, on pójdzie!... Taki to ten Kmicic.”

– Jeszcze ja nie tyle dokażę! – rzekł sobie pan Andrzej i chętność ośwładnęła go zupełnie.

Jednakże mimo tych myśli nie zapomniał, gdzie jest, dokąd idzie, co zamierza czynić, i począł iść jak wilk na nocne pastwisko. Obejrzał się za siebie raz i drugi. Ni kościoła, ni klasztoru. Wszystko pokryła gruba, nieprzenikniona pomroka. Miarkował jednak po czasie, że musiał już dojść daleko i że szaniec może być tuż, tuż.

„Ciekawym, czy strażę są?” – pomyślał.

Lecz nie zdołał ująć jeszcze dwóch kroków od chwili, w której sobie zadał to pytanie, gdy nagle przed nim rozległ się tupot miarowych kroków i kilka naraz głosów spytało w różnych odległościach:



– Kto idzie?

Pan Andrzej stanął jak wryty. Uczyniło mu się nieco ciepło.

– Swój – odezwały się inne głosy.

– Hasło?

– Upsala!

– Odzew?

– Korona!...

Kmicic zmiarkował w tej chwili, że to straż się zmieniają.

– Dam ja wam Upsalę i koronę! – mruknął.

I uradował się. Była to istotnie dla niego okoliczność nader pomyślna, bo mógł linie straży przejść właśnie w chwili zmiany wart, gdy stapania żołnierzy głużyły jego własny krok.

Jakoż tak uczynił bez najmniejszej trudności i szedł za wracającymi żołnierzami dość śmiało, aż do samego szańca. Tam oni wykręcili, by go obejść, on zaś posunął się szybko ku fosie i ukrył się w niej.

Tymczasem rozwidniło się cokolwiek. Pan Andrzej i za to podziękował niebu, inaczej bowiem nie mógłby po omacku znaleźć upragnionej kolubryny. Teraz, zadzierając z rowu głowę do góry i wyteżając wzrok, ujrzał nad sobą czarną linię oznaczającą brzeg szańca i równie czarne zarysy koszów, między którymi stały działa.

Mógł nawet dojrzeć ich paszcze wysunięte nieco nad rowem. Posuwając się z wolna wzdłuż rowu, odkrył nareszcie swoją kolubrynę. Wówczas stanął i począł nasłuchiwać.

Z szańca dochodził szmer. Widocznie piechota stała wedle dział w gotowości. Ale sama wyniosłość szańca zakrywała Kmicica; mogli go usłyszeć, nie mogli zobaczyć. Teraz chodziło mu tylko o to, czy z dołu potrafi dostać się do otworu armaty, która wznosiła się wysoko nad jego głową.

Na szczęście, boki rowu nie były zbyt spadziste, a oprócz tego nasyp świeżo uczyniony, lubo polewany wodą, nie zdołał zamarznąć, gdyż od niejakiego czasu panowała odwilż.

Wymiarkowawszy to wszystko Kmicic począł drażyć cicho dziury w pochyłości szańca i piąć się z wolna ku armacie.

Po kwadransie pracy zdołał ręką chwycić się za otwór armaty. Przez chwilę zawisnął w powietrzu, lecz niepospolita jego siła pozwoliła mu utrzymać się tak, dopóki nie zasunął kieszki w paszczę armaty.

– Naści, piesku, kielbasy! – mruknął – tylko się nią nie udław.

To rzekłszy spuścił się na dół i począł szukać sznurka, który przyczepiony do zewnętrznego końca kieszki, zwieszał się w rów.

Po chwili zmacał go ręką. Lecz teraz przychodziła największa trudność, bo należało skrzesać ognia i sznurek zapalić.

Kmicic zatrzymał się przez chwilę, czekając, aż szmer nieco większy uczyni się między żołnierzami na szańcu.

Na koniec począł uderzać z lekka krzesiwkiem w krzemień.

Lecz w tej chwili nad głową jego rozległo się w niemieckim języku pytanie:

– A kto tam w rowie?

– To ja, Hans! – odrzekł bez wahania Kmicic – stempel mi diabli do rowu wzięli, więc krzesz ogień, by go znaleźć.

– Dobrze, dobrze – odrzekł puszkarz. – Szczęście, że się nie strzela, bo samo powietrze łeb by ci urwało.

„Aha! – pomyślał Kmicic – więc kolubrynka, prócz mego naboju, ma jeszcze swój własny. Tym lepiej.”

W tej chwili wysiarkowany sznurek zajął się i delikatne iskierki zaczęły biec ku górze po jego suchej powierzchni.

Czas był zmykać. Kmicic więc puścił się, nie tracąc minuty, wzdłuż rowu, co sił w nogach, nie bardzo już zważając na hałas, jaki czynił. Lecz gdy ubiegł jakieś dwadzieścia kroków, ciekawość przemogła w nim poczucie straszliwego niebezpieczeństwa.

„Nuż sznurek zgasł, wilgoć jest w powietrzu!” – pomyślał.

I zatrzymał się. Rzuciwszy za siebie spojrzenie ujrzał jeszcze iskierkę, ale już nierównie wyżej, niż ją zostawił.

„Ej, czy ja nie za blisko?” – rzekł sobie i strach go zdjął.

Puścił się znowu całym pędem; nagle trafił na kamień – upadł. Wtem huk straszliwy rozdarł powietrze; ziemia zakolebała się, rozrzucone szczątki drzewa i żelaza, kamienie, bryły lodu, ziemi zaświstały mu koło uszu i tu skończyły się jego wrażenia.

Potem rozległy się nowe, kolejne wybuchy. To jaszczce z prochem, stojące w pobliżu kolubryny, eksplodowały od pierwszego wstrząśnienia.

Lecz pan Kmicic już tego nie słyszał, leżał bowiem jak martwy w rowie.

Nie słyszał również, jak po chwili głuchoj ciszy rozległy się jęki ludzkie, krzyki i wołania na pomoc; jak na miejsce wypadku zbiegła się blisko połowa wojsk szwedzkich i sprzymierzonych, jak następnie przyjechał sam Miller w towarzystwie całego sztabu.

Harmider i zamieszanie trwały długo, zanim z chaosu zeznań wy dobył generał szwedzki prawdę, że kolubryna została umyślnie przez kogoś rozsadzona. Nakazano natychmiast poszukiwania. Jakoż nad ranem szukający żołnierze odkryli leżącego w rowie Kmicica.

Pokazało się, że był tylko ogłuszony i od wstrząśnienia stracił początkowo władzę w rękach i nogach. Cały dzień następny trwała ta niemoc. Leczone go najstaranniej. Wieczorem odzyskał prawie zupełnie siły.

Miller kazał go natychmiast stawić przed sobą.

Sam zajął miejsce środkowe za stołem w swej kwaterze, obok niego zasiedli książę Heski, Wrzeszczowicz, Sadowski, wszyscy znamienitsi oficerowie szwedzcy, a z polskich Zbrożek, Kaliński i Kuklinowski.

Ten ostatni na widok Kmicica posiniał i oczy zaświeciły mu się jak dwa węgle, a wąsy porzęły drgać. Więc nie czekając na pytania generała rzekł:

– Ja tego ptaka znam... To z załogi częstochowskiej. Zwie się Babinicz!

Kmicic milczał.

Bładość i znużenie widne były na jego obliczu, ale wzrok miał hardy, twarz spokojną.

– Ty rozsadziłeś kolubrynę? – spytał Miller.

– Ja – odrzekł Kmicic.

– Jakim sposobem to uczyniłeś?

Kmicic opowiedział pokrótce, nic nie zataił. Oficerowie spoglądali po sobie ze zdumieniem.

– Bohater!... – szepnął Sadowskiemu książę Heski.

A Sadowski pochylił się do Wrzeszczowicza:

– Hrabio Weyhard – spytał – jakże? zdobędziemy tę fortecę przy takich obrońcach?... Co waćpan myślisz? poddadzą się?

Lecz Kmicic rzekł:

– Więcej jest nas w fortecy do takich uczynków gotowych. Nie wiecie dnia i godziny!

– Mam też więcej niż jeden stryżek w obozie! – odparł Miller.

– To i my wiemy. Ale Jasnej Góry nie zdobędziecie, dopóki tam jeden człowiek przy życiu!

Nastąpiła chwila milczenia. Następnie Miller indagował dalej:

– Zowiesz się Babinicz?

Pan Andrzej pomyślał, że po tym, co uczynił, i wobec bliskiej śmierci, nastał czas, w którym nie ma potrzeby dłużej ukrywać swego właściwego nazwiska. Niechże ludzie zapomną o winach i występkach z nim połączonych, niech opromieni je sława i poświęcenie.

– Nie nazywam się Babinicz – odrzekł z pewną dumą – nazywam się Andrzej Kmicic, byłem zaś pułkownikiem swojej własnej chorągwi w litewskim kompucie.

Ledwie usłyszał to Kuklinowski, zerwał się jak opętany, oczy wytrzeszczył, usta otworzył, rękami jął bić się po bokach, na koniec zakrzyknął:

– Jenerale, proszę na słowo! jenerale, proszę na słowo! bez zwłoki, bez zwłoki!

Szmer się stał jednocześnie między polskimi oficerami, którego Szwedzi słuchali ze zdziwieniem, bo dla nich nic nie mówiło nazwisko Kmicica. Lecz zaraz pomiarkowali, że to nie lada musi być żołnierz, gdy Zbrożek powstał i zbliżywszy się do więźnia rzekł:

– Mości pułkowniku! W opresji, w jakiej się znajdujesz, nic pomóc ci nie mogę, ale proszę, podaj mi rękę!...

Lecz Kmicic podniósł głowę do góry i nozdrzami parskać począł.

– Nie podaję ręki zdrajcom, którzy przeciw ojczyźnie służą! – odrzekł.

Zbrożka twarz oblała się krwią.

Kaliński, który stał tuż za nim, cofnął się także; szwedzcy oficerowie otoczyli ich zaraz, wy pytując, co by to za jeden był ów Kmicic, którego nazwisko takie uczyniło wrażenie.

Tymczasem w sąsiedniej izbie Kuklinowski przyparł Millera do okna i mówił:

– Wasza dostojność! dla waszej dostojności nic to nazwisko: Kmicic! a to jest pierwszy żołnierz i pierwszy pułkownik w całej Rzeczypospolitej. Wszyscy o nim wiedzą, wszyscy to imię znają! Radziwiłłowi niegdyś służył i Szwedom, teraz widać przeszedł do Jana Kazimierza. Nie masz mu równego między żołnierzami, chyba ja. Toż on tylko mógł to uczynić, żeby pójść samemu i owo działo rozsadzić. Z tego jednego uczynku można by go poznać. On to Chowańskiego podchodził tak, że aż nagrodę na jego głowę wyznaczono. On w dwieście czy trzysta ludzi całą wojnę trzymał po szkłowskiej kłęsce na sobie, póki się inni nie opatrzili i śladem jego nie zaczęli urywać nieprzyjaciół. To najniebezpieczniejszy człowiek w całym kraju.

– Czego mi waść śpiewasz jego pochwały? – przerwał Miller. – Że niebezpieczny, przekonałem się z własną niepowetowaną szkodą.

– Co wasza dostojność zamierzasz z nim uczynić?

– Kazałbym go powiesić, alem sam żołnierz i odwagę a fantazję cenić umiem... Przy tym to szlachcic wysokiego rodu... Każę go rozstrzelać dziś jeszcze.

– Wasza dostojność... Nie mnie uczyć najznamienitszego żołnierza i statystę nowych czasów, ale pozwolę sobie powiedzieć, że to człowiek zbyt sławny. Jeśli wasza dostojność to uczynisz, chorągwie Zbrożka i Kalińskiego pójdą sobie, co najmniej, precz tego samego dnia i przejdą do Jana Kazimierza.

– Jeśli tak, to każę je w pień wyciąć przed odejściem! – zakrzyknął Miller.

– Wasza dostojność, odpowiedzialność okrutna, bo gdy się to rozgłosi, a wycięcia dwóch chorągwi trudno ukryć, całe wojsko polskie odstąpi Karola Gustawa. Waszej dostojności wiadomo, że oni się i tak w wierności chwieją... Hetmani sami niepewni. Pan Koniecpolski z sześciu tysiącami najlepszej jazdy jest przy boku naszego pana... To nie żarty... Boże uchwaj, gdyby i ci się przeciw nam zwrócili, przeciw osobie jego królewskiej mości!... A oprócz tego ta twierdza się broni, prócz tego wyciąć chorągwie Zbrożka i Kalińskiego niełatwo, bo jest tu i Wolf z piechotą. Mogliby się porozumieć z załogą twierdzy...

– Do stu rogatyh diabłów! – przerwał Miller – czego ty chcesz, Kuklinowski, czy żebym temu Kmicicowi życie darował? To nie może być!

– Ja chcę – odrzekł Kuklinowski – żebyś wasza dostojność mnie go darował.

– A ty co z nim uczynisz?

– A ja... go ze skórki żywcem obłupię...

– Nie wiedziałeś nawet jego właściwego nazwiska, więc go nie znałeś. Co masz przeciw niemu?

– Poznałem go dopiero w Częstochowie, gdym powtórnie od waszej dostojności do mnichów posłował.

– Maszli jakie powody do zemsty?

– Wasza dostojność! Chciałem go prywatnie do naszego obozu namówić... On zaś, korzystając z tego, że moje poselstwo odłożył na stronę, znieważył mnie, Kuklinowskiego, tak jak nikt w życiu mnie nie znieważył.

– Co ci uczynił?

Kuklinowski zatrzęsł się i zębami zazgrzytał.

– Lepiej o tym nie mówić... Daj mi go wasza dostojność... On śmierci przeznaczon i tak, a ja chciałbym się przedtem trochę z nim pobawić... Och! tym bardziej że to jest Kmicic, którego poprzednio wenerowałem, a który tak mi się odpłacił... Daj mi go wasza dostojność! Będzie i dla waszej dostojności lepiej, bo gdy ja go zgładzę, wówczas Zbrozek i Kaliński, a z nimi wszystko polskie rycerstwo nie obruszy się na waszą dostojność, tylko na mnie, a ja sobie radeczki dam... Nie będzie gniewów, dąsów, buntów... Będzie moja prywatna spraweczka o Kmicicową skórkę, z której bęben każę uczynić...

Miller zamyślił się; nagle podejrzenie błysło mu w twarzy.

– Kuklinowski! – rzekł – może ty chcesz go ocalić?

Kuklinowski rozśmiał się cicho, ale był to śmiech tak straszny i szczery, że Miller przestał wątpić.

– Może i słusznie radzisz! – rzekł.

– Za wszystkie moje zasługi o tę jedną prośbę nagrodę!

– Więc go bierz!

Po czym weszli obaj do izby, w której była zgromadzona reszta oficerów. Miller zwrócił się do nich i rzekł:

– Za zasługi pana Kuklinowskiego oddaję mu jeńca do dowolnego rozporządzenia.

Nastąpiła chwila milczenia; po czym pan Zbrozek wziął się w boki i spytał go z pewnym akcentem pogardy:

– A co pan Kuklinowski zamierza z jeńcem uczynić?

Kuklinowski, zwykle pochylony, rozprostował się nagle, usta jego rozszerzyły się złowrogim uśmiechem, a źrenice oczu poczęły drgać.

– Komu się nie podoba to, co z jeńcem uczynię – rzekł – ten wie, gdzie mnie szukać.

I trzasnęła z cicha szablą.

– Parol, panie Kuklinowski! – rzekł Zbrozek.

– Parol, parol!

To rzekłszy zbliżył się do Kmicica.

– Chodź, robaczku, ze mną, chodź, przesławny żołnierzyku... Słabyś trochę, potrzeba ci pielęgniarki... Ja cię popielegnuję!

– Rakarz! – odrzekł Kmicic.

– Dobrze, dobrze! harda duszyczko... Tymczasem chodź.

Oficerowie zostali w izbie, Kuklinowski zaś siadł na koń przed kwaterą. Mając ze sobą trzech żołnierzy, kazał jednemu z nich wzięść Kmicica na arkan i wszyscy razem udali się ku Lgocie, gdzie stał pułk Kuklinowskiego.

Kmicic przez drogę modlił się żarliwie. Widział, że śmierć nadchodzi, i polecał się Bogu z całej duszy. Tak zaś zatopił się w modlitwie i w swym przeznaczeniu, że nie słyszał, co do niego mówił Kuklinowski; nie wiedział nawet, jak długo droga trwała.

Zatrzymali się na koniec w pustej, na wpół rozwalonej stodółce, stojącej nieco opodal od kwatery pułku Kuklinowskiego, w szczerym polu. Pułkownik kazał wprowadzić do niej Kmicica, sam zaś zwrócił się do jednego z żołnierzy.

– Ruszaj mi do obozu – rzekł – po sznury i płonąca maźnicę ze smołą.

Żołnierz skoczył co tchu w koniu i po kwadransie z tą samą chyżością powrócił nazad z drugim jeszcze towarzyszem. Obaj przywieźli żądane przedmioty.

– Rozebrać tego gaszka do naga – rzekł Kuklinowski – związać mu linką z tyłu ręce i nogi, a potem podciągnąć go na belkę!

- Rakarz! – powtórzył Kmicic.
- Dobrze, dobrze! pogadamy jeszcze, mamy czas...

Tymczasem jeden z żołnierzy wlaź na belkę, a inni zwłóczyli szaty z Kmicica. Gdy to uczyniono, trzech oprawcy położyli go twarzą do ziemi, związali mu ręce i nogi długą liną, następnie, okręciwszy go jeszcze nią w pół ciała, rzucili drugi jej koniec żołnierzowi siedzącemu na belce.

- Teraz podnieść go w górę, a tamten niech zakręci linę i zawiąże! – rzekł Kuklinowski.

W minutę rozkaz był spełniony.

- Puścić! – rozległ się głos pułkownika.

Lina skrzypnęła, pan Andrzej zawisnął poziomo kilka łokci nad klepiskiem. Wówczas Kuklinowski umoczył kwacz w płonącej maźnicy, podszedł ku niemu i rzekł:

– A co, panie Kmicic?... Mówiłem, że dwóch jest pułkowników w Rzeczypospolitej, dwóch tylko: ja i ty! A tyś się właśnie do kompanijki z Kuklinowskim nie chciał przyznać i kopnąłeś go?... Dobrze, robaczku, miałeś słuszość! Nie dla ciebie kompanijka Kuklinowskiego, bo Kuklinowski lepszy. Ejże, sławny pułkowniczek pan Kmicic, a Kuklinowski ma go w ręku i Kuklinowski mu boczków przypiecze...

- Rakarz! – powtórzył po raz trzeci Kmicic.
- Ot, tak... boczków przypiecze! – dokończył Kuklinowski.

I dotknął płonącym kwaczem Kmicicowego boku, po czym rzekł:

- Nie za wiele od razu, z lekka, mamy czas...

Wtem tętent kilku koni rozległ się przy wierzejach stodołki.

- Kogo tam diabli niosą? – spytał pułkownik.

Wierzeje skrzypnęły i wszedł żołnierz.

- Mości pułkowniku – rzekł – jenerał Miller życzy sobie natychmiast widzieć waszą miłość!

- A to ty, stary! – odrzekł Kuklinowski. – Co za sprawa? kiej diabeł?

- Jenerał prosi, by wasza miłość natychmiast do niego pojechał.

- Kto był od jenerała?

- Był szwedzki oficer, już odjechał. Ledwie tchu z konia nie wyparł!

- Dobrze! – rzekł Kuklinowski.

Po czym zwrócił się do Kmicica:

- Było ci ciepło, ochłodnij teraz, robaczku, ja wrócę niebawem, pogawędzimy jeszcze!

- A co z jeńcem uczynić? – zapytał jeden z żołnierzy.

- Zostawić go tak. Zaraz wracam. Niech jeden jedzie za mną!

Pułkownik wyszedł, a z nim razem ów żołnierz, który poprzednio siedział na belce. Zostało tylko trzech, ale niebawem trzech nowych weszło do stodoły.

– Możecie iść spać – rzekł ów, który Kuklinowskiemu o rozkazie Millera doniósł – nam pułkownik polecił straż trzymać.

Kmicic drgnął na dźwięk tego głosu. Wydało mu się, że go zna.

– Wolimy zostać – odrzekł jeden z trzech pierwszych żołnierzy – żeby na dziwo patrzeć, bo takiego...

Nagle urwał.

Jakiś straszny, nieludzki głos wydobył mu się z gardzieli, podobny do piania zarzynanego koguta. Ręce rozłożył i padł jak gromem rażony.

Jednocześnie krzyk: „Prać!” rozległ się w stodołce i dwaj inni nowo przybyli rzucili się na kształt rysiów na dwóch dawniejszych. Zawrzała walka, straszna, krótka, oświecona blaskami płonącej maźnicy. Po chwili dwa ciała padły w słomę, przez sekundę jeszcze słyhać było rżenie konających, po czym rozległ się ów głos, który Kmicicowi poprzednio wydał się znanym:

– Wasza miłość, to ja, Kiemlicz, i moi synowie! My od rana już czekali na sposobność. Od rana wypatrujem!

Tu stary zwrócił się do synów:

- Nuże, szelmy; odciąć pana pułkownika, duchem, żywo!

I nim Kmicic zdołał zrozumieć, co się dzieje, pojawiły się koło niego dwie rozczochrane czupryny Kosmy i Damiana, podobne do dwóch olbrzymich kądzieli. Wnet więzy były rozcięte i Kmicic stanął na nogach. Zachwiał się z początku. Ściągnięte jego wargi zaledwie zdołały wymówić:

– To wy?... Dziękuję...

– To my! – odrzekł straszny starzec. – Matko Boska! o!... niech się wasza miłość ubiera. Żywo, szelmy!

I począł Kmicicowi podawać ubranie.

– Konie stoją za wierzejami – mówił. – Stąd droga wolna. Straże są; może by nie wpuścili nikogo, ale wypuścić, wypuszczą. Wiemy hasło. Jak się wasza miłość czuje?

– Bok mi przypiekł, ale jeno trochę. W nogach mi słabo...

– Niech się wasza miłość gorzałki napije.

Kmicic chwycił chciwie manierkę, którą stary mu podał, i wychyliwszy ją do połowy, rzekł:

– Zziąblem. Zaraz mi lepiej.

– Na kulbace się wasza miłość rozgrzeje. Konie czekają.

– Zaraz mi lepiej – powtórzył Kmicic. – Bok trochę pali... Nic to!.. Całkiem mi dobrze!

I siadł na krawędzi sąsiedka.

Po chwili rzeczywiście odzyskał siły i spoglądał z zupełną przytomnością na złowrogie twarze trzech Kiemliczów oświecone żółtawymi płomykami palącej się smoły.

Stary stanął przed nim:

– Wasza miłość, pilno! Konie czekają!

Lecz w panu Andrzeju obudził się już całkiem dawny Kmicic.

– O! nie może być! – zakrzyknął nagle – teraz ja na tego zdrajcę poczekam!

Kiemlicze spojrzeli na siebie ze zdumieniem, ale żaden nie pisnął ani słowa, tak ślepo przywykli z dawnych czasów słuchać tego wodza.

Jemu zaś żyły wystąpiły na czoło, oczy w ciemności świeciły jak dwie gwiazdy, taka tłała w nich zawziętość i chęć zemsty. To, co czynił teraz, było szaleństwem, które mógł życiem przypłacić. Ale właśnie życie jego składało się z szeregu takich szaleństw. Bok dolegał mu okrutnie, tak że co chwila mimo woli chwycił się zań ręką, ale myślał tylko o Kuklinowskim i gotów był czekać go choćby do rana.

– Słuchajcie! – rzekł – czy jego Miller naprawdę wzywał?

– Nie – odrzekł stary. – To ja wymyśliłem, żeby łatwiej z tamtymi się sprawić. Z pięcioma trudno by nam było we trzech, bo którykolwiek krzyk by uczynił.

– To dobrze. On tu wróci sam albo w kompanii. Jeśli będzie z nim kilku ludzi, tedy zaraz na nich uderzyć... Jego mnie zostawcie. Potem do koni... Ma który pistolety?

– Ja mam – odrzekł Kosma.

– Dawaj! Nabity? Podsypany?

– Tak jest.

– Dobrze. Jeśli wróci sam, wówczas natychmiast, jak wejdzie, skoczyć na niego i zatkać mu pysk. Możecie mu własną jego czapkę w pysk wcisnąć.

– Wedle rozkazu! – rzekł stary. – Wasza miłość pozwoli teraz tamtych obszukać? My chudo-pachołki...

To rzekłszy wskazał na trupy leżące w słomie.

– Nie! Trzymać się w gotowości. Co przy Kuklinowskim znajdziecie, to będzie wasze!

– Jeżeli on sam wróci – rzekł stary – tedy niczego się nie boję. Stanę za wierzejami i choćby kto od kwater nadszedł, powiem, że pułkownik nie kazał puszczać...

– Tak będzie. Pilnuj!...

Tętent konia rozległ się za stodołą. Kmicic zerwał się i stanął w cieniu przy ścianie. Kosma i Damian zajęli miejsca tuż przy wejściu, jak dwa koty na mysz czyhające.

– Sam! – rzekł stary zacierając ręce.

– Sam! – powtórzyli Kosma i Damian.

Tętent zbliżył się tuż i nagle ustał, natomiast za wierzejami rozległ się głos:

– Wyjdź tam który konia potrzymać!

Stary skoczył żywo.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym czyhających w stodole doszła następująca rozmowa:

– To ty, Kiemlicz? Co, u pioruna! czyś się wściekł, czyś zgłupiał?!.. Noc! Miller śpi. Straż nie chce puszczać, mówią, że żaden oficer nie wyjeżdża!... Co to jest?

– Oficer tu czeka w stodole na waszą miłość. Przyjechał zaraz po odjeździe waszej miłości... i powiada, że się z waszą miłością zminął, więc czeka

– Co to wszystko znaczy?... A jeniec?

– Wisi.

Wierzeje skrzyknęły i Kuklinowski wsunął się do stodoły, lecz zanim krok postąpił, dwie żelazne ręce porwały go za gardło i zdusiły krzyk przerażenia. Kosma i Damian z wprawą prawdziwych zbójców rzucili go na ziemię, klękli mu na piersiach gniotąc je tak, aż żebra poczęły trzeszczeć, i w mgnieniu oka zakneblowali mu usta.

Wówczas Kmicic wysunął się naprzód i poświeciwszy mu kwaczem w oczy, rzekł:

– Ach, to pan Kuklinowski!... Teraz ja mam z waścią do pogadania!

Twarz Kuklinowskiego była siną, żyły wyteżone tak, iż zdawało się, że pękną lada chwila, ale w jego wysłych na wierzch i nabranych krwią oczach przynajmniej tyle było zdumienia, ile przerażenia.

– Rozebrać go i na belkę! – zawołał Kmicic.

Kosma i Damian poczęli go rozbierać tak gorliwie, jakby i skórę razem z szatami chcieli z niego zedrzeć.

Po upływie kwadransa Kuklinowski wisiał już skrepowany za ręce i za nogi, na kształt półgęska, na belce.

Wówczas Kmicic wziął się w boki i począł się chełpić straszliwie.

– Cóż, panie Kuklinowski – rzekł – kto lepszy: Kmicic czy Kuklinowski?...

Wtem porwał palący się kwacz i postąpił krok bliżej.

– Toż twój obóz o strzelenie z łuku, twój tysiąc złodziejów na zawołanie... Toż twój generał szwedzki opodal, a ty na tej samej belce wisisz, na której mnie myślałeś przypiekać... Poznajże Kmicica! Ty chciałeś się z nim równać, do kompanii jego należeć, w paragon z nim wchodzić?... Ty rzezimieszku! ty podłoto!... ty strachu na stare baby!... ty wyskrobku ludzki!... ty panie Szelmowski z Szelmowa! ty kutergębo! ty chamie! ty niewolniku!... Mógłbym cię kozikiem kazać zarznąć jak kapłona, ale wolę cię żywcem przypiec, jak ty mnie chciałeś.

To rzekłszy podniósł kwacz i przyłożył go do boku nieszczęsnego wisielca, lecz trzymał go dłużej, dopóki swąd spalonego ciała nie począł się rozchodzić po stodole.

Kuklinowski skurczył się, aż lina poczęła się z nim kołysać. Oczy jego, utkwione w Kmicica, wyrażały straszny ból i nieme błaganie o litość, z zatkanych ust wydobywały się jęki żałosne; lecz wojny zatwardziły serce pana Andrzeja i nie było w nim litości, zwłaszcza dla zdrajców.

Więc odjąwszy wreszcie kwacz od boku Kuklinowskiego, przyłożył mu go na chwilę pod nos; osmalił wąsy, rzęsy, i brwi, po czym rzekł:

– Daruję cię zdrowiem, abyś mógł jeszcze o Kmicicu rozmyślać. Powisisz tu do rana, a teraz proś Boga, by cię ludzie, nim zmarzniesz, znaleźli.

Tu zwrócił się do Kosmy i Damiana.

– Na koń! – krzyknął.

I wyszedł ze stodoły.

W pół godziny później roztoczyły się naokół czterech jeźdźców wzgórza ciche, milczące i pola puste. Świeże powietrze, nie przesycone dymem prochowym, wchodziło do ich płuc. Kmicic jechał na przedzie, Kiemlicze za nim. Oni rozmawiali z cicha, on milczał, a raczej odmawiał z cicha pacierze poranne, bo już do świtu było niedaleko.

Od czasu do czasu syknięcie albo nawet cichy jęk wyrwał mu się z ust, gdyż sparzony bok dolegał mu mocno. Lecz jednocześnie czuł się na koniu i wolnym, a myśl, że rozsadził największą kolubrynę, a do tego jeszcze wyrwał się z rąk Kuklinowskiego i zemsty nad nim dokonał, napełniała go taką uciechą, że niczym był ból przy niej.

Tymczasem cicha rozmowa między ojcem i synami zmieniła się w głośnie rozterkę.

– To trzos, dobrze! – mówił gderliwie stary – a gdzie pierścienie? Na palcach miał pierścienie, w jednym był kamień wart ze dwadzieścia czerwonych.

– Zapomnielim zdjąć! – rzekł Kosma.

– Bodaj was zabito! Ty, stary, o wszystkim myśl, a te szelmy za szeląg rozumu nie mają! Zapomnieliście, zbójce, o pierścieniach?... Łżecie jak psy!

– To się ociec wróć i obacz! – mruknął Damian.

– Łżecie, szelmy, klimkiem rzucacie! Starego ojca krzywdzić? tacy synowie! Bodajem was był nie spłodził! Bez błogosławieństwa pomrzecie!...

Kmicic wstrzymał nieco konia.

– A pójźcie no tu! – rzekł.

Swary ustały. Kiemlicze posunęli się żywo i dalej jechali szeregiem we czterech.

– A wiecie drogę do śląskiej granicy? – spytał pan Andrzej.

– Oj, oj! Matko Boska! wiemy, wiemy! – rzekł stary.

– Szwedzkich oddziałów po drodze nie masz?

– Nie, bo wszyscy pod Częstochową stoją... Chybaby pojedynczych można napotkać, ale to Boże daj!

Nastąpiła chwila milczenia.

– To wyście u Kuklinowskiego służyli? – spytał znów Kmicic.

– Tak jest, bośmy myśleli, że będąc w pobliżu, można się będzie świętym zakonnikom i waszej miłości przysłużyć. Jakoż się zdarzyło... My przeciw fortecy nie służyli, niech nas Bóg brojni! żołdu nie brali, chyba się coś przy Szwedach znalazło.

– Jak to przy Szwedach?

– Bo my chcieli choć i za murami Najświętszej Pannie służyć... więcemy nocami koło obozu jeździli, albo i we dnie, jak Pan Bóg dał, i jak się który Szwed pojedynczo popadł, to my go... tego... Ucieczko grzesznych!... my go...

– Pralim! – dokończyli Kosma i Damian.

Kmicic uśmiechnął się.

– Dobrych Kuklinowski miał z was sług! – rzekł. – A onże wiedział o tym?

– Były komisje, dochodzili... On wiedział i – złodziej! – kazał nam talarą z głowy płacić. Inaczej groził, że wyda... Taki zbój, ubogich ludzi krzywdził!... My też wiary dochowali waszej miłości, bo to nie taka służba... Wasza miłość swoje jeszcze odda, a on po talarze z głowy, za nasz trud, za naszą pracę... Bodaj go!...

– Hojnie was nagrodzę za to, coście uczynili! – odrzekł Kmicic. – Nie spodziewałem się tego po was...

Wtem daleki huk dział przerwał mu dalsze słowa. To Szwedzi rozpoczęli widocznie strzelaninę równo z pierwszym brzaskiem. Po chwili huk powiększył się. Kmicic zatrzymał konia; zdawało mu się, że rozróżnia głosy armat fortecznych od armat szwedzkich, więc zacisnął pięść i grożąc nią w stronę nieprzyjacielskiego obozu, rzekł:

– Strzelajcie, strzelajcie! Gdzie wasza największa kolubryna?!



## ROZDZIAŁ XIX

Rozsadzenie olbrzymiej kolubryny uczyniło istotnie pogłębiające na Millerze wrażenie, gdyż jego wszystkie nadzieje wspierały się dotąd na tym dziele. Już i piechota była do szturm gotowa, już przygotowano drabiny i stopy faszyn, teraz trzeba było wszelką myśl szturm porzucić.

Zamiar wysadzenia klasztoru w powietrze za pomocą podkopów spełznął także na niczym. Sprowadzeni poprzednio górnicy z Olkusza łupali wprawdzie skałę zbliżając się na ukos ku klasztorowi, lecz robota szła tępo. Robotnicy mimo wszelkich ostrożności padali gęstym trupem od wystrzałów kościelnych, a pracowali niechętnie. Wielu wolało ginąć niż przyczynić się do zguby świętego miejsca.

Miller czuł co dzień wzrastający opór; mrozy odbierały resztę odwagi zniechęconemu wojsku, między którym szerzył się z dnia na dzień przestach i wiara, że zdobycie tego klasztoru nie leży w mocy ludzkiej.

Wreszcie i sam Miller począł tracić nadzieję, a po wysadzeniu kolubryny po prostu zdesperował. Ogarnęło go uczucie zupełnej niemocy i bezwładności.

Nazajutrz, skoro dzień, zwołał więc radę, ale pono dlatego tylko, by od oficerów usłyszeć zachętę do opuszczenia fortecy.

Poczęli się zbierać, wszyscy znużeni i posępni. W niczyich oczach nie było już nadziei ani wojskowej fantazji. Milcząc zasiedli koło stołu w ogromnej i zimnej izbie, w której para oddechów poprzesłaniała im twarze, i patrzyli spoza niej jakby spoza chmur. Każdy w duszy czuł wyczerpanie i znużenie, każdy mówił sobie w duchu, że nie ma żadnej rady do udzielenia, chyba taką, z którą lepiej się pierwszemu nie wrywać. Wszyscy czekali na to, co powie Miller; on zaś kazał przede wszystkim przynieść obficie wina grzanego, dufając, że pod wpływem gorącego napitku łatwiej wydobędzie szczerą myśl z tych milczących postaci i zachętę do odstąpienia od onej fortecy.

Na koniec, gdy sądził, że wino skutek swój już uczyniło, w następujące ozwał się słowa:

– Czy uważacie, waszmościowie, że żaden z panów polskich pułkowników nie przyszedł na tę naradę, chociaż posłałem wszystkim wezwanie?

– Waszej dostojności zapewne wiadomo, że pachołkowie polskich chorągwi znaleźli przy łowieniu ryb srebro klasztorne i że pobili się o nie z naszymi żołnierzami. Kilkunastu ludzi na śmierć usieczono.

– Wiem. Część tego srebra zdołałem wyrwać z ich rąk, nawet większą część. Jest ona teraz tu, i namyślałam się, co z nią uczynić.

– Stąd zapewne gniewy panów pułkowników. Powiadają, że skoro Polacy to srebro znaleźli, to się Polakom należy.

– O, to racja! – zawołał Wrzeszczowicz.

– Według mego zdania, jest pewna racja – odpowiedział Sadowski – i tak myślę, że gdybyś waszmość, panie hrabio, je znalazł, nie uważałbyś za potrzebne dzielić się nim nie tylko z Polakami, ale nawet i ze mną, który jestem Czechem...

– Przede wszystkim, panie, nie dzielę twojej życzliwości dla nieprzyjaciół naszego króla – odparł chmurno Wrzeszczowicz.

– Ale my, panie, dzięki tobie musimy podzielić się z tobą wstydem i hańbą, nie mogąc nic wskórać przeciw fortecy, pod którą nas namówiłeś.

– Tak więc pan straciłeś już wszelką nadzieję?

– A pan, czy ją masz jeszcze do podziału?

– Jakbyś pan wiedział, i sądzę, że ci panowie chętniej podzielią się ze mną moją nadzieją niż z panem jego bojaźnią.

– Czy czynisz mnie tchórzem, panie Wrzeszczowicz?

– Nie przypisuję panu więcej odwagi, niż okazujesz!

– Ja zaś przypisuję panu mniej!

– A ja – rzekł Miller, który od niejakiego czasu niechętnie spoglądał na Wrzeszczowicza, jako na instygatora nieszczęsnej wyprawy – postanawiam srebro odesłać do klasztoru. Może dobroć i łaska więcej wskóra przeciw tym nieużyтым mnichom niż kule i armaty. Niech zrozumieją, że chcemy opanować fortecę, nie ich skarby.

Oficerowie ze zdziwieniem spojrzeli na Millera, tak mało przywykli do podobnej wspaniałości z jego strony.

Wreszcie Sadowski rzekł:

– Nic lepszego nie można uczynić, bo zarazem zamknie się gębę polskim pułkownikom, którzy do srebra pretensje roszczą. W twierdzy uczyni to także z pewnością dobre wrażenie.

– Najlepsze wrażenie uczyni śmierć owego Kmicica – odparł Wrzeszczowicz. – Spodziewam się, że tam Kuklinowski już go ze skóry obłupił.

– Mniemam i ja, że już nie żyje – odpowiedział Miller. – Ale nazwisko owo przypomina mi naszą stratę niczym nie wynagrodzoną. Było to największe działo w całej artylerii jego królewskiej mości. Nie ukrywam panom, że wszystkie nadzieje moje na nim polegały. Wyłom już był uczyniony, strach w twierdzy szerzył się. Jeszcze parę dni, a byłibyśmy ruszyli do szturm. Teraz za nic cała praca, za nic wszystkie wysilenia. Mur jednego dnia naprawią. A te działa, którymi jeszcze rozporządzamy, nie lepsze od fortecznych, i łatwo porozbijane być mogą. Większych nie ma skąd wziąć, bo ich i pan marszałek Wittenberg nie posiada. Mości panowie! Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym klęska wydaje mi się straszniejszą!... I pomyśleć, że jeden człowiek ją zadał!... Jeden pies! Jeden szatan!... Oszaleć przyjdzie! do wszystkich rogatych diabłów!...

Tu Miller uderzył pięścią w stół, bo go gniew niepohamowany pochwycił, tym okrutniejszy, że bezsilny.

Po chwili zakrzyknął:

– A co jego królewska mość powie, gdy go wieść o tej stracie dojdzie?!...

Po chwili znów:

– A co my pocniem?... Zębami tej skały nie zgryziem! Bogdaj zaraza tych zabiła, którzy mnie pod tę twierdzę namawiali!...

To rzekłszy porwał puchar kryształowy i w uniesieniu grzmotnął nim o podłogę, aż kryształ rozbił się na proch.

Oficerowie milczeli. Nieprzystojne uniesienie jenerała, właściwsze chłopu niż wojownikowi tak wysoką piastującemu godność, zraziło doń serca i skwasilo do reszty humory.

– Radźcie, panowie! – zakrzyknął Miller.

– Radzić można tylko spokojnie – odparł książe Heski.

Miller począł sapać i wyparskiwać gniew nozdrzami. Po jakimś czasie uspokoił się i wzdając oczyma po obecnych, jakby zachęcając ich wzrokiem, rzekł:

– Przepraszam waszmościów, ale gniew mój nie dziwota. Nie będę wspominał tych miast, którem, objawszy komendę po Torstensonie, zdobył, bo nie chcę wobec terazniejszej klęski dawną fortuną się chlubić. Wszystko to, co się pod tą twierdzą dzieje, ludzki rozum po prostu przechodzi. Jednakże radzić trzeba... Po to waćpanów wezwałem. Obradujcie więc... i co większością na radzie postanowimy, to spełnię.

– Niech wasza dostojność da nam przedmiot do obrady – rzekł książe Heski. – Mamy-li obradować jedynie nad zdobyciem fortecy czy też i nad tym, czy nie lepiej ustąpić?

Miller nie chciał stawiać kwestii tak jasno, a przynajmniej nie chciał, aby owo: albo – albo, wyszło po raz pierwszy z jego ust, dlatego rzekł:

– Niech każdy z panów mówi szczerze, co myśli. Wszystkim nam o dobro i chwałę jego królewskiej mości chodzić powinno.

Lecz żaden z oficerów nie chciał także pierwszy z propozycją odstąpienia występować, więc znów nastalo milczenie.

– Panie Sadowski! – rzekł po chwili Miller głosem, który starał się uczynić przyjaznym i łaskawym – pan szczerzej mówisz od innych, co myślisz, bo reputacja pańska zabezpiecza go od wszelkich podejrzeń...

– Myślę, jenerale – odparł pułkownik – że ów Kmicic był jednym z największych tegoczesnych żołnierzy i że położenie nasze jest desperackie...

– Wszakże pan byłeś za odstąpieniem od twierdzy?...

– Za pozwoleniem waszej dostojności, byłem tylko za tym, aby nie rozpoczynać oblężenia... To wcale inna rzecz.

– Więc co pan teraz radzisz?

– Teraz odstępuję głos panu Wrzeszczowiczowi...

Miller zaklął jak poganin.

– Pan Weyhard będzie za całą tę nieszczęsną wyprawę odpowiadał! – rzekł.

– Nie wszystkie moje rady spełniono – odpowiedział zuchwale Wrzeszczowicz – mógłbym też śmiało zrzucić z siebie odpowiedzialność. Byli tacy, którzy je krzyżowali. Byli tacy, którzy dziwną zaiste i niewytłumaczoną żywiąc dla księży życzliwość, odmawiali jego dostojność od wszelkich surowszych środków. Radziłem, żeby owych księży posługujących powiesić, i jestem przekonany, że gdyby to się stało, postrach otworzyłby nam już bramy tego kurnika.

Tu Wrzeszczowicz począł patrzeć na Sadowskiego, lecz nim ten zdobył się na odpowiedź, wmiszał się książę Heski.

– Nie nazywaj, hrabio, tej twierdzy kurnikiem – rzekł – bo im bardziej zmniejszasz jej znaczenie, tym bardziej powiększasz naszą hańbę.

– Niemniej radziłem, by posłów powiesić. Postrach i zawsze postrach, oto com od rana do wieczora powtarzał, lecz pan Sadowski pogroził dymisją i księży odeszli bezpiecznie.

– Idź, panie hrabio, dzisiaj do fortecy – odpowiedział Sadowski – wysadź prochami największą ich armatę, jak to uczynił z naszą ów Kmicic, a ręczę ci, że to większy rozszerzy postrach niż zbójckie posłów mordowanie!...

Wrzeszczowicz zwrócił się wprost do Millera:

– Wasza dostojność! Sądzę, żeśmy się tu na naradę, nie na krotofile zebrali!

– Czy masz waszmość co, prócz czczych wyrzutów, do powiedzenia? – spytał Miller.

– Mam, pomimo wesołości tych panów, którzy mogliby swój humor do lepszych czasów zachować.

– O Laertiadesie, z fortelów swych znany! – zakrzyknął książę Heski.

– Panowie! – Odpowiedział Wrzeszczowicz – wiadomo powszechnie, że nie Minerwa jest waszym opiekuńczym bóstwem, a ponieważ Mars wam nie dopisał i zrzekliście się waszych głosów, pozwólcie mnie mówić.

– Góra stękać poczyna. zaraz ujrzymy mysi ogonek! – dorzucił Sadowski.

– Proszę o milczenie! – rzekł surowo Miller.

– Mów, panie hrabio, pamiętaj tylko, że dotąd rady twoje wydały gorzkie owoce.

– Które mimo zimy spożywać musimy na kształt zapleśniałych sucharów! – wtrącił książę Heski.

– Tym się tłumaczy, dlaczego wasza książęca mość pijesz tyle wina – odparł Wrzeszczowicz – a choć wino nie zastąpi przyrodzonego dowcipu, pomaga ci za to do wesołego strawienia nawet hańby. Lecz mniejsza o to! Wiem dobrze, iż w fortecy jest partia, która od dawna poddać się pragnie, i tylko nasza niemoc z jednej, a nadludzki upór przeora z drugiej strony utrzymuje ją w karchach. Nowy postrach doda jej nowych sił, dlatego należy nam okazać, że nic sobie nie robimy ze straty działa, i szturmować tym usilniej.

– Czy to już wszystko?

– Choćby to było wszystko, sądzą, że podobna rada zgodniejszą jest z honorem szwedzkich żołnierzy niż jałowe z niej drwiny przy kielichach i niż wysypianie się po pijatyce. Ale to nie wszystko. Należy rozpuścić między naszymi żołnierzami, a zwłaszcza między polskimi wieść,

że górnicy, którzy teraz nad założeniem miny pracują, odkryli stary przechód podziemny, ciągnący się pod sam klasztor i kościół...

– Masz waszmość słuszność, to dobra rada! – rzekł Miller.

– Gdy wieść ta między naszymi i polskimi żołnierzami się rozszerzy, sami Polacy będą namawiać mnichów do poddania się, bo i im chodzi, równie jak mnichom, aby to gniazdo zabobonów ocalało.

– Jak na katolika, to nieźle! – mruknął Sadowski.

– Gdyby służył Turkom, nazywałby Rzym gniazdem zabobonów! – odpowiedział książę Heski.

– Wtedy Polacy wyślą niezawodnie od siebie posłów do księży – mówił dalej Weyhard – owa partia w klasztorze, która dawno się chce poddać, pod wpływem przerażenia ponowi swe usilności, i kto wie, czy nie zmuszą przeora i opornych do otworzenia bram.

– „Zginie miasto Priama przez podstęp boskiego Laertydy...” – zaczął deklamować książę Heski.

– Dalibóg, czysta historia trojańska, a jemu się zdaje, że coś nowego wymyślił! – odpowiedział Sadowski.

Lecz Millerowi rada podobała się, bo w samej rzeczy nie była złą. Partia, o której Wrzeszczowicz wspominał, istniała w klasztorze. Nawet niektórzy księża słabszego ducha do niej należeli. Prócz tego przestrach mógł się rozszerzyć pomiędzy załogą, ogarnąć nawet tych, którzy dotąd chcieli się bronić do ostatniej kropli krwi.

– Popróbujemy, popróbujemy! – mówił Miller, który jak tonący chwycił się każdej deski i łatwo od rozpaczki przechodził do nadziei. – Ale czy Kaliński albo Zbrożek zgodzą się jeszcze posłować do klasztoru, czy uwierzą w ów podkop i czy zechcą księżom o nim oznajmić?

– W każdym razie Kuklinowski zgodzi się – odrzekł Wrzeszczowicz – ale lepiej będzie, żeby i on wierzył naprawdę w istnienie przechodu.

Wtem tętent rozległ się przed kwaterą.

– Owóz i pan Zbrożek przyjechał – rzekł książę Heski spoglądając przez okno.

Po chwili w sieni zabrzączały ostrogi i Zbrożek wszedł, a raczej wpadł do izby. Twarz jego była blada, wzburzona, i zanim oficerowie zdążyli spytać o powody tego pomieszania, pułkownik zakrzyknął:

– Kuklinowski nie żyje!

– Jak to? Co waśc mówisz? Co się stało? – spytał Miller.

– Pozwólcie mi odetchnąć – rzekł Zbrożek – bo to, com widział, imaginację przechodzi...

– Mów prędzej! zamordowali go? – zawołali wszyscy.

– Kmicic! – odparł Zbrożek.

Oficerowie zerwali się wszyscy ze swych miejsc i poczęli patrzeć na Zbrożka jak na szalonego; on zaś, wyrzucając nozdrzami szybkie kłęby pary, tak mówił:

– Gdybym nie widział, oczom bym nie wierzył, bo to nieludzka moc. Kuklinowski nieżywy, trzech żołnierzy zabitych, a Kmicica ani śladu. Wiedziałem, że to straszny człowiek. Reputacja jego w całym kraju znana... Żeby jednak, będąc jeńcem, związanym, nie tylko się wyrwać, ale pobić żołnierzy i Kuklinowskiego storturować... tego człowiek nie mógł dokonać, to chyba diabeł!

– Coś podobnego nigdy się nie przyгодиło... To niepodobne do wiary! – szepnął Sadowski.

– Pokazał ten Kmicic, co umie! – odrzekł książę Heski. – A nie wierzyliśmy wczoraj Polakom, gdy nam mówili, co to za ptak; myśleliśmy, że koloryzują, jak oni zwykle.

– Oszaleć! – krzyknął Wrzeszczowicz.

Miller trzymał się rękami za głowę i nic nie mówił. Gdy wreszcie podniósł oczy, błyskawice gniewu krzyżowały się w nich z błyskawicami podejrzeń.

– Panie Zbrożek – rzekł – choćby to był szatan, nie człowiek, bez pomocy, bez jakowejś zdrady nie mógłby on tego dokonać. Kmicic miał tu swoich admiratorów, a Kuklinowski swych wrogów i waszmość należałeś do ich liczby!

Zbrożek był to w całym znaczeniu tego słowa zuchwały żołnierz, dlatego usłyszawszy zarzut do siebie wymierzony, przybladł jeszcze mocniej, zerwał się z miejsca, zbliżył się do Millera i zastąpiwszy mu drogę spojrział wprost w oczy.

– Czy wasza dostojność mnie posądzasz?... – zapytał.

Nastąpiła bardzo ciężka chwila. Wszyscy obecni nie mieli najmniejszej wątpliwości, iż jeśli Miller da odpowiedź twierdzącą, nastąpi niechybnie coś strasznego i niesłychanego w dziejach wojskowych. Wszystkie ręce spoczęły na rękojeściach rapierów. Sadowski obnażył nawet swój zupełnie.

Lecz w tej chwili oficerowie ujrzeni przez okna, iż podwórzec zaroił się od polskich jeźdźców. Prawdopodobnie przybywali oni także z wieściami o Kuklinowskim, wszelako w razie zajścia stanęliby niechybnie po stronie Zbrożka. Widział ich i Miller, a lubo bładość wściekłości wystąpiła mu na twarz, jednak pohamował się i udając, że nie spostrzega nic wyzywającego w postępowaniu Zbrożka, odparł głosem, który starał się uczynić naturalnym:

– Opowiedz nam wasza mość szczegółowo, jak się to stało?

Zbrożek stał jeszcze czas jakiś z rozdętymi nozdrzami, lecz opamiętał się także, a przy tym myśl jego zwróciła się w inną stronę, gdyż towarzysze, którzy właśnie nadjechali, weszli do izby.

– Kuklinowski zamordowany! – powtarzali jeden za drugim.

– Kuklinowski zabit!

– Oddział jego rozprasza się! Żołnierze jego szaleją!

– Pozwólcie, panowie, przyjąć do słowa panu Zbrożkowi, który pierwszy przyniósł nowinę! – zawołał Miller.

Po chwili uciszyło się i pan Zbrożek tak mówić począł:

– Wiadomo panom, że na ostatniej naradzie wyzwał Kuklinowskiego na kawalerski parol. Byłem admiratorem Kmicica, prawda, bo i wy, choć jego nieprzyjaciele, musicie przyznać, że nie lada kto mógł spełnić takie dzieło, jak owo rozsądzenie tej armaty. Odwagę i w nieprzyjacielu cenić należy, dlatego podałem mu rękę, ale on mi swej umknął i zdrajcą mnie nazwał. Więc pomyślałem sobie: niech Kuklinowski czyni z nim, co chce... Chodziło mi jeno o to, żeby jeśli Kuklinowski postąpi sobie z nim przeciwnie rycerskiemu honorowi, niesława tego uczynku na wszystkich Polaków, a między innymi i na mnie, nie spadła. Dlatego to chciałem się koniecznie z Kuklinowskim bić, i dziś rano wzięwszy dwóch towarzyszy pojechałem do jego obozu. Przyjeżdżamy do kwatery... Powiadają: „Nie masz go!” Posyłam tu, nie masz go!... W kwaterze mówią, że i na noc wcale nie wracał, ale nie byli niespokojni, bo myśleli, że u waszej dostojności został. Aż jeden żołnierz powiada, że w nocy pojechał z Kmicicem w pole do stodółki, w której miał go przypiekać. Jadę do stodółki, wierzeje otwarte. Wchodzę, widzę: wisi nagie ciało na belce... Pomyślałem, że Kmicic, aż gdy oczy do mroku przywykły, patrzę, że trup jakiś chudy i kościsty, a tamten wyglądał jak Herkules... Dziwno mi było, żeby się mógł tak skurczyć przez jedną noc... Zbliżam się tuż – Kuklinowski!

– Na belce? – spytał Miller.

– Tak jest! Przeżegnałem się... Myślę: czary, omam czy co?... Dopiero jakem zobaczył trupy trzech żołnierzy, prawda stanęła przede mną jako żywa. Ten straszny człek pobił tamtych, tego powiesił i przypiekał po katowsku, a sam uszedł!

– Do śląskiej granicy niedaleko! – rzekł Sadowski.

Nastąpiła chwila milczenia.

Wszelkie podejrzenie co do udziału Zbrożka zgasło w duszy Millera. Lecz sam wypadek zmieszał go, przeraził i napelnił jakimś nieokreślonym niepokojem. Widział naokoło piętrzące się niebezpieczeństwa, a raczej groźne ich cienie, przeciw którym ani wiedział, jak walczyć;

czuł, że otoczył go jakiś łańcuch niepomyślności. Pierwsze ogniwa leżały przed jego oczyma, lecz dalsze otaczał jeszcze mrok przyszłości. Opanowało go takie uczucie, jakby mieszkał w popękany domu, który lada chwila mógł mu się zwalić na głowę. Niepewność przygniotła go nieznośnym ciężarem, i pytał sam siebie, do czego ma ręk przyłożyć?

Wtem Wrzeszczowicz uderzył się w czoło.

– Na Boga! – rzekł. – Od wczoraj, jakem tego Kmicica ujrzał, wydawało mi się, że ja go kiedyś znałem. Teraz znów widzę przed sobą tę twarz, przypominam sobie dźwięk mowy. Musiałem go chyba spotkać na krótko i po ciemku, wieczorem, ale mi po głowie chodzi... chodzi...

Tu począł trzeć ręką czoło.

– Co nam z tego? – rzekł Miller – nie skleisz, panie hrabio, armaty, choćbyś sobie przypominał; nie wskrzesisz Kuklinowskiego!

Tu zwrócił się do oficerów:

– Komu wola, panowie, za mną na miejsce wypadku!

Wszyscy chcieli jechać, bo wszystkich podniecała ciekawość.

Podano więc konie i ruszyli rysią, a generał na czele. Zbliżywszy się do stodółki ujrzeli kilkadziesiąt jeźdźców polskich, rozrzuconych naokoło owego zabudowania na drodze i po polu.

– Co to za ludzie? – spytał Zbrożka Miller.

– To muszą być Kuklinowskiego. Mówię waszej dostojności, że ta hołota po prostu poszalała...

To rzekłszy Zbrożek począł kiwać na jednego z jeźdźców.

– Bywaj, bywaj! Żywo!

Żołnierz podjechał.

– Wy spod Kuklinowskiego?

– Tak jest.

– A gdzie reszta pułku?

– Rozbieżeli się. Mówią, że nie chcą dłużej służyć przeciw Jasnej Górze.

– Co on mówił? – spytał Miller.

Zbrożek wytłumaczył.

– Spytaj go waś, dokąd poszli? – rzekł generał.

Zbrożek powtórzył pytanie.

– Nie wiadomo – odrzekł żołnierz. – Niektórzy poszli na Śląsk. Inni mówili, że samemu Kmicicowi idą służyć, bo takiego drugiego pułkownika nie masz ani między Polaki, ani między Szwedami.

Miller, gdy Zbrożek znów mu wytłumaczył słowa żołnierza, zamyślił się. Rzeczywiście, tacy ludzie, jakich miał Kuklinowski, gotowi byli bez wahania przejść pod komendę Kmicica. Ale wówczas mogli się stać groźni, jeśli nie dla armii Millera, to przynajmniej dla jego dowozów i komunikacji.

Fala niebezpieczeństw piętrzyła się coraz wyżej naokoło zakłętej fortecy.

Zbrożkowi toż samo musiało przyjść do głowy, bo jakby odpowiadając na owe myśli Millera rzekł:

– To pewna, że wszystko burzy się w naszej Rzeczypospolitej. Niech jeno taki Kmicic krzyknie, a setki i tysiące go otoczą, zwłaszcza po tym, co uczynił.

– I co wskóra? – pytał Miller.

– Wasza dostojność niech zechce pamiętać, że ten człowiek do desperacji przywiódł Chowańskiego, a Chowański miał, licząc z Kozakami, sześć razy tyle ludzi, co my... Ani jeden transport nie przyjdzie nam bez jego pozwolenia, a folwarki poniszczone i zaczyna nam być głodno. Prócz tego Kmicic może się połączyć z Żegockim i Kuleszą – wówczas kilka tysięcy szabel będzie miał na zawołanie. To ciężki człowiek i może stać się *molestissimus*.

– A waszmość pewien jesteś swoich żołnierzy?

– Więcej niż siebie samego – odpowiedział z szorstką otwartością Zbrożek.

– Jak to więcej?  
– Bo, mówiąc prawdę, dość mamy wszyscy tego oblężenia!  
– Ufam, że ono wkrótce się skończy.  
– Tylko pytanie: jak? Zresztą, wziąć tę twierdzę jest teraz taką samą klęską, jak od niej odstąpić.

Tymczasem dojechali do stodółki. Miller zsiadł z konia, za nim wszyscy oficerowie, i weszli do wnętrza. Kuklinowskiego zdjęli już żołnierze z belki i okrywszy kilimkiem położyli na wznak na resztkach słomy. Trzy ciała żołnierskie leżały wpodłe, ułożone równo obok siebie.

– Tych pomordowano nożami – szepnął Zbrożek.  
– A Kuklinowski?  
– Na Kuklinowskim ran nie masz, jeno bok ma spieczony i osmalone wąsy. Musiał zmarznąć albo zatchnął się, bo własną czapkę dotychczas w zębach trzyma.  
– Odkryć go!

Żołnierz podniósł róg kilimka i okazała się twarz straszna, nabrzmiała, z wytrzeszczonymi oczyma. Na resztkach osmalonych wąsów sople, powstałe ze zlodowaciałego oddechu, pomieszały się z kopciami i utworzyły jakby kły sterczące z ust. Twarz to była tak ohydna, że Miller, lubo przyzwyczajony do wszelkiego rodzaju okropności, wzdrygnął się i rzekł:

– Zakryj co prędzej! Straszne! Straszne!  
Posepna cisza zapanowała w stodółce.  
– Po cośmy tu przyjechali? – pytał spluwając księżę Heski – przez cały dzień nie tknę jedzenia.

Nagle Millera opanowało nadzwyczajne jakieś rozdrażnienie graniczące prawie z obłędem. Twarz mu zsiniała, źrenice rozszerzyły się, zęby poczęły zgrzytać. Owładnęło go dzikie pragnienie krwi, zemsty nad kimkolwiek, więc zwróciwszy się do Zbrożka, zakrzyknął:

– Gdzie ów żołnierz, który widział, że Kuklinowski był w stodółce? Dawajcie go! to musi być współnik!  
– Nie wiem, czyli ten żołnierz tu jeszcze jest – odrzekł Zbrożek. – Wszyscy ludzie Kuklinowskiego rozbiegli się jak wyjarzmione byki!

– To go łap! – zaryczał w furii Miller.  
– To go wasza dostojność sam łap! – krzyknął z równą furią Zbrożek.  
I znów straszliwy wybuch zawisnął, jakby na nici pajęczej, nad głowami Szwedów i Polaków. Ci ostatni poczęli się cisnąć do Zbrożka, ruszać groźnie wąsiskami i trzaskać w szable.

Wtem gwar, echa strzałów i tętent kilku koni rozległ się na zewnątrz i do stodółki wpadł oficer szwedzkich rajtarów.

– Jenerale! – krzyknął – wycieczka z klasztoru. Górnicy kopiący minę wybici do nogi! Oddział piechoty rozprószony.

– Oszaleje! – wrzasnął Miller chwytając się za włosy peruki – na koń!  
Po chwili mknęli wszyscy jak wichur ku klasztorowi, aż grudy śniegu sypały się jak grad spod kopyt koni. Sto jazdy Sadowskiego, pod komendą jego brata, przyłączyło się do osoby Millera i biegło w pomoc. Po drodze widzieli oddziały piechoty, przerażone, uciekające w nieładzie i popłochu, tak bardzo upadły już serca niezrównanych skądinąd żołnierzy szwedzkich. Opuszczano nawet szanse, którym żadne nie groziło niebezpieczeństwo. Kilkunastu stratowali pędzący oficerowie i rajтары. Dopadli wreszcie o staję od fortecy, lecz po to tylko, by na wzniesieniu, widnym jak na dłoni, ujrzeć wracających szczęśliwie do klasztoru napastników. Śpiewy, okrzyki radosne i śmiechy dochodziły od nich do uszu Millera.

Pojedynczy przystawali nawet i grozili w stronę sztabu krwawymi szablami. Polacy, znajdujący się przy boku szwedzkiego jenerała, poznali samego Zamoyskiego, który osobiście przywozował tej wycieczce, a który teraz, dojrawszy sztab, przystanął i kłaniał mu się z powagą czapką. Nie dziwota! Czuł się już bezpieczny pod zasłoną dział fortecznych.

Jakoż na wałach zadymiło i żelazne ptastwo kul przeleciało ze straszliwym świstem między oficerami. Kilku rajtarów zachwiało się na kulbakach i jęk odpowiedział świstowi.

– Pod ogniem jesteśmy, cofać się! – zakomenderował Sadowski.

Zbrozek chwycił za cugle Millerowego konia.

– Jenerale, cofamy się! Tu śmierć!

Miller był jakby odrętwiały, nie odrzekł ni słowa, pozwolił wywieść się z promienia pocisków. Wróciwszy do swej kwatery zamknął się w niej i cały dzień nie chciał nikogo widzieć.

Rozmyślał zapewne o swej sławie Poliocertes.

Tymczasem Wrzeszczowicz wziął w ręce całą władzę i z niezmierną energią począł czynić przygotowania do szturm. Sypano nowe szańce, żołnierze łamali w dalszym ciągu po górnikach skałę dla założenia miny. Ruch gorączkowy trwał w całym obozie szwedzkim; zdawało się, że nowy duch wstąpił w oblegających lub że im świeże posiłki przybyły.

W kilka dni później wieść gruchnęła po obozie szwedzkim i sprzymierzonym polskim, że kopacze znaleźli przechód podziemny, idący pod sam kościół i klasztor, i że tylko od dobrej woli generała zależy wysadzić całą twierdzę w powietrze.

Radość niezmierna ogarnęła znużonych mrozami, głodem i bezowocną pracą żołnierzy.

Okrzyki: „Mamy Częstochowę!... Wysadzimy ten kurnik!” – przebiegały z ust do ust. Rozpoczęły się uczty i pijatyka.

Wrzeszczowicz był wszędzie, zachęcał żołnierzy, utrzymywał w wierze, potwierdzał sto razy dziennie wieść o znalezieniu przechodu, podniecał uczty i hulanki.

Echa tej radości doszły na koniec i do twierdzy. Wiadomość o minach już założonych i gotowych do wybuchu rozbiegła się z szybkością błyskawicy z jednego końca wałów na drugi. Najodważniejsi nawet zlekli się. Niewiasty z płaczem poczęły oblegać mieszkanie przeora, wyciągać ku niemu dzieci, gdy ukazywał się na chwilę, i wołać:

– Nie gub niewinnych!... Krew ich spadnie na ciebie!...

Im kto większym był tchórzem, z tym większą odwagą nacierał teraz na księdza Kordeckiego, by nie narażał na zgubę świętego miejsca, stolicy Najświętszej Panny.

Nastaly tak ciężkie chwile i tak bolesne dla nieugiętej duszy owego bohatera w habitcie, jakich nigdy dotąd nie bywało. Szczęściem, że i Szwedzi zaniechali szturmów, aby tym dowodniej okazać obleżonym, że już nie potrzebują ni kul, ni armat, że dość im jedną nitkę prochową zapalić. Lecz dla tych samych powodów przerażenie rosło w klasztorze. W czasie głuchych nocy niektórym najtchórzliwszym wydawało się, że słyszą już pod ziemią jakieś szmery, jakieś ruchy, że Szwedzi są już pod samym klasztorze. Upadła wreszcie na duchu i znaczna część zakonników. Ci, z ojcem Stradomskim na czele, udali się do przeora, by niezwłocznie rokowania o podanie się rozpoczął. Z nimi razem poszła większość żołnierzy i kilku szlachty.

Wówczas ksiądz Kordecki wyszedł na podwórze, a gdy tłum otoczył go ściśniętym kołem, tak mówić począł:

– Zali nie przysięgliśmy sobie, że do ostatniej kropli krwi bronić świętego przybytku będziemy? Zaprawdę, powiadam wam, jeśli prochy nas wyrzucą, to tylko liche ciała nasze, tylko doczesne zwłoki opadną z powrotem na ziemię, a dusze już nie wrócą...

...Niebo otworzy się nad nimi i tam wejdą w wesele, w szczęśliwość, jako morze bez granic. Tam Jezus Chrystus je przyjmie i ta Matka Najświętsza, i wyjdzie przeciw nich, a one jako pszczoły złote siedą na Jej płaszczu i w światłości się zanurzają, i w oblicze Boga patrzeć będą...

Tu blask tej światłości zaświtał na twarzy jego, oczy natchnione wzniosł w górę i mówił dalej z powagą i spokojem zaziemskim:

– Panie, który światami rządysz, Ty patrzysz w serce moje i wiesz, że nie kłamię temu ludowi mówiąc, iż gdybym własnej szczęśliwości tylko pragnął, tedybym ręce wyciągnął ku Tobie i wołałbym z głębi duszy mojej: „Panie! spraw, aby te prochy były, aby wybuchły, bo w takiej śmierci jest odkupienie win i grzechów, bo jest odpoczynek wieczny, a sługa Twój znużon i spracowan już bardzo...” I któż by nie chciał takiej nagrody za śmierć bez męki, jako mgnienie



oka krótką, jako błyskawica na niebie przemijającą, po której wieczność niezmienna, szczęście nieprzebrane, radość bez końca!...

Lecz Ty mi kazałeś strzec przybytku Twego, więc mi odejść nie wolno; Tyś mnie na straży postawił, więc wlałeś we mnie moc Twoją, i wiem to, Panie, i widzę, i czuję, że choćby złość nieprzyjacielska aż pod ów kościół dotarła, choćby wszystkie prochy i niszczące saletry pod nim złożono, dość by mi było je przeżegnać, ażeby nie wybuchły...

Tu zwrócił się do zgromadzonych i tak mówił dalej:

– Bóg mi dał tę moc, lecz wy zdejmijcie strach z serc waszych! Duch mój przenika ziemię i powiada wam: Kłamią nieprzyjaciele wasi i nie ma prochowych smoków pod kościołem!... Wy, ludzie trwożliwych serc, wy, w których przestrach wiarę potłumił, nie zasłużyliście na to, aby dziś jeszcze wejść do królestwa łaski i odpocznienia – więc nie masz prochów pod stopami waszymi! Bóg chce ocalić ten przybytek, aby jako arka Noego unosił się nad potopem klęsk i niedoli, więc w imię Boga po raz trzeci powiadam wam: nie masz prochów pod kościołem! A gdy w Jego imieniu mówię, kto będzie śmiał mi przeczyć, kto wątpić się jeszcze odważy?...

To rzekłszy umilkł i patrzył na tłum zakonników, szlachty i żołnierzy. Lecz taka była niezachwiana wiara, pewność i siła w jego głosie, że oni milczeli także i nikt nie wystąpił. Przeciwnie, otucha poczęła wstępować w serca, aż na koniec jeden z żołnierzy, chłop prosty, rzekł:

– Bądź pochwalone imię Pańskie!... Od trzech dni mówią, iż mogą fortecę wysadzić, czemuż nie wysadzają?

– Chwała Najświętszej Pannie! Czemu nie wysadzają? – powtórzyło kilkanaście głosów.

Wtem uczynił się dziwny znak. Oto nagle naokół rozległ się szum skrzydeł i całe stada zimowych ptaszyn pojawiły się na podwórzu fortecznym, i coraz nowe nadlatywały z okolicznych ogłodzonych folwarków: więc szare śmieciuszki, trznadłe o złotej piersi, ubogie wróble, zielone sikorki, krasne gile poobsiadały załamania dachów, węgły, odrzwia, gzymсы kościelne; inne kręciły się różnobarwnym wieńcem nad głową księdza, furkając skrzydełkami, świegocąc żałośnie, jakoby o jałmużnę prosiły, i nic nie obawiając się ludzi. Zdumieli się na ten widok obecni, a ksiądz Kordecki modlił się przez chwilę, wreszcie rzekł:

– Oto ptaszkiwie leśni pod opiekę Matki Bożej się udają, a wy zwątpiliście o Jej mocy?

Otucha i nadzieja wróciły już do serc, zakonnicy bijąc się w piersi udali się do kościoła, a żołnierze na mury.

Niewiasty wyszły sypać ziarno ptaszętom, które poczęły dziobać je chciwie.

Wszyscy tłumaczyli pojawienie się owych drobnych leśnych mieszkańców sobie na pomyślność, nieprzyjacielowi na szkodę.

– Srogie śniegi muszą leżeć, gdy owe ptaszyny już i na wystrzały, i na huk armatni nie uważają, jeno do zabudowań się cisną – mówili żołnierze.

– A czemu to od Szwedów do nas uciekają?

– Bo i najlichsze stworzenie ma ten dowcip, że nieprzyjaciela od swojego odróżni.

– Nie może to być – odrzekł inny żołnierz – przecie i w szwedzkim obozie są Polacy; ale to znaczy, że tam już głodno być musi i obroków dla koni wcale brakuje.

– Znaczy to jeszcze lepiej – mówił trzeci – bo pokazuje się, że co prawią o tych prochach, to wierutne łgarstwo.

– Jakże to? – spytałi wszyscy naraz.

– Starzy ludzie powiadają – odrzekł żołnierz – że niech jeno jaki dom ma się zawalić, zaraz jaskółki i wróblowie, gniazda wiosną pod dachem mający, wyprowadzają się precz na dwa i trzy dni przedtem; taki każda bestia ma rozum, że naprzód wie o niebezpieczeństwie. Owóż, gdyby pod klasztorem były prochy, to by te ptaki tu nie przyleciały.

– Prawda-li to?

– Jako amen w pacierzu!

– Chwała Najświętszej Pannie! Żle tedy ze Szwedami!

W tej chwili głos trąbki dał się słyszeć przy południowo-zachodniej bramie; wszyscy pobiegli patrzeć, kto przybywa.

Był to trębacz szwedzki, który przywiózł list z obozu.

Zakonnicy zgromadzili się zaraz w definitorium. List był od Wrzeszczowicza i oznajmiał, iż jeśli twierdza nie podda się do jutra, zostanie w powietrze wysadzona.

Lecz ci nawet, którzy poprzednio upadli pod brzemieniem bojaźni, nie uwierzyli teraz temu wezwaniu.

– Próżne to strachy! – wołali razem księża i szlachta.

– Napiszmy im tedy, żeby nas nie żalowali. Niech wysadzają!

I istotnie odpisano w ten sposób.

Tymczasem żołnierze, którzy zgromadzili się przy trębacz, odpowiadali również śmiechem na jego ostrzeżenia.

– Dobrze! – mówili mu. – Czemu macie nas szczeni? Prędzej pójdziem do nieba!

Ten zaś, który wręczał posłańcowi list z odpowiedzią, rzekł mu:

– Nie traćcie próżno słów i czasu!... Samych was nędza gryzie, a nam, chwała Bogu, na niczym nie zbywa. Ptaki nawet od was uciekają.

W ten sposób spełził na niczym ostatni fortel Wrzeszczowicza.

A gdy upłynął jeszcze dzień, okazało się zupełnie dowodnie, jak czczymi były obawy oblężonych, i spokój powrócił w klasztorze.

Nazajutrz zacy mieszczanin częstochowski, Jacek Brzuchański, podrzucił znowu list ostrzegający o szturmie, lecz zarazem o wyruszeniu Jana Kazimierza ze Śląska i o powstaniu całej Rzeczypospolitej przeciw Szwedom. Zresztą miał to być, według wieści krążących za murami, szturm ostatni.

Brzuchański podrzucił list wraz z workiem ryb dla księży na Wilię, a zbliżył się do murów przebrany za szwedzkiego żołnierza.

Na nieszczęście, poznano go i schwytano. Miller kazał go rozciągnąć na torturach; lecz starzec miał w czasie mąk widzenia niebieskie i uśmiechał się słodko jak dziecko, a zamiast bólu malowała się na jego twarzy niewysłowiona radość. Jenerał sam był obecny przy katuszy, jednakże zeznań żadnych z męczennika nie wy dobył; wy dobył tylko rozpaczliwe przekonanie, że tych ludzi nic nie zachwieje, nic ich nie złamie, i zniechęcił się do reszty.

Tymczasem nadeszła stara żebraczka Kostucha z listem od księdza Kordeckiego, proszącym pokornie, aby zawieszono szturm na czas nabożeństwa w dniu Bożego Narodzenia. Straże i oficerowie przyjęli żebraczkę ze śmiechami i z urąganiem z takiego posła, lecz ona wręcz im odrzekła:

– Nikt inny nie chciał pójść, bo wy posłów jako zbóje traktujecie, a ja się za kawałek chleba podjęła... Niedługo mi już na świecie, więc się was nie boję, a jeśli nie wierzycie, to macie mnie w rękę.

Lecz nie uczyniono jej nic złego. Co więcej, Miller, pragnąc raz jeszcze drogi zgody próbować, przystał na żądanie przeora; przyjął nawet okup za nie domęczonego Jacka Brzuchańskiego; odesłał za jedną drogą i ową część srebra znalezionego przez pacholców szwedzkich. To ostatnie uczynił na złość Wrzeszczowiczowi, który po chybionym fortelu z minami w nową po padł niełaskę.

Przyszedł wreszcie wieczór wigilijny. O pierwszej gwiazdzie zamigotały światła i światełka w całej fortecy. Noc była spokojna, mroźna, lecz pogodna. Szwedzcy żołnierze, kostniejąc z zimna na szańcach, poglądali z dołu na czarne mury niedostępnej fortecy i na myśl przychodziły im ciepłe, mchami utkane chaty skadynawskie, żony, dzieci, choinowe drzewka płonące od świeczek, i niejedna żelazna pierś wezbrała westchnieniem, żalem, tęsknotą, rozpaczą. A w twierdzy, przy stołach okrytych sianem, oblężeni łamali się opłatkami. Cicha radość płonęła na wszystkich twarzach, bo każdy miał przeczucie, pewność prawie, że czasy niedoli miną już rychło.

– Jutro szturm jeszcze, ale to już ostatni – powtarzali sobie księża i żołnierze. – Komu Bóg śmierć zapisze, niech dziękuje, że przedtem nabożeństwa zażyć mu pozwoli i tym pewniej bramy niebieskie mu otworzy, bo kto w dzień Bożego Narodzenia za wiarę zginie, ten do chwały przyjęty być musi.

Życzili sobie tedy wzajem pomyślności, długich lat lub niebieskiej korony i taka ulga spadła na wszystkie serca, jakby już bieda minęła.

A było przy przeorze jedno krzesło próżne, przed nim stał talerz, na którym bieląła paczka opłatków, niebieską wstążeczką obwiązana.

Gdy wszyscy zasiedli, owego zaś miejsca nikt nie zajął, pan miecznik rzekł:

– Widzę, ojciec wielbny, że starym zwyczajem i dla zagórskich panów miejsce gotowe?

– Nie dla zagórskich to panów – odrzekł ksiądz Augustyn – ale dla wspomnienia owego młodzieniaszka, któregośmy jak syna wszyscy kochali, a którego dusza patrzy teraz z uciechą na nas, żeśmy pamięć wdzięczną o nim zachowali.

– Dla Boga – rzekł miecznik sieradzki – lepiej teraz jemu niż nam! Słuszną winniśmy mu wdzięczność!

Ksiądz Kordecki miał łzy w oczach, a pan Czarniecki ozwał się:

– O mniejszych w kronikach piszą. Jeśli mi Bóg życia pozwoli, a ktokolwiek spyta mnie później, który był między wami żołnierz starożytnym bohaterem równy, powiem: Babinicz.

– On się nie nazywał Babinicz – odrzekł ksiądz Kordecki.

– Jak to, nie nazywał się Babinicz?

– Od dawna wiedziałem jego prawdziwe nazwisko, ale pod tajemnicą spowiedzi... I dopiero, wychodząc przeciw owej kolubrynie, rzekł mi: „Jeśli zginę, niechajże wiedzą, ktem jest, ażeby uczciwa sława przy moim nazwisku została i dawne grzechy starła.” Poszedł, zginął, więc teraz mogę waćpanom powiedzieć: to był Kmicic!

– Ów litewski przesławny Kmicic? – zakrzyknął porwawszy się za czuprynę pan Czarniecki.

– Tak jest! Tak łaska boża zmienia serca!

– Dla Boga! Teraz rozumiem, że on się podjął tej wyprawy! Teraz rozumiem, skąd się taka fantazja w nim brała, skąd ta odwaga, którą wszystkich przewyższał! Kmicic, Kmicic! ów straszny Kmicic, którego Litwa sławi!

– Inaczej go odtąd słać będzie nie tylko Litwa, ale cała Rzeczpospolita.

– On to nas pierwszy ostrzegł przed Wrzeszczowiczem!

– Z jego to przyczyny bramyśmy dość wcześnie zamknęli i przygotowania uczynili!

– On pierwszego Szweda z łuku ustrzelił.

– A ilu ich z armat napsuł! A de Fossisa kto położył?

– A owa kolubryna! Jeśli nam nie strach jutrzejszego szturm, któż to sprawił?

– Niechże każdy z czią wspomina i wysławia, gdzie może, imię jego, ażeby sprawiedliwość się stała – rzekł ksiądz Kordecki – a teraz: „Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie!”

– „A światłość wiekuista niechaj mu świeci!” – odpowiedział jeden chór głosów.

Lecz pan Czarniecki długo nie mógł się uspokoić i myśl jego ustawicznie zwracała się do Kmicica:

– To mówię waszmościom – rzekł – było w nim coś takiego, że choć jak prosty żołnierz służył, zaraz komenda sama mu do rąk włąziła. Aż mi dziwno było, że ludzie mimo woli słuchali takiego młodzika... W rzeczy, na onej baszcie on komenderował i ja sam go słuchałem. Gdybym to choć był wiedział, że to Kmicic!

– Wszelako dziwno mi to – rzekł pan miecznik sieradzki – że Szwedzi nie pochwalili się jego śmiercią.

Ksiądz Kordecki westchnął:

– Musiały go prochy na miejscu rozerwać!

– Dałbym sobie rękę uciąć, żeby żył! – krzyknął pan Czarniecki. – Ale żeby taki Kmicic pozwolił się prochom wysadzić!...

– Dał swoje życie za nasze! – odrzekł ksiądz Kordecki.

– To pewno – odpowiedział miecznik – że gdyby ta kolubryna leżała na szańcu, nie myślałbym tak wesoło o jutrze.

– Jutro Bóg nam da nowe zwycięstwo! – rzekł ksiądz Kordecki – albowiem arka Noego nie może zginąć w potopie!

Tak oni ze sobą rozmawiali przy Wilii, a potem porozchodzili się, zakonnicy do kościoła, żołnierze na cichy postój i strażowanie przy bramach i murach. Lecz wielka czujność była zbyt bezużyteczna; i w szwedzkim obozie panowała niezamącona spokojność. Sami oni oddali się spoczynkowi i rozmyślaniom, bo i dla nich zbliżało się najuroczystsze ze świąt.

Noc była także uroczysta. Roje gwiazd świeciły na niebie, mieniając się różowo i błękitno. Blask księżycy barwił na zielono całuny śnieżne, rozciągnięte między fortecą a nieprzyjacielskim obozem. Wiatr nie wiał i taka była cisza, jakiej od początku oblężenia pod tym klasztorem nie bywało.

O północy żołnierze szwedzcy usłyszeli płynące łagodnie z wyniosłości tony organów, potem głosy ludzkie dołączyły się do nich, potem dźwięki dzwonów i dzwonek. Wesele, otucha i wielki spokój były w tych dźwiękach, i tym większe zwątpienie, tym większe uczucie niemocy ścisnęło serca szwedzkie.

Żołnierze polscy spod komendy Zbrożka i Kalińskiego nie pytając o pozwolenie podeszli pod same mury. Nie puszczono ich do środka, w obawie jakowej zasadzki, którą noc mogła ułatwić, lecz pozwolono stać blisko przy murach. Oni też zebrali się całą gromadą. Jedni poklekali na śniegu, inni kiwali żałośnie głowami, wzdychając nad własną dołą, albo bili się w piersi ślubując sobie poprawę, a wszyscy słuchali z rozkoszą i ze łzami w oczach muzyki i pieśni, wedle starożytnego zwyczaju śpiewanych.

Tymczasem strażnicy na murach, którzy nie mogli być w kościele, chcąc sobie ową stratę wynagrodzić, poczęli także śpiewać i wkrótce rozległa się po całym okręgu murów kolęda:

W żłobie leży,  
Któż pobieży  
Kolędować małemu...

Nazajutrz po południu huk dział zgłuszył na nowo wszystkie inne odgłosy. Szańce, ile ich było, zadymiły naraz, ziemia drżała w posadach; leciały po staremu na dach kościelny ciężkie faskule i bomby, i granaty, i pochodnie w rury oprawne, lejące deszcz roztopionego ołowiu, i pochodnie bez oprawy, i sznury, i szmaty. Nigdy huk nie był tak nieustający, nigdy dotąd taka fala ognia i żelaza nie zwała się na klasztor, lecz między działami szwedzkimi nie było owej kolubryny, która sama jedna mogła pokruszyć mur i wyłomy potrzebne do ataku uczynić.

Zresztą oblężeni tak już przywykli do ognia, tak każdy wiedział, co mu czynić należy, że bez komendy obrona szła zwykłym trybem. Na ogień odpowiadano ogniem, na pocisk pociskiem, jeno wymierzonym trafniej, bo spokojniej. Pod wieczór wyjechał Miller, aby przy ostatnich błyskach zachodzącego słońca skutki dobrze obejrzeć, i wzrok jego padł na wieżę rysującą się spokojnie na tle błękitu.

– Ten klasztor wieki wieków stać będzie! – zakrzyknął w uniesieniu.

– Amen! – odpowiedział spokojnie Zbrożek.

Wieczorem zebrała się znów w jeneralnej kwaterze narada, jeszcze posepniejsza niż zwykle. Zagaił ją sam Miller.

– Szturm dzisiejszy – rzekł – żadnych nie przyniósł rezultatów. Prochy nasze się kończą, lud zmarniał w połowie, reszta, zniechęcona, klęski, nie zwycięstwa, wygląda. Zapasów już nie mamy, posiłków nie możemy się spodziewać.

– A klasztor jako pierwszego dnia oblężenia nienaruszony stoi! – dodał Sadowski.

– Co nam pozostaje?

– Hańba...

– Odebrałem rozkazy – rzekł generał – bym prędzej kończył lub odstąpił i szedł do Prus.

– Co nam pozostaje?... – powtórzył książę Heski.

Wszystkie oczy zwróciły się na Wrzeszczowicza, ten zaś rzekł:

– Ratować honor!

Śmiech krótki, urywany, podobniejszy do zgrzytu zębów, wydobył się z ust Millera, którego Poliocertesem zwano.

– Pan Wrzeszczowicz chce nas nauczyć, jak wskrzeszać zmarłych – rzekł.

Wrzeszczowicz udał, że nie słyszy.

– Honor uratowali tylko polegli – rzekł Sadowski.

Miller począł tracić zimną krew.

– I ten klasztor stoi tam jeszcze?... Ta Jasna Góra, ten kurnik?!... I ja go nie zdobyłem?!... I my odступujemy?... Czyli to sen, czy mówię na jawie?...

– Ten klasztor, ta Jasna Góra stoi tam jeszcze – powtórzył słowo w słowo książę Heski – i my odступujemy... pobici!...

Nastąpiła chwila milczenia; zdawało się, że wódz i jego podwładni znajdują dziką rozkosz w rozpamiętywaniu własnego upokorzenia i wstydu.

Wtem Wrzeszczowicz głos zabrał i mówił z wolna i dobitnie:

– Nieraz trafiało się – rzekł – we wszystkich wojnach, że obleżona forteca okupowała się oblegającym, a wówczas ci odchodzili jak zwycięzcy, bo kto składa okup, ten tym samym zwyciężonym się uznaje.

Oficerowie, którzy z początku ze wzgardą i lekceważeniem słuchali słów mówiącego, teraz poczęli słuchać uważnie.

– Niech ten klasztor złoży nam jakikolwiek okup – mówił dalej Wrzeszczowicz – wówczas nikt nie powie, żeśmy go zdobyć nie mogli, jeno żeśmy nie chcieli.

– Ale czy oni się zgodzą? – spytał książę Heski.

– Moją głowę w zakład stawię – odparł Weyhard – i więcej nad to: mój honor żołnierski!

– Może to być! – rzekł nagle Sadowski. – Mamy dość tego obleżenia my, ale mają go dość i oni. Co wasza dostojność o tym myśli?

Miller zwrócił się do Wrzeszczowicza:

– Niejedną ciężką, cięższą niż kiedykolwiek w życiu chwilę przeżyłem z przyczyny waszych rad, panie hrabio, jednak za tę ostatnią dziękuję i wdzięczność zachowam.

Wszystkie piersi lżej odetchnęły. Rzeczywiście, nie mogło już chodzić o nic innego jak o wycofanie się z honorem.

Nazajutrz, w dzień świętego Szczepana, oficerowie zgromadzili się co do jednego, aby wysłuchać odpowiedzi księdza Kordeckiego na list Millera, który obejmował propozycję okupu, a był wysłany od rana.

Przyszło długo czekać. Miller udawał wesołość, ale przymus był widoczny w jego twarzy. Nikt z oficerów nie mógł usiedzieć na miejscu. Wszystkie serca były niespokojnie.

Książę Heski i Sadowski stali pod oknem, rozmawiając z cicha.

– Co waszmość myślisz? zgodzą się? – zapytał pierwszy.

– Wszystko za tym mówi, że się zgodzą. Kto by nie chciał pozbyć się tak straszliwego bądź co bądź niebezpieczeństwa za cenę kilkunastu tysięcy talarów, zwłaszcza że mnisi światowych ambicji i żołnierskich honorów nie mają, a przynajmniej mieć nie powinni. Boję się tylko, czy generał za wiele nie zażądał.

– Ile zażądał?

– Czterdzieści tysięcy talarów od mnichów, a dwadzieścia od szlachty. No! ale w najgorszym razie będą się chcieli potargować.

– Ustępujemy, na Boga, ustępujemy! Gdybym wiedział, że nie mają pieniędzy, wolałbym im ze swoich pożyczyć, byle chociaż z pozorem honoru pozwolili nam odejść.

– A ja powiem waszej książęcej mości, że lubo tym razem uznaję radę Wrzeszczowicza za dobrą i wierzę w to, że się okupią, taka mnie gorączka trawi, że wołałbym dziesięć szturmów niż to oczekiwanie.

– Uf! masz waszmość słuszność. Ale ten Wrzeszczowicz jednak... może zajść wysoko...

– Choćby na szubienicę.

Rozmawiający nie odgadli. Hrabiego Weyharda Wrzeszczowicza czekał bowiem gorszy los nawet od szubienicy.

Lecz tymczasem huk wystrzałów przerwał im dalszą rozmowę.

– Co to jest? strzały z fortecy?! – krzyknął Miller.

I zerwawszy się jak opętany, wybiegł z izby.

Wybiegli za nim wszyscy i poczęli nasłuchiwać. Odgłos regularnych salw dochodził istotnie z fortecy.

– Dla Boga! jakie to może mieć znaczenie?... Biją się w środku czy co?! – wołał Miller – nie rozumiem!

– Ja to waszej dostojności wytłumaczę – rzekł Zbrozek – dziś święty Szczepan, imieniny panów Zamojskich, ojca i syna, na ich to cześć strzelają.

Wtem i okrzyki wiwatowe doszły z fortecy, a za nimi nowe salwy.

– Dość mają prochów! – rzekł ponuro Miller. – To nowa dla nas wskazówka.

Lecz los nie oszczędził mu i drugiej, bardziej bolesnej wskazówki. Oto żołnierze szwedzcy tak już byli zniechęceni i na duchu upadli, że na odgłos strzałów fortecznych oddziały pilnujące najbliższych szańców opuściły je w popłochu.

Miller widział cały jeden regiment wybornych strzelców smalandzkich, który w zamieszaniu schronił się aż pod jego kwaterę; słyszał także, jak oficerowie powtarzali między sobą na ten widok:

– Czas, czas, czas odstąpić!

Lecz powoli uspokoiło się wszystko – jedno wrażenie pognębiające zostało. Wódz, a za nim podkomendni weszli znów do izby i czekali, czekali niecierpliwie; nawet nieruchoma aż dotąd twarz Wrzeszczowicza zdradzała niepokój.

Na koniec brzęk ostróg rozległ się w sieni i wszedł trębacz, cały zarumieniony od mrozu, z wąsami okrytymi szronem oddechu.

– Odpowiedź z klasztoru! – rzekł oddając sporą paczkę, obwiniętą w chustkę kolorową, związaną sznurkiem.

Millerowi drżały nieco ręce i wołał przeciąć sznurek pugiuałem niż odwiązywać go z wolna. Kilkanaście par oczu utkwionych było nieruchomie w paczkę, oficerowie oddech wstrzymali.

Jenerał odwinął jeden skład chusty, drugi, trzeci i odwijał coraz spieszej, aż wreszcie na stół wypadła paczka opłatków.

Wówczas pobladł i choć nikt nie potrzebował objaśnienia, co znajdowało się w chustce, rzekł:

– Opłatki!...

– Nic więcej? – spytał ktoś z tłumu.

– Nic więcej – odpowiedział jak echo jenerał.

Nastąpiła chwila milczenia, przerywana tylko głośnymi oddechami, czasem też rozległ się zgrzyt zębów, czasem trzaśnięcie rapierem.

– Panie Wrzeszczowicz! – rzekł wreszcie Miller strasznym i złowrogim głosem.

– Nie ma go już! – odpowiedział jeden z oficerów.

I znów nastąpiło milczenie.

Natomiast w nocy zapanował ruch w całym obozie. Ledwie światła dzienne zagasty, słychać było głosy komendy, przebieganie znacznych oddziałów jazdy, odgłos regularnych kroków piechoty, rzenie koni, skrzyp wozów, głuchy turkot dział, zgrzytanie żelastwa, dźwięk łańcuchów, szum, gwar i wrzenie.

– Czy nowy szturm na jutro? – mówili strażnicy przy bramach.

Lecz nie mogli nic widzieć, bo z wieczora niebo zawlokło się chmurami i począł padać śnieg obfity.

Gęste jego płaty przesłaniały świat. Około piątej w nocy wszystkie odgłosy ucichły, lecz śnieg padał coraz gęstszy. Na murach i blankach wież tworzył nowe mury, nowe blanki. Pokrył cały klasztor i kościół, jakby go chciał ukryć przed wzrokiem najeźdźców, otulić i osłonić przed ognistymi pociskami.

Na koniec zaczęło szarzyć i dzwonek ozwał się już na jutrznię, gdy żołnierze strażujący przy południowej bramie usłyszeli parskanie konia.

Przed bramą stał chłop, cały zasypany śniegiem; za nim widać było na wjazdowej drodze niskie, małe sanki drewniane, zaprzężone w chudą i poszerszeniałą szkapę.

Chłop począł „zabijać” ręce, przestępować z nogi na nogę i wołać:

– Ludzie, a otwórzcie tam!

– Kto żywie? – zapytano z murów.

– Swój, ze Dzbowa!... Przywiozłem dobrodziejom zwierzyne.

– A jakże cię to Szwedy puścili?

– Jakie Szwedy?

– Którzy kościół oblegają.

– Oho, nie masz już nijakich Szwedów!

– Wszelki duch Boga chwali! Odeszli?

– Już za nimi i ślady zasypało!

Wtem gromady łyczków i chłopów zaczerniały na drodze: jedni jechali konno, drudzy szli piechotą, były i niewiasty, a wszyscy z daleka już wołać zaczęli:

– Nie masz Szwedów! nie masz!

– Poszli do Wielunia!

– Otwórzta tam bramy! Ni człeka w obozie!

– Szwedzi odeszli! Szwedzi odeszli! – zaczęto wołać na murach i wieść piorunem rozbiegła się w okrąg.

Żołnierze dopadli dzwonów i uderzyli we wszystkie jakby na alarm. Kto żył, wypadł z cel, mieszkań, z kościoła.

Wieść brzmiała ciągle. Podwórzec zaroił się zakonnikami, szlachtą, żołnierstwem, niewiastami i dziećmi. Radosne okrzyki rozległy się dokoła. Jedni wypadali na mury, aby pusty obóz obejrzyć; inni wybuchali śmiechem lub szlochaniem.

Niektórzy nie chcieli wierzyć jeszcze; lecz napływały coraz nowe gromady tak chłopstwa, jako i mieszczaństwa.

Szli tedy z miasta Częstochowy i z wiosek okolicznych, i z lasów pobliskich, gwarno, wesolo i ze śpiewaniem. Krzyżowały się coraz nowe wieści; każdy widział odchodzących Szwedów i opowiadał, dokąd odchodzili.

W kilka godzin później pełno było ludzi na pochyłości i na dole pod górą. Bramy klasztoru otwarły się szeroko, jako zwyczajnie bywały przed wojną otwarte; jeno wszystkie dzwony były, były, były... a owe głosy tryumfu leciały w dal i słyszała je cała Rzeczpospolita.

Śnieg zasypywał ciągle ślady Szwedów.

\*

O południu dnia tego kościół był tak nabity, że jako na brukowanych ulicach miejskich kamień leży jeden obok drugiego, tak tam głowa była przy głowie. Sam ksiądz Kordecki miał mszę dziękczynną, a tłumom ludzkim zdawało się, że to biały anioł ją odprawia. I zdawało się także, że duszę wyśpiewa w tej wotywie lub że z dymami kadzideł uniesie się ku górze i rozwieje Bogu na chwałę.

Huk dział nie wstrząsał już murów ani szyb w oknach, nie zasypywał kurzawą ludu, nie przerywał modlitw ani tej dziękczynnej pieśni, którą wśród uniesienia i płaczu powszechnego zaintonował święty przeor:

*Te Deum laudamus!...*



## ROZDZIAŁ XX

Kmicica i Kiemliczów szparko konie niosły do granicy śląskiej. Jechali ostrożnie, by się z jakim podjazdem szwedzkim nie spotkać, bo jakkolwiek chytry Kiemlicze mieli „passy”, wydane przez Kuklinowskiego, a podpisane przez Millera, jednakże żołnierzy, nawet zaopatrzonych w podobne dokumenta, poddawano zwykle badaniu, takie badanie zaś mogło źle wypaść dla pana Andrzeja i jego towarzyszków. Jechali więc pospiesznie, by granicę przejść jak najprędzej i w głąb cesarskiego kraju się zasunąć. Same brzegi graniczne nie były także od „grasantów” szwedzkich bezpieczne, a częstokroć i całe oddziały rajtarów zapuszczały się na Śląsk, by imać tych, którzy się do Jana Kazimierza przebierali. Ale Kiemlicze, przez czas postojów pod Częstochową zatrudnieni ustawicznie łowami na pojedynczych Szwedów, przeznali już na wskrós całą okolicę, wszystkie graniczne drogi, ścieżki i przechody, na których połów bywał najobfitszy, i byli jakby we własnym kraju.

Przez drogę opowiadał stary Kiemlicz panu Andrzejowi, co słyhać w Rzeczypospolitej, pan Andrzej zaś, zamknięty przez tak długi czas w fortecy, słuchał tych nowin chciwie i o bólu własnym zapomniawszy, gdyż były one nader dla Szwedów niepomyślne i zwiastowały bliski już koniec panowania szwedzkiego w Polsce.

– Wojsko już sobie przykrzy szwedzką fortunę i szwedzką kompanię – mówił stary Kiemlicz – a co dawniej żołnierze gardłem hetmanom grozili, gdyby się nie chcieli ze Szwedem połączyć, tak teraz sami do pana Potockiego instancję wnoszą i deputację wysyłają, żeby Rzeczpospolitą z opresji ratował, przysięgając wszyscy do gardła przy nim stać. Niektórzy też pułkownicy na swoją rękę poczęli Szwedów podjeżdżać.

– Któż pierwszy poczał?

– Jest pan Żegocki, starosta babimostski, z panem Kuleszą. Ci w Wielkopolsce rozpoczęli i znacznie Szwedów konfundują; siła mniejszych oddziałów jest w całym kraju, ale nazwisk przywódców ciężko wiedzieć, gdyż oni umyślnie ich nie powiadają, a to dlatego, by swoje rodziny i substancje od pomsty szwedzkiej uchronić. Z wojska pierwszy się podniósł ten pułk, któremu pan Wojniłowicz pułkownikuje.

– Gabriel?... – Toż to mój krewny, chociaż go nie znam!

– Szczery to żołnierz. On to partię zdrajcy Prackiego starł, która Szwedom służyła, i samego rozstrzelał, a teraz ku góróm srogim poszedł, które za Krakowem leżą; tam oddział szwedzki zniósł i góralów ratował, w ucisku od Szwedów będących...

– To zaś i górale Szwedów już biją?

– Oni najpierw zaczęli; jeno, jako to głupie chłopstwo, chcieli zaraz Kraków siekierkami odbierać, których generał Douglas rozprószył, gdyż oni w równinach eksperyencji żadnej nie mają, ale co w góry za nimi kilka partii posłali, to z tych żaden człowiek nie wrócił. Teraz pan Wojniłowicz one chłopstwo wspomógł, sam zaś do pana marszałka do Lubowli poszedł i z jego się wojskami połączył.

– Zali pan marszałek Lubomirski przeciw Szwedom stoi?

– Różnie o nim gadali, że się i na tę, i na tę stronę namyślał, ale jak już poczęto w całym kraju na koń siadać, tak i on się na Szwedów zawiązał. Można to pan i siła złego może im uczynić! Sam on jeden mógłby z królem szwedzkim wojować. Powiadają też ludzie, że do wiosny ani jednego Szweda w Rzeczypospolitej nie będzie...

– Da Bóg, że się to stanie!

– Jakże ma być inaczej, wasza miłość, skoro za oblężenie Częstochowy wszyscy się przeciw nim zawięli. Wojsko się buntuje, szlachta bije ich już, gdzie może, chłopstwo się w kupy zbiera, a do tego Tatarzy idą, idzie chan własną osobą, który Chmielnickiego i Kozaków pobił i obiecał ich ze szczętem zetrzeć, chyba że na Szwedów ruszą.

– Ale i Szwedzi mają jeszcze znacznych stronników między panami a szlachtą?  
– Ten się ich jeno trzyma, kto musi, a i tacy pory tylko wyczekują. Jeden ksiązę wojewoda wileński szczerze do nich przystąpił, toteż na złe mu to wyszło.

Kmicic aż konia wstrzymał i jednocześnie za bok się uchwycił, bo go ból srogi przeszył.

– Na Boga! – zawołał stłumiwszy jęk – gadajże mi, co się z Radziwiłłem dzieje? Zali ciągle siedzi w Kiejdanach?

– Bramo z kości słoniowej! – rzekł stary – tyle ja wiem, co ludzie gadają, a Bóg wie, czego nie gadają. Mówią jedni, że ksiązę wojewoda już nie żywie; inni, że się jeszcze panu Sapież broni, ale ledwie tchnie. Podobno na Podlasiu się ze sobą mocowali i pan Sapieha zmógł, bo Szwedzi nie mogli księcia wojewody ratować... Teraz prawią, że w Tykocinie przez pana Sapiechę oblężon i że już po nim.

– Chwała Bogu! Zacni tryumfują nad zdrajcami!... Chwała Bogu! Chwała Bogu!

Kiemlicz popatrzył spode łba na Kmicica i sam nie wiedział, co ma myśleć. Przecie wiadomo było w całej Rzeczypospolitej, że jeżeli Radziwiłł zatriumfował z początku nad swymi własnymi wojskami i nad szlachtą, która szwedzkiego panowania nie chciała, to stało się to w znacznej części dzięki Kmicicowi i jego ludziom.

Lecz z tą myślą stary nie zdradził się przed swym pułkownikiem i jechali dalej w milczeniu.

– A co się dzieje z księciem koniuszym? – spytał wreszcie pan Andrzej.

– Nie słyszałem o nim nic, wasza miłość – odrzekł Kiemlicz. – Może jest w Tykocinie, a może u elektora. Teraz tam wojna i król szwedzki osobą własną do Prus wyruszył, a my tymczasem naszego pana wyglądamy. Daj go Bóg! bo niechby się tylko pokazał, wszyscy by co do jednego człeka przy nim stanęli i wojsko by zaraz Szwedów opuściło.

– Pewnież tak?

– Wasza miłość! ja wiem tylko to, co ci żołnierze mówili, którzy ze Szwedami pod Częstochową stać musieli. Jest tam grzecznej jazdy na kilka tysięcy pod panem Zbrożkiem, pod panem Kalińskim i innymi pułkownikami. Śmiem powiedzieć waszej miłości, że żaden tam z dobrej woli nie służy, chyba grasanci Kuklinowskiego, bo ci chcieli się skarbami jasnogórskimi obłowić. Ale co zacni żołnierze, to tylko lamentowali i jeden przed drugim narzekał: „Dość nam tej służby żydowskiej! Niech jeno pan nasz nogą granicę przestąpi, wraz szable na Szwedów obrócimy, ale póki go nie ma, jak nam poczynać? gdzie iść?” Tak oni narzekali, a po innych pułkach, które są pod hetmanami, gorzej jeszcze. To wiem pewno, bo przyjeżdżali od nich deputaci do pana Zbrozka z namowami i tam sekretnie po nocach radzili, o czym Miller nie wiedział, chociaż i on czuł, że źle koło niego.

– A ksiązę wojewoda wileński w Tykocinie oblężon? – spytał pan Andrzej.

Kiemlicz znów spojrzał niespokojnie na Kmicica, bo pomyślał, że go chyba gorączka chwyta, skoro dwa razy każe sobie jedną i tęż samą wiadomość powtarzać, o której dopiero co była mowa – jednakże odpowiedział:

– Oblężon przez pana Sapiechę.

– Sprawiedliwe sądy boże! – rzekł Kmicic. – On, który mógł potęgą z królami się równać!... Niktże przy nim nie został?

– W Tykocinie jest załoga szwedzka. A przy osobie księcia wojewody tylko się pono trochę dworzan co wierniejszych zostało.

Kmicica pierś napęliła się radością. Bał się pomsty straszego magnata nad Oleńką, a chociaż zdawało mu się, że tej pomście pogroźkami swymi zapobiegł, ciągle przecie trapiła go ta myśl, że lepiej i bezpieczniej byłoby Oleńce i wszystkim Billewiczom mieszkać w lwiej jamie niż w Kiejdanach, pod ręką księcia, który nigdy nikomu nie przebaczył. Teraz jednak, gdy on upadł, musieli tym samym przeciwnicy jego tryumfować; teraz, gdy go pozbawiono sił, znaczenia, gdy był panem jednego tylko lichego zameczku, w którym życia własnego i wolności bronił, nie mógł przecie myśleć o zemście; ręka jego przestała ciężać nad nieprzyjaciół.

– Chwała bądź Bogu! chwała bądź Bogu! – powtórzył Kmicic.

I tak miał głowę zaprzątniętą tą zmianą radziwiłowskich losów i tym, co się przez cały czas jego pobytu w Częstochowie zdarzyło, i tym, gdzie jest ta, którą pokochało jego serce, i tym, co się z nią stało – że po raz trzeci spytał Kiemlicza:

– Mówisz tedy, że księżę złaman?

– Złaman ze szczętem – odpowiedział stary. – Czy wasza miłość nie chory?

– Bok jeno piecze. Nic to! – odrzekł Kmicic.

I znów jechali w milczeniu. Strudzone konie zwalniały stopniowo kroku, aż wreszcie poczęły iść stępa. Jednostajny ruch ten uspił znużonego na śmierć pana Andrzeja – i spał długo, kiwając się na kulbace. Zbudziło go dopiero białe światło dzienne.

Obejrzał się ze zdziwieniem dokoła, bo zdało mu się w pierwszej chwili, że wszystko, co tej nocy przeszedł, to był tylko sen; wreszcie spytał:

– To wy, Kiemlicze? My spod Częstochowy jedziem?

– A jakże, wasza miłość!

– A gdzie jesteście?

– Oho! już w Śląsku. Już nas tu Szwedzi nie dostaną!

– To dobrze! – rzekł Kmicic oprzytomniawszy zupełnie. – A gdzie nasz miłościwy król rezyduje?

– W Głogowej.

– Tam też pojedziemy panu do nóg się pokłonić, służby ofiarować. Ale słuchaj no, stary!

– Słucham, wasza miłość!

Lecz Kmicic zamyślił się i nie od razu mówić począł. Widocznie coś w głowie układał, wahał się, rozważał, na koniec rzekł:

– Nie może być inaczej!

– Słucham, wasza miłość! – powtórzył Kiemlicz.

– Ni królowi, ni nikomu z dworskich nie pisnąć, ktom jest!... Zwę się Babinicz, a jedziem z Częstochowy. O kolubrynie i o Kuklinowskim możecie mówić... Ale nazwiska mego nie wspominać, żeby tam moich intencyj na wspak nie wzięto i za zdrajcę mnie nie poczytano, bom ja w zaślepieniu księciu wojewodzie wileńskiemu służył i jeszcze mu pomagał, o czym na dworze mogli słyszeć.

– Panie pułkowniku! Po tym, czego wasza miłość pod Częstochową dokonał...

– A kto da świadectwo, że to prawda, póki klasztor obleżony?

– Stanie się wedle rozkazu.

– Nadbieży czas, że prawda na wierzch wyjdzie – rzekł jakby do siebie Kmicic – ale pierwej musi się pan nasz miłościwy sam przekonać... On też da mi później świadectwo!

Na tym urwała się rozmowa. Tymczasem uczynił się dzień zupełny. Stary Kiemlicz począł śpiewać godzinki, a Kosma i Damian wtórowali mu basem. Droga była uciążliwa, bo mróz trzymał trzaskający, a przy tym ustawicznie zatrzymywano na drodze jadących i wypytywano o nowiny, zwłaszcza zaś o to, czy Częstochowa broni się jeszcze. Kmicic odpowiadał, że się broni i obroni, lecz pytaniom nie było końca. Gościńce roily się od podróżnych, gospody wszędzie po drodze pozajmowane. Jedni chronili się w głąb kraju z pogranicznych ziem Rzeczypospolitej przed uciskiem szwedzkim, drudzy pomykali ku granicom po wieści z kraju; raz w raz spotykano szlachtę, która mając dość Szwedów jechała, tak jak i Kmicic, służby wygnanemu panu ofiarować. Czasem trafiały się i poczty pańskie, czasem większe lub mniejsze oddziały żołnierzy z tych wojsk, które bądź to dobrowolnie, bądź na mocy układów ze Szwedami przeszły granice, jak na przykład wojska pana kasztelana kijowskiego. Wieści z kraju już były ożywiły nadzieje tych exulów i wielu gotowało się do zbrojnego powrotu. W całym Śląsku, a zwłaszcza w księstwach raciborskim i opolskim, gotowało się jak w garnku; posłańcy latali z listami do króla i od króla do pana kasztelana kijowskiego, do prymasa, do pana kanclerza Korycińskiego, do pana Warszyckiego, kasztelana krakowskiego, pierwszego senatora Rzeczypospolitej, który ani na chwilę nie opuścił sprawy Jana Kazimierza.

Panowie ci, w porozumieniu z wielką królową, niezachwianą w nieszczęściu, porozumiewali się i ze sobą, i z krajem, i z przedniejszymi w nim ludźmi, o których wiedzano, że radzi by do wierności prawemu panu powrócić. Swoją drogą słał gońców i pan marszałek koronny, i hetmani, i wojsko, i szlachta gotująca się do chwycenia za broń.

Była to wilia do powszechnej wojny, która w niektórych miejscach już wybuchła. Szwedzi tłumili te miejscowe porywy bądź orężem, bądź siekierą kata, lecz ogień, zgaszony w jednym miejscu, natychmiast zapalał się w drugim. Burza straszliwa zawisła nad głowami skandynawskich najezdników; ziemia sama, lubo pokryta śniegami, poczęła parzyć ich stopy; groźba i pomsta otaczały ich ze wszystkich stron, straszły ich cienie własne.

Więc chodzili jak błędni. Niedawne pieśni tryumfu zamarły im na ustach, i sami pytali siebie z największym zdumieniem: „Jestli to ten sam naród, który wczoraj jeszcze opuścił własnego pana, poddał się bez boju?” – Jakże! panowie, szlachta, wojsko niebywałym w dziejach przykładem przeszło do zwycięzcy; miasta i zamki otwierały bramy; kraj był zajęty. Nigdy podbój nie kosztował mniej sił i krwi. Sami Szwedzi dziwiąc się tej łatwości, z jaką zajęli potężną Rzeczpospolitą, nie mogli ukryć pogardy dla zwyciężonych, którzy za pierwszym połyskiem szwedzkiego miecza wyparli się króla, ojczyzny, byle życia i dóbr w spokoju zażywać albo nowych w zamieszaniu nabyć. To, co w swoim czasie mówił cesarskiemu posłowi Lisoli Wrzeszczowicz, powtarzał sam król i wszyscy generałowie szwedzcy: „Nie ma w tym narodzie męstwa, nie ma stałości, nie ma ładu, nie ma wiary ani patriotyzmu! – muszą zginąć!”

Zapomnieli, że ten naród ma jeszcze jedno uczucie, to właśnie, którego ziemskim wyrazem była Jasna Góra.

I w tym uczuciu było jego odrodzenie.

Więc huk dział, który odezwał się pod świętym przybytkiem, odezwał się zarazem we wszystkich sercach magnackich, szlacheckich, mieszczańskich i chłopskich. Okrzyk zgromadził się od Karpat do Bałtyku i olbrzym rozbudził się z odrętwienia.

– To inny naród! – mówili ze zdumieniem generałowie szwedzcy.

I począwszy od Arfuida Wittenberga, a skończywszy na komendantach pojedynczych zamków, wszyscy ślali do bawiącego w Prusach Karola Gustawa wieści pełne przerażenia.

Ziemia usuwała im się spod nóg; zamiast dawnych przyjaciół, potykali wszędy wrogów; zamiast poddania się, opór; zamiast obawy, dziką i gotową na wszystko odwagę; zamiast miękkości, okrucieństwo; zamiast cierpliwości, zemstę.

A tymczasem z rąk do rąk przelatywał tysiącami w całej Rzeczypospolitej manifest Jana Kazimierza, który poprzednio, już ze Śląska wydany, zrazu nie budził echa. Teraz przeciwnie, widywano go po zamkach jeszcze nie zajętych. Gdzie tylko nie cięży ta szwedzka ręka, tam szlachta zbierała się w kupy i kupki i biła się w piersi słuchając wzniosłych słów wygnanego króla, który wytykając błędy i grzechy rozkazywał nie tracić nadziei i do ratunku upadłej Rzeczypospolitej się zrywać.

„Nie minął jednak czas (pisał Jan Kazimierz), chociaż tak już daleko postąpił nieprzyjaciół, abyśmy utraconych prowincyj i miast odzyskać nie mogli, i Bogu powinnej chwały powrócić, sprofanowane kościoły krwią nieprzyjacielską nasycić, a wolności i prawa dawne w klubę zwyczajną i staropolskie postanowienie wprowadzić nie mogli; byle się tylko ta staropolska cnota i ona starożytnych przodków Uprzejmości i Wierności waszych ku Panu *observantia*, i miłość, z jakowej się przed różnymi narodami nasz dziad Zygmunt Pierwszy szczylił, powróciła. Przystąpiła już tedy pierwszych występków odmiana ku nocy. Komu Bóg i wiara Jego święta pierwsza nad wszystko dobro, przeciwko temu szwedzkiemu nieprzyjacielowi Uprzejmości i Wierności wasze powstańcie. Nie czekajcie wodzów i wojewód albo takiego porządku, jaki w pospolitym prawie opisany. Już teraz między Uprzejmościami i Wiernościami waszymi nieprzyjaciół wszystkie te rzeczy pomieszał; ale jeden do drugiego, trzeci do dwu, czwarty do trzech, piąty do czterech i tak *per consequens*, by też każdy i z własnymi poddanymi zgromadzcie się, a gdzie słuszna, na jaki opór zwiedźcie się. Tam sobie wodza obierzecie dopiero. Jedna do drugiej kupy

wiązcie się i słuszne już z siebie wojsko uczyniwszy, wodza nad nim wiadomego obrawszy, osoby naszej poczekajcie, nie opuszczając okazji, gdyby się trafiła, do porażenia nieprzyjaciela. My, bylebyśmy o okazji i gotowości, i skłonności ku nam Uprzejmości i Wierności waszych usłyszeli, zaraz natychmiast przybędziemy i zdrowie nasze tam położymy, gdzie zaszczylenie całości ojczyzny potrzebować będzie.”

Uniwersał ten odczytywano nawet w obozie Karola Gustawa, nawet po zamkach szwedzkie załogi mających, i wszędzie gdzie się tylko polskie chorągwie znajdowały. Szlachta łzami oblewała każde słowo królewskie, dobrego pana żalując, i zaprzysięgała sobie na krzyżach, na wizerunkach Najświętszej Panny i szkaplerzach woli jego uczynić zadość. Żeby zaś gotowości swej złożyć dowód, póki zapal tłał w sercach a łzy nie obeschły, siadano, nie czekając długo, tu i owdzie na koń i rzucano się jeszcze „za ciepła” na Szwedów.

W ten sposób mniejsze oddziały szwedzkie topnieć i ginąć poczęły. Działo się to na Litwie, Żmudzi, Mazowszu, Wielko- i Małopolsce. Nieraz szlachta zebrawszy się u sąsiada na chrzciny, imieniny, na wesele lub kulig, bez żadnych wojowniczych zamiarów, kończyła na tym zabawę, że popiwszy uderzała jak grom i wycinała w pień pobliską szwedzką komendę. Po czym kulig wśród pieśni i okrzyków, przybierając po drodze tych, który się „ochocić” chcieli, jechał dalej, zmieniał się w tłum chciwy krwi, z tłumy w „partię”, która już stałą rozpoczynała wojnę. Poddani chłopcy i czeladź całymi tłumami garnęli się do zabawy; inni donosili o pojedynczych Szwedach lub pomniejszych oddziałach, po wsiach nieostrożnie roztasowanych. I liczba „kuligów” i „maszkar” zwiększała się z dniem każdym. Wesołość i fantazja, właściwa narodowi, mieszała się do tych krwawych zabaw.

Chętnie przebierano się za Tatarów, których samo imię napępiało trwogą Szwedów, dziwne bowiem krążyły między nimi wieści i bajki o dzikości i straszliwym a okrutnym męstwie tych synów krymskich stepów, z którymi Skandynawowie nie spotkali się dotąd nigdy. Że zaś wiadano powszechnie, iż chan w sto tysięcy, okrągło, ordy idzie w pomoc Janowi Kazimierzowi, a szlachta hałasowała napadając na komendy, powstało stąd dziwne zamieszanie.

Pułkownicy i komendanci szwedzcy w wielu miejscach byli istotnie przekonani, że Tatarzy już nadeszli, i cofali się na gwałt do większych fortec lub obozów, roznosząc wszędzie wieść fałszywą i trwogę. Tymczasem okolice, które pozbyły się w ten sposób nieprzyjaciela, mogły się zbroić i niesforne tłuszcze w rzędniejsze wojsko zamieniać.

Lecz groźniejsze jeszcze dla Szwedów od kuligów szlacheckich i od samych Tatarów były ruchy chłopskie. Od dawna, od pierwszego dnia oblężenia Częstochowy, poczęło wrzeć pomiędzy ludem i spokojni a cierpliwi dotąd oracze jęli tu i owdzie stawiać opór, i tu i owdzie chwytając za kosy i cepy, a szlachcie pomagać. Bystrzejsi jenerałowie szwedzcy z największą obawą patrzyli na te chmury, które lada chwila mogły się zmienić w potop prawdziwy i pochłonąć bez ratunku najeźdźców.

Postrach wydawał im się najwłaściwszym środkiem, by zgnieść w zarodzie straszne niebezpieczeństwo. Karol Gustaw głaskał jeszcze i pochlebny słowy utrzymywał te chorągwie polskie, które za nim do Prus poszły. Nie szczędził też pochlebstw panu chorążemu Koniecpolskiemu, słynnemu regimentarzowi spod Zbaraża. Ten stał przy jego boku z sześciu tysiącami niezrównanej jazdy, która przy pierwszym nieprzyjacielskim starciu z elektorem taki postrach i zniszczenie rozniosła między Prusakami, że elektor, zaniechawszy boju, co prędzej na układy się zgodził.

Słał król szwedzki także listy do hetmanów, do magnatów i szlachty, pełne łaski, obietnic i zachęcań, by mu wierności dochowali. Lecz jednocześnie wydał rozkazy swym jenerałom i komendantom niszczenia ogniem i mieczem wszelkiego oporu wewnątrz kraju, a zwłaszcza wycinania w pień kup chłopskich. Rozpoczął się tedy okres żelaznych rządów żołnierskich. Szwedzi porzucili pozory przyjaźni. Miecz, ogień, rabunek, ucisk zastąpiły dawną udawaną życzliwość. Z zamków komenderowano potężne oddziały jazdy i piechoty w pościgu za kuligami. Równano z

ziemią całe wsie, palono dwory, kościoły i plebanie. Jeńców szlachtę oddawano w ręce katom; chłopom wziętym w niewolę obcinano prawe ręce i puszczano do domów.

Szczególnie srożyły się owe oddziały w Wielkopolsce, która jak najpierwsza się poddała, tak też najpierwsza podniosła się przeciw obcemu panowaniu. Komendant Stein rozkazał tam pewnego razu poucinać ręce przeszło trzystu chłopom pochwyconym z bronią w ręku. Po miasteczkach pobudowano stałe szubienice i co dzień ubierano je nowymi ofiarami. Toż samo czynił Magnus de la Gardie na Litwie i Żmudzi, gdzie naprzód zaścianki, a za nimi i chłopstwo broń chwyciło. Że zaś w ogóle w zamieszaniu trudno było Szwedom odróżnić własnych obrońców od nieprzyjaciół, przeto nie szczczędzono nikogo.

Lecz ogień podsycany krwią, zamiast gasnąć, wzmagał się coraz więcej i rozpoczęła się wojna, w której obu stronom nie chodziło już o same zwycięstwa, o zamki i miasta lub prowincje, ale o śmierć i życie. Okrucieństwo wzmagало nienawiść, i poczęto nie walczyć, lecz tępić się wzajemnie bez miłosierdzia.

## ROZDZIAŁ XXI

Ta wojna wytopienia była dopiero w początku, gdy pan Kmicic wraz z trzema Kiemliczami dotarł po trudnej, ze względu na jego nadwreżone zdrowie, podróży do Głogowej. Przyjechali nocą. Miasto było przepelnione od wojska, panów, szlachty, sług królewskich i magnackich, a gospody tak pozajmowane, że stary Kiemlicz z największym trudem wystarał się o kwaterę dla pana Andrzeja u powroźnika mieszkającego już za miastem.

Dzień ten przeleżał pan Andrzej w bólu i w gorączce od oparzenia. Chwilami myślał, że przyjdzie mu ciężko, obłożnie zachorować. Ale żelazna natura przemogła. Następnej nocy uczyniło mu się lżej, a świtanie ubrał się już i poszedł do farnego kościoła Bogu za cudowne swe ocalenie podziękować.

Szary i śnieżny zimowy ranek zaledwie rozprószył ciemności. Miasto jeszcze spało, ale przez drzwi kościoła widać już było światło w ołtarzu i dochodziły go głosy organów.

Kmicic wszedł do środka. Ksiądz przed ołtarzem odprawiał wotywę, w kościele mało jeszcze było modlących się. W ławkach klęczało kilkanaście postaci z twarzami ukrytymi w dłoniach, a oprócz nich ujrzał pan Andrzej, gdy oczy jego oswoiły się z ciemnością, jakąś postać leżącą krzyżem przed samymi stallami, na rozciągniętym na ziemi kobierczyku. Za nim klęczało dwóch wyrostków o rumianych i prawie anielskich dziecinnych twarzach. Człowiek ten leżał bez ruchu i tylko z piersi, poruszanych ustawicznie ciężkimi westchnieniami, można było poznać, że nie śpi, że modli się gorliwie i całą duszą. Kmicic również pograżył się w modlitwie dziękczynnej; lecz po ukończonych pacierzach oczy jego mimo woli zwróciły się na leżącego krzyżem męża i nie mogły się już od niego oderwać, tak je coś przykuwało do niego. Westchnienia podobne do jęków, głośne w ciszy kościelnej, wstrząsały ciągle tę postać. Żółte blaski świec zapalonych przed ołtarzem, wraz ze światłem dziennym, bielejącym w szybach, wydobywały ją z mroku i czyniły coraz widniejszą.

Pan Andrzej zaraz domyślił się z ubioru, że to musi być ktoś znaczny, gdyż i wszyscy obecni, nie wyłączając księdza odprawiającego wotywę, spoglądali nań ze czcią i uszanowaniem. Nieznajomy przybrany był cały w czarny aksamit podbity sobolami, tylko na ramionach miał odwinięty biały koronkowy kołnierz, spod którego przeglądały złote ogniwa łańcucha; czarny z takimże piórami kapelusz leżał obok, jeden zaś z paziów, klęczących za kobierczykiem, trzymał rękawice i szmelcowaną na błękitno szpadę. Twarzy nieznajomego nie mógł pan Kmicic widzieć, gdyż była ukryta w fałdach kobierczyka, a przy tym zasłaniały ją zupełnie rozproszone naokoło głowy loki nadzwyczaj obfitej peruki.

Pan Andrzej przysunął się do samej stali tak, aby gdy nieznajomy się podniesie, mógł dojrzeć jego twarz. Tymczasem wotywa miała się ku końcowi. Ksiądz śpiewał już *Pater noster*. Ludzie, którzy chcieli być na następnej mszy, napływali przez główne drzwi wchodowe. Kościół zappełnił się z wolna postaciami o podgolonych głowach, przybranymi w delie, w żołnierskie burki, w szuby i altembasowe kapoty. Uczyniło się dość ciasno. Wówczas Kmicic trącił w łokieć stojącego obok szlachcica i szepnął:

– Przebacz wasza mość, że go w nabożeństwie inkomoduję, ale ciekawość mocniejsza. Kto też to jest?

Tu wskazał oczyma na leżącego krzyżem pana.

– Chybaś waść z daleka przyjechał, że nie wiesz, kto to jest? – odparł szlachcic.

– Pewnie, że z daleka przyjechał, i dlatego pytam, w nadziei, że gdy na kogo politycznego trafię, to mi nie poskapi odpowiedzi.

– To jest król.

– Na Boga żywego! – zawołał Kmicic.

Lecz w tej chwili król się podniósł, bo ksiądz zaczynał właśnie czytać ewangelię.

Pan Andrzej ujrzał twarz wymizerowaną, żółtą i przezroczystą jak wosk kościelny. Oczy królewskie były wilgotne, a powieki zaczerwienione. Rzekłbyś, całe losy kraju odbiły się na tej szlachetnej twarzy, tyle w niej było bólu, cierpienia, troski. Noce bezsenne, rozdzielane między modlitwę a zmartwienie, zawody okrutne, tułactwo, opuszczenie, upokorzony majestat tego syna, wnuka i prawnuka potężnych królów, gorycz, którą tak obficie napawali go własni poddani, niewdzięczność kraju, dla którego gotów był krew i życie poświęcić, wszystko to można było jak w księdze w tym obliczu wyczytać. A jednak była z niego nie tylko rezygnacja zdobyta przez wiarę i modlitwę, nie tylko majestat króla i bożego pomazańca, ale taka dobroć wielka, niewyczerpana, iż widać było, że dość będzie największym odstępcom, najbardziej winnym wyciągnąć tylko ręce do tego ojca, a ten ojciec przyjmie, przebaczy i krzywd własnych zapomni.

Kmicicowi na jego widok zdawało się, że ktoś mu żelazną dłońią ścisnął serce. Żał zawrzał w gorącej duszy junaka. Skrucha, litość i cześć oddech zaparły mu w gardle, poczucie winy niezmierniej podcięło mu kolana, aż drzeć począł na całym ciele, i nagle nowe, nieznanne uczucie powstało mu w piersi. Oto w jednej chwili pokochał tak ten bolesny majestat, że uczuł, iż nie ma nic droższego na ziemi całej od tego ojca i pana, że gotów za niego poświęcić krew, życie, znieść torturę i wszystko w świecie. Chciałby się do tych nóg rzucić, kolana objąć i prosić o odpuszczenie win. Szlachcic, zuchwały warchoł, zmarł w nim w jednej chwili, a urodził się regalista oddany duszą całą swemu królowi.

– To nasz pan! nasz pan nieszczęsny! – powtarzał sobie, jakby ustami chciał dać świadectwo temu, co widziały jego oczy, a czuło serce.

Tymczasem Jan Kazimierz po ewangelii klęknął znowu, ręce rozłożył, oczy wznosił ku górze i pograżył się w modlitwie. Ksiądz wreszcie odszedł, począł się ruch w kościele, król klęczał ciągle.

Aż ów szlachcic, którego Kmicic zaczepił, trącił teraz w bok pana Andrzeja.

– A coś waćpan za jeden? – spytał.

Kmicic nie od razu zrozumiał pytanie i nie zaraz odpowiedział, tak dalece serce jego i umysł były osobą królewską zajęte.

– A coś waćpan za jeden? – powtórzył ów personat.

– Szlachcic jako i waszmość! – odrzekł pan Andrzej zbudziwszy się jakby ze snu.

– Jakże cię zowią?

– Jak mnie zowią? Zwę się Babinicz, a jestem z Litwy, spod Witebska.

– A jam jest Ługowski, dworski królewski!... Proszę, to waćpan aż z Litwy, spod Witebska jedziesz?

– Nie... Jadę z Częstochowy.

Pan Ługowski aż zaniemówił na chwilę ze zdziwienia.

– A jeżeli tak, to bywajże waćpan, bywaj, bo nam nowin udzielisz! Mało już króla miłościwego nie umorzył frasunek, że przez trzy dni żadnej pewnej wieści nie miał. Jakże to? Spod choraży Zbrozka może albo Kalińskiego, albo Kuklinowskiego? Spod Częstochowy?

– Nie spod Częstochowy, ale z samego klasztoru, wprost!

– Chyba waść żartujesz? Co tam? co słyhać? Broniże się jeszcze Jasna Góra?

– I broni się, i będzie broniła. Szwedzi już na odstąpieniu!

– Dla Boga! Król ozłoci waszmości! Z samego klasztoru, powiadasz, jedziesz?... Jakże cię to Szwedzi puścili?

– Jam ich o permisję nie prosił, ale wybaczaj waćpan, że w kościele obszerniejszej relacji dać nie mogę.

– Słusznie, słusznie – odparł pan Ługowski. – Bóg miłosierny!... Z nieba nam spadłeś!... W kościele nie przystoi... słusznie! Czekałże waćpan. Zaraz się król podniesie, śniadać przed sumą pojedzie... Dziś niedziela... Chodź waść, staniesz wraz ze mną przy drzwiach i wraz u wejścia przedstawię waćpana królowi... Chodź, chodź, bo nie ma czasu!



To rzekłszy ruszył naprzód, a Kmicic za nim. Zaledwie ustawili się przy drzwiach, gdy uka-  
zało się naprzód dwóch paziów, a za nimi wyszedł z wolna Jan Kazimierz.

– Miłościwy królu! – zakrzyknął pan Ługowski – są wieści z Częstochowy!

Woskowa twarz Jana Kazimierza ożywiła się nagle.

– Co? gdzie? kto jest? – spytał.

– Ten oto szlachcic! Powiada, że z samego klasztoru jedzie.

– Zali klasztor już zdobyty? – zakrzyknął król.

Wtem pan Andrzej rymnął jak długi do nóg pańskich.

Jan Kazimierz pochylił się i począł podnosić go za ramiona.

– Na potem – wołał – na potem!... Wstań waść, na Boga, wstań! mów prędzej... Klasztor zdo-  
byty?

Kmicic zerwał się ze łzami w oczach i krzyknął z zapalem:

– Nie zdobyty, miłościwy panie, i nie będzie! Szwedzi pobici! Największa armata wysadzo-  
na! Strach między nimi, głód, mizéria! O odstąpieniu myślą!...

– Chwała! Chwała Tobie, Królowo Anielska i nasza! – rzekł król.

To rzekłszy odwrócił się ku drzwiom kościelnym, zdjął kapelusz i nie wchodząc do środka,  
klęknał na śniegu przy drzwiach. Głowę oparł o ramę kamienną i pograżył się w milczeniu. Po  
chwili łkanie zaczęło nim wstrząsać.

Rozczulenie ogarnęło wszystkich. Pan Andrzej ryczał jak zubr.

Król pomodliwszy się i wyplakawszy wstał uspokojony, z twarzą wiele pogodniejszą. Zaraz  
spytał Kmicica o nazwisko, a gdy ten powiedział mu swe przybrane miano, rzekł:

– Niechże cię pan Ługowski zaraz do naszej kwatery prowadzi. Nie zażyjemy ранego posił-  
ku inaczej, jak słuchając o obronie!

I w kwadrans później Kmicic stanął w komnacie królewskiej przed dostojnym zebraniem.  
Król czekał tylko na królowę, by zasiąść do rannej polewki; jakoż Maria Ludwika pojawiła się  
za chwilę. Jan Kazimierz, ledwie ją ujrzał, zaraz zakrzyknął:

– Częstochowa wytrzymała! Szwedzi ustępują! Oto jest pan Babinicz, który stamtąd przyjeź-  
dza i tę wieść przynosi!

Czarne oczy królowej spoczęły badawczo na młodej twarzy junaka i widząc jej szczerość,  
rozaśniły się radością; on zaś oddawszy niski ukłon, patrzył także na nią śmieje, jako prawda i  
uczciwość patrzeć umieją.

– Moc boska! – rzekła królowa – ciężar okrutny zdjąłeś nam waćpan z serca, i da Bóg, że to  
będzie początek odmiany fortuny. Wprostże spod Częstochowy jedziesz?

– Nie spod Częstochowy, ale powiada, że z samego klasztoru, to jeden z obrońców! – zawołał  
król. – Złoty gość!... Bodaj tacy co dzień przybywali; ale pozwólcieże mu przyjść do słowa...  
Opowiadaj, bracie, opowiadaj, jakeście się bronili i jak was ręka boska piastowała?

– Pewnie, miłościwi państwo, że nic więcej, jeno opieka boska i cuda Najświętszej Panny, na  
które co dzień własnymi oczyma patrzyliśmy.

Tu pan Kmicic zabierał się już do opowiadania, gdy wtem coraz nowi dygnitarze zaczęli się  
schodzić. Przyszedł więc nuncjusz papieski, potem ksiądz prymas Leszczyński, za nim ksiądz  
Wydźga, złotousty kaznodzieja, który był kanclerzem królowej, a później biskupem warmiń-  
skim, potem zaś jeszcze prymasem. Wraz z nim wszedł kanclerz koronny pan Koryciński i Fran-  
cuz de Noyers, przyboczny królowej, za nim nadchodzili kolejno inni dygnitarze, którzy pana  
nie opuścili w nieszczęściu, ale woleli z nim gorzki, wygnańczy chleb dzielić niż wiarę zaprzy-  
sieżoną złamać.

Królowi zaś pilno było, więc odrywał się co chwila od posiłku i powtarzał:

– Słuchajcie, wasze moście! słuchajcie, gość z Częstochowy! dobra wieść, słuchajcie!... Z  
samej Jasnej Góry!...

Na to dygnitarze spoglądali z ciekawością na Kmicica, stojącego jakoby przed sądem, lecz on, śmiały z natury i przywykły do obcowania z wielkimi, wcale się widokiem tylu znamienitych ludzi nie strwożył i gdy zasiedli wszyscy miejsca, począł o całym obłężeniu opowiadać.

Prawdę znać było w jego słowach, bo mówił jasno, dobitnie, jak żołnierz, który sam na wszystko patrzył, wszystkiego się dotknął, wszystko przeżył. Mówił o księdzu Kordeckim, jako o proroku świętym, wychwalał pod niebiosa pana Zamoyskiego i pana Czarnieckiego, wysławiał innych ojców, nikogo, prócz siebie, nie pomijał; lecz całą obronę bez ogródki Najświętszej Panie, Jej łasce i cudom przypisywał.

Słuchali go w zdumieniu król i dygnitarze.

Ksiądz pospiesznie wszystko nuncjuszowi tłumaczył, inni panowie za głowy się chwyтали, inni modlili się lub bili w piersi.

Wreszcie, gdy Kmicic doszedł do ostatnich szturmów, gdy począł opowiadać, jak Miller sprowadził ciężkie działa z Krakowa, a między nimi taką kolubrynę, której nie tylko częstochowskie, ale żadne w świecie mury oprzeć się nie mogły – cisza uczyniła się jak makiem siał i wszystkie oczy spoczęły na jego ustach.

Lecz Kmicic urwał nagle i począł oddychać szybko; jasne rumieńce wystąpiły mu na twarz, zmarszczył brwi, podniósł głowę i rzekł hardo:

– Teraz muszę mówić o sobie, choć wolałbym milczeć... A jeżeli coś powiem, co na pochwałę wypadnie, Bóg mi świadek, nie uczynię tego dla nagród, bo ich nie potrzebuję, gdyż największa nagroda dla mnie za majestat krew przelać...

– Mów śmieje, wierzę ci! – rzekł król. – Cóż owa kolubryna?...

– Tę kolubrynę... ja, wykradłszy się w nocy z fortecy, prochami w drzazgi rozsadziłem!

– Na miły Bóg! – zakrzyknął król.

Lecz po tym wykrzykniku nastała cisza, takie zdumienie ogarnęło słuchających. Wszyscy patrzyli jak w tęczę w junaka, który stał z iskrzącymi się oczyma, z rumieńcem na twarzy i z hardo podniesioną głową. A tyle w nim było w tej chwili jakiejś grozy i dzikiego męstwa, że każdemu przyszło mimo woli na myśl, iż taki człowiek mógł na podobny uczynek się zdobyć.

Toteż po chwili milczenia ksiądz prymas odezwał się:

– Patrzy na to ten człowiek!

– Jakżeś to uczynił? – zawołał król.

Kmicic opowiedział, jak było.

– Uszom się nie chce wierzyć! – rzekł pan kanclerz Koryciński.

– Mości panowie! – odezwał się z powagą król – nie wiedzieliśmy, kogo mamy przed sobą. Żywie jeszcze nadzieja, że nie zginęła ta Rzeczpospolita, póki takich kawalerów i obywateli wydaje.

– Ten może o sobie powiedzieć: *Si fractus illabatur orbis, impavidum ferient ruinae!* – rzekł ksiądz Wydźga, który lubił autorów przy każdej sposobności cytować.

– Prawie to niepodobne rzeczy – ozwał się znów kanclerz. – Powiedźże panie kawalerze, jakim sposobem żywot uniosłeś z tego terminu i jak przez Szwedów się przedostałeś?

– Huk ogłuszył mnie – rzekł Kmicic – i dopiero nazajutrz znaleźli mnie Szwedzi przy okopie, jakoby bez duszy leżącego. Zaraz mnie tam pod sąd oddali i Miller skazał mnie na śmierć.

– Ty zaś uciekłeś?

– Niejaki Kuklinowski wyprosił mnie u Millera, żeby sam mógł mnie zgładzić, bo miał przeciw mnie zawziętość okrutną...

– Znany to warchoł i zbój, słyszeliśmy tu o nim – rzekł kasztelan Krzywiński. – Jego pułk z Millerem pod Częstochową stoi... Prawda!

– Ów Kuklinowski posłował wprzód od Millera do klasztoru i raz mnie prywatnie do zdrady namawiał, gdym go do bramy odprowadzał. Ja zaś trzasnąłem go w głowę i skopałem nogami... Za to urazę do mnie powziął.

– A to, widzę, z ognia i siarki szlachcic! – zawołał rozweselony król. – Takiemu w drogę nie wchodzi!... Miller oddał cię tedy Kuklinowskiemu?

– Tak jest, miłościwy panie!... On zaś zamknął się ze mną w pustej stodółce z kilkoma ludźmi... Tam mnie do belki powrozami przywiązał i męczyć począł, i ogniem boki palił.

– Na Boga żywego!

– Wtem go odwołano do Millera, a tymczasem przyszło trzech szlachty, niejakich Kiemliczów, jego żołnierzy, którzy wpieryw u mnie służyli. Ci pobili strażników i odwiązali mnie od belki.

– I uciekliście. Teraz rozumiem! – rzekł król.

– Nie, miłościwy panie. Zaczekaliśmy na powrót Kuklinowskiego. Wówczas ja go kazałem do tej samej belki przywiązać i lepiej ogniem przypiekłem.

To rzekłszy pan Kmicic, podniecony wspomnieniem, zaczerwienił się na nowo i oczy błysły mu jak wilkowi.

Lecz król, który łatwo od zmartwienia do wesołości, od powagi do żartu przechodził, począł bić dłonią w stół i wołać ze śmiechem:

– Dobrze mu tak! Dobrze mu tak! Nie zasłużył taki zdrajca na lepszy traktament!

– Zostawiłem go żywego – odrzekł Kmicic – lecz do rana musiał ostygnąć.

– To sztuka, co swego nie daruje! Więcej nam takich! – wołał król, zupełnie już rozbawiony.

– Sam zaś z tymi żołnierzami tu przybyłeś? Jak ich zowią?

– Kiemlicze; jest ojciec i dwóch synów.

– *Mater mea de domo Kiemliczówna est* – rzekł z powagą ksiądz kanclerz królowej, Wydźga.

– To widać są Kiemlicze wielcy i mali – odparł wesoło Kmicic – a ci nie tylko są mali, ale i w rzeczy hultaje, jeno żołnierze okrutni i mnie wierni.

Tymczasem kanclerz Koryciński szeptał coś od niejakiego czasu do ucha księdza arcybiskupa gnieźnieńskiego, wreszcie rzekł:

– Wielu tu przyjeżdża takich, którzy dla własnej chwalby albo spodziewanej nagrody radzi klimkiem rzucają. Ci wieści fałszywe i bałamutne przywożą, często i przez nieprzyjaciół namówieni.

Uwaga ta zmroziła wszystkich obecnych. Kmicica twarz pokryła się purpurą.

– Nie znam ja godności waszmość pana – odrzekł – która jak tuszę, musi być znaczna... więc nie chcę jej ubliżyć, ale tak myślę, że nie masz takiej godności, która by pozwalała szlachcicowi bez racji łgarstwo zadawać.

– Człowieku! do kanclerza wielkiego koronnego mówisz! – rzekł pan Ługowski.

Kmicic wybuchnął gniewem:

– Kto mi łgarstwo zadaje, choćby był kanclerzem, temu powiem: łatwiej łgarstwo zadawać niż gardła nadstawiać, łatwiej pieczętować woskiem niż krwią!

Lecz pan Koryciński nie rozgniewał się wcale, tylko odrzekł:

– Nie zadaję ci kłamstwa, panie kawalerze, ale jeżeli prawda, coś mówił, to powinieneś mieć bok spalony.

– Pójdźże wasza wielmożność gdzie na stronę, to ci go pokażę! – huknął Kmicic.

– Nie potrzeba – rzekł król – wierzę ci tak!

– Nie może być, miłościwy królu! – zakrzyknął pan Andrzej – sam tego chcę, jak o łaskę o to proszę, żeby mnie tu nikt, choćby nie wiem jak dostojny, kolorystą nie czynił! Żle by mi się nagrodziła męka, miłościwe państwo! Nie chcę nagrody, chcę, żeby mi wierzono, niechże niewierni Tomasz dotkną ran moich!

– U mnie masz wiarę! – rzekł król.

– Sama prawda była w jego słowach – dodała Maria Ludwika – ja się na ludziach nie myślę.

Lecz Kmicic ręce złożył.

– Miłościwe państwo, pozwólcie! Niechże ktokolwiek idzie ze mną na stronę, bo ciężko by mi tu było żyć w podejrzeniach.

– Ja pójdę – rzekł pan Tyzenhauz, młody dworzanin królewski.  
To rzekłszy odprowadził Kmicica do drugiej komnaty, a po drodze mówił do niego:  
– Nie dlatego idę, bym nie wierzył, bo wierzę, ale by z waszmością pogadać. My się gdzieś na Litwie widzieli... Nazwiska sobie nie mogę przypomnieć, bo być może, iżem waszmości wyrostkiem jeszcze widział i sam wtedy wyrostkiem byłem.  
Kmicic odwrócił nieco twarz, by ukryć nagle pomieszenie.  
– Może na sejmiku jakim. Często mnie nieboszczyk rodzic brał ze sobą, bym się praktyce publicznej przypatrywał.  
– Może być... Twarz waćpańska pewno mi nieobca, chociaż w tedy tej kresy nie miał. Patrz jednak waćpan, jako *memoria fragilis est*, toż mnie się przewiduje, że cię wtedy inaczej zwali?  
– Bo lata pamięć mąca – odparł pan Andrzej.  
Za czym weszli do innej komnaty. Po chwili pan Tyzenhauz wrócił przed oblicze królewskie.  
– Upieczon, miłościwy królu, jako na roźnie! – rzekł. – Cały bok ze szczeniem przypalony!  
Więc gdy z kolei i Kmicic wrócił, król wstał, ścisnął go za głowę i rzekł:  
– Nigdy byśmy nie wąpili, że prawdę mówisz, i zasługa twoja ani ból darmo nie przeminie.  
– Dłużnikami twymi jesteśmy – dodała królowa wyciągając doń rękę.  
Pan Andrzej przyklęknął na jedno kolano i ucałował ze czcią dłoń królowej, która go jeszcze pogładziła jako matka po głowie.  
– Ale jużże się na pana kanclerza nie gniewaj – rzekł znowu król. – Po prawdzie, niemało tu było zdrajców albo takich, którzy pletli trzy po trzy, a do urzędu kanclerskiego należy, żeby prawdę *de publicis* wydobyć.  
– Co by tam mój chudopacholski gniew znaczył dla tak wielkiego człowieka – odpowiedział pan Andrzej. – I nie śmiałbym nawet mrużyć na zacnego senatora, który przykład wierności i miłości do ojczyzny wszystkim daje.  
Kanclerz uśmiechnął się dobrotliwie i wyciągnął rękę.  
– No, niechże będzie zgoda! Przymówiłeś mi też szpetnie o tym wosku, ale wiedz o tym, że i Korycińscy często krwią, nie samym woskiem pieczętowali...  
Król rozweselony był zupełnie.  
– Udał nam się ten Babincz – rzekł do senatorów. – Tak nam do serca przypadł, jak mało kto... Już cię też od boku naszego nie puścim i da Bóg, razem niedługo do miłej ojczyzny powrócimy.  
– O najjaśniejszy królu! – zakrzyknął w uniesieniu Kmicic – chociażem był w twierdzy zamknięty, wiem to od szlachty, od wojska, od tych nawet, co pod panem Zbrożkiem i Kalińskim służąc Częstochowę oblegali, że wszyscy dnia i godziny twego powrotu wyglądają. Ukaż się tylko, miłościwy panie, a tego samego dnia cała Litwa, Korona i Ruś jako jeden mąż przy tobie staną! Pójdzie szlachta, pójdzie nawet chłopstwo nikczemne przy panu swoim się oponować. Wojsko pod hetmanami ledwie już dysze, tak chce na Szwedów... Wiem i to, że pod Częstochowę przyjeżdżali od hetmańskich wojsk deputaci, żeby Zbrożka, Kalińskiego i Kuklinowskiego przeciw Szwedom ekscytować. Stań dziś, miłościwy panie, w granicach, a za miesiąc jednego Szweda już nie będzie, jeno przybądź, jeno się ukaż, bośmy tam jako owce bez pasterza!...  
Kmicicowi skry szły z oczu, gdy to mówił, i tak wielki zapał go ogarnął, że klęknął na środku sali. Zapał jego udzielił się też samej nawet królowej, która nieustraszonej odwagi będąc, dawno króla do powrotu namawiała.  
Więc zwróciwszy się teraz do Jana Kazimierza, rzekła z siłą i stanowczością:  
– Głos całego narodu przez usta tego szlachejca słyszę!...  
– Tak jest! tak jest! Miłościwa pani!... matko nasza!... – zakrzyknął Kmicic.  
Lecz kanclerza Korycińskiego i króla uderzyły niektóre słowa w tym, co mówił Kmicic.  
– Zawsze – rzekł król – gotowiśmy ponieść w ofierze zdrowie i życie nasze, i nie na co innego, jeno na poprawę poddanych naszych czekaliśmy aż dotąd.  
– Ta poprawa już się spełniła – rzekła Maria Ludwika.

– *Majestas infracta malis!* – rzekł, spoglądając na nią z uwielbieniem, ksiądz Wydźga.

– Ważne to są rzeczy – przerwał ksiądz arcybiskup Leszczyński – zali istotnie deputacje od wojsk hetmańskich przychodziły pod Częstochowę?

– Wiem to od moich ludzi, tychże Kiemliczów! – odparł pan Andrzej. – U Zbrozka i Kalińskiego wszyscy głośno o tym mówili, nic na Millera i Szwedów nie uważając. Kiemlicze owi nie byli zamknięci, mieli ze światem relacje, z żołnierzami i szlachtą... Tych mogę przed obliczem majestatu i waszych dostojności postawić, aby sami opowiedzieli, jako w całym kraju wre jak w garnku. Hetmani z musu tylko do Szweda przystali, bo zły duch wojsko opętał, a teraz samo owo wojsko chce na powrót do powinności wrócić. Szlachtę i duchownych Szwedzi biją, rabują, przeciw wolności dawnej bluźnią, toż i dziwu nie ma, że każdy jeno pięści ściska i na szablę łakomie spogląda.

– Mieliliśmy już i my od wojsk wiadomości – rzekł król – byli tu także tajni wysłańcy, którzy nam ochotę powszechną powrotu do dawnej wierności i czci oznajmiali...

– I to schodzi się z tym, co ów kawaler powiada – rzekł kanclerz. – Ale jeżeli deputacje i między pułkami chodzą, to ważne jest, bo znaczy to, że owoc już dojrzał, że nasze starania nie zmarniały i robota gotowa, a zatem czas nadszedł...

– A Koniecpolski? – rzekł król – a tylu innych, którzy jeszcze przy boku najezdника stoją, w oczy mu patrzą i o swej wierności zaręczają?

Na to umilkli wszyscy, a król zasepił się nagle i jako gdy słońce za chmurę zajdzie, mrok od razu cały świat pokrywa, tak i jemu twarz pociemniała.

I po chwili tak mówić począł:

– Bóg patrzy w serca nasze, żeśmy choć dziś gotowi wyruszyć i że nie potencja szwedzka nas wstrzymuje, ale nieszczęsna zmienność naszego narodu, który jako Proteusz coraz nową postać na się przyjmuje. Zali możemy zaufać, że to nawrócenie szczere, ochota nie zmyślona, gotowość nie zdradliwa? Zali możemy zawierzyć temu narodowi, który tak niedawno nas opuścił i z tak lekkim sercem z najezdnikiem się połączył przeciw własnemu królowi, przeciw własnej ojczyźnie, przeciw własnym wolnościom? Boleść ściska nam serce i wstyd nam za naszych poddanych! Gdzież dzieje podają podobne przykłady? Którenże król tyle doznał zdrad i nieżyczliwości, któren tak był opuszczony? Przypomnijcie sobie jeno, uprzejmości wasze, iżeśmy wśród naszego wojska, wśród tych, którzy krew za nas winni byli przelać, bezpieczeństwa – i – zgroza powiedzieć! – życia nawet nie byli pewni. A jeśliśmy ojczyznę opuścili i tu schronienia szukać musieli, to nie z bojaźni przed owym szwedzkim nieprzyjacielem, ale by własnych poddanych, własne dzieci, od strasznego występku królobójstwa i ojcobójstwa uchronić.

– Miłościwy panie! – krzyknął Kmicic – ciężko zawinił nasz naród, grzeszny jest i słusznie chłoscze go ręka boża, ale przecie na rany Chrystusa! nie znalazł się w tym narodzie i da Bóg, po wieki nie znajdzie się taki, który by rękę na świętą osobę pomazańca boskiego śmiał podnieść!

– Ty w to nie wierzysz, boś pocziwy – odrzekł król – ale my mamy listy i dowody. Już to gorzko odpłacili nam się Radziwiłłowie za dobrodziejstwa, którymiśmy ich obsypali, a jednak Bogusława, choć zdrajcę, sumienie ruszyło, i nie tylko nie chciał do zamachu na nas ręki przyłożyć, ale pierwszy nam o nim doniósł.

– Do jakiego zamachu? – zawołał zdumiony Kmicic.

– Doniósł nam – rzekł król – iż znalazł się taki, który mu się za sto czerwonych złotych ofiarował porwać nas i żywego lub umarłego Szwedom dostawić.

Dreszcz przeszedł całe zgromadzenie na te słowa królewskie, a pan Kmicic zaledwie zdołał wyjąkać pytanie:

– Kto to był taki?... kto to był?...

– Niejaki Kmicic – odrzekł król.

Fala krwi uderzyła nagle panu Andrzejowi do głowy, w oczach mu pociemniało, rękoma schwycił za czuprynę i strasznym, obłąkanym głosem zakrzyknął:

– To łgarstwo! Książę Bogusław łże jak pies! Miłościwy królu, panie mój! nie wierz temu zdrajcy, umyślnie on to uczynił, by wroga zhańbić, a ciebie przerazić, królu mój, panie!... to zdrajca!... Kmicic by nie ważył się na to...

Tu nagle zakręcił się pan Andrzej na miejscu. Siły jego, sterane obłąčeniem, podcięte wybuchem prochów w kolubrynie i męką zadaną przez Kuklinowskiego, opuściły go zupełnie – i runął bez przytomności do nóg królewskich.

Podniesiono go i medyk królewski począł go cucić w przyległej izbie. Lecz w zgromadzeniu dygnitarzy nie umiano sobie wytłumaczyć, czemu słowa królewskie podobnie straszne uczyniły na młodym szlachcicu wrażenie.

– Albo tak pocziwy, że sama abominacja z nóg go zwała, albo jaki tego Kmicica krewny – rzekł pan kasztelan krakowski.

– Trzeba się będzie tego dopytać – odpowiedział kanclerz Koryciński. – Oni tam wszyscy sobie na Litwie krewni, jako zresztą i u nas.

Na to pan Tyzenhauz:

– Miłościwy panie! Niech mnie Bóg broni, żebym chciał co złego o tym szlachcicu mówić – ale... nie trzeba jeszcze zbytecznie ufać... Że służył w Częstochowie, to pewno; bok ma spalony, czego by w żadnym razie mnisi nie uczynili, bo oni jako służy boży wszelką klemencję nawet dla jeńców i zdrajców mieć muszą, ale jedno mi wciąż po głowie chodzi i ufność do niego psuje... Owo ja go kiedyś na Litwie spotkałem... wyrostkiem jeszcze, na sejmiku czy na kuligu... nie pomnę...

– I co z tego? – rzekł król.

– I on... ciągle mi się widzi... że nie nazywał się Babinicz.

– Nie powiadaj byle czego! – rzekł król – młody jesteś i nieuważny, w głowie łącno ci się mogło pomieszać. Babinicz czy nie Babinicz, czemu ja jemu nie mam ufać? Szczerłość i prawdę ma na gębie wypisane, a serce widać złote. Sobie bym chyba nie ufał, gdybym takiemu żołnierzowi nie miał ufać, którego krew za nas i ojczyznę przelewał.

– Więcej on na ufność zasługuje aniżeli list księcia Bogusława – rzekła nagle królowa – i polecam to uwadze waszych dostojności, że w tym liście może nie być i słowa prawdy. Siła mogło zależeć Radziwiłłom birzańskim, żebyśmy zgoła na duchu upadli, a łącno przypuścić, że książę Bogusław chciał przy tym jakowego wroga swego pograć i sobie furtkę otwartą w razie odmiany fortuny zostawić.

– Gdybym nie przywykł do tego – rzekł prymas – że z ust miłościwej królowej jejmości sama mądrość wychodzi, zdumiewałbym się nad bystrością tych słów, najbieglejszego statysty godnych.

– „...*curasque gerens, animosque viriles...*” – przerwał z cicha ksiądz Wydźga.

Podniesiona tymi słowy królowa wstała z krzesła i tak mówić począła:

– Nie o Radziwiłłów birzańskich mi chodzi, bo ci, jako heretycy, łącnie podszeptów nieprzyjaciela rodu ludzkiego usłuchali; ani też o list księcia Bogusława, prywatę może zacierający... Ale najbardziej mnie bolą desperackie słowa króla, pana i małżonka mojego, przeciw temu narodowi wyrzeczone. Któż bowiem go oszczędzi, jeśli go własny król potępia? A przecie, gdy rozejrzę się po świecie, próżno pytam, gdzie jest taki drugi naród, w którym by chwała Boga starożytniej szczerości trybem trwała i pomnażała się coraz bardziej... Próżno patrzę, gdzie drugi naród, w którym tak otwarty kandor żyje; gdzie państwo, w którym by o tak piekielnych bluźnierstwach, subtelnym zbrodniach i nigdy nie przejednanym zawziętościach, jakich pełne są obce kroniki, nigdy nikt nie słyszał... Niechże mi pokażą ludzie, w dziejach świata biegli, inne królestwo, gdzie by wszyscy królowie własną spokojną śmiercią umierali. Nie masz tu nożów i trucizn, nie masz protektorów, jako u Angielczyków... Prawda, mój panie, zawinił ten naród ciężko, zgrzeszył przez swawolę i lekkość... Ale któryż to jest naród nigdy nie błądzący i gdzie jest taki, który by tak prędko winę swą uznał, pokutę i poprawę rozpoczął? Oto już się obejrzeli, już przychodzą, bijąc się w piersi, do twego majestatu... już krew przelać, życie oddać, fortuny poświęcić

dla ciebie gotowi... A ty zali ich odepchniesz? zali żalującym nie przebaczysz, poprawionym i pokutującym nie zaufasz?... dzieciom, które zbłądziły, ojcowskiego afektu nie wrócisz?... Zaufaj im, panie, bo oto tęsknią już za swą krwią jagiellońską i za ojcowskimi rządami twymi... Jedź między nich... Ja, ja niewiasta nie lękam się zdrady, bo widzę miłość, bo widzę żal za grzechy i restaurację tego królestwa, na które cię po ojcu i bracie powołano. Ani mi się też podobna rzecz zdawa, by Bóg miał zgubić tak znaczną Rzeczpospolitą, w której światło prawdziwej wiary płonie. Do krótkiego czasu ściągnęła boska sprawiedliwość różgę swoją na ukaranie, nie na zgubienie dzieci swoich, a zaś wkrótce potem utuli ich i pocieszy ojcowska tegoż niebieskiego Pana dobroć. Lecz ty nie gardź nimi, królu, i powierzyć się ich synowskiej dyskrekcji nie lękaj, bo tylko tym sposobem złe w dobre, zmartwienia w pociechy, klęski w tryumfy zmienić się mogą.

To rzekłszy siadła królowa, jeszcze z ogniem w źrenicach i falującą piersią; wszyscy spoglądali na nią z uwieibieniem, a ksiądz kanclerz Wydźga zaczął mówić echowym głosem:

*Nulla sors longa est, dolor et voluptas  
Invicem cedunt.  
Ima permutat brevis hora summis...*

Lecz nikt go nie słuchał, bo zapal bohaterskiej pani udzielił się wszystkim sercom. Sam król zerwał się z rumieńcami na poźółklej twarzy i zakrzyknął:

– Nie straciłem jeszcze królestwa, skoro mam taką królowę!... Niechże się stanie jej wola, bo w natchnieniu proroczym mówiła. Im prędzej wyruszę i stanę *inter regna*, tym będzie lepiej!...

Na to ozwał się z powagą prymas:

– Nie chcę ja woli miłościwych państwa moich negować ani od przedsięwzięcia odwozić, w którym jest hazard, ale może być i zbawienie. Wszelako za roztrofną rzecz uważałbym jeszcze raz w Opolu, gdzie większość senatorów przebywa, zebrać się i tam konceptów zebranych posłuchać, które jeszcze lepiej i obszerniej sprawę wywieść i rozważyć mogą.

– Zatem do Opoła! – zakrzyknął król – a potem w drogę, i co Bóg da!

– Bóg da powrót szczęśliwy i zwycięstwo! – rzekła królowa.

– Amen! – rzekł prymas.

## ROZDZIAŁ XXII

Pan Andrzej ciskał się jak ranny żbik w swej gospodzie. Piekielna zemsta Bogusława Radziwiłła przywiodła go niemal do szaleństwa. Nie dość, że ów książę wyrwał się z jego rąk, pobił mu ludzi, jego samego niemal życia nie zbawił, nadto taką go okrył sromotą, pod jaką nie tylko nikt z jego rodu, ale żaden Polak od początku świata nie jęczał.

Toteż były chwile, że Kmicic chciał się wyrzec wszystkiego: sławy, która się przed nim otwierała, służby królewskiej, a lecieć i mścić się na tym magnacie, którego by pragnął pożreć na surowo.

Lecz z drugiej strony, mimo całej wściekłości i wichru w głowie, przychodziło mu na myśl, że póki książę żyw, zemsta nie uciecze, a najlepsza sposobność, jedyna droga zadać mu kłam i całą bezecność oskarżenia na jaw wywieść, to właśnie służba królewska, w niej bowiem mógł światu okazać, że nie tylko na świętą osobę ręki podnieść nie zamierzał, ale że pomiędzy wszystką szlachtą Korony i Litwy nie mógłby król wierniejszego sługi nad Kmicica znaleźć.

Zgrzytał jednak zębami, kipiał jak war, szarpał na sobie odzież i długo, długo nie mógł się uspokoić. Lubował się myślą o zemście. Widział znów księcia w swoich rękach; przysięgał sobie na pamięć rodzica, iż musi go dostać, choćby go za to śmierć i męki czekały. I jakkolwiek książę Bogusław potężny był pan, którego nie tylko zemsta prostego szlachcica, ale i królewska niełasko mogła osiągnąć, przecie, gdyby tę niepohamowaną duszę znał lepiej, nie byłby sypiał spokojnie i nieraz zadrzałby przed jego słubami.

A przecie nie wiedział jeszcze pan Andrzej, że książę nie tylko okrył go sromotą i nie tylko sławę mu wydarł.

Tymczasem król, który od razu polubił niezmiernie młodego junaka, przysłał po niego pana Ługowskiego tego samego dnia, a nazajutrz kazał mu ze sobą jechać do Opola, gdzie na walnym zebraniu senatorów miano obradować nad powrotem króla do kraju. Jakoż było nad czym obradować: oto pan marszałek koronny nadesłał znów drugi list, donoszący, że wszystko w kraju do powszechnej wojny gotowe, i naglący pilnie do powrotu. Prócz tego rozeszła się wieść o jakimś związku szlachty i wojska na obronę króla i ojczyzny, o którym istotnie od dawna w kraju myślano, ale który, jak się potem pokazało, zawarty został pod imieniem konfederacji tyszowieckiej później nieco.

Na razie jednak wszystkie umysły były nadzwyczaj tymi wieściami zajęte i zaraz po mszy solennej udano się na tajemną obradę, na którą i Kmicic, za przyczyną królewską, jako przywołany wieści z Częstochowy, dopuszczony został.

Poczęto więc roztrząsać, czy powrót zaraz ma nastąpić, czy go lepiej odłożyć aż do tej chwili, w której wojska nie tylko chęcią, ale i czynem opuszczą Szweda.

Jan Kazimierz położył koniec tym rozprawom rzekłszy:

– Nie o powrocie, wasze dostojności, radźcie ani o tym, jeżeli nie lepiej zwłóczyć jeszcze, bo jam się już o tym z Bogiem i Najświętszą Panną naradzał... Zatem oświadczam waszym dostojnościom, że co bądź ma nas spotkać, w tych dniach nieodmiennie osobą naszą wyruszamy... Wasze dostojności zaś wysilajcie jeno koncepty i rad nie skąpcie, jak najbezpieczniej i najsluszniej powrót uskutecznić.

Rozmaite więc były zdania. Jedni mówili, aby nie ufać zbytnio panu marszałkowi koronnemu, który raz już wahanie i nieposłuszeństwo okazał, gdy korony, zamiast cesarzowi do przechowania według rozkazu królewskiego oddać, do Lubowli uwiózł. – Wielka (mówili) jest pycha i ambicja tego pana, a gdy jeszcze osobę królewską w swym zamku mieć będzie, kto wie, co pocznie, czego za swe usługi nie zażąda i czy całej władzy w ręce swe uchwycić nie zechce, aby nad wszystkimi górować, i nie tylko całego kraju, ale i majestatu być protektorem.



Ci tedy radzili, aby król, poczekawszy na odstąpienie Szwedów, do Częstochowy się udał, jako do miejsca, z którego łaska i odrodzenie spłynęły na kraj. Lecz inni odmienne wygłaszali zdania.

– Jeszcze Szwedzi stoją pod Częstochową, a choć jej za łaską bożą nie zdobędą, przecie dróg wolnych nie ma. Tamte okolice wszystkie w rękach szwedzkich. Stoi nieprzyjaciel w Krzepicach, w Wieluniu, w Krakowie, nad granicą także znaczne siły są rozłożone. A w górach, na węgierskiej rubieży, gdzie Lubowla jest położona, nie masz innych wojsk, prócz wojsk marszałka, i Szwedzi nigdy tam nie zapuszczali się dotąd, nie mając na to dość ludzi ani odwagi. Z Lubowli bliżej przy tym na Ruś, która od zajęcia nieprzyjacielskiego wolna, do Lwowa, który nie przestał być królowi wierny, i do Tatarów, którzy wedle wiadomości w pomoc idąc, tam właśnie na rezolucję królewską czekają.

– *Quod attinet* pana marszałka (mówił biskup krakowski), ambicja jego już tym nasycona będzie, iż pierwszy króla w swoim starostwie spiskim przyjmie i pierwszy opieką go otoczy. Władza przy królu pozostanie, a pana marszałka sama nadzieja tak wielkich przysług zadowolni; jeżeli zaś zechce wiernością nad wszystkimi górować, to czyli wierność jego z ambicji, czy też z miłości ku panu i ojczyźnie wypłynie, zawsze majestat znaczne korzyści stąd odniesie.

To zdanie zacnego i doświadczonego biskupa wydało się najśluszniesze; uchwalono więc, że król przez góry do Lubowli, a stamtąd do Lwowa, lub gdzieby kazały okoliczności, wyruszy.

Obradowano także i nad dniem powrotu, ale wojewoda łeczycki, który właśnie od cesarza był wrócił, do którego w poselstwie o pomoc był wysyłany, uczynił uwagę, że lepiej jest terminu ścisłego nie wyznaczać i samemu królowi decyzję zostawić, a to dlatego, ażeby wieść się nie rozeszła i nieprzyjaciele nie zostali przestrzeżeni. Stanęło tylko na tym, że król wyruszy w trzyста koni wybranej dragonii pod wodzą pana Tyzenhauza, który choć młody, miał już reputację wielkiego żołnierza.

Lecz niemal ważniejsza jeszcze była druga część obrad, na której z powszechną zgodą zawotowano, iż po przybyciu do kraju cała władza i kierunek wojny przejdzie w ręce króla, któremu szlachta, wojsko i hetmani we wszystkim posłuszni być mają. Mówiono też o przyszłości i przytaczano powody tych nagłych nieszczęść, które jako potop w tak krótkim czasie cały kraj zalały. I sam prymas nie inną tego podawał przyczynę, jak nierząd, brak posłuchu i zbytne spowiewanie władzy i majestatu królewskiego.

Słuchano go w głębokim milczeniu, bo każdy rozumiał, że tu o losy Rzeczypospolitej chodzi i o wielkie, niebywałe dotąd w niej zmiany, które by mogły jej dawną potęgę przywrócić, a których zwłaszcza od dawna pragnęła mądra i miłująca przybraną ojczyznę królowa.

Płynęły więc z ust dostojnego księcia Kościoła słowa jak grzmoty, a w słuchaczach dusze otwierały się prawdzie, jako kwiaty otwierają się słońcu.

– Nie przeciw starodawnym wolnościom się oponuję, – mówił prymas – ale przeciw onej swawoli, która własnymi rękoma własną ojczyznę zarzyna... Zaiste, zapomniano już w tym kraju różnicę między wolnością i swawolą, i oto, jak zbytńia rozkosz boleścią, tak wyuzdana wolność niewolą się zakończyła. Do jakiegoż obłędu doszliście, obywatele tej prześwieatnej Rzeczypospolitej, iż ten tylko między wami za obrońcę wolności uchodzi, który hałas czyni, sejmy rwie i majestatowi się przeciwi, nie wtedy, gdy trzeba, ale wtedy, gdy temuż majestatowi o zbawienie ojczyzny chodzi? W skarbie naszym dno skrzyni widać, żołnierz, niepłatny, u nieprzyjaciela lafy szuka; sejmy, jedyny fundament tej Rzeczypospolitej, na niczym się rozchodzą, bo jeden swawolnik, jeden zły obywatel, dla prywaty swej, rady pomieszać może. Jakaż to wolność, która jednemu przeciw wszystkim oponować pozwala?... Zali ta wolność dla jednego nie jest niewolą dla wszystkich? I gdzieżeśmy to doszli w zażywaniu tej wolności, jakież to ona smakowite *fructa* wydała?... A oto, jeden słaby nieprzyjaciel, nad którym przodkowie nasi tyle świetnych wiktorij odnieśli, teraz *sicut fulgur exit ab occidente et paret usque ad orientem*. Nikt mu się nie oparł, zdrajcy heretycy mu pomogli i wszystko posiadał, wiarę prześladowuje, kościoły hańbi, i gdy mu o wolnościach waszych prawicie, on miecz wam pokazuje!... Oto na co wam wyszły wasze

sejmiki, wasze wetowanie, wasza swawola, wasze konfundowanie na każdym kroku majestatu!... Króla, przyrodzonego obrońcę ojczyzny, naprzód uczyniliście bezsilnym, a potem zasię narzekaliście, iż was nie broni!... Nie chcieliście swojego rządu, a teraz nieprzyjaciel wami rządzi... I kto, pytam, może z tego upadku nas ratować, kto dawny blask tej Rzeczypospolitej przywrócić, jeśli nie ten, który tyle zdrowia i wczasu już poświęcił, gdy ten kraj nieszczęsna domowa z Kozaki szarpała wojna; który na takowe niebezpieczeństwa poświęconą swą osobę podawał, jakich żaden monarcha w naszych czasach nie doznał; który pod Zborowem, pod Beresteczkiem i pod Żwańcem jako prosty żołnierz walczył, nad stan swój królewski trudy i niewygody ponosząc... Jemu to teraz się powierzmy, jemu Rzymian starożytnych przykładem dyktaturę w ręce oddajemy, sami zaś radźmy, jak w przyszłości ojczyznę tę od wewnętrznego nieprzyjaciela, od rozpusty, swawoli, nieładu i bezkarności ratować, a powagę rządu i majestatu należyta przywrócić!...

Tak przemawiał prymas, a nieszczęście i ostatnich czasów doświadczenie do tego stopnia przerodziły słuchaczy, że nikt nie protestował, wszyscy bowiem widzieli jasno, że albo władza królewska musi być wzmocniona, albo Rzeczpospolita zginie niechybnie. Rozpoczęły się więc różne deliberacje, jak najlepiej rady księdza prymasa do skutku przywieść, a królestwo słuchali ich chciwie i z radością, głównie królowa, która od dawna i usilnie nad wprowadzeniem ładu do Rzeczypospolitej pracowała.

Wracał więc król do Głogowej wesół i zadowolony, tam zaś zwoławszy do swej komnaty kilku zaufanych oficerów, a między nimi i Kmicica, rzekł im:

– Pilno mi już i pali mnie pobyt w tej ziemi, chciałbym choć jutro wyruszyć, przeto wezwałem waszmościów, ażebyście, jako ludzie wojskowi i doświadczeni, prędkie sposoby obmyślili. Szkoda nam czasu tracić, skoro nasza obecność znacznie wojnę powszechną przyspieszyć może.

– Pewnie – rzekł pan Ługowski – jeśli taka waszej królewskiej mości wola, to i po co zwłóczyć? Im prędzej, tym lepiej!

– Póki się rzecz nie rozgłosi i nieprzyjaciel baczności nie podwoi – dodał pułkownik Wolf.

– Nieprzyjaciel już się ma na baczności i szlaki poobsadzał, ile mógł – rzekł Kmicic.

– Jak to? – spytał król.

– Miłościwy panie, zamierzony powrót waszej królewskiej mości dla Szwedów nie nowina! Ledwie nie co dzień rozchodzi się wieść po całej Rzeczypospolitej, żeś wasza królewska mość już w drodze albo już *inter regna*. Dlatego trzeba największą ostrożność zachować i cichaczem wąwozami się przemknąć, bo na drogach czyhają Duglasowe podjazdy.

– Najlepsza ostrożność – rzekł patrząc na Kmicica pan Tyzenhauz – to trzysta wiernych szabel, a skoro mnie pan miłościwy komendę nad nimi powierza, to go przeprowadzę w zdrowiu, choćby po brzuchach Duglasowych podjazdów.

– Przeprowadzisz waszmość pan, jeśli również trzysta, a dajmy na to sześćset albo i tysiąc ludzi napotkasz, ale jak trafisz na większą siłę w zasadzce czyhającą, to co się stanie?

– Powiedziałem: trzysta – odparł Tyzenhauz – bo się o trzystu mówiło. Jeśli to jednak mało, to się o pięćset i więcej można postarać.

– Niechże Bóg broni! Im większa kupa, tym o niej głośniej! – rzekł Kmicic.

– Ba! Myślę przecie, że pan marszałek koronny wyskoczy nam ze swymi chorągwiami na spotkanie – wtrącił król.

– Pan marszałek nie wyskoczy – odpowiedział Kmicic – bo dnia i godziny nie będzie wiedział, a choćby wiedział, to mogą w drodze zwłoki zająć, jako zwyczajnie, trudno wszystko przewidzieć...

– Żołnierz to mówi, żołnierz prawdziwy! – rzekł król. – Widać waszmości wojna nieobca.

Kmicic uśmiechnął się, bo wspomniał o swoich przeciw Chowańskiemu podchodach. Któż lepiej od niego znał się na takich sprawach! Komu słuszniej można by przeprowadzenie króla powierzyć?

Ale pan Tyzenhauz widocznie innego od królewskiego był zdania, bo zmarszczył brwi i rzekł z przekąsem do Kmicica:

– Czekamy tedy doświadczonej rady waścinej...

Kmicic poczuł niechęć w pytaniu, więc utkwiał źrenice w Tyzenhauzie i odrzekł:

– Moje zdanie jest, że im mniejsza kupa będzie, tym łatwiej się przemknie.

– Więc jak ma być?

– Miłościwy panie! – rzekł Kmicic. – Wolna waszej królewskiej mości wola uczynić, jak zechce, ale mnie rozum tak uczy: niech pan Tyzenhauz naprzód z dragonią ruszy, głosząc umyślnie, że króla prowadzi, aby na siebie ściągnąć nieprzyjaciół. Jego rzecz tak się wywijać, aby z matni wyjść cało. A my w niewielkiej kupie z osobą waszej królewskiej mości w dzień albo we dwa za nim ruszymy, i gdy baczność nieprzyjaciela w inną zwróci się stronę, łatwo nam będzie przedostać się aż do Lubowli.

Król począł klaskać w ręce w uniesieniu.

– Bóg nam zesłał tego żołnierzyka! – wołał. – Salomon lepiej by nie poradził! Całkiem *votum* za tym zdaniem daję i nie ma inaczej być! Będą króla między dragonami łapać, a król im pod nosem przejedzie. Dla Boga, nie może być nic lepszego!

– Mości królu! to krotochwila!... – zawołał Tyzenhauz.

– Żołnierska krotochwila! – odrzekł król. – Wreszcie niech będzie, co chce, od tego nie odstąpię!

Kmicicowi oczy jarzyły się od radości, że jego zdanie przemogło, lecz Tyzenhauz porwał się z siedzenia.

– Miłościwy panie! – rzekł – zrzekam się komendy nad dragonami. Niech ich kto inny prowadzi!

– A to czemu? – spytał król.

– Bo jeśli bez obrony, miłościwy panie, pójdiesz, wydany na igrzysko fortuny, na wszystkie zgubne terminy, jakie się przygodzić mogą, to i ja chcę przy twej osobie być, piersi za ciebie nadstawić i polec w potrzebie.

– Dziękuję za szczerą intencję – odrzekł Jan Kazimierz – ale uspokójże się, bo właśnie w taki sposób, jaki radzi Babinicz, najmniej narażeni będziemy.

– Co radzi pan... Babinicz, czy jak się tam nazywa, niech bierze na własną odpowiedzialność! Może mu zależy co na tym, byś wasza królewska mość bez obrony w górach się zabłąkała... Ja Boga i tu obecnych towarzyszy na świadki biorę, żem z duszy odradzał!

Zaledwie skończył mówić, gdy i Kmicic porwał się, i stanąwszy panu Tyzenhauzowi twarzą w twarz, zapytał:

– Co waćpan rozumiesz przez te słowa?

Lecz Tyzenhauz zmierzył go dumnie oczyma od stóp do głowy.

– Nie sięgaj do mnie głową, mopanku, bo nie dosięgniesz!

A na to Kmicic już z błyskawicami w oczach:

– Nie wiadomo, komu to byłoby za wysoko, gdyby...

– Gdyby co? – spytał patrząc na niego bystro Tyzenhauz.

– Sięgałem do wyższych niż waszmość!

Tyzenhauz rozśmiał się.

– A gdzieś ich waszmość szukał?

– Zamilknijcie! – rzekł nagle król zmarszczywszy brwi. – Nie rozpoczynać mi tutaj swarów!...

Jan Kazimierz czynił wrażenie takiej powagi na wszystkich otaczających, że obaj młodzi umilkli i zmieszali się wspomniawszy, że to w obecności królewskiej wymknęły im się słowa tak nieskładne.

Król zaś rzekł:

– Nad tego kawalera, który kolubrynę wysadził i ze szwedzkich rąk się wydostał, nikt nie ma prawa się wynosić, choćby ojciec jego w zaścianku mieszkał, co jak widzę, nie jest, bo ptaka z pierza, a krew z uczynków poznać łatwo. Zaniechajcie do siebie urazy. (Tu król zwrócił się do

Tyzenhauza.) Ty chcesz, to przy osobie naszej zostań. Tego nam ci odmówić się nie godzi. Dragonów Wolf albo Denhoff poprowadzi. Ale i Babinicz zostanie, i za jego radą pójdziemy, bo nam do serca przypadła.

– Umywam ręce! – rzekł Tyzenhauz.

– Zachowajcie tylko waszmościowie tajemnicę. Dragoni niech dziś wyjdą do Raciborza... i wraz puścić jak najszerzej wieść, że i my znajdujemy się między nimi... a na potem czuwajcie, bo nie wiecie dnia ani godziny... Tyzenhauz! idź, wydaj rozkaz kapitanowi dragonii.

Tyzenhauz wyszedł ręce łamiąc z gniewu i żalu, za nim rozeszli się inni oficerowie.

Tego samego dnia gruchnęła wieść po całej Głogowej, że majestat króla Jana Kazimierza wyruszył już do granic Rzeczypospolitej. Wielu nawet znacznych senatorów myślało, że wyjazd istotnie miał miejsce. Gońcy, umyślnie rozesłani, powieźli nowinę do Opolą i ku szlakom granicznym.

Tyzenhauz, chociaż oświadczył, że umywa ręce, nie dał jednak za wygraną; że zaś jako rękodajny królewski, miał przystęp w każdej chwili do osoby monarchy ułatwiony, tego samego więc dnia, już po wyruszeniu dragonów, stanął przed obliczem Jana Kazimierza, a raczej obojga królestwa, bo i Maria Ludwika była obecna.

– Przyszedłem po rozkazy – rzekł – kiedy wyruszamy?

– Pojutrze do dnia – rzekł król.

– Siła ludzi ma jechać?

– Pojedziesz ty, Babinicz, Ługowski, z żołnierzami. Pan kasztelan sandomierski rusza także ze mną; prosiłem go, by jak najmniej ludzi brał z sobą, ale bez kilkunastu się nie obejdzie; pewne to i doświadczone szable. Nadto jego świątobliwość nuncjusz chce także mi towarzyszyć, którego obecność doda powagi sprawie i wszystkich wiernych prawdziwemu Kościołowi poruszy. Nie waha się przeto swej poświęconej osoby na hazard wyprawić. Ty pilnuj, aby nie było nad czterdzieści koni, bo tak Babinicz radził.

– Miłościwy panie! – rzekł Tyzenhauz.

– A czego jeszcze chcesz?

– Na kolanach o jedną łaskę błagam. Stało się już... dragoni wyszli... pojedziem bez obrony... i pierwszy podjazd z kilkudziesięciu koni może nas ogarnąć. Niechże wasza królewska mość przychyli się do błagania sługi swego, na którego wierność Bóg patrzy, i niech nie ufa za wszystkim temu szlachcicowi. Obrotny to człek, skoro się potrafił w tak krótkim czasie wkraść do serca i łaski waszej królewskiej mości, ale...

– Zali już mu zazdrościsz? – przerwał król.

– Nie zazdrozczę mu, miłościwy panie, nie chcę nawet o zdradę go stanowczo posądzać, ale przysięgłbym, że nie nazywa się Babinicz. Czemu tedy prawdziwe nazwisko ukrywa? Czemu jakoś mu niesporo mówić, co robił przed oblężeniem Częstochowy? Czemu zwłaszcza tak napierał na to, by dragoni naprzód wyszli i by wasza królewska mość bez eskorty jechała?

Król zamyślił się nieco i począł swoim zwyczajem usta raz po raz nadymać.

– Gdyby chodziło o jakowąś zmwę ze Szwedami – rzekł wreszcie – co znaczy trzysta dragonów! Jakaż to siła i jaka zasłona?... Potrzebowałyby tylko ów Babinicz dać znać Szwedom, aby kilkaset piechoty po drogach zasadzili, to i tak ujęliby nas jako w sieci. Ale się jeno zastanów, czy tu o zdradzie może być mowa? Musiałby naprzód wiedzieć termin i mieć czas do ostrzeżenia Szwedów w Krakowie, a jakże to być może, skoro pojutrze ruszamy? Nie mógł i tego odgadnąć, że pojedziem za jego racjami, bo moglibyśmy tak samo pójść za twymi albo innych... Z początku było przecie postanowione, że razem z dragonami ruszymy, więc gdyby chciał się ze Szwedami umawiać, to właśnie takie osobne ruszenie pomieszałoby mu szyki, gdyż musiałby znowu gońców wysyłać i ostrzegać. Wszystko to są niezbite racje. A przy tym nie upierał się on wcale przy swoim zdaniu, jak mówisz, jeno tak gadał, jako inni, co mu się najlepszym wydało. Nie, nie! Szczerze patrzy z oczu tego szlachcica, a spalony bok świadczy, że gotów i na mękę nie uważać.

– Jego królewska mość ma słuszość – rzekła nagle królowa – to są niezbite racje, a rada była i jest dobra.

Tyzenhauz wiedział z doświadczenia, że gdy królowa zdanie swe wyrzeczy, to próżno by od niego do króla apelować, tak ufał Jan Kazimierz jej bystrości i rozumowi. Chodziło też teraz młodemu panu tylko o to, by król potrzebne ostrożności zachował.

– Nie moja rzecz – odpowiedział – miłościwemu państwu negocjować. Jeżeli jednak mamy pojutrze wyruszyć, niechże ów Babinicz nie wie o tym, aż w godzinę wyjazdu.

– To może być! – odparł król.

– A w drodze ja sam będę go miał na oku i broń Boże przygody, nie ujdzie żyw z moich rąk!

– Nie będzie potrzeby – rzekła królowa – Słuchaj waszmość: króla od złej przygody w drodze i od zdrad, i od sideł nieprzyjacielskich nie waszmość będziesz strzegł, nie Babinicz ani dragoni, ani moce ziemskie, ale Opatrzność boża, której oko ustawicznie na pasterzów narodów i pomazańców bożych jest zwrócone. Ona to go będzie pilnować, ona go uchroni i szczęśliwie doprowadzi, a w razie potrzeby ześle mu taką pomoc, jakiej się nawet nie domyślacie, wy, którzy w ziemską tylko moc wierzycie.

– Najjaśniejsza pani! – odrzekł Tyzenhauz – wierzę i ja, że bez woli bożej nikomu włos z głowy nie spadnie, a że przez troskliwość o królewska osobę zdrajców się boję, to nie grzech.

Maria Ludwika uśmiechnęła się łaskawie.

– Ale zbyt spieszenie przesądzasz i hańbę na cały naród przez to rzucasz, w którym, jako ten Babinicz mówił, nie znalazł się jeszcze taki, co by przeciwko własnemu królowi dłoń podniósł. Niechże ci to nie będzie dziwno, że po takim opuszczeniu, po takim złamaniu przysięgi i wiary, jakiej obojeśmy z miłościwym królem doświadczyli, ja przecie mówię, że na tak straszny występpek nikt by się nie odważył, nawet z tych, którzy dziś jeszcze Szwedom służą.

– A list księcia Bogusława, miłościwa pani?

– List nieprawdę mówi! – rzekła stanowczo królowa. – Jeśli jest jaki człowiek w Rzeczypospolitej gotowy zdradzić nawet króla, to może właśnie jeden ksiązę koniuszy, bo on jeno z nazwiska do tego narodu należy.

– Krótko mówiąc, nie posądzaj Babinicza – rzekł król – gdyż i co do jego nazwiska musiało ci się w głowie podwoić. Można by go zresztą wybadać, ale jak mu tu i powiedzieć?... Jak go spytać: „Jeśli nie zwiesz się Babinicz, to jak się zwiesz?” Srodze może uczciwego człeka zabołec takie pytanie, a głowę stawię, że on uczciwy.

– Za taką cenę nie chciałbym się, miłościwa panie, o jego uczciwości przekonać.

– Dobrze, już dobrze! Wdzięczni ci jesteśmy za troskliwość. Jutrzejszy dzień na modlitwę i pokutę, a pojutrze w drogę! w drogę!

Tyzenhauz cofnął się z westchnieniem i tegoż jeszcze dnia rozpoczął w największej tajemnicy przygotowania do odjazdu. Nawet dygnitarze, którzy mieli towarzyszyć królowi, nie wszyscy byli ostrzeżeni o terminie. Służbie powiedziano tylko, żeby konie miała gotowe, bo lada dzień wyruszą z panami do Raciborza.

Król cały następny dzień nie pokazywał się nigdzie, nawet i w kościele, ale za to u siebie w mieszkaniu do nocy krzyżem przeleżał, poszcząc i Króla królów błagając o wspomnienie, nie dla siebie, ale dla Rzeczypospolitej.

Maria Ludwika wraz z pannami trwała także na modlitwie.

Następnie noc pokrzepiła siły strudzonych i gdy w ciemnościach jeszcze dzwon głogowski-go kościoła ozwał się na jutrznię, wybiła godzina rozstania.

## ROZDZIAŁ XXIII

Przez Raciborz przejechano, koniom tylko popasłszy. Nikt króla nie poznał, nikt na orszak nie zwrócił zbytnej uwagi, bo wszyscy byli zajęci niedawnym przejściem dragonów, między którymi, wedle powszechnego mniemania, monarcha polski miał się znajdować.

Orszak ten jednak wynosił około pięćdziesięciu koni, gdyż królowi towarzyszyło kilku dygnitarzy, pięciu samych biskupów, a pomiędzy innymi nuncjusz odważył się dzielić z nim trudy niebezpiecznej wyprawy. Droga jednak w granicach cesarstwa nie przedstawiała żadnego niebezpieczeństwa. W Oderbergu, niedaleko ujścia Olszy do Odry, wjechano w granice Morawy.

Dzień był chmurny i śnieg walił tak gęsto, że na kilkanaście kroków nie było można dojrzeć drogi przed sobą. Ale król był wesół i pełen dobrej myśli, bo zdarzył się znak, który wszyscy za najpomyślniejszą poczytywali wróżbę, a którego współcześni historycy nie omieszkali nawet w kronikach zapisać. Oto przy samym wyruszeniu króla z Głogowy pojawiła się przed koniem biała całkiem ptaszyna i poczęła krążyć, wzbijając się chwilami w górę, chwilami zniżać nad samą głową monarszą, kwiląc przy tym i świegocąc radośnie. Wspomniano, że podobny ptak, ale czarny, kręcił się nad królem, gdy w swoim czasie z Warszawy przed Szwedami ustępował.

Owa zaś biała całkiem wielkością i kształtem była do jaskółki podobna, co obudziło tym większy podziw, że zima była głęboka i jaskółki nie myślały jeszcze o powrocie. Uradowali się jednak wszyscy, król zaś przez pierwsze dni o niczym innym nie mówił i najpomyślniejszą sobie przyszłość obiecywał. Również zaraz z początku drogi okazało się, jak dobrą była rada Kmicica, aby jechać osobno.

Wszędzie na Morawie opowiadano o niedawnym przejeździe króla polskiego. Niektórzy twierdzili, że widzieli go na własne oczy, całego w zbroi, z mieczem w rękę i koroną na głowie. Różne też już chodziły wieści o sile, jaką ze sobą prowadził, i w ogóle przesadzano do bajecznych rozmiarów liczbę dragonów. Byli i tacy, którzy widzieli z dziesięć tysięcy, iż się końca szeregów, koni, ludzi, chorągwi i znaków doczekać nie mogli.

– Pewnie – mówiono – Szwedzi zaskoczą im drogę, ale czy poradzą takowej potędze, nie wiadomo.

– A co? – pytał Tyzenhauza król – nie miał Babinicz racji?

– Jeszcześmy nie stanęli w Lubowli, miłościwy panie – odpowiedział młody magnat.

Babinicz zaś kontent był z siebie i z podróży. Wraz z trzema Kiemliczami trzymał się zwykle naprzód przed orszakiem królewskim, rozpatrując drogę; czasem jechał ze wszystkimi zabawiając króla opowiadaniem pojedynczych wypadków z oblężenia Częstochowy, których Janowi Kazimierzowi nigdy nie było dosyć. I z każdą niemal godziną przypadał lepiej królowi do serca ów junak wesół, dziarski, do młodego orła podobny. Czas schodził monarsze to na modlitwie, to na pobożnych rozmyślaniach o życiu wiekuistym, to na rozmowach o wojnie przyszłej i pomocy spodziewanej od cesarza, to wreszcie na przypatrywaniu się zabawom rycerskim, którymi towarzyszący żołnierze starali się czas podróży skrócić. Miał to bowiem w swej naturze Jan Kazimierz, że umysł jego łatwo przechodził od powagi do pustoty niemal i od ciężkiej pracy do rozrywek, którym gdy przyszła na niego taka chwila, oddawał się duszą całą, jakby żadna troska, żadne zmartwienie nie obciążało go nigdy.

Popisywali się tedy żołnierze, czym który umiał; młodzi Kiemlicze, Kosma i Damian, bawili króla swymi ogromnymi i niezgrabnymi postawami i łamaniem podków jako trzcin, on zaś kazał im za każdą po talarze dawać, chociaż w sakwach dość było pusto, bo wszystkie pieniądze, nawet klejnoty i „parafanały” królowej poszły na wojsko.

Pan Andrzej popisywał się rzucaniem ciężkiego obuszka, który tak silnie w górę puszczał, że prawie go widać nie było, a on nadlatywał koniem i chwycił go w lot za rękojęść. Król na ów widok aż w ręce klaskał.

– Widziałem – mówił – jak to pan Słuszka, brat pani podkanclerzyny, czynił, ale i on nie miotał przez pół tak wysoko.

– U nas to we zwyczaju na Litwie – odpowiedział pan Andrzej – a gdy się człek z dzieciństwa wprawia, to i do biegłości dojdzie.

– Skądże to masz tę kresę przez gębę? – spytał pewnego razu król pokazując na bliznę Kmicica. – Dobrze cię ktoś szablą przejechał.

– To nie od szabli, miłościwy panie, jedno od kuli. Strzelono do mnie, lufę mi do gęby przyłożywszy.

– Nieprzyjacieli czyli swój?

– Swój, ale nieprzyjaciel, którego do porachunku jeszcze wezwę, i póki się to nie stanie, mówić mi się o tym nie godzi.

– Takież to zawzięty?

– Nie mam ja żadnej zawziętości, miłościwy panie, bo oto na łbie głębszą jeszcze szczerbę od szabli noszę, którą szczerbą mało dusza ze mnie nie uszła, ale że mi ją zacny człowiek uczynił, przeto urazy do niego nie żywię.

To rzekłszy Kmicic zdjął czapkę i ukazał królowi głęboką bruzdę, której białawe brzegi widne były doskonale.

– Nie wstyd mi tej rany – rzekł – bo mi ją zadał taki mistrz, jak nie masz drugiego w Rzeczypospolitej.

– Którenże to jest taki mistrz?

– Pan Wołodyjowski.

– Dla Boga! Toż ja go znam. Cudów on pod Zbarażem dokazywał. A potem byłem na weselu towarzysza jego, Skrzetuskiego, który mi pierwszy z oblężonego Zbaraża wieści przywiózł. Wielcy to kawalerowie! A był z nimi i trzeci; tego całe wojsko sławiło jako największego rycerza. Gruby szlachcic, a tak krotochwilny, żeśmy na weselu mało boków od śmiechu nie pozrywali.

– To pan Zagłoba, zgaduję! – rzekł Kmicic – człek to nie tylko mężny, ale dziwnych fortelów pełen.

– Cóż oni teraz czynią, nie wiesz?

– Wołodyjowski u księcia wojewody wileńskiego dragonami dowodził.

Król zasepił się.

– I razem z księciem wojewodą Szwedom teraz służy?

– On? Szwedom? On jest przy panu Sapieże. Sam widziałem, jak po zdradzie księcia wojewody buławę mu pod nogi cisnął.

– O, to godny żołnierz! – odrzekł król. – Od pana Sapiehy mieliśmy wiadomości z Tykocina, w którym księcia wojewodę obległ. Niech mu Bóg szczęści! Gdyby wszyscy byli do niego podobni, już by nieprzyjaciel szwedzki pożałował swojej imprezy.

Tu Tyzenhauz, który słyszał całą rozmowę, spytał nagle:

– Toś waśc był w Kiejdanach u Radziwiłła?

Kmicic zmieszał się nieco i zaczął podrzucać swój obuszek.

– Byłem.

– Daj pokój obuszkowi – mówił dalej Tyzenhauz. – A cóżeś to porabiał na książęcym dworze?

– Gościem byłem – odrzekł niecierpliwie pan Kmicic – i książęcy chleb jadłem, póki mi nie obrzydł po zdradzie.

– A czemuś to z innymi zacnymi żołnierzami do pana Sapiehy nie poszedł?

– Bom sobie ślub do Częstochowy uczynił, co tym łatwiej waszmość zrozumiesz, gdy ci powiem, że nasza Ostra Brama była przez Septentrionów zajęta.

Pan Tyzenhauz począł głową kręcić i cmokać, aż to zwróciło uwagę króla, tak że i sam począł patrzeć badawczej na Kmicica.

Ten zaś, zniecierpliwiony, zwrócił się do Tyzenhauza i rzekł:

– Mój mości panie! Czemu to ja się waćpana nie wypyuję, gdzieś przebywał i coś robił?

– Wypytuj waść – odrzekł Tyzenhauz. – Ja nie mam nic do ukrywania.

– Ja też nie stoję przed sądem, a jeśli stanę kiedy, to nie waść będziesz moim sędzią. Zaniechaj mnie tedy, abym zaś cierpliwości nie stracił.

To rzekłszy wyrzucił obuch tak szparko, że aż zmalął na wysokości, król oczy za nim podniósł i w tej chwili nie myślał już o niczym innym jak tylko o tym, czy Babinicz uchwyci go w lot, czy nie uchwyci...

Babinicz spał konia, skoczył i uchwycił.

Lecz tego samego wieczora Tyzenhauz rzekł do króla:

– Miłościwy panie, coraz mniej mi się ten szlachcic podoba!...

– A mnie coraz więcej! – rzekł, wydymając usta, król.

– Słyszałem dziś, jak jeden z jego ludzi nazwał go pułkownikiem, a on tylko spojrział groźnie i zaraz tamtego skonfundował. W tym coś jest!

– I mnie się czasem widzi – rzekł król – że on nie chce wszystkiego gadać, ale to jego sprawa.

– Nie, miłościwy panie! – zawołał gwałtownie Tyzenhauz – to nie jego sprawa, to sprawa nasza i całej Rzeczypospolitej... Bo jeśli to jaki przedawczyk, który zgubę waszej królewskiej mości albo niewolę gotuje, to zginą razem z waszą królewską mością wszyscy ci, którzy w tej chwili oręż podnoszą, zginie cała Rzeczypospolita, którą ty jeden, miłościwy panie, ratować możesz.

– To go jutro sam wypytam.

– Bogdajbym był fałszywym prorokiem, ale jemu nic dobrego z oczu nie patrzy. Nadto on szparki, nadto śmiały, zbyt wielki rezolut, a tacy ludzie na wszystko się ważą.

Król zafrasował się.

Nazajutrz dzień, gdy ruszono w drogę, kiwnął na Kmicica, by zbliżył się ku niemu.

– Gdzieś ty był pułkownikiem? – spytał król nagle.

Nastąpiła chwila milczenia.

Kmicic walczył sam ze sobą; paliła go chęć zeskoczyć z konia, upaść do nóg królewskich i raz zrzucić z siebie ten ciężar, który dźwigał, raz powiedzieć całą prawdę.

Lecz ze zgrozą pomyślał znowu, jak straszne wrażenie musi uczynić to nazwisko: Kmicic, zwłaszcza po liście księcia Bogusława Radziwiłła.

Jakże on, niegdyś prawa ręka księcia wojewody wileńskiego, on, który przewagę jego utrzymał, do rozbicia nieposłusznych chorągwi dopomógł, w zdradzie sekundował; jakże on, posadzony i oskarżony o najstraszniejszą zbrodnię zamachu na wolność królewską, zdoła teraz przekonać króla, biskupów i senatorów, że się poprawił, że się przerodził i krwią za swe winy odpokutował?... Czym zdoła swych szczerych intencji dowieść, jakie dowody, prócz gołych słów, może złożyć?...

Dawne winy ścigają go ciągle i nieubłagane, jako psy zażarte ścigają zwierza w kniei.

Więc postanowił zamilczeć.

Ale uczył jednocześnie niewypowiedziany wstręt i obrzydzenie do wykrętów. Zali miałby temu panu, tak ze wszystkich sił duszy kochanemu, rzucać piasek w oczy i wymyślonymi historiami go zwodzić?

Czuł, że do tego zabraknie mu sił.

Więc po chwili tak mówić począł:

– Miłościwy królu! Przyjdzie czas, może niedługo, że będę mógł waszej królewskiej mości całą duszę jako księdzu na spowiedzi otworzyć... Ale chcę, żeby pierwej za mnie, za moją szczerą intencję, za wierność i za miłość do majestatu uczynki jakowe, nie gołe słowa, zaręczały. Grzeszyłem, miłościwy panie, grzeszyłem przeciw tobie i ojczyźnie, a za mało mam jeszcze pokuty, więc takiej służby szukam, w której by poprawę łatwo znaleźć. Kto wreszcie nie grzeszył? Kto nie potrzebuje bić się w piersi w całej tej Rzeczypospolitej? Być to może, żem ciężej zawinił



od innych, alem się też i pierwej obejrzał... Nie pytaj, miłościwy panie, o nic, póki cię terażniejsza służba o mnie nie przekona; nie pytaj, bo nie mogę nic powiedzieć, aby sobie drogi i zbawienia nie zamknąć, bo Bóg mi świadek i Najświętsza Panna, Królowa nasza, zem tego nie zmyślił, iż ostatnią kroplę krwi gotowym za ciebie oddać...

Tu oczy pana Andrzeja zwilgotniały, a taka szczerość i żal rozświeciły mu twarz, że oblicze silniej jeszcze od słów go broniło.

– Bóg patrzy na intencje moje – mówił dalej – i na sądzie mi je policzy... Ale jeśli mi, miłościwy panie, nie ufasz, to mnie wypędź, to oddal mnie od osoby swojej. Pojadę za śladem twoim, opodał, aby w jakiej ciężkiej chwili przybyć, choć i bez zawołania, i głowę położyć za ciebie. A wówczas, miłościwy panie, uwierzysz, zem nie zdrajca, ale jeden z takich sług, jakich nie masz, miłościwy panie, wielu, nawet między tymi, którzy na innych podejrzenia rzucają.

– Ja ci i dziś wierzę – rzekł król. – Zostań po staremu przy osobie naszej, bo nie zdrada tak przemawia.

– Dziękuję waszej królewskiej mości! – rzekł Kmicic.

I powstrzymawszy nieco konia, wycofał się między ostatnie szeregi orszaku.

Lecz Tyzenhauz nie ograniczył się na udzieleniu swych podejrzeń samemu tylko królowi, skutkiem czego wszyscy poczęli zezem na Kmicica spoglądać. Głośniejsze rozmowy ustawały, gdy się zbliżył, a poczynają się szepty. Śledzono każdy jego ruch, rozważano każde słowo. Spostrzegł to pan Andrzej i uczyniło mu się źle między tymi ludźmi.

Nawet król, chociaż nie odebrał mu zaufania, nie miał już dla niego tak wesołego jak dawniej oblicza. Więc młody junak stracił fantazję, sposepniał, żal i gorycz opanowały mu serce. Dawniej na przedzie między pierwszymi zwykł był toczyć koniem, teraz włókł się o kilkaset kroków za kawalkatą, z głową spuszczoną i ponurymi myślami w głowie.

Aż wreszcie zabielały przed jeźdźcami Karpaty. Śniegi leżały na ich skłonach, chmury rozkładały swe ociążałe cielska na szczytach, a gdy wieczór zdarzył się pogodny, wówczas przy zachodzie przywdziewały owe góry szaty płomienne, i blaski szły od nich okrutne, póki nie zagasły w mrokach cały świat obejmujących. Patrzył więc Kmicic na owe cuda natury, których dotąd nigdy jeszcze w życiu nie widział, i choć wielce stroskany, o troskach z podziwu zapomniał.

Z każdym dniem olbrzymy owe stawały się większe, potężniejsze. Aż wreszcie dojechał do nich orszak królewski i zapuścił się w wąwozy, które nagle jakoby bramy otworzyły się przed nim.

– Granica musi być już niedaleko – rzekł ze wzruszeniem król.

Wtem dostrzeżono wózek zaprzężony w jednego konia, a w wózku człeka. Królewscy ludzie zatrzymali go zaraz.

– Człeku – spytał Tyzenhauz – a czy my to już w Polsce?

– Tam on za tą skałą i za rzeczką cesarska granica, a wy już na królewskiej ziemi stoicie.

– Którędy zaś do Żywca?

– Prosto tędy do drogi się dostaniecie:

I góral zaciał szkapinę. Tyzenhauz zaś skoczył do stojącego opodał orszaku.

– Miłościwy panie – zakrzyknął z uniesieniem – stanąłeś już *inter regna*, bo oto twoje od onej rzeczulki królestwo!

Król nie odrzekł nic, skinął tylko, aby mu konia potrzymano, sam zaś zsiadł i rzucił się na kolana, podniósłszy oczy i ręce w górę.

Na ten widok zsiadli wszyscy i poszli za jego przykładem; ów król zaś, tułacz, padł po chwili krzyżem w śnieg i począł całować tę ziemię tak ukochaną, a tak niewdzięczną, która w chwili klęski schronienia jego królewskiej głowie odmówiła.

Nastąpiła cisza i tylko westchnienia ją mąciły.

Wieczór był mroźny, pogodny, góry i szczyty pobliskich jodeł płonęły purpurą, a dalsze w ciemne już poczęły się ubierać fiolety, lecz droga, na której leżał król, mieniła się niby czerwona i złota wstęga; blaski te padały na króla, biskupów i dygnitarzy.

Wtem ze szczytów wstał wiatr i niosąc na skrzydłach skry śnieżne, zleciał do doliny. Więc jodły pobliskie poczęły pochylać pokryte okiścią czuby i kłaniać się panu, i szumieć gwarno a radośnie, jakby śpiewały oną dawną pieśń:

– Witajże nam, witaj, miły hospodynie!...

Mrok już nasyczał powietrze, gdy orszak królewski ruszył dalej. Za wąwozem roztoczyła się szersza dolina, której drugi koniec gubił się w oddaleniu. Blaski gasły naokoło, tylko w jednym miejscu niebo świeciło się jeszcze czerwono.

Król począł odmawiać *Ave Maria*, za nim inni w skupieniu ducha powtarzali pobożne słowa.

Ziemia rodzinna, dawno nie widziana, góry pokrywające się nocą, gasnące zorze, modlitwy, wszystko to nastroiło uroczyście serca i umysły, więc po ukończonych modlitwach jechali w milczeniu król, dygnitarze i rycerze.

Następnie noc zapadła, jeno we wschodniej stronie niebo świeciło się coraz czerwieniej.

– Pojedziem ku tym zorzom – rzekł wreszcie król – dziw, że jeszcze świecą.

Wtem przycwałował Kmicic.

– Miłościwy panie! to pożar! – zakrzyknął.

Zatrzymali się wszyscy.

– Jakże to? – pytał król – mnie się widzi, że to zorza!...

– Pożar, pożar! Ja się nie mylę! – wołał pan Kmicic.

I istotnie, ze wszystkich towarzyszków królewskich on znał się na tym najlepiej.

Wreszcie nie było można dłużej wątpić, gdyż ponad ową mniemaną zorzą podnosiły się jakby chmury czerwone i kłębiły się, jaśniejąc i ciemniejąc na przemian.

– To chyba Żywiec się pali! – zawołał król. – Nieprzyjaciel może tam grasować!

Nie skończył jeszcze, gdy do uszu patrzących doleciał gwar ludzki, parskanie koni i kilkanaście ciemnych postaci zamajaczyło przed orszakiem.

– Stój! Stój! – począł wołać Tyzenhauz.

Postacie owe zatrzymały się, jakby niepewne, co dalej mają czynić.

– Ludzie! kto wy? – pytano dalej z orszaku.

– To swoi! – ozwało się kilka głosów. – Swoi! My z Żywca gardła unosim; Szwedzi Żywiec palą i ludzi mordują!

– Stójcie na Boga!... co gadacie?... Skąd oni się tam wzięli?

– Oni, panoczku, na naszego króla czatowali. Siła ich, siła! Niechże go Matka Boska ma w swej opiece!

Tyzenhauz stracił na chwilę głowę.

– Ot, co jechać w małej kupie! – krzyknął na Kmicica – bogdaj cię za takową radę zabito!

Lecz Jan Kazimierz począł sam wypytywać uciekających.

– A gdzie król? – spytał.

– Król poszedł w góry z wielkim wojskiem i dwa dni temu przez Żywiec przejeżdżał, ale oni go naścigli i tam się gdzieś wedle Suchej bili... Nie wiemy, czy go dostali, czy nie, ale dziś pod wieczór do Żywca wrócili i palą, mordują...

– Jedźcie z Bogiem, ludzie! – rzekł Jan Kazimierz.

Uciekający przemknęli szybko.

– Ot, co by nas było spotkało, gdybyśmy z dragonami jechali! – zawołał Kmicic.

– Miłościwy królu! – ozwał się ksiądz biskup Gębicki – nieprzyjaciel przed nami... Co nam czynić?

Wszyscy otoczyli króla naokoło, jakby go chcieli osobami swymi od nagłego niebezpieczeństwa zasłonić, lecz on spoglądał na lunę, która odbijała się w jego źrenicach, i milczał; nikt też pierwszy nie wyrywał się ze zdaniem, tak ciężko było coś dobrego poradzić.

– Gdym wyjeżdżał z ojczyzny, świeciła mi luna – rzekł wreszcie Jan Kazimierz – gdy wjeżdżam, druga mi świeci...

I znowu nastąpiło milczenie, tylko dłuższe jeszcze niż poprzednio.

– Kto ma jakową radę? – spytał na koniec ksiądz Gębicki.

Wtem zabrzmiał głos Tyzenhauza, pełen goryczy i urągania:

– Kto się nie wahał osoby pańskiej na szwank wystawić, kto namawiał, by król bez straży jechał, ten niech teraz rady udzieli!

W tej chwili jeden jeździec wysunął się z koła; był to Kmicic.

– Dobrze – rzekł.

I podniósłszy się w strzemionach, krzyknął, zwróciwszy się ku stojącej opodal czeladzi:

– Kiemlicze, za mną!

To rzekłszy puścił konia w cwał, a za nim trzech jeźdźców pomknęło co tchu w piersiach końskich.

Krzyk rozpaczy wydobył się z piersi pana Tyzenhauza.

– To zмова! – rzekł – zdrajcy znać dadzą! Mości królu, ratuj się, póki czas, bo i wawóz wkrótce nieprzyjaciel zamknie! Mości królu, ratuj się! nazad! nazad!

– Wracajmy, wracajmy! – zawołali jednogłośnie biskupi i dygnitarze.

Lecz Jan Kazimierz zniecierpliwiał się, z ócz poczęły iść mu błyskawice, nagle wydobył szpadę z pochwy i zawołał:

– Nie daj Bóg, abym z własnej ziemi drugi raz miał uchodzić! Niech się stanie, co ma być, dosyć mi tego!

I spiał konia ostrogami, aby ruszyć naprzód, lecz sam nuncjusz pochwycił za lejce.

– Wasza królewska mość – rzekł z powagą – losy ojczyzny i Kościoła katolickiego dźwigasz na sobie, więc ci nie wolno osoby swej narażać.

– Nie wolno! – powtórzyli biskupi.

– Nie wróć na Śląsk, tak mi dopomóż święty Krzyż! – odpowiedział Jan Kazimierz.

– Miłościwy panie! wysłuchaj prośb twych poddanych! – rzekł składając ręce kasztelan sandomierski. – Jeżeli żadną miarą nie chcesz do cesarskich krajów się nakłonić, to nawróćmy przynajmniej z tego miejsca i ku granicy węgierskiej się skierujmy albo przejdźmy nazad ów wawóz, aby nam powrotu nie przecięto. Tam czekać będziem. W razie nadejścia nieprzyjaciela w koniach ratunek zostanie, ale przynajmniej nas jako w pułapce nie zamkną.

– Niechże i tak będzie – rzekł łagodniej król. – Nie odrzucam ja rozumnej rady, ale na tułactwo drugi raz nie pójdę. Jeśli tedy nie można się będzie przedostać, to indziej się przedostaniem. Wszelako tak myślę, że waszmościowie na próżno się strachacie. Skoro ci Szwedzi nas między dragonami szukali, jako ludzie z Żywca mówili, to właśnie dowód, że o nas nie wiedzą i że zdrady ani zmony nijakiej nie było. Weźcie, waszmościowie, to na rozum, jesteście ludzie doświadczeni. Nie zaczepialiby ci Szwedzi dragonów, nie wystrzeliliby do nich ni razu, gdyby mieli wiadomość, że za dragonami jedziemy. Uspokójcie się, waszmościowie! Babinicz ze swymi pojechał po wieści i pewnie niebawem powróci.

To rzekłszy król nawrócił konia ku wawozowi, za nim towarzysze. Zatrzymali się tam, gdzie im pierwszy przejezdny góral samą granicę wskazywał.

Upłynął kwadrans, po czym pół godziny i godzina.

– Czy uważacie, wasze dostojności – ozwał się nagle wojewoda łęczycki – iż luna zmniejsza się?

– Gaśnie, gaśnie prawie w oczach – odrzekło kilka głosów.

– To dobry znak! – zauważył król.

– Pojadę ja naprzód z kilkunastoma ludźmi – ozwał się Tyzenhauz. – O staję stąd staniemy i gdyby Szwedzi nadciągali, to ich zatrzymamy na sobie, dopóki nie polegniem. W każdym razie będzie czas o bezpieczeństwie osoby pańskiej pomyśleć.

– Trzymaj się kupy, zakazuję ci jechać! – rzekł król.

A na to Tyzenhauz:

– Miłościwy panie! każesz mnie później za nieposłuszeństwo rozstrzelać, ale teraz pojedę, bo tu o ciebie chodzi!

I skrzyknąwszy kilkunastu żołnierzy, którym można było zaufać w każdej potrzebie, ruszył naprzód.

Stanęli u drugiego wyjścia wąwozu w dolinę – i stali cicho z gotowymi rusznicami, nadstawiając uszu na każdy szelest.

Długi czas trwało milczenie, na koniec doleciał ich chrzęst śniegu tratowanego kopytami.

– Jada! – szepnął jeden z żołnierzy.

– Nie żadna to kupa, kilka tylko koni słyhać – odpowiedział drugi. – Pan Babinicz wraca!

Tymczasem nadjeżdżający zbliżyli się w ciemnościach na kilkadziesiąt kroków.

– Werdo? – zakrzyknął Tyzenhauz.

– Swoi! nie strzelać tam! – zabrzmiał głos pana Kmicica.

W tejże chwili on sam pojawił się przed Tyzenhauzem i nie poznawszy go w ciemności, spytał:

– A gdzie król?

– Tam, opodal, za wąwozem! – odrzekł uspokojony Tyzenhauz.

– Kto mówi, bo nie można rozeznąć?

– Tyzenhauz! A co to takiego wielkiego wiesz waszmość przed sobą?

To rzekłszy ukazał na jakiś ciemny kształt zwieszający się przed Kmicicem na przodku kulbaki.

Lecz pan Andrzej nie odpowiedział nic i przejechał mimo. Dotarłszy do orszaku królewskiego, rozeznął osobę króla, bo za wąwozem daleko było jaśniej, i zawołał:

– Miłościwy panie, wolna droga!

– Nie masz już w Żywcu Szwedów?

– Odciągnęli ku Wadowicom. To był niemiecki oddział najemny. Ot, zresztą jest tu jeden, sam go, miłościwy panie, wybadaj!

I nagle pan Andrzej cisnął na ziemię z kulbaki ów kształt, który trzymał przed sobą, aż jęk rozległ się w ciszy nocnej.

– Co to jest? – pytał zdumiony król.

– To? Rajtar!

– Na miły Bóg! Toś i języka przywiózł? Jakże to? powiadaj!

– Miłościwy panie! Gdy wilk nocą za stadem owiec idzie, łatwo mu jedną sztukę porwać, a zresztą, żeby prawdę rzec, to mi taka sprawa nie pierwszozna.

Król ręce do głowy podniósł.

– Ale to żołnierz ten Babinicz, niech go kule biją! Imainujcie, waszmościowie... Widzę, że mając takich sług, mogą choćby w środek Szwedów jechać!

Tymczasem otoczyli wszyscy rajtara, który jednak nie podnosił się z ziemi.

– Pytaj go, miłościwy panie – odpowiedział nie bez pewnej chępliwości w głosie Kmicic – choć nie wiem, czy będzie mógł odpowiadać, bo trochę przyduszon, a nie masz tu, czym by go przypiec.

– Wleście mu gorzałki w gardło – rzekł król.

I istotnie lepiej to lekarstwo pomogło od przypiekania, bo rajtar wkrótce odzyskał siły i głos. A wówczas pan Kmicic, przyłożywszy mu sztych do gardła, kazał opowiadać całą prawdę.

Zeznał tedy ów jeniec, że należy do regimentu pułkownika Irlehorna, że mieli wiadomość o przejeździe króla z dragonami, więc napadli na nich koło Suchej, ale wzięwszy wstręt należyty, musieli się cofnąć do Żywca, skąd pociągnęli do Wadowic i Krakowa, bo takie mieli rozkazy.

– Zali w górach nie ma innych oddziałów szwedzkich? – pytał po niemiecku Kmicic pociągając nieco silniej gardło rajtara.

– Może są jakowe – odpowiedział przerywanym głosem rajtar – generał Duglas porzyszał podjazdy, ale się wszystkie cofają, bo chłopstwo w wężozach na nie napada.

– A w pobliżu Żywca wyście jedni byli?

– My jedni.

– I wiecie, że król polski już przejechał?

– Przejechał z tymi dragonami, którzy się o nas w Suchej obtarli. Wielu go widziało.

– Czemuście go nie ścigali?

– Baliśmy się góralów.

Tu Kmicic ozwał się znów po polsku:

– Miłościwy panie! Droga wolna, a i nocleg w Żywcu się znajdzie, bo jeno część osady spalona.

Lecz nieufny Tyzenhauz rozmawiał przez ten czas z panem kasztelanem wojnickim i tak mówił:

– Albo to jest żołnierz wielki i szczerzy jak złoto, albo zdrajca kuty na cztery nogi... Zważ, wasza dostojność, że to wszystko może być symulowane, od wzięcia tego rajtara aż do jego zeznań. A jeśli to umyślne? Jeśli Szwedzi siedzą przyczajeni w Żywcu? Jeśli król pojedzie i wpadnie jako w matnię?...

– Bezpieczniej się przekonać – odrzekł kasztelan wojnicki.

Więc pan Tyzenhauz odwrócił się do króla i rzekł głośno:

– Pozwól, miłościwy panie, żebym ja naprzód do Żywca ruszył i przekonał się, czyli to prawda, co ów kawaler i ów rajtar powiadają.

– Niechże tak będzie! Pozwól, miłościwy panie, niech jedzie! – zawołał Kmicic.

– Jedź – rzekł król – ale i my ruszymy nieco naprzód, bo zimno.

Pan Tyzenhauz ruszył z kopyta, a orszak królewski jął posuwać się za nim z wolna. Król odzyskał dobry humor i wesołość i po jakimś czasie rzekł do pana Kmicica:

– Ale to z tobą można by jako z sokołem na Szwedów polować, bo z góry uderzasz!

– Tak to i było – odrzekł pan Andrzej. – Jak wasza królewska mość zechce zapolować, to sokół zawsze gotów.

– Powiadaj, jakżeś go ucapił?

– To nietrudno, miłościwy panie! Zwyczajnie, gdy pułk idzie, zawsze kilkunastu ludzi w tyle się wlecze, a ten się na pół stajania został. Podjechałem za nim; on myślał, że swój, nie strzegł się i nim się opamiętał, jużem go porwał, gębę mu przydusiwszy, ażeby nie krzyczał.

– Mówiłeś, że ci to nie pierwszozna. Zaliżeś to już kiedy pierwej praktykował?

Kmicic rozśmiał się.

– Oj, oj! miłościwy panie! praktykowałem i to, i co lepszego! Niech wasza królewska mość jeno rozkaże, a znowu skoczę, dognam ich, bo konie mają zdrożone, i jeszcze jednego ucapię, i Kiemliczom moim każę ucaścić.

Czas jakiś jechali w milczeniu, nagle tętent konia rozległ się i nadleciał Tyzenhauz.

– Mości królu! – rzekł – droga wolna i nocleg zamówiony.

– A nie mówiłem?! – zawołał Jan Kazimierz. – Niepotrzebnieście się waszmościowie troskali... Jedźmy teraz, jedźmy, bo nam się spoczynek należy!

Wszyscy ruszyli rysią, rażno, wesoło, i w godzinę później zasnął utrudzony król bezpiecznym snem na własnej ziemi.

Tegoż wieczora pan Tyzenhauz zbliżył się do pana Kmicica.

– Wybacz waszmość – rzekł – z miłości to do pana cię podejrzewałem.

Lecz Kmicic umknął mu ręki.

– O, nie może być! – odrzekł. – Zdrajcą i przedawczykiem mnie czyniłeś...

– Byłbym i więcej uczynił, bo byłbym waści w łeb strzelił – rzekł Tyzenhauz – ale gdym się przekonał, żeś zacny człowiek i króla miłujesz, rękę ci wyciągnąłem. Chcesz, przyjmij – nie

chcesz, nie przyjmuj... Wolałbym z tobą jeno w przywiązaniu do osoby pańskiej emulować... Ale i innej emulacji się nie przestraszę.

– Tak waszmość myślisz?... Hm! może masz i słuszność, ale mi na waćpana mrućno.

– To przestań mrućnoć... Tęgi z waszmości żołnierz! No! a dawaj no gęby, byśmy się w niewawiści spać nie układli.

– Niechże tak będzie – rzekł Kmicic.

I padli sobie w objęcia.

## ROZDZIAŁ XXIV

Orszak królewski późną nocą dotarł do Żywca i prawie nie zwrócił uwagi w miasteczku, przerażonym niedawnym napadem szwedzkiego oddziału. Król nie zajeżdżał do zamku, który poprzednio już był spustoszony od Szwedów, a w części spalony, ale stanął w plebanii. Tam Kmicic rozpuścił wiadomość, iż to poseł cesarski ze Śląska udaje się do Krakowa.

Jakoż nazajutrz wyruszyli ku Wadowicom i dopiero znacznie za miastem skręcili do Suchej. Stamtąd przez Krzeczonów mieli jechać do Jordanowa, stamtąd do Nowego Targu, i gdyby się okazało, że nie ma podjazdów szwedzkich pod Czorsztynem, to do Czorsztyna, gdyby zaś były, to skręcić mieli do Węgier i węgierską ziemią ciągnąć aż do Lubowli. Spodziewał się też król, że pan marszałek wielki koronny, który rozporządzał tak znacznymi siłami, jakich nie miał niejeden książę panujący, pubezpiecza drogi, sam przeciw panu wyskoczy. Mogło mu pomieścić szyki tylko to, że nie wiedział, którądy król ciągnie; ale przecież między góralami nie brakło wiernych ludzi, gotowych zanieść panu marszałkowi umówione słowa. Nie potrzeba im było nawet tajemnicy powierzać, bo szli chętnie, skoro im powiedziano, że o służbę królewską idzie. Był to bowiem lud duszą i sercem królowi oddany, chociaż ubogi i pół jeszcze dziki, mało albo wcale uprawą niewdzięcznej roli się nie trudniący, żyjący z chowu bydła, pobożny i nienawidzący heretyków. Oni to pierwsi, gdy rozeszła się wieść o wzięciu Krakowa, a zwłaszcza o oblężeniu Częstochowy, do której pobożne pielgrzymki odbywać zwykli, porwali za toporzyska swoich siekier i ruszyli się z gór. Jenerał Duglas, znakomity wojownik, opatrzony w działa i strzelby, rozproszył ich wprawdzie z łatwością w równinach, na których bić się nie przywykli; natomiast Szwedzi z największymi tylko ostrożnościami zapuszczali się we właściwe ich siedziby, w których dosięgnąć ich było niepodobna, a ponieść klęskę łatwo. Zginęło też kilka pomniejszych oddziałów, które się nieopatrznie w labirynt gór zapędziły.

I teraz wieść o przejeździe króla z wojskiem uczyniła już swoje, wszyscy bowiem jak jeden mąż zerwali się, by go bronić i towarzyszyć mu ze swymi „ciupagami”, choćby na kraj świata. Mógł Jan Kazimierz, gdyby tylko odkrył, kto jest, otoczyć się w jednej chwili tysiącami półdzikich „gazdów”, lecz on słusznie mniemał, że w takim razie wieść rozebrzmiałaby wnet, razem z wichrami, po całej okolicy i że Szwedzi mogliby także wysłać znaczne wojska na jego spotkanie, więc wolał ciągnąć nie poznany nawet od górali.

Znajdowano jednak wszędy pewnych przewodników, którym dość było powiedzieć, że prowadzą biskupów i panów pragnących się szwedzkiej ręki uchronić. Prowadzili ich więc wśród śniegów, skał, wichrów i przełęczy, sobie tylko znanymi „pyrciami”, przez miejsca tak niedostępne, że – rzekłbyś – i ptak nie mógłby przez nie przelecieć.

Nieraz król i dostojnicy mieli chmury pod nogami, a jeżeli chmur nie było, to wzrok ich leciał w bezbrzeżną, białymi śniegami okrytą przestrzeń, która tak wydawała się szeroką, jak kraj cały szeroki; nieraz zapuszczali się w gardziele górskie, ciemne prawie, śniegami przysłonięte, w których chyba tylko zwierz dziki mógł mieć legowiska. Lecz omijano dostępne dla nieprzyjaciela miejsca, skracano drogę, i bywało że osada jaka, do której ledwie za pół dnia spodziewano się dostać, pojawiała się nagle pod nogami, a w niej spoczynek czekał i gościnność, choć w kurnej chacie, w zadymionej świetlicy.

Król był ciągle wesół, innym odwagi do znoszenia nadzwyczajnych trudów dodawał i ureczał, że takimi drogami się przebijając, pewno równie szczęśliwie jak niespodzianie do Lubowli się dostaną.

– Pan marszałek, ani się spodziewa, kiedy mu na kark spadniem! – powtarzał ciągle.

A nuncjusz odpowiadał:

– Czymże był powrót Ksenofonta w porównaniu z tą naszą podróżą w chmurach?

– Im wyżej się wzniesiem, tym szwedzka fortuna upadnie niżej – twierdził król.

Tymczasem dojechano do Nowego Targu. Zdawało się, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło; jednakże górale twierdzili, że jakieś obce wojska kręcą się wedle Czorsztyna i po okolicy. Król przypuszczał, iż może to być niemiecka rajtaria pana marszałka koronnego, której miał dwa pułki, albo że jego własnych dragonów, wysłanych przodem, poczytano za nieprzyjacielskie podjazdy. Więc gdy i w Czorsztynie była załoga biskupa krakowskiego, podzieliły się zdania w królewskim orszaku: jedni chcieli jechać traktem do Czorsztyna, a stamtąd ciągnąć samą granicą do ziemi spiskiej; inni radzili zaraz wykręcić do Węgier, które tu klinem aż pod Nowy Targ dochodziły, i znowu przedzierać się przez wirchy i wąwozy, biorąc wszędy przewodników, najniebezpieczniejsze przejścia znających.

To ostatnie zdanie przemogło, albowiem w ten sposób spotkanie się ze Szwedami stawało się prawie niepodobnym, i zresztą króla bawiła ta „orłowa” droga przez przepaści i przez chmury.

Wyruszono więc z Nowego Targu nieco na zachód i południe, zostawiając po prawej ręce Biały Dunajec. Początkowa droga szła okolicą dosyć otwartą i rozległą, lecz w miarę jak postępowano naprzód, góry poczęły się zbiegać, doliny zacieśniać. Jechano drogami, po których konie ledwie mogły postępować. Czasem trzeba było zsiadać i w rękę je prowadzić, a i to nieraz jeszcze opierały się, tuląc uszy i wyciągając otwarte, dymiące nozdrza ku przepaściom, z których głębi śmierć zdawała się wyglądać.

Górale, przywykli do urwisk, uznawali często za dobre takie drogi, na których nieobyłym ludziom szumiało i kręciło się w głowach. Wjechali na koniec w jakąś szczelinę skalną, długą i prostą, a tak wąską, że zaledwie trzech ludzi mogło jechać wedle siebie.

Wąwóz to był jakoby korytarz niezmierny. Dwie wysokie skały zamykały go z prawej i lewej strony. Gdzieniedzie jednak krawędzie ich rozchyłały się tworząc mniej strome pochyłości pokryte zaspami śniegu, na zrębach obramowane czarnym borem. Wichry wywiały natomiast śnieg z dna wąwozu i kopyta końskie szczękały wszędy po kamienistym podkładzie. Lecz w tej chwili wiatr nie wiał i cisza panowała tak głucha, że aż w uszach dzwoniąca. Tylko w górze, kędy między lesistymi krawędziami widniał błękitny pas nieba, przelatywało od czasu do czasu czarne plectwo, łopocąc skrzydłami i kracząc.

Orszak królewski stanął dla wypoczynku. Z koni podnosiły się kłęby pary, a i ludzie byli pomęczeni.

– Czy to Polska, czy Węgry? – spytał po chwili przewodnika król.

– To jeszcze Polska.

– A czemu nie wykręciliśmy zaraz do Węgier?

– Bo nie można. On wąwóz zakręci się opodal, potem będzie sikława, za sikławą pyrć do traktu idzie. Tam nawrócimy, przejdziem jeszcze jeden wąwóz i dopiero będzie węgierska stro-  
na.

– To widzę, że lepiej było od razu traktem jechać – rzekł król.

– Cichajcie!... – odpowiedział nagle góral.

I przyskoczywszy do skały, przyłożył do niej ucho.

Wszyscy utkwili w niego oczy, a jemu twarz zmieniła się w jednej chwili i rzekł:

– Za zakrętem wojsko idzie od potoku!... Dla Boga! czy nie Szwedy?!

– Gdzie? jak? co?... – poczęto pytać ze wszystkich stron. – Nic nie słyhać!...

– Bo tam śnieg leży. Na rany boskie! Już są blisko!... Zaraz się ukaza!...

– Może pana marszałka ludzie? – rzekł król.

Kmicic w tej chwili ruszył koniem.

– Pojadę zobaczyć! – rzekł.

Kiemlicze ruszyli zaraz za nim, jak psy myśliwe za łowcem, lecz ledwie posunęli się z miejsca, gdy zakręt gardzieli, o sto kroków przed nimi leżący, zaciemnił się od ludzi i koni.

Kmicic spojrział... i dusza zatrzęsała się w nim z przerażenia.

Byli to Szwedzi.



Ukazali się tak blisko, że cofać się było niepodobna, zwłaszcza iż orszak królewski miał konie pomęczzone. Pozostawało tylko przebić się lub zginąć albo pójść w niewolę. Zrozumiał to w jednej chwili nieustraszony król, więc chwycił za rękojeść szpady.

– Ostronąć króla i nazad! – krzyknął Kmicic.

Tyzenhauz z dwudziestu ludźmi w mgnieniu oka wysunął się na czoło, lecz Kmicic, zamiast złączyć się z nimi, ruszył drobnym kłusem przeciw Szwedom.

Miał zaś na sobie szwedzki strój, ten sam, w którym przebrał się wychodząc z klasztoru, więc owi Szwedzi teraz nie pomiarkowali, co to za jeden. Widząc dążącego przeciw sobie w takim stroju jeźdźca, prawdopodobnie poczytali cały orszak królewski za jakiś własny podjazd, bo nie przyspieszyli kroku, tylko kapitan dowodzący wysunął się przed pierwszą trójkę.

– A co za ludzie? – spytał po szwedzku, patrząc na groźną i bladą twarz zbliżającego się ju-naka.

Kmicic najechał nań tak blisko, że prawie trącili się kolanami, i nie odrzekłszy ni słowa, wypalił mu w samo ucho z pistoletu.

Okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi rajtarów, ale potężniej jeszcze zabrzmiał głos pana Andrzeja:

– Bij!

I jako skała oderwana od opoki, tocząc się w przepaść, druzgoce wszystko w biegu, tak i on runął na pierwszy szereg niosąc śmierć i zniszczenie. Dwaj młodzi Kiemlicze, podobni do dwóch niedźwiedzi, skoczyli za nim w zamęt. Stukot szabel o pancerze i hełmy rozległ się jak huk młotów, a wnet zawtórowały mu wrzaski i jęk.

Przerażonym Szwedom zdawało się w pierwszej chwili, że to trzech wielkoludów napadło ich w dzikim parowie górskim. Pierwsze trójki cofnęły się, zmieszane, przed strasznym mężem, a gdy ostatnie wydobywały się dopiero spoza zakrętu, środek stłoczył się i zwichrzył. Konie poczęły gryźć się i wierzgać. Żołnierze z dalszych trójek nie mogli strzelać, nie mogli iść na ratunek przodowym, którzy ginęli bez ratunku pod ciosami trzech olbrzymów. Próżno się złożyć, próżno sztychów nadstawiać, tamci łamią szable, przewracają ludzi i konie. Kmicic zdarł konia, że aż kopyta jego zwisły nad głowami rajtarskich rumaków, sam zaś szalał, siekł, bódł. Krew zbroczyła mu twarz, z oczu szedł ogień, wszystkie myśli w nim zgasły, została tylko jedna, że zginie, lecz Szwedów musi zatrzymać. Ta myśl przerodziła się w dzikie jakieś uniesienie, więc siły jego potroili się, ruchy stały się podobne do ruchów rysia: wściekłe, jak błyskawice szybkie. I nadludzkimi ciosami szabli kruszył ludzi, jak piorun kruszy młode drzewa; dwaj Kiemlicze młodzi szli tuż, a stary, stojąc nieco z tyłu, co chwila wsuwał rapier między synów, tak szybko, jak wąż żądło wysuwa, i wyciągał krwawy.

Tymczasem koło króla powstał rozruch. Nuncjusz, jako pod Żywcem tak i teraz, trzymał za cugle jego konia, z drugiej strony chwycił je biskup krakowski i ze wszystkich sił cofali w tył rumaka, król zaś parł go ostrogami, aż dzianet dęba stawał.

– Puszczajcie!... – wołał król. – Na Boga! Przejedziem przez nieprzyjaciół!

– Panie, myśl o ojczyźnie! – wołał biskup krakowski.

I król nie mógł wydrzeć się z ich rąk, zwłaszcza że od przodu zatarasował mu drogę młody Tyzenhauz ze wszystkimi ludźmi. Nie szedł on w pomoc Kmicicowi, poświęcił go, pragnął tylko króla ratować.

– Na mękę Pana naszego! – krzyczał z rozpaczą – tamci zaraz polegną!... Miłościwy panie, ratuj się, póki czas! Ja ich tu jeszcze zatrzymam!

Lecz upór królewski, gdy go raz rozdrażniono, nie liczył się z niczym i z nikim. Jan Kazimierz wsparł jeszcze silniej rumaka ostrogami i zamiast cofać się, posuwał się naprzód.

A czas płynął i każda chwila dłużej mogła zgubę za sobą pociągnąć.

– Zginę na mojej ziemi!... Puszczajcie!... – wołał król.

Szczęściem przeciw Kmicicowi i Kiemliczom, dla ciasnoty miejsca, mała tylko liczba ludzi mogła od razu działać, skutkiem czego mogli się trzymać dłużej. Lecz z wolna i ich siły poczęły

się wyczerpywać. Kilkakroć rapiery szwedzkie dotknęły się ciała Kmicica i krew jęła z niego uchodzić. Oczy przesłaniały mu się jakby mgłą. Dech ustawał w piersiach. Uczuł zbliżanie się śmierci, więc pragnął tylko życie sprzedać drogo. „Jeszcze choć jednego!” – powtarzał sobie i puszczał płytkie żelazo na głowę lub ramię najbliższego rajtara, i znów zwracał się ku innemu; Szwedom wszelako, po pierwszej chwili zamieszania i strachu, wstyd widocznie uczyniło się, że czterech mężów zdołało ich zatrzymać tak długo, i natarli z furją; wnet samym ciężarem ludzi i koni zepchnęli ich w tył i spychali coraz silniej i szybciej.

Wtem koń Kmicica padł i fala zakryła jeźdźca.

Kiemlicze rzucali się jeszcze czas jakiś, podobni do pływaków, którzy widząc, że toną, usiłują jak najdłużej głowy nad powierzchnią roztoczy morskiej utrzymać, lecz wkrótce zapadli i oni...

Wówczas Szwedzi jak wichler ruszyli ku orszakowi królewskiemu.

Tyzenhauz zaś ze swymi ludźmi skoczył ku nim i uderzyli się tak, że aż łoskot rozległ się po górach.

Lecz cóż znaczyła ta nowa tyzenhauzowska garstka przeciw potężnemu podjazdowi, blisko trzysta koni liczącemu.

Nie było już wątpliwości, że dla króla i jego orszaku musi nieubłaganie wybić fatalna godzina zguby lub niewoli.

Jan Kazimierz, woląc widocznie pierwszą od drugiej, wyswobodził na koniec lejce z rąk trzymających je biskupów i posunął się szybko za Tyzenhauzem.

Nagle stanął jak wryty.

Stało się coś nadzwyczajnego. Patrzącym wydało się, że same góry przychodzą w pomoc prawemu królowi i panu.

Oto nagle krawędzie wąwozu zadrgały, jak gdyby ziemia wzruszyła się z posad, jak gdyby bór rosnący w górze chciał wziąć udział w walce, i pnie drzewne, bryły śniegu, lodu, kamienie i okruchy skał jęły toczyć się ze strasliwym trzaskiem i łoskotem na zaciśnięte na dnie szeregi szwedzkie; jednocześnie nieludzkie wycie rozległo się po obu stronach parowu.

Na dole zaś, w szeregach, wszczął się zamęt, ludzką wyobraźnię przechodzący. Szwedom zdało się, że góry runęły i zsypują się na nich. Powstały krzyki, lament druzgotanych mężów, rozpaczliwe wołania o pomoc, kwik koński, zgrzyt i strasliwy dźwięk skalnych obłamów o pancerze.

Na koniec ludzie i konie utworzyli jedną kupę kłębiącą się konwulsyjnie, gniotącą, pełną jęków, rozpaczliwą, straszną.

A kamienie i złamy skał miażdżyły ją ciągle, tocząc się nieubłaganie na bezkształtne już masy ciał końskich i ludzkich.

– Górale! górale! – zaczęto krzyczeć w orszaku królewskim.

– Ciupagami psu bratów! – ozwały się głosy na górze.

I w tej chwili po obu krawędziach skalistych ukazały się długowłose głowy, przybrane w okrągłe skórzane kapelusze, za nimi wychyliły się ciała i kilkaset dziwnych postaci poczęło spuszczać się w dół po pochyłościach śnieżnych.

Ciemne i białe gunie, unoszące się nad ramionami, nadawały im pozór jakichś strasznych ptaków drapieżnych. Zsunęli się w mgnieniu oka; świst siekierek zawtórował złowrogo ich dzi kim okrzykom i jękom dobijanych Szwedów. Sam król chciał rzeź powstrzymać; niektórzy rajtarowie, żywi jeszcze, rzucali się na kolana i wznosząc bezbronne ręce błagali o ratunek. Nic nie pomogło, nic nie wstrzymało mściwych siekier i w kwadrans później nie było już ani jednego żywego Szweda w parowie.

Potem krwawi górale poczęły się sypać ku orszakowi królewskiemu.

Nuncjusz ze zdumieniem patrzył na tych nie znanych sobie ludzi, rosnących, silnych, pokrytych częścią w skóry owcze, ubroczonych krwią i potrząsających dymiącymi jeszcze siekierkami.

Lecz oni na widok biskupów poodkrywali głowy. Wielu poklękało w śniegu.

Biskup krakowski podniósł załzawioną twarz ku niebu.

– Oto pomoc boska, oto Opatrzność, która czuwa nad majestatem.

Następnie zwrócił się do górali i rzekł:

– Ludzie, coście za jedni?

– Tutejsi! – odpowiedziano z tłumu.

– Czy wiecie, komuście przyszli w pomoc?... Oto król i pan wasz, któregoście uratowali!

Na te słowa krzyk uczynił się w tłumie: „Król! król! Jezusie, Mario, król!” – Wierni górale poczęli się cisnąć do pana i tłoczyć. Z płaczem opadli go zewsząd, z płaczem całowali jego nogi, strzemiona, nawet kopyta jego konia. Zapanowało takie uniesienie, taki krzyk i szlochanie, że aż biskupi z obawy o osobę królewską musieli zbyt zapalać hamować.

Król zaś stał wśród wiernego ludu, jak pasterz wśród owiec, i łzy wielkie, jasne jak perły, spływały mu po twarzy.

Po czym oblicze jego rozjaśniło się, jakby jakaś przemiana spełniła się nagle w jego duszy, jakby nowa wielka myśl, z nieba rodem, zaświeciła mu w głowie, i skinął ręką, że chce mówić, a gdy uciszyło się, rzekł podniesionym głosem, tak iż słyszał go tłum cały:

– Boże! któryś mnie przez ręce prostego ludu wybawił, przysięgam ci na mękę i śmierć Syna Twego, że i jemu ojcem odtąd będę!

– Amen! – powtórzyli biskupi.

I czas jakiś trwało uroczyste milczenie, potem zaś nowa radość wybuchła. Poczęto wypytywać górali, skąd się wzięli w wąwozach i jakim sposobem tak w porę dla ratunku królowi się znaleźli.

Okazało się, że znaczne podjazdy szwedzkie kręciły się koło Czorsztyna i nie dobywając samego zamku, zdawały się szukać kogoś i czekać. Górale słyszeli także o bitwie, którą podjazdy te stoczyły z jakimś wojskiem, między którym miał się i sam król znajdować. Wówczas to postanowili wciągnąć Szwedów w zasadzkę i nasławszy im fałszywych przewodników, umyślnie zwabili ich do tego parowu.

– Widzieliśmy – mówili górale – jako onych czterech rycerzy uderzyło na tych psiajuchów, chcieliśmy im iść w pomoc, ale baliśmy się spłoszyć za wcześnie psu bratów.

Tu król porwał się za głowę.

– Matko Jedynego Syna! – krzyknął – szukać mi Babinicza! Niechaj mu choć pogrzeb wyprawimy!... i tego to człowieka za zdrajcę poczytano, który pierwszy krew za nas wylał!

– Zawiniłem, miłościwy panie! – ozwał się Tyzenhauz.

– Szukać go, szukać! – wołał król. – Nie odjadę stąd, póki mu w twarz nie spojrzę i nie pożegniam.

Skoczyli więc żołnierze wraz z góralami na miejsce pierwszej walki i wkrótce spod stosu trupów końskich i ludzkich wydobyli pana Andrzeja. Twarz jego była blada, cała zabryzgana krwią, której grube sople zakrzepły mu na wąsach; oczy miał przymknięte; pancerz powyginany od razów mieczów i kopyt końskich. Ale ten pancerz właśnie uchronił go od zmiżdżenia, i żołnierzowi, który go podniósł, wydawało się, że usłyszał cichy jęk.

– Dla Boga! Żyw! – zakrzyknął.

– Zdjąć mu pancerz! – wołali inni.

Wnet przecięto rzemienie.

Kmicic odetchnął głębiej.

– Dycha! dycha! Żyw! – powtórzyło kilka głosów.

On zaś leżał czas jakiś nieruchomie, po czym otworzył oczy. Wówczas jeden z żołnierzy wlał mu do ust nieco gorzałki, inni zaś podnieśli go pod ramiona.

W tej chwili nadszedł pędem sam król, do którego uszu doszedł okrzyk powtarzany przez wszystkie usta.

Żołnierze przywlekli przed niego pana Andrzeja, który ciężył im ku ziemi i leciał przez ręce. Jednakże na widok króla przytomność wróciła mu na chwilę, uśmiech prawie dziecinny przebłyśnął mu na twarzy, a blade jego wargi wyszeptaly wyrażnie:

– Mój pan, mój król żywie... wolny...  
I łzy błysły mu w źrenicach.  
– Babinicz! Babinicz! Czym cię nagrodzę?! – wołał król.  
– Jam nie Ba-bi-nicz, jam Kmi-cic! – szepnął rycerz.  
To rzekłszy zwisał jak martwy na rękach żołnierzy.

## ROZDZIAŁ XXV

Ponieważ górale zapewnili, że na drodze do Czorsztyna o żadnych innych oddziałach szwedzkich nie słyhać, orszak królewski wykręcił więc ku temu zamkowi i wkrótce znalazł się na trakcie, po którym podróż była łatwiejsza i mniej nużąca. Jechali wśród pieśni góralskich i okrzyków: „Król jedzie! Król jedzie!” – a po drodze łączyły się z nimi coraz nowe kupy ludu zbrojnego w cepy, kosy, widły i strzelby, tak że Jan Kazimierz stanął wkrótce na czele znacznego oddziału ludzi, nie wyćwiczonych wprawdzie, ale gotowych w każdej chwili iść z nim choćby na Kraków i krew przelać za swego pana. Pod Czorsztynem przeszło już tysiąc „gazdów” i półdzikich juhasów otaczało króla.

Aż też zaczęła napływać szlachta spod Nowego i Starego Sącza. Ci donieśli, że tegoż ranka pułk polski pod wodzą Wojniłłowicza zbił przy samym mieście Nowym Sączu znaczny podjazd szwedzki, z którego wszyscy niemal ludzie zginęli lub potopili się w Kamiennej i w Dunajcu.

Jakoż okazało się to prawdą, gdyż wkrótce na trakcie zamigotały proporcezyki, za czym sam Wojniłłowicz z pułkiem wojewody braclawskiego nadjechał.

Radośnie król powitał znakomitego, a z dawna sobie znajomego rycerza i wśród ogólnego zapachu ludu i wojska jechał z nim dalej na Spisz. Tymczasem skoczyli co tchu w koniach jeździ dać naprzód znać panu marszałkowi, że król się zbliża, aby był gotów na przyjęcie.

Wesoło i gwarno szła dalsza podróż. Napływały coraz nowe tłumy. Nuncjusz, który z obawą o własne i królewskie losy ze Śląska wyjechał, którą obawę początek podróży jeszcze powiększył, nie posiadał się teraz z radości, bo już był pewien, że przyszłość niezawodnie zwycięstwo królowi, a z nim i Kościołowi, nad heretykami przyniesie. Biskupi dzielili jego radość, dygnitarze świeccy twierdzili, że cały naród od Karpat do Bałtyku, tak samo jak owe tłumy, za broń chwyci. Wojniłłowicz zaś zapewniał, że po większej części już się to stało.

I opowiadał, co w kraju słyhać, jaki postrach padł na Szwedów, jak już nie śmia się w mniejszej liczbie z murów wychylać, jak nawet mniejsze zameczki opuszczają i palą, do potężniejszych chroniąc się fortec.

– Wojsko jedną ręką w piersi się bije, a drugą Szwedów bić zaczyna – mówił. – Wilczkowski, który nad husarskim pułkiem waszej królewskiej mości porucznikuje, podziękował już Szwedom za służbę, a to w ten sposób, że ich pod Zakrzewem, w komendzie pułkownika Attenberga będących, napadł i siłą naciął, ledwie nie wszystkich zniósł... Ja z pomocą bożą z Nowego Sącza ich wyparłem i Bóg dał znaczną wiktoryę, bo nie wiem, czy jeden żywy wyszedł... Pan Felicjan Kochowski z piechotą nawojowską mocno mi dopomógł, i tak się im przynajmniej za owych dragonów, dwa dni temu poszarpanych, odpłaciło.

– Za jakich dragonów? – spytał król.

– A za tych, których wasza królewska mość ze Śląska przed sobą wysłał. Szwedzi zniechęca ich napadli i chociaż rozproszyć nie zdołali, bo się okrutnie bronili, przecie szkodę uczynili w nich znaczną... A myśmy mało nie pomarli z desperacji, bośmy myśleli, że się wasza królewska mość osobą własną między tymi ludźmi znajduje, i baliśmy się, żeby jakowa zła przygoda majestatu nie spotkała. Bóg to natchnął waszą królewską mość do wysłania przodem dragonii. Zaraz się o niej Szwedzi zwiędzieli i wszędy drogi pozajmowali.

– Słyszysz, Tyzenhauz? – pytał król. – Żołnierz to doświadczony mówi.

– Słyszę, miłościwy panie – odparł młody magnat.

Król zwrócił się do Wojniłłowicza:

– A co więcej? Co więcej? Powiadaj!

– Co wiem, pewnie tego nie ukryję. W Wielkopolsce Żegocki i Kulesza dokazują. Pan Warszyci Lindorma z zamku pileckiego wysadził, Danków się obronił, Lanckorona w naszym ręku, a na Podlasiu pan Sapieha pod Tykocinem co dzień w siłę rośnie. Gorzej już Szwedzi w zamku,

a z nimi razem zgorzeje i księżę wojewoda wileński. Co do hetmanów, ci się już spod Sandomierza w Lubelskie ruszyli, jawnie tym okazując, że z nieprzyjacielem zrywają. Jest tam z nimi i wojewoda czernihowski, a z okolicy ciągnie ku nim, kto żyw i kto szablę w garści utrzymać może. Powiadają, że się tam ma jakiś związek przeciwko Szwedom formować, w czym i pana Sapięhy jest ręka, i pana kasztelana kijowskiego.

– To kasztelan kijowski także teraz w Lubelskiem?

– Tak jest, wasza królewska mość! Ale on dziś tu, jutro tam... Mam i ja do niego ciągnąć, ale gdzie go szukać, tego nie wiem.

– Głośno o nim będzie – rzekł król – nie będziesz potrzebował o drogę pytać.

– Tak i ja myślę, miłościwy panie – odrzekł Wojniłłowicz.

Na podobnych rozmowach schodziła droga. Tymczasem niebo wypogodziło się zupełnie, tak że błękitu nie plamiła żadna chmurka; śniegi lśniły się w promieniach słońca. Góry spiskie rozciągały się wspaniale i wesoło przed jadącymi i sama natura zdawała się do pana uśmiechać.

– Miła ojczyzno! – rzekł król – bodajem ci mógł spokój przywrócić, nim kości moje w twej ziemi spoczna!

Wjechali na wysokie wzgórze, z którego widok otwarty był i daleki, bo z drugiej strony obszerna stała u stóp jego nizina. Tam ujrzeli w dole i w wielkim oddaleniu poruszające się jakieś mrowisko ludzkie.

– Wojska pana marszałka idą! – zawołał Wojniłłowicz.

– Jeśli nie Szwedzi? – rzekł król.

– Nie, miłościwy panie! Szwedzi nie mogliby od Węgier, z południa, ciągnąć. Widzę już husarskie proporczyki.

Jakoż po chwili z sinawej oddali wysunął się las włóczni, barwne proporce chwiały się jakby kwiaty wiatrem poruszane; powyżej grotły lśniły się na kształt płomyków. Słońce grało na pancerzach i hełmach.

Tłumy towarzyszące królowi wydały okrzyk radosny; dosłyszano go z dala, bo masa koni, jeźdźców, chorągwi, buńczuków, proporczyków poczęła poruszać się szybciej, widocznie tam ruszono z kopyta, bo pułki stawały się coraz wyraźniejsze i rosły w oczach z niepojętą szybkością.

– Ostańmy tu, na tym wzgórzu! Tu pana marszałka czekać będziem – rzekł król.

Orszak zatrzymał się; jadący naprzeciw pędzili jeszcze szybciej.

Chwilami zakrywały ich przed oczyma skręty drogi lub małe pagórki i skały rozsiane po nizinie, lecz wnet znowu ukazywali się oczom jako wąż o skórze grającej barwami, przepysznej. Na koniec dotarli o ćwierć staj od wzgórza i zwolnili pędu. Oko mogło ich już doskonale objąć i nacieszyć się nimi. Szła więc naprzód chorągiew husarska, pana marszałka własna, bardzo okryta i tak wspaniała, że każdy król mógłby się podobnym wojskiem poszczycić. Służyła w tej chorągwi sama szlachta górską: ludzie dobrani, chłop w chłopa, pancerze na nich z jasnej blachy, mosiądzem nabijane ryngrafy z Najświętszą Panną Częstochowską, hełmy okrągłe z żelaznymi nausznikami, grzebieniaste na wierzchu, u ramion skrzydła sępie i orle, na plecach skóry tygrysie i lamparcie, u starszyny wilcze wedle obyczaju.

Las zielonych z czarnymi proporczyków chwiał się nad nimi; przodem jechał porucznik Wiktor, za nim kapela janczarska z dzwonkami, litaurami, kotłami i piszczałkami, dalej ściana piersi końskich i ludzkich w żelazo zakutych.

Rozpływało się na ten widok wspaniały serce królewskie. Wraz za husarią następował znak lekki, jeszcze liczniejszy, z gołymi szablami w ręku i łukami na plecach; potem trzy sotnie semenów, barwnych jak mak kwitnący, zbrojnych w spisy i samopały; potem dwieście dragonii w czerwonych koletach; potem poczty panów różnych, już w Lubowli bawiących, czeladź strojna jak na wesele, trabanci, hajducy, pajucy, węgrzynkowie i janczarowie do służby przy osobach pańskich przeznaczeni.

A mieniło się to jak tęcza, a nadjeżdżało gwarnie i szumno, wśród rżenia koni, chrzęstu zbroi, huku kotłów, warczenia bębnow, dźwiękania litaurów i krzyków tak gromkich, iż zdawało się, że śnieg od nich z gór opadnie. W końcu za wojskami widać było karety i kolasy, w których widocznie jechali świeccy i duchowni dygnitarze.

Następnie wojska ustawiły się w dwa szeregi wzdłuż drogi, a zaś w środku ukazał się na białym jak mleko koniu sam pan marszałek koronny, Jerzy Lubomirski. Leciał on jak wichher ową ulicą, a za nim dwóch masztalerzy kapiących od złota. Dojechawszy do wzgórza, zeskoczył z konia i rzuciwszy lejce jednemu z masztalerzów, sam szedł piechotą na wzgórze, ku stojącemu tam królowi.

Czapkę zdjął i zasadziwszy ją na rękojeść szabli, szedł z gołą głową, podpierając się obuszkami, całym perłami okrytym. Ubrany był po polsku, w stroju wojennym; na piersiach miał pancerz ze srebrnej blachy, gęsto na brzegach kamieniami wysadzany, a polerowany tak, iż zdawało się, że słońce na piersiach niesie; przez lewe ramię zwieszała mu się delia barwy ciemnej, przechodzącej w fiolet purpury, z weneckiego aksamitu. Trzymał ją pod szyją sznur zaczepiony o agrafy brylantowe, którymi cała delia była naszyta; również brylantowe trzęsienie chwiała mu się u czapki, a one klejnoty migotały jako skry różnokolorowe naokół całej jego postaci, i oczy ćmił, takie od niego były blaski.

Był to mąż w sile wieku, postawy wspaniałej. Głowę miał podgoloną, czuprynę dość rzadką, siwiejącą, w kosmy na czole ułożoną, wąs czarny jak skrzydło kruka, w cienkich końcach po obu stronach ust opadający. Wyniosłe czoło i rzymski nos dodawały piękności jego obliczu, lecz szpeciły je cokolwiek zbyt wypukłe policzki i oczy małe, czerwoną obwódką okolone. Wielka powaga, ale przy tym niesłychana pycha i próżność malowały się w tej twarzy. Zgadłeś łatwo, że ów magnat chciał wiecznie zwracać na się oczy całego kraju, ba! całej Europy. Jakoż tak i było w istocie.

Gdzie tylko Jerzy Lubomirski nie zdołał zająć najwybitniejszego miejsca, gdzie mógł tylko dzielić się z innymi sławą i zasługą, tam rozdrażniona jego duma gotowa była położyć się w poprzek i popsuć, złamać wszelkie zabiegi, choćby o zbawienie ojczyzny chodziło.

Był to wódz szczęśliwy i biegły, ale i pod tym względem przewyższali go inni niezmiernie, a w ogóle zdolności jego, lubo niepospolite, nie szły w parze z ambicją i chęcią znaczenia. Stąd wieczny niepokój wrzał w jego duszy, stąd wyrodziła się podejrzliwość, zazdrość, które później doprowadziły go do tego, że dla Rzeczypospolitej stał się nawet od straszego Janusza Radziwiłła zgubniejszym. Czarny duch, który mieszkał w Januszu, był zarazem i wielki, nie cofał się przed nikim i przed niczym; Janusz pragnął korony i świadomie szedł do niej przez groby i ruiny ojczyzny. Lubomirski byłby ją przyjął, gdyby ręce szlacheckie włożyły mu ją na głowę, ale mniejszą duszę mając, jasno i wyraźnie jej pożądać nie śmiał. Radziwiłł był jednym z takich mężów, których niepowodzenie do rządów zbrodniarzy strąca, powodzenie do rzędu półbogów wynosi; Lubomirski był to wielki warchoł, który prace dla zbawienia ojczyzny, w imię swej podrażnionej pychy, popsuć był zawsze gotów, nic w zamian zbudować, nawet siebie wynieść nie śmiał, nie umiał; Radziwiłł zmarł winniejszym, Lubomirski szkodliwszym.

Lecz wówczas, gdy w złocie, aksamitach i klejnotach szedł przeciw królowi, duma jego nasyconą była dostatecznie. On to przecie pierwszy z magnatów przyjmował swego króla na swojej ziemi; on go pierwszy brał niejako w opiekę, on go na tron zburzony miał prowadzić, on nieprzyjaciela wyżenąć, od niego król i kraj cały wszystkiego oczekiwali, na niego wszystkie oczy były zwrócone. Więc gdy zgadzało się z jego miłością własną, a nawet pochlebiał jej wierność i służby okazywać, gotów był istotnie na ofiary i poświęcenia, gotów był nawet miarę w objawach czci i wierności przebrać. Jakoż doszedłszy do wpół wzgórza, na którym stał król, zerwał czapkę z rękojeści i począł, kłaniając się, śnieg jej brylantowym trzęsieniem zamiatać.

Król ruszył koniem nieco ku dołowi, następnie zatrzymał go, aby zsiąść dla powitania. Widząc to pan marszałek skoczył strzemienia swymi dostojnymi rękoma potrzymać i w tej chwili

szarpnąwszy za delię zerwał ją z pleców i za przykładem angielskiego dworaka rzucił pod nogi królewskie.

Rozrzewniony król otworzył mu ramiona i chwycił go jak brata w objęcia.

Przez chwilę nic obaj nie mogli przemówić, lecz na ten wspaniały widok zawrzało jednym głosem wojsko, szlachta, lud, i tysiące czapek wyleciało w powietrze, huknęły wszystkie muszkiety, samopały i piszczele, działa z Lubowli ozwały się dalekim basem, aż zatrzęsyły się góry, zbudziły wszystkie echa i poczęły biegać wokół, obijać się o ciemne ściany borów, o skały i urwiska i lecieć z wieścią do dalszych gór, dalszych skał...

– Panie marszałku – rzekł król – tobie restaurację królestwa będziem zawdzięczać!

– Miłościwy panie! – odpowiedział Lubomirski – fortunę moję, życie, krew, wszystko składam u nóg waszej królewskiej mości!

– *Vivat! Vivat Joannes Casimirus rex!*... – grzmiały okrzyki.

– Niech żyje król, ociec nasz! – wołali górale.

Tymczasem panowie jadący z królem otoczyli marszałka, lecz on nie odstępował osoby pańskiej. Po pierwszych powitaniach król znowu siadł na koń, a pan marszałek, nie chcąc znać granic w gościnności i czci dla majestatu, chwycił za lejce i sam idąc pieszo prowadził króla wśród szeregów wojsk i głośzących okrzyków aż do pozłocistej, zaprzężonej w ośm tarantów karety, do której majestat pański siadł wraz z nuncjuszem papieskim Widonem.

Biskupi i dygnitarze pomieścili się w następnych, po czym ruszono z wolna ku Lubowli. Pan marszałek jechał przy oknie królewskiej karety, pyszny i rad z siebie, jakby go już ojcem ojczyzny okrzyknięto.

Po dwóch bokach szły gęsto wojska śpiewając pieśń, brzmiącą w następnych słowach:

Sieczże Szwedów, siecz,  
Wyostrzywszy miecz.  
Bijże Szwedów, bij,  
Wziąwszy tęgi kij.

Walże Szwedów, wal,  
Wbijaj ich na pal.  
Męczże Szwedów, męcz  
I jak możesz dręcz.

Łupże Szwedów, łup  
I ze skóry złup.  
Tnijże Szwedów, tnij,  
To ich będzie mniej.

Topże Szwedów, top,  
Jeśliś dobry chłop.<sup>1</sup>

Niestety, wśród powszechnej radości i uniesienia, nie przewidywał nikt, że później tę samą pieśń, zmieniawszy Szwedów na Francuzów, będą śpiewały też same wojska Lubomirskiego, zbuntowane przeciw swemu prawowitemu królowi i panu.

Ale teraz było jeszcze do tego daleko. W Lubowli huczały działa na powitanie, aż wieże i blanki pokryły się dymem, dzwony biły jakby na pożar. Dziedziniec, na którym wysiadł król, krążganek i schody zamkowe wysłane były suknem czerwonym. W wazach z Włoch sprowadzonych paliły się wschodnie aromaty. Większą część skarbów Lubomirskich: kredensów złotych i srebrnych, makat, kobierców, gobelinów misternie flamandzkimi rękoma tkanych, statui,

<sup>1</sup> Pieśń tę, pt. *Przydumek panom Francuzom*, śpiewano pod Mątłami.



zegarów, szaf klejnotami zdobnych, biur perłową macicą i bursztynem wykładanych, sprowadzono już wcześniej do Lubowli, aby je uchronić przed drapieżnością szwedzką; teraz zaś wszystko to było rozstawione, rozwieszono, ćmiło oczy i zmieniało ów zamek w jakąś czarodziejską rezydencję. I pan marszałek umyślnie roztoczył taki, sułtana godny, przepych, aby okazać królowi, że chociaż wraca jako wygnaniec, bez pieniędzy, bez wojska, nie posiadając prawie szat do zmiany, przecie jest panem potężnym, mając sług tak potężnych i równie wiernych. Zrozumiał ową intencję król i serce wezbrało mu wdzięcznością, co chwila więc brał marszałka w ramiona, ścisnął go za głowę a dziękował. Nuncjusz, lubo przepychów zwyczajny, zdumiewał się głośno nad tym, co widział, i słyszano go, jak mówił do hrabiego Apotyngen, że dotąd nie miał pojęcia o potędze króla polskiego i że widzi, iż poprzednie klęski były tylko chwilową odmianą fortuny, która wprędce zmienić się musi.

Do uczty, która po wypoczynku nastąpiła, król zasiadł na wywyższeniu, a pan marszałek sam mu usługiwał, nie pozwalając nikomu się zastąpić. Po prawicy króla wziął miejsce nuncjusz Widon, po lewicy książe prymas Leszczyński, dalej po obu stronach dygnitarze duchowni i świeccy, jako ksiądz biskup krakowski, poznański, ksiądz arcybiskup lwowski, dalej łucki, przemyski, chełmiński, ksiądz archidiakon krakowski, dalej pieczętarze koronni i wojewodowie, których ośmiu się zebrało, i kasztelani, i referendarze, a z oficerów zasiadł do uczty pan Wojniłłowicz, pan Wiktor, pan Stabkowski i pan Baldwin Szurski, lekkiego znaku imienia Lubomirskich przywódca.

W drugiej sali stół był zastawiony dla szlachty pomniejszej, a obszerny cekhauz dla ludu prostego, wszyscy bowiem mieli się w dzień przybycia pańskiego weselić.

A przy wszystkich stołach nie było o niczym innym rozmowy, tylko o powrocie króla, o strasznych przygodach, które w drodze zaszły i w których ręka boża króla broniła. Sam Jan Kazimierz począł mówić o bitwie w wąwozie i wysławiać owego kawalera, który pierwszy impet szwedzki powstrzymał.

– A jakże mu tam? – pytał pana marszałka.

– Medyk go nie odstępuje i za żywot jego ręczy, a przy tym i panny z fraucymeru wzięły go w opiekę i pewnie duszy jego wyjść z ciała nie pozwolą, bo ciało młode, gładkie! – odpowiedział wesoło marszałek.

– Chwała Bogu! – zawołał król. – Słyszałem ja z ust jego coś, czego waszmościom nie powtórzę, bo mi się samemu zdaje, że się przesłyszał albo że on w delirium tak mówił, ale jeśli się to pokaże, dopiero waszmościowie będziecie się zdumiewać.

– Byle nic takiego nie było – rzekł – co by waszą królewską mocą zasępić mogło?

– Zgoła nic takiego! – rzekł król – owszem, ucieszyło nas to niepomiernie, bo się okazuje, że ci nawet, których za największych nieprzyjaciół mieliśmy raczej uważać, krew w przygodzie za nas przelać gotowi.

– Miłościwy panie! – zakrzyknął pan marszałek – czas poprawy nadszedł, ale pod tym dachem wasza królewska moc między takimi się znajduje, którzy nigdy nawet i myślą przeciw jej majestatowi nie zgrzeszyli.

– Prawda, prawda! – odpowiedział król – a wy, panie marszałku, w pierwszym rzędzie!

– Sługam lichy waszej królewskiej mości!

Przy stole z wolna począł powstawać gwar coraz większy. Nastąpiły rozmowy o koniunkturach politycznych, o spodziewanej dotąd na próżno pomocy cesarza niemieckiego, o posiłkach tatarskich i przyszłej wojnie ze Szwedami. Nowa nastąpiła radość, gdy pan marszałek oświadczył, iż wysłany przez niego umyślnie poseł do chana powrócił właśnie przed paroma dniami i sprawił, że czterdzieści tysięcy ordy stoi w gotowości, a może być i sto, jak tylko król zjedzie do Lwowa i układ z chanem zawrze. Tenże sam poseł doniósł, że i kozactwo pod grozą Tatarów nawróciło się do posłuszeństwa.

– O wszystkim myśleliście, panie marszałku – rzekł król – tak jak i my sami lepiej byśmy nie myśleli!

Wtem porwał za kielich i zawołał:

– Zdrowie pana marszałka koronnego, naszego gospodarza i przyjaciela!

– Nie może być, miłościwy panie! – krzyknął marszałek – niczyje tu zdrowie nie może być pierwszej pite od zdrowia waszej królewskiej mości!

Wszyscy powstrzymali do pół już wzniesione puchary, zaś Lubomirski, rozradowany, spo-tniały, skinął na swego własnego marszałka-kredencera.

Na ten znak skoczyła służba rojąca się po sali i poczęła rozlewać na nowo małmazję czerpaną złoconymi konwiami ze szczerosrebrnej beczki. Ochota zaraz uczyniła się jeszcze większa i wszyscy czekali tylko na toast pana marszałka.

Mistrz-kredencierz przyniósł tymczasem dwa puchary z weneckiego kryształu, roboty tak cudnej, że za ósmy cud świata mogły uchodzić. Kryształ ich, drażony i polerowany do cienka może przez lata całe, rzucał iście diamentowe blaski; nad oprawą pracowali mistrze włoscy. Podstawy były ze złota rzeźbionego w drobne figurki, przedstawiające wjazd zwycięskiego wo-dza na Kapitol. Jechał więc wódz w rydwanie złocistym, po drodze moszczoną perełkami. Za nim szli jeńcy ze skrępowanymi rękoma, król jakiś w zawoju z jednego szmaragda uczynionym, dalej ciągnęli legionieści, ze znakami i orłami. Przeszło pięćdziesiąt figurek mieściło się na każdej podstawie, drobnutkich wzrostem na orzech laskowy, ale wyrobionych tak cudnie, że rysy twa-rzy i uczucia każdej mogłeś odgadnąć, dumę zwycięzców i pogńębienie zwyciężonych. Łączyły podstawę z kielichem filigrany złote, jako włosy cienkie, powyginane dziwnym kunsztem w liście winne, grona i rozmaite kwiaty. Owe filigrany wiły się naokoło kryształu, łącząc się w górze w jedno koło, rąbek pucharu stanowiące, kamieniami o siedmiu kolorach sadzone.

Podał więc mistrz-kredencierz jeden taki puchar królowi, drugi marszałkowi, oba napełnione małmazją. Wówczas powstałi wszyscy ze swoich miejsc, a pan marszałek wznosił puchar i krzyknął, ile mu głosu w piersiach starczyło:

– *Vivat Joannes Casimirus rex!*

– *Vivat! vivat! vivat!*

W tej chwili znów huknęły działa, aż ściany zamkowe się zatrzęsły. Szlachta uczująca w drugiej sali wpadła z kielichami; chciał pan marszałek perorować, nie było sposobu, bo słowa ginęły w ustawicznym krzyku: „*Vivat! vivat! Vivat!*”

Marszałka taka opanowała radość, takie uniesienie, że aż dzikość błysnęła mu w oczach, i wychyliwszy swój kielich, krzyknął tak, że nawet wśród powszechnego rozgardiaszu było go słychać:

– *Ego ultimus!*...

To rzekłszy palnął się owym bez ceny kielichem w głowę, aż kryształ rozprysnął się w setne okruchy, które z dźwiękiem upadły na podłogę, a skronie magnata krwią się oblały.

Zdumieli się wszyscy; król zaś rzekł:

– Panie marszałku, szkoda nam nie kielicha, ale głowy... Siła nam na niej zależy!

– Za nic mi skarby i klejnoty! – zawołał marszałek – gdy mam honor waszą królewską mość w domu moim przyjmować. *Vivat Joannes Casimirus rex!*

Tu kredencierz podał mu drugi kielich.

– *Vivat! vivat! vivat!* – brzmiało ciągle i bez ustanku.

Dźwięk rozbijanego szkła mieszał się z okrzykami. Tylko biskupi nie poszli śladem marszałka, bo powaga duchowna bronila.

Lecz nuncjusz papieski, nieświadom owego zwyczaju tłuczenia szkła o głowy, pochylił się do siedzącego obok księdza biskupa poznańskiego i rzekł:

– Dla Boga! zdumienie mnie ogarnia... Toż w skarbie waszym pustki, a za taki jeden kielich można by dwa słuszne regimenty wojska wystawić i utrzymać!

– Tak u nas zawsze – odrzekł kiwając głową ksiądz biskup poznański – kiedy ochota w sercach wzbierze, to i miary w niczym nie masz.

Jakoż ochota coraz była większa. Przy końcu uczty jaskrawa łuna uderzyła w okna zamku.

– Co to jest? – spytał król.

– Miłościwy panie! Proszę na widowisko! – rzekł marszałek.

I chwiejąc się nieco, prowadził pana do okna. Tam cudny widok uderzył ich oczy. Dziedziniec oświetlony był jak w dzień. Kilkadziesiąt beczek ze smołą rzucało jasnożółte blaski na bruk wyprzątnięty ze śniegu i wysypany igłami świerków górskich. Gdzieniedzie palily się i kufy okowity, rzucające światło błękitne; do niektórych sól wsypywano, by świeciły czerwono.

Rozpoczęło się widowisko: naprzód ścinałi rycerze głowy tureckie, gonili do pierścienia i ze sobą na ostre; potem psy liptowskie zażerały niedźwiedzia; potem góral jeden, rodzaj górskiego Samsona, rzucał kamieniem młyńskim i takowy w powietrzu chwytal. Pólnoc położyła dopiero koniec tym zabawom.

Tak wystąpił pan marszałek koronny, chociaż Szwedzi byli jeszcze w kraju.

## ROZDZIAŁ XXVI

Wśród uczt i wśród natłoku zjeżdżających się coraz nowych dygnitarzy, szlachty i rycerstwa nie zapomniał jednak dobry król o swym wiernym słudze, który w wąwozie górskim tak śmieie na miecze szwedzkie pierś nadstawił, i na drugi dzień po przybyciu do Lubowli odwiedził ranego pana Andrzeja. Zastał go przytomnym i niemal wesołym, choć bladym jak śmierć, gdyż szczęśliwym trafem młody junak żadnej ciężkiej rany nie otrzymał i tylko krwi z niego dużo uszło.

Na widok pana podniósł się nawet Kmicic na łożu i usiadł, a choć król począł nalegać, by się położył znowu, przecie nie chciał tego uczynić.

– Miłościwy panie – rzekł – za parę dni już i na koń siędę, i z waszą królewską mością, za łaskawym pozwoleniem, dalej pojedę, gdyż sam to czuję, że mi nic nie jest.

– Musieli cię przecie okrutnie poszczerbić... Jakoż to niesłychana rzecz, ażeby jeden na tylu uderzał.

– Nieraz mi się już to trafiało, bo tak mniemam, że w złym razie szabla i rezolucja to grunt!... Ej, miłościwy panie! już by tych szczerb, które na mojej skórze przyschły, i na wołowej nie zliczyć. Takie moje szczęście!

– Na szczęście nie narzekaj, bo widać, leziesz na oślepie tam, gdzie nie tylko szczerby, ale i śmierć rozdają. Od jakże to dawna wojenny proceder praktykujesz? Gdzieś się przedtem popisywał?

Przelotny rumieniec zabarwił bladą twarz pana Kmicica.

– Miłościwy panie! Jam to przecie Chowańskiego podchodził, gdy wszyscy już ręce opuścili, i cena za moją głowę była naznaczona.

– Słuchaj no – rzekł nagle król – powiedziałaś mi dziwne słowo w owym wąwozie, ałem myślał, że cię delirium chwyciło i rozum ci się pomieszał. Teraz znów mówisz, żeś to ty Chowańskiego podchodził. Ktoś ty jest? Zaliś ty naprawdę nie Babinicz? Wiadomo nam, kto Chowańskiego podchodził!

Nastąpiła chwila milczenia; wreszcie młody rycerz podniósł wynędzniałą twarz i rzekł:

– Tak jest, miłościwy panie!... Nie delirium przeze mnie mówi, jeno prawda; jam to Chowańskiego szarpał, od której wojny imię moje w całej Rzeczypospolitej zasłynęło... Jam jest Andrzej Kmicic, chorąży orszański...

Tu pan Kmicic przymknął oczy i bladł coraz więcej, lecz gdy król milczał zdumiony, tak dalek mówić począł:

– Jam, miłościwy panie, ów banit, przez Boga i ludzkie sądy potępion za zabójstwa i swawolę, jam to Radziwiłłowi służył i wraz z nim ciebie, miłościwy panie, i ojczyznę zdradził, a teraz rapierami skłuty, końskimi kopytami stratowan, podnieść się niemocem, biję się w piersi, powtarzam: „*Mea culpa! mea culpa!*”, i miłosierdzia twego ojcowskiego błagam... Przebac mi, panie, bom sam własne dawne uczynki przeklął i z tej piekielnej drogi dawno nawrócił.

I łzy puściły się z oczu rycerza, a drżącymi rękoma począł szukać dłoni królewskiej. Jan Kazimierz zaś dłoni wprawdzie nie cofnął, lecz sposepniał i rzekł:

– Kto w tym kraju koronę nosi, niewyczerpaną winien mieć przebaczenia gotowość, przeto i tobie, zwłaszcza żeś w Jasnej Górze i nam w drodze wiernie służył, a piersi nadstawił, gotowiśmy winy odpuścić.

– Więc odpuść, miłościwy panie!... Skróć moją mękę!

– Jednego tylko nie mogę ci zapomnieć, żeś wbrew cnocie tego narodu, podniesieniem ręki na majestat dotąd nieskalanej, ofiarował się księciu Bogusławowi porwać nas i żywych lub umarłych w szwedzkie ręce wydać!

Kmicic, choć przed chwilą sam mówił, że podnieść się niemocem, zerwał się z łoża, chwycił wiszący nad nim krucyfiks i z wypiekami na twarzy, z oczyma płonącymi gorączką, dysząc szybko, tak mówić począł:

– Na zbawienie duszy rodzica mego i mojej matki, na te rany Ukrzyżowanego, to nieprawda!... Jeśli do tego grzechu się poczuwam, niech Bóg mnie zaraz nagłą śmiercią i wiecznym ogniem ukarze! Panie mój, jeżeli mi nie wierzysz, to zedrę owe bandaże, niech się krew moja wyleje, której reszty Szwedzi nie wypuścili. Nigdy się nie ofiarowałem. Nigdy taka myśl w głowie mojej nie powstała... Za królestwa świata tego nie byłbym nigdy podobnego uczynku się dopuścił... Amen! na tym krzyżu, amen, amen!

I cały począł się trząść z uniesienia i gorączki.

– Więc księżę zmyślił? – zapytał zdumiony król – dlaczego? po co?

– Tak, miłościwy panie, zmyślił... To jego pomsta piekielna na mnie za to, com mu uczynił.

– Cóżżeś mu uczynił?

– Porwałem go spośród jego dworu, spośród wszystkiego wojska i chciałem związanego do nóg waszej królewskiej mości rzucić.

Król przeciągnął dłonią po czole.

– Dziw, dziw! – rzekł – wierzę ci, ale nie pojmuję. Jakże to? Januszowi służyłeś, a Bogusława porywałeś, którego mniej zawinił, i chciałeś go związanego do mnie przywozić?...

Kmicic chciał odpowiedzieć, lecz król spostrzegł w tej chwili błądliwość jego i zmęczenie, więc rzekł:

– Odpocznij, a później mów wszystko od początku. Wierzę ci, oto nasza ręka!

Kmicic przycisnął ją do ust i przez jakiś czas milczał, bo mu tchu brakło, patrzył tylko w oblicze pana z niezmierną miłością, lecz wreszcie zebrał siły i tak mówić począł:

– Opowiem wszystko od początku. Wojowałem z Chowańskim, ale i swoim byłem ciężki. W części musiałem ludzi krzywdzić i co mi było potrzeba brać, w części czyniłem to ze swawoli, bo się krew burzyła we mnie... Kompanionów miałem, godną szlachtę, ale nie lepszych ode mnie... Tu i owdzie kogoś się usiekło, tu i owdzie z dymem puściło... tu i owdzie batożkami po śniegu pogałało... Wszczęły się hałasy. Gdzie jeszcze nieprzyjaciel nie dosięgnął, tam do sądów się udawano. Przegrywałem zaocznie. Wyroki zapadały jeden po drugim, ałem sobie z tego nic nie robił, jeszcze diabeł mi pochlebiał i szeptał, żeby pana Łaszczę przewyższyć, którego wyrokami ferezję sobie podbić kazał, a przecie sławion był i dotąd imię jego sławne.

– Bo pokutował i umarł pobożnie – zauważył król.

Kmicic, spoczawszy nieco, tak dalej mówił:

– Tymczasem pan pułkownik Billewicz – wielki to ród na Żmudzi ci Billewicze – wyzuł znikomą postawę i na lepszy świat się przeniósł, a mnie wioskę i wnuczkę zapisał. Nie dbam o wioskę, bo w ustawicznych podchodach pod nieprzyjaciela niemało się złupiło, i nie tylko żem zagarniętą przez inkursję nieprzyjacielską fortunę restaurował, ałem jej i przysporzył. Mam jeszcze w Częstochowie z tego tyle, że i dwie takie wioski mógłbym kupić, i nikogo o chleb nie potrzebuję prosić... Gdy jednak partia mi się sterała, pojechałem na zimowe leże w laudańską stronę. Tam dziewczka nieboga tak mi do serca przywarła, żem o świecie bożym zapomniał. Cnota i uczciwość jest w tej pannie taka, że mi wstyd było wobec niej dawniejszych uczynków. Ona też, do grzechu wrodzoną abominację mając, poczęła nastawać, abym dawny żywot porzucił, hałasy uciszył, krzywdy nagroził i poczciewie żyć począł...

– I poszedłeś za jej radą?

– Gdzie tam, miłościwy panie! Chciałem, co prawda, Bóg widzi, chciałem... Ale stare grzechy człowieka ścigają. Naprzód mi w Upicie żołnierzy poszarpano, za com miasto z dymem puścił...

– Na Boga! Toż to kryminał! – rzekł król.

– Nic to jeszcze, miłościwy panie! Potem mi kompanionów, godnych kawalerów, chociaż swawolników, laudańska szlachta wysiekła. Nie mogłem nie pomścić, więcem tej samej nocy zaścianek Butrymów napadł i ogniem i mieczem zabójstwo ukarałem... Ale mnie pobito, bo ich

tam kupa szaraków siedzi. Musiałem się kryć. Dziewka już i patrzeć na mnie nie chciała, bo owi szaraczkowie byli jej ojcami i opiekunami, testamentem postanowionymi. A mnie serce tak do niej ciągnęło, że choć ty łbem tłucz! Nie mogąc bez niej żyć, zebrałem nową partię i zbrojną ręką ją wziąłem.

– Bogdaj cię!... I Tatar inaczej w zaloty nie chodzi!

– Hultajska to była sprawa, przyznaję. Toteż mnie Bóg przez ręce pana Wołodyjowskiego pokarał, który zebrałszy ową szlachtę, dziewczkę mi wydarł, a samego usieknął, także ledwie tam duszy nie wypuścił. Stokroć by to lepiej było dla mnie, bo nie byłbym się z Radziwiłłem sprzągnął ku zgubie majestatu i ojczyzny. Ale jak mogło być inaczej? Wszczął się nowy proces... Kryminał, gardłowa sprawa. Sam już nie wiedziałem, co czynić, gdy nagle wojewoda wileński przyszedł mi z pomocą.

– On cię osłonił?

– On mi list zapowiedni przez tegoż pana Wołodyjowskiego przysłał, a przez to pod inkwizycję hetmańską poszedłem i sądów mogłem się nie bać. Chwyciłem się tedy wojewody jako deski zbawienia. Wnet postawiłem na nogi chorągiew z samych zabijaków na całą Litwę znanych. Lepszej we wszystkim wojsku nie było... Poprowadziłem ją do Kiejdan. Tam Radziwiłł jak syna mnie przyjął, pokrewieństwo przez Kiszków przypomniał i osłonić obiecał. Miał już swoje widoki... Trzeba mu było rezolutów na wszystko gotowych, a ja, prostak, jako na lep lażłem. Nim jego zamysły wyszły na wierzch, kazał mi na krucyfiksie poprzysiąc, że go nie opuszczę w żadnym terminie. Myśląc, że o wojnę ze Szwedami albo z Septentrionami chodzi, przysięgłem chętnie. Aż nastąpiła owa uczta straszna, na której ugodę kiejdańską podpisano. Zdrada okazała się jawnie. Inni pułkownicy buławy hetmanowi pod nogi ciskali, a mnie przysięga, jako psa łańcuch, trzymała i nie mogłem go odstąpić...

– Alboż nie przysięgli na wierność nam ci wszyscy, którzy nas potem odstąpili?... – rzekł ze smutkiem król.

– Ja też, choć buławy nie rzuciłem, nie chciałem w zdradzie rąk maczać. Com wycierpiał, miłościwy panie, Bóg jeden wie! Wiłem się z boleści, jakby mnie żywym ogniem palono, bo i dziewczka moja, chociaż już po owym rapcie traktat między nami stanął, teraz mnie zdrającą okrzyknęła, jako plugawym gadem pogardziła... A jam przysięgnął, jam przysięgnął nie opuszczać Radziwiłła... O! ona, miłościwy panie, choć niewiasta, rozumem męża zawstydzi, a w wierności dla waszej królewskiej mości nikomu nie da się wyprzedzić!

– Boże, jej błogosław! – rzekł król. – Za to ją kocham!

– Ona myślała, że mnie na partyzanta majestatu i ojczyzny przerobi, a gdy na nic poszła ta robota, wtedy tak się na mnie zawzięła, że ile było dawniej afektu, tyle nienawiści powstało. Tymczasem Radziwiłł zawołał mnie przed siebie i jął przekonywać. Wyłuszczył mi, jako dwa a dwa cztery, że dobrze uczynił, że w ten tylko sposób mógł ojczyznę upadającą ratować. Nawet nie potrafię powtórzyć jego racyj, tak były wielkie, taką szczęśliwość ojczyźnie obiecywały! Stokroć mędrszego byłby przekonał, a cóż dopiero mnie, prostaka, żołnierza, on, taki statysta! To mówię waszej królewskiej mości, że się go chwycił obu rękoma i sercem, bom myślał, że wszyscy ślepi, tylko on jeden prawdę widzi, wszyscy grzeszni, jeno on jeden zacny. I byłbym za niego w ogień skoczył, jako teraz za waszą królewską mość, bo ni przez pół służyć, ni przez pół miłować nie umiem...

– Widzę, że to tak jest! – zauważył Jan Kazimierz.

– Posługi oddałem mu znaczne – mówił ponuro Kmicic – i to mogę rzec, że gdyby nie ja, to by i owa zdrada żadnych fruktów jadowitych wydać nie mogła, bo jego własne wojsko na szablach by go rozniosło. Już się do tego miało. Już szli dragoni i węgierskie piechoty, i lekkie znaki, już jego Szkotów na szable brali, gdym ja skoczył z moimi ludźmi i starłem ich w mgnieniu oka. Ale zostały inne chorągwie na konsystencjach stojące. I te znosiłem. Jeden pan Wołodyjowski z więzienia się wydobył i swoich laudańskich ludzi na Podlasie cudem i nadludzką rezolucją wywiódł, aby się z panem Sapiehą połączyć. Niedobitkowie zebrali się tam w znacznej liczbie,

ale co przedtem dobrych żołnierzów zginęło za moją przyczyną – Bóg jeden zliczy. Jako na spowiedzi prawdę wyznaję... Pan Wołodyjowski w przejściu na Podlasie samego mnie pochwycił i żywić nie chciał. Ledwie z jego rąk wyszedł, za przyczyną listów, które przy mnie znaleźli, a z których okazało się, że gdy jeszcze był w więzieniu i gdy księżę chciał go rozstrzelać, tom ja za nim instancję natarczywie wnosił. Puścił mnie tedy wolno, ja zaś wróciłem do Radziwiłła i służyłem dalej. Ale już mi gorzko było, już się dusza we mnie na niektóre uczynki księcia wzdrygała, bo nie masz w nim ani wiary, ani uczciwości, ani sumienia, a ze słowa własnego tyle sobie robi, ile król szwedzki. Począłem mu tedy skakać do oczu. On też burzył się przeciw mej zuchwałości. Na koniec mnie z listami wyprawił...

– Dziw, jak ważne rzeczy mówisz – rzekł król – przynajmniej raz wiemy od naocznego świadka, który *pars magna fuit*, jak się to tam odbyło...

– Prawda, że *pars magna fuit* – odpowiedział Kmicic. – Ruszyłem z listami ochotnie, bom już nie mógł na miejscu usiedzieć. W Pilwiskach napotkałem księcia Bogusława. Bodaj go Bóg wydał w moje ręce, do czego wszystkich sił dołożę, aby go za oną potwarz pomsta moja nie minęła! Nie tylko, że mu się z niczym nie ofiarowałem, miłościwy panie, nie tylko to jest łgarstwo bezecne, alem się właśnie tam nawróciłem, nagą całą bezecność tych heretyków ujrzawszy.

– Powiadaj żywo, jak to było, bo nam tu przedstawiano, jakoby księżę Bogusław z musu jeno bratu sekundował.

– On? miłościwy panie! On gorszy od Janusza! A w czyjej się głowie naprzód zdrada wyległa? Czy nie on pierwszy księcia hetmana skusił, koronę mu ukazując? Bóg to na sądzie rozstrzygnie. Tamten przynajmniej symulował i *bono publico* się zasłaniał, Bogusław zaś, wzięwszy mnie za arcyszelmę, całą duszę mi odkrył. Strach powtarzać, co mi rzekł... „Rzeczpospolitą waszą (powiada) diabli muszą wziąć, ale to postaw czerwonego sukna, my zaś nie tylko do ratunku ręki nie przyłożym, lecz jeszcze ciągnąć będziemy, by nam się najwięcej w garści zostało... Litwa nam (powiada) musi zostać, a po bracie Januszu ja czapkę wielkoksiążęcą wdzieję, z jego córką się ożeniwszy.”

Król zasłonił sobie oczy.

– Męko Pana naszego! – rzekł. – Radziwiłłowie, Radziejowski, Opaliński... Jakże się nie miało stać, co się stało!... Korony im było trzeba, choćby rozerwać to, co Bóg złączył...

– Zdrętwiałem i ja, miłościwy panie! Wodę na łeb lał, by nie oszaleć. Ale się dusza zmieniła we mnie w jednej chwili, jakoby w nią piorun trzasł. Sam się roboty własnej przeląknę. Nie wiedziałem, co czynić... Czy Bogusława, czy siebie nożem pchnąć?... Ryczałem jak dziki zwierz, bo w taką matnię mnie zapędzono!... Już nie służby dalszej u Radziwiłłów, lecz pomsty pragnąłem... Bóg nagle dał mi myśl: poszedłem z kilku ludźmi do kwatery księcia Bogusława, wywiodłem go za miasto, porwałem za łeb i do konfederatów chciałem wieść, by się do nich i do służby waszej królewskiej mości wkupić za cenę jego głowy.

– Wszystko ci przebaczam! – krzyknął król – bo cię obłąkali, aleś im wypłacił! Jeden Kmicic mógł się na to zdobyć, nikt więcej. Wszystko ci za to przebaczam i z serca odpuszczam, jeno powiadaj żywo, bo mnie ciekawość pali: wyrwał się?

– Przy pierwszej stacji wyrwał mi króciwą zza pasa... i w gębę strzelił. Ot! ta blizna... Ludzi moich pobił sam jeden i uszedł... Rycerz to znamienity... trudno przeczyć; ale się spotkamy jeszcze, choćby to miała być ostatnia moja godzina!...

Tu Kmicic jął szarpać kołdrę, którą był okryty, lecz król przerwał prędko:

– I przez zemstę wymyślił na ciebie ów list?

– I przez zemstę przysłał ten list. Z rany się w lesie podgoiłem, ale dusza gorzej bolała... Do Wołodyjowskiego, do konfederatów, nie mogłem już iść, bo laudańscy na szablach by mnie roznieśli... Wszelako wiedząc, że księżę hetman ma przeciw nim ciągnąć, ostrzegłem ich, by się kupy trzymali. I to był pierwszy mój dobry uczynek, bo inaczej byłby ich Radziwiłł chorągiew po chorągwi wygniótł, a teraz oni jego zmoogli i w obłężeniu, jak słyszę, trzymają. Niechże im Bóg pomaga, a na niego karę ześle, amen!

– Może już się to stało, a jeśli nie, to stanie się pewnie – rzekł król. – Cóżes dalej robił?

– Postanowiłem, nie mogąc u konfederatów waszej królewskiej mości służyć, do osoby jego się dostać i tam wiernością dawne winy odpokutować. Ale jakże miałem iść? Kto by Kmicica przyjął? kto by mu uwierzył? kto by go zdrajcą nie zakrzyknął? Więcem Babinicza imię przybrał i całą Rzeczpospolitą przejechawszy, do Częstochowy się dostałem. Czyli tam jakie zasługi położył, niech ksiądz Kordecki zaświadczy. Dniem i nocą myślałem tylko o tym, by szkody ojczyźnie nagrodzić, krew za nią wylać, samemu do sławy i uczciwości powrócić. Resztę już, miłościwy panie, wiesz, boś na nią patrzył. A jeśli ojcowskie dobrotliwe serce do tego cię skłania, jeśli ona nowa służba dawne grzechy przeważała albo choć zrównała, to przyjm mnie, panie, do łaski swej i do serca, bo mnie wszyscy odstąpili, bo nikt mnie nie pocieszy prócz ciebie... Ty, panie, jeden widzisz mój żal i moje łzy!... Jam banit, jam zdrajca, jam krzywoprzysięzca, a przecie, panie, ja miłuję tę ojczyznę i twój majestat... i Bóg widzi, że chcę służyć wam obojgu!

Tu łzy rzewne puściły się z oczu junaka i aż zanosił się z płaczu, a król, ojciec dobrotliwy, chwycił go za głowę, pocałował w czoło i pocieszać:

– Jędre! takiś mi miły jako syn rodzony... Com ci mówił? Żeś zgrzeszył w zaślepieniu, a iluz grzeszy z rozmysłem?... Z serca odpuszczam ci wszystko, boś już winy zmasał. Uspokój się, Jędre! Niejeden rad by się takimi zasługami, jako są twoje, poszczycić... Boga mi! I ja odpuszczam, i ojczyzna odpuszcza, jeszcze ci dłużni będziemy! Przestań lamentować.

– Bóg niech waszej królewskiej mości da wszystko dobre za takową kompasję! – mówił ze łzami rycerz. – Przecie ja i tak jeszcze, miłościwy panie, muszę odpokutować na tamtym świecie za oną przysięgę Radziwiłłowi daną, bo chociażem nie wiedział, na com przysięgał, przecie przysięga przysięgą.

– Nie potępi cię Bóg za nią – odrzekł król – bo musiałby chyba pół Rzeczypospolitej do piekła wysłać, tych wszystkich mianowicie, którzy nam wiarę złamali.

– Myślę i ja, miłościwy królu, że do piekła nie pójdę, bo mi za to i ksiądz Kordecki zaręczał, chociaż nie był pewien, czy mnie i czyściec minie. Ciężka to rzecz z jakie sto lat się prażyć... No, ale niech by tam już! Siła człek znieśie, gdy mu nadzieja zbawienia świeci, a przy tym i modlitwy mogą coś wskórać i mękę skrócić.

– Jeno się nie troskaj! – rzecze Jan Kazimierz. – Wyrobię ją to u samego nuncjusza, by mszę na twoją intencję odprawił... Przy takich promocjach nie stanie ci się wielka krzywda... Ufaj w miłosierdzie boże!

Kmicic uśmiechnął się już przez łzy.

– Jeszcze też – rzekł – da Bóg do sił wrócić, to się i z niejednego Szweda duszę wylusknie, a przez to nie tylko w niebie będzie zasługa, ale się i ziemską reputację poprawi.

– Bądź dobrej myśli i o sławę doczesną się wcale nie turbuj. Ja w tym, by cię nie ominęło, co należy. Przyjdą spokojniejsze czasy, sam będę zasługi twe promulgował, które już są niemałe, a pewno będą jeszcze większe. I na sejmie, da Bóg, ową materię każę poruszyć, a tak do czci powrócon być musisz.

– Bo to, mój miłościwy panie i ojczu, niech się jeno uspokoi trochę albo i przedtem jeszcze, sądy mnie będą szarpały, od czego mnie i powaga waszej królewskiej mości osłonić nie zdoła. Ale już mniejsza z tym!... Nie dam się, dopóki pary w nozdrzach, a szabli w garści... Jeno mi o tę dziewczkę chodzi. Oleńka jej na imię, miłościwy panie! Oj, siła czasu się jej nie widziało! Oj, siła przecierpiał się bez niej i przez nią, a choć człek sobie czasem chce ją wybić z serca i z afektem jako z niedźwiedziem się boryka, na nic to, bo, taki syn, nie puszcza!

Jan Kazimierz rozśmiał się wesoło i dobrotliwie.

– Cóż ja ci na to, nieboże, poradzę?

– Któż poradzi, jeśli nie wasza królewska mość?! Zabita to regalistka z tej dziewczki i nigdy mi ona moich kiejańskich uczynków nie daruje, chybabyś wasza królewska mość sam instancję wniósł za mną i dał mi świadectwo, jakom się odmienił i do służby majestatu i ojczyzny powrócił, nie przymuszony, chlebami żadnymi nie skaptowan, ale z własnej woli i skruchy.



– Jeślic o to chodzi, to i ja instancję wniosę, a jeśli ona taka regalistka, jako powiadasz, to i instancja powinna być skuteczna. Byle tylko dziewczka wolna była i byle ją jakowa przygoda, jak to w czasie wojennym często się trafia, nie spotkała...

– Anieli ją ustrzegą!

– Bo tego i warta. Żeby cię zaś sądy nie szarpały, uczynisz tak: będą teraz na gwałt iść zaciągi; skoro, jak mówisz, bezecność na tobie ciąży, nie mogę ci dać listu zapowiedniego jako Kmicicowi, ale dam ci list jako Babiniczowi; będziesz zaciągał i ty, co i na pożytek ojczyźnie wyjdzie, boś widać żołnierz ognisty i doświadczony. Ruszysz w pole pod panem kasztelanem kijowskim; pod nim o śmierć najłatwiej, ale i o okazję do sławy najłatwiej. A zajdzie potrzeba, to i na swoją rękę zaczniesz Szwedów podchodzić, jakoś Chowańskiego podchodził. Twoje nawrócenie i dobre uczynki poczęły się od tego, żeś się Babiniczem przezwał... Zwijże się tak i dalej, to i sądy ostawią cię w spokoju. A gdy jak słońce zajaśniejesz, gdy o twoich zasługach w całej Rzeczypospolitej będzie głośno, wtedy niech się ludzie dowiedzą, kto jest ów przesławny kawaler. Jaki taki zawstydzi się wówczas tak wielkiego rycerza przed sądy ciągać... Przez ten czas drudzy poginą, trzecich załagodzisz... Niemal i aktów się zawieruszy, a ja ci to jeszcze raz przyrzekam, że zasługi twoje pod niebo wyniosę i sejmowi do nagrody przedstawię, boś w moich oczach już wart tego.

– Miłościwy panie!... Czym ja na tyle łaski zasłużył?

– Więcej niż niejednen, który myśli, że ma do niej prawo. No, no! nie frasujże się, miły regalisto, bo tak ufam, że i regalistka cię nie minie, a da Bóg, to mi wkrótce więcej jeszcze regalistów przysporzycie...

Kmicic, choć chory, zerwał się nagle z łoża i padł jak długi do nóg królewskich.

– Na Boga, co czynisz? – zawołał król. – Krew cię ujdzie! Jędrak!... Bywaj no tu kto!

Wpadł sam marszałek, który od dawna już po zamku króla szukał.

– Święty Jerzy, patronie mój, co widzę?! – krzyknął spostrzegłszy króla dźwigającego własnymi rękoma pana Kmicica.

– To pan Babinicz, najmilszy mój żołnierz i najwierniejszy sługa, który mi wczoraj życie ocalił – rzekł król. – Pomóżcie, panie marszałku, dźwignąć mi go na łoże...

## ROZDZIAŁ XXVII

Z Lubowli jechał król do Dukli, Krosna, Łańcuta i Lwowa, mając przy boku pana marszałka koronnego, wielu biskupów, dygnitarzy i senatorów wraz z nadwornymi chorągwiami i pocztami. A jako rzeka potężna, płynąc przez kraj, wszystkie pomniejsze wody w siebie zabiera, tak i do orszaku królewskiego przybywały co chwila nowe zastępy. Cisnęli się więc panowie i szlachta zbrojna, i żołnierze, to pojedynczo, to kupami, i gromady zbrojnego chłopstwa, szczególnie ku Szwedom pałającego zawziętością.

Już ruch stawał się powszechny, już i ład wojenny poczęto do niego wprowadzać. Pojawiły się groźne uniwersały datowane z Sącza: jeden Konstantego Lubomirskiego, marszałka koła rycerskiego; drugi Jana Wielopolskiego, kasztelana wojnickiego: oba wzywające szlachtę w województwie krakowskim do pospolitego ruszenia. Wiedziano już, koło kogo się kupić: nie stawiającym się zaś groziły kary wedle pospolitego prawa. Uniwersał królewski dopełnił onych wezwań i najleniwszych postawił na nogi.

Lecz nie potrzeba było gróźb, albowiem zapał niezmierny ogarnął wszystkie stany. Siadali na koń starcy i dzieci. Niewiasty oddawały klejnoty, stroje; niektóre same rwały się do boju.

W kuźniach Cygani przez noc i dni bili młotami, przekuwając na oręż niewinne narzędzia oraczów. Wsie i miasta opustoszały, bo mężowie wyciągnęli w pole. Z niebotycznych gór sypały się dzień i noc gromady dzikiego ludu. Siły króla rosły z każdą chwilą.

Naprzeciwno jego osoby wychodzili duchowni z krzyżami i chorągwiami, kahały żydowskie z rabinami; pochód jego był do niezmiernego tryumfu podobny. Zewsząd nadlatywały najlepsze wieści, jakby je wiatr przywiewał.

Nie tylko w tej części kraju, której najście nieprzyjaciół nie zagarnęło, rwano się do broni. Wszędy, w najodleglejszych ziemiach i powiatach, po grodach, wsiach, osadach, niedostępnych puszczech, podnosiła płomienną głowę straszliwa wojna pomsty i odwetu. Im niżej poprzednio upadł naród, tym wyżej teraz podnosił głowę, przeradzał się, ducha zmieniał i w uniesieniu nie wahał się nawet własnych, zaskorupałych ran rozrywać, by krew swą od zatrutych soków uwolnić.

Już też i coraz głośniej mówiono o potężnym związku szlachty i wojska, na czele którego mieli stanąć: stary hetman wielki, Rewera Potocki, i polny, Lanckoroński, wojewoda ruski, i pan Stefan Czarniecki, kasztelan kijowski, i pan Paweł Sapieha, wojewoda witebski, i książę krajczy litewski Michał Radziwiłł, pan możny, a niesławę, jaką na ród ściągnął Janusz, zatrzeć pragnący, i pan Krzysztof Tyszkiewicz, wojewoda czernihowski, i wielu innych senatorów i urzędników ziemskich, i wojskowych, i szlachty.

Listy latały co dzień pomiędzy owymi panami a panem marszałkiem koronnym, który nie chciał, aby tak znamienity związek bez niego się zawiązywał. Wieści przychodziły coraz pewniejsze, aż na koniec rozebrzmiała wieść już pewna, że hetmani, a z nimi wojsko, porzucili Szweda i że dla obrony majestatu i ojczyzny stanęła konfederacja tyszowiecka.

Król także pierwaj o niej wiedział, bo oboje z królową, choć z dala będąc, niemało się nad jej zawiązaniem przez posły i listy napracowali; jednakże nie mogąc w niej brać osobistego udziału, niecierpliwie teraz nadejścia jej tenoru wyglądał. Jakoż zanim dojechał do Lwowa, przybyli doń pan Służewski i pan Domaszewski z Domaszewnicy, sędzia łukowski, przywożąc mu zapewnienia służb i wierności od konfederatów, i akt związku do roborowania.

Czytał tedy król ów akt na walnej radzie z biskupami i senatorami. Serca wszystkich napełniły się radością, dusze uniosły się w podzięcie do Boga, bo owa wiekopomna konfederacja zwiastowała nie tylko opamiętanie się, ale i odmianę tego narodu, o którym niedawno jeszcze mógł obcy najeźdnik powiedzieć, że nie masz w nim wiary ani miłości do ojczyzny, ani sumienia, ani ładu, ani wytrwania, ani żadnej z tych cnót, którymi stoją państwa i narody.

Świadełstwo tych wszystkich cnót leżało teraz przed królem w postaci aktu konfederacji i jej uniwersału. Przywodzone w nim wiarołomstwo Karola Gustawa, łamanie przysiąg i obietnic, okrucieństwa generałów i żołnierzy, przez najdziksze narody nawet niepraktykowane, bezczeszczenie kościołów, ucisk, zdzierstwa, rabunki, przelewanie krwi niewinnej i wypowiedano wojnę na śmierć i życie skandynawskim najeźdźcom. Uniwersał, groźny jak trąba archanioła, zwoływał pospolite ruszenie nie tylko rycerstwa, ale wszystkich stanów i ludów Rzeczypospolitej. „Nawet *infames* wszyscy (mówił uniwersał), *banniti* i *proscripti*, iść na tę wojnę powinni.” Rycerstwo miało na koń siadać, własnych piersi nadstawiać i z łanów żołnierzy pieszych dostarczyć, możniejszy więcej, biedniejszy mniej, wedle możliwości i sił.

„Ponieważ w tym państwie *aeque bona* i *mala* do wszystkich należą, więc i niebezpieczeństwa wszystkim podzielić się godzi. Ktokolwiek mieni się być szlachcicem, osiadły lub nieosiadły, by też i najwięcej u jednego szlachcica synów było, na tę wojnę przeciw nieprzyjacielowi Rzeczypospolitej iść powinni. Gdyż jako wszyscy, niższego i wyższego urodzenia, szlachtą będąc, *ad omnes prerogativas* urzędów, dostojęństw i dobrodziejstw ojczystych jesteśmy *capaces*, tak i w tym *aequales* sobie będziemy, że na obronę tych ojczystych swobód i *beneficiorum* zarówno osobami swymi pójdziemy...”

Tak to ów uniwersał równość szlachecką rozumiał. Król, biskupi i senatorowie, którzy z dawna się już w sercach z myślą naprawy Rzeczypospolitej nosili, przekonali się ze zdumieniem radosnym, że i naród do owej naprawy dojrzał, że gotów wstąpić na nowe drogi, zetrzeć rdzę i pleśń z siebie i nowe, wspaniałe rozpocząć życie.

„Otwieramy przy tym (brzmiał uniwersał) *benemerendi in Republica* plac każdemu *plebeiae conditionis*, ukazujemy i ofiarujemy wedle tego związku naszego okazję przystępu i nabycia honorów, prerogatyw i *beneficiorum*, którymi *gaudet* stan szlachecki...”

Gdy na radzie królewskiej odczytano ten ustęp, zapadło aż milczenie głębokie. Ci, którzy wraz z królem pragnęli najmocniej, aby przystęp do praw szlacheckich został ludziom niższych stanów otworzony, mniemali, że niemało im przewalczyć, przecierpieć i nałamać się przyjdzie, że lata całe upłyną, nim z czymś podobnym odezwać się będzie bezpiecznie, tymczasem sama owa szlachta, tak dotąd o swe prerogatywy zazdrosna, tak pozornie nieużyta, otwierała na rozcień wrota szarym gromadom kmiecym.

Wstał książę prymas, owiany jakby duchem proroczym, i rzekł:

– Iżecie owe *punctum* zamieścili, potomni tę konfederację po wiek wieków wysławiać będą, a gdy kto zechce czasy owe za czasy upadku staropolskiej cnoty uważać, tedy mu na was, przecząc, pokażą.

Książę Gębicki był chory, więc mówić nie mógł, tylko ręką trzęsącą się ze wzruszenia zęgnął akt i posłów.

– Już widzę nieprzyjaciela, ze wstydem z tych ziem uchodzącego! – rzekł król.

– Daj Boże najprędzej!... – zakrzyknęli obaj wysłańcy.

– Waszmościowie pojedziecie z nami do Lwowa – ozwał się znów król – gdzie zaraz ową konfederację roborować będziemy, a przy tym i innej zawrzeć nie omieszkamy, której same potęgi piekielne przemoc nie zdołają.

Spojrzeni na to po sobie wysłańcy i senatorowie, jakby pytając się wzajem, o jaką to potęgę chodzi, lecz król milczał, tylko mu twarz promieniała coraz bardziej; wziął znowu akt do ręki i znów czytał, i uśmiechał się, nagle rzekł:

– Siła też było oponentów?

– Miłościwy panie – odpowiedział pan Domaszewski – *unanimitate* konfederacja powstała za przyczyną ichmość panów hetmanów, pana wojewody witebskiego i pana Czarnieckiego, a ze szlachty żaden głos się nie przeciwiał, tak się wszyscy na Szwedów rozjedli i takim afektem dla ojczyzny i majestatu zapłonęli.

– Z góryśmy przy tym uradzili – dodał pan Służewski – że to nie ma być sejm, jeno *pluralitas* ma stanowić, więc niczyje *veto* nie mogło sprawy popsować, jeno oponenta bylibyśmy na sza-

blach roznieśli. Wszyscy też powiadali, że trzeba z onym *liberum veto* skończyć, bo to jednemu wola, a wielu niewola.

– Złote słowa waszmości! – rzekł ksiądz prymas. – Niech jeno poprawa Rzeczypospolitej nastąpi, a nie ustraszy nas żaden nieprzyjaciel.

– A gdzie jest wojewoda witebski? – pytał król.

– Jeszcze na noc po podpisaniu aktu do swego wojska odjechał pod Tykocim, w którym księcia wojewodę wileńskiego, zdrajcę, w oblężeniu trzyma. Do tej pory musiał go już dostać żywego albo umarłego.

– Także był pewien, że go dostanie?

– Tak był pewien, jako że po dniu noc nastąpi. Wszyscy, nawet najwierniejsi słudzy, już zdrajcę opuścili. Broni się tam tylko garść Szwedów, ale nieznaczna, a posiłki znikąd przyjść nie mogą. Powiadał pan Sapieha w Tyszowcach tak: „Chciałem się jeden dzień spóźnić, bo byłbym do wieczora z Radziwiłłem skończył!... Ale to pilniejsza sprawa niż Radziwiłł, gdyż jego i beze mnie mogą dostać, dość będzie jednej chorągwi.”

– Chwała Bogu! – rzekł król. – A gdzie pan Czarniecki?

– Tyle się do niego szlachty, co najsluszniejszych kawalerów, sypnęło, że w jeden dzień na czele grzecznej chorągwi stanął. Zaraz też na Szwedów ruszył, a gdzie by teraz był, nie wiemy.

– A ichmość panowie hetmani?

– Ichmość panowie hetmani pilno czekają rozkazów waszej królewskiej mości, obaj zaś radzą nad przyszlą wojną i z panem starostą kałuskim w Zamościu się znoszą, a tymczasem co dzień pułki ku nim razem ze śniegiem walą.

– Także to wszyscy Szweda porzucają?

– Tak jest, miłościwy panie! Byli też u ichmość panów hetmanów deputaci z wojska pana Koniecpolskiego, które jest przy osobie Carolusa Gustawa. I ci pono radzi by już wrócić do prawej służby, choć im tam Carolus obietnic ni pieszczot nie szczędzi. Mówili też, że choć teraz nie mogą zaraz *recedere*, przecie to uczynią, jak się tylko dogodna pora zdarzy, bo się już im sprzykrzyły i uczyty, i jego pieszczoty, i mruganie oczami, i rąk klaskanie. Ledwie już wytrzymać mogą.

– Zewsząd opamiętanie, zewsząd dobre wieści – rzekł król. – Chwała Pannie Najświętszej!... Dzień to najszcześniejszy mego życia, a drugi taki nastąpi chyba wówczas, gdy ostatni nieprzyjacielski żołnierz wyjdzie z granic Rzeczypospolitej.

Na to pan Domaszewski uderzył się po szerpentyńce.

– Nie daj Bóg, aby się to stało! – rzekł.

– Jak to? – spytał ze zdumieniem król.

– Żeby ostatni pludrak na własnych nogach wyszedł z granic Rzeczypospolitej? Nie może być, miłościwy panie! A od czego mamy szable przy bokach?

– Bodaj waści! – rzekł rozweselony pan. – To mi fantazja!

Lecz pan Służewski, nie chcąc pozostać w tyle za panem Domaszewskim, zawołał:

– Jako żywo, nie ma na to zgody i pierwszy *veto* położę. Nie będziem się ich wyjściem kontentować, ale za nimi pójdziem!

Ksiądz prymas począł głową kręcić i śmiać się dobrotliwie.

– Oj! siadła szlachta na koń i jedzie, jedzie! Boże wam błogosław, ale powoli, powoli! Jeszczeń ten nieprzyjaciel w granicach!

– Niedługo mu już! – zakrzyknęli obaj konfederaci.

– Duch się odmienił i fortuna się odmieni – rzekł osłabionym głosem ksiądz Gębicki.

– Wina! – zawołał król. – Niechże się na odmianę z konfederatami napiję!

Przyniesiono wina, lecz wraz z pachołkami, którzy je wnieśli, wszedł starszy pokojowiec królewski i rzekł:

– Miłościwy panie, przyjechał pan Krzysztoporski z Częstochowy i pragnie się waszej królewskiej mości pokłonić.

– Dawaj go żywcem! – zawołał król.

Po chwili wszedł wysoki, chudy szlachcic, patrzący jak kozioł spode łba. Skłonił się naprzód panu do nóg, potem dość hardo dygnitarzom i rzekł:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków! – odpowiedział król. – Co tam słyhać?

– Mróz okrutny, miłościwy panie, aże powieki do jagód przymarzają!

– Dla Boga! O Szwedach waść powiadaj, nie o mrozie! – zawołał Jan Kazimierz.

– A co o nich i gadać, miłościwy panie, kiedy ich pod Częstochową nie ma! – odrzekł rubasznie pan Krzysztoporski.

– Doszły już nas te wieści, doszły – odparł uradowany król – ale tylko z ludzkiego gadania, a wy z samego klasztoru pewnie jedziecie... Naoczny świadek i obrońca?

– Tak jest, miłościwy panie, uczestnik obrony i naoczny świadek cudów Najświętszej Panny...

– Nie tu granica jej łask! – rzekł król wznosząc oczy ku niebu – jeno zasłużmy na dalsze...

– Siła w życiu widziałem – odpowiedział Krzysztoporski – ale takich widomych cudów nie widziałem, o czym dokładniejszą relację zdaje waszej królewskiej mości ksiądz Kordecki w tym piśmie.

Jan Kazimierz chwycił skwapliwie za list, który mu Krzysztoporski podawał, i począł czytać. Chwilami przerywał czytanie i począł się modlić, to znów wracał do listu. Twarz mieniła mu się radosnymi uczuciami; na koniec podniósł znów oczy na Krzysztoporskiego.

– Pisze mi ksiądz Kordecki – rzekł – iżeście wielkiego kawalera stracili, niejakiego Babinicza, który kolubrynę szwedzką prochami rozsadził?

– Onże się za wszystkich ofiarował, miłościwy panie! Ale są też tacy, którzy mówili, że żyje, i Bóg wie co powiadali; nie mając pewności, przecieśmy go nie przestali oplakiwać, bo gdyby nie jego kawalerski postępek, ciężko by nam było dać sobie rady...

– Jeżeli tak, to przestańcie go oplakiwać: pan Babinicz żywie i jest u nas. On to pierwszy dał nam znać, że Szwedzi nie mogą nic przeciw mocy boskiej wskórać o odstąpieniu zamyślają... A potem tak nam znaczne oddał przysługi, iż sami nie wiemy, jak go wynagrodzić.

– O, to się ksiądz Kordecki ucieszy! – zawołał z radością szlachcic – ale jeśli pan Babinicz żywie, to chyba szczególniejsze u Najświętszej Panny ma łaski... To się ksiądz Kordecki ucieszy! Ojciec syna nie może tak miłować, jako on jego miłował! A i mnie pozwoli wasza królewska mość pana Babinicza powitać, gdyż takiego drugiego rezoluta nie masz w Rzeczypospolitej!

Lecz król począł znowu czytać i po chwili zawołał:

– Co slysze! To jeszcze raz po ustąpieniu próbowali klasztor podejść?

– Miller jak odszedł, tak się i nie pokazał więcej, jeno Wrzeszczowicz zjawił się znów niespodzianie pod murami, dufając w to widocznie, że bramy zastanie otwarte. Jakoż i zastał, ale się chłopstwo tak zaciekle na nich rzuciło, że zaraz sromotnie tył podał. Jak świat światem, nie było tego, żeby prostactwo tak mężnie w gołym polu jeździe stawało. Potem też nadciągnął pan Piotr Czarniecki z panem Kuleszą, którzy do szczętu go znieśli.

Król zwrócił się do senatorów:

– Patrzenie, wasze uprzejmości, jako nędzni oracze w obronie tej ojczyzny i świętej wiary stawają!

– Że stawają, miłościwy panie, to stawają! – zawołał Krzysztoporski. – Całe wsie wedle Częstochowy puste, bo chłopstwo z kosami w polu. Wojna wszędy okrutna; Szwedzi muszą się kupami trzymać, a złapie-li chłopstwo którego, to tak nad nim wydziwia, że lepiej by mu od razu iść do piekła. Kto tam wreszcie teraz w tej Rzeczypospolitej za oręż nie chwyta! Nie było psu-bratom Częstochowy oblegać... Od tego czasu nie siedzieć im w tej ziemi!

– Od tego czasu nie będą w tej ziemi ucisku znosić ci, którzy krwią się oponują – odrzekł poważnie król – tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż!

– Amen! – dodał prymas.

Tymczasem Krzysztoporski uderzył się ręką w czoło.

– Mróz mi *mentem* pomieszał, miłościwy panie – rzekł – bom zapomniał jednej wieści powiedzieć, że taki syn, wojewoda poznański, zmarł jakoby nagle.

Tu zawstydził się nieco pan Krzysztoporski, spostrzegłszy się, jak wielkiego senatora nazwał wobec króla i dygnitarzy „takim synem”, więc dodał zmieszany:

– Nie zacny stan, lecz zdrajcę chciałem spostonować.

Ale nikt tego wyraźnie nie zauważył, bo wszyscy patrzyli na króla, ten zaś rzekł:

– Jużemy dawno pana Jana Leszczyńskiego na województwo poznańskie przeznaczyli, jeszcze za życia pana Opalińskiego. Niechże godniej ten urząd piastuje... Sąd boski, widzę, rozpoczął się nad tymi, którzy tę ojczyznę do upadku przywiedli, bo w tej chwili może już i księżę wojewoda wileński przed Najwyższym Sędzią sprawę ze swoich uczynków zdaje...

Tu zwrócił się do biskupów i senatorów:

– Ale nam czas o wojnie powszechnej myśleć i w tej materii pragnę zasięgnąć zdania waszych mościów.

## ROZDZIAŁ XXVIII

W chwili, gdy król mówił, iż wojewoda wileński może już stoi przed sądem bożym, mówił jakoby duchem proroczym, bo w owym czasie sprawa tykocińska była już rozwiązana.

Dnia 25 grudnia pan wojewoda witebski Sapieha tak był już pewien zdobycia Tykocina, że sam do Tyszowiec wyjechał poleciwszy panu Oskierce prowadzenie dalszych prac oblężniczych. Z ostatnim szturmem kazał na powrót swój, rychło mający nastąpić, czekać; zebrawszy zaś co znaczniejszych oficerów tak mówił:

– Doszły mnie słuchy, iż między towarzystwem jest zamiar zaraz po zdobyciu zamku księcia wojewodę wileńskiego na szablach roznieść... Owoż, gdyby się zamek pod mą niebytność poddał, co być może, oświadczam waszmościom, iż najsurowiej zakazuję na zdrowie księcia następować. Odbieram ci ja wprawdzie listy od takich osób, o których się waszmościom ani śni, abym dostawszy go nie żywił... Ale ja nie chcę słuchać tych rozkazów, co czynię nie z żadnej kompasji, bo jej zdrajca niewart, ale że nad gardłem jego nie mam prawa i wolę go przed sejm na sąd postawić, aby dla potomnych był stąd przykład, że ni wielkość rodu, ni żadne urzędy zdrady takowej i winy odkupić ani przed karą publiczną zasłonić go nie zdołają.

W ten sens mówił pan wojewoda, jeno jeszcze dłużej, bo o ile był zacny, o tyle miał tę słabość, że mając się za mówcę lubił przy każdej okazji obszernie się wysławiać i słuchał z lubością własnych słów, przymykając przy piękniejszych sentencjach oczy.

– To muszę sobie chyba prawą rękę w wodzie wymoczyć – odparł na to pan Zagłoba – gdyż okrutnie mnie swędzi... Wszelako to tylko powiem, że gdyby Radziwiłł mnie w swoją moc dostał, pewnie by z moją głową do zachodu słońca nie czekał. Wie on dobrze, kto w znacznej części to sprawił, że go wojska opuściły; wie dobrze, kto go ze Szwedami nawet poróżnił... Ale za to ja nie wiem, czemu mam być pobłażliwszy dla niego, niżli on byłby dla mnie?

– Bo nie przy waści komenda i słuchać musisz – odrzekł z powagą wojewoda.

– Że słuchać muszę, to prawda, ale dobrze czasem i Zagłoby posłuchać... Śmieie też to mówię, że gdyby Radziwiłł mnie posłuchał, gdy go do obrony ojczyzny ekscytował, nie byłby dziś w Tykocinie, jeno w polu, na czele wszystkich wojsk litewskich.

– Zali to waści się zdaje, że buława w złych rękach?

– Tego nie godzi mi się powiedzieć, bom ją sam w te ręce włożył. Miłościwy pan nasz, *Joannes Casimirus*, ma tylko mój wybór potwierdzić, nic więcej.

Uśmiechnął się na to wojewoda, bo lubił pana Zagłobę i jego krotofile.

– Panie bracie – rzekł – tyś zgnębił Radziwiłła, tyś mnie uczynił hetmanem... i wszystko twoja zasługa. Pozwólże mi teraz jechać spokojnie do Tyszowiec, aby też i Sapieha mógł w czymś przysłużyć się ojczyźnie.

Pan Zagłoba wziął się w boki i zamyślił się przez chwilę, jakby rozważał, czy ma pozwolić, czy nie pozwolić; na koniec okiem łysnął, głową kiwnął i rzekł z powagą:

– Jedź, wasza miłość, spokojnie.

– Bóg zapłać za permisję! – odpowiedział śmiejąc się wojewoda.

Zawtórowali wodzowi śmiechem inni oficerowie, on zaś istotnie począł się zbierać, bo kolasa stała już pod oknami gotowa, więc żegnał się ze wszystkimi, dając każdemu instrukcję, co ma pod jego niebytność czynić; wreszcie zbliżywszy się do pana Wołodyjowskiego rzekł:

– Waść, na wypadek zdania się zamku, będziesz mi odpowiadał za zdrowie wojewody, tobie tę funkcję powierzam.

– Wedle rozkazu! włos mu z głowy nie spadnie! – odrzekł mały rycerz.

– Panie Michale – rzekł do niego pan Zagłoba po odjeździe wojewody – ciekaw jestem, jakie to osoby nalegają na naszego Sapia, by Radziwiłła, dostawszy, nie żywił?

– Skąd mam wiedzieć! – odrzekł mały pan.

– Czyli powiadasz, że czego ci cudza gęba do ucha nie powie, tego ci własny dowcip nie podszepnie. Prawda jest! Ale muszą to być znaczne jakieś osoby, skoro mogą panu wojewodzie rozkazy dawać.

– Może sam król?

– Król? Króla gdyby pies ukąsił, zaraz by mu przebaczył i jeszcze by mu sperkę dać kazał. Takie już u niego serce!

– Nie będę się o to z waćpanem spierał, ale przecie powiadali, że na Radziejowskiego bardzo się zawziął.

– Naprzód, każdemu przytrafi się zawziąć, *exemplum*: moja na Radziwiłła zawziętość; po wtóre, jakże to się zawziął, kiedy zaraz synów jego wziął w opiekę, że i ojciec lepszy by nie był! Złote to serce i mniemam, że prędzej to królowa jejmość przeciw gardłu radziwiłłowskiemu instancję wnosi. Godna pani, ani słowa, ale białogłowska u niej fantazja, a to wiedz, że gdy się białogłowa przeciw tobie zawęźmie, choćbyś się w szparę w podłodze skrył, jeszcze cię igłą stamtąd wydlubie.

Na to westchnął pan Wołodyjowski i odparł:

– Za co by się tam która miała na mnie zawzinać, skorom żadnej nigdy w życiu nie zahaczył!

– Ale rad byś, ale rad byś! Dlatego to, choć w jeździe służysz, tak zapamiętałe na mury tykońskie piechotą leziesz, bo myślisz, że tam nie tylko Radziwiłł, ale i Billewiczówna siedzi. Znają cię, niecnoto! Jakże? jeszcześ jej sobie z głowy nie wybił?

– Był taki czas, żem ją sobie całkiem z głowy wybił, i sam Kmicic, gdyby tu był obecny, musiałby przyznać, żem po kawalersku sobie postąpił nie chcąc iść wbrew jej sentymentom, raczej swoją konfuzję w niepamięć puszczając; ale tego nie ukrywam, że jeśli ona jest teraz w Tykocinie, jeśli mi Bóg pozwoli znów ją z opresji ratować, to będę w tym widział wyraźną wolę Opatrzności. Na Kmicica baczyć nie potrzebuję, bom mu w niczym nie powinien, a żywie we mnie nadzieja, iż gdy dobrowolnie od niej odszedł, to go musiała do tej pory zapomnieć i nie przygodzi mi się, co się dawniej przygodziło.

Tak rozmawiając doszli do kwatery, w której zastali dwóch panów Skrzetuskich, pana Rocha Kowalskiego i pana dzierżawcę z Wąsoszy.

Nietajno było w wojsku, po co pan wojewoda witebski pojechał do Tyszowiec, więc rycerze cieszyli się wzajem, że powstaje związek tak cnotliwy na obronę ojczyzny i wiary.

– Inny już wiatr w całej Rzeczypospolitej wieje – rzekł pan Stanisław – a chwalić Boga, Szwedom w oczy.

– Od Częstochowy on powiał – odrzekł na to pan Jan. – Wczoraj były wiadomości, że się klasztor jeszcze trzyma i coraz mocniejsze szturmowanie odpiera... Nie daj, Matko Najświętsza, by nieprzyjaciel mógł pohańbić Twój przybytek!

Tu pan Rzędzian westchnął i rzekł:

– Bo oprócz obrazy boskiej ile by to zacnych skarbów poszło w nieprzyjacielskie ręce! Jak człek o tym pomyśli, to mu i strawa przez gardło nie chce przechodzić.

– Wojsko aż się do szturmowania rwie, że trudno ludzi utrzymać – rzekł pan Michał. – Wczoraj Stankiewiczowa chorągiew bez komendy i bez drabin ruszyła, bo powiadają tak: jak z tym zdrajcą skończymy, to Częstochowie na odsiecz pójdziem. I co który Częstochowę wspomni, to zaraz wszyscy poczynają zgrzytać i w szable trzaskać.

– Bo i po co nas tu tyle chorągwi stoi, kiedy i połowy byłoby na Tykocin dosyć – rzecze pan Zagłoba. – Upór to pana Sapiehy, nic więcej. Nie chce mnie słuchać, żeby pokazać, jako i bez mojej rady coś potrafi, a to sami widzicie, że jak tylu ludzi jedną zamczynę oblega, to tylko sobie nawzajem przeszkadzają, bo dostępu dla wszystkich nie masz.

– Eksperyencja wojskowa przez waćpana mówi, nie można rzec! – odpowiedział pan Stanisław.

– Aha! co? Mam głowę na karku?



– Wuj ma głowę na karku! – zawołał nagle pan Roch i nastroszywszy wasy począł poglądać po obecnych, jakby szukając takiego, co by mu zaprzeczył.

– Ale i pan wojewoda ma głowę – odrzekł pan Jan Skrzetuski – i jeśli tyle chorągwi tu stoi, to dlatego że jest obawa, żeby księżę Bogusław z odsieczą bratu nie przybył.

– To posłać z parę lekkich chorągwi na pustoszenie Prus elektorskich – rzekł Zagłoba – skrzyknąć kupę luda na ochotnika między gminem. Sam bym pierwszy poszedł pruskiego piwa popróbować.

– W zimę piwo na nic, chyba grzane – rzekł pan Michał.

– To dajcie wina albo gorzałki lub miodu – odpowiedział Zagłoba.

Inni również okazali ochotę, więc pan dzierzawca z Wąsoszy zajął się tą sprawą i wkrótce kilka gąsiorków stanęło na stole. Uradowały się na ten widok serca, i rycerze poczęli do siebie przepijać, coraz to na inne intencje wznosząc kielichy.

– Na pohybel pludrakom, aby nam tu bochenków długo już nie łuszczyli! – rzekł pan Zagłoba – niech sobie szyszki w Szwecji żrą!

– Za zdrowie majestatu: króla jegomości i królowej! – wznosił Skrzetuski.

– I tych, którzy wiernie przy majestacie stali! – dodał Wołodyjowski.

– Zatem nasze zdrowie!

– Zdrowie wuja! – huknął pan Roch.

– Bóg zapłać! W ręce twoje, a wytrząśnij do dna w gębę... Jeszcze się Zagłoba nie ze wszystkim zestarzał! Mości panowie! abyśmy co prędzej tego jaźwca z jamy wykurzyli i pod Częstochowę ruszyć mogli!

– Pod Częstochowę! – krzyknął Roch – Pannie Najświętszej w sukurs!

– Pod Częstochowę! – zawołali wszyscy.

– Skarbów jasnogórskich przed poganami bronić! – dodał Rzędzian.

– Którzy symulują, że w Pana Jezusa wierzą, chcąc bezecność swą pokryć, a w rzeczy, jakem to już powiadał, do miesiąca jako psi wyją i na tym cała ich wiara polega.

– I tacy to ręce na splendory jasnogórskie podnoszą!

– W sednoś waszmość utrafił mówiąc o ich wierze – rzekł Wołodyjowski do Zagłoby – bo ja sam słyszałem, jak do miesiąca wyli. Powiadali później, że to ich luterskie psalmy, ale to pewna, że takie psalmy i psi śpiewają.

– Jakże to? – rzekł pan Roch – samiż między nimi tacy synowie?

– Nie masz innych! – rzekł z głębokim przekonaniem pan Zagłoba.

– I król ich nie lepszy?

– Król ich gorszy od wszystkich. On to tę wojnę podniósł umyślnie, aby mógł prawdziwej wierze do woli po kościołach bluźnić.

Na to podniósł się pan Roch, mocno już podpiły, i rzekł:

– Jeżeli tak, tedy jako mnie tu, waszmościowie, widzicie, jakem Kowalski! tak w pierwszej bitwie prosto na króla szwedzkiego skoczę! Choćby też stał w największej gęstwie, nic to! Moja śmierć albo jego!... a taki kopia się do niego złożę... Miejcie mnie waćpanowie za kpa, jeśli tego nie uczynię!

To rzekłszy złożył pięść i chciał w stół grzmotnąć. Byłby przy tym potłukł szklenice, gąsiory i stół rozłupał, lecz pan Zagłoba skwapliwie go za garść uchwycił i w następujące ozwał się słowa:

– Siadaj, Rochu, i daj spokój! Wiedz i o tym, że nie dopiero cię będziemy za kpa mieli, gdy tego nie uczynisz, ale dopiero cię za kpa przestaniemy mieć, jeżeli to uczynisz. Nie rozumiem też, jak się będziesz mógł kopia złożyć do króla szwedzkiego, w husarii nie służąc?

– To się na poczet zdobędę i do kniazia Połubińskiego chorągwi się wpiszę. I ojciec mnie też wspomůže.

– Ojciec Roch?

– A jakże!

– Niechże cię pierwiej wspomóże, a teraz szkła nie rozbijaj, bo pierwszy bym ci za to głowę rozbił. O czymżeśmy to mówili, mościwi moi?... Aha! o Częstochowie... *Luctus* mnie stoczy, jeżeli w porę świętemu miejscu na ratunek nie przyjdziemy... *Luctus* mnie stoczy, mówię wam! A wszystko przez tego zdrajcę Radziwiłła i przez rację fizykę sapieżyńską.

– Waćpan na wojewodę nic nie mów! Zacny pan! – ozwał się mały rycerz.

– To czemu obydwoma połami Radziwiłła przykrywa, kiedy jednej byłoby dosyć? Blisko dziesięć tysięcy ludzi pod tą tam budą stoi, najgrzeczniejszej jazdy i piechoty. Niedługo w całej okolicy i sadze w kominach wylizają, bo co było na kominach, to już zjedli.

– Nam w racje starszych nie wchodzić, jeno słuchać!

– Tobie nie wchodzić, panie Michale, ale nie mnie, bo mnie połowa dawnego radziwiłłowskiego wojska regimentarzem wybrała i byłbym już za dziesiątą granicę Carolusa Gustawa wyżoną, gdyby nie ona nieszczęsna modestia, która mi kazała buławę panu Sapieże w ręce włożyć. Niechże sobie ze swoim kunktatorstwem da spokój i niech patrzy, bym nie odebrał tego, com dał.

– Jeno po napiciu się taki z waści rezolut – rzekł pan Wołodyjowski.

– Tak powiadasz? Ano, to obaczysz! Dziś jeszcze pójdę między chorągwie i krzyknę: Mości panowie! komu wola ze mną pod Częstochowę iść, nie tu sobie łokcie i kolana o tykocińskie wapno wycierać, to proszę za mną! Kto mnie regimentarzem kreował, kto mnie władzę dawał, kto dufał, że co uczynię, to ku pożytkowi ojczyzny i wiary będzie, ten niech obok mnie stawa. Piękna rzecz zdrajców karać, ale stokroć piękniejsza Najświętszą Pannę, patronkę tej Korony i Matkę naszą, spod opresji i jarzma heretyckiego ratować.

Tu pan Zagłoba, któremu już od niejakiego czasu opar unosił się z czupryny, zerwał się z miejsca, skoczył na ławę i począł krzyczeć, jakby znajdował się przed zebraniem:

– Mości panowie! Kto katolik, kto Polak, kto nad Najświętszą Panną ma kompasję, za mną!... W sukurs Częstochowie!

– Idę! – zawołał wstając Roch Kowalski.

Zagłoba popatrzył chwilę na obecnych, a widząc zdumienie i milczące twarze zlął z ławy i rzekł:

– Nauczę ja Sapia rozumu!... Szelmą jestem, jeśli do jutra połowy wojska spod Tykocina nie zerwę i pod Częstochowę nie poprowadzę!

– Dla Boga! Pomiarkuj się ojciec! – rzekł pan Jan Skrzetuski.

– Szelmą jestem! mówię ci! – powtórzył pan Zagłoba.

Oni zaś złękli się, aby istotnie tego nie uczynił, bo mógł. W wielu chorągwiach były szemrania na tykocińską mitręgę, a ludzie istotnie zgrzytali zębami, myśląc o Częstochowie. Dość było iskrę na owe prochy rzucić, a cóż dopiero gdyby ją rzucił człek tak wzięty i takiej niezmiernej powagi rycerskiej jak Zagłoba. Przede wszystkim większa część wojsk sapieżyńskich składała się z nowo zaciężnych, a zatem do dyscypliny wojennej nieprzywykłych i do uczynków na własną rękę skorych, a ci poszliby niezawodnie pod Częstochowę za Zagłobą, jak jeden człowiek.

Więc przelękli się tego przedsięwzięcia obaj Skrzetuscy, a Wołodyjowski zawołał:

– Ledwie się wojska trochę największym trudem wojewodzińskim zebrało, ledwie jest jakoś siła na obronę Rzeczypospolitej, a już czyjeś warcholstwo chce chorągwie rozrywać, do nieposłuszeństwa przywodzić. Siła by Radziwiłł zapłacił za takową radę, bo na jego młyn ta woda. Jak waćpanu nie wstyd gadać nawet o takiej imprezie!

– Szelmą jestem, jeśli tego nie uczynię! – odparł Zagłoba.

– Wuj tak uczyni! – dodał Roch Kowalski.

– Cicho ty, koński łbie! – huknął na niego pan Michał.

Pan Roch oczy wytrzeszczył, gębę zamknął i wyprostował się od razu. Wówczas Wołodyjowski zwrócił się do pana Zagłoby.

– A ja szelmą jestem – rzekł – jeżeli jeden człowiek z mego pułku z waćpanem ruszy, a chcesz wojsko psować, tedy co powiem, że pierwszy na twoich wolentarzów uderzę!

– Poganinie, Turku bezecny! – rzekł na to Zagłoba. – Jakże to? Na rycerzy Najświętszej Panny będziesz uderzał? Gotówes? Dobrze! Znają cię! Myślicie waćpanowie, że jemu o wojsko albo dyscyplinę chodzi? Nie! Jeno Billewiczównę za murami tykocińskimi zwietrzył. Dla prywaty i dla swawoli nie zawahasz się najsłusznieszej racji odstąpić! Rad byś na dziewczynę fyrkał i z nogi na nogę przestępywał, a jurzył się! Ale nic z tego! Moja głowa w tym, że tam cię lepsi ubiegą, choćby ten sam Kmicic, bo i on od ciebie nie gorszy.

Wołodyjowski spojrział na obecnych, biorąc ich na świadectwo, jaka mu się krzywda dzieje. Następnie namarszczył się, myśleli, że gniewem wybuchnie, ale że był także poprzednio podchmielił, więc nagle wpadł w rozczulenie.

– Oto mi nagroda! – zawołał – od wyrostka ojczyźnie służę, szabli z garści nie popuszczam! Ni mi chaty, ni mi żony, ni dzieci, sam człek jako kopia do góry głową sterczy. Najzacniejsi o sobie myślą, a ja, prócz ran w skórze, nie miałem innej nagrody, za to mi jeszcze prywatę zadają, ledwie nie zdracją być mienią.

To rzekłszy jął ronić łzy na żółte wąsiki, zaś pan Zagłoba zmieknął od razu i otworzywszy ręce zawołał:

– Panie Michale! Srodem cię ukrzywdził. Katu mnie oddać za to, zem takiego wypróbowanego przyjaciela spostponował!

I padłszy sobie w objęcia poczęli się całować i do piersi wzajem przyciskać, za czym i pili dalej na zgodę, a gdy już żal znacznie im z serc wyparował, rzekł Wołodyjowski:

– A nie będziesz wojska psował, swawoli wprowadzał, złego przykładu dawał?

– Nie będę, panie Michale! dla ciebie to uczynię!

– A da Bóg, Tykocina dostaniem, to co komu do tego, czego ja za murami szukam. Co kto sobie ma ze mnie dworować, hę?

Uderzony tą kwestią, pan Zagłoba począł koniec wąsa do ust wkładać i zębami go przygryzać, na koniec rzekł:

– Nie, panie Michale, kocham cię jako źrenicę oka, ale ty sobie tę Billewiczównę z głowy wybij.

– A to czemu? – pytał zdziwiony pan Wołodyjowski.

– Urodna jest, *assentior!* – rzekł Zagłoba – ale to persona okazała i żadnej nie masz między wami proporcji. Chybabyś jej na ramieniu siadał jako kanarek i cukier z gęby wydziobywał. Mogłaby cię także jako kobuza na rękawiczce nosić i na wszelkiego nieprzyjaciela puszczać, bo chociaż mały, aleś *instar* szerszenia zjadliwy.

– Już waćpan zaczynasz? – rzekł pan Wołodyjowski.

– Kiedym zaczął, to pozwólże mi i dokończyć: jedna jest dla ciebie podwika jakoby stworzona, a to właśnie owa pestka... Jakże jej tam imię? Ta, z którą nieboszczyk Podbipięta miał się zenić?

– Anusia Borzobohata-Krasińska! – zakrzyknął pan Jan Skrzetuski. – Toćże to dawny afekt Michałowy!...

– Czyste ziarnko gryczane, ale gładka była bestyjka jako kukielka – rzekł mlaskając wargami pan Zagłoba.

Tu pan Michał zaczął wzdychać raz po raz i powtarzać to, co zawsze powtarzał, gdy ktoś o Anusi wspomniał:

– Co się z tym niebożatkiem dzieje?... Ba, ba! żeby się to ona znalazła!

– Już byś jej z rąk nie puścił... I dobrze byś uczynił, bo przy twojej kochliwości, panie Michale, może ci się przytrafić, że cię pierwsza lepsza koza złapie i na kozła przemieni. Dalibóg, w życiu nie widziałem, żeby ktoś taki był na afekta łasy. Powinieneś się być kurkiem urodzić, śmiecie pod przyzbami rozgrzebywać i „ko, ko, ko!” na czubatki wołać.

– Anusia! Anusia! – powtarzał rozmarzony pan Wołodyjowski. – Bóg by mi ją zesłał!... Ale może już jej na świecie zgoła nie masz albo też za mąż poszła i dzieci wodzi...

– Co by miała iść! Zielona to jeszcze była rzepa, gdym ją widział, a potem choć i doszła, mogła się dotąd w stanie niewinności uchować. Po takim panu Longinie nijako jej było lada chłystka brać... Z drugiej też strony, w tych wojennych czasach mało kto o żeniacze myśli.

A pan Michał na to:

– Waćpan jej dobrze nie znałeś. Dziw, jak zacna... Ale taką już miała naturę, że nikogo nie przepuściła, żeby mu zaraz serca nie przeszyć... Taką już ją Pan Bóg stworzył. Nawet niższego stanu ludzi nie omijała: *exemplum* ów medyk księżnej Gryzeldy, Włoszysko, który się w niej zakochał na umór. Może tam za niego już poszła i za morze ją wywiózł...

– Nie powiadaj byle czego, panie Michale! – zawołał z oburzeniem pan Zagłoba. – Medyk, medyk... Zaś by szlachecka córka, z zacnej krwi, miała pójść za człeka tak podłej kondycji?... Raz ci to już mówiłem! nie może być!

– I mnie samemu było na nią za to mrużno, bom sobie myślał: już też miary nie ma, skoro i procederników bałamuci.

– Prorokuję ci, że ją jeszcze zobaczysz – rzekł pan Zagłoba.

Dalszą rozmowę przerwało wejście pana Tokarzewicza, który przedtem w regimencie radziwiłłowskim służył, a po zdradzie hetmana wraz z innymi go odstąpił i teraz w pułku Oskierczynym chorągiew nosił.

– Panie pułkowniku – rzekł do Wołodyjowskiego – będziem petardę podsadzać.

– To już pan Oskierko gotów?

– Jeszcze dziś w południe był gotów i nie chce czekać, bo noc obiecuje się ciemna.

– To dobrze – rzekł Wołodyjowski – pójdziem obaczyć i ludziom też z muszkietami każę stać w gotowości, żeby zza bramy nie wypadli. Samże pan Oskierko będzie petardę podsadzał?

– Tak jest... Własną osobą... Siła i ochotnika z nim idzie.

– Pójdę i ja! – rzekł Wołodyjowski.

– I my! – zawołali dwaj Skrzetuscy.

– Ot! szkoda, że stare oczy po ciemku nie widzą – ozwał się pan Zagłoba – bo pewnie bym wam samym iść nie dał... Ale cóż! gdy się jeno zmroczy, już ani szablą mi się nie złożyć... Po dniu, po dniu, przy słońcu, to tam stary lubi jeszcze ruszyć w pole. Dawajcie mi co najcięższych Szwedów, byle w południe!

– Ja zaś pójdę – rzekł namyśliwszy się dzierżawca z Wąsoszy. – Gdy bramę wysadzą, pewnie wojsko hurmem do szturm skoczy, a tam w zamku siła w sprzętach i klejnotach może być wszelakiej dobroci.

I wyszli wszyscy, bo też się już mroczyło na dworze; został w kwaterze sam tylko pan Zagłoba, który przez chwilę nasłuchiwał, jako śnieg chrzęścił pod stopami odchodzących; potem zaś jął podnosić kolejno gąsiorki i patrzył pod światło płonące na kominie, jeżeli się co jeszcze w którym zostało.

Tamci zaś szli ku zamkowi w pomroce i wietrze, który wstał od strony północnej i dał coraz silniej, wył, huczał, niosąc ze sobą tumany rozbitego w proch śniegu.

– Dobra noc do podsadzania petardy! – rzekł Wołodyjowski.

– Ale i do wycieczki – odrzekł pan Skrzetuski. – Musimy mieć pilne oko i muszkietników gotowych.

– Dałby Bóg – rzekł pan Tokarzewicz – żeby pod Częstochową była jeszcze większa zadymka. Zawsze naszym w murach cieplej... Ale co by tam Szwedów na strażach pomarzło, to by pomarzło... Trastia ich maty mordowała!

– Straszna noc! – rzekł pan Stanisław – słyszycie waćpanowie, jak wyje, jakoby Tatarzy do ataku powietrzem szli?

– Albo jakby diabli *requiem* Radziwiłłowi śpiewali – dorzucił Wołodyjowski.

## ROZDZIAŁ XXIX

W zamku zaś wielki zdrajca patrzył w kilka dni później na zapadający na całuny śnieżne mrok i słuchał wycia wichru.

Dopalała się zwolna lampa jego życia. Dnia tego w południe jeszcze chodził, jeszcze spoglądał z blanków na namioty i drewniane szałaszy wojsk sapieżyńskich; lecz w dwie godziny później zaniemógł tak, iż musiano go odnieść do komnat.

Od owych czasów kiejdańskich, w których po koronę sięgał, zmienił się do niepoznania. Włos na głowie zbierał, naokoło oczu poczyniły się czerwone obwódki, twarz mu obwisła i nabrzękała, więc wydawała się jeszcze ogromniejszą, ale była to twarz już półtrupia, naznaczona błękitnymi piętami i straszna przez swój wyraz piekielnych cierpień.

A jednak, lubo życie jego niemal na godziny się już liczyć mogło, przecie żył za długo, bo przeżył nie tylko wiarę w siebie, w swoją pomyślną gwiazdę, nie tylko nadzieje swoje i zamiary, ale tak głęboki swój upadek, że gdy spoglądał na dno tej przepaści, do której się stoczył, sam sobie wierzyć nie chciał. Wszystko go zawiodło: wypadki, wyrachowania, sprzymierzeńcy. On, któremu nie dość było być najpotężniejszym panem polskim, księciem państwa rzymskiego, wielkim hetmanem i wojewodą wileńskim, on, któremu Litwa cała była nie do miary pragnień i pożądlivosti, zamknięty był teraz w jednym ciasnym zameczku, w którym czekała go tylko albo śmierć, albo niewola. I patrzył codziennie we drzwi, która z dwóch strasznych bogiń pierwej wejdzie wiaść jego duszę i przez pół już rozpadające się ciało.

Z jego ziem, z jego włości i starostw można było niedawno udzielną królestwo wykroić, dziś nie był panem nawet i murów tykocińskich.

Przed kilkoma zaledwie miesiącami z sąsiednimi królami jeszcze traktował, dziś jeden kapitan szwedzki z niecierpliwością i lekceważeniem słuchał jego rozkazów i wolę jego śmiało nagiąć do swojej.

Gdy go opuściły wojska, gdy z magnata i pana, który trząsał krajem, został bezsilnym nędzarzem, który sam potrzebował ratunku i pomocy, Karol Gustaw pogardził nim. Byłby pod niebiosy wynosił potężnego pomocnika, ale odwrócił się z dumą od suplikanta.

Jako opryszka Kostkę Napierskiego oblegano niegdyś w Czorsztynie, tak jego, Radziwiłła, oblegano teraz w zamku tykocińskim. I kto oblegał? Sapieha, największy wróg osobisty!

Gdy go dostaną, powloką go na sąd, gorzej niż opryszka, bo jako zdrajcę.

Opuścili go krewni, przyjaciele, koligaci. Wojska zajechały jego dobra, rozwiały się w mgłę skarby, bogactwa, i ów pan, ów książę, który niegdyś dwór francuski dziwił i oślepił przepychem, który na ucztach tysiące szlachty przyjmował, który po dziesięć tysięcy własnych wojsk trzymał, odziewał, żywił, nie miał teraz czym własnych mdlejących sił odżywić, i strach powiedzieć! on, Radziwiłł, w ostatnich chwilach swego życia, niemal w godzinę śmierci – był głodny!

W zamku dawno już brakło żywności, ze szczupłych pozostałych zapasów komendant szwedzki skąpe wydzielał racje, a książę nie chciał go prosić.

Gdyby przynajmniej gorączka, która trawiła jego siły, odjęła mu była i przytomność! Ale nie! Pierś jego podnosiła się coraz ciężiej, oddech zmieniał się w chrapanie, opuchłe nogi i ręce ziębły, lecz umysł, mimo chwilowych obłądów, mimo strasznych mar i wizyj, które przesuwwały mu się przed oczyma, pozostawał przez większą część godzin jasny. I widział ów książę cały swój upadek, całą nędzę i poniżenie, widział ów dawny wojownik-zwycięzca całą klęskę i cierpienia jego były tak niezmierne, że chyba z jego grzechami mogły się porównać.

Bo prócz tego, jako Oresta erynie, tak jego szarpały wyrzuty sumienia, a nie było nigdzie na świecie takowej świątyni, do której mógłby się przed nimi schronić. Szarpały go w dzień, szarpały w nocy, na polu i pod dachem; дума nie mogła im zdzierżyć ani ich odeprzeć. Im głębszy był jego upadek, tym szarpały go zacieklej. I miewał takie chwile, że darł własne piersi. Gdy nieprzyjaciele naszli ojczyznę ze wszystkich stron, gdy nad jej losem nieszczęsnym, nad jej bó-

lami i krwią przelaną litowały się obce narody on, hetman wielki litewski, zamiast ruszyć w pole, zamiast poświęcić jej ostatnią kroplę krwi, zamiast świat zdziwić jak Leonidas, jak Temistokles, zamiast zastawić ostatni kontusz jak Sapieha, związał się z jednym z nieprzyjaciół i przeciwko matce, przeciwko własnemu panu podniósł świętokradzką rękę i ubroczył we krwi bliskiej, drogiej... On to wszystko uczynił, a teraz jest u kresu nie tylko hańby, ale i życia, porachunku bliski, tam, na tamtej stronie... Co go tam czeka?

Włos jeżył mu się na głowie, gdy o tym myślał. Bo gdy podnosił rękę na ojczyznę, sam sobie wydawał się w stosunku do niej wielki, a teraz zmieniło się wszystko. Teraz on zmalał, a natomiast ta Rzeczpospolita, wstając z prochu i krwi, wydawała się mu jakaś wielka i coraz większa, grozą tajemniczą pokryta, świętego majestatu pełna, straszna. I rosła ciągle jeszcze w jego oczach, i olbrzymiała coraz więcej. Czuł się wobec niej prochem i jako księżę, i jako hetman, i jako Radziwiłł. Nie mógł pojąć, co to jest. Jakieś fale nieznane wzbierały koło niego, płynęły z hukiem, łoskotem, napływały coraz bliżej, piętrzyły się coraz straszniej, a on rozumiał, że utonąć musi, że utonęłoby w tym ogromie takich stu jak on. Lecz czemuż owej grozy i tajemniczej siły nie widział pierwiej; czemuż, szalony, porwał się przeciw niej? Gdy te myśli huczały mu w głowie, strach go brał przed tą matką, przed tą Rzeczpospolitą, bo nie poznawał jej rysów, tak dawniej dobrotliwych i łagodnych.

Duch się w nim łamał i w piersiach zamieszkało mu przerażenie. Chwilami myślał, że otacza go całkiem inny kraj, inni ludzie. Przez obleżone mury dochodziło wszystko, co się w obleżonej Rzeczypospolitej działo, a działy się rzeczy dziwne i przerażające. Rozpoczynała się wojna na śmierć i życie przeciw Szwedom i zdrajcom – tym straszniejsza, że przez nikogo nie przewidywana. Rzeczpospolita poczęła karać. Było w tym coś z gniewu bożego za obrażony majestat.

Gdy przez mury doszła wieść o obleżeniu Częstochowy, Radziwiłł, kalwin, zląkł się i przestraszył już nie wyszedł więcej z jego duszy, bo właśnie wtedy, po raz pierwszy, dostrzegł te tajemnicze fale, które, wstawszy, miały pochłonąć Szwedów i jego; wtedy najście szwedzkie wydało mu się nie najściem, ale świętokradztwem, a kara niezawodną. Wtedy po raz pierwszy spadła zasłona z jego oczu i ujrzał odmienioną twarz ojczyzny, już nie matki, ale karzącej królowej.

Wszyscy, którzy pozostali jej wierni i służyli z serca i duszy, poszli w górę i wyrastali coraz bardziej, kto przeciw niej grzeszył – upadał.

„Więc nie wolno myśleć nikomu – mówił sobie księżę – ni o wyniesieniu własnym, ni rodu swego, jeno żywot, siły i miłość trzeba jej ofiarować?”

Ale dla niego było za późno, bo już nie miał nic do ofiarowania, bo już nie miał przed sobą przyszłości, chyba pozagrobową, na której widok drżał.

Od chwili obleżenia Częstochowy, gdy jeden krzyk straszny wyrwał się z piersi niezmiernego kraju, gdy jakoby cudem znalazła się w nim jakaś dziwna, do tej pory zapoznawana i niepojęta siła – gdy nagle, rzekłbyś: tajemnicza pozaświatowa ręka podniosła się w jego obronie, nowe zwątpienie wżarło się w duszę księżęcą, bo nie mógł opędzić się strasznym myśłom, że Bóg stoi przy tamtej sprawie i przy tamtej wierze.

A gdy takie myśli huczały mu w głowie, wtedy o swojej własnej wierze wątpił i wówczas rozpacz jego przechodziła nawet miarę jego grzechów.

Ziemiński upadek, duszy upadek, ciemność, nicość – oto do czego doszedł i czego się dosłużył, służąc sobie.

A jednak jeszcze w początkach wyprawy z Kiejdan na Podlasie pełen był nadziei. Sapieha, nierównie gorszy wódz, bił go wprawdzie w polu, resztki chorągwi go opuszczały, lecz krzepił się myślą, że lada dzień nadciągnie mu w pomoc Bogusław. Przyleci to młode orle radziwiłłowskie na czele pruskich, luterskich zastępów, które śladem litewskich chorągwi do papieżników nie przejdą, a wówczas zgniotą we dwóch Sapiehę, zetrą jego siły, zetrą konfederatów i położą się na trupie Litwy, jako dwa lwy na trupie łani, i samym rykiem odstraszą tych, którzy by im chcieli ją wydrzeć.

Lecz czas płynął, siły Janusza topniały; nawet cudzoziemskie regimenty przechodziły do groźnego Sapiehy; upływały dni, tygodnie, miesiące, a Bogusław nie nadchodził.

Na koniec rozpoczęło się oblężenie Tykocina.

Szwedzi, których garść przy Januszu została, bronili się bohatersko, bo straszliwymi okrucieństwami poprzednio się zmazawszy, wiedzieli, że nawet poddanie się nie ochroni ich przed mściwą ręką Litwinów. Książę w początkach oblężenia jeszcze miał nadzieję, że w ostatnim razie może sam król szwedzki ruszy mu na odsiecz, a może pan Koniecpolski, który na czele sześciu tysięcy koronnej jazdy przy Karolu się znajdował. Lecz próżno się spodziewał. Nikt o nim nie myślał, nikt z pomocą nie nadciągał.

– Bogusławie! Bogusławie! – powtarzał książę chodząc po tykocińskich komnatach – jeśli brata nie chcesz ratować, to ratuj przynajmniej Radziwiłła!...

Wreszcie, w ostatniej rozpaczy, postanowił książę Radziwiłł uczynić krok, na który srodze oburzała się jego duma: to jest błagać o ratunek księcia Michała z Nieświeża.

List jego przejęli jednak w drodze sapieżyńscy ludzie, zaś wojewoda witebski przesłał Januszowi w odpowiedzi pismo księcia krajczego, które przed tygodniem sam otrzymał.

Książę Janusz znalazł w nim ustęp głoszący, co następuje:

„Jeśli by W.W. miłościwego pana mego doszły wieści, iż ja krewnemu, księciu wojewodzie wileńskiemu, w pomoc iść zamierzam, tedy im W. W. pan mój miłościwy nie wierz, albowiem z tymi ja tylko za jedno trzymam, którzy w wierze ku ojczyźnie i panu naszemu wytrwać, a dawne wolności tej przświetnej Rzeczypospolitej restaurować pragną. Co się po mnie nie pokaże, abym zdrajców od słusznej i należytej kary miał zasłaniać. Bogusław też nie nadciągnie, bo jako słyszę, elektor o sobie woli myśleć i nie chce sił rozdzielać, a *quod attinet* Koniecpolskiego, ten chyba do wdowy w konkury posunie, która aby nią została, na rękę mu, by książę wojewoda zgorzał jako najprędzej!”

Ten list, do Sapiehy adresowany, odjął nieszczęsnemu Januszowi resztę nadziei, i nie pozostało mu nic innego, jak czekać, aby się spełniły jego losy.

Oblężenie dobiegało końca.

Wieść o odjeździe pana Sapiehy tej minuty niemal przedarła się przez mury, ale nadzieja, że wskutek jego odjazdu kroki nieprzyjacielskie zostaną zaniechane, krótko trwała, gdyż przeciwnie, w pułkach pieszych znać było ruch jakiś niezwykajny. Upłynęło jednak kilka dni dość spokojnie, bo zamiar wysadzenia bramy petardą spełził na niczym, lecz nadszedł 31 grudnia, w którym tylko zapadająca noc mogła przeszkodzić oblegającym, widocznie bowiem gotowali coś przeciw zamkowi, jeśli nie szturm, to przynajmniej nowy atak dział na nadwątlone mury.

Dzień miał się ku schyłkowi. Książę leżał w sali tak zwanej „Rogowej”, położonej w zachodniej części zamku. Na ogromnym kominie paliły się całe smoliste karpy sosnowe, rzucając żywy blask na białe i dość puste ściany. Książę leżał na wznak na tureckiej sofie wysuniętej umyślnie na środek komnaty, aby ciepło płomieni mogło do niej dochodzić. Bliżej komina, nieco w cieniu, spał na kobierczyku paż, koło księcia zaś siedzieli, drzemiąc na krzesłach: pani Jakimowiczowa, niegdyś dozorczytni fraucymeru w Kiejdanach, drugi paż, medyk, a zarazem astrolog książęcy, i Charlamp.

Ten ostatni bowiem nie opuścił księcia, chociaż z dawnych wojskowych został przy nim prawie sam jeden. Gorzka to była służba, bo serce i dusza starego towarzysza były właśnie za murami tykocińskimi, w obozie Sapiehy, jednakże trwał wiernie przy dawnym wodzu. Biedne żołnierzysko wychudło z głodu i niewczasów jak kościotrup. Z twarzy jego został tylko nos, który teraz wydawał się jeszcze większy, i wąsy jak wiechy. Ubrany był w zbroję całkowitą, pancerz, naramienniki i misiurkę z drucianym czepcem, który spływał mu na ramiona. Żelazne karwasze świeciły mu na łokciach, bo tylko co był wrócił z murów, na które przed chwilą wychodził parzyć, co się dzieje, i na których co dzień szukał śmierci. Teraz zaś zdrzemnął się ze znużenia, choć książę rzeźił straszliwie, jakby konać począł, i choć wiatr wył i gwizdał na zewnątrz.

Nagle, krótkie drgania poczęły wstrząsać olbrzymim ciałem Radziwiłła i przestał rzeźić. Zbudzili się zaraz ci, którzy go otaczali, i poczęli patrzeć bystro naprzód na niego, potem na siebie.

Lecz on rzekł:

– Jakoby mi ktoś z piersi zlazł: lżej mi...

Potem zwrócił nieco głowę, począł patrzeć uważnie ku drzwiom, na koniec ozwał się:

– Charłamp!

– Sługa waszej książęcej mości.

– A czego tu Stachowicz chce?

Pod biednym Charłampem zadygotały nogi, bo o ile nieustraszony był w boju, o tyle zabo-  
bonny, więc obejrzał się szybko i rzekł przytłumionym głosem:

– Stachowicza tu nie masz. Wasza książęca mość kazał go w Kiejdanach rozstrzelać.

Książę przymknął oczy i nie odpowiedział ani słowa.

Przez jakiś czas słychać tylko było żalosne i przeciągłe wycie wichru.

– Płacz ludzki w tym wicherze słychać – rzekł znów książę otwierając całkiem przytomnie  
oczy. – Ale jam nie sprowadzał Szwedów, jeno Radziejowski.

A gdy nikt nie odpowiadał, po małej chwili dodał:

– On najwięcej winien, on najwięcej winien, on najwięcej winien.

I jakaś otucha wstąpiła mu do piersi, jak gdyby uradowało go wspomnienie, że był ktoś od  
niego winniejszy.

Wkrótce jednak inne cięższe myśli musiały mu przyjść do głowy, bo twarz mu pociemniała i  
powtórzył kilkakrotnie:

– Jezus! Jezus! Jezus!

I znowu napadła go duszność; począł rzeźić jeszcze straszniej niż poprzednio.

Tymczasem z zewnątrz doszły odgłosy wystrzałów muszkietowych, zrazu rzadkich, potem  
coraz gęstszych, ale wśród zamieci śnieżnej i wycia wichru nie brzmiały zbyt głośno i można  
było myśleć, że to rozlegają się jakieś ustawiczne stukania do bramy.

– Biją się! – rzekł medyk książęcy.

– Jako zwyczajnie! – odpowiedział Charłamp. – Ludzie marzną w zamieci, to wołają się bić dla  
rozgrzewki.

– Szósty już dzień tego wichru i śniegu – odpowiedział medyk. – Wielkie zmiany przyjdą w  
tym królestwie, bo niezwyčajna to rzecz!

Na to odrzekł Charłamp:

– Daj je Boże! Nie stanie się nic gorszego!

Dalszą rozmowę przerwał im książę, na którego znów przyszła ulga:

– Charłamp!

– Sługa waszej książęcej mości.

– Czy mi się ze słabości tak wydaje, czy też Oskierko parę dni temu chciał petardą bramę wy-  
sadzać?

– Chciał, wasza książęca mość, ale Szwedzi petardę porwali, i sam nieszkodliwie postrzelon,  
a sapieżyńscy odbici.

– Jeżeli nieszkodliwie, to znów będzie tentował... A który dziś dzień?

– Ostatni grudnia, wasza książęca mość.

– Boże, bądź miłościw duszy mojej!... Nie dożyję już Nowego Roku... Dawno mi przepowia-  
dano, iż w każdym piątym roku śmierć stoi koło mnie.

– Bóg łaskaw, wasza książęca mość.

– Bóg jest z panem Sapiehą – odpowiedział książę głucho.

Nagle począł się oglądać i rzekł:

– Zimno na mnie od niej idzie... Nie widzę jej, ale czuję, że ona tu jest.

– Kto taki, wasza książęca mość?

– Śmierć!



– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!

Nastąpiła chwila milczenia, słysząc tylko było szeptać pacierzy, odmawianych przez panią Jakimowiczową.

– Powiedzcie – ozwał się książę przerywanym głosem – zali wy naprawdę wierzycie, że poza waszą wiarą nikt zbawion być nie może?

– I w godzinę śmierci można jeszcze od błędów rewokować – odrzekł Charłamp.

Odgłosy wystrzałów stały się w tej chwili jeszcze gęstsze. Huk dział począł wstrząsać sypkami, które za każdym razem odpowiadały żalosnym dźwięczeniem.

Książę słuchał czas jakiś spokojnie, po czym uniósł się z lekka na wezgielciu, z wolna oczy poczęły się rozszerzać, źrenice błyskać. Siadł; przez chwilę trzymał rękoma głowę, nagle krzyknął jak w obłąkaniu:

– Bogusław! Bogusław! Bogusław!

Charłamp wybiegł jak szalony z komnaty.

Zamek cały trząsł się i dygotał od huku dział.

Nagle dał się słyszeć krzyk kilku tysięcy głosów, po czym targnęło coś z okropnym łomotem ścianami, aż głównie i węgle z komina wysypały się na posadzkę, jednocześnie Charłamp wpadł z powrotem do sali.

– Sapiażnicy bramę wysadzili! – krzyknął. – Szwedzi uciekli do wieży!... Nieprzyjaciel tuż!... wasza książęca mość...

Dalsze słowa zamarły mu w ustach, Radziwiłł siedział na sofie z oczyma wyszłymi na wierzch; otwartymi ustami łapał raz po raz powietrze, zęby miał wyszczerzone, rękoma darł sofę, na której siedział, i patrząc z przerażeniem w głąb komnaty, krzychał, a raczej chrapał między jednym oddechem a drugim:

– To Radziejowski... Ja nie... Ratunku!.. Czego chcecie?! Weźcie tę koronę!... To Radziejowski... Ratujcie, ludzie! Jezus! Jezus! M a r i o!

To były ostatnie słowa Radziwiłła.

Następnie porwała go straszliwa czkawka, oczy wyszły mu jeszcze okropniej z oprawy, wyprężył się, padł na wznak i pozostał bez ruchu.

– Skonał! – rzekł medyk.

– Marii wzywał! słyszeliście, choć kalwin – ozwała się pani Jakimowiczowa.

– Dorzućcie na ogień! – rzekł do struchlałych paziów Charłamp.

Sam zaś zbliżył się do trupa, przyknał mu powieki, za czym zdjął z pancerza złocisty obraz Bogarodzicy, który na łańcuszku nosił, i ułożywszy ręce Radziwiłła na piersiach, włożył mu go między palce.

Światło ognia odbiło się od złotego tła obrazu, a ów odbłask padł na twarz wojewody i rozweselił ją tak, że nigdy nie wydawała się tak spokojna.

Charłamp siadł obok ciała i wsparłszy łokcie o kolana, ukrył oblicze w dłoniach.

Milczenie przerywał tylko huk wystrzałów.

Nagle stało się coś strasznego. Błysnęła naprzód okropna jasność; zdawało się, że świat cały w ogień się zmienił, a jednocześnie niemal rozległ się taki huk, jakoby ziemia zapadała się pod zamkiem. Zachwiały się ściany, pułap zarysował się z przeraźliwym trzaskiem, okna wszystkie runęły na podłogę i szkło szyb rozbiło się w setne okruchy. Przez puste otwory okien wdarły się w tej chwili tumany śniegu i wichur zaczął wyc ponuro w kątach sali.

Wszyscy ludzie, w komnacie będący, padli twarzami na ziemię, wszyscy oniemieli ze strachu.

Podniósł się pierwszy Charłamp i zaraz spojrzął na trupa wojewody; ale trup leżał równo, spokojnie, jeno obrazek złocisty przechylił się mu nieco w rękach.

Charłamp odetchnął. Poprzednio był pewien, że to hurma szatanów wdarła się do sali po ciało książęce.

– Słowo stało się ciałem! – rzekł – to Szwedzi musieli wysadzić prochami wieżę i siebie...

Lecz z zewnątrz nie dochodził żaden odgłos. Widocznie wojska sapieżyńskie stały w niemym podziwieniu albo może w obawie, że cały zamek jest podminowany i że prochy kolejno wybuchają.

– Dorzućcie do ognia! – rzekł pacholećtom Charłamp.

I znów komnata zapłonęła jaskrawym, migotliwym światłem. Naokoło trwała cisza śmiertelna, jeno ogień syczał, jeno wicher wył i śnieg walił coraz większy przez puste okna.

Aż nareszcie zabrzmiały zmieszane głosy, potem rozległ się brzęk ostróg i tupot licznych kroków; drzwi od sali otworzyły się na roścież i żołnierze wpadli do środka.

Uczyniło się jasno od gołych szabel i coraz to więcej postaci rycerskich, przybranych w hełmy, kapuzy, kołpaki, tłoczyło się przeze drzwi. Wielu niosło w rękach latarnie i ci świecili nimi, postępując ostrożnie, chociaż w komnacie widno było i tak od ognia.

Na koniec z tłumu wyskoczył mały rycerz, cały w szmelcowanej zbroi, i krzyknął:

– Gdzie wojewoda wileński?

– Tu! – rzekł Charłamp ukazując na ciało leżące na sofie.

Pan Wołodyjowski spojrział i rzekł:

– Nie żyje!

– Nie żyje! nie żyje! – poszedł głos z ust do ust. – Nie żyje zdrajca i sprzedawczyk!

– Tak jest – rzekł ponuro Charłamp. – Ale jeśli sponiewieracie ciało jego i na szablach je roznieście, źle uczynicie, bo Najświętszej Panny przed skonem wzywał i jej konterfekt w rękę dźmierzył!

Słowa te wielkie uczyniły wrażenie. Krzyki umilkły.

Natomiast żołnierze poczęli się zbliżać, obchodzić sofę i przypatrywać się nieboszczykowi. Ci, którzy mieli latarnie, świecili mu nimi w oczy, a on leżał olbrzymi, posepny, z hetmańskim majestatem w twarzy i zimną powagą śmierci.

Żołnierze przychodzili kolejno, a między nimi i starszyzna. Zbliżył się więc Stankiewicz i dwaj Skrzetuscy, i Horotkiewicz, i Jakub Kmicic, i Oskierko, i pan Zagłoba.

– Prawda jest!... – rzekł cichym głosem pan Zagłoba, jakby bał się zbudzić księcia. – Najświętszą Pannę w rękach trzyma i blask mu od niej na lica pada...

To rzekłszy zdjął kołpak z głowy. W tej chwili uczynili to wszyscy inni. Nastąpiło milczenie pełne szacunku, które przerwał wreszcie Wołodyjowski.

– Ach! – rzekł – już on na sądzie bożym i ludzie nic do niego nie mają!

Tu zwrócił się do Charłampa:

– Lecz ty, nieszczęśniku, czemuś to dla niego ojczyzny i pana odstąpił?

– Dawajcie go sam!... – ozwało się zaraz kilka głosów.

Na to Charłamp wstał i wyjąwszy szablisko, cisnął ją z brzękiem na ziemię.

– Macie mnie, rozsiekajcie! – rzekł. – Nie odstąpiłem go razem z wami, gdy był potężny jako król, a potem nie godziło mi się go opuszczać, gdy był w mizerii i gdy nikt przy nim nie pozostał. Oj! nie utylłem na tej służbie, bom trzy dni już nic w gębie nie miał i nogi się chwieją pod mną... Ale macie mnie, rozsiekajcie! gdyż i do tego się przyznaję... – tu głos pana Charłampa zadrgał – żem go miłował...

To rzekłszy zatoczył się i byłby upadł, ale Zagłoba otworzył mu ramiona, chwycił go, podtrzymał, a potem krzyczeć począł:

– Na żywy Bóg! Dajcie mu jeść i pić!...

Trafiło to wszystkim do serca, więc wzięto pana Charłampa pod rękę i wyprowadzono go zaraz z komnaty. Po czym i żołnierze poczęli ją kolejno opuszczać żegnając się pobożnie.

W drodze do kwatery pan Zagłoba rozważał coś w umyśle, zastanawiał się, chrząkał, nareszcie pociągnął za połę pana Wołodyjowskiego.

– Panie Michale! – rzekł.

– A czego?

– Już mnie zawziętość na Radziwiłła minęła, co nieboszczyk, to nieboszczyk!... Odpuszczam mu z serca, że na szyję moją nastawał.

– Przed trybunałem on niebieskim! – odrzekł Wołodyjowski.

– Otóż, otóż!... Hm! żeby mu to co pomogło, dałbym zresztą i na mszę, bo widzi mi się, że ma tam okrutnie kruchą sprawę.

– Bóg miłosierny!

– Że miłosierny, to miłosierny, aleć i On bez abominacji na heretyków patrzeć nie może. A to nie tylko heretyk, ale i zdrajca. Ot co!

Tu pan Zagłoba zadartł głowę i począł spoglądać ku górze.

– Boję się – rzekł po chwili – żeby mi który Szwed, z tych, co się prochami wysadzili, na łeb nie zleciał, bo że ich tam w niebie nie przyjęto, to pewna!

– Dobrzy pachołkowie! – rzekł z uznaniem pan Michał – woleli zginąć niż się poddać. Mało takich żołnierzy w świecie!

Po czym szli w milczeniu, nagle pan Michał zatrzymał się.

– Billewiczówny w zamku nie było – rzekł.

– A skąd wiesz?

– Pytałem onych paziów. Bogusław ją wziął do Taurogów.

– Oj! – rzekł Zagłoba – to jakoby wilkowi kozę powierzono. Ale to nie twoja rzecz, tobie przeznaczona tamta pestka!

## ROZDZIAŁ XXX

Lwów od chwili przybycia króla zmienił się w istotną stolicę Rzeczypospolitej. Wraz z królem przybyła większa część biskupów z całego kraju i wszyscy ci świeccy senatorowie, którzy nie służyli nieprzyjacielowi. Wydane *lauda* zwołały również pod broń szlachtę województwa ruskiego i dalszych przyległych, która stanęła licznie a zbrojno z tym większą łatwością, że Szwedów wcale w tych stronach nie było. Rosły też oczy i serca na widok tego pospolitego ruszenia, w niczym albowiem nie przypominało ono owego wielkopolskiego, które pod Ujściem tak słabą stawilo nieprzyjacielowi zaporę. Przeciwnie, nadciągała tu groźna i wojownicza szlachta, z dziecka na koniu i w polach hodowana, wśród ciągłych napadów tatarskiej dziczy przywykła do przelewu krwi i pożogi, lepiej władająca szablą niż łaciną. Świeżo jeszcze wywyczyła ją chmielniczyzna, siedm lat bez przerwy trwająca, tak że nie było między nimi człowieka, który by tyle razy przynajmniej w ogniu nie był, ile sobie lat liczył. Coraz nowe ich roje przybywały do Lwowa. Jedni ciągnęli od przepaścistych Bieszczadów, inni znad Prutu, Dniestru i Seretu; którzy siedzieli na krętych dorzeczach dniestrowych, którzy siedzieli nad roztoczystym Bohem, których nad Siniuchą nie starła z łona ziemi inkursja chłopska, którzy na tatarskich rubieżach się ostali, ci wszyscy na głos pana dążyli teraz do Lwiewo Grodu, aby stamtąd na nie znanego jeszcze nieprzyjaciela pociągnąć. Walała szlachta z Wołynia i z dalszych jeszcze województw, taką nienawiść rozpałała we wszystkich duszach straszna wieść o podniesieniu przez nieprzyjaciela świętokradzkiej ręki na Patronkę Rzeczypospolitej w Częstochowie.

Zaś kozactwo nie śmiało stawić przeszkód, bo nawet w najzatwardziały poruszyły się serca, i zresztą samo było od Tatarów zmuszone bić przez posłów czołem królowi i po raz setny przysięgi wierności ponawiać. Groźne dla królewskich nieprzyjaciół poselstwo tatarskie pod wodzą Subaghazi-beja bawiło we Lwowie ofiarując w imieniu chanowym sto tysięcy ordy na pomoc Rzeczypospolitej, z której czterdzieści tysięcy mogło zaraz spod Kamieńca w pole wyruszyć.

Prócz poselstwa tatarskiego zjechała i legacja z Siedmiogrodu dla prowadzenia wszczętych z Rakoczym o następstwo tronu rokowań; bawił i poseł cesarski, był nuncjusz papieski, który razem z królem przyjechał, co dzień nadjeżdżały deputacje od wojsk koronnych i litewskich, od województw i ziem, z oświadczeniami wierności dla majestatu i chęci obrony do upadłego najechanej ojczyzny.

Rosła tedy fortuna królewska, podnosiła się w oczach ku podziwowi wieków i narodów tak niedawno zupełnie pogiębiona Rzeczpospolita. Rozpałały się dusze ludzkie żądzą wojny i odwetu, a jednocześnie okrzepły. I jak na wiosnę deszcz ciepły a obfity topi śniegi, tak potężna nadzieja stopiła zwątpienie. Nie tylko chciano zwycięstwa, ale wierzono w nie. Coraz to nowe wieści pomyślne, choć często nieprawdziwe, przechodziły z ust do ust. Raz w raz opowiadano to o odebranych zamkach, to o bitwach, w których nie znane pułki pod nie znanymi dotąd wodzami rozgromiły Szwedów, to o strasznych chmurach chłopstwa, podnoszącego się jako szarańcza przeciw nieprzyjacielowi. Imię Stefana Czarnieckiego coraz częściej pojawiało się na wszystkich ustach.

Szczegóły w onych wieściach były często nieprawdziwe, ale razem wzięte, odbijały jako zwierciadło to, co się działo w całym kraju.

Lecz we Lwowie było jakoby ustawiczne święto. Gdy król przybył, witało go miasto uroczystości: więc duchowieństwo trzech obrządków, rajcy miejscy, kupiectwo, cechy. Na placach i ulicach, gdzie okiem rzuciłeś, powiewały chorągwie białe, szafirowe, purpurowe, złociste. Dumnie podnosili lwowianie swego złotego lwa w błękitnym polu, z chlubą wspominając zaledwie przeszłe kozackie i tatarskie napady. Za każdym ukazaniem się królewskim krzyk się czynił pomiędzy tłumami, a tłumów nigdy nie brakło.

Ludność podwoiła się w ostatnich dniach. Prócz senatorów, biskupów, prócz szlachty napłynęły i tłumy chłopstwa, bo się rozbiegła wieść, że król zamyśla los chłopski poprawić. Więc sukmany i gunie pomieszały się z żółtymi kapotami mieszczan. Przemysłni Ormianie o smagłych twarzach porozbijali szalasy z towarem i bronią, którą chętnie kupowała zgromadzona szlachta.

Była znaczna liczba i Tatarów przy poselstwie, i Węgrzyni, i Wołosi, i Rakuszanie, moc luda, moc wojska, moc odmiennych twarzy, moc strojów dziwnych, barwnych, jaskrawych a rozmaitych, moc służby dworskiej: więc olbrzymich pajuków, hajduków, janczarów, kraśnych Kozaków, laufrów z cudzoziemska przybranych.

Na ulicach od rana do wieczora gwar ludzki, przejeżdżanie to chorągwi komputowych, to oddziałów konnej szlachty, krzyki, komendy, migotanie zbroi i gołych szabel, rzenie koni, hurkot armat i śpiewy pełne grózb i przekleństw dla Szweda.

A dzwony w kościołach polskich, ruskich i ormiańskich były nieustannie, zwiastując wszystkim, że król jest we Lwowie i że Lwów to ze stolic pierwszy, ku wieczystej swej chwale, przyjął króla wygnańca.

Bito mu też czołem, gdzie się tylko pokazał; czapki wylatywały w górę, a okrzyki *vivat!* wstrząsały powietrzem; bito czołem i przed karocami biskupów, którzy przez okna żegnali zgromadzone tłumy; kłaniano się też i wykrzykiwano senatorom, czcząc w nich wierność dla pana i dla ojczyzny.

Tak wrzało całe miasto. Nawet nocą palono na placach stopy drzewa, przy których koczowali mimo zimy i mrozu ci, którzy się w kwaterach dla zbytniego ścisku pomieścić nie mogli.

Krół zaś trawił dni całe na naradach z senatorami. Przyjmowano poselstwa zagraniczne, deputacje ziem i wojsk; obmyślano sposoby zapełnienia pustego skarbcza pieniędzmi; używano wszelkich sposobów, aby rozniecić wojnę tam wszędzie, gdzie nie płonęła dotąd.

Latali gońcy do miast znaczniejszych, we wszystkie strony Rzeczypospolitej, aż hen do dalekich Prus i na Żmudź świętą; do Tyszowiec, do hetmanów, do pana Sapiehy, który po zburzeniu Tykocina szedł z wojskiem swoim wielkimi pochodami na południe; szli gońcy i do pana chorążego wielkiego Koniecpolskiego, który jeszcze stał przy Szwedach. Tam, gdzie było trzeba, posyłano zasiłki pieniężne, ekscytowano ospalszych manifestami.

Krół uznał, uświęcił i potwierdził konfederację tyszowiecką i sam do niej przystąpił wzięwszy wodze wszelkich spraw w swe niestrudzone ręce: pracował od rana do nocy, więcej dobro Rzeczypospolitej niż własny czas, niż własne zdrowie wając.

Lecz jeszcze nie tu był kres jego usiłowań; postanowił bowiem zawrzeć w imieniu swoim i stanów takie przymierze, którego by żadna potęga ziemską przemóc nie zdołała, a które by w przyszłości do poprawy Rzeczypospolitej mogło posłużyć.

Nadeszła nareszcie ta chwila.

Tajemnica musiała się przedrzeć od senatorów do szlachty, a od szlachty do pospólstwa, gdyż od rana mówiono, że w czasie nabożeństwa stanie się coś ważnego, że król jakieś uroczyste śluby będzie składał. Mówiono o poprawie losów chłopskich i o konfederacji z niebem; inni wszelako twierdzili, że to są niebывałe rzeczy, których przykładów dzieje nie podają, ale ciekawość była podniecona i powszechnie czegoś oczekiwano.

Dzień był mroźny, jasny, drobniuchne źdźbła śniegu latały po powietrzu, błyszcząc na kształt iskier. Piechota łanowa lwowska i powiatu żydaczowskiego, w półszubkach błękitnych, bramowanych złotem, i pół regimentu węgierskiego wyciągnęły się w długi szereg przed katedrą, trzymając muszkiety przy nogach; przed nimi na kształt pasterzy przechodzili wzdłuż i w poprzek oficerowie z trzcinami w ręku. Pomiędzy dwoma szpalerami płynął, jak rzeka, do kościoła tłum różnobarwny. Więc naprzód szlachta i rycerstwo, a za nią senat miejski z łańcuchami pozłocistymi na szyjach i ze świecami w ręku, a prowadził go burmistrz, słynny na całe województwo medyk, przybrany w czarną togę aksamitną i biret; za senatem szli kupcy, a między nimi wielu Ormian w zielonych ze złotem myckach na głowie i w obszernych wschodnich cha-

łatach. Ci, chociaż do innego obrządku należąc, ciągnęli wraz z innymi, by stan reprezentować. Za kupiectwem dążyły cechy z chorągwiami, a więc rzeźnicy, piekarze, szewcy, złotnicy, konwiarze, szychterze, płatnerze, kordybanzi, miódowarzy, i ilu tylko innych jeszcze było; z każdego ludzkie wybrani szli za swoją chorągwią, którą niósł okazalszy od wszystkich urodą chorągży. Za czym dopiero waliły bractwa różne i tłum pospolity, w łyczkowych kapotach, w kożuchach, guniach, sukmanach, mieszkańcy przedmieść, chłopci. Nie tamowano przystępu nikomu, dopóki kościół nie zapełnił się szczelnie ludźmi wszelakich stanów i płci obojej.

Na koniec zaczęły zajeżdżać i karety, lecz omijały główne drzwi, albowiem król, biskupi i dygnitarze mieli osobne wejście, bliżej wielkiego ołtarza. Co chwila wojsko prezentowało broń, następnie żołnierze spuszczały muszkiety do nogi i chuchali na zmarznięte dłonie, wyrzucając z piersi kłęby pary.

Zajechał król z nuncjuszem Widonem, potem arcybiskup gnieźnieński z księciem biskupem Czartoryskim, potem ksiądz biskup krakowski, ksiądz arcybiskup lwowski, kanclerz wielki koronny, wielu wojewodów i kasztelanów. Ci wszyscy znikali w bocznych drzwiach, a ich karoce, dwory, masztalerze i wszelkiego rodzaju dworscy utworzyli jakoby nowe wojska, stojące z boku katedry.

Ze mszą wyszedł nuncjusz apostolski Widon, przybrany na purpurze w ornat biały, naszywany perłami i złotem.

Dla króla urządzono klęcznik między ołtarzem a stallami, przed klęcznikiem leżał rozpostarty dywan turecki. Kanonickie krzesła zajęli biskupi i świeccy senatorowie.

Różnobarwne światła wchodzące przez okna w połączeniu z blaskiem świec, od których ołtarz gorzeć się zdawał, padały na twarze senatorskie, ukryte w cieniu kanonickich krzesła, na białe brody, na wspaniałe postawy, na złote łańcuchy, aksamity i fioletry. Rzekłbyś: rzymski senat, taki w tych starcach majestat i powaga; gdzieniegdzie wśród sędziwych głów widać twarz senatora-wojownika, gdzieniegdzie błysnie jasna główka młodego panięcia; wszystkie oczy utkwione w ołtarz, wszyscy modlą się; błyszczą i chwieją się płomienie świec; dymy z kadzielnicy igrają i kłębią się w blaskach. Z drugiej strony stallów kościół nabitą głowami, a nad głowami tęcza chorągwi jako tęcza kwiatów się mieni.

Majestat króla Jana Kazimierza padł wedle zwyczaju krzyżem i korzył się przed majestatem bożym. Wreszcie wy dobył ksiądz nuncjusz z cyborium kielich i zbliżył się z nim do klęcznika. Wówczas król podniósł się z jaśniejszą twarzą, rozległ się głos nuncjusza: *Ecce Agnus Dei...*, i król przyjął komunię.

Przez jakiś czas klęczał schylony; na koniec podniósł się, oczy zwrócił ku niebu i wyciągnął obie ręce.

Uciszyło się nagle w kościele tak, że oddechów ludzkich nie było słyhać. Wszyscy odgadli, że chwila nadeszła, i że król jakiś ślub będzie czynił; wszyscy słuchali w skupieniu ducha, a on stał ciągle z wyciągniętymi rękoma, wreszcie głosem wzruszonym, ale jak dzwon donośnym, tak mówić począł:

– Wielka człowieczeństwa boskiego Matko i Panno! Ja, Jan Kazimierz, Twego Syna, Króla królów i Pana mojego, i Twoim zmiłowaniem się król, do Twych najświętszych stóp przychodząc, tę oto konfederację czynię: Ciebie za Patronkę moją i państwa mego Królową dzisiaj obieram. Mnie, Królestwo moje Polskie, Wielkie Księstwo Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflanckie i Czernihowskie, wojsko obojga narodów i pospólstwo wszystkie Twojej osobliwej opiece i obronie polecam; Twojej pomocy i miłosierdzia w terażniejszym utrapieniu królestwa mego przeciwko nieprzyjaciołom pokornie zebrzę...

Tu padł król na kolana i milczał chwilę, w kościele cisza ciągle trwała śmiertelna, więc wstawszy tak dalej mówił:

– A że wielkimi Twymi dobrodziejstwami zniewolony, przymuszony jestem z narodem polskim do nowego i gorącego Tobie służenia obowiązku, obiecuję Tobie, moim, ministrów, senatorów, szlachty i pospólstwa imieniem, Synowi Twemu Jezusowi Chrystusowi, Zbawicielowi naszemu,

część i chwałę przez wszystkie krainy królestwa polskiego rozszerzać, czynić wolą, że gdy za zlitowaniem Syna Twego otrzymam wiktoria nad Szwedem, będę się starał, aby rocznica w państwie mym odprawiała się solennie do skończenia świata rozpamiętywaniem łaski boskiej i Twojej, Panno Przczysta!

Tu znów przerwał i klęknął. W kościele uczynił się szmer, lecz głos królewski wnet go uciszył i choć drżał teraz skruchą, wzruszeniem, tak dalej mówił jeszcze donośniej:

– A że z wielkim żalem serca mego uznaję, dla jęczenia w opresji ubogiego pospólstwa oraczów, przez żołnierstwo uciemiężonego, od Boga mego sprawiedliwą karę przez siedm lat w królestwie moim różnymi plagami trapiącą nad wszystkich ponosząc, obowiązuję się, iż po uczynionym pokoju starać się będę ze stanami Rzeczypospolitej usilnie, ażeby odtąd utrapione pospólstwo wolne było od wszelkiego okrucieństwa, w czym, Matko Miłosierdzia, Królowo i Pani moja, jakoś mnie natchnęła do uczynienia tego wotum, abyś łaską miłosierdzia u Syna Twego uprosiła mi pomoc do wypełnienia tego, co obiecuję.

Słuchało tych słów królewskich duchowieństwo, senatorowie, szlachta, gmin. Wielki płacz rozległ się w kościele, który naprzód w chłopskich piersiach się zerwał i z onych wybuchnął, a potem stał się powszechny. Wszyscy wyciągnęli ręce ku niebu, rozplakane głosy powtarzały: „Amen! amen! amen!”, na świadectwo, że swoje uczucia i swoje wota ze ślubem królewskim łączą. Uniesienie ogarnęło serca i zbratały się w tej chwili w miłości dla Rzeczypospolitej i jej Patronki. Za czym radość niepojęta jako czysty płomień rozpałała się na twarzach, bo w całym tym kościele nie było nikogo, kto by jeszcze wątpił, że Bóg Szwedów pogrąży.

Król zaś po ukończonym nabożeństwie, wśród grzmotu wystrzałów z muszkietów i dział, wśród gromkich okrzyków: „Wiktoria! wiktoria! Niech żyje!” – jechał do grodu i tam onę niebieską konfederację wraz z tyszowiecką roborował.

## ROZDZIAŁ XXXI

Po owych uroczystościach różne wieści zaczęły nadlatywać jako ptastwo skrzydlate do Lwowa. Były dawniejsze i świeże, mniej lub więcej pomyślne, ale wszystkie dodawały ducha. Więc naprzód konfederacja tyszowiecka szerzyła się jak pożar. Kto żyw, przystępował do niej, zarówno ze szlachty, jak z pospólstwa. Miasta dostarczały wozów, strzelb, piechoty, Żydzi pieniędzy. Nikt nie śmiał się przeciw jej uniwersałom; najospalsi na koń siadali. Nadszedł też i groźny manifest Wittenberga, zwrócony przeciw związkowi. Ogień i miecz miał karać tych, którzy do niego przystępowali. Ale sprawiło to taki skutek, jakby kto chciał prochem płomień zasypać. Manifest ów, zapewne za wiedzą królewską i dla tym większego podniesienia zawziętości przeciw Szwedom, rozrzucono w wielkiej ilości egzemplarzy po Lwowie i nie godzi się mówić, co pospólstwo dokazywało z tymi papierami, dość, że wiatr je nosił, srodze pohańbione, po lwowskich ulicach, żacy zaś pokazywali ku uciesze tłumów w jasełkach „Wittenberkową konfuzję”, śpiewając przy tym pieśń poczynającą się od słów:

Wittenberku, nieboże,  
Lepiej zmykaj za morze  
Jak zając!

Bo gdy sypną się guzy,  
To pogubisz rajtuzy  
Zmykając!

On zaś, jakby czyniąc zadość słowom pieśni, zdał komendę w Krakowie dzielnemu Wirtzowi, a sam udał się śpiesznie do Elbląga, gdzie król szwedzki przebywał wraz z królową, trawiając czas na ucztach i radując się w sercu, że tak prześwieczonego królestwa stał się panem.

Przyszły także do Lwowa doniesienia o upadku Tykocina i rozweseliły umysły. Dziwnym było, że poczęto o tym mówić, nim jakikolwiek goniec przybył. Nie zgadzano się tylko co do tego, czy księżę wojewoda wileński umarł, czy w niewoli, twierdzono wszakże, że pan Sapieha na czele znacznej potęgi wszedł już z Podlasia w województwo lubelskie, ażeby się z hetmanami połączyć, że po drodze bije Szwedów i z każdym dniem w siłę rośnie.

Na koniec od niego samego przybyli posłowie, i w znacznej liczbie, bo ni mniej, ni więcej tylko całą chorągiew przysłał wojewoda do dyspozycji królewskiej, pragnąc przez to okazać cześć panu, zabezpieczyć od wszelkiej możliwej przygody jego osobę, a może i własne podnieść przez to znaczenie.

Przywiódł ów znak młody pułkownik Wołodyjowski, dobrze królowi znajomy, zaraz też Jan Kazimierz kazał mu stanąć przed sobą i ścisnąwszy za głowę, rzekł:

– Witaj, sławny żołnierzyku! Siła upłynęło wody, od kiedy straciliśmy cię z oczu. Bodajże pod Beresteczkiem widzieliśmy cię ostatni raz, całego we krwi unurzanego.

Pan Michał pochylił się do kolan pańskich i odrzekł:

– I w Warszawie później, miłościwy panie, byłem też w zamku z dzisiejszym panem kasztelanem kijowskim.

– A służysz ciągle? Nie zachciało ci się to domowych wczasów użyć?

– Bo Rzeczpospolita była w potrzebie, a w onych zawieruchach i substancja przepadła. Nie mam, gdzie bym głowę złożył, miłościwy panie, ale sobie nie przykrzę, tak myśląc, że to dla majestatu i ojczyzny pierwsza żołnierska powinność.

– Bodaj takich więcej! bodaj więcej... nie panoszyłby się nieprzyjacieli. Da Bóg, przyjdzie czas i na nagrody, a teraz powiadaj, coście z wojewodą wileńskim uczynili?



– Wojewoda wileński na sądzie bożym. Właśnie wtedy z niego duch wyszedł, gdyśmy do ostatniego szturmu szli.

– Jakże to ono było?

– Oto jest relacja wojewody witebskiego – rzekł pan Michał.

Król wziął pismo i zaczął czytać, ale ledwie zaczął, zaraz przerwał:

– Myli się w tym pan Sapieha – rzekł – pisząc, iż wielka litewska buława *vacat*; nie *vacat*, bo jemu ją oddaje.

– Nie ma też nad niego godniejszego – odrzekł pan Michał – i całe wojsko będzie do śmierci waszej królewskiej mości za ten uczynek wdzięczne.

Uśmiechnął się król na ową prostoduszną konfidencję żołnierską i czytał dalej.

Po chwili westchnął.

– Mógłby Radziwiłł być najpiękniejszą perłą w tej sławnej koronie, gdyby duma i błędy, które wyznawał, nie wysuszyły mu duszy... Stało się! Niezbadane wyroki boskie!... Radziwiłł i Opaliński... prawie w jednym czasie... Sądź ich, Panie, nie wedle ich grzechów, ale wedle Twojego miłosierdzia.

Nastąpiło milczenie, po czym król zaczął dalej czytać.

– Wdzięczni jesteśmy panu wojewodzie – rzekł skończywszy – że mi całą chorągiew i największego, jako pisze, kawalera pod rękę przysłał. Ale tu mi bezpiecznie, a kawalerowie, zwłaszcza tacy owo, w polu teraz najpotrzebniejsi. Wypocznijcie trochę, a potem was panu Czarnieckiemu w sukurs podeślę, bo na niego pewnie największy impet się zwróci.

– Dość my już wypoczywali pod Tykocinem, miłościwy panie – ozwał się z zapalem mały rycerz – teraz chyba konie trochę odżywić, my zaś moglibyśmy i dziś jeszcze ruszyć, bo z panem Czarnieckim rozkosze będą niewypowiedziane!... Szczęście to wielkie patrzeć w oblicze miłościwego naszego pana, ale do Szwedów też nam pilno.

Król rozpromienił się. Ojcowiska dobroć osiadła mu na obliczu i rzekł patrząc z zadowoleniem na siarczystą postać małego rycerza.

– Tyś to, żołnierzyku, pierwszy pułkownikowską buławę pod nogi nieboszczykowi księciu wojewodzie rzucił?

– Nie pierwszym rzucił, wasza królewska mość, ale pierwszym raz, a daj Boże, ostatni, przeciw dyscyplinie wojennej wykroczył.

Tu zaciął się pan Michał i po chwili dodał:

– Nie lża było inaczej!

– Pewnie – rzekł król. – Ciężkie to były czasy na tych, którzy powinność wojskową rozumieją, ale i posłuch musi mieć swoje granice, za którymi się wino rozpoczyna. Siłaż tam starszyny przy Radziwille się ostało?

– W Tykocinie znaleźliśmy z oficyjerów jednego tylko pana Charłampa, który zrazu księcia nie opuściwszy, nie chciał go potem w mizerii opuszczać. Kompasja go jeno przy księciu trzymała, bo afekt przyrodzony do nas ciągnął. Ledwieśmy go odkarmili, taki tam już był głód, a on sobie jeszcze od gęby odejmował, aby księcia pożywić. Teraz tu, do Lwowa, przyjechał miłosierdzia waszej królewskiej mości błagać, a i ja do nóg twoich za nim, miłościwy panie, upadam, bo to człek służył i dobry żołnierz.

– Niechże tu przyjdzie – rzekł król.

– Ma on też ważną rzecz waszej królewskiej mości, panu memu miłościwemu, objawić, którą był z ust księcia Bogusława w Kiejdanach słyszał, a która zdrowia i bezpieczeństwa świętej dla nas osoby waszej królewskiej mości *attinet*.

– Czy nie o Kmicicu?

– Tak jest, miłościwy panie!...

– A ty znałeś Kmicica?

– Znałem i biłem się z nim, ale gdzie by teraz był, tego nie wiem.

– Co o nim myślisz?

– Miłościwy panie, skoro on takiej imprezy się podjął, to nie ma tych mąk, których by nie był godzien, bo wyrzutek to z piekła rodem.

– A nieprawda – rzekł król – wszystko to księcia Bogusława wymyśli... Ale położywszy na stronę ową sprawę, powiadaj, co o tym człeku wiesz z jego dawniejszych czasów?

– Żołnierz to był zawsze wielki i w dziele wojennym niezrównany. Tak jak on Chowańskiego podchodził, że w kilkaset ludzi do utrapienia całą potencję nieprzyjacielską przywiódł, tego by nikt inny nie potrafił. Cud, że z niego skóry nie zdarto i na bęben nie naciągniono! Gdyby kto był wówczas Chowańskiemu samego księcia wojewodę w ręce wydał, jeszcze by go tak nie usatysfakcjonował, jak z Kmicica podarek mu uczyniwszy... Jakże! do tego doszło, że Kmicic Chowańskiego sztucami jadał, na jego kobierczyku sypiał, jego saniami i na jego koniu jeździł. Ale potem i dla swoich był ciężki, swawolił okrutnie, kondemnatami *instar* pana Łaszczka mógł sobie kierejkę podszyć, a już w Kiejdanach całkiem się pogryzał.

Tu pan Wołodyjowski opowiedział szczegółowo wszystko, co zaszło w Kiejdanach.

Jan Kazimierz zaś słuchał chciwie, a gdy wreszcie doszedł pan Michał do tego, jak pan Zagłoba uwolnił naprzód siebie, a potem wszystkich kompanionów z radziwiłłowskiej niewoli, począł się król za boki brać ze śmiechu.

– *Vir incomparabilis! vir incomparabilis!* – powtarzał. – A jestże on tu z tobą?

– Na rozkazy waszej królewskiej mości! – odpowiedział Wołodyjowski.

– Ulissesa ten szlachcic przeszedł! Przyprowadźże mi go do stołu na wesołą chwilę i panów Skrzetuskich z nim razem, a teraz powiadaj, co wiesz więcej o Kmicicu?

– Z listów przy Rochu Kowalskim znalezionych dowiedzieliśmy się dopiero, iż po śmierć nas do Birzów posyłano. Gonił nas jeszcze książę i wojskiem starał się otoczyć, ale nie przykrył. Wymknęliśmy się szczęśliwie... I nie dość, bośmy niedaleko Kiejdan Kmicica złapali, którego zaraz na rozstrzelanie ordynowałem.

– Oj! – rzekł król. – To, widzę, prędko tam u was na Litwie szło!

– Wszelako przedtem pan Zagłoba kazał go obszukać, jeśli jakowych listów przy sobie nie ma. Jakoż znalazło się pismo hetmańskie, z którego dowiedzieliśmy się, że gdyby nie Kmicic, to by nas do Birzów nie wywożono, ale nie mieszkając, w Kiejdanach rozstrzelano.

– A widzisz! – wtrącił król.

– Po tym tedy nie godziło nam się więcej na żywot jego nastawać. Puściliśmy go... Co dalej czynił, nie wiem, ale od Radziwiłła jeszcze nie odszedł. Bóg raczy wiedzieć, co to za człowiek... Łatwiej o każdym innym mieć opinię niż o takim wicherze. Przy Radziwille został, potem gdzieś jechał... I znowu ostrzegł nas, iż książę z Kiejdan ciągnie. Trudno negocjować, jak znaczną nam przysługę oddał, bo gdyby nie owo ostrzeżenie, byłby wojewoda wileński na ubezpieczone wojska napadał i pojedynczo chorągwie znosił... Sam nie wiem, miłościwy panie, co mam myśleć... Jeśli to oszczerstwo, co książę Bogusław powiadał...

– Zaraz się to okaże – rzekł król.

I zaklaskał w dłonie.

– Zawołaj tu pana Babinicza – rzekł do paza, który ukazał się w progu.

Paź zniknął, a po chwili drzwi komnaty królewskiej otworzyły się i stanął w nich pan Andrzej. Pan Wołodyjowski nie poznał go zrazu, był bowiem młody rycerz bardzo zmieniony i wybladły, jako że od ostatniej walki w wąwozie nie mógł jeszcze przyjść do siebie. Patrzył tedy na niego pan Michał nie poznawając.

– Dziw! – ozwał się wreszcie – gdyby nie chudość gęby i nie to, że wasza królewska mość inne powiedziała nazwisko, rzekłbym: pan Kmicic!

Król uśmiechnął się i odrzekł:

– Opowiadał mi tu właśnie ów mały rycerz o jednym okrutnym hultaju, który się tak nazywał, ale jam mu jako na dłoni wywiódł, że się w swym sądzie pomylił, i pewien jestem, że mi pan Babinicz przyświadczy.

– Miłościwy panie – odparł prędko Babinicz – jedno słowo waszej królewskiej mości lepiej tego hultaja oczyści niż największe moje przysięgi!

– I głos ten sam – mówił ze wzrastającym zdumieniem mały pułkownik – jeno tej blizny przez gębę nie było.

– Mości panie – rzekł na to Kmicic – łeb szlachecki to rejestr, na którym coraz inna ręka szablą pisze... Ale jest tu i twoja konotatka, poznajże mnie...

To rzekłszy schylił podgoloną głowę i wskazał palcem na długą, białawą bruzdę, ciągnącą się tuż koło czuba.

– Moja ręka! – krzyknął pan Wołodyjowski. – To Kmicic!

– A ja ci mówię, że ty Kmicica nie znasz! – wtrącił król.

– Jak to, miłościwy panie?...

– Boś znał wielkiego żołnierza, ale swawolnika i radziwiłłowskiego w zdradzie socjusza... A tu stoi Hektor częstochowski, któremu Jasna Góra po księdzu Kordeckim najwięcej zawdzięcza, tu stoi obrońca ojczyzny i sługa mój wierny, który mnie własną pierśią zastawił i życie mi ocalił, gdy w wąwozach, jako między stado wilków, dostał się między Szwedów. Taki to ów nowy Kmicic... Poznajże go i pokochaj, bo wart tego!

Pan Wołodyjowski począł ruszać żółtymi wąsikami, nie wiedząc, co rzec, a król dodał:

– I wiedz o tym, że nie tylko on nic księciu Bogusławowi nie obiecywał, ale pierwszy na nim za ich praktyki zemstę wywarł, bo go porwał i chciał go w wasze ręce wydać.

– I nas ostrzegł przed księciem wojewodą wileńskim! – zawołał mały rycerz. – Jakież anioł tak waszmości nawrócił?

– Uściskajcie się! – rzekł król.

– Od razum waszmości pokochał! – ozwał się pan Kmicic.

Więc padli sobie w objęcia, a król patrzył na to i usta raz po raz, wedle swojego zwyczaju, z zadowoleniem wydymał. Kmicic zaś ścisnął tak serdecznie małego rycerza, że aż go w górę podniósł jak kota i nieprędko na powrót na nogi postawił.

Po czym król wyszedł na codzienną naradę, zwłaszcza że i obaj hetmani koronni przybyli do Lwowa, którzy mieli tam wojsko tworzyć, aby później poprowadzić je w pomoc panu Czarnieckiemu i konfederackim oddziałom uwijającym się pod różnymi wodzami po kraju.

Rycerze zostali sami.

– Pójdź waszmość pan do mojej kwatery – rzekł Wołodyjowski – znajdziesz tam Skrzetuskich i pana Zagłobę, którzy radzi usłyszą to, co mnie król jegomość powiadał. Jest też tam i pan Charłamp.

Lecz Kmicic przystąpił do małego rycerza z wielkim niepokojem w twarzy.

– Siła ludzi znaleźliście przy księciu Radziwille? – spytał.

– Ze starszyny jeden Charłamp był przy nim.

– Nie o wojskowych pytam, dla Boga!... a z niewiast?...

– Zgaduję, o co chodzi – odparł zapłoniwszy się nieco mały rycerz – pannę Billewiczównę księżę Bogusław wywiózł do Taurogów.

Na to zmieniło się w oczach oblicze Kmicica; więc naprzód stało się blade jak pergamin, potem czerwone, potem jeszcze bielsze niż poprzednio. Zrazu słowa nie znalazł, jeno nozdrzami parskął chwytając powietrze, którego widocznie nie stawało mu w piersiach. Następnie chwycił się obu rękoma za skronie i biegnąc jak szalony po komnacie, jał powtarzać:

– Gorze mnie, gorze, gorze!

– Chodź waść, Charłamp lepszą ci zda relację, bo był przy tym – rzekł Wołodyjowski.

## ROZDZIAŁ XXXII

Wyszedszy od króla szli obaj rycerze w milczeniu. Wołodyjowski mówić nie chciał, Kmicic nie mógł, bo go ból i wściekłość kęsały; przebijali się tedy przez tłumy, które się były zebrały na ulicach bardzo licznie, wskutek wieści, że pierwszy zagonik Tatarów, obiecanych przez chana królowi, nadciągnął i ma wejść do miasta, aby się zaprezentować królowi. Mały rycerz prowadził. Kmicic leciał jak błędny za nim, z kołpakiem nasuniętym na oczy, potracając ludzi po drodze.

Dopiero gdy wyszli na miejsce przestronniejsze, pan Michał chwycił Kmicica za przegub ręki i rzekł:

- Pomiarkuj się waść!... Desperacją nic nie wskórasz!...
- Ja nie desperuję – odrzekł Kmicic – jeno mi jego krwi potrzeba!
- Możesz być pewien, że go między nieprzyjaciółmi ojczyzny znajdziesz!
- Tym lepiej! – mówił gorączkowo pan Andrzej – ale choćbym go i w kościele znalazł...
- Dla Boga! nie bluźnij! – przerwał co prędzej mały pułkownik.
- Ten zdrajca do grzechu mnie przywodzi!

Zamilkli na chwilę, po czym pierwszy pan Kmicic spytał:

- Gdzie on teraz jest?
- Może w Taurogach, a może i nie. Charłamp będzie lepiej wiedział.
- Chodźmy!
- Już niedaleko. Chorągiew za miastem stoi, a my tu... i Charłamp z nami.

Wtem Kmicic począł oddychać tak ciężko jak człowiek, który pod stromą górę wchodzi.

- Słabym jeszcze okrutnie – ozwał się.
- Tym większego pomiarkowania waszmości potrzeba, ile że z takim rycerzem będziesz miał sprawę.

- Już raz miałem i ot! co mi po niej ostało.

To rzekłszy Kmicic ukazał na pręgę w twarzy.

- Powiedźże mi waść, jako to było, bo król jegomość ledwie wspomniał.

Pan Kmicic począł opowiadać i choć przy tym zębami zgrzytał i aż kołpaczkiem cisnął o ziemię, jednak myśl jego oderwała się od nieszczęścia i uspokoił się trochę.

- Wiedziałem, żeś waść rezolut – rzekł mały rycerz – ale żeby aż Radziwiłła spośród jego chorągwi porwać, tegom się i po waćpanu nie spodziewałem.

Tymczasem doszli do kwatery. Dwaj Skrzetuscy, pan Zagłoba, dzierżawca z Wąsoszy i Charłamp zajęci byli oglądaniem kozuszków krymskich, które handlujący Tatar przyniósł właśnie do wyboru. Charłamp, który najlepiej znał Kmicica, poznał go też od jednego rzutu oka i upuściwszy kozuszek zakrzyknął:

- Jezus Maria!

- Niech będzie imię Pańskie pochwalone! – zawołał dzierżawca z Wąsoszy.

Lecz zanim wszyscy ochłonęli ze zdziwienia, Wołodyjowski rzekł:

- Przedstawiam waszmościom częstochowskiego Hektora i wiernego sługę królewskiego, którego za wiarę, ojczyznę i majestat krew przelewał.

Tu, gdy zdziwienie jeszcze wzrosło, począł zacny pan Michał opowiadać z wielkim zapałem, co od króla o Kmicicowych zasługach, a od samego pana Andrzeja o porwaniu księcia Bogusława słyszał, i wreszcie tak skończył:

- Nie tylko więc nieprawda to jest, co książę Bogusław o tym kawalerze powiadał, ale przeciwnie: nie ma on większego wroga od pana Kmicica, i dlatego pannę Billewiczównę z Kiejdan wywiózł, aby w jakikolwiek sposób zemstę nad nim wyrzucić.

- I nam ten kawaler życie ocalił, i konfederackie chorągwie przed księciem wojewodą ostrzegł – zawołał pan Zagłoba. – Wobec takich zasług za nic dawne grzechy! Dla Boga! dobrze,

że z tobą, panie Michale, nie sam do nas przyszedł, dobrze też, że chorągiew nasza za miastem, bo okrutna w laudańskich przeciwko niemu zawziętość, i zanimby zipnął, wprzód by go byli na szablach roznieśli.

– Witamy waszmości całym sercem, jako brata i przyszłego komilitona! – rzekł Jan Skrzetuski.

Charłamp aż się za głowę brał.

– Taki się nigdy nie pogrąży! – mówił – z każdej strony wypłynie i jeszcze sławę na brzeg wyniesie!

– A nie mówiłem wam tego! – wołał Zagłoba – jakem go tylko w Kiejdanach ujrzał, zarazem sobie pomyślał: to żołnierz i rezolut! I pamiętacie, że wnet poczęliśmy się w gębę całować. Prawda, że za moją przyczyną Radziwiłł pogrążon, ale i za jego. Bóg mnie natchnął w Billewiczach, że go nie dopuścił rozstrzelać... Mości panowie, nie godzi się takiego kawalera sucho przyjmować, aby zaś nas o nieszczerłość nie posądził!

Usłyszawszy to Rzędzian wyprawił zaraz Tatara z kozuszkami, a sam zaś zakrzatnął się z pacholkiem około napitków.

Lecz pan Kmicic myślał tylko o tym, aby się od Charłampa o wyzwoleniu Oleńki jak najprędzej wywiedzieć.

– Byłeś waś przy tym? – pytał.

– Prawie zem się z Kiejdan nie ruszał – odrzekł nosacz. – Przyjechał książę Bogusław do naszego księcia wojewody. Na wieczerzę wystroił się tak, że oczy bolały patrzeć, i widać było, że mu panna Billewiczówna bardzo w oko wpadła, bo ledwie że nie mrucał z ukontentowania jak kot, gdy go po grzbiecie głaszczą. Ale o kocie powiadają, że pacierze odmawia, a książę Bogusław, jeśli je odmawiał, to chyba diabłu na chwałę. A przymilał się, a łasił, a zalecał...

– Zaniechaj! – rzekł pan Wołodyjowski – zbyt wielką mękę temu rycerzowi zadajesz!

– Przeciwnie! Mów waś, mów! – zawołał Kmicic.

– Gadał tedy przy stole – rzekł Charłamp – iż nie żadna to ujma nawet i Radziwiłłom ze szlachciankami się żenić i że on sam wolałby wziąć szlachciankę niż one księżniczki, które mu ichmość królestwo francuscy swatali, a których nazwisk nie spamiętałem, bo takie były cudaczne, jakoby kto ogary w kniei nawoływał.

– Mniejsza z tym! – rzekł Zagłoba.

– Owóż, widocznie to mówił, aby oną pannę skaptować, co my, zrozumiałwszy zaraz, poczęliśmy jeden na drugiego spoglądać i mrugać, słusznie mniemając, że się potrzask na innocencję gotuje.

– A ona? a ona?!... – pytał gorączkowo Kmicic.

– Ona, jako to dziewczka z wielkiej krwi i górnej maniery, żadnego nie pokazywała ukontentowania, zgoła na niego nie patrząc, dopiero gdy o waszmość panu mówić książę Bogusław począł, zaraz w niego utkwiała oczy. Straszna rzecz, co się stało, gdy powiedział, iżes mu się wasza mość ofiarował za ileś tam dukatów króla porwać i żywego albo umarłego Szwedom dostawić. Myśleliśmy, że dusza z panny wyjdzie, ale cholera na waćpana tak była w niej wielka, że słabość niewieścią przemogła. Jak on też zaczął prawić, z jaką abominacją waszmościne propozycje odrzucił, dopiero zaczęła go wielbić i wdzięcznie nań spoglądać, a potem już i ręki mu nie umknęła, gdy ją od stołu chciał odprowadzić.

Kmicic oczy dłońmi zatknął.

– Bijże, bij! kto w Boga wierzy! – powtarzał.

Nagle zerwał się z miejsca.

– Bądźcie waszmościowie zdrowi!

– Jakże to? dokąd? – pytał Zagłoba zastąpiwszy mu drogę.

– Król mi permisję da, a ja pojedę i znajdę go! – mówił Kmicic.

– Na rany boskie! czekaj waś! Jeszcze się wszystkiego nie dowiedział, a szukać go masz czas. Z kim pojedziesz? gdzie go znajdziesz?

Kmicic może byłby nie słuchał, ale sił mu zbrakło, gdyż był ranami wycieńczony, więc obsunął się na ławę i plecami wsparłszy się o ścianę, przymknął oczy.

Zagłoba podał mu kielich wina, a on chwycił go drżącymi rękoma i rozlewając płyn na brode i piersi, wychylił do dna.

– Nie masz tu nic straconego – rzekł Jan Skrzetuski – jeno roztropności trzeba tym większej, że z tak znamienitym panem sprawa. Prędkim uczynkiem a nagłą imprezą możesz waćpan zgubić pannę Billewiczównę i siebie.

– Wysłuchaj Charłampa do końca – rzekł pan Zagłoba.

Kmicic zacisnął zęby.

– Słucham cierpliwie.

– Czy chętnie panna wyjeżdżała – ozwał się Charłamp – tego nie wiem, bom przy jej wyjeździe nie był; wiem, że pan miecznik rosieński protestował, któremu naprzód perswadowano, potem go w cekhauzie zamknięto, a wreszcie pozwolono wolno do Billewicz odjechać. Panna w złych rękach, nie ma co ukrywać, bo wedle tego, co o młodym księciu powiadają, bisurmanin żaden na pleć gładką nie jest tak łasy. Gdy mu białogłowa jaka w oko wpadnie, wówczas choćby była zamężna, gotów i o to nie dbać.

– Gorze! gorze! – powtórzył Kmicic.

– Szelma! – krzyknął Zagłoba.

– Dziwno mi tylko to, że ją ksiązę wojewoda zaraz Bogusławowi wydał! – rzekł Skrzetuski.

– Ja nie statysta – odrzekł na to Charłamp – więc powtórzę waszmościom jeno to, co oficjelowie powiadali, a mianowicie Ganchof, który wszystkie *arcana* ksiązące wiedział. Słyszałem na własne uszy, jak ktoś wykrzyknął przy nim: „Nie pożywi się Kmicic po naszym młodym księciu!” – a Ganchof powiada tak: „Więcej tam polityki w tym wywiezieniu niż afektu. Żadnej (powiada) ksiązę Bogusław nie daruje, ale byle mu panna opór dała, to w Taurogach nie będzie mógł z nią uczynić jak z innymi, bo hałasy by powstały, tam zaś księżna wojewodzina z córką bawi, na które Bogusław musi się wielce oglądać, gdy do ręki młodej księżniczki pretenduje... Ciężko mu będzie (powiada) cnotliwego udawać, ale w Taurogach musi.”

– Kamień powinien waści spaść z serca! – zawołał pan Zagłoba – bo widać z tego, że nic dziewczce nie grozi.

– To czemu ją wywiózł? – wrzasnął Kmicic.

– Dobrze, że się do mnie udajesz – odpowiedział Zagłoba – bo ja niejedno wnet wyrozumiem, nad czym kto inny rok by na próżno głowę łamał. Czemu ją wywiózł? Nie neguję, że mu musiała wpaść w oko, ale wywiózł ją dlatego, aby przez nią wszystkich Billewiczów, którzy są liczni i moi, od nieprzyjacielskich uczynków przeciw Radziwiłłom powstrzymać.

– Może to być! – rzekł Charłamp. – To pewna, że w Taurogach bardzo musi żądze przyrodzone miarkować i *ad extrema* posunąć się nie może.

– Gdzie on teraz jest?

– Ksiązę wojewoda suponował w Tykocinie, że musi być u króla szwedzkiego w Elblągu, do którego po posiłki miał jechać. To pewna, że go teraz w Taurogach nie masz, bo go tam posłańcy nie znaleźli.

Tu Charłamp zwrócił się do Kmicica:

– Chcesz wasza mość posłuchać prostego żołnierza, to powiem, co myślę: jeżeli tam pannę Billewiczównę już jaka przygoda w Taurogach spotkała albo jeżeli ksiązę afekt w niej rozbudzić zdołał, to wasza mość nie masz tam po co jechać; jeżeli zaś nie, jeżeli jest przy księżnej pani i z nią razem do Kurlandii pojedzie, to tam bezpieczniejsza niż gdziekolwiek i lepszego miejsca nie znalazłbyś wasza mość dla niej w całej tej Rzeczypospolitej, zalanej płomieniem wojny.

– Jeśliś wać taki rezolut, jako powiadają, a jak i ja sam mniemam – wtrącił Skrzetuski – to naprzód ci Bogusława dostać, a mając go w ręku, wszystko otrzymasz.

– Gdzie on teraz jest? – powtórzył Kmicic zwracając się do Charłampa.

– Jużem waszej mości powiedział – odparł nosacz – ale wasza mość od zgryzot się zapamiętywasz. Suponuję, że jest w Elblągu i pewnie wraz z Carolusem Gustawem w pole przeciw panu Czarnieckiemu ruszy.

– Waść zaś najlepiej uczynisz, gdy z nami do pana Czarnieckiego ruszysz, bo w ten sposób prędko się z Bogusławem spotkać możecie – rzekł pan Wołodyjowski.

– Dziękuję waszmościom za życzliwe rady! – zawołał Kmicic.

I począł się żegnać żywo ze wszystkimi, oni zaś nie zatrzymywali go wiedząc, że człek strapiiony ni do rozmowy, ni do kielicha niezdatny, natomiast pan Wołodyjowski rzekł:

– Odprowadzę waszmość do arcybiskupiego pałacu, boś tak zmaltretowan, że jeszcze gdzie na ulicy padniesz.

– I ja! – rzekł Jan Skrzetuski.

– To chodźmy wszyscy! – dodał Zagłoba.

Przypasali więc szable, nałożyli burki ciepłe i wyszli. Na ulicach jeszcze więcej było ludzi niż poprzednio. Co chwila spotykali oddziały zbrojnej szlachty, żołnierzy, sług pańskich i szlacheckich, Ormian, Żydów, Wołochów, ruskich chłopów z przedmieść popalonych w czasie dwóch napadów Chmielnickiego.

Kupcy stali przed swymi sklepami, okna domów pełne były głów ciekawych. Wszyscy powtarzali, że czambulik już nadszedł i że niebawem przeciągnie przez miasto, ażeby prezentować się królowi. Kto żyw, chciał widzieć ów czambulik, bo wielka to była osobliwość spoglądać na Tatarów przejeżdżających spokojnie przez ulice grodu. Inaczej dotąd Lwów widywał tych gości, a raczej widywał ich tylko za murami, w postaci chmur nieprzejrzaných, na tle płonących przedmieść i okolicznych wiosek. Teraz mieli wjechać jako sojusznicy przeciw Szwedom. Toteż rycerze nasi zaledwie mogli utorować sobie przez tłumy drogę. Co chwila okrzyki – jada! jada! – przebiegały z jednej ulicy na drugą, a wówczas tłumy zbijały się w tak gęste masy, że ani podobna było kroku postąpić.

– Ha! – rzekł Zagłoba – przystańmy nieco. Panie Michale, przypomną nam się niedawne czasy, gdyśmy to nie z boku, ale wprost w ślepią patrzyli tym skurczybykom. A jaż to i w niewoli u nich siedziałem. Powiadają, że przyszedł chan kubek w kubek do mnie podobny... Ale co tam przeszłe zbytki wspominać!

– Jada! Jada! – rozległo się znów wołanie.

– Bóg serca psubratów odmienił – mówił dalej Zagłoba – że zamiast krainy ruskie pustoszyć, w sukurs nam idą... Cud to wyraźny! Bo powiadam wam, iż gdyby za każdego poganina, którego ta stara ręka do piekła wysłała, jeden grzech mi był odpuszczony, już bym był kanonizowany i wigilię musielibyście do mnie pościć albo byłbym na wozie ognistym żywcem do nieba porwan.

– A pamiętasz waćpan, jak to było wówczas, gdyśmy to znad Waładynki od Raszkowa do Zbaraża jechali?...

– Jakże nie pamiętam?! Coś to w wykrot wpadł, a ja za nimi przez gąszcza aż do gościńca pogałem. To, jakeśmy po ciebie wrócili, wszystko rycerstwo nie mogło się oddziwić, bo co kierz, to jedna bestia leżała.

Pan Wołodyjowski pamiętał, że wówczas było wcale na odwrót, ale zrazu nic nie odrzekł, bo się bardzo zdumiał, nim zaś ochłonął, głosy po raz dziesiąty czy któryś poczęły wołać:

– Jada! Jada!...

Okrzyk stał się powszechny, potem ucichło i wszystkie głowy zwróciły się w tę stronę, z której czambulik miał nadciągnąć. Jakoż z dala ozwała się wrzaskliwa muzyka, tłumy zaczęły się rozstępować ze środka ulicy ku ścianom domostw, z końca zaś ukazali się pierwsi tatarscy jeźdźcy.

– Patrzcie! i kapelę mają ze sobą, to u Tatarów niezwykajna rzecz.

– Bo się chcą jak najlepiej zaprezentować – odrzekł Jan Skrzetuski – ale przecie niektóre czambuły mają swoich muzykantów, którzy im przygrywają, gdy koszem gdzie na dłuższy czas zapadną. Wyborowy też to musi być komunik!

Tymczasem jeźdźcy zbliżyli się i poczęli przeciągać mimo. Naprzód jechał na srokatym koniu śniady jakoby w dymie uwędzony Tatar, dwie piszczałki w gębie mający. Ten, przechyliwszy w tył głowę i zamknawszy oczy, przebierał po owych dutkach palcami wydobywając z nich tony piskliwe i ostre, a tak szybkie, że ucho zaledwie je ułowić mogło. Za nim jechało dwóch trzymających kije, przybrane na górnych końcach w mosiężne brzękułki, i potrząsających nimi jakoby z wściekłością; tuż dalej kilku dźwiękało przeraźliwie w miedziane talerze, inni bili w bębny, inni grali kozacką modą na teorbanach, wszyscy zaś, z wyjątkiem piszczalników, śpiewali, a raczej wyli od czasu do czasu do wtóru dziką pieśń, błyskając przy tym zębami i przewracając oczy. Za tą niesforną i dziką muzyką, która przesuwiała się jak gomon przed mieszkańcami Lwowa, cłapał po cztery konie w rzędzie cały oddział złożony z około czterystu ludzi.

Był to istotnie wyborowy komunik, na pokaz i cześć królowi polskiemu, do jego rozporządzenia, jako zadatek przez chana przysłany. Dowodził nim Akbah-Ułan, z dobrudzkich, zatem najtęższych w boju Tatarów, stary i doświadczony wojownik, wielce w ułusach dla swojego męstwa i srogości szanowany. Jechał on teraz w środku, między muzyką a resztą oddziału, przybrany w różową aksamitną, ale mocno wypłowiałą i za ciasną na jego potężną figurę szubę, wytartymi kunami podbitą. Na brzuchu trzymał piernacz, taki, jakiego zażywali pułkownicy kozaccy. Czerwona jego twarz stała się od chłodnego wiatru siną, i kołysał się nieco na wysokiej kulbace, od czasu do czasu spoglądał na boki albo obracał głowę ku swym Tatarom, jakoby nie był zupełnie pewien, czy wytrzymają na widok tłumów, niewiast, dzieci, sklepów otwartych, towarów kosztownych i czy nie rzucą się z dzikim okrzykiem na te cuda.

Lecz oni jechali spokojnie, jako psy na sforze prowadzone i bojące się harapa, i tylko z ponurych a łakomych spojrzeń można było dociec, co się dzieje w duszach tych barbarzyńców. Tłumy zaś patrzyły na nich ciekawie, chociaż prawie nieprzyjaźnie, tak wielka była w tych stronach Rzeczypospolitej przeciw pogaństwu zawziętość. Od czasu do czasu zrywały się okrzyki: „A hu! a hu!” – jakoby na wilków. Byli wszelako i tacy, którzy siła obiecywali sobie po nich.

– Okrutnego stracha Szwedzi przed Tatarami mają i ponoć żołnierze dziwy sobie o nich prawią, od czego terror coraz wzrasta – mówili patrzący na Tatarów.

– I słusznie – odpowiadali inni. – Nie rajtarom to Carolusa z Tatarami wojować, którzy, a zwłaszcza dobrudzczy, i naszej jeździe czasem dotrzymują. Nim się ów ciężki rajtar obejrzy, już go Tatar na arkan weźmie.

– Grzech pogańskich synów w pomoc wzywać! – odzywały się głosy.

– Grzech nie grzech, a taki się przydadzą!

– Bardzo przystojny czambulik! – mówił pan Zagłoba.

Rzeczywiście, Tatarzy owi dobrze byli przybrani, w kozuchy białe, czarne i pstre, wełną do góry, czarne łuki i sahadaki pełne strzał kołysały im się na plecach, każdy miał przy tym szablę, co nie zawsze w wielkich czambułach bywało, gdyż biedniejsi na takowy zbytek zdobyć się nie mogli, posługując się w ręcznym boju szczęką końską, do kija przywiązaną. Ale byli to ludzie, jak się rzekło, na pokaz, więc niektórzy mieli nawet i samopały pochowane w wojłokowych pokrowcach, a wszyscy siedzieli na dobrych koniach, drobnych wprawdzie, dość chudych i nisko długogrzywe łby noszących, lecz nieporównanej szybkości w biegu.

W środku oddziału szły cztery wielbłądy juczne; tłum zgadywał, że w tych jukach znajdowały się dary chanowe dla króla; ale w tym się mylono, bo chan wołał brać dary niż dawać; obiecywał wprawdzie posiłki, ale nie darmo.

Toteż gdy oddział minął, pan Zagłoba rzekł:

– Drogo te *auxilia* będą kosztowały! Niby to sprzymierzeńcy, ale ile oni kraju naniszczą... Po Szwedach i po nich jednego dachu całego w Rzeczypospolitej nie zostanie.

– Pewnie, że okrutnie to ciężki sojusz – odrzekł Jan Skrzetuski. – Znamy ich już!

– Słyszałem jeszcze w drodze – rzekł pan Michał – że król nasz jegomość taką umowę zawarł, iż do każdego pięciuset ordyńców ma być dodany nasz oficyjer, przy którym będzie komenda i prawo kary. Inaczej, istotnie by ci przyjaciele niebo a ziemię jeno zostawili.



- A tenże czambułek?... Co też król z nim uczyni?
- Do rozporządzenia królewskiego ich chan przysłał, tak prawie jakoby w darze, a chociaż sobie i za nich policzy, przecie król może uczynić z nimi, co zechce, i pewnie ich panu Czarnieckiemu razem z nami podeśle.
- No! to już pan Czarniecki w ryzach utrzymać ich potrafi.
- Chybaby mieszkał między nimi, inaczej zaraz za jego oczyma zaczną zbytkować. Nie może być, tylko i tym zaraz oficjera dodadzą.
- I ten będzie dowodził? A ówże tłusty aga co będzie czynił?
- Jeśli nie trafi na kpa, to będzie rozkazy spełniał.
- Bądźcie, waszmościowie, zdrowi! bądźcie mi zdrowi! – zakrzyknął nagle Kmicic.
- Dokąd tak spieszno?
- Panu do nóg paść, aby mi komendę nad tymi ludźmi powierzył!

## ROZDZIAŁ XXXIII

Tegoż samego dnia Akbah-Ułan bił czołem królowi, a zarazem wręczył mu listy chanowe, w których ten ostatni powtarzał obietnicę ruszenia w sto tysięcy ordy przeciw Szwedom, byle mu czterdzieści tysięcy talarów z góry wypłacono i byle pierwsze trawy pokazały się na polach, bez czego, jako że w spustoszonej wojną kraju, trudno byłoby tak wielką moc koni wyżywić. Co zaś do owego czambuliku, to wysłał go teraz chan na dowód miłości ku „najmilszemu bratu”, aby i Kozacy, którzy o nieposłuszeństwie jeszcze zamyślali, ujrzeli widomy znak, że miłość owa trwa statecznie i że niech jeno pierwszy odgłos o buncie dojdzie uszu chanowych, wówczas mściwy gniew jego spadnie na wszystkie kozactwo.

Król przyjął wdzięcznie Akbah-Ułana i obdarzywszy go pięknym dzianetem, oświadczył, że wyśle go niebawem w pole do pana Czarnieckiego, albowiem chce, aby i Szwedzi przekonali się dowodnie, jako chan daje pomoc Rzeczypospolitej. Zaświeciły się oczy Tatara, gdy usłyszał, iż pod panem Czarnieckim będzie służył, bo go znał z dawnych wojen ukraińskich i na równi ze wszystkimi agami wielbił.

Mniej natomiast spodobał mu się ustęp chanowego listu proszący króla, aby czambulikowi dodał dobrze znającego kraj oficera, który by oddział prowadził, a zarazem ludzi i samego Akbah-Ułana od rabunku i zbytków nad mieszkańcami powstrzymywał. Wolałby był zapewne Akbah-Ułan nie mieć nad sobą takiego patrona, lecz że wola chanowa i królewska były wyraźne, przeto uderzył tylko czołem raz jeszcze, kryjąc starannie niechęć, a może obiecując sobie w duszy, że nie on przed patronem, ale patron przed nim pokłony będzie wybijał.

Zaledwie Tatar się oddalił i senatorowie odeszli, gdy Kmicic, który przy boku królewskim podczas audiencji się trzymał, padł do nóg pańskich i rzekł:

– Miłościwy panie! Niegodzien jestem łaski, o którą proszę, ale tyle mi na niej co właśnie na samym życiu zależy. Pozwól, miłościwy ojcze, abym nad tymi ordyńcami komendę mógł objąć i z nimi zaraz w pole ruszyć.

– Nie odmawiam – rzekł zdziwiony Jan Kazimierz – bo lepszego przywódcy trudno by mi dla nich znaleźć. Trzeba tam kawalera wielkiej fantazji i rezoluta, aby ich w ryzie umiał utrzymać, gdyż inaczej zaraz i naszych zaczną palić a mordować... Temu się jeno stanowczo przeciwie, byś jutro miał ruszać, nim ci się skóra po szwedzkich rapierach zagoi.

– Czuję, że niechaj mnie jeno wiatr w polu owieje, zaraz słabość mi przejdzie i siła we mnie wstąpi na powrót, a co do Tatarów, to już ja sobie z nimi rady dam i na miękki wosk ich ugniotę.

– Ale co ci tak pilno? Dokąd chcesz iść?

– Na Szweda, miłościwy panie!... Nic tu już więcej nie wysiedzę, bo czegom chciałem, to już mam: to jest, łaskę twoją i grzechów dawniejszych odpuszczenie... Pójdę do pana Czarnieckiego razem z Wołodyjowskim albo i z osobna będę nieprzyjaciela podchodził, jako dawniej Chowańskiego, a w Bogu ufam, że mi się poszczęści.

– Nie może inaczej być, tylko jeszcze cię coś innego ciągnie w pole!

– Jako ojcu wyznam i całą duszę wyjawię... Książę Bogusław nie kontentując się potwarzą, jaką na mnie rzucił, jeszcze i dziewczkę tę z Kiejdan wywiózł, i w Taurogach ją więzi albo gorzej: bo na jej uczciwość, na jej cnotę, na jej panieńską cześć nastaje... Panie miłościwy!... Rozum mi się w głowie miesza, gdy pomyślę, w jakich to rękach ona nieboga... Na mękę Pańską! mniej te rany bolą... Toż ta dziewczka dotąd myśli, że ja się temu potępińcowi, temu arcypsowi ofiarowałem na majestat twój, panie, rękę podnieść... i za ostatniego wyrodka mnie ma! Nie wytrzymam, miłościwy królu, nie mogę póki jego nie dostanę, póki jej nie wydrę... Daj mi, panie, tych Tatarów, a jać przysięgam, że nie swojej jeno prywaty będę dochodził, ale tyle Szwedów natłukę, że ten dziedzinec łbami można będzie wymościć.

– Uspokój się! – rzekł król.

– Gdybym, panie, miał służbę dla prywaty porzucić i obrony majestatu i Rzeczypospolitej zaniechać, wstyd by mi było prosić, ale tu się jedno z drugim schodzi. Przyszła pora Szwedów bić? Jaż nic innego nie będę czynił... Przyszła pora zdrajcę ścigać, jaż go będę ścigał do Inflant, do Kurlandii, choćby się do Septentrionów albo nawet za morze do Szwecji schronił, pójdę za nim!

– Mamy wiadomości, jako tuż, tuż Bogusław z Carolusem z Elbląga wyruszy.

– To im pójdę na spotkanie!

– Z takim czambulikiem? Kapeluszem cię przykryją.

– Chowański mnie w ośmdziesiąt tysięcy przykrywał i nie przykrył.

– Co jest wiernego wojska, to pod panem Czarnieckim. Oni na pana Czarnieckiego *ante omnia* uderzą!

– Pójdę do pana Czarnieckiego. Tym spieszniej trzeba mu, miłościwy panie, sukurs dać.

– Do pana Czarnieckiego pójdziesz, ale do Taurogów w tak szczupłej liczbie się nie dostaniesz. Wszystkie zamki na Żmudzi nieprzyjacielowi książę wojewoda wydał i wszędzie szwedzkie prezydja stoją, a one Taurogi, widzi mi się, coś nad samą granicą pruską, od Tylży nie opodal.

– Na samej granicy elektorskiej, miłościwy panie, ale po naszej stronie, a od Tylży będzie cztery mile. Co nie mam dojść! – dojdę i nie tylko ludzi nie wytracę, ale jeszcze się do mnie po drodze siła rezolutów zbieży. I to rozważ, miłościwy panie, że gdzie się tylko pokażę, tam cała okolica na koń przeciw Szwedom siedzie. Pierwszy będę Żmudź ekscytował, jeżeli kto inny tego nie uczyni. Gdzie to teraz nie można dojechać, gdy w całym kraju jak w garnku. Już ja zwyczajny obracać się w ukropie.

– Bo i na to nie patrzysz, że Tatarzy może i nie zechcą tak daleko iść za tobą?

– Ano! ano! niech jeno nie zechcą, niech jeno spróbują! – mówił Kmicic ściskając na samą myśl zęby – jak ich jest czterystu czytam ilu, tak ich każę czterystu powiesić!... Drzew nie zabraknie!... Niech mi się popróbują buntować...

– Jędre! – zawołał król wpadając w dobry humor i wydymając usta – jak mi Bóg miły, tak lepszego pasterza dla tych owieczek nie znajdę! Bierżże ich i prowadź, gdzie ci się żywnie podoba!

– Dziękuję, miłościwy panie! ojciec dobrotliwy! – rzekł rycerz ściskając kolana królewskie.

– Kiedy chcesz ruszyć? – pytał Jan Kazimierz.

– Boga mi! jutro!

– Może Akbah-Ułan nie zechce, że to konie mają zdrożone?

– To go sobie każę do kulbaki na arkanie przytroczyć i piechotą pójdzie, jeżeli konia żałuje.

– Widzę już, że się z nim uporasz. Przecie dobrych, póki można, sposobów używaj. A teraz... Jędre!... dziś już późno, ale jutro chcę cię jeszcze zobaczyć... Tymczasem weź ten pierścień, powiesz swojej regalistce, że go od króla masz i że król jej nakazuje, aby jego wiernego sługę i obrońcę statecznie miłowała...

– Dajże Boże – mówił ze łzami w oczach junak – dajże Boże, abym nie inaczej zginął, tylko w twojej obronie, panie miłościwy!

Tu król cofnął się, bo było już późno, a Kmicic poszedł do swej kwatery do drogi się gotować i rozmyślać, od czego począć, gdzie najpierw jechać należy?

Przyszły mu na myśl słowa Charłampa, iż jeżeli tylko pokaże się, że księcia Bogusława w Taurogach nie ma, to najlepiej tam dziewczynę zostawić, bo istotnie z Taurogów, jako leżących na samej granicy, łatwo się było do Tylży pod elektorską opiekę schronić. Zresztą, jakkolwiek Szwedzi opuścili w ostatniej potrzebie księcia wojewodę wileńskiego, przecie należało się spodziewać, że dla jego wdowy respekt mieć będą, zatem byle Oleńka została pod jej opieką, to nic złego spotkać ją nie może. Jeżeli zaś do Kurlandii pojedą, to tym lepiej.

– I do Kurlandii jechać z moimi Tatarami nie mogę – rzekł sobie Kmicic – bo to już inne państwo.

Chodził tedy i pracował głową. Godzina płynęła za godziną, on zaś nie pomyślał jeszcze o spoczynku i tak ożywiła go myśl nowej wyprawy, że choć rano jeszcze był słaby, teraz czuł, że wracają mu siły, i gotów był zaraz na konia siadać.

Pacholikowie skończyli wreszcie zawiązywanie troków i zbierali się iść na spoczynek, gdy nagle ktoś począł skrobać we drzwi izby.

– Kto tam? – zawołał Kmicic.

Po czym do pacholika:

– Idź no, obacz!

Pacholik poszedł i rozmówiwszy się za drzwiami, wrócił niebawem.

– Jakiś żołnierz chce pilno widzieć się z waszą miłością. Powiada, że się zowie Soroka.

– Puszczaj, na miły Bóg! – krzyknął Kmicic.

I nie czekając, by pacholik spełnił rozkaz, sam skoczył ku drzwiom.

– Bywaj, miły Soroka! bywaj!

Żołnierz wszedł do izby i pierwszym ruchem chciał paść do nóg swego pułkownika, bo był to raczej przyjaciel i sługa równie wierny jak przywiązany, lecz żołnierska subordynacja przemo-gła, więc wyprostował się i rzekł:

– Na rozkazy waszej miłości!

– Witaj, miły towarzyszu, witaj! – mówił żywo Kmicic – myślałem, że cię tam usiekli w Częstochowie!

I ścisnął go za głowę, a potem jął nawet potrząsać jego rękoma, co mógł uczynić nie pospoli-tując się zbyt, gdyż Soroka pochodził z zaścianku z drobnej szlachty.

Dopieroż i stary wachmistrz jął obejmować kolana pańskie.

– Skąd idziesz? – pytał Kmicic.

– Z Częstochowy, wasza miłość.

– I mnie szukałeś?

– Tak jest.

– A od kogożeście się tam dowiedzieli, że żyję?

– Od ludzi Kuklinowskiego. Ksiądz Kordecki wielką mszę z radości celebrował na dziękczynienie Bogu. Potem jako gruchnęło, że pan Babinicz przeprowadził króla przez góry, tak już wiedziałem, że to wasza miłość, nikt inny.

– A ksiądz Kordecki zdrow?

– Zdrow, wasza miłość, jeno nie wiadomo, czyli go anieli żywcem do nieba lada dzień nie wezmą, bo to święty człowiek.

– Pewnie, że nie inaczej. Gdzieżeś to się dowiedział, że z królem do Lwowa przybył?

– Myślałem sobie tak: skoro wasza miłość króla odprowadzał, to mus przy nim być, bałem się wszelako, że wasza miłość już może w pole wyruszył i że się spóźnię.

– Jutro z Tatory ruszam!

– To się dobrze stało, bo ja waszej miłości trzosów odwożę pełnych dwa: ten, co był na mnie, i jegomości, a oprócz tego one kamuszki świecące, cośmy je z kołpaków bojarom zdejmowali, i te, które wasza miłość zabrał wtedy, gdyśmy to skarbczyk Chowańskiego zagarnęli.

– Dobrze były czasy, gdyśmy skarbczyk ogarnęli, ale nie musi tam tego już wiele być, bom też przygarstkę księdzu Kordeckiemu zostawił.

– Nie wiem, ile jest, jeno ksiądz Kordecki właśnie mówił, że można by za to dwie tęgie wsie kupić.

To rzekłszy Soroka zbliżył się do stołu i począł zdejmować z siebie trzosi.

– A kamuszki w onej blaszance – dodał kładąc obok trzosów żołnierską manierkę na wódkę.

Pan Kmicic nic nie mówiąc wytrzasnął w garść nieco czerwonych złotych, bez rachuby, i rzekł do wachmistrza:

– Masz!

– Do nóg upadam, waszej miłości! Ej! żeby to ja miał w drodze choć jeden takowy dukacik!

– Albo co? – spytał rycerz.  
– Bom okrutnie z głodu osłabł. Mało gdzie teraz człeka kawałkiem chleba poczęstują, bo każdy się boi, to i nogi w końcu ledwie z głodu wlokłem.

– Na miły Bóg! przecież to wszystko miał przy sobie!  
– Nie śmiałem bez permisji – rzekł krótko wachmistrz.  
– Trzymaj! – rzekł Kmicic podając mu drugą garść.

Po czym krzyknął na pacholików:

– Nuże, szelmy! jeść mu dać, nim pacierz minie, bo łby pourywam!

Pacholikowie skoczyli jeden przez drugiego i wkrótce stanęła przed Soroką ogromna misa wędzonej kiełbasy i flaszką z wódką.

Żołnierz wpił pożądlive oczy w posiłek, wargi i wąsy mu drgały, lecz sięść przy pułkowniku nie śmiał.

– Siadaj, jedz! – zakomenderował Kmicic.

Ledwie skończył, już sucha kiełbasa poczęła chrzęścić w potężnych szczękach Soroki. Dwaj pacholikowie patrzyli na niego, wytrzeszczając oczy.

– Ruszajcie precz! – zawołał Kmicic.

Chłopcy kopnęli się co ducha za drzwi; rycerz zaś chodził spieszными krokami po komnacie i milczał, nie chcąc przeszkadzać wiernemu słudze. Ten zaś, ilekroć nalał sobie kieliszek gorzałki, tylekroć spoglądał z ukosa na pułkownika, w obawie, czy zmarszczenia brwi nie dostrzeże, po czym wychylał napitek zwracając się ku ścianie.

Kmicic chodził, chodził, wreszcie począł sam z sobą rozmawiać.

– Nie może być inaczej! – mrucał – trzeba tam tego posłać... Każę powiedzieć jej... Na nic! Nie uwierzy!... Listu czytać nie zechce, bo mnie za zdrajcę i psa ma... Niech jej w oczy nie lezie, jeno niechaj patrzy i mnie da znać, co się tam dzieje.

Tu zawołał nagle:

– Soroka!

Żołnierz zerwał się tak szybko, że mało stołu nie przewrócił, i wyciągnął się jak struna.

– Wedle rozkazu!

– Tyś człek wierny i w potrzebie frant. Pojedziesz w daleką drogę, ale nie o głodzie.

– Wedle rozkazu!

– Do Taurogów, na granicę pruską. Tam panna Billewiczówna mieszka... u księcia Bogusława... Dowiesz się, czy on tam jest... i będziesz miał na wszystko oko... Jej w oczy nie leż, chyba iżby się zdarzyło, żeby samo wypadło. Wówczas powiesz jej i zaprzysięgniesz, że króla przez góry przeprowadził i że przy jego osobie jestem. Ona ci pewnie nie uwierzy, bo mnie tam księżę oczernił, że na zdrowie majestatu nastaje, co jest łgarstwo psa godne!

– Wedle rozkazu!

– W oczy, powiedziałem, nie leż, bo i tak ci nie uwierzy... Ale gdyby się zdarzyło, powiedz, co wiesz. A bacz na wszystko i słuchaj. A sam się pilnuj, bo jeżeli księżę tam jest i jeśli cię pozna on albo ktokolwiek z dworu, to cię na pal wbiją.

– Wedle rozkazu!

– Byłbym posłał starego Kiemlicza, ale on na tamtym świecie, bo w parowie usieczon, a synowie za głupi. Ci pójda ze mną. Byłeś w Taurogach?

– Nie, wasza miłość.

– Pójdiesz do Szczuczyna, stamtąd samą granicą pruską, hen! aż do Tylży. Taurogi będą o cztery mile naprzeciw, po naszej stronie... Siedź w Taurogach tak długo, póki wszystkiego nie wymiarkujesz, a potem wracaj. Znajdziesz mnie tam, gdzie będę... Rozpytuj o Tatarów i pana Babinicza. A teraz ruszaj spać do Kiemliczów!... Jutro w drogę!

Po tych słowach Soroka odszedł, pan Kmicic zaś długo jeszcze spać się kładł, ale wreszcie zmęczenie przemogło. Wówczas rzucił się na łożo i zasnął snem kamiennym.

Nazajutrz wstał orzeźwion wielce i silniejszy niż wczora. Cały dwór już był na nogach i rozpoczęły się zwykle dzienne czynności. Kmicic poszedł naprzód do kancelarii po nominację i po list żelazny, następnie odwiedził Subaghazi-beja, naczelnika chanowego poselstwa we Lwowie, i miał z nim długą rozmowę.

W czasie tej rozmowy zanurzał pan Andrzej po dwakroć rękę w kalecie. Za to też, gdy wychodził, Subaghazi pomieniał się z nim na kołpaki, wręczył mu piernacz z zielonych piór i kilka łokci również zielonego jedwabnego sznura.

Zaopatrzony w ten sposób, wrócił pan Andrzej do króla, który był właśnie ze mszy przyjechał, więc padł jeszcze raz młody junak do nóg pańskich, po czym w towarzystwie Kiemliczów i pacholców udał się wprost za miasto, gdzie Akbah-Ułan stał z czambułem.

Stary Tatar przyłożył na jego widok rękę do czoła, ust i piersi, ale dowiedziawszy się, kto jest Kmicic i z czym przyjechał, wnet nasrożył się; twarz mu pociemniała i oblokła się dumą.

– Skoro król cię na przewodnika przysłał – rzekł do Kmicica w łamanym rusińskim języku – to będziesz mi drogę pokazywał, chociaż ja i sam trafiłbym, gdzie potrzeba, a tyś młody i niedoświadczony.

„Z góry mi przeznacza, czym mam być – pomyślał Kmicic – ale póki można, będę politykował.”

Tu ozwał się głośno:

– Akbahu-Ułanie, król mnie tu na wodza, nie na przewodnika przysyła... I to ci powiem, że lepiej uczynisz woli jego królewskiej mości nie negując.

– Nad Tatarami chan, nie król stanowi! – odrzekł Akbah-Ułan.

– Akbahu-Ułanie – powtórzył z naciskiem pan Andrzej – chan darował cię królowi, jakoby mu psa albo sokoła darował, dlatego nie uwłaczaj mu, aby cię zaś jako psa na powrót nie wzięto.

– Ała! – krzyknął zdumiony Tatar.

– Ejże, nie rozdrażniaj mnie! – odrzekł Kmicic.

Lecz oczy Akbaha-Ułana krwią zaszyły. Przez czas jakiś słowa nie mógł przemówić; żyły na karku mu spęzczały, ręka chwyciła za kindżał.

– Kęsim! kęsim! – krzyknął przyduszonym głosem.

Ale i pan Andrzej, chociaż obiecał sobie politykować, miał już dosyć, gdyż bardzo z natury był porywczy. Więc w jednej chwili podrzuciło nim coś tak, jakby go gadzina żgnęła, całą dłońią porwał Tatara za rzadką brodę i zadarłszy mu głowę do góry, tak jak gdyby mu coś na pułapie chciał pokazać, począł mówić przez zaciśnięte zęby:

– Słuchaj, kozi synu! Wolałbyś nikogo nad sobą nie mieć, by palić, rabować, wycinać!... Przewodnikiem chcesz mnie mieć! Ot, masz przewodnika! masz przewodnika!

I przyparłszy go do ściany, począł tłuc głowę jego o zrab.

Puścił go wreszcie zupełnie ogłupiałego, ale nie sięgającego już do noża. Kmicic, idąc za pędem swej gorącej krwi, odkrył mimo woli najlepszy sposób przekonywania ludzi wschodnich, do niewolnictwa przywykłych. Jakoż w potłuczonej głowie Tatara, mimo całej wściekłości, jaka go dusiła, błysnęła zaraz myśl, jak potężnym i władnym być musi ów rycerz, który z nim, Akbah-Ułanem, postępuje w ten sposób, i okrwawione wargi jego powtórzyły po trzykroć wyraz:

– Bagadyr! Bagadyr! Bagadyr!

Pan Kmicic tymczasem nałożył na głowę kołpak Subaghaziego, wyciągnął zielony piernacz, który aż dotąd umyślnie trzymał za plecami, za pas wetknięty i rzekł:

– Patrz tu, rabie! i tu!

– Ała! – ozwał się przerażony Ułan.

– I tu! – dodał Kmicic wydobywając sznur z kieszeni.

Lecz Akbah-Ułan leżał już u jego nóg i bił czołem.

W godzinę później Tatarzy wyciągnęli się długim wężem po drodze wiodącej ze Lwowa ku Wielkim Oczom, a Kmicic siedząc na dzielnym cisawym koniu, którego król mu podarował,

oganiał czambuł, jak pies owczarski ogania owce. Akbah-Ułan spoglądał na młodego junaka z przestachem i podziwieniem.

Tatarzy, znawcy ludzi wojennych, odgadli na pierwszy rzut oka, że pod tym wodzem nie zbraknie im krwi i łupu, więc szli ochotnie, ze śpiewaniem i graniem.

Kmicicowi zaś serce rosło, gdy patrzył na owe postacie, podobne do zwierząt leśnych, bo przybrane w kozuchy i wielbłądzie kaftany wełną do góry. Fala dzikich głów kołysała się pod miarę końskich ruchów, on zaś liczył je i rozmyślał, co będzie można z taką potęgą przedsięwziąć.

„Osobliwszyż to komunik – myślał sobie – i tak mi się wydaje, jakobym stada wilków przywodził, ale z takimi właśnie można przejść całą Rzeczpospolitą i całe Prusy przetratować. Czekażcie, książę Bogusławie!”

Tu chełpliwe myśli poczęły mu napływać do głowy, gdyż do chełpliwości wielce był skłonny.

– Bóg dał człeku obrotność – mówił sobie. – Wczora miałem jeno dwu Kiemliczów, a dziś czterysta koni za mną człapie. Niech jeno taniec rozpocznie, będę miał tysiąc albo i dwa takich hultajów, żeby się ich i dawni kompaniowie nie powstydzili... Czekażcie, książę Bogusławie!

Lecz po chwili dla uspokojenia sumienia dodał:

– A przy tym ojczyźnie i majestatowi znacznie usłużę...

I wpadł w wyborny humor. Bawiło go też niezmiernie i to, że szlachta, Żydzi, chłopci, nawet większe kupki pospolitego ruszenia nie mogły się oprzeć w pierwszej chwili przerażeniu na widok jego wojska. A była mgła, bo odwilż przesycała wilgotnym tumanem powietrze. Więc coraz to się zdarzało, że ktoś nadjeżdżał blisko i nagle postrzegłszy, kogo ma przed sobą, wykrzykiwał:

– Słowo stało się ciałem!

– Jezus, Maria, Józef!

– Tatarzy! orda!

Lecz Tatarzy mijali spokojnie bryki, wozy ładowne, stada koni i przejeżdżających. Inaczej by było, gdyby wódz pozwolił, ale samowolnie nic przedsięwziąć nie śmieli, bo na własne oczy patrzyli przy wyruszeniu, jako temu wodzowi sam Akbah-Ułan strzemię trzymał.

Tymczasem Lwów już zniknął w dali za mgłami. Tatarzy przestali śpiewać i czambuł poruszał się z wolna wśród tumanów pary podnoszącej się z koni. Nagle tętent rumaka rozległ się za czambułem.

Po chwili ukazało się dwóch jeźdźców. Jeden z nich był pan Wołodyjowski, drugi dzierżawca z Wąsoszy. Obaj pomijając oddział pędzili wprost do pana Kmicica.

– Stój! stój! – wołał mały rycerz.

Kmicic wstrzymał konia.

– To wasza mość!

Wołodyjowski osadził z kolei szkapę.

– Czołem! – rzekł – listy od króla! Jeden do waszmości, drugi do wojewody witebskiego.

– Jaż do pana Czarnieckiego jadę, nie do pana Sapiehy.

– Przeczytaj jeno naprzód pismo!

Kmicic złamał pieczęć i czytał, co następuje:

„Dowiadujemy się przez gońca, świeżo od pana wojewody witebskiego przybyłego, jako pan wojewoda nie może tu do krajów małopolskich ciągnąć i z drogi znów na Podlasie nawraca, a to z przyczyny księcia Bogusława, który z wielką potęgą nie przy królu szwedzkim zostawa, lecz na Tykocin i na pana Sapiechę uderzyć zamysła. Że zaś *magna pars* sił pana Sapieżyńskich na prezydiach zostać musiała, przeto rozkazujemy ci, abyś z owym tatarskim komunikiem panu wojewodzie szedł w pomoc. A gdy i twojej ochocie w ten sposób zadość się czyni, niepotrzebnie byśmy mieli ci pośpiech nakazywać. Drugi list oddasz wojewodzie, w którym pana Babinicza, wiernego sługę naszego, afektom wojewodzińskim, a przede wszystkim opiece boskiej polecamy. Jan Kazimierz, król.”

– Na miły Bóg! na miły Bóg! Oto szczęśliwa dla mnie nowina! – zawołał pan Kmicic. – Nie wiem już, jako królowi jegomości i waszmość panu mam za nią podziękować!

– Sam też podjąłem się jechać – odrzekł mały rycerz – a to z kompasji dla waszmości, bom widział twoją boleść, i dlatego, aby listy na pewno doszły.

– Kiedyż ów goniec przyszedł?

– Byliśmy u króla na obiedzie, ja, dwaj panowie Skrzetuscy, pan Charłamp i pan Zagłoba. Nie wyimainujesz sobie waćpan, co tam pan Zagłoba wyprawiał, jako o niezaradności Sapia i swoich zasługach opowiadał. Dość, że królowi aż ślozy od ustawicznego rzechotania się płynęły, a obaj hetmani za boki bez ustanku się trzymali. Wtem wszedł pokojowiec z listem, na którego król zaraz się obruszył: „Idź do kata, rzecze, może zła nowina, nie psuj mi uciechy!” Dopieroż gdy się dowiedział, że to od pana Sapiehy, zabrał się do czytania. Jakoż złą nowinę wyczytał, bo się potwierdziło to, o czym już dawno mówiono, że elektor przysięgi wszystkie złamał i ostatecznie przeciw prawemu panu z królem szwedzkim się połączył.

– Jeszcze jeden wróg, jakoby ich mało dotąd było! – krzyknął Kmicic.

I złożył ręce.

– Boże wielki! Niech mi jeno na tydzień pan Sapieha do Prus Książęcych pozwoli, a da Bóg miłosierny, że dziesiąte pokolenia mnie i moich Tatarów wspominać będą!...

– Może to być, że tam pójdziecie – odrzekł pan Michał – ale wprzód musicie Bogusława znośić, gdyż właśnie wskutek onej elektorskiej zdrady zaopatrzono go w ludzi i na Podlasie mu iść dozwolono.

– To się spotkamy, jako dziś dzień, jako Bóg na niebie, tak się spotkamy! – mówił z iskrzącymi oczyma Kmicic. – Gdybyś mi waszmość nominację na województwo wileńskie przywiózł, nie ucieszyłbyś mnie lepiej!

– Król też zaraz zakrzyknął: „Gotowa dla Jędrka ekspedycja, od której dusza się w nim uraduje.” Chciał też wnet pokojowego za waścią wysłać, ale ja powiadam: Sam pojedę, to go jeszcze pożegnam.

Kmicic przechylił się na koniu i chwycił małego rycerza w objęcia.

– Brat by tyle dla mnie nie uczynił, ileś już waszmość uczynił! Dajże, Boże, czymkolwiek się wywdzięczyć!

– Ba! Przecie waćpana rozstrzelać chciałem!

– Bom też czego lepszego był niewart! Nic to! Niech mnie w pierwszej bitwie usieką, jeżeli pomiędzy wszystkim rycerstwem bardziej kogo od waćpana miłuję!...

Tu znowu poczęli się ścisnąć, na pożegnanie zaś rzekł pan Wołodyjowski:

– A pilnuj się z Bogusławem! pilnuj się, bo z nim niełatwo!

– Jednemu z nas już śmierć pisana!

– Dobrze!

– Ej, żebyś to waszmość, któryś jest do szabli jeniusz, swoje arkana mi odkrył! Cóż! nie ma czasu!... Ale i tak anieli mi pomogą, i krew jego obaczę, chyba że przedtem oczy moje zamkną się na zawsze na światło dzienne.

– Bóg pomagaj!... Szczęśliwej drogi!... A dajcie tam dzięgielu zdrajcom Prusakom! – rzekł pan Wołodyjowski.

– Bądźcie spokojni. Obrzydnie im luterstwo!

Tu pan Wołodyjowski kiwnął na Rzędziana, który przez ten czas z Akbahem-Ułanem rozmawiając, dawne przewagi Kmicica nad Chowańskim rozpowiadał, po czym obaj odjechali z powrotem do Lwowa.

Kmicic zaś zawrócił z miejsca czambułem, jako woźnica wozem zawraca, i poszedł wprost ku północy.



## ROZDZIAŁ XXXIV

Jakkolwiek Tatarzy, a zwłaszcza dobrudzczy, umieli zbrojnym mężom w polu pierśią do piersi stawać, przecie najmilszą dla nich wojną był mord bezbronnych, branie niewiast i chłopów w jasyr, a przede wszystkim grabież. Wielce też przykrzyła się droga owemu czambulikowi, który prowadził Kmicic, pod żelazną bowiem jego ręką dzicy wojownicy musieli w baranków się zmienić, trzymać noże w pochwach, a zgaszone hubki i zwinięte łyka w biesagach. Z początku szemrali.

Około Tarnogrodu kilkunastu umyślnie pozostało w tyle, aby puścić „czerwone ptaki” w Chmielewsku i poswawolić z młodociami. Lecz pan Kmicic, który już się ku Tomaszowowi posunął, wrócił na pierwszy odblask pożogi i kazał winnym wywieszać się wzajemnie. A tak już był opanował Akbah-Ułana, że ten nie tylko oporu nie stawiał, ale przynaglał skazanych, aby prędzej się wieszali, gdyż inaczej „bagadyr” będzie się gniewał. Odtąd „barankowie” szli spokojnie, zbijając się w najciaśniejsze kupy po wsiach i miasteczkach, aby na którego podejrzenie nie padło. I egzekucja, choć ją tak srodze przeprowadził Kmicic, nie wzbudziła nawet przeciw niemu niechęci ani nienawiści, takie już bowiem miał szczęście ów zabijaka, że zawsze podwładni tyle właśnie czuli dlań miłości, ile i strachu.

Prawda, że pan Andrzej nie dał i im krzywdy uczynić. Kraj był srodze przez niedawny napad Chmielnickiego i Szeremeta spustoszony, więc o żywność i paszę, jako na przednówku, było trudno, a mimo tego wszystko musiało być na czas i w bród, a w Krynicach, gdy mieszkańcy opór stawili i nie chcieli żadnej spyży dostarczyć, kazał ich kilku pan Andrzej siec batożkami, podstarościego zaś uderzeniem obuszka rozciągnął.

Ujęło to niezmiernie ordyńców, którzy słuchając z lubością wrzasków bitych kryniczan mówili pomiędzy sobą:

– Ej, sokół nasz Kmitah, nie da swoim barankom krzywdy uczynić!

Dość, że nie tylko nie pochudli, ale spaśli się jeszcze, ludzie i konie. Stary Ułan, któremu brzucha przybyło, spoglądał z coraz większym podziwem na junaka i językiem mlaskał.

– Gdyby mi syna Ałlach dał, chciałbym mieć takiego. Nie marłbym na starość z głodu w ułusie! – powtarzał.

Kmicic zaś od czasu do czasu uderzał go pięścią w brzuch i mówił:

– Słuchaj, wieprzu! Jeśli ci Szwedzi kałduna nie rozetną, to wszystkie spiżarnie w niego schowasz!

– Gdzie tu Szwedzi? Łyka nam pogniją, łuki popróchnieją – odpowiedział Ułan, któremu tęskno było za wojną.

Jakoż istotnie jechali naprzód takim krajem, do którego noga szwedzka dojść nie zdołała, dalej zaś takim, w którym były swego czasu przydia, ale już je konfederacja wyparła. Spotykali natomiast wszędzie mniejsze i większe kupy szlachty, ciągnące zbrojno w rozmaite strony, i nie mniejsze kupy chłopstwa, które nieraz zastępowały im groźnie drogę, a którym często trudno było wytłumaczyć, że mają do czynienia z przyjaciółmi i sługami króla polskiego.

Doszli wreszcie do Zamościa. Zdumieli się Tatarzy na widok tej potężnej fortecy, a cóż dopiero, gdy im powiedziano, że niedawno jeszcze wstrzymała ona całą potęgę Chmielnickiego.

Pan Jan Zamoyski, ordynat, pozwolił im na znak wielkiej przychylności i łaski wejść do miasta. Wpuszczono ich bramą Szczebrzeszyńską albo inaczej Ceglana, gdyż dwie inne były z kamienia. Sam Kmicic nie spodziewał się ujrzeć nic podobnego i nie mógł wyjść z podziwu na widok ulic szerokich, włoską modą pod linię równo budowanych, na widok wspaniałej kolegiaty i burs akademickich, zamku, murów, potężnych dział i wszelkiego rodzaju „opatrzenia”. Jako mało który z magnatów mógł się porównać z wnukiem wielkiego kanclerza, tak mało która forteca z Zamościem.

Lecz największy zachwyty ogarnął ordyńców, gdy ujrzeli ormiańską część miasta. Nozdrza ich chciwie wciągały woń safianu, którego wielkie fabryki prowadzili przemyślni przybysze z Kaffy, a oczy śmiały im się do bakalij, wschodnich kobierców, pasów, sadzonych szabel, kindżałów, luków, lamp tureckich i wszelkiego rodzaju kosztowności.

Sam pan cześnik koronny wielce przypadł do serca Kmicicowi. Było to prawdziwe królewiątko w swoim Zamościu: człek w sile wieku, wielce przystojny, chociaż nieco cherlawy, gdyż w lecjach pierwszej młodości nie dość upały natury hamował. Zawsze jednak lubił płęć białą, a zdrowie jego nie do tyła było nadwątlone, aby wesołość znikła mu z oblicza. Dotychczas nie ożenił się, a jakkolwiek najznamienitsze domy w Rzeczypospolitej otwierały mu szeroko podwoje, utrzymywał, że nie może dość gładkiej dziewczki w nich znaleźć. Znalazł ją później nieco, w osobie młodej panienci francuskiej, która, lubo w innym zakochana, oddała mu bez wahania dla jego bogactw swą rękę, nie przewidując, że ów pierwszy wzgardzony ozdobi kiedyś koroną królewską swoją i jej głowę.

Pan Zamościa nie odznaczał się bystrym dowcipem, jeno go miał tyle, co na własną potrzebę. O godności i urzędy nie zabiegał, chociaż same szły ku niemu, a gdy przyjaciele strofowali go, iż mu przyrodzonej ambicji braknie, odpowiadał:

– Nieprawda, że mi jej braknie, jeno mam więcej od tych, którzy się kłaniają. Po co mi dworskie progi wycierać? W Zamościu nie tylko ja Jan Zamoyski, ale Sobiepan Zamoyski.

Zwano go też powszechnie Sobiepanem, z którego przezwiska wielce był kontent. Rad też udawał prostaka, chociaż wychowanie odebrał wykwintne i młodość na podróżach po cudzych krajach spędził. Sam powiadał się zwyczajnym szlachcicem i dużo o mierności swego „staniku” mawiał, może dlatego, by mu inni zaprzeczali, a może, by mierności dowcipu nie spostrzegli. Zresztą był to człek zacny i lepszy syn Rzeczypospolitej od wielu innych.

A jako on przypadł do serca Kmicicowi, tak i Kmicic jemu, przeto też go na pokoje zamkowe zaprosił i gościł, bo i to lubił, by jego gościnność chwalono.

Pan Andrzej poznał w zamku wiele znamienitych osób, przede wszystkim zaś księżnę Gryzeldę Wiśniowiecką, siostrę pana Zamoyskiego, a wdowę po wielkim Jeremim, po panu swego czasu w Rzeczypospolitej prawie największym, który jednakowoż całą niezmierną fortunę w czasie inkursji kozackiej był utracił, tak iż księżna siedziała w Zamościu na łasce u brata Jana.

Lecz była to pani tak pełna wspaniałości, majestatu i cnoty, iż pierwszy pan Jan prochy przed nią zdmuchiwał, a przy tym bał się jej jak ognia. Nie było też wypadku, żeby woli jej zadość nie uczynił lub żeby się jej w ważniejszych wypadkach nie radził. Powiadali nawet dworscy, że księżna pani rządzi Zamościem, armią, skarbami i panem bratem starostą; lecz ona nie chciała korzystać ze swej przewagi, całą duszą oddana boleści po mężu i wychowaniu syna.

Syn ów właśnie był niedawno z dworu wiedeńskiego na krótki czas do kraju powrócił i bawił przy niej. Był to młodzieńczyk w wiosnie lat; lecz na próżno pan Kmicic szukał w nim tych znamion, które syn wielkiego Jeremiego nosić w obliczu powinien.

Postać młodego książątka była pełna wdzięku; twarz duża, nalana, wypukłe oczy patrzyły nieśmiało; usta miał grube, wilgotne, jak u ludzi skłonnych do uciech stołu; olbrzymie i czarne, jak skrzydło kruk, włosy spadały mu aż na ramiona. Wziął też po ojcu tylko owe krucze włosy i smagłość cery.

Ci, którzy mu byli bliżsi, upewniali jednak pana Kmicica, że młody książę ma duszę szlachetną, pojęcie niepospolite i znakomitą pamięć, dzięki której prawie wszystkimi językami rozmówić się może, i że tylko pewna ociężałość ciała i ducha oraz przyrodzone łakomstwo w jedzeniu stanowią wady tego niepospolitego skądinąd panięcia.

Jakoż, wdawszy się z nim w rozmowę, przekonał się pan Andrzej, że książę nie tylko ma pojętny dowcip i trafny sąd o wszystkim, ale i dar jednania sobie ludzi. Kmicic pokochał go po pierwszej rozmowie tym uczuciem, w którym jest najwięcej litości. Uczuł, że dałby wiele, by temu sierocie wrócić świetny los, jaki mu się prawem z urodzenia należał.

Lecz przekonał się także przy pierwszym obiedzie, iż prawdą było, co mówiono o łakomstwie Michała. Młody książę zdawał się nie myśleć o niczym więcej, tylko o jedzeniu. Wypukłe jego oczy śledziły niespokojnie każdą potrawę, a gdy mu przynoszono półmisek, nabierał ogromne kupy na talerz i jadł chciwie, z mlaskaniem wargami, jak tylko łakomcy jadają. Marmurowa twarz księżnej przyoblekła się na ów widok jeszcze większym smutkiem. Kmicicowi zaś stało się nieswojo tak dalece, że odwrócił oczy i spojrzął na pana Sobiepana Zamoyskiego.

Lecz pan starosta kałuski nie patrzył ani na księcia Michała, ani na swego gościa. Pan Kmicic poszedł za jego wzrokiem i poza ramieniem księżnej Gryzeldy ujrzał prawdziwie cudne zjawisko, którego nie zauważył dotąd.

Była to malutka główka dziewczęca, biała jak mleko, kraśna jak róża, a wdzięczna jak obrazek. Drobnuchne, same przez się wijące się loczki zdobiły jej czoło, bystre oczka strzygły ku oficerom siedzącym wedle pana starosty, nie pomijając i jego samego; wreszcie zatrzymały się na panu Kmicicu i patrzyły nań z uporem tak pełnym zalotności, jakby mu chciały w głąb serca zajrzeć.

Lecz Kmicic niełatwo się konfundował, więc jął zaraz patrzeć w te oczka zgoła zuchwale, a następnie trącił w bok siedzącego wedle pana Szurskiego, porucznika nadwornej pancерnej chorągwi ordynackiej, i spytał półgłosem:

– A co to za firka ogoniasta?

– Mości panie – odrzekł ostro pan Szurski – nie mów lekce, kiedy nie wiesz, o kim mówisz... Nie żadna to firka, jeno panna Anna Borzobohata-Krasieńska... I waćpan inaczej jej nie zwij, jeśli nie chcesz swojej *grubianitatis* żałować!

– Aspan chyba nie wiesz, że firka to taki ptak, i bardzo wdzięczny, dlatego żadnego też w tym przewisku kontemtu nie masz – odparł śmiejąc się Kmicic – ale miarkując z waszmościnej cholery, srodze musisz być zakochany!

– A kto tu nie zakochany? – mruknął opryskliwie Szurski. – Sam pan starosta ledwie oczu nie wypatrzy i jako na szydle siedzi.

– Widzę to, widzę!

– Co tam waćpan widzisz!... On, ja, Grabowski, Stołągiewicz, Konojadzki, Rubecki z dragonii, Pieczynga, wszystkich pograżyła... I z waćpanem stanie się to samo, jeżeli tu długo posiedzisz... Jej dwudziestu czterech godzin dosyć!

– Ej, panie bracie! Nie dałaby i we dwadzieścia cztery miesiące rady!

– Jakże to? – pytał z oburzeniem pan Szurski – toś wać ze spiżu czy co?

– Nie! Jeno gdy kto waćpanu ostatniego talara z kieszeni ukradnie, to się już nie potrzebujesz bać złodzieja...

– Chyba że tak! – odrzekł Szurski.

Pan Kmicic zaś sposepniał nagle, bo mu własne zgryzoty na myśl przyszły, i nie zważał więcej, że czarne oczka coraz to uporczywiej w niego patrzyły, jak gdyby pytając: Jak się nazywasz i skąd się wzięłeś, młody rycerzu?

A Szurski mruczał:

– Wierci, wierci!... Wierciła tak i we mnie, póki do serca nie dowierciła... Teraz ani dba!

Kmicic otrząsnął się z zamyślenia.

– Czemu się który z was nie żeni, u kaduka!

– Bo jeden drugiemu przeszkadza!

– Ba, to dziewczka gotowa osiąść na koszu... Choć, co prawda, jeszcze w tej gruszce białe ziarnka być muszą.

Na to Szurski wytrzeszczył oczy i pochyliwszy się do ucha Kmicica rzekł wielce tajemniczo:

– Mówią, że jej dwadzieścia pięć lat, jak Boga kocham! Jeszcze przed inkursją hultajską była u księżnej Gryzeldy.

– Dziw nad dziwy, nie dałbym jej nad szesnaście, niechby ośmnaście, najwyżej!

Tymczasem „licho” domyśliło się widocznie, że o nim mowa, bo oczki jarzące nakryło powiekami i jeno boczkim trochę strzelało ku Kmicicowi, pytając ciągle: Ktoś jest, taki urodziwy? skąd się wziął?

A on mimo woli począł pokręcać wąsa.

Po obiedzie wziął go pod ramię pan starosta kałuski, który, z uwagi na dworne maniery Kmicica, traktował go jak niepowszedniego gościa.

– Panie Babinicz – rzekł – wszakże waszmość mówiłeś mi, żeś z Litwy?

– Tak jest, panie starosto.

– Powiedźże mi, zali nie znasz na Litwie Podbipiętów?

– Znać nie znam, bo też już ich na świecie nie masz, przynajmniej tych, którzy się Zerwikapturem pieczętowali. Ostatni pod Zbarażem poległ. Był to największy rycerz, jakiego Litwa wydała. Kto u nas o Podbipiętach nie wie!

– Słyszałem i ja o tym, ale owo dlaczego pytam: jest na respekcie u siostry mojej jedna panna, która się Borzobohata-Krasieńska nazywa... Ród zacny!... Była ona narzeczoną tego Podbipięty, który zabit pod Zbarażem... Sierota to, bez ojca i matki, a chociaż siostra księżna wielce ją miłuje, przecie ja, przyrodnym opiekunem siostry będąc, tym samym mam i onę dziewczynę w opiece.

– Miłaż to opieka! – wtrącił Kmicic.

Pan starosta kałuski uśmiechnął się, mrugnął oczyma i mlasnął językiem.

– Co? marcepanik! co?...

Lecz wnet spostrzegłszy, iż się zdradza, przybrał twarz poważną.

– Zdrajco! – rzekł pół żartem, a pół serio – chciałeś mnie na hak przywieść, ledwim się nie wygadał!...

– Z czym? – pyta pan Kmicic patrząc mu bystro w oczy.

Tu Sobiepan ostatecznie zmiarkował, że lotnością dowcipu gościowi nie sprosta, i zaraz rzecz obrócił.

– Ten Podbipięta – rzekł – zapisał jej jakoweś folwarki tam, w waszych stronach. Nazwisk nie pamiętam, bo cudaczne: jakieś Bałtupie, Syruciany, Myszykiszki, słowem, wszystko, co miał. Dalibóg, nie pamiętam... Pięć czy sześć folwarków.

– Ba! klucze to raczej, nie folwarki. Podbipięta był człek wielce możny i gdyby ta panna do całej jego fortuny kiedyś doszła, mogłaby mieć własny fraucymer i między senatorami męża szukać.

– Także powiadasz? – Znasz owe wioski?

– Znam jeno Lubowicze i Szeputy, bo te koło mojej majątności leżą. Samej leśnej granicy będzie mil ze dwie, a polnej i łącznej drugie tyle.

– Gdzież to jest?

– W Witebskiem.

– Oj, daleko! niewarta ta sprawa zachodu, ile że tamte kraje pod nieprzyjacielem.

– Jak nieprzyjaciół wyżeniem, to do majątności dojdziem. Ale Podbipiętowie mają swoje majątności i w innych stronach, a na Żmudzi bardzo znaczne, wiem o tym dobrze, bo mam też i tam kawał ziemi.

– Widzę, że i waszmościna substancja nie torba sieczki?

– Nic to teraz nie przynosi. Ale cudzego mi nie trzeba.

– Poradźże mi waszmość, jak by dziewczynę na nogi postawić?

Kmicic rozśmiał się.

– Wolę o tym radzić niż o czym innym. Najlepiej do pana Sapiehy się udać. Byle sprawę wziął do serca, to jako wojewoda witebski i najznamienitsza na Litwie persona, siła mógłby wskórać.

– Mógłby awizy do trybunałów rozesłać, że to testamentem Borzobohatej zapisano, aby dalsi krewni nie szarpali.

– Tak jest. Ale trybunałów teraz nie masz, a pan Sapieha co innego też ma na głowie.  
– Można by dziewczynę w ręce mu i w opiekę oddać. Mając na oczach, prędzej by dla niej co uczynił.

Kmicic spojrział ze zdziwieniem na pana starostę.

„Co on w tym ma, że się chce jej stąd pozbyć?” – pomyślał.

Starosta zaś mówił dalej:

– Trudno, aby w obozie w namiocie pana wojewody witebskiego mieszkała, ale mogłaby przy córkach wojewodzińskich zostawać.

„Nie rozumiem! – pomyślał Kmicic – zaliby on naprawdę chciał jej być tylko opiekunem?”

– W tym jeno trudność, jak by ją w tamte strony w dzisiejszych niespokojnych czasach wysłać. Trzeba by z kilkaset ludzi, a ja Zamościa ogałacać nie mogę. Gdybym to znalazł kogo, co by ją w bezpieczeństwie dowiózł... Ot, waćpan mógłbyś się podjąć, bo i tak do pana Sapiehy idziesz. Dałbym ci listy... a waćpan dałbyś mi kawalerski parol, że ją bezpiecznie doprowadzisz.

– Ja mam ją do pana Sapiehy prowadzić? – rzekł ze zdumieniem Kmicic.

– Alboż ta taka funkcja niemiła?... Choćby też i do afektu po drodze przyszło?

– Ehe! – rzekł Kmicic – już tam moje afekta kto inny dzierżawi, a choć tenuty mi nie płaci, przecie dzierżawcy zmieniać nie myślę.

– Tym lepiej, z tym większą spokojnością ci ją powierzę.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Co? podjąłbyś się? – spytał starosta.

– Z Tatarami idę.

– Powiadali mi ludzie, że się Tatarzy waćpana gorzej ognia boją. No, co? podjąłbyś się?

– Hm! dlaczego by nie, gdybym waszą wielmożność miał tym zobowiązać... Jeno...

– Aha! myślisz, że trzeba, aby księżna permisję dała... Da! jak mi Bóg miły! Bo imaginuj sobie, że ona mnie posądza...

Tu pan starosta począł coś długo szeptać do ucha Kmicicowi, wreszcie dodał głośno:

– Okrutnie była za to na mnie krzywa, a ja uszy kładłem po sobie, bo to z babami wojować! at! wołałbym Szwedów pod Zamościem. Ale będzie miała najlepszy dowód, że nic złego nie zamyślam, skoro sam dziewczkę chcę stąd wyprawić. Srodze się zdziwi, prawda... No! przy pierwszej sposobności o tym z nią pogadam.

To rzekłszy starosta zakręcił się i odszedł, Kmicic zaś popatrzył za nim i mruknął:

– Wniki jakieś, panie starosto, zastawiasz, a choć celu nie rozumiem, przecie sidło widzę do brze, bo i wnicznik z ciebie okrutnie niezgrabny.

Pan starosta zaś kontent był z siebie, chociaż dobrze to pojmował, że połowa dopiero roboty została dokonana, a pozostawała druga, tak trudna, że na myśl o niej ogarniało go zwątpienie, a nawet i strach: po prostu należało uzyskać pozwolenie księżnej Gryzeldy, której surowości i przenikliwego rozumu bał się pan starosta z całej duszy.

Jednak począwszy, pragnął jak najprędzej doprowadzić dzieło do skutku, nazajutrz więc rano, po mszy, po śniadaniu i po przeglądzie najemnej piechoty niemieckiej udał się na pokoje księżnej.

Zastał samą panią haftującą ornat do kolegiaty. Za nią Anusia zwijała rozwieszony na dwóch krzesłach jedwab; drugi motek koloru różanego założyła na szyję i migając szybko rączkami, biegła naokoło krzesła, goniąc odwijającą się nitkę.

Panu staroście pojaśniały oczy na jej widok, ale prędko przybrał oblicze w powagę i przywitawszy się z księżną, tak niby od niechcenia zaczął:

– Ten pan Babinicz, co tu z Tatory przyjechał, to jest Litwin. Można jakiś człek i wielce grzeczny, a rycerz podobno zawołany. Zauważyłaś go, pani siostrze?

– Samżeś go do mnie przyprowadzał – odrzekła obojętnie księżna Gryzelda. – Uczciwą ma twarz i na dobrego żołnierza wygląda.

– Rozpytywałem się go też o owe majątności, pannie Borzobohatej zapisane. Powiada, że to fortuna niemal radziwiłłowskiej równa.

– Daj Boże Anusi. Lżejsze jej będzie sieroctwo, a potem starość – rzekła pani.

– Jest jeno to *periculum*, żeby dalsi krewni nie rozdrapali. Babinicz powiada, że wojewoda witebski mógłby, gdyby chciał, tym się zająć. Zaczny to człek i nam wielce życzliwy, któremu bym córkę własną powierzył... Dość, by mu awizę do trybunału posłać i opiekę oznajmić. Ale Babinicz powiada, iż na to potrzeba, aby panna Anna sama pojechała w tamte strony.

– Dokąd? do pana Sapiehy?

– Albo do pańien Sapieżanek, aby tam była, aby instalacja *pro forma* mogła być uczyniona.

Starosta zmyślił w tej chwili „instalację *pro forma*”, słusznie mniemając, że księżna przyjmie tę fałszywą monetę za dobrą.

Ona zaś pomyślała przez chwilę i rzekła:

– Jakże jej tu teraz jechać, gdy Szwedzi po drodze?

– Mam właśnie wiadomość, że z Lublina ustąpili. Cały kraj z tej strony Wisły wolny.

– I któż by to Hankę do pana Sapiehy odprowadził?

– Choćby ten sam Babinicz.

– Z Tatarami? Bójże się Boga, panie bracie, toż to lud dziki i niesforny.

– Ja się tam nie boję – wtrąciła dygając Anusia.

Lecz księżna Gryzelda zamiarkowała już, że pan brat przyszedł z jakimś gotowym planem, więc wyprawiła Anusię z pokoju, sama zaś poczęła spoglądać pytającym wzrokiem na pana starostę.

On zaś rzekł jakby do siebie samego:

– Ordyńcy ci w proch się przed Babiniczem rozsypują. Wiesza ich za lada niesubordynację.

– Nie mogę na taką ekspedycję pozwolić – odpowiedziała księżna. – Dziewczyna jest zacna, ale bałamutna, i łatwo w ludziach zapalę budzi... Sam to wiesz najlepiej. Nigdy bym jej nie powierzyła człeku młodemu i nieznanemu.

– Nieznany on tam nie jest, bo kto o Babiniczach nie słyszał jako o familiantach i statecznych ludziach! (pierwszy pan starosta nigdy w życiu o Babiniczach nie słyszał)... Zresztą – mówić dalej – mogłabyś jej którą ze statecznych niewiast do kompanii dodać, to i *decorum* byłoby zachowane. Za Babinicza ja ręczę. Powiem ci i to, pani siostrze, że ma on w tamtych stronach narzeczoną, w której srodze jest, jak sam powiada, zakochany... A kto zakochany, temu co innego w głowie. Grunt w tym, że taka druga sposobność nieprędko może się trafić; natomiast może fortuna dziewczę przepaść i na dojrzałe lata zostanie bez dachu nad głową.

Księżna przestała haftować, podniosła głowę i utkwiała w bracie przenikliwie oczy.

– Co ty masz w tym, żeby ją stąd wyprawić?

– Co ja mam w tym? – mówił spuszczać wzrok pan starosta – co mogę mieć? nic!

– Janie!... tyś się z Babiniczem zmówił na jej cnotę?!

– Ot, jest! Jak mi Bóg miły! tego tylko brakło! Przeczytasz tedy list, który do pana Sapiehy napiszę, i własny dodasz... A jać jeno przyrzekam, iż się z Zamościa nie ruszę. Wreszcie sama Babinicza wybadasz i sama go prosić będziesz, aby się funkcji podjął. Skoro mnie posądzasz, to nie chcę o niczym wiedzieć.

– Czemu zaś tak nastajesz, by ona wyjechała z Zamościa?

– Bo jej dobra pragnę i o fortunę niezmierną chodzi. Wreszcie... przyznaję! Siła mi na tym zależy, aby ona z Zamościa wyjechała. Oto sprzykrzyły mi się twoje posądzenia, nie w smak i to, że na mnie ustawnie brwi marszczysz i surowie spoglądasz... Myślałem, że przyzwalając na odjazd dziewczyny znajdę najlepsze *argumentum* przeciw podejrzeniom. Dalibóg, dość mi tego! bom też nie żaden żak ani mydłek, który się nocą pod okna skrada... Powiem ci więcej: oficerowie mi się przez nią jeden na drugiego burzą i szablami na się trzaskają. Ni zgody, ni porządku, ni służby, jak należy. Dość mi tego! Ale skoro jeszcze oczyma we mnie świdrujesz, to rób, jak chcesz, a Michała sama pilnuj, bo to twoja, nie moja sprawa.

– Michała? – rzekła ze zdumieniem księżna.

– Ja przeciw dziewczynie nic nie mówię... Nie bałamuci go więcej niż innych, ale jeżeli ty, pani siostrze, nie widzisz jego strzelistych spojrzeń i gorących afektów, to ci jeno to powiem, że Kupido tak nie zaślepią jak macierzyńska miłość.

Brwi księżnej ściągnęły się, a lica jej przybladły.

Starosta zaś widząc, że wreszcie utrafił, uderzył się rękoma po kolanach i mówił dalej:

– Ot, tak! pani siostrze, ot, tak!... Co mnie do tego. Niechże jej Michałek jedwab do zwijania podaje, niech parska patrząc na nią, niech się płoni, niech przez dziurki we drzwiach na nią spogląda!... A mnie co!... Wreszcie... bo ja wiem! Fortuna piękna... ród, no! szlachecki, a ja się tam nad szlachtę nie wynoszę. Chcesz sama, dobrze! Lata jeno ponoś niedobrane, ale to znów nie moja rzecz.

To rzekłszy pan starosta powstał i skłoniwszy się siostrze bardzo uprzejmie, zabierał się do odejścia.

Księżnej tymczasem krew napłynęła do twarzy. Dumna pani w całej Rzeczypospolitej nie widziała partii godnej Wiśniowieckiego, a za granicą chyba między arcyksiężniczkami austriackimi, więc też słowa brata przypiekły ją jakby rozpalonym żelazem.

– Janie! – rzekła – czekaj!

– Pani siostrze – odrzekł starosta kałuski – chciałem, *primo*: złożyć ci dowód, iż niesłusznie mnie posądzasz, *secundo*: iż powinnaś kogo innego pilnować. Teraz uczynisz, jak zechcesz, jać nie mam więcej nic do gadania.

Tu pan Zamoyski skłonił się i wyszedł.

## ROZDZIAŁ XXXV

Pan starosta kałuski niezupełnie kłamał przed siostrą, mówiąc o afektach Michałowych dla Anusi, gdyż młode ksiąźatko kochało się w niej tak jak i wszyscy, nie wyłączając paziów dworskich. Ale była to miłość niezbyt gwałtowna i zgoła nieprzedsiębiorcza; raczej słodkie rozdurzenie głowy i zmysłów, nie poryw serca, które miłując, do wiecznego posiadania umiłowanego przedmiotu dąży. Do takiego dążenia nie miał Michał dość energii.

Niemniej księżna Gryzelda, marząc o świetnej przyszłości dla syna, przeraziła się mocno tym uczuciem.

W pierwszej chwili zdumiała ją nagła zgoda pana starosty na wyjazd Anusi; obecnie przestała o tym myśleć, tak dalece całą jej duszę zajęło grożące niebezpieczeństwo. Rozmowa z synem, który bladł i drżał przed nią, a wprzód, nim się do czego przyznał, już począł łzy wylewać, utwierdziła ją w mniemaniu, że bezpieczeństwo jest groźne.

Jednakże nie od razu przewyciężyła skrupuły sumienia i dopiero gdy Anusia, której chciało się nowy świat i nowych ludzi zobaczyć, a może i pobalamucić pięknego kawalera, przypadła jej do nóg z prośbą o pozwolenie, księżna nie znalazła dość siły, by go jej odmówić.

Anusia zalewała się wprawdzie łzami na myśl rozłąki ze swą panią i matką, ale dla sprytniej dziewczyny było zupełnie jasne, że prosząco rozłąkę oddała tym samym od siebie wszelkie podejrzenia, jakoby w jakichś z góry powziętych celach bałamuciła młode ksiąźatko lub też samego pana starostę.

Księżna Gryzelda chcąc się przekonać, czy nie ma jakiej zmowy między bratem starostą a Kmicicem, kazała temu ostatniemu stawić się przed sobą. Przyrzeczenie pana starosty, że nie ruszy się z Zamościa, uspokoiło ją wprawdzie znacznie, chciała jednak poznać bliżej człowieka, który miał dziewczynę przeprowadzać.

Rozmowa z Kmicicem uspokoiła ją zupełnie.

Młodemu szlachcicowi patrzyła z siwych oczu taka szczerłość i prawda, że niepodobna było o niej wątpić. Przyznał się od razu, że w innej zakochany i przeto do bałamuctwa nie ma ni chęci, ni głowy. Wreszcie dał parol kawalerski, iż dziewczynę obroni przed wszelką przygodą, chyba sam pierwszej głową nałożył.

– Do pana Sapięhy ją odwiozę bezpiecznie, gdyż starosta powiadał, że nieprzyjaciel z Lublina ustąpił... Ale potem nie chcę nic o niej wiedzieć... I nie dlatego, abym powolnych służb dla waszej ksiąźęcej mości miał się wzdragać, bo dla wdowy po największym wojowniku i chwale całego narodu gotowem zawsze krew przelać... Ale że mam tam swoje ciężkie sprawy, z których nie wiem, czyli skórę całą wyniosę.

– Nie chodzi też o nic więcej – odrzekła księżna – jeno byś ją do pana Sapiężyńskich rąk oddał, a pan wojewoda uczyni to dla mnie, iż dalszej nad nią opieki nie odmówi.

Tu wyciągnęła mu rękę, którą on ze czcią największą ucałował; ona zaś rzekła jemu na pożegnanie:

– Czuwaj, panie kawalerze, czuwaj! I tym się nie ubezpieczaj, że kraj od nieprzyjaciela wolny.

Ostatnie słowa zastanowiły Kmicica, lecz nie miał czasu nad nimi rozmyślać, bo wkrótce ułupił go pan starosta.

– Cóż, mości rycerzu – rzekł wesoło – największą ozdobę z Zamościa mi wywozisz?

– Ale z wolą pańską – odpowiedział Kmicic.

– Pilnujże jej dobrze. Łakomy to specjał! Gotów ci ją kto odbić!

– A niech jeno popróbuje! O wa! Dałem parol kawalerski księżnej pani, a u mnie parol święta rzecz!

– No! na śmiech jeno mówię... Nie potrzebujesz się bać ani ostrożności nadzwyczajnych przedsiębrać.



– A taki poproszę jaśnie wielmożnego pana o jakąś kolaskę zamykaną i blachami opatrzoną.

– Dam ci i dwie... Ale przecież zaraz nie jedziesz?

– Bogać! Pilno mi! I tak tu za długo siedzę.

– To wypraw swoich Tatarów naprzód do Krasnegostawu. Ja ze swej strony pchnę gońca, aby tam obroki były dla nich gotowe, a tobie eskortę własną aż do Krasnegostawu dam. Nic cię tu spotkać złego nie może, bo to kraj mój... Dam ci dobrych pachołków z niemieckiej dragonii, ludzi śmiałych i dróg świadomych... Zresztą, do Krasnegostawu trakt jak sierpem rzucił.

– A czemu to mam się sam ostawać?

– Abyś się z nami dłużej zabawił, miłym mi jesteś gościem i rad bym waćpana choćby cały rok zatrzymać. A przy tym posłałem po stada do Perespy, może się jakowyś bachmacik dla waćpana wybierze, który cię w potrzebie nie zawiedzie, wierzaj!...

Kmicic spojrział bystro w oczy staroście, potem, jakby powziąwszy nagłe postanowienie, rzekł:

– Dziękuję i ostaję, a Tatarów naprzód wyprawię.

I poszedł zaraz wydać im rozkazy, a wziąwszy na stronę Akbaha-Ułana, tak mówił:

– Akbah-Ułanie. Macie iść naprzód do Krasnegostawu, prostym traktem, jakoby kto sierpem rzucił. Ja tu ostaję i w dzień po was ruszę mając starościńską eskortę. Słuchajże teraz, co ci powiem: oto mi do Krasnegostawu nie pójdziecie, jeno mi w pierwszych lasach niedaleko za Zamościem przypadnij tak, aby żywa dusza o was nie wiedziała; a gdy wystrzał na gościńcu usłyszycie, to do mnie, bo mi tu chcą jakąś nieszczerą wyrządzić.

– Twoja wola! – odrzekł Akbah-Ułan przykładając dłoń do czoła, ust i piersi.

„Przejrzałem cię, panie starosto! – rzekł do siebie Kmicic. – W Zamościu siostry się boisz, więc chcesz dziewczynę porwać i gdzieś w pobliżu osadzić, a ze mnie *instrumentum* swych żądz uczynić, a kto wie, czy i gardła nie wziąć. Czekajże! Trafiłeś na lepszego od się... I sam się we własny potrzask uchwycisz.”

Wieczorem porucznik Szurski zastukał do drzwi Kmicica. Oficer także coś wiedział, czegoś się domyślał, a że Anusie miłował, wołał więc, by odjechała, niż żeby w moc pana starosty wpadła. Jednakże mówić otwarcie nie śmiał, a może także nie miał pewności; dziwił się więc tylko, iż Kmicic zgodził się na wysłanie przodem Tatarów; zaręczał, że drogi nie są tak bezpieczne, jako mówią, że wszędy włóczą się kupy zbrojne i do gwałtownych uczynków skore.

Lecz pan Andrzej postanowił udawać, że niczego się nie domyśla.

– Co mnie może spotkać? – mówił – przecie pan starosta kałuski daje mi własną eskortę!

– Ba! Niemców!

– Zali to niepewni ludzie?

– Tym psubratom nigdy ufać nie można. Bywało, że zmówiwszy się w drodze, do nieprzyjaciół zbiegali...

– Szwedów przecie nie ma z tej strony Wisły.

– Są, psiajuchy, w Lublinie! Nieprawda, że wyszli. Szczerze waszmości radzę, nie wyprawiaj naprzód Tatarów, bo w większej kupie zawsze bezpieczniej.

– Szkoda, żeś mi waćpan wprzód tego nie mówił. Jeden mam język w gębie i raz danego rozkazu nie cofam.

Jakoż nazajutrz Tatarzy ruszyli naprzód. Kmicic miał zaś jechać pod wieczór, tak aby na pierwszy nocleg stanąć w Krasnymstawie. Tymczasem wręczono mu dwa listy do pana Sapiehy: jeden od księżnej, drugi od pana starosty.

Kmicic miał wielką ochotę otworzyć ten ostatni, jednak nie śmiał, natomiast przejrzawszy go pod światło, przekonał się, że w środku jest czysty papier. Odkrycie to upewniło go ostatecznie, że i dziewczyna, i listy mają mu być w drodze odebrane.

Tymczasem przyszło stado z Perespy i pan starosta obdarzył młodego rycerza nad podziw pięknym bachmacikiem, którego on z wdzięcznością przyjął myśląc sobie w duszy, że dalej na

nim zajedzie, niż się pan starosta spodziewa. Myślał także o swoich Tatarach, którzy już musieli w lasach zapaść, i śmiech pusty go brał. Chwilami znów burzył się w duszy i obiecywał sobie dać panu staroście dobrą naukę.

Nadszedł wreszcie czas obiadu, który upłynął bardzo posepnie. Anusia miała czerwone oczy; oficerowie milczeli głucho, jeden pan starosta był wesół i kazał dolewać w kielichy, które Kmicic spełniał jeden za drugim. Lecz gdy nadeszła pora odjazdu, niewiele osób żegnało odjeżdżających, gdyż pan starosta powyprawiał oficerów po służbie.

Anusia padła do nóg księżnie i długo nie można jej było oderwać, sama zaś księżna miała w twarzy niepokój widoczny. Może i wyrzucała sobie po cichu, iż pozwoliła na odjazd wiernej służki, wśród takich czasów, w których nietrudno było o przygodę. Lecz głośny płacz Michała, który, trzymając pięści przy oczach, buczał jak żak szkolny, utwierdził dumną panią w przekonaniu, iż trzeba dalszym skutkom młodocianego afektu zapobiec. Wreszcie uspokajała się i tą nadzieją, że w rodzinie sapieżyńskiej znajdzie dziewczyna opiekę, bezpieczeństwo i wreszcie ową wielką fortunę mającą jej los na resztę życia zabezpieczyć.

– Waścinej cnocie, męstwu i honorowi ją powierzam – rzekła raz jeszcze księżna do Kmicica – a waćpan pamiętaj, iżeś mi zaprzysiągł, jako ją bez szwanku do pana Sapiehy odprowadzisz.

– Jako szkło będę wiózł, a w potrzebie pakułami obwinę, zem zaś parol dał, to chyba śmierć mi go dochować przeszkodzi – odrzekł rycerz.

I podał ramię Anusi, ona zaś zła była na niego, bo wcale na nią nie patrzył i dość lekko traktował, więc podała mu rękę bardzo dumnie, odwracając wzrok i głowę w inną stronę.

Żal jej było odjeżdżać i strach ją teraz brał, ale cofać się było już za późno.

Nadeszła chwila, siedli więc, ona do karetki ze starą sługą, panną Suwalską, on na koń i ruszyli. Dwunastu rajtarów niemieckich otaczało kolaskę i wóz z Anusinymi łubami. Gdy wreszcie skrzypnęły brony w Warszawskiej bramie i rozległ się turkot kół po zwodzonym moście, Anusia uderzyła w płacz głośny.

Kmicic pochylił się do kolaski.

– Nie bój się waćpanna, nie zjem cię!

„Grubian!” – pomyślała Anusia.

Jechali czas jakiś wedle domów leżących za murami wprost ku Staremu Zamościu, po czym wyjechali na pola i wjechali w bór, który w owych czasach ciągnął się pagórzystym krajem aż hen, do Bugu i za Bug z jednej strony, z drugiej szedł, przerywany wsiami, aż do Zawichosta.

Noc już zapadła, ale bardzo pogodna i widna, trakt znaczył się srebrnym szlakiem; ciszę przerywał tylko hurkot karetki i tętent koni rajtarskich.

„Tu już moi Tatarowie muszą tkwić w gąszczach jako wilcy” – pomyślał Kmicic.

Wtem nadstawił ucha.

– Co to? – zapytał oficera dowodzącego rajtarami.

– Słysząc tętent!... Jakiś jeździec pędzi w skok za nami! – odrzekł oficer.

Zaledwie skończył, dopadł na spienionym koniu Kozak wołając:

– Pan Babinicz! pan Babinicz! Pyśmo od pana starosty!

Orszak wstrzymał się. Kozak podał list panu Kmicicowi.

Kmicic rozłamał pieczęć i przy świetle latarni, umieszczonej przy koźle kolaski, czytał, co następuje:

„Mości, a mnie wielce miły, panie Babinicz! Wprędce po odjeździe panny Borzobohatej-Krasieńskiej doszła mnie wieść, iż Szwedzi nie tylko nie ustąpili z Lublina, ale na mój Zamość uderzyć zamierzają. Wobec tego dalsza droga i peregrynacja stają się niepodobne. Zważywszy więc owe *pericula*, na jakie białogłowa narażona by być mogła, chcemy pannę Borzobohatą mieć z powrotem w Zamościu. Ciż sami rajtarowie ją odwiozą, waćpana zaś, któremu w dalszą drogę musi być pilno, na próżno *fatigare* nie chcemy. Którą wolę naszą oznajmując waszej mości, prosimy, abyś rajtaram wedle naszych chęci rozkazy wydać zechciał.”

„Przecie jest w nim tyle uczciwości, że na głowę moją nie nastaje, jeno mnie na dudka chce wystrychnąć – pomyślał Kmicic. – Wraz się też okaże jawnie, czy jest w tym zasadzka, czyli jej nie ma.”

Tymczasem Anusia wysadziła głowę przez okno.

– A co tam? – spytała.

– Nic! pan starosta kałuski jeszcze raz waćpannę mojemu męstwu poleca. Nic więcej.

Tu zwrócił się do woźnicy i rajtarów:

– Jazda! Lecz oficer dowodzący rajtarami osadził konia.

– Stój! – krzyknął na woźnicę.

Po czym do Kmicica:

– Jak to „jazda”?

– A po co dłużej w lesie stać? – spytał z głupia frant Kmicic.

– Bo wasza mość odebrałeś jakowys rozkaz.

– A waści co do tego! Odebrałem i właśnie dlatego rozkazuję: jazda!

– Stój! – zawołał oficer.

– Jazda! – powtórzył Kmicic.

– Co tam? – spytała znów Anusia.

– Nie pojedziem ni kroku dalej, nim rozkazu nie obaczę! – rzekł stanowczo oficer.

– Rozkazu nie obaczysz, bo nie tobie go przysłano!

– Skoro waszmość słuchać go nie chcesz, to ja go wykonam... Ruszajże sobie tedy waszmość z Bogiem do Krasnegostawu i bacz, ażebyśmy czego nie przyłożyli na drogę, a my z panną wracamy.

Pan Kmicic tego tylko chciał, aby oficer wyznał, iż wie, co jest w rozkazie; okazało się bowiem z tego z zupełną pewnością, że cała sprawa jest z góry ułożonym podstępem.

– Ruszaj z Bogiem! – powtórzył groźnie już oficer.

I w tej chwili rajтары powydobywali bez komendy szable z pochew.

– O takie syny! nie do Zamościa chcielibyście dziewczkę wieźć, jeno gdzieś na uboczu osadzić, aby starosta swobodnie żądzom swym cugle mógł popuszczać. Aleście na mądrzejszego trafili!

To rzekłszy wypalił w górę z pistoletu.

Na ów odgłos w głębiach lasu rozległ się wrzask straszliwy, jak gdyby wystrzał zbudził całe stada wilków śpiące w pobliżu. Wycie ozwało się z przodu, z tyłu, z boków, jednocześnie rozległ się tętent koni, chrupot gałęzi łamanych pod kopytami i na trakcie zaczerniały kupy jeźdźców, które się zbliżały z nieludzkim wyciem i piskiem.

– Jezus! Maria! Józef! – wołały przerażone niewiasty w kolasce.

Tymczasem Tatarzy dopadli chmurą, lecz Kmicic wstrzymał ich trzykrotnym okrzykiem, sam zaś zwrócił się do przerażonego oficera i chełpić się począł:

– Poznaj, na kogoś trafił... Pan starosta na dudka chciał mnie wystrychnąć, ślepe *instrumentum* ze mnie uczynić... A tobie rajfurską funkcję powierzył, której się dla łaski pańskiej podjąłeś, panie oficyerze. Kłaniajże się od Babinicza panu staroście i powiedz mu, że dziewczka dojedzie bezpiecznie do pana Sapiehy!

Oficer potoczył naokoło przelękłym wzrokiem i ujrzał dzikie twarze patrzące ze straszliwym łakomstwem na niego i na rajtarów. Znać było, że czekają tylko jednego wyrazu, ażeby rzucić się na nich i porozrywać w sztuki.

– Wasza miłość uczyni, co zechce, bo z przemocą nie wskóramy – odrzekł drżącym głosem – ale pan starosta potrafi się pomścić.

Kmicic rozśmiał się.

– Niechże na tobie się mści, bo gdyby nie to, żeś się zdradził, gdybyś nie okazał, że wiesz z góry, co jest w rozkazie, i nie przeciwiał się dalszej jeździe, to byś mnie nie przekonał o zasadzce i dziewczkę zaraz bym w Krasnostawie oddał. Powiedzże i to panu staroście, by mądrzejszych od cię rajfurami swymi kreował.

Spokojny ton, z jakim pan Kmicic to mówił, upewnił nieco oficera, przynajmniej pod tym względem, iż ani jemu, ani rajtarom śmierć nie grozi, więc odetchnął lżej i rzekł:

– Mamyż z niczym wracać do Zamościa?

A Kmicic:

– Z niczym nie wrócić, bo wrócić z pismem moim, które każdemu z was na skórze każę wypisać.

– Wasza miłość...

– Bierz ich! – krzyknął Kmicic.

I sam zaraz ucapił za kark oficera.

Rozpoczęła się zawierucha i kotłowanina naokół kolaski. Wrzask Tatarów stłumił wołanie o pomoc i krzyki przerażenia wydobywające się z piersi niewiast.

Lecz szamotanie niedługo trwało, gdyż w dwa pacierze później rajtarowie leżeli już na tracie powiązani jeden obok drugiego.

Teraz Kmicic rozkazał siec ich batożkami z byczego surowca, lecz nie nad miarę, ażeby wrócić mogli piechotą do Zamościa. Otrzymali więc prości żołnierze po sto, a oficer sto pięćdziesiąt plag, pomimo próśb i zaklęć Anusi, która nie rozumiejąc, co się wokoło niej dzieje, sądziła, że w straszliwe jakieś ręce wpadła, i składając dłonie, błagała ze łzami w oczach o życie.

– Daruj, rycerzu!... Com ja ci winna?... Daruj! Oszczędź!...

– Cicho panna bądź! – huknął Kmicic.

– Com ci zawiniła?

– Możeś i sama w znowie!...

– W jakiej znowie? Boże, bądź miłościw mnie grzesznej!...

– To waćpanna nie wiesz, że pan starosta pozornie jeno na wyjazd waćpanny dozwolił, aby cię od księżnej odłączyć, a w drodze porwać, i aby w jakimś pustym zameczku na cnotę twoją nastawać!

– Jezusie Nazareński! – krzyknęła Anusia.

I tyle było w tym okrzyku prawdy i szczerości, iż Kmicic rzekł łagodniej:

– Jakże? Toś waćpanna nie w znowie?... Może to być!

Anusia zakryła twarz rękoma, lecz nie mogła nic mówić, jeno powtarzała raz po raz:

– Jezus, Mario! Jezus, Mario!

– Uspokój się panna – rzekł jeszcze łagodniej pan Kmicic. – Pojedziesz bezpiecznie do pana Sapiehy, bo tego pan starosta nie wyliczył, z kim ma sprawę... Ot, ci ludzie, których tam sieką, mieli cię porwać... Daruję ich zdrowiem, aby mogli panu staroście opowiedzieć, jako im gładko poszło.

– To waćpan mnie od hańby obronił?

– Tak jest! chociażem nie wiedział, czy rada będziesz,

Anusia, zamiast odpowiadać lub zaprzeczać, chwyciła nagle pana Andrzeja za rękę i przycisnęła ją do swych bledziuchnych ust.

A po nim skry przeszły od nóg do głowy.

– Daj panna spokój, dla Boga! Co to znowu!.. – krzyknął. – Siadaj panna do kolaski, bo nożyny przemocysz... A nie bój się!... U matki nie byłoby ci przepieczniej...

– Pojadę teraz z waćpanem choćby na koniec świata!

– Waćpanna takich rzeczy nie powiadaj!

– Bóg cię nagrodzi, żeś cnoty bronil!

– Pierwszy raz mi się sposobność trafiła – odrzekł Kmicic.

A ciszej mruknął sam do siebie:

– Tylem jej dotąd bronil, ile kot napłakał!

Lecz tymczasem ordyńcy przestali batożyć rajtarów, kazał ich więc pan Andrzej pognać nagich i pokrwawionych traktem do Zamościa. Poszli łzy rzewne wylewając. Konie, broń i odzież darował Kmicic swoim Tatarom i ruszyli szybko naprzód, bo niebezpiecznie było zwłóczyć.

Przez drogę nie mógł się młody rycerz powstrzymać od chęci zaglądania do kolaski, a raczej od spoglądania w bystre oczka i cudne lica dziewczyny. Pytał też za każdym razem, czy jej czego nie trzeba, czy kolaska wygodna i czy zbyt szybka jazda nie nuży.

Ona odpowiadała mu zatem wdzięcznie, że jej tak dobrze, jako nigdy nie bywało. Ochłonęła już ze strachu zupełnie. Serce wezbrało jej ufnością do obrońcy. W duszy zaś myślała:

„Nie tak nieużyty ani taki grubian, jakom z początku mniemała!”

– Ej, Oleńka, co ja dla ciebie cierpię! – mówił sobie Kmicic – zali mnie niewdzięcznością nakarmisz?... Żeby tak w dawnych czasach... u, ha!...

Tu kompanionowie przyszli mu na myśl i różne swawole, których się na spółkę z nimi dopuszczał, więc chcąc odegnać pokusy, począł za ich nieszczęsne dusze odmawiać „Wieczny odpoczynek”.

Przybywszy do Krasnegostawu, uznał pan Kmicic, że lepiej na wieści z Zamościa nie czekać, i zaraz ruszył w dalszą drogę. Wszelako na odjezdnym napisał i przesłał panu staroście list następujący:

„Jaśnie Wielmożny Panie Starosto, a mnie wielce miłościwy Łaskawco i Dobrodzieju!

Kogo Bóg wielkim na tym świecie uczynił, temu i dowcipu sporszą miarę namierzył. Poznałem to od razu, iżesz J. W. Pan jeno na próbę chciał mnie wystawić, przesyłając mi rozkaz wydania panny Borzobohatej-Krasieńskiej, a poznałem to tym lepiej, gdy rajtarowie owi zdradzili, iż tenor rozkazu wiedzą, chociażem im listu nie pokazywał i choć J. W. Pan piszesz mi, iż namysł dopiero po naszym wyjeździe przyszedł. Jako więc z jednej strony podziwiam tym bardziej przezorność pańską, tak z drugiej dla zupełnego uspokojenia troskliwego opiekuna, ponownie przyrzekam, iż nic mnie od spełnienia powierzonej mi funkcji odwieść nie zdoła. Ale że żołdakowie owi, źle widocznie intencję pańską rozumiejąc, wielkimi grubianami się okazali, a nawet zdrowiu memu grozili, mniemam przeto, iż utrafiłbym w myśl J. W. Pana, gdybym ich był obwiesić kazał. Czego żem nie uczynił, o przebaczenie J. W. Pana upraszam; wszelako batożkami kazałem ich przystojnie ociąć, którą karę jeśli J. W. Pan za zbyt małą uznasz, wedle swej pańskiej woli moltiplikować możesz. Przy czym tusząc, iżem na większą ufność i wdzięczność J. W. Pana zarobił, piszę się wiernym i życzliwym W. Pańskiej mości sługą – Babinicz.”

Dragoni, dowłókłszy się do Zamościa późną nocą, nie śmieli się na oczy panu staroście kałuskiemu pokazać, dowiedział się więc o całym zajściu dopiero z tego listu, który nazajutrz krasnostawski kozak przywiózł.

Przeczytawszy go pan starosta na trzy dni w swojej komnacie się zamknął, nikogo z dworzan, prócz pokojowców, którzy mu jeść nosili, do siebie nie puszczając. Słyszano też, iż kłął po francusku, co czynił tylko wówczas, gdy był w najwyższej pasji.

Powoli jednak uspokoiła się ta burza. Przez czwarty i piąty dzień bardzo był jeszcze pan starosta milczący; żuł coś w sobie i za wąż szarpał! aż dopiero w tydzień będąc już wcale wesołym i podpiwszy trochę przy stole, począł nagle wąż kręcić, nie szarpać, i ozwał się do księżnej Gryzeldy:

– Pani siostrze, wiesz, że mi nie brak przezorności... Wystawiłem też umyślnie parę dni temu na próbę owego szlachcica, który Anusię zabrał, i mogę cię upewnić, że ją wiernie do rąk pana Sapieżyńskich dowiezie.

I zdaje się, że już w miesiąc później zwrócił pan starosta serce gdzie indziej, a prócz tego był całkiem i sam przekonany, że co się stało, stało się z jego wolą i wiedzą.

## ROZDZIAŁ XXXVI

Województwo lubelskie w znacznej części, a podlaskie niemal zupełnie, było w ręku polskim, to jest konfederacji i sapieżyńskim. Ponieważ król szwedzki bawił ciągle w Prusach, gdzie za elektorem traktował, Szwedzi więc nie czując się bardzo na siłach wobec ogólnego powstania, które wzmagało się z każdą chwilą, nie śmieli się wychylać z miast i zamków, a mniej jeszcze przechodzić Wisłę, poza którą siły polskie były największe. Pracowano więc w owych dwóch województwach nad utworzeniem znacznego i porządnego wojska, które by się z regularnym szwedzkim żołnierzem mierzyć mogło. Po miastach powiatowych ćwiczone piechotę, a ponieważ chłopcy w ogóle chwycili za broń, zatem i ludzi nie brakło, trzeba było tylko ująć w kluby i w regularną komendę owe kupy niesforne, często dla własnego kraju niebezpieczne.

Zajmowali się tym rotmistrze powiatowi. Obok tego król wydał mnóstwo listów zapowiednich starym i doświadczonym żołnierzom, zaciągi szły więc we wszystkich ziemiach, a że ludzi wojennych w tych stronach nie brakło, tworzyły się więc chorągwie jazdy bardzo doskonałej. Jedne szły za Wisłę, podsycać wojnę z tamtej strony, drugie do pana Czarnieckiego, trzecie do pana Sapiehy. Takie mnóstwo rąk chwyciło za broń, że wojsko Jana Kazimierza już było od szwedzkiego liczniejsze.

Kraj, nad którego słabością zdumiewała się niedawno cała Europa, dawał teraz przykład siły, której nie domyślali się w nim nie tylko nieprzyjaciele, ale nawet własny król, nawet ci, których wierne serce rozdzierało się przed kilku miesiącami z bólu i desperacji. Znajdowały się pieniądze, zapal, męstwo; najbardziej zrozpaczone dusze ogarniało przekonanie, iż nie masz takiego położenia, takiego upadku, takiej słabości, z której by nie było ratunku, i że tam, gdzie się dzieci rodzą, tam otucha umrzeć nie może.

Kmicic szedł naprzód bez przeszkód, zbierając po drodze niespokojne duchy, które chętnie przystawały do czambułku w tej nadziei, że na wspólną z Tatarami najwięcej zażyją krwi i grabieży. Tych w rządnych i sprawnych żołnierzach łatwo zamieniał, bo miał ten dar, iż strach a posłuch budził w podwładnych. Witano go po drodze radośnie, a to z powodu Tatarów. Widok ich bowiem przekonywał, iż chan naprawdę Rzeczypospolitej idzie z pomocą. Oczywiście gruchnęła wieść, że panu Sapieżemu wałą *auxilia*, złożone z czterdziestu tysięcy wyborowego tatarskiego komuniku. Rozpowiadano cuda o „modestii” tych sprzymierzeńców, jako żadnych gwałtów ni zabójstw po drodze nie czynią. Podawano ich własnym żołnierzom za przykład.

Pan Sapieha stał chwilowo w Białej. Siły jego składały się z około dziesięciu tysięcy wojsk regularnych, jazdy i piechoty. Były to szczątki wojsk litewskich, podsycane nowym ludem. Jazda, zwłaszcza niektóre jej chorągwie, przewyższała dzielnością i sprawnością szwedzką rajtarię, lecz piechota źle była wyćwiczona i brakło jej strzelby, a zwłaszcza prochów. Brakło także armat. Myślał wojewoda witebski, że się zaopatrzy w nie w Tykocinie, tymczasem Szwedzi, wysadzili się samych prochami, zniszczyli zarazem wszystkie działa zamkowe.

Obok tych sił stało w okolicach Białej do dwunastu tysięcy pospolitaków z całej Litwy, z Mazowsza, z Podlasia, lecz z tych niewiele obiecywał sobie wojewoda pożytku, zwłaszcza że niezmierną moc wozów ze sobą mając, utrudniali pochody i czynili z obozu ociężałe i nieruchome zbiorowisko.

Kmicic o jednym myślał wjeżdżając do Białej. Oto pod Sapiehą służyło tylu szlachty z Litwy i tylu oficerów radziwiłłowskich, dawnych jego znajomych, iż obawiał się, że go poznają, a poznawszy na szablach rozniosą, zanim zdoła krzyknąć: „Jezus, Maria!” Imię jego było znienawidzone w całej Litwie i w sapieżyńskim obozie, bo świeża jeszcze była pamięć, jako służąc Radziwiłłowi wycinał te chorągwie, które się przeciw hetmanowi za ojczyznę opowiedziały.

Lecz dodało panu Andrzejowi to otuchy, że się zmienił bardzo. Bo naprzód wychudł, po wtóre przybyła mu przez twarz blizna od Bogusławowej kuli; na koniec nosił teraz brodę, dość dłu-

gą, na końcu w szwedzki wicher zakreconą, a że wasy podczytywał do góry, był więc wiele podobniejszy do jakiegoś Eriksona niż do polskiego szlachcica.

„Byle się od razu tumult przeciwko mnie nie uczynił, to po pierwszej bitwie już mnie inaczej będą sądzili” – myślał sobie Kmicic wjeżdżając do Białej.

Wjeżdżał też mrokiem, oznajmił się, skąd jest, że listy królewskie wiezie, i zaraz prosił pana wojewodę o osobną audiencję.

Wojewoda przyjął go łaskawie, a to z powodu gorących poleceń królewskich.

„Posyłamy wam najwierniejszego sługę naszego – pisał król – który Hektorem częstochowskim od czasu oblężenia sławnego miejsca jest nazwany, naszą zaś wolność i nasze zdrowie własnym życiem w czasie przeprawy przez góry ratował. Tego w szczególniejszej opiece miejcie, aby mu krzywda od żołnierzy się nie stała. Nazwisko jego prawdziwe wiemy oraz i racje, dla których pod przybranym służy, z powodu którego przybrania nikt nie ma go w podejrzenie podawać ani o praktyki posądzać.

– A dlaczego waść przybrane nazwisko nosisz, nie można wiedzieć? – pytał pan wojewoda.

– Bom jest banit i pod własnym nie mógłbym zaciągać. Król dał mi zaś listy zapowiednie i jako Babinicz zaciągać mogę.

– Po co ci zaciągi, skoro masz Tatarów?

– By i największa siła nie zawadzi.

– A za co banit?

– Pod czyją komendę idę i kogo o opiekę proszę, temu wszystko jako ojcu wyznać winienem. Prawdziwe moje nazwisko jest: Kmicic!

Wojewoda cofnął się parę kroków.

– Którego króla i pana naszego porwać żywym lub umarłym Bogusławowi obiecywał?

Kmicic opowiedział z całą swą energią, jak i co się zdarzyło, jako Radziwiłłom otumaniony służył, jako usłyszawszy z ust Bogusława o istotnych ksiąząt zamiarach, porwał go, i z tego powodu nieubłaganą zemstę na się ściągnął.

Wojewoda uwierzył, bo nie mógł nie uwierzyć, zwłaszcza gdy i królewskie listy prawdę słów Kmicicowych potwierdzały. Wreszcie w wojewodzie dusza była tak rozradowana, iż największego swego wroga byłby w tej chwili do serca przycisnął, największy grzech odpuścił. Radość tę sprawił mu następujący ustęp królewskiego listu:

„Jakkolwiek wakująca po śmierci wojewody wileńskiego wielka buława litewska wedle zwykłego prawa tylko na sejmie może być następcy oddana, przecie w ekstraordinaryjnych dzisiejszych okolicznościach, niechając pospolitego trybu, Wam, wielce nam miłym, dla dobra Rzeczypospolitej i Waszych wiekopomnych zasług, buławę oną oddajemy, słusznie mniemając, że da Bóg uspokojenie, na przyszłym sejmie żaden głos przeciwko tej woli naszej się nie podniesie i uczynek nasz ogólną aprobatę otrzyma.”

Pan Sapieha, jak mówiono wówczas w Rzeczypospolitej, „zastawił kontusz i sprzedał ostatnią srebrną łyżkę”, nie służył więc dla korzyści ani dla honorów ojczyźnie. Lecz nawet najbezinteresowniejszy człowiek rad widzi, iż zasługi jego cenią, wdzięcznością płacą, cnotę uznają. Dlatego od poważnej jego twarzy blask bił niezwykły.

Akt ten woli królewskiej nowym splendorem przyozdabiał ród sapieżyński, a na to żadne z ówczesnych „królewiat” nie było obojętne; dobrze, jeśli byli tacy, którzy do wyniesienia *per nefas* nie dążyli. Więc też pan Sapieha gotów był teraz uczynić dla króla wszystko, co było i co nie było w jego mocy.

– Skorom jest hetmanem – rzekł do pana Kmicica – to pod moją inkwizycję podchodzisz i opiekę znajdziesz. Siła tu jest pospolitego ruszenia, więc i tumult gotowy, dlatego bardzo w oczy nie leż, póki ja żołnierzów nie ostrzegę i tej potwarzy z ciebie nie zdejmę, którą Bogusław rzucił.

Kmicic podziękował z serca i z kolei począł mówić o Anusi, którą ze sobą do Białej przywiózł. Na to pan hetman nuż zrzędzić, ale że w humorze był wyśmienitym, więc i zrzędził wesoło.

– Owariował Sobiepan! jak mi Bóg miły! – rzekł. – Siedzą sobie tam z siostrą za zamojskimi murami jak u Pana Boga za piecem i myślą, że każdy może, tak jak on, poły od kontusza rozgartywać, do komina się obracać i plecy grzać. Ja Podbipiętych znałem, bo to krewni Brzostowskich, a Brzostowscy moi. Fortuna pańska, nie ma co mówić, ale chociaż wojna z Septentrionami na czas omdlała, przecie w tamtych stronach jeszcze stoją... Gdzie czego szukać, gdzie jakie sądy, jakie urzędy? Kto będzie fortunę odbierał i dziewczkę instalował? Powariowali na czysto! Mnie Bogusław na karku siedzi, a ja mam wojskiego funkcję pełnić i babami sobie głowę zaprzętać...

– Nie baba to, ale wiśnia – odrzekł Kmicic. – A co mi tam... Kazali wieźć, wiozłem; kazali oddać, oddaję!

Stary hetman wziął na to pana Kmicica za ucho i rzekł:

– A kto cię tam wie, zbereźniku, jakąś ty ją odwiózł... Broń czego Boże, jeszcze będą ludzie gadali, że ją od sapieżyńskiej opieki kolki sparły, i ja, stary, będę oczyma świecił... Cóżście na na popasach czynili? Gadaj mi jeno zaraz, poganinie, zaliś od swoich Tatarów bisurmańskich obyczajów nie przejął?

– Na popasach?... – odrzekł wesoło Kmicic. – Na popasach kazałem sobie pacholkom skórę dyscyplinami orać, a to żeby mniej przystojne chęci wygnąć, które pod skórą mają swoje siedlisko, a które *confiteor*, na kształt bąków mnie cięły.

– A widzisz... Godnaże to jaka dziewczka?

– At, koza! choć okrutnie gładka, a jeszcze więcej przylepna.

– Już bisurmanin się znalazł!

– Ale cnotliwa jako mniszka, to jej muszę przyznać. A co do kolek, mniemam, że by ją prędzej od pana zamojskiej opieki sparły.

Tu Kmicic opowiedział, jak i co było. Dopieroż hetman począł go klepać po ramieniu a śmiać się.

– No, ćwik z ciebie! Nie darmoż tyle o Kmicicu powiadają. Nie bój się! Pan Jan człek niezawzięty i mój konfident. Przejdzie mu pierwsza pasja, to się jeszcze sam uśmieje i ciebie nagrodzi.

– A nie potrzebuję! – przerwał Kmicic.

– Dobrze i to, że ambicję masz i ludziom w ręce nie patrzysz. Usłuż mi jeno przeciwko Bogusławowi tak sprawnie, to o dawne kondemnaty nie będziesz się potrzebował bać.

Tu zdziwił się Sapieha spojrzawszy na tę twarz żołnierską, przed chwilą jeszcze tak szczerą i wesołą. Pan Kmicic na wzmiankę o Bogusławie przybladł zaraz i twarz mu się skurczyła jak paszcza złemu psu, gdy chce kąsać.

– Bogdaj się własną śliną ten zdrajca otruł, byle mi jeszcze przed skonaniem w ręce wpadł! – rzekł ponuro.

– Twej zawziętości się nie dziwię... Pamiętaj tylko, by gniew w tobie roztropności nie zadławił, bo nie z byle kim to sprawa. Dobrze, że cię król tu przysłał. Będziesz mi Bogusława podchodził jako dawniej Chowańskiego.

– Będę go lepiej podchodził! – odparł równie ponuro Kmicic.

Na tym skończyła się rozmowa. Kmicic odjechał spać do kwatery, bo był strudzon drogą.

Tymczasem rozbiegła się wieść pomiędzy wojskiem, że król wielką buławę ukochanemu wodzowi przysłał. Radość tedy jak płomień wybuchnęła pomiędzy tysiącami ludzi.

Towarzystwo i oficerowie spod różnych chorągwi poczęli tłumnie nadbiegać do kwatery hetmańskiej. Uśpione miasto ocknęło się ze snu. Porozpalano ognie. Chorążowie nadbiegli z chorągwiami. Zagrały trąby, zahuczały kotły, zagrzmiały wystrzały z dział i muszkietów, a pan Sapieha ucztę wspaniałą wyprawił i przewiawatowano noc całą pijąc za zdrowie królewskie, hetmańskie i na przyszłe zwycięstwo nad Bogusławem.



Pan Andrzej nie był, jako się rzekło, na ucztę obecny. Natomiast pan hetman wszczął przy stołach rozmowę o Bogusławie i nie powiadając, kto jest ów oficer, który z Tatarami przyjechał i buławę przywiózł, mówił ogólnie o przewrotności księcia.

– Obaj Radziwiłłowie – rzekł – kochali się w praktykach, ale księżę Bogusław jeszcze nieboszczyka stryjecznego przewyższył... Pamiętacie waszmościowie Kmicica albo przynajmniej słyszeliście o nim. Otóż imainujcieże sobie, iż to, co księżę Bogusław rozpuścił: jakoby mu się Kmicic ofiarował rękę na króla i pana naszego podnieść, to nieprawda!

– Januszowi jednakże Kmicic pomagał dobrych kawalerów wycinać.

– Tak jest, Januszowi pomagał, ale wreszcie i on się spostrzegł, a spostrzegłszy się, nie tylko służbę porzucił, ale jak to wiecie, że człek był zuchwały, jeszcze się na Bogusława porwał. Podobno tam już ciasno było z młodym księciem i ledwie zdrowie z rąk Kmicicowych salwował.

– Kmicic był żołnierz wielki – odezwały się liczne głosy.

– Księżę zaś przez zemstę taką na niego potwarz wymyślił, od której dusza się wzdryga.

– Diabeł by lepszej nie wymyślił!

– Wiedzcie, że dowody mam w ręku, czarno na białym, iż to była zemsta za nawrócenie się Kmicicowe.

– Tak czyje imię pohańbić!... Jeden Bogusław to potrafi!

– Takiego żołnierza pogrzyźć!

– Słyszałem – mówił dalej hetman – iż Kmicic widząc, że nic mu tu już do roboty nie pozostaje, do Częstochowy umknął i tam znaczne usługi oddał, a potem króla jegomości własną pierśią osłaniał.

Usłyszawszy to, ci sami żołnierze, którzy by byli przed chwilą na szablach Kmicica roznieśli, poczęli coraz życzliwiej się o nim odzywać.

– Kmicic mu tego nie daruje, nie taki to człowiek, on się i na Radziwiłła porwie!

– Wszystkich żołnierzów księżę koniuszy pohańbił rzuciwszy na jednego taką hańbę!

– Kmicic swawolnik był i okrutnik, ale nie parrycyda!

– Pomści on się, pomści!

– My go pierwszej pomścimy!

– Skoro jaśnie wielmożny hetman powagą swą za niego ręczy, to tak musiało być.

– Tak było! – rzekł hetman.

– Zdrowie hetmańskie!

I niewiele brakło, by i Kmicicowego zdrowia nie wypito. Lecz co prawda, odzywały się bardzo gwałtowne głosy i przeciw, zwłaszcza między dawnymi oficerami radziwiłłowskimi. Słyszając je hetman rzekł:

– A wiecie waszmościowie, skąd mi ów Kmicic do głowy przyszedł? Oto Babinicz, goniec królewski, wielce jest do niego podobny. Sam się w pierwszej chwili omyliłem. Tu pan Sapieha począł surowiej nieco spoglądać i mówić z większą powagą:

– Choćby tu sam Kmicic przyjechał, to ponieważ się nawrócił, ponieważ świętego miejsca z niezmierną odwagą bronił, potrafiłbym go moją hetmańską powagą osłonić; proszę zatem waszmościów, by mi tu żadne hałasy z przyczyny owego przybysza nie powstały. Proszę pamiętać, że on tu z ramienia króla i chanowego przyjechał. A zwłaszcza polecam to ichmościom panom rotmistrzom z pospolitego ruszenia, bo tam o dyscyplinę trudniej!

Gdy pan Sapieha mówił w ten sposób, jeden pan Zagłoba ośmielał się, bywało, pomrukiwać pod nosem, wszyscy inni siedzieli jak trusie. Tak też siedzieli i teraz, ale gdy twarz hetmańska poweselała znowu, rozradowały się i inne. Kielichy gęsto krążące dopełniały miary wesołości i całe miasto grzmiało do rana, aż ściany domostw dygotały w posadach, a dym wystrzałów wiatowych przysłonił je całe jakby po bitwie.

Nazajutrz rankiem wysłał pan Sapieha Anusię do Grodna, z panem Kotzycem. W Grodnie, z którego Chowański był się już dawno usunął, rezydowała wojewodzińska rodzina.

Biedna Anusia, której piękny Babinicz nieco w głowie zawrócił, żegnała się z nim bardzo czule, ale on się trzymał ostro i dopiero na samym odjeździe rzekł jej:

– Żeby nie jedno lichy, które w sercu jako cierń siedzi, to bym się był pewnie w waćpanie na umor rozkochał.

Anusia pomyślała sobie, że nie masz takiej drzazgi, której by nie można przy cierpliwości igielką wydłubać, lecz że i bała się trochę tego Babinicza, więc nie rzekła nic – westchnęła cicho i odjechała.

## ROZDZIAŁ XXXVII

Tydzień jeszcze po odjeździe Anusi z Kotzycem stał obóz sapieżyński w Białej. Kmicic z Tatarów, odkomenderowany do pobliskiego Rokitna, odpoczywał także, bo trzeba było konie odpaść po długiej podróży. Przyjechał też do Białej i dziedzic jej, książę krajczy, Michał Kazimierz Radziwiłł, pan potężny, z linii nieświeskiej, o której mówiono, że po samych Kiszkach odziedziczyła siedmdziesiąt miast i czterysta wsi. Ten w niczym nie był do swoich birzańskich krewniaków podobny. Nie mniej może od nich ambitny, lecz różny wiarą, gorliwy patriota i stronnik prawego króla, całą duszą przystał do konfederacji tyszowieckiej i jak mógł, ją podsycił. Olbrzymie jego posiadłości były wprawdzie silnie przez ostatnią z hiperborejczykami wojnę zniszczone, lecz zawsze stał jeszcze na czele sił znacznych i nie małą hetmanowi przywiódł pomoc.

Nie tyle jednak liczba jego żołnierzy mogła na szali wojennej zaważyć, jako to, że tu Radziwiłł stawał przeciw Radziwiłłowi; w ten sposób bowiem odjęte były Bogusławowi ostatnie pozory prawości i postępkę jego jawnym charakterem najazdu i zdrady okryte.

Dlatego też pan Sapieha z radością ujrzał w swym obozie księcia krajczego. Był już teraz pewny, że zwycięży Bogusława, bo i potęgą o wiele go przewyższał. Lecz zwyczajem swym plany obmyślał z wolna, zastanawiał się, rozważał i na narady oficerów wzywał.

Bywał na tych naradach i pan Kmicic. Tak on znienawidził imię radziwiłłowskie, że na pierwszy widok księcia Michała zatrząsł się ze zgrozy i złości, lecz Michał umiał sobie ludzi jednać samą twarzą, na której piękność szła ze słodyczą w parze, przy tym wielkie jego przymioty, ciężkie dni, które niedawno przeżył, broniąc kraju od Żółtareńki i Srebrnego, miłość prawdziwa do ojczyzny i króla, wszystko to czyniło go jednym z najzaciejszych kawalerów swego czasu. Sama obecność jego w obozie Sapiehy, współzawodnika domu radziwiłłowskiego, świadczyła, jak dalece młode książętko umie prywatę dla rzeczy publicznej poświęcić. Kto go znał, pokochać musiał. Temu uczuciu, mimo pierwszego wstępu, nie mógł się oprzeć i zapalczywy pan Andrzej.

Ostatecznie jednak skaptował sobie jego serce księżę swymi radami.

Radził bowiem, żeby czasu nie tracąc, nie tylko przeciw Bogusławowi ruszać, ale w żadne układy nie wchodząc, natychmiast nań uderzyć, nie dać mu odzyskać zamków, nie dać mu odechnienia, spoczynku, wojować jego własnym sposobem. W takiej rezolucji widział księżę zwycięstwo szybkie i pewne.

– Nie może być, żeby też i Karol Gustaw się nie ruszył, musimy więc jako najprędzej ręce mieć wolne, aby Czarnieckiemu z pomocą spieszyć.

Tego samego zdania był Kmicic, który już trzeciego dnia musiał walczyć z dawnymi nałogami samowoli, aby bez komendy nie pójść naprzód.

Lecz Sapieha lubił działać na pewno, bał się każdego nierozważnego kroku, więc postanowił czekać na dokładniejsze wiadomości.

I hetman miał również swoje powody. Zapowiedziana wyprawa Bogusława na Podlasie mogła być tylko podstępem i grą wojenną. Może to była wyprawa udana, przedsięwzięta na czele sił lada jakich w tym celu, aby połączenia wojsk sapieżyńskich z koronnymi nie dopuścić. Będzie się tedy Bogusław przed Sapiehą wymykał, nigdzie bitwy nie przyjmując, byle marudzić, a Karol Gustaw z elektorem uderzą przez ten czas na Czarnieckiego, zgniotą go przeważającą potęgą, ruszą na samego króla i zduszą dzieło poczynającej się obrony, stworzone przez świetny przywódca Częstochowy.

Sapieha był nie tylko wodzem, ale i statystą. Racje swoje wykladał zaś na naradach potężnie, że sam Kmicic musiał się na nie w duszy zgodzić. Przede wszystkim należało wiedzieć, czego się trzymać. Gdyby się okazało, że najazd Bogusławowy jest tylko grą, to wystarczyłoby zostać przeciw niemu kilka chorągwi, z całą zaś siłą ruszać, co pary w koniach, ku Czarnieckiemu i głównej nieprzyjacielskiej potędze. Kilka zaś lub nawet więcej chorągwi mógł śmiało pan het-

man zostawić, bo nie wszystkie jego siły stały w okolicy Białej. Młody pan Krzysztof, czyli tak zwany Krzysztofek Sapieha, stał z dwoma lekkimi chorągwiami i z regimentem piechoty w Janowie; Horotkiewicz kręcił się w pobliżu Tykocina, mając pod sobą pół regimentu dragonii bardzo ćwiczonej i do pięciuset wolentarzy, oprócz petyhorskiej chorągwi imienia samego wojewody. Prócz tego w Białymstoku stały łanowe piechoty.

Sił tych starczyłoby aż nadto do oporu Bogusławowi, jeżeli więcej nad kilkaset koni nie liczył.

Porozsyłał więc przezorny hetman gońców na wszystkie strony i czekał wiadomości.

Aż przysły wreszcie wieści, lecz do gromów podobne – i tym podobniejsze, że przez szczególny zbieg okoliczności uderzyły wszystkie jednego wieczora.

Na zamku białskim odbywała się właśnie narada, gdy wszedł oficer ordynansowy i oddał jakieś pismo hetmanowi.

Zaledwie wojewoda rzucił na nie okiem, gdy zalterował się na twarzy i rzekł obecnym:

– Krewniak mój zniesion do szczytu w Janowie przez samego Bogusława. Ledwie sam zdrowie wyniósł!

Nastała chwila milczenia, którą przerwał dopiero sam hetman.

– List jest pisany z Brańska, w ucieczce i konfuzji – rzekł – dlatego nie masz w nim ni słowa o potędze Bogusława. Myślę, że musiała być dość znaczną, skoro dwie chorągwie i regiment piechoty do szczytu, jako czytamy, zostały zniesione!.. Być jednak może, iż książe Bogusław zeszedł ich niespodzianie. Pewności to pismo nie daje...

– Panie hetmanie – rzekł na to książe Michał – pewien jestem, że Bogusław chce całe Podlasie zagarnąć, by je w udzielne władanie albo w lenno przy układach dostać... Dlatego niezawodnie nadszedł z tak potęgą, jaką tylko mógł zebrać.

– Godzi się supozycje dowodami poprzeć, mości książe.

– Innych dowodów nie mam, jeno znajomość Bogusława. Nie o Szwedów ani o Brandenburczyków mu chodzi, jeno o siebie samego... Wojownik to jest niepospolity, który dufa w swą szczęśliwą gwiazdę. Prowincję chce pozyskać, Janusza pomścić, sławą się okryć, a do tego potęgę odpowiednią mieć musi i ma. Dlatego nagle trzeba na niego nastąpić, inaczej on na nas nastąpi.

– Do wszystkiego błogosławieństwo boże niezbędne – rzekł Oskierko – a błogosławieństwo przy nas!

– Jaśnie wielmożny panie hetmanie – rzekł Kmicic. – Wieści potrzeba. Spuśćcieże mnie ze smyczy z moimi Tatary, a ja wam wieści przywiozę.

Oskierko, który był przypuszczony do tajemnicy i wiedział, kto jest Babinicz, zaraz jął zdanie jego mocno popierać:

– Boga mi! To jest arcyprzednia myśl! Takiego tam kawalera i takiego wojska trzeba. Jeżeli tylko konie wycopczęte...

Tu Oskierko przerwał, bo oficer ordynansowy znów wszedł do komnaty.

– Jaśnie wielmożny panie hetmanie – rzekł – jest dwóch żołnierzy z Horotkiewiczowej chorągwi, którzy się do osoby waszej wielmożności dobijają.

– Bogu chwała – rzekł pan Sapieha uderzywszy się rękoma po kolanach – będą i wiadomości... Puszczaj!

Po chwili weszło dwóch petyhorców, obdartych i zabłoconych.

– Od Horotkiewicza? – spytał Sapieha.

– Tak jest.

– Gdzie on teraz?

– Zabit, a jeżeli nie zabit, to nie wiemy, gdzie jest...

Wojewoda wstał, lecz usiadł, i zaraz począł badać spokojnie:

– Gdzie chorągiew?

– Zniesiona przez księcia Bogusława.

– Siła zginęło?  
– W pień nas wycięto, może kilku zostało, których w łyka, jak nas, wzięto. Są tacy, którzy mówią, że i pułkownik uszedł; ale że ranny, to sam widziałem. My z niewoli uciekli.  
– Gdzie was napadnięto?  
– Pod Tykocinem.  
– Czemuście się za mury nie schronili, w sile nie będąc?  
– Tykocin wzięty.  
Hetman przysłonił dłonią oczy, po czym jął wodzić nią po czole.  
– Siła przy Bogusławie ludzi?  
– Jest jazdy na cztery tysiące prócz piechoty i armat. Piechoty bardzo moderowane. Jazda ruszyła naprzód, prowadząc nas ze sobą, aleśmy się wyrwali szczęśliwie.  
– Skądęście uciekli?  
– Z Drohiczyna.  
Sapieha otworzył szeroko oczy.  
– Mości towarzyszu, tyś pijany. Jakżeby już do Drohiczyna Bogusław mógł dojść? Kiedy was zniósł?  
– Dwa tygodnie temu.  
– I jest w Drohiczynie?  
– Podjazdy jego są. On sam w tyle ostał, bo tam jakiś konwój ułapion, którego pan Kotycz prowadził.

– Pannę Borzobohatą prowadził! – zakrzyknął pan Kmicic.

I nastąpiło milczenie dłuższe niż poprzednio. Nikt nie zabierał głosu. Tak nagle powodzenia Bogusławowe zmieszały oficerów niepomierne. Wszyscy też myśleli w duchu, że winien tu pan hetman przez swe kunktatorstwo, lecz nikt nie śmiał odezwać się z tym głośno.

Sapieha zaś czuł, że czynił, co należało, i postępował roztropnie. Więc też ochłonął pierwszy z wrażenia, wyprawił skinieniem ręki owych towarzyszków, następnie rzekł:

– Wszystko to są zwykłe przygody wojenne, które nie powinny nikogo konfundować. Mości panowie, nie mniemajcie, abyśmy jakowś klęskę już ponieśli. Szkoda tamtych chorągwi, prawda... Ale stokroć większa mogłaby się stać szkoda ojczyźnie, gdyby Bogusław w dalekie województwo nas odciągnął. Idzie ku nam... Jako gościnni gospodarze wyjdziem mu naprzeciw.

Tu zwrócił się do pułkowników:

– Wedle moich rozkazów, wszyscy powinni być do wyruszenia gotowi.

– Są gotowi – rzekł Oskierko – jeno konie kielznać i wsianego trąbić.

– Dziś jeszcze otrąbić. Ruszamy jutro o zorzy, nie mieszkając... Pan Babinicz skoczy naprzód z Tatarzy i języka jak najspieszniej nam ułowi.

Kmicic, ledwie usłyszał, już był za drzwiami, a w chwilę później pędził co koń wyskoczy ku Rokitnu.

A pan Sapieha również dłużej nie zwłóczył.

Noc jeszcze była, gdy trąby ozwały się przeciągle, po czym jazda i piechota zaczęły wysypywać się w pole; za nimi pociągnął się długi szereg wozów skrzypiących. Pierwsze blaski dzienne odbiły się w rurach muszkietów i na grotach dzid.

I szedł regiment za regimentem, chorągiew za chorągwią bardzo sprawnie. Jazda pośpiewywała godzinki, a konie parskały rażno w rannym chłodzie, z czego żołnierze zaraz wróżyli sobie pewne zwycięstwo.

Serca pełne były otuchy, bo to już wiedziało z doświadczenia rycerstwo, że pan Sapieha rozmyśla, głową kręci, na obie strony każde przedsięwzięcie waży, ale gdy zaś przed się co weźmie, to dokona, a gdy się ruszy, to bije.

W Rokitnie już i legowiska po Tatarach ostygły; poszli jeszcze wczoraj na noc i musieli być już daleko. Uderzyło to pana Sapiechę, że po drodze trudno się było o nich dopytać, chociaż oddział, liczący z wolentarzami do kilkuset ludzi, nie mógł przejść nie dostrzeżony.

Oficerowie, co doświadczeńsi, bardzo podziwiali ten pochód i pana Babinicza, że tak prowadzić umiał.

– Jak wilk łozami idzie i jak wilk ukąsi – mówiono – praktyk to jakiś zawołany!

A pan Oskierko, który jako się rzekło, wiedział, kto jest Babinicz, mówił do pana Sapiehy:

– Nie darmo Chowański cenę na jego głowę nakładał. Bóg da wiktoryę, komu zechce, ale to pewna, że Bogusławowi wkrótce się wojna z nami uprzykrzy.

– Szkoda jeno, że Babinicz jakoby w wodę wpadł – odpowiadał hetman.

Istotnie, upłynęło trzy dni bez żadnej wiadomości. Główne siły sapieżyńskie doszły do Drohiczyna, przeszły Bug i nie znalazły nieprzyjaciela przed sobą. Hetman począł się niepokoić. Wedle zeznań petyhorców, podjazdy Bogusławowe doszły właśnie już do Drohiczyna, widoczne więc było, że Bogusław postanowił cofać się. Ale co znaczyło to cofanie? Czy Bogusław dowiedział się o przeważnych siłach sapieżyńskich i nie śmiał mierzyć się z nimi, czy też pragnął odciągnąć hetmana daleko na północ, aby ułatwić królowi szwedzkiemu napad na Czarnieckiego i hetmanów koronnych? Babinicz powinien był już zachwycić języka i dać znać hetmanowi. Zeznania petyhorców co do liczby wojsk Bogusławowych mogły być błędne, należało zatem mieć jak najprędzej dokładną o niej relację.

Tymczasem upłynęło jeszcze dni pięć, a Babinicz nie dawał znać o sobie. Przychodziła wiosna. Dnie stawały się coraz cieplejsze, śniegi tajały. Okolica pokrywała się wodą, pod którą drzemały grząskie błota utrudniające niesłychanie pochód. Większą część armat i wozów musiał hetman zostawić jeszcze w Drohiczynie i iść dalej komunikiem. Stąd niewygody wielkie i szmerania, zwłaszcza między pospolitym ruszeniem. W Brańsku trafiono na takie roztopy, że i piechota nie mogła postępować dalej. Hetman zagarniał konie po drodze u chłopów i drobnej szlachty i sadzał na nie muszkietników. Innych brała lekka jazda; lecz już za daleko się posunięto i hetman rozumiał, że jedno tylko pozostaje, to jest: iść jak najprędzej.

Bogusław cofał się ciągle. Po drodze trafiano ustawicznie na jego ślady, na spalone gdzieś tam wsie, na trupy ludzkie wiszące po drzewach. Szlachta drobna, miejscowa, przyjeżdżała z wiadomościami co chwila do sapieżyńskiego obozu, lecz prawda ginęła, jako zwykle w sprzecznych zeznaniach. Ten widział jedną chorągiew i bożył się, że księżę nie ma więcej wojska; ten widział dwie, ów trzy, ów potęgę, która w pochodzie milę zajmowała. Słowem, były to bajki, jakie zwykle opowiadają ludzie nie znający się na wojsku i wojennym rzemiośle.

Widziano też tu i owdzie Tatarów, lecz właśnie wieści o nich wydawały się najnieprawdopodobniejsze; opowiadano bowiem, że ich widziano nie za wojskiem, ale przed wojskiem księżęcym, idących naprzód. Pan Sapieha sapał gniewnie, gdy kto przy nim Babinicza wspominał, i mówił do Oskierki:

– Przechwaliliście go. W złą godzinę odesłałem Wołodyjowskiego, bo gdyby on tu był, dawno bym miał tyle języków, ile bym sam zechciał, a to jest wicher albo i gorzej... Kto go wie, może i naprawdę do Bogusława przystał i w przedniej straży idzie!

Oskierko sam nie wiedział, co sądzić. Tymczasem upłynął znów tydzień: wojsko przyszło do Białegostoku.

Było to w południe.

W dwie godziny później przednie straże dały znać, że jakowyś oddział się zbliża.

– Może Babinicz! – zakrzyknął hetman. – Damże mu *pater noster*!

Lecz nie był to sam Babinicz. W obozie jednak powstał taki ruch za przybyciem owego oddziału, że pan Sapieha wyszedł obaczyć, co się dzieje.

Tymczasem towarzysze spod różnych chorągwi nadlatywali krzycząc:

– Od Babinicza! Jeńcy! Cała kupa!... Siła ludzi naszarpał!

Jakoż ujrzał pan hetman kilkudziesięciu dzikich jeźdźców na wychudłych i poszerzeniałych koniach. Otaczali oni blisko trzystu ludzi ze skrępowanymi rękoma, bijąc ich batogami z surowca. Jeńcy straszliwy przedstawiali widok. Były to raczej cienie ludzkie niż ludzie. Odarci, półna-

dzy, wychudzeni tak, że kości sterczały im przez skórę, pokrwawieni, szli na wpół żywi, obojętni na wszystko, nawet na świst surowca, który przecinał im skóry, i na dzikie wrzaski tatarskie.

– Co to za ludzie? – spytał hetman.

– Wojsko Bogusławowe! – odrzekł jeden z Kmicicowych wolentarzy, który jeńców wraz z Tatarami odprowadzał.

– A wyście ich skąd tyłu nabrali?

– Blisko połowa jeszcze nam w drodze od fatygi padła.

Wtem zbliżył się starszy Tatar, jakoby wachmistrz ordyński, i uderzywszy czołem, oddał panu Sapieżę pismo Kmicicowe.

Hetman, nie czekając, złamał pieczęć i począł czytać głośno:

„Jaśnie Wielmożny Panie Hetmanie!

Iżem wieści ni języków dotąd nie przysyłał, to dlatego, żem w przodku, nie po zadzie wojsk księcia Bogusławowych szedł i chciałem się większą kupą przysłużyć...”

Hetman przerwał czytanie.

– To diabeł! – rzekł – zamiast iść za księciem, to on przed księciem się wysforował!

– Niechże go kule biją!... – dodał półgłosem pan Oskierko.

Hetman czytał:

„Bo chociaż niebezpieczna to była impreza, gdyż podjazdy szeroko szły, wszelako dwa zniósłszy i nikogo nie żywiąc, w przodek się wydostałem, od czego wielka księcia napadła konfuzja, albowiem zaraz począł suponować, iż jest otoczony i jako w potrzask lezie...”

– To dlatego to niespodziane cofanie się! – zawołał hetman. – Diabeł, czysty diabeł!

Lecz czytał coraz ciekawiej:

„Książę nie rozumiejąc, co się stało, jał głowę tracić i podjazd za podjazdem wysyłał, któreśmy też znacznie szarpali, iż żaden w tej samej liczbie nie wracał. Idąc zaś w przodku wiwendę przejmowałem, groblem rozkopywałem i mosty psuł, tak iż z wielką fatygą postępować przed się mogli, nie śpiąc, nie jedząc, dnia i nocy bezpiecznej nie mając. Z obozu nie mogli się wychylić, bo ordyńcy nieostrożnych chwytały, co się zaś obóz zdrzymnał, to mu z łoży okrutnie wyli, oni zaś myśląc, iż wielkie wojsko na nich następuje, przez całe noce w gotowości stać musieli. Czym książę do znacznej desperacji przywiedzion nie wie, co ma począć, gdzie iść i jako się obrócić – dlatego rychło nań następować trzeba, póki terror nie przejdzie. Wojska ma sześć tysięcy, ale blisko tysiąca stradał. Konie mu padają. Rajtaria dobra, piechoty słuszne, Bóg jednak dał, iż to z dnia na dzień topnieje, a byle nasze wojska ich dosięgły, to się rozleczą. Karoce książęce, część kredensu i rzeczy zacnych w Białymstoku zachwyciłem, z dwiema armatami, alem co większe potopić musiał. Książę-zdrajca od ustawicznej cholery silnie zachorzał i ledwie na koniu usiedzieć może, *febris* nie opuszcza go dniem i nocą. Panna Borzobohata zagarnięta, ale chorym będąc, na cnotę jej nastawać nie może. Wieści takowe i konfesje o desperacji od jeńców powziąłem, których moi Tatarzy przypiekali i którzy byle ich jeszcze raz przypiec, prawdę powtórzyć są gotowi. Za czym służby moje pokornie J. W. Panu i Hetmanowi memu polecając, o przebaczenie, jeśli w czym pobłądził, proszę. Ordyńcy dobrzy pacholankowie i widząc siła zdobywszy, okrutnie służą.”

– Jaśnie wielmożny panie! – rzekł Oskierko. – Już wasza wielmożność pewnie mniej żałuje, że Wołodyjowskiego tu nie masz, bo i ten temu wcielonemu diabłu nie wyrówna.

– To są zdumiewające rzeczy! – rzekł biorąc się za głowę pan Sapieha. – A nie łzeli on?

– To ambitna sztuka! On i księciu wojewodzie wileńskiemu prawdę w oczy gadał ani dbając, czy mu miło słuchać, czy niemiło. Ot! ten sam proceder co z Chowańskim, jeno Chowański miał piętnaście razy więcej wojska.

– Jeśli to prawda, to trzeba następować jako najprędzej – rzekł Sapieha.

– Póki się książę nie opamięta.

– Ruszajmy, na miły Bóg! Tamten mu groble rozkopuje, to i dognamy!

Tymczasem jeńcy, których Tatarzy w kupie przed hetmanem trzymali, poczęli, widząc przed sobą hetmana, jęczeć, płakać, nędzę swoją okazywać i różnymi językami litości wzywać. Byli bowiem między nimi Szwedzi, Niemcy i przyboczni Bogusławowi Szkoci. Pan Sapieha odjął ich Tatarom, jeść dać kazał i konfesaty bez przypiekania prowadzić.

Zeznania potwierdziły prawdę stów Kmicicowych. Więc wszystkie wojska sapieżyńskie ruszyły z wielkim impetem naprzód.



## ROZDZIAŁ XXXVIII

Następna relacja Kmicicowa przyszła z Sokółki i brzmiała krótko:

„Książę, aby wojska nasze omylić, symulował pochód ku Szczuczynowi, dokąd podjazd wysłał. Sam z główną siłą poszedł do Janowa i tam posiłki w piechocie otrzymał, które kapitan Kyritz przyprowadził: ośmset ludzi dobrych. Od nas ognie książęce widać. W Janowie mają tydzień wypocząć. Jeńcy mówią, że i bitwę przyjąć gotów. Febra trzęsie go ciągle.”

Po odebraniu tej relacji pan Sapiaha, zostawiwszy resztę wozów i armat ruszył komunikiem do Sokółki i na koniec dwa wojska stanęły sobie oko w oko. Przewidywano też, że bitwa jest nieuchronną, gdyż jedni nie mogli już dłużej uciekać, drudzy gonić. Tymczasem jako zapaśnicy, którzy po długiej gonitwie mają się schwycić za bary, leżeli naprzeciw siebie, łapiąc powietrze w zadyszane gardziele – i odpoczywali.

Pan hetman, gdy ujrzał Kmicica, chwycił go w ramiona i rzekł:

– Już mi i gniewno było na ciebie, żeś tak długo znać o sobie nie dawał, ale widzę, żeś więcej sprawił, niż się spodziewać mogłem, i da Bóg wiktoryę, twoja, nie moja będzie zasługa. Szedłeś jako anioł stróż za Bogusławem!

Kmicicowi złowrogie światła zabłyśły w oczach.

– Jeślim mu aniołem stróżem, to i przy skonaniu jego być muszę.

– Bóg tym rozrządzi – rzekł poważnie hetman – ale chcesz, aby cię błogosławił, to ścigaj nieprzyjaciela ojczyzny, nie prywatnego.

Kmicic skłonił się w milczeniu, ale nie znać było, aby piękne słowa hetmańskie wywarły nań jakiegokolwiek wrażenie. Twarz jego wyrażała nieubłaganą nienawiść i tym była groźniejsza, że trudy pościgu za Bogusławem wychudziły ją jeszcze więcej. Dawniej w tym obliczu malowała się jeno odwaga i zuchwała płochłość, teraz stało się surowym i zarazem zawziętym. Łatwo zgadnąć, że komu ten człowiek zapisał w duszy zemstę, ten winien się strzec, choćby był Radziwiłłem.

Jakoż mścił się już straszliwie. Usługi w tej wojnie oddał istotnie olbrzymie. Wysforowawszy się przed Bogusławem, zbił go z tropu, pomylił jego rachuby, wpoił weń przekonanie, iż jest otoczony, i do cofania się przymusił. Dalej szedł przed nim dzień i noc. Podjazdy znosił, dla jeńców był bez miłosierdzia. W Siemiatyczach, w Bockach, w Orlej i około Bielska napadł głuchą nocą na cały obóz.

W Wojszkach, niedaleko Zabłudowa, w szczerych radziwiłłowskich ziemiach, wpadł jak ślepy huragan na samą kwaterę książęcą, tak iż Bogusław, który właśnie był do obiadu zasiadł, omal żywcem nie wpadł w jego ręce i tylko dzięki panu Sakowiczowi, podkomorzemu oszmiańskiemu, wyniósł zdrową głowę. Pod Białymstokiem Kmicic porwał karoce i kredensy Bogusławowe. Wojsko jego znużył, rozprzegł, ogłodził. Wyborne piechoty niemieckie i rajtarie szwedzkie, które Bogusław z sobą przywiódł, wracały, do idących kościotrupów podobne, w obłądzie, w przerażeniu, w bezsenności. Wściekłe wycie Tatarów i wolentarzy Kmicicowych rozlegało się przed nimi, z boków, z przodu, z tyłu. Zaledwie strudzony żołnierz oczy przymknął, gdy musiał chwycić za broń. Im dalej, tym było gorzej.

Drobna szlachta, zamieszkująca owe okolice, łączyła się z Tatary, po trochu z nienawiści do birzańskich Radziwiłłów, po trochu ze strachu przed Kmicicem, bo opornych karał bezmiary. Więc siły jego rosły, Bogusławowe topniały.

Do tego sam Bogusław istotnie był chory, a chociaż w sercu tego człowieka nigdy troska nie zagnieździła się na długo i choć astrologowie, którym wierzył ślepo, przepowiedzieli mu w Prusach, iż osoby jego nic złego w tej wyprawie nie spotka, przecie ambicja jego, jako wodza, cierpiała nieraz srodze. On, którego imię, jako wodza, powtarzano z podziwem w Niderlandach, nad Renem i we Francji, bity był w tych zapadłych lasach przez niewidzialnego nieprzyjaciela codziennie i bez bitwy zwyciężony.

Była przy tym w tym pościgu taka niezwykła zawziętość i przechodząca zwykłą wojenną miarę natarczywość, że Bogusław z wrodzoną sobie bystrością odgadł po kilku dniach, że ściga go jakiś nieubłagany wróg osobisty. Dowiedział się łatwo nazwiska: Babinicz, bo powtarzała je cała okolica, ale nazwisko owe było mu obce. Niemniej rad był poznać osobę i przez drogę w czasie pościgu urządzał dziesiątki i setki zasadzek. Zawsze na próżno! Babinicz umiał ominąć potrzask i zadawał klęskę tam, gdzie go się najmniej spodziewano.

Aż wreszcie oba wojska stoczyły się w okolicy Sokółki, Bogusław znalazł tam istotne posiłki pod wodzą von Kyritza, który, nie wiedząc poprzednio, gdzie księżę się obraca, zaszedł do Janowa. Tam też miał się rozstrzygnąć los Bogusławowej wyprawy.

Kmicic pozamykał szczelnie wszystkie drogi wiodące z Janowa do Sokółki, Koryczyna, Kuźnicy i Suchowola. Okoliczne lasy, łązy i chaszczce zajmowali Tatarzy. List nie mógł przejść, żaden wóz z żywnością dojść – samemu więc Bogusławowi pilno było do bitwy, póki jego wojska ostatniego janowskiego suchara nie zjedzą.

Lecz jako człek bystry i wszelakich intryg świadomy, postanowił próbować wpierw układów. Nie wiedział jeszcze, że pan Sapieha w tego rodzaju praktykach o wiele go rozumem i biegłością przenosił. Przyjechał więc do Sokółki od imienia Bogusława pan Sakowicz, podkomorzy i starosta oszmiański, dworzanin jego i przyjaciel osobisty. Przywiózł on ze sobą listy i moc zawarcia pokoju.

Ów pan Sakowicz, człek możny, który później do senatorskich godności doszedł, bo został wojewodą smoleńskim i podskarbisem Wielkiego Księstwa, był tymczasem jednym ze słynniejszych kawalerów na Litwie, a słynął zarówno z męstwa, jak i z urody. Wzrostu średniego, włos na głowie i brwiach miał czarny jak skrzydło krucze, oczy zaś miał bładoniebieskie, patrzące z dziwną i niewypowiedzianą zuchwałością, tak że Bogusław mawiał o nim, iż oczyma jakoby obuszkim uderza. Nosił się z cudzoziemską, który strój z podróży odbywanych wraz z Bogusławem przywiózł: mówił on prawie wszystkimi językami; w bitwie zaś rzucał się w największy wir tak szalenie, iż go pomiędzy przyjaciółmi „straceńcem” nazywano.

Lecz dzięki olbrzymiej sile i przytomności wychodził zawsze cało. Opowiadano o nim, że karocę w biegu, chwyciwszy za tylne koła, zatrzymywał; pić mógł bez miary. Połykał kwartę śliwek na wódce, po czym był tak trzeźwy, jakby nic w usta nie brał. Z ludźmi nieużyty, dumny, zaczepny, w Bogusławowym ręku miękł jak воск. Obyczaje miał polerowne i chociażby na pokojach królewskich umiał się znaleźć, ale przy tym i jakowąś dzikość w duszy, która wybuchała od czasu do czasu jak płomień.

Był to raczej kompanion niż sługa księcia Bogusława.

Bogusław, który naprawdę nikogo nigdy w życiu nie kochał, miał niezwalczoną słabość dla tego człowieka. Z natury skąpy wielce, dla jednego Sakowicza był hojny. Wpływami swoimi wyniósł go na podkomorstwo i udarował starostwem oszmiańskim.

Po każdej bitwie pierwszym jego pytaniem było: „Gdzie Sakowicz i czyli jakiego szwanku nie poniósł?” Na radach jego siła polegał, a używał go zarówno w wojnie, jak i do układów, w których śmiałość, a nawet bezczelność pana starosty oszmiańskiego wielce bywała skuteczna.

Teraz wysłał go do Sapiehy. Lecz misja była trudna: naprzód, że łatwo mogło paść na starostę posądzenie, iż tylko na przespiegi i tylko dla obejrzenia sapieżyńskich wojsk przyjechał; po wtóre, że poseł wiele miał do żądania, nic do ofiarowania.

Na szczęście, pan Sakowicz nie byle czym się tropił. Wszedł więc jak zwycięzca, który przyjeżdża dyktować warunki zwyciężonemu, i zaraz uderzył swymi bladymi oczyma w pana Sapiehę.

Pan Sapieha, widząc ową butę, uśmiechnął się jeno na wpół z politowaniem. Każdy człowiek śmiałością i zuchwalstwem wielce może imponować, lecz ludziom pewnej miary; hetman zaś wyższy był nad miarę pana Sakowicza.

– Pan mój, książę na Birzach i Dubinkach, koniuszy Wielkiego Księstwa i wódz naczelny wojsk jego książęcej wysokości elektora – rzekł Sakowicz – przysyła mnie z pokłonem i zapytaniem o zdrowie waszej dostojności.

– Podziękuj waszmość księciu i powiedz, iżes mnie zdrowym widział.

– Mam tu i pismo do waszej dostojności.

Sapieha wziął list, otworzył dość niedbale, przeczytał i rzekł:

– Szkoda czasu... Nie mogę wymiarkować, o co księciu chodzi... Poddajecie się li czy też chcecie szczęścia popробować?

Sakowicz udał zdumienie.

– Czy my się poddajemy? Mniemam, że książę to właśnie w liście owym proponuje waszej dostojności, ażebyś się wasza dostojność poddał; przynajmniej moje instrukcje...

Sapieha przerwał.

– O waścinyh instrukcjach pomówimy później. Mój panie Sakowicz! Gonimy za wami blisko trzydzieści mil jako ogary za zającem... Czyś waśc słyszał kiedy, by zając poddanie się ogarom proponował?

– Odebraliśmy posiłki.

– Von Kyritz z ośmiuset ludzi. Reszta tak *fatigati*, że się przed bitwą pokładą. Powiem waści, co powtarzał Chmielnicki: „szkoda howoryty!”

– Elektor z całą potęgą stanie za nas.

– To dobrze... Nie będę go potrzebował daleko szukać, bo właśnie chcę go spytać, jakim to prawem posyła wojsko w granice Rzeczypospolitej, której jest lennikiem, do wierności zobowiązanym?

– Prawem mocniejszego.

– Może w Prusiech takie prawa egzystują, u nas nie... Wreszcie, jeśliście mocniejsi, dawajcie pole!

– Dawno by książę na waszą dostojność nastąpił, gdyby nie to, że mu krwi swojackiej szkoda.

– Bodaj mu pierwej było szkoda!

– Dziwi się też książę zawziętości Sapiehów na dom Radziwiłłowski i że wasza dostojność dla prywatnej zemsty nie waha się ojczyzny krwią oblewać.

– Tfu! – zakrzyknął Kmicic słuchający za krzesłem hetmańskim rozmowy.

Pan Sakowicz wstał, podszedł ku niemu i uderzył go oczyma.

Lecz trafił swój na swego albo na lepszego, i w oczach Kmicica znalazł starosta taką odpowiedź, że wzrok spuścił ku ziemi.

Hetman brwi zmarszczył.

– Siadaj, panie Sakowicz, a waśc tam cicho!

Po czym rzekł:

– Sumienie jeno prawdę mówi, a gęba ją pozuje i kłamstwo na świat wyplunie. Ten, który z obcymi wojskami napada kraj, krzywdę zarzuca temu, który go broni. Bóg to słyszy, a niebieski kronikarz zapisuje.

– Przez nienawiść sapieżyńską do Radziwiłłów zgorzał książę wojewoda wileński.

– Zdrajców, nie Radziwiłłów nienawidzę, a najlepszy dowód, że książę krajczy Radziwiłł jest w moim obozie... Mów waśc, czego chcesz?

– Wasza dostojność, powiem, co mam w sercu: nienawidzi ten, który skrytych zbójców nasyła...

Z kolei zdumiał się pan Sapieha.

– Ja zbójców na księcia Bogusława nasyłam?

Sakowicz utkwiał straszne oczy w hetmanie i rzekł dobitnie:

– Tak jest!

– Waśc oszalałeś!

– Onegdaj złapano za Janowem człeka, zbója, który już raz do zamachu na życie księżę należał. Tortury sprawią, iż powie, kto go wysłał...

Nastąpiła chwila ciszy, lecz w tej ciszy usłyszał pan Sapieha, jak Kmicic, stojący za nim, powtórzył dwakroć przez zaciśnięte wargi:

– Gorze! gorze!

– Bóg mnie sędzi – odparł z prawdziwie senatorską powagą hetman – waćpanu ani twojemu księciu nie będę się usprawiedliwiał, boście mi na sędziów nie stworzeni. A waść, zamiast marudzić, gadaj po prostu, z czymś przyjechał i jakie księżę kondycje podaje?

– Księżę pan mój zniósł Horotkiewicza, poraził pana Krzysztofa Sapiechę, odebrał Tykocin, dlatego słusznie za zwycięzcę podawać się może i korzyści znacznych żądać. Żałując jednak rozlewu krwi chrześcijańskiej pragnie w spokoju do Prus odejść, nic więcej nie wymagając, jak żeby mu po zamkach przydia swoje wolno było zostawić. Wzięliśmy też i jeńców немало, między którymi są znaczni oficyjerowie, nie licząc panny Borzobohatej-Krasieńskiej, która już do Taurogów została odesłana. Ci mogą być w rumel wymienieni.

– Waść się zwycięstwami nie chełp, bo oto moja przednia straż, której tu obecny pan Babnicz przewodził, przez trzydzieści mil was parła... przed którą uciekając straciliście dwa razy tyle jeńców, ileście ich poprzednio wzięli; straciliście wozy, armaty, kredensy. Wojsko, znużone, z głodu wam pada, nie macie co jeść, nie wiecie, gdzie się obrócić. Waść widziałeś moje wojsko. Nie kazałem ci umyślnie oczu wiązać, abyś mógł rozpoznać, jeżeli mierzyć się z nami możecie. Co się owej panny tyczy, nie pod moją ona opieką, ale pana Zamoyskiego i księżnej Gryzeldy Wiśniowieckiej. Z nimi to policzy się księżę, krzywdę jej czyniąc. Waść zaś gadaj, co jeszcze masz do powiedzenia, a mów mądrze, bo inaczej każę zaraz panu Babniczowi następować.

Sakowicz, zamiast odpowiedzieć, zwrócił się do pana Kmicica:

– To tedy waść nas tak dojeżdżał w drodze? Musiałeś u Kmicica zbójceki proceder praktykować.

– Miarkujcie po własnej skórze, czyli dobrze praktykował!

Hetman znów brwi zmarszczył.

– Nic tu po tobie – rzekł do Sakowicza – możesz jechać.

– Wasza dostojność daj mi przynajmniej pismo do księcia pana.

– Niech i tak będzie. Poczekasz waść na pismo u pana Oskierki.

Usłyszawszy to pan Oskierko wyprowadził zaraz Sakowicza. Hetman na pożegnanie ręką mu kiwnął, po czym zwrócił się zaraz do pana Andrzeja:

– Czemuś to mówił: „gorze!”, gdy o tym schwytanym człeku była mowa? – rzekł patrząc surowo i bystro w oczy rycerza – zali nienawiść tak w tobie sumienie zgłuszyła, żeś istotnie nasadził zbója na księcia?

– Na Najświętszą Pannę, której bronilem, nie! – odrzekł Kmicic. – Nie przez cudze ręce chciałem się do jego gardła dobrać!

– Czemuś mówił: „gorze!” Znasz tego człowieka?

– Znam – odrzekł blednąc ze wzruszenia i wściekłości Kmicic. – Wyprawiłem go jeszcze ze Lwowa do Taurogów... Księżę Bogusław porwał do Taurogów pannę Billewiczównę... Miłuję tę pannę!... Mieliśmy się pobrać... Wysłałem tego człeka, ażeby mi o niej dał wiadomość... W takim ręku była...

– Uspokój się – rzekł hetman – dałeś mu jakowe listy?

– Nie... Ona by czytać nie chciała.

– Dlaczego?

– Bo jej Bogusław powiedział, iżem mu się króla porwać ofiarował...

– Wielkie są powody twojej ku niemu nienawiści. Przyznaję...

– Tak, wasza dostojność, tak!

– Czyli księżę zna tego człowieka?

– Zna. To wachmistrz Soroka... Onże mi pomagał do porwania Bogusława...

– Rozumiem – rzekł hetman. – Czekaj go pomsta książęca.  
Nastąpiła chwila milczenia.

– Książę w matni – rzekł po chwili hetman – może się zgodzić go oddać.

– Wasza dostojność! – rzekł Kmicic – niech wasza dostojność zatrzyma Sakowicza, a mnie do księcia wyśle. Może go wydobędę.

– Także ci chodzi o niego?

– Stary żołnierz, stary sługa... Na rękę mnie nosił. Siła razy życie mi ratował... Bóg by mnie skarał, gdybym go w takich terminach zaniechał.

I Kmicic drzeć począł z żalu i niepokoju, a hetman rzekł:

– Niedziwno mi, że cię żołnierze miłują, bo i ty ich miłujesz. Uczynię, co mogę. Napiszę do księcia, że mu, kogo chce, za tego żołnierza puszcze, który zresztą z rozkazu twego jako niewinne *instrumentum* działał.

Kmicic porwał się za głowę.

– Co on tam dba o jeńców, nie puści go, by i za trzydziestu.

– To i tobie go nie odda, jeszcze na twoje gardło nastąpi.

– Wasza dostojność... za jednego by go oddał: za Sakowicza.

– Sakowicza więzić nie mogę, to poseł!

– Niech go wasza dostojność zatrzyma, a ja z listem do księcia pojedę. Może wskóram... Bóg z nim! Zemsty zaniecham, byle mi tego żołnierza puścił!..

– Czekaj – rzekł hetman. – Sakowicza zatrzymać mogę. Prócz tego napiszę księciu, aby przysłał glejt bezimienny.

To rzekłszy hetman zaraz pisać zaczął. W kwadrans później Kozak skoczył z listem do Janowa, a pod wieczór wrócił z odpowiedzią Bogusława.

„Glejt na żądanie posyłam – pisał Bogusław – z którym każdy wysłaniec bezpiecznie powróci, lubo dziwno mi to, że wasza dostojność glejtu żądasz, mając u siebie jako zakładnika sługę i przyjaciela mego, pana starostę oszmiańskiego, dla którego tyle mam afektu, iżbym za niego wszystkich oficerów waszej dostojności wypuścił. Wiadomo też, że posłów nie biją i że nawet dzicy Tatarowie, którymi wasza dostojność moje chrześcijańskie wojsko wojujesz, szanować ich zwykli. Za czym bezpieczeństwo wysłańca moim osobistym książęcym słowem poręczając, piszę się etc.”

Tego jeszcze wieczora Kmicic wziął glejt, dwóch Kiemliczów i pojechał. Pan Sakowicz został jako zakładnik w Sokółce.

## ROZDZIAŁ XXXIX

Była blisko północ, gdy pan Andrzej opowiedział się pierwszym strażom książęcym, ale w całym obozie Bogusława nikt nie spał. Bitwa mogła nastąpić lada chwila, więc przygotowywano się do niej gorliwie. Wojska książęce zajmowały sam Janów, panowały nad gościńcem z Sokółki, którego pilnowała artyleria, przez biegłych elektorskich obsługiwana. Armat tam było trzy tylko, ale prochów i kul dostatek. Z obu stron Janowa, między brzeźniakami, kazał Bogusław usypać szańczyki, na nich zaś ustawić organki i piechotę. Jazda zajmowała sam Janów, gościńiec za armatami oraz przerwy między szańcami. Pozycja dość była obronna i ze świeżym ludem można się było długo i krwawo w niej bronić, lecz nowego żołnierza było tylko ośmset piechoty pod Kyritzem, reszta tak znużona, iż ledwie na nogach stała. Prócz tego wycie tatarskie słyszano w Suchowolu na północ, zatem z tyłu Bogusławowych szyków, skutkiem czego szerzył się powiew postrach między żołnierstwem. Bogusław musiał wysłać w tę stronę wszystką lekką jazdę, która uszedłszy pół mili, nie śmiała ani wracać nazad, ani iść dalej, z obawy jakowej zasadzki w lasach.

Bogusław, jakkolwiek febra w połączeniu z silną gorączką dokuczała mu więcej niż kiedykolwiek, sam wszystkim zawiadywał, że zaś na koniu z trudnością mógł usiedzieć, kazał się więc czterem drabantom nosić w otwartej lektyce. Tak zwiedził gościńiec, brzeźniaki i wracał właśnie do Janowa, gdy dano mu znać, iż wysłaniec książęcy się zbliża.

Było to już w ulicy. Bogusław nie mógł poznać Kmicica z powodu ciemnej nocy i dlatego że pan Andrzej, przez zbytek ostrożności ze strony oficerów przedniej straży, miał głowę zasłoniętą workiem, w którym tylko otwór na usta był przecięty.

Jednakże dostrzegł książę worek, gdyż Kmicic zląszy z konia stał tuż obok, więc kazał go zdjąć natychmiast.

– Tu już Janów – rzekł – i nie ma z czego czynić tajemnicy.

Po czym zwrócił się w ciemności do pana Andrzeja:

– Od pana Sapiehy?

– Tak jest.

– A co tam pan Sakowicz porabia?

– Pan Oskierko go podejmuje.

– Czemu żeście glejtu zażądali, skoro Sakowicza macie? Zbyt ostrożny pan Sapieha, i niech patrzy, aby nie przemądrał.

– To nie moja rzecz! – odparł Kmicic.

– Ale widzę, że pan poseł niezbyt mowny.

– Pismo przywiozłem, a w mojej prywatnej sprawie w kwaterze przemówię.

– To jest i prywatka?

– Znajdzie się prośba do waszej książęcej mości.

– Rad będę nie odmówić. Teraz proszę za sobą. Siadaj waść na koń. Prosiłbym do lektyki, ale za ciasno.

Ruszyli. Książę w lektyce, a Kmicic obok konno. I w ciemnościach spoglądali jeden na drugiego, nie mogąc twarzy swych wzajemnie dojrzeć. Po chwili książę, mimo futer, trząść się zaczął tak, że aż zębami kłapał. Wreszcie rzekł:

– Licho mnie napadło... żeby nie to... brr!... inne bym kondycje postawił...

Kmicic nie odrzekł nic i tylko oczami chciał przebić ciemność, wśród której głowa i twarz książęca rysowały się w niewyraźnych, szarych i białawych zarysach. Na dźwięk Bogusławowego głosu i na widok jego postaci wszystkie dawne urazy, stara nienawiść i paląca chęć zemsty wezbrały tak w jego sercu, iż zmieniły się prawie w szal... Ręka mimo woli szukała miecza, który mu odjęto, ale za pasem miał buławę o żelaznej głowie, swój znak pułkownikowski, więc diabeł począł mu zaraz wichrzyć w mózgu i szeptać:

– Krzyknij mu w ucho, ktoś jest, i rozbij łeb w drzazgi... Noc ciemna... wydostaniesz się... Kiemlicze z tobą. Zdrajcę zgładzisz, za krzywdy zapłacisz... Uratujesz Oleńkę, Sorokę... Bij! Bij!...

Kmicic zbliżył się jeszcze bliżej do lektyki i drżącą ręką począł wyciągać zza pasa buzdygan.

– Bij!... – szeptał diabeł. – Ojczyźnie się przysłużysz...

Kmicic wyciągnął już buławę i ścisnął za rękojeść, jakby ją chciał rozgnieść w dłoni.

– Raz, dwa, trzy!.. – szepnął diabeł.

Lecz w tej chwili koń jego, czy to że uderzył nozdrzami w hełm drabanta, czy przestraszył się, dość, że zarył nagle kopytami w ziemię, potem potknął się silnie; Kmicic poderwał go cugłami. Przez ten czas lektyka oddaliła się o kilkanaście kroków.

A junakowi włos stanął dębem na głowie.

– Matko Najświętsza, trzymaj mi rękę! – szepnął przez zaciśnięte zęby. – Matko Najświętsza, ratuj! Jam tu poseł, ja od hetmana przyjeżdżam, a chcę jako zbój nocny mordować... Jam szlachcic, jam sługa Twój... Nie wódźże na pokuszenie!

– A czego to waść marudzisz? – ozwał się przerywany przez febrę głos Bogusława.

– Jestem już!

– Słyszysz waść... kury po zapłociach pieją... Trzeba się spieszyć, bom też chory i odpocznienia potrzebuję.

Kmicic zasadził buzdygan za pas i jechał dalej w pobliżu lektyki. Jednakże nie mógł odzyskać spokoju. Rozumiał, że tylko zimną krwią i panowaniem nad sobą zdoła uwolnić Sorokę; dlatego układał sobie z góry, jakimi słowami ma przemówić do księcia, aby go skłonić i przekonać. Przysięgał więc sobie, że tylko Sorokę mieć będzie na uwadze, że o niczym innym ani wspomni, a zwłaszcza o Oleńce.

I czuł, jak w ciemności gorące rumieńce oblewają mu twarz na myśl, że może sam księżę wspomni o niej, a może wspomni coś takiego, czego nie będzie mógł pan Andrzej przetrzymać ani wysłuchać.

– Niechże jej nie tyka – mówił sobie w duszy – niech jej nie tyka, bo w tym jego śmierć i moja... Niech nad sobą samym ma miłosierdzie, jeżeli mu sromu nie starczy...

I cierpiał okrutnie pan Andrzej; w piersiach nie stawało mu powietrza, a gardło tak miał ściśnięte, iż bał się, że gdy przyjdzie mówić, słowa nie zdoła z siebie wydobyć. W tym ucisku dusznym począł litanię odmawiać.

Po chwili przyszła nań ulga, uspokoił się znacznie i owa niby obręcz żelazna, która gniołła mu krtań, sfolzała.

Tymczasem przyjechali do książęcej kwatery. Drabanci postawili lektykę; dwóch rękodajnych dworzan wzięło księcia pod ramiona; on zaś zwrócił się do Kmicica i szcękając ciągle zębami, rzekł:

– Proszę za sobą... Paroksyzm zaraz minie... Będziem się mogli rozmówić.

Jakoż po chwili znaleźli się obaj w osobnej komnacie, w której na kominie żarzyły się kupy węgla i gorąco było nieznośnie. Tam ułożono księcia Bogusława na długim polowym krześle, okryto futrami i przyniesiono światło. Za czym dworzanie oddalili się, księżę zaś przechylił w tył głowę, przymknął oczy i tak pozostał czas jakiś nieruchomy.

Wreszcie rzekł:

– Zaraz... niech odpocznę...

Kmicic patrzył na niego. Księżę nie zmienił się wiele, jeno febra ściągnęła mu twarz. Ubielony był jak zwykle i na jagodach pomalowany barwiczką, ale właśnie dlatego, gdy leżał tak z zamkniętymi oczyma i z głową przechyłoną, podobny był trochę do trupa albo woskowej figury.

Pan Andrzej stał przed nim w świetle świecznika. Książęce powieki począły się otwierać leniwie, nagle otworzyły się zupełnie i jakoby płomień przeleciał mu przez twarz. Lecz trwało to przez okamgnienie, po czym znów zamknął oczy.

– Jeśliś jest duch, nie boję się ciebie – rzekł – ale przepadnij!

– Przyjechałem z pismem od hetmana – odpowiedział Kmicic.  
 Bogusław wzdygnął się nieznacznie, jakoby się chciał z mar otrząsnąć; następnie popatrzył na Kmicica i ozwał się:  
 – Chybiłem waćpana?  
 – Nie ze wszystkim – odpowiedział ponuro pan Andrzej ukazując palcem na bliźnę.  
 – To już drugi!... – mruknął na wpeł do siebie książę.  
 I głośno dodał:  
 – Gdzie jest pismo?  
 – Jest – odrzekł Kmicic podając list.  
 Bogusław począł czytać, a gdy skończył, dziwne światła błysnęły mu w oczach.  
 – Dobrze! – wyrzekł – dość marudztwa!... Jutro bitwa... I rad jestem, bo jutro febry nie mam.  
 – I u nas po równo radzi – odparł Kmicic.  
 Nastąpiła chwila milczenia, w czasie której dwóch tych nieubłaganych wrogów mierzyło się oczyma z pewną straszliwą ciekawością.  
 Książę pierwszy począł rozmowę:  
 – Zgaduję, że to waść mnie tak dojeżdżał z Tatory?...  
 – Ja...  
 – A żeś to nie bał się tu przyjechać?..  
 Kmicic nie odrzekł nic.  
 – Chybaś na pokrewieństwo przez Kiszaków liczył... Bo to my mamy ze sobą rachunki... Mogę cię, panie kawalerze, kazać ze skóry obdrzeć.  
 – Możesz, wasza książęca mość.  
 – Przyjechałeś z glejtem, prawda... Rozumiem teraz, dlaczego pan Sapieha go żądał... Aleś na życie moje nastawał... Tam Sakowicz zatrzymany; wszelako... pan wojewoda nie ma prawa do Sakowicza, a ja do ciebie mam... kuzynie...  
 – Przyjechałem z prośbą do waszej książęcej mości...  
 – Proszę! Możesz liczyć, że dla ciebie wszystko uczynię... Jakaż to prośba?  
 – Jest tu schwytyany żołnierz, jeden z tych, którzy mi pomagali waszą książęcą mość porwać. Ja dawałem rozkazy, on działał jako ślepe *instrumentum*. Tego żołnierza zechciej wasza książęca mość na wolność wypuścić.  
 Bogusław pomyślał chwilę.  
 – Panie kawalerze – rzekł – namyślałem się, czyś lepszy żołnierz, czy też bezczelniejszy suplikant...  
 – Ja tego człowieka darmo od waszej książęcej mości nie chcę.  
 – A co mi za niego dajesz?  
 – Samego siebie.  
 – Proszę, takiż to *miles praeciosus*?... Hojnie płacisz, ale bacz, by ci starczyło, boć jeszcze pewnie kogoś chciałbyś ode mnie wykupić...  
 Kmicic posunął się o krok bliżej i pobladł tak straszliwie, iż książę mimo woli spojrział na drzwi i mimo całej swej odwagi zmienił przedmiot rozmowy.  
 – Pan Sapieha na takowy układ nie przystanie – rzekł. – Rad bym cię miał, alem słowem książęcym za bezpieczeństwo twoje zaręczył.  
 – Przez tego żołnierza odpiszę panu hetmanowi, że dobrowolnie zostałem.  
 – A on zażąda, bym cię wbrew twej woli odesłał. Zbyt znaczne oddałeś mu posługi... I Sakowicza mi nie puści, a Sakowicza więcej cenię niż ciebie...  
 – To uwolnij wasza książęca mość i tak tego żołnierza, a ja się na parol stawię, gdzie rozkażesz.  
 – Jutro może mi legnąć przyjdzie. Nic mi po układach na pojutrze...  
 – Błagam waszą książęcą mość! Za tego człowieka ja...  
 – Co ty?



– Zemsty poniecham.

– Widzisz, panie Kmicic, siła razy chodziłem na niedźwiedzia z oszczepem, nie dlatego, że musiał, ale z ochoty. Lubie, gdy mi jakowe niebezpieczeństwo grozi, bo mi się życie mniej kuczy. Owóż i twoją zemstę jako uciechę sobie zostawuję, ile że ci przyznać muszę, żeś z takowych niedźwiedzi, co to same strzelca szukają.

– Wasza książęca mość – rzekł Kmicic – za małe miłosierdzie często Bóg wielkie grzechy odpuszcza. Nikt z nas nie wie, kiedy mu przed sądem Chrystusowym stanąć przyjdzie.

– Dosyć! – przerwał książę. – Ja też sobie psalmy mimo febrę komponuję, żeby jakowąś zaślugę mieć przed Panem, a potrzebowałby mi predykanta, to bym swego zawołał... Waś nie umiesz prosić dość pokornie i na manowce leziesz... Ja ci sam podam sposób: uderz jutro w bitwie na pana Sapiehę, a ja pojutrze tego gemajna wypuszczę i tobie winy przebaczę... Zdradziłeś Radziwiłłów, zdradźże Sapiehę...

– Ostatnie-li to słowo waszej książęcej mości?... Na wszystko święte zaklinam waszą książęcą mość...

– Nie! Diabli cię biorą, dobrze!... I na twarzy się mienisz... Nie przychodź jeno za blisko, bo chociaż ludzi mi wstyd wołać... ale patrz tu! Zbyt niś rezolut!

To rzekłszy Bogusław ukazał spod futra, którym był okryty, lufę pistoletu i począł patrzeć iskrzącymi oczyma w oczy Kmicica.

– Wasza książęca mość! – zakrzyknął Kmicic składając wprawdzie ręce jak do prośby, ale z twarzą przez gniew zmienioną.

– To prosisz, a grozisz?... – rzekł Bogusław – kark zginasz, a diabeł ci z za kołnierza zęby do mnie szczyrzy?... To pycha ci z ócz błyska, a w gębie grzmi jak w chmurze? Czołem do radziwiłłowskich nóg przy prośbie, mopanku!.. Łbem o podłogę bić! wówczas ci odpowiem!...

Twarz pana Andrzeja blada była jak chusta, ręką pociągnął po mokrym czole, po oczach, po twarzy i odrzekł tak przerywanym głosem, jak gdyby febra, na którą cierpiał książę, nagle rzuciła się na niego.

– Jeżeli wasza książęca mość tego starego żołnierza mi wypuści... to... ja... wasze i książęcej mości... paść do... nóg... gotów...

Zadowolenie błysnęło w Bogusławowych oczach. Wroga upokorzył, dumny kark zgiął. Lepszego pokarmu nie mógł dać zemście i nienawiści.

Kmicic stał zaś przed nim z włosiem zjeżonym w czuprynie, dygocący na całym ciele. Twarz jego, nawet w spokoju do głowy jastrzębiej podobna, przypominała tym bardziej drapieżnego i rozwścieczonego ptaka. Nie zgadłeś, czy za chwilę rzuci się do nóg, czy do piersi książęcej...

A Bogusław, nie spuszczać go z oka, rzekł:

– Przy świadkach! przy ludziach!

I zwrócił się ku drzwiom:

– Bywaj!

Przez otwarte drzwi weszło kilkunastu dworzan, Polaków i cudzoziemców. Za nimi poczęli wchodzić oficerowie.

– Mości panowie! – rzekł książę – oto pan Kmicic, chorąży orszański i poseł od pana Sapiehy, ma mnie o łaskę prosić i chce wszystkich waszmościów mieć za świadków!...

Kmicic zatoczył się jak pijany, jęknął i padł do nóg Bogusławowych.

A książę wyciągnął je umyślnie tak, że koniec jego rajtarskiego buta dotykał czoła rycerza.

Wszyscy patrzyli w milczeniu, zdumieni słynnym nazwiskiem, jak i tym, że ów, który je nośił, był teraz posłem od pana Sapiehy. Wszyscy rozumieli też, że dzieje się coś nadzwyczajnego.

Tymczasem książę wstał i nie rzekłszy ni słowa przeszedł do przyległej komnaty, kiwnął tylko na dwóch dworzan, żeby szli za nim.

Kmicic podniósł się. W twarzy jego nie było już gniewu ni drapieżności, tylko nieczułość i obojętność. Zdawało się, iż nie rozoznaje wcale, co się z nim dzieje, i że energia jego złamała się zupełnie.

Ułynęło pół godziny, godzina. Za oknem słycać było tętent kopyt końskich i miarowe kroki żołnierzy, on siedział ciągle, jakby kamienny.

Nagle otworzyły się drzwi do przysionka. Wszedł oficer, dawny znajomy Kmicica z Birż, i ośmiu żołnierzy, czterech z muszkietami, czterech bez strzelb, tylko przy szablach.

– Mości pułkowniku, powstań waszmość! – rzekł grzecznie oficer.

Kmicic popatrzył na niego błędnie.

– Głowbicz... – rzekł poznając oficera.

– Mam rozkaz – odparł Głowbicz – związać waszej mości ręce i wyprowadzić za Janów. Na czas to wiązanie, później odjedziesz wasza mość wolno... Dlatego proszę waszej mości nie stawiać oporu...

– Wiąź! – odrzekł Kmicic.

I pozwolił się bez oporu skrępować. Ale nóg mu nie wiązano. Oficer wyprowadził go z komnaty i wiódł piechotą przez Janów. Za czym szli jeszcze z godzinę. Po drodze przyłączyło się kilku jezdnych. Kmicic słycał, że rozmawiają po polsku, Polacy bowiem, którzy jeszcze służyli u Bogusława, znali wszyscy nazwisko Kmicica i dlatego najciekawszy byli, co się z nim stanie. Orszak minął brzeźniak i znalazł się w pustym polu, na którym ujrzał pan Andrzej oddział lekkiej polskiej chorągwi Bogusławowej.

Żołnierze stali szeregiem w kwadrat, w środku był majdan, na nim dwóch tylko piechurów trzymających konie, ubrane w szleje, i kilkunastu ludzi z pochodniami.

Przy ich blasku ujrzał pan Andrzej pał świeżo zaostrzony, leżący poziomo i przymocowany drugim końcem do grubego pnia drzewa.

Kmicica mimo woli dreszcze przeszły.

„To dla mnie – pomyślał – końmi mnie każe na pał nawlec... Dla zemsty Sakowicza poświęca!”

Lecz mylił się, pał przeznaczony był przede wszystkim dla Soroki.

Przy migocących płomykach dojrzał pan Andrzej samego Sorokę; stary żołnierz siedział tuż obok pnia na zydłu bez czapki i ze skrępowanymi rękoma, pilnowany przez czterech żołnierzy. Jakiś człek, ubrany w półkożuszek bez rękawów, podawał mu w tej chwili gorzałkę w płaskim kubku, którą Soroka pił dość chciwie. Wypiwszy splunął, a że w tej właśnie chwili postawiono Kmicica między dwoma konnymi w pierwszym szeregu, więc żołnierzysko dojrzał go, zerwał się z zydła i wyprostował się jakby na paradzie wojskowej.

Przez chwilę patrzyli na się obaj. Soroka twarz miał dość spokojną i zrezygnowaną, poruszał tylko szczękami, jak gdyby żuł.

– Soroka... – jęknął wreszcie Kmicic.

– Wedle rozkazu! – odpowiedział żołnierz.

I znowu nastąpiło milczenie. Cóż mieli mówić w takiej chwili! Wtem oprawca, który podawał poprzednio Soroce wódkę, zbliżył się do niego.

– No, stary – rzekł – czas na cię.

– A prosto nawłóćcie!

– Nie bój się.

Soroka nie bał się, ale gdy uczył na sobie ramię oprawcy, począł sapać szybko i głośno, narreszcie rzekł:

– Gorzałki jeszcze...

– Nie ma!

Nagle jeden z żołnierzy wysunął się z szeregu i podał blaszankę.

– Jest. Dajcie mu!

– Do ordynku! – zakomenderował Głowbicz.

Jednakże człek w kożusku przechylił manierkę do ust Soroki, on zaś pił obficie, a wypwszy odetchnął gęboko.

– Ot! – rzekł – żołnierski los, za trzydzieści lat służby... Nu, czas to czas!

Drugi oprawca zbliżył się i poczęto go rozbierać.

Nastąpiła chwila ciszy.

Pochodnie drżały w rękach trzymających je ludzi. Wszystkim uczyniło się straszno.

Wtem pomruk zerwał się wśród otaczających majdan szeregów i stawał się coraz głośniejszy. Żołnierz nie kat. Sam zadaje śmierć, lecz widoku męki nie lubi.

– Milczeć! – krzyknął Głowbicz.

Pomruk zmienił się w gwar głośny, w którym brzmiały pojedyncze słowa: „diabli!”, „pioruny!”, „pogańska służba!...”

Nagle Kmicic krzyknął tak, jakby jego samego na pal nawłóczono:

– Stój!

Oprawcy wstrzymali się mimo woli. Wszystkie oczy zwróciły się na Kmicica.

– Żołnierze! – krzyknął pan Andrzej. – Książę Bogusław zdrajca przeciw królowi i Rzeczypospolitej! Was otoczono i jutro w pień wycięci będziecie! Zdraycy służycie! Przeciw ojczyźnie służycie! Ale kto służbę porzuci, zdrajcę porzuci, temu przebaczenie królewskie, przebaczenie hetmańskie!... Wybierajcie! Śmierć i hańba albo nagroda jutro! Lafę wypłacę i dukat na głowę, dwa na głowę!... Wybierajcie!! Nie wam, godnym żołnierzom, zdrajcy służyć! Niech żyje król! Niech żyje hetman wielki litewski!

Gwar przeszedł w huk. Szeregi złamały się.

Kilkanaście głosów krzyknęło:

– Niech żyje król!

– Dość służby!

– Na pohybel zdrajcy!

– Stać! stać! – wrzeszczały inne głosy.

– Jutro wam w hańbie umierać! – ryczał Kmicic.

– Tatarzy w Suchowolu!

– Książę zdrajca!

– Przeciw królowi wojuję!

– Bij!

– Do księcia!

– Stój!

W zamieszaniu jakaś szabla przecięła powrozy krępujące ręce Kmicica. Ten zaś skoczył w tej chwili na jednego z owych koni, które Sorokę na pal naciągnąć miały, i krzyknął już z konia:

– Za mną do hetmana!

– Idę! – wrzasnął Głowbicz. – Niech żyje król!

– Niech żyje! – odpowiedziało pięćdziesiąt głosów i pięćdziesiąt szabel błysnęło jednocześnie.

– Na koń Sorokę! – zakomenderował znowu Kmicic.

Byli tacy, którzy opierać się chcieli, lecz na widok gołych szabel umilkli. Jeden wszelako zawrócił konia i znikł po chwili z oczu. Pochodnie zgasty. Ciemność ogarnęła wszystkich.

– Za mną! – rozległ się głos Kmicica.

I kłęb ludzi bezładny ruszył z miejsca, potem wyciągnął się w długiego węża.

Ujechawszy dwie lub trzy staje, trafili na strażę piechurów, których większe masy zajmowały brzeźniak leżący z lewej strony.

– Kto idzie? – ozwały się głosy.

– Głowbicz z podjazdem!

– Hasło?

– Trąby!

– Przechodź!

I przejechali nie spiesząc się zbytnio; następnie puścili się rysią.

– Soroka! – rzekł Kmicic.

– Wedle rozkazu! – ozwał się obok głos wachmistrza.  
Kmicic nie mówił nic więcej, tylko wyciągnąwszy rękę, wsparł dłoń na głowie wachmistrza – jakby się chciał przekonać, czy jedzie obok.  
Żołnierz przycisnął w milczeniu tę dłoń do ust.  
Wtem ozwał się Głowbicz z drugiego boku:  
– Wasza miłość! dawnom to chciał uczynić, co teraz czynię.  
– Nie pożałujecie!  
– Całe życie będę waszej miłości wdzięczny!  
– Słuchaj, Głowbicz, czemu to ksiązę was wysłał, nie cudzoziemski regiment, na egzekucję?  
– Bo chciał waszą miłość przy Polakach pohańbić. Obcy żołnierz nie zna waszej miłości.  
– A mnie nic nie miało się stać?  
– Waszej miłości miałem rozkaz powrozy rozciąć. Gdyby zaś wasza miłość porwała się do obrony Soroki, mieliśmy ją przed księciem dostawić po ukaranie.  
– Więc i Sakowicza chciał poświęcić – mruknął Kmicic.  
Tymczasem w Janowie ksiązę Bogusław, zmożon febrą i dziennym trudem, spać już poszedł. Ze snu głębokiego rozbudził go rejwach przed kwaterą i pukanie do drzwi.  
– Wasza ksiązęca mość! wasza ksiązęca mość! – wołało kilka głosów.  
– Śpi! nie budzić – odpowiadali paziowie.  
Lecz ksiązę siadł na łożu i krzyknął:  
– Światła!  
Wniesiono światło, jednocześnie z nim wszedł oficer służbowy.  
– Wasza ksiązęca mość! – rzekł – poseł sapieżyński pobuntował Głowbiczową chorągiew i odprowadził ją do hetmana.  
Nastała chwila ciszy.  
– Bić w kotły i w bębny – ozwał się wreszcie Bogusław – niech wojsko w szyku staje!  
Oficer wyszedł, ksiązę pozostał sam.  
– To straszny człek! – rzekł sam do siebie.  
I ucuł, że chwyta go nowy paroksyzm febry.

## ROZDZIAŁ XL

Łatwo sobie wyobrazić zdziwienie pana Sapiehy, gdy Kmicic nie tylko wrócił sam bezpiecznie, lecz przywiódł ze sobą kilkadziesiąt koni i starego sługę. Kmicic po dwakroć musiał opowiadać hetmanowi i panu Oskierce, jak i co się stało, oni zaś słuchali z ciekawością, bijąc często w dłonie i za głowę się biorąc.

– Uważ z tego – rzekł hetman – że kto w zemście przesadzi, temu się ona częstokroć jako ptak z palców wychynie. Książę Bogusław Polaków jako świadków twej hańby i męki mieć chciał, aby cię gorzej sponiewierać, i przesadził. Ale się z tego nie chelp, bo to zrządzenie boskie dało ci wiktoryę, chociaż, swoją drogą, to jedno ci powiem: on diabeł, aleś i ty diabeł! Żle książę uczynił, że cię spostonował.

– Ja go nie spostonuję i w zemście, da Bóg, nie przesadzę!

– Niechaj jej całkiem, jako Chrystus niechał, chociaż Bogiem będąc mógł jednym słowem Żydowinów pograć.

Kmicic nie odrzekł nic, bo też i nie było czasu na rozprawę; nie było nawet i na wypoczynek. Rycerz był znużon śmiertelnie, a jednak tej nocy jeszcze postanowił jechać do swoich Tatarów, którzy za Janowem stali w lasach i na gościńcach z tyłu wojsk Bogusławowych. Ale ówcześni ludzie dobrze sypiali na kulbakach. Kazał więc tylko pan Andrzej konia świeżego siodłać obiecując sobie, że się przez drogę smaczno wydrzemie.

Na samym wsiadającym przyszedł do niego Soroka i wyprostował się po służbie.

– Wasza miłość! – rzekł.

– A co powiesz, stary?

– Przyszedłem spytać, kiedy mi jechać?

– Dokąd?

– Do Taurogów.

Kmicic rozśmiał się.

– Nie pojedziesz wcale do Taurogów, pojedziesz ze mną.

– Wedle rozkazu! – odpowiedział wachmistrz starając się nie pokazać po sobie ukontentowania.

Jakoż pojechali razem. Droga była długa, bo należało okładać lasami, aby nie wpaść na Bogusława, za to Kmicic i Soroka wyspali się setnie i bez żadnej przygody przybyli do Tatarów.

Akbah-Ułan stawił się zaraz przed Babiniczem i zdał mu relację ze swych czynności. Pan Andrzej kontent z nich był: wszystkie mosty zostały popalone, groble poniszczone; nie dość na tym: wody z wiosną rozlały zmieniwszy pola, łąki i niższe drogi w grząskie błoto.

Bogusław nie miał innego wyboru, jak bić się, zwyciężyć lub zginąć. O odwrocie niepodobna mu było myśleć.

– Dobrze – rzekł Kmicic – zacną ma rajtarię, ale ciężką. Nie będzie z niej na dzisiejsze błota użytku.

Po czym zwrócił się do Akbah-Ułana.

– Schudłeś! – rzekł uderzając go w brzuch pięścią – ale po bitwie dukatami książęcymi sobie kałdun napełnisz.

– Bóg stworzył nieprzyjaciół, aby mężowie wojenni łup z kogo brać mieli – odrzekł poważnie Tatar.

– A jazda Bogusławowa stoi przeciw wam?

– Jest ich kilkaset koni dobrych, a wczoraj nadesłano im regiment piechoty i okopali się.

– Zaśby ich nie można w pole wywabić?

– Nie wychodzą.

– A obejść i zostawić, aby się do Janowa dostać?

– Na drodze leżą.

- Trzeba będzie coś obmyślić!
- To rzekłszy Kmicic począł się ręką gładzić po czuprynie.
- Próbowaliście podchodzić? Jak daleko wypadają za wami?
- Na staję, dwa... dalej nie chcą.
- Trzeba będzie coś obmyślić! – powtórzył Kmicic.

Lecz tej nocy nic już nie obmyślił. Za to nazajutrz podjechał z Tatarzy pod obóz, leżący między Suchowolem a Janowem, i rozpoznał, że Akbah-Ułan przesadzał mówiąc, że piechota okopała się z tej strony, były tam bowiem tylko szańczyki, nic więcej. Można się było z nich długo bronić, zwłaszcza przeciw Tatarom, którzy nieskoro szli wprost na ogień do ataku, ale nie można było myśleć o wytrzymaniu jakiegokolwiek oblężenia.

„Gdybym miał piechotę – pomyślał Kmicic – poszedłbym na dym...”

Lecz o sprowadzeniu piechoty trudno było i marzyć, bo naprzód, pan Sapieha sam nie miał jej do zbytku, po wtóre, czasu na ściągnięcie jej brakło.

Kmicic podjechał tak blisko, iż piechurowie Bogusławowi zaczęli do niego ognia dawać, lecz on nie zważał na to, jeździł między kulami, rozpatrywał się, oglądał, a Tatarowie, choć na ogień mniej wytrzymali, musieli mu dotrzymywać kroku. Potem zasię wypadła jazda i zajęła go z boku. On umknął się, poszedł trzy tysiące kroków i wraz ku nim zawrócił.

Lecz oni zwrócili także z miejsca ku szańczykom. Na próżno Tatarowie wypuścili za nimi chmurę strzał. Spadł tylko jeden człek z konia, a i to zabrali go i ponieśli.

Kmicic w powrocie, zamiast jechać wprost do Suchowola, rzucił się ku zachodowi i dotarł do Kamionki.

Bagnista rzeka rozlała szeroko, bo wiosna była nad podziw w wody obfita. Kmicic popatrzył na rzekę, rzucił w wodę kilkanaście pokruszonych gałązek, aby bystrość prądu wymiarkować, i rzekł do Ułana:

- Tędy ich bokiem obejdziemy i z tyłu na nich uderzym.
- Pod wodę konie nie popłyną.
- Leniwo idzie. Popłyną! Ta woda prawie stoi.
- Konie skostnieją i ludzi nie utrzymają. Zimno jeszcze.
- Ludzie popłyną za ogonami. To wasz tatarski proceder.
- Ludzie skostnieją.
- Rozgrzeją się w ogniu.
- Kiszmet!

Nim zmroczyło się na świecie, Kmicic kazał naciąć pęki łożyny, zwiedłego sitowia, trzciny i poprzywiązywać koniom do boków.

Przy pierwszej gwiazdzie rzucił w wodę około ośmiuset koni i zaczęli płynąć. On sam płynął na czele, lecz wkrótce zmiarkował, że tak wolno posuwają się naprzód, iż za dwa dni nie przepłyną poza szańce.

Wówczas kazał się przepawić na drugi brzeg.

Niebezpieczne to było przedsięwzięcie. Drugi brzeg był prosty i bagnisty. Konie, choć lekkie, lgnęły po brzuchy. Lecz posuwali się naprzód, lubo wolno i ratując jeden drugiego.

Tak szli parę staj.

Gwiazdy pokazywały północ. Wtem od południa doszły ich echa dalekiej palby.

- Bitwa poczęta! – krzyknął Kmicic.
- Potoniem! – odpowiedział Akbah-Ułan.
- Za mną!

Tatarzy nie wiedzieli, co czynić, gdy nagle spostrzegli, iż koń Kmicicowy wynurzył się z błota, trafiwszy widocznie na twardy grunt.

Jakoż zaczęła się ława piasku. Po wierzchu było wody do piersi końskich, lecz grunt pod spodem twardy. Szli zatem żwawiej. Na lewo mignęły im dalekie ognie!

- To szańce! – rzekł cicho Kmicic. – Mijamy! obejdziemy!

Po chwili minęli szańce istotnie. Wówczas zwrócili na lewo i wparli znów bachmaty w rzekę, aby wylądować za szanćami.

Przeszło sto koni ulgnęło tuż przy brzegu. Lecz ludzie wydostali się na brzeg prawie wszyscy. Kmicic kazał spieszonym siadać za jeźdnymi i ruszył ku szancom. Poprzednio zostawił był dwustu wolentarzy z rozkazem, by niepokoiili szańce z przodu przez ten czas, gdy im będzie tył zachodził. Jakoż zbliżywszy się usłyszał strzały zrazu rzadkie, potem coraz gęstsze.

– Dobrze! – rzekł – tamci atakują!

I ruszyli.

W ciemności widać było tylko gromadę głów podskakujących pod miarę końskiego chodu; szabla nie zabrzękła, zbroja nie zadzwoniła, Tatarzy i wolentarze umieli iść tak cicho jak wilcy.

Od strony Janowa palba stawała się coraz potężniejsza, widoczne było, że pan Sapieha nastąpił na całą linię.

Lecz na szanćkach, ku którym dążył Kmicic, brzmiały także okrzyki. Kilka stosów drzewa paliło się na nich, rozrzucając blask silny. Przy onym blasku dojrzał pan Andrzej piechurów strzelających z rzadka, więcej patrzących przed się w pole, na którym jazda ucierała się z wolentarzami.

Dojrzano i jego ze szanców, lecz zamiast strzałami, przywitano nadciągający oddział gromkim okrzykiem. Żołnierze sądzili, że to ksiązę Bogusław przysyła im pomoc.

Lecz gdy zaledwie sto kroków dzieliło nadjeżdżającą gromadę od szanców, piechota poczęła ruszać się w nich niespokojnie; coraz więcej żołnierzy, przykrywając rękoma czoła, patrzyło, co za lud nadjeżdża.

Wtem na kroków pięćdziesiąt straszliwe wycie targnęło powietrzem i oddział rzucił się jak burza, ogarnął piechotę, otoczył ją pierścieniem i cała ta masa ludzi poczęła się poruszać konwulsyjnie. Rzekłbyś: olbrzymi wąż dusi upatrzoną ofiarę.

W kupie owej brzmiały rozdzierające wrzaski: – *Alla! Herr Jesus! Mein Gott!*

Za szanćami brzmiały nowe okrzyki, bo wolentarze, choć w słabszej liczbie, poznawszy, iż pan Babinicz już w szanćach, natarli z wściekłością na jazdę. Tymczasem niebo, które chmurzyło się już od niejakiego czasu, jako zwyczajnie na wiosnę, lunęło gęstym niespodzianym dżdem. Stosy płonące zagasły i walka trwała w ciemnościach.

Lecz nie trwała już długo. Napadnięci znieacka Bogusławowi piechurowie poszli pod nóż. Jazda, w której dużo było swoich ludzi, złożyła broń. Obcych, mianowicie sto dragonii, w pień wycięto.

Gdy księżyc wychynął się znów zza chmur, oświecił tylko gromady Tatarów docinających rannych i biorących łup.

Lecz nie trwało to długo. Rozległ się przeraźliwy głos piszczałki: Tatarzy i wolentarze jak jeden człowiek skoczyli na koń.

– Za mną! – krzyknął Kmicic.

I poprowadził ich jak wichur do Janowa.

W kwadrans później podpalono nieszczęsną osadę w czterech rogach, a w godzinę jedno morze płomieni rozlało się tak szeroko, jak starczyło Janowa. Nad pożogą wylatywały ku czerwonemu niebu słupy skier ognistych.

Tak pan Kmicic dawał znać hetmanowi, iż wziął tył Bogusławowemu wojsku.

Sam zaś, jak kat od krwi ludzkiej czerwony, szykował wśród płomieni swych Tatarów, aby powieść ich dalej.

Już stanęli w ordynku i wyciągnęli się w ławę, gdy nagle, na polu oświeconym jak w dzień pożarem, ujrzeli przed sobą oddział olbrzymiej rajtarii elektorskiej.

Wiódł ją rycerz, widny z daleka, bo w srebrne blachy ubrany i siedzący na białym koniu.

– Bogusław! – ryknął nieludzkim głosem Kmicic i runął z całą tatarską ławą naprzód.

Szli więc ku sobie jako dwie fale dwoma wichrami gnane. Przestrzeń dzieliła ich znaczna, więc konie po obu stronach wzięły pęd największy i szły ze stulonymi uszami wyciągnięte jak

charty, ziemię niemal brzuchami szorując. Z jednej strony lud olbrzymi, w błyszczących kiry-sach, z prostymi szablami wyniesionymi w prawicach ku górze, z drugiej szara ćma tatarska.

Wreszcie zderzyli się długą ławą na widnym polu, lecz wówczas stało się coś strasznego. Tatarska ćma padła jak łan położony wichrem; olbrzymi lud przejechał po niej i leciał dalej, jakoby ludzie i konie mieli siłę gromów, a skrzydła burzy.

Po niejakiem czasie zerwało się kilkudziesięciu Tatarów i poczęło ich ścigać. Po dziczy można przejechać, lecz zgnieść jej jednym przejazdem niepodobna. Toteż coraz więcej ludzi dążyło za uciekającą rajtarią. Arkany poczęły świstać w powietrzu.

Lecz na czele uciekających jeździec na białym koniu biegł ciągle w pierwszym szeregu, a między ścigającymi nie było Kmicica.

Szarym rankiem poczęli dopiero powracać Tatarowie i każdy niemal wiódł na arkanie rajtara. Wnet znaleźli Kmicica i bezprzytomnego odwieźli do pana Sapiehy.

Hetman sam siedział nad jego łóżem. O południu otworzył pan Andrzej oczy.

– Gdzie Bogusław? – były jego pierwsze słowa.

– Zniesion ze szczętem... Bóg pofortuniał mu z początku, więc wyszedł z brzeźniaków i w gołym polu wpadł na piechoty pana Oskierki, tam utracił ludzi i wiktoryę... Nie wiem, czy pięćset ludzi nawet uszło, bo siła jeszcze twoi Tatarzy wyłapali.

– A onże sam?

– Uszedł.

Kmicic pomilczał chwilę i rzekł:

– Jeszcze mi się z nim nie mierzyć. Ciął mnie koncerzem w głowę i obalił razem z koniem... Szczęściem misiurka z cnotliwej stali nie puściła, alem zemdłał.

– Tę misiurkę powinieneś w kościele powiesić.

– Będziem go ścigali choćby na kraj świata! – rzekł Kmicic.

Na to hetman:

– Patrzaj, jaką wiadomość dziś odebrałem po bitwie.

I podał mu list.

Kmicic przeczytał w głos następujące słowa:

„Król szwedzki ruszył z Elbląga, idzie na Zamość, stamtąd na Lwów, na króla. Przybywaj, Wasza Dostojność, z wszystką potęgą na ratunek Panu i Ojczyźnie, bo sam nie wytrzymam. – Czarniecki.”

Nastąpiła chwila milczenia.

– A ty ruszysz z nami czy pójdiesz z Tatary do Taurogów? – spytał hetman.

Kmicic zamknął oczy. Wspomniał na słowa księdza Kordeckiego, na to, co mu Wołodyjowski o Skrzetuskim powiadał, i odrzekł:

– Na potem prywaty! Przy ojczyźnie chcę się nieprzyjacielowi oponować!

Hetman ścisnął go za głowę.

– Toś mi brat! – rzekł – a zem stary, przyjm moje błogosławieństwo...

## KONIEC TOMU DRUGIEGO



## **TOM III**

## ROZDZIAŁ I

W czasie gdy w Rzeczypospolitej wszystko, co żyło, siadało na koń, Karol Gustaw bawił ciągle w Prusach, zajęty zdobywaniem tamtejszych miast i układami z elektorem. Po łatwym i nadszpiewanym podboju bystry wojownik wprędce się opatrzył, iż szwedzki lew pożarł więcej, niż trzewia jego znieść zdołają. Po powrocie Jana Kazimierza stracił nadzieję utrzymania Rzeczypospolitej, lecz wyrzekając się w duszy całości, chciał przynajmniej jak największą część zdobyczy zatrzymać, a przede wszystkim Prusy Królewskie, prowincję do jego Pomorza przyległą, żyzną, wielkimi miastami usianą, bogatą.

Lecz ta prowincja, jak pierwsza zaczęła się bronić, tak dotychczas stała wytrwale przy dawnym panu i Rzeczypospolitej. Powrót Jana Kazimierza i rozpoczęta przez konfederację tyszowiecką wojna mogła pruskiego ducha ożywić, w wierności go utwierdzić, do wytrwani zachęcić, postanowił więc Karol Gustaw skruszyć powstanie, zetrzeć Kazimierzowe siły, by Prusakom nadzieję pomocy odjąć.

Musiał to uczynić i ze względu na elektora, którego z mocniejszym zawsze trzymać był gotów. Król szwedzki poznał go już do gruntu, bo ani chwili nie wątpił, że jeśli Kazimierzowa fortuna przeważy, elektor po jego stronie znowu stanie.

Gdy więc oblężenie Malborga szło tępo, bo im go potężniej dobywano, tym go potężniej pan Wejher bronił, ruszył Karol Gustaw do Rzeczypospolitej, aby Jana Kazimierza na nowo, choćby w ostatnim jej krańcu, dosięgnąć.

A że czyn po postanowieniu następował u niego tak prędko, jak właśnie grzmot po błyskawicy, podniósł więc wojska leżące przy miastach i nim się kto w Rzeczypospolitej opatrzył, nim wieść się o jego pochodzie rozeszła, on już minął Warszawę i w największe płomienie pożaru się rzucił.

Szedł więc do burzy podobny, gniewem, zemstą i zawziętością trawiony. Dziesięć tysięcy koni tratowało za nim pola jeszcze śniegiem pokryte, a piechoty z prezydiów podnosił i szedł razem z wichrem, aż hen! ku południowi Rzeczypospolitej.

Po drodze palił i ścinał. Nie był to już ów dawny *Carolus Gustavus*, pan dobry, ludzki i wesoły, klaszczący w dłonie jeździe polskiej, mrugający oczyma przy ucztach i schlebający żołnierzom. Teraz, gdzie się ukazał, płynęła potokiem krew szlachecka i chłopska. Po drodze ścierał partie, jeńców wieszał, nikogo nie żywił.

Ale jak gdy wśród gęszczy borów potężny niedźwiedź niesie swe ciężkie cielsko, krusząc po drodze krze i gałęzie, wilcy zaś idą w trop za nim i nie śmiąc mu drogi zastąpić, coraz bliżej następują nań z tyłu, tak i owe partie ciągnęły za armią Karola, w coraz ciśniejsze łącząc się gromady, i szły za Szwedem, jak cień idzie za człowiekiem, i wytrwalej jak cień, bo we dnie i w nocy, w pogodę i w niepogodę; przed nim zaś psuto mosty, niszczone zapasy, że musiał iść jak w pustynię, nie mając głowy gdzie schronić lub się w głodzie czym pokrzepić.

Sam Karol Gustaw wprędce pomiarkował, jak straszne jest jego przedsięwzięcie. Wojna rozlewała się naokół niego tak szeroko, jak morze rozlewa się naokół zabłąkanego wśród roztoczy okrętu. Gorzały Prusy, gorzała Wielkopolska, która pierwsza poddaństwo przy-

jąwszy, pierwsza chciała szwedzkie jarzmo zrzucić, gorzała Małopolska i Ruś, i Litwa, i Żmudź. W zamkach i w wielkich miastach, niby na wyspach, trzymali się jeszcze Szwedzi, zresztą wsie, bory, pola, rzeki były już w polskim ręku. Nie tylko człowiek, nie tylko mniejszy podjazd, ale i pułk cały nie mógł się od głównej szwedzkiej siły ani na dwie godziny odłączyć bo zaraz przepadał bez wieści, a jeńcy, którzy wpadli w chłopskie ręce, umierali w mękach straszliwych.

Próżno Karol Gustaw po wsiach i miastach ogłaszać kazał, iż który chłop zbrojnego szlachcica żywcem lub umarłego dostawi, wolność na wieczne czasy i ziemię w nagrodę otrzyma, chłopci bowiem po równi ze szlachtą i mieszczański wyciągnęli do lasów. Lud z gór, lud z puszczy głębokich, lud z łągów i pól tkwił w lasach, czynił zasieki Szwedom po drodze, napadał na mniejsze przydła, wycinał w pień podjazdy. Cepy, widły i kosy nie gorzej od szlacheckich szabel opłynęły krwią szwedzką.

Tym bardziej zaś gniew wzbierał w sercu Karola, że przed kilkunastu miesiącami tak łatwo ten kraj ogarnął, więc prawie nie mógł pojąć, co się stało, skąd te siły, skąd ten opór, skąd ta wojna straszna na śmierć i życie, której końca przed sobą nie widział i odgadnąć go nie umiał.

Częste też bywały narady w obozie szwedzkim. Szli z królem: brat jego Adolf, książę baponcki, komendę nad wojskiem mający, Robert Duglas, Henryk Horn, krewny tego, który pod Częstochową był kosą chłopską usieczon. Waldemar, graf duński – i ów Miller, który u stóp Jasnej Góry sławę swą bojową zostawił, i Aszemberg w prowadzeniu jazdy między Szwedami najbieglejszy, i Hammerszyld, który armatami zawiadował, i stary zbój, marszałek Arfuid Wittenberg, ze zdzierstw swych sławny, a ostatkiem zdrowia goniący, bo przez gallicką chorobę toczon – i Forgell, i wielu innych – a wszystko wodzowie biegli w zdobywaniu miast i w polu królowi tylko samemu jeniuszem ustępujący.

Ci tedy lękali się w sercach, aby całe wojsko z królem nie przepadło, przez trudy, brak żywności i zaciekłość polską zmorzone. Stary Wittenberg wprost odradzał królowi pochód. „Jakże to, królu – mówił – będziesz zapuszczał się aż w ruskie kraje za nieprzyjacielem, który niszczy wszystko po drodze, sam niewidzialnym pozostając? Co uczynisz, jeśli koniom nie tylko siana i owsa, ale nawet strzech z chałup zbraknie, a ludzie z niewywczasów popadają? Gdzie są owe wojska, które w pomoc nam przyjdą, gdzie zamki, w których moglibyśmy odżywić się i strudzonym członkom dać folgę? Nie równam się z twoją, panie, sławą, ale gdybym był Karolem Gustawem, właśnie bym tej sławy, tak wielkimi zwycięstwami nabytej, na zmienne koleje wojny nie wystawiał”.

Na to odpowiadał Karol Gustaw:

– I ja, gdybym był Wittenbergiem.

Po czym Aleksandra Macedońskiego wspominał, z którym lubił być porównywany, i szedł naprzód, goniąc pana Czarnieckiego; ten zaś, nie mając sił tak wielkich ani ćwiczonych, umykał się przed nim, ale umykał jak wilk, gotów zawsze się zwrócić. Czasem też szedł przed Szwedami, czasem po bokach, a czasem, zapadłszy w głuchych lasach, puszczał ich naprzód, tak iż oni myśleli, że jego gonią, a on właśnie szedł za nimi, wycinał opieszających, tu i owdzie uszczknął cały podjazd, znosił idące wolniej pułki piesze, napadał na wozy z żywnością. I nigdy Szwedzi nie wiedzieli, gdzie jest, z której strony uderzy. Nieraz w zmrokach nocnych rozpoczynali ogień z armat i muszkietów do zarośli, sądząc, że nieprzyjaciela mają przed sobą. Nużyli się śmiertelnie, szli w chłodzie, głodzie i zmarzwieniu, a ów – *vir molestissimus* – wisiał ciągle nad nimi, jako chmura gradowa wisi nad łanem zboża.

Na koniec dopadli go pod Gołębim, niedaleko ujścia Wieprza do Wisły. Niektóre chorągwie polskie stojące w gotowości, rzuciwszy się z impetem na nieprzyjaciela, rozniosły postrach i zamieszanie. Więc naprzód skoczył pan Wołodyjowski ze swoją laudańską chorągwią i wsparł królewicza duńskiego Waldemara; zaś pan Kawecki Samuel i młodszy Jan

skoczyli z pagórka pancerną chorągiew na najemnych Angielczyków Wikilsona – i w mgnieniu oka pożarli ich, jako szczupak pochłania klenia, zaś pan Malawski zwarł się z księciem baponckim tak szczelnie, iż ludzie i konie pomieszali się ze sobą jako kurzawa, którą dwa wichry z przeciwnych stron przyniosą i jeden wir z niej uczynią. W mgnieniu oka zepchnięto Szwedów ku Wiśle, co widząc Douglas pospieszył swoim z wyborową rajtarią na ratunek. Lecz rozpędu i te nowe posiłki wstrzymać nie mogły; poczęli więc Szwedzi skakać z wysokiego brzegu na lód, padając trupem tak gęsto, że czernili się na śnieżnym polu jako litery na białej karcie. Legł królewicz Waldemar, legł Wikilson, a księżę baponcki, obalon z koniem nogę złamał – legli wszelako i obaj panowie Kaweccy, i pan Malawski, i Rudawski, i Rogowski, i pan Tymiński, i Choiński, i Porwaniecki, jeden tylko pan Wołodyjowski, chociaż się w szwedzkie szeregi jako nurek w wodę z głową zanurzał, najmniejszej rany nie poniósł.

Tymczasem przyciągnął sam Karol Gustaw z główną siłą i armatami, i naówczas zmieniła się postać boju. Inne Czarnieckiego pułki, niekarne i nie wyćwiczone, nie umiały stanąć na czas w ordynku; niektóre koni nie miały pod ręką, inne, po dalszych wsiach leżące, wbrew rozkazom, aby ciągle były w pogotowiu, zażywały wczasu po chatach. Na owe gdy nieprzyjaciel natarł niespodzianie, wnet poszły w rozsypkę i ku Wieprzowi umykać poczęły. Więc pan Czarniecki kazał trąbić na odwrót, aby tamtych pułków, które pierwsze uderzyły, nie wygubić. Jedni poszli tedy za Wieprz, inni do Końskowoli, zostawując pole i sławę zwycięstwa Karolowi, gdyż tych zwłaszcza, którzy za Wieprz uchodzili, długo ściagały chorągwie Zbrozka i Kalińskiego, przy Szwedach jeszcze zostające.

Radość była w obozie szwedzkim niezmierna. Niewielkie wprawdzie dostały się Szwedom owego zwycięstwa trofea: sakiewki z owsem i trochę pustych wozów, lecz Karolowi nie o łup tym razem chodziło. Cieszył się, że zwycięstwo szło jak i dawniej, w jego ślady, że ledwo się pokazał, już pogromił – i to samego pana Czarnieckiego, na którym największe nadzieje Jana Kazimierza i Rzeczypospolitej spoczywały. Mógł się spodziewać, że wieść rozbiegnie się po całym kraju, że każde usta będą powarzały: „Czarniecki zniesion”, kiż bojaźliwi rozmiary klęski przesądzą, a przez to zwątlą serca i odbiorą ducha wszystkim, którzy na głos konfederacji tyszowieckiej za broń chwycili.

Więc gdy mu przyniesiono i rzucono pod nogi owe sakiewki owsa, a z nimi razem ciała Kikilsona i Waldemara, on zwrócił się do swych frasobliwych generałów i rzekł:

– Rozmarszczcie ichmościowie czoła, bo to jest największe zwycięstwo, jakim od roku odniósł, i całą wojnę skończyć ono może.

– Wasza królewska moc – odrzekł Wittenberg, który słabszym jak zwykle będąc czarnej rzeczy widział – dziękujmy Bogu i za to, że pochod dalszy będziem mieć spokojny; chociaż takie wojska jak Czarnieckiego prędko się rozpraszają, ale i prędko zbierają na powrót.

Na to król:

– Panie marszałku! nie mam cię za gorszego wodza od Czarnieckiego, ale gdybym cię tak rozbił, tuszę, że i przez dwa miesiące nie zdołałbyś wojsk zebrać.

Wittenberg skłonił się tylko w milczeniu, a Karol mówił dalej:

– Tak jest, pochod będziem mieli spokojny, bo tylko jeden Czarniecki mógł go naprawdę tamować. Nie masz wojsk Czarnieckiego, nie masz przeszód!

Jenerałowie uradowali się tymi słowy. Upojone zwycięstwem wojska przechodziły przed oczyma króla z krzykiem i śpiewami. Czarniecki przestał wisieć na kształt chmury nad nimi. Czarniecki, rozproszony, przestał istnieć! Wobec tej myśli zapomnieli o przebytej mordędze – wobec tej myśli miłe były im przyszłe trudy. Słowa królewskie, które wielu oficerów słyszało, rozniosły się po obozie i wszyscy byli tego mniemania, że zwycięstwo istotnie miało nadzwyczajne znaczenie, że smok wojny na nowo zabity, a jeno czasy pomsty i panowania nastaną.

Król dał wojsku kilkanaście godzin spoczynku; tymczasem od Kozienic przysły wozy z żywnością. Wojska roztasowały się w Gołębiu, w Krowienikach i w Życzynie. Rajtario- wie pozapalali opuszczone domostwa, powieszono kilkunadtu chłopów wziętych z bronią w rękę i kilku pacholików wojskowych, których za chłopów poczytano; następnie odbyła się uczta, po niej zaś żołnierstwo zasnęło snem twardym, bo od dawna po raz pierwszy spokojnym.

Nazajutrz dzień zbudzili się rzeško i pierwsze słowa, jakie napłynęły wszystkim do ust, były:

– Nie masz Czarnieckiego!

Powtarzał to jeden drugiemu, jakby się wzajem chcieli o dobrej nowinie upewnić. Pochód rozpoczął się wesoło. Dzień był suchy, zimny, pogodny. Szerść końska i nozdrza pokrywały się szronem. Zimny wiatr pozmrażał kałuże na trakcie lubelskim i drogę uczynił dobrą. Wojska wyciągnęły się niemal milowym węzłem, czego przedtem nie czyniły nigdy. Dwa pułki dragońskie pod wodzą Francuza Dubois poszły na Końskowolę, Markuszew i Garbów, w mili od głównej siły. Gdyby tak szły przed trzema jeszcze dniami, szłyby na pewną śmierć, lecz teraz poprzedzał je postrach i sława zwycięstwa.

– Nie masz Czarnieckiego! – powtarzali sobie oficerowie i żołnierze.

Jakoż pochód odbywał się spokojnie. Z głębin leśnych nie dochodziły okrzyki, z zarośli nie wypadały groty puszczone niewidzialnymi rękami.

Pod wieczór Karol Gustaw przybył do Garbowa, wesół i w dobrym humorze. Już właśnie zabierał się do spoczynku, gdy Aszemberg dał znać przez służbowego oficera, że chce się pilno widzieć z królem.

Po chwili wszedł do kwatery, i nie sam, ale z kapitanem dragońskim. Któł, który miał oko bystre i pamięć tak niezmierną, że wszystkich niemal żołnierzy imiona pamiętał, poznał zaraz kapitana.

– A co nowego, Freed? – spytał. – Dubois wrócił?

– Dubois zabity – odpowiedział Freed.

Król zmierzał się; teraz dopiero zauważyć, że kapitan wyglądał, jak gdyby go z grobu wyjęto, i odzież miał poszarpaną.

– A dragoni? – spytał – one dwa pułki?

– Wszystko w pień wycięte. Mnie jednego żywcem puszczone!

Smagłe oblicze króla stało się jeszcze ciemniejszym; rękoma założył sobie pukle włosów za uszy.

– Kto to uczynił?

– Czarniecki!

Karol Gustaw umilkł i począł patrzeć ze zdumieniem na Aszemberga, a ten głową tylko kiwał, jakby chciał powtarzać:

– Czarniecki! Czarniecki! Czarniecki!

– Wszystko to niepodobne do wiary – rzekł po chwili król. – Widziałeś go na własne oczy?

– Jak twój majestat, panie, widzę. Przykazał mi pokłonić się waszej królewskiej mości i oświadczyć, że teraz za Wisłę się znów przeprawia, ale wnet tropem naszym pójdzie. Nie wiem, czyli prawdę powiadał...

– Dobrze! – rzekł król. – Siła przy nim ludzi?

– Nie mogłem dokładnie zmiarkować, ale ze cztery tysiące ludzi sam widziałem, a za lasem stała także jakowaś jazda. Otoczono nas wedle Krasieczyna, do którego pułkownik Dubois umyślnie z traktu zboczył, bo mu doniesiono, że się tam ludzie jakowis znajdują. Teraz mniemam, że Czarniecki umyślnie podesłał języka, aby nas w zasadzkę wprowadzić. Jakoż nikt prócz mnie żywy nie wyszedł. Chłopstwo dobijało rannych, jam cudem ocalał!

– Z diabłem chyba ten człowiek wszedł w przymierze – rzekł przykładając dłoń do czoła król. – Bo żeby po takiej klęsce znów wojsko zebrać i nad karkiem nan stanąć, nie ludzka moc!

– Stało się wedle tego, co marszałek Wittenberg przewidywał – wtrącił Aszemberg. Na to król wybuchnął:

– Wy wszyscy umiecie przewidywać, jeno radzić nie umiecie!

Aszemberg pobladł i umilkł. Karol Gustaw, gdy był wesół, zdawał się być z samej drobiu ulepiony, ale gdy raz brew zmarszczył, wzbudzał strach nieopisany w najbliższych – i nie tak ptaki kryją się przed orłem, jako kryli się przed nim najstarsi i najzasłużeńsi jenerałowie.

Lecz teraz wrędcę się pomiarkował i pytał znowu kapitana Freeda:

– Zaczęły to wojska przy Czarnieckim?

– Widziałem kilka chorągwi nieporównywalnych, jako to u nich bywa jazda.

– To te same pod Gołębiem z taką furią nacierały. Stare muszą być pułki. A on sam, Czarniecki, wesół, dufny?

– Tak dufny, jakoby to on pod Gołębiem rozgromił. Teraz tym bardziej musiały się serca w nich podnieść, bo o gołębskiej już zapomnieli, a krasicyńską wiktoria się chwala. Wasza królewska mość! co mi kazał Czarniecki powtórzyć, tom powtórzył, ale gdym już wyjeżdżał, zbliżył się do mnie ktoś ze starszyzny, człek potężny, stary, i rzekł mi, iż jest ten, który wiekopomnego Gustawa Adolfa w ręcznym boju rozciągnął. Siła i przeciwko waszej królewskiej mości bluźnił, inni zaś mu wtórowali. Tak oni się chełpią! Odjechałem wśród urągania i wymyślań...

– Mniejsza z tym! – odparł Karol Gustaw. – Czarniecki nie rozbity i wojska już zebrał, to grunt. Tym spieszniej musimy iść naprzód, aby polskiego Dariusza jak najprędzej dosięgnąć. Waszmościom wolno już odejść. Wojsku rozgłosić, że owe pułki od kup chłopskich na oparzeliskach zginęły. Idziemy naprzód!

Oficerowie wyszli, Karol Gustaw został sam. Przez czas jakiś dumał posepnie. Miałożby zwycięstwo pod Gołębiem żadnych owoców nie przynieść, położenia nie zmienić, owszem, większą tylko zaciekłość w całym tym kraju rozbudzić?

Karol Gustaw wobec wojska i jenerałów okazywał zawsze pewność siebie i wiarę, ale gdy został sam i poczynął rozmyślać o tej wojnie, jaka się od początku łatwo zaczęła, a coraz trudniejszą stawała – nieraz ogarniało go zwątpienie. Wszystkie wypadki przedstawiały mu się jakoś dziwnie. Często wyjścia nie widział, końca nie mógł odgadnąć. Czasem zdawało mu się, że jest jako człowiek, który wszedłszy z brzegu morskiego w wodę, czuje, że za każdym krokiem głębiej schodzi i wkrótce straci grunt pod nogami.

Lecz wierzył w gwiazdy. I teraz więc podszedł do okna, aby na swoją wybraną popatrzeć, na tę właściwie, która w Wielkim Wozie, czyli w Niedźwiedzicy, najwyższe miejsce zajmuje i świeci najmocniej. Niebo było pogodne, więc i w tej chwili płonąła jaskrawo, migotała się na błękitno i czerwono – z dala tylko, poniżej, na ciemnym granacie nieba, czerniła się jako wąż samotna chmura, od której szły jakby ramiona, jakby gałęzie, jakby macki morskiego potwora i zdawały się coraz zbliżać ku królewskiej gwieździe.

## ROZDZIAŁ II

Nazajutrz dzień ruszył król w dalszy pochód i przyciągnął do Lublina. Tam otrzymawszy wiadomość, iż pan Sapieha po odparciu Bogusławowego najazdu ze znacznym wojskiem ciągnie, takowego zaniechał, Lublin tylko załogą umocnił i szedł dalej.

Najbliższym celem wyprawy był teraz dla niego Zamość, gdyby bowiem ową potężną twierdzę zdołał zająć, zyskałby niewzruszoną podstawę do dalszej wojny i tak znamienitą przewagę, iż szczęśliwego końca mógłby z całą otuchą wyglądać. O Zamościu różne krążyły mniemania. Polacy, dotychczas jeszcze przy Karolu stojący, utrzymywali, iż to jest twierdza w Rzeczypospolitej najpotężniejsza, i przytaczali na dowód, iż wszystkie siły Chmielnickiego wstrzymała.

Lecz ponieważ Karol spostrzegł, iż Polacy zgoła nie byli w fortyfikowaniu twierdz biegli, i takie za silne uważali, które po innych krajach zaledwie do trzeciorzędnych liczone, że wiedział i o tym, iż w żadnej z twierdz nie było dostatecznego opatrunku, to jest ani murów jak należy utrzymanych, ani budowli ziemnych, ani broni należytej, przeto i co do Zamościa dobrej był myśli. Liczył też na urok swego imienia, na sławę niezwycięzonego wodza, a wreszcie i na układy. Układami, które każdy magnat mocen był w tej Rzeczypospolitej zawierać albo przynajmniej pozwalał sobie zawierać, więcej dotychczas Karol wskórał niż bronią. Jako więc człek przebiegły i lubiący wiedzieć, z kim ma do czynienia, starannie wszystkie wiadomości o władcy Zamościa zbierał. Wypytywał o jego obyczaje, skłonności, dowcip i fantazję.

Jan Sapieha, który naocznie zdradą jeszcze, ku wielkiemu umartwieniu wojewody witebskiego, nazwisko kłał, najwięcej królowi dawał objaśnień co do pana starosty kałuskiego. Trawili też na naradach całe godziny. Sapieha zresztą nie sądził, aby łatwo przyszło królowi pana na Zamościu skaptować.

– Pieniężmi go nie skusić – mówił pan Jan – bo człek okrutnie możny. O godności nie dba i nigdy o nie nie zabiegał, nie chciał ich w onczas nawet, gdy same go szukały... Co do tytułów, sam słyszałem, jak na dworze zgromił pana des Noyersa, sekretarza królowej, za to, że mówiąc do niego, powiedział: *mon prince!* – „Jam nie *prince* (rzecze mu), ale archiduktów więźniami w moim Zamościu miewał.” Co prawda zresztą, to nie on miewał, jeno jego dziad, którego Wielkim w narodzie naszym nazywają.

– Byle mi bramy Zamościa otworzył, zaofiaruję mu coś takiego, czego żaden król polski zaofiarować by nie mógł.

Sapieże nie wypadało pytać, co by takiego było, spojrział tylko z ciekawością na Karola Gustawa, ten zaś zrozumiał spojrzenie i odrzekł odgarniając, wedle zwyczaju, włosy za uszy:

– Zaofiaruję mu województwo lubelskie jako niezawisłe księstwo – korona skusi go. Żaden by z was się takiej pokusie nie oparł, nawet dzisiejszy wojewoda wileński.

– Nieograniczona jest hojność waszej królewskiej mości – odparł, nie bez pewnej ironii w głosie, Sapieha.

A Karol odpowiedział z właściwym sobie cynizmem:

– Daję, bo nie moje.

Sapieha pokręcił głową.

– Nieżonaty człowiek jest i synów nie ma. Temu korona miła, kto potomstwu przekazać ją może.

– Jakichże tedy sposobów radzisz mi wasza mość się chwycić?

– Mniemałbym, że pochlebstwem najwięcej da się wskórać. Pan to jest niezbyt bystrego dowcipu i snadnie go można objechać. Trzeba mu przedstawić, jako od niego tylko zależy uspokojenie Rzeczypospolitej, trzeba mu wmówić, iż on jeden może ją osłonić od wojny, nieszczęścia, klęsk wszelkich i przyszłych nieszczęść, a to właśnie przez otwarcie bram. Jeśli ryba ten haczyk połknie, to będziemy w Zamościu, inaczej – nie!

– Zostaną działa jako ostatnia racja!

– Hm! Na tę rację znajdzie się z czego w Zamościu odpowiedzieć. Armat ciężkich tam nie brak, a my musielibyśmy je dopiero sprowadzać, co gdy roztopy nastąpią, stanie się niepodobnym.

– Słyszałem, że piechoty w twierdzy są grzeczne, ale jazdy im brak.

– Jazda tylko w gołym polu potrzebna, a zresztą, skoro Czarniecki, jako się pokazało, nie rozbit, to mógł jedną i drugą chorągiew do posług wrzucić.

– Wasza mość same tylko trudności widzisz.

– Ale wciąż ufam w szczęśliwą gwiazdę waszej królewskiej mości – odparł Sapieha.

Miał jednak słuszną przewidując, że Czarniecki opatrzył Zamość w jazdę, konieczną do podjazdów i chwywania języków. Wprawdzie pan Zamoyski miał swojej dosyć i wcale pomocy nie potrzebował, lecz kasztelan kijowski dwie chorągwie, które najbardziej ucierpiały pod Gołębim, to jest Szemberkową i laudańską, umyślnie do fortecy posłał, żeby mogły odpocząć, odżywić się i konie srodze zmarnowane zmienić. W Zamościu przyjął je pan Sobiepan gościnnie, a gdy się dowiedział, jacy sławni żołnierze w nich się znajdują, tedy pod niebo ich wynosił, darami obsypał i co dzień u stołu swego sadzał.

Lecz któż opisze radość i rozrzewienie księżnej Gryzeldy na widok pana Skrzetuskiego i pana Wołodyjowskiego, dawnych najdzielniejszych wielkiego męża pułkowników. Padli jej do nóg obaj, rzewne łzy na widok ukochanej pani wylewając, a i ona nie mogła płaczu pohamować. Ileż bo wspomnień łączyło się z nimi z owych dawnych czasów lubiańskich, gdy mąż jej, sława i ukochanie narodu, pełen sił życia, władał potężnie dziką krainą, jak Jowisz jednym zmarszczeniem brwi wzniesając postrach wśród barbarzyństwa. Takie to niedawne czasy, a gdzie one? Dziś władzyka w grobie, krainę barbarzyńcy posiadli, a ona, wdowa, siedzi oto na popiołach szczęścia, wielkości, smutkiem jeno żyjąc i modlitwą.

Wszelako w owych wspomnieniach tak słodycz z goryczą się pomieszała, że myśli tych trojga rade leciały w przeszłość. Więc rozmawiali o dawnym życiu, o miejscach, których nie miały już ujrzeć ich oczy, o dawnych wojnach, wreszcie o dzisiejszych czasach klęski i gniewu bożego.

– Gdyby nasz książe żył – mówił Skrzetuski – inne by były Rzeczypospolitej koleje. Kozactwo byłoby starte, Zadnieprze przy Rzeczypospolitej, a Szwed teraz znalazłby swego pogromiciela. Bóg zarządził, jak chciał, aby za grzechy nas ukarać.

– Oby Bóg w panu Czarnieckim obrońcę wskrzesił! – rzekła księżna Gryzelda.

– Tak i będzie! – zawołał pan Wołodyjowski. – Jako nasz książe innych panów głową prznosił, tak i on wcale do innych wodzów niepodobny. Znam ja przecie obu panów hetmanów koronnych i pana Sapiechę litewskiego. Wielcy to żołnierze, ale przecie jest coś w panu Czarnieckim ekstraordynacyjnego, rzekłbyś: orzeł, nie człowiek. Niby łaskaw, a wszyscy go się boją, ba! nawet pan Zagłoba często o krotochwilach swych przy nim zapomina. A jak wojsko prowadzi! jak szykuje – imaginację przechodzi! Nie może inaczej być, tylko wielki wojennik powstaje w Rzeczypospolitej.



– Mąż mój, który go pułkownikiem znał, jeszcze wówczas wielkość mu przepowiadał – rzekła księżna.

– Mówiono nawet, że żony na naszym dworze miał szukać – wtrącił pan Wołodyjowski.

– Nie pamiętam, aby o tym była mowa – odparła księżna.

Jakoż nie mogła pamiętać, bo nigdy nic podobnego nie było, ale pan Wołodyjowski chytrze na razie to wymyślił chcąc zwięc rozmowę na fraucymer księżnej i o pannie Anusi Borzobohatej czegoś się dowiedzieć, albowiem wprost pytać osądził za rzecz nieprzyzwoitą i zbyt względem majestatu księżnej poufałą. Lecz wybieg się nie udał. Księżna wróciła znów myślą do męża i wojen kozackich, za czym i mały rycerz pomyślał: „Nie ma Anusi, może od Bóg wie wielu lat!” I więcej o nią nie pytał.

Mógł pytać oficerów, ale i jego umysł, i wszystkie zajęte były czym innym. Co dzień podjazdy dawały znać, że Szwedzi coraz to bliżej, gotowano się więc do obrony. Skrzetuski i Wołodyjowski dostali funkcję na murach, jako oficerowie i Szwedów, i wojny z nimi świadomi. Pan Zagłoba ducha dodawał i opowiadał o nieprzyjacielu tym, którzy go dotychczas nie znali, a było takich między zamojskimi żołnierzami dosyć, gdyż Szwedzi nie zapuszczali się dotychczas pod Zamość.

Zagłoba w lot pana starostę kałuskiego przeznał, a ten niezmiernie go polubił i we wszystkim się do niego zwracał, zwłaszcza że i od księżnej Gryzeldy słyszał, jako w swoim czasie sam ksiązę Jeremi pana Zagłobę wenerował i *vir incomparabilis* nazywał. Co dzień tedy przy stole wszyscy słuchali, a pan Zagłoba prawił o dawniejszych i nowszych czasach, o wojnach z Kozaki, o zdradzie Radziwiłła, o tym, jako pana Sapiechę na ludzi wyprowadził.

– Radziłem mu – mówił – iżby siemię konopne w kieszeni nosił i po trochu spożywał. To tak ci się do tego przyzwyczaił, że teraz coraz to ziarno wyjmie, wrzuci do gęby, rozgryzie, miazgę zje, a łuskwinę wyplunie. W nocy, jak się obudzi, także to czyni. Od tej pory tak mu się dowcip zaostrzył, że i najbliżsi go nie poznają.

– Jakże to? – pytał starosta kałuski.

– Bo w konopiach *oleum* się znajduje, przez co i w głowie jedzącemu go przybywa.

– Bogajże waszą mość! – rzekł jeden z pułkowników. – Toż w brzuchu oleju przybywa, nie w głowie.

– *Est modus in rebus!* – rzecze na to Zagłoba – trzeba co najwięcej wina pić: *oleum*, jako lżejsze, zawsze będzie na wierzchu, wino zaś, które i bez tego idzie do głowy, poniesie ze sobą każdą cnotliwą substancję. Ten sekret mam od Lupuła, gospodarza, po którym jak waściom wiadomo, chcieli mnie Wołosi na gospodarstwo posadzić, ale sułtan, który woli, by gospodarowie nie mieli potomstwa, postawił mi kondycję, na którą zgodzić się nie mogłem.

– Musiałeś waść siłą konopnego siemienia i sam zażywać? – rzekł na to sam Sobiepan.

– Ja nie potrzebowałem, ale waszej dostojności z całego serca radzę! – odparł Zagłoba.

Słyszając te śmiałe słowa, złękli się niektórzy, żeby ich pan starosta kałuski do serca nie wziął, lecz on, czy nie zmiarkował, czy nie chciał zmiarkować, dość, że uśmiechnął się tylko i spytał:

– A słonecznikowe ziarna nie mogą konopnych zastąpić?

– Mogą – odrzekł Zagłoba – jeno ponieważ olej ze słoneczników jest cięższy, przeto trzeba wino mocniejsze pić od tego, które teraz oto pijemy.

Pan starosta zrozumiał, o co chodzi, rozochocił się i zaraz kazał co najlepszych win przynieść. Za czym uradowali się w sercach wszyscy i ochota stała się powszechną. Pito i wiwatowano na zdrowie królewskie, gospodarskie i pana Czarnieckiego. Pan Zagłoba wpadł w humor przedni, nikogo do głosu nie dopuścił. Opowiadał więc o gołębskiej po-

trzebnie bardzo szeroko, w której istotnie dobrze stawał, bo zresztą służąc w chorągwi laudańskiej nie mógł inaczej uczynić. Ale że od jeńców szwedzkich, wziętych z pułków Dubois, wiadano o śmierci grafa Waldemara, więc oczywiście wziął pan Zagłoba na się za tę śmierć odpowiedzialność.

– Całkiem inaczej by ta bitwa poszła – mówił – żeby nie to, zem właśnie poprzedzającego dnia do Baranowa, do tamtejszego kanonika, odjechał, i Czarniecki nie wiedząc, gdzie jestem, poradzić się mnie nie mógł. Może też i Szwedzi i owym kanoniku zasłyszeli, bo u niego miody przednie, i niebawem pod Gołąb podeszli. Gdym wrócił, było już za późno, król nastąpił i zaraz trzeba było uderzać. Poszliśmy jako w dym, ale cóż, kiedy popolitacy wolą w ten sposób kontempt nieprzyjacielowi okazywać, że się tyłem do niego odwracają. Nie wiem, jak sobie teraz Czarniecki da rady beze mnie!

– Da sobie rady! nie obawiaj się waćpan! – rzekł pan Wołodyjowski.

– I wiem dlaczego. Bo król szwedzki woli za mną pod Zamość walić niż jego po Powiślu szukać. Nie neguję ja Czarnieckiemu, że dobry żołnierz, ale kiedy pocznie brodę kręcić, a swym żbiczym wzrokiem patrzyć, tedy towarzyszowi spod najgórniejszej chorągwi wydaje się, że jest dragonem... Nic on na godność nie uważa, czego i samiście byli świadkami, gdy pana Żyrskiego, człeka znacznego, kazał po majdanie końmi włóczyć za to tylko, że z podjazdem nie dotarł tam, gdzie miał rozkaz. Ze szlachtą, mości panowie, trzeba po ojcowsku, nie po dragońsku... Powiesz mu: „Panie bracie, a bądź łaskaw, a idź”, rozczulisz go, na ojczyznę i sławę wspomniawszy, to ci dalej pójdzie niż dragon, który dla lafy służy.

– Szlachcic szlachcicem, a wojna wojną – ozwał się starosta.

– Bardzo to misternie wasza dostojność wywiodła – odparł Zagłoba.

– A taki pan Czarniecki koncept Carolusowi w końcu powariuje! – zauważył Wołodyjowski. – Byłem też na niejednej wojnie i mówić o tym mogę.

– Pierwszej my mu powariujemy pod Zamościem – odparł pan starosta kałuski wydymając usta, sapiąc z okrutną fantazją, wytrzeszczając oczy i biorąc się w boki. – Ba! fiu! Co mnie tam! Hę? Kogo w gości proszę, temu drzwi otwieram! Co? ha!

Tu pan starosta zaczął jeszcze mocniej sapać, kolanami o stół uderzać, przechylać się, kręcić głową, a srożyć się, a oczami błyskać i mówić, jako miał zwyczaj, z pewną rubaszną niedbałością:

– Co mi tam! On pan w Szwecji, a Zamoyski Sobiepan w Zamościu. *Equus polonus sum*, nic więcej, co? Alem u siebie. Ja Zamoyski, a on król szwedzki... a Maksymilian był austriacki, co? Idzie, a niech idzie... Obaczym! Jemu Szwecji mało, mnie Zamościa dość, ale go nie dam, co?

– Miło, mości panowie, słuchać nie tylko takiej elokwencji, ale tak zacnych sentymentów! – zakrzyknął pan Zagłoba.

– Zamoyski Zamoyskim! – odparł uradowany z pochwały starosta kałuski. – Nie kłanialiśmy się i nie będziemy... *ma foi!* Zamościa nie dam, i basta.

– Zdrowie gospodarskie! – huknęli oficerowie.

– *Vivat! vivat!*

– Panie Zagłoba! – zawołał starosta – króla szwedzkiego nie puszcę do Zamościa, a waszmości z Zamościa!

– Panie starosto, dziękuję za łaskę, ale tego wasza dostojność nie uczynisz, bo ile byś Carolusa pierwszym postanowieniem zmartwił, tyle byś go drugim ucieszył.

– Dajże parol, że do mnie po wojnie przyjedziesz, co?

– Daję...

Długo jeszcze ucztowano, po czym sen począł morzyć rycerzy, więc poszli na spoczynek, zwłaszcza że wkrótce miały się dla nich zacząć bezsenne noce, bo Szwedzi byli już blisko i przednich straży spodziewano się lada godzina.

– Taki on Zamościa naprawdę nie da – mówił Zagłoba wracając do swej kwatery ze Skrzetuskimi i Wołodyjowskim. – Zauważyliście waszmościowie, jakieśmy się pokochali... Dobrze nam się będzie w Zamościu działa, i mnie, i wam. Przystaliśmy do siebie z panem starostą tak, że żaden stolarz futrowania lepiej nie połączy. Dobre panisko... Hm!... Gdyby był moim kozikiem i gdybym go u pasa nosił, często bym go o oselkę wecował, bo trochę tępy... Ale dobry człek, i ten nie zdradzi, jako oni sku czybykowie birzańscy... Uważaliście, jako magnatowie lgną do starego Zagłoby... Nic, tylko się opędzać... Ledwie się od Sapiehy wykaraskał, już jest drugi... Ale tego nastroję jako basetlę i taką na nim arię Szwedom zagram, że się na śmierć pod Zamościem zatańczą... Nakręcę go jako gdański zegar do kuranta...

Dalszą rozmowę przerwał gwar dolatujący z miasta. Po chwili znajomy oficer przesunął się szybko koło rozmawiających.

– Stój! – zawołał Wołodyjowski. – Co tam?

– Łunę z wałów widać. Szczebreszyn się pali! Szwedzi tuż!

– Choćmy na wały, mości panowie! – rzekł Skrzetuski.

– Idźcie, a ja zdrzemnę, bo mi na jutro sił potrzeba – odpowiedział Zagłoba.

## ROZDZIAŁ III

Tejże jeszcze nocy pan Wołodyjowski poszedł na podjazd i nad ranem sprowadził kilkunastu języków. Ci potwierdzili, że król szwedzki osobą własną w Szczepieszynie się znajduje i niebawem stanie pod Zamościem.

Uradował się pan starosta kałuski tą wieścią, bo się wielce rozruszał i niekłamana miał chęć wypróbowania swych dział i murów na Szwedach. Mniemał przy tym, i bardzo słusznie, że choćby ulec w końcu przyszło, zawsze zatrzyma na sobie potęgę szwedzką przez całe miesiące, a przez ten czas Jan Kazimierz zbierze wojska, sprowadzi całą orzę w pomoc i w całym kraju potężny a zwycięski opór przygotowuje.

– Raz mi się zdarza sposobność – mówił z wielką fantazją na radzie wojennej – ojczyźnie i królowi znamienitą przysługę oddać, zapowiadam też waszmościom, że pierwej w powietrze się wysadzę, nim tu szwedzka noga postoi. Chcę Zamoyskiego siłą brać, dobrze! Niech biorą! Obaczam, kto lepszy! Waćpanowie, tuszę, z serca pomagać mi będziecie!

– Gotowiście poginać przy waszej dostojności! – ozwali się chórem oficerowie.

– Byle nas tylko oblegali – rzekł Zagłoba – bo gotowi zaniechać... Mości panowie! jakem Zagłoba, pierwszy wycieczkę poprowadzę!

– Ja z wujem! – rzekł Roch Kowalski. – Na króla samego skoczę!

– Teraz na mury! – zakomenderował starosta kałuski.

Ruszyli wszyscy. Mury były jako kwieciami żołnierzami ubrane. Pułki piechoty, tak świetnej, jakiej nie było w całej Rzeczypospolitej, stały w gotowości jeden obok drugiego, z muszkietami w rękę i oczyma zwróconymi ku polom. Mało służyło w nich cudzoziemców, ledwie trochę Prusaków i Francuzów, głównie zaś chłopcy ordynacy. Lud rośli, dorodny, któren gdy go w barwiste kolety przybrano i na modłę cudzoziemską wyćwiczono, bił się tak dobrze jak najlepsi kromwelowscy Anglicy. Szczególnie tędzy byli, gdy po strzałach przyszło rzucić się wręcz na nieprzyjaciela. I teraz wyglądali Szwedów niecierpliwie, pomni dawniejszych swych nad Chmielnickim tryumfów. Przy działach, których długie szyje wyciągały się jakoby z ciekawością przez blanki ku polom, służyli przeważnie Flamandowie, do ognistej służby najprzedniejsi. Za fortecą już, z tamtej strony fosy, kręciły się chorągwie lekkiej jazdy, same bezpieczne, bo pod osłoną dział i schroniska pewne, a mogące w każdej chwili skoczyć, gdzie trzeba.

Starosta kałuski objeżdżał mury w szmelcowanej zbroi, z pozłocistym buzdyganem w rękę, i co chwila pytał:

– A co, nie widać jeszcze?

I kłął pod nosem, gdy mu zewsząd odpowiadano, że nie widać. Po chwili jechał w inną stronę i znowu pytał:

– A co? Nie widać?

Tymczasem trudno było coś widzieć, bo trochę mgły wisiało w powietrzu. Dopiero koło dziesiątej rano zaczęła opadać. Niebo błękitne zaświeciło nad głowami, widnokrąg wyjaśnił się, i zaraz też na zachodniej stronie murów poczęto wołać:

– Jada! jada! jada!

Pan starosta, a z nim pan Zagłoba i trzech przyboczni oficerowie starosty wstąpili żywo na anguł murów, z którego widok był daleki, i poczęli patrzeć przez perspektywy. Nieco mgły leżało jeszcze przy ziemi, ale wojska szwedzkie, idące od Wielączy, zdawały się brodzić do kolan w owym tumanie, jak gdyby wynurzały się z wód rozległych. Bliższe pułki bardzo już były wyraźne, tak że gołym okiem można było rozróżnić piechotę, idącą głębokimi szeregami, i zastępy rajtarskie; dalsze natomiast przedstawiały się jakoby kłęby kurzawy ciemnej, toczącej się ku miastu. Z wolna przybywało coraz więcej pułków, armat, jazdy.

Widok był piękny. Ze środka każdego czworoboku piechurów sterczał w górę niezmiernie regularny czworobok włóczni; między nimi wiewały chorągwie różnych barw, a najwięcej błękitnych z białymi krzyżami i błękitnych ze złotymi lwami. Zbliżyli się jeszcze bardziej. Na murach było cicho, więc powiew wiatru niósł od nich skrzyp kół, chrzęst zbroi, tętent koni i przytłumiony gwar głosów ludzkich. Doszedłszy na dwa strzały ze śmigownicy, poczęli się rozciągać przed fortecą. Niektóre czworoboki piechoty rozsypały się w bezładne roje. Widocznie zabierali się do roztasowywania namiotów i do sypania szan-czyków.

– Ot i są! – rzekł pan starosta.

– Są psubraty! – odrzekł Zagłoba.

– Można by ich, człeka po człeku, palcem rachować.

– Tacy starzy praktycy jak ja nie potrzebują rachować, jedno okiem rzuca. Jest ich dziesięć tysięcy jazdy i ośm piechoty z artylerią. Jeślim się o jednego gemajna albo o jednego konia omylił, gotówem całą fortunę za omyłkę zapłacić.

– Zali tak można wymiarkować?

– Dziesięć tysięcy jazdy i ośm piechoty, żebym tak zdrów był! W Bogu nadzieja, że w znacznie szczuplejszej liczbie odejdą, niech tylko jedną wycieczkę poprowadzę.

– Słyszysz waszmość, arię grają!

Rzeczywiście, trębacze z doboszami wystąpili przed pułki i zagrzmiała bojowa muzyka. Przy jej odgłosie nadchodziły bliżej dalsze pułki i otaczały z dala miasto. Na koniec od zbitych tłumów oderwało się kilkunastu jeźdźców. W pół drogi pozasadzali białe chusty na miecze i poczęli nimi powiewać.

– Poselstwo! – rzekł Zagłoba. – Widziałem, jak do Birzów, złodzieje, przyjechali z taką samą fantazją, i wiadomo, co z tego wypadło.

– Zamość nie Birże, a ja nie wojewoda wileński! – odparł pan starosta.

Tymczasem tamci zbliżyli się do bramy. Po krótkiej chwili przyskoczył do pana starosty oficer służbowy z oznajmieniem, iż pan Jan Sapieha pragnie w imieniu króla szwedzkiego widzieć się z nim i rozmówić.

A pan starosta począł się zaraz w boki brać, z nogi na nogę przestępować a sapać, a wargi odrywać, wreszcie odrzekł z okrutną fantazją:

– Powiedz panu Sapieże, że Zamoyski ze zdrajcami nie gada. Chce król szwedzki ze mną gadać, niech mi Szweda rodowitego przyśle, nie Polaka, bo Polacy, którzy Szwedowi służą, niech do psów moich poselstwa odprawują, gdyż po równi nimi gardzę!

– Jak mi Bóg miły, to *respons*! – zawołał z niekłamanym zapałem Zagłoba.

– A niech ich tam diabli wezmą! – zawołał podniesiony własnymi słowy i pochwałą starosta – co? będę z nimi robił ceremonie czy co?

– Pozwól, wasza dostojność, niech mu sam ten *respons* odniosę! – rzekł Zagłoba.

I nie czekając dłużej, skoczył z oficerem służbowym, wyszedł naprzeciw pana Jana i widocznie, że nie tylko słowa starościńskie powtórzył, ale musiał od siebie coś wielce szpetnego dodać, bo pan Sapieha zawrócił tak z miejsca, jakby mu przed koniem piorun trzasł, i nacisnąwszy czapkę na uszy odjechał.

Z murów zaś i z chorągwi tej jazdy, która przed bramą stała, poczęto huczeć za odjeżdżającymi:

– A do budy, zdrajcy, przedawczykowie! żydowski słudzy! Huź! huź!...

Sapieha stanął przed królem blady, z zaciśniętymi wargami. A i król też był zmieszany, bo Zamość omylił jego nadzieję... Co najwięcej, mimo tego, co mu poprzednio mówiono, spodziewał się znaleźć gród takiej odpornej siły, jak Kraków, Poznań i inne miasta, których tyle już zdobył. Tymczasem znalazł twierdzę potężną, przypominającą duńskie i niderlandzkie, o której bez dział ciężkiego kalibru nie mógł nawet pomyśleć.

– Co tam? – spytał ujrzawszy Sapiechę.

– Nic! Pan starosta nie chce gadać z Polakami, którzy waszej królewskiej mości służą. Wysłał do mnie swego trefnisia, który mnie i waszą królewską mość zelżył tak sromotnie, że i powtórzyć się nie godzi.

– Wszystko mi jedno, z kim chce gadać, byle gadał. W braku innych mam żelazne argumenta, a tymczasem Forgella mu poślę.

Jakoż w pół godziny później Forgell z czysto szwedzką asystencją oznajmił się przy bramie. Most łańuchowy opuścił się z wolna na fosę i generał wjechał do twierdzy wśród spokoju i powagi. Oczu nie wiązano ani jemu, ani nikomu ze swity; widocznie chciał, owszem, pan starosta, iżby wszystko widział i o wszystkim królowi mógł donieść. Przyjął go zaś z takim przepychem jak księżę udzielnym i istotnie w podziw wprawił, panowie bowiem szwedzcy i dwudziestej części tych bogactw nie mieli co Polacy, a pan starosta między polskimi był niemal najpotężniejszym. Przebiegły Szwed począł też od razua tak go traktować, jak gdyby go król Karol do równego sobie monarchy w poselstwie wysłał, z góry nazwał go *princeps* i ciągle tak nazywał, chociaż pan Sobiepan za pierwszym razem mu przerwał:

– Nie *princeps*, *eques polonus sum*, ale właśnie dlatego księżętom równy!

– Wasza księżęca mość! – mówił nie dając się zbić z tropu Forgell. – Najjaśniejszy król szwedzki i pan (tu długo wyliczał tytuły) zgoła nie jako nieprzyjaciel tu przybył, ale wprost mówiąc, w gościnę tu przyjechał i przeze mnie się zapowiada, mając nieplonną, jak tuszę, nadzieję, że wasza księżęca mość dla osoby jego i jego wojsk bramy swe otworzyć zechcesz.

– Nie masz u nas tego zwyczaju – odpowiedział pan Zamoyski – aby komu gościnności odmawiać, choćby też i nieproszony przyjechał. Znajdzie się zawsze u mnie miejsce przy stole, a nawet, dla tak dostojnej osoby, pierwsze. Powiedz tedy, wasza dostojność, najjaśniejszemu królowi, że bardzo proszę, i tym szczerzej, że jako najjaśniejszy *Carolus Gustavus* jest panem w Szwecji, tak ja w Zamościu. Ale że jako wasza dostojność widziałeś, służby mi nie brak, przeto nie potrzebuje jego szwedzka jasność swojej ze sobą brać. Inaczej, pomyślałbym, że mnie ma za chudopachołka i kontempt chce mi okazać.

– Dobrze! – szepnął stojący tuż za plecami pana starosty Zagłoba.

A pan starosta, wypowiedziawszy swoją orację, począł usta wydymać, sapać i powtarzać jeszcze:

– A! ot, co jest! a!

Forgell przygryzł wąsów, pomilczał trochę i wreszcie tak mówić począł:

– Największy to byłby dowód nieufności dla króla, gdybyś wasza księżęca mość załogi jego do fortecy wpuścić nie raczył. Powiernikiem królewskim jestem, wiem jego najtajniejsze myśli, a oprócz tego mam rozkaz oświadczyć waszej dostojności i słowem w imieniu króla zaręczyć, że on ni państwa zamojskiego, ni tej twierdzy zajmować na stałe nie myśli. Ale gdy wojna w całym tym nieszczęsnym kraju rozgorzała na nowo, gdy bunt głowę podniósł, a Jan Kazimierz, niepomny na klęski, które na Rzeczpospolitą spaść mogą, swojej tylko dochodząc fortuny znowu w granice powrócił i łącznie z pogany przeciw chrześcijańskiemu wojsku naszym występuje, postanowił niezwyciężony król i pan mój

choćby do dzikich stepów tatarskich i tureckich go ścigać, w tym jedynie celu, aby spokój krajowi, panowanie sprawiedliwości i szczęście a wolność obywatelom tej prześwietnej Rzeczypospolitej przywrócić.

Starosta kałuski uderzył się ręką po kolanie, ale nie odrzekł ni słowa, jeno Zagłoba szepnął:

– Diabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni.

– Liczne już spłynęły na ten kraj z protekcji królewskiej dobrodziejstwa – mówił dalej Forgell – lecz najjaśniejszy król mniemając w ojcowskim swym sercu, że nie dość jeszcze uczynił, znowu prowincji swej pruskiej odbieżał, aby mu jeszcze raz iść na ratunek, któren na pokonaniu Jana Kazimierza polega. Aby jednak nowa ta wojna prędko a szczęśliwy koniec wziąć mogła, potrzebne jest jego królewskiej mości nieodbicie czasowe zajęcie tej twierdzy, ona bowiem ma stać się dla wojsk jego królewskiej mości ostoją, z której pościg za buntownikami będzie czyniony. Lecz słysząc, że ten, który Zamościa jest panem, nie tylko bogactwy, nie tylko starożytnością rodu, dowcipem, wspaniałym umysłem, ale i miłością do ojczyzny wszystkich przewyższa, zaraz król i pan mój rzekł: „Ten mnie zrozumie, ten intencje moje dla tej krainy ocenić potrafi, ufności mojej nie zawiedzie, nadzieje przewyższy, do szczęścia i spokoju tego kraju pierwszy rękę przyłoży”. Jakoż tak jest! Jakoż od ciebie, panie, zależą przyszłe losy tej ojczyzny. Ty ją ratować i ojcem jej stać się możesz... Przeto nie wątpię, iż to uczynisz. Kto sławę taką po przodkach dziedziczy, ten nie powinien omijać sposobności, aby ją powiększyć i nieśmiertelną uczynić. Zaiste, więcej dobrego sprawisz otworzeniem bram tej twierdzy, niż gdybyś całą prowincję do Rzeczypospolitej przyłączył. Król ufa, panie, że niepowszednia mądrość twa na równi z sercem do tego się skłonią, dlatego rozkazywać nie chce – prosić woli; groźby odrzuca, przyjaźń ofiaruje; nie jako władca z podległym, lecz jako potężny z potężnym traktować pragnie.

Tu jenerał Forgell skłonił się panu staroście z takim uszanowaniem jakby udzielnemu monarsze i umilkł. W sali uczyniła się też cisza. Wszystkie oczy utkwione były w starostę.

On zaś kręcić się począł, wedle zwyczaju, na swoim pozłocistym krześle, usta nadymać i srogą fantazję okazywać, wreszcie łokcie rozszerzył, dłonie wsparł na kolanach i rzucając głową jak narowisty koń, tak począł:

– Ot, co jest! Wielcem ja wdzięczny jego szwedzkiej jasności za górne mniemanie, jakie ma o moim dowcipie i o afektach dla ojczyzny. Nic mi też miłszego jak przyjaźń takowego potentata. Ale myślę, że tak samo moglibyśmy się miłować, gdyby jego szwedzka jasność sobie w Sztokholmie zostawała, a ja w Zamościu – co? Bo Sztokholm jego szwedzkiej jasności, a Zamość mój! Co się afektów dla Rzeczypospolitej tyczy – i owszem! – jedno, wedle mego konceptu, nie wtedy będzie Rzeczypospolitej lepiej, kiedy Szwedzi będą do niej szli, ale wtedy, kiedy sobie z niej pójda. Ot, racja! Bardzo w to wierzę, iż Zamość mógłby jego szwedzkiej jasności do wiktorii nad Janem Kazimierzem dopomóc, wszelako trzeba, żebyś i wasza dostojność wiedział, że ja nie jego szwedzkiej mości, jeno właśnie Janowi Kazimierzowi przysięgałem, dlatego jemu wiktorii życzę, a Zamościa nie dam! Ot co!

– To mi polityka! – huknął Zagłoba.

W sali uczynił się szmer radosny, lecz pan starosta trzepnął się rękoma po kolanach i owe gwary uciszył.

Forgell zmieszał się i milczał przez chwilę, po czym znowu argumentować począł: więc nalegał, trochę groził, prosił, pochlebiał. Jako patoka płynęła z ust jego łacina, aż krople potu uperliły mu czoło, lecz wszystko na próżno, bo po swych najlepszych argumentach, tak silnych, że mury poruszyć by mogły, słyszał zawsze jedną odpowiedź:

– A ja tak i Zamościa nie dam, ot co!

Audycja przeciągnęła się nad miarę, na koniec stała się dla Forgella kłopotliwą i trudną, bo wesołość poczynała ogarniać obecnych. Coraz to częściej padało jakieś słowo, jakieś szyderstwo to z ust Zagłoby, to z innych, po którym przytłumione śmiechy odzywały się w sali. Spozrzegł wreszcie Forgell, że trzeba ostatecznie chwycić się sposobów, więc rozwinął pergamin z pieczęciami, który trzymał w ręku, a na który nikt dotąd nie zwracał uwagi, i powstawszy rzekł uroczystym, dobitnym głosem.

– Za otwarcie bram twierdzy jego królewska mość (tu znów długo wymieniał tytuły) ofiaruje waszej książęcej mości województwo lubelskie w dziedziczne władanie!

Zdumieni się słysząc to wszyscy, zdumiał się na chwilę i pan starosta, gdy nagle wśród ciszy głuchej ozwał się po polsku do starosty stojący tuż za nim pan Zagłoba:

– Ofiaruj, wasza dostojność, królowi szwedzkiemu w zamian Niderlandy.

Pan starosta nie namyślał się długo, uderzył się rękoma w boki i palnął na całą salę po łacinie:

– A ja ofiaruję jego szwedzkiej jasności Niderlandy!

W tej samej chwili sala zabrzmiała jednym ogromnym śmiechem. Trząść się poczęły brzuchy i pasy na brzuchach; jedni klaskali w ręce, drudzy zataczali się jak pijani, inni opierali się o sąsiadów, i śmiech brzmiał ciągle. Forgell bladły był; brwi zmarszczył groźnie, lecz czekał, z ogniem w źrenicach i głową dumnie wzniesioną. Na koniec, gdy parokszm śmiechu przeszedł, spytał krótkim, urywanym głosem:

– Czy to ostatnia waszej dostojności odpowiedź?

Na to pan starosta pokręcił wężą.

– Nie! – orzekł podnosząc jeszcze dumniej głowę – bo mam armaty na murach!

Poselstwo było skończone.

W godzin dwie później zagrzmiały działa z szanców szwedzkich, a zamojskie odpowiedzi im z równą siłą. Cały Zamość okrył się dymem, jakby chmurą niezmierną, tylko raz po razu łyskało w owej chmurze i grzmot huczał nieustanny. Lecz wnet ogień z ciężkich fortecznych śmigownic przemógł. Szwedzkie kule padały w fosę lub odbijały się bez skutku o potężne anguły; pod wieczór nieprzyjaciół musiał się cofać z bliższych szanców, twierdza bowiem zasypywała je takim gradem pocisków, że żywy duch wytrzymać nie mógł. Uniesiony gniewem król szwedzki kazał zapalić wszystkie okoliczne wsie i miasteczka, tak że okolica wyglądała w nocy jak jedno morze ognia, lecz pan starosta ani o to dbał.

– Dobrze – mówił – niechże palą! My mamy dach nad głową, ale im rychło za kołnierz naleci.

I tak był kontent ze siebie samego a wesół, że tego jeszcze dnia wspaniałą ucztę wyprawiawszy, do późna kielichami się bawił. Huczna kapela grała do uczyty tak gromko, że mimo huku dział słycać ją było aż w najdalszych szancach szwedzkich.

Lecz i Szwedzi strzelali wytrwale, a nawet tak wytrwale, że ogień trwał przez całą noc. Drugiego dnia przyszło królowi kilkanaście dział, które ledwie że wciągnięto na szanice, wnet poczęły przeciw twierdzy pracować. Nie spodziewał się król wprawdzie zgruchotać murów, chciał tylko wpoić w starostę przekonanie, że postanowił szturmować zaciekle i nieubłaganie. Pragnął przerazić; ale były to strachy na Lachy. Pan starosta ani przez chwilę w nie nie uwierzył i często pokazując się na murach, mówił w czasie największej strzelaniny:

– Po co oni prochy psują?!

Pan Wołodyjowski i inni oficerowie prosili się na wycieczkę, lecz pan starosta nie pozwolił, nie chciał po prostu darmo krwi marnować. Wiedział zresztą, że trzeba by było chyba stoczyć bój otwarty, bo tak przezorny wojownik, jak król szwedzki, i taka wyćwiczona armia nie dadzą się zejść niespodzianie. Zagłoba, widząc stałe postanowienie starościńskie w tym względzie, tym bardziej nalegał i zaręczał, że sam wycieczkę poprowadzi.



– Zbyt waszmość jesteś krwi chwiwy! – odpowiedział pan Sobiepan. – Nam dobrze, Szwedom źle, przecz mamy do nich chodzić? Waszmość polec możesz, a tyś mi jako konsyliarz potrzebny, bo właściny to dowcipem takim Forgella skonfundował, o Niderlandach wspomniawszy.

Pan Zagłoba odpowiedział, że nie może wytrzymać w murach, tak mu do Szwedów pilno, lecz słuchać musiał.

Więc w braku innego zajęcia czas spędzał na murach między żołnierstwem, przestróg i rad z powagą udzielając, których wszyscy z niemałym szacunkiem słuchali mając go za wojownika wielce doświadczonego i jednego w Rzeczypospolitej z najprzedniejszych. A on radował się w duszy, patrząc na obronę i na fantazję rycerską.

– Panie Michale! – mówił do Wołodyjowskiego – inny już duch w Rzeczypospolitej i w szlachcie, inne czasy. Nikt już o zdradzie i o poddaniu się nie myśli, a każdy z życzliwości dla Rzeczypospolitej i majestatu gotów wprzód gardło dać, nim krokiem nieprzyjacielowi ustąpi. Pamiętasz, jako to rok temu ze wszystkich stron się słyszało: ten zdradził! ów zdradził, ów protekcję przyjął, a ninie Szwedzi już więcej od nas protekcji potrzebują, których jeśli diabeł nie poproteguje, to ich wkrótce weźmie. Bo my tu mamy brzuchy tak pełne, że dobrze mogliby na nich bębnić, im zaś głód kiszki szlamuje i na bicze skręca.

Pan Zagłoba miał słusność. Armia szwedzka nie miała ze sobą zapasów żywności i dla ośmnastu tysięcy ludzi, nie licząc koni, nie było skąd ich dostać, pan starosta bowiem, jeszcze przed przyjściem nieprzyjaciela, pościągał na kilkanaście mil wkoło ludzką i końską spyżę ze wszystkich swych majątności. W dalszych zaś okolicach kraju roiły się oddziały konfederackie, kupy zbrojnego chłopstwa, tak że podjazdy z obozu po żywność wychodzić nie mogły, bo tuż za obozem pewna śmierć czekała.

Do tego pan Czarniecki nie poszedł na Zawisze, ale znów krążył koło szwedzkiej armii jak dziki zwierz koło owczarni. Rozpoczęły się znów nocne alarmy, przepadanie bez wieści mniejszych oddziałów. Wedle Kraśnika pojawiły się jakieś wojska polskie, które komunikację z Wisłą przecięły. Na koniec przysłała wieść, że pan Paweł Sapieha z potężną armią litewską idzie z północy, że po drodze mimochodem startł załogę w Lublinie, Lublin wziął i komunikiem dąży ku Zamościowi.

Widział całą okropność położenia najdoświadczeńszy z wodzów szwedzkich, stary Wittenberg, i otwarcie przedstawił ją królowi.

– Wiem – mówił – że geniusz waszej królewskiej mości cuda potrafi, ale po ludzku rzeczy biorąc, głód nas weźmie, a gdy nieprzyjaciel na wycieńczonych nastąpi, żywa noga z nas nie ujdzie.

– Gdybym tę twierdzę posiadał – odparł król – we dwa miesiące wojnę skończę.

– Na taką twierdzę rok oblężenia mało.

Król w duszy przyznawał słusność staremu wojownikowi, nie przyznał się tylko przed nim do tego, że i sam środków nie widzi, że jego geniusz wyczerpany.

Lecz liczył jeszcze na jakiś niespodziany wypadek – więc kazał strzelać dzień i noc.

– Ducha w nich pognębię, do układów będą łatwiejsi – mówił.

Po kilku dniach strzelaniny tak zacieklej, że światła spoza dymu nie było widać, posłał znów Forgella do twierdzy.

– Król i pan mój – rzekł stanąwszy przed starostą jenerał – liczy na to, że szkody, jakie Zamość ponieść od naszych dział musiał, zmiękczą wyniosły waszej książęcej mości umysł i do układów go skłonią.

A na to pan Zamoyski:

– Owszem! tak... szkody są... Czemu nie ma być! Zabiliście świnię w rynku, którą złam granatu w żywot ugodził. Strzelajcie jeszcze tydzień, a może zabijecie drugą...

Forgell poniósł tę odpowiedź królowi. Wieczorem odbyła się znów narada w kwaterze królewskiej i nazajutrz poczęli Szwedzi pakować namioty na wozy i ściągać działa z szan-  
ców... a w nocy ruszyło całe wojsko.

Zamość grzmiał za nimi ze wszystkich dział, a gdy już znikli z oczu, wyszły przez południową bramę dwie chorągwie, Szemberkowa z laudańską – i poszły w trop.

Szwedzi ciągnęli ku południowi. Wittenberg radził wprawdzie, by wracać ku Warszawie, i ze wszystkich sił przekonywał, że to jedyna droga zbawienia, lecz szwedzki Aleksander postanowił koniecznie ścigać do ostatnich krańców państwa polskiego Dariusza.

## ROZDZIAŁ IV

Wiosna tego roku dziwnymi chodziła drogami, bo gdy na północy Rzeczypospolitej potajały już śniegi i puściły zdrętwiałe rzeki, a cała kraina spłynęła marcową wodą, na południu od gór szło jeszcze na pola, na wody i bory lodowate tchnienie zimy. W lasach leżały zasy, zmarznięte drogi tętniły pod kopytami koni, dnie były suche, zachody słońca czerwone, a noce gwiaździste i mroźne. Lud siedzący na żyznych glinach, na czarnoziemiu i na borowinie Małopolski, cieszył się z owej stateczności chłódów, twierdząc, że wyginą od nich myszy polne i Szwedzi. Lecz wiosna, o ile nie przychodziła długo, o tyle potem nastąpiła tak nagle, jak pancerna chorągiew idąca do ataku na nieprzyjaciela. Słońce sypnęło z nieba żywym ogniem i wraz pękła zimowa skorupa; od węgierskich stepów przyleciał wiatr duży a ciepły i jął chuchać na łąki, pola i puszcze. Wnet też wśród kałuż świecących zaczerniała orna ziemia, ruń zielona strzeliła na niskich poręczach, a lasy poczęły płakać łzami z roztopionej okiści.

Na pogodnym wciąż niebie codziennie widać było sznury żurawi, dzikich kaczek, cyranek i gęsi. Przyleciały bociany na zeszlóroczne koła, a podstrzesza zaroiły się jaskółkami, rozległ się świegot ptactwa przy wsiach, wrzaski po lasach i stawach, a wieczorami cała kraina brzmiała rzechotem i kumkaniem żab pławiących się z rozkoszą w wodzie.

Za czym przyszły dżdże wielkie, a jakoby ugrzane, i padały dniem, padały nocą, bez przerwy.

Pola zmieniły się w jeziora, rzeki wezbrały, brody stały się nieprzebyte, nastąpiła „klejowatość i niesposobność dróg błotnistych”.

Wśród tych wód, błot i topieli wlokły się wciąż ku południowi zastępy szwedzkie.

Lecz jakże mało ów tłum, idący jakby na zatracenie, podobny był do owej świetnej armii, która swego czasu wkroczyła pod Wittenbergiem do Wielkopolski. Głód powyciskał sine pieczęcie na twarzach starych wojowników; więc szli, do mar niż do ludzi podobniejszy, w zmartwieniu, trudzie, bezsenności, wiedząc, że na końcu drogi nie jadło ich czeka, ale głód, nie sen, lecz bitwa, a jeśli odpoczynek, to chyba odpoczynek śmierci.

Przybrane w żelazo kościotrupy jeźdźców siedziały na kościotrupach koni. Piechurowie zaledwie nogi wlekli, zaledwie drżącymi rękoma mogli utrzymać dzidy i muszkiety. Dzień uchodził za dzień, oni ciągle szli naprzód. Wozy łamały się, armaty grzęzły w topieli; szli tak wolno, że czasem ledwie przez cały dzień milę ujść zdołali. Choroby rzuciły się na żołnierzy jak kruki na trupa; jedni szczękali zębami z febry, drudzy kładli się po prostu z osłabienia na ziemi, wołąc umierać niż iść dalej.

Lecz szwedzki Aleksander ścigał wciąż polskiego Dariusza.

Jednocześnie zaś sam był ścigany. Jak za chorym bawołem idą nocą szakale, czekając, rychło z nóg się zwali, a on wie, że padnie, i słyszy już wycia głodnego stada, tak za Szwedami szły „partie” szlacheckie i chłopskie, coraz bliżej następując, coraz zuchwalej napadając i szarpiąc.

Wreszcie nadciągnął najstraszniejszy ze wszystkich Czarniecki i szedł tuż. Tylne strażę szwedzkie, ile razy obejrzały się za siebie, widziały zawsze jeźdźców, czasem daleko na

krańcu widnokregu, czasem o staje, czasem o dwa strzały z muszkietu, czasem, gdy atakował, nad samym karkiem.

Nieprzyjaciel chciał bitwy. Z rozpaczą modlili się o nią Szwedzi do Pana Zastępów, lecz Czarniecki bitwy nie przyjmował: czekał pory – tymczasem wołał szarpać lub puszczać z ręki pojedyncze partie, jakby sokoły na ptastwo wodne.

I tak szli jedni za drugimi. Bywały wszelako chwile, w których pan kasztelan kijowski mijał Szwedów, wysuwał się naprzód i przecinał im drogę, symulując, że staje do walnej rozprawy. Wówczas trąby grały radośnie z jednego końca szwedzkiego obozu w drugi i, o cudzie! – nowe siły, nowy duch zdawał się nagle ożywiać strudzone szeregi Skandynawów. Chorzy, zmoknięci, bezsilni, do Łazarzów podobni, stawali nagle do bitwy z płonącym licem, z ogniem w źrenicach. Dzidy i muszkiety poruszały się z taką dokładnością, jakby żelazne władały nimi ręce, krzyki wojenne rozlegały się tak gromko, jakby z najzdrowszych wychodziły piersi – i szli naprzód, by piersią o pierś uderzyć.

Więc pan Czarniecki uderzał raz i drugi, lecz gdy zagrzmiały armaty, cofał wojska na boki, zostawując Szwedom w zysku tylko trud próżny, tylko większy zawód i zniechęcenie.

Natomiast, gdzie armaty nadażyć nie mogły, a dzida i szabla miały w otwartym polu rozstrzygać, tam uderzał jak piorun, wiedząc, że w ręcznej walce jazda szwedzka nawet wolentarzom nie wytrzyma.

I znów Wittenberg począł wnosić instancję do króla, by się cofał, aby siebie i wojska nie gubił, lecz on w odpowiedzi zaciął usta, ogniem sypał z oczu i ukazywał ręką na południe, gdzie w ruskich krainach spodziewał się znaleźć Jana Kazimierza, otwarte do zwycięstw pole, spoczynek, żywność, paszę dla koni i łup bogaty.

Tymczasem, na dobitkę nieszczęścia, te polskie pułki, które służyły mu dotąd, a teraz jedynie mogły jako tako stawiać czoło krokom Czarnieckiego, poczęły opuszczać Szwedów. Więc podziękował pierwszy za służbę pan Zbrozek, którego nie chęć zysku, ale ślepe przywiązanie do chorągwi i wierność żołnierska trzymały dotąd przy Karolu. Podziękował w ten sposób, że poszarpał pułk dragonów Millera, połowę ludzi w pień wyciął i poszedł. Po nim podziękował pan Kaliński, po piechocie szwedzkiej przejechawszy. Sapieha stawał się co dzień posepniejszy, coś w duszy przeżuwał, coś knował. Sam dotąd nie odszedł, ale ludzie co dzień mu uciekali spod chorągwi.

Szedł więc Karol Gustaw na Narol, Cieszanów i Oleszyce, aby się do Sanu dostać. Podtrzymywała go nadzieja, że Jan Kazimierz zabieży mu drogę i bitwę stoczy. Jeszcze zwycięstwo mogło losy szwedzkie poprawić i odmianę fortuny sprowadzić. Jakoś rozeszły się pogłoski, że Jan Kazimierz ruszył ze Lwowa z kwarcianym wojskiem i Tatarami. Lecz rachuby Karolowe zawiodły, Jan Kazimierz wołał bowiem czekać na skupienie się wojsk i nadejście Litwy pod Sapięhą. Zwłoka była mu najlepszym sprzymierzeńcem, bo on rósł z każdym dniem w siły, Karol zaś z każdym dniem stawał się słabszy.

– Nie wojsko to idzie ani armia, ale kondukt pogrzebowy! – mówili starzy wojownicy w Kazimierzowym otoczeniu.

Zdanie to dzieliło wielu oficerów szwedzkich.

Sam król powtarzał jeszcze, że do Lwowa idzie, lecz oszukiwał siebie i swoich. Nie do Lwowa mu było iść, lecz o własnym ratunku myśleć. Zresztą i to było niepewnym, czy Jan Kazimierz we Lwowie się znajduje, a w każdym razie mógł się cofnąć aż hen, na Podole, i wyprowadzić za sobą nieprzyjaciela w dalekie stepy, na których przyszłoby Szwedom zginąć bez ratunku.

Poszedł Duglas pod Przemyśl spróbował, czyliby ta przynajmniej twierdza nie dała się zająć, i wrócił nie tylko z niczym, ale i poszarpany. Katastrofa zbliżała się z wolna, ale nieubłaganie. Wszystkie wieści, jakie przychodziły do szwedzkiego obozu, były tylko jej zapowiedzią. Co dzień zaś nadchodziły nowe, coraz groźniejsze.

– Sapieha idzie, już jest w Tomaszowie! – powtarzano jednego dnia.  
– Pan Lubomirski wali z Podgórze z wojskiem i góralami! – mówiono nazajutrz.  
I znów potem:

– Król wie dzie kwartę i sto tysięcy ordy! Z Sapiehą się połączył!

Były między tymi „awizami klęski i śmierci” nieprawdziwe i przesadzone, ale wszystkie szerzyły przerażenie. Duch w armii upadł. Dawniej, ilekroć Karol własną osobą pojawiał się przed pułkami, tylekroć witały go okrzyki, w których brzmiała nadzieja zwycięstwa, teraz pułki stały przed nim głucho i nieme. Za to u ognisk zgłodniały i strudzony na śmierć żołnierz więcej szeptał o Czarnieckim niż o własnym królu. Widziano go wszędzie. I rzecz szczególna! Gdy przez parę dni nie zginął żaden podjazd, gdy kilka nocy upłynęło bez alarmów, bez okrzyków: „Ała!” i „Bij, zabij!” – niepokój powstawał jeszcze większy.

– Czarniecki ucichł. Bóg wie, co gotuje! – powtarzali żołnierze.

Karol zatrzymał się przez kilka dni w Jarosławiu, namyślając się, co ma począć. Przez ten czas ładowano na szkioty chorych żołnierzy, których w obozie było mnóstwo, i wysyłano rzeką do Sandomierza, jako do najbliższego warownego grodu zostającego jeszcze w szwedzkim ręku. Po ukończeniu nowej roboty, gdy właśnie nadbiegły wieści o ruszeniu się Jana Kazimierza ze Lwowa, postanowił król szwedzki sprawdzić, gdzie istotnie Jan Kazimierz się znajduje.

W tym celu pułkownik Kanneberg z tysiącem jazdy przeszedł San i ruszył ku wschodowi.

– Być może, iż losy wojny i nas wszystkich masz w ręku – rzekł mu na odjeździe król.

A i naprawdę siła od tego podjazdu zależała, albowiem w najgorszym razie powinien był Kanneberg zaopatrzyć obóz w prowiant: w razie zaś gdyby się na pewno wywiedziało, gdzie Jan Kazimierz się znajduje, miał król szwedzki natychmiast ruszyć z całą siłą przeciw „Dariuszowi polskiemu”, rozbić jego wojska, a zdarzy się, to i samego w ręce dostać.

Dano więc Kannebergowi najprzedniejszych żołnierzy i najlepsze konie. Czyniono wybór tym staranniej, że pułkownik nie mógł ze sobą brać ni piechoty, ni armat, musiał więc mieć takich ludzi, którzy by mogli w otwartym polu z szablą w ręku stawić czoło polskiej jeździe.

Dnia 20 marca podjazd wyszedł. Gdy przechodzili przez most, mnóstwo oficerów i żołnierzy zęgnęło ich przy naczółku: „Bóg prowadź! Bóg daj wiktoria! Bóg daj szczęśliwy powrót!” Oni zaś szli długim sznurem, bo przecie było ich tysiąc, a szli dwójkami, po świeżo wykończonym moście, którego jedno przęsło, jeszcze nie ukończone, było jako tako dla nich pokryte deskami, ażeby tylko przejść mogli.

Dobra nadzieja świeciła im w twarzach, bo byli wyjątkowo syci. Innym odjęto, a ich nakarmiono, i gorzalki nalano im do manierek. Więc też jadąc pokrzykiwali wesoło i mówili do zgromadzonych przy naczółku żołnierzy:

– Czarnieckiego samego na powrozie wam sprowadzimy!

Głupi! nie wiedzieli, że szli, jak idą, woły na rzeź do bydłobójni!

Wszystko składało się na ich zgubę. Zaledwie przeszli, zaraz saperowie szwedzcy rozebrali po nich czasowy pomost, by silniejsze dawać belkowanie, po którym by i armaty mogły przechodzić. Oni zaś skręcili, śpiewając sobie z cicha, ku Wielkim Oczom, hełmy ich zabłysły jeszcze w słońcu na skrętach raz i drugi, następnie poczęli się zanurzać w bór gęsty.

Ujechali pół mili – nic! Cisza wkoło, głębiny leśne zdawały się być zupełnie puste. Więc stanęli, by dać oddech koniom, po czym ruszyli z wolna dalej. Na koniec dotarli do Wielkich Oczu, w których nie znaleźli żywego ducha.

Pustka ta zdziwiła Kanneberga.

– Widocznie spodziewano nas się tu – rzekł do majora Swena – ale Czarniecki musi być gdzie indziej, skoro nie urządził nam zasadzki.

– Czy wasza dostojność nakaze odwrót? – zapytał Sweno.  
– Pójdziem naprzód, choćby pod sam Lwów, do którego niezbyt daleko. Musim języka dostać i królowi o Janie Kazimierzu pewną wiadomość przywieźć.  
– A jeśli na siły przeważne trafim?  
– Choćbyśmy też spotkali i kilka tysięcy tej hałastry, którą oni pospolitym ruszeniem zowią, przecie z takimi żołnierzami nie damy się rozerwać.  
– Ale mozem trafić i na regularne wojska. Nie mamy armat, a armaty przeciw nim grunt.

– Tedy w porę się cofniem i królowi o nieprzyjacielu doniesiem. Tych zaś, którzy by nam chcieli odwrót przeciąć, rozbijem.

– Nocy się boję! – odpowiedział Sweno.

– Zachowamy wszelkie ostrożności. Spyży dla ludzi i koni mamy na dwa dni, nie potrzebujem się spieszyć.

Jakoż gdy znowu zagłębili się w bór za Wielkimi Oczami, jechali nierównie ostrożniej. Pięćdziesiąt koni poszło naprzód. Ci jechali z gotowymi muszkietami w rękę, mając wsparte kolby na udach, i oglądali się bacznie na wszystkie strony. Badali zarośla, chaszczce, częstokroć przystawali słuchając, czasem zjeżdżali z drogi w bok, by zbadać przybrzeżne głębie borowe, ni na drodze jednak, ni po bokach nie było nikogo.

Dopiero w godzinę później minawszy skręt dość nagły, dwóch rajtarów jadących w przodku ujrzało na czterysta kroków przed sobą jeźdźca na koniu.

Dzień był pogodny i słońce świeciło jasno, więc owego jeźdźca widać było jak na dłoni. Sam był żołnierz niewielki, przybrany bardzo przystojnie i z cudzoziemska. Wydawał się dlatego zwłaszcza tak mały, że siedział na roslym bułanym bachmacie, widocznie wielkiej krwi.

Jeździec jechał sobie z wolna, jakby nie widząc, że wojsko za nim wali. Powodzie wiosenne powyrywały w drodze głębokie rowy, w których szumiała mętna woda. Owóż jeździec zdzierał przed rowami rumaka, a ten przesadzał je ze sprężystością jelenia i znów szedł truchtem, rzucając łbem i parszając od czasu do czasu rzeźwo.

Dwaj rajtarzy wstrzymali konie i poczęli się oglądać za wachmistrzem. Ten przyclapał w tej chwili, popatrzył i rzekł:

– To jakiś ogar z polskiej psiarni.

– Krzyknę na niego! – rzekł rajtar.

– Nie krzykniesz. Może ich tu być więcej. Ruszaj do pułkownika!

Tymczasem nadjechała reszta przedniej straży i stanęli wszyscy; mały rycerz także zatrzymał konia i zwrócił go frontem do Szwedów, jakby im chciał drogę zagrodzić.

Przez jakiś czas oni patrzyli na niego, on na nich.

– Jest i drugi! Drugi! trzeci! czwarty, cała kupa! – poczęto nagle wołać w szwedzkich szeregach.

Jakoż z obu stron drogi poczęli się sypać jeźdźcy, zrazu pojedynczo, potem po dwóch, po trzech. Wszyscy stawali obok owego, który pojawił się najpierwszy.

Lecz i druga straż szwedzka ze Swenonem, a potem cały oddział z Kannebergiem nadciągnęły do forpocztu. Kanneberg i Sweno wyjechali zaraz na czoło.

– Poznaję tych ludzi! – zawołał ledwie spojrzawszy Sweno – ta chorągiew pierwsza uderzyła na grafa Waldemara pod Gołębiem, to Czarnieckiego ludzie. On sam musi tu być!

Słowa te wywarły wrażenie, w szeregach nastąpiła cisza głęboka, jeno konie dzwoniły munsztukami.

– Wietrzę tu jakąś zasadzkę – mówił dalej Sweno. – Za mało ich, by nam stawiali czoło, ale po lasach muszą być ukryci drudzy.

Tu zwrócił się do Kanneberga.

– Wasza dostojność, wracajmy!

– Dobrze waść radzisz – odparł marszcząc brwi pułkownik. – Warto było wyjeżdżać, jeżeli na widok kilkudziesięciu obszarpańców wracać mamy! – A czemuśmy na widok jednego nie wrócili?... Naprzód!

Szwedzki szereg poruszył się w tej chwili z największą dokładnością, za nim drugi, trzeci, czwarty. Przestrzeń między dwoma oddziałami zaczęła się zmniejszać.

– *Tuj!* – skomenderował Kanneberg.

Muszkiety szwedzkie poruszyły się jak jeden, żelazne szyje wyciągnęły się ku polskim jeźdźcom.

Lecz pierwej, nim zagrzmiały muszkiety, jeźdźcy polscy zawrócili konie i poczęli umykać bezładną kupą.

– Naprzód! – krzyknął Kanneberg.

Oddział ruszył z miejsca skokiem, aż ziemia zadrżała pod ciężkimi kopytami rajtarskich koni.

Las napełnił się krzykiem goniących i uciekających. Po kwadransie gonitwy, bądź że konie szwedzkie były lepsze, bądź że polskie jakowąś drogą pomęczzone, dość, że przestrzeń dzieląca dwa wojska zaczęła się zmniejszać.

Lecz zarazem stało się coś dziwnego. Oto bezładna z początku kupa polska, w miarę trwania ucieczki, nie tylko nie rozpraszała się coraz bardziej, ale przeciwnie, uciekała w coraz lepszym ordynku, coraz równiejszymi szeregami, jak gdyby sama szybkość koni równała jeźdźców w szeregi.

Spostrzegł to Sweno, rozpuścił konia, dopadł do Kanneberga i począł wołać:

– Wasza dostojność! to nie zwykła partia, to regularny żołnierz, któren umyślnie umyka i do zasadzki nas prowadzi .

– Zali diabli będą w tej zasadzce czy ludzie? – odrzekł Kanneberg.

Droga szła nieco w górę i stawała się coraz szersza, las rzedniał i na jego krańcu widać już było niezarośnięte pole, a raczej ogromną polanę otoczoną ze wszystkich stron gęstym i szarym borem.

Chorągiew polska przyspieszyła z kolei biegu i okazało się, że poprzednio umyślnie szła tępo, teraz bowiem w krótkiej chwili odsadziła się tak daleko, że wódz szwedzki poznał, iż nigdy jej nie doścignie.

Dopadłszy zatem dokołowy polany i spostrzegłwszy, że nieprzyjaciel już niemal do drugiego jej końca dociera, począł hamować swoich ludzi i zwalniać biegu.

Lecz, o dziwo, polski oddział, zamiast utonąć w przeciwległym lesie, zatoczył na samym krańcu ogromne półkole i zwrócił się cwałem ku Szwedom, stanąwszy od razu w tak wspaniałym bojowym ordynku, że wzbudził podziw w samym nieprzyjacielu.

– Tak jest! – zawołał Kanneberg – to regularny żołnierz! Zawrócili jakoby na mustrze. Czego oni chcą?... do krośset!

– Idą na nas! – krzyknął Sweno.

Jakoż chorągiew ruszyła naprzód rysią. Mały rycerz na bułanym bachmacie krzyczał coś na swoich, wysuwał się naprzód i znów wstrzymywał konia, szablą znaki dawał, widocznie on był dowódcą.

– Atakują naprawdę! – rzekł ze zdumieniem Kanneberg.

A pod tamtymi już konie wzięły pęd największy i potuliwszy uszy, wyciągnęły się tak, iż ledwie brzuchami nie dotykały ziemi. Jeźdźcy pochylili się na karki i skryli się za grzywą. Szwedzi, stojący w pierwszym szeregu, dostrzegli tylko setki rozwartych chrapów końskich i gorejących oczu. I wicher tak nie idzie, jako rwała ta chorągiew.

– Bóg z nami! Szwecja! Ognia! – skomenderował Kanneberg podnosząc w górę szpadę.

Gruchnęły wszystkie muszkiety, lecz w tej samej chwili chorągiew polska wpadła w dym z taką siłą, że odrzuciła na prawo i lewo pierwsze szwedzkie szeregi i wbiła się w gę-

stwę ludzi i koni, jak klin wbija się w rozszczerzone drzewo. Uczynił się wir straszliwy, pancerz uderzał o pancerz, szabla o szablę, a ów szczęk, kwik koński, lament konających mężów rozbudził wszystkie echa, tak że cały bór począł odzywać się bitwie, jako strome skały górskie odzywają się grzmotom.

Szwedzi mieszała się przez chwilę, zwłaszcza że znaczna ich ilość padła od pierwszego uderzenia, lecz wnet ochłonawszy wsiedli potężnie na nieprzyjaciół. Skrzydła ich zbiegły się ze sobą, a że chorągiew polska i bez tego parła naprzód, chciała bowiem przejść „sztychem”, wnet otoczona została. Środek Szwedów ustępował przed nią, natomiast boki nacierały ją coraz silniej, nie mogąc jej wprawdzie rozerwać, bo broniła się zaciekłe i z całą ową nierzównaną biegłością, która czyniła jazdę polską tak straszną w ręcznej bitwie. Pracowały więc szable przeciw rapierom, trup padał gęsto, lecz zwycięstwo już, już chyliło się na szwedzką stronę, gdy nagle spod ciemnej ściany boru wytoczyła się druga chorągiew i od razu ruszyła z krzykiem.

Całe prawe skrzydło szwedzkie zwróciło się natomiast, pod wodzą Swena, czołem ku nowemu nieprzyjacielowi, w którym wprawni żołnierze szwedzcy poznali husarię.

Wiódł ją mąż siedzący na dzielnym tarantowym koniu, przybrany w burkę i rysy kołpak z czaplim piórem. Widać go było doskonale, bo jechał z boku, o kilkanaście kroków od żołnierzy.

– Czarniecki! Czarniecki! – rozległy się wołania w szwedzkich szeregach.

Sweno spojrzął z rozpaczą w niebo, następnie ścisnął kolanami konia i ruszył ławą.

Pan Czarniecki zaś podprowadził husarzy na kilkanaście kroków i gdy szli już w największym pędzie, sam zawrócił.

Wtem od boru ruszyła trzecia chorągiew, on zaraz doskoczył do niej i podprowadził; ruszyła czwarta, podprowadził; buławą każdej pokazał, gdzie ma uderzyć, rzekłbyś: gospodarz prowadzący żniwiarzy i rozdzielający między nich robotę.

Na koniec, gdy wysunęła się piąta, sam stanął na czele i ruszył wraz z nią do bitwy.

Lecz już husaria odrzuciła w tył prawe skrzydło i po chwili rozerwała je zupełnie, trzy zaś następne chorągwie obskoczyły tatarską modą Szwedów i czyniąc krzyk, poczęły siec zmieszanych żelazem, bóść włóczniami, rozbijać, tratować, a wreszcie gnać wśród wrzasków i rzezi.

Kanneberg poznał, że wpadł w zasadzkę i jakoby pod nóż wyprowadził swój oddział; nie chodziło mu już o zwycięstwo, ale chciał przynajmniej jak największą liczbę ludzi ocalić, więc kazał trąbić na odwrót. Ruszyli zatem Szwedzi całym pędem ku tej samej drodze, którą od Wielkich Oczu przyjechali, czarniecczykowie zaś jechali na nich, tak że dech polskich koni ogrzewał szwedzkie plecy.

W tych warunkach i wobec przerażenia, jakie ogarnęło rajtarów, odwrót ów nie mógł odbywać się w porządku, lepsze konie wysforowały się naprzód i wkrótce świetny Kannebergowski oddział zmienił się w kupę uciekającą bezładnie i wycinaną niemal bez oporu.

Im pogoń dłużej trwała, tym stawała się bezładniejszą, bo i Polacy nie gonili w ordynku, ale każdy wypuszczał konia, ile pary w nozdrzach, dopadał, kogo chciał, bił, kogo chciał.

Pomieszali się więc jedni z drugimi. Niektórzy polscy żołnierze prześcignęli ostatnie szwedzkie szeregi i zdarzało się, że gdy towarzysz stawał na strzemionach, by tym potężniej ciąć uciekającego przed sobą rajtara, sam ginął pchnięty rapierem z tyłu. Usłala się gęstym szwedzkim trupem droga do Wielkich Oczu, lecz nie tu był termin gonitwy. I jedni, i drudzy wpadli tym samym impetem do następnego lasu, tam jednak zdrożone poprzednio konie szwedzkie poczęły ustawać i rzeź stała się jeszcze krwawsza.

Niektórzy rajtarowie poczęli zeskakiwać z koni i zmykać w las, lecz kilkunastu zaledwie to uczyniło, wiedzieli bowiem z doświadczenia Szwedzi, że w lasach czyhają chłopi,



woleli więc ginąć od szabel niż w straszliwych mękach, których rozwścieczony lud im nie szczędził.

Inni prosili pardonu, po większej części na próżno, bo każdy wołał ściąć nieprzyjaciela i gnać dalej, niż wzięwszy go jeńcem, pilnować i dalszej gonitwy zaniechać.

Więc cięto bez miłosierdzia, aby nikt z wieścią o klęsce nie wrócił. Pan Wołodyjowski gonił w przodku z laudańską chorągwią. On to był owym jeźdźcem, który pierwszy ukazał się Szwedom na wabia, on pierwszy uderzył, a teraz siedząc na koniu jako wichler ścigłym używał z całej duszy, pragnąc się krwią nasycić i gołąbską klęskę pomścić. Corat to doganiał rajtara, a dognawszy gasił go tak prędko jako świecę; czasem zaś jechał na karku dwóch, trzech lub czterech, lecz krótko, bo po chwili już tylko konie bez jeźdźców biegły przed nim. Próżno niejednen Szwedzisko chwycił własny rapier za ostrze i zwracając go na znak pardonu ręką do przodu ku rycerzowi, głosem i oczyma żebrał litości; pan Wołodyjowski nawet nie zatrzymywał się nad nim, jeno wsunawszy mu sztych szabli tam, gdzie szyja piersi dotyka, zadawał cios lekki, nieznaczny, a ów ręce rozkładał, zbladłymi ustami jedno i drugie słowo rzucił, po czym pogroził się w mroku śmierci.

Pan Wołodyjowski zaś, nie oglądając się więcej, biegł dalej i nowe ofiary na ziemię strącał.

Zauważył strasznego żniwiarza dzielny Sweno i skrzyknawszy kilkunastu co najdzielniejszych rajtarów, postanowił ofiarą własnego życia wstrzymać choć na chwilę pogoń, aby innych ocalić. Zwrócili tedy konie i nastawiwszy rapiery, czekali z ostrzami na goniących. Pan Wołodyjowski widząc to, ani chwili się nie zawahał, wspiął konia i wpadł między nich w środek.

I nimby ktoś okiem zdołał mrugnąć, już dwa hełmy zapadły w dół konia. Przeszło dzieśnięć rapiersów zmierzyło się teraz w jedną pierś Wołodyjowskiego, lecz w tej chwili wpadli za nim Skrzetuscy, Józwa Butrym Beznogi, pan Zagłoba i Roch Kowalski, o którym Zagłoba powiadał, że nawet idąc do ataku jeszcze oczy ma zamknięte i drzemie, a budzi się dopiero, gdy pierś o pierś nieprzyjaciela uderzy.

Pan Wołodyjowski zwinął się pod kulbakę tak szybko, że rapiery puste powietrze przeszły. Miał on ten sposób od białogrodzkich Tatarów, lecz małym, a zarazem nad ludzką wiarę zręcznym będąc, do takiej doskonałości go doprowadził, że nikał, kiedy chciał, z oczu, bądź za karkiem, bądź pod brzuchem końskim. Tak zniknął i teraz, a nim zdumieni rajтары zdołali zrozumieć, co się z nim stało, znów niespodzianie na kulbakę wychynał, straszny jak żbik, gdy między trwożne ogary z wysokich gałęzi skoczył.

Tymczasem i towarzysze mu pomogli roznosząc śmierć i zamieszanie. Jeden z rajtarów przyłożył panu Zagłobie do samych piersi pistolet, lecz Roch Kowalski, mając go po lewej stronie, zatem nie mogąc ciąć szablą, złożył pięść i w głowę go mimochodem dojechał, a ten nurknął w tej chwili pod konia, tak właśnie, jakby weń piorun uderzył. Pan Zagłoba zaś wydawszy okrzyk radosny ciał w skroń samego Swena, którego ręce opuścił i czołem wsparł się na karku końskim. Na ten widok pierzchnęli inni rajтары. Wołodyjowski, Józwa Beznogi i dwaj Skrzetuscy puścili się za nimi i wycięli, zanim ubiegli sto kroków.

I pogoń dalej trwała. Szwedzkie konie coraz mniej miały tchu w piersiach i rozpięły się coraz częściej. Na koniec z tysiąca najświetniejszych rajtarów, którzy pod Kannebergiem wyszli, zostało zaledwie stu kilkudziesięciu jeźdźców, reszta leżała długim pasem na leśnej drodze. Lecz i ta ostatnia kupa zmniejszała się z każdą chwilą, gdyż ręce polskie nie przestały na nią pracować.

Na koniec wypadli z lasu. Wieże Jarosławia zarysowały się wyraźnie na błękitnie. Już, już nadzieja wstąpiła w serca uciekających, wiedzieli bowiem, że w Jarosławiu stoi sam król i cała potęga i że w każdej chwili może im przyjść w pomoc.

Zapomnieli o tym, iż zaraz po ich przejściu uprzątnięto pomost na ostatnim prześle mostu, aby silniejsze podłożyć dla armat belkowanie.

Pan Czarniecki zaś, czy wiedział o tym przez swoich szpiegów, czy też umyślnie chciał się królowi szwedzkiemu pokazać i na jego oczach dociąć reszty tych nieszczęśliwych, dość, iż nie tylko nie wstrzymał pogoni, ale sam z Szemberkową chorągwią naprzód skoczył, sam siekł, sam własną ręką ścinał – pędząc za kupą tak, jak gdyby tym samym pędem chciał na Jarosław uderzyć.

Na koniec dobiegli o staję do mostu. Krzyki z pola doleciały do obozu szwedzkiego. Mnóstwo żołnierzy i oficerów wybiegło z miasta patrzeć, co się za rzeką dzieje. Ledwie spojrzeli – dostrzegli i poznali rajtarów, którzy rano wyszli z obozu.

– Oddział Kanneberga! oddział Kanneberga! – poczęło krzyżeć tysiące głosów.

– W pień niemal wycięci! Ledwie sto ludzi bieży!

W tej chwili przygalopował sam król, a z nim Wittenberg, Forgell, Miller i inni jenerałowie.

Król pobladł.

– Kanneberg! – rzekł.

– Na Chrystusa i jego rany! Most nie wykończony! – zawołał Wittenberg – wytną ich do nogi!

Król spojrział na rzekę wezbraną wiosennymi wody; szumiała żółtą falą o przeprowieniu pomocy wpływ nie było co i myśleć.

Tamci zbliżali się coraz więcej.

Wtem znów poczęto krzyżeć:

– Wozy królewskie i gwardia nadciąga! Zginą i ci!

Jakoż zdarzało się, że część królewskiego kredensu, ze stoma ludźmi pieszej gwardii, wynurzyła się w tej chwili inną drogą z przyległych lasów. Spostrzegłszy, co się dzieje, ludzie z eskorty w przekonaniu, że most gotowy, poczęli zdążyć co sił ku miastu.

Lecz dostrzeżono ich z pola – za czym natychmiast ze trzysta koni ruszyło ku nim całym pędem, a na czele wszystkich leciał z szablą wzniesioną nad głową i ogniem w żenicach pan dzierzawca z Wąsoszy, Rzędzian. Niewielkie dał on dotąd męstwa dowody, lecz na widok wozów, w których mógł znajdować się łup obfity, odwaga tak wezbrała w jego sercu, że wysforował się na kilkadziesiąt kroków przed innymi. Piechurowie przy wozach, widząc, że nie ujdą, zwarli się w czworobok i sto muszkietów naraz skierowało się w piersi Rzędziana. Huk wstrząsnął powietrzem, wstęga dymu przeleciała wzdłuż ściany czworoboku, lecz nim dym się rozproszył, już pan dzierzawca przed ścianą wspiął konia tak, że kopyta przednie zawisły przez chwilę nad głowami rajtarów – i wpadł na kształt gromu w środek.

Lawina jeźdźców runęła za nim.

I jako gdy wilcy zmogą konia, on żyje jeszcze i leżąc na grzbiecie, broni się rozpaczliwie kopytami, a one pokryją go całkiem i drą zeń żywe kawały mięsa – tak owe wozy i piechurowie pokryci zostali zupełnie kłębiącą się masą koni i jeźdźców. Jeny krzyki straszne podnosiły się z tego wiru i dolatywały uszu Szwedów stojących na drugim brzegu.

A tymczasem jeszcze bliżej brzegu docinano reszty Kannebergowych rajtarów. Cała armia szwedzka wyległa jak jeden mąż na wysoki brzeg Sanu. Piechota, jazda, artyleria pomieszały się ze sobą – i patrzyli wszyscy, jakoby w dawnym cyrku rzymskim na widowisko, jedno patrzyli ze ściśniętymi ustami, z rozpaczą w piersi, w przerażeniu, w poczuciu bezsilności. Chwilami z piersi tych mimowolnych widzów wyrwał się krzyk straszny. Chwilami rozległ się płacz powszechny, to znów zapadała cisza, słyhać było tylko sapanie rozwścieczonych żołnierzy. Bo przecie ten tysiąc ludzi, który wprowadził Kanneberg, stanowił czoło i dumę całej armii szwedzkiej; sami to byli weterani okryci sławą w Bóg wie ilu ziemiach i w Bóg wie ilu bitwach! A teraz oto biegali jak błędne stado owiec po obszernym przeciwległym błoni, ginąc jak owce pod nożem rzeźniczym. Więc nie była to już bitwa, ale łowy. Straszni jeźdźcy polscy kręcili się jak zawierucha po bo-

jowisku, krzycząc różnymi głosami i przebiegając rajtarom. Czasem za jednym pędziło kilku lub kilkunastu, czasem pojedynczy za pojedynczym. Niekiedy dognany Szwed pochylał się jeno na kulbace, by cios nieprzyjacielowi ułatwić, niekiedy przyjmował bitwę, lecz ginał najczęściej, bo na białą broń szwedzcy żołnierze nie mogli się mierzyć z wyćwiczoną we wszelakich fechtach szlachtą polską.

Lecz najokropniej srożył się między Polakami mały rycerzyk, siedzący na bułanym a ścigłym i zwrotnym jak sokół koniu. Zauważyło go wreszcie całe wojsko, bo kogo on pogończył, kto się z nim spotkał, ginał nie wiadomo jak i kiedy, tak małymi, tak nieznacznymi ruchami miecza strącał najteższych rajtarów na ziemię. Na koniec dostrzegł samego Kanneberga, którego kilkunastu towarzysztwa goniło, więc krzyknął na nich, rozkazem pogończy powstrzymał i sam na niego uderzył.

Szwedzi z drugiego brzegu wstrzymali dech w piersiach. Sam król się tuż do brzegu przysunął i patrzył z bijącym sercem, miotany jednocześnie trwogą i nadzieją, bo Kanneberg, jako pan wielki i królewski krewny, od dzieciństwa ćwiczony we wszelkiego rodzaju fechtach przez mistrzów włoskich, w walce na biały oręż nie miał równego sobie w armii szwedzkiej. Wszystkie więc oczy były teraz w niego utkwione, zaledwie śmiały oddychać otwarte usta, on zaś widząc, że pogończy gromadna ustała, i chcąc po straceniu wojska sławę swą w oczach królewskich ratować, rzekł do swej duszy ponurej:

„Biada mi, jeśli wojsko wprzód wytraciwszy, krwią własną teraz hańby nie przypieczętuję lub jeśli życia nie okupię, tego straszego mężą obaliwszy. Inaczej, choćby mnie dłoń Boga na tamtą stronę przeniosła, żadnemu Szwedowi w oczy spojrzeć bym nie śmia!”

To rzekłszy zwrócił konia i skoczył ku złotemu rycerzowi.

Że zaś ci jeźdźcy, którzy mu przebiegali od rzeki, usunęli się teraz, miał więc Kanneberg i tę nadzieję, że gdy pokona przeciwnika, dopadnie brzegu i w wodę skoczy, a potem – co będzie, to będzie; jeśli nie zdoła wzburzonych fal przepłynąć, to przynajmniej prąd go wraz z koniem daleko uniesie, a tam już jakiś ratunek bracia dla niego obmyślą.

Skoczył więc jak piorun ku małemu rycerzowi, a mały rycerz ku niemu. Chciał Szwed w przelocie wbić swój rapier aż po gardę pod pachę przeciwnika, lecz zaraz poznał, że sam mistrzem będąc, na mistrza również trafić musiał, bo szpada tylko ześliznęła się jakoś dziwnie w rękę, jak gdyby mu nagle ramię zdrętwiało; ledwie się zdołał zastawić od ciosu, który mu rycerz następnie zadał; na szczęście, w tej chwili rozniosły ich konie we dwie przeciwne strony.

Zatoczyli tedy obaj kołem i zwrócili się jednocześnie, lecz wolniej jechali już na siebie, pragnąc więcej na spotkanie mieć czasu i choć kilkakroć żelazo skrzyżować. Kanneberg zebrał się teraz w sobie, tak iż uczynił się podobny do ptaka, któremu dziób tylko potężny z nastroszonych piór wystaje. Znał on jedno niezawodne pchnięcie, w którym pewien Florentczyk go wyćwiczył, straszne, bo zwodnicze i niemal nieodbite, polegające na tym, że ostrze, skierowane niby w piersi, mijając bokiem zastawę przesywało gardło i wychodziło aż tyłem kartu. Tego pchnięcia postanowił teraz użyć.

I pewnie swego, zbliżał się hamując coraz bardziej konia, a pan Wołodyjowski (on to był bowiem) nadjeżdżał ku niemu w drobnych skokach. Przez chwilę myślał, żeby białogrodzkim sposobem zniknąć nagle pod koniem, lecz że z jednym tylko mężem, i to na oczach obu wojsk miał się spotkać, więc choć zrozumiał, iż czeka go jakiś cios niespodziewany, wstyd mu było po tatarsku, nie po rycersku się bronić.

„Chcesz mnie jako czapla sokoła, stychem nadzieć – pomyślał sobie – ale ja cię owym wiatraczkiem zażyję, który w Łubniach jeszcze wykoncypowałem”.

I ta myśl wydała mu się na razie najlepszą, więc wyprostował się w kulbace, podniósł szabelkę i puścił ją w ruch podobny do ruchu śmig wiatraka, lecz tak szybki, iż powietrze poczęło świstać przeraźliwie.

A że zachodzące słońce grało mu na szabli, więc otoczyła go jakoby tarcza świetlana, migotliwa, on zaś uderzył ostrogami bachmata i runął na Kanneberga.

Kanneberg skurczył się jeszcze bardziej i prawie przywarł do konia, w mgnieniu oka związał rapier z szablą, nagle wysunął głowę jak wąż i pchnął okropnie.

Lecz w tej chwili zaszumił straszliwy młyniec, rapier targnął się Szwedowi w rękę, ostrze uderzyło w pustą przestrzeń, natomiast wygięty koniec szabli małego rycerza spadł z piorunową szybkością na twarz Kanneberga, przeciął mu część nosa, usta, brodę, spadł na obojczyk, strzaskał go i zatrzymał się dopiero na idącym przez ramię pendecie.

Rapier wysunął się z rąk nieszczęsnego i noc objęła mu głowę, lecz nim spadł z konia, pan Wołodyjowski puścił szablę na sznurek i chwycił go za ramiona.

Zawrzała jedynym wrzaskiem z drugiego brzegu Szwedzi, pan Zagłoba zaś przyskoczył do małego rycerza i rzekł:

– Panie Michale, wiedziałem, że tak będzie, ale był gotów cię pomścić!

– Mistrz to był – odpowiedział Wołodyjowski. – Bierz waść konia za uzdę, bo zacny!

– Ha! żeby nie rzeka, skoczyłoby się z tamtymi pohłasować! Pierwszy bym...

Dalsze słowa przerwał panu Zagłobie świst kul, więc nie dokończył myśli, natomiast krzyknął:

– Uchodźmy, panie Michale, ci zdrajcy postrzelić gotowi!

– Nie mają już te kule impetu – odrzekł Wołodyjowski – bo za daleko.

Tymczasem otoczyli ich inni jeźdźcy polscy wieszając Wołodyjowskiemu i patrząc nań z podziwem, a on tylko wąsikiem raz po raz ruszał, bo także rad był z siebie.

Zaś na drugim brzegu, między Szwedami, wrzało jakby w ulu. Artylerzyści zataczali na gwałt armaty, więc i w pobliskich szeregach polskich ozwały się trąbki do odwrotu. Na głos ich skoczył każdy do swojej chorągwi, i w mig stanęły wszystkie w sprawie. Cofnęły się pod las i zatrzymały znowu, jakby miejsce nieprzyjacielowi zostawując i zapraszając go za rzekę. Wreszcie przed ławę ludzi i koni wyjechał na tarantowatym dzianecie mąż przybrany w burkę i czapkę z czaplím piórem, z pozłocistym buzdyganem w rękę.

Widać go było doskonale, bo padały nań czerwone promienie zachodzącego słońca, i zresztą jeździł przed pułkami, jakby przegląd sprawując. Poznali go od razu wszyscy Szwedzi i poczęli krzyczeć:

– Czarniecki! Czarniecki!

On zaś gadał coś z pułkownikami. Widziano, jak dłużej zatrzymał się przy rycerzu, który Kanneberga usieknął, i rękę położył na jego ramieniu, po czym podniósł buzdygan i chorągwie zaczęły z wolna, jedna za drugą, zawracać ku borom.

Właśnie i słońce zaszło. W Jarosławiu dzwony ozwały się po kościołach, więc wszystkie pułki zaśpiewały jednym głosem, odjeżdżając: „Anioł Pański zwiastował Najświętszej Pannie Marii”, i z tą pieśnią znikły Szwedom z oczu.

## ROZDZIAŁ V

Dnia tego położyli się Szwedzi spać nic w usta nie biorąc i bez nadziei, aby mieli czym nazajutrz się posilić. Toteż od męki głodowej spać nie mogli. Nim drugi kur zapiał, znękanе żołnierstwo poczęło wymykać się z obozu pojedynczo i kupami na grasunek po wsiach przyległych do Jarosławia. Szli więc, do nocnych rabusiów podobni, ku Radymnu, Kańczudze, Tyczynowi – gdzie mogli i gdzie spodziewali się zastać coś do jedzenia. Otuchy dodawało im to, że Czarniecki był na drugiej stronie rzeki, ale choćby i przeprawić się już zdążył, woleli śmierć niż głód. Widocznie wielkie już było rozprężenie w obozie, bo około półtora tysiąca ludzi wysunęło się w ten sposób, wbrew najsurowszym rozkazom królewskim.

Poczęli więc grasować po okolicy, paląc, rabując, ścinając, lecz prawie nikt z nich nie miał powrócić do obozu. Czarniecki był wprawdzie z drugiej strony Sanu, lecz i z tej kręciły się różne partie szlacheckie i chłopskie; najpotężniejsza zaś, pana Strzałkowskiego, złożona z bitnej szlachty górskiej, tej właśnie nocy przymknęła, jak na nieszczęście, do Próchnika. Ujrzawszy tedy łunę i usłyszawszy strzały poszedł pan Strzałkowski, jakoby kto sierpem rzucił, prosto na gwar i napadł na zajętych rabunkiem. Bronili się silnie w opłotkach, lecz pan Strzałkowski rozerwał ich, wysiekl, nikogo nie żywił. W innych wioskach inne partie uczyniły toż samo, po czym w gonitwie za uciekającymi podsunęły się pod sam obóz szwedzki, roznosząc trwogę i zamieszanie, krzycząc po tatarsku, po wołosku, po węgiersku i po polsku, tak iż Szwedzi sądzili, że jakieś potężne wojska posiłkowe na nich następują, może chan z całą orlą.

Wszczęło się zamieszanie i – rzecz niebywała dotąd – popłoch, który z największym trudem udało się oficerom potłumić. Lecz król, do rana przesiedział na koniu, widział, co się dzieje, zrozumiał, co z tego może wyniknąć, i zaraz rankiem zwołał radę wojenną.

Posępna owa narada niedługo trwała, bo nie było dwóch dróg do wyboru. Duch w wojsku upadł, żołnierz nie miał co jeść, nieprzyjaciel rósł w potęgę.

Szwedzki Aleksander, który obiecywał światu całemu gonić, choćby do tatarskich stepów, polskiego Dariusza, nie o gonitwie dalszej, ale o własnym ocaleniu musiał teraz myśleć.

– Sanem mozem się wracać do Sandomierza, stamtąd Wisłą do Warszawy i do Prus – mówił Wittenberg. – W ten sposób zguby unikniem.

Duglas za głowę się chwycił:

– Tyle zwycięstw, tyle trudów, tak olbrzymi kraj podbity i wracać nam przychodzi!

A Wittenberg na to:

– Masz-li, wasza dostojność, jaką radę?

– Nie mam! – odrzekł Duglas.

Król, który dotąd nic nie mówił, wstał na znak, że posiedzenie skończone, i rzekł:

– Nakazuję odwrót!

Więcej tego dnia nie słyszano z jego ust ani słowa.

Bębny poczęły warczeć i trąby grać w szwedzkim obozie. Wieść, że odwrót nakazany, rozbiegła się w jednej chwili z końca w koniec. Przyjęto ją okrzykami radości. Przecie zamki i fortece były jeszcze w ręku Szwedów, w nich czekał wypoczynek, jadło, bezpieczeństwo.

Jenerałowie i żołnierze wzięli się tak gorliwie do przygotowań odwrotu, że aż gorliwość owa, jak zauważył Duglas, z hańbą graniczyła.

Samego Duglasa wysłał król w przedniej straży, aby trudne przeprawy naprawiał, lasy trzebił. Wkrótce za nim ruszyło całe wojsko szykiem jak do boju; front armaty zasłaniały, tył wozy utaborowane, po bokach szła piechota. Potrzeby wojenne i namioty płynęły rzeką na statkach.

Wszystkie te ostrożności nie były zbyt dobre, ledwie bowiem tabor ruszył, już tylne straże szwedzkie dojrzały idących śladem jeźdźców polskich i odtąd niemal nigdy nie traciły ich z oczu. Czarniecki pościagał własne chorągwie, wszystkie partie okoliczne, posłał po nowe posiłki do króla i szedł w trop. Pierwszy nocleg w Przeworsku był zarazem pierwszym alarmem. Oddziały polskie natarły tak blisko, iż kilka tysięcy piechoty wraz z działami musiano przeciw nim zwrócić. Przez chwilę sam król myślał, że Czarniecki naprawdę następuje, lecz on, swoim zwyczajem, wysyłał tylko oddziały za oddziałami. Te podpadając czyniły okrzyk i cofały się natychmiast. Noc do rana zesłała na podobnych harcach, noc swarliwa, dla Szwedów bezsenna.

I cały pochód, wszystkie następne noce i dni miały być do niej podobne.

Tymczasem znowuż Czarnieckiemu przysłał król dwie chorągwie jazdy, bardzo moderowanej, za tym i list, że wkrótce hetmani z komputowym wojskiem ruszą, on zaś sam z resztą piechoty i ordą rychło za nimi pospieszy. Jakoż zatrzymywały go już tylko rokowania z chanem, z Rakoczym i z cesarzem. Czarniecki uradował się niepomiernie tą wieścią, i gdy nazajutrz rano Szwedzi ruszyli dalej, w klin między Wisłą i San, rzekł pan kasztelan do pułkownika Polanowskiego:

– Sieć nastawiona, ryby w matnię idą.

– A my uczynim jak ów rybak – rzekł Zagłoba – który im na fletni grał, żeby tańcowały, czego gdy nie chcą czynić, wyciągnął je na brzeg; tedy dopiero skakały, a on wziął je kijem razić mówiąc: „O, takie córki! trzeba było tańcować, pókim prosił”.

Na to pan Czarniecki:

– Będą oni tańcowali, niech jeno pan marszałek Lubomirski nadciągnie ze swoim wojskiem, które na pięć tysięcy liczą.

– Lada chwila go nie widać – rzekł pan Wołodyjowski.

– Przyjechało dziś kilku szlachty podgórskiej – ozwał się Zagłoba – ci zapewniają, że wielkimi i pilnymi drogami idzie, ale czy się zechce z nami połączyć, miast na swoją rękę wojować, to inna rzecz!

– Czemu to? – spytał pan Czarniecki, bystro patrząc na Zagłobę.

– Bo to człek nadzwyczajnej ambicji i o sławę zazdrosny. Znam go siła lat i byłem mu konfidentem. Poznałem go, gdy był młodym jeszcze panięciem, na dworze pana krakowskiego, Stanisława. Fechtów się w onczas od Francuzów i Włochów uczył i okrutnie się na mnie rozgniewał, gdy mu powiedział, że to kpy, z których żaden mi nie zdierży. Uczyniliśmy parol i samem ich siedmiu jednego po drugim rozciągnął. On zaś ode mnie się dalej uczył nie tylko fechtów, ale i sztuki wojennej. Dowcip miał z przyrodzenia trochę tępy, ale co umie, to ode mnie.

– Takież to z waści mistrz? – spytał Polanowski.

– *Exemplum*: pan Wołodyjowski, drugi mój uczeń. Z tego mam prawdziwą pociechę.

– Prawda, żeś to waszmość Swena usiekł!

– Swena? Gdyby się to któremu z waszmościów zdarzyło, miałby przez całe życie co opowiadać, jeszcze by sąsiadów spraszał, by im przy winie jedno w kółko powtarzać, ale

ja o to nie dbam, bo gdybym chciał wyliczać, mógłbym takimi Swenami drogę do samego Sandomierza wymościć. Może bym nie mógł? Powiedzcie, którzy mnie znacie.

– Mógłby wuj! – ozwał się Roch Kowalski.

Pan Czarniecki nie słyszał dalszego ciągu rozmowy, bo się głęboko nad słowami Zagłoby zamyślił. Znał i on ambicję pana Lubomirskiego i nie wątpił, że albo zechce mu swoją wolę narzucać, albo na własną rękę będzie działał, chociażby to szkodę Rzeczypospolitej przynieść miało.

Więc surowe jego oblicze sposepniało i począł brodę kręcić.

– Oho! – szepnął do Skrzetuskiego Jan Zagłoba – już tam Czarniecki coś gorzkiego żuje, bo mu się twarz do orłowej podobna uczyniła, rychło tu kogo podziobie.

Wtem pan Czarniecki ozwał się:

– Trzeba, by który z waszmościów z listem ode mnie do pana Lubomirskiego pojechał.

– Jam mu znajomy i podejmuję się – rzekł pan Jan Skrzetuski.

– Dobrze – odparł wódz – im kto znamienitszy, tym lepiej...

Zagłoba zwrócił się do Wołodyjowskiego i znów szepnął:

– Już i przez nos mówi, znak to wielkiej alteracji.

Rzeczywiście zaś pan Czarniecki miał srebrne podniebienie, bo mu je kula przed laty pod Buszą wyrwała. Owóz ilekroć był wzruszony, gniewny i niespokojny, zaczynał zawsze mówić ostrym i brzękliwym głosem.

Nagle zwrócił się teraz do Zagłoby:

– A może byś i waćpan z panem Skrzetuskim pojechał?

– Chętnie – odpowiedział Zagłoba – jeśli ja czego nie wskóram, nikt nie wskóra. Wreszcie do człeka tak wielkiego rodu we dwóch będzie przystojniej.

Czarniecki zacisnął wargi, szarpnął brodę i rzekł jakby sam do siebie:

– Wielkie rody... wielkie rody...

– Tego nikt panu Lubomirskiemu nie ujmie – zauważył Zagłoba.

A Czarniecki brwi zmarszczył:

– Rzeczpospolita sama jest wielka, a rodów w proporcji do niej nie masz wielkich, jeno małe, i bodaj ziemia pożarła takie, które o tym zapominają!

Umilkli wszyscy, bo bardzo potężnie przemówił, i dopiero po niejakej chwili Zagłoba rzekł:

– W proporcji do całej Rzeczypospolitej słusznie!

– Jam też nie z soli wyrósł ani z roli, jeno z tego, co mnie boli – ozwał się Czarniecki – a boleli mnie Kozacy, którzy mi tę oto gębę przestrelili, a teraz boli mnie Szwed, i albo tę bolączkę przetnę, albo sam od niej szczezę, tak mi dopomóż Bóg!

– I my dopomożem krwią naszą! – rzekł Polanowski.

Czarniecki zaś przeżuwał jeszcze czas jakiś gorycz, która wezbrała mu w sercu na myśl, że ambicja pana marszałka może mu w ratowaniu ojczyzny przeszkodzić, wreszcie uspokoił się i rzekł:

– Za czym i list trzeba pisać. Proszę waszmościów ze sobą.

Jan Skrzetuski i Zagłoba poszli za nim, a w pół godziny później siedli na koń i pojechali odwrotną drogą ku Radymnu, były bowiem wieści, że tam właśnie zatrzymał się pan marszałek z wojskiem.

– Janie – rzekł Zagłoba macając się po kalecie, w której wiózł list pana Czarnieckiego – uczyn mi łaskę i pozwól mnie samemu gadać do marszałka.

– A ojciec naprawdę go znałeś i fechtów go uczyłeś?

– I!... tak się jeno sobie mówiło dlatego, żeby się para w gębie nie zagrzała i żeby język nie rozmiękł, co się od przydłuższego milczenia snadnie przytrafić może. Ni go znałem, ni go uczyłem. Albo to nie miałem czego lepszego do roboty niż być niedźwiednikiem i uc-

zyć pana marszałka, jako się na zadnich nogach chodzi? Ale to wszystko jedno. Przeznałem go na wylot z tego, co ludzie o nim powiadają, i potrafię go zagnieść jako kucharka kluski. Jen o to jedno cię jeszcze proszę: nie powiadaj, że mam list od pana Czarnieckiego, i nie wspominaj nawet o nim, póki go sam nie oddam.

– Jakże to? Miałbym funkcji, z którą mnie posłano nie spełnić?! W życiu mi się to nie przygodziło i nie przygodzi. Nie może być! Chociażby i pan Czarniecki przebaczył, nie uczynię tego za skarb gotowy!

– To wyciągnę szablę i pęcinę twemu koniowi podetnę, żebyś za mną nie nadążył. Zali widziałeś kiedy, żeby chybiło to, com własną głową zamyslił? Gadaj! Złeś to wyszedł ty sam na Zagłobowych fortelach? Żle wyszedł pan Michał albo i twoja Halszka? albo i wy wszyscy, kiedym to was z rąk Radziwiłła wyłusknął? Powiadam ci, że z tego listu może być więcej złego niż dobrego, bo pan kasztelan pisał go w takiej alteracji, że ze trzy pióra złamał. Wreszcie, będziesz o nim gadał, gdy moje zamysły chybią; parol, że go sam wówczas oddam, ale nie prędzej.

– Bylem go mógł oddać, wszystko jedno kiedy.

– Więcej też nie potrzebuję! Hajda teraz, bo droga przed nami okrutna!

Popędzili tedy konie i puścili się w skok. Ale nie potrzebowali jechać długo, bo przednie stráže marszałkowskie minęły już nie tylko Radymno, ale i Jarosław, on sam zaś znajdował się w Jarosławiu i stał w dawnej kwaterze króla szwedzkiego.

Znaleźli go przy obiedzie ze znaczniejszymi oficerami. Lecz gdy się opowiedzieli, Lubomirski kazał ich przyjąć natychmiast, bo ich nazwiska znał, gdyż głośne były owego czasu w całej Rzeczypospolitej.

Wszystkie oczy zwróciły się na nich, gdy weszli; patrzono zwłaszcza z podziwem i ciekawością na Skrzetuskiego, marszałek zaś, powitawszy ich wdzięcznie, spytał zaraz:

– Czy to sławnego rycerza mam przed sobą, który listy z oblężonego Zbaraża królowi przeniósł?

– Ja to się przekradłem – odrzekł pan Jan.

– Dajże mi Boże takich oficerów jak najwięcej! Niczego tak panu Czarnieckiemu nie zazdrozczę, bo zresztą wiem, że i moje małe zasługi w pamięci ludzkiej nie przepadną.

– A jam jest Zagłoba! – rzekł stary rycerz wysuwając się naprzód.

Tu powiódł okiem po zgromadzeniu; marszałek zaś, jak to każdego chciał sobie ująć, zaraz zakrzyknął:

– Kto by nie wiedział o mężu, którego Burłaja, wodza *barbarorum*, usiekł, którego Radziwiłłowi wojsko pobuntował...

– I panu Sapieże wojsko przywiódłem, które, prawdę rzekłwszy, mnie, nie jego, wodzem sobie obrało – dodał Zagłoba.

– A żeś to wasza mość chciał, mogąc tak górną mieć szarżę, wyrzec się jej i u pana Czarnieckiego służbę przyjąć?

Na to Zagłoba łysnął okiem ku Skrzetuskiemu i odrzekł:

– Jaśnie wielmożny panie marszałku, od waszej to dostojności tak ja, jak i cały kraj przykład bierze, jak dla dobra publicznego wyrzekać się ambicji i prywaty.

Lubomirski pokraśniał z zadowolenia, a Zagłoba wziął się w boki i mówił dalej:

– Pan Czarniecki umyślnie nas przysłał, abyśmy się waszej dostojności w jego i całego wojska imieniu pokłonili, a zarazem donieśli o znacznej wiktorii, jaką nam Bóg nad Kannebergiem odnieść pozwolił.

– Słyszeliśmy już tu o tym – odrzekł dość sucho marszałek, w którym już poruszyła się zazdrość – ale chętnie z ust naocznego świadka jeszcze raz posłyszemy.

Usłyszawszy to pan Zagłoba rozpoczął zaraz opowiadać, jeno z niektórymi zmianami, bo siły Kanneberga spotężniały w jego ustach do dwóch tysięcy ludzi. Nie zapomniał też



wspomnieć o Swenonie, o sobie, o tym, jak na oczach królewskich resztę rajtarów tuż nad rzeką wycięto, jak wozy i trzystu ludzi gwardii wpadło w ręce szczęśliwych zwycięzców, słowem, wiktoria urosła w opowiadaniu do rozmiarów niepowetowanej dla Szwedów klęski.

Słuchali wszyscy pilnie, słuchał i pan marszałek, ale posepniał coraz bardziej i oblicze ścinało mu się jakoby lodem, wreszcie rzekł:

– Nie neguję, że pan Czarniecki znamienity wojennik, ale przecież sam wszystkich Szwedów nie zje i dla innych choć na łyk zostanie.

A na to Zagłoba:

– Jaśnie wielmożny panie, to nie pan Czarniecki tę wiktorię odniósł.

– Jeno kto?

– Jeno Lubomirski!

Nastąpiła chwila powszechnego zdumienia. Pan marszałek usta otworzył, powiekami począł mrugać i patrzył na Zagłobę tak zdziwionym wzrokiem, jak gdyby chciał go spytać:

– Zali waćpanu piątej klepki nie staje?

Lecz pan Zagłoba nie dał się zbić z tropu, owszem wargi z wielką fantazją wydał (któren gest przejął od pana Zamoyskiego) i rzekł:

– Słyszałem, jak sam Czarniecki przed całym wojskiem mówił: „Nie nasze to szable biją, ale (powiada) imię Lubomirskiego bije, bo gdy się (powiada) zwiedzieli, że tuż, tuż nadciąga, duch w nich tak zdechł, że w każdym żołnierzu wojsko marszałkowskie widzą i jako owce pod nóż łby oddają”.

Gdyby wszystkie promienie słoneczne upadły od razu na twarz pana marszałka, twarz ta nie rozjaśniłaby się więcej.

– Jakże? – zakrzyknął – sam Czarniecki to powiadał?

– Tak jest, i wiele innych rzeczy, ale nie wiem, czy mi się godzi powtarzać, bo do konfidentów jeno mówił.

– Mów waść! Każde słowo pana Czarnieckiego warte, żeby je sto razy powtórzyć. Niepowszedni to człek i z dawna to mówiłem!

Zagłobas spojrział na marszałka, przymrużając jedno oko, i mruczał pod wąsami:

– Połknąłeś hak, zaraz cię tu wyciągnę.

– Co waszmość mówisz? – pytał marszałek.

– Mówię, że wojsko tak na cześć waszej dostojności wiwatowało, jakby i królowi jegomości lepiej nie wiwatowało, a w Przeworsku, gdyśmy to całą noc szarpali Szweda, co która chorągiew skoczyła, to krzyczeli: „Lubomirski! Lubomirski!”, i lepszy to skutek miało niż wszystkie „ała!” i „bij, zabij!” Jest tu świadek, pan Skrzetuski, żołnierz też nie lada, któren nigdy w życiu nie zełgał.

Marszałek spojrział mimo woli na Skrzetuskiego, a ten zaczerwienił się po uszy i począł coś mamrotać pod nosem.

Tymczasem oficerowie marszałkowscy poczęli wychwalać w głos posłów.

– Ot, politycznie postąpił sobie pan Czarniecki, tak grzecznych kawalerów wysyłając! Obaj najślawniejsi rycerze, a jednemu miód po prostu z gęby płynie!

– Zawsze to rozumiał o panu Czarnieckim, że mi życzliwy, ale teraz nie masz takiej rzeczy, której bym dla niego nie uczynił – zakrzyknął marszałek, którego oczy mgłą się pokrywały z rozkoszy.

Na to Zagłoba wpadł w zapał:

– Jaśnie wielmożny panie! Kto by cię nie uwielbiał, kto by cię nie czczył, wzorze wszystkich cnót obywatelskich, który Arystydesa sprawiedliwością, męstwem Scypionów przypominasz! Siłam ksiąg w życiu przeczytał, siłam widział, siłam rozważał, i rozdarła mi sie dusza od boleści, bo cóżem w tej Rzeczypospolitej ujrzał! Oto Opalińskich, Rad-

ziejowskich, Radziwiłłów, którzy własną pychę, własną ambicję nad wszystko ceniąc, ojczyzny dla prywaty gotowi byli każdego momentu odstąpić. Więcem pomysłał: zginęła ta Rzeczpospolita niecnotą własnych synów! Lecz któż mnie pocieszył, kto mi otuchy w strapieniu dodał? – pan Czarniecki! „Zaiste – mówił – nie zginęła, skoro powstał w niej Lubomirski. Tamci o sobie (powiada) myślą, ten tylko patrzy, tylko szuka, gdzie by ofiarę z prywaty na ołtarzu powszechnym mógł złożyć; tamci się wysuwają, ten się usuwa, bo przykładem chce świecić. Ot i teraz (powiada) nadciąga z wojskiem potężnym i zwycięskim, a już (powiada) słyszę, że chce mnie komendę nad nim zdawać, aby nauczyć innych, jako ambicję, choćby słuszną, mają dla ojczyzny poświęcać. Jedźcie tedy (powiada) do niego, oznajmijcie mu, że ja tej ofiary nie chcę, nie przyjmę, gdyż on lepszym ode mnie wodzem, gdyż, zresztą, jego nie tylko wodzem, ale – daj Bóg naszemu Kazimierzowi długie życie – królem gotowiśmy obrać!... i... obierzemy!”

Tu pan Zagłoba sam się nieco przeląkł, czyli miary nie przebrał, i istotnie, po okrzyku: „obierzemy!”, nastąpiła cisza; lecz przed magnatem tylko się niebo otworzyło, zrazu przybladł nieco, następnie pokraśniał, następnie znów przybladł i robiąc silnie pierściami, odrzekł po chwili milczenia:

– Rzeczpospolita jest i zostanie zawsze panią swej woli, bo na tym starodawne fundamenta naszych wolności spoczywają... Lecz jam jeno sługa jej sług i Bóg mi świadkiem, że nie podnoszę oczu na one wysokości, na które obywatel spoglądać nie powinien... Co do komendy nad wojskiem... pan Czarniecki przyjąć ją musi. Oto właśnie pragnę dać przykład tym, którzy wielkość swego rodu ustawicznie na myśli mając, nie chcą żadnej zwierzchności uznawać, jak *pro publico bono* należy o wielkości swego rodu zapomnieć. Więc choć i tak złym wodzem może nie jestem, jednakże ja, Lubomirski, idę dobrowolnie pod komendę Czarnieckiego, o to tylko Boga prosząc, aby nam wiktoryę nad nieprzyjacielem spuścić raczył!

– Rzymianinie! ojczyzny! ojczyzny! – krzyknął Zagłoba chwytając rękę marszałka i przyciskając do niej wargi.

Lecz tu jednocześnie stary wyga nastawił na Skrzetuskiego oko i począł nim mrugać raz po raz.

Rozległy się grzmiące okrzyki oficerów i towarzystwa. Tłum w kwaterze powiększał się z każdą chwilą.

– Wina! – zawołał pan marszałek.

A gdy wniesiono kielichy, zaraz wniósł zdrowie królewskie, potem pana Czarnieckiego, którego naszym wodzem nazwał, i wreszcie posłów. Zagłoba nie pozostał w tyle z toastami i tak wszystkich za serce chwycił, że sam marszałek za próg ich przeprowadził, zaś rycerstwo aż do rogatki Jarosławia.

Na koniec zostali sami; wówczas Zagłoba zajechał drogę Skrzetuskiemu, wstrzymał koni i chwyciwszy się w bok, rzekł:

– A co, Janie?

– Dalibóg! – odpowiedział Skrzetuski – żeby na własne oczy nie widział i na własne uszy nie słyszał, wierzyć bym nie chciał, choćby mi też i anioł powiadał.

Zaś pan Zagłoba:

– Ha? co? Przysięgnę, że sam Czarniecki co najwięcej to wzywał i prosił Lubomirskiego, by szedł z nim w parze. I wiesz, co byłby wskórał? Oto, że Lubomirski poszedłby osobno, bo jeśli w liście były zaklęcia na miłość do ojczyzny i jakoweś o prywatce wzmianki (a jestem pewien, że były), to zaraz by pan marszałek nadał się a rzekł: „Zali on chce moim *praeceptorem* zostać i uczyć, jak się ojczyźnie służy?...” Znam ja ich!!... Na szczęście, stary Zagłoba wziął sprawę w ręce, pojechał i ledwie gębę otworzył, już Lubomirski nie tylko chce iść razem, ale pod komendę się poddaje. Morzy się tam frasunkiem

pan Czarniecki, ale ja go pocieszę... A co, Janie, umie sobie Zagłoba z magnatami rady dawać?

– Tedy powiadam, że z podziwienia pary z gęby puścić nie mogłem.

– Znam ja ich! Pokaż któremu koronę i róg gronostajowego płaszcza, to możesz go pod włos głaskać jak charcie szczenię, jeszcze ci się ugnie i sam krzyża nadstawi... Żaden kot nie będzie się tak oblizywał, choćbyś mu *prospectus* z samych sperek pokazał. Najpoczciwszemu oczy z pożądlivosti na wierzch wylizają, a trafi się szelma, jako był książę wojewoda wileński, to i ojczyznę zdradzić gotów. Co to ta ludzka próżność! Panie Jezu! żebyś mi dał tyle tysięcy, iluś kandydatów do tej korony stworzył, to bym i sam kandydował... Bo jeśli który z nich myśli, że mam się za gorszego od niego, to niech mu od własnej pychy żywot pęknie... Taki dobry Zagłoba jak i Lubomirski, tylko w fortunie różnica... Tak, tak, Janie... Czy myślisz, żem go naprawdę w rękę pocałował? Siebiem w wielki palec pocałowałem, a jego jenom nosem szturgnął... Pewno go tak, odkąd żywie, nikt w pole nie wywiódł. Rozsmarowałem go jako masło na grzance dla pana Czarnieckiego... Daj Boże naszemu królowi jak najdłuższe życie, ale na wypadek elekcji sobie wołałbym dać kreskę jak jemu... Roch Kowalski dałby mi drugą, a pan Michał oponentów by wysiekł... Boga mi, zaraz bym cię hetmanem wielkim koronnym uczynił, pana Michała po Sopięże litewskim... a Rzędziana podskarbinem... Ten by dopiero Żydowinów podatkami cisnął!... Mniejsza wreszcie z tym; grunt, żem Lubomirskiego na hak ułowił, a sznurek wsadzę Czarnieckiemu w rękę. Na kim się skrupi, na Szwedach się zmiele, a zasługa czyja? co? O kim innym kroniki by pisały, ale ja nie mam szczęścia... Dobrze jeszcze, jeśli Czarniecki na starego nie parskanie, że listu nie oddał... Taka to wdzięczność ludzka... Ha! nie pierwszyna mi, nie pierwszyna... Inni na starostwach siedzą i słoniną jako parsiuki obrośli, a ty, stary, po dawnemu trzęś brzuszysko na szkapie...

Tu machnął ręką pan Zagłoba.

– Jechał ludzką wdzięczność sęk! I tak, i tak trzeba umierać, a przecie ojczyźnie miło posłużyć. Najlepssza nagroda dobra kampania. Jak człek raz na koń siedzie, to z takimi kompanami, jak ty i Michał, na kraj świata jechać gotów... Taka już nasza polska natura. Byle raz na koń sięść. Niemiec, Francuz, Angielczyk albo smagły Hiszpan od razu do oczu skoczy, a Polak pacjencję wrodzoną mając siła zniesie, długo się choćby takiemu Szwedzinie szarpać pozwoli, ale gdy się miara przebierze, jak huknie w pysk, to ci się taki Szwedzina trzy razy nogami nakryje... Bo fantazja jeszcze jest, a póki fantazja nie zginie, póty i Rzeczpospolita trwać będzie. Zakonotuj to sobie, Janie...

I tak długo jeszcze rozprawiał pan Zagłoba, bo bardzo był rad z siebie, a ilekroć się to zdarzyło, tylekroć bywał i mowny nad zwykłą miarę, i mądrych sentencji pełen.

## ROZDZIAŁ VI

Czarnecki itotnie nie śmiał nawet myśleć o tym, by pan marszałek koronny poddał się pod jego komendę. Chciał tylko, by działali razem, a obawiał się, że i to z powodu wielkiej ambicji marszałka nie przyjdzie do skutku, dumny pan bowiem odzywał się już nieraz poprzednio do swych oficerów, że woli na własną rękę Szwedów podchodzić, bo i tak coś wskórać może, a gdyby razem z Czarnieckim odnieśli zwycięstwo, tedyby cała sława spłynęła na Czarnieckiego.

Jakożby tak i było. Czarniecki rozumiał marszałkowe powody i martwił się. Wysławszy z Przeworska list, odczytywał teraz po raz dziesiąty jego kopię chcąc się przekonać, czyli nie napisał czegoś takiego, co by tak drażliwego człeka ubość mogło.

I żałował niektórych wyrażań, wreszcie począł w ogóle żałować, że list wysłał. Siedział zatem posepny w swej kwaterze, a coraz to do okna podchodził i spoglądał na drogę, czyli posłowie nie wracają. Widzieli go przez okna oficerowie i odgadywali, co się z nim dzieje, bo troska widoczna była na jego czole.

– Patrz no waść – rzekł Polanowski do Wołodyjowskiego. – Nic dobrego nie będzie, bo u kasztelana oblicze stało się pstre, a to zły znak.

Jakoż twarz Czarnieckiego nosiła liczne ślady ospy i w chwilach wielkiego wzruszenia albo niepokoju pokrywała się białawymi i ciemnymi cętkami. Że zaś rysy miał ostre, bardzo wysokie czoło, na nim chmurne jowiszowe brwi, nos zagięty i wzrok po prostu przeszywający, więc gdy jeszcze przyszły nań owe piętna, stawał się straszny. Kozacy przezwali go swego czasu rabym psem, ale wedle słuszności więcej był do rabego orła podobny, a gdy, bywało, prowadził lud do ataku z rozwianą na kształt olbrzymich skrzydeł burką, wtedy to podobieństwo uderzało swoich i nieprzyjaciół.

Wzbudzał też strach w jednych i drugich. Za czasów kozackich wojen dowódcy potężnych watah tracili głowy, gdy przyszło im przeciw Czarnieckiemu działać. Sam Chmielnicki bał się go, a zwłaszcza jego rad, których królowi udzielał. One to sprowadziły na kozactwo straszliwą klęskę pod Beresteczkiem. Lecz sława jego wyrosła głównie po beresteckiej, gdy na wspólną z Tatury przebiegał na kształt płomienia stepy, wygniał on cna zbuntowane roje, brał szturmem miasta, okopy, rzucając się z szybkością wichru z jednego końca Ukrainy w drugi.

Z tą samą zacieklą wytrwałością szarpał teraz Szwedów. „Czarnecki nie wybije, ale wykradnie mi wojsko” – mówił Karol Gustaw. Lecz właśnie Czarnieckiemu uprzykrzyło się już wykradać; mniemał, że przyszedł czas bić, zaś brakło mu zupełnie armat, piechoty, bez których stanowczo nie można było nic ważniejszego wskórać; dlatego tak pragnął połączyć się z Lubomirskim, który wprawdzie także małą miał ilość armat, ale wiodł ze sobą piechoty, złożone z górali. Te, jakkolwiek niezbyt jeszcze wyćwiczone, były już przecie nieraz w ogniu i mogły od biedy być użyte przeciw niezrównanym pieszym zastępom Karola Gustawa.

Więc pan Czarniecki był jakby w gorączce. Nie mogąc wreszcie wytrzymać w kwaterze wyszedł przed się i spostrzegłszy Wołodyjowskiego z Polanowskim, spytał:

– A nie widać posłów?

– Znać, że im radzi – odszedł Wołodyjowski.

– Im radzi, ale mnie nieradzi, bo inaczej byłby pan marszałek swoich z odpowiedzią przysłał.

– Panie kasztelanie – rzekł Polanowski, który cieszył się wielkim zaufaniem wodza – po co się troskać; przyjdzie pan marszałek, dobrze! nie, to będziem po staremu podchodzić. Ciecze i tak krew ze szwedzkiego garnka, a to wiadomo, że gdy raz garnek zacznie ciec, to i wszystko z niego ucieknie.

Na to Czarniecki:

– I z Rzeczypospolitej ciecze. Jeśli teraz ujdą, wzmocnią się, przyjdą im posiłki z Prus – sposobność minie!

To rzekłszy uderzył się ręką po pole na znak niecierpliwości; wtem dały się słyszeć stąpania końskie i basowy głos Zagłoby śpiewający:

Poszła Kaśka do piekarni,  
A Stach do niej: Puść, przygarnij,  
Kochana!

Bo śnieg pada i wiatr wieje,  
Gdzież ja się, biedny, podzieję  
Do rana!...

– Dobry znak! Wesoło wracają! – zawołał Polanowski.

Tymczasem tamci ujrzawszy kasztelana zeskoczyli z kulbak, oddali konie pacholikowi i szli żywo do ganku; nagle Zagłoba rzucił czapkę w górę i udając głos marszałka tak wybornie, że kto by go nie widział, mógłby się omylić, zakrzyknął:

– *Vivat* pan Czarniecki, nasz wódz!

Kasztelan zmarszczył się i rzekł prędko:

– Jest pismo dla mnie?

– Nie ma – odrzekł Zagłoba – jest coś lepszego. Marszałek z całym wojskiem przechodzi dobrowolnie pod komendę waszej dostojności!

Czarniecki przewiercił go wzrokiem, za czym zwrócił się do Skrzetuskiego, jakby mu chciał rzec: „Gadaj ty, bo tamten podpiał!”

Pan Zagłoba rzeczywiście był nieco podpity; lecz Skrzetuski potwierdził jego słowa, więc zdumienie odbiło się na obliczu kasztelana.

– Bywajcie za mną! – rzekł do przybyłych. – Mości Polanowski, mości Wołodyjowski, proszę także!

I wszyscy weszli do izby. Nie siedli jeszcze, gdy Czarniecki spyta:

– Co rzekł na mój list?

– Nic nie rzekł – odpowiedział Zagłoba – a dlaczego, to się w końcu mojej relacji okaże, teraz zaś *incipiam*...

Tu zaczął wszystko opowiadać, jak się odbyło, jako marszałka do decyzji tak pomyślnej doprowadził. Czarniecki patrzył na niego z coraz większym zdziwieniem. Polanowski za głowę się chwytał, pan Michał wąsikami ruszał.

– Toteż ja waści nie znał dotąd, jak mnie Bóg miły! – zawołał wreszcie kasztelan. – Uszom własnym nie wierzę!

– Ulissesem z dawna mnie nazywano! – odrzekł skromnie Zagłoba.

– Gdzie mój list?

– Ot jest!

– Już ci muszę darować, żeś go nie oddał. To ćwik kuty na cztery nogi! Podkanclerzemu uczyć się u niego, jak układy prowadzić! Na Boga, gdybym był królem, do Carogrodu bym waści wysłał...

– Już by tu sto tysięcy Turka stało! – zakrzyknął pan Michał.

A Zagłoba na to:

– Dwieście, nie sto, żeby tak zdrów był!

– W niczymże się pan marszałek nie spostrzegł? – pytał znów Czarniecki.

– On? Łykał tak wszystko, com mu do gęby wkładał, jak karmny gąsior gałki, jeno mu grzydyka grała i oczy mgłą zachodziły. Myślałem, że pęknie od radości, jako szwedzki granat. Tego człowieka do piekła pochlebstwem można by zaprowadzić!

– Byle się to na Szwedach skrupiło, byle się skrupiło, a mam nadzieję, że tak będzie! – odrzekł uradowany Czarniecki. – Waść jesteś człek zręczny jako liszka, ale sobie zbyt z pana marszałka nie dworuj, bo inny i tego by nie uczynił. Siła od niego zależy... Aż do samego Sandomierza pójdziemy majątności Lubomirskich i marszałek jednym słowem może całą okolicę podnieść, chłopstwu kazać przeprawy zatrudniać, mosty palić, wiwendę po lasach kryć... Waść będziesz miał zasługę, której ci do śmierci nie zapomnę, ale i panu marszałkowi muszę dziękować, bo tak mniemam, że nie z samej próżności to uczynił.

Tu w ręce zaklaskał i krzyknął do pacholika:

– Konia mi natychmiast!... Kujmy żelazo, póki gorące.

Po czym zwrócił się do pułkowników:

– Waściowie wszyscy ze mną, żeby asysta była jako najokazalsza.

– Czy i ja mam jechać? – pytał Zagłoba.

– Waszmość zbudowałeś ten most między mną a panem marszałkiem, słuszna, abyś pierwszy po nim przejechał. Zresztą tak myślę, że cię tam bardzo nawidzą... Jedź, jedź, panie bracie, bo inaczej powiem, że chcesz w pół poczęte dzieło porzucić.

– Trudna rada! – Muszę jeno pasa mocniej zacisnąć, bo się na nic utrzesę... Już mi i sił nie bardzo staje, chybabym się czym pokrzepił.

– A czym by?

– Siła mi powiadano o kasztelańskim miodzie, którego dotąd nie kosztował, a chciałbym wreszcie wiedzieć, czyli od marszałkowego lepszy?

– To się strzemiennego po kusztyczku napijmy, za to z powrotem nie będziem sobie z góry odmierzali. Parę gąsiorów znajdziesz też waść u siebie w kwaterze...

To rzekłszy kazał pan kasztelan podać kielichy i wypili w miarę, na fantazję i dobry humor, po czym na konie siedli i pojechali.

Marszałek przyjął pana Czarnieckiego z otwartymi rękoma, gościł, poił, do rana nie puścił, za to połączyły się oba wojska i szły dalej w komendzie pana Czarnieckiego. Koło Sieniawy napadli znów na Szwedów tak skutecznie, iż tylną straż w pień wycięli i wprowadzili zamieszanie w szeregi głównej armii. Dopiero o świtaniu spędziły ich armaty. Pod Leżajskiem jeszcze silniej nastąpił pan Czarniecki. Znaczne oddziały szwedzkie pogrzęły w błotach, powstałych z deszczów i powodzi, i te wpadły w ręce polskie. Droga stała się dla Szwedów coraz opłakańszą. Wycieńczone, zgłodniałe i zmorzone snem pułki ledwie maszerowały. Coraz więcej żołnierzy zostawało na drodze. Znajdowano niektórych tak straszliwie zbiedzonych, że nie chcieli już jeść i pić, prosili tylko o śmierć. Inni kładli się i umierali po kępach, inni tracili przytomność i spoglądali z największą obojętnością na zbliżających się jeźdźców polskich. Cudzoziemcy, których sporo liczyło się w szwedzkich szeregach, poczęli wymykać się z obozu i przechodzić do pana Czarnieckiego. Tylko niezłomny duch Karola Gustawa utrzymywał resztę gasnących sił w całej armii.

Bo nie tylko za armią szedł nieprzyjaciel; rozmaite partie pod nieznanymi wodzami i kupy chłopskie zabiegały jej ustawicznie drogę. Oddziały te, niesforne i niezbyt liczne, nie

mogły wprawdzie uderzyć na nią wstępnym bojem, ale użyły śmiertelnie. Że zaś chcąc wpoić w Szwedów przekonanie, iż Tatarzy przybyli już z pomocą, wszystkie polskie wojska wydawały tatarski okrzyk, więc „ała! ała!” rozlegało się dniem i nocą, bez chwili przerwy. Nie mógł żołnierz szwedzki odetchnąć, broni na moment w kozły złożyć. Nieraz kilkunastu ludzi alarmowało całą armię. Konie padały dziesiątkami i zjadano je natychmiast, bo sprowadzanie prowiantów stało się niepodobieństwem. Od czasu do czasu polscy jeźdźcy znajdowali straszliwie poszarpane trupy szwedzkie, po których poznawali natychmiast chłopską rękę. Większa część wsi w klinie między Sanem i Wisłą należała do pana marszałka i do jego krewnych. Owóż wszyscy chłopci jak jeden mąż w nich powstałi, pan marszałek bowiem nie żałując własnej fortuny ogłosił, iż ten, który za oręż chwyci, z poddaństwa zostanie uwolniony. Ledwo wieść o tym rozbiegła się po ziemiach, wszystkie kosy osadzono sztorcem i poczęto co dzień znosić głowy szwedzkie do obozu, aż pan marszałek musiał tego zwyczaj, jako niechrześcijańskiego, zakazać.

Wówczas poczęto znosić rękawice i rajtarskie ostrogi. Szwedzi, przywiezieni do desperacji, łupili ze skóry tych, którzy im w rękę wpadli, i wojna stawała się co dzień straszliwszą. Nieco wojska polskiego jeszcze trzymało się Szwedów, ale trzymało ich tylko postrachem. W drodze do Leżajska zbiegło ich wielu, pozostali wszczynali co dzień takie tumulty w obozie, iż Karol Gustaw rozkazał w samym Leżajsku rozstrzelać kilku towarzystwa. Było to hasłem ogólnej ucieczki, której dokonano z szablą w rękę. Nikt prawie nie pozostał, jeno Czarniecki, wzmocniony, począł następować coraz potężniej.

Pan marszałek pomagał mu bardzo szczerze. Być może, iż szlachetniejsze strony jego natury wzięły na ów czas, zresztą krótki, górę nad pychą i miłością własną, więc nie szczędził ni trudów, ni nawet życia, i osobą prowadził nieraz chorągwie, nie dał odetchnąć nieprzyjacielowi, a że był żołnierz dobry, więc znaczne położył zasługi. Te, przyłożone do późniejszych, chwalebna by mu zapewniły pamięć w narodzie, gdyby nie ów bunt bezecny, który pod koniec swego zawodu podniósł, aby naprawie Rzeczypospolitej przeszkodzić.

Lecz czasu tego wszystko czynił, by chwałę zyskać, i okrył się nią jak płaszczem. Chodził z nim o lepszą pan Witowski, kasztelan sandomierski, stary i doświadczony żołnierz; ten Czarnieckiemu samemu chciał dorównać, lecz nie zdołał, bo mu Bóg wielkości odmówił.

Wszyscy trzej gnębili coraz potężniej Szwedów. Aż przyszło do tego, że te pułki piechotne i rajtarskie, którym wypadło iść tylną strażą w odwodzie, w takim szły przeobrażeniu, iż popłoch wszczynał się między nimi z lada powodu. Wówczas sam Karol Gustaw postanowił zawsze iść z tylną strażą, by ducha obecnością swą dodawać.

Lecz zaraz w początkach o mało życiem tego nie przypłacił. Zdarzało się, że mając przy sobie pułk lejbgwardii, najteższy ze wszystkich pułków, bo żołnierzy do niego z całego narodu skandynawskiego wybierano, zatrzymał się król dla odpoczynku we wsi Rudniki. Tam zjadłszy u plebana obiad, postanowił zażyć nieco spoczynku, albowiem poprzedniej nocy oka nie zmrużył. Lejbgwardziści otoczyli dom, by nad bezpieczeństwem królewskim czuwać. Tymczasem księży pacholik od koni wymknął się chyłkiem ze wsi i dopadłszy stadniki chodzącej po gródzi, skoczył na żrebaka i popędził do pana Czarnieckiego.

Lecz pan Czarniecki znajdował się tym razem o dwie mile drogi, zaś przednia straż, złożona z pułku księcia Dymitra Wiśniowskiego, szła pod panem porucznikiem Szandarowskim nie dalej jak pół mili za Szwedami. Pan Szandarowski rozmawiał właśnie z Rochem Kowalskim, który z rozkazami od kasztelana przyjechał, gdy nagle obaj ujrzeli nadlatującego co koń wyskoczy pacholika.

– Co to za diabeł tak pędzi? – rzekł Szandarowski – i jeszcze na żrebaku?

– Chłopak wiejski – odrzekł Kowalski.

Tymczasem pacholę przyleciało przed sam szereg i zatrzymało się dopiero wówczas, gdy źrebak, przestraszony widokiem koni i ludzi, stanął dęba i zarył kopytami w ziemię. Pacholik zeskoczył i trzymając go za grzywę skłonił się panom rycerzom.

– A co powiesz? – spytał zbliżywszy się Szandarowski.

– Szwedy u nas w plebanii! gadają, że sam król między nimi! – rzekł pacholek z iskrzącym wzrokiem.

– A siła ich?

– Nie będzie nad dwieście koni.

Szandarowskiemu z kolei zaświeciły się oczy; lecz bał się zasadzki, więc spojrzał groźnie na chłopaka i rzekł:

– Kto cię przysłał?

– Co mnie kto miał przysyłać! Samemu na źrebaka na gródzi skoczył, ledwom się nie zatknął i czapkę zgubił. Dobrze, że mnie, ścierwa, nie obaczyli!

Prawda biła z opalonej twarzy pacholika i ochotę miał widocznie wielką na Szwedów, bo mu policzki pałały i stał przed oficerami, trzymając jedną ręką za grzywę źrebca, z rozwianym włosiem, rozchełstaną koszulą na piersiach, oddychając szybko.

– A gdzie reszta szwedzkiego wojska? – spytał chorąży.

– Jeszcze o świtanu przewaliło się ich tyle, żeśmy zrachować nie mogli, ale tamci poszli dalej, a ostała jeno jazda, a jeden śpi u dobrodzieja, powiadają, że król.

Na to Szandarowski:

– Chłopie, jeśli łzesz, szyja ci spadnie, ale jeśli prawdę mówisz, proś, o co chcesz.

A pacholik skłonił mu się do strzemięcia.

– Żebym tak zdrów był! Nie chcę nijakiej nagrody, jeno żeby mi wielmożny pan oficer „siablę” dać kazał.

– A dać mu tam jaką szerpentyne! – krzyknął na swoją czeladź zupełnie już przekonany Szandarowski.

Inni oficerowie poczęli wypytywać jeszcze pacholka gdzie dwór, gdzie wieś, co robią Szwedzi, ten zaś odrzekł:

– Pilnują, psiajuchy! Kiedybyście prosto poszli, to was obaczą, ale ja waju za olszyną poprowadzę.

Wydano wnet rozkazy i chorągiew ruszyła zrazu rysią, potem w skok. Pacholek jechał oklep na swoim źrebaku bez uzdy, przed pierwszym szeregiem. Żrebaka piętami gołymi poganiał, a coraz to spoglądał promienistymi oczyma na obrażoną szerpentyne.

Gdy już wieś było widać, wykręcił w łozy i wiódł drogą, trochę grząską, ku olszynom, w których było jeszcze błotniściej; za czym zwolnili koniom.

– Cichajcie! – rzekł chłopak – jako się olszyna skończy, oni będą na prawo o ćwierć stajania.

Więc poczęli się posuwać bardzo z wolna, bo i droga była trudna, a ciężkie konie jazdy zapadały nieraz do kolan. Wreszcie olszyna poczęła rzednąć i wyjechali na brzeg.

Wówczas, nie dalej jak o trzysta kroków, ujrzeni idący nieco w górę obszerny majdan, za nim dom księży, otoczony lipami, między którymi widać było słomiane wiechetki ulów, na majdanie zaś dwustu jeźdźców w czółenkowych hełmach i pancerzach.

Olbrzymi jeźdźcy siedzieli na olbrzymich, lubo wychudzonych, koniach i stali w gotowości, jedni z rapierami przy ramionach, drudzy z muszkietami opartymi o uda, ale patrzyli wszyscy w inną stronę, ku głównej drodze, skąd jedynie mogli się spodziewać nieprzyjaciela. Wspaniały błękitny sztandar ze złotym lwem powiewał na ich głowami.

Dalej, naokół domu, stały straże, po dwóch ludzi; jedna z nich zwrócona była ku olszynie, ale że słońce okrutnie grało i raziło oczy, a w olszynie, która już się pokryła bujnym liściem, było prawie ciemno, więc jeźdźców polskich nie mogła owa straż dostrzec.



W Szandarowskim, kawalerze ognistym, krew poczęła kipieć jak ukrop, lecz się pohamował i czekał, póki szereg się nie uładzi; tymczasem Roch Kowalski położył swą ciężką rękę na ramieniu pacholka.

- Słuchaj, bąku! – rzekł. – A widziałeś króla?
- Widziałem, wielmożny panie! – szepnęło chłopię.
- Jakże wygląda? Po czym go poznać?
- Czarny okrutnie na gębie i czerwone wstęgi przy boku nosi.
- Konia zaś jego poznałbyś?
- Koń też kary, z łysiną.

Na to Roch:

- Stajenny! pilnuj się mnie i pokaż mi go!
- Dobrze, panie! A prędko skoczym?...
- Zamknij gębę!

Tu umilkli i pan Roch modlić się począł do Najświętszej Panny, aby mu z Karolem spotkać się dozwoliła i prowadziła rękę w spotkaniu.

Chwilę jeszcze trwała cisza, wtem koń pod samym Szandarowskim parsknął okrutnie. Na to rajtar ze straży spojrział, drgnął, jakby go coś podrzuciło w kulbace, i wypalił z pistoletu.

- Ała! ała!... Bij, morduj!... zabij!... Uha-u-bij! – rozległo się w olszynie.

I chorągiew, wypadłszy jak grom z cienia, runęła ku Szwedom.

Uderzyła w dym, nim zdążyli się wszyscy do niej czołem zwrócić, i wnet poczęła się straszna rąbanina na szable tylko i rapiery, bo strzelać nikt nie miał czasu. W mgnieniu oka zepchnięto rajtarów na płot, który zwałił się z trzaskiem pod parciem zadów końskich, i poczęto ich siec tak zapamiętale, iż stłoczyli się i zmieszali. Dwakroć próbowali się zewrzeć i dwakroć rozerwani utworzyli dwie osobne kupy, które w mgnieniu oka rozdzieliły się znowu na mniejsze, wreszcie rozsypały się jak ziarnka grochu, które chłop szuflą rzuci w powietrze.

Nagle rozległy się rozpaczliwe głosy:

- Król! król! Ratujcie króla!

Karol Gustaw zaś zaraz w pierwszej chwili spotkania wypadł z pistoletami w rękę i szpadą w zębach przeze drzwi. Rajter, który trzymał konia tuż przy drzwiach, podał mu go natychmiast, król wskoczył nań i skręciwszy koło samego węgla rzucił się między lipy i ule, by tyłem wymknąć z koła bitwy.

Dobiegłszy do płotu wspiął konia, przesadził płot i wpadł w kupę rajtarów, broniącą się prawemu skrzydłu polskiemu, które przed chwilą właśnie okrążywszy dom, zderzyło się za ogrodem ze Szwedami.

- W konie! – krzyknął Karol Gustaw.

I obaliwszy pchnięciem szpady jeźdźca polskiego, który już wznosił nań szablę, jednym susem wy dostał się z wiru bitwy; za nim rajtarowie rozerwali szereg polski i ruszyli całym pędem, jak stado jeleni, gnane przez psy, pędzi tam, gdzie je prowadzi rogacz przewodnik.

Jeźdźcy polscy zwrócili za nim konie i rozpoczęła się gonitwa. Jedni i drudzy wypadli na główną drogę prowadzącą z Rudnika do Bojanówka. Spostrzeżono ich z przedniego dziedzińca, na którym wrzała główna bitwa, i wówczas to właśnie rozległy się głosy:

- Król! król! Ratujcie króla!

Lecz rajtarowie na przednim dziedzińcu byli już tak przyciśnięci przez samego Szandarowskiego, że i o własnym nawet ratunku myśleć nie mogli, pognął więc król w kupie nie większej nad dwunastu rajtarów, za nimi zaś pognało blisko trzystu towarzystwa, na czele zaś wszystkich Roch Kowalski.

Pachołek, który miał mu króla pokazać, zamieszał się gdzieś w głównej bitwie, lecz Roch i sam poznał Karola Gustawa po bukiecie z czerwonych wstąg. Za czym pomyślał, że jego chwila nadeszła, pochylił się w kulbace, ścisnął konia ostrogami i popędził jak wichur naprzód.

Uciekający, dobywając ostatnich sił z koni, rozciągnęli się po szerokiej drodze. Szybsze i lżejsze rumaki polskie poczęły ich jednak wkrótce dochodzić. Pierwszego rajtara dojechał Roch bardzo prędko, więc wstał w strzemionach dla lepszego rozmachu i ciął strasznie; rękę wraz z łopatką jednym okropnym zamachem odwalił i biegł wichrem, oczy na nowo w króla utkwivszy.

Następnie drugi rajtar zaczął mu przed oczyma, zwałił drugiego, trzeciemu przełupał hełm i głowę na dwie połowy i rwał dalej, króla jedynie na oku mając. Wtem konie poczęły rajtaram rozpiierać się i padać; chmura jeźdźców polskich dognała ich i wysiekła w mgnieniu oka.

Pan Roch pomijał już ludzi i konie, by czasu nie tracić, przestrzeń między nim a Karolem Gustawem poczęła się zmniejszać. Dwóch już tylko jeźdźców przedzielało ich na przestrzeni kilkudziesięciu kroków.

Wtem strzała, puszczona z łuku przez któregoś z towarzyszków, zaśpiewała koło ucha panu Rochowi i utkwiała w krzyżach pędzącego przed nim rajtara, a ów zakołysał się w prawo, w lewo, wreszcie wygiął się w tył, zaryczał nieludzkim głosem i spadł z kulbaki.

Między Rochem a królem został już tylko jeden.

Lecz ten jeden, pragnąc widocznie ratować króla, zamiast uciekać zawrócił konia. Pan Roch dobiegł i nie tak kula armatnia znosi człowieka z kulbaki, jako on zwałił go na ziemię, po czym, wydawszy krzyk okropny, rzucił się na kształt rozjuszonego odyńca przed siebie.

Król byłby mu może stawił także czoło i zginąłby niechybnie, ale za Rochem nadlatywali inni i strzały poczęły świstać, lada chwila która z nich mogła zranić konia, więc król ścisnął go jeszcze mocniej piętami, twarz pochylił na grzywę i rwał przed sobą przestrzeń, na kształt jaskółki ściganej przez jastrzębia.

Zaś pan Roch począł swego nie tylko ostrogami bość, ale płazem szabli okładać, i tak pędzili jeden za drugim. Drzewa, kamienie, łoży migały im w oczach, wiatr świstał w uszach. Kapelusz królowi spadł z głowy, rzucił wreszcie i kieskę sądząc, że nieubłagany jeździec ułakomi się z nią i pogoni zaniecha; lecz Kowalski ani na nią spojrział i wabił coraz silniej konia, który począł wreszcie stękać z wysilenia.

Pan Roch zaś widocznie zapamiętał się ze wszystkim, bo biegnąc jął krzyczeć głosem, w którym obok groźby drgała i prośba:

– Stój! na miłosierdzie boskie!

Wtem koń królewski potknął się tak silnie, że gdyby król całą siłą nie podtrzymał go cugłami, byłby upadł. Roch ryknął jak żubr, przestrzeń dzieląca go od króla zmniejszyła się znacznie.

Po chwili rumak zaplątał się drugi raz i znów, nim król ustawił go na nogach, Roch zbliżył się o kilkanaście sążni. Wówczas wyprostował się już w kulbace jak do cięcia. Straszny był... Oczy wyszły mu na wierzch, a zęby błysnęły spod rudawych wąsów... Jeszcze jedno potknięcie konia, jeszcze chwila, a losy całej Rzeczypospolitej, losy Szwecji i całej wojny byłyby rozstrzygnięte. Lecz rumak królewski znów biec począł, król zaś odwróciwszy się błysnął lufami dwóch pistoletów i po dwakroć dał ognia.

Jedna z kul strzaskała kolano Rochowego bachmata. Ten wspiął się, a następnie padł na przednie nogi i zarył nozdrzami w ziemię.

Król mógłby był w tej chwili rzucić się na swego prześladowcę i przeszyć go szpadą na wylot, lecz w odległości dwustu kroków nadlatywali inni jeźdźcy polscy, więc pochylił się na nowo w kulbace i pomknął jak strzała z tatarskiego łuku puszczona.

Roch wydobył się spod konia. Chwilę popatrzył bezprzytomnie za uciekającym, następnie zatoczył się jak pijany, siadł na drodze i zaczął ryczeć jak niedźwiedź.

Król zaś coraz był dalej, dalej, dalej!... Wreszcie zaczął zmniejszać się, topnieć i znikł w czarnej opasce chojarów.

Wtem z krzykiem i hukaniem nadbiegli towarzysze Rocha. Było ich z piętnastu, którym dopisały konie. Jeden z nich niośł kieszkę królewską, drugi kapelusz, na którym czarne strusie pióra były diamentami upięte. Ci obaj poczęli wołać:

– Twoje to, twoje, towarzyszu! Słusznie ci się to należy!

A inni:

– Wiesz, kogoś gonił? Wiesz, kogoś dojeżdżał? To był sam *Carolus*!

– Na Boga! Póki żyw, tak nie uciekał przed nikim, jak przed tobą. Chwałą niezmierną się okryłeś, kawalerze!...

– A co rajtarów przedtem nałuszczył, nim się za samym królem wysforował!

– Małoś tą szablą Rzeczypospolitej w mig nie zbawił!

– Bierz kieszę!

– Bierz kapelusz!

– Zacny był koń, ale dziesięć takich za te skarby kupisz!

Roch spoglądał na nich osłupiałymi oczyma, na koniec zerwał się i zakrzyknął:

– Jam Kowalski, a to pani Kowalska... Idźcie do wszystkich diabłów!!

– Rozum mu się pomieszał! – poczęto wołać.

– Konia mi dawajcie! jeszcze doścignę! – wołał Roch.

Lecz oni wzięli go pod ręce i choć się rzucał, poprowadzili nazad ku Rudnikowi, uspokajając i pocieszając po drodze.

– Dałeś mu pietra! – wołali. – Na co mu to przyszło temu wiktrowi, temu pogromicielowi tylu państw, miast, wojsk!...

– Cha! cha! Poznał polskich kawalerów!

– Sprzykrzy mu się w Rzeczypospolitej. Ciasne nań termina przyszły!

– *Vivat Roch Kowalski!*

– *Vivat! vivat* najmeźniejszy kawaler! chluba całego wojska!

I poczęto pić z manierek. Dano i Rochowi, a on do dna jeden bukłaczek wychylił i pocieszył się zaraz znacznie.

W czasie owego pościgu za królem na bojanowskiej drodze rajtarzy przed plebanią bronili się jednak z godną tego sławnego pułku odwagą. Lubo napadnięci niespodzianie i zrazu bardzo prędko rozproszeni, równie prędko zebrał się przez to samo, że ich otoczono gęstą kupą, koło błękitnego sztandaru. Ani jeden nie poprosił o pardon, ale stanąwszy koń przy koniu, ramię przy ramieniu, bodli rapiersami tak zaciekle, iż przez chwilę zwycięstwo zdawało się chylić na ich stronę. Trzeba ich było albo na nowo rozrywać, co stało się niepodobnym, gdyż naokół otaczała ich wstęga polskich jeźdźców, albo wyciąć do nogi. Uznał tę drogą myśl za lepszą Szandarowski, więc opasawszy kupę jeszcze ciaśniejszym pierścieniem, sam rzucał się na nieprzyjaciół, jak ranny krzeczot na stado długodziobych żurawi. Uczyniła się rzeź sroga i tłok. Szable brzęczały o rapiersy, rapiersy łamały się o furdymenta szabel. Czasem koń wspinał się jak delfin nad morską falę i po chwili wpadał w wir mężów i koni. Krzyki ustały, rozległ się tylko kwik koński, przeraźliwy brzęk żelaza i sapanie zdyszanych piersi rycerskich; niezwykła zaciekłość opanowała serca Polaków i Szwedów. Walczono złamkami szabel i rapiersów; jedni szepiali się z drugimi na kształt jastrzębi; chwytano się za włosy, wąsy, gryziono zębami; ci, którzy spadli z koni, a jeszcze na nogach utrzymać się mogli, żgali nożami w brzuchy końskie, w łody jeźdźców. W dymie, w wyziewach koni, w straszliwym uniesieniu bojowym ludzie zmieniali się w olbrzymów i zadawali ciosy olbrzymie; ramiona zmieniały się w maczugi, szable w błys-

kawice. Jednym zamachem rozbijano hełmy stalowe jak garnki, rażono się przez łby, odwalano ręce z mieczami, cięto się bez wytchnienia, cięto bez pardonu, bez miłosierdzia. Spod wiru ludzi i koni krew strumieniami poczęła spływać po majdanie.

Olbrzymi błękitny sztandar pływał jeszcze nad kołem szwedzkim, lecz kolisko zmniejszało się z każdą chwilą.

Jak gdy żniwiarze staną z dwóch stron ładu i poczną migotać sierpami, ład niknie, a oni widzą się coraz bliżej, tak pierścień polski zaciskał się coraz bardziej, tak iż walczący z jednej strony mogli już dojrzeć krzywe szable walczących po przeciwnej.

Pan Szandarowski szalał jak huragan i wżerał się w Szwedów, jako zgłodniały wilk wżera się paszczą w mięso świeżo zduszonego konia, lecz jeden jeździec go furia przewyższył, a było nim owo pachole, które pierwsze znać dało o Szwedach w Rudniku, a teraz skoczyło wraz z całą chorągwią na nieprzyjaciela. Księży żrebiec trzylatek, który dotąd chadzał spokojnie po gródzi, naciskany przez konie, nie mogąc się wyrwać ze skrętu, rzekłbyś: wściekł się jak i pan jego; więc ze stulonymi uszama, z oczami wyszłymi na wierzch głowy, z najeżoną grzywą parł naprzód, kąsał, wierzgał, chłopak zaś szablą, jak cepem, machał na oślepi, w prawo, w lewo, od ucha; płowa czupryna spłynęła mu krwią, ostrza rapierów podziurawiły mu ramiona i uda; twarz miał pociętą, lecz owe rany podniecały go tylko. Bił się w zapamiętaniu, jak człowiek, który o własnym życiu zdesperował i pragnie tylko pomścić śmierć swoją.

Tymczasem jednak zastęp szwedzki zmniejszał się jak kupa śniegu, którą polewają ze wszystkich stron ukropem. Wreszcie koło królewskiego sztandaru została się tylko kilkunastu. Mrowie polskie pokryło ich zupełnie, a oni umierali ponuro, z zaciśniętymi zębami; żaden ręk nie wyciągnął, żaden nie zawołał o litość.

Wtem w zamęcie rozległy się głosy:

– Chorągiew brać! chorągiew!

Usłyszawszy to pachole żgnął sztychem żrebca i rzucił się jak płomień naprzód, gdy zaś każdy z rajtarów stojących przy sztandarze miał na sobie dwóch lub trzech jeźdźców polskich, chłopak chlasnął chorążego szablą przez gębę, a ten ręce rozkrzyżował i pochylił się twarzą na grzywę końską.

Błękitny sztandar upadł z nim razem.

Najbliższy rajtar, krzyknawszy okropnie, chwycił natychmiast za drzewce, zaś chłopak ujął za płachtę, szarpnął, oddał w mgnieniu oka, zwinął ją w kłęb i przyciskając obu rękoma do piersi, począł wrzeszczeć wniebogłosy:

– Mam, nie dam! Mam, nie dam!

Ostatni pozostali rajtarowie rzucili się na niego z wściekłością, jeden pchnął go jeszcze przez chorągiew i przeszył mu ramię, lecz w tej chwili rozniesiono wszystkich na szablach w puch.

Za czym kilkanaście krwawych rąk wyciągnęło się ku chłopakowi.

– Chorągiew, dawaj chorągiew! – zaczęto wołać.

Szandarowski poskoczył mu z pomocą.

– Zaniechać go! On wziął w moich oczach, niech ją samemu kasztelanowi odda.

– Jedzie kasztelan! jedzie! – ozwały się liczne głosy.

Jakoż z dala ozwały się wojenne krzywyły i na drodze od strony gródzi ukazała się cała chorągiew pędząca w skok ku plebanii. Była to chorągiew laudańska; na jej czele jechał sam pan Czarniecki. Dobiegłszy, widząc, iż wszystko już skończone, wstrzymali konie; żołnierze Szandarowskiego poczęli się sypać ku nim.

Poskoczył i Szandarowski z relacją do kasztelana, tak zaś był spracowany, że z początku tchu złapać nie mógł, bo i dygotał jak w febrze, i głos urywał mu się co chwila w gardzieli.

– Sam król był... nie wiem... jeżeli uszedł...

- Uszedł! uszedł! – ozwali się ci, którzy patrzyli na gonitwę.
- Chorągiew wzięta!... Trupa moc!

Czarnecki nie rzekłszy ni słowa posunął się z koniem ku pobojowisku, które okrutny i żaloszny przedstawiało widok. Przeszło dwieście trupów szwedzkich i polskich leżało mostem, jeden tuż koło drugiego; często jeden na drugim... Niektórzy trzymali się za włosy, niektórzy poumierali gryząc się wzajemnie zębami lub szarpiąc się pazurami. A znów inni dzierżyli się jakoby w braterskim objęciu lub leżeli wsparci głowami na piersiach nieprzyjaciół. Wiele twarzy było tak stratowanych, że nie pozostało w nich nic człowieczego; te zaś, których nie zdruzgotały kopyta, oczy miały otwarte, pełne przerażenia, grozy bojowej, wściekłości... Krew chlupotała w rozmięklej ziemi pod nogami kasztelańskiego konia, które wnet poczerwieniały wyżej pęcin; zapach krwi i potu końskiego drażnił nozdrza i tamował dech w piersiach.

Kasztelan patrzył takim okiem na owe ciała ludzkie, jakim dziedzic patrzy na powiązane snopy pszeniczne mające bróg napęlić. Zadowolenie odbiło się na jego twarzy. W milczeniu objechał dookoła plebanii, popatrzył na trupy leżące z drugiej strony za sadem, za czym powrócił z wolna na główne bojowisko.

- Rzetelną tu widzę robotę – rzekł – i kontent jestem z waszmościów!

Oni zaś wyrzucili krwawymi rękoma czapki w górę:

– *Vivat!* Czarniecki!

– Daj Bóg drugie prędkie spotkanie!... *Vivat!*... *vivat!*...

A kasztelan na to:

– Pójdziecie do tylnej straży dla wypoczynku. Mości Szandarowski, a kto wziął chorągiew?

– Dawajcie pacholka! – zakrzyknął Szandarowski – gdzie on?

Żołnierze skoczyli szukać i znaleźli pacholika siedzącego pod ścianą stajenną przy żrebcu, który padł z ran i ostatnie właśnie tchnienie wydawał. Na pierwszy rzut oka zdawał się, że i chłopakowi niewiele się należy, trzymał jednak chorągiew obu rękoma przy piersiach.

Porwano go natychmiast i przyprowadzono przed kasztelana. Stał tedy bosy, rozczochrany, z nagą piersią, z koszulą i sukmaniną w strzępach, zamazany krwią szwedzką i własną jak nieboskie stworzenie, chwiejący się na nogach, ale z ogniem niezgasłym jeszcze w źrenicach. Zdumiał się pan Czarniecki na jego widok.

– Jakże to? – spytał – ten zdobył królewska chorągiew?

– Własną ręką i własną krwią – odparł Szandarowski. – On także pierwszy dał znać o Szwedach, a potem w największym ukropie tyle dokazywał, że mnie samego i wszystkich *superavit!*

– Prawda jest! Rzetelna prawda, jakoby kto spisał – zakrzyknęli towarzysze.

– Jak ci na imię? – spytał chłopaka pan Czarniecki.

– Michałko!

– Czyj jesteś?

– Księży.

Byłeś księży, ale będziesz swój własny! – odrzekł kasztelan.

Lecz Michałko nie słyszał już ostatnich słów, bo z ran, z upływu krwi zachwiał się i padł głową na kasztelańskie strzemie.

– Wziąć go, dać mu wszelki starunek. Ja w tym, że na pierwszym sejmie równy on wszystkim waszmościom będzie stanem, jako duszą już dziś równy!

– Godzien tego! godzien! – zakrzyknęła szlachta.

Po czym wzięto Michałka na nosze i wniesiono do plebanii.

Zaś pan Czarniecki słuchał dalszej relacji, którą nie Szandarowski już składał, ale ci, którzy pościg pana Rocha za Karolem Gustawem widzieli. Okrutnie uradował się tym opowiadaniem pan Czarniecki, aż się za głowę chwytał, to znów dłońmi po kolanach uderzał, bo rozumiał, że po takim terminie znacznie musi upaść duch w Karolu.

Pan Zagłoba niemniej się radował i biorąc się w boki, z dumą powtarzał do rycerstwa:

– Ha, zbój! co? Gdyby był Carolusa doścignął, sam diabeł nie potrafiłby mu go odjąć! Moja krew, jak mi Bóg miły, moja krew!

Pan Zagłoba z biegiem czasu i sam uwierzył w to święcie, że jest wujem Rocha Kowalskiego.

Tymczasem pan Czarniecki kazał szukać młodego rycerza, ale nie mogli go znaleźć, bo pan Roch ze wstydu i zmartwienia wlaźł do stodoły, zakopał się w słomę i usnął tak mocno, że dopiero nazajutrz dzień dogonił chorągiew. Ale jeszcze był bardzo strapiony i nie śmiał pokazać się wujowi na oczy. Ten wszelako sam go poszukał i pocieszać zaczął:

– Nie frasuj się. Rochu! – mówił. – Wielką i tak chwałą się okryłeś; sam słyszałem, jak cię pan kasztelan wysławiał: „Kiep (powiada) na oko, że i trzech, zda się, nie zliczy, a to, widzę, ognisty kawaler, który reputację całego wojska podniósł!”

– Pan Jezus mi nie pobłogosławił – rzekł Roch – bom się poprzedniego dnia upił i pacierzam wieczorem zaniechał!

– Jeno nie próbuj wyroków boskich dochodzić, żebyś zaś jeszcze nie pobluznił. Co możesz na plecy brać, to bierz, ale na rozum nie bierz, gdyż zaraz będziesz szwankował.

– Bom już był tak blisko, że mnie pot od jego konia zalatywał. Byłbym go do kulbaki przeciął! Wuj to myśli, że ja zgoła nie mam rozumu!

Na to Zagłoba:

– Każde bydlę ma swój rozum. Setny chłop z ciebie, Rochu, i pociechy mi jeszcze nieraz przysporzysz. Daj Boże, żeby twoi synowie mieli ten sam w pięści rozum!

– A nie potrzebuję! – rzekł Roch. – Ja jestem Kowalski, a to pani Kowalska...

## ROZDZIAŁ VII

Po rudnickich terminach poszedł król dalej w klin, między San a Wisłę, i nie przestał po staremu z tylną strażą iść, bo był nie tylko znamiennym wodzem, ale i rycerzem odwagi niezrównanej. Szli za nim pan Czarniecki, pan Witowski, pan Lubomirski i napędzali go jako zwierza do sieci. Luźne partie hałasowały dniem i nocą nad Szwedami. Żywności było coraz mniej, wojsko coraz bardziej znużone i na dachu upadłe, zguby pewnej oczekujące.

Zaszyli się na koniec Szwedzi w sam kąt, gdzie się dwie rzeki schodzą, i odetchnęli. Tu już z jednej strony broniła ich Wisła, z drugiej San, szeroko, jako zwykle wiosną, rozlany, zaś trzeci bok trójkąta umocnił króla potężnymi szańcami, na które pozaciągano działa.

Nie do zdobycia to była pozycja, jeno można w niej było z głodu umrzeć. Ale i pod tym względem lepszej nabrali Szwedzi otuchy, gdyż spodziewli się, że im z Krakowa i innych fortec nadbrzeżnych wodą komendanci spyżę przyślą. Ot, zaraz pod bokiem był Sandomierz, w którym pułkownik Szykler znaczne nagromadził zapasy. Toż i wnet je nadesłał, więc jedli, pili, spali, a zbudziwszy się śpiewali luterskie psalmy na chwałę Bogu, że ich z tak ciężkiej toni wyratował.

Lecz pan Czarniecki nowe gotował im ciosy.

Sandomierz w szwedzkim ręku mógł ciągle przychodzić w pomoc głównej armii, umyślił więc pan Czarniecki jednym zamachem odebrać miasto, zamek, a Szwedów wyciąć.

– Okrutne im sprawimy widowisko – mówił na radzie wojennej – będą patrzeć z tamtego brzegu, jako na miasto uderzym, a z pomocą przez Wisłę przyjść nie potrafią; my zaś, mając Sandomierz, żywności z Krakowa od Wirtza nie puścimy.

Pan Lubomirski, pan Witowski i inni starzy wojownicy odradzali panu Czarnieckiemu ten postępek.

– Dobrze by było – mówili – opanować tak znaczne miasto i siła moglibyśmy Szwedom tym zaszkodzić, ale jak go wziąć? Piechoty nie mamy, armat wielkich nie mamy; trudno, by jazda na mury się dała!

Na to pan Czarniecki:

– Albo to nasi chłopci źle się na piechotę biją? Bylem takich Michałów parę tysięcy znalazł, wezmę nie tylko Sandomierz ale i Warszawę!

I nie słuchając dłużej niczyich rad, przeprowił się przez Wisłę. Ledwie po okolicy głos poszedł, sypnęło się do niego parę tysięcy luda, kto z kosą, kto z rusznicą, kto z muszkietem, i ruszyli pod Sandomierz.

Wpadli do miasta dość niespodzianie i po ulicach wszczęła się rzeźba okrutna. Szwedzi bronili się zaciekle z okien, z dachów, lecz wytrzymać nawałności nie mogli. Wygnieciono ich jak robactwo po domach i wyparto całkiem z miasta. Szykler schronił się z resztą do zamku, lecz Polacy tymże impetem ruszyli za nimi. Rozpoczął się szturm do bram i murów. Poznał Szykler, że i w zamku się nie utrzyma.

Więc zgarnął, co mógł, ludzi, rzeczy, zapasów żywności i wsadziwszy na skutki, przeprował się do króla, który patrzył z drugiego brzegu na klęskę swoich, nie mogąc im iść w pomoc.

Zamek wpadł w ręce polskie.

Lecz chytry Szwed, uchodząc, posadził pod mury, po piwnicach, beczki z prochem i z zapalonymi lontami.

Zaraz, stanąwszy przed obliczem króla, powiedział mu tę wiadomość, aby mu serce rozweselić.

– Zamek w powietrze wyleci ze wszystkim ludźmi – rzekł. – Może i sam Czarniecki zginie.

– Jeśli tak, to i ja chcę widzieć, jako pobożni Polacy do nieba lecieć będą – odrzekł król.

I pozostał ze wszystkimi jenerałami na miejscu.

Tymczasem, mimo zakazów Czarnieckiego, który zdradę przewidywał, wolentarze i chłopci rozbiegli się po całym zamku dla szukania ukrytych Szwedów i dla rabunku. Trąby grały *larum*, by kto żyw, chronił się do miasta, lecz oni nie słyszeli tych głosów lub nie chcieli na nie zważać.

Nagle zatrzęsa się im ziemia pod nogami, grzmot straszny i huk targnęły powietrzem, olbrzymi słup ognia strzelił do góry, wyrzucając w powietrze ziemię, mury, dachy, cały zamek i przeszło pięćset ciał tych, którzy się cofnąć nie zdołali.

Karol Gustaw w boki się wziął z radości, a usłudni dworacy wnet zaczęli powtarzać jego słowa.

– Do nieba idą Polacy! do nieba! do nieba!

Lecz przedwczesna to była radość, bo niemniej Sandomierz został w ręku polskim i nie mógł już zaopatrywać w żywność głównej armii, zamkniętej w kącie rzeczynym.

Pan Czarniecki rozbił obóz naprzeciw Szwedów, po drugiej stronie Wisły, i pilnował przeprowy.

Zaś pan Sapieha, hetman wielki litewski i wojewoda wileński, nadciągnął z Litwinami z drugiej strony i położył się za Sanem.

Obsadzono tedy Szwedów zupełnie; chwycono ich jakoby w kleszcze.

– Potrzask zapadł! – mówili między sobą żołnierze w polskich obozach.

Każdy bowiem, najmniej nawet ze sztuką wojenną obznajmiony, rozumiał, że zguba wisi nad najeźdźnikami nieuchronna, chybaby nadeszły na czas posiłki i wyrwały ich z toni.

Rozumieli to i Szwedzi; co rano oficerowie i żołnierze przychodząc nad brzeg Wisły spoglądali z rozpaczą w oczach i w sercu na czerniejące po drugiej stronie zastępy groźnej jazdy Czarnieckiego.

Następnie szli nad San, tam znów wojska pana Sapieżyńskiego czuwały dzień i noc, gotowe przyjąć ich szablą i muszkietem.

O przeprowie bądź przez San, bądź przez Wisłę, póki oba wojska stały w pobliżu, nie było co i myśleć. Mogliby chyba Szwedzi wracać do Jarosławia tąż samą drogą, którą przyszli, ale to wiedzieli, że w takim razie ani jeden z nich nie zobaczyłby już Szwecji.

Poczęły więc im płynąć ciężkie dni, cięższe jeszcze, bo swarliwe i pełne hałasów, noc... Żywność znowu się kończyła.

Tymczasem pan Czarniecki, zostawiwszy komendę nad wojskiem panu Lubomirskiemu i wzięwszy laudańską chorągiew dla asysty, przeprowił się przez Wisłę powyżej ujścia Sanu, aby się z panem Sapiehą zobaczyć i o dalszej wojnie z nim naradzić.

Tym razem nie potrzeba było pośrednictwa Zagłoby, aby dwóch wodzów do siebie dopasować, obaj bowiem miłowali ojczyznę więcej niż każdego siebie samego, obaj byli gotowi dla niej poświęcić prywatę, miłość własną i ambicję.



Hetman litewski nie zazdrościł Czarnieckiemu, Czarniecki również hetmanowi, owszem, obaj się wielbili wzajemnie, toteż spotkanie między nimi było takie, że aż najstarszym żołnierzom łzy stanęły w oczach.

– Rośnie Rzeczpospolita, raduje się miła ojczyzna, gdy tacy jej synowie w ramiona się biorą – mówił do Wołodyjowskiego i do Skrzetuskich Zagłoba. – Czarniecki straszny wojennik i szczerą duszą, ale i Sapia do rany przyłożył, to się zgoi. Bodaj się tacy na kamieniu rodzili. Oto skóra by na Szwedach spierzchnęła, żeby owe afekta największych ludzi widzieć mogli. Czymże to oni nas bowiem zawojowali, jeżeli nie niezgodą a zawiścią panów. Zali siłą nas zmagli, co? Ot, takich rozumiem! Dusza w człeku skacze na widok takiego spotkania. Ręczę też wam i za to, że nie będzie suche, bo Sapio okrutnie uczyty lubi, a już z takim konfidentem chętnie sobie cugłów popuści.

– Bóg łaskaw! zło mija! Bóg łaskaw! – mówił Jan Skrzetuski.

– Obacz, abyś nie bluźnił! – odrzekł mu na to Zagłoba – każde zło musi minąć, bo gdyby wiecznie trwało, to byłby dowód, że diabeł rządzi światem, nie zaś Pan Jezus, którego miłosierdzie ma nieprzebrane.

Dalszą rozmowę przerwał im widok Babinicza, którego wyniosłą postać ujrzeli z dala ponad falą głów innych. Pan Wołodyjowski i Zagłoba poczęli zaraz kiwać na niego, lecz on tak zapatrzonej był w pana Czarnieckiego, że ich zrazu nie zauważył.

– Patrzcie – rzekł Zagłoba – jako się chłop zmizerował!

– Nie musiał wiele wskórać przeciw księciu Bogusławowi – odpowiedział Wołodyjowski – inaczej byłby weselszy.

– I pewno, że nie wskórał. Wiadomo, że Bogusław pod Malborgiem, razem ze Szteimbokiem, przeciw fortecy czyni.

– W Bogu nadzieja, że nic nie sprawią!

Na to pan Zagłoba:

– Choćby też i Malborg wzięli, my tymczasem *Carolus Gustawum capivabimus*; obaczym, czy fortecy za króla nie oddadzą.

– Patrzcie! Babinicz idzie już do nas! – przerwał Skrzetuski.

On zaś istotnie, dostrzegłszy ich, począł odsuwać tłum na obie strony i dążyć ku nim kiwając im czapką i uśmiechając się z daleka. Przywitali się jak dobrzy znajomi i przyjaciele.

– Co słysząc? Cóżżeś, panie kawalerze, uczynił z księciem? – pytał Zagłoba.

– Źle słysząc, źle! Ale nie pora o tym powiadać. Teraz do stołów zasiądziemy. Waszmościowie zostaniecie tu na noc; chodźcież do mnie po uczcie na nocleg, między moich Tatarów. Szalas mam wygodny, to sobie przy kielichach pogawędzimy do rana.

– Jak tylko ktoś mądrze mówi, nie ja się przeciwuję! – odparł Zagłoba. – Powiedz nam jeno, od czegoś tak wymizerniał?

– Bo mnie w bitwie razem z koniem obalił i rozbił ten piekielnik, jako gliniany garnek, że jeno od tej pory żywą krwią spluwam i przyjąć do siebie nie mogę. W miłosierdziu Pana naszego Chrystysa nadzieja, że jeszcze krew z niego wytoczę. Ale teraz chodźmy, bo już pan Sapieha z panem Czarnieckim poczynają sobie świadczyć i o pierwszy krok się ceremonizować. Znak to, że stoły gotowe. Z wielkim sercem tu na was czekamy, boście też juchy szwedzkiej dość rozlali.

– Niech inni mówią, jakem dokazywał! – rzekł Zagłoba – mnie nie wypada!

Wtem całe tłumy ruszyły się i poszli wszyscy na majdan między namioty, na którym zastawione były stoły. Pan Sapieha wystąpił na część pana Czarnieckiego jak król. Stół, przy którym posadzono kasztelana, był szwedzkimi chorągwiemi nakryty. Miody i wina lały się ze stągiew, aż obaj wodzowie podchmielili sobie nieco pod koniec. Nie brakło we-

sołósci, żartów, wiwatów, gwaru, aż lubo pogoda była cudna i słońce nad podziw dogrze-  
wało, chłód wieczorny spędził wreszcie ucztujących.

Wówczas Kmicic zabrał swoich gości między Tatarów. Siedli tedy w jego namiocie na  
łubach, obficie wszelkiego rodzaju zdobyczą wypchanych, i gwarzyć poczęli o Kmicic-  
cowej wyprawie.

– Bogusław teraz jest pod Malborgiem – mówił pan Andrzej – a inni powiadają, że u  
elektora, z którym razem na odsiecz królowi ma ciągnąć.

– To lepiej! to się spotkamy! Wy, młodzi, nie umiecie sobie z nim poradzić, obaczym,  
jak sobie stary da rady! Z różnymi się spotykał, ale z Zagłobą jeszcze nie. Powiadam, że  
się spotkamy, chyba mu książę Janusz w testamencie zalecił, żeby Zagłobę z dala omijał.  
Może to być!

– Elektor chytry człek – rzekł Jan Skrzetuski – i niech tylko ujrzy, że z Carolusem źle,  
wnet będzie wszystkie obietnice i przysięgi relaksował.

– A ja wam mówię, że nie – rzekł Zagłoba. – Nikt nie jest na nas bardziej zawzięty jako  
Prusak. Gdy twój sługa, który cię pod nogi musiał podejmować i szaty twoje czyścić,  
panem twoim przy odmianie fortuny zostanie, to właśnie tym będzie sroższy, im byłeś mu  
panem łaskawszym.

– To zaś czemu? – pytał Wołodyjowski.

– Bo mu jego służebna kondycja w pamięci zostanie, i mścił się będzie za nią na tobie,  
choćbyś mu same dobrodziejstwa świadczył.

– Mniejsza z tym! – rzekł Wołodyjowski. – Nieraz też się zdarza, że i pies pana w rękę  
ukąsi. Niech nam Babinicz lepiej o swojej wyprawie powiada.

– Słuchamy! – rzekł Skrzetuski.

Kmicic pomilczawszy chwilę nabrał tchu i począł rozpowiadać o ostatniej wojnie Sa-  
pieżyńskiej z Bogusławem, o klęsce tego ostatniego pod Janowem, na koniec o tym, jak  
książę Bogusław rozbiwszy w puch Tatarów jego samego wraz z koniem na ziemię obalił i  
z życiem uszedł.

– A powiadałeś waszmość – przerwał Wołodyjowski – że go będziesz ze swymi Tatary  
choćby do Bałtyku ścigał...

Na to Kmicic:

– A waszmość mnie powiadałeś także w swoim czasie, jako tu obecny pan Skrzetuski,  
gdy mu Bohun umiłowaną dziewczkę porwał, przecie i jej, i zemsty zaniechał dlatego, że  
ojczyzna była w potrzebie; z kim kto przestaje, takim się staje, jam zaś z waszmościami się  
zadał i śladem ich iść pragnę.

– Bodaj ci tak Matka Boska nagrodziła jak Skrzetuskiemu! – odrzekł Zagłoba. –  
Wszelako wolałbym, żeby twoja dziewczka była teraz w puszczy niż w Bogusławowym  
ręku.

– Nic to! – zakrzyknął Wołodyjowski – odzyszczesz ją!

– Mam ja do odzyskania nie tylko jej personę, ale jej estymę i afekt.

– Jedno przyjdzie za drugim – rzekł pan Michał – choćbyś osobę miał i gwałtem brać,  
jako to wówczas... pamiętasz?

– Tego nie uczynię więcej!

Tu począł pan Andrzej wzdychać ciężko, a po chwili rzekł:

– Nie tylko tamtej nie odzyskał, ale jeszcze i drugą Bogusław mi porwał.

– Czysty Turek! jak mi Bóg miły! – zakrzyknął Zagłoba.

A pan Michał począł wypytywać:

– Jaką drugą?

– At! siła powiadać – odrzekł Kmicic. – Była jedna dziewczka, okrutnie gładka, w  
Zamościu, która się panu staroście kałuskiemu haniebnie podobała. Ów, że siostry,

księżnej Wiśniowieckiej, sie boi, nie śmiał przy niej zbyt nacierać, umyślił tedy dziewczkę wysłać ze mną, niby do pana Sapiehy, po spadek na Litwie, w rzeczy zaś dlatego, by mi ją o pół mili za Zamościem odjąć i w jakiej pustce osadzić, w której by nikt zapałom jego nie mógł przeszkadzać. Alem ja zwietrzył tę intencję. „Chcesz ty ze mnie (pomyślałem) rajfura swego uczynić? – czekaj!” I ludzi mu wybatożyłem, a pannę w całej panińskiej cności do pana Sapiehy odwiozłem. Mówię waćpaństwu, dziewczka krasna jako szczygieł, ale zacna ... Ja też już inny człek, a moi kompanionowie! Panie, świeć nad ich duszą! dawno już popróchnieli w ziemi!

– Cóż to była za dziewczka? – spytał Zagłoba.

– Z zacnego domu, respektowa księżnej pani Wiśniowieckiej. Niegdyś była zmówiona z Litwinem Podbipiętą, któregoście waćpanowie znali...

– Anusia Borzobohata!!! – wrzasnął zrywając się z miejsca Wołodyjowski.

Zagłoba zerwał się także z kupy wojsłoków.

– Panie Michale, pohamuj się!

Lecz pan Wołodyjowski skoczył jak kot ku Kmicicowi.

– Tyżeś, zdrajco, dał ją porwać Bogusławowi?!

– Nie krzywdź mnie! – rzekł Kmicic. – Odwiozłem ją szczęśliwie do hetmana, staranie o niej takowe jak o siostrze mając, a Bogusław porwał ją nie mnie, ale innemu oficerowi, z którym pan Sapieha do swojej rodziny ją odesłał, a który zwał się Głowbicz czy jak, dobrze nie pamiętam.

– Gdzie on jest?!

– Nie masz go tu, bo poległ. Tak przynajmniej oficerowie Sapieżyńscy powiadali. Ja osobno z Tatary Bogusława podchodziłem, więc dobrze nic nie wiem. Ale miarkując z twojej alternacji, widzę, że jednaki nas termin spotkał, jeden człek nas pokrzywdził, a skoro tak jest, to się przeciw niemu połączmy, by wspólnie krzywdy i zemsty dochodzić. Wielki on pan i wielki rycerz, a przecie myślę, że ciasno mu będzie w całej Rzeczypospolitej, gdy takich dwóch będzie miał wrogów.

– Masz moja rękę! – odrzekł Wołodyjowski. – Już my odtąd druhy na śmierć i życie! Który go pierwszy znajdzie, ten mu za dwóch zapłaci. Dałby Bóg mnie pierwszemu, bo że jego krew wytoczę, to jako amen w pacierzu!

Tu pan Michał począł tak okrutnie wąsikami ruszać i po szabli się macać, że pana Zagłobę aż strach wziął, wiedział bowiem, że z panem Michałem nie ma żartów.

– Nie chciałbym ja być teraz księciem Bogusławem – rzekł po chwili – choćby mi kto całe Inflanty do tytułu dodał. Dość jednego takiego żbika, jak Kmicic, mieć na sobie, a cóż dopiero pana Michała! Ba! mało tego, bo i ja z wami *foedus* zawieram. Moja głowa, wasze szable! Nie wiem, czyli jest potentat w chrześcijaństwie, który by przed taką potęgą nie zdrzał. Do tego i Pan Bóg prędzej, później umknie mu fortuny, bo nie może być, aby na zdrając i heretyka kary nie było... Kmicic już mu i tak niezłe sadła za skórę zalał.

– Nie neguję, że spotkała go ode mnie niejedna konfuzja – odrzekł pan Andrzej.

I kazawszy nalać kielichy opowiedział, jako Sorokę z więzów uwolnił. Zamilczał tylko o tym, że pierwaj się do nóg Radziwiłłowi rzucił, bo na samo wspomnienie tej chwili krew go zalewała.

Pan Michał rozweselił się słuchając opowiadania, a w końcu rzekł:

– Niech ci Bóg sekunduje, Jędreku! Z takim rezolutem można by i do piekła iść! To tylko bieda, że nie zawsze będziemy mogli razem chodzić, bo służba służbą. Mnie mogą wysłać w jedną stronę Rzeczypospolitej, ciebie w drugą. Nie wiadomo, który na niego pierwszy trafi.

Kmicic pomilczał chwilę.

– Po sprawiedliwości, ja powinien bym go dostać. Jeśli znów tylko z konfuzją nie wyjdę, bo... wstyd przyznać się, ale ja na rękę temu piekielnikowi zdzierżyć nie mogę...

– To ja cię wszystkich moich arkanów wyuczę! – zawołał Wołodyjowski.

– Albo ja! – rzekł Zagłoba.

– Nie! Wybaczaj waszmość, wolę u Michała się uczyć! – odparł Kmicic.

– Choć on taki rycerz, a przecież się go z panią Kowalską nie boję, byłem był wyspan! – wtrącił Roch.

– Cicho, Rochu! – odpowiedział Zagłoba – żeby cię Bóg przez jego ręce za chępliwość nie pokarał.

– O wa! Nie będzie mi nic!

Biedny pan Roch nie był szczęśliwym prorokiem, lecz mu się okrutnie w tej chwili z czupryny kurzyło i gotów był cały świat wyzwać na rękę. Inni też pili mocno, sobie na zdrowie, Bogusławowi i Szwedom na pohybel.

– Słyszałem – rzekł Kmicic – iż gdy tylko tych Szwedów tu zetrzom i króla dostaniem, zaraz pod Warszawę pociągniemy. Potem pewnie będzie i wojnie koniec. Potem zasię przyjdzie na elektora kolej.

– O to! to! to! – rzekł Zagłoba.

– Słyszałem, jak sam pan Sapięha to kiedyś powiadał, a on, jako człek wielki, lepiej kalkuluje. Powiada tedy do nas: „Ze Szwedem będzie frysz! Z Septentrionami już jest, ale z elektorem nie powinniśmy się w żadne układy bawić. Pan Czarniecki (powiada) z Lubomirskim pójdą do Brandenburgii, a ja z panem podskarbisem litewskim do Prus elektorskich, a jeżeli potem (mówi) nie przyłączymy Prus na wieki do Rzeczypospolitej, to chyba w kancelarii nie ma ani jednej takiej głowy, jak pan Zagłoba, który na własną rękę listami elektorowi groził.”

– Tak-że Sapięha powiadał? – pytał Zagłoba czerwieniejąc z zadowolenia.

– Wszyscy to słyszeli. A jam był okrutnie rad, bo ta sama różga Bogusława wysiecze, i jeśli nie prędzej, to wówczas na pewno go dosięgniem.

– Byle z tymi Szwedami prędzej skończyć, byle skończyć! – rzekł Zagłoba. – Jechał ich sęk! Niech ustąpią Inflanty i miliony pozwolą, darujem ich zdrowiem.

– Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma! – odparł śmiejąc się Jan Skrzetuski. – Jeszcze Carolus w Polsce, jeszcze Kraków, Warszawa, Poznań i wszystkie znamienitsze miasta w jego ręku, a ojciec już chcesz, żeby się okupował. Ej, siła się jeszcze przyjdzie napracować, nim o elektorze pomyślimy!

– A jest armia Szteimboka, a prezydja, a Wirtz! – wtrącił Stanisław.

– To czemu tu siedzim z założonymi rękami? – spytał nagle Roch wytrzeszczając oczy – nie można to Szwedów bić?

– Głupiś, Rochu! – rzekł Zagłoba.

– Wuj zawsze jedno, a ja, jakom żyw, widziałem czółna nad brzegiem. Można by pojechać i choć straż porwać. Ciemno, choć w pysk bij; nim się opatrzą, to i wrócim, a fantazję kawalerską obu wodzom pokażem. Jak waszmościowie nie chcecie, to sam pójdę!

— Ruszyło martwe ciele ogonem, dziw nad dziwy! – rzekł z gniewem Zagłoba.

Lecz Kmicicowi poczęły zaraz nozdrza latać.

– Niezła myśl! niezła myśl! – rzekł.

– Niezła dla czeladzi, ale nie dla tego, kto powagę kocha. Ludzie, miejcie respekt dla siebie samych! Toż pułkownikami jesteście, a chcecie w drapichrustów się bawić.

– Pewnie, że nie bardzo wypada! – rzekł Wołodyjowski. – Lepiej spać pójdźmy, bo późno.

Wszyscy zgodzili się na tę myśl, więc zaraz klękli do pacierzy i poczęli je w głos odmawiać; po czym pokładli się na wołokach i wnet usnęli snem sprawiedliwych.

Lecz w godzinę później zerwali się wszyscy na równe nogi, gdyż huk wystrzałów rozległ się za rzeką, za czym gwar, krzyki powstały w całym Sapieżyńskim obozie.

– Jezus Maria! – krzyknął Zagłoba. – Szwedzi następują!

– Co waść gadasz?! – odpowiedział chwytając szablę Wołodyjowski.

– Rochu, bywaj! – wołał Zagłoba, którego w nagłych razach lubił mieć siostrzana przy sobie.

Lecz Rocha nie było w namiocie.

Wybiegli więc na majdan. Tłumy już były przed namiotami i wszyscy dążyli nad rzekę; po drugiej bowiem stronie widać było błyskawice ognia i huk rozległ się coraz większy.

– Co się stało? co się dzieje? – pytano straż porozstawianych licznie nad brzegiem.

Lecz straż nic nie widziały. Jeden z żołnierzy opowiadał, iż słyszał coś, jakby plusk fali, lecz że mgła wisiała nad wodą, więc nie mógł nic dostrzec, nie chciał zaś za byle odgłosem alarmować obozu.

Zagłoba, wysłuchawszy relacji, chwycił się za głowę z desperacji.

– Roch pojechał do Szwedów! Mówił, że straż chce porwać!

– Dla Boga! może to być! – zawołał Kmicic.

– Ustrzelą mi chłopą, jak Bóg na niebie! – desperował dalej Zagłoba. – Mości panowie, czy nie ma żadnego ratunku? Panie Jezu! chłop jak złoto najszczerze! Nie masz takiego drugiego w obu wojskach. Co mu do głupiego łba strzeliło?!... Matko Boża, ratujże go w tej toni!...

– Może przyplynie, mgła sroga! Nie obaczą go!

– Będę tu czekał choćby do rana. Matko Boża! Matko Boża!

Tymczasem strzały po przeciwnym brzegu poczęły się uspokajać, światła gasły stopniowo i po godzinie zapanowało głucho milczenie. Zagłoba chodził nad brzegiem rzeki jako kura, która kaczkę wodzi, i wrywał sobie resztki włosów z czupryny, lecz próżno czekał, próżno desperował. Ranek ubielił rzekę, wreszcie słońce, zeszło a Roch nie wracał.

## ROZDZIAŁ VIII

Nazajutrz dzień pan Zagłoba ciągle w desperacji trwając udał się do pana Czarnieckiego z prośbą, aby posłał do Szwedów obaczyć, co się z Rochem przygodziło; żyw-li czy w niewoli jęczy, czy też gardłem za swą śmiałość zapłacił?

Czarniecki zgodził się na to bez żadnej trudności, gdyż pana Zagłobę miłował. Pocięszając go tedy w utrapieniu, tak mówił:

– Myślę, że siostrzan waści żyw być musi, bo inaczej woda by go wyniosła.

– Dałby Bóg! – odrzekł z żalem Zagłoba – wszelako takiego niełacno woda wyniesie, bo nie tylko rękę miał ciężką, ale dowcip jakoby z ołowiu, co się i z jego uczynku pokazuje.

Na to Czarniecki:

– Słusznie waść mówisz! Jeśli żyw, powinien bym go kazać koniem po majdanie włączyć za pominięcie dyscypliny. Wolno alarmować szwedzkie wojska, ale on oba zaalarmował, a i Szwedów bez komendy i mojego rozkazania nie wolno. Cóż to! pospolite ruszenie czy ki diabeł, żebyż każdy na własną rękę miał się rządzić!

– Zawinił, *assentior*. Sam go ukarzę, niechby go jeno Pan Bóg powrócił!

– Ja zaś mu przebaczę przez pamięć na rudnickie terminy. Siła mamy jeńców do wymiany i znaczniejszych oficyjerów od Kowalskiego. Jedźże waść do Szwedów i pogadaj o wymianie. Dam dwóch i trzech w razie potrzeby, bo nie chcę waści serca krwawić. Przyjźdź do mnie po pismo do króla jegomości i jedź żywo!

Zagłoba skoczył uradowany do namiotu Kmicica i opowiedział towarzyszom, co zaszło. Pan Andrzej i Wołodyjowski zakrzyknęli zaraz, że chcą z nim jechać, bo obaj ciekawi byli Szwedów, Kmicic zaś mógł być prócz tego wielce pożyteczny dlatego, iż po niemiecku tak prawie płynnie jak po polsku mógł mówić.

Przygotowania nie zabrały im wiele czasu. Pan Czarniecki nie czekając na powrót Zagłoby przysłał sam przez pacholika pismo, za czym wzięli trębacza, siedli w łódź z białą płachtą osadzoną na drągu i ruszyli.

Z początku jechali w milczeniu, słychać było tylko chrobotanie wiosł o boki łodzi, wreszcie Zagłoba począł się nieco niepokoić i rzekł:

– Niech jeno trębacz prędko nas oznajmuje, bo szelmy, mimo białej płachty, gotowi strzelać!

– Co waćpan prawisz! – odpowiedział Wołodyjowski – nawet barbarzyńcy posłów szanują, a to polityczny naród!

– Niech trębacz trąbi, mówię! Pierwszy lepszy żołdak da ognia, przedziurawi łódź, i pójdziem w wodę, a woda zimna! Nie chcę przez ich politykę namoknąć!

– Ot, widać strażę! – rzekł Kmicic.

Trębacz począł oznajmiać. Łódź pomknęła szybko, na drugim brzegu uczynił się zaraz ruch większy i wkrótce nadjechał konno oficer przybrany w żółty skórzany kapelus. Ten, zbliżawszy się do samej wody, przysłonił oczy ręką i począł patrzeć pod blask.

O kilkanaście kroków od brzegu Kmicic zdjął czapkę na powitanie, oficer skłonił im się z równą grzecznością.

– Pismo od pana Czarnieckiego do najjaśniejszego króla szwedzkiego! – zawołał pan Andrzej ukazując list.

Tymczasem łódź przybiła.

Warta stojąca na brzegu sprezentowała broń. Pan Zagłoba uspokoił się zupełnie, wnet przybrał oblicze w powagę odpowiednią godności posła i rzekł po łacinie:

– Zeszłej noc y kawaler pewien został pochwycon na tym brzegu, przyjechałem upomnieć się o niego.

– Nie umiem po łacinie – odrzekł oficer.

– Grubian! – mruknął Zagłoba.

Oficer zwrócił się do pana Andrzeja.

– Król jest w drugim końcu obozu – rzekł. – Zechciejcie ichmość panowie zatrzymać się tu, a ja pojedę oznajmić.

I zawrócił konia.

Oni zaś poczęli się rozglądać. Obóz był bardzo obszerny, obejmował bowiem cały trójkąt, utworzony przez San i Wisłę. U wierzchołka trójkąta leżał Pniew; u podstawy Tarnobrzeg z jednej strony, Rozwadów z drugiej. Oczywiście, całej rozległości niepodobna było wzrokiem ogarnąć; jednak, jak okiem sięgnął, widać było szańce, okopy roboty ziemne i faszynowe, na nich działa i ludzi. W samym środku okolicy, w Gorzycach, była kwatery królewska, tam też stały główne siły armii.

– Jeśli głód ich stąd nie wypędzi, nie damy im rady – rzekł Kmicic. – Cała ta okolica ufortyfikowana. Jest gdzie i konie popaść.

– Ale ryb dla tylu gąb nie starczy – odrzekł Zagłoba – zresztą lutrzy nie lubią postnego jadła. Niedawno mieli całą Polskę, teraz mają ten klin; niechże siedzą zdrowi albo znów do Jarosławia wracają.

– Okrutnie biegli ludzie sypali te szaneczki – rzekł Wołodyjowski spoglądając okiem znawcy na roboty. – Rębaczów u nas jest więcej, ale uczonych oficerów mniej, i w sztuce wojennej zostaliśmy w tyle za innymi.

– A to czemu? – spytał Zagłoba.

– Czemu? Jako żołnierzowi, który w jeździe całe życie służył, mówić mi tego nie wypada, ale owóż temu, że wszędy piechota a armaty grunt, dopieroż one pochody a obroty wojenne, a marsze, a kontrmarsze. Siła książek w cudzoziemskim wojsku człek musi zjeść, siła rzymskich autorów przewertować, nim oficerem znacniejszym zostanie, u nas zaś nic to. Po staremu jazda w dym kupą chodzi i szabłami goli, a jak zrazu nie wygoli, to ją wygola...

– Gadaj zdrow, panie Michale! a któraż nacja tyle znamienitych wiktorij odniosła?

– Bo i inni dawniej tak samo wojowali, nie mając zaś tego impetu, musieli przegrywać; ale teraz zmańdzeli i patrz waćpan, co się dzieje.

– Poczekamy końca. Postaw mi tymczasem najmądrzejszego inżyniera Szweda czy Niemca, a ja przeciw niemu Rocha postawię, który książkę nie wertował, i obaczym.

– Byleś go waćpan mógł postawić... – wtrącił pan Kmicic.

– Prawda, prawda! Okrutnie mi chłopca żal. Panie Andrzeju, a poszwargocz no onym psim językiem do tych pludraków i rozpytaj, co się z nim stało?

– To wać nie znasz regularnych żołnierzy. Tu ci nikt bez rozkazu gęby nie otworzy. Szkoda gadać!

– Wiem, że szelmy nieużyte. Jak tak do naszej szlachty, a zwłaszcza do pospolitaków, poseł przyjedzie, to zaraz gadu, gadu, o zdrowie jejmości i dziatki się spytają i gorzałki się

z nim napiją – i w konsyderacje polityczne poczną się wdawać, a ci oto stoją jak słupy i tylko ślepia na nas wybałuszają. Żeby ich sparło w ostatku!

Jakoż coraz więcej pieszych żołnierzy gromadziło się wokół posłanników, przypatrując im się ciekawie. Oni też, ile że przybrani starannie w przystojne, a nawet bogate szaty, wspaniałą czynili postać. Najwięcej zwracał oczu pan Zagłoba, gdyż prawie senatorską nosił w sobie powagę, najmniej pan Michał, z przyczyny swego wzrostu.

Tymczasem oficer, który pierwszy przyjmował ich na brzegu, wrócił wraz z drugim, znaczniejszym, i z żołnierzami prowadzącymi luźne konie. Ów znaczniejszy skłonił się wysłannikom i rzekł po polsku:

– Jego królewska mość prosi waszmość panów do swej kwatery, a że to niezbyt blisko, więc przywiedliśmy konie.

– Waszmość Polak? – pytał Zagłoba.

– Nie, panie. Jestem Sadowski, Czech w służbie szwedzkiej.

Kmicic zbliżył się szybko ku niemu.

– Nie poznajesz mnie waszmość pan?

Sadowski popatrzył bystro w jego oblicze.

– Jakże! pod Częstochową! Waść to największą armatę burzącą wysadził i Miller oddał waszmości Kuklinowskiemu. Witam, witam serdecznie tak znamienitego rycerza!

– A co sie z Kuklinowskim dzieje? – pytał dalej Kmicic.

– To waść nie wiesz?

– Wiem, że mu odpłacił tym samym, czym on mnie chciał ugościć, alem go zostawił żywego.

– Zmarł.

– Tak i myślałem, że zmarł – rzekł machnąwszy ręką pan Andrzej.

– Mości pułkowniku! – wtrącił Zagłoba – a niejakiego Rocha Kowalskiego nie masz tu w obozie?

Sadowski rozśmiał się:

– Jakże? Jest!

– Chwała Bogu i Najświętszej Pannie! Żyw chłop, to go i wydostanę. Chwała Bogu!

– Nie wiem, czyli król zechce go oddać – odrzekł Sadowski.

– O! a czemu to?

– Bo go sobie wielce upodobał. Poznał go zaraz, że to ten sam jest, któren na niego w rudnickiej sprawie tak nastawał. Za boki braliśmy się słuchając odpowiedzi jeńca. Pyta król: „Coś sobie do mnie upatrzył?”, a ów rzecze: „Ślubowałem!” Więc król znów: „To i dalej będziesz następował?” „A jakże!” – powiada szlachcic. Król począł się śmiać: „Wyrzecz się ślubu, daruję cię zdrowiem i wolnością.” „Nie może być!” „Czemu?” „Boby mnie wuj za kpa ogłosił!” „A takżeś to ufny, żebyś na pojedynek dał mi rady?” „Ja bym i pięciu takim dał rady!” Więc król jeszcze: „I śmiesz na majestat rękę podnosić?”. Ów zaś: „Bo wiara paskudna!” Tłumaczyliśmy królowi każde słowo, a on coraz był weselszy i coraz to powtarzał: „Udał mi się ten towarzysz!” Dopieroż chcąc wiedzieć, czy go naprawdę taki osiłek gonił, kazał wybrać dwunastu co najtęższych chłopów między gwardią i kolejno im się z jeńcem pasować. Ale to żyłowaty jakiś kawaler! W chwili gdym odjeżdżał, dziesięciu już rozciągnął jednego po drugim, a żaden nie mógł wstać o swej mocy. Przyjeździemy właśnie na koniec tej uciechy.

– Poznają Rocha! Moja krew! – zawołał Zagłoba. – Damy za niego choćby trzech znacznych oficerów.

– Pod dobry humor królowi traficie – odrzekł Sadowski – co teraz rzadko sie zdarza.

– A wierę! – odpowiedział mały rycerz.



Tymczasem Sadowski zwrócił się do Kmicica i począł wypytywać go, jakim sposobem nie tylko się z rąk Kuklinowskiego uwolnił, ale jego samego pograżył. Ów zaczął opowiadać obszernie, bo chełpić się lubił. Sadowski zaś, słuchając, za głowę się chwycił ze zdumienia, wreszcie uściśnął jeszcze raz Kmicicową rękę i rzekł:

– Wierź mi waszmość pan, że z duszy rad jestem, bo choć Szwedom służę, ale każde szczere żołnierskie serce raduje się, gdy prawy kawaler szelmę pograży. Trzeba wam porzyznać, że jak się między wami rezolut trafi, to ze świecą takiego *in universo* szukać.

– Polityczny z waszmości pana oficer! – rzekł Zagłoba.

– I znamienity żołnierz, wiemy to! – dorzucił Wołodziejowski.

– Bom się i polityki, i żołnierki od was uczył! – odpowiedział Sadowski przykładając rękę do kapelusza.

Tak oni ze sobą rozmawiali przesadzając się wzajemnie w grzecznościach, aż dojechali do Gorzyc, gdzie była kwatera królewska. Wieś cała zajęta była przez żołnierstwo różnej broni. Towarzysze nasi z ciekawością przyglądali się kupom żołnierzy, rozrzuconym między opłotkami. Jedni, chcąc nieco głód zaspać, spali po przyźbach, bo dzień był bardzo pogodny i ciepły; drudzy grali w kości na bębnach, popijając piwo, niektórzy rozwieszali odzież na płotach; inni siedząc przed chałupami i pośpiewując skandynawskie pieśni, szorowali ceglany proszkiem hełmy i pancerze, od których blask szedł okrutny. Gdzieindziej czyszczono lub przeprowadzano konie, słowem, życie obozowe wrzało i roilo się wszędy pod jasnym niebem. Na niektórych twarzach znać było wprawdzie trudy straszliwe i głód, ale słońce powlokło złotem nędzę, zresztą zaczęły się dla tych niezrównanych żołnierzy dni wypoczynku, więc nabrali zaraz ducha i wojennej postawy. Pan Wołodziejowski podziwiał ich w duchu, zwłaszcza piesze pułki, słynne na cały świat z wytrwałości i męstwa. Sadowski zaś, w miarę jak przejeżdżali, objaśniał:

– To smalandzki pułk gwardii królewskiej. To piechota dalekarlijska, najprzedniejsza.

– Na Boga! a to co za małe *monstra*? – zakrzyknął nagle Zagłoba ukazując kupę małych człowieczków z oliwkową cerą i czarnymi, widzącymi po obu stronach głowy włosami.

– To Lapończykowie, którzy do najdalej siedzących Hiperborejów się liczą.

– Dobrzyż do bitwy? Bo mi się widzi, że mógłbym po trzech w każdą garść wziąć i póty łbami stukać, póki bym się nie zmachał!

– Z pewnością mógłbyś waszmość to uczynić! Do bitwy oni na nic. Szwedowie ich ze sobą do posług obozowych wodzą, a w części dla osobliwości. Za to czarownicy z nich *exquisitissimi*, każdego najmniej jednego diabła, a niektórzy po pięciu do usług mają.

– Skądże im taka ze złymi duchami komitywa? – pytał, żegnając się znakiem krzyża, Kmicic.

– Bo w ustawicznej nocy brodzą, która po pół roku i więcej u nich trwa, wiadomo zaś waszmościom, że w nocy najłatwiej z diabłem o styczność.

– A duszę mają?

– Nie wiadomo, ale tak myślę, że *animalibus* są podobniejsi.

Kmicic posunął konia, chwycił jednego Lapończyka za kark, podniósł go jak kota do góry i obejrzał ciekawie, następnie postawił go na nogi i rzekł:

– Żeby mi król takiego jednego podarował, kazałbym go uwędzić i w Orszy w kościele powiesić, gdzie z innych osobliwości strusie jaje się znajduje.

– A w Łubnikach była u fary szczeka wielorybia albo-li też wielkoluda – dodał Wołodziejowski.

– Jedźmy, bo jeszcze co paskudnego od nich się do nas przyczepi! – rzekł Zagłoba.

– Jedźmy – powtórzył Sadowski. – Prawdę mówiąc, powinien bym być kazać waściom worki na głowę założyć, jako jest zwyczaj, ale nie mamy tu co ukrywać, a żeście na szaniec spoglądali, to dla nas lepiej.

Za czym ruszyli końmi i po chwili byli przed dworem gorzyckim. Przed bramą zeskoczyli z kulbak i zdjawszy czapki, szli dalej piechotą, bo sam król był przed domem.

Ujrzeni tedy moc jenerałów i oficerów bardzo świetnych. Był tam stary Wittenberg, Douglas, Loewenhaupt, Miller, Eriksen i wielu innych. Wszyscy siedzieli na ganku, nieco za królem, którego krzesło wysunięte było naprzód, i patrzyli na krotofilę, którą Karol Gustaw sobie z jeńcem wyprawiał. Roch rozciągnął właśnie dopiero co dwunastego rajtara i stał w porozrywany przez zapaśników kubraku, zdyszany i spocon wielce. Ujrzawszy wuja w towarzystwie Kmicica i Wołodyjowskiego, rozumiał zrazu, że ich również w niewolę wzięto, więc wytrzeszczył oczy i otworzył usta, za czym postąpił parę kroków, lecz Zagłoba dał mu znak ręką, by stał spokojnie, sam zaś postąpił z towarzyszami przed oblicze królewskie.

Sadowski począł prezentować wysłanników, oni zaś kłaniali się nisko, jak obyczaj i etykieta nakazywała, następnie Zagłoba oddał pismo Czarnieckiego.

Król wziął list i począł czytać, tymczasem towarzysze przypatrywali mu się z ciekawością, bo nigdy go przedtem nie widzieli. Był to pan w kwiecie wieku, na twarzy tak smagły, jakoby się Włochem albo Hiszpanem urodził. Długie pukle czarnych jak krucze skrzydła włosów spadały mu wedle uszu aż na ramiona. Z blasku i barwy oczu przypominał Jeremiego Wiśniewieckiego, jeno brwi miał bardzo do góry podniesione, jak gdyby się dziwił ustawicznie. Natomiast w miejscu, gdzie się brwi schodzą, czoło podnosiło mu się w duże wypukłości, które czyniły go do lwa podobnym; głęboka zmarszczka nad nosem, nie schodząca nawet wówczas, gdy się śmiał, nadawała jego twarzy wyraz groźny i gniewny. Wargę dolną miał tak wysuniętą naprzód, jak Jan Kazimierz, jeno twarz tłustsza i większy podbródek; wąsy nosił na kształt sznureczków, nieco na końcach rozszerzonych. W ogóle oblicze jego zwiastowało nadzwyczajnego człowieka, jednego z takich, którzy chodząc po ziemi, krew z niej wyciskają. Była w nim wspaniałość i duma monarsza, i siła lwia, i lotność geniuszu, jeno, choć uśmiech łaskawy nie schodził mu nigdy z ust, nie było owej dobroci serca, która takim łagodnym światłem oświeca od wewnątrz lica, jak lampka wstawiona w środek alabastrowej urny.

Siedział tedy w fotelu ze złożonymi na krzyż nogami, których potężne łydki rysowały się wyraźnie spod czarnych pończoch, i mrugając, wedle zwyczaju, oczyma, czytał z uśmiechem list Czarnieckiego. Nagle, podniósłszy powieki, spojrzął na pana Michała i rzekł:

– Poznają natychmiast waćpana: tyś to usiekł Kanneberga.

Wszystkie oczy zwróciły się natychmiast na Wołodyjowskiego, któren ruszył wąsikami, skłonił się i orzekł:

– Do usług waszej królewskiej mości.

– Jaka szarża? – pytał król.

– Pułkownik chorągwi laudańskiej.

– Gdzie dawniej służył?

– U wojewody wileńskiego.

– I opuściłeś go wraz z innymi? Zdradziłeś jego i mnie.

– Swemu królowi byłem powinien, nie waszej królewskiej mości.

Król nie odrzekł nic; wszystkie czoła zmarszczyły się, oczy poczęły świdrować w pana Michale, lecz on stał spokojnie, tylko wąsikami ruszał raz po raz.

Nagle król rzekł:

– Miło mi poznać tak znamienitego kawalera. Kanneberg uchodził między nami za niezwyciężonego w spotkaniu. Wać musisz być pierwszą szablą w tym państwie?...

– *In universo!* – rzekł Zagłoba.

– Nie ostatnią – odpowiedział Wołodyjowski.

– Witam waszców uprzejmie. Dla pana Czarnieckiego mam prawdziwą estymę, jako dla wielkiego żołnierza, chociaż mi parol złamał, bo powinien dotąd spokojnie w Siewierzu siedzieć.

Na to Kmicic:

– Wasza królewska mość! Nie pan Czarniecki, ale generał Miller pierwszy parol złamał, Wolfowy regiment królewskiej piechoty zagarniając.

Miller postąpił krok, spojrział w twarz Kmicicowi i począł coś szeptać do króla, któren, mrugając ciągle oczyma, słuchał dość pilnie, spoglądając na pana Andrzeja, wreszcie rzekł:

– To widzę, wybranych kawalerów pan Czarniecki mi przysłał. Ale z dawna to wiem, że rezolutów między wami nie brak, jeno wiary w dotrzymaniu obietnic i przysiąg brakuje.

– Święte słowa waszej królewskiej mości! – rzekł Zagłoba.

– Jak to wasć rozumiesz?

– Bo gdyby nie ta narodu naszego przywara, to byś, miłościwy panie, tu nie był!

Król znów pomilczał chwilę, generałowie znów zmarszczyli się na śmiałość wysłannika.

– Jan Kazimierz sam was od przysięgi uwolnił – rzekł Karol – bo was opuścił i za granicę się schronił.

– Od przysięgi jeno namiestnik Chrystusów uwolnić zdolen, któren w Rzymie mieszka i któren nas nie uwolnił.

– Mniejsza z tym! – rzekł król. – Ot, tym zdobyłem to królestwo (tu uderzył się po szpadzie) i tym utrzymam. Nie potrzeba mi waszych sufragiów ni waszych przysiąg. Chcecie wojny, będziecie ją mieli! Tak myślę, że pan Czarniecki jeszcze o Gołębiu pamięta?

– Zapomniał po drodze z Jarosławia – odrzekł Zagłoba.

Król, zamiast się rozgniewać, rozśmiał się.

– To mu przypomnę!

– Bóg światem rządzi!

– Powiedzcie mu, niech mnie odwiedzi. Mile go przyjmę, jeno niech się śpieszy, bo jak konie odpasę, pójdę dalej.

– Wtedy my waszą królewską mość przyjmujemy! – odrzekł, kłaniając się i kładąc nieznacznie rękę na szabli, Zagłoba.

Król na to:

– Widzę, że pan Czarniecki nie tylko najlepsze szable, ale i najlepszą gębę w poselstwie przysłał. W mig wasć każde pchnięcie parujesz. Szczęście, że nie na tym wojna polega, bo godnego siebie znalazłbym przeciwnika. Ale przystępuję do materii: Pisz mi pan Czarniecki, żebyś owego jeńca wypuścił, dwóch mi za to w zamian znacznych oficerów ofiarując. Nie lekceważę tak moich żołnierzy, jako myślicie, i zbyt tanio ich okupywać nie chcę, byłoby to przeciw mojej i ich ambicji. Natomiast, ponieważ niczego panu Czarnieckiemu odmówić nie zdołam, przeto mu podarunek z tego kawalera zrobię.

– Miłościwy panie! – odrzekł na to Zagłoba – nie koniecznie oficerom szwedzkim, ale kompasję dla mnie chciał pan Czarniecki okazać, bo to jest mój siostrzan, ja zaś jestem, do usług waszej królewskiej mości, pana Czarnieckiego konsyliarzem.

– Po prawdzie – rzekł śmiejąc się król – nie powinien bym tego jeńca puszczać, bo przeciw mnie ślubował, chyba że się za ono beneficjum ślubu swego wyrzecze.

Tu zwrócił się do stojącego przed gankiem Rocha i kiwnął ręką.

– A pójdz no tu bliżej, osiłku!

Roch przybliżył się o parę kroków i stanął wyprostowany.

– Sadowski – rzekł król – spytaj się go, czy mnie zaniecha, jeśli go puszczyć?

Sadowski powtórzył królewskie pytanie.

– Nie może być! – zawołał Roch.

Król zrozumiał bez tłumacza i począł w ręce klaskać i oczyma mrugać.

– A co! a co! Jakże takiego wypuszczać? Dwunastu rajtarom karku nadkręcił, a mnie trzynastemu obiecuje! Dobrze! dobrze! Udał mi się kawaler! Czy i on jest pana Czarnieckiego konsyliarzem? W takim razie jeszcze prędzej go wypuszczyć.

– Stul głowę, chłopie! – mruknął Zagłoba.

– Dość krotocwil – rzekł nagle Karol Gustaw. – Bierzcie go i miejcie jeden więcej dowód mojej klemencji. Przebaczyć mogę, jako pan tego królestwa, gdy taka moja wola i łaska, ale w układy wchodzić z buntownikami nie chcę.

Tu brwi królewskie zmarszczyły się i uśmiech nagle znikł mu z oblicza.

– Kto bowiem przeciw mnie rękę podnosi, ten jest buntownikiem, gdyż jam tu prawym panem. Z miłosierdzia jeno nad wami nie karałem dotąd, jak należy, czekałem upamiętania, przyjdzie wszelako czas, że miłosierdzie się wyczerpie i pora kary nastanie. Przez waszą to swawolę i niestałość kraj ogniem płonie, przez wasze to wiarołomstwo krew się leje. Lecz mówię wam: upływają dni ostatnie... nie chcecie słuchać napomnień, nie chcecie słuchać praw, to posłuchacie miecza a szubienicy!

I błyskawice poczęły migotać w Karolowych oczach; Zagłoba popatrzył nań przez chwilę ze zdumieniem, nie mogąc zrozumieć, skąd się wzięła ta nagła burza po pogodzie, wreszcie i w nim poczęło się serce podnosić, więc skłonił się i rzekł tylko:

– Dziękuję waszej królewskiej mości.

Po czym odszedł, a za nim Kmicic, Wołodyjowski i Roch Kowalski.

– Łaskawy, łaskawy! – mówił Zagłoba – a ani się spostrzeżesz, kiedy ci ryknie w ucho jak niedźwiedź. Dobry koniec poselstwa! Inni kielichem na wsiadanego częstują, a on szubienicą! Niechże psów wieszają, nie szlachtę! Boże! Boże! jak my ciężko grzeszyli przeciw naszemu panu, który ojcem był, ojcem jest i ojcem będzie, bo jagiellońskie w nim serce! I takiego to pana zdrajcy opuścili, a poszli z zamorskimi straszdyły się kumać. Dobrze nam tak, bo niceśmy lepszego nie warci. Szubienicy! szubienicy!... Samemu już ciasno, przycisnęliśmy go jako twaróg w worku, że już serwatką popuszcza, a on jeszcze mieczem i szubienicą grozi. Poczekaj! Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma! Będzie wam jeszcze ciaśniej. Rochu! chciałem ci po głowie dać albo pięćdziesiąt na kołniercu, ale ci już przebaczę, za to żeś się po kawalersku stawił i dalej go ścigać obiecałeś. Dajże głowę, bom z ciebie rad!

– Przecie wuj rad! – odrzekł Roch.

– Szubienica a miecz! I mnie to w oczy powiedział! – mówił znów po chwili Zagłoba. – Macie protekcję! Wilk tak samo barana do własnych kiszek proteguje!... I kiedy to mówi? Teraz, gdy mu się już gęsia skóra na krzyżach robi. Niech sobie Lapończyków na konsyliarzy dobierze i z nimi razem diabelskiej protekcji szuka! A nas będzie Najświętsza Panna sekundowała, jako pana Bobolę w Sandomierzu, którego prochy na drugą stronę Wisły razem z koniem przerzuciły, a dlatego mu nic. Obejrzał się, gdzie jest, i zaraz na obiad do księdza trafił. Przy takiej pomocy jeszcze my ich wszystkich, jako raki z więcierza, za szyje powyciągamy...

## ROZDZIAŁ IX

Upłynęło dni kilkanaście. Król siedział ciągle w widłach rzecznych i gońców na wszystkie strony rozsyłał do fortec, do komend, w kierunku Krakowa i Warszawy, z rozkazami, by mu wszyscy z pomocą spieszyli. Sprowadzano mu też Wisłą prowianty, ile można było, ale niedostatecznie. Po upływie dni dziesięciu poczęto konie jeść, i rozpacz ogarniała króla i jenerałów na myśl, co będzie, gdy rajtaria od koni odpadnie i gdy armat nie będzie w co zaprząć. Zewsząd też przychodziły wieści niepocieszne. Kraj cały tak gorzał wojną, jakby go kto smołą polał i zapalił. Mniejsze komendy, mniejsze prezydja nie mogły spieszyć na pomoc, bo nie mogły wychylać się z miast i z miasteczek. Litwa, trzymana dotąd żelazną ręką Pontusa de la Gardie, powstała jak jeden człowiek. Wielkopolska, która poddała się najpierwsza, najpierwsza też zrzuciła jarzmo i świeciła całej Rzeczypospolitej przykładem wytrwania, zawziętości, zapału. Partie szlacheckie i chłopskie rzucały się tam nie tylko na stojące po wsiach załogi, ale nawet na miasta. Próżno Szwedzi mścili się straszliwie nad krajem, próżno ucinali ręce schwytanym w niewolę jeńcom, puszczały z dymem wsie, wycinali w pień osady, wznosili szubienice, sprowadzali tortury z Niemiec dla męczenia buntowników. Kto miał cierpieć, cierpiał, kto miał ginąć, ginął, lecz jeśli był szlachcicem, ginął z szablą, jaśli chłopem, ginął z kosą w ręku. I lała się krew szwedzka po całej Wielkopolsce, lud żył w lasach, niewiasty nawet porywały za broń; kary wywoływały tylko zemstę i tym większą zaciekłość. Kulesza, Krzysztof Żegicki i wojewoda podlaski uwijali się na kształt płomieni po kraju, a prócz nich wszystkie bory pełne były partyj; pola leżały nieuprawne, głód srogi rozwielił się w kraju, lecz najbardziej skręcał wewnętrzności Szwedów, bo ci w miastach za bramami zamkniętymi siedzieli i nie mogli wychylać się w pole.

Aż wreszcie poczęło im braknąć tchu w piersiach.

W Mazowszu było to samo. Tam lud kurpieski, w morkach leśnych żyjący, wychylił się z puszczy, poprzecinał drogi, przejmował żywność i gońców. Na Podlasiu rojna drobna szlachta tysiącami ciągnęła do Sapiehy lub na Litwę. Lubelskie było w rękach konfederacji. Z Rusi dalekich szli Tatarzy, a z nimi i zmuszeni do posłuszeństwa Kozacy.

Więc wszyscy byli już pewni, że jeśli nie za tydzień, to za miesiąc, jeśli nie za miesiąc, to za dwa owe widły rzecze, w których stał król Karol Gustaw z główną armią szwedzką, zmienią się w jedną wielką mogiłę – na sławę dla narodu, na straszną naukę dla tych, którzy by Rzeczpospolitą napadać chcieli. Przewidywano już koniec wojny, byli tacy, którzy mówili, że Karolowi jeden tylko ratunek pozostał: wykupić się i oddać Rzeczypospolitej Inflanty szwedzkie.

Lecz nagle polepszyły się losy Karola Gustawa i Szwedów.

Dnia 20 marca poddał się Malborg, aż dotąd na próżno przez Szejnbocka oblegany. Silna i dzielna armia jego nie miała teraz nic do roboty i mogła pospieszyć na ratunek królowi.

Z drugiej strony margraf badeński, skończywszy zaciągi, z gotową siłą i neutrudzonym jeszcze żołnierzem ruszył również ku widłom rzecznych.

Obaj posuwali się naprzód, gromiąc pomniejszych kupy powstańcze, niszcząc, paląc, mordując. Po drodze zabierali prezydia szwedzkie, ścigali pomniejszych komendy i rośli w siłę, jak rzeka rośnie, tym bardziej im więcej strumieni w siebie przyjmuje.

Wieści o upadku Malborka, o Szteimbokowej armii i o pochodzie margrabiego badeńskiego doszły bardzo prędko do wideł rzecznych i strapiły serca polskie. Szteimbok był jeszcze daleko, ale margrabia badeński idąc spiesznymi pochodami mógł wkrótce nadejść i zmienić całą postać rzeczy pod Sandomierzem.

Złożyli tedy wodzowie polscy radę, w której wzięli udział pan Czarniecki, pan hetman litewski, Michał Radziwiłł, krajczy koronny, pan Witowski, stary doświadczony żołnierz, i pan Lubomirski, który od pewnego czasu przykrzył sobie na Zawiślu. Na radzie owej postanowiono, iż pan Sapieha z litewskim wojskiem pozostanie pilnować Karola, aby się z wideł nie wymknął, zaś pan Czarniecki ruszy przeciw margrabiemu badeńskiemu i spotka go, jako będzie mógł najprędzej, za czym, jeżeli mu Bóg wiktoryę spuści, powróci po staremu króla oblegać.

Rozkazy odpowiednie zostały natychmiast wydane. Nazajutrz zagrały trąbki wsiadanego przez munsztuk tak cicho, że je ledwie usłyszano, chciał bowiem Czarniecki odejść w tajemnicy przed Szwedami. Na dawnym obozowisku położyło się zaraz kilka luźnych partyj szlacheckich i chłopskich. Ci porozpalali ogniska i hucząc poczęli, aby nieprzyjaciel myślał, iż nikt z majdanu nie wyszedł, zaś kasztelańskie chorągwie wymykały się jedna za drugą. Poszła więc naprzód laudańska, która po prawie powinna była przy panu Sapieże pozostać, ale że Czarniecki bardzo się w niej rozkochał, więc mu hetman nie chciał jej odbierać. Za laudańską poszła Wąsowiczowa, lud wyborny, przez starego żołnierza prowadzony, któremu pół wieku we krwi rozlewie zeszło; za czym poszła księcia Dymitra Wiśniowieckiego pod Szandarowskim, ta sama, która pod Rudnikiem niezmierną chwałą się okryła; za czym pana Witowskiego dragonii dwa regimenty, za czym dwa pana starosty jaworowskiego; słynny Stapkowski w jednej porucznikował; za czym kasztelańska własna, królewska pod Polanowskim i cała siła pana Lubomirskiego. Piechoty nie brano dla pośpiechu, ni wozów, bo komunikiem iść mieli.

Wszystkie razem stanęły pod Zawadą w sile znacznej i ochocie wielkiej. Wówczas wyjechał na przodek pan Czarniecki i uszykowawszy je do pochodu, sam zatrzymał nieco konia i puszczał je mimo siebie tak, aby całą siłę dobrze obejrzeć. Koń pod nim prychał i łbem rzucał, a kiwał jakby chcąc witać przechodzące pułki, a samemu kasztelanowi serce rosło. Piękny też widok miał przed oczyma. Jak okiem sięgnął, fala koni, fala srogich lic żołnierskich, ruchem końskich kołysana, nad nimi trzema jeszcze fala szabel i grotów, migotliwa i błyszcząca w porannym słońcu. Siła okrutna szła od nich, a tę siłę czuł w sobie pan kasztelan, bo już nie była to lada jaka zbieranina wolentarska, ale lud na kowadło wojennym wykuty, sprawny, ćwiczony, i w bitwie tak „jadowity”, że żadna w świecie jazda zdźrzyć mu w równej sile nie mogła. Więc pan Czarniecki uczuł w tej chwili, że na pewno, że bez żadnej wątpliwości z tymi ludźmi rozniesie na szablach i kopytach wojsko margrabiego badeńskiego i owo przeczuwane zwycięstwo rozpromieniło mu tak oblicze, że blask bił od niego na pułki.

– Z Bogiem! Po wiktoryę! – zakrzyknął wreszcie.

– Z Bogiem! Pobjemy! – odpowiedziały mu potężne głosy.

I krzyk ów przeleciał przez wszystkie chorągwie, jak głuchy grzmot przez chmury. Czarniecki wspiął konia, by dognać idącą w przodku laudańską.

I poszli.

Szli zaś nie jak ludzie, ale jak stado ptaków drapieżnych, które, zwietrzywszy bój w od dali, lecą z wichrem na prześcigi. Nigdy, nawet między Tatarami w stepie, nikt nie słyszał o takim pochodzie. Żołnierz spał w kulbace, jadł i pił nie zsiadając; konie karmiono z ręki. Rzeki, bory, wsie, miasta zostawały za nimi. Ledwie po wsiach wypadli chłopci z chałup

patrzeć na wojsko, już wojsko nikło w oddali za tumanami kurzawy. Szli dzień i noc, tyle tylko wypoczywając, aby koni niewygubić.

Wreszcie pod Kozienicami wpadli na ośm chorągwi szwedzkich, pod wodzą Torne-skilda. Laudańska, idąca w przodku, pierwsza dojrzała nieprzyjaciela i nie odetchnawszy nawet, natychmiast skoczyła ku niemu w dym. Drugi poszedł Szandarowski, trzeci Wąsowicz, czwarty Stapkowski.

Szwedzi mniemając, że z jakimiś partiami mają do czynienia, stawili w otwartym polu czoło i w dwie godziny później nie pozostała jedna żywa dusza, która by mogła do margrabiego dobiec i krzyknąć, że to Czarniecki idzie. Po prostu rozniesiono na szablach owe ośm chorągwi, świadka klęski nie zostawując. Po czym ruszyli, jakby kto sierpem rzucił, do Magnuszewa, szpiegowie bowiem dali znać, iż margrabia badeński z całym wojskiem w Warce się znajduje.

Pan Wołodyjowski został wysłany na noc z podjazdem, aby dać znać, jak wojsko rozłożone i jaka jego siła.

Bardzo na ową ekspedycję narzekał pan Zagłoba, albowiem nawet przesławny Wiśniowiecki nigdy takich pochodów nie odbywał; żalił się też stary towarzysz, lecz wolał iść z Wołodyjowskim niż przy wojsku zostawać.

– Złoty był pod Sandomierzem czas – mówił przeciągając się w kulbace – człek jadł, spał i na obleżonych Szwedów z dala spoglądał, a teraz nie ma kiedy i manierki do gęby przyłożyć. Znam ja sztukę wojenną *antiquorum*: wielkiego Pompejusza i Cezara, ale pan Czarniecki nową modę wymyśla. Przeciw wszelkiej jest to regule trząść brzuch przez tyle dni i nocy. Z głodu już imaginacja rebelizować mnie poczyna i ciągle mi się zdaje, że gwiazdy to kasza, a księżyc sperka. Na psa taka wojna! Jak mi Bóg miły, tak z głodu chce się własnemu koniowi uszy obgryźć!

– Jutro, da Bóg, wypoczniemy po Szwedach!

– Wołę już Szwedów niż taka mitręgę! Panie! Panie! kiedy Ty dasz spokój tej Rzeczypospolitej, a staremu Zagłobie ciepły przypiecek i piwo grzena... niechby i bez śmietany... Kołataj się, stary, na szkapie, kołataj, póki się do śmierci nie dokołatasz... Nie ma tam który tabaki? Może ową senność nozdrzami wyparsknę... Księżyc mi w samą gębę tak świeci, że aż do brzucha zagląda, a nie wiem, czego tam szuka, bo nic nie znajdzie. Na psa taka wojna, powtarzam!

– Skoro wuj myślisz, że księżyc sperka, to go wuj zjedz! – rzekł Roch.

– Gdybym ciebie zjadł, mógłbym powiedzieć, że wołowinę jadłem, ale boję się, bym po takiej pieczeni reszty dowcipu nie utracił.

– Jeśli ja wół, a wuj mój wuj, to wuj co?

– A ty, kpie, myślisz, że Altea dlatego porodziła głownię, że przy piecu siadała?

– A mnie co do tego?

– To do tego, że jeśliś wołem, to się naprzód o ojca swego dopytuj, nie o wuja, bo Europę byk porwał, ale brat jej, który wypadł wujem jej potomstwu, był dlatego człowiekiem. Rozumiesz?

– Co prawda, nie rozumiem, ale zjeść, to bym też co zjadł.

– Zjedz licha i daj mnie spać! Co tam, panie Michale? Czemuśmy to stanęli?

– Warkę widać – rzekł Wołodyjowski. – Ot, wieża kościelna błyszczy w miesiącu.

– A Magnuszew jużśmy minęli?

– Magnuszew został na prawo. Dziwno mi, że po tej stronie rzeki żadnego podjazdu szwedzkiego nie masz. Pojedziem do tych chaszczów i postojm, może nam Bóg spuści jakowego języka.

To rzekłszy pan Michał wprowadził oddział do zarośli i ustawił o sto kroków po obu stronach drogi przykazawszy, by cicho stali i cugle trzymali krótko, aby który koń nie zarżał.

– Czekać! – rzekł. – Posłuchamy, co się za rzeką dzieje, a może i co obaczym.

Stanęli więc, lecz długi czas nie było nic słyszeć prócz słowików, które w pobliskim gaju olszynowym zaśpiewywały się na śmierć. Strudzeni żołnierze poczęli się kiwać w kulbakach, pan Zagłoba położył się na szyi końskiej i zasnął głęboko; nawet i konie drzemały. Upłynęła godzina. Nareszcie wprawne ucho Wołodyjowskiego dosłyszało coś podobnego do stapania koni po twardej drodze.

– Czuj duch! – rzekł do żołnierzy.

Sam zaś wysunął się na brzeg chaszczów i spojrzął na drogę. Droga błyszczała w księżycu jak srebrna wstęga, ale nic nie było na niej widać, odgłos kroków końskich zbliżał się jednak.

– Idą na pewno! – rzekł Wołodyjowski.

I wszyscy ściągnęli jeszcze krócej konie, każdy zatamował oddech; nie było słyszeć nic prócz kłaskania słowików w olszynie.

Wtem na drodze ukazał się oddział szwedzki, złożony z trzydziestu jeźdźców. Szli z wolna i dość niedbale, nie w szeregu, ale rozwleczonym pasem. Żołnierze jedni gawędzili ze sobą, drudzy pośpiewywali z cicha, bo ciepła noc majowa działała nawet na twarde dusze żołnierskie. Przeszli, nic nie podejrzewając, tak blisko od stojącego nie opodal brzegu pana Michała, że mógł zawietrzyć zapach koni i dym lulek, które rajtarowie palili.

Na koniec znikli na zakręcie drogi. Wołodyjowski czekał jeszcze dość długo, aż tętent zginął w oddaleniu, wówczas dopiero zjechał do oddziału i rzekł do panów Skrzetuskich:

– Pognamy ich teraz jako gęsi do obozu pana kasztelana. Żaden nie powinien ujść, by nie dał znać!

– Jeśli potem pan Czarniecki nie pozwoli nam się najeść i wyspać – rzekł Zagłoba – to mu dziękuję za służbę i wracam do Sapia. U Sapia, kiedy bitwa, to bitwa, ale kiedy fryszt, to i uczta. Żebyś miał cztery gęby, wszystkim dałbyś funkcję przystojną. To mi wódz! I prawdę rzekłszy, powiedzcie mi, po kiego diabła nie służymy u Sapia, gdy ta chorągiew z prawa mu przynależy?

– Ojciec, nie bluźnij przeciw największemu wojennikowi w Rzeczypospolitej – rzekł Jan Skrzetuski.

– Nie ja bluźnię, jeno moje kiszki, na których głód gra jak na skrzypkach.

– Potańcują przy nich Szwedzi – przerwał! Wołodyjowski. – Teraz, mości panowie, jedźmy żywo! Przy onej karczmie w lesie, którąśmy w tę stronę jadąc minęli, chciałbym właśnie na nich nastąpić.

I poprowadził oddział szybciej, ale niezbyt szybko. Wjechali w las gęsty, w którym ogarnęła ich ciemność. Karczma była o kilkanaście stajen. Zbliżywszy się do niej szli znów noga za nogą, by zbyt wcześnie alarmu nie dawać. Gdy byli nie więcej już jak na strzał armatni, doszedł ich gwar ludzki.

– Są i hałasują! – rzekł Wołodyjowski.

Szwedzi istotnie zatrzymali się przy karczmie szukając jakiej żywej duszy, od której mogliby zasięgnąć języka. Lecz karczma była pusta. Jedni tedy przetrząsali główną budowę, inni szukali w oborze, w chlewach, inni podnosili snopki w dachach. Połowa stała na majdanie trzymając konie tym, którzy szukali.

Oddział Wołodyjowskiego zbliżył się na kroków sto i począł tatarskim półksiężycem otaczać karczę.

Stojący na majdanie słyszeli doskonale, a w końcu widzieli ludzi i konie, lecz że w lesie było ciemno, nie mogli poznać, co to za wojsko, nie alarmowali się zaś bynajmniej ani przypuszczając, by z tamtej strony mógł jakkolwiek inny niż szwedzki oddział zajeżdżać.



Dopiero ów ruch półksiężycowy zdziwił i zaniepokoił ich. Ozwały się zaraz wołania na tych, którzy byli w budynkach.

Nagle naokół karczmy rozległ się krzyk: Ała!, i huk kilku wystrzałów. W jednej chwili ciemne tłumy żołnierzy pojawiły się, jakby spod ziemi wyrosły. Uczynił się zamęt i szczękanie szablami, klątwy, stłumione krzyki, lecz wszystko nie trwało dłużej nad dwa pacierze.

Po czym na majdanie przed karczmą zostało kilka ciał ludzkich i końskich, oddział zaś Wołodyjowskiego ruszył dalej, prowadząc ze sobą dwudziestu pięciu jeńców.

Szli teraz w skok, poganiając płazami szabel rajtarskie konie, i skoro świt, doszli do Magnuszewa. W obozie Czarnieckiego nikt nie spał; wszyscy byli w pogotowiu. Sam kasztelan wyszedł przeciw podjazdowi wspierając się na obuszku, wychudzony i błady z bezsenności.

– Co tam! – spytał Wołodyjowskiego. – Siła masz języka?

– Jest dwudziestu pięciu jeńców.

– A ilu uszło?

– *Nec nuntius cladis*. Wszyscy ogarnięci!

– Ciebie jeno wysyłać, choćby do piekła, żołnierzyku! Dobrze! Wziąć ich zaraz na pytki. Sam będę indagował!

To rzekłszy kasztelan zwrócił z miejsca, a odchodząc rzekł:

– A być w gotowości, bo może nie mieszkając ruszymy na nieprzyjaciela.

– Jak to? – rzekł Zagłoba.

– Cicho wać – odpowiedział Wołodyjowski.

Szwedzcy jeńcy bez przypiekania w mig zeznali, co było im wiadomo o siłach margrabiego badeńskiego, o ilości armat, piechoty i jazdy. Zadumał się tedy nieco pan kasztelan, bo się dowiedział, że wprawdzie jest to nowo zaciężna armia, ale złożona z samych starych żołnierzy, którzy w Bóg wie ilu wojnach brali udział. Było też siła między nimi Niemców i znaczny oddział dragonii francuskiej; cała siła przewyższała o kilkaset głów wojsko polskie. Lecz natomiast pokazało się z zeznań, że margrabia ani przypuszczał nawet, iżby Czarniecki był tak blisko, i wierzył, iż Polacy całą siłą oblegają króla pod Sandomierzem.

Ledwie to usłyszał kasztelan, gdy zerwał się z miejsca i zakrzyknął na swego dworzana:

– Witowski, każ trąbić przez munsztuk, by na koń siadano!

W pół godziny później wojsko ruszyło i szło świeżym rankiem majowym przez lasy i pola rosą okryte. W końcu Warka, a raczej jej zgłiszczca, bo miasto przed sześciu laty spłonęło było niemal ze szczętem, ukazały się na widnokręgu.

Wojska czarnieckiego szły po otwartej płaszczyźnie, więc długo się przed okiem szwedzkim ukrywać nie mogły. Jakoż dostrzeżono je, ale margrabia mniemał, iż to są rozmaite partie, które połączone w znaczną kupę chcą alarmować obóz.

Dopiero gdy coraz nowe chorągwie, idące rysią, ukazywały się zza lasu, powstał ruch gorączkowy w szwedzkim obozie. Z pola widziano pomniejszych oddziały rajtarii i pojedynczych oficerów przebiegających między pułkami. Barwna szwedzka piechota poczęła wysypywać się na środek równiny; pułki formowały się jeden za drugim w oczach polskich żołnierzy i stawały rojnie, na kształt kraśnych stad ptactwa. Nad głowami ich podnosiły się ku słońcu czworoboki potężnych dzid, którymi piechurowie zasłaniaли się przed impetem jazdy. Na koniec ujrzano tłumy jazdy szwedzkiej pancерnej, biegnące klusem na skrzydła; zataczano i odprzodkowywano na gwałt armaty. Wszystkie przygotowania, cały ten ruch widać było jako na dłoni, bo wstało słońce jasne, przepyszne i rozświeciło całą krainę.

Pilica dzieliła dwa wojska.

Na szwedzkim brzegu ozwały się trąby, kotły, bębny i krzyki żołnierstwa stawającego co ducha do sprawy, a pan Czarniecki kazał również dąć w krzywule i następował ze wszystkimi chorągwiemi ku rzece .

Wtem poskoczył co tchu w dzianecie do Wąsowiczowej chorągwi, która była najbliższej rzeki.

– Stary żołnierzu! – krzyknął – ruszaj mi ku mostowi, tam z koni i do muszkietów! Niech się na ciebie cała potęga obróci! Prowadź!

Wąsowicz jeno poczerwieniał nieco z ochoty i machnął buzdyganem. Ludzie krzyk uczyńszy pomknęli za nim jak tuman kurzawy gnanej wiatrem.

Dopadłszy na trzysta kroków do mostu zwolnili biegu: tuż dwie trzecie zeskoczyło z kulbak i biegiem ruszyło ku mostowi.

Szwedzi zaś ruszyli z drugiej strony i wkrótce zagrały muszkiety, zrazu wolniej, potem coraz prędzej, jakby tysiąc cepów biło nieregularnie w klepisko. Dymy rozciągnęły się na rzekę. Krzyki zachęty brzmiały przy jednym i drugim naczółku. Uwaga obu wojsk skupiła się na most, który był drewniany, wąski, zatem trudny do zdobycia, a łatwy do obrony. Jednakże tylko przezeń można się było dostać do Szwedów.

Toteż w kwadrans później pchnął pan Czarniecki dragonię Lubomirskiego w pomoc Wąsowiczowi.

Lecz Szwedzi poczęli już i z armat ostrzeliwać przeciwległy naczółek. Zataczano coraz nowe sztuki i faskule poczęły z wyciem przelatywać ponad głowami Wąsowiczowych i dragonii, padać na łękę i ryć w zagony ziemię, obrzucając walczących darnią i błotem.

Margrabia badeński stojąc pod lasem, na tyłach armii, patrzył przez perspektywę na bitwę. Od czasu do czasu zaś odejmował ją od oczu i spoglądając ze zdziwieniem na swój sztab, wzruszał ramionami.

– Poszaleli – mówił – koniecznie chcę ów most sforsować. Kilka dział i dwa lub trzy pułki może go przed całą armią bronić.

Jednakże Wąsowicz coraz potężniej następował ze swymi ludźmi, więc i obrona stawała się coraz zaciętszą. Most stawał się punktem środkowym bitwy, ku któremu z wolna poczęła ciężyc i ściągała się cała linia szwedzka. W godzinę później zmienił się jej cały szyk i zwrócił się bokiem do poprzedniej pozycji. Most zasypywano po prostu deszczem ognia i żelaza; ludzie Wąsowicza poczęli padać gęstym trupem, tymczasem przylatywały ordynanse coraz gwałtowniejsze, by koniecznie szli naprzód.

– Zgubi Czarniecki tych ludzi! – krzyknął nagle pan marszałek koronny.

Zaś pan Witkowski, jako doświadczony żołnierz, poznał, że źle się dzieje, i aż dygotał cały z niecierpliwości, na koniec nie mógł wytrzymać dłużej, za czym wspiał konia, aż rumak stęknął żałośnie, i skoczył ku Czarnieckiemu, który przez cały czas ten ciągle, nie wiadomo dlaczego, posuwał ludzi ku rzece.

– Wasza miłość! – krzyknął Witowski – krew się próżno leje; nie zdobędziemy tego mostu!

– Ja też go nie chcę zdobywać! – odrzekł Czarniecki.

– Więc czego wasza dostojność chcesz! Co mamy robić?

– Ku rzece chorągwiemi! ku rzece! Do rzeregu waść!

Tu Czarniecki począł sypać oczyma takie błyskawice, iż Witowski cofnął się słowa nie rzekłszy.

Tymczasem chorągwie doszły na dwadzieścia kroków do brzegu i stanęły długą linią wzdłuż koryta. Nikt z oficerów ni żołnierzy nie wiedział w pień, dlaczego to czynią.

Nagle Czarniecki pojawił się jak piorun przed frontem chorągwi. Ogień miał w licach, piorun w oczach. Wiatr silny podnosił mu burkę na ramionach na kształt potężnych skrzydeł, koń pod nim skakał i wspinał się wyrzucając płomień z nozdrzy, on zaś szablę puścił

na temblak, czapkę zerwał z głowy i ze zjeżoną czupryną, z potem na czole, krzyknął do swojej dywizji:

– Mości panowie! Rzeką się nieprzyjaciel zastawił i drwi z nas! Morze przepłynął na pogńebienie nam ojczyzny, a myśli, że my w jej obronie tej rzeki nie przepłyniemy!

Tu czapkę cisnął na ziemię, a chwyciwszy szablę, wskazał nią na wezbrane wody. Uniesienie go porwało, bo aż wstał w kulbace i jeszcze potężniej zakrzyknął:

– Komu Bóg! komu wiara! komu ojczyzna miła! za mną!

I ścisnąwszy konia ostrogami tak, iż rumak jakoby w powietrze wyskoczył, rzucił się w nurty. Bryznęła naokół fala, mąż i koń skryli się na chwilę pod wodę, lecz wypłynęli w mgnieniu oka.

– Za moim panem! – krzyknął Michałko, ten sam, który pod Rudnikiem chwałą się okrył.

I skoczył w wodę.

– Za mną! – wrzasnął przeraźliwym a cienkim głosem Wołodyjowski.

I nurknął, nim krzyżeć przestał.

– Jezusie, Mario! – ryknął, wspinając do skoku konia, Zagłoba.

Wtem ława mężów i koni runęła w falę, aż woda wyskoczyła z szalonym rozpędem na brzegi. Za laudańską poszła wiśniowiecka, za wiśniowiecką pana Witkowskiego, za nią Stapkowskiego, za nią wszystkie inne. Szał taki ogarnął tych ludzi, że pchały się chorągwie na wyścigi; krzyk komendy pomieszał się z krzykiem żołnierstwa, rzeka wystąpiła z brzegów i spieniła się na mleko w mgnieniu oka. Fala poczęła znosić nieco pułki, lecz konie bodzone ostrogami, płynęły jakby nieprzejrzone stada delfinów, chrapiąc nozdrzami i stękając. Zapełnili tak rzekę, że tłum łbów końskich i ludzkich utworzył jakoby most, po którym mógłbyś przejść suchą nogą na drugi brzeg.

Czarnecki przepłynął pierwszy, lecz nim woda zeń ociekła, wypłynęła za nim laudańska, więc machnął pan kasztelan buzdyganem i krzyknął na Wołodymowskiego:

– W skok! bij!

A do wiśniowieckiej pod Szandarowskim:

– W nich!

I tak puszczał jedna za drugą, póki wszystkich nie odprawił. Przy ostatniej sam stanął na czele i zakrzyknął: „W imię Boże! szczęśliwie!” – ruszył z innymi.

A wszakże dwa pułki rajtarii, stojąc w odwodzie, widziały, co się dzieje, lecz pułkowników ogarnęło osłupienie tak wielkie, że nim ruszyli się z miejsca, już laudańska, rozpuściwszy konie, szła na nich niepowstrzymanym pędem. Uderzywszy rozmiotła pierwszy pułk jak wichur liście, zepchnęła go na drugi, zmieszała drugi, wtem doskoczył za nią Szandarowski i rozpoczęła się rzeźba straszna, lecz krótko trwająca; po chwili rozerwały się szeregi szwedzkie i tłum bezładny począł umykać ku głównej armii.

Chorągwie Czarneckiego biegły za nimi z krzykiem strasliwym, siekąc, bodąc, pole trupami zaścielać.

Stało się wreszcie jasnym, dlaczego pan Czarnecki kazał Wąsowiczowi zdobywać most, chociaż nie miał zamiaru po nim przechodzić. Oto główna uwaga całej armii skupiła się na ów punkt, i dlatego nikt nie bronił, i nie miał czasu bronić przeprawy wpraw. Przy tym wszystkie niemal paszcze armatnie i cały front wojsk nieprzyjacielskich zwrócony był za rzekę ku mostowi, a teraz gdy trzy tysiące jazdy szło jej w bok całym pędem, teraz dopiero trzeba było zmieniać szyk, formować nowy front, by się choć jako tako od uderzenia zasłonić. Jakoż stał się straszliwy skrzęt i zamieszanie: pułki piechoty, jazdy odwracały się co duchu ku nieprzyjacielowi, łamiąc się w pośpiechu, zawadzając jedne o drugie, stawając byle gdzie, nie rozumiejąc wśród wrzasku i tumultu komendy, działając na własną rękę. Próżno oficerowie czynili nadludzkie usiłowania, próżno margrabia ruszył natychmiast stojące pod lasem w rezerwie pułki jazdy; nim do jakiegokolwiek sprawy przyszli, nim piechota zdołała dzidy tylnymi końcami w ziemię zasadzić, by je nadstawić

nieprzyjacielowi, wpadła chorągiew laudańska jak duch śmierci, w sam środek szyków; za nią druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta. Dopieroż rozpoczął się dzień sądu! Dymy strzałów muszkietowych przykryły, jakoby chmurą, całą bitwę, a w tej chmurze huk, wrzenie, nadludzkie głosy rozpacz, krzyki tryumfu, przeraźliwe dźwiękanie żelaza, jakby w kuźni piekielnej, grzechotanie muszkietów; czasem błysnął proporzec i zapadł w dymy, czasem złota szpica chorągwi pułkowej, i znów nic nie widziałeś, jeno łoskot rozlegał się coraz straszliwszy, jakoby ziemia zarwała się nagle pod rzeka i jakoby wody jej spadały w przepaść niezgłębioną.

Wtem z boku nowe zabrzmiały wrzaski: to Wąsowicz przeszedł most i szedł w bok nieprzyjaciela. Wówczas niedługo już trwała bitwa.

Z owej chmury poczęły się wysuwać i biec ku lasowi potężne kupy ludzkie, bezładne, obłąkane, bez czapek, hełmów, bez broni. Za nimi lunął wkrótce cały potok ludzki w najokropniejszym zwichrzeniu. Artyleria, piechota, jazda, pomieszane ze sobą, uciekały ku lasowi, oślepiłe z trwogi i przerażenia. Niektórzy żołnierze krzyczeli wniebogłosy, niektórzy uciekali w milczeniu, osłaniając głowy rękoma, inni w biegu zrzucali odzież, inni zatrzymywali biegnących naprzód, padali sami, tratowali się wzajemnie, a tuż za nimi, nad ich karkami i głowami, pędziła ława jeźdźców polskich. Co chwila widziałeś całe ich szeregi, wspinające konie i rzucające się w największą gęstwą ludzką. Nie bronił się już nikt, wszyscy szli pod miecz. Trup padał na trupie. Ciężko bez wytchnienia, bez miłosierdzia, na całej równinie; po brzegach rzeki, ku lasowi, jak okiem sięgnął, widziałeś tylko uciekających i goniących: gdzieniegdzie tylko pojedyncze oddziały piechoty dawały bezładny a rozpaczliwy opór, armaty umilkły. Bitwa przestała być bitwą, zmieniła się na rzeź.

Cała część armii, która biegła ku lasowi, została w pień wyciętą. Dotarli doń tylko nieliczne szwadrony rajtarii, za którymi wpadły w gęstwinę lekkie chorągwie.

Lecz w lesie czekali już na owych niedobitków chłopci, którzy na odgłos bitwy zlecieli się ze wszystkich wsi okolicznych.

Najstraszliwsza pogoń trwała jednak na drodze warszawskiej, którą uciekały główne siły szwedzkie. Młodszy margrabia Adolf po dwakroć usiłował tam osłonić ucieczkę, lecz po dwakroć rozbity, sam wreszcie wpadł w niewolę.

Oddział przybocznej jego piechoty francuskiej, złożony z czterystu ludzi, rzucił broń, trzy tysiące wyborowego żołnierza, muszkietierów i jazdy, uciekało aż do Mniszewa. Muszkietników wycięto w Mniszewie, jazdę goniono ku Czerskowi, póki nie rozproszyła się zupełnie po lasach, trzcinach, zaroślach. Tam nazajutrz dopiero wyszukiwali pojedynczych jeźdźców chłopci.

Nim słońce zaszło, armia Fryderyka margrabiego badeńskiego przestała istnieć.

Na pierwszym pobojowisku pozostali sami tylko chorążowie z gołymi chorągwiami, bo wszyscy ludzie zagnali się za nieprzyjacielem. I słońce miało się już dobrze ku schyłkowi, gdy pierwsze oddziały jazdy poczęły ukazywać się od strony lasu i Mniszewa. Wracały ze śpiewaniem i szumem, wyrzucając w górę czapki, paląc z bandoletów. Prawie wszystkie wiodły za sobą tłumy powiązanych w łyka jeńców. Ci szli przy koniach bez kapeluszy, bez hełmów, z głowami pospuszczanymi na piersi, obdarci, okrwawieni, co chwila potykający się o ciała poległych współbraci. Pobojowisko straszny przedstawiało widok. W niektórych miejscach, gdzie zderzono się najpotężniej, leżały po prostu stosy trupów, na pół włóczni wysoko. Niektórzy z piechurów trzymali jeszcze zakrzepłymi dłońmi długie włócznie. Włóczniami tymi pokryty był cały majdan. Miejscami tkwiły one dotychczas w ziemi; gdzieniegdzie leżały mostem, gdzieniegdzie złamki ich potworzyły jakoby zagrodzenia i płoty. Lecz przeważnie wszędy przedstawiała się okrutna a żalonna mieszanina ciał ludzkich pomiażdżonych kopytami, drzewców, połamanych muszkietów, bębnow, trąb, kapeluszy, pasów, blaszanych ładunków, które nosiła piechota, rąk i nóg sterczących tak

beładnie ze stosów ciał, że trudno było odgadnąć, do kogo należą. Szczególnie w tych miejscach, gdzie broniła się piechota, leżały całe szańce trupów.

W dali nieco, przy rzece, stały ostygłe już armaty, jedne przewracane przez napór ludzki, drugie jakoby gotowe jeszcze do strzału. Obok nich spali, ujęci snem wiecznym, kanonierowie, których również wycięto do nogi. Widziano wiele trupów przewieszonych przez działa i obejmujących je rękoma, jakby ci żołnierze chcieli je jeszcze po śmierci osłaniać. Spiz, poplamiony krwią i mózgiem, połyskiwał złowrogo w promieniach zachodzącego słońca. Złote blaski odbijały się w zakrzepłej krwi, która tu i owdzie utworzyła małe jeziora. Ckliwe jej zapach mieszał się na całym pobojuwisku z wonią prochu, z wyziewami ciał i końskim potem.

Pan Czarniecki powrócił jeszcze przed zachodem słońca z królewskim pułkiem i stanął na środku majdanu. Wojska powitały go grzmiącym okrzykiem. Co który oddział nadciągnął, to wiwatował bez końca, on zaś stał w blaskach słonecznych, utrudzon niezmiernie, lecz cały promienny, z gołą głową, z szablą zwieszoną na temblaku i coraz to odpowiadał wiwatującym:

– Nie mnie, mości panowie, nie mnie, lecz imieniowi boskiemu!

Zaś obok niego stał Witowski i Lubomirski, ten ostatni jasny jak samo słońce, bo w połociste blachy przybrany, z twarzą obryzganą krwią, bo okrutnie pracował i sam własną ręką siekł, ścinał jak prosty żołnierz, lecz już markotny i posepny, gdyż nawet jego własne pułki krzyczały:

– *Vivat Czarniecki, dux et victor!*

Zazdrość więc poczęła już nurtować duszę marszałkową.

Tymczasem coraz nowe oddziały waliły ze wszystkich stron na pobojuwisko, za każdym zaś razem nadjeżdżał towarzysz i ciskał panu Czarnieckiemu pod nogi zdobytą chorągiew nieprzyjacielską. Na ów widok powstawały nowe krzyki, nowe wiwatowania, ciskanie czapek w górę i palba z bandoletów.

Słońce zachodziło coraz niżej.

Wtem w jedynym kościele, jaki po pożarze w Warce pozostał, zadzwoniono na nieszpór; natychmiast poodkrywały się wszystkie głowy; ksiądz Piekarski, setny ksiądz, zaintonował: „Anioł Pański zwiastował Najświętszej Pannie Marii!...”, a tysiąc żelaznych piersi odpowiedziało mu natychmiast potężnymi głosami: „...i poczęła z Ducha Świętego!...”

Wszystkie oczy podniosły się ku niebu, które zarumieniło się całe zorzą wieczorną, i z owego krwawego pobojuwiska poczęła lecieć ku grającym w górze blaskom przedwiecznym pieśń pobożna.

Właśnie gdy skończono śpiewać, nadjechała rysią laudańską chorągiew, która się była najdalej zagnała za nieprzyjacielem. Żołnierze znów poczęli ciskać chorągwie pod nogi panu Czarnieckiemu, więc on uradował się w sercu, i widząc Wołodyjowskiego, posunął ku niemu konia.

– A siła wam ich uszło? – spytał.

Pan Wołodyjowski począł tylko głową kręcić na znak, że nie siła uszło, lecz tak był zziąjany, że słowa jednego przemówić nie mógł, jeno w otwartą gębę łapał powietrze raz po raz, aż mu w piersiach grało. Pokazał wreszcie ręką na usta, że mówić nie może, a pan Czarniecki zrozumiał i za głowę go tylko ścisnął.

– Ten się sprawował! – rzekł – bodaj się tacy na kamieniu rodzili!

Pan Zagłoba zaś prędzej odzyskał oddech i szcękając zębami, tak począł przerywanym głosem mówić:

– Dla Boga! Na pot zimny wiater wieje!... Parala mnie trzaśnie... Zewlecście szaty z jakiego grubego Szweda i dajcie mi, bo wszystko na mnie mokre... Mokro i tu mokro... Nie wiem już, co woda, a co mój własny pot, a co krew szwedzka... Jeślim ja się spodziewał... że... kiedy w życiu tyłu tych szelmów narznę, tom niewart być podogoniem przy kulbace...

Największa wiktoria w tej wojnie... Ale do wody nie będę drugi raz skakał... Nie jedz, nie pij, nie śpij, a potem kąpiel... Dość mi na stare lata... Ręka mi zemdląca... Już mnie parala ima... Gorzałki, na miły Bóg!...

Słyszając to pan Czarniecki i widząc wiekowego męża istotnie całkiem pokrytego krwią nieprzyjacielską, ulitował się nad wiekiem i podał mu własną manierkę.

Zagłoba przechylił ją do ust i po chwili oddał próżną, po czym rzekł:

– Tylem się wody w Pilicy ożłopał, że rychło patrzeć, jak mi się ryby w brzuchu wylęgna, ale to lepsze od wody.

– A przebierz się waść w inne szaty, choćby i szwedzkie – rzekł pan kasztelan.

– Ja wujowi grubego Szweda poszukam! – ozwał się Roch.

– Po co z trupa mam pokrławione kłaść – odrzekł Zagłoba. – Ściągnij no wszystko do koszuli z tego jenerała, którego w jasyr wziął.

– Toś waść wziął jenerała? – spytał żywo pan Czarniecki.

– Kogom nie wziął, czegom nie dokonał! – odpowiedział Zagłoba.

Wtem pan Wołodyjowski odzyskał mowę:

– Wzięt przez nas młodszy margrabia Adolf, hrabia Falkenstein, jenerał Węgier, jenerał Poter, Benzy, nie licząc pomniejszych oficerów.

– A margrabia Fryderyk? – spytał Czarniecki.

– Jeśli tu nie leży, to uszedł w lasy, ale jeśli uszedł, to go chłopci zabiją!

Pan Wołodyjowski omylił się w swych przewidywaniach. Margrabia Fryderyk wraz z grafem Szlipenbachem i Ehrensheimem błędząc lasami dotarli nocą do Czerska; tam przesiedziawszy w ruinach zamku trzy dni o chłodzie i głodzie, powędrowali noca do Warszawy. Nie uchroniło ich to później przed niewolą, na ten raz jednak ocalili.

Noc już była, gdy pan Czarniecki zjechał ku Warce z pobjowiska. Była to może najweselsza noc w jego życiu, tak wielkiej bowiem klęski nie ponieśli dotąd Szwedzi od początku wojny. Wszystkie działa, wszystkie chorągwie, wszystka starszyzna, prócz naczelnego wodza, była wzięta. Armia zniesiona do szczytu; rozegnane na cztery wiatry małe jej resztki musiały paść ofiarą kup chłopskich. Lecz pokazało się jeszcze przy tym, że owi Szwedzi, którzy sami za niezwycięzonych w otwartym polu się mieli, nie mogą właśnie w otwartym polu mierzyć się z regularnymi polskimi chorągwiami. Rozumiał wreszcie pan Czarniecki, jak potężny skutek to zwycięstwo w całej Rzeczypospolitej wyrwie, jak podniesie ducha, jaki rozbudzi zapał; widział już całą Rzeczpospolitą w niedalekiej przyszłości od ucisku uwolnioną, tryumfującą... Może i złocistą wielkohetmańską buławę widział oczyma duszy na niebie.

Wolno mu było o niej marzyć, bo szedł ku niej jak prawy żołnierz, jak obrońca ojczyzny, i był z takich, którzy nie powstają ani z soli, ani z roli, jeno z tego, co ich boli.

Tymczasem ledwie całą duszą mógł objąć tę radość, która na niego spłynęła, więc zwrócił się do jadącego obok marszałka i rzekł:

– Teraz pod Sandomierz! pod Sandomierz, jako najprędzej! Umie już wojsko rzeki przepływać; nie zastraszy nas San ni Wisła!

Marszałek nie odrzekł ani słowa, natomiast jadący nieco opodał, w szwedzkim przebraniu, pan Zagłoba pozwolił sobie w głos przemówić:

– Jedźcie, gdzie chcecie, ale beze mnie, bom ja nie kurek na kościele, który się kręci dniem i nocą, jeść i spać nie potrzebując.

Pan Czarniecki tak był wesół, że nie tylko się nie rozgniewał ale odrzekł zartując:

– Waść do dzwonnicy niż do kurka podobniejszy, zwłaszcza że jak widzę, wróble masz w kopule. Wszelako *quod attinet* jadła i spoczynku, to się wszystkim przynależy.

Na to Zagłoba, ale już półgłosem:

– Kto ma dzioby na gębie, ten ma wróble na myśli!

## ROZDZIAŁ X

Po owym zwycięstwie pozwolił na koniec Czarniecki odetchnąć wojsku i konie strudzone odpaść, po czym znów wielkimi pochodami miał wracać pod Sandomierz, aby do upadłego króla szwedzkiego gnębić.

Tymczasem pewnego wieczora przybył do obozu pan Charłamp z wieściami od Sapiehy. Czarniecki wyjechał był pod ową porę do Czerska na lustrację pospolitego ruszenia rawskiego, które się pod owym miastem właśnie zbierało, więc Charłamp, nie zastawszy wodza, udał się wprost do Wołodyjowskiego, aby u niego po długiej drodze wypocząć.

Przyjaciele witali go wielce radośnie, lecz on zaraz na wstępie posepną im twarz ukazał i rzekł:

– O waszej wiktorii już słyszałem. Tu nam się uśmiechnęła fortuna, a pod Sandomierzem nas przycisnęła. Nie masz już Carolusa w saku, bo się wydobył, a do tego z wielką wojska litewskiego konfuzją.

– Być-li to może? – zakrzyknął chwytając się za głowę pan Wołodyjowski.

Obaj Skrzetuscy i Zagłoba stanęli jak wryci.

– Jakże to było? Powiadaj waćpan, na żywy Bóg, bo we własnej skórze nie usiedzimy!

– Już mi i tchu nie staje – odpowiedział pan Charłamp – jechałem dzień i noc, strudziłem się okrutnie. Nadjedzie pan Czarniecki, to wszystko *ab ovo* opowiem. Dajcie mi teraz trochę odsapnąć.

– Więc ot i *Carolus* wyszedł z saku. Przewidywałem, że na to przyjdzie. Jakże to? zapomnieliście, iżem to prorokował? Niech Kowalski przyświadczy.

– Wuj prorokował! – rzekł Roch.

– I gdzie *Carolus* poszedł? – spytał Charłampa Wołodyjowski.

– Piechota popłynęła szmagami, a on z jazdą poszedł po Przywiślu ku Warszawie.

– Bitwa była?

– I była, i nie była. Krótko mówiąc, dajcie mi spokój, bo nie mogę gadać!

– Jedno jeno jeszcze powiedz. Zali całkiem pan Sapieha rozbit?

– Gdzie tam rozbit! Goni nawet króla, ale już tam pan Sapieha nikogo nie dogoni!

– Taki on do gonienia jak Niemiec do postu – rzekł Zagłoba.

– Chwała Bogu i za to, że wojska w całości! – wtrącił Wołodyjowski.

– Podrwali boćwinkowie! – zawołał Zagłoba. – Ha! trudno! Musim znów dziurę w Rzeczypospolitej na wspólkę łątać!

– Waćpan na litewskie wojsko nie gadaj – odparł Charłamp. – *Carolus* jest wojennik wielki i nie sztuka z nim przegrać. A wyście to, koroniarze, nie podrwali pod Ujściem, a pod Wolborzem, a pod Sulejowem, a w dziesięciu innych miejscach? Sam pan Czarniecki przegrał pod Gołębiem! Dlaczego nie miał przegrać i pan Sapieha, zwłaszcza gdyście go, jako sierotę, samego zostawili?

– A cóż my to na tańce pod Warkę poszli? – rzekł z oburzeniem Zagłoba.

– Wiem, że nie na tańce, jeno na bitwę, i Bóg dał wam wiktoryę. Ale kto wie, czy nie lepiej było nie chodzić, bo u nas powiadają, że wojsko obojga narodów, każde z osobna, może być pobite, ale w kupie i sam piekielny komput mu nie poradzi.

– Może to być – rzekł Wołodyjowski – ale co wodzowie uradzili, w to nam nie wchodzić. Nie bez tego też, żeby waszej winy nie było!

– Musiał tam Sapio pokawić, już go znam! – rzekł Zagłoba.

– Temu nie mogę negować! – mruknął pod nosem Charłamp.

Tu umilkli na chwilę, jeno od czasu do czasu spoglądali na się ponuro, bo im się wydało, że szczęście Rzeczypospolitej psuć się na nowo poczyna, a przecie tak niedawno pełni byli wszyscy ufności i nadziei.

Wtem Wołodyjowski rzekł:

– Pan kasztelan powraca!

I wyszedł z izby.

Kasztelan powracał rzeczywiście; Wołodyjowski wybiegł przeciw niemu i z dala począł wołać:

– Moście kasztelanie! Król szwedzki zgwałcił litewskie wojsko i z saku umknął. Jest tu towarzyszy z listami od pana wojewody wileńskiego.

– Dawaj go sam! – krzyknął Czarniecki. – Gdzie on jest?

– U mnie. Zaraz go przystawię.

Lecz pan Czarniecki tak przyjął do serca wiadomość, że nie chciał czekać, jeno natychmiast zeskoczył z kulbaki i wszedł do kwatery Wołodyjowskiego.

Porwali się z ław wszyscy, widząc go wchodzącego, on zaś ledwie im głową skłonił, już rzekł:

– Proszę o listy!

Charłamp podał mu zapieczętowane pismo. Kasztelan poszedł z nim przed okno, bo w chałupie było ciemno, i począł je czytać ze zmarszczoną brwią i troską w twarzy. Od czasu do czasu gniew błyskał mu w obliczu.

– Zalterował się pan kasztelan – szeptał do Skrzetuskiego Zagłoba – obacz, jak mu dzioby poczerniały; zaraz i szepleńić zaczniesz, co zawsze czyni, gdy go cholera chwyci.

Wtem pan Czarniecki skończył czytać, przez chwilę całą pięścią kręcił brodę i myślał, na koniec ozwał się dźwiękliwym, niewyraźnym głosem:

– A pójdz no tu bliżej, towarzyszu!

– Do usług waszej dostojności!

– Gadaj prawdę – rzekł z przyciskiem kasztelan – bo ta relacja tak misternie haftowana, iż rzeczy dojść nie mogę... Jedno... gadaj prawdę... nie koloryzuj: wojska rozproszone?

– Nijak nie rozproszone, mości kasztelanie.

– A ile dni wam potrzeba, byście się znów zebrali?

Tu Zagłoba szepnął do Skrzetuskiego:

– Chce go, jako to mówią, z mańki zażyć.

Lecz Charłamp odpowiedział bez wahania:

– Skoro wojsko nie rozproszone, to mu się zbierać nie trzeba. Prawda jest, że pospolitaków z dwieście konie nie mogliśmy się dorachować, gdym odjeżdżał, których i między poległymi nie było, ale to zwykła rzecz i komput na tym nie cierpi, a nawet pan hetman ruszył za królem w dobrym porządku.

– Armat nie straciliście, mówisz, nic?

– Owszem. Straciliśmy cztery, które Szwedzi, nie mogąc ich zabrać, zagwoździli.

– Widzę, że prawdę mówisz; powiadaj tedy, jako się wszystko odbyło?

– ...*Incipiam!* – rzekł Charłamp. – Kiedyśmy to ostali sami, postrzegł się nieprzyjaciół, iż zawiślańskich wojsk nie masz, jeno partie i kupy niesforne na ich miejscu. Myśleliśmy,



a właściwie mówiąc, pan Sapieha myślał, że na tamtych uderzą i jakie takie posiłki im ekspediował, ale nieznaczne, by siebie nie osłabić. Tymczasem u Szwedów krętanina i szum jakoby w ulu. Pod wieczór poczęli zbliżać się tłumami do Sanu. Byliśmy w kwaterze wojewodzińskiej. Przyjeżdża ten pan Kmicic, który się Babiniczem teraz zowie, żołnierz przedni, i daje znać. A pan Sapieha właśnie do uczty zasiadał, na którą się siła szlachcianek aż spod Kraśnika i Janowa nazjeżdżała... że to pan wojewoda lubi płeć białogłowską.

– I uczty lubi! – przerwał Czarniecki.

– Nie masz mnie przy nim, nie ma go kto do temperacji nakłaniać! – przerwał Zagłoba.

Na to pan Czarniecki:

– Może prędzej będziesz waść przy nim, niż myślisz, zaczniecie się we dwóch temperować!

Tu zwrócił się do Charłampa:

– Mów dalej.

– Babinicz tedy daje znać, a wojewoda na to: „Symulują tylko, że chcą następować! Nie przedsięwzją nic! Prędzej (powiada) przez Wisłę zechcą się przebierać, ale mam ja na nich oko i wtedy sam nastąpię. Tymczasem (powiada) nie psujmy sobie uciechy, żeby nam było dobrze!” Poczynamy tedy jeść i pić. A i kapela poczyna rznąć, sam wojewoda prosi do tańca.

– Dam ja mu tańce! – przerwał Zagłoba.

– Cicho waść! – rzekł Czarniecki.

– Wtem znów przylatują od brzegu, że szum okrutny. Nic to! Wojewoda pazia w ucho: „Będziesz mi tu laź!” Tańcowaliśmy do świtania, spaliśmy do południa. O południu patrzym, aż już szańce srogie stoją, a na nich ciężkie działa, kartauny. Dają też czasem ognia, a co kula padnie, to jak ceber! Jednak taka na nic oko zaproszy!

– Nie powiadaj konceptów – przerwał Czarniecki – boś nie u hetmana!

Charłamp zmieszał się mocno i tak dalej mówił:

– O południu wyjechał sam wojewoda. Szwedzi zaś pod osłoną owych szanów zaczęli stawiać most. Pracowali do wieczora, z wielkim naszym podziwem, bośmy byli tego mniemania, że zbudować go zbudują, ale przejść po nim nie zdołają. Na drugi dzień jeszcze budują. Począł wojewoda sprawiać wojska, bo i sam już myślał, że będzie batalia.

– Tymczasem most był pozór, a przeszli poniżej przez inny i z boku was zaszli? – przerwał Czarniecki.

Charłamp wytrzeszczył oczy, otworzył usta, przez chwilę milczał zdumiony, na koniec rzekł:

– To wasza dostojność miała już relację?

– Nie ma co! – szepnął Zagłoba – co wojny tyczy, nasz dziad w lot zgadnie, jakoby właśnie patrzył na sprawę!

– Mów dalej! – rzekł Czarniecki.

– Przyszedł wieczór. Wojska stały w gotowości, ale z pierwszą gwiazdą znowu była ucztą. Tymczasem rano Szwedzi już przeszli przez ów drugi most, który poniżej zbudowali, i zaraz nastąpili. Stała od krańca chorągiew pana Koszyca, żołnierza dobrego. Ten w nich! Skoczą mu w pomoc pospolitacy, którzy byli najbliżej, ale kiedy to pluną do nich z armat – w nogi! A pan Koszyc poległ i ludzi jego okrutnie naszarpano. Dopieroż pospolitacy, wpadłszy hurmem na obóz, wszystkich pomieszałi. Co było gotowych chorągwi, to poszły, ale nie sprawiły nic, jeszcześmy armaty stracili. Gdyby więcej dział i piechoty było przy królu, sroga byłaby klęska, ale szczęściem większa część pieszych regimentów, wraz z armatami, odpłynęła nocą szmagami, o czym także nikt u nas nie wiedział.

– Sapio pokawił! Z góry wiedziałem! – zawołał Zagłobs.

– Przejęliśmy korespondencję królewską – rzekł Charłamp – którą Szwedzki zronili. Czytali w niej żołnierze, że król do Prus ma iść, by z elektorskimi nazad wrócić, gdyż pisze, że samymi szwedzkimi siłami nie da sobie rady.

– Wiem o tym – odrzekł Czarniecki – pan Sapieha przysłał mi ten list.

Po czym mruknął cicho, jakoby sam do siebie mówiąc:

– Trzeba i nam za nim do Prus.

– Dawno to mówię! – rzekł Zagłoba.

Pan Czarniecki popatrzył nań przez chwilę w zamyśleniu.

– Nieszczęście! – rzekł głośno – bo gdybym ja nadażył pod Sandomierz, tedybyśmy we dwóch z hetmanem żywej nogi nie puścili... Ha! stało się i nie wróci!... Wojna się przedłuży, ale tak i temu najezdowi, i najeźdnikom śmierć pisana.

– Nie może inaczej być!... – zawołali chórem rycerze.

I wielka otucha wstąpiła im do serc, choć przed chwilą wątpili.

Wtem szepnął coś Zagłoba do ucha pana dzierżawcy z Wąsoszy, a ów znikł we drzwiach i po chwili wrócił z gąsiorem. Widząc to Wołodyjowski pochylił się do kolan kasztelanowi.

– Łaska by to była dla prostaka żołnierza niepowszednia... – zaczął.

– Napiję się z wami chętnie – rzekł Czarniecki – a wiecie dlaczego? Owo dlatego, że nam się pożegnać przyjdzie.

– Jakże to? – zawołał zdumiony Wołodyjowski.

– Pisz pan Sapieha, że chorągiew laudańska do litewskiego wojska należy i że ją jeno dla asysty królowi przysłał, a teraz sam jej będzie potrzebował, zwłaszcza oficerów, bo mu ich brak okrutny. Mój Wołodyjowski, wiesz, ile cię miłuję, i ciężko mi się z tobą rozstać, ale tu jest dla ciebie rozkaz. Wprawdzie pan Sapieha, jak człek polityczny, na moje ręce i do mojej dyskrekcji rozkaz przysyła. Mógłbym ci go nie pokazać... Ba, ba, tak mi to miłe, jakoby mi pan hetman szablę najlepszą złamał... Ale właśnie, że do mojej dyskrekcji przysłano, więc ci rozkaz daję – masz!... a już czyń, coś powinien. Za zdrowie twoje, żołnierzyku!...

Pan Wołodyjowski znów pochylił się do kasztelańskich kolan, wypił, ale tak był strapiony, że słowa przemówić nie mógł, a gdy kasztelan wziął go w objęcia, łzy ciurkiem puściły mu się na żółte wąsiki.

– Wolejbyś poległ! – zawołał żałośnie. – Gonić pod tobą, wodzu wielbiony, przywykłem, a tam nie wiadomo, jako będzie...

– Panie Michale, nie zważaj na rozkaz! – rzekł wzruszony Zagłoba. – Sam Sapiowi odpiszę i uszu mu przystojnie natrę.

Lecz pan Michał przede wszystkim był żołnierzem, więc jeszcze się obruszył:

– A w waćpanu wiecznie stary wolentarz siedzi!... Milczałbyś lepiej, kiedy rzeczy nie rozumiesz. Służba!!

– Ot, co! – rzekł Czarniecki.

## ROZDZIAŁ XI

Pan Zagłoba stanąwszy przed hetmanem nie odpowiedział na radosne jego powitanie, owszem ręce w tył założył, wargę wysunął naprzód i począł nań spoglądać jak sędzia sprawiedliwy, ale surowy. Ten zaś jeszcze się bardziej ucieszył widząc ową minę, bo już się jakowejś krotofili spodziewał, i zaraz ją mówić:

– Jak się masz, stary francie? Cóż to tak nosem kręcisz, jakbyś jakowy niecnotliwy zapach wietrzył?

– W całym Sapieżyńskim wojsku bigos czuć!

– Czemu to bigos? – powiadaj!...

– Bo Szwedzi kapuścianych głów naszatkowali!

– Masz go! Już nam przymówił! Szkoda, że waści nie usiekli!

– Bom pod takim wodzem służył, pod którym myśmy siekli, nie nas sieczono.

– Daj cię katu! Żeby ci choć język obcięli!

– Nie miałbym czym Sapieżyńskiej wiktorii głosić!

Na to posmutniał hetman i odrzekł:

– Panie bracie, zaniechaj mnie! Jest więcej takich, którzy już na moje służby ojczyźnie niepamiętni, zgoła mnie spostonowali, i wiem to, że jeszcze wiele się przeciw mej osobie uczyni hałasu, a przecie, żeby nie owa chasa pospolitacka, inaczej by rzeczy pójść mogła. Powiadają, że dla podkurków nieprzyjaciela zaniedbał, ale przecie temu nieprzyjacielowi cała Rzeczpospolita oprzeć się nie mogła!

Wzruszył się nieco pan Zagłoba słowy hetmana i odrzekł:

– Taki to już u nas obyczaj, aby winę zawsze na wodza składać. Nie ja będę brał podkurki za złe, bo im dzień dłuższy, tym podkurek potrzebniejszy. Pan Czarniecki wielki wojennik, tę wszelako, wedle mojej głowy, ma przywarę, że wojsku na śniadanie, na obiad i na wieczerzę samą tylko szwedzinę daje. Lepszy on wódz niż kuchta, ale źle czyni, bo od takiej strawy wprędce wojna najlepszym kawalerem może zbrzydnać.

– Bardzoże pan Czarniecki przeciw mnie choleryzował?

– I!... nie bardzo! Z początku wielką pokazał alterację, ale gdy się dowiedział, że wojska nie rozbite, zaraz powiada: „Wola boska, nie ludzka moc! Nic to! (powiada) każdemu zdarzy się przegrać; gdybyśmy samych (powiada) Sapiehów w ojczyźnie mieli, byłby to kraj Artystydesów.”

– Dla pana Czarnieckiego krwi bym nie skąpił! – odpowiedział hetman. – Każdy inny poniżałby mnie, aby siebie i własną sławę wywyższyć, zwłaszcza po świeżej wiktorii, ale on nie z takich.

– Nic i ja przeciw niemu nie powiem, jeno to, że za stary na taką służbę, jakiej on od żołnierza wygląda, a zwłaszcza na owe kąpiele, jakie wojsku wyprawuje.

– Toś waść rad, żeś do mnie wrócił?

– I rad, i nierad, bo o podkurku słucham od godziny, ale go jakoś nie widzę.

– Zaraz siądziemy do stołu. A co pan Czarniecki teraz przedsięwzięje?

– Idzie do Wielkopolski, aby tamtym niebożętom dopomóc, stamtąd zaś przeciw Szejnbołkowi ciągnie i do Prus, spodziewając się dostać od Gdańska armat i piechoty.

– Zaczni obywatelę gdańszczyzny. Całej Rzeczypospolitej przykładem świecą. To się z panem Czarnieckim pod Warszawą spotkamy, bo ja tam pociągnę, jeno się przedtem koło Lublina nieco zabawię.

– To Lublin znów Szwedzi obsadzili?

– Nieszczęsne miasto! Nie wiem już, ile razy było w nieprzyjacielskim ręku. Jest tu deputacja od szlachty lubelskiej i zaraz przyjdzie z prośbą, bym ich ratowałem. Ale że mam listy do króla i hetmanów ekspediować, przeto muszą jeszcze poczekać.

– Do Lublina i ja chętnie pójdę, bo tam białogłowy nad miarę gładkie i rześiste. Kiedy to która chleb krając bochenek o się oprze, to nawet na nieczułym bochenku skóra od kontentacji czerwienieje.

– O Turku!

– Wasza dostojność, jako człek wiekowy, nie możesz tego wyrozumieć, ale ja co mają krew jeszcze muszę puszczać.

– Toćżeś starszy ode mnie!

– Jego eksperyencją, nie wiekiem, że zaś umiałem *conservare iuventutem meam*, tego mi już niejedyn zazdrościł. Pozwól mi, wasza dostojność, przyjąć deputację lubelską, a ja jej przyrzeknę, że zaraz idziemy w pomoc, niech się nieborakowie pocieszą, nim nieboraczki pocieszymy.

– Dobrze – rzekł hetman – a ja pójdę listy ekspediować.

I wyszedł.

Zaraz potem wpuszczono deputację lubelską, którą pan Zagłoba przyjął z nadzwyczajną powagą i godnością, a pomoc przyrzekł pod warunkiem, że wojsko prowiantami, zwłaszcza zaś wszelakim napitkiem obeślą. Po czym zaprosił ich imieniem wojewodzickim na wieczerzę. Oni radzi byli, bo wojska tejsze jeszcze nocy ruszyły ku Lublinowi. Sam pan hetman pił niezmiernie, bo mu chodziło o to, ażeby jakowąś przewagę wojenną pamięć sandomierskiej konfuzji zatrzeć.

Rozpoczęło się więc oblężenie, ale szło dość marudnie. Przez cały ten czas Kmicic uczył się u pana Wołodyjowskiego szablą robić i postępy czynił nadzwyczajne. Pan Michał też wiedząc, że to na Bogusławową szyję nauka, żadnych sekretów swej sztuki mu nie ukrywał. Często też miewali i lepszą praktykę; chodzili bowiem pod zamek wyzywać Szwedów na rękę, których wielu usiekli. Wkrótce Kmicic do tego doszedł, że z Janem Skrzetuskim mógł się na równi potykać, nikt zaś w całym wojsku Sapieżyńskim nie zdołał mu dotrzymać. Wówczas taka chęć zmierzenia się z Bogusławem opanowała mu duszę, iż ledwie mógł wysiedzieć pod Lublinem, zwłaszcza że wiosna wróciła mu siły i zdrowie.

Rany pogoiły mu się wszystkie, przestał pluć krwią, krew grała w nim po dawnemu i ogień tryskał z oczu. Spoglądali na niego z początku spode łba laudańscy ludzie, lecz nie śmieli nastawać, bo Wołodyjowski trzymał ich żelazną ręką, później też, patrząc na jego postępy i uczynki, pogodzili się z nim zupełnie, i sam najzacieklejszy jego wróg, Józwa Butrym, mawiał:

– Umarł Kmicic, żywie Babinicz, a ten niech żywie!

Załoga lubelska poddała się wreszcie ku wielkiej uciechu wojska, za czym ruszył pan Sapieha chorągwie ku Warszawie. Po drodze odebrał wiadomość, że sam Jan Kazimierz wraz z hetmanami i nowym wojskiem przyjdzie mu w pomoc. Nadeszły też wieści i od Czarnieckiego, który także z Wielkopolski ku stolicy zdążył. Wojna, rozproszona po całym kraju, skupiła się tak pod Warszawą, jako chmury rozproszone po niebieskim sklepie skupiają się i łączą, aby zrodzić burzę, grzmoty i błyskawice.

Szedł pan Sapieha na Żelechów, Garwolin i Mińsk do siedleckiego traktu, aby się w Mińsku z pospolitym ruszeniem podlaskim połączyć. Jan Skrzetuski objął nad ową chasą

komendę, bo chociaż w województwie lubelskim mieszkał, ale że blisko granicy Podlasia, więc znany był wszystkim szlachcie i wielce przez nią ceniony, jako jeden z najznamienitszych w Rzeczypospolitej rycerzy. Jakoż wprędce potrafił on zmienić bitną z natury tamtejszą szlachtę na chorągwie, w niczym komputowemu wojsku nie ustępujące.

Tymczasem zaś szli z Mińska ku Warszawie bardzo spieszenie, aby jednym dniem pod Pragę stanąć. Pogoda sprzyjała pochodowi. Od czasu do czasu przelatywały majowe deszczyki chłodząc ziemię i tłumiąc kurzawę, ale w ogóle czas był cudny, ni zbyt gorący, ni zbyt zimny. Wzrok biegł daleko w przeźroczystym powietrzu. Z Mińska szły wojska komunikiem, wozy bowiem i działa miały dopiero drugiego dnia za nimi wyruszyć; ochota panowała po pułkach niezmierna; gęste lasy, zalegające cały trakt, brzmiały echem pieśni żołnierskich, konie prychały na dobrą wróżbę. Chorągwie w sprawie i w porządku płynęły jedna za drugą, jak rzeka migotliwa a potężna, bo przecie dwanaście tysięcy luda, bez pospolitaków, wiódł pan Sapieha. Rotmistrze, ogarniając pułki, świecili polerowanymi blachami. Kraśne znaki chwiały się nad głowami rycerstwa na kształt olbrzymich kwiatów.

Słońce miało się ku zachodowi, gdy pierwsza idąca w przodku chorągiew laudańska ujrzała wieże stolicy. Na ów widok radosny okrzyk wyrwał się z piersi żołnierstwa:

– Warszawa! Warszawa!

Okrzyk ów przeleciał jak grzmot przez wszystkie chorągwie, i przez jakiś czas słychać było na pół mili drogi powtarzane ustawicznie słowo: „Warszawa! Warszawa!”

Wielu Sapieżyńskich rycerzy nigdy nie było w stolicy, wielu nigdy jej nie widziało, więc jej wodok wywarł na nich wrażenie nadzwyczajne. Mimo woli wstrzymali wszyscy konie; niektórzy pozdejmowali czapki, inni poczęli się żegnać, niektórym łzy ciurkiem popłynęły z oczu i stali wzruszeni, milczący. Nagle pan Sapieha pojawił się na białym koniu od ostatnich zastępów i począł lecieć wzdłuż chorągwi.

– Mości panowie! – wołał donośnym głosem – my tu pierwsi, nam szczęście! nam honor!... Wyżeniem Szweda ze stolicy!!...

– Wyżeniem! –zawrzasało dwanaście tysięcy litewskich piersi. – Wyżeniem! wyżeniem! wyżeniem!

I stał się szum a huk. Jedni krzyczeli ciągle: „Wyżeniem!” – drudzy już wołali: „Bij, kto cnotliwy!” – inni: „W nich, psubratów!” Trzaskanie szablami mieszało się z krzykiem rycerzy. Oczy poczęły ciskać błyskawice, spod srogich wąsów błyskały zęby. Sam Sapieha spłonął jak pochodnia. Nagle buławę podniósł w górę i krzyknął:

– Za mną!

W pobliżu Pragi wstrzymał pan wojewoda chorągwie i nakazał wolny pochód. Stolica wynurzała się coraz wyraziściej z sinawej oddali. Wieże rysowały się długą linią na błękicie. Spiętrzony dachy Stargeo Miasta, kryte czerwoną dachówką, płonęły w blaskach wieczornych. Nic wspanialszego nie widzieli nigdy w życiu Litwini nad owe mury białe i wyniosłe, poprzecinane mnóstwem wąskich okien, zwieszające się na kształt stromych wiszarów nad wodą; domy zdawały się wyrastać jedne z drugich, wysoko i jeszcze wyżej; nad ową zaś zbitą i zacieśnioną masą tynów, ścian, okien, dachów bodły niebo wieże strzeliste. Ci z żołnierzy, którzy już byli w stolicy bądź na elekcji, bądź prywatnie, objaśniali innym, co który gmach znaczył i jakie nosił miano. Szczególniej Zagłoba, jako bywalec, uczył swoich laudańskich, oni zaś słuchali go pilnie, dziwiąc się jego słowom i samemu miastu.

– Patrzcie na ową wieżę w samym pośrodku Warszawy – mówił. – Oto *arx regia!* Żeby tyle lat żył, ile obiadów tam u królewskiego stołu zjadłem, Matuzala bym w kozi róg zapędził. Nie miał też król bliższego ode mnie konfidenta; mogłem wybierać między starostwami jako między orzechami, a rozdawać je tak łatwo jak ufnale. Siła ludzi promowałem, a gdym wchodził, to *senatores* w pas mi się kłaniali, po kozacku. Pojedynki też

na oczach królewskich odbywałem, bo mnie lubił widzieć przy robocie, marszałek zaś musiał zamykać oczy.

– Srogi gmach! – rzekł Roch Kowalski. – I pomyśleć, że wszystko to ci psiajuchowie mają w ręku!

– I łupią okrutnie! – dodał Zagłoba. – Słyszę: kolumny nawet z murów wydzierają i do Szwecji wywożą, które są z marmurów i innych kosztownych kamieni. Nie poznam miłych kątów, a przecie słusznie rozmaici *scriptores* zamek ów za ósmy cud świata uważają, bo oprócz tego ma król francuski zacny dworzec, ale kiep w porównaniu do tego!

– A owo, co to za druga wieża w pobliżu na prawo?

– To Święty Jan. Jest z zamku do niego krążganek. W tym to kościele objawienie miałem, bo gdym raz po nieszporce przyzostał, słyszę głos od sklepienia: „Zagłoba, będzie wojna z takim synem, królem szwedzkim, i *calamitates* wielkie nastąpią!” Ruszyłem co tchu do króla i powiadam, com słyszał, a tu ksiądz prymas pastorałem mnie w kark: „Nie powiadaj głupstw, pijany byłeś!” Mają teraz... Ten drugi kościół, zaraz tam obok, to jest *collegium Jesuitarium*; trzecia wieża opodal to *curia*, owa czwarta w prawo, marszałkowska, a ów zielony dach to Dominikanie; wszystkiego nie wymienię, choćbym językiem tak umiał obracać jak szablą.

– Chyba nie masz takiego drugiego miasta na świecie! – zawołał jeden z żołnierzy.

– Dlatego też wszystkie nacje nam go zazdroszczą.

– A ów cudny gmach na lewo od zamku?

– Za Bernardynami?

– Tak jest.

– To *palatium* Radziejowskianum, dawniej Kazanowskich. Uważają go za dziewiąty cud świata, ale zaraz na niego, bo w tych to murach zaczęło się nieszczęście Rzeczypospolitej.

– Jakże to? – spytało kilka głosów.

– Bo jak się wziął pan podkanclerzy Radziejowski z żoną wadzić i wojować, tak król się za nią ujął. Wiecie, waćpanowie, co o tym ludzie mówili, a to pewno, że i sam podkanclerzy myślał, że mu się żona w królu kocha, a król w niej; za czym przez inwidię do Szwedów uciekł i wojna się rozpoczęła. Co prawda, siedziałem wtedy na wsi to wiem, że ona nie do króla, tylko do kogo innego przedtem słodkie oczy, jak marcepan, robiła.

– Do kogo?

Zagłoba pokręcił wężą.

– Do tego, do którego i wszystkie jak mrówki do miodu lazły, jeno mi się nazwiska nie godzi mówić, gdyż zawsze brzydziłem się chełpliwością... Przy tym zestarzał się człek, zestarzał, zdarł się jako miotła, zamiatając nieprzyjaciół ojczyzny, ale niegdyś nie było większego nade mnie gładysza i dworaka, niech Roch Kowalski przyświad...

Tu spostrzeg się pan Zagłoba, że Roch żadną miarą owych czasów pamiętać nie może, więc tylko ręką machnął i rzekł:

– Wreszcie, co on tam wie!

Po czym pokazał jeszcze towarzyszom pałac Ossolińskich i Koniecpolskich, który ogromem prawie Radziejowskiemu był równy, wreszcie wspaniałą *villa regia*, a wtem słońce zaszło i mrok nocny począł nasycać przestworze.

Huk działa rozległ się na murach warszawskich i trąby ozwały się długo i przeciągle na znak, iż nieprzyjaciel się zbliża.

Pan Sapięha oznajmił też swoje przybycie palbą z samopałów, aby ducha mieszkańcom stolicy dodać, po czym tejże jeszcze nocy począł przeprowadzić wojsko za Wisłę. Przeprowadziła się więc pierwsza laudańska, za nią pana Kotwicza, za nią Tatarzy Kmicicowi, za nią Wańkownicowa, razem ośm tysięcy ludzi. W ten sposób byli zarazem Szwedzi wraz

z nagromadzonym łupem otoczeni i pozbawieni dowozu, panu Sapieże zaś nie pozostało nic więcej, jak czekać, póki z jednej strony pan Czarniecki, z drugiej król wraz z koronnymi hetmany nie przyciągnie, tymczasem zaś pilnować, aby się jakowe posiłki do miasta nie przekradły.

Pierwsze wieści przysły od pana Czarnieckiego, ale niezbyt pomyślne, donosił bowiem, że wojsko i konie tak ma strudzone, iż w tej chwili nie może żadnego w oblężeniu wziąć udziału. Od czasu bitwy pod Warką dzień w dzień był w ogniu, a od pierwszych miesięcy roku stoczył dwadzieścia jeden większych bitew ze Szwedami, nie licząc podjazdowych utarczek i napadów na mniejsze oddziały. Piechoty na Pomorzu nie dostał, do Gdańska dotrzeć nie mógł; obiecywał, co najwięcej, trzymać resztą sił w szachu tę armię szwedzką, która pod Radziwiłłem, pod bratem królewskim i Duglasem stojąc u Narwi, przemyśliwała, jakoby oblężonym przyjść w pomoc.

Zaś Szwedzi gotowali się do obrony z właściwym sobie męstwem i biegłością. Jeszcze przed przyjściem pana Sapiehy spalono Pragę, obecnie poczęli ciskać granaty na wszystkie przedmieścia, jako na Krakowskie, Nowy Świat, a z drugiej strony na kościół Św. Jerzego i Pannę Marię. Płonęły tedy domostwa, gmachy i kościoły. W dzień dymy wiły się nad miastem na kształt chmur gęstych i czarnych. W noc owe chmury stawały się czerwone i snopy iskier wybuchały z nich ku niebu. Za murami błąkały się tłumy mieszkańców bez dachu nad głową, bez chleba, niewiasty otaczay Sapieżyński obóz z płaczem o miłosierdzie; widziano ludzi uschniętych z głodu na szczyпки, widziano dzieci umierające z braku pokarmu, w objęciach wychudłych matek; okolica zmieniła się w padół łez i nędzy.

Pan Sapieha, nie mając piechoty ni dział, czekał i czekał na nadejście króla, tymczasem przychodził, ile mógł, w pomoc ubogim, rozsyłając ich partiami w mniej zniszczone okolice, w których jako tako mogli się wyżywić. Troskał się też niemało w przewidywaniu trudności oblężenia, gdyż uczeni inżynierowie szwedzcy zmienili Warszawę w potężną twierdzę. Za murami siedziało trzy tysiące wyćwiczonych żołnierza, dowodzonego przez biegłych i doświadczonych jenerałów, w ogóle zaś Szwedzi uchodzili za mistrzów w oblężeniu i obronie wszelkich fortec. Na ową więc troskę wyprawiał sobie pan Sapieha co dzień ucztę, w czasie których krążyły gęsto kielichy, miał bowiem ów zasny obywatel i niepospolity wojownik tę przywarę, iż wesołą kompanię i brząkanie szkłem nad wszystko nawidził, często nawet służby dla uciechy zaniedbując.

Dzienną natomiast przezornością wieczorną folgę wynagradzał. Do zachodu słońca pracował szczerze, wysyłał podjazdy, ekspediował listy, sam objeżdżał strażę, sam przesłuchiwał schwytych języków, natomiast z pierwszą gwiazdą często i skrzyпки odzywały się w jego kwaterze. A gdy raz się rozochocił, to już na wszystko pozwalał, sam nawet posyłał po oficerów, choćby straży pilnujących albo na podjazd wyznaczonych, i krzyw był, jeżeli który się nie stawił, gdyż nie było dlań ucztę bez ciasnoty. Przymawiał mu za to rankami mocno pan Zagłoba, ale wieczorami często samego czeladź bez duszy do kwatery Wołodyjowskiego odnosiła.

– Świętego by Sapio do upadku przywiódł – tłumaczył się drugi dzień przyjaciółom – a cóż dopiero mnie, którym zawsze igraszki miłował. Jeszcze ma szczególniejszą jakąś pasję kielichy we mnie wmuszać, ja zaś, nie chcąc się grubianinem okazać, ustępuję przed przyruką, bo zawsze to obserwowałem, żeby gospodarzowi nie uchybiać. Ale już ślubowałem, że na przyszły advent każę sobie grzbiet dyscypliną dobrze smarować, bo sam to rozumiem, że swawola bez pokuty zostać nie może; tymczasem muszę mu już dotrzymywać, a to z obawy, aby w gorsze jakie nie wpaść kompanie i do reszty sobie nie folgował.

Byli tacy oficerowie, którzy i bez dozoru hetmańskiego służbę pełnili, ale niektórzy zaniedbywali się wieczorami srodze, jako zwyczajnie żołnierze, ręki żelaznej nad sobą nie czujący.

Nie omieszkał korzystać z tego nieprzyjaciel.

Pewnego razu, na parę dni przed nadciągnięciem króla i hermanów, Sapieha wyprawił wspanialszą niż kiedykolwiek ochotę, już był bowiem rad, że się wszystkie wojska w kupę zbierają i oblężenie rozpocznie się na dobre. Wszyscy znakomitsi oficerowie byli proszeni, bo pan hetman szukający zawsze okazji rozgłosił, iż to na cześć królewską owa ucztą się odbędzie. Do panów Skrzetuskich, Kmicica, Zagłoby, Wołodyjowskiego i Charłampa przyszedł nawet umyślny ordynans, aby koniecznie byli, gdyż hetman za wielkie usługi chce ich szczególnie uczcić. Pan Andrzej siadał już na koń, aby z podjazdem wyruszyć, tak iż ordynansowy oficer zastał już jego Tatarów za bramą.

– Nie możesz, wasza miłość, panu hetmanowi tej ujmy okazać i niewdzięcznością za serce zapłacić – rzekł oficer.

Kmicic zsiadł z konia i poszedł naradzić się z towarzyszami.

– Okrutnie mi to nie na rękę! – rzekł. – Słyszałem, że jakiś znaczny oddział jazdy wedle Babic się ukazał. Samże hetman kazał mi jechać i koniecznie dowiedzieć się, co to za żołnierze, a teraz na ucztę prosi? Co mam czynić?

– Pan hetman przysyła rozkaz, aby z podjazdem Akbah-Ułan poszedł – odparł ordynansowy.

– Rozkaz to rozkaz! – rzekł Zagłoba – a kto żołnierz, ten słuchać musi. Waćpan strzeż się, aby złego przykładu nie dawać, a przy tym niedobrze by było dla waćpana ściągnąć na się nieżyczliwość hetmańską.

– Powiedz waść, że się stawię! – rzekł do ordynansowego Kmicic.

Oficer wyszedł. Za nim odjechali pod Akbah-Ułanem Tatarzy, a pan Andrzej począł się nieco stroić, w czasie zaś ubierania tak mówił do towarzyszy:

– Dziś jest ucztą na cześć króla jegomości; jutro będzie na cześć ichmościów panów hetmanów koronnych i tak aż do końca oblężenia.

– Niech jeno król nadciągnie, skończy się to – odpowiedział Wołodyjowski – bo chociaż i nasz pan miłościwy lubi się także we wszelakim frasunku pocieszyć, ale przecie służba musi pójść pilniej, ile że każdy, a między innymi i pan Sapieha, będzie się starał gorliwość swoją okazać.

– Za dużo tego, za dużo! nie ma i gadania! – rzekł Jan Skrzetuski. – Czy wam to nie dziwno, że tak przezorny i pracowity wódz, tak cnotliwy człowiek, tak godny obywatel ma tę słabość?

– Niech jeno wieczór się uczyni, inny to zaraz człowiek i z wielkiego hetmana w hulakę się przemienia.

– A wiecie, czemu mi tak ucztą nie w smak? – ozwał się Kmicic. – Bo i Janusz Radziwiłł miał ten zwyczaj, że je co wieczora wyprawiał. Imainujcie sobie, że się tak jakoś dziwnie składało, że co ucztą, to się albo nieszczęście jakoweś trafiało, albo zła nowina spadała, albo się nowa hetmańska zdrada wykrywała. Nie wiem, czyli ślepy traf, czyli zrządzenie boskie, dość, że zło nigdy nie przechodziło kiedy indziej, jeno w czasie uczt. To mówię wam, że w końcu do tego doszło, że jak tylko do stołów nakrywali, to aż skóra na nas cierpła.

– Prawda, jak mi Bóg miły! – rzekł Charłamp. – Ale było to i z tego, że książę hetman zawsze tę porę do promulgowania swych praktyk z nieprzyjacielem ojczyzny wybierał.

– No! – ozwał się Zagłoba. – Przynajmniej ze strony poczciwego Sapia nie mamy się czego obawiać. Jeśli on kiedy zdradzi, to ja tyle wart, co wichtarze u moich butów.

– O tym i nie ma mowy! Zacny to pan jako chleb bez zakalca! – zawołał Wołodyjowski.

– A co wieczorem zaniedba, to w dzień naprawi – dodał Charłamp.

– To już wreszcie chodźmy – rzekł Zagłoba – bo prawdę rzekłszy, *vacuum* w brzuchu czuję.



Wyszli, siedli na konie i pojechali, gdyż pan Sapieha stał w innej stronie za mistem i było dość daleko. Przybywszy przed hetmańską kwaterę znaleźli już mnóstwo koni na podwórku i ścisk trzymających je pachołków, dla których też stała kufa piwa na majdanie, a którzy jako zwykle, pijąc bez miary, zaczęli się już wadzić przy niej; uciszyli się jednak na widok nadjeżdżających rycerzy, zwłaszcza że pan Zagłoba począł okładać płazem tych, którzy mu na drodze stali, wołając stentorowym głosem:

– Do koni, hultaje! do koni! Nie was tu na ucztę proszono!

Pan Sapieha przyjął towarzyszków, jak zwykle, z otwartymi rękoma, a że był sobie już nieco podchmielił przepijając do gości, począł się zaraz z Zagłobą przekomarzać.

– Czołem, panie regimentarzu! – rzekł mu.

– Czołem, panie kiper – odparł Zagłoba.

– Kiedy mnie kiper zowiesz, to ci dam takiego wina, które jeszcze robi!

– Byle nie takiego, które z hetmana robi bibosza!

Niektórzy z gości słysząc to zlékli się, lecz pan Zagłoba, gdy widział hetmana w dobrym humorze, na wszystko sobie pozwalał, Sapieha zaś taką miał do niego słabość, iż nie tylko się nie gniewał, ale za boki się brał powołując przy tym na świadków obecnych, co to go od tego szlachcica spotyka.

Rozpoczęła się tedy uczta gwarna, wesola. Sam pan Sapieha przepijał raz po raz do gości, to wznosił toasty na cześć króla, hetmanów, wojsk obojga narodów, pana Czarnieckiego i całej Rzeczypospolitej. Ochota rosła, a z nią gwar i szum. Od toastów przyszło do pieśni. Izba zapełniła się oparem ze łąbów i wyziewami miodów i win. Zza okien nie mniejszy dochodził hałas, a nawet szczekanie żelaza. To czeladź poczęła się bić szablami. Wypadło na dwór kilku szlachty, by ład przywrócić, lecz większe tylko uczyniło się zamieszanie.

Nagle krzyk powstał tak wielki, że aż uczujący w izbie umilkli.

– Co to jest? – spytał któryś z pułkowników. – Pachołkowie nie mogą takiego wrzasku czynić!

– Cicho no, mości panowie! – rzekł nasłuchując zaniepokojony hetman.

– To nie zwykle okrzyki!

Nagle wszystkie okna zadrżały od huku dział i muszkietowej palby.

– Wycieczka! – krzyknął Wołodyjowski – nieprzyjaciel następuje!

– Do koni! do szabel!

Wszyscy zerwali się na równe nogi. Ciżba stała się przy drzwiach, następnie tłum oficerów wypadł na majdan nawołując na pachołków, by im podawali konie.

Lecz w zamęcie niełatwo było każdemu do swego trafić, tymczasem zza majdanu głosy trwożne poczęły wołać w ciemności:

– Nieprzyjaciel nastąpił! Pan Kotwicz w ogniu!

Ruszyli tedy wszyscy, co tchu w koniach, do swych chorągwi, skacząc przez płoty i łamiąc karki w ciemności. A tam już *larum* poczęło się w całym obozie. Nie wszystkie chorągwie miały konie pod ręką i te najpierwsze wszczęły zamieszanie. Tłumy żołnierstwa pieszego i konnego tłoczyły się na siebie wzajem, nie mogąc przyjść do sprawy, nie wiedząc, kto swój, kto nieprzyjaciel, krzycząc i hałasując wśród nocy ciemnej. Niektórzy poczęli już wołać, że to król szwedzki z całą armią następuje.

Tymczasem wycieczka szwedzka uderzyła istotnie z gwałtownym zapędem na Kotwiczowych ludzi. Na szczęście, sam, chorym nieco będąc, nie był na uczcie i dlatego mógł dać jaki taki odpór na razie, jednak niedługotrwały, bo napadnięto go przeważną liczbą i zasy-pywano ogniem muszkietowym, więc cofać się musiał.

Pierwszy Oskierko przybył mu w pomoc ze spieszoną dragonią. Na strzały poczęto odpowiadać strzałami. Lecz i dragonia Oskierkowa długo również nie mogła wytrzymać naporu i w mig, usławszy pole trupami, poczęła ściągać się z pola w tył coraz pospieszniej.

Dwa razy próbował Oskierko stanąć w sprawie i po dwakroć rozbito go tak, iż żołnierze jego kupkami jeno mogli się odstrzeliwać. Wreszcie rozsypali się zupełnie, a Szwedzi parli jak niepowstrzymany potok ku hetmańskiej kwaterze. Coraz nowe pułki wychodziły z miasta w pole; z piechurami szła jazda, wytaczano nawet działa polowe. Zanosiło się na walną bitwę i zdawało się, że nieprzyjaciel jej pragnie.

Tymczasem Wołodyjowski wypadłszy z kwatery hetmańskiej spotkał już w pół drogi swą chorągiew idącą na odgłos alarmu i wystrzałów, bo była zawsze w gotowości. Wiódł ja teraz Roch Kowalski, który również, jak pan Kotwicz, na uczcie nie był, ale z tego powodu, że go na nią nie zaproszono. Wołodyjowski kazał co do ducha zapalić parę szop, by pole oświetlić, i pomknął ku bitwie. Po drodze przyłączył się doń Kmicic ze swymi strasznymi wolentarzami i tą połową Tatarów, która na podjazd nie poszła. Obaj przybyli w samą porę, aby Kotwicza i Oskierkę od zupełnej klęski uratować.

Tymczasem szopy rozpały się już tak dobrze, że widno było jak w dzień. Przy tym blasku uderzyli laudańscy z pomocą Kmicica na pułk piechurów i wytrzymawszy ogień, wzięli ich na szable. Skoczyła swoim w pomoc rajtaria szwedzka i zwarła się z laudańskim potężnie. Przez jakiś czas przepierali się, zupełnie jak zapaśnicy, którzy, chwyciwszy się za bary, dobywają ostatnich sił i coraz to ten tego, to tamten owego przechylili; lecz tak gęsty trup jał lecieć u Szwedów, że wreszcie poczęli się mieszać. Kmicic rzucał się okropnie w gęstwie ze swymi zabijakami, pan Wołodyjowski pustkę, jako zwykle, przed sobą szerzył; obok niego pracowali krwawo dwaj olbrzymi Skrzetuscy i Charlamp, i Roch Kowalski; laudańscy siekli na wyścigi z Kmicicowymi zabijakami, jedni pokrzykując przeraźliwie, inni, jako na przykład Butrymowie, waląc kupą a w milczeniu.

Przełamanym Szwedom znów skoczyły na ratunek nowe pułki, a Wołodyjowskiego i Kmicica wsparł Wańkowicz, który blisko nich kwaterami stojąc, wkrótce po nich był gotów. Wreszcie przyprowadził pan hetman wszystko wojsko do sprawy i począł porządnie następować. Sroga bitwa zawrzała na całej linii od Mokotowa aż ku Wiśle.

Wtem Akbah-Ułan, który jeździł z podjazdem, pojawił się na spienionym koniu przed hetmanem.

– Effendi! – krzyknął – czambuł jazdy idzie od Babic ku miastu i wozy wiodą, chcą się za mury dostać!

Sapieha zrozumiał w jednej chwili, co znaczyła owa wycieczka w stronę Mokotowa. Oto nieprzyjaciel chciał odciągnąć wojska stojące na trakcie błońskim, aby owa posiłkowa jazda i wozy z żywnością mogły się dostać w obręb murów.

– Ruszaj do Wołodyjowskiego! – krzyknął na Akbah-Ułana – niech laudańska, Kmicic i Wańkowicz przebiegną im drogę, zaraz im pomoc wyślę!

Akbah-Ułan wspiął konia, za nim poleciał drugi i trzeci ordynans. Wszyscy dopadli Wołodyjowskiego i powtórzyli mu rozkaz hetmański.

Wołodyjowski zwrócił natychmiast chorągwie, Kmicic z Tatarami dognał go idąc na przelaj i pomknęli razem, a Wańkowicz za nimi.

Lecz przybyli za późno. Blisko dwieście wozów wjeżdżało już w bramę, idący zaś za nimi świetny oddział ciężkiej jazdy był już prawie cały w promieniu fortecznym. Tylko tylna straż złożona z około stu ludzi nie nadażyła jeszcze pod osłonę dział. Ale i ci szli całym pędem. Oficer jadący z tyłu przynaglał ich jeszcze krzykiem.

Kmicic, ujrawszy ich przy blasku płonących szop, wydał krzyk przeraźliwy i straszny, że aż konie spłoszyły się obok; poznał Bogusławową rajtarię, tę samą, która przejechała po nim i po jego Tatarach pod Janowem.

I niepomny na nic, rzucił się jak szalony ku nim, wyprzedził swoich własnych ludzi i wpadł pierwszy na oślep między szeregi. Szczęściem, dwaj młodzi Kiemlicze, Kosma i damian, siedzący na przednich koniach, wpadli tuż za nim. W tej chwili Wołodyjowski

przesunął się ukosem jak błyskawica i tym jednym ruchem odciął tylną straż od głównego oddziału.

Działa z murów poczęły grzmieć, lecz główny oddział poświęciwszy swych towarzyszków, wpadł co prędzej za wozami do twierdzy. Wówczas laudańscy i Kmicicowi opasali pierścieniem ową tylną straż i rozpoczęła się rzeźba bez miłosierdzia.

Lecz krótko trwała. Bogusławowi ludzie widząc, że nie masz znikąd ratunku, w mgnieniu oka pozeskakiwali z koni i rzucili broń pod nogi, krzycząc wniebogłosy, aby ich usłyszano w ciżbie i gwarze, że się poddają.

Nie zważali na to wolentarze ni Tatarzy i siekli dalej, lecz w tejże chwili rozległ się groźny a przeraźliwy głos Wołodyjowskiego, któremu chodziło o języka:

– Żywych brać! Gas! gas! żywych brać!

– Żywych brać! – zakrzyknął Kmicic.

Zgrzyt żelaza ustał. Rozkazano teraz troczyć jeńców Tatarom, którzy z właściwą sobie wprawą uczynili to w mgnieniu oka, po czym chorągwie cofnęły się spieszenie spod działowego ognia.

Pułkownicy skierowali się ku szopom. Laudańska szła naprzód, Wańkiewiczowi z tyłu, a Kmicic z jeńcami w pośrodku, wszyscy w zupełnej gotowości, aby napad, jeżeliby się zdarzył, odeprzeć. Jeńców prowadzili tatarzy na smyczach, inni powodowali zdobyczne konie. Kmicic, zbliżywszy się do szop, bacznie spoglądał w twarze jeńców, czy Bogusławowej między nimi nie zobaczy, bo choć mu już jeden z rajtarów pod sztychem zaprzysięgł, że księcia samego nie było w oddziale, jednak jeszcze myślał, że nuż umyślnie tają.

Wtem jakiś głos spod strzemiesienia tatarskiego zawołał nań:

– Panie Kmicic! panie pułkowniku! Ratuj znajomego! Każ mnie puścić ze sznura na parol.

– Hassling! – zakrzyknął Kmicic.

Hassling był to Szkot, niegdyś oficer rajtarii księcia wojewody wileńskiego, którego Kmicic znał w Kiejdanach i swego czasu bardzo lubił.

– Puść jeńca! – zakrzyknął na Tatara – i sam precz z konia!

Tatar skoczył z kulbaki, jakby go wiatr zmiótł, bo wiedział, jak niebezpiecznie marudzić, gdy „bagdyr” rozkazuje.

Hassling postępując wdrapał się na wysokie siedzenie ordyńca.

Wtem Kmicic chwycił go powyżej dłoni i gniotąc mu rękę tak, jakby chciał ją zgruchotać, począł pytać natarczywie:

– Skąd jedziecie? Wraz powiadaj, skąd jedziecie? Na Boga, spiesz się!

– Z Taurogów! – odparł oficer.

Kmicic pocisnął go jeszcze silniej.

– A... Billewiczówna... tam jest?

– Jest!

Pan Andrzej mówił coraz trudniej, bo coraz mocniej zaciskał zęby.

– I... co książę z nią uczynił?

– Nic nie wskórał.

Nastało milczenie, po chwili Kmicic zdjął rysy kołpaczek, pociągnął rękę po czole i ożwał się:

– Zacięto mnie w spotkaniu, krew mi idzie i zesłabłem...

## ROZDZIAŁ XII

Wycieczka szwedzka w części tylko dopieła celu, gdyż oddział Bogusławowy wszedł do miasta; natomiast sama nie dokazała wielkich rzeczy. Wprawdzie chorągiew pana Kotwicza i Oskierczyna dragonia silnie ucierpiały, lecz i Szwedzi gęstym trupem zasłali pole, a nawet jeden pułk piechoty, na który wpadł Wołodyjowski z Wańkowiczem, całkiem niemal został zniesiony. Chlubili się nawet Litwini, że większe straty zadali nieprzyjacielowi, niż sami ponieśli, jeden tylko pan Sapieha trafił się wewnętrznie, że nowa spotkała go „konfuzja”, od której sława jego wielce może ucierpieć. Przywiązani do niego pułkownicy pocieszali go, jak mogli, i prawdę rzekłszy, istotnie wyszła mu na pożytek ta nauka, albowiem odtąd nie bywało już uczt tak zapamiętałych, a jeśli zdarzała się jakowaś ochota, to właśnie w czasie niej rozwijano największą czujność. Złapali się Szwedzi zaraz nazajutrz, przypuszczając bowiem, że hetman nie będzie się spodziewał, aby w tak krótkim terminie powtórzyła się wycieczka, wyszli znów za mury, lecz z miejsca odbici, zostawili kilku poległych, wrócili nazad.

Tymczasem badano w kwaterze hetmańskiej Hasslinga, co niecierpliwiło tak pana Andrzeja, iż mało ze skóry nie wyskoczył, chciał bowiem jak najprędzej mieć go u siebie i rozgadać się z nim o Taurogach. Cały dzień więc krążył koło kwatery, co chwila wchodził do środka, słuchał zeznań i aż podnosił się na ławie, gdy w badaniach wspomiano imię Bogusława.

Zaś wieczorem odebrał rozkaz, aby na podjazd ruszył. Nie rzekł na to nic, zęby tylko zacisnął, bo się już był bardzo zmienił i nauczył się prywatę dla służby publicznej odkładać. Tatarów tylko srodze w czasie podjazdu gnębił i o lada co gniewem wybuchając, buzdyganem tak walił, że aż kości trzeszczały. A ci mówili między sobą, że „bagadyr” się wściekł, i szli cicho jak trusie, w oczy tylko groźnemu przywódcy patrząc i myśli w lot zgadując.

Wróciwszy zastał już Hasslinga u siebie, a tak chorego, że mówić nie mógł, bo przecie biorąc go w niewolę, poturbowano go srodze, tak iż teraz, po całym dniu badań w dodatku, miał gorączkę i pytań nawet nie rozumiał. Musiał się więc Kmicic kontentować tym, co mu pan Zagłoba o Hasslingowych zeznaniach powiadał; ale to tyczyło spraw publicznych, nie prywatnych. O Bogusławie zeznał młody oficer tylko tyle, że po powrocie z wyprawy na Podlasie i po klęsce janowskiej chorzał srodze. Z cholery i melancholii w malignę wpadał, a przyszedłszy nieco do zdrowia, zaraz z wojskiem na Pomorze wyruszył, dotąd go Szeinbok i elektor jak najpilniej wzywali.

– A teraz, gdzie on jest? – pytał Kmicic.

– Wedle tego, co Hassling powiada, a nie miał potrzeby łąać, teraz z bratem królewskim i Duglasem stoją w warownym obozie u Narwi i Buga, gdzie Bogusław całą jazdą dowodzi – odrzekł Zagłoba.

– Ha! I myślą tu na odsiecz przyjść. To się spotkamy, jako Bóg na niebie, choćbym miał w przebraniu do niego pójść!

– Nie choleryzuj waść na próżno! Do Warszawy oni by na odsiecz radzi, ale nie mogą, bo im się pan Czarniecki położył na drodze, i ot, co się dzieje: on, nie mając piechot ni

dział, nie może na obóz uderzyć, oni zaś boją się do niego wyjść, bo przekonali się, że w gołym polu ich żołnierz czarniecczykom nie wytrzyma. Wiedzą też, że i rzeka nie pomoże się zastawiać. Ba, żeby tam sam król był, to by dał pole, bo pod jego komendą i żołnierz lepiej się bije dufając, że to wojownik wielki, ale Douglas ani brat królewski, ani księżę Bogusław, chociaż to wszyscy trzej rezoluci, przecie się nie odważą!

– A gdzie król?

– Poszedł do Prus. Król nie wierzy, żebyśmy się już na Warszawę i Wittenberga porwać mieli. Zresztą, wierzy czy nie wierzy, musiał tam iść z dwóch powodów: raz, żeby elektora ostatecznie spraktykować, choćby za cenę całej Wielkopolski, a po wtóre: że to wojsko, które z saku wyprowadził, póki nie wypocznie, to na nic. Trudy i niewywczasy a ciągle alarmy tak ich zjadły, iż już żołnierze muszkietów w rękę utrzymać nie mogą, a przecie najwybrańcze to pułki z całej armii, które po wszystkich niemieckich i duńskich krainach znamienite wiktorie odnosiły.

Dalszą rozmowę przerwało wejście Wołodyjowskiego.

– Jak się ma Hassling? – spytał zaraz u progu.

– Chory, i trzy po trzy imaginuje! – odparł Kmicic.

– A ty czego, Michałku, od Hasslinga chcesz? – ozwał się Zagłoba.

– Niby to waćpan nie wiesz?

– Jaż bym nie miał wiedzieć, że ci o ową wiśnię chodzi, którą księżę Bogusław w swoim ogródku zasadził. Gorliwy to ogrodnik, nie bój się! Nie potrzeba mu i roku, żeby się owoców doczekał.

– Bodaj waści zabito za taka pociechę! – krzyknął mały rycerz.

– Patrzcie go: powiedzieć mu najniewinniejszy *iocus*, to zaraz wąsikami rusza jak wściekły chrabąszcz! Com ci winien? Na Bogusławie szukaj pomsty, nie na mnie!

– Da Bóg, poszukam i znajdę!

– Dopiero co to samo Babinicz powiadał! Niedługo, widzę, całe wojsko się na niego sprzysięże; ale strzeże on się dobrze i bez moich fortelów nie dacie sobie rady!

Tu obaj młodzi zerwali się na równe nogi.

– Maszże waść jaki fortel?

– A wy myślicie, że fortel tak łatwo z głowy wyjąć jak szablę z pochwy? Gdyby Bogusław był tuż, pewno bym znalazł niejednego, ale na tę odległość nie tylko fortel, ale i armata nie doniesie. Panie Andrzeju, każ mi dać kubek miodu, bo dziś gorąco.

– Dam i kufę, byleś waćpan co wymyślił!

– Naprzód, czego wy nad tym Hasslingiem jak kat nad dobrą duszą stoicie. Nie jego jednego wzięto w niewolę, możecie się innych wypytać.

– Jużem ci ja tamtych brał na pytki, ale to gemajny; nie wiedzą nic, a on, jako oficer, był przy dworze – odrzekł Kmicic.

– To i racja! – odpowiedział Zagłoba. – Ja też muszę się z nim rozgadać; od tego, co mi powie o osobie i obyczajach księcia, mogą i fortele zależeć. Teraz grunt, żeby się to oblężenie prędko skończyło, bo potem pewno przeciw tamtej armii ruszymy. Ale coś naszego pana miłościwego i hetmanów długo nie widać!

– Jakże? – odrzekł mały rycerz. – W tej chwili wracam od hetmana, który dopiero co odebrał wiadomość, że król jegomość jeszcze dziś wieczorem z przybocznymi chorąg-wiami tu stanie, a hetmani z komputem jutro nadciągną. Od samego Sokala szli, mało co wypoczywając, wielkie pochody czyniąc. Przecie zresztą już od paru dni wiadomo, że tylko co ich nie widać.

– A wojska siła ze sobą prowadzą?

– Blisko pięć razy tyle, co przy panu Sapieżu, piechoty ruskie i węgierskie, bardzo przednie; idzie i sześć tysięcy ordy pod Subaghazim, ale podobno nie można ich na dzień spod ręki puścić, bo bardzo swawolą i krzywdy naokoło czynią.

– Pana Andrzeja by im na przywódcę dać! – rzekł Zagłoba.

– Ba! – odparł Kmicic. – Zaraz bym ich spod Warszawy wyprowadził, bo oni w oblężeniu na nic, i powiódłbym ich do Buga i Narwi.

– Na nic, nie na nic – odrzekł Wołodyjowski – gdyż nikt lepiej nie upilnuje, aby żywność do fortecy nie przychodziła.

– No, będzie Wittenbergowi ciepło! Postój, stary złodzieju! – zawołał Zagłoba. – Wojowałeś dobrze, tego ci nie neguję, ale kradłeś i łupiłeś jeszcze lepiej; dwie gęby miałeś; jedną do fałszywych przysiąg, drugą do łamania obietnic, ale teraz dwoma się nie wyprosisz. Swędzi cię od gallickiej choroby skóra i medykowie ci ją drapią, czekaj, my cię lepiej podrapujemy, Zagłoby w tym głowa!

– Ba! Zda się na kondycję królowi i co mu kto uczyni? – odrzekł pan Michał. – Jeszcze mu honory wojskowe będziemy musieli oddawać!

– Zda się na kondycję? tak! – zakrzyknął Zagłoba. – Dobrze!

Tu zaczął pięścią w stół walić tak silnie, że aż Roch Kowalski, który w tej chwili wszedł do izby, zląkł się i stanął, jako wryty, w progu.

– Niech Żydom za parobka służyć! – krzyczał dalej stary – jeżeli ja tego bluźnicziela przeciw wierze, tego zdziercę kościołów, tego ciemieżcę panienek, tego kata mężą i niewiasty, tego podpalacza, tego szelmę, tego felczera od puszczenia krwi i pieniędzy, tego mieszkogryza, tego skórołupa wolno z Warszawy wypuszczę! Dobrze! Król go na kondycję wypuści, hetmani na kondycję wypuszczą, ale ja, jakom katolik, jakom Zagłoba, jako szczęścia za życia, a Boga przy śmierci pragnę, taki tumult przeciw niemu uczynię, o jakim nikt jeszcze w tej Rzeczypospolitej nie słyszał! Nie machaj ręką, panie Michale! Tumult uczynię! powtarzam! tumult uczynię!

– Wuj tumult uczynił! – zagrzemiał Roch Kowalski.

Wtem Akbah-Ułan wsadził swą zwierzęcą twarz przeze drzwi.

– Effendi! – rzekł do Kmicica – wojska królewskie za Wisłą widać!

Porwali się na to wszyscy na równe nogi i wypadli przed się.

Król istotnie przybył. Najpierw przyciągnęły tatarskie chorągwie pod Subaghazim, ale nie w tej liczbie, w jakiej ich się spodziewano. Za nimi nadeszło wojsko koronne, mnogie i dobrze uzbrojone, a przede wszystkim pełne zapału. Do wieczora cała armia przeszła po świeżo zbudowanym przez pana Oskierke moście. Sapieha czekał na króla z uszykowanymi jak do bitwy chorągwiami stojącymi wzdłuż, jedna podle drugiej, na kształt niezmiernego muru, którego końca okiem trudno było dosięgnąć. Rotmistrze stali przed pułkami, przy nich chorągwie, każdy z rozpuszczonym znakiem; trąby, kotły, krzywuły, bębny i litaury czyniły zgiełk nieopisany. Koronne chorągwie, w miarę jak która przeszła, stawały również naprzeciw litewskich w ordynku; między jednym a drugim wojskiem zostało na sto kroków puste miejsce.

Sapieha trzymając buławę w rękę wyszedł piechotą na ów pusty majdan, za nim szło kilkunastu przedniejszych wojskowych i cywilnych dygnitarzy. Z drugiej strony, od wojsk koronnych, podjechał król konno na wspaniałym fryzie podarowanym mu jeszcze w Lubowli przez pana marszałka Lubomirskiego, przybrany jak do bitwy w błękitny lekki pancerz ze złotymi rzutami, spod którego widać było czarny aksamitny kaftan, z wyłożoną aż na pancerz koronkową kryzą; tylko zamiast hełmu miał na głowie zwykły szwedzki kapelusz z czarnymi piórami, natomiast rękawice bojowe i na nogach długie, chrabąszczowego koloru buty, aż wysoko za kolana zachodzące.

Za nim jechał nuncjusz, ksiądz arcybiskup lwowski, ksiądz biskup kamieniecki, ksiądz nominat łucki, ksiądz Cieciszowski, pan wojewoda krakowski, pan wojewoda ruski, baron

Lisola, hrabia Pottingen, pan kasztelan kamieniecki, poseł moskiewski, pan Grodzicki, generał artylerii, Tyzenhauz i wielu innych. Posunął się Sapieha, jak ongi marszałek koronny, do strzemięcia pańskiego, lecz król nie czekając zeskoczył lekko z kulbaki, podbiegł ku Sapieże i nie rzekłszy ani słowa, chwycił go w objęcia.

I chwyciwszy, trzymał długo, na oczach obu wojsk; milczał ciągle, jeno łzy płynęły mu ciurkiem po twarzy, bo oto przyciskał do piersi najwierniejszego sługę swego i ojczyzny, który choć geniuszem nie dorównywał innym, który choć czasem pobłądził, przecie poczciwością wystrzeżił nad wszystkie panięta tej Rzeczypospolitej, w wierności nigdy się nie zawahał, poświęcił bez chwili namysłu całą fortunę i od początku wojny piersi za swego monarchę i swój kraj nadstawiał.

Litwini, którzy sobie poprzednio szeptali, że za wypuszczenia Karola spod Sandomierza i za ostatnia warszawską nieostrożność może i spotkają pana Sapieżę wymówki, a co najmniej zimne przyjęcie, widząc ową dobroć królewską, uczynili na część dobrego pana huk tak srogi, że echo niebiosów dosięgło. Odpowiedziały im zaraz jednym grzmotem wojska królewskie i przez czas jakiś nad wrzawą kapeli, nad warczeniem bębnow, nad łoskotem strzałów słyszeć było tylko okrzyki:

– *Vivat Joannes Casimirus!*

– *Vivant* koroniarze!

– *Vivant* Litwini!

Tak to oni witali się pod Warszawą. Drżały mury, a za murami Szwedzi.

– Ryknę! jak mi Bóg miły, ryknę! – wołał rozczulony Zagłoba – nie wytrzymam! Oto pan nasz! ojciec! (mości panowie! już szlocham!) ojciec!... nasz król, niedawno tułacz od wszystkich opuszczon, a teraz... a teraz... toż tu sto tysięcy szabel na zawołanie!... O Boże miłosierny!... Nie mogę od łez... Wczoraj był tułaczem, dziś... cesarz niemiecki nie ma wojsk tak zacnych!

Tu otwarły się śluzi w oczach pana Zagłoby i począł chlupać raz po raz, nagle zwrócił się do Rocha:

– Cicho bądź! czego buczysz!

– A wuj to nie buczy? – odparł Roch.

– Prawda, jak mi Bóg miły, prawda!... Wstydzilem się, mości panowie, za tę Rzeczpospolitą... Ale teraz już bym się z żadną inną nacją nie pomieniał!... Sto tysięcy szabel, jak gołębiowi z gardła!... Niech to inni pokażą!... Bóg dał opamiętanie, Bóg dał! Bóg dał!...

Pan Zagłoba nie pomylił się o wiele, bo istotnie stanęło pod Warszawą blisko siedmziesiąt tysięcy ludzi, nie licząc dywizji pana Czarnieckiego, która jeszcze nie nadeszła, i nie licząc orężnej czeladzi obozowej, która w potrzebie stawała do sprawy, a której ómy nieprzejrzane wlokły się za każdym obozem.

Po przywitaniu się i pobieżnej lustracji wojska król podziękował Sapieżyńskim, wśród ogólnego zapału, za wierne służby i odjechał do Ujazdowa, wojska zaś stawały na pozycjach, które im wyznaczono. Niektóre chorągwie pozostały na Pradze, inne rozrzuciły się naokół miasta. Olbrzymi tabor wozów przeprowiał się jeszcze do drugiego południa przez Wisłę.

Nazajutrz okolice miasta zabieliły się tak namiotami, jakoby je śniegi pokryły. Nieprzeliczone stada koni rżały na przyległych błoniach. Za wojskiem ciągnęli kupcy ormiańscy, żydowscy i tatarscy; drugie miasto, większe i gwarniejsze od obleganego, wyrosło na równinie.

Szwedzi, przerażeni pierwszych dni potęgą króla polskiego, nie czynili żadnych wycieczek, tak że pan Grodzicki, generał artylerii, mógł spokojnie objeżdżać miasto i plan oblężenia układać.

Na drugi zaraz dzień czeladź poczęła tu i owdzie wznosić, wedle jego konceptu, szańce; zaciągano na nie tymczasem mniejsze działa, większe bowiem miały dopiero za parę tygodni nadszyc.

Król Jan Kazimierz posłał do starego Wittenberga wzywając go do poddania miasta, do złożenia broni, i dając warunki łaskawe, które gdy o nich dowiedziano się, wzbudziły nieukontentowanie w wojsku. Szerzył owo nieukontentowanie głównie pan Zagłoba, który miał szczególna do pomienionego generała nienawiść.

Wittenberg, jak łatwo było przewidzieć, odrzucił warunki i postanowił bronić się do ostatniej kropli krwi, i raczej zagrzebać się w gruzach miasta niż wydać je w ręce królewskie. Wielość oblegających wojsk nie przestraszała go wcale, wiedział bowiem, że zbyt mała liczba jest raczej zawadą niżeli pomocą w oblężeniu. Wcześniej też doniesiono mu, że w obozie królewskim nie masz ani jednego oblężniczego działa, podczas gdy Szwedzi mieli ich aż nadto dosyć, nie licząc niewyczerpanych zasobów amunicji.

Jakoż było do przewidzenia, że będą bronili się zapamiętali. Warszawa bowiem służyła im dotychczas za skład zdobyczy. Wszyscy niezmiernie skarby, złupione po zamkach, kościołach, klasztorach i miastach w całej Rzeczypospolitej, przychodziły do stolicy, skąd wyprawiano je partiami wodą do Prus i dalej do Szwecji. W chwili zaś obecnej, gdy kraj cały podniósł się i zamki bronione przez mniejsze szwedzkie załogi nie zapewniały bezpieczeństwa, tym bardziej nazwożono zdobyczy do Warszawy. Szwedki zaś żołnierz chętniej poświęcał życie niż zdobycz. Ubogi lud, dobrawszy się do skarbów bogatej krainy, rozłakomił się tak dalece, że świat nie widział łapczywszych drapieżników. Sam król rozstawił się chciwością, generałowie szli za jego przykładem, a wszystkich przewyższał Wittenberg. Gdy o zysk chodziło, nie powstrzymywał oficerów ani honor kawalerski, ani wzgląd na powagę stopnia. Brali, wyciskali, łupili wszystko, co się wzięść dało. W samej Warszawie pułkownicy wysokiej szarży i szlachetnego urodzenia nie wstydzili się sprzedawać gorzałkę i tabakę własnym żołnierzom, byle tylko napchać kieszenie ich żołdem.

Do zaciekłości w obronie mogło podniecać Szwedów i to, że najcelniejsi ich ludzie byli naówczas w Warszawie zamknięci. Więc naprzód sam Wittenberg, drugi główny po Karolu dowódca, a pierwszy, który wstąpił w granice Rzeczypospolitej i do upadku ją pod Ujściem przywiódł. Miał on za to przygotowany w Szwecji tryumf, jako zdobywca. Prócz niego, był w mieście kanclerz Oxenstierna, statysta na cały świat sławny, dla uczciwości swej nawet przez nieprzyjaciół szanowany. Nazwano go Minerwą królewską, gdyż jego to radom zawdzięczał Karol wszystkie swe przy układach zwycięstwa. Byli także generałowie: Wrangel młodszy, Horn, Erskin, drugi Loewenhaupt, i mnóstwo dam szwedzkich wielkiego urodzenia, które za mężami swymi do tego kraju jako do nowej posiadłości szwedzkiej przyjechały.

Mieli więc Szwedzi czego bronić. Rozumiał też król Jan Kazimierz, że oblężenie, zwłaszcza przy braku ciężkich dział, będzie długie i krwawe; rozumieli i hetmani, ale nie chciało myśleć o tym wojsko. Ledwie pan Grodzicki szańce jakie takie wysypał, ledwie do murów nieco się przysunął, już poszły deputacje do króla od wszystkich chorągwi, by ochotnikom do szturmowania iść pozwolono. Długo musiał tłumaczyć król, że szablami nie zdobywa się fortec, nim zapał pohamował.

Tymczasem posuwano, o ile możliwości, roboty. Wojsko, nie mogąc iść do szturmowania, wzięło w nich obok ciurów udział gorliwy. Towarzysze spod najprzedniejszych znaków, ba! nawet oficerowie sami, wozili taczkami ziemię, znosili faszynę, pracowali przy podkopach ziemnych. Nieraz Szwedzi próbowali przeszkadzać robotom i dzień jeden nie upływał bez wycieczek, lecz ledwie muszkietierowie szwedzcy zdołali przejść bramę, pracujący przy szańcach Polacy porzucali taczki, pęki chrustu, łopaty, oskardy i biegli z szablami w dym tak zaciekle, iż wycieczka z największym pośpiechem musiała się chronić



do twierdzy. Trup padał przy owych starciach gęsto, fosy i majdany aż do szańców zjeżyły się mogiłami, w które chowano podczas krótkich zawiesznień broni poległych. Wreszcie i czasu nie stało na grzebanie, leżały więc ciała na wierzchu, owiewając straszliwym zaduchem miasto i oblegających.

Mimo największych trudności co dzień przekradali się do obozu królewskiego mieszczenie donosząc, co się w mieście dzieje, i na kolanach zebrząc o przyspieszenie szturm. Szwedzi bowiem mieli jeszcze dosyć żywności, ale lud umierał z głodu po ulicach, żył w nędzy, w ucisku, pod straszliwą ręką załogi. Codziennie echa donosiły aż do obozu królewskiego odgłosy strzałów muszkietowych w mieście i dopiero zbiegowie donosili, że to rozstrzeliwano mieszczan podejrzanych o życzliwość swemu królowi. Włosy powstawały od opowiadań zbiegów. Mówili, że cała ludność, chore niewiasty, nowo narodzone dzieci, starcy, wszyscy nocują na ulicach, bo Szwedzi powyganiali ich z domów, w których poprzebijano od muru do muru przejścia, by załoga, w razie wkroczenia wojsk królewskich do miasta, chronić się i cofać mogła. Na koczowniczą ludność padały deszcze, w dzień pogodne paliło się słońce, nocami szczypały chłody. Ognia nie wolno było mieszkańcom palić, nie mieli przy czym łyżki ciepłej stawy uwarzyć. Różne choroby szerzyły się coraz bardziej i zabierały setki ofiar.

Królowi, gdy słuchał tych opowiadań, pękało serce, więc słał gońców za gońcami, by przyście ciężkich dział przyspieszyć. Zaś czas płynął, upływały dni, tygodnie i prócz odbijania wycieczek nie można było nic ważniejszego przedsięwziąć. Krzepiła tylko oblegających myśl, że i załozde musi w końcu zabraknąć żywności, gdyż drogi były tak poprzecinane, że i mysz nie zdołałaby się dostać do fortecy. Tracili też oblężeni z każdym dniem nadzieję odsieczy; owa armia pod Duglasem, stojąca najbliżej, nie tylko nie mogła pospieszyć z ratunkiem, ale o własnej musiała myśleć skórze, król bowiem Kazimierz, mając aż nadto sił, zdołał i tamtych przyciszyć.

Poczęto wreszcie, jeszcze przed przyściem ciężkich kartaunów, ostrzeliwać fortecę z mniejszych. Pan Grodzicki od strony Wisły, sypiąc przed sobą jak kret ziemne zasłony, przysunął się o sześć kroków do fosy i zionął nieustannym ogniem na nieszczęsne miasto. Przepyszny pałac Kazanowskich został zrujnowany i nie żałowano go, bo do zdrajcy Radziejowskiego należał. Ledwie trzymały się jeszcze porozszczepiane mury, świecące pustymi oknami; na wspaniałe tarasy i sady padały dzień i noc kule, burząc cudne fontanny, mostki, altany, marmurowe posągi i płosząc pawie, które żalosnym wrzaskiem dawały znać o swym nieszczęsnym położeniu.

Pan Grodzki sypał ogień na dzwonicę bernardyńską i na Bramę Krakowską, z tej strony bowiem postanowił do szturm przystąpić.

Tymczasem ciurowie obozowi poczęli się prosić, aby im wolno było uderzyć na miasto, bardzo bowiem pragnęli pierwsi do skarbów szwedzkich się dostać. Król raz odmówił, lecz wreszcie pozwolił. Kilku znacznych oficerów podjęło się stanąć na czele, a między innymi i Kmicic, któremu nie tylko sprzykrzyła się beczynność, ale w ogóle rady sobie dać nie mógł z tej przyczyny, że Hassling, zapadłszy w ciężką chorobę, od kilku tygodni leżał bez duszy i o niczym mówić nie mógł.

Skrzyknięto się zatem na szturm. Pan Grodzicki sprzeciwiał mu się do ostatniej chwili, twierdząc, że póki wyłom nie zrobiony, miasto nie może być wzięte, choćby nie tylko ciurowie, ale sama regularna piechota poszła do ataku. Lecz ponieważ król dał już poprzednio pozwolenie, musiał ustąpić.

Dnia 15 czerwca zebrało się około sześciu tysięcy obozowej czeladzi, przygotowano drabiny, pęki chrustu, wory z piaskiem, bosaki, i pod wieczór tłum, zbrojny po większej części tylko w szable, począł ściągać się w miejsce, gdzie podkopy i ziemne osłony przymykały najbliżej do fosy. Gdy się już ściemniło zupełnie, na dany znak ruszyli pacholikowie z wrzaskiem okropnym ku fosie i poczęli ją zasypywać. Czujni Szwedzi przyjęli ich

morderczym ogniem z muszkietów, dział i bitwa zaciekle zawrzała na całej wschodniej stronie miasta. Ciurowie pod zasłoną ciemności zarzucili w mgnieniu oka fosę i kupą bezładną dotarli aż do murów. Pan Kmicic uderzył we dwa tysiące na ziemny fort, który Polacy zwali „kretowiskiem”, stojący w pobliżu Bramy Krakowskiej, i mimo rozpaczliwej obrony zdobył go jednym zamachem. Załogę rozniesiono na szablach, nikogo nie żywiąc. Działa rozkazał zwrócić pan Andrzej ku Bramie, częścią zaś ku dalszym murom, aby przyjść z pomocą i osłonić nieco te kupy, które usiłowały się na nie wdrapać.

Tym zaś nie poszczęściło się w równym stopniu. Pachołkowie przystawiali drabiny i darli się na nie tak zapamiętale, że najbardziej ćwiczona piechota nie potrafiłaby lepiej, lecz Szwedzi, sami zabezpieczeni blankami, sypali im ogień w same twarze, spychali przygotowane kamienie i kłody, pod których ciężarem łamały się w drobne drzazgi drabiny, wreszcie piechota spychała szturmujących z pomocą długich dzid, przeciw którym szable nie mogły nic wskórać.

Przeszło pięciuset co najdzielniejszej czeladzi legło pod murem; reszta, pod nieustającym ogniem, schroniła się na powrót przez fosę do polskich przykopów.

Szturm był odparty, ale ów forcik pozostał w ręku polskim. Prózno Szwedzi walili doń przez całą noc z najcięższych kartaunów; Kmicic odpowiadał im również przez całą noc z tych dział, które zdobył. Dopiero nad ranem, gdy uczyniło się widno, rozbito mu je co do jednego. Wittenberg, któremu o ów szaniec jak o głowę chodziło, wysłał wówczas piechotę z rozkazem, by nie ważyła się wracać nie odzyskawszy straty, lecz pan Grodzicki w tejże chwili posłał Kmicicowi posiłki, z pomocą których ten nie tylko odparł piechotę, lecz wypadł za nią i gnał aż do Krakowskiej Bramy.

Pan Grodzicki tak był uradowany, że osobiście pobiegł do króla z relacją.

– Miłościwy panie! – rzekł. – Byłem przeciwny wczorajszej robocie, ale teraz widzę, że nie stracona! Póki ten szaniec był w ich ręku, póty nie mogłem nic wskórać przeciw Bramie, a teraz niech jeno działa ciężkie nadejdą, w jedną noc wyłom uczynię.

Król, który był frasobliwy, że tylu dobrych pachołków pobito, uradował się słowami pana Grodzickiego i zaraz spytał:

– A kto tam w owym szańcu ma komendę?

– Pan Babinicz! – odpowiedziało kilka głosów.

Król w ręce klasnął.

– Ten wszędy musi być pierwszy! Mości jenerale, znam ja go! Okrutnie to zacięty kawaler, i nie da się wykurzyć!

– Wina by to była nie do odpuszczenia, miłościwy panie – odrzekł Grodzicki – gdybyśmy na to pozwolili. Jużem mu tam piechoty posłał i działek, bo że go będą wykurzać, to będą! O Warszawę chodź! tyle ten kawaler złota wart, ile sam waży!

– Więcej wart! bo to nie pierwszy i nie dziesiąty jego postępek! – odrzekł król.

Po czym kazał sobie podać co do ducha konia, lunetę i pojechać patrzeć na szaniec. Lecz zza dymów wcale nie było go widać, bo kilkanaście kartaunów ziało nań ogniem nieustannym, rzucano weń faskule, granaty, blachy napełnione kartaczami. A przecie szaniec ów leżał tak niedaleko Bramy, że nieledwie i strzały muszkietowe donosiły; toteż granaty widać było doskonale, jak wylatywały na kształt obłoczków w górę i opisując łuk bardzo zgięty wpadały w ową chmurę dymu, roztrzaskując się w niej z hukiem okropnym. Wiele padało aż za szaniec i te tamowały przystęp posiłkom.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! – rzekł król. – Tyzenhauz! patrz!

– Nic nie widać, miłościwy królu!

– Kupa ziemi porytej jeno zostanie! Nie może inaczej być! Tyzenhauz, wiesz, kto tam siedzi?

– Wiem, miłościwy królu, Babinicz! Jeśli żyw wyjdzie, będzie mógł powiedzieć, że za życia był w piekle.

– Trzeba mu tam jeszcze świeżych ludzi podesłać! Mości jenerale!...

– Już rozkazy wydane, ale trudno im dojść, bo granaty przenoszą i okrutnie gęsto z tej strony fortu padają.

– Ze wszystkich dział do murów mi bić, żeby dywersję uczynić!

Grodzicki ścisnął konia ostrogami i skoczył ku szańcom. Po chwili ozwały się działa na całej linii, a nieco później widać było, jak świeży oddział piechoty mazurskiej wyszedł z przykopów i kopnął się biegiem ku kretowisku.

Król wciąż stał i patrzył. Na koniec zakrzyknął:

– Godzi się Babinicza zluzować w komendzie. A kto, mości panowie, zechce go na ochotnika zastąpić?

Skrzetuskich ni Wołodyjowskiego nie było w tej chwili przy osobie pana, więc nastąpiła chwila milczenia.

– Ja! – ozwał się nagle pan Topór Grylewski, towarzysz lekkiego znaku imienia pry-masa.

– Ja! – powtórzył Tyzenhauz.

– Ja! ja! ja! – ozwało się zaraz kilkanaście głosów.

– Kto pierwszy się ofiarował, niech ten idzie! – rzekł król.

Pan Topór Grylewski przeżegnał się, następnie przechylił do ust manierkę i skoczył.

Król stał i patrzył ciągle w chmurę dymów, którymi przykryte było kretowisko, a które ciągnęły się wyżej nad nim, na kształt mostu, aż do samych murów. Ponieważ fort leżał bliżej Wisły, więc mury miejskie górowały nad nim, i dlatego ogień był tak straszliwy.

Tymczasem huk dział zmniejszył się nieco, choć granaty nie ustawały opisywać łuków, natomiast grzechot strzałów muszkietowych rozległ się tak, jakby tysiące chłopów biło cepami w klepisko.

– Widać, znów idą do ataku – rzekł Tyzenhauz. – Gdyby mniej było dymów, widzielibyśmy piechotę.

– Podjedźmy nieco – rzekł król ruszając koniem.

Za nim ruszyli inni i jadąc brzegiem Wisły od Ujazdowa, podjechali prawie do samego Solca, a ponieważ sady pałaców i klasztorów, schodzących ku Wiśle, były jeszcze w zimie przez Szwedów na opał wycięte i drzewa nie zasłaniały widoku, mogli więc przekonać się i bez lunet, że Szwedzi istotnie znów ruszyli do szturm.

– Wolalbym tę pozycję stracić – ozwał się nagle król – niż żeby Babinicz miał zginąć!

– Bóg go obroni! – rzekł ksiądz Cieciszowski.

– I pan Grodzicki nie omieszka posiłków posłać! – dodał Tyzenhauz.

Dalszą rozmowę przerwał jakiś jeździec, który zbliżał się całym pędem od strony miasta. Tyzenhauz mając wzrok tak bystry, że gołym okiem lepiej widział niż inni przez perspektywę, porwał się na jego widok za głowę i krzyknął:

– Grylewski wraca! Babinicz musiał polec i fort zdobyto!

Król przysłonił oczy rękoma, tymczasem Grylewski przyskoczył, osadził konia na miejscu i łapiąc powietrze ustami, zawołał:

– Miłościwy panie!

– Co tam? zabit? – spytał król.

– Pan Babinicz powiada, że mu tam dobrze i nie chce zastępcy, prosi tylko, by mu jeść przysłać, bo od rana nic w gębie nie mieli!

– Żyje zatem? – krzyknął król.

– Powiada, że mu dobrze! – powtórzył pan Grylewski.

Inni zaś, ochłonawszy ze zdumienia, poczęli wołać:

– To fantazja kawalerska!

– To żołnierz!

Później zaś do pana Grylewskiego:

– A już trzeba było zostać i koniecznie go zlizować. Nie wstyd to wracać? Tchórz waści obleciał czy co? Lepiej się było nie podejmować!

Na to pan Grylewski:

– Miłościwy panie! Kto mi tchórze zadaje, temu się sprawię na każdym polu, ale przed majestatem muszę się usprawiedliwić. Byłem w samym kretowisku, czego by może nie-jeden z ichmościów nie dokazał, ale ów Babinicz jeszcze mi do oczu za moją intencję skoczył. „Idź waść (powiada) do kaduka! Ja tu pracuję, ledwo (powiada) ze skóry nie wylezę, i na gawędy nie mam czasu, a ni sławą, ni komendą dzielić się z nikim nie chcę. Dobrze mi tu (powiada) i ostanę, a waści za okop każe wyprowadzić! Bodaj cię zabito! (powiada). Żreć nam się chce, a tu mi komendanta, nie strawę przysyłają!” Com miał robić, miłościwy panie! Nawet się i humorowi jego nie dziwuję, bo tam im ręce od roboty opadają!

– A jakże? – spytał król – utrzyma on się tam?

– Taki straceniec! Gdzie on się nie utrzyma! Tegom jeszcze zapomniał powiedzieć, co mi na odchodnym krzyknął: „Będę tu i tydzień siedział i nie dam się, byłem miał co jeść!”

– Możnaże tam wysiedzieć?

– Tam, miłościwy królu, istny dzień sądu! Grant pada za granatem, czerepy jako diabły koło uszu świszczą, ziemia w doły powybijana, od dymu mówić nie można! Piaskiem i darnią tak kule rzucają, że co chwila trzeba się otrząsać, żeby nie przysypało. Siła ich poległo, ale ci, co żywi, w bruzdach na okopie leżą i płotki sobie przed głowami z kołków porobili, ziemię je umocniwszy. Bardzo starownie Szwedzi ten nasyp uczynili, a teraz przeciw nim służy. Przy mnie jeszcze przyszły piechoty pana Grodzickiego i teraz biją się tam na nowo.

– Skoro na mury nie można, póki wyłomu nie ma – rzekł król – to na pałace na Krakowskim dziś jeszcze uderzymy; to będzie najlepsza dywersja.

– Okrutnie i pałace umocnione, prawie w fortece pozmieniane – zauważył Tyzenhauz.

– Ale im z pomocą z miasta nie pospieszą, bo całą zawziętość na Babinicza obracają – odrzekł król. – Tak będzie, jakom tu żyw, tak będzie! I zaraz szturm nakażę, jeno jeszcze Babinicza przeżegnam.

To rzekłszy, król wziął z ręki księdza Cieciszowskiego złocisty krucyfiks, w którym drzazgi krzyża świętego były osadzone, i podniósłszy go do góry, począł żegnać daleki nasyp, okryty ogniem i dymami, mówiąc:

– Boże Abrahamów, Boże Izaaków i Jakubów, zmiłuj się nad ludem Twoim i daj ratunek tym ginącym! Amen! amen! amen!

## ROZDZIAŁ XIII

Nastąpił krwawy szturm od strony Nowego Światu ku Krakowskiemu Przedmieściu, niezbyt szczęśliwy, ale o tyle skuteczny, że odwrócił uwagę Szwedów od szanca bronionego przez Kmicica i pozwolił zawartej w nim załodze nieco odetchnąć. Posunęli się jednak Polacy aż do pałacu Kazimierowskiego, lubo nie mogli utrzymać owego punktu.

Z drugiej strony szturmowano do pałacu Daniłowiczowskiego i do Gdańskiego domu również bezskutecznie. Legło znów ludzi kilkaset. Tę jedną miał król pociechę, iż widział, że nawet pospolite ruszenie z największym męstwem i poświęceniem rwie się na mury i że po owych próbach, mniej więcej niepomyślnych, duch nie tylko nie upadł, ale przeciwnie, umocniła się w wojsku pewność zwycięstwa.

Lecz najpomyślniejszym dni tych wydarzeniem było przybycie pana Jana Zamoyskiego i pana Czarnieckiego. Pierwszy z nich sprowadził piechotę bardzo doskonałą i tak ciężkie kartauny z Zamościa, iż Szwedzi nie mieli w Warszawie podobnych. Drugi obsadziwszy Duglasa w porozumieniu z panem Sapiehą częścią wojsk litewskich i pospolitego ruszenia podlaskiego, nad którym Skrzetuskiemu Janowi powierzono dowództwo, przybył do Warszawy, aby wziąć udział w szturmie jenerałowym. Spodziewano się, a i Czarniecki dzielił tę wiarę, że ten szturm będzie ostatnim.

Na szańcu, zdobytym przez Kmicica, ustawiono owe działa potężne, które natychmiast poczęły pracować przeciw murom i Bramie i na początek zmusiły do milczenia granatniki szwedzkie. Wówczas sam jenerał Grodzicki zajął tę pozycję. Kmicic zaś powrócił do swych Tatarów.

Ale nie dojechał jeszcze do swej kwatery, gdy już wezwano go do Ujazdowa. Król wobec całego sztabu wysławił młodego rycerza, nie szczędził mu pochwał sam Czarniecki ni Sapieha, ni Lubomirski, ni hetmani koronni, on zaś stał przed nimi w podartym i zasypanym ziemią ubraniu, nie wyspany, utrudzon, lecz radosny, że szaniec utrzymał, na tyle pochwał zasłużył i sławę niezmierną u obu wojsk pozyskał.

Winszowali mu też, między innymi kawalerami, pan Wołodyjowski i pan Zagłoba.

– Nie wiesz nawet, panie Andrzeju – rzekł mu mały rycerz – jak wielkie i u króla masz zachowanie. Wczoraj byłem na radzie wojennej, bo mnie pan Czarniecki wziął ze sobą. Mówiono o szturmie, a potem o wiadomościach, które właśnie z Litwy nadeszły, o tamtejszej wojnie i o okrucieństwach, jakich się Pontus i Szwedzi dopuszczają. Radzą tedy, jakby tam wojnę podsycić. Powiada Sapieha, że najlepiej parę chorągwi posłać i człeka, któren by umiał być tam tym, czym pan Czarniecki był na początku wojny w Koronie. Na to król: „Taki jest tylko jeden: Babinicz”. Inni zaraz przyświadczyli.

– Ja na Litwę, a zwłaszcza na Żmudź, najchętniej pojedę – odrzekł Kmicic – i sam króla jegomości o to prosić miałem, czekam jeno, póki Warszawy nie weźmiem.

– Szturm jeneralny na jutro – rzekł zbliżając się Zagłoba.

– Wiem, a jak się ma Ketling?

– Kto taki? Chyba Hassling?

– Wszystko jedno, bo on ma dwa nazwiska, jako to u Angielczyków, Szkotów i wielu innych nacyj obyczaj.

– Prawda – odrzekł Zagłoba – a Hiszpan to ci na każdy dzień tygodnia ma inne. Powiadał mi waszmościów pacholik, że Hassling, czy też ów Ketling, zdrowy; już przemówił, chodzi i gorączka go opuściła, jeno jeść co godzina woła.

– A waść to nie byłeś u niego? – pytał Kmicic małego rycerza.

– Nie byłem, bom czasu nie miał. Kto tam przed szturmem ma głowę do czegokolwiek?

– To pójdziemy teraz.

– Waćpan idź naprzód spać – rzekł Zagłoba.

– Prawda! prawda! Ledwie na nogach stoję!

Jakoż wróciwszy do siebie, poszedł pan Andrzej za tą radą, tym bardziej że i Hasslinga zastał śpiącego. Natomiast wieczorem przyszedł go odwiedzić Zagłoba z Wołodyjowskim i zasiedli w przestronnym letniku, który Tatarowie dla swego „bagadyra” wzniesli. Kiemlicze miód im leli stary, stuletni, który Kmicicowi przysłał, a oni popijali go ochotnie, gdyż gorąco było na dworze. Hassling, blady jeszcze i wyniszczony, zdawał się życie i siły czerpać w cennym napitku. Zagłoba językiem mlaskał i pot z czoła obcierał.

– Hej! jak tam te kartauny grzmia – ozwał się nasłuchując młody Szkot. – Jutro pójdziecie do szturu... dobrze zdrowym!... Boże was błogosław! Obcej krwi jestem i służyłem, komu był powinien, ale wam lepiej życzę! Ach, co to za miód! Życie, życie we mnie wstępuje...

Tak mówiąc odrzucał swe złote włosy w tył i oczy błękitne wznosił ku niebu; a twarz miał cudną i pół jeszcze dziecinną. Zagłoba spoglądał na niego z pewnym rozrzewnieniem.

– Waćpan tak dobrze po polsku mówisz, panie kawalerze, jak każdy z nas. Zostań Polakiem, pokochaj tę naszą ojczyznę, a zacną rzecz uczynisz i miodu ci nie zabraknie! O indygenat też żołnierzowi nie tak u nas trudno.

Na to Hassling:

– Tym bardziej że szlachcicem jestem. Całe moje nazwisko jest: Hassling-Ketling of Elgin. Rodzina moja z Anglii pochodzi, choć w Szkocji osiadła.

– Dalekie to są i zamorskie kraje, a tu jakoś przystojniej człowiekowi żyć – odparł Zagłoba.

– Mnie też tu dobrze!

– Ale nam źle – rzekł Kmicic, który kręcił się od początku niecierpliwie na ławie – bo nam pilno słyszeć, co w Taurogach się działo, waćpanowie zaś o rodowodach rozprawiacie.

– Pytacie mnie, będę odpowiadał.

– Często widywałeś pannę Billewiczównę?

Po bladej twarzy Hasslinga przeleciały rumieńce.

– Co dzień! – rzekł.

A pan Kmicic zaraz począł na niego bystro patrzeć.

– Cóżże to był taki kanfident? Czego płoniesz? Co dzień? Jak to co dzień?

– Bo wiedziała, że był jej życzliwy i usług jej kilka oddałem. To się z dalszego opowiadania pokaże, a teraz trzeba od początku zacząć. Waćpanowie może nie wiecie, że nie byłem w Kiejdanach wówczas, gdy księżę koniuszy przyjechał i pannę ową do Taurogów wywiózł? Owóż, dlaczego się to stało, nie będę powtarzał, bo różni różnie mówili, to tylko powiem, iż ledwie przyjechali, wszyscy zaraz spostrzegli, że księżę okrutnie zakochany.

– Bodaj go Bóg skarał! – zakrzyknął Kmicic.

– Nastaly zabawy, jakich przedtem nie bywało, a gonitwy do pierścienia i turnieje. Myślałby kto, że najspokojniejsze czasy, a tu co dzień listy biegały, przyjeżdżali posłowie od elektora, od księcia Janusza. Wiedzieliśmy, że księżę Janusz, przez pana Sapięę i konfederatów przyciśnięty, o ratunek na miłosierdzie boskie błaga, bo mu zguba grozi. My

nic! Na granicy elektorńskiej gotowe wojska stoją, kapitanowie z zaciągami nadchodzą, ale w pomoc nie idziem, bo księciu od panny niesporo.

– To dlatego Bogusław bratu z pomocą nie przychodził? – ozwał się Zagłoba.

– Tak jest. Toż sam mówił Paterson i wszyscy osoby jego najbliżsi. Niektórzy sarkali na to, inni radzi byli, że Radziwiłłowie zginą. Sakowicz za księcia sprawy publiczne odrabiał i na listy odpowiadał, i z posłami się naradzał, księżę zaś jedynie na to koncept wysyłał, żeby ułożyć jakowąś zabawę albo konną kawalkadę, albo polowanie. Pieniędzmi – on, skąpiec – na wszystkie strony sypał, lasy kazał na mile całe wycinać, by panna z okien miała prospekt lepszy, słowem, że naprawdę kwiaty jej pod nogi sypał i tak ją przyjmował, że gdyby była królewną szwedzką, nic by lepszego nie wymyślił. Żałowało ją z tego powodu wielu, bo mówiono: „Wszystko to na jej zgubę, ożenić się księżę nie ożeni, a niech ją jeno za serce chwyci, to ją, dokąd chce, doprowadzi”. Aleć się pokazało, że to nie taka panna, którą by można doprowadzić tam, gdzie cnota nie chodzi. Oho!

– A co? – zawołał zrywając się Kmicic. – Wiem ci ja to lepiej od innych!

– Jakże panna Billewiczówna owe królewskie hołdy przyjmowała? – spytał Wołodjowski.

– Z początku z uprzejmą twarzą, lubo była widać po niej, że jakowyś żal w sercu nosi. Bywała na łowach, na maszkarach i kawalkadach, i turniejach, myśląc ponoć, że to zwykły dworski u księcia obyczaj. Aleć wprędce się spostrzegła, że to wszystko dla niej. Raz się trafiło, że księżę, wysiliwszy już koncept na rozmaite widowiska, zapragnął pannie konterfekt wojny pokazać: zapalono tedy osadę blisko Taurogów, piechota broniła, księżę szturmował. Oczywiście wiktoryę wielką odniósł, po której, syt chwały, upadł, jak powiadają, pannie do nóg i o wzajemność w afektach prosił. Nie wiadomo, co jej tam *proposuit*, ale od tej pory skończyła się ich amicycja. Ona poczęła się stryja swego, pana miecznika rosieńskiego, dzień i noc za rękaw trzymać, księżę zaś...

– Począł jej grozić? – zakrzyknął Kmicic.

– Gdzie tam! Za greckiego pasterza się przebierał, za Philemona; umyślni kurierowie latali do Królewca po modeliusze pasterskich strojów, po wstęgi i peruki. On desperacje udawał, pod jej oknami chodził i na lutni grywał. A tu powiem waćpanom, co rzetelnie myślę: kat to był na cnotę panien zawzięty i śmiało można o nim rzec, co w naszej ojezyźnie o podobnych ludziach mówią: że jego westchnienia niejedną panięnski żagiel wydeły, ale tym razem naprawdę się zakochał, co i nie dziwota, bo panna więcej boginie niżli mieszkanki ziemskiego padołu przypomina.

Tu Hassling zarumienił się znowu, lecz pan Andrzej tego nie spostrzegł, bo chwyciwszy się z zadowolenia i dumy w boki, spoglądał właśnie tryumfującym wzrokiem na Zagłobę i Wołodjowskiego.

– Znamy ją, wykapana Diana, jeno jej miesiąca we włosach brak! – rzekł mały rycerz.

– Co to Diana?! Własny psy by na Dianę wyły, gdyby ja ujrzały! – zakrzyknął Kmicic.

– Dlatego rzekł: „nie dziwota” – odpowiedział Hassling.

– Dobrze! Jeno za tę niedziwotę małym ogniem bym go przypalał; za tę niedziwotę hufnalami bym go podkuć kazał...

– Daj waćpan spokój! – przerwał Zagłoba – pierw go dostań, potem będziesz wydziwiał, teraz zasię daj temu kawalerowi mówić.

– Nieraz trzymałem wartę przed komnatą, w której sypiał – mówił dalej Hassling – i wiem, jako się na łożu przewracał, a wzdychał, a gadał do siebie, a syczał jako z bólu, tak go widocznie żądze piekły. Zmienił się okrutnie, wysechł; może też go ta choroba już nurtowała, w którą później zapadł. Tymczasem rozleciały się po całym dworze wieści, iż księżę tak dalece się zapamiętał, że się chce żenić. Doszło to i do księżnej Januszowej, która z księżniczką w Taurogach mieszkała. Zaczęły się gniewy a kwasy, bo jak

waćpaństwu wiadomo, miał Bogusław, wedle układu, poślubić księżniczkę Januszównę, byle do lat doszła. Lecz on o wszystkim już zapomniał, tak miał przeszyte serce. Księżna Januszowa, wpadłszy w pasję, pojechała z córką do Kurlandii, on zaś oświadczył się o pannę Billewiczównę tego samego wieczora.

– Oświadczył się?! – zawołali ze zdumieniem Zagłoba, Kmicic i Wołodyjowski.

– Tak! Naprzód panu miecznikowi rosięńskiemu, który nie mniej od waszmościów był zdumion i uszom własnym wierzyć nie chciał, ale uwierzywszy wreszcie, z radości ledwie się posiadał, boć to dla całego domu Billewiczów splendor niemały z Radziwiłłami się połączyć; wprawdzie powiadał Paterson, że i tak koligacja jakaś jest, ale dawna i zapomniana.

– Powiadaj dalej! – ozwał się drżąc z niecierpliwości Kmicic.

– Obaj tedy ruszyli do panny z całą ostentacją, jaka w takich razach we zwyczaju. Cały dwór aż się trząsał. Przyszły złe wieści od księcia Janusza, Sakowicz jeden je przeczytał, zresztą nikt na nie nie zważał ani też na Sakowicza, bo był tego czasu wypadł z łaski, za to że nie pierwszozna się Radziwiłłom ze szlachciankami żenić, że w tej Rzeczypospolitej wszystka szlachta równa, a billewiczowski dom rzymskich czasów sięga. I to mówili ci, którzy już sobie chcieli łaski przyszej pani zarobić. Inni twierdzili, że to tylko fortel księcia, aby do większej przyjść z panną konfidencji (jako to między narzeczonymi niejedno uchodzi) i przy sposobności kwiat dziewictwa uszczknąć.

– Pewnie to było! Nic innego! – ozwał się pan Zagłoba.

– I ja tak mniemam – rzekł Hassling – ale słuchajcie dalej. Gdy tak między sobą na dworze deliberujem, nagle jak grom rozchodzi się, że panna przecięła wątpliwości jak szablą, bo odmówiła wprost.

– Boże jej błogosław! – krzyknął Kmicic.

– Odmówiła tedy wprost! – mówił dalej Hassling. – Dość było spojrzeć na księcia, by to poznać. On, któremu księżniczki uległy, nie znosi oporu i mało nie oszalał. Niebezpiecznie mu się było pokazywać. Wiedzieliśmy wszyscy, że tak długo nie pozostanie i że księżę prędzej, później siły użyje. Jakoż porwano na drugi dzień pana miecznika i osadzono w Tylży, już za granicą elektorską. Tegoż dnia panna ubłagała oficera trzymającego straż przed jej drzwiami, że jej króciąc nabitą dał. Oficer jej tego nie odmówił, bo szlachcicem i honorowym człkiem będąc, czuł litość dla nieszczęść damy, a uwielbienie dla jej urody i stałości.

– Kto ów oficer? – zawołał Kmicic

– Ja! – odrzekł sucho Hassling.

Pan Andrzej porwał go tak w ramiona, że młody Szkot słabym jeszcze będąc krzyknął z bólu.

– Nic to! – zawołał Kmicic. – Nie jesteś jeńcem, jesteś moim bratem, przyjacielem! Mów, czego chcesz? Na Boga, powiadaj, czego chcesz?

– Spocząć chwilę! – odrzekł dysząc Hassling.

I umilkł, ścisnął tylko ręce, które mu podawali Wołodyjowski i Zagłoba, na koniec sam widząc, że wszyscy płoną z ciekawości, mówił dalej:

– Ostrzegłem ją też, o czym wszyscy wiedzieli, że medyk książęcy przygotowywał jakieś bezoary i dekokta odrzucające. Tymczasem obawy okazały się płonne, bo wmieszał się do sprawy Pan Bóg. Ten, tknąwszy księcia palcem, obalił go na łożo boleści i miesiąc trzymał. Dziw, mości panowie, ale padł tak, jakby go kosa z nóg ścięto, tego samego dnia, gdy miał na cnotę tej panienki nastąpić. Ręka boża, mówię, nic więcej! Sam on to pomyślał i zląkł się, może też w chorobie wypaliły się w nim żądze, a może czekał na odzyskanie sił, dość, że przyszedłszy do siebie, dał jej spokój, a nawet miecznika z Tylży dozwolił sprowadzić. Co prawda, to opuściła go choroba obłożna, ale nie febra, która do tej



pory ponoć go gnębi. Co prawda także, to wkrótce po opuszczeniu łoża na wyprawę ową musiał iść pod Tykocin, w której klęska go spotkała. Wrócił z febrą jeszcze większą, za czym elektor przywołał go do siebie, a tymczasem w Taurogach zaszła taka zmiana, o której i dziwnie, i śmieszno powiaaać, dość, że księżę nie może tam już na wierność żadnego oficera ani dworzanina liczyć, chyba na bardzo starych, którzy niedowidzą i nie dosłyszają, zatem i nie dopilnują.

– Cóż się takiego stało? – spytał Zagłoba.

– W czasie tykocińskiej wyprawy porwano, jeszcze przed janowską klęską, niejaką pannę Annę Borzobohatą-Krasieńską i przysłano ją do Taurogów.

– Masz babo placek! – zawołał Zagłoba.

A pan Wołodyjowski począł oczyma mrugać i srodze wąsikami ruszać, wreszcie rzekł:

– Panie kawalerze, nie powiadaj o niej jeno nic złego, bo po wyzdrowieniu ze mną miałbyś do czynienia.

– Choćbym chciał, nie mogę nic złego o niej powiedzieć, ale jeśli to waszej mości narzeczona, to powiem, że jej źle pilnujesz, a jeśli krewna, to zbyt ją dobrze znasz, abyś temu, co powiem, miał negocować; dość, że w tydzień rozkochała ta panna w sobie wszystkich w czambuł, starszych i młodszych, niczym innym, jeno oczu strzeżeniem z dodatkiem jakichś sztuk czarodziejskich, z których już relacji zdać nie mogę.

– Ona! W piekle bym ją po tym poznał! – mruknął Wołodyjowski.

– Dziwna rzecz! – mówił Hassling. – Przecież panna Billewiczówna dorównywa tamtej urodą, ale taka w niej powaga i nieprzystępność, jakby w jakowej ksieni, że człek admirując i wielbiąc nie śmie nawet i oczu podnieść, a cóż dopiero jakowąś nadzieję powziąć. Sami przyznacie, że bywają różne panny: jedne jako starożytne westalki, drugie – co to ledwie spojrzysz, już chciałbyś...

– Mości panie! – rzekł groźnie pan Michał.

– Nie bzdycz się, panie Michale, bo prawdę powiada! – rzekł Zagłoba. – Sam przy niej nogami przebierasz jako młody kurek i oczy ci bielmem zachodzą, a że bałamutna, wszyscy wiemy i ty mało sto razy to mówiłeś.

– Porzućmy te materię – rzekł Hassling. – Chciałem tylko waćpanom wytłumaczyć, dlaczego w pannie Billewiczównie zakochali się niektórzy tylko, prawdziwie niezrównaną jej doskonałość ocenić zdolni (tu zarumienił się znów Hassling), a w pannie Borzobohatej niemal wszyscy. Jak mi Bóg miły, śmiech brał, bo zupełnie tak było, jakby jakowaś zaraza padła na serca. A zwad, a pojedynków namnożyło się w mgnieniu oka. I o co? Po co? Bo i to trzeba wiedzieć, że nie masz takiego, który by się wzajemnym afektem tej panienki mógł pochłubić, w to tylko każdy ślepo wierzy, że prędzej później on jeden coś wskóra.

– Ona, jakoby ją malował! – mruknął znów Wołodyjowski.

– Za to obie panienki pokochały się okrutnie – mówił dalej Hassling – jedna bez drugiej krokiem nie ruszy, że zaś panna Borzobohata rządzi, jak sama chce, w Taurogach...

– Jak to? – przerwał mały rycerz.

– Bo rządzi wszystkimi. Sakowicz na wyprawę teraz nie pojechał, taki rozkochany, a Sakowicz pan absolutny we wszystkich książęcych posiadłościach. Przez niego rządzi panna Anna.

– Takież on rozkochany? – spytał znów Wołodyjowski.

– I najbardziej sobie dufa, bo to człek sam przez się bardzo możny.

– A zowie się Sakowicz?

– Wasza mość chcesz go, widzę, dobrze zapamiętać?

– I... zapewne! – odrzekł niby niedbale Wołodyjowski, ale tak przy tym złowrogo wąsikami ruszył, że Zagłobę ciarki przeszły.

– Owóż to tylko chciałem dodać – rzekł Hassling – że gdyby panna Borzobohata kazała Sakowiczowi, by księcia zdradził, a jej i towarzysze ucieczkę ułatwił, myślę, że uczyniłby to bez wahania; ale o ile wiem, woli to ona za plecami Sakowicza czynić, może na złość mu... kto wie... dość, że zwierzył mi się jeden oficer, rodak mój (tylko nie katolik), że tam już cały wyjazd pana miecznika z pannami ułożony, oficerowie do spisku wciągnięci... że to ma wkrótce nastąpić...

To Hassling począł oddychać ciężko, bo się zmęczył i resztkami sił gonił.

– I to jest najważniejsza rzecz, jaką miałem waćpanom powiedzieć! – dodał pospiesznie.

Wołodujowski i Kmicic aż za głowy się porwali.

– Dokąd mają uciekać?

– Do puszczy i puszczykami się do Białowieży przebierać... Tchu mi brak!...

Dalszą rozmowę przerwało wejście ordynansa sapieżyńskiego, który wręczył Wołodujowskiemu i Kmicicowi po ćwiartce papieru złożonej we czworo. Ledwo rozwinął swoją Wołodujowski, wnet ozwał się:

– Rozkaz, by już stanowiska do jutrzejszej roboty zajmować.

– Słyszycie, jak kartauny ryczą? – zawołał Zagłoba.

– No, jutro! jutro!

– Uf! gorąco! – rzekł pan Zagłoba. – Zły dzień do szturmów... Niech licho porwie takie upały. Matko Boska... Niejeden przecie jutro mimo upału ostygnie, ale nie ci, nie ci, którzy się tobie polecają. Patronko nasza... Ależ grzmią działa!... Za starym już do szturmów... otwarte pole co innego.

Wtem nowy oficer ukazał się we drzwiach.

– Jest-li tu jegomość pan Zagłoba? – spytał.

– Jestem!

– Z rozkazu króla miłościwego masz waćpan jutro zostawać przy jego osobie.

– Ha! chcą mnie od szturmów zachować, bo wiedzą, że stary pierwszy ruszy, niech jeno trąby zagrzmia. Dobry pan, pamiętny, nie chciałbym go zmartwić, ale czy wytrzymam, nie wiem, bo jak mnie ochota zeprze, tedy o niczym nie pamiętam i prosto w dym walę... Taka już natura!... Dobry pan!... Słyszycie, już i trąbki przez munsztuk grają, by każdy na stanowisko ruszał. No! jutro! jutro... Będzie miał i święty Piotr robotę; już książki przygotowywać musi... W piekle także dla Szwedów kotły ze świeżą smołą na kąpiel ustawili... Uf! uf! jutro!...

## ROZDZIAŁ XIV

Dnia 1 lipca, między Powązkami a osadą nazwaną później Marymontem, odbyła się wielka msza polowa, której dziesięć tysięcy ludzi wojsk kwarcianych słuchało w skupieniu ducha. Król ślub uczynił, że w razie zwycięstwa kościół Najświętszej Pannie wystawi. Ślubowali za jego przykładem, każdy wedle możliwości, dygnitarze, hetmani, rycerstwo, nawet prości żołnierze, gdyż ów dzień miał być dniem ostatecznego szturmu.

Po skończeniu mszy ruszył każdy z wodzów do swojej komendy. Więc pan Sapieha stanął naprzeciw kościoła Świętego Ducha, który wówczas za murami leżał, ale że był do nich kluczem, został zatem potężnie przez Szwedów umocnion i wojskiem należycie obsadzony. Pan Czarniecki miał Gdańskiego Domu dobywać, tylna bowiem ściana tej budowli stanowiła część obwodowego muru, i przebiwszy go, można się było dostać do miasta. Piotr Opaliński, wojewoda podlaski, z Wielkopolany i Mazurami od Krakowskiego i Wisły zmierzał. Kwarciane pułki tkwiły naprzeciw Bramy Nowowiejskiej. Luda było tyle, że niemal więcej niżli przystępu do murów; cała płaszczyna, wszystkie okoliczne podmiejskie wioski i błonia zalane zostały morzem ludzkim, za którym bieleły namioty, za namiotami wozy, aż hen! wzrok gubił się w sinym oddaleniu, nim krańca tego mrowiska sięgnąć zdołał.

Zastępy owe stały w zupełnej gotowości, z bronią podaną już naprzód i wysuniętą do biegu nogą, gotowe w każdej chwili rzucić się ku wyłomom uczynionym przez działa wielkiego kalibru, a zwłaszcza przez ciężkie kartauny zamojskie. Działa nie ustawały grać ani na moment, szturm zaś zwłóczył się tylko dlatego, że czekano ostatecznej odpowiedzi Wittenberga na list, który kanclerz wielki Koryciński mu posłał. Lecz gdy koło południa przyjechał oficer z odpowiedzią odmowną, zagrzmiały naokół miasta złowieszcze trąby i szturm się rozpoczął.

Wojska koronne pod hetmanami, czarniecczykowie, pułki królewskie, piesze regimenta pana Zamoyskiego, Litwini spod Sapiehy i zastępy pospolitego ruszenia rzuciły się jak wezbrana fala ku murom. A z murów wykwitły ku nim smugi białego dymu i rzuty płomienia: wielkie działa, hakownice, organki, muszkiety zagrzmiały na raz; ziemia wstrząsała się w posadach. Kule miesiły tę ciżbę ludzką, orały w niej bruzdy długie, lecz ona biegła naprzód i darła się ku twierdzy nie zważając na ogień i śmierć. Obłoki dymów prochowych słońce zakryły.

Uderzył tedy każdy zapamiętałe tam, gdzie mu było najbliżej, więc hetmani od Nowowiejskiej Bramy, Czarniecki na Gdański Dom, pan Sapieha z Litwą na kościół Świętego Ducha, a Mazury i Wielkopolanie od Krakowskiego Przedmieścia i Wisły.

Tym zaś ostatnim wypadła najcięższa robota, wszystkie bowiem pałace i domy wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia zmienione były na twierdze. Lecz dnia tego ogarnęła Mazurów taka zaciekłość bojowa, że zapędowi ich nic się oprzeć nie mogło. Brali więc szturmem dom po domu, pałac po pałacu, bili się w oknach, we drzwiach, na schodach; wycinali w pień załogi.

Po zdobyciu jednego domostwa, nim krew przyschła im na rękach i twarzach, już rzucali się na drugie i znów rozpalala się ręczna bitwa, i znów biegli dalej. Towarzystwo szło

na wyścigi z pospolitym ruszeniem, pospolite ruszenie z piechotą. Kazano im, by idąc do szturmowi nieśli przed sobą snopy niedojrzałego jeszcze zboża, które miały ich od kul zasłaniać, lecz oni w zapale i uniesieniu bojowym porzucali wszystkie zasłony, biegnąc z gołą piersią. Wśród krwawej bitwy wzięto kaplicę carów Szujskich i wspaniały pałac Koniecpolskich. Wygnieciono Szwedów co do jednego w pomniejszych budowlach, w magnackich stajniach, w ogrodach schodzących ku Wiśle. Bliżej pałacu Kazanowskich piechota próbowała postawić czoło w ulicy i posiłkowana z murów pałacu, z kościoła i dzwonnicy bernardyńskiej, zmienionych na potężną twierdzę, przyjęła rzesistym ogniem napastników.

Lecz grad kul nie wstrzymał ich ani na chwilę i szlachta z okrzykiem: „Górą Mazury!”, rzuciła się z szablami w środek czworoboku; za nimi wpadła piechota łanowa, czeladź zbrojna w drągi, oskardy, siekiery. Czworobok rozbito w mgnieniu oka i poczęto ciąć. Swoi i nieprzyjaciele mieszały się tak, że utworzyli jeden kłęb olbrzymi, który między pałacem Kazanowskich, domem Radziejowskiego a Bramą Krakowska wił się, targał i przewalał we krwi własnej.

Lecz coraz nowe zastępy krwia dyszących wojowników napływały, niby spieniona rzeka, od strony Krakowskiego. Wycięto wreszcie w pień piechotę i rozpoczął się ów sławny szturm do pałacu Kazanowskich i jednocześnie do Bernardynów, który w znacznej części o losach bitwy rozstrzygnął.

Pan Zagłoba wziął w nim udział, mylił się bowiem dnia wczorajszego sądząc, że król wzywa go do swej osoby jedynie dla asystencji. Przeciwnie bowiem: powierzono mu, jako wsławionemu i doświadczonemu wojownikowi, komendę nad czeladzią, która na ochotnika razem z kwartą i pospolitakami z tej strony miała do szturmowi ruszyć. Chciał być wprowadzić pan Zagłoba iść z nią w odwodzie i kontentować się zajmowaniem zdobytych już poprzednio pałaców, lecz gdy zaraz na początku wszyscy, idąc na prześcigi, pomieszały się ze sobą zupełnie, porwał i jego prąd ludzki. On zaś poszedł, bo jakkolwiek wielką wziął od natury w udziale przezorność i wolał, gdzie było można, żywota na szwank nie wystawiać, tak się już mimo woli od tyłu lat wezwyczał do bitew, w tyłu okropnych był rzeziach, że gdy konieczność wypadła, stawał z innymi, a nawet lepiej od innych, bo z desperacją i wściekłością w mężnym sercu.

Tak i obecnie znalazł się pod brama pałacu Kazanowskich, a raczej w piekle, które pod ową bramą wrzało straszliwie, zatem wśród wiru, gorąca, tłoku, gradu kul, ognia, dymu, jęków ludzkich i krzyków. Tysiące siekier, oskardów, ratyszcz waliło w bramę; tysiące ramio męskich parło i targało ją wściekle; jedni padali jakoby piorunami rażeni, drudzy pchali się na ich miejsce, deptali po ich trupach i dobijali się do wnętrza, jakby umyślnie szukając śmierci. Nikt nigdy nie widział i nie pamiętał uporczywszej obrony, ale i uporczywszego szturmowania. Z wyższych pięter nad bramą sypały się kule, lała się smoła, lecz ci, którzy byli pod ogniem, gdyby nawet byli chcieli, nie mogli ustąpić, tak popychano ich z zewnątrz. Widziałeś pojedynczych ludzi mokrych od potu, czarnych od prochu, ze ściśniętymi zębami i zdziczałymi oczyma, walących w bramę belkami tak wielkimi, że w zwyczajnym czasie zaledwie trzech tęgich chłopów władać by nimi zdołało. Tak uniesienie troiło siły. Szturmowano jednocześnie do wszystkich okien, przystawiano drabiny do górnych pięter, wyrąbывano kraty w murach. A przecież z owych krat, z okien, z otworów wyciętych w ścianach sterczały rury muszkietów, które ani chwili nie przestawały dymić. Lecz takie wreszcie wzbily się dymy, taka wstała kurzawa, że przy jasnym dniu słonecznym szturmujący zaledwie mogli się rozpoznać. Mimo to walki nie zaniechali, owszem, tym bardziej darli się na drabiny, tym zacieklej łupali bramę, że wrzaski od kościoła Bernardynów zwiastowały, iż tam inne watahy szturmują z równą energią.

Wtem Zagłoba krzyknął głosem tak donośnym, że usłyszano go wśród zgietku i wystrzałów:

– Puskę z prochem pod bramę!

Podano mu ją w mgnieniu oka, on zaś kazał zaraz rąbać wąską dziurę u samego spodu wrzeczadźwów, tak wąską, aby tylko puszką w nią się zmieściła. Gdy weszła, pan Zagłoba sam nie siarkową zapalił, po czym zakomenderował:

– Na boki! Pod ściany!

Stojący bliżej umknęli się na obie strony ku tym, którzy drabiny przystawiali do dalszych okien, i nastąpiła chwila oczekiwania.

Po czym łoskot ogromny wstrząsnął powietrzem i nowe kłęby dymu podniosły się ku górze. Skoczył pan Zagłoba na powrót ze swoimi ludźmi; spojrzą: wybuch nie rozniósł wprawdzie bramy w drobne szczątki, ale wyrwał zawiasę z prawej strony, odłupał parę potężnych bierwion już podrabanych, skręcił antabę i całą jedną połowę odepchnął w dolnej części w głąb sieni, tak iż utworzyło się wejście, przez które tęgi nawet człowiek łatwo mógł się przecisnąć.

Wnet zaostrome koły, topory i siekiery poczęły bić gwałtownie w nadwątloną wierzeję, setki ramion poparły ją z wysileniem, dał się słyszeć trzask przeraźliwy i cała jedna połać runęła odkrywając głąb ciemnej sieni.

W ciemności owej wnet błysły wystrzały muszkietów, lecz rzeka ludzka runęła wyłomem z niepohamowanym pędem – pałac był zdobyty.

Jednocześnie wdarło się i przez okna i rozpoczęła się straszliwa bitwa na białą broń wewnątrz pałacu. Zdobywano komnatę po komnacie, korytarz po korytarzu, piętro po piętrze. Mury były już poprzednio tak porozszczepiane i nadwątlone, że pułapy w kilku pokojach zapadły się z łoskotem, pokrywając gruzami Polaków i Szwedów. Lecz Mazury szli jak pożar, wnikali wszędzie, wałąc ośnikami, siekąc, bodąc. Nikt ze Szwedów nie prosił pardonu, ale go też i nie dawano. W niektórych korytarzach i przejściach trupy ludzkie tak zawały drogę, że Szwedzi porobili z nich sobie barykady, napastnicy zaś wywłoczyli je za nogi, za włosy i wyrzucali przez okna. Krew płynęła strugami po schodach. Gromady Szwedów broniły się jeszcze tu i owdzie, odbijając mdlejącymi rękoma wściekłe razy szturmujących. Krew zalewała im twarze, oczy zachodziły ciemnością, niejedni osunęli się już na kolana, a jeszcze walczyli; parci ze wszystkich stron, duszeni przez tłum przeciwników, umierali w milczeniu Skandynawowie, zgodnie ze swą sławą, jak na żołnierzy przystało. Kamienne figury bóstw i dawnych bohaterów, zbryzgane krwią, patrzyły martwą żrenicą na tę śmierć.

Roch Kowalski szalał głównie na górze, pan Zagłoba zaś rzucił się ze swoim oddziałem na tarasy i wysiekłszy broniących się tam piechurów wpadł z tarasów do owych cudnych sadów, w całej Europie sławnych. Drzewa były już w nich wycięte, kosztowne krzewy poniszczone przez polskie kule, fontanny pogruchotane, ziemia poorana przez granaty, słowem, wszędzie pustka i zniszczenie, choć Szwedzi nie przykładali do niej swej drapieżnej ręki, przez wzgląd na osobę Radziejowskiego. Obecnie bój i tam zawrzał srogi, lecz trwał tylko chwilę, bo już słaby dawali opór Szwedzi. Toż wycięto ich pod osobistym pana Zagłoby dowództwem, za czym żołnierze rozbiegli się po sadach i całym pałacu za zdobyczą.

A pan Zagłoba udał się aż na koniec sadu, w miejsce, gdzie mury tworzyły potężny „angul” i gdzie nie dochodziło słońce, chciał bowiem groźny rycerz odetchnąć nieco i z potu uznojone czoło obetrzeć. Nagle spojrzął i spostrzegł dziwaczne jakieś monstra, które na niego zza kraty żelaznej klatki złowrogo patrzyły.

Klatka była wszczepiona, w kąt murów, tak że kule padające od zewnątrz nie mogły jej dosięgnąć. Drzwi do niej szeroko były otwarte, lecz owe wychudłe i szkaradne istoty nie myślały z tego korzystać; owszem, przerażone widocznie zgiełkiem, świstem kul i srogą rzezią, na którą przed chwilą patrzyły, zacisnęły się w kąt klatki i poukrywane w słome, jeno mrużeniem oznajmiały swój przestach.

– *Simiae* czy diabły? – rzekł do siebie pan Zagłoba.

Nagle gniew go uchwycił, męstwo wezbrało mu w piersi i podniósłszy szablę wpadł do klatki.

Popłoch okropny odpowiedział pierwszemu ciosowi jego miecza. Małpy, z którymi żołnierze szwedzcy dobrze się obchodzili i które ze swych szczupłych racyj karmili, bo ich bawiły, wpadły w tak okropne przerażenie, że je szal ogarnął po prostu, a ponieważ pan Zagłoba zastąpił im ode drzwi, poczęły w susach nadprzyrodzonych rzucać się po klatce, czepiać się ścian, pułapu, wrzeszczeć, zgrzytać, na koniec jedna skoczyła w obłędzie panu Zagłobie na kark i chwyciwszy go za głowę przywarła doń z całej siły. Druga przyczepiła mu się do prawego ramienia, trzecia od przodu chwyciła za szyję, czwarta uwiesiła się u zawiązanych z tyłu wylotów, on zaś przyduszony, spocony, próżno się miotał, próżno w tył zadawał ślepe razy, samemu wkrótce zabrakło oddechu, oczy mu na wierzch wyszły i rozpaczliwym głosem krzyczeć począł:

– Mości panowie! ratujcie!

Wrzaski zwabiły kilkunastu towarzystwa, którzy nie mogąc rozeznąć, co się dzieje, biegli w pomoc z dymiącymi od krwi szablami, lecz nagle stanęli w zdumieniu, spojrzeli po sobie i jakby pod wpływem czarów ryknęli jednym ogromnym śmiechem. Nadbiegło więcej żołnierzy, tłum cały, lecz śmiech, jak zaraza, udzielił się wszystkim. Więc taczali się jak pijani, brali się w boki, zamazane posoką ludzka twarze krzywiły im się spazmatycznie i im bardziej rzucał się pan Zagłoba, tym oni śmieli się więcej. Dopiero Roch Kowalski nadbiegł, z góry i roztrąciwszy tłumy uwolnił wuja z małpich uścisków.

– Szelmy! – krzyknął zdyszany pan Zagłoba – bodaj was zabito! To śmiejecie się widząc katolika w opresji od monstrów afrykańskich? Bodaj was zabito! Żeby nie ja, to byście dotychczas trykali łbami o bramę, boście czego lepszego niewarci! Bodaj was zabito, żeście i onych małp niegodni!

– Bogdaj ciebie zabito, małpi królu! – zakrzyknął najbliższy stojący towarzysz.

– *Simiarum destructor!* – zawołał drugi.

– *Victor!* – dodał trzeci.

– Gdzie tam *victor*, chyba *victus!*

Tu Roch przyszedł znowu z pomocą wujowi i najbliższego pięścią w pierś uderzył, a ten zaraz padł, krew ustami oddawszy. Inni cofnęli się przed gniewem męża, niektórzy do szabel się brali, lecz dalszej kłótni zapobiegły wrzaski i strzały dochodzące ze strony bernardyńskiego klasztoru. Widocznie szturm trwał tam jeszcze w całej sile i sądząc z gorączkowej palby muszkietowej, Szwedzi nie myśleli się poddawać.

– W sukurs! pod kościół! pod kościół! – krzyknął Zagłoba.

Sam zaś skoczył do pałacu na górę, tam bowiem z prawego skrzydła widać było kościół, który zdawał się gorzeć w ogniu. Tłumy szturmujących wiły się pod nim konwulsyjnie, nie mogąc dostać się do środka i ginąc bezużytecznie w krzyżowym ogniu, bo i od Bramy Krakowskiej sypały się na nich kule jak piasek.

– Działek do okien! – krzyknął Zagłoba.

Działek większych i mniejszych było w pałacu Kazanowskich dosyć, wnet też przywleczono je do okien; ze złamów kosztownych sprzętów, z podstaw posągów pourządzano lawety i po upływie pół godziny kilkanaście paszcz wyrzało przez puste otwory okien ku kościołowi.

– Rochu! – mówił w nadzwyczajnym rozdrażnieniu pan Zagłoba – muszę czegoś znacznego dokazać, bo inaczej przepadła moja sława! Przez te małpy – żeby je zaraza wydusiła! – całe wojsko na języki mnie weźmie, a choć i mnie słów w gębie nie brak, przecie wszystkim nie poradzę. Muszę tę konfuzję zatrzeć, inaczej, jak Rzeczpospolita szeroka, za małpiego króla mnie ogłoszą!

– Wuj musi tę konfuzję zatrzeć! – powtórzył grzmiącym głosem Roch.  
– A pierwszy sposób będzie, iż jakom pałac Kazanowskich zdobył... bo niech kto powie, że to nie ja!...

– Niech kto powie, że to nie wuj!... – powtórzył Roch.

– ...Tak i ów kościół zdobędę, tak mi Panie Boże dopomóż, amen! – dokończył Zagłoba.

Po czym odwrócił się do swej czeladzi, która już stała przy armatach.

– Ognia!

Szwedów, broniących się z rozpaczą w kościele, strach zdjął, gdy nagle cała boczna ściana trząść się zaczęła. Na tych, którzy siedzieli w oknach, przy strzelnicach powycinanych w murze, na załamach wewnętrznych gzymsów, przy gołębach otworach, przez które strzelali do oblegających, jęły się sypać cegły, gruz, wapno. Straszliwa kurzawa wstała w domu bożym i pomieszana z dymem, jęła dławić spracowanych ludzi. Człek człeka nie mógł dojrzeć w ciemności, okrzyki: „Dusim się, dusim się!”, powiększyły jeszcze przerażenie. A tu kościół chwieje się, trzask muru, spadanie cegieł, łoskot kul wpadających przez okna, dźwięk ołowianych krat lecących na podłogę, żar, wyziewy ludzkie zmieniają przybytek boży w piekło ziemskie. Przerażeni żołnierze odbiegają bramy, okien, strzelnic. Popłoch zmienia się w szal. Znow przeraźliwe głosy wołają: „Dusim się! powietrza! wody!” Nagle setki gardzieli poczynają ryczeć:

– Białą chorągiew! białą chorągiew!

Komenderujący, Erskin, chwytając za nią własną ręką, aby ją wywiesić na zewnątrz, wtem brama pęka, lawa szturmujących wpada na kształt lawicy szatanów – i nastaje rzeź. Cisza nagle czyni się w kościele, słychać tylko zwierzęce sapanie walczących, zgrzyt żelaza o kości, o kamienną posadzkę, jęki, chlupotanie krwi – czasem głos jakiś, w którym nie masz nic ludzkiego, krzyknie: „Pardon! pardon!” Po godzinie walki dzwon na dzwonnicy poczyną huczeć, i huczy, huczy – Mazurom na zwycięstwo, Szwedom na pogrobnę.

Pałac Kazanowskich, klasztor i dzwonnica zdobyte. Sam Piotr Opaliński, wojewoda podlaski, ukazuje się wśród krwawych tłumów przed pałacem na koniu.

– Kto nam przyszedł w sukurs z pałacu? – krzyczy chcąc przekrzyczeć gwar i wycie ludzkie.

– Ten, który pałac zdobył! – mówi potężny mąż ukazując się nagle przed wojewodą – ja!!!

– Jak waści zowią?

– Zagłoba.

– *Vivat Zagłoba!* – ryczą tysiące gardzieli.

Lecz straszliwy Zagłoba ukazuje krzywcem zabrukanej szabli na bramę.

– Nie dosyć na tym! – woła – tam! do bramy! Działa ku murom i na bramę, a my naprzód! za mną!

Rozszalałe tłumy rzucają się w kierunku bramy, wtem – o cudo! – ogień szwedzki, zamiast się wzmaczać, słabnie.

Jednocześnie głos jakiś donośny rozlega się niespodzianie z wierzchołka dzwonnicy:

– Pan Czarniecki już w mieście! Widzę nasze chorągwie!!!

Ogień szwedzki słabnie coraz bardziej.

– Stój! stój! – komenderuje wojewoda.

Lecz tłumy go nie słyszą i biegną na osłep. Wtem biała chorągiew ukazuje się na Bramie Krakowskiej.

Istotnie, Czarniecki przebiwszy Dom Gdański wpadł na kształt huraganu do obrębu forticy, a gdy pałac Daniłowiczowski już był także zdobyty, gdy w chwilę później i litewskie znaki zabłyśły od strony Świętego Ducha na murach, uznał Wittenberg, że dalszy opór

daremny. Mogli wprawdzie Szwedzi bronić się jeszcze w wyniosłych domach Starego i Nowego Miasta, lecz i mieszczanie chwycili już za broń: obrona musiałaby się skończyć na straszliwej rzezi Szwedów, bez nadziei zwycięstwa.

Trębacze poczęli tedy trąbić na murach i wiewać białymi chorągwiami. Widząc to komendanci polscy wstrzymali szturm, po czym generał Loewenhaupt, w otoczeniu kilku pułkowników, wyjechał Bramą Nowomiejską i popędził, co tchu, do króla.

Jan Kazimierz miał już miasto w rękę, lecz dobry pan pragnął wstrzymać rozlew krwi chrześcijańskiej, więc przystał na podawane poprzednio Wittenbergowi warunki. Miasto miało być oddane ze wszystkimi nagromadzonymi w nim łupami. Każdemu Szwedowi pozwolono było zabrać to tylko, co ze Szwecji ze sobą przywiózł. Załoga ze wszystkimi generałami i z bronią w rękę miała prawo wyjść z miasta zabrawszy chorych i rannych oraz damy szwedzkie, których kilkadziesiąt było w Warszawie. Polakom, którzy przy Szwedach jeszcze służyli, udzielono amnestii, ze względu, że zapewne nie było już wysługujących się dobrowolnie. Wyłączon został jeden Bogusław Radziwiłł, na co Wittenberg zgodził się tym łatwiej, iż książe stał w tej chwili z Duglasem u Buga.

Warunki podpisano natychmiast. Wszystkie dzwony w kościołach poczęły głośnić miastu i światu, że stolica przechodzi znów do rąk prawego monarchy. W godzinę później wysypało się mnóstwo co najbiedniejszego ludu zza wałów szukać miłosierdzia i chleba w polskich obozach, wszystkim już bowiem, prócz Szwedów, brakło w mieście żywności. Król kazał dawać, co było można, sam zaś odjechał patrzeć na wyjście załogi szwedzkiej.

Stanął więc otoczony dostojnikami duchownymi i świeckimi, w asystencji tak wspaniałej, iż oczy ludzkie ćmiła. Wszystkie niemal wojska, więc koronne pod hetmanami, dywizja Czarnieckiego, litewskie pod Sapiehą i niezmierne tłumy pospolitego ruszenia wraz z czeladzią, zebrały się obok majestatu, bo wszyscy ciekawi byli widzieć tych Szwedów, z którymi przed kilku godzinami tak straszliwie i krwawo walczyli. Przy wszystkich bramach, od chwili podpisania ugody, stali komisarze polscy; powierzono im zbadanie, czy Szwedzi jakowych łupów nie wywożą. Osobna komisja zajęta była przejmowaniem łupów w samym mieście.

Ukazała się więc naprzód jazda, której było niewiele, zwłaszcza że wyłączono od prawa wyjścia Bogusławową: za nią szła artyleria polowa z lekkimi działami, ciężkie bowiem miały być wydane Polakom. Szli tedy żołnierze obok dział z zapalonymi lontami. Nad nimi chwiały się rozwinięte chorągwie, które przed królem polskim, niedawno tułaczem, na znak czci znizano. Artylerzyści postępowali hardo, patrząc wprost w oczy polskiemu rycerstwu, jak gdyby chcieli mówić: „Spotkamy się jeszcze!”, a Polacy podziwiali ich butną postawę i nie ugięty nieszczęściem animusz. Za czym ukazały się wozy z oficerami i rannymi. W naczelnym leżał Benedykt Oxenstierna, kanclerz, przed którym król kazał broń prezentować piechocie, chcąc okazać, że nawet w nieprzyjacielu cnotę uszanować umie.

Potem, przy odgłosie bębnow i także z rozpuszczonymi chorągwiami, szły czworoboki nieporównanej piechoty szwedzkiej, podobne, wedle wyrażenia Subaghaziego, do chodzących zamków. Za nimi ukazał się świetny orszak rajtarii, przybranej w blachy od stóp do głowy, z błękitną chorągwią, na której złoty lew był wyszyty. Rajtarowie ci otaczali sztab główny. Na ich widok poszedł szmer przez tłumy:

– Wittenberg jedzie! Wittenberg!

Jakoż jechał sam feldmarszałek, a przy nim Wrangel młodszy, Horn, Ersin, Loewenhaupt, Forgell. Oczy polskich rycerzy zwróciły się z chciwością w ich stronę, a zwłaszcza na twarz Wittenberga. Lecz oblicze jego nie zwiastowało tak straszliwego wojownika, jakim był w samej istocie. Była to twarz stara, blada, wyniszczona przez chorobę. Rysy miał ostre, nad ustami nosił rzadki i mały wąs, zadarty w końcach ku górze. Zaciśnięte usta i śpiczasty, długi nos nadawały mu pozór starego i drapieżnego skąpca. Przybrany w



czarny aksamit i w czarny kapelusz na głowie, wyglądał raczej na uczonego astrologa lub na medyka, i tylko złoty łańcuch na szyi oraz brylantowa gwiazda na piersiach i buława feldmarszałkowska w ręku zdradzały jego wysoka hetmańska szarzę.

Jadąc rzucał niespokojnie oczyma na króla, na sztab królewski, na stojące w szyku chorągwie, po czym wzrok jego ogarniał niezmiernie tłumy pospolitego ruszenia i ironiczny uśmiech ukazywał mu się na bladych wargach.

A w tych tłumach szmer rosł coraz bardziej i słowo: „Wittenberg! Wittenberg!” – było na wszystkich ustach.

Po chwili szmer zmienił się w pomruk głuchy, ale groźny, jak pomruk morza przed burzą. Od chwili do chwili cichł; a wówczas hen! w dali, w ostatnich szeregach, słychać było jakiś głos perorujący. Temu głosowi odpowiadały inne, odpowiadało ich coraz więcej, rozlegały się coraz silniej, rozbiegały się coraz szerzej jakby jakieś echa złowrogie. Przysięgłbyś, że burza idzie z oddali, że wybuchnie z całą siłą.

Dostojnicy stropili się i poczęli niespokojnie spoglądać na króla.

– Co to jest? co to znaczy? – pytał Jan Kazimierz.

Wtem pomruk przeszedł w huk tak straszny, jakby grzmoty poczęły w niebie walczyć ze sobą. Niezmiernie tłumy pospolitego ruszenia poruszały się gwałtownie, zupełnie jak łan zboża, gdy huragan zawadzi o niego swym olbrzymim skrzydłem. Nagle kilkadziesiąt tysięcy szabel zabłysło w słońcu.

– Co to jest? co to znaczy? – spytał powtórnie król.

Nikt nie umiał mu odpowiedzieć.

– Wtem Wołodyjowski stojący w pobliżu przy panu Sapieżu zakrzyknął:

– To pan Zagłoba!

Wołodyjowski odgadł. Jak tylko bowiem warunki kapitulacji zostały ogłoszone i doszły do uszu pana Zagłoby, stary szlachcic wpadł w gniew tak straszny, że mowa była mu przez jakiś czas odjętą. Przyszedłszy do siebie, zaczął od tego, iż wskoczył między szeregi pospolitego ruszenia i począł burzyć umysły. Słuchano go chętnie, bo wszystkim się zdało, że za tyle męstwa, za tyle trudów, za tyle krwi wylanej pod murami Warszawy lepszą powinni mieć nad nieprzyjacielem zemstę. Otaczały więc Zagłobę potężne koła niesfornej i burzliwej szlachty, a on całymi garściami rzucał rozżarzone węgle na prochy i wymową rozdmuchiwał coraz większy pożar, który tym łatwiej ogarniał głowy, że już i tak dymiały od zwykłych po zwycięstwie libacji.

– Mości panowie! – mówił Zagłoba. – Oto te stare ręce pięćdziesiąt lat już pracują dla ojczyzny, pięćdziesiąt lat przelewały krew nieprzyjacielską przy wszystkich ścianach Rzeczypospolitej, teraz zasię – mam świadków! – one to pałac Kazanowskich i kościół bernardyński zdobyły! A kiedy, mości panowie, Szwedzi stracili otuchę, kiedy na kapitulację się zgodzili? – oto wówczas, gdyśmy armaty od Bernardynów na Stare Miasto wyrzucowali. Nie żałowano tu naszej krwi, bracia, hojnie nią szafowano, a pożalowano tylko samego nieprzyjaciela. To my, bracia, substancję zostawiamy bez gospodarza, czeladź bez pana, żonę bez męża, dziatki bez ojca... (o moje dziatki, co się z wami teraz dzieje!) i przychodzimy tu z gołą piersią na armaty, a jakaż nam za to nagroda? Oto taka: Wittenberg wolny odchodzi i jeszcze go honorują na drogę. Odchodzi kat naszej ojczyzny, odchodzi bluźniciel przeciw wierze, Najświętszej Panny wróg zaciekły, podpalacz naszych domów, zdzierca naszych szat ostatnich, morderca żon i dzieci naszych! (o moje dziatki, gdzie wy teraz!) hańbiciel duchowieństwa i panienek Bogu poświęconych... Biada tobie, ojczyzno! hańba tobie, szlachto! paroksyzm tobie nowy, wiaro nasza święta! biada wam, kościoły utrapione, płacz tobie i narzekanie, Częstochowo! – bo Wittenberg odchodzi wolno i wróci wkrótce łzy i krew wyciskać, dobijać, których nie dobił, palić, czego jeszcze nie spalił, hańbić, czego jeszcze nie zhańbił. Płacz, Korono i Litwo, płaczcie, wszystkie stany, jako ja

płacze, stary żołnierz, który, do grobu zstępując, na paroksyzm wasz patrzyć musi... Biada tobie, Illium, miasto starego Priama! Biada! biada! biada!

Tak to prawili pan Zagłoba, a tysiące słuchały go i gniew podnosił szlaccie włosy na czuprynach, on zaś jechał dalej i znów biadał, i szaty darł na sobie, i piersi odkrywał. Wnikał też i w wojsko, które także chętnie skargom jego ucho podawało, istotnie bowiem straszliwa była przeciw Wittenbergowi we wszystkich sercach zawziętość. Tumult byłby wybuchł od razu, ale powstrzymał go sam Zagłoba z obawy, że gdy za wcześniej wybuchnie, wówczas Wittenberg może jeszcze jakoś wyratować, a jeśli wybuchnie wówczas, gdy będzie wyjeżdżał z miasta i na oczy się pospolitemu ruszeniu pokaże, to go na szablach rozniosą, zanim się kto opatrzy, co się dzieje.

I wyrachowania jego sprawdzili się zupełnie. Na widok okrutnika szal ogarnął mózgi niesfornej a podpilej szlachty i w mgnieniu oka burza wybuchła straszliwa. Czterdzieści tysięcy szabel zabłysło w słońcu, czterdzieści tysięcy gardzieli poczęło ryczeć: „Śmierć Wittenbergowi!” – „Dawajcie go sami!” – „Bigosować! bigosować!” Do tłumów szlacheckich przyłączyły się tłumy niesorniejszej jeszcze, a rozbestwionej niedawnym przelewem krwi czeladzi, nawet karniejsze regularne chorągwie jeły szemrać groźnie przeciw ciemnicy i burza poczęła lecieć z wściekłością na sztab szwedzki.

W pierwszej chwili stracili wszyscy głowę, choć wszyscy od razu zrozumieli, o co idzie. „Co czynić?” – ozwały się głosy przy królu. „Jezu miłosierny!” – „Ratować! osłaniać!” – „Hańba nie dotrzymać umowy!”

Wtem tłumy rozżarte wpadają między chorągwie, cisną je, chorągwie mieszają się, nie mogąc ustać na miejscu.

Naokół widać szable, szable i szable, pod nimi rozpalone twarze, wytrzeszczone oczy, wyjące usta; zgiełk, szum i dzikie okrzyki rosną z przerażającą szybkością, na czele leci czeladź, ciury i wszelka wojskowa hołota, podobniejsza do zwierząt lub diabłów niż do ludzi.

Zrozumiał i Wittenberg, co się dzieje. Twarz mu pobladła jak płótno, pot obfity a zimny zrosił mu w jednej chwili czoło i – o dziwo! – ów feldmarszałek, który przedtem światu całemu gotów był przegrazać, ów pogromca tyłu armii, zdobywca tyłu miast, ów stary żołnierz, zląkł się teraz tak okropnie wyjącej tłuszczy, iż przytomność opuściła go zupełnie. I począł dygotać całym ciałem, i ręce opuścił, i jęczał, i ślina poczęła mu ciec z ust na złoty łańcuch, a buława marszałkowska z ręki wypadła. Tymczasem straszliwa ciżba była coraz bliżej i bliżej; już, już okropne postacie otaczały nieszczęsnych generałów naokół, chwila jeszcze, a rozniosą tak wszystkich na szablach, że jednego szczątka nie zostanie.

Inni generałowie powydobywali szpady chcąc umrzeć z bronią w ręku, jak na rycerzy przystało, lecz stary ciemiezca zesłabł zupełnie i przymrużył oczy.

Wtem pan Wołodyjowski skoczył sztabowi na ratunek. Chorągiew, idąc w skok klinem, roztrącała tak tłuszcze, jak okręt płynący wszystkimi żaglami roztrąca spiętrzone fale morza. Krzyk traktowanej hołoty pomieszał się z krzykiem laudańskich, lecz jeźdźcy pierwiej dopadli sztabu i otoczyli go w mgnieniu oka murem koni, murem piersi własnych i szabel.

– Do króla! – krzyknął mały rycerz.

I ruszyli. Tłum otoczył ich ze wszystkich stron, biegł z boków, z tyłu, wywijał szablami i drągami, wył coraz straszniej, lecz oni parli naprzód, tnąc szablami od czasu do czasu na boki, jak tnie potężny odyniec otoczony przez stado wilków.

Wtem Wojniłowicz skoczył w pomoc Wołodyjowskiemu, za nim Wilczkowski z królewskim pułkiem, za nim kniaź Połubiński i wszyscy razem, oganiając się ustawicznie, przyprowadzili sztab przed oblicze Jana Kazimierza.

Tumult, zamiast zmniejszać się, rósł coraz bardziej. Zdawało się przez chwilę, że roz-  
hukana tłuszcza, bez względu na majestat, będzie chciała dostać w ręce jenerałów. Witten-  
berg oprzytomniał, ale strach nie opuścił go bynajmniej, więc zeskoczył z konia, jak zając  
napierany przez psy lub wilki chroni się aż pod wozy zaprzężone, tak on kopnął się, mimo  
podagry, aż pod nogi królewskie.

Tam rzucił się na kolana i chwyciwszy za strzemień, począł krzyczeć:

– Ratuj, miłościwy panie! ratuj! Mam twoje słowo królewskie, ugoda podpisana, ratuj,  
ratuj! Zmiłuj się nad nami! Nie pozwalaj mnie zamordować!

Król na widok takiego upokorzenia i takiej hańby odwrócił ze wstrętem oczy i rzekł:

– Panie feldmarszałku, uspokój się pan!

Lecz sam miał twarz strapioną, bo nie wiedział, co czynić. Naokół zbierały się coraz  
wieksze tłumy i zbliżały się coraz natarczywiej. Wprawdzie stanęły chorągwie jakby do  
boju, a piechota zamojska utworzyła naokół groźny czworobok, lecz jaki miał być wszyst-  
kiego koniec?

Król spojrział na Czarnieckiego, lecz ten tylko brodę kręcił z wściekłością, takim  
gniewem wzburzyła mu się dusza przeciw niekarnośći pospolitego ruszenia.

Tymczasem kanclerz Koryciński rzekł:

– Miłościwy panie, trzeba ugody dotrzymać.

– Tak jest! – rzekł król.

Wittenberg, który pilno patrzył im w oczy, odetchnął swobodniej.

– Najjaśniejszy panie! – zawołał – wierzyłem w twoje słowa jak w Boga!

A na to stary hetman koronny, pan Potocki:

– A czemuś to waść tyle przysiąg, tyle ugód i kapitulacyj łamał? Kto czym wojuje, od  
tego ginie... Wszakże to Wolfa, pułk królewski, wbrew kapitulacji zagarnął?

– To nie ja, to Miller, to Miller – odrzekł Wittenberg.

Hetman spojrział z pogardą, za czym odwrócił się do króla:

– Miłościwy panie! Nie mówię tego, abym waszą królewską mość miał do złamania  
także ugody pobudzać, bo niechże wiarołomstwo po ich jeno stronie będzie.

– Więc co czynić? – spytał król.

– Jeśli go teraz do Prus odeślę, to z pięćdziesiąt tysięcy szlachty ruszy za nim i nim do  
Pułtusza dojedzie, już go rozsiekają... Chybaby mu cały komput wojska za stróżę dodać, a  
tego czynić nie mogę... Słyszysz, wasza królewska mość, jako tam wyją. *Revera...*  
słuszna jest przeciw niemu zawziętość... Trzeba naprzód jego osobę ubezpieczyć a odesłać  
wszystkich wówczas, gdy ten ogień ugaśnie.

– Nie może inaczej być! – rzekł kanclerz Koryciński.

– Ale gdzie go ubezpieczyć? Tu go trzymać nie mogę, bo tu, u licha, wojna domowa  
wybuchnąć gotowa – ozwał się pan wojewoda ruski.

Na to wystąpił pan starosta kałuski, Sobiepan, i wydymając mocno wargi rzekł ze  
zwykłą sobie fantazją:

– A cóż! miłościwy panie! Dajcie mi ich do Zamościa, niech posiedzą, póki się spokój  
nie uczyni. Już ja go tam przed szlachtą obronię... Ba! niech mi spróbują go wydrzeć! Ba!

– Ale w drodze, jak go wasza dostojność obronisz? – spytał kanclerz.

– Ha! jeszcze mnie na pachółków stać. Albo to nie mam piechoty i dział, co? Niech go  
Zamoyskiemu wydrą! Obaczmy!

Tu zaczął się w boki brać, po udach klepać i na kulbace na obie strony się przechylać.

– Nie ma innej rady! – rzekł kanclerz.

– I ja nie widzę! – dodał pan Lanckoroński.

– To ich i weźcie, panie starosto! – rzekł do Zamoyskiego król.

– Nie tegośmy się spodziewali! – rzekł.

Na to pan Potocki ukazując w dal ręką:

– A to proszę, nie zatrzymujem, wolna droga!

Wittenberg umilkł.

Tymczasem kanclerz rozesał kilkadziesiąt oficerów, aby głosili wzburzonej szlachcie, że Wittenberg nie odejdzie wolno, ale zostanie odesłany do Zamościa. Tumult nie zaraz wprawdzie się uciszył, jednakże wieść podziałała uspokajająco. Nim wieczór zapadł, umysły zwróciły się w inną stronę. Wojska poczęły wchodzić do miasta i widok odzyskanej stolicy napełnił wszystkie dusze radością tryumfu.

Radował się i król, jednakże myślał, że nie mógł w zupełności dotrzymać warunków ugody, trapiła go nie pomału, zarówno jak wieczna niekarność pospolitego ruszenia.

Czarnecki żuł w sobie gniew.

– Z takim wojskiem nigdy nie można być jutra pewnym – mówił do króla. – Czasem bije się źle, czasem po bohatersku, wszystko od fantazji, a lada podmuch, to i bunt gotowy.

– Daj Boże, by się nie zaczęli rozjeżdżać – rzekł król – bo jeszcze potrzebni, a już myślą, że wszystkiego dokonali.

– Sprawca tego rozruchu powinien być końmi rozerwan, bez względu na usługi, jakie oddał! – mówił dalej Czarnecki.

Kazano też najsurowiej szukać pana Zagłoby, bo nikomu nie było tajno, że on to podniósł burzę, lecz pan Zagłoba jak w wodę wpadł. Szukano go w mieście, w namiotach, między toborem, nawet między Tatarami, wszystko na próżno. Powiadał przy tym Tyzenhauz, że król, jak zawsze dobry i miłościwy, życzył sobie z całej duszy, żeby go nie znaleziono, i że nawet nowennę na to odprawiał.

Zaś w tydzień później, po jakimś obiedzie, gdy monarsze serce wezbrało radością, usłyszano z ust Jana Kazimierza słowa następujące:

– A rozgłoście tam, żeby się pan Zagłoba dłużej nie chował, bo już nam po nim i jego krotchwilach tęskno!

Gdy kasztelan kijowski zachnął się na to, król dodał:

– Kto by w tej Rzeczypospolitej jeno sprawiedliwość, nie miłosierdzie miał w sercu, ten by, zamiast serca, topór w piersiach nosić musiał. O winę tu łatwiej niż gdzie indziej, ale też i poprawa nigdzie tak rychło nie następuje!

A mówiąc to, miał pan więcej jeszcze Babinicza na myśli niż Zagłobę, zaś o Babiniczu myślał dlatego, że młody junak właśnie poprzedniego dnia pokłonił się do nóg królewskich z prośbą, by mu na Litwę nie było wzbroniono jechać. Mówił, że chce tam wojnę ożywić i Szwedów podchodzić, jak niegdyś Chowańskiego podchodził. A ponieważ król i tak miał zamiar posłać tam doświadczonego w podjazdowej wojnie żołnierza, więc pozwolił, opatrzył, pobłogosławił i jeszcze mu czegoś tam po cichu do ucha życzył, po którym życzeniu padł mu młody rycerz do nóg jak długi.

Po czym nie zwłócząc ruszył rażno na wschód. Subaghazi, znacznym podarkiem ujęty, pozwolił mu nowych pięciuset dobrudzkich ordyńców z sobą zabrać, szło więc za nim półtora tysiąca ludzi dobrych, siła, z którą można było przecie coś począć. I paliła się głowa junacka chęcią bojów i wojennych czynów, śmiała mu się nadzieja sławy; słyszał już, jak cała Litwa wymawia z chlubą i podziwem jego imię... Słyszał zwłaszcza, jak powtarzają je jedne kochane usta, i dusza dostawała mu skrzydeł.

A jeszcze i dlatego tak mu się jechało rażno, że gdzie przyjechał, tam pierwszy szczęsną wieść zwiastował, iż Szwed pobit i Warszawa wzięta. Warszawa wzięta! Gdzie zatętniły kopyta jego konia, tam całe okolice rozbrzmiewały tymi słowami, tam lud witał go z płaczem na drogach, tam bito we dzwony po kościołach i śpiewano *Te Deum laudamus!* Gdy jechał lasem, to sosny ciemne, gdy polami, to łąny zbóż złocistych, wiatrem kołysane, zdawały się powtarzać, szumiąc radośnie:

– Szwed pobit! Warszawa wzięta! Warszawa wzięta!

## ROZDZIAŁ XV

Jakkolwiek Ketling bliskim był osoby księcia Bogusława, jednakże nie wszystko wiedział i nie wszystko umiał opowiedzieć Kmicicowi, co się działo w Taurogach, albowiem zaślepiło go to, że sam się w Billewiczównie kochał.

Bogusław innego także miał powiernika, a mianowicie pana Sakowicza, starostę oszmiańskiego, i ten jeden tylko wiedział, jak głęboko zabrnął księżę w afekt dla swej wdzięcznej branki oraz jakich sposobów używał, aby jej serce i osobę posiadać.

Miłość ta była po prostu żądzą piekącą, bo do innych uczuć serce Bogusławowe nie było zdolne, ale tak gwałtowną, iż ów doświadczony w amorach kawaler głowę tracił. I nieraz wieczorami, gdy zostali ze starostą oszmiańskim sam na sam, chwycił się Bogusław za włosy, wołając:

– Gorzej, Sakowicz, gorzej!

Sakowicz wnet sposób znajdował:

– Kto chce miód wybrać – mówił – musi pszczoły odurzyć, a małoż to durzących dryjakwi ma medyk waszej książęcej mości? Dziś mu słowo rzecz, jutro będzie po harapie.

Lecz księżę nie chciał chwycić się tego sposobu, a to z rozmaitych przyczyn. Naprzód, któregoś dnia pojawił mu się we śnie stary pułkownik Billewicz, dziadek Oleńki, i stanąwszy wedle wezgłowa, wpatrywał się w niego, aż do pierwszego piania kogutów, groźnymi oczyma. Bogusław ten sen zapamiętał, tak zaś był ów rycerz bez trwogi przesądny, tak się bał czarów, sennych ostrzeżeń i nadprzyrodzonych zjawisk, iż dreszcz go przejmował na myśl, w jakiej grozie i w jakiej postawie pojawiłoby się po raz wtóry owo widziadło, gdyby za radą Sakowicza poszedł. Sam starosta oszmiański, który w Boga nie bardzo wierzył, ale snów i czarów bał się także, zachwiał się nieco w radach.

Drugą przyczyną powściągliwości Bogusławowej było to, że „Wołoszka” bawiła z pa-sierbicą w Taurogach. Nazywano „Wołoszką” księżną Januszową Radziwiłłową. Pani ta pochodząca z kraju, w którym niewiasty dość wolne miewają obyczaje, nie była wprawdzie zbyt surową, owszem, może aż nadto na uciechy dworzan i fraucymeru wyrozumiała, jednakże nie mogłaby ścierpieć, aby pod jej bokiem człowiek, mający być mężem jej pa-sierbicy, spełnił występki wołający o pomstę do nieba.

Lecz i później, gdy wskutek namów Sakowicza i z wolą księcia wojeowdy wileńskiego „Wołoszka” wyjechała z księżniczką Januszówną do Kurlandii, Bogusław nie ośmielił się na występki. Bał się straszliwego krzyku, który by na Litwie całej powstać musiał. Billewiczowie, ludzie możni, nie omieszkaliby go gnębić procesem, prawo zaś karało podobne uczynki utratą mienia, czci i gardła.

Radziwiłłowie byli wprawdzie dość potężni i mogli deptać po prawie, lecz gdyby zwycięstwo przechyliło się w wojnie na stronę Jana Kazimierza, wówczas i tak mógł młody księżę popaść w srogie terminy, w których zbrakłoby mu potęgi, przyjaciół i poplec-zników. A właśnie trudno już było przewidzieć, jak się wojna skończy, gdy Kazimierzowi co dzień sił przybywało, Karolowa zaś potęga malała konieczną ludzi utratą i wyczerpy-waniem się pieniędzy.

Książę Bogusław, człowiek popędliwy, ale i polityk, liczył się z położeniem. Żądze trawiły go ogniem, rozum doradzał powściągliwość, strach zabobonny kielznał porywy krwi, jednocześnie przyszyły nań choroby, jednocześnie zwały się sprawy wielkie a pilne, od których częstokroć los całej wojny zależał, i te wszystkie przyczyny targały duszę książęcą, aż ja znużyły śmiertelnie.

Wszelako nie wiadomo, jakby się skończyła walka, gdyby i nie miłość własna Bogusławowa. Był to pan niezmiernego o sobie rozumienia. Poczytywał się za niezrównanego statystę, wielkiego wodza, wielkiego rycerza i niezwyciężonego zdobywcę serc niewieścich. Miałżeby uciekać się do siły lub odurzających napajów on, który skrzynię kowaną listów miłosnych od różnych znamienitych zagranicznych dam ze sobą woził? Miałżeby jego dostatki, jego tytuły, jego potęga, królewskiej niemal równa, jego wielkie imię, uroda i dworność nie wystarczyć do pokonania jednej trusi szlacheckiej?

A przy tym, o ileż większy, o ileż więcej rozkoszy, gdy opór dziewczyny sfolżeje i gdy sama dobrowolnie, z bijącym jak u schwytanego ptaka sercem, z palącą twarzą i oczyma zaszłymi mgłą, obsunie się w te ramiona, które się ku niej wyciągają.

Bogusław przechodził dreszcz na myśl o tej chwili i pragnął jej tak prawie mocno jak samej Oleńki. Spodziewał się ciągle, że taka chwila nastąpi, zżymał się, niecierpliwił, łudził samego siebie, czasem zdawało mu się, że jest od niej bliżej, czasem, że dalej, i wówczas wołał, że gorzej, lecz pracować nie przestawał.

Otoczył naprzód dziewczynę drobiazgową troskliwością, tak aby musiała mu być wdzięczną i myśleć, że jest dobry, rozumiał bowiem, że uczucie wdzięczności i przyjaźni jest to łagodny i ciepły płomyk, który później należy tylko rozdmuchać, a wraz w wielki żar się zmieni. Częste przestawanie ich ze sobą miało służyć do tego, aby to przyszło tym pewniej, dlatego też nie okazywał Bogusław żadnej natarczywości, nie chcąc zmrozić zaufania ani przestraszyć.

Tymczasem każde spojrzenie, każde dotknięcie ręki, każde słowo, nic nie szło na darmo, jeno musiało być kroplą drażącą kamień. Wszystko, co czynił dla Oleńki, mogło się tłumaczyć gościnnością gospodarza, owym niewinnym pociąganiem przyjaznym, jaki jedna istota dla drugiej uczuwa, ale jednak było to czynione tak, jakby czyniła miłość. Granica była umyślnie zatarta i niewyraźna, aby przekroczenie jej stało się z czasem łatwiejszym i aby dziewczyna snadniej zabłądziła w tych manowcach, gdzie każdy kształt mógł coś, ale mógł i nic nie znaczyć. Gra ta nie godziła się wprowadzić z wrodzona popędliwością Bogusława, wszelako hamował się, bo sądził, że ona jedynie może doprowadzić do celu, a zarazem znajdował w niej upodobanie takie, jakie znajduje pajak napinający sieć, zdradliwy ptasznik zastawiający sidła lub strzelec tropiący cierpliwie a wytrwale zwierza. Bawiła księcia własna przenikliwość, subtelność i bystrość, których nauczył go pobyt na dworze francuskim.

Jednocześnie podejmował pannę Aleksandrę jakby księżną udzielną, ale tak, że znowu niełatwo było jej odgadnąć, czyli to dzieje się wyłącznie dla niej, czy też wypływa z jego przyrodzonej i nabytej dworności dla płci białej w ogóle.

Wprawdzie czynił ją główną osobą wszystkich zabaw, igrzysk, kawalkad i wypraw myśliwskich, lecz wypływało to nieco z natury rzeczy; po wyjeździe księżnej Januszowej do Kurlandii ona była istotnie najdostojniejszą wśród niewiast zgromadzonych w Taurogach. Schroniło się wprawdzie do Taurogów, jako do miejsca leżącego tuż przy granicy, mnóstwo szlachcianek z całej Żmudzi, aby się pod opieką książęcą od Szwedów uchronić, te jednak same Billewiczównie, jako córce najzaciejszego rodu, prym we wszystkim przyznawały. A tymczasem, gdy cała Rzeczpospolita zalewała się krwią, uroczystościom nie było końca. Rzekłbyś: dwór królewski ze wszystkimi dworzany i pannami zjechał na wieś dla wczasu i zabaw.

Bogusław rządził jak samowładny monarcha w Taurogach i w całych przyległych Prusach elektorskich, w których częstym bywał gościem, więc wszystko było na jego rozkazy. Miasta dostarczały na skrypty pieniędzy, wojsk, szlachta pruska z ochotą zjeżdżała koleśno i konno na uczy, karuzele i łowy. Bogusław wskrzesił nawet na cześć swej damy zaniechane już wówczas gonitwy rycerskie w szrankach.

Pewnego razu sam wziął w nich czynny udział i przybrany w srebrną zbroję, a przepasny błękitną wstęgą, którą panna Aleksandra musiała go przewiązać, zwałił z konia czterech najprzedniejszych rycerzy pruskich, piątego Ketlinga, a szóstego z kolei Sako-wicza, choć ten siłę miał tak olbrzymią, że karety, uchwyciwszy za koło, w biegu zatrzymywał. I co za zapal powstał w tłumie widzów, gdy natępnie srebrny rycerz klękawszy przed swą damą brał z jej rąk wieniec zwycięstwa. Okrzyki brzmiały na podobieństwo grzmotu dział, wiewały chustki, klaniały chorągwie, on zaś uniósł przyłbicy i patrzył w jej zapłonioną twarz swymi ślicznymi oczyma, przyciskając jednocześnie do ust jej ręce.

Innym razem, gdy wśród parkanów rozwścieczony niedźwiedź zażerał się z psami i wszystkie z kolei rozciągnął, księżę, przybrany tylko w lekka szatę hiszpańską, skoczył do środka z oszczepem i skłuł nie tylko srogą bestię, ale i trabanta, który widząc chwilę niebezpieczeństwa poskoczył mu na ratunek.

Panna Aleksandra, wnuczka starego żołnierza, wychowana w tradycjach krwi, wojny i czci dla przewag rycerskich, nie mogła się oprzeć na widok tych czynów podziwowi, a nawet uwielbieniu, nauczono ja bowiem z małego uważać męstwo za pierwszy niemal przymiot męża.

Tymczasem księżę co dzień składał dowody nadludzkiej prawie odwagi, i co dzień na cześć Oleńki. Goście zebrani, w pochwałach i uniesieniach dla księcia tak wielkich, że bóstwo samo poprzestać by na nich mogło, musieli mimo woli łączyć w rozmowach jej imię z imieniem Bogusława. On milczał, lecz oczyma wypowiadał jej to, czego nie śmiały wypowiedzieć usta... Czar otaczał ją dokoła.

Wszystko układało się w ten sposób, żeby ich zbliżyć, łączyć, a zarazem wyłączać z tłumu innych ludzi. Trudno było wspomnieć komuś o nim, by jednocześnie o niej nie wspomniał. Myślom samej Oleńki Bogusław narzucał się z siłą nieprzepartą. Każda chwila dnia była obrachowana na to, by czas potężniał.

Wieczorem, po igrzyskach, pokoje płonęły od lamp różnokolorowych, rzucających blaski tajemnicze a słodkie, jakoby z krainy snów rozkosznych na jawę przeniesione; upajające wschodnie wonie przesycaly powietrze, ciche dźwięki niewidzialnych harf, lutni i innych instrumentów pieściły uszy, a wśród tych aromatów, światła, dźwięków chodził on, w glorii powszechnych uwielbień, niby zaczarowany królewicz z bajki, młody, piękny, rycerski, świecący jak słońce od klejnotów, a jako pasterz rozkochany...

Jakaż dziewczyna mogła się oprzeć tym urokom?... A unikać młodego księcia nie było możliwości żyjąc z nim pod jednym dachem i korzystając z jego gościnności, którą aczkolwiek przemoca narzucił, jednakże szczerze i prawdziwie po pańsku wypełniał. Przy tym Oleńka udała się bez niecheci do Taurogów, bo je wołała od ohydnych Kiejdan, również jak wołała rycerskiego Bogusława, który udawał przed nią miłość do opuszczonego króla i ojczyzny, od jawnego zdrajcy Janusza. Owszem, w początkach swego pobytu w Taurogach, pełna była przyjaznych uczuć dla młodego księcia, a spostrzegłszy wkrótce, jak dalece i on stara się o jej przyjaźń, używała nieraz swego wpływu, aby ludziom dobrze czynić.

W trzecim miesiącu jej bytności pewien oficer artylerii, przyjaciel Ketlinga, skazany został na rozstrzelanie przez księcia; Billewiczówna, dowiedziawszy się o tym od młodego Szkota, wniosła za nim instancję.

– Bóstwo może rozkazywać, nie prosić – odrzekł jej Bogusław i przedarłszy wyrok śmierci, rzucił jej do nóg. – Rządź, rozkazuj! Taurogi spalę, jeżeli choć uśmiech za tę cenę

zdołam na twej twarzy wywołać. Nie chcę innej nagrody, jeno mi bądź wesołą i zapomnij o tym, co dawniej bolało!

Ona wesołą nie mogła być, mając w sercu ból, żal i niewypowiedzianą pogardę dla człowieka, którego pierwszą miłością pokochała, a który teraz był w oczach jej większym zbrodniarzem od ojcobójcy. Ów Kmicic, obiecujący za czerwone złote wydać króla jak Judasz Chrystusa, zohydzał się i szpetniał coraz bardziej w jej oczach, aż z biegiem czasu zmienił się w potwór ludzki, w zgryzotę, w wyrzut dla niej samej. Nie mogła sobie darować, iż go kochała, a zarazem nie mogła go zapomnieć nienawidząc.

Wobec tych uczuć trudno jej było nawet udawać wesołość, ale natomiast musiała być księciu wdzięczną i za to, że do zbrodni Kmicicowej nie chciał przyłożyć ręki, i za wszystko, co dla niej czynił. Dziwno jej to było, że młody książę, taki rycerz i tak pełen szlachetnych uczuć, nie śpieszył na ratunek ojczyźnie, choć się na praktyki Januszowe nie zgadzał, sądziła wszelako, że taki statysta wie, co robi, i że tego wymaga polityka, której ona swym prostym panięńskim rozumem pojąć nie może. Bogusław napomykał jej też, tłumacząc swoje częste do bliskiej pruskiej Tylży wyjazdy, że sił mu już nie staje od zbyt-nej pracy, że prowadzi układy między Janem Kazimierzem, Karolem Gustawem, elektorem i że spodziewa się ojczyznę z toni wydźwignąć.

– Nie dla nagród, nie dla urzędów to czynię – mówił do niej – brata Janusza nawet poświęcam, który był mi ojcem, bo nie wiem, czy życie dla niego u zawziętości królowej Ludwiki wyproszę, ale czynie to, co mi Bóg, sumienie i afekt dla miłej matki ojczyzny nakazuje...

Gdy tak mówił ze smutkiem w delikatnej twarzy i oczyma ku pułapowi zwróconymi, wydawał jej się wzniosłym jako ci bohaterowie starożytni, o których stary pułkownik Billewicz jej opowiadał, co sam w Korneliuszu wyczytał. I wzbierało w niej serce podziwem, uwielbieniem. Powoli doszło do tego, że gdy myśli o nienawistnym Andrzeju Kmicicu zbyt ją zmęczyły, myślała o Bogusławie, aby się ukoić i pokrzepić. Tamten uosabiał dla niej straszliwą i ponurą ciemność, ten światło, w którym rada się kąpie każda dusza stro-skana. Pan miecznik rosieński i panna Kulwiecówna, którą także sprowadzono z Wodok-tów, popychali jeszcze Oleńkę po owej pochyłości, śpiewając od rana do wieczora hymny pochwalne na cześć Bogusława. Ciężyli mu wprawdzie oboje w Taurogach tak, iż o tym tylko myślał, jakby ich grzecznie precz wyprawić, ale ich sobie zjednał, a zwłaszcza pana miecznika, który z początku niechętny, nawet zagniewany, nie mógł się jednak przyjaźni i faworom Radziwiłła oprzeć.

Gdyby Bogusław był tylko znamienitego rodu szlachcicem, nie zaś Radziwiłłem, nie księciem, nie magnatem w monarchiczny niemal majestat przyodzianym, byłaby może Billewiczówna zakochała się w nim na śmierć i życie, wbrew testamentowi starego pułkownika, który jej wybór tylko między klasztorem a Kmicicem zostawiał. Lecz była to panna surowa dla siebie samej i dusza bardzo prawa, więc nawet nie dopuściła do głowy ani marzenia o niczym innym, jak o wdzięczności i podziwieniu dla księcia.

Ród jej był zbyt mały, by mogła zostać żoną, a zbyt wielki, by mogła zostać kochanicą Radziwiłła, patrzyła więc na niego, jakby patrzyła na króla będąc przy dworze. Próżno sam starał się nasuwać inne myśli; próżno sam, zapamiętawszy się istotnie w miłości, częścią z rachuby, częścią z uniesienia, powtarzał nieraz, co swego czasu mówił pierwszego wieczoru w Kiejdanach, że Radziwiłłowie nieraz się z szlachciankami żenili; owe myśli nie czepiały się jej, jak woda nie czepia się piersi łabędziej, i pozostała, jaka była, wdzięczną, przyjazną, wielbiącą, szukającą ulgi w myśli o bohaterze, lecz w sercu spokojną.

On zaś nie umiał się w jej uczuciach połapać i często wydawało mu się, że jest bliskim celu. Lecz sam ze wstydem i złością wewnętrzną spostrzegł, że nie jest tak śmiałym względem niej, jak bywał względem najpierwszych dam w Paryżu, w Brukseli i w Am-



sterdamie. Może to było dlatego, że się naprawdę zakochał, a może dlatego, że w tej panie, w jej twarzy, ciemnych brwiach i surowych oczach było coś takiego, co nakazywało szacunek. Jeden jedyny Kmicic nie podlegał swego czasu temu wpływowi i ani dbając śmiało garnął się do całowania tych surowych oczu i dumnych ust, ale Kmicic był jej narzeczonym.

Wszyscy inni kawalerowie, począwszy od pana Wołodyjowskiego, skończywszy na bardzo rubasznej szlaczce pruskiej w Taurogach i samym księciu, mniej byli z nią poufali niż z innymi pannami takiej samej kondycji. Księżca unosiła wprawdzie popędliwość, ale gdy raz w karecie nacisnął jej nogę szepcząc jednocześnie: „Nie bój się...” – a ona odrzekła, iż właśnie boi się, by nie pożałowała położonej w nim ufności. Bogusław zmieszał się i powrócił do dawnej drogi stopniowego podbijania jej serca.

Lecz wyczerpywała się i jego cierpliwość. Powoli zaczął też zapominać o strasznym widziadłe, które mu się we śnie pojawiło, coraz częściej rozmyślał nad tym, co Sakowicz radził, i nad tym, że Billewiczowie w wojnie wszyscy wyginą; żądze piekły go coraz potężniej, gdy nagle zaszła okoliczność, która bieg rzeczy w Taurogach zupełnie zmieniła.

Pewnego dnia przyszła wieść jak piorun, że Tykocin przez pana Sapiechę wzięty, a książe hetman wielki stracił życie w zwałiskach zamku.

Zawrzało wszystko w Taurogach, sam Bogusław zerwał się i wyjechał tegoż samego dnia do Królewca, w którym miał widzieć się z ministrami króla szwedzkiego i elektora.

Pobyt jego przedłużał się nad pierwotny zamiar. Tymczasem do Taurogów poczęły ścigać oddziały wojsk pruskich, a nawet i szwedzkich. Poczęto mówić o wyprawie przeciw panu Sapieże. Naga prawda, iż Bogusław był stronnikiem Szwedów, tak jak jego stryj Janusz, wychodziła na wierzch coraz wyraźniej.

Zdarzyło się, że jednocześnie pan miecznik rosieński odebrał wiadomość o spaleniu rodzinnych Billewicz przez oddziały Loewenhaupta, które, pobiwszy powstańców żmudzkich pod Szawlami, niszczyły ogniem i mieczem cały kraj.

Wówczas szlachcic zerwał się i pojechał chcąc szkody własnymi oczyma zobaczyć, a książe Bogusław wcale go nie wstrzymywał – owszem, chętnie wyprawił, rzekłszy tylko na drogę:

– Teraz waszmość rozumiesz, dlaczego was do Taurogów sprowadził, bo po prostu mówiąc, życie mi zawdzięczacie.

Oleńka została sama z panną Kulwiecówną i natychmiast zamknęła się w swych komnatach, nikogo prócz niektórych niewiast nie widując. Te gdy jej przyniosły wieść, iż książe gotuje wyprawę przeciw wojskom polskim, nie chciała im zrazu wierzyć, lecz pragnąc się upewnić kazała prosić do siebie Ketlinga, wiedziała bowiem, iż młody Szkot niczego przed nią nie utai.

Jakoż stawił się natychmiast, szczęśliwy, że go przywołano, że przez chwilę będzie mógł rozmawiać z tą, która opanowała mu duszę.

Billewiczówna poczęła go wypytywać:

– Panie kawalerze – rzekła – tyle wieści krąży po Taurogach, że błądzimy w nich jak wśród lasu. Jedni mówią, że książe wojewoda swoją śmiercią zmar; drudzy, że na szablach rozniesion. Jaka jest przyczyna jego śmierci?

Ketling zawahał się przez chwilę; widocznym było, że walczy z wrodzoną nieśmiałością, na koniec zarumienił się mocno i odrzekł:

– Przyczyną upadku i śmierci księcia wojewody pani jesteś.

– Ja?... – zapytała ze zdumieniem panna Billewiczówna.

– Tak jest, bo książe nasz wołał zostać w Taurogach niż bratu iść na ratunek. O wszystkim tu zapomniał... przy tobie, pani.

Teraz ona z kolei zapłonęła jak róża purpurowa.

Nastała chwila milczenia.

Szkot stał z kapeluszem w ręku, ze spuszczonej oczyma i głową schyloną na piersi, w postawie pełnej czci i uszanowania, na koniec podniósł głowę, strząsnął jasne pukle włosów i rzekł:

– Pani, jeżeli cię obraziły moje słowa, pozwól mi klęknąć przed sobą i na kolanach prosić cię o przebaczenie.

– Nie czyń tego, panie kawalerze – odrzekła żywo panna widząc, że młody rycerz zgina już kolano. – Wiem, iż coś rzekł, toś rzekł w szczerości serca, bom to z dawna spostrzegła, żeś mi życzliwy. Zali nie tak? Zali mi waćpan nie życzysz?...

Oficer podniósł swe anielskie oczy do góry i położywszy rękę na sercu, głosem tak cichym jak szmer wiatru, a smutnym jak westchnienie rzekł tylko:

– Ach, pani! pani!...

I w tej chwili przestraszył się, że za wiele powiedział więc znów głowę schylił na piersi i przybrał postawę dworzanina słuchającego rozkazów ukochanej królowny.

– Wśród obecnych tu jestem i bez opieki – rzekła Oleńka – a choć sama potrafię czuć nad sobą i Bóg mnie od przygody uchroni, przecież i ludzkiej mi pomocy potrzeba. Chcesz-li waćpan być moim bratem? Chcesz mnie ostrzec w potrzebie, abym wiedziała, co czynić, i wszelakich siდეł uniknąć mogła?

To rzekłszy wyciągnęła doń rękę, on zaś teraz przyklęknął, mimo iż mu bronila, i ucałował końce jej palców.

– Mów waćpan, co tu się dzieje koło mnie?

– Księżę kocha panią – odrzekł Ketling. – Czyś pani tego nie spostrzegła?

Ona zaś zakryła twarz rękoma.

– Widziałam i nie widziałam. Czasem wydawało mi się, że on jeno dobry bardzo...

– Dobry!... – powtórzył jak echo oficer.

– Tak jest. A czasem, gdy mi przyszło do głowy, że, niestety, żądze wzbudzić w nim mogła, to i tak uspokajała się tym, iż żadna mi od niego nie grozi napastliwość. Byłam mu wdzięczna za to, co mnie czynił, choć, Bóg widzi, nie wyglądałam jego nowych łask, bojąc się i tak tych, które już wyświadczył.

Ketling odetchnął.

– Mógłś śmieć mówić? – zapytał po chwili milczenia.

– Mów waćpan.

– Księżę dwóch ma tylko powierników: pana Sakowicza i Patersona, a Paterson mnie wiele życzliwy, bo z jednych krajów pochodzim i na rękę mnie nosił. Więc co wiem, to wiem od niego. Księżę kocha panią: żądze płoną w nim jako smoła w pochodni. Wszystko, co tu się dzieje, wszystkie owe uczty, łowy, karuzele i ten turniej, po którym dotąd, dzięki księżęcej ręce, krew mi się rzuca ustami, dzieje się dla waćpanny. Księżę miłuje cię, pani, bez pamięci, ale niczystym ogniem, bo cię chce pohańbić, nie zaślubić; bo chociaż nie mógłby znaleźć godniejszej, królem nawet wszystkiego świata, nie tylko księciem będąc, przecie myśli o innej... Przeznaczona mu jest księżniczka Anna i jej fortuna. Wiem to od Pattersona, i Boga wielkiego, jego ewangelię biorę za świadka, że szczerą prawdę mówię. Nie wierz, pani, księciu, nie ufaj jego dobrodziejstwom, nie ubezpieczaj się jego moderacją, czuwaj, strzeż się, bo ci tu zdradę na każdym kroku gotują. Dech zamiera w piersiach od tego, co mi Person mówił. Równego Sakowiczowi zbroniarza w świecie nie ma... nie mogę o tym mówić, po prostu nie mogę mówić! Gdyby nie przysięga, którą księciu składał, że życia i osoby jego strzec będę, ta ręka, pani, i ta szpada uwolniłyby cię od groźby ustawicznej... Ale pierwszego zabił Sakowicza... Tak jest! jego pierwszego przed wszystkimi ludźmi! przed tymi nawet, którzy w mojej ojczyźnie krew z ojca mego wytoczyli, fortunę zagarnęli i tułacza, jurgielnika ze mnie uczynili...

Tu Ketling trząść się począł z uniesienia, przez chwilę gniótł tylko ręką gardę szpady, słowa wyrzec nie mogąc, następnie ochłonął i jednym tchem wypowiedział, jakie sposoby podsuwał księciu Sakowicz.

Panna Aleksandra, ku wielkiemu jego zdziwieniu, zachowała się dość spokojnie, ujrzawszy grożącą sobie przepaść, tylko twarz jej pobladła i stała się jeszcze poważniejszą. Nieugięta wola odbiła się w jej surowym spojrzeniu.

– Potrafię się uchronić! – rzekła – tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż!

– Księżę dotychczas nie chciał iść za radą Sakowicza – dodał Ketling – lecz gdy ujrzy, że droga, którą obrał, do niczego nie prowadzi...

I począł opowiadać o przyczynach, które Bogusława zatrzymywały.

Panna słuchała ze zmarszczoną brwią, ale niezbyt uważnie, bo już poczęła myśleć o tym, jakby się wyrwać spod tej straszliwej opieki. Lecz że w całym kraju nie było miejsca nie oblanego krwią i plany ucieczki nie przedstawiały się jasno, zatem wołała o nich nie mówić.

– Panie kawalerze – rzekł wreszcie – odpowiedz mi na jedno jeszcze pytanie. Stoi-li książę Bogusław po stronie króla szwedzkiego czy polskiego?.

– Nikomu z nas nietajno – odrzekł młody oficer – że księżę nasz pragnie należeć do rozbioru tej Rzeczypospolitej, ażeby Litwę w udzielne księstwo dla siebie zmienić!

Tu umilkł i rzekłbyś, że jego myśl pobiegła mimo woli śladami myśli Oleńki, bo po chwili dodał:

– Elektor i Szwedzi na usługi księcia, a że całą zajmują Rzeczpospolitą, więc nie ma się przed nim gdzie schronić.

Oleńka nie odrzekła nic.

Ketling czekał jeszcze przez chwilę, czy go o co zapytać nie zechce, lecz gdy milczała, ciągle własnymi myślami zajęta, poczuł, że nie należy jej przeszkadzać, więc zgął się we dwoje w pożegnalnym ukłonie, zamiatając ziemię piórami od kapelusza.

– Dziękuję, panie kawalerze – rzekła wyciągnąwszy doń rękę.

Oficer nie odwracając się zaczął cofać się ku drzwiom.

Nagle na twarzy jej pojawiły się lekkie rumieńce, zawahała się przez chwilę, nareszcie rzekła:

– Słowo jeszcze, panie kawalerze.

– Każde jest dla mnie łaską...

– Waćpan znalazł pana... Andrzeja Kmicica...

– Tak jest, pani... z Kiejdan. Ostatni raz widziałem go w Pilwiskach, gdyśmy z Podlasia w te strony ciągnęli.

– Czy prawda?... czy prawdę księżę powiedział, iż mu się pan Kmicic ofiarował na osobę króla polskiego targnąć?...

– Nie wiem, pani... Wiadomo mi jeno, iż się w Pilwiskach ze sobą naradzali, za czym księżę odjechał z nim w lasy i tak długo nie wracał, że Paterson począł się bać i wysłał wojsko na spotkanie. Ja właśnie prowadziłem ten oddział. Spotkaliśmy księcia, gdy już wracał. Uważałem, że był zalterowan bardzo, jakby wielkie wzruszenie duszy przeżył. Rozmawiał też sam z sobą, co mu się nigdy nie zdarza. Słyszałem też, jako rzekł: „Diabeł by się na to porwał...”. Zresztą nic więcej nie wiem... Jeno później, gdy księżę wspomniał o tym, z czym mu się pan Kmicic ofiarował, pomyślałem sobie: jeśli to było, to wtedy być musiało.

Billewiczówna zacisnęła wargi.

– Dziękuję – rzekła.

I po chwili została sama.

Myśl ucieczki opanowała ją zupełnie. Za wszelką cenę postanowiła wyrwać się z tych ohydnych miejsc i spod władzy tego zdradzieckiego księcia. Ale dokąd się udać? Wsie i miasta były w ręku szwedzkim, klasztory poburzone, zamki zrównane z ziemią, kraj cały roił się od żołdaków i od straszniejszych od nich zbiegów wojskowych, zbójców, wszelkiego rodzaju łotrzyków. Jakież los mógł czekać dziewczynę rzuconą na pastwę tej burzy? Kto z nią pójdzie? Ciotka Kulwiecówna, pan miecznik rosieński i kilkunastu jego czeladzi. A czyż siły te ochronią ją?... Poszedłby może i Ketling, może by nawet znalazł garść wiernych żołnierzy i przyjaciół, którzy by chcieli mu towarzyszyć, lecz Ketling kochał się w niej zbyt widocznie, więc jakże jej było zaciągnąć u niego dług wdzięczności, który by zbyt wielką ceną spłacać następnie przyszło?

Wreszcie, jakież miała prawo zamykać los temu młodzieńcowi, ledwie wyrosłemu z pacholęcia, i narażać go na pościg, na zgubę, jeżeli nie mogła nic mu w zamian prócz przyjaźni ofiarować. Więc pytała sama siebie: co czynić, dokąd uciekać, gdyż tu i tam groziła zguba, tu i tam hańba.

W takiej rozterce dusznej poczęła modlić się gorąco, a szczególnie powtarzała gorliwie jedną modlitwę, do której swego czasu stary pułkownik zawsze się w złych terminach uciekał, zaczynająca się od słów:

Bóg Cię z dzieciątkiem salwował  
Od Herodowej złości,  
W Egipcie drogi prostował  
Dla Twojej przezpieczności...

Tymczasem powstał wicher mocny i drzewa poczęły w sadzie za oknami szumieć okrutnie. Nagle przypomniały się zamodlonej panience puszcze, na których skraju wychowała się od małego, i myśl, że w puszczech znajdzie się jedyne bezpieczne schronisko, przeleciała jej jako błyskawica przez głowę.

Więc odetchnęła głęboko Oleńka, bo znalazła wreszcie, czego szukała. Tak jest! Do Zielonki, do Rogowskiej! Tam nieprzyjaciel nie pójdzie, łotrzyk nie będzie łupu szukał. Tam swój nawet, jeśli się zapamięta, to może zabłądzić i błądzić aż do śmierci, coż zaś dopiero obcy, dróg nie znający. Tam obronią ją Domaszewicze myśliwi i Stakjanowie Dymni, a jeśli nie masz ich, jeśli ruszyli wszyscy za panem Wołodyjowskim, toż tymi lasami można aż hen! do innych województw ciągnąć i w innych puszczech spokoju szukać.

Wspomnienie pana Wołodyjowskiego rozweseliło Oleńkę. Takiego by jej opiekuna! To prawy żołnierz, to szabla, pod którą i przed Kmicicem, i przed Radziwiłłami samymi można się schronić. Tu przypomniało się jej, że on to właśnie radził wówczas, gdy Kmicica w Billewiczach schwytał, ażeby w Puszczy Białowieckiej spokoju szukać.

I słusznie mówił! Rogowska i Zielonka za blisko Radziwiłłów, a koło Białowieży stoi właśnie ten Sapieha, który dopiero co stał z oblicza ziemi najstraszniejszego Radziwiłła.

Zatem do Białowieży, do Białowieży, choćby dziś, jutro!... Niech tylko miecznik rosieński przyjedzie, nie będzie zwlekała!

Ochronia ją ciemne głębie Białowieży, a później, gdy burza przejdzie, klasztor. Tam jeno spokój prawdziwy być może i zapomnienie wszystkich ludzi, wszystkiego bólu, żalu, pogardy...

## ROZDZIAŁ XVI

Pan miecznik rosieński wrócił w kilka dni później. Mimo iż jechał z glejtem Bogusławowym, dotarł tylko do Rosień; do samych zaś Billewicz nie było po co jeździć, gdyż nie było ich już na świecie. Dwór, zabudowania, wieś, wszystko zostało do cna spalone w ostatniej bitwie, którą ksiądz Straszewicz, jezuita, stoczył na czele swego oddziału z kapitanem szwedzkim Rossą. Lud był w lasach lub w partiach zbrojnych. Zostały na miejscu wsi zamożnej jeno ziemia i woda.

Drogi przy tym pełne były „grasantów”, to jest zbiegów z wojsk rozmaitych, którzy, znacznymi kupami chodząc, rozbojem się trudnili, tak że nawet pomniejsze komendy wojskowe nie były od nich bezpieczne. Nie zdołał się zatem pan miecznik nawet i o tym przekonać, czy zakopane w sadzie solówki ze srebrem i pieniędzmi ocalały, i powrócił do Taurogów wielce zły, zgryziony, z okrutną przeciw niszczycielom w sercu zawziętością.

Ledwie nogą zstąpił z kałamaszki, wciągnęła go Oleńka do swej komnaty i opowiedziała mu wszystko, co jej Hassling-Ketling powiadał.

Zatrząsał się na to stary szlachcic, który nie mając własnego potomstwa, dziewczynę jak córkę kochał. Przez jakiś czas łapał się tylko za głownię szabli, powtarzając: „Bij, kto cnotliwy!” – wreszcie za głowę się porwał i tak mówić począł:

– *Mea culpa, mea maxima culpa!* bo mi i samemu czasem do łba przychodziło, i ten, i ów szeptał, że ów piekielnik w amorach dla ciebie utonął, a ja nie mówiłem nic, jeszcze się w boki brał myśląc: „Nuż się ożeni!” Gosiewskim krewniśmy, Tyzenhauzom także... Czemu nie mamy być krewni Radziwiłłom? Za pychę to, za pychę Bóg mię karze... Zacne zdrajca pokrewieństwo obmyślił. Takim nam być chciał krewnym... bodaj go zabito!... jako dworski byk wiejskim jałoszkom! Bodaj go zabito! Ale poczekasz! Pierwej ta ręka i ta szabla spróchnieją!...

– Tu o ratunku myśleć trzeba – odrzekła Oleńka.

I nuż przedstawiać swe plany ucieczki.

Pan miecznik wysapawszy się słuchał uważnie, na koniec rzekł:

– Wolej mi poddaństwo zebrać i partię utworzyć! Będę Szwedów podchodził, jako inni podchodzą, jak niegdyś Kmicic Chowańskiego. Bezpieczniej ci będzie w lesie i w polu niż na tym dworze zdrajcy i heretyka!

– Dobrze – odpowiedziała panna.

– Nie tylko się sprzeciwiam – mówił w zapale miecznik – ale tak powiadam: że im prędzej, tym lepiej... A toć poddaństwa ani kos mi nie brak. Spalili mi rezydencję, mniejsza z tym! to z innych wiosek chłopstwo ściągnę... Wszyscy Billewicze, którzy już są w polu, staną przy nas. Pokażemy ci, panku, pokrewieństwo... pokazemy, co to na honor Billewiczówny nastawać... Tyś Radziwiłł! Nic to! nie masz hetmanów w billewiczowskim rodzie, ale nie masz i zdrajców!... Obaczym, za kim cała Żmudź pójdzie!...

Tu zwrócił się do panny:

– Ciebie osadзим w Białowieży, a sami wrócim! Nie może inaczej być! Musi on za ten afront odpokutować, bo to całego stanu szlacheckiego krzywda. Infamis, kto się za nami

nie opowie! Bóg pomoże, bracia pomogą, obywatele pomogą, a wonczas ogień a miecz! Dotrzymują Billewicze Radziwiłłom! Infamis, kto nie z nami! infamis, kto zdrajcy szablą przed oczyma nie błysnie! Król, sejmy, cała Rzeczpospolita z nami!

Tu miecznik, czerwony jak krew i ze zjeżoną czupryną, począł pięścią w stół walić.

– Pilniejsza ta wojna niż szwedzka, bo w nas jest cały stan rycerski, wszystkie prawa, wszystka Rzeczpospolita pokrzywdzona i w najgłębszych fundamentach zachwiana. Infamis, kto nie rozumie! Zginie ta ojczyzna, jeżeli pomsty i kary za zdrajcę nie wymierzym!

I tak grała stara krew coraz gwałtowniej, że aż Oleńce przyszło miecznika uspokajać. Siedział on dotychczas spokojnie, choć się zdawało, że nie tylko ojczyzna, lecz i świat cały ginie, ale dopiero gdy Billewiczów dotknięto, w tym ujrzał najstraszniejszą przepaść dla ojczyzny i jak lew ryczeć począł.

Lecz panna, która miała na niego wpływ wielki, zdołała go w końcu uspokoić tłumacząc mu, że dla zbawienia ich i dla tego, iżby się ucieczka udała, potrzeba właśnie najgłębszą tajemnicę zachować i nie pokazać księciu, że się czegokolwiek domyślają.

Przyrzekł święcie, iż wedle jej wskazówek postąpi, po czym już radzili o samej ucieczce. Rzecz nie była zbyt trudna, bo zdawało się, że ich nie strzegą wcale. Postanowił tedy pan miecznik wyprawić naprzód pacholka z listami do ekonomów, aby natychmiast chłopstwo ze wszystkich wiosek, do niego i do innych Billewiczów należących, zbierali i zbroili.

Następnie sześciu zaufanych czeladzi miało niby ruszyć do Billewicz po solówki z pieniędzmi i srebrem, a w rzeczy zatrzymać się w lasach giralakolskich i tam na państwo z końmi, tobołami i żywnością czekać. Oni sami ułożyli, że z Taurogów wyjadą z dwoma czeladnikami w saniach, niby tylko do pobliskiej Gawny, po czym na konie wierzchowe przesiadą i z kopyta ruszą. Do Gawny jeździli często do państwa Kuczuków-Olbrotowskich, gdzie czasem zostawali i na noc, spodziewali się zatem, że wyjazd ich nie zwróci niczyjej uwagi i że pogoń za nimi nie pójdzie, chyba we dwa lub trzy dni potem, gdy będą już wśród kup zbrojnych i w głębi niezbrodzonych lasów. Nieobecność księcia Bogusława utwierdzała ich w tej nadziei.

Tymczasem pan Tomasz zajął się bardzo czynnie przygotowaniem. Pacholik z listami wyjechał na drugi dzień. Trzeciego rozmawiał pan miecznik obszernie z Patersonem o swoich zakopanych pieniądzach, których, jak mówił, było nad sto tysięcy, i o potrzebie przewiezienia ich do bezpiecznych Taurogów. Paterson uwierzył z łatwością, albowiem szlachcic i uchodził za bardzo bogatego, i był nim w istocie.

– Niech je przywożą jak najprędzej – rzekł Szkot – jeśli potrzeba, to i żołnierzy jeszcze dodam.

– Im mniej ludzi będzie wiedziało, co wiozę, tym lepiej. Czeladź moja wierna, a solówki każę im pieńką przykryć, którą często z naszych stron do Prus wożą, albo też klepkami, na które nikt się nie ułakomi.

– Lepiej klepką – rzekł Paterson – bo przez konopie szablą albo dzidą można namacać, że coś innego na dnie wozu leży. A pieniądze najlepiej wasza mość księciu panu na skrypt oddaj. Wiem też, że potrzebuje pieniędzy, bo intraty źle dochodzą.

– Chciałbym się księciu tak przysłużyć, aby niczego nie potrzebował – odparł szlachcic.

Na tym skończyła się rozmowa i wszystko zdawało się składać jak najpomyślniej, gdyż zaraz potem ruszyła czeladź, a miecznik z Oleńką mieli wyjechać nazajutrz.

Tymczasem wieczorem wrócił najniespodzianie Bogusław na czele dwóch regimentów rajtarii pruskiej. Sprawy jego nie musiały iść zbyt pomyślnie, bo wrócił zły i zgryziony.

Tego jeszcze dnia zwołał radę wojenną, którą składali pełnomocnik elektorski hr. Sejdewitz, Paterson, Sakowicz i pułkownik rajtarski Kyritz. Obradowali do godziny trzeciej w nocy, a celem obrad była wyprawa na Podlasie przeciw panu Sapieże.

– Elektor i król szwedzki zasilili mnie w miarę wojskiem – mówił książę. – Jedno z dwojga: albo Sapiehę zastaniem jeszcze na Podlasiu i w takim razie musimy go zetrzeć; albo nie: wówczas Podlasie zajmiem bez oporu. Do wszystkiego jednak trzeba pieniędzy, a tym ni elektror, ni jego szwedzki majestat mi nie dali, bo sami nie mają.

– U kogoż pieniędzy szukać, jeżeli nie u waszej książęcej miłości – odrzekł hr. Sejdewitz. – W całym świecie mówią o nieprzebranych radziwiłłowskich skarbach.

Na to Bogusław:

– Panie Sejdewitz, gdyby mnie dochodziło wszystko, co mi z dziedzicznych dóbr należy, pewnie bym miał więcej grosza niż pięciu waszych niemieckich książąt w kupe wziętych. Ale w kraju wojna, intraty nie dochodzą lub też przez rebelizantów bywają przejmowane. Można by gotowizny dostać na skrypty od miast pruskich, wszelako waść najlepiej wiesz, co się w nich dzieje, i że chyba dla jednego Jana Kazimierza rozwiązałyby worki.

– A Królewiec?

– Co można było wziąć, tom wziął, ale tego mało.

– Za szczęście sobie poczytuję, że się będę mógł waszej książęcej wysokości dobrą radą przysłużyć – rzekł Paterson.

– Wolalbym, żebyś się przysłużył gotówką.

– Warta jej ta rada. Nie dawniej jak wczoraj mówił mi pan Billewicz, że ma znaczne kwoty zakopane w sadzie w Billewiczach i że właśnie chce je tu w bezpieczne miejsce przenieść, aby je waszej książęcej wysokości na skrypt oddać.

– A toś mi z nieba spadł i ów szlachcic także! – zawołał Bogusław. – A siłaż tam tego będzie?

– Nad sto tysięcy prócz sreber i kosztowności, których bodaj że drugie tyle.

– Sreber i kosztowności szlachcic nie zechce na gotowiznę zmieniać, ale można je będzie zastawić. Wdzięčenem ci, Paterson, bo w porę mi to przychodzi. Muszę z Billewiczem zaraz jutro pomówić.

– To go uprzedzę, bo właśnie jutro wybiera się z panną do Gawny, do państwa Kuczuków-Olbrotowskich.

– Uprzedź go, by nie wyjeżdżał, nim się ze mną nie obaczy.

– Czeladź już posłana, boję się tylko, czy bezpiecznie dojedzie.

– Można będzie posłać za nimi cały regiment, wreszcie pogadamy. W porę mi to, w porę! A i pocieszna rzecz, jeżeli Podlasie za pieniądze tego regalisty i patrioty od Rzeczypospolitej oderwę.

To rzekłszy książę pożegnał radę, bo musiał jeszcze oddać się w ręce pokojowych, których zadaniem było co dzień przed nocą kąpielami, maściami i różnymi sztukami, znanymi tylko za granicą, nadzwyczajną jego urodę konserwować. Trwało to zwykle godzinę, a czasem i dwie; książę zaś i bez tego był już znużon drogą i późną godziną.

Nazajutrz rano Paterson zatrzymał miecznika i Oleńkę oznajmieniem, iż książę pragnie się z nimi widzieć. Trzeba było wyjazd odłożyć, ale nie zaniepokoiili się tym zbytnio, bo Paterson powiedział, o co chodzi.

W godzinę później nadszedł książę. Mimo iż pan Tomasz i Oleńka przyrzekli sobie najświęciej, iż przyjmą go po dawnemu, i mimo wszelkich wysiłków, nie mogli tego dokazać.

Jej twarz zmieniła się, a miecznikowa nabiegła krwią na widok młodego księcia, i przez chwilę stali oboje zmieszani, wzburzeni, próżno usiłując do zwykłej powroć spokoju.

Książę, przeciwnie, swobodny był zupełnie, tylko trochę pomizerniał w oczach i twarz miał mniej ubarwioną niż zwykle, ale właśnie ta jego bladość cudnie odbijała od perłowej rannej szaty, przerabianej srebrem; spostrzegł jednak natychmiast, iż przyjmują go jakoś

inaczej i mniej radzi widzą aniżeli zwyczajnie. Ale pomyślał zaraz, że pewnie tych dwoje regalistów dowiedziało się o jego stosunkach ze Szwedami, i stąd ten chłód w przyjęciu.

Postanowili więc sypanąć im natychmiast piaskiem w oczy, i po zwykłych komplementach powitalnych tak zaczął:

– Panie mieczniku dobrodzieju, słyszałeś już zapewne waszmość, jakie nieszczęście mnie spotyka...

– Wasza książęca mość chce mówić o śmierci księcia wojewody? – odparł miecznik.

– Nie tylko o śmierci. Cios to okrutny, wszelako już zdałem się na wolę Boga, który jak tuszę, wszystkie krzywdy bratu memu hojnie wynagrodził, ale na mnie nowy ciężar zesłał, bo muszę wojnę domową prowadzić, a dla każdego obywatela, miłującego ojczyznę, gorzka to dola...

Miecznik nie odrzekł nic, tylko spojrział nieco bokiem na Oleńkę.

Książę zaś mówił dalej:

– Moją pracą, moim trudem a Bóg jeden wie, jakim kosztem doprowadziłem już pokój do skutku. Prawie o podpisanie traktatów tylko chodziło. Mieli Szwedzi wyjść z Polski, żadnej nagrody nie żądając, prócz przyzwolenia królewskiego i stanów, aby po śmierci Jana Kazimierza Carolus na tron polski był obrany. Wojownik tak wielki i potężny zbawieniem były dla Rzeczypospolitej. Co więcej, zaraz teraz miał zostawić posiłki na wojnę ukraińską i na moskiewską. Jeszcze byśmy granice rozszerzyli; ale panu Sapieże to nie na rękę, bo nie mógłby gnębić Radziwiłłów. Wszyscy się już na owe traktaty zgodzili, on jeden się zbrojną ręką przeciwi; za nic mu ojczyzna, byle prywaty mógł dochodzić. Aż przyszło do tego, że trzeba oręza przeciw niemu użyć, którą funkcję właśnie mnie, za tajemną zgodą Jana Kazimierza i Carolusa, powierzono. Ot, co jest! Nie wybiegałem się nigdy od żadnej służby, więc i tej podjąć się muszę, choć niejedni będzie mnie krzywo sądzili i pomyśli, że bratobójczą wojnę z samej tylko zemsty wszczynam.

Na to miecznik:

– Kto waszą książęcą mość poznał tak dobrze jako my, tego pozory nie uwiódą i zawsze prawdziwe intencje waszej książęcej mości zrozumieć potrafi.

Tu pan miecznik, zachwycony własną chytrą i polityką, mrugnął tak wyraźnie na Oleńkę, że ta aż przeleżała się, by tych znaków nie ujrzał książę.

Ten jednak spostrzegł.

„Nie wierzą mi” – pomyślał.

I chociaż gniewu na twarzy nie okazał, przecież ubodło go to w duszy. Był on zupełnie szczerze przekonany, że obrazą jest nie wierzyć Radziwiłłowi, nawet wówczas gdy mu się spodoba zmyślać.

– Paterson mówił mi – rzekł po chwili – że wasza mość chcesz gotowiznę swą na skrypt mi oddać. Chętnie w tym waści dogodzę, gdyż przyznaję, że gotowy grosz i mnie teraz na rękę. Gdy spokój nastanie, uczynisz, co zechcesz, albo kwotę odbierzesz, albo-li też dam waszmości parę wsi w zastaw, tak aby to z korzyścią dla cię było.

Tu zwrócił się książę do Oleńki:

– Przebacz waćpanna, że przy tak doskonałej istocie nie o supirach ani idyllach mówimy. Niesłuszna to rozmowa, jeno czasy takie, iż uwielbieniu i admiracji przystojnej folgi dać nie można.

Oleńka spuściła oczy i chwyciwszy końcami palców za suknię, uczyniła dyg przynależny nie chcąc nic odpowiadać.

Tymczasem miecznik ułożył sobie w głowie projekt niesłuchanie niedołączny, ale który sam za nadzwyczaj przebiegły poczytał.

„I z dziewczyną ucieknę, i pieniędzy nie pożyczę” – pomyślał.

Za czym odchrząknawszy i pogładziwszy kilkakrotnie czuba, tak rzekł:



– Miło mi będzie waszej książęcej mości wygodzić. Nie mówiło się też Patersonowi o wszystkim, bo i z czerwonymi złotymi półgarncówka się znajdzie, zakopana osobno, aby w razie przygody całej gotowizny nie utracić. Prócz tego są i innych Billewiczów solówki, ale te podczas mojej nieobecności pod dyrekcją tej oto panny zakopywano i ona jedna potrafi wykalkulować miejsce, bo człowiek, który je nosił, umarł. Pozwólże nam, wasza książęca mość, jechać obojgu, to przywieziem wszystko.

Bogusław spojrział na niego bystro.

– Jak to? Paterson powiadał, żeś już waszmość czeladź wysłał, a skoro wyjechała, to musi wiedzieć, gdzie pieniądze.

– Ale o innych nikt nie wie, tylko ona.

– Przecie muszą być zakopane w jakimś wyraźnym miejscu, które wskazać słowy albo *delineare* na papierze łatwo.

– Słowa wiatr – odrzekł miecznik – a na delineacjach czeladź się nie zna. Pojedziemy oboje, ot, co!

– Dla Boga, toż waść musi znać dobrze swoje sady, więc jedź sam. Po co panna Aleksandra ma jechać?

– Sam nie pojedę! – odrzekł rezolutnie pan miecznik.

Bogusław po raz drugi spojrział nań badawczo, po czym siadł wygodniej i trzcina, którą trzymał w ręku, począł uderzać się po butach.

– Koniecznie? – rzekł. – A dobrze! Ale w takim razie dam wam dwa regimenty jazdy, które was odwiozą i przywiozą.

– Nie potrzeba nam żadnych regimentów. Sami pojedziem i wrócim. To nasze strony, nic nam tam nie grozi.

– Jako gospodarz czuły na dobro swych gości nie mogę pozwolić, ażeby panna Aleksandra jechała bez siły zbrojnej, wybieraj więc waść: albo sam, albo oboje z eskortą.

Pan miecznik spostrzegł, że wpadł we własne sidła, i do takiego go to gniewu przywiodło, że zapomniawszy o wszelkich ostrożnościach, zakrzyknął:

– To wasza książęca mość wybieraj: albo pojedziem oboje bez regimentów, albo pieniędzy nie dam!

Panna Aleksandra spojrziała na niego błagalnie, lecz on już poczerwieniał i sapać począł. Był to jednak człowiek z natury ostrożny, nawet nieśmiały, lubiący zgodnie wszystkie sprawy załatwiać, ale za to gdy raz przebrano z nim miarę, gdy sobie zbytnio przeciw komu na wąż namotał lub gdy o bilewiczowski honor chodziło, wówczas z desperacją jakąś odwagą rzucał się do oczu, choćby najpotężniejszemu nieprzyjacielowi.

Więc i teraz porwał się ręką za lewy bok i trząsnąwszy szablą począł krzyżeć na całe gardło:

– Cóż to tu, jasyr? Oprymować chcą wolnego obywatela? kardynalne prawa deptać?

Bogusław, oparty plecami o poręcz krzesła, patrzył na niego uważnie, bez widomych oznak gniewu, jeno wzrok jego stawał się z każdą chwilą zimniejszy, a szpicrutą coraz szybciej uderzał się po butach. Gdyby pan miecznik znał go lepiej, wiedziałby, że ściąga na swą głowę groźne niebezpieczeństwo.

Stosunki z Bogusławem były po prostu straszne, dlatego że nigdy nie było wiadomo, kiedy nad dwornym kawalerem i przywykłym do panowania nad sobą dyplomata weźmie górę dziki i niepohamowany magnat depcący z okrucieństwem despoty wschodniego wszelki opór. Świetne wychowanie, ogłada zdobyta na najpierwszych dworach europejskich, rozważa, której nabrał w stosunkach ludzkich, i wykwinność były jakby cudne a potężne kwiaty, pod którymi taił się tygrys.

Lecz miecznik nie wiedział o tym i w zaślepieniu gniewnym krzychał dalej:

– Wasza książęca mość nie udawaj dłużej, bo cię znają!... i bacz, że ni król szwedzki, ni elektor, którym obum przeciw ojczyźnie służysz, ni twoje księstwo przed trybunałem się nie osłoni, a szable szlacheckie nauczą moresu... młodziku!...

Na to Bogusław wstał, w jednej chwili skruszył trzcinę w żelaznych rękach i cisnąwszy drzazgi pod nogi miecznika, rzekł straszonym, przyciszonym głosem:

– Ot, mi wasze prawa! Ot, wasze trybunały! Ot, wasze przywileje!

– Gwałt okropny! – krzyknął miecznik.

– Milcz, szlachetko! – krzyknął książę – bo cię w proch zetnę!

I szedł ku niemu, by porwać zdumiałego szlachcica za pierś i rzucić nim o ścianę.

Wtem Billewiczówna stanęła między nimi.

– Co wasza książęca mość chcesz uczynić? – rzekła.

Książę zatrzymał się.

Ona zaś stała z rozdętymi nozdrzami, z płonącą twarzą i ogniem w oczach, jak gniewna Minerwa. Pierś jej wzdymała się pod stanikiem, na kształt fali morskiej, i tak była cudna w tym gniewie, że Bogusław zapatrzył się w nią, wszystkie żądze wypełzły mu na twarz, jakoby węże w pieczarach duszy zamieszkałe.

Po chwili gniew jego przeszedł, przytomność wróciła, czas jakiś patrzył jeszcze w Oleńkę, na koniec twarz mu złagodniała, skłonił głowę na piersi i rzekł:

– Przebacz, anielska panno!... Duszę mam pełną zgryzot a bólu, więc i sobą nie władnę.

To rzekłszy wyszedł z komnaty.

Wówczas Oleńka załamała ręce, a miecznik oprzytomniawszy chwycił się za czuprynę i zakrzyknął:

– Jam to popsował wszystko, jam przyczyną twej zguby!

Książę nie pokazał się przez cały dzień. Obiadował nawet u siebie, samowtór z panem Sakowiczem. Wzburzony do dna duszy, nie mógł myśleć tak jasno jak zwykle. Trawiła go jakaś gorączka. Była to zapowiedź ciężkiej febry, która miała go niebawem uchwycić z taką siłą, że w czasie jej napadów drętwiał zupełnie, tak iż musiano go rozcierać. Ale on przypisywał w tej chwili stan swój nadzwyczajnej sile miłości i rozumował, że albo musi ją zaspokoić, albo umrze.

Tymczasem, opowiedziawszy Sakowiczowi całą rozmowę z miecznikiem, tak mówił:

– Ręce i nogi mnie palą, mrowie chodzi po krzyżach, w gębie czuję gorycz i ogień. A! do wszystkich rogatych diabłów, co to jest?... Nigdy mi się to nie trafiło!...

– Boś wasza książęca mość skrupułami nadziany jak pieczony kapłon kaszą... Książę kurzejec, książę kurzejec! Cha! cha!

– Głupiś!

– Dobrze!

– Nie konceptów mi twoich trzeba!

– Weź, mości książę, lutnię i pójdz pod okna dziewczki, może ci pokażę... pięść... miecznik. Tfu! do licha, takiż to z Bogusława Radziwiłła rezolut?

– Dureń-eś!

– Dobrze! Widzę, że wasza książęca mość zaczynasz ze sobą rozmawiać i prawdę sobie w oczy gadać. Śmiało, śmiało! Proszę na godność nie uważać!

– Bo widzisz, Sakowicz, że mój Kastor poufali się ze mną, to i tak często go w ziobro nogą kopnę, a ciebie cięższa mogłaby spotkać przygoda.

Sakowicz zerwał się na równe nogi niby zaperzony, jak niedawno miecznik rosieński, a że miał nadzwyczajny dar udawania, więc począł krzyżeć głosem tak do miecznikowego podobnym, że nie widząc, kto mówi, można by się omylić.

– Cóż to, jasyr? oprymować chcą wolnego obywatela, kardynalne prawa deptać?

– Daj spokój, daj spokój! – mówił gorączkowo książe – bo tam ona tego starego bałwana własną osobą zastawiła, a tu nie masz, kto by cię bronił.

– Kiedy go zastawiła, to trzeba było ją w zastaw brać!

– Nie może inaczej być, tylko tu są jakoweś czary.

Albo musiała mi coś zadać, albo konstelacje są takowe, że po prostu od zmysłów odchodzę... Żebyś ty ją widział, jak tego parszywego stryjca broniła... Aleś ty kiep! W głowie mi się mać! Patrz! jako mi ręce gorzej! Taką miłować, taką przygarnąć, z taką...

– Potomstwo mieć! – dodał Sakowicz.

– A tak! a tak! jakbyś wiedział, i musi to być, bo inaczej rozerwą mnie te płomienie, jak granat. Dla Boga, co się ze mną dzieje... Ożenię się czy co, u wszystkich ziemskich i piekielnych diabłów?

Sakowicz spoważniał.

– O tym wasza książecka mość nie powinienes myśleć.

– Właśnie że myślę, właśnie że jak zechcę, to tak uczynię, choćby regiment Sakowiczów powtarzał mi przez cały dzień: „O tym wasza książecka mość nie powinienes myśleć!”

– Ej, to widzę nie żarty!

– Chorym jest, oczarowany, nie może inaczej być!

– Czemu wasza książecka mość nie idzie w ostateczności za moją radą?

– Chyba pójdę! Niech zaraza porwie wszystkie sny, wszystkich Billewiczów, całą Litwę wraz z trybunałami i Janem Kazimierzem w dodatku. Nie wskóram inaczej... Widzę, że nie wskóram! Dość tego! Co? Wielka rzecz! wielka sprawa! I ja, kiep, ważyłem się dotąd na dwie strony! Bałem się znów, Billewiczów, procesów, chasy szlacheckiej, fortuny Jana Kazimierza!... Powiedz mi, zem kiep! Słyszysz? rozkazując powiedzieć mi, zem kiep!

– A ja nie usłucham, boś teraz właśnie Radziwiłł, a nie kalwiński wikary. Ale chory musisz być, wasza książecka mość, naprawdę, bom cię w takiej alteracji nigdy nie widział.

– Prawda! aha! W najcięższych terminach jenom ręką machał i pogwizdywał, a teraz czuję, jakoby mi kto ostrogi w boki wpierał.

– Dziwna to jest, bo jeśli ta dziewczka umyślnie waszej książeckiej mości co zadała, to nie dlatego, żeby potem miała uciekać, a przecież z tego, coś mi wasza książecka mość mówił, pokazuje się, że oni oboje chcieli się po cichu wynieść.

– Powiadał mi Ryff, że to wpływ Saturna, na którym wyziewy pałace w tym właśnie miesiącu się podnoszą.

– Mości książe, wolej Jowisza weź sobie za patrona, bo temu bez ślubów się szczęściło. Wszystko będzie dobrze, tylko o ślubie wasza książecka mość nie wspominaj, chyba o małowanym.

Nagle pan starosta oszmiański uderzył się w czoło.

– Czekaj no, wasza książecka mość... Słyszałem o podobnym wypadku w Prusiech...

– Szepce-li ci diabeł coś do ucha, powiadaj?

Lecz pan Sakowicz długo nic nie odpowiadał, wreszcie twarz mu się rozjaśniła i rzekł:

– Podziękuj, mości książe, swojej fortunie, że ci Sakowicza za przyjaciela dała.

– Co nowego? co nowego?

– Ej, nic! Będę drużbą waszej książeckiej mości – tu Sakowicz skłonił się – zaszczyt to dla takiego chudopachołka niemały...

– Nie błaznuj, mów prędko!

– Jest w Tylży niejaki Plaska, czy tam jak, który swego czasu był księdzem w Nieworinach, ale rewokowawszy, luterstwo przyjął, ożenił się i pod protekcję elektora się schronił, a teraz wędzoną rybą ze Żmudzią handluje. Swego czasu starał się nawet biskup Parczewski, aby go na powrót na Żmudź dostać, gdzie by mu pewnie stosik pod nogi podłożono, ale elektor nie chciał współwiercy wydać.

– Co mnie to obchodzi? Nie marudź!

– Co waszą księżęcą mość to obchodzi? Owóż powinno obchodzić, bo on was zszyje jako wierzch z podszewką, rozumiesz, wasza księżęcą mość? A że kiepski majster i do cechu nie należy, łatwo będzie po nim rozpruć, rozumiesz, mości księżę? Tego szycia cechowi za ważne nie uznają, a przecie nie będzie ni gwałtów, ni hałasów. Majstrowi będzie można potem łeb ukreć, wasza księżęcą mość zaś sam będziesz narzekał, że było podejście, rozumiesz? Zaś przedtem: *crescite et multiplicamini*... Pierwszy daję moje błogosławieństwo.

– Rozumiem i nie rozumiem – rzekł księżę. – Diabła tam! pojmują doskonale. Sakowicz! musiałeś już jak strzyga z zębami na świat się urodzić. Kat cię czeka, nie może inaczej być... O, panie starosto!... Ale póki żyję, włos ci z głowy nie spadnie, a kontentacja przystojna nie minie...

– Wasza księżęcą mość oświadczysz się solennie o rękę panny Billewiczówny jej samej i miecznikowi. Jeśli ci odmówią, jeśli się nie uda, to każ ze mnie skórę ściągnąć, rzemienie do sandałów z niej zrobić i iść na pokutną pielgrzymkę do... do Rzymu. Radziwiłłowi można się najeżyć, gdy zechce pokochać, ale gdy zechce się żenić, tedy żadnego szlachcica nie będzie potrzebował pod włos głąskać. Musisz tylko wasza księżęcą mość powiedzieć miecznikowi i pannie, że ze względu na elektora i króla szwedzkiego, którzy cię z księżniczką baponcką swatają, małżeństwo musi pozostać sekretne, dopóki pokój nie będzie zawarty. Zresztą intercyzy piszcie, jakie chcecie. Wszystko to oba kościoły muszą uznać za nieważne... A co?

Bogusław milczał przez chwilę, tylko na obliczu pojawiły mu się pod farbą gorączkowe plamy czerwone. Po chwili rzekł:

– Czasu nie ma, za trzy dni muszę, muszę na Sapiechę wyruszyć.

– To właśnie! Gdyby czasu było więcej, niepodobna by było pozorów usprawiedliwić. Jakże? Tylko brakiem czasu wytłumaczysz wasza księżęcą mość, że pierwszy lepszy ksiądz przyjeżdża, jako w nagłych razach bywa, i na pytel ślub daje. Oni toż samo pomysła: „Prędko, bo musi być prędko!” Rycerska to dziewczka, więc wasza księżęcą mość i na wyprawę zabrać ją ze sobą możesz... Królu miły, jeślić Sapieha pobije, to i tak w połowie wiktorem będziesz.

– Dobrze, dobrze! – rzekł księżę.

Lecz w tej chwili uchwycił go pierwszy paroksyzm, tak iż szczęki mu się zacięły i słowa więcej przemówić nie mógł. Zesztywniał cały, a potem poczęło nim rzucać i drgać jako ryba wyjęta z wody. Wszelako, nim przestraszony Sakowicz zdołał sprowadzić medyka, paroksyzm przeszedł.

## ROZDZIAŁ XVII

Po rozmowie z Sakowiczem ksiązę Bogusław udał się nazajutrz po południu wprost do miecznika rosieńskiego.

– Panie mieczniku dobrodzieju! – rzekł na wstępie – zawiniłem ciężko ostatnim razem, bom się uniósł we własnym domu. *Mea culpa!*... i tym większa, żem ten afront uczynił człowiekowi z rodu od wieków zaprzyjaźnionego z Radziwiłłami. Ale przychodzę błagać o przebaczenie. Niech szczerze przyznanie waszmości panu za satysfakcję, mnie za pokutę wystarczy. Waszmość znasz od dawna Radziwiłłów, wiesz, żeśmy do przeprosin nieskoro- rzy; wszelako, żem to wiekowi i powadze uchybił, pierwszy nie bacząc, ktom jest, przy- chodzę z powinną głową. A już też, stary przyjacielu naszego domu, dłoni mi, wierzę, nie umkniesz?

To rzekłszy wyciągnął rękę, a miecznik, w którego duszy pierwszy impet już przeszedł, nie śmiał mu swej odmówić, choć podał ją ociągając się, i rzekł:

- Wasza książęca mość, wróć nam wolność, a to będzie najlepsza kontentacja.
- Jesteście wolni i możecie jechać, choćby dziś.
- Dziękuję waszej książęcej mości – odrzekł zdziwony miecznik.
- Jedną tylko stawie kondycję, której, daj Bóg, żebyś nie odrzucił.
- Jakąż to? – spytał z obawą miecznik.
- Ażebyś chciał wysłuchać cierpliwie tego, coć powiem..
- Jeżeli tak, tedy będę słuchał, chociażby do wieczora.
- Nie dawaj mi zaraz responsu, jeno się namyśl godzinę albo i dwie.
- Bóg widzi, że byłem wolność odzyskał, pragnę zgody.

– Wolność waćpan dobrodziej odzyszczesz, nie wiem tylko, czy korzystać z niej ze- chcesz i czy ci pilno będzie opuścić moje progi. Rad bym, żebyś mój dom i całe Taurogi za swoje uważał, ale teraz słuchaj. Czy wiesz waszmość, mój dobrodzieju, dlaczegom się sprzeciwiał wyjazdowi panny Billewiczówny? Oto dlatego, żem odgadł, iż uciec po prostu chcecie, a ja takem się w synowicy waszmościnej rozkochał, iż byle ją widzieć, Hellespont bym co dzień przepływać gotów jako ów Leander dla Hery...

Miecznik poczerwieniał na nowo w jednej chwili.

- Mnie to wasza książęca mość śmiesz mówić?...
- Właśnie waszmości, mój szczególniejszy dobrodzieju.
- Mości książę! Szukaj fortuny u dworek, a szlacheckiej dziewczki nie tykaj, boć zasię! Możesz ja więzić, możesz do sklepu zamknąć, ale ci jej pohańbić nie wolno!
- Pohańbić nie wolno – odrzekł ksiązę – ale wolno pokłonić się staremu Billewiczowi i rzec mu: Słuchajcie, ojcz! dajcie mi swoja synowicę za żonę, bo mi żyć bez niej nijak.

Miecznik tak zdumiał, że słowa przemówić nie mógł, przez czas jakiś tylko wąsami ru- szał, a oczy wyszły mu na wierzch; potem jął je sobie pięściami przecierać i spoglądać to na księcia, to wokoło po komnacie, wreszcie rzekł:

- We śnie-li to czy na jawie?

– Nie śpisz, dobrodzieju, nie śpisz, a żebyś się jeszcze lepiej przekonał, toć powtórzę *cum omnibus titulis*: Ja, Bogusław książę Radziwiłł, koniuszy Wielkiego Księstwa Litewskiego, proszę ciebie, Tomosza Billewicza, miecznika rosieńskiego, o rękę synowicy twej, panny łowczanki Aleksandry.

– Jakże to? Dla Boga! czyś wasza książęca mość rozważył?

– Ja rozważyłem, teraz ty rozważ, dobrodzieju, czyli kawaler godzien panny...

– Bo ze zdziwienia dech mi zaparło...

– Poznaj, czylim miał jakowe niecnotliwe intencje...

– I wasza książęca mość nie zważałbyś na stan nasz chudopacholski?

– Tacyż to Billewicze tani, tak-że to klejnot wasz szlachecki i starożytność rodu cenisz? Zali to Billewicz mówi?

– Mości książę, wiem, że początków rodu naszego w Rzymie starożytnym szukać należy, ale...

– Ale – przerwał książę – hetmanów ni kanclerzy nie macie. Nic to! elektorami wszakże jesteście, jako mój wuj brandenburski. Skoro w naszej Rzeczypospolitej szlachcic królem obran być może, to nie masz za wysokich progów na jego nogi. Ja, mój mieczniku, da Bóg, mój stryjaszku, rodzę się z księżniczki brandenburskiej, ojciec mój z Ostrogskiej, ale dziad, wielkiej pamięci Krzysztof Pierwszy, ten, którego Piorunem zwali, hetman wielki, kanclerz i wojewoda wileński, żonaty był *primo voto* z Sobkówną, a dlatego mitra mu z głowy nie spadła, bo Sobkówna była szlachcianka, tak zacnie urodzona jak i inne. Za to gdy nieboszczyk rodzic z elektorówną się żenił, to wydziwiano, że na godność nie pamięta, chociaż z panującym domem się łączył. Taka u was diabła szlachecka pycha. No, dobrodzieju, przyznaj, że nie myślisz, żeby Sobek od Billewicza był lepszy? No?...

Tak mówiąc począł książę klepać z wielką poufałością pana miecznika po łopatce, a szlachcic zmiękł jak wosk i odrzekł:

– Bóg waszej książęcej mości zapłać za zacne intencje... Ciężar spada z serca! Ej, mości książę, żeby jeszcze nie różnica wiary!...

– Ksiedz katolicki będzie ślub dawał, innego ja sam nie chcę.

– Całe życie będziem za to wdzięczni, bo tu chodzi o błogosławieństwo boże, którego pewnie by Pan Jezus umknął, gdyby jaki paskudnik...

Tu ugryzł się w język pan miecznik, bo zmiarkował, że nieprzyjemną dla księcia rzecz chciał powiedzieć, lecz Bogusław ani zauważył, owszem uśmiechnął się łaskawie i dodał:

– I co do potomstwa nie będę się upierał, bo nie masz takiej rzeczy, której bym dla tej waszej śliczności nie uczynił...

Miecznika twarz rozjaśniła się, jakby na nią promienie słońca padły.

– Już też Bóg tej błażnicy nie poskąpił urody... Prawda jest!

Bogusław znów poklepał go po ramieniu i pochyliwszy się szlachcicowi do ucha, począł szeptać:

– A że pierwszy będzie chłopak, to ja ręczę, i malowanie, nie chłopak!

– Chi! chi!...

– Z Billewiczówny za Radziwiłłem – dodał miecznik rozkoszując się połączeniem tych nazwisk. – Chi! chi! Ot, będzie huczek na całej Żmudzi... A co panowie Sicińscy, nasi nieprzyjaciele, powiedzą, gdy Billewicze tak wyrosną? Wszakże to oni nawet starego pułkownika nie zostawili w spokoju, choć to był mąż rzymskiego pokroju, od całej Rzeczypospolitej uwielbiany.

– Wyścigamy ich ze Żmudzi, mości mieczniku!

– Boże wielki, Boże miłosierny, niezbadane sa wyroki Twoje, ale jeżeli w wyrokach Twoich leży, aby panowie Sicińscy popękali z inwidi... bądź wola Twoja!

– Amen! – dorzucił Bogusław.

– Mości książę! nie bierzże za złe, iż się w godność nie obwijam, jako przystoi, którego o dziewczkę proszą, i że zbyt jawnie radość okazuję... Lecz owo żyliśmy w strapieniu, nie wiedząc, co nas czeka, i wszystko najgorzej sobie tłumacząc. Przyszło do tego, żeśmy i waszą książęcą mość źle sądzili, aż naraz pokazuje się, że strachy i posądzenia były niesłuszne i że pierwszemu uwielbieniu folę dać można. To, mówię waszej książęcej mości, jakoby kto brzemię z ramion zdjął...

– Zali i panna Aleksandra tak mnie sądziła?

– Ona? Choćbym Cyceronem był, jeszcze bym jej poprzedniej admiracji dla waszej książęcej mości godnie opisać nie umiał... Tak myślę, że cnota w niej jeno i przyrodzona jakowaś nieśmiałość afektem stała na przeszkodzie. Ale gdy się dowie o szczerych waszej książęcej mości intencjach, tedy jestem pewien, że sercu zaraz cugli popuści, a ono bryknąc na pastwisko miłości z największym impetem nie omieszka.

– Cyceron by tego ozdobniej nie umiał wyrazić! – odrzekł Bogusław.

– Bo przy szczęściu i wymowa się znajdzie. Lecz skoro wasza książęca mość tak wdzięcznie wszystkiego, co prawię, słuchać raczysz, tedy już do ostatka będę szczery.

– Bądź szczery, panie mieczniku...

– Bo choć to dziewczka młoda, ale *hic mulier* i przy męskim zgoła umyśle, dziw, jak charakterna. Tam, gdzie niejedyn by doświadczony człek się zawahał, ona ani się namyśli. Co złe, to na lewo, co dobre, na prawo... a sama też na prawo. Słodkie to niby, a jak raz sobie drogę obierze, chociażby armaty, na nic! bo już nie zboczy. W dziada i we mnie się wdała: ojciec był żołnierz zawołany, ale człek miękki... matka zaś, Wojniłowiczówna *de domo*, cioteczna siostra Kulwecówny, także była charakterna.

– Rad to słyszę, mości mieczniku!

– Owóż nie uwierzysz, mości książę, jakie to lichy na Szwedów, ba! na wszystkich nieprzyjaciół Rzeczypospolitej zawzięte. Gdyby kogoś o zdradę, choćby najmniejszą, posadzała, już by abominację nieprzewyciężoną do niego czuła, choćby to anioł był, nie człowiek... Wasza książęca mość! wybaczyć staremu, który ojciec twoim mógłby z wieku, jeśli nie z godności być: porzuć Szweda... Toż to gorszy Tatare ojczyzny ciemieżca! Rusz przeciw takim synom swoje wojska, a nie tylko ja, ale i ona pociągnie z tobą w pole! Wybaczyć, wasza książęca mość, wybaczyć!... Ot! powiedziałem, com myślał!

Bogusław przemógł się po chwili milczenia i tak mówić począł:

– Panie mieczniku dobrodzieju! Godziło się wam wczoraj jeszcze przypuszczać, ale dziś już się nie godzi, że wam chcę jeno piaskiem w oczy rzucić, mówiąc, iż po stronie króla i ojczyzny stoję. Owóż pod przysięgą, jako krewnemu, powtarzam, że com o pokoju i o jego kondycjach rzekł, to była szczerą prawdą. Wolałbym i ja ruszyć w pole, bo mnie do tego natura ciągnie, ale żem widział, iż nie w tym ratunek, z czystej miłości musiałem się innego sposobu chwycić... I to mogę rzec, iżem niesłychanej rzeczy dokazał, bo żeby po straconej wojnie taki pokój zawrzeć, aby zwycięska potęga szła jeszcze na służbę zwyciężonej, tego by się sam najchytrzejszy z ludzi Mazarin nie powstydział... Nie panna Aleksandra jedna, ale i ja na równi z nią *odium* do nieprzyjaciół czuję. Co jednak czynić? jako tę ojczyznę ratować? *nec Hercules contra plures!* Więc pomyślałem sobie tak: „Miast zginać, co byłoby i łatwiej, i pociesniej, trzeba ją ratować.” A iżem się w sprawach tego rodzaju u wielkich statystów ćwiczył, żem to elektora krewny i u Szwedów, za przyczyną brata Janusza, dobrze widziany, wnet począłem rokowania, a jaki był ich *cursus* i dla Rzeczypospolitej pożytek, to już waszmość wiesz: koniec wojny, uwolnienie spod opresji katolickiej waszej wiary, kościołów, duchowieństwa, stanu szlacheckiego, pospółstwa, pomoc szwedzka na wojnę moskiewską i kozacką, a bogdaj rozszerzenie granic... Za to zaś wszystko to jedno ustępstwo, że *Carolus* po Kazimierzu królem ma zostać. Kto więcej w tych czasach dla ojczyzny uczynił, niech mi stanie do oczu!

– Prawda jest... ślepy by zobaczył... jeno stanowi szlacheckiemu okrutnie markotno będzie, że wolna elekcja ustanie.

– A co ważniejsze, elekcja czy ojczyzna?

– Wszystko jedno, mości książe, boć to kardynalny fundament Rzeczypospolitej... A cóż jest ojczyzna, jeżeli nie zbiór praw, przywilejów i wolności, stanowi szlacheckiemu przysługujących?... Pana i pod obcym panowaniem znaleźć można.

Gniew i nuda przeleciały błyskawicą po obliczu Bogusława.

– *Carolus* – rzekł – podpisze *pacta conventa*, jako i poprzednicy podpisywali, a po jego śmierci obierzem sobie, kogo zechcem... choćby tego Radziwiłła, który się z Billewiczówny narodzi.

Miecznik stał przez chwile jakoby olśniony tą myślą, na koniec podniósł rękę w górę i zakrzyknął z wielkim zapalem:

– *Consentior!*...

– Tak i ja myślę, że się waść zgadzasz, choćby potem tron dziedziczny w naszej rodzinie miał zostać – rzekł ze złośliwym uśmiechem książe. – Tacyście wszyscy!... Ale to rzecz późniejsza. Tymczasem trzeba, żeby układy do skutku doszły... Rozumiesz waszmość, panie stryjcju?

– Trzeba, jako żywo trzeba! – powtórzył z głębokim przekonaniem miecznik.

– Dojść zaś mogą dlatego, że wdzięcznym jestem jego szwedzkiemu majestatowi pośrednikiem, a wiesz, waszmość, z jakowych przyczyn?... Oto, *Carolus* ma jedną siostrę za de la Gardie, a drugą, księżniczkę baponcką, jeszcze panną, i tę chce za mnie wydać, aby się z domem naszym skoligacić i gotową partię mieć na Litwie. Stąd jego dla mnie powolność, do której go i wuj elektor nakłania.

– Jakże to? spytał zaniepokojony miecznik.

– Tak, mości mieczniku, że za waszego gołąbka oddałbym wszystkie księżniczki baponckie, razem z księstwem nie tylko Dwóch, ale i wszystkich na świecie Mostów. Jeno mi drażnić szwedzkiej bestii nie wypada, za czym udaję powolne dla ich rokowań ucho; ale niech jeno traktat podpiszą, zobaczymy!

– Ba! to gotowi nie podpisać, gdy się dowiedzą, żeś się wasza książećka mość ożenił?

– Mości mieczniku – rzekł z powagą książe – posądziłeś mnie o nieszczerłość dla ojczyzny... Ja zaś, jako prawy obywatel, pytam cię teraz: mam-li prawo dla swej prywaty dobro Rzeczypospolitej poświęcić?

Pan Tomasz słuchał.

– Więc co będzie?

– Pomyśl sam waszmość: co ma być?

– Dla Boga, widzę już, że ślub musi być odłożony, a przysłowie mówi: „Co się odwlecze, to i uciecze.”

– Ja serca nie zmienię, bom na całe życie pokochał, a i to trzeba waszmości wiedzieć, że wiernością samą cierpliwą Penelopę mógłbym zawstydzić.

Miecznik przeląkł się jeszcze bardziej, bo właśnie całkiem przeciwne o wierności książećkiej miał mniemanie, które i reputacja powszechna potwierdzała, książe zaś jakby na dobitkę dodał:

– Ale masz wasza mość słuszność, że jutra swego nikt nie pewien: mogę zachorzeć, ba! nawet zbiera mi się na jakowąś obłożnicę, bom wczoraj tak zdrętwiiał, że mnie ledwie Sakowicz odratował; mogę umrzeć, zginąć na wyprawie przeciwko Sapieże, a co będzie mi-tręgi, molestowań, zmartwień, tego by na wołowej skórze nie spisał.

– Na rany boskie, radź mości książe!

– Co ja poradzę? – odrzekł ze smutkiem książe – chociaż sam był rad, ażeby klamka jak najprędzej zapadła.



– Otóż, żeby zapadła... Wziąć ślub, a potem co będzie, to będzie...

Bogusław zerwał się na równe nogi.

– Na świętą ewangelię! Waszmość ze swoim rozumem kanclerzem litewskim powinien być zostać. Przez trzy dni inny by tego nie wymyślił, co waszmości od razu do głowy przyszło! Tak jest! tak! wziąć ślub i cicho siedzieć. To głowa! Ja i tak za dwa dni na Sapiechę ruszam, bo mus! Przez ten czas przejście tajemne do komnatki panińskiej się urządzi, a potem w drogę! To głowa statysty! Dwóch albo trzech konfidentów do tajemnicy przypuścim i za świadków weźmiem, aby ślub odbył się *formaliter*. Intercyzę spiszem, wiano ubezpieczym, do którego zapis dołączę, i do czasu – sza! Mieczniku dobrodzieju! dziękuję z serca, dziękuję! Pójdź w moje objęcia, stryjcu, bo tobie najlepszą radę zawdzięczam. Nie ja będę protestował! Pójdź w moje objęcia, a potem do mojej śliczności... Będę odpowiedzi jej czekał, jako na węglach! Tymczasem zaś Sakowicza po księdza wyprawię! Bądź zdrow, ojczyku, a da Bóg, wkrótce i dziadku Radziwiłła!

To rzekłszy księżę wypuścił zdumionego szlachcica z objęcia i wypadł z komnaty.

– Dla Boga! – rzekł do siebie ochłonawszy miecznik. – Dałem taką rozumną radę, że i Salomon by się nie powstydział, a wolałbym, żeby się bez niej obyło. Tajemnica tajemnicą... Wszakże, łam głowę, tłucz łbem o ścianę, nie może inaczej być... Hm! nie może inaczej być! ślepy dojrzy! Bogdaj tych Szwedów mróz ścisnął i wydusił w ostatku!... Żeby nie owe rokowania, to ślub odbyłby się z ceremoniami, jeszcze by cała Żmudz się na weselisko zjechała. A tu do własnej żony mąż musi w wojłokach chodzić, żeby hałasu nie narobić. Tfu, do licha! Nie tak prędko jeszcze Sicińscy popękają, choć Bogu chwała, że ich to nie minie...

To rzekłszy poszedł do Oleńki.

Księżę tymczasem naradzał się w dalszym ciągu z Sakowiczem.

– Tańcował szlachcic na dwóch łapach jak niedźwiedź – mówił Sakowiczowi – ale też mnie wymęczył! Uf! uściskałem go za to, aż mu żebra zatrzeszczały, i trząśłem nim tak, iż myślałem, że mu buty razem z wierzchciami z nóg zlecą... A com mu powiedział: „stryjcu”, to aż w oczach pęczniał, jakby się całą faską bigosu udławił. Tfu! tfu! poczekaj! uczynię cię stryjcem, ale takich stryjców mam na kopy po całym świecie... Sakowicz! widzę już, jako ona mnie w swojej komnatce czeka i przyjmuje, oczki zamknawszy i rączęta skrzyżowawszy... Czekaj i ty! wycaluję ja ci te oczki... Sakowicz! weźmiesz dożywociem Prudy za Oszmianą!... Kiedy Plaska może tu stanąć?

– Przed wieczorem! Dziękuję waszej książęcej mości za Prudy...

– Nic to! Przed wieczorem? to znaczy lada chwila... żeby to można dziś jeszcze, choćby o północy, ów ślub wziąć... Masz gotową intercyzę?

– Mam. Hojny byłem w imieniu waszej książęcej mości. Birze pannie oprawę zapisałem... Będzie miecznik wył jak pies, gdy mu się to potem odbierze.

– Posiedzi w lochu, to się uspokoi.

– Nie trzeba i tego. Jak ślub pokażę się nieważny, to i wszystko nieważne. A nie mówiłem waszej książęcej mości, że się zgodzą?

– Nie czynił najmniejszych trudności... Ciekawym, co ona powie... Jakoś go nie widać!

– Padli sobie w ramiona i z rozczulenia płaczą, a błogosławią waszą książęcą mość, a nad dobrocią i urodą się unoszą.

– Nie wiem, czyli nad urodą, bo jakoś mizernie wyglądam. Ciągłe niezdrów i boję się, żeby ona wczorajsza zdrętwiałość znów nie przysła.

– Ej, byleś wasza książęca mość ciepła zażywał...

Księżę już stał przed zwierciadłem.

– Oczy mam podsiniałe i kiep Fouret brwi mi dziś krzywo uczernił. Patrz, czy nie krzywo? Każę mu palce wkręcić w kurek od muszkietu, a małpę zrobię moim kamerdyne-

rem. Co to jest, że miecznika nie ma?... Chciałbym już do panny! Przecie pocałować się przed ślubem pozwoli... pocałować... posmakować!... Jak prędko się dziś ściemnia... Na Plaskę, jeśliby się wzdragał, trzeba obciążki do ognia wsadzić...

– Plaska nie będzie się wzdragał, to szelma spod ciemnej gwiazdy!

– I ślub da po szelmowsku.

– Szelma szelmę po szelmowsku ożeni.

Książę wpadł w dobry humor.

– Gdzie rajfur družbą, nie może być innego ślubu!

Na chwilę umilkli i poczęli się śmiać obaj, ale rzechotanie ich dziwnie złowrogo rozlegało się po ciemnej izbie. Noc zapadała coraz głębsza.

Książę począł chodzić po pokoju, stukając głośno czekanikiem, którym podpierał się silnie, bo od ostatniego odrętwienia nogi mu jeszcze niezbyt służyły.

Wtem pachółkowie wnieśli kandelabry ze świecami i wyszli, lecz pęd powietrza pochylał płomień świec tak, iż długo nie mogły się palić prosto, topiąc tymczasem obficie wosk.

– Patrz, jak się świece palą – rzekł książę. – Cóż stąd wróżysz?

– Że jedna cnota stopi się dziś jak wosk.

– Dziw, jak długo trwa to chybotanie.

– Może dusza starego Billewicza przelatuje nad płomieniami.

– Głupiś! – rzekł porywczo książę Bogusław – ogromnieś głupi! A wybrał też sobie porę do mówienia o duchach!

Nastała chwila milczenia.

– W Anglii powiadają – ozwał się książę – że jak duch jakowy jest w izbie, to każda świeca będzie ci się palić błękitno, a te, patrz! płoną żółto, jak zwykle.

– Furda!... – rzekł Sakowicz. – W Moskwie są ludzie...

– Cicho no! – przerwał Bogusław. – Miecznik nadchodzi... Nie! to wiatr porusza okiennicą. Diabli nadali tę ciotkę dziewczyny... Kulwiec-Hippocentaurówna! Słyszał kto o czymś podobnym? Ale też i wygląda na Chimere.

– Chcesz wasza książęca mość, to się z nią ożenię. Nie będzie zawadzać. Plaska nas zlutuje na oczekaniu.

– Dobrze. Dam jej jaworową łopatę na prezent ślubny, a tobie latarnię, żebyś jej miał czym świecić.

– Ale będę twoim wujaszkiem... Bogusiu...

– Pamiętaj na Kastora! – odparł książę.

– Nie gładź Kastora, mój Polluksie, pod włos, bo może ugryźć!

Dalszą rozmowę przerwało wejście miecznika i panny Kulwiecówny. Książę postąpił ku nim żywo, podpierając się czekanikiem. Sakowicz wstał.

– A co? można do Oleńki? – spytał książę.

Lecz miecznik tylko ręce rozłożył, a głowę spuścił na piersi.

– Mości książę! Synowica moja powiada, że jej testament pułkownika Billewicza zakazuje losem swym rozporządzać, a gdyby nawet nie zakazywał, tedy za waszą książęcą mość, nie mając do niej serca, nie wyszła.

– Sakowicz! słyszysz? – ozwał się strasznym głosem Bogusław.

– O tym testamencie i ja wiedziałem – mówił miecznik – ale w pierwszej chwili nie uważał go za niezwalczony *impedimentum*.

– Drwię sobie z waszych szlacheckich testamentów! – rzekł książę. – Płwam na wasze szlacheckie testamenta! rozumiesz!

– Ale my nie drwim! – odparł zaperzony pan Tomasz – a wedle testamentu wolno dziewczę albo do klasztoru, albo za Kmicica.

– Za kogo, szerepetko? za Kmicica?... Pokażę ja wam Kmiciców!... nauczę was!

– Kogo to, mości księżę, szerepetką nazywasz? Billewicza?

I miecznik za bok się pochwycił w furii największej, lecz Bogusław w jednej chwili trzasnął go obuchem w piersi, aż w szlachcicu jętko i zwałił się na ziemię, sam zaś kopnąwszy leżącego nogą, aby drogę do drzwi otworzyć, wypadł bez kapelusza z komnaty.

– Jezus! Maria! Józef! – wołała panna Kulwiecówna.

Lecz Sakowicz chwycił ją za ramię i przyłożywszy jej kindżał do piersi mówił:

– Cicho, klejnociku, cicho, turkaweczko najmilsza, bo ci twoje słodkie gardło poderżnę jako kulawej kurze. Siedz tu spokojnie i nie chodź na górę, bo tam sie wesele twej siostrzenicy odprawia.

Lecz w pannie Kulwiecównie płynęła również krew rycerska, więc ledwie usłyszała słowa Sakowicza, natychmiast przestraszona jej zmienił się w rozpacz i uniesienie.

– Łotrze! zbójcu! poganinie! – krzyknęła – zarznij mnie, bo będę krzyczeć na całą Rzeczpospolitą. Brat zabit, krewna pohańbiona, nie chcę i ja żyć! Bij, zbójcu, zarznij! Ludzie! schodźcie się! patrzajcie!...

Dalsze słowa stłumił Sakowicz położywszy jej na ustach swą dłoń potężną.

– Cicho, krzywa kądziółko! cicho, zwiędła ruto! – rzekł do niej. – Jać nie będę zarzynał, po co mam diabłu dawać to, co i tak jego, ale żebyś nie mogła jako paw krzyczeć, zanim się uspokoisz, to ci twą wdzięczną buzię własną swoją chustką obwiążę, a sam lutnię wezmę i „wzdychanego” ci zagram. Nie może być inaczej, jeno musisz mnie polubić.

Tak mówiąc pan starosta oszmiański, z wprawą prawdziwego rzeźmieszcza, okręcił głowę panny Kulwiecówny chustką, pasem skrępował jej w mgnieniu oka ręce, nogi i rzucił ją na sofę.

Następnie siadł przy niej i wyciągnąwszy się wygodnie spytał tak spokojnie, jak gdyby zwykłą rozpoczynał rozmowę:

– Jakże waćpanna myślisz? Ja mniemam, że i Boguś równie sobie łatwo poradzi?

Wtem zerwał się na równe nogi, bo drzwi otworzyły się szybko i ukazała się w nich panna Aleksandra.

Twarcz miała białą jak kreda, włos nieco rozrzucony, brew namarszczoną i zgrozę w oczach.

Ujrzawszy leżącego miecznika przykłęka nad nim i poczęła ręką dotykać jego głowy i piersi.

Miecznik odetchnął głęboko, otworzył oczy, podniósł się na wpół i jał rozglądać się po komnacie, jakby zbudzony ze snu, następnie wsparłszy się ręką o ziemię popróbował wstać, co mu się po chwili przy pomocy panienki udało, więc doszedł chwiejnym krokiem do krzesła i rzucił się w nie.

Oleńka teraz dopiero dostrzegła pannę Kulwiecównę leżącą na sofie.

– Czyś ją waśc zamordował? – spytał Sakowicza.

– Uchowaj Boże! – odrzekł starosta oszmiański.

– Rozkaruję rozwiązać!

Tyle było mocy w jej głosie, że Sakowicz nie odrzekł ani słowa, jak gdyby rozkaz wyszedł od samej księżnej Radziwiłłowej, i począł rozwiązywać zemdloną pannę Kulwiecównę.

– A teraz – rzekła panna – idź do twego pana, któren tam leży na górze.

– Co się stało? – krzyknął oprzytomniawszy Sakowicz. – Waćpanna odpowiesz za niego!

– Nie przed tobą, sługo! Precz!

Sakowicz skoczył jak opętany.

## ROZDZIAŁ XVIII

Sakowicz nie odstępował księcia przez dwa dni, bo drugi paroksyzm cięższy był od pierwszego; szczęki Radziwiłła tak się zwarły, że trzeba je było nożem otwierać, aby do ust wlać lekarstwo trzeźwiące. Zaraz potem odzyskał przytomność, jednakże trząsał się, dygotał, podskakiwał na łożu, wyprężał się jak zwierz śmiertelnie postrzelony. Gdy i to minęło, przyszło osłabienie ogromne; przez całą noc patrzył w sufit, nic nie mówiąc. Nazajutrz, po wzięciu odurzających leków, zapadł w sen twardy i ciężki, a koło południa rozbudził się znowu, zlany potem obfitym.

– Jak się wasza książęca mość czuje? – pytał Sakowicz.

– Lepiej mi. Czy nie przyszły jakowe listy?

– Są od elektora i Szteinboka, leżą tu na stole, ale czytanie na później trzeba odłożyć, bo wasza książęca mość sił jeszcze nie masz.

– Dawaj zaraz... słyszysz?

Starosta oszmiański wziął listy i podał, a Bogusław przeczytał je po dwakroć, po czym pomyślał chwilę i rzekł:

– Jutro ruszamy na Podlasie.

– Jutro będziesz, mości książę, w łożu, jako i dzisiaj.

– Będę na koniu jako i ty!... Milcz, nie przeciw się!...

Starosta umilkł i przez chwilę trwała cisza, którą przerywał tylko poważny i powolny tyk-tak gdańskiego zegara.

– Rada była głupia i pomysł głupi – rzekł nagle książę – i ja także głupi, żem cię usłu-chał...

– Wiedziałem, że jak się nie uda, to wina na mnie spadnie – odrzekł Sakowicz.

– Boś podrwił głową.

– Rada była roztropna, ale jeśli tam jest jaki diabeł na usługach, który o wszystkim ostrzega, ja za to nie odpowiadam.

Książę podniósł się na łóżku.

– Myślisz?... – rzekł patrząc bystro na Sakowicza.

– A wasza książęca mość nie zna papistów?

– Znam, znam! I mnie często do głowy przychodziło, że to mogą być czary. Od wczoraj pewien jestem. Utrafiłeś w moją myśl, dlatego cię spytał, zali naprawdę tak mniemasz? Ale które z nich może w komitywę z siłą nieczystą wchodzić?... Przecie nie ona, bo cnotliwa... i nie miecznik, bo za głupi?...

– A choćby ona ciotka...

– Może to być...

– Dla pewności na krzyż ją wczoraj wiązałem, a przed tym przyłożyłem jej nóż do gardzieli i imaginuj sobie wasza książęca mość, patrzę dziś, a ostrze jakoby w ogniu stopione.

– Pokaż!

– Cisnąłem nóż do wody, choć w rękojeści turkus był zacny. Woląłem tego już więcej nie tykać.

– To ci powiem, co mi się wczoraj przygodziło... Wpadłem do niej jak oszalały. Com mówił, nie pamiętam... ale to wiem, że dziewczka krzyknęła: „W ogień pierwej się rzucę!” Wiesz, jako tam komin ogromny. I wraz skoczyła! Ja za nią. Porwałem ją wpół. Już się szatki na niej zatliły. Musiałem gasić i trzymać zarazem. Wtem dur mnie schwycił, szczęki mi się ścięły... Rzekłbyś, że mnie kto za żyły w szyi szarpnął... Za czym wydało mi się, że owe iskry, wedle nas latające, zmieniły się w pszczoły i brzęczą jako pszczoły... Ot, jak mnie tu widzisz, prawda!

– I co później?

– Nic już nie pamiętam, jeno taki strach, jak gdybym w niezmierną studnię zlatywał, w jakąś głębię bezdenną. Co za strach!... powiadam ci, co za strach! Teraz jeszcze włosy wstają mi na głowie... I nie sam strach, ale... Jakby powiedzieć... i czczość, i nuda niezmierna, i umęczenie niepojęte... Szczęściem, moce niebieskie były ze mną, inaczej już bym z tobą nie rozmawiał.

– Wasza książęca mość miałaś paroksyzm... Sama choroba często różne jaseleczka przed oczy stawia, ale dla pewności można by kazać nieco lodu na rzece odrąbać i tę babę spławić.

– Jechał ją sęk! I tak jutro ruszamy, a potem przyjdzie wiosna, inne będą zaraz gwiazdy i noce krótkie, wszelką nieczystą siłę debilitujące.

– Skoro mamy jutro ruszać, to już lepiej wasza książęca mość tej dziewczki zaniechaj.

– Choćbym nie chciał, muszę... Wcale żądze dziś ode mnie odpadły.

– Puść ich, niech sobie idą do diabła!

– Nie może być!

– Czemu?

– Bo mi się szlachcic do okrutnych pieniędzy przyznał, które są w Billewiczach zakopane. Puszczę ich, to odkopią i pójdą w lasy. Wolę ich tu potrzymać, a pieniądze w rekwizycję wziąć... Teraz wojna, to wolno! Zresztą, sam się ofiarowałem. Każemy sady w Billewiczach skopać piędź przy piędzi; musimy znaleźć. Miecznik zaś, siedząc tu, przynajmniej hałasu i krzyku na całą Litwę nie naczyni, że go zrabowano. Złości mnie biorą, gdy pomyślę, ilem tu pieniędzy na próżno stracił na owe uciechy i turnieje, a wszystko to na nic! na nic!...

– Mnie już dawno i na tę dziewczkę złości brały. A mówię waszej książęcej mości, że gdy wczoraj przyszła i rzekła mi, niby ostatniemu ciurze: „Ruszaj, sługo, na górę, bo tam pan twój leży” – tylko com jej głowy nie ukręcił jako szpakowi, ile żem myślał, że to ona sama pchnęła waszą książęcą mość nożem, czyli ustrzeliła z króciicy.

– Ty wiesz, iż nie lubię, żeby kto u mnie rządził jak szara gęś... I dobrze, żeś tego nie uczynił, bo kazałbym cię owymi żelazkami szczypać, które na Plasę były przygotowane... Wara ci od niej...

– Plasę jużem wyprawił z powrotem. Okrutnie był zdziwiony nie wiedząc, po co go przywieźli i po co każą precz. Chciał coś za fatygę, że to, powiada, „w handlu mam straty”, alem mu rzekł: w nagrodę skórę całą wywozisz!... Zali to naprawdę jutro mamy ruszać na Podlasie?

– Jako Bóg w niebie. A wojska powyprawiane wedle moich rozkazów?

– Rajtarie wyszły już do Kiejdan, skąd mają do Kowna ruszyć i tam czekać... Nasze polskie chorągwie są jeszcze tu, nie zdało mi się naprzód ich wyprawiać. Ludzie niby pewni, a przecie mogliby się z konfederatami zwaćać. Głównicz pojedzie z nami; semenowie pod Wrotyńskim także, Karlstrom ze Szwedy idzie w przedniej straży... Po drodze ma rozkaz rebelizantów, a zwłaszcza chłopstwo wycinać.

– Dobrze.

– Kyritz z piechotą ma ciągnąć z wolna, ażeby w ciężkim terminie było się o kogo oprzeć. Jeśli mamy iść naprzód jako piorun i cały rachunek nasz na szybkości polega, to nie wiem, jeżeli pruskie i szwedzkie rajtarie będą nam przydatne. Szkoda, że nie staje polskich chorągwi, bo mówiąć między nami, nie masz nad naszą jazdę...

– A artyleria wyszła?

– Wyszła.

– Jakże? i Paterson?

– Nie! Paterson jest, pilnuje Ketlinga, który własną szpadą zranił się dość szkodliwie. On go bardzo miłuje. Gdybym Ketlinga nie znał, iż odważny oficer, myślałbym, że się umyślnie zakłuł, aby na wyprawę nie iść.

– Trzeba tu będzie ze sto ludzi zostawić, toż w Rosieniach, toż w Kiejdanach. Szwedzkie przydia szczupłe, a de la Gardie i tak co dzień od Loewenhaupta ludzi żąda. Jak jeszcze i my wyjdziemy, rebelia zapomni o szawelskiej klęsce i znów głowę podniesie.

– Rosną oni i tak. Znów słyszałem, iż Szwedów w Telszach wycięto.

– Szlachta? chłopci?

– Chłopci pod przywództwem księdza, ale są i partie szlacheckie, szczególnie wedle Laudv.

– Laudańscy pod Wołodyjowskim wyszli.

– Siła wyrostków i starców zostało. Ci za broń chwytają, bo to wojennicy z rodu.

– Bez pieniędzy nic rebelia nie wskóra.

– A my się w Billewiczach zasilim. Trzeba być geniuszem jak wasza książęca mość, żeby tak we wszystkim znaleźć poradę.

Bogusław gorzko się uśmiechnął.

– Lepiej w tym kraju cenią tego, kto się królowej jejmości i szlachcie akomodować umie. Geniusz ni cnota nie popłaca. Szczęście, że to i książęciem Rzeszy, a za nogę mnie przecie do sosny nie przywiążą. Byle mnie intraty z dóbr tu położonych regularnie dochodziły, nie dbam o całą Rzeczpospolitą.

– Żeby tylko konfiskować nie chciano?

– Pierwszej my skonfiskujemy Podlasie, jeśli nie całą Litwę. Tymczasem zawołaj mi Patersona.

Sakowicz wyszedł i po chwili wrócił z Patersonem. Rozpoczęła się przy łożu książęcym narada, skutkiem której nazajutrz do dnia miano ruszać i nagłymi pochodami ciągnąć na Podlasie. Książę Bogusław wieczorem czuł się już o tyle lepiej, że ucztował razem z oficerami i żartami do późna się bawił, słuchając z przyjemnością rżenia koni i szczęku oręża gotujących się do pochodu chorągwi.

Chwilami oddychał głęboko i przeciągał się w krześle.

– Widzę, że ta wyprawa zdrowie mi wróci – mówił do oficerów – bom też wśród tych wszystkich układów i zabaw znacznie pole zależał. Ale w Bogu nadzieja, że poczują rękę moją konfederaci i nasz eks-kardynał w koronie.

Na to zaś Paterson ośmielił się odpowiedzieć:

– Szczęście to, że Dalila nie obcięła włosów Samsonowi.

Bogusław popatrzył na niego przez chwilę dziwnym wzrokiem, od którego Szkot już mieszać się począł, ale po chwili oblicze książęce rozjaśniło się strasznym uśmiechem.

– Jeśli filarem jest Sapieha – odrzekł – to nim tak potrząsę, że cała Rzeczpospolita na łeb mu runie.

Rozmowa była prowadzona po niemiecku, więc wszyscy cudzoziemcy oficerowie-jurgieltnicy zrozumieli ją doskonale i odpowiedzieli chórem:

– Amen!

Nazajutrz pochód z księciem na czele wyruszył do dnia. Szlachta pruska, którą świetny dwór przywabił, poczęła zaraz wynosić się do domów.

Za nimi ruszyli do Tylży ci, którzy w Taurogach szukali przed groźbami wojny schronienia, a którym Tylża wydała się teraz bezpieczniejszą. Zostali tylko miecznik, panna Kulwiewówna i Oleńka, nie licząc Ketlinga i starego oficera Brauna, który nad szczupłym prezydium miał komendę.

Miecznik po owym uderzeniu obuszkiem leżał dni kilkanaście, krew od czasu do czasu ustami oddając, że jednak żadna kość nie była złamana, począł z wolna przychodzić do siebie i o ucieczkę zamyślać.

Tymczasem nadjechał ciwun z Billewicz z listem od samego Bogusława. Miecznik nie chciał z początku pisma czytać, lecz wkrótce namyślił się inaczej, idąc w tym za radą pannenki, która była zdania, że lepiej znać wszystkie zamiary nieprzyjaciela.

„Mnie wielce miłościwy panie Billewicz!! *Concordia res parvae crescunt, discordia maximae dilabuntur!* Fata to sprawiły, iżśmy się nie rozstali tak zgodnie, jakby sobie moje afekta dla W Pana i jego wdzięcznej synowicy życzeń mogły, w czym, dalibóg, nie moja wina, gdyż to W Pan wiesz najlepiej, iżście mnie za moje szczere intencje niewdzięcznością nakarmili. Co się zaś w gniewie czyni, tego wedle amicycji w rachubę brać nie trzeba, tuszę przeto, że popędliwe me uczynki zechcesz W Pan krzywdą, której od was doznałem, zgoła wyekskuować. Ja wam też z serca odpuszczam, jako mi chrześcijańska miłość nakazuje, i do zgody powrócić pragnę. Żeby zaś W Panu dać rękojmię, że urazy w sercu nie zostało, nie osądziłem za rzecz godną odmawiać W Panu tej przysługi, której ode mnie żądałeś, i pieniądze WMPanowe przyjmuję...”

Tu miecznik przestał czytać, uderzył kułakiem w stół i zakrzyknął:

– Pierwszej mnie na marach zobaczy niż szeląg z mojej szkatuły!...

– Czytaj ojciec dalej – rzekła Oleńka.

Miecznik podniósł znów pismo do oczu.

„...Której gotowizny dobywaniem nie chcąc W Pana trudzić i zdrowia jego w dzisiejszych burzliwych czasach na szwank wystawiać, kazałem sam ją wydobyć i obliczyć...”

W tym miejscu zabrakło panu miecznikowi głosu i list wypadł mu z rąk na podłogę; przez chwilę zdawało się, że mowa została szlachcicowi odjęta, bo palcami tylko chwycił się za czuprynę i targał ją z całej siły:

– Bij, kto w Boga wierzy! – zakrzyknął wreszcie.

Na to Oleńka:

– Jedna krzywda więcej, kara boska bliżej, bo miara wkrótce się dopełni...

## ROZDZIAŁ XIX

Rozpacz miecznika była tak wielka, że panna musiała go pocieszać i zapewniać, że tych pieniędzy za przepadłe uważać nie trzeba, bo przecie sam list ów za skrypt starczy, a Radziwiła, pana tylu dóbr na Litwie i Rusi, jest na czym poszukiwać.

Natomiast, że trudno było przewidzieć, co ich oboje spotkać jeszcze może, zwłaszcza gdyby Bogusław powrócił zwycięsko do Taurogów, poczęli tym gorliwiej myśleć o ucieczce.

Oleńka radziła ją wszelako odłożyć, dopóki by Hassling-Ketling nie wyzdrowiał, bo Braun był to posepny i nieużyty żołdak, pilnujący ślepo rozkazów, i niepodobna było go przejednać.

Co do Ketlinga, wiedziała doskonale panienska, że dlatego się zranił, aby przy niej pozostać, zatem wierzyła głęboko, że wszystko dla niej uczynić gotów. Sumienie niepokoiło ją wprawdzie bez ustanku pytaniami, czy ma prawo dla własnego ocalenia poświęcać cudzy los, a może i życie, lecz groźby, które nad nią wisały w Taurogach, były tak straszne, że stokroć przewyższały niebezpieczeństwa, na jakie Ketling z powodu opuszczenia służby mógł być narażony. Bo przecie Ketling, jako wyborny oficer, wszędzie mógł znaleźć służbę, i to szlachetniejszą, a z nią razem i potężnych protektorów, jako król, jako pan Sapieha lub pan Czarniecki. I będzie przy tym służył dobrej sprawie, i znajdzie pole wywdzięczenia się temu krajowi, który go, wygnańca, przygarnął. Śmierć grozi mu tylko w takim razie, gdyby wpadł w ręce Bogusława, ale przecie Bogusław nie włada jeszcze w całej Rzeczypospolitej.

Panna przestała się wahać i gdy zdrowie młodego oficera polepszyło się już tak znacznie, że mógł służbę odbywać, wezwała go do siebie.

Ketling stanął przed nią blady, wynędzniały, bez kropli krwi w twarzy, ale pełen zawsze czci, uwielbienia i pokory.

Na jego widok łzy zakręciły się w oczach Oleńce, bo przecie była to jedyna życzliwa dusza w Taurogach, a taka przy tym biedna i cierpiąca, że gdy Oleńka na powitanie spytała go o zdrowie, młody oficer odrzekł:

- Niestety, pani, wraca, a tak by mi było dobrze umrzeć...
- Waćpanu trzeba porzucić tę służbę – odrzekł patrząc nań ze współczuciem dziewczyna – bo tak zacnemu sercu trzeba pewności, że zacnej sprawie, zacnemu panu służy.
- Niestety! – powtórzył oficer.
- Kiedy kończy się służba waćpana?
- Za pół roku dopiero.

Oleńka pomilczała chwilę, po czym podniosła na niego swe cudne oczy, które w tej chwili przestały być surowe, i rzekła:

- Słuchaj mnie, panie kawalerze. Będę mówiła jako do brata, jako do serdecznego konfidenta: waćpan możesz i powinienes się uwolnić.



To rzekłszy wyznała mu wszystko: i zamiar ucieczki, i to, że na jego pomoc rachuje. Poczęła mu przedstawiać, że służbę wszędy może znaleźć, a piękną, jako jego dusza jest piękną, a zaszczytną, jak honor rycerski wymagać może; wreszcie takimi skończyła słowa:

– Ja waćpanu do śmierci będę wdzięczną. Pod bożą opiekę chcę się schronić i Bogu w zakonie ślubować, ale gdziekolwiek będziesz, daleko czy blisko, na wojnie, w pokoju, będę się za waćpana modliła, będę prosiła Boga, by bratu mojemu i dobroczyńcy dał spokój i szczęście, gdy ja prócz wdzięczności i modlitwy nic mu więcej dać nie mogę...

Tu głos jej zadrżał, a oficer słuchał jej słów bledniejąc jak chusta, na koniec klęknął, obie dłonie przyłożył do czoła i głosem do jęku podobnym odrzekł:

– Nie mogę, pani! nie mogę!...

– Waćpan mi odmawiasz? – spytała ze zdumieniem Billewiczówna.

A on, zamiast odpowiedzieć, modlić się począł.

– Boże wielki i miłosierny! – mówił. – Od dziecinnych lat nigdy fałsz nie powstał na wargach moich, nigdy nie splamił mnie krzywy uczynek. Wyrostkiem będąc broniłem tą słabą ręką króla mojego i ojczyzny; za cóż, Panie, karzesz mnie tak ciężko i zsyłasz mękę, do której, sam widzisz, sił mi brakuje!

Tu zwrócił się do Oleńki:

– Pani, ty nie wiesz, co to jest rozkaz dla żołnierza, że w posłuchu nie tylko jego obowiązek, ale jego cześć i honor. Mnie, pani, wiąże przysięga, i więcej niż przysięga, bo słowo rycerskie, że służby przed terminem nie porzucę i co do niej należy, ślepo spełnię. Jam żołnierz i szlachcic i tak mi dopomóż Bóg, jako nigdy w życiu nie pójde śladem takich jurgielników, którzy honor i służbę zdradzają. A nawet na rozkaz, nawet na prośbę twoją, pani, słowa nie złamię, choć w męce to mówię i bólu. Gdybym, mając rozkaz nie puszczać nikogo z Taurogów, stał na straży przy bramie i gdybyś wówczas ty sama, pani, przejść ją wbrew rozkazowi chciała, tedy przeszłabyś, ale po moim trupie. Tyś mnie, pani, nie znała i zawiodłaś się na mnie. Ale zlituj się, zrozumiej, że ja ci do ucieczki pomagać nie mogę i słuchać nawet o niej nie powinienem, gdyż rozkaz jest wyraźny, gdyż odebrał go Braun i nas pięciu pozostałych tu oficerów. Boże, Boże! gdybym był przewidział taki rozkaz, wolej bym poszedł na tę wyprawę... Ja panią nie przekonam, nie uwierzysz mi, a jednak Bóg widzi, Bóg niech tak mnie sądzi po śmierci, jako prawda, że życie dałbym ci bez wahania... honoru nie mogę, nie mogę!

To rzekłszy Ketling załamał ręce i umilkł wyczerpany zupełnie, jeno począł oddychać szybko.

Oleńka nie ochłonęła jeszcze ze zdumienia. Nie miała czasu ni zastanowić się, ni ocenić, jak należy, tej duszy wyjątkowej w swej szlachetności; czuła tylko, że usuwa się jej z rąk ostatnia deska ratunku, zawodzi ją jedyny sposób wydostania się z nienawistnej niewoli.

Lecz próbowała jeszcze opierać się.

– Panie – rzekła po chwili. – Jestem wnuczką i córką żołnierza; dziad i ojciec mój również honor nad życie cenili, ale właśnie dlatego nie do wszystkich posług daliby się byli ślepo używać...

Ketling wydobył drżącą ręką pismo z kalety, podał je Oleńce i rzekł:

– Sądz, pani, czy rozkaz służby nie tyczy?

Oleńka rzuciła okiem na papier i przeczytała, co następuje:

„Ponieważ doszło do naszej wiadomości, że urodzony Billewicz, miecznik rosieński, zamierza opuścić skrycie rezydencje naszą w zamiarach nam nieprzyjaznych: mianowicie, aby znajomych, koligatów, krewnych i klientów swoich *ad rebellionem* przeciw jego szwedzkiemu majestatowi i nam *excitare*, przeto polecamy oficerom, na *praesidium* w Taurogach zostającym, urodzonego Billewicza wraz z synowicą jako zakładników i jeń-

ców wojennych strzec i ucieczki ich nie dopuścić, pod utratą honoru i *sub poena* sądu wojennego...” etc.

– Rozkaz przyszedł z pierwszego postoju, po wyjeździe księcia – rzekł Ketling – dlatego jest na piśmie.

– Niech się dzieje wola boża! – rzekła po chwili milczenia Oleńka. – Stało się.

Ketling czuł, że wypada mu już odejść, i nie ruszał się z miejsca. Białe jego wargi poruszały się od czasu do czasu, jak gdyby chciał coś mówić i nie mógł głosu wydobyć.

Dławiło go pragnienie, by paść jej do nóg i żebrać przebaczenia, lecz z drugiej strony czuł, że ona dosyć ma własnego nieszczęścia, i znajdował jakąś dziką rozkosz w tym, że i on cierpi i że będzie cierpieł bez skargi.

Na koniec skłonił się i wyszedł w milczeniu, ale zaraz w korytarzu pozrywał bandaż, które miał na świeżej ranie, i padł zemdłony, a gdy po upływie godziny straż pałacowa znalazła go leżącego blisko schodów i odniosła do cekhauzu, rozchorował się ciężko i przez dwa tygodnie nie mógł opuścić łóża.

Oleńka po odejściu Ketlinga pozostała czas jakiś jakby odurzona. Spodziewała się przedej śmierci aniżeli jego odmowy, dlatego w pierwszej chwili, pomimo całego hartu duszy, zbrakło jej sił, energii, uczuła się słabą jak zwykła niewiasta, a chociaż nieświadomie powtarzała: „Dziej się wola boża!” – przecie żal zawodu wziął górę nad rezygnacją i łzy obfite a gorzkie puściły się jej z oczu.

W tej chwili nadszedł miecznik, a spojrzawszy na synowice odgadł zaraz, że mu niepomyślną wieść ma zwiastować, więc spytał żywo:

– Dla Boga! co tam znowu?

– Ketling odmawia – odrzekła dziewczyna.

– Wszystko tu łotry, szelmy i arcypsy! Jak to? i ten nie chce pomóc?

– Nie tylko nie chce on pomóc – odrzekła skarżąc się jak małe dziecko – ale powiada jeszcze, że przeszkodzi, choćby też i polec mu przyszło.

– Czemu? na rany Pańskie! czemu?

– Bo taka już nasza dola! Ketling nie zdrajca, ale taka już nasza dola, bośmy najnieszczęśliwsi ze wszystkich ludzi!

– Bodaj tych wszystkich heretyków pioruny zatrzasty! – krzyknął miecznik. – Na cnotę nastają, łupią, kradną, więżą... Bodaj wszystko już przepadło! Nie żyć uczciwym ludziom w takich czasach!

Tu począł chodzić spieszonym krokiem po komnacie i pięściami wygrażać, na koniec ozwał się zgrzytnąwszy zębami:

– Wołałem wojewodę wileńskiego, wołę tysiąc razy nawet Kmicica niż tych uperfumowanych szelmów bez czci i sumienia!

A gdy Oleńka nie odrzekła nic, tylko jeszcze mocniej płakać zaczęła, pan miecznik złągodniał i po chwili tak mówić począł:

– Nie płacz. Kmicic mi do głowy przyszedł jeno dla tego, że ten by nas przynajmniej wyrwać z tej babilońskiej niewoli potrafił. Dałby ci on wszystkim Braunom, Ketlingom, Patersonom i samemu Bogusławowi! Ale zresztą wszyscy zdrajcy jednacy! Nie płacz! Płakaniem nic nie wskórasz, a tu radzić trzeba. Nie chce Ketling pomagać... żeby go skrzywiło!.. to się bez niego obejdzem... Męski niby animusz w tobie, a w ciężkim terminie jeno szlochać umiesz... Co powiada Ketling?

– Powiada, że książę kazał nas jako jeńców wojennych strzec, bojąc się, żebyś stryjko partii nie zebrał i do konfederatów nie poszedł.

Pan miecznik wziął się w boki:

– A! a! boi się, szelma!... I ma słuszność, bo tak uczynię, jako Bóg w niebie!

– Mając zaś rozkaz, który służby tyczy, Ketling pod czią musi go spełnić.

– Dobrze!... Obejdziem się bez heretyckiej pomocy!  
Oleńka otarła łzy.  
– I stryjo myślisz, że będzie można?  
– Myślę, że trzeba, a jak trzeba, to i można, choćbyśmy mieli po powrozach spuszczać się z tych okien.

A panienka zaraz na to:

– Moja wina, żem płakała... Radźmy jak najprędzej!

Łzy jej całkiem oschły i brwi ściągnęły się znowu od myślenia, z dawną stanowczością i energią.

Jakoż pokazało się, że miecznik nie umie rady znaleźć i że imaginacja panny o wiele w sposoby obfitsza. Lecz ciężko i jej szło, bo to było jasne, że ich tam muszą strzec pilnie.

Postanowili tedy nie prędzej próbować, aż pierwsze wieści od Bogusława przyjdą do Taurogów. W tym całą złożyli nadzieję, spodziewając się kary boskiej na zdrajcę ojczyzny i bezczestnego człeka. Mógł on przecie polec, mógł obłożnie zachorzeć, mógł być pobity przez Sapiehę, a wówczas niezawodnie powstałby w całych Taurogach popłoch i nie tak by już bacznie bram strzeżono.

– Znam ja pana Sapiehę – mówił, poczekając siebie i Oleńkę, miecznik – wojennik to powolny, ale akuraty, i dziw, jak zawzięty. *Exemplum* jego dla majestatu i ojczyzny werność. Zastawił się, wyprzedził, a taki potęgę zebrał, przy której Bogusławowa jedno nic. Tamto poważny senator, to fircyk, tamto prawy katolik, to heretyk, tamto sama roztropność, to paliwoda! Przy kim może być wiktoria i błogosławieństwo boże? Ustąpi ta radziwiłłowska noc przed sapieżyńskim dniem, ustąpi! Chybaby kary i sprawiedliwości na tym świecie nie było!... Czekajmy jeno wieści i módlmy się za powodzenie pana Sapieżyńskiego oręża.

Poczęli tedy wyczekiwać, ale przeszedł miesiąc, długi, ciężki dla strapionych serc, nim pierwszy goniec przybył, a i to wysłany nie do Taurogów, ale do Szteinboka, do Prus Królewskich.

Ketling, który od czasu ostatniej rozmowy nie śmiał stanąć przed oczyma Oleńki, przysłał jej zaraz kartkę z następującą wiadomością:

„Książę Bogusław zniósł pana Krzysztofa Sapiehę koło Brańska; kilka chorągwi jazdy i piechoty w pień wyciętych. Idzie na Tykocin, pod którym, stoi Horotkiewicz”.

Dla Oleńki był to po prostu grom. Wielkość wodza i dzielność rycerska znaczyły dla jej dziewczęcego umysłu jedno i to samo, że zaś widziała Bogusława w Taurogach pokonującego z łatwością najdzielniejszych rycerzy, przeto, zwłaszcza po owej wiadomości, wyobraziła go sobie jako złą, ale niezwyciężoną siłę, której nikt nie sprosta.

Nadzieja, aby Bogusław mógł być pokonany, zgasła w niej zupełnie. Próżno miecznik uspokajał ją i pocieszał tym, że młody książę nie zmierzył się jeszcze ze starym panem Sapiehą, próżno jej zaręczał, że sama godność hetmańska, którą król świeżo pana Sapiehę przyozdobił, musi dać temu ostatniemu stanowczą nad Bogusławem przewagę, nie wierzyła, nie śmiała wierzyć.

– Kto jego zwycięży? kto mu sprosta?... – odpowiadała ustawicznie.

Dalsze wieści zdawały się potwierdzać jej obawy.

W kilka dni później Ketling znów nadesłał kartkę z doniesieniem o rozbiciu Horotkiewicza i wzięcia Tykocina. „Całe Podlasie (pisał) jest już w ręku księcia, który nie czekając na pana Sapiehę, sam wielkimi pochodami ciągnie na niego.”

„I pan Sapieha zniesion będzie!” – pomyślała dziewczyna.

Tymczasem nadleciała niby jaskółka, zwiastunka wiosny, wieść z innych stron. Na te przymorskie brzegi Rzeczypospolitej przyleciała ona późno, ale za to ubrana we wszystkie tęcze blaski cudownej legendy z pierwszych wieków chrześcijaństwa, gdy jeszcze święci chodzili po świecie, świadcząc prawdzie i sprawiedliwości.

– Częstochowa! Częstochowa! – powtarzały wszystkie usta.

Z serc lód odtajał i zakwitnęły jako kwiaty w przygrzanej wiosennym słońcem ziemi. „Częstochowa się obroniła, widziano ją samą, Królowę Polską, okrywającą mury płaszczem niebieskim; granaty zabójcze przypadały pod Jej święte stopy, łaszcząc się jako psy domowe; Szwedom schły ręce, muszkiety przyrastały do twarzy, aż odstąpili ze wstydem i strachem.”

Ludzie sobie obcy, gdy usłyszeli tę wieść, padali sobie w objęcia, płacząc z radości. Inni narzekali, że przyszła tak późno.

– A my tu w płaczu – mówili – a my w bólu, my w męce tyle czasu żyli, gdy nam już weselić się było trzeba!...

Za czym poczęło huczeć w całej Rzeczypospolitej i roztaczały się te groźne grzmoty od Pontu Euksynu do Bałtyku, aż fale obu mórz drżały; to lud wierny, lud zbożny powstawał jak burza w obronie swej Królowej. We wszystkie serca wstąpiła otucha, wszystkie źrenice zapalały ogniem; to, co się wydawało przedtem strasznym i niezwalczonym, zmałało w oczach.

– Kto go pokona? – mówił do dziewczyny pan miecznik – kto mu sprosta? Teraz wiesz kto? Panna Najświętsza!

Oboje z Oleńką krzyżem po całych dniach leżeli dziękując Bogu za miłosierdzie nad Rzeczpospolitą; zarazem przestali wątpić i o własnym ocaleniu.

O Bogusławie zaś ucichło przez długi czas zupełnie, jakby on sam wraz z całą swą siłą w wodę wpadł. Oficerowie pozostali w Taurogach poczęli się niepokoić i przyszłość swą niepewną oglądać. Woleliby wieść o klęsce niż tę głucha ciszę. Ale żadna wieść nie mogła nadejść, bo właśnie to wówczas straszliwy Babinicz wysforował się z Tatarów przed księcia i wszystkich gońców przejmował.

## ROZDZIAŁ XX

Pewnego jednak dnia przybyła do Taurogów z konwojem kilkudziesięciu żołnierzy panna Anna Borzobohata-Krasieńska.

Braun przyjął ją bardzo uprzejmie, bo musiał, gdyż mu tak nakazywał list Sakowicza, przez samego Bogusława podpisany, a polecający wszelkie dla respektowej panienci księżnej Gryzeldy Wiśniowieckiej mieć względy. Panienska też pełna była fantazji; od pierwszej chwili przyjazdu poczęła w Braunie świdrować oczkami, aż posępny Niemiec rozruszał się, jakoby go kto ogniem przypiekł; poczęła także komenderować innymi oficerami, słowem, rozporządzać się w Taurogach jak we własnym domu. Tego samego dnia wieczorem poznała się z Oleńką, która patrzyła wprawdzie na nią z nieufnością, lecz przyjmowała ją grzecznie, w nadziei, iż nowin od niej zaczerpnie.

Jakoż Anusia miała ich pod dostatkiem. Rozmowa poczęła się od Częstochowy, bo tych wieści najchciwsi byli taurogscy jeńcy. Miecznik szczególnie pilnie osłaniał uszy rękoma, by żadnego słowa nie uronić, przerywając tylko od czasu do czasu opowiadanie Anusi okrzykami:

– Chwała na wysokości Panu!

– Dziwno mi to – rzekła wreszcie przyjezdna panienska – że waćpaństwa dopiero niedawno wiadomość o tych cudach Najświętszej Panienski doszła, bo to już dawna historia, i ja byłam jeszcze wtedy w Zamościu, i pan Babinicz jeszcze po mnie nie przyjechał – hej! na ileż to tygodni było przedtem... Potem już zaczęli Szwedów wszędy bić, i w Wielkopolsce, i u nas, a najgorzej pan Czarniecki, przed którego imieniem samym uciekają.

– A! pan Czarniecki! – krzyknął zacierając ręce miecznik – ten im da pieprzu! Słyszałem jeszcze o nim z Ukrainy jako o wielkim żołnierzu.

Anusia tylko rączkami strzepnęła sukienkę i tak sobie, jakby o najmniejszą rzecz szło, zawołała z niechcenia:

– Oho! już po Szwedach!

Stary zaś pan Tomasz nie mógł wytrzymać, więc porwawszy ją za rączkę, całkiem pograżył onę malutką w swych ogromnych węsach i począł całować zawzięcie, wreszcie zakrzyknął:

– A, moje śliczności! Potoka płynie z ust waćpanny, jak mi Bóg miły!... Nie może inaczej być, jeno anioł przyjechał do Taurogów!

Anusia zaraz poczęła kręcić palcami kończyki warkoczyków obwiązane różowymi wstążeczkami i strzygąc spod czoła oczyma odrzekła:

– Ej, daleko mnie do aniołów! Ale już i hetmani koronni poczęli Szwedów bić, i wszystkie wojsko kwarciane z nimi, i wszystkie rycerstwo, i uczynili konfederacje w Tyśzowcach, i król do niej przystąpił, i wydali uniwersały, i nawet chłopstwo Szwedów bije... i Najświętsza Panienska błogosławi...

Tak zaś mówiła, jakoby ptak szczebiotał, ale od tego szczebiotania w mieczniku serce zmiękło zupełnie, więc choć niektóre z tych nowin były już mu wiadome, ryknął wreszcie z radością jak żubr; po twarzy Oleńki poczęły także płynąć łzy ciche a duże.

Widząc to Anusia, a mając od natury serce dobre, skoczyła zaraz ku niej, a objawszy ją rękoma za szyję poczęła mówić szybko:

– Nie płacz, waćpanna... mnie waćpanny żal i nie mogę na to patrzeć... Czego płaczesz?...

Tyle było szczerości w jej głosie, że nieufność Oleńki znikła zaraz, ale za to rozpląkała się biedna dziewczyna jeszcze serdeczniej.

– Waćpanna taka śliczna... – pocieszała ją Anusia – czego płaczesz?

– Od radości – odrzekła na to Oleńka – ale i ze strapienia, bo my tu w ciężkiej niewoli jesteśmy, dnia niepewni ani godziny...

– Jakże to? U księcia Bogusława?

– U tego zdrajcy! u tego heretyka! – huknął pan miecznik.

Na to Anusia:

– To samo i mnie się przygodziło, a dlatego nie płaczę. Nie neguję waćpanu dobrodziejowi, że księżę zdrajca i heretyk, ale dworny kawaler i płeć nasza respektujący.

– Bodaj go tak samo w piekle respektowali! – odparł miecznik. – Panna go jeszcze nie znasz, bo na waćpannę tak nie nastawał jako na tę dziewczynę. Arcy to szelma jest, ów Sakowicz drugi! Dałby Bóg, żeby pan hetman Sapieha obu pogrzyżył!

– Że pogrzyży, to pogrzyży... Księżę Bogusław chory okrutnie i potęgę ma niewielką. Prawda, że nagle nastąpił i kilka chorągwi zniósł, i Tykocin zagarnął, i mnie, ale nie jemu mierzyć się z pana Sapieżyńską siłą. Możecie mi waćpaństwo wierzyć, bom obie potęgi widziała... Przy panu Sapieże najwięksi kawalerowie się znajdują, którzy sobie z księciem Bogusławem wnet poradzą.

– A widzisz! nie mówiłem ci? – rzekł miecznik zwracając się do Oleńki.

– Księcia Bogusława znam z dawna – mówiła dalej Anusia – bo to obojga księstwa Wiśniowieckich i państwa Zamoyskich powinowaty; przyjeżdżał on raz do nas do Łubników, wtedy, kiedy sam księżę Jeremi na Tatarów w Dzikie Pola chodził. Dlatego i teraz mnie szanować kazał, bo pamiętał, iżem tam domową była i księżnej pani najbliższą. Ot, taka, taka jeszcze byłam malutka! nie to co dziś!... Mój Boże, kto by się to wtedy spodział, że z niego zdrajca będzie. Ale nie frasujcie się i tak, mili państwo, bo albo on już nie wróci, albo też my się jako stąd wydostaniemy.

– Już my tego próbowali – odrzekła Oleńka.

– I nie udało się wam?

– Jak się miało udać? – rzekł miecznik. – Spuściliśmy się ze sekretu przed jednym oficerem, o którym rozumieliśmy, że nam sprzyja, a pokazało się, że on gotów przeszkodzić, nie pomóc. Najstarszy nad nimi jest tu Braun, tego zaś i sam diabeł nie przejedna.

Anusia spuściła oczki.

– Może by mnie się udało. Trzeba tylko, żeby pan Sapieha tu przyszedł, aby było się do kogo schronić.

– Daj go Boże jak najprędzej – odpowiedział pan Tomasz – bo też i między jego ludźmi siła mamy krewnych, znajomych i przyjaciół... Ba! tamże przecie są i dawni towarzysze spod wielkiego Jeremiego, panowie Wołodyjowski, Skrzetuski i Zagłoba.

– Znam ich – odrzekła ze zdziwieniem Anusia – ale ich u pana Sapiehy nie masz. Ej, żeby to byli! a zwłaszcza pan Wołodyjowski (bo pan Skrzetuski żonaty), to by mnie tu nie było, gdyż pan Wołodyjowski nie dałby się ogarnąć jako pan Kotczyc.

– Wielki to kawaler! – zawołał miecznik.

– Chłuba całego wojska! – dodała Oleńka.

– Dla Boga! czy tylko nie polegli, żeś ich waćpanna nie widziała?

– Ej, nie! – odrzekła Anusia – przecieby głośno było o śmierci takich rycerzy, a nie mówiono mi nic... Waćpaństwo ich nie znacie... Nie dadzą się oni nigdy... chyba kula mo-

że ich zabić, bo żaden człowiek im nie poradzi, ani panu Skrzetuskiemu, ani panu Zagłobie, ani panu Michałowi. Chociaż pan Michał mały, ale pamiętam, co ksiązę Jeremi o nim powiadał, że gdyby los całej Rzeczypospolitej zawisł od bitwy jednego z jednym, to by pana Michała do niej wybrał. Onże Bohuna usiekł... O, nie! pan Michał zawsze sobie da rady.

Miecznik kontent, że ma z kim gawędzić, począł chodzić szerokimi krokami po komnacie zapytując:

– Proszę, proszę! To waćpanna znasz tak dobrze pana Wołodyjowskiego?

– Bośmy tyle lat razem byli...

– Proszę!... To pewno się i bez afektów nie obeszło?

– Ja temu nie winna – rzekła Anusia przybierając skromną postawę – ale do tej pory pewnie i pan Michał się ożenił.

– A właśnie że się nie ożenił.

– Choćby się i ożenił... toż mi wszystko jedno!...

– Daj wam Boże, abyście się zesзли... Ale to mnie martwi, co mi waćpanna mówisz, że ich u pana hetmana nie masz, bo z takimi żołnierzami wiktorie łatwiejsze.

– Jest tam ktoś, co za nich wszystkich stanie.

– Któż to taki?

– Pan Babinicz z Witebskiego... Waćpaństwo o nim nie słyszeli?

– Nic, co mi i dziwno.

Anusia poczęła opowiadać historię swego wyjazdu z Zamościa i wszystko, co się jej w drodze przygodziło. Pan Babinicz zaś wyrósł w jej opowiadaniu na tak wielkiego bohatera, że miecznik w głowę zachodził, kto by to był taki.

– Toż ja znam całą Litwę – mówił. – Są tu wprowadzie domy podobnie się nazywające, jak: Babonaubków, Babiłów, Babinowskich, Babińskich i Babskich, ale o Babiniczach nie słyszałem... i mniemam, że to musi być nazwisko przybrane, bo tak wielu czyni z tych, którzy są w partiach, ażeby zaś nieprzyjaciel nie mścił się na substancji i rodzinach. Hm! Babinicz!... Ognisty to jakiś kawaler, skoro i pana Zamoyskiego umiał tak splantować.

– Oj! jak ognisty! ach! – zawołała Anusia.

Miecznik wpadł w dobry humor.

– Także to? – spytał stając przed Anusia i biorąc się w boki.

– Bo waćpan dobrodziej może sobie zaraz Bóg wie co suponujesz?

– Boże uchwaj, nic nie suponuję!

– A pan Babinicz, ledwośmy z Zamościa wyjechali, zaraz mi powiedział, że jego serce kto inny w dzierzawie trzyma... i chociaż mu tenuty nie płaci, przecie dzierzawcy zmieniać nie myśli...

– I waćpanna temu wierzysz?

– Juźci, że wierzę – odparła z wielką żywością Anusia – musi on być po uszy zakochany, skoro przez tyle czasu... skoro... skoro...

– Oj! jakoś nieskoro! – odrzekł śmiejąc się pan miecznik.

– A ja mówię, że skoro – odrzekła tupiąc nóżką – bo skoro o nim usłyszymy...

– Daj to Bóg!

– I powiem waćpanu, dlaczego... Oto, ile razy pan Babinicz o księciu Bogusławie wspomniał, to aż mu twarz bieląca, a zębami tak skrzypiał jak drzwiami.

– To już będzie nasz przyjaciel!... – odrzekł pan miecznik.

– Pewnie!... I do niego uciekniemy, byle się pokazał!

– Bylem się stąd wyrwał, będę miał własną partię, i waćpanna zobaczysz, że mi także wojna nie pierwszyczna i że ta stara ręka jeszcze się na coś przyda.

– To idź waćpan pod komendę pana Babinicza.

– Waćpanna masz większą ochotę iść pod tę komendę...

Długo jeszcze przekomarzali się w ten sposób i coraz weselej, tak że i Oleńka, zapomniawszy o swych zgryzotach, rozweseliła się znacznie, a Anusia poczęła w końcu parskać na miecznika jak kotka. Że zaś była wypoczęta, bo na ostatnim noclegu w niedalekich Rosieniach wyspała się dobrze, odeszła więc dopiero późna nocą.

– Złoto, nie dziewczka! – rzekł po jej odejściu pan miecznik.

– Szczere jakoweś serce... i myślę, że prędko przyjdziemy do konfidencji – odpowiedziała mu Oleńka.

– A postawiłaś jej oto z początku kozła na czole.

– Bom mniemała, że to ktoś naślany. Czy ja wiem wreszcie? Wszystkiego się tu boję!

– Ona naślana?... chyba przez dobre duchy!... A wykrętne to lichy jak łasica... Żebyś tak był młodszy, nie wiem, do czego by przyszło, choć i tak człek jeszcze jary...

Oleńka rozweseliła się zupełnie i wsparłszy rączki na kolanach, przekręciła na bok główkę, naśladując Anusie i patrząc z ukosa na miecznika:

– Tak to, stryjaszku?! Stryjną mi chcecie z tej mąki wypiec?

– No, cicho! no! – odrzekł miecznik.

Ale uśmiechnął się i począł całą garścią wása w górę podkręcać.

Po chwili zaś dodał:

– Przecie i takową sensatkę, jak ty, rozruszała. Pewien jestem, że się okrutna amicycja między wami pocznie.

Jakoż nie mylił się pan Tomasz, bo w niedługim czasie zawiązała się przyjaźń między dziewczętami bardzo żywa i rosła coraz bardziej, może dlatego właśnie, że obie stanowiły zupełne względem siebie przeciwieństwo. Jedna miała powagę w duszy, głębokość uczuć, niezłomną wolę i rozum; druga, przy dobrym sercu i czystości myśli, była dzierlatką. Jedna ze swej cichej twarzy, jasnych warkoczów, z niewysłowionego spokoju i uroku wysmukłej postawy do starożytnej Psyche była podobną; druga, istna czarnuszka, przypominała raczej chochlę, która nocami na wertepy ludzi wyprowadza i z frasunku ich się śmieje. Oficerów pozostałych w Taurogach, którzy na obie co dzień patrzyli, brała ochota całować Billewiczówny nogi, Anusi usta.

Ketling mający duszę szkockiego górala, zatem melancholii pełną, czcił i ubóstwiał Oleńkę, a od pierwszego wejrzenia począł nie znosić Anusi, która zresztą wypłacała mu się wzajemnością, wetując poniesione straty na Braunie i wszystkich pozostałych, nie wyłączając samego pana miecznika rosieńskiego.

Oleńka w krótkim czasie uzyskała wielką przewagę nad swą przyjaciółką, która z całą szczerością serca mawiała do pana Tomasza:

– Ona w dwóch słowach więcej powie, niż ja przez cały dzień wytrajkoczę.

Z jednej wszelako przywary nie mogła poważna panna wyleczyć swej pustej przyjaciółki, mianowicie z zalotności. Bo niech jeno Anusia usłyszy brzęk ostróg na korytarzu, wnet udaje, że czegoś zapomniała, że chce obaczyć, czyli nowiny o panu Sapieże nie przybyły, wypada na korytarz, leci wichrem i wpadłszy na oficera wykrzykuje:

– Ach! jak mnie pan przestraszył!

Po czym wszczyna się rozmowa przeplatana kręceniem fartuszka, spoglądaniem spod czoła i rozmaitymi innymi minkami, za pomocą których najtwardsze serce męskie snadnie pogrążone być może.

I tym bardziej brała jej za złe Oleńka owo bałamuctwo, że Anusia po kilku dniach znajomości przyznała się jej do cichego afektu dla pana Babinicza. Nieraz ze sobą o tym rozmawiały.

– Inni jako dziady żebrali – mówiła zatem Anusia – a ten smok wolał na swoich Tatałów niż na mnie spoglądać, a zaś nie mówił inaczej, jak rozkazując: „Waćpanna wysiądź!



waćpanna jedz! waćpanna pij!” Żeby przy tym był grubian, ale nie był; żeby nie był troskliwy, ale był! W Krasnymstawie zaraz powiedziałam sobie: „Nie patrzysz na mnie – czekaj!...” A to już w Łęcznej mnie samą tak rozebrało, że strach. Tu powiem ci, żem mu w te siwe oczy jeno patrzała, a gdy się roześmiał, to już i mnie radość brała, jakobym owo niewolnicą jaką była...

Oleńka zwiesiła głowę, bo i jej siwe oczy przyszły na pamięć. I tamten by tak samo mówił, i tamten komendę wiecznie miał na ustach, dzielność w obliczu, jeno sumienia nie miał ni bojaźni bożej.

A Anusia, idąc za własną myślą, mówiła dalej:

– Kiedy z buzdyganem na koniu po polach latał, to myślałam, że orzeł albo hetman jaki. Tatarowie się go gorzej ognia bali. Gdzie przyjechał, posłuch musiał być, a jak się bitwa zdarzyła, to ognie na niego z ochoty na krew były. Siła je godnych kawalerów w Łubniach widziałam, ale takiego, żeby mnie strach przed nim brał, nigdy nie widziałam.

– Jeżeli ci go Pan Bóg przeznaczył, to go dostaniesz, a żeby zaś ciebie nie lubił, temu się wierzyć nie chce...

– Lubić to on mnie lubił... troszeczkę... ale inna więcej. Sam mi nieraz mówił: „Szczęście to waćpanny, że ni zapomnieć, ni odkochać się nie mogę, bo inaczej lepiej by wilkowi kozę powierzyć aniżeli mnie taką dziewczynę.”

– Cóżżeś mu na to?

– Mówiłam mu tak: „Skądże waćpan wiesz, żebym mu była wzajemną?” A on odpowiadał: „Ja bym nie pytał!” I rób tu, co chcesz, z takim!... Głupia tamta, która go nie pokochała, i samą zatwardziałość musi mieć w sercu. Pytam go, jak jej imię, nie chciał powiedzieć. „Lepiej – mówił – tego nie tykać, bo to bolączka, a druga (powiada) bolączka to Radziwiłły... zdrajcy!” I zaraz tak straszną twarzy czynił, że bałam się go!... Ale co tam! nie dla mnie on, nie dla mnie!

– Proś o niego świętego Mikołaja; wiem od ciotki, że najlepszy to w takich terminach protektor. Bacz jeno, byś go nie obraziła, innych bałamucąc.

– Już nigdy nie będę, jeno tyle! odrobinę!

Tu Anusia pokazywała na palcu, ile sobie pozwoli, i małą sobie wyznaczała porcję, co najwięcej na pół paznokcia, by świętego Mikołaja nie obrazić.

– Ja nie przez pustą swawolę to czynię – tłumaczyła się panu miecznikowi, który także począł jej bałamuctwo do serca brać – ale muszę, bo jeżeli nam ci oficyjerowie nie pomogą, to się nigdy stąd nie wydostaniem.

– Ba! Braun nigdy nie dopuści.

– Braun pograżon! – odrzekła cienkim głosikiem i spuszczać oczy.

– A Fritz-Gregory?

– Pograżon! – odrzekła jeszcze cieniej.

– A Ottenhagen?

– Pograżon!

– A von Irhen?

– Pograżon!

– Niechże waćpannę las ogarnie!... To widzę z jednym Ketlingiem tylko nie umiałś sobie dać rady...

– Nie cierpię go! Ale kto inny da sobie z nim rady. Zresztą, obejdzcie się bez jego pozwolenia.

– I waćpanna myslisz, że jak zechcemy uciekać, to oni nie przeszkodzą?

– Pójdą z nami!... – odrzekła wyciągając główkę i mrużąc oczy Anusia.

– Dla Boga! to czemu tu siedzimy? Dziś bym chciał być daleko!

Ale z narady, która zaraz nastąpiła, wypadło, że należy czekać, póki się losy Bogusławowe nie rozstrzygną i póki pan podskarbi albo pan Sapieha nie zbliżą się w okolice Żmudzi. Inaczej groziła sroga zguba nawet od swoich. Towarzystwo cudzoziemskich oficerów nie tylko nie stanowiłoby obrony, ale powiększało jeszcze niebezpieczeństwo, lud bowiem prosty tak strasznie był na cudzoziemców zawzięty, że każdego, kto polskich szat nie nosił, mordował bez miłosierdzia. Polscy bowiem dygnitarze noszący obie suknie, nie mówiąc o dyplomatach austriackich i francuskich, nie mogli podróżować inaczej, chyba pod osłoną potężnych oddziałów wojskowych.

– Waćpaństwo mi wiercie, bom ja przejechała cały kraj – mówiła Anusia – w pierwszej lepszej wsi, w pierwszym lepszym lesie grasanci wymordują nas, nim spytają, ktośmy tacy. Nie można inaczej uciekać, jeno do wojsk.

– Ba, będę miał własną partię.

– Nim ją waćpan zbierzesz, nim do znajomej wsi dojedziesz, szyję stracisz.

– Wieści o księciu Bogusławie powinny wkrótce nadejść.

– Panu Braunowi kazałam, by zaraz mi wszystko donosił.

Braun jednak przez długi czas nic jej nie donosił.

Ketling natomiast począł odwiedzać Oleńkę, bo pierwsza, spotkawszy go pewnego dnia, wyciągnęła doń rękę. Młody oficer źle wróżył z tej głuchej ciszy. Wedle niego, książę, ze względu na elektora i Szwedów, nie zamilczałby o najmniejszym powodzeniu i raczej by je przesadzał, aniżeli milczeniem znaczenie rzeczywistych przewag osłabiał.

– Nie przypuszczam, żeby miał być już zniesiony ze szczętem – mówił młody oficer – ale pewnie znajduje się w ciężkim położeniu, z którego wyjście znaleźć trudno.

– Wszystkie wieści przychodzą tu tak późno – odrzekła Oleńka – a najlepszy dowód na Częstochowie, o której cudownej obronie dowiedzieliśmy się szczegółów dopiero od panny Borzobohatej.

– Ja, pani, wiedziałem już o tym dawniej, ale nie rozumiejąc, jako cudzoziemiec, walaru, który dla Polaków ma to miejsce, nawet nie wspominałem pani o tym. Bo że się w tak wielkiej wojnie jakowyś zameczek na czas obroni i kilka szturmów odeprze, to się zawsze zdarza i zwykle nie przywiązuje się do tego wagi.

– A przecie byłaby to dla mnie najmiłsza nowina!

– Widzę istotnie, że źle uczyniłem, bo z tego, co jak teraz słyszę, po owej obronie zaszło, miarkuję, że to rzecz ważna, która na całą wojnę wpłynąć może. Wszelako, wracając do podlaskiej księcia ekspedycji, to inna sprawa. Częstochowa daleko, Podlasie bliżej. A gdy księciu powodziło się początkowo, pamiętasz, pani, jak prędko przychodziły nowiny... Wierzaj mi, pani: jestem młodym człowiekiem, ale od czternastego roku życia żołnierzem, i doświadczenie mi mówi, że owa cisza źle wróży.

– Raczej dobrze – odrzekła panna.

Na to Ketling:

– Niech będzie dobrze!... Za pół roku kończy się moja służba!... Za pół roku rozwiązuje się moja przysięga!...

–W kilka dni po tej rozmowie nowiny nareszcie nadeszły.

Przywiózł je pan Bies herbu Kornia, zwany na dworze Bogusławowym Cornutusem. Był to szlachcic polski, ale scudzoziemczały zupełnie, bo od pacholących niemal lat w wojskach zagranicznych służąc, prawie po polsku zapomniał, a przynajmniej mówił jak Niemiec. Duszę miał także scudzoziemczają, dlatego wielce do osoby księcia był przywiązany. Jechał on z ważną misją do Królewca, w Taurogach zaś zatrzymał się tylko dla wypoczynku.

Braun z Ketlingiem przyprowadzili go zaraz do Oleńki i Anusi, które obecnie mieszkały już i sypiały razem.

Braun stanął frontem przed Anusią, po czym zwrócił się do pana Biesa i rzekł:

– To jest krewna pana Zamoyskiego, starosty kałuskiego, zatem i księcia pana, dla której kazał wszelkie mieć atencje, a która życzy sobie nowiny z ust naocznego świadka posłyszec.

Pan Bies z kolei wyprostował się jak po służbie i czekał pytania.

Anusia nie zaprzeczała pokrewieństwa z Bogusławem, bo bawiły ją hołdy wojskowych, więc skinęła ręką na pana Biesa, by usiadł, co gdy uczynił, spytała:

– Gdzie księżę obecnie się znajduje?

– Księżę cofa się ku Sokółce, daj Boże szczęśliwie! – odrzekł oficer.

– Mów waćpan szczerą prawdę, jak mu idzie?

– Powiem szczerą prawdę – odrzekł oficer – i nic nie zataję, mniemając, że jej dostojność znajdziesz w duszy swej fundament do wysłuchania nowin mniej pomyślnych.

– Znajdę! – odrzekła Anusia stukając pod suknią korkiem o korek z ukontentowania, że ją zwą jej dostojnością i że nowiny są „mniej pomyślne”.

– Z początku wszystko nam szło dobrze – mówił pan Bies. – Starliśmy po drodze kilka kup rebelizantów, robiliśmy pana Krzysztofa Sapiechę i wycieliśmy dwie chorągwie jazdy oraz regiment piechoty dobrej, nikogo nie żywiąc... Za czym znieśliśmy pana Horotkiewicza, iż sam ledwie uszedł, a inni powiadają, że zabit... Za czym zajęliśmy ruiny tykocińskie...

– To już wszystko wiemy, powiadaj prędko waćpan niepomyślne nowiny! – przerwała nagle Anusia.

– Racz tylko pani wysłuchać ich spokojnie. Doszliśmy aż do Drohiczyzna i tam naraz odwinęła się karta... Mieliśmy wieść, że pan Sapieha jeszcze daleko; tymczasem dwa nasze podjazdy jakoby w ziemię wpadły. Nie wrócił ni świadek kłęski. Wtem pokazało się, że jakieś wojska idą w przodku przed nami. Wielka stąd powstała konfuzja. Księżę pan począł myśleć, że wszystkie poprzednie relacje były fałszywe i że pan Sapieha nie tylko nastąpił, ale i drogę przeciął. Poczęliśmy się tedy cofać, bo w ten sposób można było przydybać nieprzyjaciela i do walnej bitwy, której koniecznie chciał księżę, go zmusić... Ale nieprzyjaciel nie dawał pola, jeno ciągle napadał i napadał. Poszły znów podjazdy i wróciły poszarpane. Odtąd poczęło nam wszystko w rękę topnieć, nie mieliśmy spokoju we dnie ni w nocy. Drogi nam psuto, groble przecinano, przejmowano wiwendę. Poczęły chodzić słuchy, że sam pan Czarniecki nas gnębi; żołnierz nie jadł, nie spał, duch upadł; w samym obozie ginęli ludzie, jakoby ich ziemia pożerała. W Białymstoku nieprzyjaciel zachwyił znów cały podjazd, kredensy i karoce księżęce, i działa. Nigdy nic podobnego nie widziałem. Nie widziano też tego w poprzednich wojnach. Księżę wpadł w alterację. Chciał jednej walnej bitwy, a musiał staczać co dzień po dziesięć mniejszych... i przegrywać. Ład rozprzęgał się. A cóż dopiero wyrazić zdoła naszą konfuzję i strach, gdybyśmy się dowiedzieli, że sam pan Sapieha jeszcze nie nastąpił i że to tylko potężny podjazd przedostał się przed nas i tyle niewypowiedzianych klęsk nam zadał... W podjeździe tym były wojska tatarskie...

Dalsze słowa oficera przerwał pisk Anusi, która rzuciwszy się nagle Oleńce na szyję zakrzyknęła:

– Pan Babinicz!

Oficer zdumiał, usłyszawszy nazwisko, ale sądził, że to przestrasz i nienawiść wyrwały dostojnej panie z piersi ten okrzyk, więc dopiero po chwili tak mówiąc począł:

– Komu Bóg dał wielkość, dał mu i siłę do zniesienia ciężkich terminów, więc racz się, pani, uspokoić! Tak istotnie zowie się ten piekielnik, który los całej wyprawy podkopał i nieobliczonych jeszcze szkód stał się przyczyną. Nazwisko jego, które jej dostojność z taką zdumiewającą bystrością odgadłaś, powtarzają teraz wszystkie usta z przerażeniem i wściekłością w naszym obozie...

– Tego pana Babinicza widziałam w Zamościu – odrzekła prędko Anusia – i gdybym była odgadła...

Tu umilkła, i nikt nie dowiedział się, co by w takim razie zaszło...

Oficer po chwili milczenia tak znowu mówić począł:

– Nastąpiły odwilże i ciepła, wbrew, można rzec, przyrodzonemu natury porządkowi, bo mieliśmy wiadomość, iż na południu Rzeczypospolitej zima trzyma się jeszcze tęga, a my zasie brodziliśmy w roztopach wiosennych, które naszą ciężką jazdę do ziemi przykuły. On zaś, mając ludzi lekkich, tym bardziej dojeżdżał. Co krok roniliśmy wozy i działa, tak że w końcu komunikiem iść przyszło. Mieszkaniec okoliczny w ślepej zaciekłości swej jawnie sprzyjał napastnikom... Będzie, co Bóg zdarzy, ale w desperackim stanie zostawiłem cały obóz i samego księcia pana, którego w dodatku febra złośliwa nie opuszcza i po całych dniach sił pozbawia. Bitwa generała wszakże nastąpi wkrótce, ale jak się to obróci, Bóg wie... i pokieruje... Cudów należy się spodziewać.

– Gdzieś waćpan zostawił księcia?

– Na dzień drogi od Sokółki; książę ma zamiar okopać się w Suchowoli lub tamtejszym Janowie i bitwę przyjąć. Pan Sapieha jest o dwa dni drogi. Gdym wyjeżdżał, mieliśmy trochę wolniejszego oddechu, bo od schwytanego języka dowiedzieliśmy się, że sam Babinicz odjechał do głównego obozu, bez niego zaś Tatarowie nie śmieją tak następować, kontentując się szarpaniem podjazdów. Książę, który jest wódz niezrównany, wszystkie nadzieje na walnej bitwie gruntuje, ale to gdy zdrów, a gdy go febra chwyci, musi inaczej myśleć, czego najlepszy dowód w tym, iż mnie wysłał do Prus.

– Po co tam waćpan jedziesz?

– Albo książę bitwę wygra, albo przegra. Jeżeli przegra, całe Prusy elektorskie pozostaną bez obrony i snadnie może się zdarzyć, że pan Sapieha przejdzie granicę, aby elektora do decyzji skłonić... Owóz (mówię to, gdyż tajemnicy nie ma żadnej) jadę ostrzec, by jakowąś obronę tamtym prowincjom obmyślono, bo nieproszeni goście mogą w zbyt licznej kompanii nadciągnąć. Elektora to sprawa i Szwedów, z którymi książę pan jest w przymierzu i od których również ma prawo ratunku wyglądać.

Oficer skończył.

Anusia zarzuciła go jeszcze mnóstwem pytań, z trudnością utrzymując należyłą powagę, za to gdy wyszedł, dała sobie folgę zupełną, poczęła rękoma po jubce uderzać, na karkach się jak fryga okręcać, Oleńkę po oczach całować, pana miecznika za wyloty ciągnąć i wołać:

– A co? a co mówiłam? Kto zgłębił księcia Bogusława? może pan Sapieha?... figę pan Sapieha! Kto Szwedów tak samo gnębi? kto zdrajców wypłeni? kto największy kawaler, największy rycerz? Pan Andrzej! pan Andrzej!

– Jaki pan Andrzej?... – spytała nagle, blednąc, Oleńka.

– To ci nie mówiłam, że jemu Andrzej na imię? Sam mi to powiadał. Pan Babinicz! pan Babinicz! Niech żyje pan Babinicz!... Już i pan Wołodyjowski lepiej by nie potrafił!... Co tobie, Oleńko?

Billewiczówna otrząsnęła się, jakby pragnąc zrzucić z siebie brzemień ciężkich myśli.

– Nic! Myślałam, że to imię sami zdrajcy noszą. Bo był ktoś, który króla podejmował się żywego lub umarłego Szwedom albo księciu Bogusławowi sprzedać, i na imię miał także... Andrzej.

– Niech go Bóg potępi! – huknął miecznik. – Co tam zdrajców po nocy wspominać. Radujmy się lepiej, gdy jest czego!

– Niech tylko tu pan Babinicz nadciągnie! – dodała Anusia. – Otóż tak! Będę, umyślnie będę jeszcze bardziej Brauna bałamuciła, by całe przydyum pobuntować i z ludźmi, z końmi i z nami razem do pana Babinicza przeszedł.

- Uczyń to waćpanna! uczyń! – zawołał rozochocony miecznik.
  - A później figa tym wszystkim Niemcom... Może też on o tej niegodnej zapomni i mnie po... ko...
- Tu znowu pisnęła cieniuteczko, zakryła oczy rękoma, nagle gniewna myśl musiała jej przyjść do głowy, bo uderzyła pięstką w pięstkę i rzekła:
- Jak nie, to za pana Wołodyjowskiego pójdę!

## ROZDZIAŁ XXI

We dwa tygodnie później zawrzało w całych Taurogach. Pewnego wieczora nadciągnęły bezładne kupy wojsk Bogusławowych, po trzydzieści lub czterdzieści koni, nędzne, obdarte, do mar podobniejsze niż do ludzi, i przyniosły wieść o klęsce Bogusławowej pod Janowem. Stracono w niej wszystko: armię, armaty, konie, tabor. Sześć tysięcy najświetniejszego ludu wyszło z księciem na tę wyprawę, wróciło zaś ledwo czterystu rajtarów, których sam książę wyprowadził z pogromu.

Z Polaków nie wróciła, prócz Sakowicz, jedna żywa dusza, wszyscy bowiem, którzy nie polegli w boju, których nie poznał na podjazdach straszny Babinicz, przeszli do pana Sapiehy. Wielu także cudzoziemskich oficerów wołało dobrowolnie stanąć przy rydwanie zwycięzcy. Słowem, nigdy jeszcze żaden z Radziwiłłów nie powracał z wojennej wyprawy bardziej sterany, zniszczony i pobity.

A jak poprzednio dworackie pochlebstwo nie znało miary w wynoszeniu Bogusława jako wodza, tak teraz wszystkie usta brzmiały nieustającą skargą przeciw niedołęznemu prowadzeniu wojny; w resztkach żołnierzy trwało nieustające wzburzenie, które w ostatnich dniach odwrotu sprowadziło zupełny bezład i doszło do tego stopnia, że książę osądził za rzecz roztropniejszą pozostać nieco w tyle.

Obaj z Sakowiczem zatrzymali się w Rosieniach. Hassling, dowiedziawszy się o tym od żołnierzy, poszedł natychmiast z nowiną do Oleńki.

– Główna rzecz – rzekła mu wysłuchawszy relacji – czy pan Sapieha i ów Babinicz ściągają księcia i czy zamierzają wojnę przenieść w te strony?

– Z zeznań żołnierzy nic nie można wydobyć – odpowiedział oficer – bo przestрах przesadza wszelkie niebezpieczeństwa, są więc tacy, którzy mówią, że pan Babinicz tuż. Z tego jednak, iż książę z Sakowiczem pozostali, wnoszę, iż pościg nie może być szybki.

– Ale wszakże musi nastąpić? Wszakże trudno inaczej mniemać? Któż by po zwycięstwie nie ścigał pobitego nieprzyjaciela?

– To się pokaże. O czym innym chciałem z panią pomówić. Książę wskutek choroby i niepowodzeń musi być rozdrażniony, zatem jako desperat do gwałtownych uczynków skłonny... Nie rozłączaj się pani teraz z ciotką i panną Borzobohatą; nie zgadzaj się na to, by pana miecznika do Tylży wyprawiano, jako ostatnim razem przed wyprawą się stało.

Oleńka nie odrzekła nic; miecznika oczywiście nigdy do Tylży nie wyprawiano, tylko, gdy po uderzeniu go obuszkami przez księcia chorzał dni kilka, Sakowicz, by ukryć przed ludźmi książęcy uczynek, umyślnie rozpuścił wieść, że stary do Tylży wyjechał. Oleńka wołała o tym przed Ketlingiem zamilczeć, bo dumnej dziewczynie wstyd było wyznawać, że ktoś jednego z Billewiczów, jak psa, poterał.

– Dziękuję waćpanu za ostrzeżenie – rzekła po chwili milczenia.

– Uważałem za swój obowiązek...

Lecz jej serce wezbrało znów goryczą. Przecież przed niedawnym czasem od Ketlinga zależało, by to nowe niebezpieczeństwo nie zawisło nad jego głową, przecież gdyby się był zgodził na ucieczkę, byłaby już daleko, raz na zawsze od Bogusława wolna.

– Panie kawalerze – rzekła – szczęście prawdziwe dla mnie, że to ostrzeżenie nie dotyczy pańskiego honoru ani że książę nie wydał rozkazu, ażebyś pan mnie nie ostrzegał.

Ketling zrozumiał przymówkę i odrzekł mowę, której się Oleńka po nim nie spodziewała:

– Co się służby mojej żołnierskiej tyczy i czego strzec mi honor nakazuje, to spełnię albo życiem przyplączę. Innego wyboru nie mam i mieć nie chcę. Poza służbą wolno mi niedogodnościom zapobiegać. Więc jako prywatny człowiek zostawiam pani tę króćcę i mówię: broń się, bo niebezpieczeństwo bliskie, w razie potrzeby – zabij! Wówczas moja przysięga będzie rozwiązana i z ratunkiem ci pospieszę.

To rzekłszy skłonił się i zwrócił ku drzwiom, lecz Oleńka zatrzymała go.

– Panie kawalerze, uwolnij się od tej służby, broń dobrej sprawy, broń skrzywdzonych, boś tego godzien, boś zacny, bo szkoda cię dla zdrajcy...

Na to Ketling:

– Byłbym się dawno uwolnił i do dymisji podałem, gdyby nie to, że mniemałem, iż pozostając tu, tobie, pani mogę być pożytecznym. Dziś za późno. Gdyby książę wracał zwycięzcą, nie wahałbym się chwili... gdy wraca zwyciężony, gdy być może, iż nieprzyjaciel za nim następuje, byłoby tchórzostwem żądać dymisji, póki sam kończący się termin mnie nie uwolni... Napatrzysz się pani do woli, jak ludzie małego serca tłumem opuszczają pobitego, ale mnie między nimi nie obaczysz... Żegnam panią. Króćca ta nawet pancierz z łatwością przebije...

Ketling wyszedł, pozostawiając broń na stole, którą Oleńka schowała natychmiast. Na szczęście, przewidywania młodego oficera i jej własne obawy okazały się płonnymi.

Książę nadjechał wieczorem wraz z Sakowiczem i Patersonem, ale tak pognębiony i chory, że ledwie na nogach mógł się utrzymać. Do tego sam dobrze nie wiedział, czyli pan Sapieha nie następuje lub czy nie ekspediował na pościg Babinicza z lekkimi chorągwiami.

Bogusław obalił był wprawdzie tego ostatniego w ataku wraz z koniem, ale nie śmiał się spodziewać, iż go zabił, gdyż zdawało mu się, że koncerz obsunął mu się w cięciu po Babiniczowej misiurce. Wreszcie raz on już przecie strzelił mu w samą twarz z pistoletu i na nic się to nie przydało.

Bolało księcia serce na myśl, co taki Babinicz uczyni z jego włościami, gdy się raz do nich ze swymi Tatury dostanie. A bronić ich nie ma czym! I nie tylko włości, ale nawet własnej osoby. Między jego jurgielnikami nie było takich wielu jak Ketling i należało się spodziewać, że na pierwszą wieść o zbliżaniu się wojsk Sapieżyńskich opuszczą go wszyscy co do jednego.

Książę też nie zamierzał zabawić w Taurogach dłużej nad dni dwa lub trzy, musiał bowiem spieszyć do Prus Królewskich, do elektora i Szeimboka, którzy go mogli zaopatrzyć w nowe siły i użyć bądź do zdobywania miast pruskich, bądź wysłać w pomoc samemu królowi zamierzającemu wyprawę w głąb Rzeczypospolitej.

W Taurogach wypadło zostawić tylko kogoś z oficerów, który by ład w rozbite resztki wojsk wprowadził, opędzał się partiom chłopskim i szlacheckim, osłaniał dobra obu Radziwiłłów i porozumiewał się z Loewenhauptem, głównodowodzącym siłami szwedzkimi na Żmudzi.

W tym celu, po przybyciu do Taurogów i po przespanej nocy, książę wezwał na naradę Sakowicza, któremu jednemu mógł ufać i zupełnie serce otworzyć.

Dziwne było owo pierwsze „dzień dobry” w Taurogach, jakie sobie powiedzieli dwaj przyjaciele po nieszczęsnej wyprawie. Czas jakiś patrzyli na siebie bez słowa. Przemówił pierwszy książę:

– Ano! diabli wzięli!

– Wzięli! – powtórzył Sakowicz.

– Musiało tak być przy takiej aurze. Gdybym miał więcej lekkich chorągwi lub gdyby licho nie przyniosło tego Babinicza... Do dwóch razy sztuka! Przewał się wisielec. Nie powiadajże o tym nikomu, żeby mu jeszcze sławy nie przysparzać.

– Ja nie powiem... Ale czy oficerowie nie będą trąbili, nie zaręczam, boś przecie ksiązę prezentował go u swoich butów, jako chorążego orszańskiego.

– Oficerowie Niemcy nie rozumieją się na polskich nazwiskach. Im wszystko jedno: Kmicic czy Babinicz. A! na rogi Lucypera, żebym go dostał! A miałem go... i jeszcze, szelma, ludzi mi pobuntował, główbiczowski oddział odprowadził!... Musi to być jakiś bastard po naszej krwi, nie może inaczej być!... Miałem go, miałem... i uszedł!... Więcej mnie to gryzie aniżeli ta cała stracona wyprawa.

– Miałeś go, ksiązę, ale za cenę mojej głowy.

– Jasiu! powiem ci szczerze: niechby cię tam byli ze skóry obdarli, byłem z Kmicicowej bęben mógł zrobić!

– Dziękuję ci Bogusiu. Mniej po twojej przyjaźni nie mogłem się spodziewać.

Ksiązę rozśmiał się:

– A skwierczałbyś na sapieżyńskim ruszcie... Wszystkie by twoje szelmstwa z ciebie wytopili. *Ma foi!* chciałbym to widzieć!

– Ja zaś chciałbym cię widzieć w ręku Kmicica, twojego miłego krewniaka. Twarz masz inną, ale z postawy jesteście do siebie podobni i nogi macie jednej miary, i do jednej dziewczki wdychacie, tylko że ona nie doświadczywszy zgaduje, że tamten zdrowszy i że żołnierz lepszy.

– Takim dwom jak ty dałby rady, ale ja przejechałem mu po brzuchu... A gdybym był miał dwie minut czasu, mógłbym ci teraz parol dać, że mój kuzynek nie żyje. Zawsze był głupowaty i dlatego cię polubił, ale w ostatnich czasach zjełczał ci dowcip do reszty.

– Zawsze miał dowcip w piętach i dlatego takeś przed Sapiehą zmiatał, ażem cię znienubił i sam gotówem pójść do Sapiehy.

– Na powróż!

– Na ten, którym Radziwiłła związa.

– Dosyć!

– Sługom waszej ksiązęcej mości!

– Trzeba by kilku z tych rajtarów rozstrzelać, którzy najwięcej krzyczą, i ład wprowadzić.

– Kazałem dziś rano sześciu powiesić. Już i ostygli, a tańczują na sznurach zawzięcie, bo wiatr okrutny.

– Dobrześ zrobił. Słuchaj no! Czy chcesz zostać na załodze w Taurogach, bo muszę tutaj kogoś zostawić?

– I chcę, i proszę o tę funkcję. Nikt się tu lepiej nie sprawi. Żołnierz boi się mnie więcej niż innych, bo wie, że żartów ze mną nie ma. Z uwagi na Loewenhaupta lepiej, że zostanie ktoś poważniejszy od Patersona.

– Daszże sobie z rebeliantami rady?

– Upewniam waszą ksiązęcą mość, że sosny zmudzkie będą rodziły łośńskiego roku cięższe od szyszek owoce. Z chłopstwa ze dwa regimenty piechoty uczynię i po mojemu wywiczę. Na włości będę miał oko, a jeśli rebelizanci którą napadną, wnet rzucę podejrzenie na jakiego bogatszego szlachlica i wycisnę go jak ser w worku. Na początek potrzeba by mi tyle tylko pieniędzy, żeby lafę zaspokoić i piechoty przybrać.

– Co będę mógł, zostawię.

– Z posażnych?

– Jak to?

– To się znaczy z billewiczowskich, które w posagu z góry sam sobie wypłaciłeś.



– Żebyś mógł jako politycznie skrócić łeb temu miecznikowi, dobrze by było, bo to się lekko mówi, a szlachcic skrypt ma.

– Postaram się. Jeny w tym rzecz, czy skryptu gdzie nie wysłał albo czy go dziewczka w koszulę nie zaszyła. Wasza książęca mość nie życzyłbyś sobie sprawdzić?...

– Przyjdzie do tego, ale teraz muszę jechać i przy tym sił mnie ta przekłeta *febris* całkiem zbawiła.

– Zazdrość mi, wasza książęca mość, że w Taurogach zostaje.

– Jakaś masz dziwną ochotę. Tylko... Czyżbyś ty czasem?... Hakami kazałbym cię rozewać... Czemu to tak tej funkcji się napierasz?

– Bo się chcę żenić.

– Z kim? – spytał książę siadając na łożku.

– Z panną Borzobohatą-Krasieńską.

– To jest dobra myśl, to jest przednia myśl! – rzekł po chwili milczenia Bogusław. – Słyszałem o jakimś zapisie...

– Tak jest, po panu Longinie Podbipięcie. Wasza książęca mość wiesz, jaki to możny ród, a onego Longina majątności w kilku powiatach leżą. Wprawdzie jedne z nich jakieś tam dziewiąte wody po kisielu zagarnęły, w drugich moskiewskie wojska stoją. Będzie procesów, bitek i zwad i zajazdów bez liku, ale ja dam sobie rady i jednego wyczółka nikomu nie ustąpię. Przy tym dziewczka okrutnie mi się nadała, bo gładka i wabna. Jużem to zauważył zaraz po tym, kiedyśmy ją to zabrali, że udawała strach, a okiem ku mnie strzygła. Niech jeno tu jako komendant zostanę, z samego próżniactwa zaczną się amory...

– Jedno ci zapowiadam. Żenić się nie będę ci zabraniać, wszelako, słuchaj no dobrze, żadnych ekscesów, rozumiesz?! Bo to dziewczka od Wiśniowieckich, samej księżnej Gryzeldy zaufana, a ja księżnej nie chcę obrazić przez estymę ani pana starosty kałuskiego także.

– Nie trzeba ostrzegać – odpowiedział Sakowicz – bo skoro się chcę żenić regularnie, to i starać się muszę regularnie.

– Chciałbym, żeby cię odpałiła.

– Znam kogoś, kogo odpałili, chociaż jest księciem, ale tak myślę, że mnie się to nie przygodzi. Dziwnie mi ono strzyżenie oczyma dodaje otuchy.

– Nie przymawiajże temu, kogo odpałono, aby cię rogaczem nie uczynił. Wyrobię ci w dodatku do herbu rogi albo przydomek do nazwiska przybierzesz: Sakowicz Rogaty! Ona z domu Borzobohata, a on Bardzorogaty. Dobrana z was będzie para. Owszem, żeń się, Jasiu, żeń, a daj znać o weselu, będę drużbą.

Srogi gniew wystąpił na straszne i bez tego lica Sakowicza. Oczy przez chwilę zaszyły mu jak dymem, ale wkrótce się opamiętał i w żart obracając słowa książęce odrzekł:

– Nieboże! na schody o własnej mocy ci niesporo, a grozisz... Masz tu swoja Billewiczównę, dalej, chuchraku! dalej! Będziesz ty jeszcze Babiniczowe dzieci piastował!

– Bodajże język złamał, taki synu! To z choroby się naigrawasz, która o włos mnie nie pograżyła? Bodaj i ciebie tak oczarowano!

– Co tam czary! Czasem, gdy spojrzę, jak wszystko idzie naturalnym rzeczy porządkiem, to myślę, że czary głupstwo.

– Sameś głupi! cicho bądź, nie wywołuj licha! Brzydnieś mi coraz więcej.

– Bodaj bym nie był ostatnim Polakiem, który waszej książęcej mości wierny pozostał, bo za moją wierność samą niewdzięcznością mnie karmią. Wrócę oto w domowe pielesze i będę siedział spokojnie, końca wojny wyglądając.

– Och, daj spokój! Wiesz, że cię miłuję.

– Ciężko mi to zmiarkować. Diabeł mi ten afekt dla waszej książęcej mości wszczepił. Jeśli w czym są czary, to w tym.

Sakowicz prawdę mówił, bo rzeczywiście Bogusława kochał; ksiązę wiedział o tym i dlatego płacił mu, jeśli nie głębszym przywiązaniem, to wdzięcznością, jaką ludzie próżni żywią zawsze dla tych, którzy ich uwielbiają.

Dlatego chętnie zgodził się na jego zamiary względem Anusi Borzobohatej i sam osobiście dopomóc mu postanowił.

W tym celu koło południa, gdy się czuł najzdrowszy, kazał się ubrać i poszedł do Anusi.

– Przyszedłem po dawnej znajomości dowiedzieć się o zdrowiu waćpanny – rzekł – i spytać się, czyli się waćpannie pobyt w Taurogach podobał?

– Kto jest w niewoli, temu się wszystko musi podobać – odrzekła wzdychając Anusia.

Ksiązę roześmiał się.

– Waćpanna nie jesteś w niewoli. Zagarnięto cię razem z sapieżyńskimi żołnierzami, to prawda, i kazałem waćpannę tu odesłać, ale tylko dla bezpieczeństwa. Włos tu ci z głowy nie spadnie. Wiedz o tym waćpanna, że ja mało kogo tak szanuję, jak księżnę Gryzeldę, której serca bliską jesteś. I Wiśniowieccy, i Zamoyscy moi koligaci. Waćpanna tu znajdziesz wszelką wolność i wszelką opiekę, ja zaś przychodzę jako życzliwy przyjaciel i mówię tak: chcesz, to jedź, dam ci eskortę, choć samemu mi żołnierzy szczupło, ale radzę zostać. Waćpannę, ilem słyszał, wysłano dla odzyskania majątności zapisanych. Wiedźże, iż teraz nie czas o tym myśleć i że nawet w spokojnych czasach protekcja pana Sapieżyńska na nic, bo on jeno w Witebskiem może wskórać, tu nic. Zresztą sam się tą sprawą nie zajmie, jeno przez komisarzy... Waćpannie trzeba by człowieka życzliwego a obrotnego, który by strach i estymę u ludzi miał. Taki, gdyby się zajął, pewnie nie dałby sobie słomy zamiast ziarna w garść wetknąć.

– Gdzie ja sierota znajdę takiego opiekuna?! – zawołała Anusia.

– Właśnie, że w Taurogach.

– Wasza książęca mość raczyłby sam...

Tu Anusia złożyła rączki i spojrzała tak ślicznie w Bogusławowe oczy, że gdyby ksiązę nie był tak umęczon i sterany, pewnie by zaraz mniej szczerze począł o sakowiczowskiej sprawie myśleć, lecz że mu amory nie były w głowie, więc odrzekł prędko:

– Gdybym jeno mógł, nikomu bym tak wdzięcznej funkcji nie powierzał; ale ja wyjeżdżam, bo muszę. Na moim miejscu zostaje komendantem w Taurogach pan starosta oszmiański, Sakowicz, kawaler wielki, żołnierz sławny i człek tak obrotny, jak drugiego na całej Litwie nie masz. Owóz, powtarzam, ostań się waćpanna w Taurogach, bo jechać nie masz gdzie, gdy wszędzie pełno grasantów i łotrzykowie a rebelizanci wszystkie drogi infestują. Sakowicz ci tu da opiekę, Sakowicz cię obroni, Sakowicz rozpatrzy się, co można dla wywindykowania tych majątności uczynić, a gdy się tylko do tego raz weźmie, zaręczam, że nikt w świecie prędzej do pomyslnego końca nie doprowadzi. Mój to przyjaciel, więc go znam, i tyle tylko o nim waćpannie powiem, że gdybym ja sam majątności waćpanny zagarnął, a potem dowiedział się, że Sakowicz przeciwko mnie występuje, to bym się wolał ich rzec dobrowolnie, bo z nim niebezpieczna się spierać.

– Byleby tylko pan Sakowicz zechciał sierocie przyjść w pomoc...

– Nie bądź mu jeno krzywa, a dla waćpanny wszystko on uczyni, bo mu twoje śliczności głęboko w serce zapadły. Już on tam chodzi i wzdycha...

– Gdzie ja bym tam komu mogła wpaść w serce.

„Szelma dziewczyna!” – pomyślał ksiązę.

Głośno zaś dodał:

– Niechże Sakowicz wytłumaczy, jak się to stało, a waćpanna nie bądź mu tylko krzywa, bo to człek zacny i ze znakomitego rodu, więc takim nie życzę pogardzać.

## ROZDZIAŁ XXII

Nazajutrz rano książę odebrał wezwanie od elektora, aby co prędzej pospieszył do Królewca dla objęcia komendy nad świeżo zaciągniętymi wojskami, które miały iść pod Malborg lub pod Gdańsk. List zawierał także wiadomości o śmiałej wyprawie Karola Gustawa w dół Rzeczypospolitej aż do krajów ruskich. Elektor przewidywał zły koniec tej wyprawy, ale właśnie dlatego pragnął stanąć na czele sił jak największych, aby w razie potrzeby jednej lub drugiej stronie stać się niezbędnym, drogo się sprzedać i losy wojny przeważać. Z tych powodów zalecał młodemu księciu wszelki możliwy pośpiech, tak dalece zaś chodziło mu o uniknięcie mitręgi, że za pierwszym gońcem wysłał i drugiego, który przybył we dwanaście godzin później.

Książę więc nie miał ani chwili do stracenia i nie dość czasu do odpoczynku, febra bowiem wróciła znowu z dawną siłą. Jednak trzeba było jechać. Za czym, zdawszy władzę Sakowiczowi, rzekł mu:

– Być może, iż przyjdzie miecznika i dziewczynę przewieźć do Królewca. Tam – łatwiej przyjdzie się po cichu z nieprzyjaznym człkiem uporać; dziewczkę zaś, byłem był zdrowszy, wezmę ze sobą do obozu, bo dość mi tych ceremonij.

– Dobrze, to się i komput wojsk może powiększyć – odparł na pożegnanie Sakowicz.

W godzinę później nie było już księcia w Taurogach. Został Sakowicz jako pan samowładny, uznający nad sobą jedną tylko władzę Anusi Borzobohatej. I proch przed jej stopami zaczął zdmuchiwać, jak niegdyś sam książę przed stopami Oleńki. Hamując dziką swą naturę, był dwornym, uprzedzającym chęci, zgadującym myśli, a zarazem trzymał się z dala, z całym szacunkiem, z jakim powinien być światowy kawaler dla panny, o której rękę i serce się stara.

Jej zaś trzeba wyznać, spodobało się owo królowanie w Taurogach; miło jej było pomyśleć, że gdy wieczór nadchodzi, w dolnych salach, na korytarzach, w cekhauzie, w sadzie, jeszcze zimowym szronem okrytym, rozlegają się wzdychania starszych i młodszych oficerów, że nawet astrolog wzdycha patrząc w gwiazdy ze swej samotnej wieży, że nawet stary miecznik westchnieniami przerywa wieczorny różaniec.

Najlepiej będąc dziewczyną, była przecie rada, że nie ku Oleńce idą owe afekta strzeliste, ale ku niej; była rada i ze względu na Babinicza, bo czuła swoją moc i przychodziło jej do głowy, że jeśli nigdy nikt się jej nie oparł, to musiała i na jego sercu trwałe oczyma wypalić znaki.

„O tamtej zapomni, nie może inaczej być, bo niewdzięcznością go tam karmią, a gdy się to stanie, wie, gdzie mnie szukać, i poszuka... rozbójnik jeden!”

Zaraz potem odgrażała mu się w duszy:

„Czekaj! odpłacę ja ci, nim pocieszę”.

Sakowicz tymczasem, niezbyt nawet lubiąc, mile widziała. Prawda, że usprawiedliwił się jej w oczach z zarzutu zdrady w ten sam sposób, w jaki miecznikowi wytłumaczył się Bogusław. Zatem mówił, że ze Szwedem już był pokój zawarty, już Rzeczpospolita odechnąć i zakwitnąć miała, gdy pan Sapieha dla swojej prywaty wszystko popsował.

Anusia, niezbyt się na tych sprawach znając, puszczała te słowa mimo uszu. Lecz natomiast uderzyło ją coś innego w opowiadaniach pana starosty oszmiańskiego.

– Billewicze – mówił – krzyczą wniebogłosy na swą krzywdę i niewolę, a przecież nic im się tu nie stało i nie stanie. Nie puszczał ich książę z Taurogów, prawda, ale to dla ich dobra, bo o trzy staje za bramą zginąć już od grasantów lub leśnych osaczników mogli. Nie puszczał ich i dlatego, że pannę Billewiczównę pokochał, i to prawda! Któż wszelako go nie usprawiedliwi? kto, czule serce mając i wzdychaniami obarczone piersi, inaczej by postąpił? Gdyby miał mniej zacne intencje, pewnie by jako pan tak potężny mógł wodzów sobie popuścić, lecz on chciał się żenić, chciał wynieść tę oporną pannę do swego książęcego stanu, szczęśliwościami ją obsypać, koronę radziwiłowską na jej głowę włożyć, i za to inwektywy nań ci niewdzięczni ludzie rzucają, sławy mu i zacności ujmując...

Anusia niezbyt wierząc spytała zaraz tego samego dnia Oleńki, czy prawda, że książę chciał się z nią żenić? Oleńka zaprzeczyć nie mogła, a że były już ze sobą poufałe, więc przytoczyła swoje racje. Wydały się one Anusi słuszne i dostateczne, ale przecie pomyślała sobie, że Billewiczom nie było znów tak ciężko w Taurogach ani książę z Sakowiczem nie byli takimi zbrodniarzami, za jakich ich pan miecznik rosieński ogłosił.

Toteż gdy nadeszły wieści, że pan Sapieha z Babiniczem nie tylko nie zbliżają się ku Taurogom, ale pociągnęli wielkimi pochodami na króla szwedzkiego aż hen, ku Lwowu, Anusia wpadła naprzód w złość, a potem jęła rozumować, że gdy ich nie ma, to na nic uciekać z Taurogów, bo można życie stracić lub w najlepszym razie, spokojny pobyt zmienić w pełną niebezpieczeństw niewolę.

Przyszło z tego powodu do sporów między nią a Oleńką i miecznikiem; lecz i oni nawet przyznać musieli, że odejście pana Sapiehy wielce ucieczkę utrudnia, jeżeli całkiem niepodobną jej nie uczyni, tym bardziej że w kraju wrzało coraz bardziej i nikt z mieszkańców jutra pewien być nie mógł. Zresztą, chociażby i nie przyznawali racji Anusinych, ucieczka bez jej pomocy, wobec czujności Sakowicza i innych oficerów, była niemożliwą. Ketling jeden był im oddany, ale do żadnego układu przeciwnego służbie wciągnąć się nie dawał przy tym często bywał nieobecny, bo go Sakowicz jako doświadczonego żołnierza i zdolnego oficera rad używał przeciwko zbrojnym kupom konfederatów i grasantów, za czym często z Taurogów wysyłał.

A Anusi coraz było w nich lepiej.

Sakowicz oświadczył jej się w miesiąc po wyjeździe księcia, ale zwodnica dała mu chytrą odpowiedź, że go nie zna, że różnie o nim mówią, że nie miała czasu jeszcze go polubić, że bez pozwolenia księżnej Gryzeldy wychodzić za mąż nie może, a na koniec, że chce go na rok próby wystawić.

Starosta zżuł gniew, kazał dać tego dnia jednemu rajtarowi za błahe przewinienie trzy tysiące różg, po których pochowano biednego żołdaka, lecz musiał się na Anusine kondycje zgodzić. Ona zaś zapowiedziała pankowi, że jeżeli będzie służył jeszcze wierniej, pilniej i pokorniej, to za rok i tak dostanie tylko tyle, ile będzie jej łaska.

W ten sposób igrała z niedźwiedziem, lecz tak już zdążyła go opanować, że stłumił nawet mruczenie, odrzekł jej tylko:

– Z wyjątkiem zdrady księcia, wszystkiego waćpanna ode mnie wymagaj, choćby tego, bym na kolanach chodził...

Gdyby Anusia wiedziała, jak straszne Sakowiczowego zniecierpliwienia skutki spadają na całą okolicę, może by go tak nie drażniła. Żołnierze i mieszczenie w Taurogach drżeli przed nim, bo karał ciężko całkiem bez winy, nad wszelką miarę. Jeńcy konali w łańcuchach z głodu lub przypiekani żelazem.

Nieraz zdawało się, że dziki starosta chce ochłodzić wzburzoną i spiekłą żarem miłości duszę w krwi ludzkiej, bo zrywał się nagle i sam chodził na wyprawy. A zwycięstwo cho-

dziło najczęściej jego śladem. Wycinał w pień kupy rebelizantów; wziętym do niewoli chłopom kazał dla przykładu ucinać prawe ręce i puszczał do domów wolno.

Groza jego imienia opasała też jakby murem Taurogi, znaczniejsze nawet oddziały patriotów nie ośmielały się zapuszczać dalej jak pod Rosienie.

Cisza stała się wszędzie, a on z powsinogów niemieckich, z miejscowego chłopstwa formował za pieniądze wyciśnięte z okolicznych mieszczan i szlachty coraz nowe pułki i rósł w siły, ażeby ich swemu księciu w razie ciężkiej potrzeby dostarczyć.

Wierniejszego i straszniejszego sługi nie mógł Bogusław znaleźć.

W Anusię za to patrzył Sakowicz coraz tkliwiej swymi strasznymi bladoniebieskimi oczyma i na lutni jej grywał.

Płynęło tedy życie w Taurogach dla Anusi wesoło i zabawnie, dla Oleńki ciężko i jednostajnie. Z jednej szły promienie wesołości jako owo światełko, które nocami bije od świętojańskiego robaczka; drugiej twarz stawała się coraz bledszą, poważniejszą, surowszą, czarne brwi ściągały się coraz mocniej na białym czole, tak że w końcu przewano ją zakonnicą i miała w sobie coś z mniszki. Poczęła się oswajać z tą myślą, że nią zostanie, że ją sam Bóg, przez ból, przez zawody, za kratę do spokoju prowadzi.

Nie ta to już była dziewczyna ze ślicznymi rumieńcami na twarzy i szczęściem w oczach, nie ta Oleńka, która niegdyś jadąc w saniach z narzeczonym, panem Andrzejem Kmicicem, krzyczała: „Hej! hej!”, na bory i lasy!

Wiosna czyniła się na świecie. Rozpętane z lodu wody Bałtyku począł kołysać wiatr duży a ciepły, potem drzewa zakwitły, strzeliły kwiaty z surowych liściastych osłon, potem słońce zaczęło bywać znojne, a biedna dziewczyna próżno wyglądała końca taurożańskiej niewoli, bo i Anusia nie chciała uciekać, i w kraju coraz straszniej było.

Miecz i ogień srożył się tak, jakby nigdy zmiłowanie boże nastąpić nie miało. Owszem, kto nie chwycił szabli lub dzidy zimą, ten schwytał ją wiosną; śnieg śladów nie zdradzał, gdy bór dawał lepsze schronienie i ciepło wojnę czyniło łatwiejszą.

Wieści jako jaskółki nadlatywały do Taurogów, czasem groźne, czasem pocieszające. I jedne, i drugie święciła czysta dziewczyna modlitwą, a oblewała łzami smutku lub radości.

Więc naprzód mówiono o okropnym całego narodu powstaniu. Ile było drzew w borach Rzeczypospolitej, ile kłosów kołysało się na jej łąkach, ile gwiazd świeciło po nocach między Tatarami a Bałtykiem, tyle wstało przeciw Szwedom wojowników: którzy szlachtą będąc, do miecza a wojny z woli bożej i przyrodzonego rzeczy porządku się rodzili; którzy skiby pługiem krając, obsiewali ziarnem tę krainę; którzy handlem i rzemiosły po miastach się parali; którzy żyli w puszczech z pszczelnej pracy, z wypalania smoły, z topora lub strzelby; którzy nad rzekami siedząc, rybactwem się trudnili; którzy na stepach koczowali ze stadami – wszyscy chwycili za broń, aby najeźdźnika z kraju wyżenać.

Już Szwed tonął w tej liczbie jako w rzece wezbranej.

Ku podziwowi całego świata, bezsilna jeszcze niedawno Rzeczpospolita znalazła więcej szabel w swojej obronie, niż mógł ich mieć cesarz niemiecki lub król francuski.

Potem przyszły wieści o Karolu Gustawie, jako szedł coraz w głąb Rzeczypospolitej z nogami we krwi, z głową w dymach i płomieniach, bluźniąc. Spodziewano się lada chwila usłyszeć wieść o jego śmierci i zagubie wszystkich wojsk szwedzkich.

Imię Czarnieckiego rozlegało się coraz potężniej od ściany do ściany, przejmując strachem nieprzyjaciół, wlewając otuchę w serca polskie.

– Zbił pod Kozienicami! – mówiono jednego dnia – zbił pod Jarosławiem! – powtarzano w kilka tygodni później – zbił pod Sandomierzem! – powtarzało dalekie echo. Dziwiono się temu tylko, skąd się jeszcze bierze tyle Szwedów po takich pogromach.

Na koniec przyleciały nowe stada jaskółek, a z nimi fama o uwięzieniu króla i całej armii szwedzkiej w widłach rzecznych. Zdawało się, że koniec tuż, tuż.

Sam Sakowicz w Taurogach przestał chodzić na wyprawy, jeno listy po nocach pisywał i w różne strony rozsyłał.

Miecznik był jakoby obłąkany. Co dzień wieczór wpadał z wieściami do Oleńki. Czasem gryzł ręce, gdy sobie wspominał, że trzeba siedzieć w Taurogach. Tęskniła w pole stara żołnierska dusza. W końcu zaczął się zamykać w swojej stacji i nad czymś po całych godzinach rozmyślać. Raz chwycił niespodzianie Oleńkę w ramiona, zarzycał wielkim płaczem i rzekł jej:

– Miłaś ty, dziewczyno, córuchno jedyna, ale ojczyzna milsza.

I nazajutrz dzień znikł, jakoby w ziemię się zapadł.

Oleńka znalazła tylko list, a w nim słowa następujące:

„Bóg cię błogosław, dziecko kochane. Rozumiałem ja ci dobrze, że ciebie, a nie mnie strzegą i że samemu mi łatwiej wymknąć się przyjdzie. Niechże mnie Bóg sędzi, jeśli ja to, niebogo sieroto, z zatwardziałości serca i braku ojcowskiego afektu dla ciebie uczyniłem. Ale męka była od pacjencji większa i nie mogłem, na rany Chrystusa Pana przysięgam, nie mogłem już dłużej wysiedzieć. Bo jakim pomyślałem, że się tam najszczęśliwsza krew polska rzeką *pro partia et libertate* leje, a mojej ni kropli w tej rzece nie masz, tedy mi się wydało, że mnie anieli niebiescy za to potępią... Nie rodzić mi się było na świętej Żmudzi naszej, gdzie żywie *amor patriae* i męstwo, nie rodzić mi się było ni szlachcicem, ni Billewiczem, to bym przy tobie został i ciebie strzegł. Ale ty, mężem będąc, uczyniłaś to samo, więc i mnie odpuścisz, iżem cię, jako Daniela, samą w jaskini lwów porzucił. Którego że Bóg w miłosierdziu swoim konserwował, tak też mniemam, że i nad tobą będzie lepsza od mojej, Najświętszej Panny, królowej naszej, protekcja”.

Oleńka łzami oblała pismo, ale pokochała stryjca za ten postępek jeszcze lepiej, bo jej serce dumą wezbrało. Tymczasem uczynił się w Taurogach hałas niemały. Sam Sakowicz wpadł do dziewczyny z furją wielką i nie zdejmując czapki z głowy spytał:

– Gdzie stryj waćpanny?

– Gdzie wszyscy, prócz zdrajców, są!... W polu!

– Waćpanna wiedziałaś o tym!... – krzyknął starosta.

A ona, zamiast się stropić, postąpiła kilka kroków ku niemu i mierząc go oczyma z niewypowiedzianą pogardą odrzekła:

– Wiedziałam – i cóż?

– Waćpanna... ej! gdyby nie książę!... Waćpanna przed księciem odpowiesz!...

– Ni przed księciem, ni przed jego pacholkiem. A teraz proszę!...

I palcem wskazała mu drzwi.

Sakowicz zgrzytnął zębami i wyszedł.

Tego samego dnia zagrzmiało w całych Taurogach o zwycięstwie wareckim i taka twoga padła na wszystkich stronników szwedzkich, że sam Sakowicz nie śmiał karać księży, którzy publicznie odśpiewali w okolicznych kościołach *Te Deum*.

Wielki też ciężar spadł mu z serca, gdy w kilka tygodni później przyszło spod Malborga pismo Bogusławowe z doniesieniem, iż król wymknął się z rzeczno saku. Lecz inne nowiny były wielce niepocieszne. Książę żądał posiłków i nie kazał zostawiać w Taurogach więcej wojsk, niżby tego konieczna obrona wymagała. Gotowe rajtary wyszły na drugi dzień, a z nimi Ketling, Oettingen, Fitz-Gregory, słowem, wszyscy znamienitsi oprócz Brauna, który był koniecznie Sakowiczowi potrzebny.

Taurogi opustoszały jeszcze bardziej niż po wyjeździe księcia.

Anusia Borzobohata poczęła się nudzić i tym bardziej Sakowiczowi dokuczać. On zaś myślał, czyby się do Prus nie przenieść, bo ośmielone odejściem wojsk partie jeły znowu przesuwać się za Rosienie i zbliżać do Taurogów. Sami Billewicze zebrali do pięciuset koni z obywatelstwa, drobnej szlachty i chłopów. Porazili oni znacznie pułkownika Bützowa,

który przeciw nim wyciągnął, i przepłukiwali bez miłosierdzia wszystkie wsie radziwiłłowskie.

Ludność garnęła się do nich chętnie, bo żaden ród, sami nawet Chlebowiczowie, nie cieszyli się taką między pospółstwem czcią i powagą. Sakowiczowi żal było zostawiać Taurogi na łaskę nieprzyjaciół, wiedział także, że w Prusach trudno mu będzie o pieniądze, o posiłki, że tu rządzi, jak chce, tam władza jego zmaleć musi, jednakże tracił coraz bardziej nadzieję, czy się potrafi utrzymać.

Pobity Bützow schronił się pod jego opiekę, a wieści, które przywiózł o potędze i wzroście rebelii, skłoniły ostatecznie Sakowicza na stronę pruską.

Jako zaś człowiek stanowczy i lubiący prędko doprowadzić do skutku to, co zamierza, w dziesięć dni ukończył przygotowania, wydał rozkazy i miał ruszyć.

Nagle trafił na niespodziewany opór i to ze strony, z której najmniej go się spodziewał, bo ze strony Anusi Borzobohatej.

Anusia nie myślała do Prus jechać. W Taurogach było jej dobrze. Postępy konfederackich partyj nie przstraszały jej bynajmniej, i gdyby Billewicze uderzyli na same Taurogi, jeszcze by była rada. Rozumowała sobie przy tym, że na obczyźnie, między Niemcami, zostawałaby zupełnie na łasce Sakowicza, że łatwiej by tam mogło przyjść do jakowychś zobowiązań, do których nie miała ochoty, więc postanowiła upierać się przy pozostaniu. Oleńka, której wyznała swoje przyczyny, nie tylko potwierdziła ich słuszność, ale najmocniej, ze łzami w oczach, poczęła ją błagać, aby oparła się wyjazdowi.

– Tu zbawienie może jeszcze przyjść, nie dziś, to jutro – mówiła – tam zginiemy obie.

Anusia zaś jej na to:

– A widzisz! A małoś to mnie nałajała za to, że i pana starostę chciałam pogrzyźć, choć ja o niczym nie wiedziałam, jak księżnę Gryzeldę kocham, tylko to jakoś tak samo z siebie przyszło. A teraz zważał-li by on na mój opór, gdyby nie był pograżon? A co?

– Prawda, Anusiu, prawda! – odrzekła Oleńka.

– Nie turbujże się, kwiatuszku najśliczniejszy! Nogą się z Taurogów nie ruszymy, jeszcze Sakowiczowi dokuczę w dodatku okrutnie.

– Dajże Boże, byś co wskórała.

– Ja bym nie miała wskórać?... Wskóram. Raz dlatego, że mu chodzi o mnie, a po wtóre, jak mniemam, o moje majątkości. Pogniewać mu się ze mną łatwo, a nawet szablą mnie zranić, ale w takim razie wszystko by przepadło.

I pokazało się, że ma słuszność. Sakowicz przyszedł do niej wesół i pewien siebie, ona zaś przywitała go z minką wielce pogardliwą.

– Podobno – spytała – waćpan ze strachu przed panami Billewiczami do Prus chcesz uciekać?

– Nie przed panami Billewiczami – odrzekł marszcząc brwi – i nie ze strachu, jeno się tam przenoszę z roztropności, abym więcej przeciw tym zbójcom mógł ze świeżymi siłami dokonać.

– To szczęśliwej drogi.

– Jak to? Zali myślisz, że bez ciebie pojedę, moja nadziejo najmilejsza?

– Kogo tchórz oblatuje, niech w ucieczce ma nadzieję, nie we mnie. Zbytńioś waćpan poufały, ja zaś, gdybym potrzebowała konfidenta, pewnie byś nie waćpan nim został.

Sakowicz pobladł z gniewu. Dałby on jej, gdyby nie była Anusią Borzobohatą! Lecz bacząc, przed kim stoi, pomiarkował się, straszną swą twarz ocukrzył uśmiechem i odrzekł, niby żartując:

– Ej, nie będę pytał! Wsadzę do kolaski i powiozę!

– Tak? – spytała dziewczyna. – Tom, widzę, wbrew intencjom księcia, w niewoli tu trzymana? Wiedźże waćpan o tym, że jeśli to uczynisz, słowa więcej w życiu do waćpana

nie przemówię, tak niech mi Pan Bóg dopomoże, bo ja w Łubniach chowana i dla tchórzów największą mam pogardę. Bodajem nie była wpadła w takie ręce!... Bodaj mnie pan Babinicz do sądneho dnia na Litwę wiozł, bo ten się nie bał nikogo!

– Dla Boga! – krzyknął Sakowicz. – Powiedzże mi przynajmniej, czemu do Prus nie chcesz jechać?

Lecz Anusia poczęła udawać płacz i desperację.

– Wzięli mnie jako Tatarzyni w niewolę, choć ja księżnej Gryzeldy wychowanka i nikt do mnie nie miał prawa. Wzięli i więżą, za morza gwałtem wywożą, na wygnanie mnie skazują, rychło patrzeć, jak kleszczami będą szarpali!... O Boże! o Boże!

– Bojże się waćpanna tego Boga, którego wzywasz! – zawołał pan starosta. – Kto cię kleszczami będzie szarpał?

– Ratujcie mnie, wszyscy święci! – powtarzała łkając Anusia.

Sakowicz sam nie wiedział, co ma czynić; dusiła go wściekłość, gniew; chwilami myślał, że zwariuje albo że Anusia zwariowała. Na koniec rzucił się jej do nóg i przyrzekł, że w Taurogach zostanie. Wówczas ona zaczęła go prosić iżby odjechał, jeśli się boi, czym go do ostatniej doprowadziła rozpaczy, tak że się zerwał i wychodząc rzekł:

– Dobrze! Zostajem w Taurogach, a czy się boję panów Billewiczów, to się wkrótce pokaże.

I tego samego dnia, zebrawszy resztki pobitych wojsk, Bützowa i swoje własne, poszedł ale nie do Prus, tylko za Rosienie, przeciw panom Billewiczom, którzy w lasach giralakolskich stali obozem. Nie spodziewali się oni żadnego napadu, bo już wieść o zamierzonym wyjściu wojsk z Taurogów powtarzano od kilku dni w okolicy, więc starosta, napadłszy nie ubezpieczonych, rozniósł ich na szablach i kopytach. Sam miecznik, pod którego dowództwem stał oddział, ocalał z pogromu, ale dwóch Billewiczów z innej linii poległo; z nimi trzecia część żołnierzy; pozostali rozpiezchli się na cztery świata strony. Kilkudziesięciu jeńców przyprowadził starosta do Taurogów i stracić wszystkich rozkazał, zanim Anusia mogła wystąpić w ich obronie.

O opuszczeniu Taurogów nie było już mowy i nie potrzebował pan starosta tego czynić, bo po tym nowym zwycięstwie partie nie śmiały przechodzić na tę stronę Dubisy.

Sakowicz spanoszał i chełpił się niezmiernie, że byle mu Loewenhaupt przysłał tysiąc dobrych koni, on w całej Żmudzi rebelię zetrze. Ale Loewenhaupta nie było już w tych stronach; Anusia zaś źle przyjęła starościńską chełpliwość.

– To z panem miecznikiem – rzekła – łatwo się udało... Ale niechby tam był ten, przed którym obaście z księciem precz umykali, pewnie byłbyś waćpan i beze mnie do Prus za morze wyjechał.

Starostę ubodły te słowa do żywego.

– Naprzód, nie imaginuj sobie waćpanna, żeby Prusy były za morzem, bo za morzem jest Szwecja, a po wtóre przed kimżeśmy to tak z księciem umykali?

– Przed panem Babiniczem! – odrzekła dygając z wielką ceremonią.

– Bodajem go kiedyś na długość szabli spotkał!

– Pewnie byś waćpan na głębokość szabli leżał w ziemi... Ale nie wywołuj wilka z lasu!

Sakowicz rzeczywiście nieszczerze tego wilka wywoływał, bo lubo był człowiekiem nie zrównanej odwagi, jednakże przed Babiniczem czuł on jakiś strach, prawie zabobonny, tak okropne zostały mu po nim z ostatniej wojny wspomnienia. Nie wiedział przy tym, jak prędko już to groźne nazwisko usłyszy.

Nim jednak rozebrzmiało po całej Żmudzi, przyszła w czas jakiś inna, dla jednych najradośniejsza z radosnych, dla Sakowicza zaś straszliwa wieść, którą w dwóch słowach powtarzały wszystkie usta w całej Rzeczypospolitej:

– Warszawa wzięta!



Zdawało się, że ziemia rozstępuje się pod nogami zdrajców lub że całe niebo szwedzkie wali się na ich głowy wraz ze wszystkimi bóstwami, które na nim świeciły dotychczas jako słońce. Uszy nie chciały wierzyć, że kanclerz Oxenstierna w niewoli, Erskern w niewoli, Loewenhaupt w niewoli, Wrangel w niewoli, Wittenberg, sam wielki Wittenberg, który całą tę Rzeczpospolitą krwią oblał, który połowę jej jeszcze przed nadejściem Karolowym podbił, w niewoli! że król Jan Kazimierz triumfuje, a po zwycięstwie sąd będzie czynił nad grzesznymi.

A wieść biegła jakby na skrzydłach, huczała jak grzmot nad całą Rzeczpospolitą, szła przez wsie, bo chłop powtarzał ją chłopu; szła przez pola, bo łąn zbożowy nią szumiał; szła przez lasy, bo sosna powtarzała ją sośnie, orły krakały o niej w powietrzu – i tym bardziej, kto żyw, chwycił za broń.

W mig zapomniano koło Taurogów o girlakolskiej klęsce. Straszny niedawno Sakowicz zmałał we wszystkich, ba, nawet we własnych swoich oczach; partie poczęły na nowo wpadać na oddziały szwedzkie; Billewicze, ochłonawszy po ostatnim pogromie, przeszli znów Dubisę na czele swych chłopów i resztek szlachty laudańskiej.

Sakowicz sam nie wiedział, co począć, gdzie się obrócić, skąd wyglądać ratunku. Od dawna nie miał wieści od księcia Bogusława i próżno łamał sobie głowę, gdzie on, przy jakich wojskach może się znajdować? I chwilami niepokój ogarniał go śmiertelny, czy książę nie dostał się także do niewoli?

Z przerażeniem przypomniał sobie, iż książę mówił mu, że tabor skieruje ku Warszawie i że jeżeli uczynią go komendantem nad załogą w stolicy, to woli tam być, gdyż łatwiej się stamtąd na wszystkie strony oglądać.

Nie brakło też ludzi, którzy twierdzili na pewno, że książę musiał wpaść w ręce Jana Kazimierza.

– Gdyby księcia nie było w Warszawie – mówiono – po cóż by miłościwy pan nasz z amnestii, którą wszystkim Polakom przy załodze zostającym z góry udzielił, jego jednego wyjmował? Musi on już być w mocy królewskiej, a że wiadomo, iż głowa księcia Janusza na pień była przeznaczona, przeto i Bogusławowa pewno spadnie.

Skutkiem rozmyślań doszedł Sakowicz do tego samego przekonania i borykał się z rozpaczą, bo raz, że księcia kochał, o po wtóre, wiedział, że w razie śmierci tego potężnego protektora łatwiej najdzikszy zwierz zdoła uchronić głowę w tej Rzeczypospolitej niż on, który był prawą ręką zdrajcy.

Zdawało mu się, że pozostaje jedno tylko: nie zważać już na Anusin opór i uciec do Prus, tam szukać chleba, służby.

– Lecz co będzie – pytał się nieraz sam siebie starosta – gdy i elektor ulęknie się gniewu polskiego majestatu i wszystkich zbiegów wyda?

Nie było wyjścia, a schronienie chyba za morzem, w Szwecji samej.

Na szczęście, po tygodniu tych niepewności i męki, przybył od księcia Bogusława gońiec z długim listem własnoręcznym:

„Warszawa odjęta Szwedom – pisał książę. – Tabor mój i rzeczy przepadły. *Recedere* już za późno, bo taka na mnie tam zawziętość, że od amnestii wyłączon. Ludzi moich u samych bram Warszawy poszarpał Babinicz. Ketling w niewoli. Król szwedzki, elektor i ja, razem ze Szeimbokiem i wszystkimi siłami, idziemy pod stolicę, gdzie walna bitwa niebawem nastąpi. *Carolus* klnie się, że ją wygra, chociaż bieglność Kazimierzowa w prowadzeniu wojny konfuduje go nie pomалу. Kto by się spodziewał, że eks-jezuici tak wielki *strategos* siedzi? Ale jam to poznał jeszcze pod Beresteczkiem, bo tam wszystko się działo jego i Wiśniowieckiego głową. Mamy nadzieję w tym, że pospolite ruszenie, którego przy Kazimierzu było na kilkadziesiąt tysięcy, rozlezie się do domów albo że pierwszy zapal ostygnie i bić się tak dobrze nie będzie. Daj Bóg popłoch jakowy między tą chasą, wówczas *Carolus* walną może klęskę zadać, choć co po niej będzie, nie wiadomo, i sami jene-

rałowie powiadają sobie po cichu, że ta rebelia to hydra, której coraz nowe głowy rosną. Mówi się: „Naprzód odebrać znów Warszawę.” Gdym to z ust Karola usłyszał, pytałem, co potem. Nie rzekł nic. A tu siły nasze kruszeją, ich zaś rosną. Nowej wojny zaczynać nie ma z czym. I animusz już nie ten, i nikt się z naszych nie chwyci tak Szwedów, jak na początku. Wuj elektor milczy, jak zwykle, ale to widzę dobrze, że jeśli bitwę przegramy, pocznie Szwedów nazajutrz bić, aby się w łaski Kazimierzowe wkupić. Ciężko uderzać w pokorę, ale musimy! Daj tylko Bóg, żeby mnie przyjęto i żebym cały wyszedł, substancji wszystkiej nie straciwszy. W Bogu tylko ufność, ale bojaźni trudno się uchronić i trzeba złe przewidywać. Dlatego, co można z majątności za gotowy grosz zastawić albo i sprzedać, to uczynić, choćby z konfederatami po cichu w praktyki wejść. Sam z całym taborem jedź do Birż, jako że stamtąd do Kurlandii bliżej. Radziłbym ci do Prus, ale tam wkrótce przed ogniem i mieczem nie będzie bezpiecznie, bo zaraz po wzięciu Warszawy ordynowano Babinicza, aby przez Prusy na Litwę szedł rebelię ekscytować, a po drodze palił i ścinał. A wiesz, że on to potrafi. Chcieliśmy go złowić u Bugu i sam Szeinbok wysłał nań znaczny podjazd, z którego ni zwiastun klęski nie wrócił. Nie bierz tego na się, abyś miał się z Babiniczem mierzyć, bo nie zdążasz, jeno do Birż pospieszaj.

*Febris* opuściła mnie zupełnie, ile że tu wszędy wysokie i suche równie, nie takie *paludes* jako na Żmudzi. Bogu cię polecam etc.”

O ile pan starosta uradował się, iż księżę żyw i zdrowy, o tyle zatroskały go wielce nowiny. Jeżeli bowiem księżę przewidywał, że nawet wygrana walna bitwa nie zdoła zbyt poprawić zachwianej fortuny szwedzkiej, to czego należało się spodziewać w przyszłości? Być może, iż księżę zdoła się uchronić od zagłady pod płaszczem chytrego elektora, a on, pan Sakowicz, pod księżęcym, lecz co czynić tymczasem? Iść do Prus?

Pan Sakowicz nie potrzebował rad księżęcych, aby nie wchodzić w drogę Babiniczowi. Brakło mu do tego zarówno sił, jak chęci. Pozostawały Birże, ale i to zbyt późno! Na drodze do nich leży partia billewiczowska, leży kopa innych, szlacheckich, chłopskich i księży, i Bóg wie nie jakich, które na samą wieść połączą się i rozniosą go jak wicher suche liście; a choćby się nie połączyły, choćby uprzedzić je szybkim a śmiałym pochodem, trzeba po drodze w każdej wsi, na każdym bagnie, w każdym polu i lesie staczać nową bitwę. Jakież by siły mieć należało, by choć w trzydzieści koni dojść do Birż? Więc zostać w Taurogach? I to źle, bo tymczasem przyjdzie na czele potężnego tatarskiego zastępu straszny Babinicz; wszystkie partie zlecą się do niego i zaleją Taurogi jak powódź, i zemstę taką wyrwie, o jakiej ludzie dotąd nie słyszeli.

Pierwszy raz w życiu poczuł zuchwały do niedawna starosta, że brak mu rady w głowie, mocy w przedsięwzięciu, wyboru w niebezpieczeństwie.

I na drugi dzień zwołał na radę Bützowa, Brauna i kilku znaczniejszych oficerów.

Postanowiono zostać w Taurogach i czekać na nowiny spod Warszawy.

Lecz Braun z tej narady udał się wprost na inną, mianowicie do Anusi Borzobohatej.

Długo, długo naradzali się ze sobą, na koniec Braun wyszedł z twarzą wielce poruszoną. Anusia zaś wpadła jak burza do Oleńki.

– Oleńka! przyszedł czas! – krzyknęła zaraz w progu. – Musimy uciekać!

– Kiedy? – spytała dzielna dziewczyna blednąc nieco, lecz wstając zaraz, na znak natychmiastowej gotowości.

– Jutro, jutro! Braun ma komendę, a Sakowicz będzie spał w mieście, bo go pan Dzieszuk na ucztę zaprosi. Pan Dzieszuk dawno namówion i do wina czegoś mu namiesza. Braun powiada, że sam pójdzie i pięćdziesiąt koni wyprowadzi. Oj, Oleńka! Oleńka, jaka ja szczęśliwa! jaka ja szczęśliwa!

Tu Anusia rzuciła się na szyję Billewiczówny i poczęła ja ścisnąć z takim wybuchem radości, że aż ta zdziwiona spytała:

– Co ci jest, Anusiu? Wszakże mogłaś Brauna dawno do tego skłonić?

– Mogłam skłonić? Tak, mogłam! to ja ci jeszcze nic nie mówiłam? O Boże! Boże! Nic nie wiesz? Pan Babinicz tu idzie! Sakowicz ze strachu mrze i wszyscy oni!... Pan Babinicz idzie! pali! ścina! Podjazd jeden zniósł ze szczętem, samego Szeimboka poraził i idzie wielkimi pochodami, jakby się spieszył! A do kogoż on się tu może spieszyć? Powiedz, czy ja nie głupia?

Tu łzy błysnęły w Anusinych zrenicach, Oleńka zaś złożyła ręce jak do modlitwy i wzniosłszy oczy rzekła:

– Do kogokolwiek się spieszy, niech Bóg prostuje drogi jego, niech go błogosławi i chroni.

## ROZDZIAŁ XXIII

Pan Kmicic, chcąc się przedostać od Warszawy ku Prusom Książęcym i Litwie, rzeczywiście niełatwe miał zaraz w początkach zadanie, bo nie dalej jak w Serocku stała wielka potęga szwedzka. Karol Gustaw kazał jej swego czasu umyślnie tam stanąć, aby przeszkadzała oblężeniu Warszawy, lecz ponieważ Warszawa była już wzięta, przeto armia ta nie miała tymczasem nic lepszego do roboty, jak nie puszczać oddziałów, które Jan Kazimierz chciałby na Litwę lub do Prus posłać. Stał na jej czelde Duglas, biegły wojownik, wyćwiczony jak żaden ze szwedzkich generałów w dorywczej wojnie, i dwóch zdrajców polskich, Radziejowski i Radziwiłł. Było z nimi dwa tysiące wybornej piechoty, a drugiej tyle jazdy i artylerii. Wodzowie zasłyszawszy o ekspedycji Kmicica, gdy i tak trzeba im było zbliżyć się ku Litwie dla ratowania na nowo obleganego przez Mazurów i Podlasią Tykocina nad Bugiem, między Serockiem z jednej, Złotoryją z drugiej strony i Ostrołęką na szczycie.

Kmicic zaś musiał przez ów trójkąt przechodzić, bo spieszył się, a tamtędy była mu droga najbliższa. Wcześniej też pomiarkował się, że jest w sieci, ale że przywykł do tego sposobu wojowania, więc się nie zrażał. Liczył na to, że sieć ta jest rozciągnięta, i dlatego oka w niej tak szerokie, iż się w razie potrzeby przedostać przez nie zdoła. Co więcej: jakkolwiek polowano na niego pilnie, on nie tylko kluczył, nie tylko się wymykał, ale i sam polował. Naprzód przeszedł Bug za Serockiem, dotarł brzegiem rzeki do Wyszkowa, w Brańszczyku zniósł ze szczętem trzysta koni wysłanych na podjazd, tak iż, jak książę pisał, ni zwiastun klęski nie został. Sam Duglas nacisnął go w Długosiodle, lecz on rozbiwszy jazdę przedostał się poza nią i zamiast umykać co duchu, szedł im na oczach aż do Narwi, którą wplaw przebył. Duglas został nad jej brzegiem czekając na promy, ale nim je sprowadzono, Kmicic głuchą nocą wrócił się znów przez rzekę i uderzywszy na przednie straże szwedzkie, wzniecił popłoch i zamieszanie w całej Duglasowej dywizji.

Zdumiał się tym postępkiem stary generał, lecz nazajutrz zdumienie jego jeszcze było większe, gdy dowiedział się, iż Kmicic obszedł armię i wróciwszy na miejsce, z którego ruszono go jak zwierza, zagarnął w Brańszczyku podążające za wojskiem wozy szwedzkie wraz z łupami i kasą, wyciąwszy przy tym pięćdziesiąt piechoty konwoju.

Uplwały czasem całe dni, że Szwedzi widzieli jego Tatarów gołym okiem na krańcu widnokregu, a dosięgnąć ich nie mogli. Za to pan Andrzej co chwila coś urywał. Żołnierz szwedzki nużył się, a polskie chorągwie, które trzymały się jeszcze przy Radziejowskim, lubo z dysydyntów złożone, służyły nieszczercze. Natomiast ludność wysługiwała się z zapalem głośnemu partyzantowi. Wiedział o każdym ruchu, o najmniejszym podjeździe, o każdym wozie, który wyruszał naprzód lub pozostawał w tyle. Często zdawało się, że igra ze Szwedami, ale były to igraszki tygrysie. Jeńców nie żywił, kazał ich wieszać Tatarom, gdyż tak samo zresztą czynili w całej Rzeczypospolitej Szwedzi. Chwilami, rzekłbyś, napadała go wściekłość niepohamowana, bo ze ślepym zuchwalstwem rzucał się na przeważne siły.

- Wariat dowodzi tym oddziałem – mówił o nim Duglas.
- Albo wściekły pies! – odpowiedział Radziejowski.

Bogusław był zdania, że jedno i drugie, ale podszyte znamienitym żołnierzem. Z chwilą też opowiadał jenerałom, że tego kawalera po dwakroć własną ręką zwałił na ziemię.

Jakoż na niego najzacieklej następował pan Babinicz. Szukał go widocznie; sam ściganym, ścigał.

Duglas odgadł, że musi być w tym jakaś prywatna nienawiść.

Książę nie zapierał, chociaż objaśnień żadnych nie dawał. Płacił też Babiniczowi równą monetą, bo idąc za przykładem Chowańskiego wyznaczył cenę na jego głowę, a gdy to nie pomogło, zamyślił skorzystać z jego ku sobie nienawiści i właśnie przez nią w potrzask go wprowadzić.

– Wstyd nam już porać się tak długo z tym rozbójnikiem – rzekł do Duglasa i Radziejowskiego – kręci się on koło nas jak wilk koło owczarni i spomiędzy palców wymyka. Pójdę mu tedy z niewielkim oddziałem na przynętę, a gdy na mnie uderzy, póty go na sobie zatrzymam, dopóki wasze dostojności nie nadciągniecie; wówczas nie wypuścim raka z kobielei.

Duglas, któremu gonitwa dawno się już uprzykrzyła, mały tylko stawiał opór twierdząc, że nie może i nie powinien życia tak wielkiego dostojnika i krewnego królów dla schwytnia jednego grasanta azardować. Lecz gdy książę nalegał, zgodził się.

Ułożono, że książę pójdzie z oddziałem pięciuset jeźdźców, ale każdemu rajtarowi wsadzi za plecy piechura z muszkietem. Fortel ten miał posłużyć do wprowadzenia w błąd Babinicza.

– Nie wytrzyma on, gdy usłyszy o pięciuset tylko rajtarach, i uderzy niezawodnie – mówił książę – tymczasem, gdy mu piechota w oczy plunie, rozproszą się jego Tatarzy jak piasek... i sam polegnie lub żywcem go dostaniem...

Plan ów przeprowadzono szybko i z wielką dokładnością. Naprzód puszczano przez dwa dni wieści, iż podjazd z pięciuset koni ma być pod Bogusławem wysłany. Jenerałowie liczyli na pewno, że miejscowa ludność uwiadomi o tym Babinicza. Jakoż tak się stało.

Książę ruszył głęboką i ciemną nocą ku Wąsowu i Jelonce, przeszedł w Czerewinie rzekę i zostawiwszy jazdę w gołym polu, zasadził piechotę w pobliskich zagajnikach, aby niespodzianie wychylić się mogła. Tymczasem Duglas miał się posuwać brzegiem Narwi udając, że idzie ku Ostrołęce. radziejowski zaś zachodzić miał z lżejszymi chorągwiami jazdy od Księżopola.

Wszyscy trzej wodzowie nie wiedzieli dobrze, gdzie w tej chwili jest Babinicz, bo od chłopów niepodobna się było dowiedzieć, rajtarowie zaś nie umieli chwycić Tatarów. Przypuszczał jednak Duglas, że główna siła Babiniczowa stoi w Śniadowie, i chciał ją otoczyć tak, aby jeśli Babinicz ruszy na księcia Bogusława, zająć mu od granicy litewskiej i przeciąć odwrót.

Wszystko zdało się sprzyjać szwedzkim zamiarom. Kmicic istotnie był w Śniadowie i zaledwie doszła go wiadomość o Bogusławowym podjeździe, zapadł natychmiast w lasy, aby niespodzianie wynurzyć się z nich pod Czerewinem.

Duglas, zawróciwszy od Narwi, trafił po kilku dniach na ślady tatarskiego pochodu i szedł tym samym szlakiem, zatem już z tyłu za Babiniczem. Upał mordował straszliwie konie i ludzi poprzybieranych w żelazne blachy, lecz jenerał szedł naprzód, nie zważając na te przeszkody, pewien już zupełnie, że zajdzie Babiniczową watahę niespodzianie i w chwili bitwy.

Na koniec po dwóch dniach pochodu dotarł tak blisko Czerewina, że dymy chałup widać było. Wówczas stanął i poobsadzawszy wszystkie przejścia, najmniejsze ścieżki, czekał.

Niektórzy oficerowie chcieli iść na ochotnika i zaraz uderzać, lecz on wstrzymał ich mówiąc:

– Babinicz, po uderzeniu na księcia, gdy pozna, że nie z sama jazdą, ale i z piechotą ma do czynienia, cofać się musi... a może wracać tylko dawnym szlakiem, wówczas zaś wpadnie nam jakby w otwarte ramiona.

Jakoż pozostawało tylko nadstawić ucha, rychło-li odezwą się wycia tatarskie i pierwsze strzały muszkietów.

Tymczasem upłynął jeden dzień i w lasach czerewińskich cicho było, jak gdyby nigdy nie powstała w nich noga żołnierska.

Duglas począł się niecierpliwić i pod noc wysłał maleńki podjazd ku polom, przykazawszy mu największą ostrożność.

Podjazd wrócił głęboka nocą, nic nie widziawszy i niczego nie sprawdziwszy. Świtaniem ruszył sam Duglas z całą siłą naprzód.

Po kilku godzinach drogi dotarł do miejsca, na którym pełno było śladów żołnierskiego postoju. Znalaziono resztki sucharów, potłuczone szkło, kawałki ubioru i pas z ładunkami, jakich używali piechurowie szwedzcy; niewątpliwie więc stała w tym miejscu Bogusławowa piechota, lecz nigdzie nie było jej widać. Dalej, na mokrej łące, przednia straż Duglasowa spostrzegła mnóstwo wycisków ciężkich rajtarskich koni, na brzegu zaś ślady tatarskich bachmatów; jeszcze dalej leżało padło jednego konia, z którego wilcy świeżo wyciągnęli wnętrzności. O staję stamtąd znaleziono strzałę tatarską bez grotu, ale z całkowitą brzechwą i bełtem. Widocznie Bogusław cofał się, a Babinicz szedł za nim.

Duglas zrozumiał, że musiało zajść coś niezwykłego.

Lecz co? Na to nie było odpowiedzi. Duglas zamyślił się. Nagle zadumę przerwał mu oficer z przedniej straży.

– Wasza dostojność! – rzekł. – Przez zarośla widać o staję kilku ludzi w kupie. Nie ruszają się, jakby wartownicy. Wstrzymałem straż, by waszej dostojności o tym donieść.

– Jezdni czy piesi? – spytał Duglas.

– Piesi, jest ich czterech czy pięciu w kupie, dobrze policzyć nie można, bo gałęzie zasłaniają. Ale migają się żółto, jakby nasi muszkietnicy.

Duglas ścisnął kolanami konia, szybko popędził do pierwszej straży i ruszył z nią naprzód. Przez rzednące zarośla w dalszym głębokim lesie widać było grupę żołnierzy zupełnie nieruchomą, stojącą pod drzewem.

– Nasi, nasi! – rzekł Duglas. – Księżę musi być w pobliżu.

– Dziw! – ozwał się po chwili oficer – stoją na warcie i żaden się nie ozwie, choć hałaśliwie idziemy.

Wtem zarośla skończyły się i odsłonił się las niepodszyty.

Wówczas nadjeżdżający ujrzeli czterech ludzi stojących w kupie, tuż jeden obok drugiego, jakby patrzyli czegoś w ziemię. Od głowy podnosiło się każdemu czarne pasmo prosto ku górze.

– Wasza dostojność! – rzekł nagle oficer – ci ludzie wiszą!

– Tak jest! – odpowiedział Duglas.

I przyśpieszywszy kroku stanęli za chwilę tuż koło trupów. Czterech piechurów wisiało na pętlach razem, jak kupa drozdów, z nogami ledwie na cal wyniesionymi nad ziemię, bo na niskiej gałęzi.

Duglas popatrzył na nich dość obojętnie, po czym rzekł jakby do samego siebie:

– To wiemy, że i księżę, i Babinicz tędy przechodzili.

I zamyślił się znowu, bo sam dobrze nie wiedział, czyli ma iść dalej tym leśnym szlakiem, czy się przebrać na wielki gościniec ostrołęcki.

Tymczasem w pół godziny później odkryto znów dwa trupy. Widocznie byli to maruderowie lub chorzy, których babiniczowscy Tatarzy schwyтали postępując za księciem.

Lecz czemu księżę się cofał?

Duglas znał go zbyt dobrze, to jest zarówno jego odwagę, jak doświadczenie wojenne, ażeby chociaż na chwilę przypuścić, że książe nie miał dostatecznych przyczyn. Musiało tam coś zająć koniecznie.

Na drugi dzień dopiero sprawa się wyjaśniła. Mianowicie przyjechał z podjazdem w trzydzieści koni pan Bies Kornia od księcia Bogusława z doniesieniem, iż król Jan Kazimierz wyprawił za Bug przeciw Duglasowi pana hetmana polnego Gosiewskiego w sześć tysięcy litewskich i tatarskich koni.

– Dowiedzieliśmy się o tym – mówił pan Bies – zanim Babinicz nadciągnął, bo szedł bardzo ostrożnie i często przypadał, zatem marudnie. Pan Gosiewski jest w czterech lub pięciu milach. Książe, powziawszy wiadomość, cofnąć się spiesznie musiał, aby się z panem Radziejowskim połączyć, który łatwo mógł być zniesion. Ale szybko idąc połączyliśmy się szczęśliwie. Zaraz też książe podjazdy ordynował po kilkanaście koni we wszystkie strony z doniesieniem do waszej dostojności. Siła ich wpadnie w tatarskie albo chłopskie ręce, ale w takiej wojnie nie może inaczej być.

– Gdzie są książe i pan Radziejowski?

– W dwóch milach stąd, u brzegu.

– Książe całą-li siłę wprowadził?

– Piechotę zostawić musiał, która się przebiera co najgęstszymi lasami, by się od Tatarów uchronić.

– Taka jazda, jak tatarska, by i największymi gąszczami iść umie. Nie spodziewam się już ujrzeć tej piechoty. Ale niczyjej w tym winy nie ma i książe postąpił jako wódz doświadczony.

– Książe rzucił jeden znaczniejszy podjazd ku Ostrołęce, aby pana podskarbiego litewskiego w błąd wprowadzić. Ruszą oni tam nie mieszkając, w tej myśli, że całe nasze wojsko na Ostrołękę poszło.

– To dobrze! – rzekł ucieszony Duglas. – Damy panu podskarbiemu rady.

I nie tracąc chwili nakazał pochód, aby się z księciem Bogusławem i Radziejowskim połączyć. Nastąpiło to tego samego dnia ku wielkiej uciechu, zwłaszcza pana Radziejowskiego, który niewoli gorzej od samej śmierci się obawiał, wiedział bowiem, że jako zdrajca i sprawca wszystkich nieszczęść Rzeczypospolitej srodze odpowiadać by musiał.

Teraz wszelako, po połączeniu się z Duglasem, armia szwedzka wynosiła przeszło cztery tysiące ludzi, zatem mogła stawić skuteczny opór siłom pana hetmana polnego. Miał on wprawdzie sześć tysięcy jazdy, lecz Tatarzy prócz Babiniczowych, bardzo wyćwiczonych, użyci być we wstępnym boju nie mogli, a i sam pan Gosiewski, lubo wojownik biegły i uczony, nie umiał śladem Czarnieckiego natchnąć ludzi takim zapalem, przeciw któremu nic ostać się nie zdołało.

Duglas jednak w głowę zachodził, w jakim celu Jan Kazimierz mógł wysłać hetmana polnego za Bug. Król szwedzki wraz z elektorem szedł na Warszawę, walna bitwa musiała więc tam prędzej, później nastąpić. A lubo Kazimierz stał już na czele potęgi liczebnie od Szwedów i brandenburczyków większej, jednakże sześć tysięcy bitnego ludu stanowiło zbyt wielki zasilek, aby się król polski miał go dobrowolnie pozbawiać.

Prawda, że i pan Gosiewski wyrwał Babinicza z toni, ale przecie na ratunek Babinicza nie potrzebował król całej dywizji wysyłać. Był zatem w tej wyprawie jakiś cel ukryty, którego generał szwedzki, mimo całej przenikliwości, odgadnąć nie umiał.

W liście króla szwedzkiego, nadesłanym w tydzień później, znać było wielki niepokój i jakoby przerażenie z powodu tej ekspedycji, ale kilka słów wyjaśniało jej przyczyny. Wedle zdania Karola Gustawa pan hetman nie po to był posłany, by na Duglasową armie uderzać, ni by iść na Litwę, tamtejsze powstanie wspomagać, bo tam i tak Szwedzi już nastarczyć nie mogli, ale po to, żeby Prusom Książęcym, mianowicie wschodniej ich części, całkowicie wojsk pozbawionej, zagrozić.

„Obliczono na to – pisał król – by elektora w wierności dla malborskiego traktatu i dla nas zachwiać, co łatwo może się stać, gdyż on z Chrystusem przeciw diabłu i z diablem przeciw Chrystusowi jednocześnie wejść w sojusz gotowy, aby od obudwu skorzystać”.

List kończył się poleceniem, aby Douglas starał się wszelkimi siłami pana hetmana do Prus nie dopuścić, który jeśli w ciągu kilku tygodni wkroczyć tam nie zdoła, niechybnie pod Warszawę wracać musi.

Douglas uznał, że zadanie, jakie nań włożono, wcale sił jego nie przechodzi. Jeszcze niedawno stawiał on z pewnym powodzeniem czoło samemu Czarnieckiemu, dlatego Gosiewski nie był mu straszny. Nie spodziewał się wprawdzie znieść jego dywizji, ale był pewien, że potrafi ją osadzić i wszelkie jej ruchy zahamować.

Jakoż od tej chwili poczęły się bardzo sztuczne podchody obu armii, które unikając wzajemnie walnej bitwy, starały się obejść jedna drugą. Obaj wodzowie godnie współzawodniczyli ze sobą, jednakże doświadczony Douglas o tyle był górą, że wyżej jak do Ostrołki pana hetmana polnego nie puścił.

Zaś ocalony od Bogusławowego podejścia pan Babinicz wcale się także z połączeniem z litewską dywizją nie spieszył, albowiem z wielką gorliwością zajął się ową piechotą, którą Bogusław w spiesznym swym pochodzie ku Radziejowskiemu musiał po drodze zostawić. Tatarzy jego, prowadzeni przez miejscowych leśników, szli za nią dzień i noc, łuszcząc co chwila nieostrożnych lub tych, którzy pozostawali w tyle. Brak żywności zmusił na koniec Szwedów do podzielenia się na małe oddziały, które łatwiej o spyzę starać się mogły, ale tego tylko czekał pan Babinicz.

Podzieliwszy swą watahę na trzy komendy, pod dowództwem własnym, Akbah-Ułana i Soroki, w kilka dni wygniół większą część owych piechurów. Była to jakby nieustająca obława na ludzi po gąszczach leśnych, łożach i trzcinach, pełna hałasu, wrzasków, nawoływań, strzałów i śmierci.

Szeroko rozślawiła ona imię Babinicza między Mazurami. Watahy zebrały się i połączyły z panem Gosiewskim dopiero pod samą Ostrołką, kiedy pan hetman polny, którego wyprawa była tylko demonstracją, odebrał już rozkaz królewski ciągnięcia z powrotem pod Warszawę. Krótko tylko mógł pan Babinicz cieszyć się znajomymi, mianowicie panem Zagłobą i Wołodyjowskim, którzy na czele laudańskiej chorągwi towarzyszyli hetmanowi. Witali się jednak bardzo serdecznie, bo już była wielka przyjaźń i zażyłość pomiędzy nimi. Obu młodym pułkownikom markotno było wielce, że nie mogli tym razem nic wskórać przeciw Bogusławowi, ale pan Zagłoba pocieszał ich dolewając im gęsto do szklenia i tak mówiąc:

– Nic to! Już moja głowa od maja pracuje nad fortelami, a nigdy jeszcze na darmo jej nie łamałem. Mam kilka gotowych, bardzo przednich, jeno do aplikowania już czasu nie ma, chyba pod Warszawą, dokąd wszyscy ruszymy.

– Ja muszę do Prus! – odparł Babinicz – i pod Warszawą nie będę.

– Zali się do Prus dostać zdołasz? – spytał Wołodyjowski.

– Jak Bóg na niebie, tak się przemknę, i to święcie wam przyrzekam, że bigosu narobię niepośledniego, bo już ci powiem moim Tatarom: „Hulaj dusza!” Radzi by oni i tu nożami po gardłach ludziom przeciągnąć, ale im zapowiedział, że za każdy gwałt powróz! Za to w Prusiech i własnej ochocie pofolguję. Zaś bym nie miał się przemknąć! Wyście nie mogli, ale to inna rzecz, bo łatwiej większej sile drogę zagrozić niżli takiej wataze, jako jest moja, z którą ukryć się łatwo. Nieraz ja już w trzcinach siedział, a Douglasowi przechodzili tuż, tuż, ani o tym wiedząc. Douglas też pójdzie pewnie za wami i mnie tu pole wolne odłoni.

– Aleś go też, słyszę, zmachał! – rzekł z zadowoleniem Wołodyjowski.

– Ha, szelma! – dodał pan Zagłoba. – Co dzień musiał koszulę brać, tak się pocił. Jużes waćpan i Chowańskiego sprawniej nie podchodził, i to ci muszę przyznać, że sam bym le-



piej nie potrafił, gdybym się na waćpanowym miejscu znajdował, chociaż jeszcze pan Konicpolski powiadał, że do podjazdowej wojny nie masz nad Zagłobę.

– Widzi mi się – rzekł do Kmicica Wołodyjowski – iż jeśli Duglas wróci, to Radziwiłła tu zostawi, by na cię następował.

– Daj to Bóg! Tę samą mam nadzieję – odparł żywo Kmicic. – Jakbym ja zaczął jego szukać, a on mnie także, to byśmy się przecie znaleźli. Trzeci raz już przeze mnie nie przejedzie, a jeśli przejdzie, to się chyba więcej nie podniosę. Twoje arkana pamiętam dobrze i wszystkie sztychy lubniańskie mam jako pacierz w pamięci. Co dzień ich też z Soroką próbuję, ażeby sobie rękę wkładać.

– Co tam fortele! – zawołał Wołodyjowski – szabla grunt!

Dotknęła nieco ta maksyma pana Zagłobę, który też zaraz odrzekł:

– Każdy wiatrak myśli, że grunt skrzydłami machać, a wiesz, Michałku, czemu? Bo ma plewy pod dachem, alias w głowie. Sztuka wojenna także na fortelach polega, inaczej Roch mógłby być hetmanem wielkim, a ty polnym.

– A co pan Kowalski porabia? – spytał Kmicic.

– Pan Kowalski? Już żelazny hełm na głowie nosi i słusznie, bo kapusta z sagana najlepsza. Obłowił się okrutnie w Warszawie, zdobył się na poczet zacny i poszedł do husarów, do kniazia Połubińskiego, a wszystko dlatego, żeby móc kopią się do Carolusa złożyć. Przychodzi do nas co dzień pod namiot i ślipiami łypie, czyli szyja od gąsiora ze słomy nie wygląda. Nie mogę tego chłopca od pijaństwa odzwyczaić. Na nic dobry przykład! Alem mu prorokował, że mu na złe wyjdzie to chorągwi laudańskiej opuszczenie. Szelma! niewdzięcznik! za tyle dobrodziejstw, którem mu wyświadczył, opuścił mnie, taki syn, dla kopii!

– Waćpan żeś jego chował?

– Mój mosanie! nie czyńże mnie niedźwiednikiem. Panu Sapieże, któren mnie o to pytał, powiedziałem, że jednego z Rochem mieli *praeceptora*, ale nie mnie, bo ja za młodych lat byłem bednarzem, i klepki umiałem dobrze wstawiać.

– Naprzód, tego byś waćpan panu Sapieże nie śmiał powiedzieć – odpowiedział Wołodyjowski – a po wtóre, niby mruyczysz na Kowalskiego, a miłujesz go jako żrenicę oka.

– Wolę go od ciebie, panie Michale, gdyż chrapaszczów nigdy znosić nie mogłem ani kochliwych mydlków, którzy na widok pierwszej lepszej niewiasty koziołki zaczynają zaraz przewracać jako niemieckie muce.

– Albo jako te małpy u Kazanowskich, z którymi waćpan wojował!

– Śmiejcie się, śmiejcie, będziecie drugi raz sami Warszawę zdobywali!

– Toś to niby waćpan ją zdobył?

– A kto Krakowską Bramę *expugnavit*? Kto niewolę dla generałów obmyślił? Siedzą teraz na chlebie i wodzie w Zamościu, a co Wittenberg spojrzy na Wrangla, to powiada: „Zagłoba nas tu wsadził!” – i oba w płacz. Żeby pan Sapieha nie był chory i żeby tu był obecny, powiedziałby wam, kto szwedzkiego kleszcza z warszawskiej skóry najpierwszy wyciągnął.

– Dla Boga! – rzekł Kmicic – uczynicie że to dla mnie i przyslijcie mi wiadomość o onej bitwie, na którą się pod Warszawą zbiera. Dnie i noce będę na palcach liczył i spokoju nie zaznam, póki się czego pewnego nie dowiem.

Zagłoba przyłożył palec do czoła.

– Posłuchajcie mojej polityki – rzekł – bo co powiem, to się tak pewno spełni... jako i to jest pewne, że ta szklenica stoi przede mną... Czy nie stoi? co ?

– Stoi, stoi! Mów waść!

– Tę bitwę walną albo przegramy, albo wygramy...

– To każdy wie! – wtrącił Wołodyjowski.

– Milczałbyś, panie Michale, i uczył się. Suponując, że tę bitwę przegramy, wiesz, co dalej będzie?... Widzisz! nie wiesz, bo już swymi szydełkami pod nosem, jak zając, ruszasz... Otóż ja mówię wam, że nic nie będzie...

Kmicic, który był bardzo żywy, zerwał się, stuknął szklanką o stół i zawołał:

– Marudzisz waść!

– Mówię, że nic nie będzie! – odparł Zagłoba. – Młodzieńcze, to tego nie rozumiecie, że jako teraz rzeczy stoją, nasz król, nasza miła ojczyzna, nasze wojska mogą pięćdziesiąt bitew jedna po drugiej przegrać... i po staremu wojna pójdzie dalej, szlachta będzie się zbierała, z nią i wszystkie podległe stany... I nie uda się raz, to uda się drugi, dopóki moc nieprzyjacielska nie stopnieje. Ale jak Szwedzi jedną batalię większą przegrają, to ich diabli bez ratunku wezmą, a elektora z nimi w dodatku.

Tu ożywił się Zagłoba, wychylił szklankę, palnął nią o stół i mówił dalej:

– Słuchajcie, bo tego z lada gęby nie usłyszycie, bo nie każdy umie patrzeć generalnie. Niejeden myśli: co tu nas jeszcze czeka? ile bitew, ile klęsk, o które, wojując z Carolusem, nietrudno... ile łez? ile krwi wylanej? ile ciężkich paroksyzmów?... I niejeden wątpi, i niejeden przeciw miłosierdziu bożemu i Matce Najświętszej bluźni... A ja wam powiadam tak: Wiecie, co nieprzyjaciół onych wandalskich czeka? – zguba; wiecie, co nas czeka? – zwycięstwo! Pobją nas jeszcze sto razy... dobrze... ale my pobijemy sto pierwszy, i będzie koniec.

Rzekłszy to pan Zagłoba przymknął na chwilę oczy, lecz zaraz je otworzył, spojrzął błyszczącymi źrenicami przed siebie i nagle zakrzyknął całą siłą piersi:

– Zwycięstwo ! zwycięstwo !

Kmicic aż zaczerwienił się z radości.

– Dalibóg, ma rację! dalibóg, słusznie mówi! Nie może inaczej być! Musi taki przyjść koniec!

– Już to trzeba waści przyznać, że ci tu nie brakuje – rzekł Wołodyjowski palnąwszy się w głowę. – Rzeczpospolitą można zająć, ale dosiedzieć w niej nie łą... i tak w końcu trzeba się będzie wynieść.

– Ha! co? nie brakuje! – rzekł uradowany z pochwały Zagłoba. – Kiedy tak, to wam jeszcze będę prorokował. Bóg przy sprawiedliwych! Waćpan (tu zwrócił się do Kmicica) zdrając Radziwiłła pokonasz, do Taurogów pójdiesz, dziewczynę odbierzesz, za żonę ją pojmiesz, potomstwo wychowasz... Niech pycia na języku dostanę, jeżeli tak nie będzie, jakom rzekł... Dla Boga! tylko nie uduś!

Słusznie zastrzegł się pan Zagłoba, bo pan Kmicic porwał go w swoje ramiona, podniósł w górę i tak ścisnąć począł, że aż oczy staremu wyszły na wierzch, ledwie zaś stanął na własnych nogach, ledwie odsapnął, już pan Wołodyjowski rozochocony wielce chwycił go za rękę.

– Moja kolej! Mów waćpan, co mnie czeka?

– Boże ci błogosław, panie Michale!... Wywiedzie ci twoja misterna dzierlatka całe stadko... nie bój się. Uf!

– *Vivat!* – krzyknął Wołodyjowski.

– Ale pierwej ze Szwedami koniec uczynim! – dodał Zagłoba.

– Uczynim ! uczynim ! – zawołali trzaskając szablami młodzi pułkownicy

– *Vivat!* zwycięstwo!

## ROZDZIAŁ XXIV

W tydzień później przedostał się pan Kmicic w granice Prus elektorskich pod Rajgrodem. Przyszło mu to dość łatwo, gdyż przed samym odejściem pana hetmana polnego zapadł w lasy tak skrycie, iż Duglas był pewien, że i jego wataha pociągnęła razem z całą dywizją tatarsko-litewską pod Warszawę, i małe tylko załogi po zameczkach do obrony tych stron zostawił.

Duglas odszedł także w ślad za Gosiewskim, z nim i Radziejowski, i Radziwiłł.

Kmicic dowiedział się o tym jeszcze przed przejściem granicy i zgryzł się srodze, że nie będzie się mógł oko w oko ze swym śmiertelnym wrogiem spotkać i że kara może Bogusława dojść z innych rąk, mianowicie z rąk pana Wołodyjowskiego, który także przeciw niemu ślubował.

Za czym, nie mogąc wyrzucić zemsty za krzywdy Rzeczypospolitej i swoje nia osobie zdrajcy, wywarł ją w straszliwy sposób na posiadłościach elektorskich.

Tej samej nocy jeszcze, w której Tatarzy minęli słup graniczny, niebo zaczerwieniło się łunami, rozległy się wrzaski i płacz ludzi deptanych stopą wojny. Kto polską mową o litość umiał prosić, ten z rozkazu wodza był oszczędzany, ale natomiast niemieckie osady, kolonie, wsie i miasteczka zmieniały się w rzekę ognia, a przerażony mieszkaniec szedł pod nóż.

I nie tak prędko oliwa rozlewa się po morzu, gdy ją żeglarze dla uspokojenia fal wyleją, jak rozlał się ów czambuł Tatarów i wolentarzy po spokojnych i ubezpieczonych dotąd stronach. Zdawało się, iż każdy Tatar umiał się dwoić i troić, być naraz w kilku miejscach, palić, ścinać. Nie oszczędzano nawet łąnów zbożowych, nawet drzew w sadach.

Tyle przecież czasu trzymał pan Kmicic na smyczy swych Tatarów, że wreszcie, gdy ich puścił na kształt stada drapieżnych ptaków, prawie zapamiętali się wśród rzezi i zniszczenia. Jeden przesadzał się nad drugiego, a że jasyru brać nie mogli, więc pławili się od rana do wieczora we krwi ludzkiej.

Sam pan Kmicic, mając w sercu niemało dzikości, dał jej folgę zupełną i choć własnych rąk we krwi bezbronnych nie walał, przecie patrzył z zadowoleniem na płynącą. Na duszy zasię był spokojny i sumienie nic mu nie wyrzucało, bo była to krew niepolaska i w dodatku heretycka, więc nawet sądził, że miłą rzecz Bogu, a zwłaszcza świętym pańskim czyni.

Przecie elektor, lennik, zatem sługa Rzeczypospolitej z dobrodziejstw jej żyjący, pierwszy podniósł świętokradzką rękę na swą królową i panią, więc należała mu się kara, więc pan Kmicic był tylko narzędziem gniewu bożego.

Dlatego co wieczora spokojnie odmawiał różaniec przy blasku płonących osad niemieckich, a gdy krzyki mordowanych zmyliły mu rachunek, tedy zaczynał od początku, aby duszy grzechem niedbalstwa w służbie bożej nie obciążyć.

Nie same jednak okrutne uczucia w sercu hodował, bo oprócz pobożności ożywiały je różne wzruszenia związane pamięcią z dawnymi laty. Często więc przychodziły mu na myśl owe czasy, w których Chowańskiego z tak wielką sławą podchodził, i dawni kompanowie stawali mu jakby żywi przed oczyma: Kokosiński, olbrzymi Kulwiec-Hippocentaurus, raby Ranicki z senatorską krwią w żyłach, Uhlik, na czekaniku grywają-

cy, Rekuć, na którym krew ludzka nie ciężyla, i Zend, ptactwo i wszelkiego zwierza biegle naśladowający.

– Wszyscy oni, prócz może jednego Rekuć, w piekle skwierczą, a ot! użyliby teraz, ot, by się we krwi ubabrali, grzechu na duszę nie ściągając i z pożytkiem dla Rzeczypospolitej!...

Tu wzdychał pan Andrzej na myśl, jak zgubną rzeczą jest swawola, skoro w zaraniu młodości drogę do pięknych uczynków na wieki wieków zamyka.

Lecz najwięcej wzdychał do Oleńki. Im bardziej zapuszczał się w granice pruskie, tym srożej paliły go rany serca, jakby owe pożary, które rozniecał, i dawną miłość zarazem podsycaly. Co dzień też prawie mówił w swym sercu do dziewczyny:

„Gołąbku najmilszy, możesz tam już o mnie zapomnieć, a jeżeli wspomnisz, to jeno niechęć ci serce zaleje, ja zaś, daleki czy bliski, w nocy i we dnie, w pracy dla ojczyzny i trudzie, o tobie ciągle myślę i dusza leci ku tobie przez bory i wody, jak zmęczony ptak, aby zaś u nóg twoich się położyć. Rzeczypospolitej i tobie jednej oddałbym wszystką krew moją, ale gorze mi, jeśli w sercu na wieki banitem mnie ogłosisz!”

Tak rozmyślając szedł coraz wyżej ku północy pasem granicznym, palił i ścinał, nikogo nie żywił. Tęsknota dławila go okrutna. Chciałby jutro być w Taurogach, a tymczasem droga była jeszcze tak daleka i tak trudna, bo wreszcie poczęto bić we wszystkie dzwony w całej prowincji pruskiej.

Kto żyw, chwytął za broń, by dać opór strasznym niszczycielom; sprowadzano prezydya nawet z bardzo odległych miast, formowano pułki nawet z pacholców miejskich, i wkrótce wszędy mogło stanąć ze dwudziestu chłopów przeciw jednemu Tatarowi.

Kmicic rzucał się na owe komendy jak piorun, gromił, rozpraszał, wieszał, wywijał się, krył i znów wypływał na fali ognia, ale jednak nie mógł już iść tak szybko jako wprzód. Nieraz trzeba było tatarskim sposobem zapadać i tać się całymi tygodniami w gąszczu lub trzcinach nad brzegami jezior. Ludność wysypywała się coraz gęściej, jakby na wilka, a on kąsał też jak wilk, co jednym uderzeniem kłów śmierć zadaje, i nie tylko się bronił, ale zaczętej wojny nie zaniechał.

Miłując pracę rzetelną, czasem, mimo pościgu, tak długo nie ruszał się z jakiejś okolicy, póki jej mieczem i ogniem na kilka mil nie zniszczył. Nazwisko jego dostało się, nie wiadomo jakim sposobem, do ust ludzkich i grzmiało, okryte zgrozą i przerażeniem, aż do brzegów Bałtyku.

Mógł wprawdzie pan Babinicz wejść na powrót w granice Rzeczypospolitej i mimo komend szwedzkich spieszniej ruszyć do Taurogów, ale nie chciał tego uczynić, bo pragnął nie sobie tylko, lecz Rzeczypospolitej służyć.

Tymczasem przyszły wieści, które miejscowym mieszkańcom dodały ducha do obrony i zemsty, a srogą żalością przejęły serce pana Babinicza. Gruchnęło o wielkiej bitwie pod Warszawą, którą król polski miał przegrać. „Karol Gustaw i elektor pobili wszystkie wojska Kazimierzowe” – powtarzano sobie w Prusach z radością. „Warszawa znów wzięta! największa to w całej wojnie wiktoria i teraz będzie już koniec Rzeczypospolitej!”

Wszyscy ludzie, których zagarniali i kładli na węgle dla zeznań Tatarzy, powtarzali to samo; były i przesadne wieści, jako zwykle w czasach wojennych a niepewnych. Wedle tych wieści wojska były doszczętnie zniesione, hetmani polegli, a Jan Kazimierz dostał się do niewoli.

Więc wszystko się skończyło? więc owa powstająca i zwycięska Rzeczpospolita była tylko czczym mamidłem? Tyle potęgi, tyle wojsk, tylu wielkich ludzi i znamienitych wojowników: hetmani, król, pan Czarniecki ze swoją niezwyciężoną dywizją, pan marszałek koronny, inni panowie ze swymi pocztami, wszystko przepadło, wszystko jak dym się rozwiało? I nie masz już innych obrońców tego nieszczęsnego kraju, prócz luźnych partyj powstańczych, które zapewne na wieść o klęsce jak tuman się rozwieją?!

Pan Kmicic włosy z czupryny darł i ręce łamał, chwycił wilgotną ziemię garściami i do płonącej głowy przyciskał.

– Polegnę i ja! – mówił sobie – ale wprzód ziemia ta krwią spłynie!

I począł wojować jak desperat; nie ukrywał się już więcej, nie zapadał po lasach i trzcinach, śmierci szukał, rzucał się jak szalony na siły trzykroć większe i roznosił je w puch na szablach i kopytach. W Tatarach jego zamarzy wszystkie resztki uczuć ludzkich i zmienili się w stado dzikich zwierząt. Drapieżny, ale niezbyt przydatny do walki w otwartym polu lud, nie utracił nic ze swej zdolności do zasadzek i podstępów, przez ciągłą wprawę, przez ciągłe walki wyćwiczył się tak, że najpierwszej w świecie jeździe mógł pierś w pierś dotrzymać pola i roznosić czworoboki nawet szwedzkiej dalekarlijskiej gwardii. W zapasach ze zbrojną chasą pruską stu tych Tatarów rozbijało z łatwością dwieście i trzysta tęgich, zbrojnych w muszkiety i włócznie pacholców.

Kmicic oduczyl ich obciążania się łupem, brali tylko pieniądze, a mianowicie złoto, które zaszywali w kulbaki. Toteż, gdy który poległ, pozostali bili się z wściekłością o jego konia i siodło. Bogacąc się w ten sposób, nie stracili nic ze swej nadludzkiej prawie lotności. Poznawszy, że pod żadnym w świecie wodzem nie mieliby żniw tak obfitych, przywiązali się do Babinicza jako psy gończe do myśliwca i z prawdziwie mahometańską uczciwością składali po bitwach w ręce Soroki i Kiemliczów lwią część łupów „bagadyrowi” przynależną.

– Ała! – mawiał Akbah-Ułan – mało ich Bakczysaraj zobaczy, ale ci, którzy wrócą, murzami wszyscy zostaną.

Babinicz, który z dawna umiał się z wojny żywić, zebrał bogactwa potężne; natomiast śmierci, której więcej od złota szukał, nie znalazł.

Uplynał znów miesiąc na harcach i trudach wiarę ludzką przechodzących. Bachmatom, lubo jęczmieniem i pruską pszenicą pasionym, trzeba było koniecznie dać choć parę dni wypoczynku, zatem młody pułkownik, chcąc także wieści zasięgnąć i szczyrby w ludziach nowymi wolentarzami zastąpić, cofnął się koło Dospady w granice Rzeczypospolitej.

Wieści wkrótce przyszły i to tak radosne, że Kmicic mało rozumu nie stracił. Okazywało się prawdą, że równie dzielny, jak niefortunny Jan Kazimierz przegrał wielką trzydniową bitwę pod Warszawą, ale z jakiejże przyczyny?

Oto pospolite ruszenie w ogromnej części rozeszło się przedtem do domów, a pozostała część nie biła się już z takim animuszem jak przy wzięciu Warszawy i trzeciego dnia bitwy wszczęła popłoch. Natomiast przez dwa pierwsze dni ważyło się zwycięstwo na stronę polską. Wojska regularne już nie w dorywczej podjazdowej wojnie, ale w wielkiej bitwie z najbardziej wyćwiczonym w Europie żołnierzem okazały taką umiejętność i wytrwałość, że samych jenerałów szwedzkich i brandenburskich ogarnęło zdumienie.

Król Jan Kazimierz nieśmiertelną sławę pozyskał. Mówiono, że okazał się być równym Karolowi Gustawowi wodzem i że gdyby wszystkie jego rozporządzenia spełnione zostały, nieprzyjaciel straciłby walną bitwę i wojna byłaby ukończona.

Kmicic miał już też wiadomości z ust naocznych świadków, natknął się bowiem na szlachtę, która służąc w pospolitakach, brała w bitwie udział. Jeden z nich opowiadał mu o świetnym uderzeniu husarii, w czasie którego sam *Carolus*, który mimo zaklęć jenerałów cofać się nie chciał, omal nie zginął. Wszyscy też potwierdzili, że nieprawda, jakoby wojska były zniesione lub żeby hetmani polegli. Owszem, cała potęga, prócz pospolitego ruszenia, pozostała nie naruszona i cofnęła się w dobrym ładzie w dół kraju.

Na moście warszawskim, który się załamał, uroniono tylko armaty, ale „ducha przewieziono przez Wisłę”. Wojsko klęło się na wszystko, że pod takim wodzem jak Jan Kazimierz pobije w następnym spotkaniu Karola Gustawa, elektora i kogo będzie trzeba, bo ta bitwa to była tylko próba, lubo niepomyślna, ale dobrej otuchy na przyszłość pełna.

Kmicic zachodził w głowę, skąd pierwsze wieści mogły być tak straszne. Wytłumaczono mu, że Karol Gustaw umyślnie porozsyłał przesadzone nowiny, w rzeczy zaś nie bardzo wiedział, co czynić. Oficerowie szwedzcy, których pan Andrzej w tydzień później ułowił, potwierdzili to zdanie.

Dowiedział się też od nich, że zwłaszcza elektor żył w wielkim przerażeniu i o własnej skórze coraz bardziej poczynął myśleć, że z wojsk jego siła pod Warszawą legło, na pozostałe rzuciły się choroby tak straszne, iż gorzej bitew je niszczą. Tymczasem zaś Wielkopole, pragnąc za Ujście i wszystkie krzywdy zapłacić, najechali samą marchią brandenburską, paląc, ścinając, wodę a ziemię zostawując. Wedle oficerów bliską była godzina, w której elektor porzuci Szwedów, a z mocniejszym się połączy.

„Trzeba mu tedy przypiekać – pomyślał Kmicic – żeby prędzej to uczynił.”

I mając konie już wypoczęte a szczyrby zapełnione, znów przekroczył Dospadę i jak duch zniszczenia na osady niemieckie się rzucił.

Różne partie poszły za jego przykładem. Zastał obronę już słabszą, więc tym bardziej dokazywał. Nowiny przychodziły coraz radośniejsze, tak radosne, że wierzyć w nie było trudno.

Oto naprzód poczęto prawić, że Karol Gustaw, który po bitwie warszawskiej aż do Radomia się posunął, cofa się teraz na złamanie szyi ku Prusom Królewskim. Co się stało? czemu się cofa? – na to nie było czas jakiś odpowiedzi, aż wreszcie gruchnęło znów po Rzeczypospolitej nazwisko pana Czarnieckiego. Zbił pod Lipcem, zbił pod Strzemeszmem, pod samą Rawą wyciął w pień tylną straż umykającego Karola, za czym dowiedziawszy się, iż dwa tysiące rajtarii wraca z Krakowa, napadł na nią wstępny bojem i ani zwiastu na klęski żywcem nie puścił. Pułkownik Forgell, brat jenerała, czterech innych pułkowników, trzech majorów, trzynastu rotmistrzów i dwudziestu trzech poruczników poszło w łyka. Inni podawali liczbę podwójną, niektórzy twierdzili już w uniesieniu, że pod Warszawą nie klęskę, ale zwycięstwo odniósł Jan Kazimierz, i że jego pochód w dół kraju był tylko fortelem dla pogrążenia nieprzyjaciela.

Sam pan Kmicic tak począł myśleć, bo od pacholących lat przecież żołnierzem będąc, rozumiał się na wojnie, a nigdy nie słyszał o takim zwycięstwie, po którym by się zwycięzcom gorzej dziać miało. A Szwedom widocznie było gorzej i właśnie od bitwy warszawskiej.

Panu Andrzejowi przypomniały się wówczas słowa Zagłoby, gdy przy ostatnim widzeniu się mówił, że wiktorie nie naprawią już szwedzkiej sprawy, zaś jedna walna przegrana może ich zgubić.

„Kanclerska to głowa! – pomyślał Kmicic – która jakoby w księdze przyszłości umie czytać.”

Tu przypomniały mu się i dalsze proroctwa pana Zagłoby, jako on, Kmicic *alias* Babinicz, do Taurogów dojdzie, Oleńkę swoją odnajdzie, przebłąga, zaślubi i potomstwo z niej na chwałę kraju wyprowadzi. Gdy sobie to wspomniął, ogień wstąpił mu w żyły; już i chwili tracić nie chciał, jeno Prusaków i rzezi na czas zaniechać i do Taurogów lecieć.

Wtem w wilię wyjazdu przybył do niego szlachcic laudański spod chorągwi pana Wołodyjowskiego z listem od małego rycerza.

„Idziemy z panem hetmanem polnym litewskim i księciem krajczym za Bogusławem i Waldekiem – pisał pan Michał. – Połączcie się z nami, bo pole do słusznej zemsty się znajduje, a i prusactwu za opresję Rzeczypospolitej spłacić się przygodzi.”

Pan Andrzej własnym oczom wierzyć nie chciał i czas jakiś posądzał szlachcica, iż chyba przez jakiego komendanta pruskiego czy szwedzkiego umyślnie był nasłany, aby go wraz z czambułem w zasadzkę wprowadzić. Miałżeby pan Gosiewski istotnie drugi raz do Prus ciągnąć? Niepodobna było nie wierzyć. Ręka była pana Wołodyjowskiego, herb pana

Wołodyjowskiego, a i szlachcica sobie pan Andrzej przypomniał. Więc indagować go począł, gdzie pan Gosiewski się znajduje i dokąd dojść zamierza?

Szlachcic dość był głupkowaty. Nie jemu wiedzieć, dokąd pan hetman chce iść; wie tylko, że pan hetman z tą samą dywizją litewsko-tatarską o dwa dni drogi, a przy nim jest i chorągiew laudańska. Pożyczył jej sobie na czas pan Czarniecki, ale już z dawna odesłał, a teraz idą, gdzie pan hetman polny prowadzi.

– Mówią – kończył szlachcic – że do Prus pójdziem, i żołnierz cieszy się okrutnie... Ale zresztą nasza rzecz słuchać i bić.

Kmicic wysłuchawszy relacji nie namyślał się długo, zawrócił czambuł i poszedł wielkim pochodem ku panu hetmanowi, a po dwóch dniach, już późną nocą, padł w ramiona panu Wołodyjowskiemu, który wyściskawszy go, zaraz zakrzyknął:

– Graf Waldek i książę Bogusław są w Prostkach, szanśce sypią, by się warownym obozem ubezpieczyć. Pójdziem na nich.

– Dziś? – rzekł Kmicic.

– Jutro do dnia, to jest za dwie lub za trzy godziny.

Tu padli sobie znów w objęcia.

– Tak mi coś mówi, że go Bóg wyda w ręce nasze! – zawołał wzruszony Kmicic.

– I ja tak myślę.

– Ślubowałem sobie do śmierci ten dzień pościć, w którym go spotkam.

– Protekcja boża nie zawadzi – odrzekł pan Michał. – Nie będę też czuł inwizji, jeśli tobie ten los przypadnie, bo twoja krzywda większa.

– Michale! zacniejszego od ciebie kawalera nie widziałem!

– A niechże ci się, Jędreku, przypatrzę. Szerniałeś od wiatru do reszty; aleś się spisał. Z wielką estymą patrzyła cała dywizja na twoją robotę. Nic, jeno zgłiszcza i *cadavera*. Żołnierz z ciebie zawołany. I samemu panu Zagłobie, gdyby tutaj był, ciężko by przyszło coś lepszego o sobie wymyślić.

– Dla Boga! a gdzie pan Zagłoba?

– Przy panu Sapieże został, bo spuchł całkiem z płaczu i z desperacji po Rochu Kowalskim...

– To pan Kowalski zginął?

Wołodyjowski zacisnął wargi.

– Wiesz, kto go zabił?

– Skąd mam wiedzieć?... Powiadaj!

– Książę Bogusław.

Kmicic zakręcił się na miejscu, jakby sztychem pchnięty, i począł z sykiem wciągać w siebie powietrze, na koniec zgrzytnął strasznie zębami i rzuciwszy się na ławę, wsparł w milczeniu głowę na dłoniach.

Pan Wołodyjowski klasnął w ręce i kazał czeladnikowi napitku przynieść, po czym siadł około Kmicica, nalał kusztyki i począł mówić:

– Roch Kowalski tak kawalerską śmiercią zginął, że nie daj Boże żadnemu z nas gorzej. Dość ci powiedzieć, że mu sam *Carolus* po otrzymaniu pola pogrzeb wyprawił i cały regiment gwardii ognia nad jego trumną dawał.

– Żeby nie z tych rąk, żeby nie z tych piekielnych rąk! – zawołał Kmicic.

– Owszem, z rąk Bogusławowych, wiem to od usarzy, którzy własnymi oczyma na ów żalony termin patrzyli.

– Toś tam nie był?

– W bitwie miejsca się nie wybiera, jeno się stoi, gdzie każą. Gdybym ja tam był, to albo tu bym teraz nie był, albo Bogusław nie sypałby wałów w Prostkach.

– Mów, jak wszystko się odbyło. Zawziętości tylko przybędzie.

Pan Wołodyjowski napił się, obtarł żółte wąsiki i począł:

– Pewnie ci nie brakło relacji o warszawskiej bitwie, bo wszyscy o niej mówią, więc też i ja nie będę się nad nią zbyt długo rozwodził. Nasz pan miłościwy... dajże mu Boże zdrowie i długie lata, bo pod innym królem zginęłaby ta ojczyzna wśród klęsk... okazał się wodzem znamienitym. Gdyby był taki posłuch jak wódz, gdybyśmy byli go godni, kroniki zapisałyby nową polską wiktoryę pod Warszawą, grunwaldzkiej i beresteckiej równą. Krótko mówiąc, pierwszego dnia biliśmy Szwedów. Drugiego poczęła fortuna to na tę, to na tamtą stronę wagi nachylać, ale przecie byliśmy górą. Wtedy to poszła do ataku litewska husaria, w której i Roch służył pod kniazem Połubińskim, żołnierzem wielkim. Widziałem ich, gdy szli, jako ciebie widzę, bo stałem z laudańskimi na wyżynie pod szańcami. Było ich tysiąc dwieście ludzi i koni, jakich świat nie widział. Szli na półstają wedle nas i mówię ci, ziemia drżała pod nimi. Widzieliśmy piechotę brandenburską, na gwałt zatykającą piki w ziemię, aby pierwszemu impetowi się oprzeć. Inni walili z muszkietów, aż dymy zasłoniły ich zupełnie. Spojrzymy: husaria już rozpuściła konie. Boże, co za impet! Wpadli w dym... znikli! U mnie żołnierze poczną krzyżeć: „Złamię! złamię!” Przez chwilę nie widać nic. Aż zagrzmiało coś i dźwięk się uczynił, jakby w tysiącu kuźni kowale młotami bili. Spojrzymy: Jezus Maria! Elektorscy mostem już leżą jako żyto, przez które burza przejdzie, a oni już hen za nimi! jeno proporce migocą! Idą na Szwedów! Uderzyli na rajtarię – rajtaria mostem! uderzyli na drugi regiment – mostem! Tu huk, armaty grzmia... widzimy ich, gdy wiatr dym zwieje. Łamię piechotę szwedzką... Wszystko pierzcha, wszystko się wali, rozstępuje, idą jak gdyby ulicą... bez mała przez całą armię już przeszli!... Zderzą się z pułkiem konnej gwardii, wśród którego *Carolus* stoi... i gwardię jakoby wicher rozegnał!...

Tu przerwał Wołodyjowski opowiadanie, bo Kmicic pięściami oczy zatkał i krzyżeć począł:

– Matko Boża! raz widzieć i polec!

– Takiego ataku nie zobaczą już oczy moje – ciągnął dalej mały rycerz. – Nam też skoczył kazano... Więcej nie widziałem, ale coć powiem, tom słyszał z ust szwedzkiego oficera, który przy boku Karolowym wówczas był i własnymi oczyma na termin patrzył. Gdy już husaria wszystko złamała po drodze, ten Forgell, który później pod Rawą wpadł w nasze ręce, rzucił się do rąk Karolowych: „Królu, ratuj Szwecję! ratuj siebie! – krzyknął – ustępuj, ustępuj! nic ich nie wstrzyma!” A *Carolus* na to: „Na nic przed nimi ustępować, trzeba opór dać lub zginąć!” Przypadają inni jenerałowie, błagają, proszą, nie chce. Ruszył naprzód... zderzyli się i złamano Szwedów prędzej niżbyś do dziesięciu zrachował. Kto legł, tego stratowano; inni rozsypali się jak groch. Nuż ich ciąć. Król odbił się samowtór; najechał go Kowalski i poznał, bo go już dwa razy widział. Kiedy nie natrze!... Rajtar zastawił króla... Ale owo, powiadali ci, którzy widzieli, że piorun prędzej nie zabija, jako Roch rozwalił go na dwoje. Wówczas sam król rzucił się na niego...

Wołodyjowski przerwał znów opowiadanie i odetchnął głęboko, lecz Kmicic zaraz zawołał:

– Kończ już, bo dusza ze mnie wyjdzie!

– Starli się tedy w środku pola, iże piersi końskie uderzyły o piersi. Zakotłowało się! „Spojrzę – powiada nam oficer – aż król wraz z koniem już na ziemi!” Wydostał się, ruszył cyngla króciocy, chybił. Roch go za łeb, bo mu kapelusz spadł. Już miecz wznosił, już Szwedzi mdleli z przerażenia, bo nie czas było iść na ratunek, gdy Bogusław jakoby spod ziemi wyrósł i w samo ucho Kowalskiemu wystrzelił, że mu głowę wraz z hełmem rozniosło.

– Dla Boga! Nie miałże czasu miecza spuścić?! – krzyknął pan Andrzej targając się za czuprynę.

– Bóg nie dał mu tej łaski – odrzekł pan Michał. – Zgadliśmy też z Zagłobą, co się stało. Oto służyło chłopisko u Radziwiłłów od pacholęcych lat, za panów ich swoich uważało, i na widok Radziwiłła musiało się skonfundować. Może mu nigdy ta myśl w głowie nie po-



stała, żeby na Radziwiłła można rękę podnieść. Bywa tak, bywa! Ha! życiem to przyplącił. Dziwny człek jest pan Zagłoba, bo on mu wcale wujem ni krewnym nie był, a przecie inny by po synu tak nie desperował... Prawdę zaś rzekłszy, nie było czego, bo tak sławnej śmierci zazdrościć by Kowalskiemu można. Toż szlachcic i żołnierz na to się rodzi, by nie dziś, to jutro gardło dać, a o Kowalskim dzieje pisać będą i potomność jego imię wysławi.

Umilkł pan Wołodyjowski, po chwili zaś przeżegnał się i rzekł:

– Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niech mu świeci...

– Na wieki wieków! – zakończył Kmicic.

Czas jakiś szeptali modlitwy, może o podobną śmierć dla siebie prosząc, byle nie z rąk Bogusławowych, wreszcie pan Michał rzekł:

– Ksiądz Piekarski zaręczał nam, że on wprost do raju poszedł.

– Pewnie, że tak, to mu i modlitwy nasze niepotrzebne.

– Modlitwy zawsze potrzebne, bo na rejestr innych będą wpisane, a może na nasz własny.

Kmicic westchnął.

– W miłosierdziu bożym nadzieja – rzekł – tuszę też, że za to, com tu w Prusach dokazywał, choć z parę lat czyścica będzie mi odpuszczonych.

– Wszystko się tam karbuje. Co tu człowiek szablą wyrąbie, to tam sekretarze niebiescy zapisują.

– Służyłem i ja u Radziwiłła – rzekł Kmicic – ale się widokiem Bogusława nie skonfunduję. Boże, Boże! toć Prostki niedaleko! Pomnij, Panie, że on i Twój nieprzyjaciel, bo heretyk, którego nieraz prawdziwej Twej wierze bluźnił!

– I ojczyzny nieprzyjaciel! – dodał Wołodyjowski. – Miejmy nadzieję, że jego termin się zbliża. Pan Zagłoba to samo po owym ataku husarii prorokował, a mówił w żalu, we łzach, jakoby natchniony. I przeklinał Bogusława tak, że aż słuchającym włosy w czuprynach stawały. Księżę Kazimierz Michał, który z nami przeciw nim ciągnie, widział też we śnie dwie złote trąby, które Radziwiłłowie w tarczy noszą, pogryzione przez niedźwiedzia i zaraz na drugi dzień powiadał: „Albo mnie, albo którego z innych Radziwiłłów nieszczęście spotka.”

– Przez niedźwiedzia? – spytał blednąc Kmicic.

– Tak jest.

Twarz pana Andrzeja rozjaśniła się, jak gdyby na nią blask zórz porannych upadł, oczy wzniosł do góry, ręce ku niebu wyciągnął i uroczystym głosem zawołał:

– Jaż w herbie mam niedźwiedzia. Chwała Ci, Panie, na wysokościach! Chwała Ci, Matko Najświętsza!... Panie, Panie! nie jestem godzien tej łaski!

Usłyszawszy to Wołodyjowski wielce także się wzruszył, bo poznał zaraz, że w tym jest omen niebieski.

– Jędre! – zawołał – ściśnijże dla pewności przed bitwą nóżki Chrystusowi, a ja o Sakowicza Go poproszę.

– Prostki! Prostki! – powtarzał jakby w gorączce Kmicic. – Kiedy ruszamy?

– Do dnia, a niedługo już świtać pocznie.

Kmicic zbliżył się do wybitego okienka chałupy, spojrzął w niebo i zawołał:

– Bledną już gwiazdy, bledną *Ave Maria*...

Wtem rozległo się dalekie pianie koguta, a jednocześnie zabrzmiało ciche trąbienie przez munsztuk. W kilka pacierzy później ruch począł się w całej wsi. Słychać było szczęk żelaza, parskanie koni. Ciemne masy jazdy zbierały się na gościńcu.

Powietrze poczęło się nasycać światłem; bładny blask jał srebrzyć groty włóczni, migotać na gołych szablach, wydobywać z cienia wąsate, groźne twarze, hełmy, kołpaki, kapuzy, tatarskie baranie czapki, tołuby, sajdaki. Wreszcie pochód z panem Kmicicem w

przedniej straży ruszył ku Prostkowi; wojska rozciągnęły się długim wężem po drodze i szły żywo.

Konie poczęły parskać okrutnie w pierwszych szeregach, za nimi inne na dobrą dla żołnierzy wróżbę.

Białe tumany zakrywały jeszcze łąki i pola.

Naokół była cisza, jeno derkacze grały w zroszonych trawach.

## ROZDZIAŁ XXV

Dnia 6 września doszły wojska polskie do Wąsosz i stanęły na odpoczynek, aby przed bitwą konie i ludzie mogli sił nabrać. Postanowił pan podskarbi cztery albo pięć dni się tam zatrzymać, ale wypadki pomieszały jego rachubę.

Pana Babinicza, jako znającego już dobrze pogranicze, wyprawiono na podjazd, dawszy mu dwie lekkie litewskie chorągwie i świeży czambulik ordy, bo jego własni Tatarzy zbyt byli pomęczeni.

Pan podskarbi wielce mu przed drogą zalecał, by się o języka starał i z próżnymi rękoma nie wracał. Babinicz zaś uśmiechnął się tylko, myśląc sobie, iż nie potrzeba mu żadnej zachęty i że jeńców przywiedzie, choćby ich za okopami w Prostkach miał szukać.

Jakoż wrócił we dwie doby, przywiódłszy kilkunastu Prusaków i Szwedów, a pomiędzy nimi znacznego oficera von Rössela, kapitana z pruskiego regimentu Bogusława.

Przyjęto podjazd w obozie z wielkim aplauzem. Kapitana nie potrzeba było brać na pytki, bo już to Babinicz w drodze, przyłożywszy mu sztych do gardła, uczynił. Z zeznań jego okazywało się, że nie same pruskie pułki grafa Waldeka stoją w Prostkach, ale i sześć regimentów szwedzkich pod komendą jenerał-majora Izraela, z tych cztery jazdy pod Petersem, Frytiosonem, Taubenem, Ammersteinem, i dwa piechoty pod braćmi Engel. Z pułków pruskich, bardzo okrytych, prócz własnego grafa Waldeka, był księcia Wismaru, Bruncla, Konnaberga, jenerała Walrata oraz cztery chorągwie z komendy Bogusławowej: dwie szlachty pruskiej i dwie jego własne.

Naczelną komendę miał rzekomo graf Waldek, lecz w rzeczywistości słuchał we wszystkim księcia Bogusława, którego wpływowi ulegał także i szwedzki jenerał Izrael.

Najważniejszą wszelako wiadomością, jakiej von Rössel udzielił, była ta, że z Ełku spieszy na pomoc pod Prostki dwa tysiące wyborowej pomorskiej piechoty, graf Waldek zaś bojąc się, aby oddziały owe nie zostały zagarnięte przez ordę, pragnie wyjść z warownego obozu i dopiero po połączeniu się z nimi, drugi raz się okopać. Bogusław był, wedle Rössela, aż dotąd dość przeciwny opuszczeniu Prostek i dopiero w ostatnich dniach skłaniać się do tego zaczął.

Usłyszawszy to pan Gosiewski wielce się uradował, bo już był pewien, że go zwycięstwo nie minie. Nieprzyjaciel długo potrafiłby bronić się w okopie, lecz ani szwedzka, ani pruska jazda nie mogła dotrzymać litewskiej w otwartym polu.

Książę Bogusław rozumiał to widocznie tak samo dobrze jak pan podskarbi i dlatego właśnie nie bardzo pochwalał Waldekowe plany. Lecz zbyt był próżnym, aby nie ustąpił przed zarzutem nawet zbytnej ostrożności. Wreszcie nie odznaczał się cierpliwością. Można było niemal na pewno rachować, że sprykrzy sobie leżenie w wałach i w otwartej bitwie sławy i zwycięstwa poszuka. Pan podskarbi powinien był tylko spieszyć się, aby nastąpić na nieprzyjaciela właśnie w chwili, gdy będzie okopy opuszczał.

Tak też myślał i on sam, i inni pułkownicy, jako Hassun-bej, który ordą dowodził, pan Wojniłłowicz z królewskiego znaku, pan Korsak, pułkownik petyhorski, pan Wołodziejowski, pan Kotwicz i pan Babinicz. Wszyscy zgodzili się na jedno, że trzeba dalszego odpoczynku zaniechać i na noc, to jest za kilka godzin, ruszać; tymczasem pan Korsak wysłał

natychmiast swego chorążego, Biegańskiego, aby szedł pod Prostki i nadciągającemu wojsku każdej godziny znać dawał, co się w obozie dzieje. Wołodyjowski zaś i Babinicz wzięli do swej kwatery Rössela, aby o Bogusławie czegoś więcej od niego się dowiedzieć.

Kapitan z początku przerażony był wielce, bo jeszcze sztych Kmicicowy czuł na gardle, ale wkrótce wino rozwiązało mu język. Że zaś kiedyś, służąc w Rzeczypospolitej w cudzoziemskim autoramencie, wyuczył się po polsku, przeto mógł i na pytania małego rycerza, nie umiejącego po niemiecku, odpowiadać.

– Dawno waść służysz u księcia Bogusława? – pytał mały rycerz.

– Ja u księcia w jego nadwornym wojsku nie służę – odrzekł Rössel – jeno w elektorskim pułku, który pod jego komendę został oddany.

– To i pana Sakowicza waść nie znasz?

– Pana Sakowicza widywałem w Królewcu.

– Jestli on przy księciu?

– Nie masz go. W Taurogach został.

Mały rycerz westchnął i wąsikami ruszył.

– Nie mam szczęścia, jako zwykle! – rzekł.

– Nie frasuj się, Michale – rzekł Babinicz – odnajdziesz go, a nie, to ja odnajdę.

Po czym zwrócił się do Rössela:

– Waść jesteś stary żołnierz, widziałeś oba wojska, a naszą jazdę znasz od dawna; jakże myślisz, po czyjej stronie będzie wiktoria?

– Jeżeli wam pole dadzą za okopem, to po waszej, ale okopu bez piechoty i armat nie zdobędziecie, zwłaszcza że tam się wszystko księcia Radziwiłła głową dzieje.

– Za takiegoż to wielkiego masz go waść wodza?

– Nie tylko ja, ale ogólne to jest mniemanie w obu wojskach. Powiadają też, że pod Warszawą *serenissimus rex Sueciae* we wszystkim szedł za jego radą i dlatego wielką bitwę wygrał. Książę, jako Polak, lepiej zna wasz sposób wojowania i prędzej radę wymyślić umie. Sam widziałem, jak król szwedzki po trzecim dniu bitwy przed frontem wojsk księcia ścisnął i całował. Prawda, że mu życie był winien, bo gdyby nie strzał książęcy... no! strach myśleć!... Rycerz to jest przy tym niezrównany, z którym się nikt na żadną broń mierzyć nie może.

– Ej! – rzekł pan Wołodyjowski – może by się taki znalazł...

To rzekłszy, wąsikami groźnie ruszył. Rössel popatrzył na niego i nagle poczerwieniał. Przez chwilę zdawało się, że albo krew go zaleje, albo śmiechem wybuchnie; lecz wreszcie wspomniął, iż jest w niewoli, więc opamiętał się zaraz.

Kmicic zaś popatrzył na niego pilnie swoimi stalowymi oczyma i rzekł zaciskając nieco wargi:

– Jutro się pokaże...

– A zdrów teraz Bogusław? – pytał pan Wołodyjowski – bo go to febra długo trzęsa i osłabić go musiała...

– Zdrów od dawna jak ryba i lekarstw żadnych nie bierze. Chciał mu medyk z początku dawać różne prezerwatywy, ale właśnie po pierwszej zdarzył się zaraz paroksyzm. Wprawdzie nie powtórzył się więcej. Książę Bogusław kazał też rzucać medykami w prześcieradłach i to mu pomogło, bo medyk sam febrę ze strachu dostał.

– Rzucać w prześcieradłach? – spytał pan Wołodyjowski.

– Sam widziałem – odrzekł Rössel. – Złożono dwa prześcieradła do kupy, w środku położono medyka, za czym czterech silnych trabantów wzięło prześcieradła za rogi i kiedy to nie poczną rzucać nieborakiem, to, mówię waszym miłościom, mała na dziesięć łokci w górę podlatywał, a oni ledwie go złapią i znów w górę. Jenerał Izrael, graf Waldek i książę za boki trzymali się od śmiechu. Nas też oficerów wielu patrzyło na owo widowisko, póki medyk nie omdlał. Księciu potem jakby ręką odjął.

Jakkolwiek Wołodyjowski i Babinicz nienawidzili Bogusława, nie mogli jednak wstrzymać się także od śmiechu, słysząc o tej krotofilu. Pan Babinicz zaś uderzył się rękoma po kolanach i zawołał:

– Ha! szelma, jak sobie poradził!

– Trzeba panu Zagłobie o tym lekarstwie powiedzieć – rzekł mały rycerz.

– Na febrę to pomogło – rzecze Rössel – ale co po tym, kiedy księżę nie dość zapędy krwi hamuje i dlatego nie dożyje późnego wieku.

– I ja tak myślę – mruknął przez zęby Babinicz. – Tacy jak on długo nie żyją.

– Zali i w obozie jeszcze sobie folguje? – spytał pan Wołodyjowski.

– Jakże nie? – odrzekł Rössel. – Śmiał się nieraz graf Waldek mówiąc, że jego księżęca mość fraucymer ze sobą wozi... Ja zaś sam dwie gładkie panny widziałem, o których mówili mi dworzanie, że do prasowania kryz służą... Ale Boga tam!

Babinicz usłyszawszy to zaczerwienił się i zbladł, nagle zerwał się na równe nogi i porwawszy Rössela za ramię, począł nim potrząsać gwałtownie.

– Polki to są czy-li Niemkinie? Powiadaj!

– Nie Polki – odparł przestraszony Rössel – jedna jest szlachcianka pruska, a druga Szwedka, która przedtem u żony generała Izraela służyła.

Babinicz spojrział na Wołodyjowskiego i odetchnął głęboko; mały rycerz odetchnął także i przestał wąsikami ruszać.

– Pozwólcie mi, wasze miłości, pójść spocząć – rzekł Rössel – okrutniem utrudzon, bo dwie mile mnie Tatarzyn na arkanie prowadził.

Kmicic zaklasnął na Sorokę i powierzył mu jeńca, po czym zwrócił się szybkim krokiem do pana Wołodyjowskiego.

– Dość już tego! – rzekł – wolę zginąć, wolę sto razy zginąć aniżeli żyć w tych ustawicznych trwogach i niepewności. Ot i teraz, gdy Rössel wspomniał o onych dziewczkach, myślałem, że mnie kto obuchem w skroń zajechał.

Na to pan Wołodyjowski trzasnął rapierem.

– Czas skończyć! – rzekł.

Wtem zatrąbiono przy hetmańskiej kwaterze i wnet po wszystkich litewskich chorągwiach odezwały się trąbki, a w czambułach piszczałki.

Wojsko poczęło się zbierać i w godzinę później było w pochodzie.

Zanim uszli milę, nadbiegł posłaniec od chorążego Biegańskiego, z chorągwi pana Korsakowej, z wiadomością do hetmana, iż schwytano kilku rajtarów z większej kupy, która z tej strony rzeki zabierała wszystkie wozy i konie chłopskie. Badani na miejscu, wyznali, że tabor i całe wojsko ma opuścić Prostki nazajutrz o ósmej rano i że rozkazy są już wydane.

– Chwalmy Boga i popędzajmy konie – rzekł na to pan podskarbi. – Do wieczora nie będzie już tych wojsk!

Posłano tedy ordę na łeb na szyję, aby jak najprędzej starała się dostać między wojska Waldekowe a ową piechotę pruską śpieszącą na pomoc. Za nią litewskie chorągwie poszły rysią, że zaś najwięcej było lekkich, więc szły tak wartko, iż tuż, tuż za ordą nadażały.

Kmicic poszedł w pierwszej ordzińskiej straży i parł swoją watahę, aż z koni dymiło. Po drodze kładł się na kulbace, czołem bił o kark koński i modlił się ze wszystkich sił duszy:

– Nie za moją krzywdę daj mi się, Chryste, pomścić, ale za insuldy ojczyźnie wyrządzone! Jam grzesznik, jam łaski Twojej niegodzien, ale zmiłuj się nade mną, pozwól mi tę krew heretycką rozlać, a na chwałę Twoją będę suszył i będę się biczował każdego tygodnia w ten dzień po wiek życia mego!

Potem Najświętszej Pannie Czystochowskiej, której krwią własną służył, i patronowi swojemu jeszcze się polecał, a tak protekcję ich sobie zapewniwszy uczuł zaraz, że ogromna nadzieja wstępuje mu do duszy, że moc nadzwyczajna przejmuje jego członki, moc taka, przed którą w proch musi upaść wszystko. Zdawało mu się, że z ramion wyra-

stają mu skrzydła; radość ogarnęła go jak wichur i leciała na czele Tatarów, aż iskry sypały się spod kopyt jego konia. Tysiące dzikich wojowników, pochylonych na karki końskie, pędziło za nim.

Fala spiczastych czapek chwiała się w takt końskiego pędu, łuki kołysały się na plecach, przed nimi biegł tętent bachmatów, z tyłu dolatywał głuchy szum nadążających litewskich chorągwi, podobny do szumu wezbranej rzeki.

I lecieli tak wśród nocy pysznej, gwiazdzistej, pokrywającej drogi i pola, na kształt olbrzymiego stada drapieżnych ptaków, które krew zwietrzyły w oddaleniu.

Mijali pola bujne, dąbrowy, łąki, aż wreszcie sierp miesiąca pobladał i pochylił się ku zachodowi. Wówczas zwolnili koniom i stanęli na popas ostatni. Byli już nie dalej jak pół mili niemieckiej od Prostek.

Tatarzy poczęli karmić konie z rąk jęczmieniem, aby nowych sił nabrały przed bitwą. Kmicic zaś, przesiadłszy się na zapaśnego dzianeta, pojechał dalej, aby na obóz nieprzyjaciela okiem rzucić.

Po pół godziny drogi trafił w łozie nad rzeczką na ów podjeździk petyhorski, który pan Korsak wysłał na zwiady.

– A co? – spytał chorążego pan Kmicic. – Co słychać?

– Nie śpią już i huczą jak pszczoły w ulu – odparł chorąży. – Byliby się już ruszyli, ale nie mieli dość wozów.

– Zali można gdzie z pobliza obóz widzieć?

– Można z onego wyniesienia, które krzami pokryte. Obóz hen, tam leży w dole rzeki. Chce wasza miłość popatrzeć?

– Prowadź waść!

Chorąży ruszył koniem i wyjechali na wzniesienie. Już też zorze były na niebie i powietrze przesycalo się złotym światłem, ale wedle rzeki, na drugim niskim brzegu, leżała jeszcze mgła surowa. Oni, ukryci w krzaczach, patrzyli w ową mgłę rzednącą coraz bardziej.

Na koniec o dwie staje odsłonił się w dolinie kwadratowy okop ziemny; wzrok Kmicica wpił się weń z chciwością, lecz w pierwszej chwili dojrzał tylko mgliste zarysy namiotów, wozów stojących w środku wzdłuż wałów. Płomienia ognisk nie było już widać, tylko dymy podnosiły się wysokimi smugami ku niebu na znak pogody. Lecz w miarę jak mgła roztapiała się coraz bardziej, mógł pan Babinicz z pomocą perspektywy odróżnić pozatykane na wałach chorągwie: błękitne szwedzkie i żółte pruskie, następnie masy żołnierzy, działa i konie.

Naokoło była cisza, przerywana tylko szelestem krzów poruszanych przez powiew i wesołym porannym czyrykaniem szarego ptactwa. Ale z obozu dochodził przytłumiony szum.

Widocznie nikt tam już nie spał, widocznie gotowano się do pochodu, bo w środku okopu panował ruch niezwykajny. Całe pułki przenosiły się z miejsca na miejsce, niektóre wychodziły przed wały; około wozów panowała sroga krętanina. Staczano również armaty z wałów.

– Nie może inaczej być, tylko się do pochodu gotują – rzekł Kmicic.

– Wszyscy jeńcy to zeznawali. Chcą się ze swoją piechotą połączyć. Nie spodziewają się też, aby pan hetman mógł na nich nastąpić prędzej jak wieczorem, a choćby miał i nastąpić, wolą bitwę w otwartym polu przyjąć niż onę piechotę pod nóż wydać.

– Ze dwie godzin upłynie, nim wyruszą, a za dwie godzin pan podskarbi tu będzie.

– Chwalić Boga ! – odrzekł chorąży.

– Poślijże waść jeszcze ludzi, by tam nie popasali za długo.

– Wedle rozkazu.

– A nie wysyłali jakich podjazdów na tę stronę rzeki?

– Na tę stronę ani jeden nie wyszedł. Wysłali, ale ku swojej piechocie, która od Ełku nadciąga.

– Dobrze! – rzekł Kmicic.

I zjechał z pagórka, a przykazawszy podjazdowi taić się dalej w trzcinach, sam ruszył, ile tchu w koniu, z powrotem do chorągwi.

Pan Gosiewski właśnie na koń siadał, gdy Babinicz nadjechał. Prędko opowiedział mu młody rycerz, co widział i jaka jest pozycja okolicy; hetman wysłuchał relacji z wielkim zadowoleniem i nie mieszkając chorągwie ruszył.

Ale tym razem poszła naprzód Babiniczowa wataha, za nią litewskie: więc Wojniłłowicza, laudańska, własna pana hetmanowa, trzy księcia Michała Radziwiłła, Korsakowa i inne. Orda pozostała za nimi, bo o to usilnie Hassun-bej prosił obawiając się, czy lud jego pierwsze natarcie ciężkiej jazdy wytrzyma. Miał także i inne wyrachowanie.

Oto chciał, aby podczas gdy Litwa uderzy na czoło wojsk, on z Tatarzy mógł ogarnąć tabor, w którym łupu najobfitszego się spodziewał. Pan hetman zezwolił, słusznie mniemając, że ordyńcy miękko by może uderzali na komunik, ale wpadną jak wściekli na tabor i popłoch wzniesić mogą, zwłaszcza że konie pruskie mniej były straszliwego ich wycia zwyczajne.

We dwie godziny, jak przepowiedział Kmicic, stanęli przy owym wzniesieniu, z którego podjazd zaglądał w okopy, a które teraz pochód wszystkich wojsk zasłaniało. Chorąży, na widok zbliżających się wojsk, skoczył jak piorun z wiadomością, że nieprzyjaciel, pościągawszy strażę z tamtej strony rzeki, już wyruszył i że właśnie koniec ogona taboru wychodzi z okopu.

Usłyszawszy to pan Gosiewski wyciągnął buławę z tulei przy kulbace i rzekł:

– To już zawrócić nie mogą, bo wozy drogę zasłaniają. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! Nie ma już po co dłużej się ukrywać!

I skinął na buńczuczego, a ów buńczuk podniósł w górę i począł nim machać na wszystkie strony. Na ten znak wszystkie buńczuki poczęły się kołysać, huknęły trąby i krzywuły, zawrzały tatarskie piszczałki, zadźwięczały litaury, sześć tysięcy szabel rozbłysło w powietrzu i sześć tysięcy gardzieli krzyknęło:

– Jezus, Maria!

– Ała-hu-Ała!

Za czym chorągiew za chorągwią wynurzała się rysią zza wzniesienia. W Waldekowym obozie nie spodziewano się tak prędko gości, bo ruch powstał gorączkowy. Bębny poczęły huczeć nieustającym grzmotem; pułki zwracały się frontem ku rzece.

Gołym już okiem można było dostrzec przelatujących między regimentami generałów i pułkowników. We środku zajeżdżano co duchu z armatami, by je odprzodkować ku rzece.

Po chwili oba wojska nie były już więcej od siebie jak o tysiąc kroków. Dzielilo je tylko błonie rozległe, środkiem którego płynęła rzeczka.

Chwila jeszcze i pierwsza smuga białego dymu wykwitła od strony pruskiej ku Polakom.

Bitwa była rozpoczęta.

Pan hetman sam skoczył ku Kmicicowej wataże.

– Następuj, mości Babinicz! następuj w imię boże! ot, na tę ścianę!

I buławą wskazał błyszczący pułk rajtarii.

– Za mną! – skomenderował pan Andrzej.

I ścisnąwszy konia ostrogami, ruszył w skok z miejsca ku rzece. Nim jedno strzelenie z łuku przebiegli, konie już wzięły pęd największy i biegły ze stulonymi uszami, wyciągnięte jako charty. Jeźdźcy pochyleni na karkach, wyjąc, smagali jeszcze rumaki, które już ziemi zdawały się nie tykać; tymże impetem wpadli w rzekę, która ich nie wstrzymała, bo

trafili na obszerny bród, zupełnie płytki i piaszczysty; dopadli drugiego brzegu i skoczyli ławą dalej.

Widząc to pułk pancерnej rajtarii ruszył ku nim, z początku stępą, potem rysią i nie szedł prędzej, tylko gdy wataha zbliżyła się już na dwadzieścia kroków, rozległa się komenda: *Feuer!* – i tysiące ramion, zbrojnych w pistolety, wyciągnęło się ku nadbiegającym.

Wstęga dymu przeleciała z jednego końca szeregu w drugi, potem dwie ławy jeźdźców i koni uderzyły o siebie z łoskotem. Konie wspięły się w pierwszym uderzeniu; nad głowami walczących zamigotały przez całą długość linii szable, jakby wąż błyskawiczny przeleciał z końca w koniec. Złowrogi dźwięk żelaza o hełmy i pancerze dosłyszano aż na drugiej stronie rzeki. Zdało się, że to w kuźnicach młoty biją w stalowe blachy.

Linia wygięła się w jednej chwili w półksiężyc, bo gdy środek rajtarii ustąpił, zepchnięty pierwszym natarciem, skrzydła, na które mniejszy impet przyszedł, stały ciągle na miejscu. Lecz i w środku pancerni żołnierze nie pozwolili się rozerwać i rozpoczęła się rzeźba straszliwa. Z jednej strony lud olbrzymi, przybrany w blachy, opierał się całą potęgą ciężaru koni, z drugiej szara ćma tatarska parła go siłą nabytego rozpędu, siekąc i tnąc z taką niepojętą szybkością, jaką tylko nadzwyczajna lekkość i ciągła wprawa dać może. Jak gdy ćma drwali rzuci się na las sosen gonnych, słyhać tylko huk siekier i raz w raz wyniosłe drzewo jakieś spada w dół z trzaskiem straszliwym, tak co chwila któryś z rajtarów pochylał błyszczącą głowę i zwał się pod konia. Szable Kmicicowych migotały im w oczach, oślepiły ich, furkały koło twarzy, oczu, rąk. Daremnie potężny żołnierz wzniesie do góry ciężki miecz; nim go opuści, już czuje zimne ostrze przenikające w ciało, więc miecz wysuwa mu się z ręki, a sam pada krwawym obliczem na kark koński. I jako stado ós napadnie w ogrodach człowieka, który chciał owoce otrząsać, próżno ten trzepie rękoma, wywija się, uchyla, one umięją przeniknąć do twarzy, szyi i każda wbija weń ostrze kłujące, tak ów zaciekły, a w tyłu bojach wyćwiczony lud Kmicicowy rzucał się oślep, ciał, kąsał, kłuł, szerzył strach i śmierć coraz natarczywiej, o tyle właśnie przewyższając swych przeciwników, o ile biegły mistrz w rzemiośle przewyższa choćby silniejszego od się chłopca, któremu praktyki brakuje.

Więc poczęła rajtaria coraz gęstszym padać trupem, i środek, w którym walczył sam Kmicic, rzedniał tak bardzo, iż lada chwila mógł się już przerwać. Krzyk oficerów, zwołujących w nadwątlone miejsce żołnierzy, ginął w zgiełku i dzikich wrzaskach, szereg nie zaciskał się dość szybko, a Kmicic parł coraz potężniej. Sam zbrojny w stalową kolczugę, którą od pana Sapiehy dostał w darze, walczył jak prosty żołnierz, mając za sobą młodych Kiemliczów i Sorokę. Ci na zdrowie pana baczenie mieli dawać, i coraz to któryś odwrócił się w prawo lub lewo, zadając cios okropny, a on rzucał się na swym cisawym koniu w gęstwą największą, i wszystkie tajemnice pana Wołodyjowskiego posiadłszy, a siłę mając olbrzymią, gasił żywoty ludzkie jak świece. Czasem całą szablą uderzy, czasem ledwie końcem dosięgnie, czasem ledwie kółeczko niewielkie a jako piorun szybkie zatoczy i rajtar leci głową w dół pod konia, jakby go grom zmiotł z kulbaki. Inni cofają się przed strasznym mężem.

Wreszcie ciał pan Andrzej przez skroń chorążego, a ten zapiał tylko jak zarzynany kur i chorągiew z ręki wypuścił; w tej chwili środek się przerwał, a pomieszane skrzydła uczyły dwie kupy bezładne i cofające się szybko ku dalszym liniom wojsk pruskich.

Kmicic spojrział przez rozerwany środek w głąb pola i nagle ujrzał regiment czerwonych dragonów, lecący jak wichur w pomoc rozerwanej rajtarii.

„Nic to! – pomyślał – za chwilę Wołodyjowski tym brodem przyjdzie mi w pomoc...”

Tymczasem rozległ się huk armat tak gwałtowny, że ziemia zatrzęsała się w posadach; muszkiety poczęły grzechotać od okopu aż hen do najbardziej wysuniętych szeregów nie-



przyjacielskich. Całe pole pokryło się dymem i w tymże dymie wolentarze Kmicicowi wraz z Tatarami szczepili się z dragonią.

Ale od strony rzeki nikt nie przybywał na pomoc.

Pokazało się, że nieprzyjaciel umyślnie puścił Kmicicową watahę przez bród, następnie począł go zasypywać tak straszliwie z dział i muszkietów, że żywa noga przejść nie mogła.

Pierwsi poszli ku niemu ludzie pana Korsaka i powrócili w nieładzie; druga, Wojniłowiczowska, doszła do pół brodu i cofnęła się, wprawdzie z wolna, bo był to królewski pułk, jeden z najdzielniejszych w całym wojsku, ale ze stratą dwudziestu towarzysztwa, znakomitej szlachty, i dziewięćdziesięciu pocztowych.

Woda w szczyrku, który stanowił jedyne tylko przejście przez rzekę, pluskała tak pod uderzeniami kul, jak pod ciężkim ulewnym deszczem. Armatnie przelatowały na drugą stronę, rozrzucając tumany piasku.

Sam pan podskarbi nadjechał skokiem i popatrzawszy uznał, że niepodobna, aby jeden żywy człek mógł przedostać się na brzeg przeciwny.

A jednak mogło to stanowić o losach bitwy. Toteż czoło hetmana zachmurzyło się srodcze. Przez chwilę patrzył przez perspektywę na całą linię wojsk nieprzyjacielskich i krzyknął na ordynansa:

– Ruszaj do Hassun-beja – niechaj orda, jako może, przeprowi się przez głęboki brzeg i na tabor niech uderzy. Co w wozach znajdują, to ich! Armat tam nie masz, jedno z rzeką będą mieli robotę.

Oficer skoczył, ile tchu w koniu; hetman zaś posunął się dalej, gdzie pod wierzbina na łące stała chorągiew laudańska, i zatrzymał się tuż przed nią.

Wołodyjowski stał na jej czele, posępny, ale milczący, jeno w oczy hetmańskie patrzył, a wąsikami ruszał.

– Co myślisz waść? – spytał hetman – przeprowią się Tatarzy?

– Tatarzy przeprowią się, ale Kmicic zginie! – rzekł Wołodyjowski.

– Na Boga! – krzyknął nagle hetman – ten Kmicic, żeby jeno miał głowę na karku, mógłby bitwę wygrać, nie zginąć!

Wołodyjowski nie odrzekł nic, jednakowoż pomyślał w duszy:

„Nie trzeba było puszczać albo żadnej chorągwi za rzekę, albo pięć...”

Przez chwilę hetman znów patrzył przez perspektywę na daleki zamęt, który za rzeką sprawował pan Kmicic; wtem mały rycerz, nie mogąc dłużej ustać, przysunął się i trzymając szablę ostrzem do góry, rzekł:

– Wasza dostojność! gdyby rozkaz, to ja bym jeszcze tego brodu spróbował.

– Stać! – odrzekł dość ostro pan podskarbi. – Dość, że tamci zginą.

– Gina już! – rzekł Wołodyjowski.

Rzeczywiście zgiełk stał się wyraźniejszy i potężniał coraz bardziej. Widocznie Kmicic cofał się na powrót ku rzece.

– Na Boga! tegom chcia! – krzyknął nagle pan hetman i skoczył jak piorun ku Wojniłowiczowskiej chorągwi.

Pan Kmicic zaś cofał się rzeczywiście. Po uderzeniu na czerwonych dragonów ludzie jego cięli się z nimi, ostatka sił dobywając; lecz tchu już brakło im w piersiach, zmachane ręce mdlały, trup padał coraz gęściej i tylko nadzieja, że odsiecz zza rzeki przyjdzie lada chwila, podtrzymywała w nich jeszcze ducha.

Tymczasem upłynęło pół godziny i okrzyk „bij!” nie dawał się słyszeć; natomiast czerwonym dragonom skoczył na odsiecz Bogusławowy pułk ciężkiej jazdy.

„Śmierć idzie!” – pomyślał Kmicic widząc ich zajeżdżających z boku.

Lecz był to żołnierz, który do ostatniej chwili nie wątpił nigdy nie tylko o swoim życiu, ale i o wygranej. Długa i hazardowna praktyka dała mu także wielką znajomość wojny:

więc nie tak szybko wieczorna błyskawica zapala się i gaśnie, jak Kmicicowi mignęła w głowie myśl następująca:

„Widocznie przez bród do nieprzyjaciela przedostać się nie mogą, a skoro nie mogą, to im go doprowadzę...”

Więc, że pułk Bogusławowy nie był już dalej jak o sto kroków, a idąc całym pędem, lada chwila mógł uderzyć i roznieść jego Tatarów, pan Andrzej podniósł piszczalkę do ust i świsnął tak przeraźliwie, że aż najbliższe konie dragońskie osadziły się na zadach.

Świst powtórzyły natychmiast inne piszczalki starszyny tatarskiej i nie tak prędko wicher zakręca piaskiem, jak prędko cały czambuł zwrócił konie do ucieczki.

Niedobitki rajtarii, czerwona dragonia i pułk Bogusławowy kopnęły się za nimi z kopyta.

Krzyki oficerskie: „Naprzód!” i „*Gott mit uns!*”, zagrzmiały jak burza i stał się cudny widok. Na rozległej gródzi pędził bezładny i pomieszany czambuł wprost do zasypywanego kulami brodu i rwał, jakby go skrzydła niosły. Każdy ordyniec przyległ był do konia, rozpląszczył się, pochował w grzywie i karku, tak iż gdyby nie chmura strzał lecących ku rajtarii, rzekłbyś, iż same konie bez jeźdźców biegną; za nimi z hukiem, krzykiem i tętentem biegł lud olbrzymi, migocąc wzniesionymi w prawicach mieczami.

Bród był coraz bliżej: biegli stając, pół jeszcze i widocznie konie tatarskie dobywały już ostatnich sił, bo odległość między nimi a rajtarią poczęła się zmniejszać szybko.

W kilka minut potem pierwsze rajtarskie szeregi poczęły już siec mieczami zmykających na ostatku Tatarów, bród był tuż, tuż. Zdawało się, że w kilku skokach konie go dosięgną.

Nagle stało się coś dziwnego.

Oto, gdy czambuł dobiegł brodu, przeraźliwy świst piszczalek rozległ się znowu na skrzydłach czambułu i cała wataha zamiast wpaść w rzekę, aby na drugim jej brzegu szukać ocalenia, rozdzieliła się na dwie kupy i z szybkością stada jaskółek skoczyła w prawo i w lewo, wzduł jej biegu.

Lecz jadące na ich karkach ciężkie pułki, których konie wzięły już największy rozpęd, wpadły też samą siłą w bród i dopiero w wodzie już jeźdźcy poczęli hamować rozhukane rumaki.

Artyleria, która dotąd zasypywała szczerk deszczem żelaza, umilkła nagle, aby swoich nie razić.

Lecz tej właśnie chwili czekał jak zbawienia hetman Gosiewski.

I jeszcze rajtarie nie dotknęły prawie wody, gdy straszna królewska chorągiew Wojniłowicza ruszyła ku nim jak huragan, za nią laudańska, za nią Korsakowa, za nimi dwie hetmańskie, za nimi wolentarska, za nią pancerna księcia krajczego Michała Radziwiłła.

Krzyk straszny: „Bij, zabij!”, zagrzmiął w powietrzu i nim pruskie pułki zdołały ściągnąć konie, zatrzymać się, zastawić mieczami, już Wojniłowiczowska rozniosła je, jak trąba powietrzna roznosi liście, zgmiotła czerwonych dragonów, wsparła pułk Bogusławowy, rozbiła go na dwoje i poniosła się w pole ku głównej armii pruskiej.

Rzeka zrumieniła się krwią w jednej chwili, armaty poczęły grać na nowo, lecz zbyt późno, bo już ośm chorągwi litewskiej jazdy mknęło z hukiem i szumem po błoniu i cała bitwa przeniosła się na drugą stronę rzeki.

Sam pan podskarbi leciał przy jednej ze swych chorągwi z promiennym szczęściem w twarzy, a z ogniem w oczach, bo raz wyprowadziwszy jazdę za rzekę, już był pewien zwycięstwa.

Chorągwie, siekąc i bodąc na wyścigi, gnały przed sobą resztki dragonii i rajtarów, które kładły się mostem, ile że ciężkie konie nie mogły dość spieszenie umykać i tylko zasłaniały goniących przed pociskami.

Tymczasem Waldek, Bogusław Radziwiłł i Izrael pchnęli wszystką swą jazdę, by natarcie powstrzymać, sami zaś szykowali na gwałt piechotę. Pułk za pułkiem wybiegał od taboru i osadzał się na gródzi. Wbijano ciężkie dzidy tylnymi końcami w górę, pochylając je płotem ku nieprzyjacielowi.

W drugim szeregu muszkietnicy wyciągnęli rury muszkietów. Między czworobokami pułków ustawiano na łeb na szyję armaty. Ani Bogusław, ani Waldek, ani Izrael nie łudzili się, aby ich jazda mogła długo wręcz wytrzymać polskiej, i cała nadzieja ich była w armatach i w piechocie. Tymczasem przed piechotą już konne pułki uderzyły o siebie pierś w pierś. Ale stało się to, co przewidzieli pruscy wodzowie.

Oto natarcie litewskiej jazdy było tak straszne, że masy kawalerii nie mogły ani na chwilę ich powstrzymać i że pierwsza husarska chorągiew rozszczępiła ich niby klin drzewo i szła, nie krusząc kopii, wśród gęstwy, jak statek gnany gwałtownym wichrem idzie wśród fal. Już, już coraz bliżej widać było proporce; po chwili łby husarskich koni wynurzyły się z tłumów pruskich.

– Baczość! – krzyknęli oficerowie stojący w czworoboku piechoty.

Na to hasło knechtowie pruscy osadzili się silniej na nogach i wyteżyli ręce trzymając dzidy. A wszystkim serca waliły w piersiach gwałtownie, bo straszliwa husaria wynurzyła się już zupełnie i gnała wprost na nich.

– Ognia! – rozległa się znów komenda.

Muszkiety zagrzechotały w drugim i trzecim szeregu czworoboku. Dym owionął ludzi. Chwila jeszcze: huk nadlatującej chorągwi coraz bliżej. Już, już dobiegają!... Nagle, wśród dymu, pierwszy szereg piechurów spostrzega tuż nad sobą, prawie nad głowami, tysiące końskich kopyt, rozwartych chrapów, rozpalonych oczu; słycać trzask łamanych dzid; krzyk okropny rozdziera powietrze; polskie głosy wrzeszczą: „Bij!” – niemieckie zaś, „*Gott erbarme Dich meiner!*”

Pułk rozbity, zgnieciony, ale między innymi poczynają grać armaty. Już i inne chorągwie dobiegają; każda za chwilę uderzy się o las dzid, ale być może, że nie każda go przełamie, bo żadna nie ma w sobie tak strasznej jak Wojniłłowiczowa siły. Krzyk wzmagą się na całym poboju. Nie widać nic. Lecz z masy walczącej znów poczynają bezładnie wymykać się kupy żółtych piechurów z jakiegoś innego pułku, który widocznie także został rozbity.

Jeźdźcy w szarej barwie gnają za nimi, siekają i tratuja z okrzykiem:

– Lauda! Lauda!

To pan Wołodjowski uporał się z drugim czworobokiem.

Wszelako inne „tkwią” jeszcze; jeszcze zwycięstwo może przechylić się na stronę pruską, zwłaszcza że przy taborze stoją dwa nie naruszone regimenty, które ponieważ tabor zostawiono w spokoju, w każdej chwili mogą być przywołane.

Waldek stracił już wprawdzie głowę, Izraela nie masz, bo z jazdą go wysłano, ale Bogusław czuwa, rządzi wszystkim, prowadzi całą bitwę i widząc coraz straszniejsze niebezpieczeństwo wysyła pana Biesa po owe regimenty.

Pan Bies wypuszcza konia i w pół godziny wraca bez kołpaka, z przerażeniem i rozpaczą w twarzy.

– Orda w taborze! – krzyczy dobiegłszy do Bogusława.

Jakoż w tej chwili na prawym skrzydle rozlegają się nieludzkie wycia i zbliżają się w każdej chwili.

Nagle ukazują się gromady jeźdźców szwedzkich pędzące w okropnym popłochu, za nimi umykają, bez broni już i bez kapeluszy, piechurowie, za nimi w zamieszaniu, w bezładzie pędzą wozy, ciągnięte przez zhukane i przerażone konie. Wszystko to leci oślep od taboru na własną piechotę. Za chwilę wpadną, zamieszają ją, rozbiją, zwłaszcza że od czoła gna na nią jazda litewska.

– Hassun-bej przedostał się do taboru! – woła w uniesieniu pan Gosiewski i puszcza ostatnie swe dwie chorągwie, jak dwa sokoły z berła.

I w tej samej chwili, gdy chorągwie owe uderzają na piechotę z czoła, jej własne wozy wpadają na nią z boku. Ostatnie czworoboki pękają jak pod uderzeniem młota. Z całej świetnej armii szwedzko-pruskiej czyni się jedna olbrzymia kupa, w której jazda miesza się z piechotą. Ludzie tratują się wzajemnie, przewracają, duszą, zrzucają odzież, ciskają broń. Jazda prze ich, tnie, gniecie, miażdży. To już nie bitwa przegrana, to klęska, jedna z najokropniejszych w całej wojnie.

Lecz Bogusław widząc, że wszystko stracone, postanawia przynajmniej siebie i nieco jazdy ocalić z pogromu.

Nadludzkim wysileniem zbiera koło siebie kilkuset jeźdźców i wymyka się w dal lewym skrzydłem, w kierunku biegu rzeki.

Już wydostał się z głównego wiru, gdy oto drugi Radziwiłł, książę Michał Kazimierz, uderza nań z boku ze swą nadworną husarią i jednym uderzeniem rozprasza cały oddział.

Rozprószeni, uciekają pojedynczo lub małymi kupkami. Jedyne szybkością koni mogą być ocaleni.

Jakoż husaria ich nie goni, bo uderza na główną kupę piechurów, których wycinają wszystkie inne chorągwie – więc tamci mkną jak rozprószone stado sarn po błoniu.

Bogusław na karym Kmicicowym rumaku umyka jak wichur, próżno usiłując krzykiem skupić przy sobie choć kilkunastu ludzi. Nikt go nie słucha; każdy umyka na własną rękę, kontent, że wysunął się z pogromu i że nie ma już nieprzyjaciela przed sobą.

Lecz próżna radość. Nie ubiegli jeszcze tysiąca kroków, gdy wycie rozległo się nagle przed nimi i szara ćma tatarska wysunęła się od rzeki, przy której czaiła się aż dotąd.

Był to pan Kmicic ze swoją watahą. Wysunąwszy się z pola po przyprowadzeniu nieprzyjaciela do brodu, wrócił teraz, aby uciekającym przeciąć odwrót.

Tatarzy, widząc rozprószonych jeźdźców, w jednej chwili rozprószyli się i sami, aby ich łowić swobodniej, i rozpoczął się pościg morderczy. Po dwóch, po trzech Tatarów przebiegało jednemu rajtarowi, a ów bronił się rzadko, częściej chwycił rapier za ostrze i rękojęścią wyciągał go ku ordyńcom wzywając miłosierdzia. Lecz ordyńcy wiedząc, że nie odprowadzą tych jeńców do domu, brali żywcem tylko starszyzną, która mogła się wykupić; pospolity żołnierz dostawał nożem po gardle i konał nie mogąc nawet „*Gott!*” wykrzyknąć. Tych, którzy uciekali do ostatka, kluto nożami w karki i plecy; tych, pod którymi nie rozpiętały się konie, łowiono arkanami.

Kmicic rzucał się czas jakiś po pobjowisku, strącając jeźdźców i szukał oczyma Bogusława; na koniec ujrzał go i poznał natychmiast po koniu, po błękitnej wstędze i kapeluszu z czarnymi, strusimi piórami.

Chmurka białego dymu otaczała księcia, bo właśnie przed chwilą napadło go dwóch nohajców, lecz on jednego powalił wystrzałem z pistoletu, drugiego przebódl na wylot rapierem, za czym ujrawszy większą watahę pędzącą z jednej, a Kmicica z drugiej strony, ścisnął konia ostrogami i pomknął jak jelen ścigany przez psy gończe.

Przeszło pięćdziesięciu ludzi rzuciło się kupą za nim, lecz nie wszystkie konie biegly jednakowo, więc wkrótce kupa rozciągnęła się w długiego węża, którego głowę stanowił Bogusław, szyję Kmicic.

Książę pochylił się w kulbace; kary koń zdawał się ziemi nie tykać nogami, jeno czernił się na zielonej trawie jak śmigająca nad ziemią jaskółka; cisawy wyciągał szyję na kształt żurawia, uszy stulił i zdawał się z własnej skóry chcieć wyskoczyć. Mijali samotne krzaki wierzbowe, kępy, gaiki olszynowe; Tatarzy zostali w tyle na staję, na dwie, na trzy, a oni biegli i biegli. Kmicic wyrzucił pistolety z olster, aby koniowi ulżyć, sam zaś ze wzrokiem wbitym w Bogusława, z zaciśniętymi zębami, leżąc prawie na szyi rumaka, bódl ostrogami spienione jego boki, aż wkrótce piana spadająca na ziemię stała się różową.

Lecz odległość pomiędzy nim a księciem nie tylko nie zmniejszyła się na jeden cal, ale poczęła się powiększać. „Gorze! – pomyślał pan Andrzej – tego konia żaden bachmat w świecie nie zgoni!”

I gdy po kilku skokach odległość powiększyła się jeszcze bardziej, wyprostował się w kulbace, szablę puścił na temblak i złożony ręce koło ust, począł krzyknąć głosem spiżowym:

– Umykaj, zdrajco, przed Kmicicem! Nie dziś, to jutro cię dostanę!

Nagle, ledwie słowa te przebrzmiały w powietrzu, książę, który je usłyszał, obejrzał się szybko, a widząc, że pan Kmicic sam go tylko goni, zamiast umykać dalej, zatoczył koło i z rapierem w ręku rzucił się ku niemu.

Pan Andrzej wydał okropny krzyk radości i nie wstrzymując pędu wznosił szablę do cięcia.

– Trup! trup! – zawołał książę.

I chcąc tym pewniej uderzyć, począł konia hamować.

Kmicic dobiegłszy osadził też swego, aż kopyta zaryły się w ziemi, i związał rapier z szablą.

Zwarli się tedy tak, że dwa konie uczyniły niemal jedną całość. Rozległ się straszny dźwięk żelaza, szybki jak myśl; żadne oczy nie mogłyby ułoić błyskawicznych ruchów rapiera i szabli ni odróżnić księcia od Kmicica. Czasem zaczerpnął się Bogusławowy kapelusz, czasem błysnęła Kmicicowa misiurka. Konie szły młyńcem obok siebie. Miecze dźwięczały coraz okropniej.

Bogusław po kilku uderzeniach przestał lekceważyć przeciwnika. Wszystkie straszliwe pchnięcia, których wyuczył się od mistrzów francuskich, były odbite. Już pot spływał mu obficie z czoła mieszając się na twarzy z barwiczką i bielidłem, już czuł znużenie w prawicy... Począł go chwytać podziw, potem niecierpliwość, potem złość, więc postanowił skończyć i pchnął okropnie, aż kapelusz spadł mu z głowy.

Kmicic odbił z taką siłą, że rapier księcia aż do boku końskiego odleciał i nim Bogusław zdołał zastawić się na nowo, ciął go samym końcem szabli w czoło.

– *Christ!* – krzyknął po niemiecku książę.

I zwałił się w trawę. Padł wznak.

Pan Andrzej stał przez chwilę jakby oszołomiony, lecz oprzytomniał prędko; szablę puścił na temblak, przeżegnał się, po czym zeskoczył z konia i chwyciwszy na nowo rękójść, zbliżył się do księcia.

Straszny był, bo blady z umęczenia jak chusta, wargi miał zaciśnięte i nieubłaganą nieważką w twarzy.

Oto śmiertelny, a tak potężny wróg leżał teraz u jego nóg we krwi, żywy jeszcze i przytomny, ale zwyciężony, i niecudzą bronią ani też z cudzą pomocą.

Bogusław patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma, pilnie bacząc na każdy ruch zwycięzcy, a gdy Kmicic stanął tuż nad nim, zawołał prędko:

– Nie zabijaj mnie! Okup!

Kmicic, zamiast odpowiedzieć, stanął mu nogą na piersiach i przycisnął z całej siły, po czym sztych szabli oparł mu na gardle, aż skóra ugięła się pod ostrzem; potrzebował tylko ręką ruszyć, tylko pocisnąć mocniej, lecz nie zabijał od razu; chciał się jeszcze nasycić widokiem i śmierć uczynić nieprzyjacielowi cięższą. Oczy wbił w jego oczy i stał nad nim, jak stoi lew nad obalonym bawołem.

Wtem książę, któremu coraz więcej krwi wypływało z czoła, tak iż cały wierzch głowy nurzał się jakoby w kałuży, ozwał się raz jeszcze, ale już bardzo przyduszonym głosem, bo stopa pana Andrzeja ciągle gniotła mu piersi:

– Dziewka... słuchaj...

Ledwie pan Andrzej usłyszał te słowa, zdjął nogę z piersi książęcych i szablę podniósł.

– Mów! – rzekł.

Lecz ksiązę Bogusław czas jakiś oddychał tylko głęboko, wreszcie mocniejszym już głosem odpowiedział:

– Dziewka zginie, jeśli mnie zabijesz... Rozkazy wydane!

– Coś z nią uczynił? – spytał Kmicic.

– Zaniechaj mnie, to ci ją oddam, przysięgam... na Ewangelię...

Na to pan Andrzej uderzył się pięścią w czoło, przez chwilę znać było, że walczył ze sobą i ze swymi myślami, po czym rzekł:

– Słuchaj, zdrajco! Ja bym stu takich wyrodków za jeden jej włos odda!.. Ale ja tobie nie wierzę, krzywoprzysięzco!

– Na Ewangelię! – powtórzył ksiązę. – Dam ci glejt i rozkaz na piśmie.

– Niechże tak będzie, daruję cię zdrowiem, ale cię z rąk nie puszcę. Dasz mi na piśmie... Tymczasem Tatarom cię oddam, u których w niewoli będziesz.

– Zgoda – rzekł ksiązę.

– Pamiętaj! – odrzekł pan Andrzej. – Nie uchroniło cię przed moją ręką twoje księstwo, twoje wojska, twoje szermierstwo... I wiedz, że ilekroć mi wejdiesz w drogę albo nie dotrzymasz-li słowa, nic cię nie uchroni, choćby cię cesarzem niemieckim kreowano... Poznajże mnie! Raz cię już miałem w rękę, teraz mi pod nogami leżysz!

– Przytomność mnie opuszcza – rzekł ksiązę. – Panie Kmicic, woda musi tu być blisko... Daj mi pić i ranę zalej.

– Zdychaj, parrycydo! – rzekł Kmicic.

Lecz ksiązę, bezpieczen już o życie, odzyskał, lubo ranny, całą pewność siebie i ozwał się:

– Głupiś, panie Kmicic! Jeśli umrę i ona...

Tu wargi mu zbieleły.

Kmicic zaś skoczył szukać, czy w okolicy nie ma jakiego rowu lub też kałuży.

Ksiązę omdlał, ale na krótką chwilę, i obudził się na szczęście swoje, gdyż tymczasem nadbiegł pierwszy Tatarzyn, Selim, syn Gazy-agi, chorąży z Kmicicowej watahy, a widząc broczącego we krwi nieprzyjaciela, postanowił przyszpilić go grotem od chorągwi do ziemi. Ksiązę w tej chwili strasznej znalazł jeszcze tyle sił, że za grot ręką pochwyił, który słabo przytwierdzone oderwał się od drzewca.

Odgłos tej krótkiej walki ściągnął na powrót pana Andrzeja.

– Stój, psi synu! – zakrzyknął nadbiegając z daleka.

Tatar na dźwięk znanego głosu przyległ ze strachu do konia. Kmicic kazał mu ruszyć po wodę, sam zaś został przy księciu, bo z dala widać było nadjeżdżających w skok Kiemliczów, Sorokę i cały czambuł, który wyłowiwszy wszystkich rajtarów puścił się na poszukiwanie wodza.

Ujrawszy pana Andrzeja, wierni nohajcy wyrzucili z gromkim okrzykiem czapki w górę.

Akbah-Ułan zeskoczył z konia i począł mu się kłaniać dotykając ręką czoła, ust i piersi. Inni, cmokając po tatarsku ustami, patrzyli z drapieżnością w oczach na leżącego rycerza, a z podziwem na jego zwycięzcę; niektórzy ruszyli łapać dwa konie, cisawego i karego, które biegały opodal z rozwianymi grzywami.

– Akbah-Ułanie – rzekł Kmicic – to jest wódz wojsk, które pobiliśmy dziś rano: ksiązę Bogusław Radziwiłł. Daruję wam go, a wy go trzymajcie, bo za żywego czy za umarłego zapłacą wam sowicie. Teraz opatrzeć go, wziąć na arkan i zaprowadzić do obozu!

– Ała! ała! Dziękuję, wodzu! Dziękuję, zwycięzco! – zawołali jednym głosem ordyńcy.

I znów rozległo się cmokanie tysiąca warg.

Kmicic kazał sobie podać konia, siadł i puścił się z częścią Tatarów ku polu bitwy.

Z dala już ujrzał chorążych, stojących ze znakami, ale przy chorągwiach było zaledwie po kilkunastu towarzystwa, reszta zagnała się za nieprzyjacielem. Gromady czeladzi kręciły się po poboju, obdzierając trupy i czubiąc się tu i owdzie z Tatarami, którzy czynili to samo. Szczególniej ci ostatni wyglądali po prostu strasznie, z nożami w ręku i ubroczonymi po łokcie rękoma. Rzekłbyś: stado kruków spadło z chmur na poboju. Dzikie ich śmiechy i wrzaski rozlegały się po całym polu.

Niektórzy, trzymając dymiące jeszcze noże w wargach, ciągnęli obu rękoma za nogi poległych, inni rzucali w siebie z żartów odciętymi głowami, inni ładowali sakwy, inni jak na bazarze podnosili w górę pokrwawione szaty, zachwalając ich doskonałość, lub oglądali broń zdobytą.

Kmicic przejechał naprzód przez pole, na którym pierwszy spotkał się z rajtarią. Trupy ludzkie i końskie, pocięte mieczami, leżały tu w rozproszeniu; lecz tam, gdzie chorągwie cięły piechotę, wznosiły się ich całe stosy, a kałuże zakrzepłej już krwi świegotały pod kopytami końskimi na kształt błota.

Trudno było tamtędy przejechać wśród szczątków połamanych dzid, muszkietów, trupów, przewracanych wozów taborowych i uwijających się kup tatarstwa.

Pan Gosiewski stał dalej jeszcze na okopie warownego obozu, a przy nim księżę krajczy Radziwiłł, Wojniłowicz, Wołodjowski, Korsak i kilkudziesięciu ludzi. Z wysokości tej ogarniali oczyma pole aż hen, do najdalszych krańców, i mogli cały rozmiar swego zwycięstwa a nieprzyjacielskiej klęski ocenić.

Kmicic, ujrawszy panów, przyspieszył kroku, a pan Gosiewski, jako że był nie tylko wojennik szczęśliwy, ale i człowiek zacny, bez cienia zazdrości w sercu, ledwie go ujrzał, zakrzyknął:

– Oto przybywa *victor* prawdziwy! Za jego to przyczyną ta potrzeba wygrana, ja pierwszy publicznie to oświadczam. Mości panowie! Dziękujcie panu Babiniczowi, bo gdyby nie on, nie dostalibyśmy się przez rzekę!

– *Vivat Babinicz!* – krzyknęło kilkadziesiąt głosów – *vivat! vivat!*

– Gdzieś ty się, żołnierzu, wojny uczył – spytał z uniesieniem hetman – żeś tak od razu zrozumiał, co czynić należy?

Kmicic nie odpowiadał, bo nadto był utrudzony, tylko się kłaniał na wszystkie strony i ręką po zabrukanej od potu i prochowego dymu twarzy wodził. Oczy świeciły mu blaskiem nadzwyczajnym, a tymczasem wiwaty brzmiały ciągle. Oddział za oddziałem nadciągał z pola na spienionych koniach i co który nadciągnął, łączył się z całej piersi z głosami na cześć Babinicza. Czapki wylatywały w górę, kto bandolety miał nie wystrzelone, ten ognia dawał.

Nagle pan Andrzej stanął w kulbace i podniósłszy obie ręce do góry, huknął jak grzmot:

– *Vivat Jan Kazimierz!* pan nasz i ojciec miłościwy!

Tu powstał taki krzyk, jakby nowa bitwa się zaczęła. Zapał niewypowiedziany ogarnął wszystkich.

Księżę Michał odparał szablę z pochwą diamentami sadzoną i oddał ją Kmicicowi, hetman delię własną kosztowną zarzucił mu na ramiona, a on znów wzniosł ręce do góry.

– *Vivat nasz hetman, wódz zwycięski!*

– *Crescat! floreat!* – odpowiedziano chórem.

Za czym poczęto chorągwie zdobyte zwozić i zatykać w wale pod nogami wodzów. Ani jednej nie uniósł nieprzyjaciel: były pruskie komputowe, pruskie pospolitego ruszenia, szlacheckie, były szwedzkie, Bogusławowe, cała ich tęcza powiała u wału.

– Jedna to z największych wiktorii w tej wojnie! – zawołał hetman. – Izrael i Waldek w niewoli, pułkownicy polegli lub w niewoli, wojsko w pień wycięte...

Tu zwrócił się do Kmicica:

– Panie Babinicz, waść w tamtej stronie z Bogusławem musiałeś się spotkać... Co się z nim dzieje?

Tu i pan Wołodyjowski począł pilnie patrzeć w oczy Kmicica, ów zaś odrzekł spieszenie:

– Księcia Bogusława Bóg pokarał tą oto ręką!

To rzekłszy wyciągnął prawicę, lecz w tej chwili mały rycerz rzucił mu się w objęcia.

– Jędre! – krzyknął – nie zjrzej ci! Niech cię Bóg błogosławi!

– Tyś to mi rękę formował! – odrzekł z wylaniem pan Andrzej.

Lecz dalszy wylew braterskich uczuć powstrzymał księżę krajczy.

– Zali brat mój zabit? – spytał żywo.

– Nie zabit – odparł Kmicic – bom mu życie darował, ale ranny i pojman. A owo, tam ot, prowadzą go moi nohajcy!

Na te słowa zdumienie odmalowało się w twarzy pana Wołodyjowskiego, a oczy rycerstwa zwróciły się ku równinie, na której ukazał się oddział kilkudziesięciu Tatarów i zbliżał się wolno; na koniec minawszy kupy połamanych wozów przysunął się o kilkadziesiąt kroków do okopu.

Wówczas ujrzano, że jadący w przodzie Tatar prowadzi jeńca; poznali wszyscy Bogusława, lecz w jakiejże losów odmianie!...

On, jeden z najpotężniejszych panów w Rzeczypospolitej, on, który wczoraj jeszcze o państwie udziałnym marzył, on, księżę Rzeszy Niemieckiej, szedł teraz z arkanem na szyi, pieszo, przy koniu tatarskim, bez kapelusza, z krwawą głową, obwiązaną w brudną szmatę. Taka jednak zawziętość była przeciw temu magnatowi w sercach rycerstwa, że straszne to upokorzenie nie wzbudziło niczyjej litości, owszem, wszystkie niemal usta zawrzały w jednej chwili:

– Śmierć zdrajcy! Na szablach go roznieść! śmierć! śmierć!

A księżę Michał oczy ręką zatkał, bo przecie to Radziwiłła prowadzono w takim upodleniu. Nagle poczerwieniał i krzyknął:

– Mości panowie! to mój brat, to moja krew, a jam ni zdrowia, ni mienia nie żałował dla ojczyzny! Wróg mój, kto na tego nieszczęśnika rękę podniesie.

Rycerze umilkli zaraz.

Księcia Michała kochano powszechnie za męstwo, hojność i serce wylane dla ojczyzny. Wszakże, gdy cała Litwa wpadła w moc hiperborejską, on jeden bronił się w Nieświeżu, za wojen szwedzkich wzgardził namowami Janusza i jeden z pierwszych przystał do konfederacji tyszowieckiej, więc też głos jego znalazł i teraz posłuch. Wreszcie, może nikt nie chciał narazić się tak potężnemu panu, dość, że szable schowały się zaraz do pochew, a nawet kilku oficerów, klientów radziwiłłowskich, zawołało:

– Odjąć go Tatarom! Niech go Rzeczpospolita sądzi, ale nie dajmy ponieierać krwi zacnej poganom!

– Odjąć go Tatarom! – powtórzył księżę – znajdziemy zakładnika, a okup on sam zapłaci! Panie Wojniłowicz, rusz no swoich ludzi i niech siłą go wezmą, jeśli inaczej nie będzie można!

– Ja się jako zakładnik Tatarom ofiaruję! – zawołał pan Gnoiński.

Tymczasem Wołodyjowski przysunął się do Kmicica i rzekł:

– Jędre! coś ty najlepszego uczynił! Toż on cało wyjdzie z tych terminów!

Na to Kmicic skoczył jak ranny żbik.

– Za pozwoleniem, mości księżę! – krzyknął. – To mój jeniec! Jam go zdrowiem darował, ale pod kondycjami, które mi na swoją heretycką Ewangelię zaprzysiągł, i niech trupem padnę, jeśli wyjdzie z rąk, w które go oddałem, nim mi wszystkiego dotrzyma!

To rzekłszy zdarł konia, zastawił drogę i już, już wrodzona popędliwość poczęła go unosić, bo twarz mu się skurczyła, rozdał nozdrza i oczyma błyskawice jał rzucać.



A tymczasem pan Wojniłowicz nacisnął go koniem.

– Na bok, panie Babinicz! – zakrzyknął.

– Na bok, panie Wojniłowicz! – wrzasnął pan Andrzej i uderzył rękojeścią szabli Wojniłowiczowskiego konia z tak straszną siłą, że rumak zachwiał się na nogach, jakby uderzony kulą, i nozdrzami zarył w ziemię.

Stał się tedy huk srogi między rycerstwem, aż pan Gosiewski wysunął się naprzód i rzekł:

– Milczeć waszmościom ! Mości książe, z mocy mojej władzy hetmańskiej oświadczam, że pan Babinicz ma prawo do jeńca i że kto chce go z rąk tatarskich wydobyć, musi dać jego zwycięzcy porękę!

Książe Michał opanował wzburzenie, uspokoił się i rzekł zwracając mowę do pana Andrzeja:

– Mów waść, czego chcesz?

– By mi kondycji dotrzymał, zanim z niewoli wyjdzie.

– To ci dotrzyma wyszedłszy.

– Nie może być! Nie wierzę!

– Tedy ja za niego przysięgam na Matkę Najświętszą, którą wyznaję, i na parol rycerski, że wszystko ci będzie dotrzymane. W przeciwnym razie możesz mnie na honorze i majątności poszukiwać.

– Dość mi! – rzekł Kmicic. – Niech pan Gnoiński na zakładnika jedzie, bo inaczej Tatarzy opór stawiają. Ja poprzestaję na słowie.

– Dziękuję ci, panie kawalerze! – odrzekł książe krajczy. – Nie bój się także, aby wolność zaraz odzyskał, bo go panu hetmanowi z prawa oddam i jeńcem aż do królewskiego wyroku pozostanie.

– Tak będzie! – rzekł hetman.

I rozkazawszy Wojniłowiczowi sięść na świeżego konia, bo tamten ledwie już drgał, wysłał go wraz z panem Gnoińskim po księcia.

Lecz sprawa nie poszła jeszcze łatwo. Jeńca trzeba było siłą brać, bo sam Hassun-bej stawiał groźny opór i dopiero widok pana Gnoińskiego i umówiony okup stu tysięcy talarów zdołał go uspokoić.

Za czym wieczorem książe Bogusław znajdował się już w namiotach pana Gosiewskiego. Opatrzono go tam starannie, dwóch medyków nie opuszczało go ani chwili i obaj ręczyli za jego zdrowie, gdyż rana, jako zadana samym końcem szabli, nie była zbyt ciężką.

Pan Wołodyjowski nie mógł przebaczyć Kmicicowi, że księciu życie darował, i z żalu unikał go cały dzień, dopiero wieczorem sam pan Andrzej przyszedł do jego namiotu.

– Bój się ran boskich! – wykrzyknął na jego widok mały rycerz. – Prędzej bym się po każdym tego spodziewał aniżeli po tobie, że żywcem tego zdrajcę wypuści!...

– Słuchaj mnie, Michale, zanim potępisz – odrzekł ponuro Kmicic. – Miałem go już pod nogą i sztych trzymałem mu przy gardzieli, a wówczas wiesz, co mi ten zdrajca rzekł?... Oto, że są rozkazy wydane, aby Oleńkę na gardle w Taurogach karano, jeśli on zginie... com miał, nieszczęsny, czynić? Kupiłem jej życie za jego życie... Com miał czynić?... na krzyż Chrystusów... Com miał czynić?

Tu zaczął targać się za czuprynę pan Andrzej i nogami z uniesienia tupał, a pan Wołodyjowski zamyślił się przez chwilę, po czym rzekł:

– Pojmuję twoją desperację... ale zawsze... tyś, widzisz, zdrajcę ojczyzny wypuścił, który ciężkie paroksyzmy na Rzeczpospolitą w przyszłości sprowadzić może... Nie ma co, Jędre! Zasłużyłeś się dzisiaj okrutnie, aleś w końcu dobro publiczne dla prywaty poświęcił.

– A ty, ty sam, co byś uczynił, gdyby ci powiedziano, że nóż na gardle panny Anny Borzobohatej trzymają?...

Wołodyjowski począł okrutnie wąsikami ruszać.

– Jać się za przykład nie podawam. Hm! co bym uczynił?... Ale Skrzetuski, który ma duszę rzymską, ten by go nie żywił, a przecie jestem pewien, że Bóg nie pozwoliłby, aby krew niewinna dlatego została rozlana.

– Niechże ja pokutuję. Ukarz mnie, Boże, nie wedle winy mej ciężkiej, jeno wedle Twojego miłosierdzia... bo żeby wyrok na tego gołębia podpisać...

Tu Kmicic oczy zatkał.

– Ratujcież mnie, anieli! Nigdy! nigdy!

– Stało się! – rzekł Wołodyjowski.

Na to pan Andrzej wydobył z zanadru papiery.

– Patrz, Michale! oto, com zyskał. To rozkaz do Sakowicza, to do wszystkich oficerów radziwiłłowskich i do komendantów szwedzkich... Kazali mu podpisać, choć ledwo ręką ruszał... Książę krajczy sam pilnował... Oto jej wolność, jej bezpieczeństwo! Dla Boga, krzyżem będę przez rok co dzień leżał, kańczugami ciąć się każę, kościół nowy będę erygował, ale jej życia nie poświęcę! Nie mam rzymskiej duszy... dobrze! Nie jestem Kato-nem jako pan Skrzetuski... dobrze! Ale nie poświęcę! nie, do stu piorunów! i niechaj mnie w ostatku w piekle na rożen...

Kmicic nie dokończył, bo pan Wołodyjowski skoczył i zatkał mu usta ręką, krzyknąwszy przeraźliwym głosem:

– Nie bluźnij! bo na nią pomstę bożą ściągniesz! Bij się w piersi! żywo, żywo!

I Kmicic począł się walić w piersi: *Mea culpa! mea culpa! mea maxima culpa!* Naresz-cie ryknął wielkim płaczem biedne żołnierzysko, bo już sam nie wiedział, co ma czynić.

Wołodyjowski pozwolił mu się wyplakać do woli, wreszcie, gdy się uspokoił, spytał go:

– A co teraz przedsięweźmiesz?

– Pójdę z watahą, gdzie mnie posłano, aż hen! pod Birze! Niech jeno ludzie i konie odetchną. Po drodze, co będę mógł heretyckiej krwi na chwałę bożą rozlać, to jeszcze roz-leję.

– I będziesz miał zasługę. Nie trać fantazji, Jędrak. Bóg miłosierny!

– Pójdę prosto, jako sierpem rzucił. Całe Prusy teraz stoją otworem, chyba gdzienieg-dzie małe prezydium nadybię.

Pan Michał westchnął:

– Ej, poszedłbym z tobą z taką ochotą jakby do rajów! Ale komendy trzymać się muszę. Szczęśliwyś ty, że wolontarzami dowodzisz... Jędrak, słuchaj, bracie!... a jak je obie odnaj-dziesz, to... opiekujże się i tamtą, aby zaś jej źle nie było... Bóg wie, może mi ona pisana...

To rzekłszy mały rycerz rzucił się w objęcia pana Kmicica.

## ROZDZIAŁ XXVI

Oleńka i Anusia, wydostawszy się pod opieką Brauna z Taurogów, dotarły szczęśliwie do partii pana miecznika, który stał podówczas pod Olszą, zatem od Taurogów niezbyt daleko.

Stary szlachcic, gdy je obie w dobrym zdrowiu zobaczył, naprzód oczom własnym wierzyć nie chciał, potem zapłakał z radości, a następnie wpadł w taki wojowniczy zapał, iż nie było już dla niego niebezpieczeństw. Niechby nie tylko Bogusław, ale sam król szwedzki z całą potęgą nastąpił, pan miecznik gotów był bronić swoich dziewczyn przed wszelkim nieprzyjacielem.

– Pierwej polegnę – mówił – niż włos wam z głowy spadnie. Nie ten ja już człowiek, któregoście znały w Taurogach, i tak myślę, że długo opamiętają Szwedzi Giralakole, Jaswojnię, i te ciągi, które im pod samymi Rosieniami zadałem. Prawda, że zdrajca Sakowicz napadł nas niespodzianie i rozprószył, ale oto znów kilkaset szabel ma się na usługi.

Pan miecznik nie bardzo przesadzał, bo rzeczywiście trudno w nim było poznać upadłego na duchu taurożańskiego jeńca. Inną wcale miał fantazję; energia jego odżyła; w polu, na koniu, znalazł się w swoim żywiole, a będąc żołnierzem dobrym, rzeczywiście kilkakrotnie już Szwedów mocno poszarpał. Że zaś wielką miał powagę w okolicy, więc też kupiła się do niego chętnie szlachta i lud prosty, a i z dalszych powiatów raz w raz któryś z Billewiczów przyprawdzał po kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt koni.

Partia miecznikowa składała się z trzystu piechoty chłopskiej i około pięciuset jeźdźców. W piechocie rzadko kto miał rusznicę, większość zbrojna była w kosy i widły; jazda stanowiła zbieraninę zamożniejszej szlachty, która z czeladzią w lasy ruszyła, i uboższej z zaścianków. Uzbrojenie jej lepsze było niż piechoty, ale bardzo rozmaite. Tyki chmielowe służyły wielu za kopie; inni nosili broń rodzinną bogatą, ale częstokroć zeszłowieczną; konie rozmaitej krwi i dobroci nie nadawały się do jednego szeregu.

Mógł miecznik z takim wojskiem zastępować drogę patrolom szwedzkim, mógł wycinać większe nawet oddziały jazdy, mógł oczyszczać lasy i wsie z grasantów, których liczne watahy, złożone ze zbiegów szwedzkich, pruskich i miejscowych łotrzyków, trudniły się rozbojem, ale nie mógł na żadne miasto uderzyć.

Owóz Szwedzi zmądrzeli już. Zaraz po wybuchu powstania wycięto na całej Żmudzi i Litwie tych, którzy w kwaterach rozproszeni po wsiach stali; teraz więc ci, którzy ocaleli, trzymali się naprędce obwarowanych miast, z których wychylali się tylko na bliższe ekspedycje. Stało się zatem, że pola, lasy, wioski i pomniejszych miasteczka były w ręku polskim, a za to wszystkie większe grody dzierżyli Szwedzi i rugować ich nie było sposobu.

Miecznikowa partia była jedną z najlepszych; inne mniej jeszcze mogły wskórać. Na granicy Inflant powstańcy uzuchwalili się wprawdzie tak dalece, że po dwakroć Birże oblegli, które za drugim razem zmuszone były poddać się, ale chwilowa ta przewaga wypłynęła stąd, że de la Gardie pościągał na obronę Rygi przeciw carskiej potędze wszystkie wojska z pogranicznych Inflantom powiatów.

Światne jego i rzadkie w dziejach zwycięstwa kazały się jednak spodziewać, że tamta wojna wkrótce zostanie ukończoną, a potem na Żmudź nadciągną nowe i upojone trium-

fami wojska szwedzkie. Wszelako tymczasem dość było w lasach bezpiecznie i liczne partie powstańcze, same niewiele zdolne przedsięwziąć, mogły być wszelako pewne, że ich nieprzyjaciel po zapadłych puszcach szukać nie będzie.

Dlatego pan miecznik porzucił myśl schronienia się do Puszczy Białowieskiej, bo droga do niej była bardzo daleka, a po drodze siła miast znacznych, opatrzonych w liczne przyzdia.

– Pan Bóg dał suchą jesień – mówił do swoich dziewcząt – za czym i łatwiej żyć, *sub Jove*. Każę wam namiocik foremny sporządzić, babę do usług wam dam, i zostanieie w obozie. Nie masz w tych czasiech bezpieczniejszego schronienia jak w lasach. Billewicze moje do cna spalone; na dwory grasanci nachodzą, a często i podjazdy szwedzkie. Gdzie wam bezpiecznie głowę przytulić jako przy mnie, który kilkaset szabel mam do rozporządzenia? Przyjdą zaś później sloty, to wam się jaką chacinę w głębokich ostępach wynajdzie.

Myśl ta podobała się bardzo pannie Borzobohatej, bo w partii było kilku młodych Billewiczów, grzecznych kawalerów, a wreszcie mówiono bez ustanku, że pan Babinicz w te strony ciągnie.

Spodziewała się tedy Anusia, że nadciągnąwszy, w mig Szwedów wyżenie, a potem... potem będzie, co Bóg da. Oleńka sądziła również, że najbezpieczniej przy partii, chciała się tylko od Taurogów oddalić, pościugu Sakowicza się obawiając.

– Pójdźmy ku Wodoktom – rzekła – tam będziem między swymi. Choćby też były spalone, są Mitruny i wszystkie zaścianki okoliczne. Niepodobna, by cały kraj tamtejszy w pustynię miał być zmieniony. Lauda w razie niebezpieczeństwa będzie nas bronić.

– Ba, wszyscy laudańscy z Wołodyjowskim wyszli – zaoponował młody Jur Billewicz.

– Zostali starzy i wyrostki, wreszcie nawet niewiasty tamtejsze bronić się w razie potrzeby umieją. Puszcze tam także większe niż tu; Domaszewicze Myśliwi albo Gościwicze Dymni do Rogowskiej nas zawiodą, w której żaden nieprzyjaciel nas nie odnajdzie.

– A ja, taborek i was ubezpieczywszy, będę na Szwedów wypadał i znosił tych, którzy się na brzegi puszczańskie odważą – rzekł pan miecznik. – To jest przednia myśl! Nic tu po nas, tam większe usługi oddać można.

Kto wie, czy miecznik nie dlatego chwycił się tak skwapliwie rady panny Aleksandry, że w duszy także nieco się Sakowicza obawiał, który do rozpaczy przywiedzion mógł być straszny.

Rada jednak była sama w sobie mądrą, dlatego wszystkim od razu przypadła do smaku, więc miecznik tego samego jeszcze dnia wysłał pod dowództwem Jura Billewicza piechotę, ażeby się przedzierała lasami w kierunku Krakinowa; sam zaś z jazdą ruszył w dwa dni później, zasięgnąwszy wprzód dokładnych wieści, czy z Kiejdan lub z Rosień, między którymi musiał przechodzić, nie wyszły jakie znaczniejsze szwedzkie wojska.

Szli z wolna i ostrożnie. Panny jechały na chłopskich wózkach, a czasami na podjezdkach, o które miecznik się wystarał.

Anusia, dostawszy w darze od Jura lekką szabelkę, przewiesiła ją mężnie przez siebie na jedwabnych rapciach i w kołpaczku nałożonym z fantazją na głowę oganiała, niby jaki rotmistrz, chorągiew. Bawił ją pochód i szable błyszczące w słońcu, i rozkładane nocą ogniska. Zachwycali się nią wielce młodzi oficerowie i żołnierze, a ona strzygła oczyma na wszystkie strony, rozpuszczała w pochodzie warkocze po to, by je po trzy razy na dzień zaplatać nad brzegami jasnych strumieni, które zastępowały jej zwierciadło. Mówiła często, że chce widzieć bitwę, aby dać przykład męstwa, ale w rzeczy samej wcale nie pragnęła bitwy; chciała tylko pogrążyć serca wszystkich młodych wojowników, jakoż i pogrążyła ich liczbę niepomierną.

Oleńka także jakoby na nowo odżyła po opuszczeniu Taurogów. Tam zabijała ją niepewność losu i ciąгла obawa, teraz czuła się bezpieczniejszą w głębinach leśnych. Zdrowe

powietrze wracało jej siły. Widok żołnierstwa, broni, ruch i gwar obozowy działały jak balsam na zmęczoną jej duszę. I jej również sprawiał przyjemność pochód wojsk, a możliwe niebezpieczeństwa nie przstraszały bynajmniej, bo przecie rycerska krew płynęła w jej żyłach. Mniej okazując się żołnierzom, nie pozwalając sobie buszować na podjeźdźku przed szeregami, mniej też ściągała na się oczu. Ale natomiast otaczał ją szacunek powszechny.

Uśmiechały się wąsate twarze żołnierskie na widok Anusi, a odkrywały się głowy, gdy Oleńka zbliżała się do ognisk. Szacunek ów zmienił się później w uwielbienie. Nie było też bez tego, by jakie serce nie zabiło dla niej w młodej piersi, jeno że oczy nie śmiały na nią patrzeć tak wprost, jak na ową czarnuszkę-Ukrainkę.

Szli lasami, zaroślami, często wysyłając przed sobą zwiady, i aż dopiero siódmego dnia przybyli późną już nocą do Lubicza, który leżał na skraju laudańskiej okolicy, stanowiąc jakoby wrota do niej. Konie tak były dnia tego zmęczone, że mimo przedstawień Oleńki niepodobna było ruszyć dalej, więc miecznik zakazał dziewczynie wydziwiać i roztasował partię na nocleg. Sam z pannami stanął we dworze, bo i czas był mglisty, a chłodny bardzo. Dziwnym trafem dwór nie był spalony. Nieprzyjaciel oszczędził go prawdopodobnie z poleceń księcia Janusza Radziwiłła, dlatego że był Kmicicowy, a chociaż później księżę dowiedział się o odstępstwie pana Andrzeja, zapomniał lub nie miał czasu wydać nowych rozkazów. Powstańcy uważali całą majątność za billewiczowską własność, grasanci nie śmieli rabować pod bokiem Laudy. Więc nie zmieniło się w nim nic. Oleńka wchodziła ze strasznym uczuciem bólu i goryczy pod ten dach. Znała tu każdy kąt, lecz niemal z każdym łączyło się jakoweś wspomnienie Kmicicowego występku. Oto przed nią sala jadalna, ubrana w konterfekty Billewiczów i w czaszki leśnego zwierza. Potrzaskane kulami czaszki są jeszcze na gwoździach, pochlastane szablami portrety spoglądają surowo ze ścian, jakoby chciały mówić: „Patrz, dziewczyno, patrz, nasza wnuczko, to on świętokradzką ręką pociął wizerunki naszych ziemskich postaci, dawno spoczywających już w grobach!”

Oleńka czuła, że oczu nie zmruży w tym domu splamionym. Zdało jej się, że w ciemnych kątach komnat snują się jeszcze widma strasznych kompanionów, buchające ogniem z nozdrzy. I jakże prędko przechodził ten człowiek, tak przez nią kochany, od swawoli do występku, od występku do coraz większych zbrodni, od porąbania wizerunków do rozpusty, do spalenia Upity i Wołmontowicz, do porwania jej samej z Wodoktów, dalej do służby radziwiłłowskiej, do zdrady, ukoronowanej obietnicą podniesienia ręki na króla, na ojca całej Rzeczypospolitej...

Noc biegła, a sen nie chwycił się powiek nieszczęsnej Oleńki. Wszystkie rany duszy odnowiły się w niej i poczęły piec boleśnie. Wstyd na nowo palił jej policzki; oczy nie roniły w tej chwili łez, ale serce ogarniała taka żalność niezmierna, że nie mogąc się w tym biednym sercu pomieścić...

Żalność za czym? Za tym, co by być mogło, gdyby on był inny, gdyby przy swych narowach, dzikości i swawoli choć serce przynajmniej miał uczciwe, gdyby wreszcie miał choć miarę w zbrodni, gdyby istniała jakaś granica, przez którą by przejść nie był zdolny. Przecie jej serce przebaczyłoby tak wiele...

Spostrzegła mękę towarzyszkę Anusia i dorozumiała się powodu, bo jej poprzednio już całą historię stary miecznik wyśpiewał, więc mając serce dobre, podeszła ku pannie Billewiczównie i zarzuciwszy jej ręce na szyję, rzekła :

– Oleńka! ty w tym domu od boleści się wijesz...

Oleńka z początku nie chciała nic mówić, jeno poczęła się trząść całym ciałem jako osinowy liść, a w końcu płacz straszny, rozpaczliwy wyrwał się z jej piersi. Chwyciwszy konwulsyjnie rękę Anusi, głowę swą jasną wsparła na jej ramieniu i łkanie targało ją jak wichur krzewem.

Anusia długo czekać musiała, zanim przeszło, wreszcie gdy Oleńka uspokoiła się nieco, ozwała się po cichu:

– Oleńka, módlmy się za niego...

A tamta obu rękoma zakryła oczy.

– Nie... mogę!... – rzekła z wysileniem.

I po chwili zagarniając gorączkowo w tył włosy, które opadły jej na skronie, poczęła mówić zdyszonym głosem:

– Widzisz... nie mogę... Ty szczęśliwa!... Twój Babinicz zacny, sławny... przed Bogiem... i ojczyzną... Ty szczęśliwa! Mnie się nie wolno nawet modlić... Tu wszędy krew ludzka... zgłiszczą! Żeby choć ojczyzny nie zdradził! żeby się króla sprzedać nie podjął!... Ja poprzednio już wszystko przebaczyłam... w Kiejdanach... bom myślała... bo miłowałam go... z całego serca!... Ale teraz nie mogę... O Boże miłosierny! nie mogę!... Chciałabym sama nie żyć... i żeby on już nie żył!

Na to Anusia:

– Za każdą duszę modlić się wolno, bo Bóg miłosierniejszy od ludzi i przyczyny wie, których ludzie często nie wiedzą.

To rzekłszy klękała do modlitwy, a Oleńka rzuciła się krzyżem na ziemię i przeleżała tak aż do rana.

Nazajutrz gruchnęła wieść po okolicy, że pan miecznik Billewicz jest na Laudzie. Na tę wieść, kto żyw był, wychodził witać. Więc z lasów okolicznych wychodzili starcy zgrzybiali i niewiasty z dziećmi małymi. Dwa lata nie siał już nikt ni orał w zaściankach. Same zaścianki były częścią spalone i puste. Ludność żyła w lasach. Mężowie w sile wieku poszli z panem Wołodyjowskim lub do różnych partii, tylko wyrostkowie strzegli i bronili resztek dobytku, i bronili dobrze, ale pod osłoną puszczy.

Witano tedy miecznika, jak zbawcę, wielkim płaczem radości, bo tym prostym ludziom zdało się, że kiedy miecznik przyszedł i panna wraca do dawnego gniazda, to już musi być wojnie i klęskom koniec. Jakoż zaraz poczęli wracać do zaścianków i zganiać półdziki dobytek z najgłębszych ostępów.

Szwedzi siedzieli wprawdzie niedaleko, obwarowani szańcami w Poniewieżu, ale wobec miecznikowej siły i innych okolicznych partii, które można było przywołać w razie potrzeby, mniej już na nich zważano.

Pan Tomasz zamierzał nawet uderzyć na Poniewież, aby całkiem powiat oczyścić; czekał tylko, by jeszcze więcej luda zebrało się pod jego chorągiew, a zwłaszcza by jego piechocie dostarczono strzelb, których znaczną liczbę mieli ukrytą w lasach Domaszewicze Myśliwi; tymczasem oglądał się po okolicy, przejeżdżając od wioski do wioski.

Ale smutna to była lustracja. W Wodoktach dwór był spalony i połowa wsi; Mitruny również; Wołmontowicze Butrymów, które swego czasu spalił Kmicic, odbudowały się po pożarze i dziwnym trafem ocalały; za to Drożejkan i Mozgi Domaszewiczów były spalone do cna; Pacunele do połowy, Morozy całkiem, Goszczuny najsroźszego losu doznały, bo i ludność była do połowy w pień wycięta, a wszyscy mężczyźni, od starców do kilkusetletnich chłopaków, mieli z rozkazu pułkownika Rosy poucinane ręce.

Tak wojna deptała strasznie te okolice, takie były skutki zdrady księcia Janusza Radziwiła.

Lecz nim miecznik skończył lustrację i postawił swoje chorągwie piechoty, przyszły znów wieści radosne zarazem i straszne, które tysiącnym echem rozbrzmiały od chaty do chaty.

Jurek Billewicz poszedłszy w kilkadziesiąt koni z podjazdem pod Poniewież i zachwywszy kilku Szwedów pierwszy dowiedział się o bitwie pod Prostkami. Następnie co nowina, to przychodziło więcej szczegółów, tak cudownych, że na baśń zakrawały.

– Pan Gosiewski – powtarzano – zbił grafa Waldeka, Izraela i księcia Bogusława. Wojsko zniesione ze szczętem, wodzowie w niewoli! Całe Prusy jednym ogniem płoną!

W kilka tygodni później jeszcze jedno groźne nazwisko poczęły powtarzać usta ludzkie: nazwisko Babinicza.

– Babinicz głównie do wiktorii pod Prostkami się przyczynił – mówiono na całej Żmudzi. – Babinicz księcia Bogusława własną ręką usiekł i pojmał.

A dalej:

– Babinicz pali Prusy elektorskie, idzie jako śmierć ku Żmudzi, ścina, ziemię a niebo zostawuje.

W końcu zaś:

– Babinicz Taurogi spalił. Sakowicz uciekł przed nim i po lasach się kryje...

Ostatni wypadek zaszedł zbyt blisko, by długo pozostać mógł wątpliwym. Jakoż wieść sprawdziła się w zupełności.

Anusia Borzobohata przez cały czas, gdy te wieści dochodziły, żyła jakby w odurzeniu, śmiała się i płakała na przemian, tupiała nogami, gdy kto nie wierzył, i powtarzała wszystkim, czy kto chciał, czy nie chciał słuchać:

– Ja pana Babinicza znam! On mnie z Zamościa do pana Sapiehy przywiózł. Największy to w świecie wojownik. Nie wiem, czyli pan Czarniecki mu dorówna. On to – pod panem Sapiehą służąc – całkiem księcia Bogusława w czasie pierwszej wyprawy pognębił... On, jestem pewna, że nie kto inny, pod Prostkami go usiekł. Da on panu Sakowiczowi i takim dziesięciu jak Sakowicz!... A Szwedów w miesiąc z całej Żmudzi wymiecie!

Jakoż zaręczenia jej poczęły się prędko sprawdzać. Nie było już najmniejszej wątpliwości, że groźny wojownik, zwany Babiniczem, posunął się od Taurogów w głąb ku północy kraju.

Pod Kołtyniami zbił pułkownika Baldona i oddział jego zniósł ze szczętem; pod Worniami wyciął piechotę szwedzką, która cofała się przed nim do Telsz; pod Telszami stoczył większą zwycięską bitwę z dwoma pułkownikami, Normanem i Hudenskiöldem, w której Hudenskiöld poległ, a Norman z niedobitkami nie oparł się aż w Zagórach, na samej granicy żmudzkiej.

Z Telsz ruszył Babinicz ku Kurszanom, pędząc przed sobą mniejsze oddziały szwedzkie, które na gwałt chroniły się przed nim pod skrzydła znaczniejszych załóg.

Od Taurogów i Połagi do Birż i Wiłkomierza brzmiało imię zwycięzcy. Rozpowiadano o okrucieństwach, których się nad Szwedami dopuszczał; mówiono, że wojska jego, złożone początkowo z niewielkiego czambułu Tatarów i chorągiewki wolentarzy, rosną z dnia na dzień, bo kto żyw, biegnie do niego, wszystkie partie łączą się z nim, a on ujmuje je w kluby żelazne i prowadzi na nieprzyjaciela.

Umysły tak dalece były jego zwycięstwami zajęte, że wieść o klęsce, jaką pan Gosiewski poniósł od Szteinboka pod Filipowem, przeszła prawie bez echa. Babinicz był bliższym, i Babiniczem więcej się zajmowano.

Anusia co dzień błagała miecznika, ażeby szedł łączyć się ze wslawionym wojownikiem. Popierała ją i Oleńka, naglili wszyscy oficerowie i szlachta, którą sama ciekawość podniecała.

Ale nie była to rzecz łatwa. Naprzód, Babinicz był w innej stronie; po wtóre, często zapadał tak, że po całych tygodniach nie było o nim słyhać, i wypływał znów razem z wieścią o nowym zwycięstwie; po trzecie, wszystkie oddziały i załogi szwedzkie z miast i miasteczek, chroniąc się przed nim, zagroziły wielkimi kupami drogę; na koniec za Rosieniami pojawił się znaczny oddział Sakowicza, o którym przyniesiono wiadomość, że niszczy wszystko przed sobą straszliwie i mękami ludzi morząc o partię billewiczowską ich bada.

Miecznik nie tylko nie mógł ruszyć ku Babiniczowi, ale obawiał się, czy mu w okolicach Laudy nie stanie się wkrótce za ciasno.

Więc sam nie wiedząc, co począć, zwierzył się Jurkowi Billewiczowi, że ma zamiar w lasy rogowskie na wschód się cofać. Jurek wygadał się zaraz z nowiną przed Anusią, ta zaś poszła wprost do miecznika.

– Stryjku najmilszy – rzekła do niego (bo tak nazywała go zawsze, gdy chciała coś na nim wyděbić) – słyszałam, iż uciekać mamy. Zali to nie wstyd tak znamienitemu żołnierzowi pierzchać na samą wieść o nieprzyjacielu?

– Waćpanna musisz we wszystko swoje trzy grosze wścibić – odrzekł skłopotany miecznik. – To nie waćpanny rzecz.

– Dobrze, to się sobie cofajcie, a ja tu zostanę.

– Żeby cię Sakowicz złowił? obaczysz!

– Sakowicz mnie nie złowi, bo mnie pan Babinicz obroni.

– Właśnie też będzie wiedział, gdzie waćpanna jesteś! Powiedziałem raz, że się nie zdołamy do niego przedrzeć.

– Ale on może przyjść do nas. Ja jego znajoma; żebym tylko mogła wysłać do niego list, jestem pewna, że by tu przyszedł, wprzód Sakowicza pobiwszy. On mnie trochę lubił, to by i nie odmówił ratunku.

– A kto się podejmie list zanieść?

– Przez pierwszego lepszego chłopca można posłać...

– A nie zawadzi, nie zawadzi, w żadnym razie nie zawadzi. Oleńka ma bystry rozum, ale i waćpannie go nie brakuje. Choćbyśmy się mieli tymczasem przed przewaźną siłą w lasy uchylić, zawsze będzie dobrze, żeby Babinicz przyszedł w te strony, bo tym sposobem prędzej się z nim połączym. Próbuje waćpanna. Posłańcy się znajdą i ludzie pewni...

Uradowana Anusia tak dobrze zaczęła próbować, że tego samego dnia znalazła sobie aż dwóch posłańców, i to nie chłopów, bo jednego Jurka Billewicza, drugiego Brauna. Obaj mieli wziąć po liście jednobrzmiącym, aby w każdym razie, jeśli nie ten, to ów mógł go wręczyć Babiniczowi. Z samym listem miała Anusia więcej kłopotu, lecz wreszcie napisała go w następujących słowach:

„W ostatniej toni piszę do Waćpana, jeśli mnie pamiętasz (choć wątpię, bo co byś tam miał Waćpan pamiętać!), abyś mi na ratunek przybył. Lecz tylko po życzliwości Waćpana, którą mi w drodze z Zamościa okazywałaś, śmiem się tego spodziewać, że mnie w niebezpieczeństwie nie zaniechasz. Jestem w partii pana Billewicza, miecznika rosieńskiego, który mi przytułek dał, bom jego krewną, pannę Billewiczównę, z niewoli taurożańskiej wyprowadził. I jego, i nas obie oblega zewsząd nieprzyjaciel, a mianowicie Szwedzi i niejaki pan Sakowicz, przed którego grzeszną natarczywością musiałam uciekać i w obozie szukać schronienia. Wiem, żeś mnie Waćpan nie lubił, choć Bóg widzi, nic ci nie uczyniłam złego, a życzyłam i życzę zawsze z całego serca. Ale i nie lubiąc ocal biedną sierotę ze srogich rąk nieprzyjacielskich. Bóg zasię wynagrodzi ci to stokrotnie i ja będę się modlić za Waćpana, którego dziś jeno dobrym opiekunem, potem zaś zbawcą moim będę nazywała do śmierci...”

Gdy wysłańcy opuszczali już obóz, Anusia bacząc, na jakie niebezpieczeństwa się narażają, zlekła się o nich i koniecznie zatrzymać ich pragnęła. Nawet ze łzami w oczach prosiła miecznika, żeby im jechać nie pozwolił, bo listy i chłopci mogą zanieść, chłopcom zaś i przedostać się będzie łatwiej.

Lecz Braun i Jurko Billewicz uparli się tak, że żadne przedstawienia nie pomogły. Jeden i drugi chcieli się w gotowości do usług przesadzić, żaden zaś nie przewidywał, co go czeka.



Albowiem w tydzień później Braun wpadł w ręce Sakowicza, który kazał go ze skóry obedrzeć, biedny zaś Jurko został zastrzelony za Poniewieżem, w ucieczce przed podjazdem szwedzkim.

Oba listy wpadły w ręce nieprzyjaciół.

## ROZDZIAŁ XXVII

Sakowicz po schwytaniu Brauna i obdarciu go ze skóry porozumiał się natychmiast z obersztem Hamiltonem, Anglikiem w służbie szwedzkiej i komendantem w Poniewieżu, celem wspólnego uderzenia na partię miecznika Billewicza.

Babinicz właśnie był gdzieś zapadł w lasy i od kilkunastu dni żaden słuch o nim nie doszedł. Zresztą Sakowicz nie byłby już zważał na jego bliskość. Miał on wprawdzie, mimo całej swej odwagi, jakąś instynktową obawę przed Babiniczem, ale teraz gotów był sam zginąć, byle zemsty dokonać. Od czasu ucieczki Anusinej wściekłość nie przestawała ani na chwilę targać jego duszy. Zmylone rachuby i zraniona miłość własna w szal go wprawiały, a przy tym cierpiało w nim i serce. Z początku pragnął on pojąć Anusię za żonę tylko dla majątności zapisanych jej przez pierwszego narzeczonego, pana Podbipiętę, lecz później zakochał się w niej ślepo i na zabój, jak tylko taki człowiek mógł się zakochać. I doszło do tego, że on, który oprócz Bogusława nikogo się nie bał na świecie, on, przed którego wzrokiem samym ludzie bledli, patrzył jak pies w oczy tej dziewczyny, ulegał jej, znosił jej wydziwiania, spełniał wszystkie chęci, starał się myśli zgadywać.

Ona używała i nadużywała swego wpływu ludząc go słowy, spojrzeniem, wysługiwała się nim jak niewolnikiem, w końcu zdradziła.

Sakowicz należał do tego rodzaju ludzi, którzy za jedyne dobro i cnotę poczytują to, co dla nich dobre, za złe i winę to, co im szkodę przynosi. Więc w oczach jego Anusia popełniła najstraszliwszą zbrodnię i nie było dla niej dość wielkiej kary. Gdyby to kogo innego spotkało, pan starosta śmiałyby się i drwił, lecz gdy dotknęło jego osobę, ryczał jak ranny zwierz i myślał tylko o pomście. Chciał dostać w ręce winowajczynię umarłą albo żywą. Wolałby żywą, bo mógłby naprzód kawalerską zemstę wyrzucić, lecz choćby dziewczyna miała i polec w czasie napadu, mniejsza mu było z tym, byle się komu innemu nie dostała.

Chcąc działać na pewno, posłał do miecznika przekupionego człowieka z listem niby od Babinicza, w którym oznajmiał w imieniu tego ostatniego, że w Wołmontowiczach w ciągu tygodnia stanie.

Miecznik uwierzył łatwo, ufając zaś w niezwykłą siłę Babinicza i tajemnicy z tego nie czynił, za czym nie tylko sam zakwaterował się na dobre w Wołmontowiczach, ale poruszył przez rozgłoszenie nowiny całą prawie ludność laudańską. Resztki jej zbiegły się z lasów, raz dlatego, że to już był koniec jesieni i chłody wielkie nastały, a po wtóre, przez samą ciekawość widzenia wstawionego wojownika.

A tymczasem od strony Poniewieża ciągnęli ku Wołmontowiczom hamiltonowscy Szwedzi, od strony Kiejdan przekradał się po wilczemu Sakowicz.

Ten ostatni jednak ani się domyślał, że za nim, również po wilczemu, ciągnie na krok ktoś trzeci, który lubo żadnych wezwań nie otrzymał, miał właśnie we zwyczaju zjawiać się tam, gdzie się go najmniej spodziewano.

Kmicic nie wiedział zupełnie, że Oleńka znajduje się w billewiczowskiej partii. W Taurogach, które splądrował ogniem i mieczem, zasięgnął języka o tym, że uszła wraz z panną Borzobohatą, lecz przypuszczał, że uszły do Puszczy Białowieskiej, gdzie chroniła się także pani Skrzetuska i wiele innych szlachcianek. Mógł to przypuszczać tym bardziej, iż

wiedział, że stary miecznik od dawna miał zamiar odwiezienia do tych nieprzebytych borów synowicy.

Zmartwiło to pana Andrzeja niepomiernie, że jej w Taurogach nie znalazł, ale z drugiej strony pocieszał się, że umknęła z rąk Sakowicza i że aż do końca wojny znajdzie bezpieczne przytulenie.

Nie mogąc do puszczy zaraz po nią iść, postanowił nieprzyjaciela na Żmudzi dopóty podchodzić i niszczyć, dopóki całkiem go nie zgnębi. I szczęście szło jego śladem. Od półtora miesiąca zwycięstwo następowało po zwycięstwie, lud zbrojny sypał się do niego tak obficie, że wkrótce czambulik stanowił ledwie czwartą część jego siły. Wreszcie wyznał nieprzyjaciół całej zachodniej Żmudzi, a zasłyszawszy o Sakowiczu i mając z nim dawne rachunki do załatwienia, puścił się w swe dawne strony i szedł za nim.

W ten sposób dotarli obaj w pobliże Wołmontowicz.

Miecznik, który poprzednio stał niedaleko, rezydował tam już od tygodnia i nawet w główce nie powstała mu myśl, jak strasznych wkrótce będzie miał gości.

Aż pewnego wieczora wyrostkowie Butrymi, pasący za Wołmontowiczami konie, dali znać, że jakieś wojsko wyszło z lasów i zbliża się od południowej strony. Miecznik zbyt był jednak starym i doświadczonym żołnierzem, aby nie przedsięwziąć żadnych ostrożności. Piechotę swoją, częścią już opatrzoną przez Domaszewiczów w strzelbę, umieścił w niedawno odbudowanych domach, częścią obsadził kołowrót, sam zaś z jazdą stanął nieco z tyłu poza płotami, na obszernym pastewniku dotykającym jedną stronę rzeczki. Miecznik uczynił to głównie dlatego, żeby uzyskać pochwały Babinicza, który na dobrych rozporządzeniach znać się musiał; ale pozycja jego istotnie była silna.

Zaścianek, od czasu jak go Kmicic z zemsty za wymordowanie kompanionów spalił, odbudowywał się z wolna; że zaś później wojna szwedzka robotę przerwała, było więc nagromadzonych w głównej ulicy mnóstwo bali, bierwion, desek. Całe ich kupy wznosiły się przy kołowrocie, i piechota, choćby mniej wyćwiczona, mogła się spoza nich długo bronić.

W każdym razie zabezpieczała ona jazdę od pierwszego natarcia. Miecznik tak dalece pragnął popisać się ze swoją znajomością żołnierki przed Babiniczem, że nawet podjeźdźnik wysłał na zwiady.

Jakież było jego zdumienie, a w pierwszej chwili i przerażenie, gdy z dala, zza borku, doszedł go odgłos strzałów, następnie podjazd ukazał się na drodze, ale idący w skok i z chmurą nieprzyjaciół na karku.

Miecznik skoczył natychmiast do piechoty, aby ostatnie rozkazy wydać, a tymczasem z borku poczęły się wysypywać gęstsze zastępy nieprzyjaciół i szły jak szarańcza ku Wołmontowiczom, świecąc w zachodzącym słońcu bronią.

Borek był blisko, więc podjechawszy nieco jazda owa puściła zaraz w skok konie, pragnąc jednym zamachem przedostać się przez kołowrót, lecz nagły ogień piechoty osadził ją na miejscu. Pierwsze szeregi cofnęły się nawet dość beładnie i tylko kilkunastu dotarło piersiami końskimi do zasieków.

Miecznik też ochłonął tymczasem i skoczywszy do jazdy kazał wszystkim, którzy mieli pistolety lub strzelby, iść na posiłek piechocie.

Nieprzyjaciół był widocznie również zaopatrzony w muszkiety, bo zaraz po pierwszym natarciu rozpoczął ogień bardzo gwałtowny, chociaż nieregularny.

Więc z obu stron poczęło grzmieć to szybciej, to powolniej; kule świszcząc dolatywały aż do jazdy, stukwały po domach, płocie, kupach belek; dym rozciągał się nad Wołmontowiczami, zapach prochu napełniał ulicę.

Anusia zatem miała to, czego chciała, to jest bitwę.

Obie panny zaraz w pierwszej chwili dosiadły z rozkazu miecznika podjeźdków, aby w danym razie, gdyby siły nieprzyjacielskie okazały się zbyt wielkie, mogły uchodzić razem z partią. Pomieszczono je więc w tylnych szeregach jazdy.

Lecz Anusi, mimo że szabelkę miała przy boku i kołpaczek rysy na głowie, dusza zaraz z początku uciekła na ramię. Ona, która tak dobrze umiała sobie radzić w pokoju z oficerami, nie znalazła ani szczypty energii, gdy przyszło stanąć jej oko w oko synom Bellony w polu. Świsł i stukanie kul przerażało ją; zamęt, bieganie ordynansów, huk muszkietów i jęki rannych odejmowały jej przytomność, a zapach prochu przytłumiał oddech w piersiach. Uczyniło się jej mdło i słabo, twarz zbladła jak chusta, i poczęła wić się a piszczeć jak dziecko; aż jeden z towarzyszków, młody pan Olesza z Kiemnar, musiał uchwycić ją w ramiona. Trzymał zaś mocno, mocniej aniżeli trzeba było, i gotów był trzymać tak do końca świata.

Lecz żołnierze śmiać się naokoło poczęli.

– Rycerz w spódnicy! – ozwały się głosy. – A kury sadzić, a pierze drzeć!

Inni zaś wołali:

– Panie Olesza! przypadła ci tarcza do ramienia, ale cię przez nią tym łatwiej Kupido strzałą przeszyje!...

I dobry humor ogarnął żołnierzy.

Inni woleli wszelako patrzeć na Oleńkę, która zachowywała się całkiem inaczej. Z początku, gdy kilka kul przeleciało opodal, przybladła i ona, nie mogąc się wstrzymać od uchylania głowy i zamykania oczu; lecz następnie krew rycerska grać w niej poczęła, więc spłonawszy na twarzy jak róża, podniosła głowę i patrzyła nieulekłym okiem przed siebie. Rozdęte jej nozdrza wciągały jakby z lubością zapach prochu. Że zaś dym czynił się wedle kołowrotu coraz większy i widok bardzo przysłaniał, więc odważna panna widząc, że oficerowie wyjeżdżają naprzód, aby dokładniej przebieg bitwy śledzić, poruszyła się wraz z nimi, nie myśląc nawet o tym, co czyni.

A w gęstwie jazdy podniósł się szmer pochwalny:

– O, to krew! to żona dla żołnierza, to słuszny wolentarzyk!

– *Vivat Billewiczówna!*

– Popiszmy się, mości panowie, bo przed takimi oczyma warto!

– I amazonki lepiej przeciw muszkietom nie stawały! – krzyknął któryś z młodych towarzyszków zapominając w zapale, że amazonki żyły przed wynalezieniem prochu.

– Czas by już skończyć. Piechota grzecznie się sprawiła i *hostes* mocno nadwerzęni.

Rzeczywiście, nieprzyjaciel nie mógł nic wskórać jazdą. Co chwila rozpuszczał konie, podpadał do kołowrotu, ale po salwie cofał się bezładnie. I jako fala, rozlawszy się po płaskim brzegu, zostawia po sobie muszle, kamyki, martwą rybę, tak po każdym ataku zostawało kilkanaście ciał końskich i ludzkich na drodze przed kołowrotem.

Wreszcie ataki ustały. Podjeżdżali tylko ochotnicy paląc w stronę wsi z pistoletów i muszkietów dość gęsto, aby uwagę Billewiczowskich zająć. Natomiast pan miecznik, wyłazłszy po węglach pod okap dworku, dojrzał ruch w tylnych szeregach nieprzyjacielskich ku polom i chruśniakom, ciągnącym się z lewej strony Wołmontowicz.

– Stąd będą tentowali! – zakrzyknął i natychmiast posłał część jazdy między chałupy, żeby z sadów dała nieprzyjacielowi odpór.

W pół godziny nowa bitwa, ale także na palną broń, zawiązała się z lewego skrzydła partii.

Sady ogrodzone utrudniały jeszcze atak wręcz, ale utrudniały zarówno dla stron obu. Przy tym nieprzyjaciel rozrzucając się na długiej linii mniej był narażony na strzały.

Bitwa z wolna stawała się coraz zażartszą i coraz pracowitszą, nie przestano bowiem atakować i kołowrotu.

Miecznik począł się niepokoić.

Z prawej strony miał za sobą błonia wolne jeszcze, kończące się rzeczką niezbyt szeroką, lecz głęboką i bagnistą, przez którą przeprawa, zwłaszcza w pośpiechu, mogła być

trudną. W jednym miejscu tylko była wydeptana droga do płaskiego brzegu, przez który przepędzano bydło do boru.

Pan Tomasz coraz częściej jakoś jał się oglądać w tamtą stronę.

Naraz, między przejrystą, bo pozbawioną już liści wierzbinową gęstwą, ujrzał przy zory wieczornej połyskującą broń i czarniawą chmurę żołnierstwa.

„Babinicz nadchodzi!” – pomyślał.

Lecz w tej chwili przypadł do niego pan Chrzastowski, który szwadronem jazdy dowodził.

– Od rzeki szwedzką piechotę widać! – krzyknął w przerażeniu.

– Zdrada jakowaś! – zawołał pan Tomasz. – Na rany Chrystusa! skoczże waść ze swoim szwadronem na tę piechotę; inaczej w bok nam przyjdzie!

– Siła wielka! – odrzekł pan Chrzastowski.

– Wesprzycie ją choć na godzinę, my zaś będziemy się w tył ku lasom salwować.

Pan Chrzastowski skoczył i wkrótce ruszył błoniem na czele dwustu ludzi, co widząc nieprzyjacielska piechota poczęła się szybko formować w gąszczach na przyjęcie nieprzyjaciela; po chwili szwadron rozpuścił konie, a zaś z wierzbinowych krzów zagrziała muszkietowa palba.

Miecznik zwątpił już nie tylko o zwycięstwie, ale nawet o ocaleniu własnej piechoty.

Mógł jeszcze wycofać się w tył z częścią jazdy, z pannami i szukać schronienia w lesie, lecz taki odwrót równał się wielkiej klęsce, bo prowadził za sobą wydanie pod miecz większej części partii i resztek ludności laudańskiej, która zgromadziła się w Wołmontowiczach dla widzenia Babinicza. Same Wołmontowicze zostałyby naturalnie w takim razie z ziemią zrównane.

Pozostawała jeszcze jedynie nadzieja, że pan Chrzastowski przełamie ową piechotę.

Tymczasem ściemniło się na niebie, ale w zaścianku blask czynił się coraz większy, bo zapaliły się wióry, drzazgi i heblowiny leżące kupą przy pierwszym domu od kołowrotu. Od nich zajął się sam dom i krwawa luna zaświeciła nad wioską.

Przy jej blasku ujrzał pan miecznik jazdę Chrzastowskiego, wracającą w popłochu i nieładzie, za nią zaś piechota szwedzka wysypywała się z gąszczów, idąc pędem do ataku.

Wówczas zrozumiał, że trzeba cofać się jedyną wolną drogą.

Już więc dopadł do resztek jazdy, już machnął szablą i krzyknął: „W tył, mości panowie! a w ordynku! w ordynku!” – gdy nagle i z tyłu ozwały się strzały, pomieszane z okrzykiem żołnierstwa.

Poznał tedy miecznik, że jest otoczony, że wpadł jakoby w pułapkę, z której nie ma ni wyjścia, ni ratunku.

Pozostawało mu tylko zginać z chwałą, więc wyskoczył przed szereg jazdy i zawołał:

– Padniemy jeden na drugim! Nie pożałujem krwi za wiarę i ojczyznę!

Tymczasem ogień jego piechoty, broniącej kołowrotu i lewej strony zaścianka, zesłabł, a coraz potężniejszy krzyk nieprzyjaciela zwiastował jego bliski triumf.

Lecz co znaczą te chrapliwe głosy krzywul w szeregach Sakowiczowskiej watahy i warczenie bębnow w szeregach szwedzkich?

Wrzaski słyhać coraz przeraźliwsze, jakieś dziwne, zamieszane, jakby nie triumf, ale przerażenie w nich brzmiało.

Ogień przy kołowrocie ustaje naraz, jakby kto nożem przeciął. Kupy jazdy Sakowiczowskiej lecą na złamanie karku od lewej strony ku głównej drodze. Z prawej strony piechota staje i zamiast naprzód, poczyna się cofać ku zaroślom.

– Co to jest?... Na rany Chrystusa! Co to jest? – krzyczy miecznik.

Wtem odpowiedź przychodzi ze strony owego borku, z którego wyszedł Sakowicz, a teraz sypią się z niego ludzie, konie, chorągwie, buńczuki, szable i idą – nie! raczej pędzą jak wichry i nie jak wichry, ale jak trąba powietrzna. W krwawych blaskach pożaru widać ich

jak na dłoni. Idzie ich tysiące! Ziemia zdaje się uciekać spod ich nóg, a ci lecą ławą zbitą, rzekłbyś: jakiś potwór wychylił się z dąbrowy i sadzi przez pola ku wiosce, by ją pochłoniąć. Leci przed nimi gnane pędem powietrze, leci strach i zatracenie... Już, już są! już dopadają! Zwieją Sakowicza jak wichur!

– Boże! Boże wielki! – krzyczy jak w obląkaniu miecznik – to nasi! to chyba Babinicz!

– Babinicz! – wrzeszczą za nim wszystkie gardziele.

– Babinicz! – rozlegają się przerażone głosy w Sakowiczowskim oddziale.

I cała nieprzyjacielska wataha wykręca w prawo chcąc umykać ku swojej piechocie.

Płot łamie się z trzaskiem przeraźliwym pod parciem piersi końskich; pastewnik zapelnia się uciekającymi, lecz tamci już siedzą na ich karkach, tną, siekają, bodą, tną bez wstydzenia, tną bez miłosierdzia. Słychać krzyk, jęki, świst szabel. Jedni i drudzy wpadają na piechotę, przewracają ją, łamią, roznoszą. Rzekłbyś: tysiące chłopów stanęło do młocki i cepami bije. Wreszcie cała masa zwała się ku rzece, ginie w zaroślach, przetacza się na drugi brzeg. Jeszcze ich widać, gonią ciągle i tną a tną! Oddalają się. Zabłądli raz jeszcze szablami i znikli wreszcie w krzaczach, w przestrzeni, w ciemności.

Piechota miecznikowa poczęła ściągać się od kołowrotu i z domów, których już bronieć nie potrzeba; jazda stoi czas jakiś w takim zdumieniu, że milczenie głucho panuje w szeregach, i dopiero gdy płonący dom zawala się z trzaskiem, głos jakiś odzywa się nagle:

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! Burza to przeleciała!

– Noga żywa z tego pościgu nie wyjdzie! – dodaje drugi głos.

– Mości panowie! – woła nagle miecznik – a my nie skoczym na tych, którzy nam z tyłu zachodzili? W odwrocie oni teraz, ale ich dogonim!

– Bij! zabij! – odpowiadają chórem głosy.

I cała jazda zawróciwszy się wypuszcza konie za ostatnim oddziałem nieprzyjaciół. W Wołmontowiczach zostają tylko starcy, niewiasty, dzieci i panienka z towarzyszką.

Dom ugaszono w mgnieniu oka, po czym radość niepojęta pochwytuje wszystkie serca. Kobiety z płaczem i szlochaniem wznoszą ręce ku niebu i zwracając się ku stronie, w którą popędził Babinicz, wołają:

– Boże ci błogosław, wojenniku niezwycięzony! Zbawco, któryś nas, nasze dzieci i domy od zagłady ocalił!

Zgrzybiali Butrymowie powtarzają chórem:

– Boże ci błogosław! Boże cię prowadź! Bez ciebie byłoby już po Wołmontowiczach!

Ach! gdyby w tym tłumie wiedziano, że wieś od ognia i ludność od miecza ocalała właśnie ta sama ręka, która przed dwoma laty do tej samej wioski wniosła ogień i miecz!...

Po ugaszeniu pożaru, kto żyw, począł zbierać rannych, groźni zaś wyrostkowie przebiegając z kłonicami pobojuwisko dobijali Szwedów i Sakowiczowskich grasantów.

Oleńka wnet wzięła komendę nad opatrunkiem. Przytomna zawsze, pełna energii i siły, nie ustawała w pracy póty, póki każdy ranny nie spoczął w chacie z przewiazanymi ranami.

Po czym cała ludność poszła za jej przykładem pod krzyż, odmawiać litanie za poległych; przez całą noc nikt oka nie zmrużył w Wołmontowiczach, wszyscy czekali na powrót miecznika i Babinicza krzątając się przy tym, aby zwycięzcom należyte zgotować przyjęcie. Szły pod nóż hodowane w lasach woły i barany; ogniska huczały aż do rana.

Anusia jedna w niczym nie mogła brać udziału, bo naprzód odjął jej siły strach, a potem radość tak wielka, że do szału podobna. Oleńka musiała mieć i o niej staranie, a ona śmiała się i płakała na przemian, to znów rzucała się w ramiona towarzysze, powtarzając bez ładu i porządku:

– A co? Kto nas ocalił, i miecznika, i partię, i całe Wołmontowicze? Przed kim Sakowicz uciekł? Kto go pogroził i Szwedów razem z nim?... Pan Babinicz! A co? Wiedziałam, że przyjdzie. Przeciem do niego pisałam. A on nie zapomniał! Wiedziałam, wiedziałam, że przyjdzie. Ja to go sprowadziłam! Oleńko! Oleńko! ja szczęśliwa! Nie mówiłamże ci?

Jego nikt nie zwycięży! Jemu pan Czarniecki nie dorówna... O Boże! Boże! Prawda, że on tu wróci? Dziś jeszcze? Bo żeby nie miał wrócić, to by nie przychodził, prawda?... Słyszysz, Oleńka, jakieś konie rżą w oddali...

Ale w oddali nic nie rżało. Nad ranem dopiero rozległ się tętent, okrzyk, śpiewy i wrócił pan miecznik. Jazda na spienionych od pogoni koniach zapełniła cały zaścianek. Śpiewom, krzykom, opowiadaniom nie było końca.

Miecznik, umazany krwią, zdyszany, ale radosny, opowiadał do wschodu słońca, jako zniósł oddział rajtarii nieprzyjacielskiej, jako dwie mile na nich jechał i prawie do nogi wytepił.

On, również jak całe wojsko i wszyscy laudańscy byli przekonani, że Babinicz wróci lada chwila.

Lecz przyszło południe, potem słońce odbyło drugą połowę drogi i poczęło się zniżać, a Babinicz nie wracał.

Anusia atoli pod wieczór dostała wypieków na twarzy.

„Zaliby mu tylko o Szwedów, nie o mnie chodziło? – myślała sobie w duszy. – Przecie list odebrał, skoro tu przyszedł...”

Biedna, nie wiedziała, że dusze Brauna i Jurka Billewicza były dawno już na tamtym świecie i że Babinicz żadnego listu nie odebrał.

Bo gdyby był odebrał, błyskawicą wróciłby do Wołmontowicz, tylko... nie dla ciebie, Anusiu!

Upłynął znowu dzień; miecznik nie tracił jeszcze nadziei i nie ruszał się z zaścianka.

Anusia zacięła się w milczeniu.

– Spostponował mnie strasznie! Ale dobrze mi tak za moją płochość, za moje grzechy! – mówiła do siebie.

Na trzeci dzień pan Tomasz wysłał kilkunastu ludzi na zwiady.

Ci wrócili czwartego dnia z doniesieniem, że pan Babinicz wziął Poniewież, a ze Szwedów nikogo nie żywił. Po czym poszedł nie wiadomo dokąd, bo słuch o nim przepadł.

– Już go nie znajdziem, póki znowu nie wypłynie! – rzekł na to miecznik.

Anusia zmieniła się w pokrzywę; kto z młodszej szlachty i oficerów dotknął się jej, wnet się sparzył.

Piątego zasiał dnia rzekła do Oleńki:

– Pan Wołodyjowski taki sam dobry żołnierz, ale mniejszy grubian.

– A może – odrzekła na to w zamyśleniu Oleńka – może pan Babinicz wierności dla tamtej dochowuje, o której ci w drodze z Zamościa wspominał.

Na to Anusia:

– Dobrze! Wszystko mi jedno...

Ale nie powiedziała prawdy, bo jej wcale nie było jeszcze wszystko jedno.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Sakowicz tak doszczętnie został zniesiony, iż zaledwie samopięt zdołał się schronić do lasów w pobliżu Poniewieża. Następnie tułał się po nich w przebraniu chłopskim przez całe miesiące, nie śmiejąc wychylić się na świat jasny.

Babinicz zaś rzucił się na Poniewież, piechotę szwedzką tamże na załodze stojącą wyciął i gonił za Hamiltonem, który nie mogąc ku Inflantom uchodzić z powodu znacznych sił polskich zebranych w Szawlach i dalej pod Birzami, zawrócił w bok ku wschodowi w nadziei, że do Wiłkomierza zdoła się przedrzeć. Zwątpił on już o ocaleniu swego regimentu, nie chciał tylko wpaść w ręce Babinicza, bo wieść głosiła powszechnie, że ów srogi wojownik, aby się kłopotem nie obarczać, jeńców do nogi każe wycinać.

Umykał więc nieszczęsny Anglik, jak jelen ścigany przez stado wilków, a Babinicz gonił go tym zawzięciej; dlatego to do Wołmontowicz nie wrócił i nawet nie pytał, jaką partię udało mu się ocalić.

Już też pierwsze szrony poczęły rankami okrywać ziemię, więc ucieczka stawała się tym trudniejsza, bo ślady kopyt zostawały na gruncie leśnym. Paszy nie było w polach, konie cierpiały głód srogi.

Rajtarowie nie śmieli zatrzymywać się na dłużej po wsiach z obawy, że uparty nieprzyjaciel może ich lada chwila doścignąć.

W końcu nędza ich przeszła wszelką granicę; żywili się tylko liśćmi, korą i własnymi końmi, które upadały ze znużenia.

Po tygodniu sami poczęli prosić swego pułkownika, by odwrócił się czołem ku Babinczowi i dał mu pole, bo wołą ginać od miecza niż od głodowej śmierci.

Hamilton usłuchał i stanął do bitwy w Androniszkach. Siły szwedzkie o tyle były mniejsze, że Anglik nie mógł nawet i marzyć o zwycięstwie, zwłaszcza nad takim przeciwnikiem. Ale i sam był już umęczon bardzo i chciał zginać.

Jednakże bitwa, poczęta w Androniszkach, skończyła się w pobliżu Troupiów, pod którymi ostatni Szwedzi polegli.

Hamilton zginął bohaterską śmiercią, broniąc się pod krzyżem przydrożnym przeciw kilkunastu ordyńcom, którzy początkowo chcieli go brać żywcem, ale rozjątrzeni uporem, roznieśli wreszcie na szablach.

Lecz i Babiniczowe chorągwie były tak pomęczone, że nie miały sił ni chęci iść nawet do pobliskich Troupiów, jeno jak gdzie która w czasie bitwy stała, tam zaraz poczęła się roztasowywać na nocleg, rozpalając ogień wśród trupów nieprzyjacielskich.

Po posiłku zasnęli wszyscy kamiennym snem.

Sami zaś Tatarzy odłożyli do jutra obszukiwanie trupów.

Kmicic, któremu głównie o konie chodziło, nie sprzeciwiał się temu wypoczynkowi.

Nazajutrz jednak wstał dość rano, aby straty własne po zażartej potyczce obliczyć i łup sprawiedliwie rozdzielić. Zaraz po posiłku stanął na wzniesieniu pod tym samym krzyżem, pod którym zginął Hamilton, a starszyzna polska i tatarska podchodziła ku niemu z kolei, mając zakarbowany na laskach ubytek ludzi, i czyniła relacje. On słuchał, jako gospodarz wiejski słucha latem włodarzy, i radował się w sercu żniwem obfitym.



Wtem zbliżył się ku niemu Akbah-Ułan, podobniejszy do straszdyła niż do człowieka, bo mu w wołmontowickiej bitwie nos rozbito głównią od szabli, skłonił się, dał Kmicicowi zakrwawione papiery i rzekł:

– Effendi, pisma jakoweś znalezione przy wodzu szwedzkim, które wedle rozkazu oddaję.

Rzeczywiście Kmicic raz na zawsze wydał rozkazy, aby wszystkie papiery, znalezione przy trupach, odnoszono mu zaraz po bitwie, częstokroć bowiem mógł wymiarkować z nich zamiary nieprzyjaciół i stosownie postąpić.

Lecz w tej chwili nie było mu tak pilno, więc kiwnąwszy głową Akbahowi schował papiery w zanadrze. Akbaha zaś odesłał do czambułu poleciwszy mu, ażeby zaraz ruszał do Troupiów, w których na dłuższy odpoczynek pozostać mieli.

Przeciągały tedy chorągwie przed nim jedna po drugiej. W przodku szedł czambulik, który obecnie niespełna pięćset głów tylko liczył, reszta wykruszyła się w ciągłych bitwach, ale każdy Tatar tyle miał zaszytych w kulbace, tołubie i czapce szwedzkich riksdalerów, pruskich talarów i dukatów, że go można było brać na wagę srebra. Był to przy tym lud wcale do zwykłych czambułowych Tatarów niepodobny, bo co było słabsze, to z trudów zmarniało, zostały tylko chłopcy na schwał, pleczyste, żelaznej wytrzymałości i jadowite na kształt szerszeni. Ciągła praktyka tak ich wyćwiczyła, że w ręcznym spotkaniu mogliby dotrzymać nawet polskiej komputowej jeździe, na rajtarów zaś lub dragonów pruskich, o ile liczba była równą, chodzili jak wilcy na owce. W bitwie bronili szczególnie ze straszną zajadłością ciał swych towarzyszków, aby się potem skarbami ich podzielić.

Teraz przechodzili przed panem Kmicicem z wielką fantazją, brząkając w litaury, świszcząc na końskich piszczelach i potrząsając buńczukiem, a szli tak sformie, że i regularny żołnierz nie szedłby lepiej. Za nimi ciągnęła dragonia, przez pana Andrzeja z mozołem wielkim z ochotników wszelkiego rodzaju utworzona, zbrojna w rapiery i muszkiety. Dowodził nią dawny wachmistrz Soroka, teraz do godności oficerskiej, a nawet kapitańskiej podniesion. Pułk ów, przybrany jednostajnie w mundury zdobyczne, zdarte z dragonów pruskich, składał się przeważnie z ludzi niskiego stanu, ale właśnie pan Kmicic lubił ten rodzaj ludzi, bo słuchał ślepo i wszelkie trudy bez szemrania znosił.

W dwóch następnie idących chorągwiach wolentarskich służyła sama szlachta, mniejsza i większa. Były to duchy burzliwe i niespokojne, które pod innym wodzem zmieniłyby się w kupę drapieźników, ale w tych żelaznych rękach stały się podobne do regularnych chorągwi i same rade zwały się „petyhorskimi”. Ci, mniej na ogień od dragonów wytrzymali, byli za to w pierwszej furii straszniejsi, biegiem zaś w ręcznym spotkaniu przewyższali całe wojsko, bo każdy sztukę fechtów posiadał.

Za nimi na koniec przeciągnęło około tysiąca świeżych wolentariuszów, ludu dobrego, ale nad którym siła trzeba było jeszcze pracować, by się stali do sprawnego wojska podobni.

Każda z tych chorągwi, przechodząc koło figury, podnosiła okrzyk salutując przy tym pana Andrzeja szablami. On zaś radował się coraz więcej. Siła to przecie znaczna i nielicha! Wiele już z nią dokazał, wiele krwi nieprzyjacielskiej wytoczył, a Bóg wie, czego jeszcze dokonać potrafi.

Dawne jego winy wielkie, ale i świeże zasługi niemałe. Oto powstał z upadku, z grzechu i poszedł pokutować nie w kruchcie, ale w polu, nie w popiele, ale we krwi. Bronił Najświętszej Panny, ojczyzny, króla, i teraz czuje, że mu na duszy lżej, weselej. Ba ! nawet dumą wzbiera serce junackie, bo nie każdy tak by sobie dał rady jako on!

Tyle przecie jest szlachty ognistej, tylu kawalerów w tej Rzeczypospolitej, a czemu to żaden na czele takiej potęgi nie stoi, ani nawet Wołodyjowski, ani Skrzetuski? Kto przy tym Częstochowę osłaniał, króla w wawozach bronił? Kto Bogusława usieknął? Kto pierw-

szy wniósł miecz i ogień do Prus elektorskich?! A owo i teraz na Żmudzi prawie już nie masz nieprzyjaciół.

Tu pan Andrzej uczuł to, co czuje sokół, gdy rozciągnąwszy skrzydła wzbija się wyżej i wyżej! Przeciagające chorągwie witały go gromkim okrzykiem, a on głowę podniósł i pytał sam siebie: „Dokąd też dolecę?” – I twarz mu spłonęła, bo w tej chwili wydało mu się, że hetmana w sobie nosi. Lecz ta buława, jeżeli go dojdzie, to dojdzie z pola, z ran, z zasługi, z chwały. Nie zamigoce mu już nią przed oczyma żaden zdrajca, jak w swoim czasie migotał Radziwiłł, jeno wdzięczna ojczyzna włoży mu ją w dłoń z woli królewskiej. A jemu nie troskać się o to, kiedy to przyjdzie, jeno bić i bić – bić jutro, jak pobił wczoraj!

Tu rozbijała wyobraźnia kawalerska powróciła do rzeczywistości. Dokąd ma ruszyć z Troupiów, w jakim nowym miejscu o Szwedów zahaczyć?

Wtem przypomniały mu się listy oddane przez Akbah-Ułana, a znalezione przy trupie Hamiltona; sięgnął więc ręką w zanadrze, wydobył, spojrzął i zaraz zdumienie odbiło się na jego twarzy.

Na liście bowiem stał wyraźnie napis, niewieścią skreślony ręką:

„Do JMP Babinicza, pułkownika wojsk tatarskich i wolentarskich.”

– Do mnie?... – rzekł pan Andrzej.

Pieczeń była złamana, więc prędko otworzył list, uderzył wierzchem dłoni po papierze i począł czytać.

Ale jeszcze nie skończył, gdy mu ręce zadrgały, zmienił się na twarzy i zakrzyknął:

– Pochwalone imię Pańskie! Boże miłosierny! oto i nagroda dochodzi mnie z rąk Twoich!

Tu chwycił podnóże krzyża w obie ręce i płową czupryną począł bić w cokół. Inaczej dziękować Bogu w tej chwili nie umiał, na więcej słów modlitwy się nie zdobył, bo radość objęła go do wichru podobna i aż hen, pod niebo uniosła.

Oto list był od Anusi Borzobohatej. Szwedzi znaleźli go przy Jurku Billewiczu, a teraz przez drugiego trupa doszedł rąk Kmicicowych. W głowie pana Andrzeja tysiączne myśli przelatywały z szybkością strzał tatarskich.

Więc Oleńka była nie w puszczy, ale w partii billewiczowskiej? I on właśnie ocalił ją, a z nią razem te Wołmontowicze, które niegdyś za kompanionów z dymem puścił! Widocznie ręka boska kierowała jego krokami tak, aby za jednym zamachem wynagrodził za wszystkie krzywdy i Oleńce, i Laudzie. Oto zmasane jego winy! Może-li ona teraz mu nie przebaczyć albo ta szara brać laudańska? Mogą-li go nie błogosławić? I co powie umiłowana dziewczyna, która go za zdrajcę uważa, gdy się dowie, że ów Babinicz, który Radziwiłła obalił, który po pas nurzał się we krwi niemieckiej i szwedzkiej, który na Żmudzi nieprzyjaciela wygniół, wyniszczył, do Prus i Inflant przepędził, to on, to Kmicic, ale już nie zabijaka, nie banit, nie zdrajca, jeno obrońca wiary, króla, ojczyzny!

A przecie zaraz po przestąpieniu granicy żmudzkiej byłby pan Andrzej na cztery strony świata rozgłosił, kim jest ów przesławny Babinicz, i jeśli tego nie uczynił, to jeno dlatego, że się obawiał, iż na sam dźwięk prawdziwego jego nazwiska wszyscy się od niego odwrócą, wszyscy go będą podejrzewać, odmówią pomocy i ufności. Dopieroż ledwie dwa lata upłynęły, jak obłąkany przez Radziwiłła wycinał te chorągwie, które razem z Radziwiłłem przeciw królowi i ojczyźnie powstać nie chciały. Przed dwoma ledwie laty był prawą ręką wielkiego zdrajcy!

Lecz teraz zmieniło się wszystko! Teraz, po tylu zwycięstwach, w takiej chwale, ma prawo przyjść do dziewczyny i powiedzieć jej: „Jam Kmicic, ale twój zbawca!” Ma prawo zakrzyknąć całej Żmudzi: „Jam Kmicic, ale twój zbawca!”

A zatem Wołmontowicze przecie niedaleko! Tydzień ściagał Babinicz Hamiltona, lecz Kmicic prędeż jak w tydzień będzie u nóg Oleńki.

Tu powstał pan Andrzej, blady ze wzruszenia, z płonącymi oczyma, z promienną twarzą, i krzyknął na pacholka:

– Konia mi prędezej! żywo! żywo!

Pacholik podprowadził karego dzianeta i sam zeskoczył strzemień podawać, lecz stanawszy na ziemi rzekł:

– Wasza miłość! obcy ludzie jacyś ku nam od Troupiów z panem Soroką jadą i suną rysi.

– Mniejsza mi z nimi! – odrzekł pan Andrzej.

Tymczasem obaj jeźdźcy zbliżyli się na kilkanaście kroków, następnie jeden z nich w towarzystwie Soroki wysunął się w skok naprzód, przybiegł i uchyliwszy rysiego kołpaka odkrył rudą jak ogień czuprynę.

– Widzę, że przed panem Babiniczem stoję! – rzekł. – Rad jestem, że waści odszukał.

– Z kim mam honor? – rzekł niecierpliwie pan Kmicic.

– Jestem Wierszuł, niegdyś rotmistrz tatarski chorągwi księcia Jaremy Wiśniowieckiego; przybywam w rodzinne strony, by tu na nową wojnę zaciągi czynić, a oprócz tego przywozłem list dla waszmości od pana hetmana wielkiego Sapiehy.

– Na nową wojnę? – spytał Kmicic marszcząc brwi. – Co waść prawisz?

– Ten list lepiej ode mnie waćpana objaśni – rzekł Wierszuł, podając pismo hetmańskie.

Kmicic rozerwał gorączkowo pieczęć. List Sapiehy brzmiał, jak następuje:

„Mnie wielce uprzejmy panie Babinicz! Nowy potop na ojczyznę! Liga Szweda z Rakoczem stanęła i podział Rzeczypospolitej ułożony. Osiemdziesiąt tysięcy Węgrzynów, Siedmiogrodzian, Wołoszy i Kozaków przekroczy lada godzina południową granicę. A gdy w takiej ostatniej toni trzeba nam wszystkie siły wyteżyć, aby choć imię sławne po naszym narodzie na przyszłe wieki zostało, posyłam WMści ten ordynans, wedle którego masz WMść, nie tracąc chwili czasu, wprost na południe konie obrócić i wielkimi drogami ku nam dążyć. Zastaniesz nas w Brześciu, skąd, nie mieszkając, dalej cię wyślę. Tymczasem *periculum in mora!* Książę Bogusław eliberował się z niewoli, ale pan Gosiewski ma mieć na Prusy i Żmudź oko. Raz jeszcze zalecając WMści pośpiech dufam, że miłość do ginącej ojczyzny najlepszą ci będzie ostrogą.”

Kmicic skończywszy czytać wypuścił list na ziemię i począł przeciągać rękoma po zwilgotniałej twarzy, na koniec spojrział błędnie na Wierszuła i spytał cichym, zduszonym głosem:

– Dlaczegoż to pan Gosiewski ma na Żmudzi zostawać, a ja ruszać na południe?

Wierszuł wzruszył ramionami.

– Spytaj się waszmość pana hetmana w Brześciu o racje! Jać nic nie powiem.

Nagle straszny gniew schwyił pana Andrzeja za gardło, oczy mu zabłyśły, twarz zsi-  
niała i krzyknął przeraźliwym głosem:

– A ja stąd nie pójdę! Rozumiesz waść?!

– Tak? – odrzekł Wierszuł. – Moja rzecz była ordynans oddać, a reszta waści sprawa! Czołem, czołem! Chciałem się na parę godzin do kompanii zaprosić, ale po tym, com usłyszał, wolę poszukać innej.

To rzekłszy odwrócił konia i odjechał.

Pan Andrzej siadł znów pod figurą i począł bezmyślnie rozglądać się po niebie, jakby pogodę chciał wymiarkować. Pacholik usunął się z końmi opodal i cisza uczyniła się ną-  
okół.

Ranek był pogodny, blady, pół jesienny i pół już zimowy. Wiatr nie wiał, ale z brzoź rosnących pod męką Pańską spływały bez szelestu resztki pożółkłych i skreconych od chłodu liści. Nieprzeliczone stada wron i kawek leciały nad lasami, niektóre zapadały z wielkim krakaniem tuż obok figury, na polu bowiem i na drodze leżało jeszcze pełno nie

pogrzebionych trupów szwedzkich. Pan Andrzej patrzył na owe czarne ptastwo, mrugając oczyma, rzekłbyś: chce je przeliczyć. Potem przymknął powieki i długo siedział bez ruchu. Na koniec wzdygnął się, zmarszczył brwi, przytomność wróciła mu na twarz i tak począł do się mówić:

– Nie może inaczej być! Pójdę za dwa tygodnie, ale nie teraz. Niech się dzieje, co chce! Nie jam Rakoczego sprowadził. Nie mogę! Co nadto, to nadto!... Małom to się natłukł, nakołatał, nocy bezsennych na kulbace spędził, krwi swojej i cudzej narozlewał? Taką za to nagrodą?!... Żeby to choć tamtego listu nie odebrał, poszedłbym; ale oba przyszły w jednej godzinie, jakoby na większy ból, na większy żal dla mnie... Niechże świat się zapada, nie pójdę! Nie zginie przez dwa tygodnie ojczyzna, a zresztą widocznie gniew boży jest nad nią, i nie w mocy ludzkiej na to wskórać. Boże, Boże! Hiperboreje, Szwedzi, Prusacy, Węgrzyni, Siedmiogrodzianie, Wołosza, Kozacy, wszystko naraz! Kto się temu oprze? O Panie, co Ci zawiniła ta nieszczęsna ojczyzna, ten król pobożny, żeś odwrócił od nich oblicze i ni miłosierdzia, ni ratunku nie dajesz, i plagi coraz nowe zsyłasz? Małoż jeszcze krwi? mało łez? Toż tu ludzie już się weselić zapomnieli, toć tu wichry nie wieją, jeno jęczą... Toć tu dżdże nie padają, jeno płaczą, a ty smagasz i smagasz! Miłosierdzia, Panie! ratunku, Ojcze!... Grzeszyliśmy, ale przecie już przyszła poprawa!... Oto odstąpiliśmy naszych fortun, siedliśmy na koń i bijem a bijem! Poniechaliśmy swawoli, zrzekliśmy się prywaty... Więc czemu nie odpuścisz? Czemu nie pocieszysz?

Tu nagle sumienie porwało go za włosy i zatrzęsło nim, aż krzyknął, bo zarazem zdało mu się, że słyszy jakiś głos nieznan, z całego sklepienia niebios płynący, który mówi:

– Zaniechaliście prywat? A tyż, nieszczęśniku, co w tej chwili czynisz? Zasługi swoje podnosisz, a gdy przyszła pierwsza chwila próby, jako zhukany koń dęba stajesz i krzyczysz: „Nie pójdę!” Ginie matka, nowe miecze pierś jej przeszywają, a ty się od niej odwracasz, nie chcesz jej wesprzeć ramieniem, za własnym szczęściem gonisz i krzyczysz: „Nie pójdę!” Ona ręce krwawe wyciąga, już, już pada, już mdleje, już kona i ostatnim głosem woła: „Dzieci! ratujcie!” A ty jej odpowiadasz: „Nie pójdę!” Biada wam! biada takiemu narodowi, biada tej Rzeczypospolitej!

Tu panu Kmicicowi strach podniósł włosy na głowie i całe jego ciało dygotać poczęło, jakby je paroksyzm febry chwycił... I naraz rymnął twarzą do ziemi, i nie wołać, ale krzyć jął w przerażeniu:

– Jezu, nie karz! Jezu, zmiłuj się! Bądź wola Twoja! Już pójdę, pójdę!

Potem czas jakiś leżał w milczeniu i szlochał, a gdy podniósł się wreszcie, twarz miał rezygnacji pełną i spokojniejszą i tak dalej się modlił:

– Ty się, Panie, nie dziwuj, że mi żal, bom był w wilię szczęśliwości mojej. Ale niech już tak będzie, jak Ty rozporządzisz! Teraz już rozumiem, żeś mnie chciał doświadczyć, i dlategoś mnie jakoby na rozstajnych drogach postawił. Bądź jeszcze raz wola Twoja. Ani się obejrzę za siebie! Tobie, Panie, ofiaruję ten mój żal okrutny, te moje tęskności, to moje ciężkie zmartwienie. Niechże mi wszystko będzie policzone za to, żeś księcia Bogusława oszczędził, nad czym płakała ojczyzna. Widzisz teraz, Panie, że to była ostatnia moja prywaty. Już więcej nie będę. Ojcze miłościwy! Ano jeszcze tę ziemię kochaną ucałuję, ano jeszcze nóżki Twoje krwawe ścisnę... i idę, Chryste! idę!...

I poszedł.

A w rejestrze niebieskim, w którym zapisują złe i dobre uczynki ludzkie, przemazano mu w tej chwili wszystkie winy, bo to był człowiek zupełnie poprawiony.

## ROZDZIAŁ XXIX

Żadna księga nie wypisała, ile jeszcze bitew stoczyły wojska, szlachta i lud Rzeczypospolitej z nieprzyjaciółmi. Walczono po lasach, polach, po wsiach, miasteczkach i miastach; walczono w Prusach Królewskich i Książęcych, na Mazowszu, w Wielkopolsce, w Małopolsce, na Rusi, na Litwie i Żmudzi, walczono bez wytchnienia we dnie i w nocy.

Każda grudka ziemi nasyciła się krwią. Nazwiska rycerzy, przeświecne czyny, wielkie poświęcenia zginęły w pamięci, bo nie zapisał ich kronikarz i nie wyśpiewała lutnia. Ale pod potęgą tych usiłowań ugięła się wreszcie moc nieprzyjacielska.

I jako gdy wspaniały lew, który przed chwilą, przesyty pociskami, leżał jak martwy, podniesie się nagle, a wstrząsnąwszy królewską grzywą, ryknie potężnie, wnet myśliwców przejmują strach błądy i nogi ich zwracają się ku ucieczce, tak owa Rzeczpospolita powstawała coraz groźniejsza, jowiszowego gniewu pełna, światu całemu stawić czoło gotowa; w kości zaś napastników zstąpiła niemoc i strach. Nie o zdobyczy już myśleli, ale o tym jeno, by ze lwiej paszczęki głowy całe do domowych pieleszy unieść.

Nie pomogły nowe ligi, nowe zastępy Węgrów, Siedmiogrodzian, Kozaków i Wołoszy. Przeszła wprawdzie jeszcze raz burza między Krakowem, Warszawą i Brześciem, lecz się o piersi polskie rozbiła i wkrótce marnym rozwiała się tumanem.

Król szwedzki, pierwszy zwątpiwszy o sprawie, na duńską wojnę odjechał; zdradziecki elektor, korny przed silnym, zuchwały przed słabszym, czołem do nóg Rzeczypospolitej uderzył i Szwedów bić począł; zbójcekie zastępy „rzeźników” Rakoczego zmykały co sił ku swym siedmiogrodzkim komyszom, które pan Lubomirski ogniem i mieczem spustoszył.

Lecz łatwiej im było wtargnąć w granice Rzeczypospolitej niż wyjść z nich bez kary. Więc gdy dopadnięto ich u przeprawy, grafowie siedmiogrodzcy klęcząc przed panem Potockim, Lubomirskim i Czarnieckim w prochu zebrali o litość.

– Oddamy broń, oddamy miliony! – wołali – jeno pozwólcie nam odejść!

I przyjąwszy okup hetmani zlitowali się nad tym wojskiem nędzników; lecz orda rozniosła ich na kopytach końskich u samych już progów domowych. Spokój począł z wolna wracać na polskie równiny. Król jeszcze pruskie fortece odbierał, pan Czarniecki miał do Danii zanieść miecz polski, bo Rzeczpospolita nie chciała już poprzestać na samym wypędzeniu nieprzyjaciół.

Odbudowywały się ze zgliszczów wsie i miasta; ludność wracała z lasów, pługi pojawiły się na roli.

Jesienią 1657 roku, zaraz po wojnie węgierskiej, cicho już było w większej części ziem i powiatów, cicho zwłaszcza na Żmudzi.

Ci z laudańskich, którzy swego czasu poszli z panem Wołodyjowskim, byli jeszcze gdzieś hen! w polu, ale już oczekiwano ich powrotu.

Tymczasem w Morozach, Wołmontowiczach, Drożejkanach, Mozgach, w Goszczunach i Pacunelach niewiasty, podloty obu płci i starcy orali, siali oziminy, odbudowywali wspólnymi siłami chaty w tych okolicach, przez które pożar przeszedł, aby wojownicy po powrocie znaleźli przynajmniej dach nad głową i głodem nie potrzebowali przymierać.

Oleńka siedziała od niejakiego czasu w Wodoktach z Anusią Borzobohatą i miecznikiem. Pan Tomasz do swoich Billewicz się nie spieszył, raz dlatego, że były spalone, a po wtóre, że mu milej było przy dziewczynach niż samemu. Tymczasem przy pomocy Oleńki zagospodarowywał Wodokty.

Panna zaś chciała jak najlepiej zagospodarować Wodokty, te bowiem miały wraz z Mitrunami stanowić jej wiano klasztorne, inaczej mówiąc, przejść na własność zakonu benedyktynek, u których w sam dzień przyszłego Nowego Roku zamierzała biedna Oleńka rozpocząć nowicjat.

Rozważywszy bowiem wszystko, co ją spotkało, i owe losów odmiany, i zawody, i boleści, przyszła do przekonania, że taka, a nie inna musi być wola boża. Zdawało się jej, że jakaś ręka wszechmocna popycha ją do celi, że jakiś głos mówi jej:

„Tam ono najlepsze uspokojenie i koniec wszystkich trosk światowych!”

Więc postanowiła pójść za tym głosem; czując jednak w głębi sumienia, że jeszcze jej dusza nie zdołała oderwać się zupełnie od ziemi, pragnęła pierwiej przygotować ją gorącą pobożnością, dobrymi uczynkami i pracą. Często też w tych usiłowaniach przeszkadzały jej echa ze świata.

Oto, na przykład, poczęli ludzie przebąkiwać, że ów przesławny Babinicz był to Kmicic. Jedni zaprzeczali gorąco, drudzy powtarzali wieść uporczywie.

Oleńka nie uwierzyła. Nadto przytomne były w jej pamięci wszystkie uczynki Kmicica i jego u Radziwiłłów służby, aby chociaż na chwilę przypuszczać mogła, że on jest pogromcą Bogusława i tak wiernym sługą królewskim, takim gorącym patriotą. Jednak jej spokój został zmacony, a żal i ból podniosły się na nowo w jej piersi.

Można było temu zaradzić przyspieszonym wejściem do klasztoru, lecz klasztory były rozproszone; mniszki, które nie zginęły od żołdackiej swawoli w czasie wojny, poczynają dopiero się zbierać.

Nędza też panowała w kraju powszechna, i kto się chciał w mury konwentów chronić, musiał nie tylko z własnym chlebem przychodzić, ale i cały konwent nim żywić.

Oleńka chciała przyjść właśnie z chlebem do klasztoru, zostać nie tylko siostrzyczką, ale i karmicielką mniszek.

Miecznik wiedząc, że na chwałę bożą ma iść jego praca, pracował gorliwie. Objeżdżali więc razem pola i folwarki pilnując prac jesiennych, które z przyszłą wiosną miały plon przynieść. Czasem towarzyszyła im Anusia Borzobohata, która nie mogąc przenieść afrontu, jaki jej Babinicz uczynił, groziła, że także do klasztoru wstąpi i że czeka tylko, aby pan Wołodyjowski odprowadził laudańskich, bo się chce z dawnym przyjacielem pożegnać. Częściej jednak miecznik z samą tylko Oleńką puszczał się na objazdy, bo Anusie nudziło gospodarstwo.

Pewnego razu wyjechali oboje na podjezdkach do Mitrunów, w których odbudowywano pogorzałe czasu wojny stodoły i obory.

Po drodze mieli też wstąpić do kościoła, bo to była właśnie rocznica wołmontowickiej bitwy, w której z ostatniej toni zostali przez nadejście Babinicza uratowani. Cały dzień zszedł im na rozlicznych zajęciach, tak że dopiero pod wieczór mogli wyruszyć z Mitrunów.

W tamtą stronę jechali drogą kościelną, ale wracać wypadało im koniecznie na Lubicz i Wołmontowicze. Panna, ledwie ujrzała pierwsze dymy lubickie, zaraz odwróciwszy oczy poczęła szybko odmawiać pacierze, aby bolesne myśli odegnać, miecznik zaś jechał w milczeniu i tylko rozglądał się dokoła.

Wreszcie, gdy już minęli kołowrot, rzekł:

– Senatorska to gleba! Lubicz za dwoje Mitrunów stanie.

Oleńka dalej odmawiała pacierze.

Lecz w mieczniku przebudził się widocznie dawny zawołany gospodarz, a może i szlachcic do pieniąctwa po trosze skłonny, bo po chwili rzekł znowu jakby sam do siebie:

– A przecie po prawdzie to nasze... Stara billewiczowska substancja, nasz pot, nasz trud. Tamten nieszczęśnik musiał dawno zginąć, skoro się nie zgłosił, a choćby się i zgłosił, prawo za nami.

Tu zwrócił się do Oleńki:

– Co myślisz, proszę?

Na to panna:

– Przekłète to miejsce. Niech się z nim, co chce, dzieje.

– Ale bo, widzisz, prawo za nami. Miejsce przekłète było w złych rękach, a stanie się błogosławione w dobrych. Prawo za nami!

– Nigdy! Nie chcę o niczym wiedzieć. Dziaduś bez restrykcji zapisał, niechże jego krewni biorą.

To rzekłszy popędziła podjezdka; miecznik dał także swojemu ostrogi i nie zwolnili aż w czystym polu. Tymczasem zapadła noc, ale widno było zupełnie, bo ogromny czerwony miesiąc wynurzył się zza wołmontowickiego lasu i rozświecił całą okolicę złotym blaskiem.

– Ano! dał Bóg piękną noc – ozwał się miecznik patrząc w kolisko księżyca.

– Jak to się Wołmontowicze świecą z daleka! – rzekła Oleńka.

– Bo drzewo jeszcze na domach nie szerniało.

Dalszą rozmowę przerwało im skrzypienie wozu, którego zrazu dojrzeć nie mogli, bo droga w tym miejscu szła falisto, wkrótce jednak ujrzeli parę koni, za nią następną parę przy dyszlu, a w końcu drabiniasty półtorak otoczony przez kilku jeźdźców.

– Co to za ludzie mogą być? – rzekł miecznik.

I zatrzymał konia; Oleńka stanęła przy nim.

Tamci przez ten czas zbliżali się coraz więcej, na koniec przyjechali tuż.

– Stój! – zawołał miecznik. – A kogo to tam wieziecie?

Jeden z jeźdźców zwrócił się ku nim :

– Pana Kmicica wieziem, który pod Magierowem od Węgrzynów postrzelon.

– Słowo stało się ciałem! – zakrzyknął miecznik.

Oleńce świat cały zakręcił się nagle w oczach; serce w niej zamarło, piersiom zabrakło oddechu. Głosy jakieś wołały jej w duszy: „Jezusie, Mario! To on!” Po czym całkiem opuściła ją świadomość, gdzie jest, co się z nią dzieje.

Ale nie spadła z konia na ziemię, bo ręką chwyciła konwulsyjnie za drabinę wozu. I z chwilą gdy przyszła do przytomności, oczy jej padły na nieruchomy kształt ludzki leżący na wozie. Tak, to był on, pan Andrzej Kmicic, chorąży orszański. I leżał na wznak na wozie; głowę miał obwinętą w chusty, ale przy czerwonym blasku miesiąca widać było doskonale jego twarz białą i spokojną, jakby z marmuru wykutą lub zlodowaciałą pod tchnieniem śmierci. Oczy miał głęboko zapadłe i zamknięte, życie nie zdradzało się w nim najmniejszym ruchem.

– Z Bogiem!... – rzekł zdejmując czapkę pan miecznik.

– Stój! – zawołała Oleńka.

I poczęła pytać cichym, ale prędkim, jakoby gorączkowym głosem:

– Żyw jeszcze czy zmarły?

– Żyw, ale śmierć nad nim.

Tu miecznik spojrzawszy na twarz Kmicica ozwał się znowu:

– Nie dowieziecie go do Lubicza.

– Kazał się koniecznie tam wieźć, bo tam chce umrzeć.

– Z Bogiem! Spieszcie się!

– Czołem bijemy!

I wóz ruszył dalej, a Oleńka z miecznikiem skoczyli co tchu w koniach w przeciwną stronę. Przelecieli przez Wołmontowicze jak dwa widziadła nocne i dopadli do Wodoktów nie mówiąc do siebie ni słowa przez drogę; dopiero zsiadając z konia Oleńka zwróciła się do stryja:

– Księdza mu trzeba posłać! – rzekła zdyszczanym głosem – niech w tej chwili ktoś do Upity rusza!

Miecznik zajął się żywo spełnieniem polecenia, ona zaś wpadła do swojej izby i rzuciła się na kolana przed obrazem Najświętszej Panny.

W parę godzin potem, późną już nocą, dzwonek ozwał się przed bramą Wodoktów. To ksiądz przejeżdżał z Panem Jezusem do Lubicza.

Panna Aleksandra klęczała ciągle. Usta jej powtarzały litanie, którą się przy konających odmawia. A gdy ją odmówiła, po trzykroć poczęła bić głową o podłogę i powtarzać ustawicznie:

– Panie, policz mu, że z ręki nieprzyjaciół ginie... Panie, policz mu, że z ręki nieprzyjaciół ginie... Odsuś mu! zmiłuj się nad nim!..

Na tym zesza jej cała noc. Ksiądz bawił w Lubiczu aż do rana, a wracając, sam wstąpił do Wodoktów. Ona wybiegła na jego spotkanie.

– Czy już? – spytała.

I nie mogła mówić więcej, bo jej oddechu zbrakło.

– Żyw jeszcze – odrzekł ksiądz.

Przez następnych dni kilkanaście co dzień posłańcy latali z Wodoktów do Lubicza i każdy wracał z odpowiedzią, że pan chorąży „żyw jeszcze”, na koniec jeden przywiózł wiadomość, którą od cyrulika, sprowadzonego z Kiejdan, usłyszał, że nie tylko żyw, ale i zdrowy będzie, bo postrzały goją się szczęśliwie i siły rycerzowi wracają.

Panna Aleksandra posłała hojne ofiary na mszę dziękczynną do Upity, ale od owego dnia przestali chodzić posłańcy, i dziwna rzecz! w sercu dziewczyny, razem z uspokojeniem, począł się budzić dawny żal do pana Andrzeja. Winy jego przychodziły jej znowu co chwila do myśli, tak ciężkie, że nie do odpuszczenia. Śmierć jedynie mogła je pokryć niepamięcią... Gdy wracał do zdrowia, ciążyły znów nad nim... A jednak wszystko, co było można przytoczyć na jego obronę, powtarzała sobie co dzień biedna Oleńka.

Tyle się zaś nagryzła przez te dni, tyle jednak rozterki było w jej duszy, że aż na zdrowiu poczęła szwankować.

Zaniepokoiło to wielce pana Tomasza, więc pewnego wieczora, gdy zostali sami, spytał ją:

– Oleńka, powiedz no mi szczerze, co ty myślisz o chorążym orszańskim?

– Bogu wiadomo, że nie chcę o nim myśleć! – odrzekła.

– Bo to widzisz... pochudłaś... Hm!... Być może, że ty jeszcze... Jać nie nalegam na nic, jeno rad bym wiedzieć, co się tam w tobie dzieje... Zali nie mniemasz, że wola nieboszczyka dziada twego powinna się spełnić?

– Nigdy! – odrzekła Oleńka. – Dziaduś zostawił mi też furtę otwartą... a ja do niej na Nowy Rok zapukam. W tym spełni się jego wola.

– Nie wierzyłem i ja temu zgoła – odparł miecznik – co tu niektórzy przebąkiwali, że Babinicz a Kmicic to jedno, ale przecie pod Magierowem przy ojczyźnie a przeciw nieprzyjaciółom się już oponował i krew rozlał. Późna to poprawa, aleć zawsze poprawa!

– A przecie i ksiązę Bogusław już teraz królowi i Rzeczypospolitej służy – odpowiedziała z żalem panna. – Niechże im Bóg obudwom przebaczy, a zwłaszcza temu, który krew rozlał... Ludzie wszelako zawsze będą mieli prawo powiedzieć, że oto w chwili największego nieszczęścia, w chwili klęsk i upadku na tę ojczyznę nastawali, a nawrócili się do niej dopiero wtedy, gdy nieprzyjaciółom powinęła się już noga i gdy korzyść własna nakazywała ze zwycięzcą trzymać. Ot, w czym ich wina! Teraz już nie ma zdrajców, bo



nie ma zysku ze zdrady! Ale jaka w tym zasługa?... Zali nie nowy to dowód, że tacy ludzie gotowi zawsze mocniejszemu służyć? Bóg by dał, Bóg by dał! żeby inaczej było, ale takich win Magierów nie opłaci...

– Prawda jest! Nie mogę negować! – odrzekł miecznik. – Ciężka prawda, ale zawsze prawda! Wszyscy dawniejsi zdrajcy w czambuł do króla przeszli.

– Nad chorążym orszańskim – mówiła dalej panna – ciąży jeszcze straszniejszy niż na księciu Bogusławie zarzut, bo pan Kmicic ofiarował się przecie na króla rękę podnieść, czego się sam książę przeląkł. Zali przypadkowy postrzał może to zmazać?... Tę rękę pozwoliłabym sobie uciąć, gdyby tego nie było... ale to było, jest i nie odstanie się więcej! Bóg widocznie zostawił mu życie właśnie dlatego, żeby mógł pokutować... Mój stryju! Mój stryju! toż byśmy się oszukiwali sami, gdybyśmy chcieli w siebie wmówić, że on jest czysty. I co stąd za zysk? Zali sumienie da się oszukać? Niechże się dzieje wola boska. Co się rozerwało, to nie zwiąże się więcej, i nie powinno! Szczęśliwam, że pan chorąży żywie... przyznaję, bo znać, że Bóg nie odwrócił jeszcze całkiem od niego łaski swojej... Ale dość mi na tym! Szczęśliwa będę, gdy usłyszę, że zmazał winy, ale niczego więcej nie chcę, nie pragnę! choćby tam dusza we mnie jeszcze pocierpieć miała... Niechaj go Bóg wspomaga...

Tu Oleńka dłużej nie mogła mówić, bo płacz ją porwał wielki i żalony, ale był to płacz ostatni. Wypowiedziała wszystko, co nosiła w sercu, i od tej pory spokój znów począł jej wracać.

## ROZDZIAŁ XXX

Rogata dusza junacka nie chciała istotnie wychodzić z cielesnej powłoki i nie wyszła. W miesiąc po powrocie do Lubicza rany pana Andrzeja poczęły się goić, wcześniej zaś jeszcze odzyskał przytomność i rozejrzawszy się po izbie zgadł zaraz, iż już jest w Lubiczu.

Następnie począł wołać wiernego Soroki.

– Soroka! – rzekł – miłosierdzie boże jest nade mną! Czuję, iż nie umrę!

– Wedle rozkazu! – odpowiedział stary żołnierz rozgniatając łzę kułakiem.

A Kmicic mówił dalej, jakby sam do siebie:

– Skończona pokuta... widzę to jaśnie. Miłosierdzie boże jest nade mną!

Potem milczał przez chwilę, jeno mu się wargi poruszały modlitwą.

– Soroka! – rzekł znów po chwili.

– Do usług waszej miłości!

– A kto tam jest w Wodoktach?

– Jest panna i pan miecznik rosieński.

– Pochwalone imię Pańskie! Przychodził-li tu kto pytać się o mnie?

– Przysyłali z Wodoktów, pókiśmy nie powiedzieli, że wasza miłość zdrów będzie.

– A potem przestali przysyłać?

– Potem przestali.

Na to Kmicic:

– Nic jeszcze nie wiedzą, ale się ode mnie samego dowiedzą. Nie mówiłeś nikomu, żem tutaj jako Babinicz wojował?

– Nie było rozkazu – odrzekł żołnierz.

– A laudańscy z panem Wołodyjowskim nie wrócili jeszcze?

– Nie masz ich jeszcze, ale lada dzień zjadą.

Na tym skończyła się pierwszego dnia rozmowa. We dwa tygodnie później pan Kmicic wstawał już i chodził na kulach, a następnej niedzieli uparł się jechać do kościoła.

– Pojedziem do Upity – rzekł do Soroki – bo od Boga trzeba poczynać, a po mszy do Wodoktów.

Soroka nie śmiał się sprzeciwiać, więc kazał jeno wymościć sianem skarbniczek, a pan Andrzej wystroił się odświętnie i pojechali.

Przyjechali w czas, gdy mało jeszcze ludzi było w kościele. Pan Andrzej, wsparty na ramieniu Soroki, podszedł pod sam wielki ołtarz i klęknął w kolatorskiej ławce; nikt też go nie poznał, tak zmienił się wielce; twarz miał bardzo chudą, wynędzniałą, a przy tym nosił długą brodę, która mu czasu wojny i choroby wyrosła. Kto i spojrzał na niego, pomyślał, że jakiś przejezdny personat na mszę wstąpił; kręciło się bowiem wszędzie pełno przejezdnej szlachty, która z pola do swych majątności wracała.

Lecz kościół z wolna napełniał się ludem i okoliczną szlachtą; za czym poczęli zjeżdżać i posesjonaci z dalekich nawet stron, bo w wielu miejscach kościoły były popalone i mszy trzeba było aż w Upicie szukać.

Kmicic, zatopiony w modlitwie, nie widział nikogo; z pobożnego zamyślenia zbudziło go dopiero skrzywienie ławki pod nogami wchodzących do niej osób.

Wówczas podniósł głowę, spojrzął i spostrzegł tuż nad sobą słodką a smutną twarz Oleńki.

Ona także dostrzegła go i poznała w tej chwili, bo cofnęła się nagle, jakby przerażona; naprzód płomień, a potem bladeść śmiertelna wystąpiła na jej twarz, lecz najwyższym wysiłeniem woli przemogła wrażenie i klękała tuż koło niego; trzecie miejsce zajął pan miecznik.

I Kmicic, i ona pochyłili głowy i wsparłszy twarz na dłoniach klęczeli obok siebie w milczeniu, a serca biły im tak, że je słyszeli oboje doskonale. Wreszcie pan Andrzej przemówił pierwszy:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków... – odrzekła półgłosem Oleńka. I więcej nie mówili do siebie.

Tymczasem ksiądz wyszedł z kazaniem; słuchał go Kmicic, ale mimo usiłowań i nie słyszał, i nie rozumiał. Oto ona, ta upragniona, do której od lat całych już tęsknił, która nigdy nie schodziła mu z myśli i z serca, była teraz tuż pod jego boki. I czuł ją koło siebie, i nie śmiał zwracać ku niej oczu, bo był w kościele, lecz przymknąwszy powieki, łowił uchem jej oddech.

– Oleńka, Oleńka przy mnie! – mówił sobie – oto Bóg nam się w kościele po rozłące spotkać kazał...

Więc myśli jego i serce powtarzały bez ustanku to imię:

– Oleńka, Oleńka, Oleńka!

I chwilami płacz radości chwytął go za gardło, to znów porywało go takie uniesienie dziękczynnej modlitwy, że aż świadomość tracił, co się z nim dzieje.

Ona klęczała ciągle z twarzą ukrytą w dłoniach.

Ksiądz skończył kazanie i zszedł z ambony.

Nagle przed kościołem rozległ się szcęk broni i tętent kopyt końskich. Ktoś krzyknął przed progiem kościoła: „Lauda wraca!” – i wnet w samej świątyni zerwały się szmery, potem gwar, potem coraz głośniejsze wołanie:

– Lauda! Lauda!

Tłumy poczęły się kołysać, wszystkie głowy zwróciły się naraz ku drzwiom.

A wtem zaroilo się we drzwiach i hufiec zbrojny pojawił się w kościele. Na czele szli z brzękiem ostróg pan Wołodyjowski i pan Zagłoba. Tłumy rozstępowały się przed nimi, a oni przeszli przez cały kościół, klękli przed ołtarzem, pomodlili się krótką chwilę, po czym objaj weszli do zakrystii.

Laudańscy zatrzymali się wpół nawy, nie witając się dla powagi miejsca z nikim.

Ach, co za widok! Groźne twarze, ogorzone od wichrów, wychudłe z trudów bojowych, pocięte szablami Szwedów, Niemców, Węgrów, Wołochów. Cała historia wojny i chwała pobożnej Laudy mieczem na nich wypisana. Oto ponure Butrymy, oto Stakjany, Domaszewicze, Gościewiczze, wszystkich po trochu. Lecz ledwie czwarta część wróciła z tych, którzy ongi pod Wołodyjowskim z Laudy ruszyli.

Wiele niewiast na próżno szuka mężów, wielu starców na próżno wypatruje synów, więc płacz wzmaga się, bo i ci, którzy znajdują swoich, płaczą z radości. Cały kościół rozlega się szlochaniem; od czasu do czasu głos jakiś imię kochane wykrzyknie i zmilknie, a oni stoją w chwale, wsparci na mieczach, lecz i im po srogich bliznach łyzy spływają na wąsiska.

Wtem dzwonek targnięty przy drzwiach zakrystii uciszył płacze i gwary. Wszyscy klękli, wyszedł ksiądz ze mszą, a za nim w komżach pan Wołodyjowski i pan Zagłoba, i ofiara się rozpoczęła.

Lecz ksiądz także był wzruszony i gdy pierwszy raz zwrócił się do ludu mówiąc: *Domini vobiscum!* – głos mu drgał; gdy zaś przyszło do Ewangelii i wszystkie szable naraz wysunęły się z pochew na znak, że Lauda zawsze gotowa wiary bronić, a w kościele stało się aż jasno od stali, to ledwie mógł odśpiewać Ewangelię.

Odśpiewano potem wśród powszechnego uniesienia suplikacje, wreszcie msza się skończyła, lecz ksiądz, pochowawszy Sakrament w cyborium, odwrócił się już po Ostatniej Ewangelii ku tłumom, na znak, że pragnie coś powiedzieć.

Więc uczyniło się cicho; ksiądz zaś w serdecznych słowach powitał naprzód wracających żołnierzy, wreszcie oznajmił, że list królewski zostanie odczytany, przez pułkownika chorągwi laudańskiej przywieziony.

Więc uczyniło się jeszcze ciszej i po chwili po całym kościele rozległ się głos od ołtarza:

„My, Jan Kazimierz, król polski, wielki książę litewski, mazowiecki, pruski *etc., etc.*, *etc.* W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen.

Jako złych ludzi szpetne przeciw majestatowi i ojczyźnie występki, zanim przed sądem niebieskim staną już w tym życiu doczesnym mają otrzymać karę, tak równie słusznym jest, ażeby cnota nie zostawała bez nagrody, która cnocie samej blasku chwały, a potomnym zachęty do naśladowania cnych przykładów dodawać winna.

Przeto wiadomo czynimy całemu stanowi rycerskiemu, mianowicie zaś ludziom wojskowym i świeckim, urzędy mającym *cuiusvis dignitatis et praeeminentiae*, oraz wszystkiemu obywatelstwu Wielkiego Księstwa Litewskiego i naszego starostwa żmudzkiego, że jakiegokolwiek *gravamina* ciążyłyby na urodzonym a nam wielce miłym panu Andrzejowi Kmicicu, chorążym orszańskim, te *coram* jego następnych zasług i chwały zniknąć z pamięci ludzkiej mają, w niczym czci i sławy pomienionemu chorążemu orszańskiemu nie ujmując.”

Tu ksiądz przestał czytać i spojrzął ku ławce, w której pan Andrzej siedział, on zaś powstał na chwilę i wnet usiadł znowu, głowę swą wynędzniałą wsparł o stallę i przymknął powieki jakoby w omdleniu.

A wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, wszystkie usta poczęły szeptać:

– Pan Kmicic! Kmicic! Kmicic!... tam, obok Billewiczów!

Lecz ksiądz skinął ręką i począł czytać dalej wśród głuchego milczenia:

„Który chorąży orszański, lubo w początkach nieszczęsnej owej szwedzkiej inkursji po stronie księcia wojewody się opowiedział, przecie uczynił to nie z żadnej prywaty, ale z najszczerzej ku ojczyźnie intencji, perswazją tegoż księcia do błędu przywiedzion, jakoby taka jeno, a nie inna droga *salutis Reipublicae* zostawała, jaką sam książę kroczył!

A przybywszy do księcia Bogusława, który za przedawczyka go mając, wszystkie nieżyczliwe praktyki przeciw ojczyźnie jaśnie przed nim odkrył, nie tylko pomieniony chorąży orszański na osobę naszą ręki podnosić nie obiecywał, ale samego księcia zbrojną ręką porwał, aby się za nas i za utrapioną ojczyznę pomścić...”

– Boże, bądź miłościw mnie grzesznej! – zawołał niewieści głos tuż około pana Andrzeja, a w kościele zerwał się znowu gwar zdumienia.

Ksiądz czytał dalej:

„Przez tegoż księcia postrzelon, ledwie do zdrowia przyszedłszy, do Częstochowy się udał i tam pierśią własną najświętszy przybytek osłaniał, przykład wytrwania i męstwa wszystkim dając; tamże z niebezpieczeństwem zdrowia i życia największe działo burzące prochami rozsadził, przy którym hazardzie pojman, na śmierć przez okrutnych nieprzyjaciół był skazany, a przedtem żywym ogniem palony...”

Tu już płacz niewieści rozległ się tu i owdzie po kościele. Oleńka trzęsła się cała, jak w paroksyzmie febry.

„Ale i z tych srogich terminów mocą Królowej Anielskiej wyratowan, do nas na Śląsk się udał i w powrocie naszym do milej ojczyzny, gdy zdradliwy nieprzyjaciel zasadzkę nam nagotował, pomieniony chorąży orszański samoczwart tylko na całą potęgę nieprzyjacielską się rzucił, osobę naszą ratując. Tam posieczon i rapierami skłuty, do pół boków we krwi własnej rycerskiej się pławiąc, z pobojuwiska jako bez duszy był podniesion...”

Oleńka obie ręce przyłożyła do skroni i podniósłszy głowę, poczęła łowić w spieczone usta powietrze. Z piersi jej wychodził jęk:

– Boże! Boże! Boże!

I znów zabrzmiał głos księdza, także coraz bardziej wzruszony:

„A gdy staraniem naszym do zdrowia przyszedł i wtedy nie spoczął, ale dalsze wojny odprawował, z chwałą niezmierną stawając w każdej potrzebie, za wzór rycerstwu przez hetmanów obojga narodów podawany, aż do szczęśliwego zdobycia Warszawy, po którym do Prus pod przybranym nazwiskiem Babinicza był wyprawiony...”

Gdy to imię zabrzmiało w kościele, gwar ludzki zmienił się jakoby w szmer fali. Więc Babinicz to on?! Więc ów pogromca Szwedów, zbawca Wołmontowicz, zwycięzca w tylu bitwach to Kmicic?!... Szum wzmagął się coraz bardziej, tłumy poczęły cisnąć się ku ołtarzowi, aby go widzieć lepiej.

– Boże, błogosław mu ! Boże, błogosław! – ozwały się setki głosów.

Ksiądz zwrócił się ku ławce i przeżegnał pana Andrzeja, który wsparty ciągle o stalę, do umarłego niż żywego był podobniejszy, bo dusza wyszła zeń ze szczęścia i uleciała ku niebiosom.

Po czym kapłan dalej czytał:

„Tamże nieprzyjacielski kraj ogniem i mieczem spustoszył, do wiktorii pod Prostkami głównie się przyczynił, księcia Bogusława własną ręką obalił i pojmał; następnie do starostwa naszego żmudzkiego powołany, jak niezmierne usługi oddał, ile miast i wsiów od nieprzyjacielskiej ręki uchronił, o tym tamtejsi *incolae* najlepiej wiedzieć powinni.”

– Wiemy! wiemy! wiemy! – grzmiało w całym kościele.

– Uciszcie się – rzekł ksiądz podnosząc pismo królewskie ku górze.

„Przeto my (czytał dalej) rozważywszy wszystkie jego zasługi względem naszego majestatu i ojczyzny tak niezmierne, że i syn większych ojcu i matce oddać by nie mógł, postanowiliśmy je w tym liście naszym promulgować, ażeby tak wielkiego kawalera, wiary, majestatu i Rzeczypospolitej obrońcę niezycżliwość ludzka dłużej już nie ściagała, lecz aby przynależną cnotliwym chwałą i powszechną miłością okryty chodził. Nim zaś sejm następny, chęci te nasze potwierdzając, wszelką zmazę z niego zdejmie, i nim starostwem upickim, które *vacat*, nagrodzić go będziemy mogli, prosim uprzejmie nam miłych obywatelów starostwa naszego żmudzkiego, aby te słowa nasze w sercach i umysłach zatrzymali, które nam sama *iustitia, fundamentum regnorum*, przesłać, ku ich pamięci, nakazała.”

Tu skończył ksiądz i zwróciwszy się do ołtarza, modlić się począł; pan Andrzej zaś uczył nagle, że jakaś dłoń miękka chwyta jego rękę, spojrział: była to Oleńka, i nim miał czas pomiarkować się, cofnąć dłoń, panna podniosła ją i przycisnęła do ust wobec wszystkich, w obliczu ołtarza i tłumów.

– Oleńka! – krzyknął zdumiony Kmicic.

Lecz ona wstała i zakrywszy twarz zasłoną, rzekła do miecznika:

– Stryju! chodźmy, chodźmy stąd prędko!

I wyszli przez drzwi zakrystii.

Pan Andrzej próbował wstać, wyjść za nią, lecz nie mógł...

Siły opuściły go zupełnie.

Natomiast w kwadrans później znalazł się przed kościołem, trzymany pod ręce przez pana Wołodyjowskiego i pana Zagłobę.

Tłumy obywatelstwa, drobnej szlachty i pospolitego ludu cisnęły się dokoła; niewiasty – zaledwie która zdołała się oderwać od piersi wracającego z wojny męża – już wiedzione ciekawością, płci swojej właściwą, biegły popatrzeć na tego straszego ongi Kmicica, dziś zbawcę Laudy i przyszłego starostę. Koło zaciskało się coraz więcej, aż laudańscy musieli w końcu otoczyć i bronić od natłoku rycerza.

– Panie Andrzeju! – wołał pan Zagłoba – ot, przywieźliśmy ci gościńca. Sam się takiego nie spodziewałeś! Do Wodoktów teraz, do Wodoktów, na zrękowiny i wesele!...

Dalsze słowa pana Zagłoby zginęły w gromkim okrzyku, który naraz pod przywództwem Józwy Beznogiego podnieśli wszyscy laudańscy:

– Niech żyje pan Kmicic!

– Niech żyje! – powtórzyły tłumy. – Nasz starosta upicki niech żyje! niech żyje!

– Do Wodoktów! Wszyscy! – huknął znowu pan Zagłoba.

– Do Wodoktów! do Wodoktów! – wrzasnęło tysiąc ust. – W swaty do Wodoktów, z panem Kmicicem, z naszym zbawcą! Do panienki! do Wodoktów!

I ruch uczynił się ogromny. Lauda siadła na koń; z tłumów, kto żyw, dopadał wozów, bryczek, wasagów, podjezdaków. Piesi na przelaj poczęli biec przez lasy i pola. Okrzyk: „Do Wodoktów!”, brzmiał w całym miasteczku. Drogi zaroily się różnobarwnymi kupami ludzi.

Pan Kmicic jechał w skarbniczku między Wołodyjowskim i Zagłobą i raz wraz któregoś brał w ramiona. Mówić jeszcze nie mógł, bo zbyt był wzruszony, zresztą pędzili tak, jakby Tatarzy na Upitę napadli. Wszystkie bryki i wozy pędziły tak samo koło nich.

Byli już dobrze za miastem, gdy nagle pan Wołodyjowski pochylił się do ucha Kmicica.

– Jędrak – spytał się – a nie wiesz, gdzie tamta?

– W Wodoktach! – odpowiedział rycerz.

Wówczas, czy wiatr począł tak poruszać wąsikami pana Michała, czy wzruszenie, nie wiadomo, dość, że przez całą drogę nie przestawały wysuwać się naprzód, jakby dwa szydła lub dwie macki chrabąszcza.

Pan Zagłoba śpiewał z radości tak okrutnym basem, że aż się konie ploszyły:

Dwoje nas było, Kasieńko, dwoje na świecie,  
Ale mi się coś wydaje, że jedzie trzecie.

Anusia nie była tej niedzieli w kościele, bo przy słabej pannie Kulwiecównie z kolei zostać musiała, przy której się z Oleńką dzień po dniu zmieniali.

Cały ranek zajęta była doglądaniem i opatrunkiem chorej, tak że późno dopiero mogła się zabrać do pacierzy.

Zaledwie jednak wymówiła ostatnie: „Amen”, gdy zaturkotało przed bramą i Oleńka wpadła jak wichur do pokoju.

– Jezus, Maria! Co się stało? – krzyknęła spojrzawszy na nią panna Borzobohata.

– Anusiu! wiesz, kto jest pan Babinicz?... To pan Kmicic!

Anusia zerwała się na równe nogi.

– Kto ci powiedział?

– Czytano list królewski... pan Wołodyjowski przywiózł... laudańscy...

– To pan Wołodyjowski wrócił?... – krzyknęła Anusia.

I nagle rzuciła się w ramiona Oleńki.

Oleńka przyjęła ten wybuch czułości jako dowód Anusinego afektu dla siebie, bo zresztą była zgorączkowana, prawie nieprzytomna. Na twarzy miała ogniste wypieki, a pierś jej falowała, jak gdyby z wielkiego zmęczenia.

Więc poczęła opowiadać bez ładu i przerywanym głosem wszystko, co w kościele słyszała, biegając przy tym jak szalona po komnacie i powtarzając co chwila: „To ja go nie-

warta!” – czyniąc sobie zarzuty okrutne, że go najgorzej ze wszystkich skrzywdziła, że nawet modlić się za niego nie chciała wówczas, gdy on we krwi własnej za Najświętszą Pannę, za ojczyznę i za króla się pławił.

Próżno Anusia, biegnąc za nią po izbie, próbowała ją pocieszać. Ona powtarzała wciąż jedno, że go niewarta, że nie śmiałyby mu w oczy spojrzeć; to znów poczyniała mówić o czynach Babinicza, o porwaniu Bogusława, o jego zemście, o ocaleniu króla, o Prostkach i Wołmontowiczach, i Częstochowie; to wreszcie o swoich winach i o swej zawziętości, za którą musi odpokutować w klasztorze.

Dalsze jej wyrzekania przerwał pan Tomasz, który wpadłszy jak bomba do komnaty zakrzyknął:

– Na Boga! cała Upita do nas wali! Już są we wsi, a Babinicz pewnie z nimi!

Jakoż za chwilę daleki okrzyk zwiastował zbliżanie się tłumów. Miecznik porwał Oleńkę i wyprowadził na ganek; Anusia wypadła za nimi.

Wtem tłumy ludzi i koni zaczerniły się w dali i jak okiem sięgnąć cała droga była jeszcze nimi zapchana. Dobiegli w końcu do dziedzińca. Piesi przedostawali się szturmem przez fosę i płoty; wozy tłoczyły się w bramie, a wszystko to krzyczało, wyrzucało czapki w górę.

Wreszcie ukazał się huf zbrojny laudańskich, otaczających skarbniczek, w którym siedziało trzech mężów: pan Kmicic, pan Wołodyjowski i pan Zagłoba.

Skarbniczek zatrzymał się nieco opodal, bo już tyle ludu natłoczyło się przed gankiem, że nie można było tuż dojechać. Zagłoba z Wołodyjowskim wyskoczyli pierwsi i pomógłszy Kmicicowi zsiąść, zaraz chwycili go pod ramiona.

– Rozstapcie się! – krzyknął Zagłoba.

– Rozstąpić się! – powtórzyli laudańscy.

Ludzie usunęli się zaraz, tak że środkiem tłumy utworzyła się pusta droga, po której wiedli Kmicica aż do ganku dwaj rycerze. On słaniał się i blady był bardzo, ale szedł z głową podniesioną, zarazem zmieszany i szczęśliwy.

Oleńka oparła się o odrzwia i ręce opuściła bezwładnie po sukni; lecz gdy był już blisko, gdy spojrzała w twarz tego mizeraka, który po tylu latach rozłąki zbliżał się oto jak Łazarz, bez kropli krwi w twarzy, wówczas szlochanie rozdarło na nowo jej piersi. On ze słabości, ze szczęścia i zmieszania nie wiedział sam, co ma mówić, więc wstępując na ganek, powtarzał tylko przerywanym głosem:

– A co, Oleńka, a co?

Ona zaś obsunęła mu się nagle do kolan.

– Jędrus! ran twoich niegodnam całować!

Ale w tej chwili wyczerpane siły wróciły rycerzowi, więc porwał ją z ziemi jak piórko i do piersi przycisnął.

Okrzyk jeden ogromny, od którego zadrzały ściany domów i ostatki liści z drzew opadły, zgłuszył wszystkie uszy. Laudańscy poczęli palić z samopałów, czapki wylatywały w górę, naokół widziałeś tylko uniesione radością twarze, rozpalone oczy i otwarte usta wrzeszczące:

– *Vivat* Kmicic! *vivat* Billewiczówna! *Vivat* młoda para!

– *Vivant* dwie pary! – huczał Zagłoba.

Ale głos jego ginął w burzy ogólnej.

Wodokty zmieniły się jakoby w obóz. Przez cały dzień rżnięto z rozkazu miecznika barany i woły, wykopywano z ziemi beczki miodu i piwa. Wieczorem zasiedli wszyscy do uczty, starsi i znamienitsi w komnatach, młodszy w czeladnej, prostactwo również weseliło się przy ogniskach na podwórzu.

Przy głównym stole krążyły kielichy na cześć dwóch par szczęśliwych, gdy zaś ochota doszła do najwyższego stopnia, pan Zagłoba wznosił jeszcze toast następujący:

– Do cię zwracam się, cny panie Andrzeju, i do cię, stary druhu, panie Michale! Nie dość było piersi nadstawiać, krew rozlewać, nieprzyjaciół wycinać! Nie skończony trud wasz, bo gdy siła ludzi czasu tej okrutnej wojny poległo, musicie teraz nowych obywateli, nowych obrońców tej miłej Rzeczypospolitej przysporzyć, do czego, tuszę, nie zabraknie wam męstwa ni ochoty! Mości panowie! na cześć onych przyszłych pokoleń! Niechże im Bóg błogosławi i pozwoli ustrzec tej spuścizny, którą im odrestaurowaną naszym trudem, naszym potem i naszą krwią zostawujem. Niech, gdy ciężkie czasy nadejdą, wspomną na nas i nie desperują nigdy, bacząc na to, że nie masz takowych terminów, z których by się *viribus unitis* przy boskich auxiliach podnieść nie można.

\*\*\*

Pan Andrzej niedługo po ślubie na nową wojnę ruszył, która od wschodniej ściany wybuchła. Lecz piorunujące zwycięstwo Czarnieckiego i Sapiehy nad Chowańskim i Dołgorukim, a hetmanów koronnych nad Szeremetem ukończyły ją wkrótce. Wówczas wrócił Kmicic świeżą chwałą okryty i na stałe w Wodoktach osiadł. Chorągwo orszańskie wziął po nim stryjeczny jego, Jakub, który później do nieszczęsnej konfederacji wojskowej należał, pan Andrzej zaś, duszą i sercem stojąc przy królu, starostwem upickim nagrodzon, żył długo w przykładowej zgodzie i miłości z Laudą, powszechnym szacunkiem otoczony. Niechętni (bo któż ich nie ma) mówili wprawdzie, że żony we wszystkim zbyt słuca, ale on się tego nie wstydził, owszem, sam przyznawał, że w każdej ważniejszej sprawie zawsze rady jej zasięga.

KONIEC